

CARSTEN JENSEN

My, topielcy

Przełożyła Iwona Zimnicka

Moim rodzicom

I

BUTY

•

Laurids Madsen był w niebie, ale wrócił stamtąd dzięki swoim butom.

Nie wzbіл się aż po jabłko masztu, ledwie na wysokość grotrei na pełnorejowcu. Ale stał u wrót rajy i widział świętego Piotra, chociaż strażnik bram zaświatów pokazał mu jedynie swój zadek.

Laurids Madsen powinien nie żyć. Śmierć go jednak nie chciała, a przez to się zmienił.

Zanim Laurids Madsen zasłynął swoją wizytą w niebie, zyskał sławę człowieka, który osobiście wywołał wojnę. Ojca, Rasmusa, stracił na morzu, kiedy miał sześć lat, a sam zaciągnął się na „*Annę*” z Marstal jako czternastolatek. Już trzy miesiące później „*Anna*” zatonięła na Bałtyku. Załogę uratował amerykański bryg i od tej pory Laurids Madsen zaczął marzyć o Ameryce.

Egzamin na sternika zdał we Flensburgu w wieku osiemnastu lat i jeszcze w tym samym roku po raz drugi przeżył zatonięcie statku u wybrzeży Norwegii w okolicach Mandal, w zimną październikową noc stał na szkieletach zalewany falami i wypatrywał zbawienia. Pięć lat pływał po oceanach świata. Był na południe od przylądka Horn i słyszał krzyki pingwinów w czarne jak grób noce. Widział Valparaiso, zachodnie wybrzeże Ameryki i Sydney, gdzie zimą drzewa zamiast liści tracą korę i gdzie skaczą kangury. Poznał dziewczynę o oczach jak winogrona, Sally Brown, i mógł opowiadać o Foretop Street, La Boca, Barbary Coast i Tiger Bay. Przekroczył równik, odczuwając towarzyszący temu wstrząs, i powitał króla Neptuna. Wypił przy tej okazji słoń wódę, rybi olej i ocet. Został ochrzczony w smole, sadzy z lamp i kleju, ogolony zardzewiałym nożem z wyszczerbionym ostrzem, a zadrapania pielęgnowano mu solą i wapnem. Całował miedziany, naznaczony bliznami po ospie policzek Amfitryty i zanurzył nos w jej flakonie soli trzeźwiących, wypełnionym obciętymi paznokciami.

Laurids Madsen zwiedził kawał świata.

Nie był w tym osamotniony. Ale on jako jedyny wrócił ogarnięty *idée fixe*, że w Marstal wszystko jest za małe, i jakby chcąc to udowodnić, bez przerwy mówił w języku, który nazywał amerykańskim. Przez rok pływał fregatą wojenną „*Neversink*” i nauczył się tej obcej mowy. *Givin nem belong mi Laurids Madsen*, mawiał.

•

Z Karoline Grube z Nygade miał córkę i trzech synów, Rasmusa, nazwanego tak po dziadku, Esbena i Alberta. Dziewczynka o imieniu Else była najstarsza. Rasmus, Esben i Else byli podobni do matki, niewysocy i małomówni. Albert przypominał ojca. Już jako czterolatek miał tyle samo wzrostu co starszy o trzy lata Esben. Gdziekolwiek szedł, toczył przed sobą angielską kulę armatnią z żeliwa, i ciągle próbował ją podnieść. Kolana się pod nim ugiwały, a wzrok zastygał, ale kula wciąż była dla niego za ciężka.

– *Heave away, my jolly boys! Heave away my bullies!* – Laurids, widząc ćwiczenia najmłodszego syna, zachęcał go takimi okrzykami.

Kula przebiła dach domu na Korsgade podczas oblężenia Marstal przez Anglików w roku 1807. Babka tak się wtedy przeraziła, że urodziła Lauridsa na środku kuchennej podłogi. Kiedy Albert nie wybierał się z kulą na spacer, ta zajmowała swoje stałe miejsce w kuchni, a Karoline używała jej jako moździerzka przy robieniu musztardy.

– Równie dobrze to ty mogłeś w taki sposób obwieścić swoje przybycie – powiedział kiedyś Rasmus Lauridsowi – bo taki byłeś duży, kiedy przyszedłeś na świat. Gdyby bocian cię wypuścił, przebiłbyś dach jak ta angielska kula.

– *Finggu* – mówił Laurids, podnosząc do góry palec.

Chciał nauczyć dzieci amerykańskiego.

Fut oznaczało stopę. Wskazywał na but. *Maus* to były usta.

Siadając do stołu, pocierał brzuch i obnażał zęby.

– *Hanggre*.

Wszyscy powinni zrozumieć, że jest głodny.

Matka nazywała się *misis*, ojciec *papa tru*. Pod nieobecność Lauridsa dzieci mówiły „mama” i „tata”, jak wszystkie inne, z wyjątkiem Alberta. On był wyjątkowym przyjacielem swego ojca.

Na dzieci istniały różne nazwy. *Pikinini*, *bullies* i *hearties*.

– *Laikim tumas* – mówił Laurids do Karoline i wysuwał wargi jak do pocałunku.

Karoline chichotała zawstydzona, a potem się złościła:

– Nie wygłupiaj się tak, Laurids!

•

Po drugiej stronie Bałtyku wybuchła wojna z Niemcami ze Szlezwika i Holsztynu. Był rok 1848 i jako pierwszy dowiedział się o niej stary zarządca ceł, de la Porte, ponieważ rząd prowizoryczny w Kilonii przysłał mu proklamację wraz z żądaniem wydania kasy.

W całym Marstal zapanowało wzburzenie i wkrótce ustaliliśmy, że tworzymy oddział obrony kraju. Na jego czele stanął młody nauczyciel z Rise, którego później nazywaliśmy Generałem. Na wszystkich najwyższych punktach wyspy ustawiono stopy sygnałowe. Były to belki umieszczone na wysokich drągach, na których końcach zawieszono beczki wypełnione starymi linami i smołą. W razie pojawienia się wroga płonące beczki pełne smoły wybuchłyby, sygnalizując nadejście wojny od strony morza.

Stopy ustawiono zarówno na wzgórzu Knasterbjerg, jak i na klifach w okolicy Vejsnæs, a po całym brzegu chodzili strażnicy i wpatrywali się w morze.



Wojennego podniecenia nie mógł znieść Laurids, który już wcześniej nie miał szacunku dla niczego. Pewnego wieczoru, gdy w drodze z fiordu Eckernförde do domu mijał Vejsnæs, przepłynął blisko brzegu, krzyżąc tak głośno, że aż echo poniosło się ponad wodą: „Niemiec za mną!”

Kilka minut później na szczycie klifu zapłonęła beczka. Następnie zapalił się stos na Knasterbjerg, a potem ogień pobiegł przez całą wyspę aż do Synneshøj, prawie dwadzieścia kilometrów dalej, aż w końcu cała wyspa Ærø stanęła w ogniu jak w wieczór świętojański.

Laurids został na wodzie i patrzył, jak płoną ogniska, śmiejąc się z całego tego zamieszania, które sam wywołał. Gdy przyплыł do Marstal, zobaczył, że wszędzie się świeci, a na ulicach jest pełno ludzi, chociaż był już późny wieczór. Jedni wykrzykiwali niezrozumiałe rozkazy, inni płakali i modlili się żarliwie. Gotowa do walki gromada maszerowała przez Markgade, uzbrojona w kosy, widły i z rzadka w strzelby. Młode matki biegały przerażone po ulicach z płaczącymi niemowlętami w objęciach, przekonane, że Niemiec nabije ich potomstwo na bagnety. Przy studni na rogu Markgade i Vestergade żona szypra klóciła się ze służącą. Kobieta postanowiła, że ukryją się przed Niemcem w studni i kazała dziewczynie skakać w czarną otchłań.

– Pani pierwsza – upierała się służąca.

My, mężczyźni, też wydawaliśmy sobie polecenia. W naszym mieście jest zbyt wielu szyprów, aby ktoś miał ochotę słuchać kogoś innego, i jedyną rzeczą, co do której mogliśmy wszyscy się zgodzić, było wypowiedane przy wtórze wielu przekleństw uroczyste przyrzeczenie, że sprzedamy nasze życie najdrożej jak się da.

Kiedy pochód podnieconych ludzi dotarł na znajdującą się przy Kirkestræde plebanię pastora Zachariassena, który tego wieczoru miał akurat gości z daleka, jedna z pań zemdląła z wrażenia, ale jej dwunastoletni syn Ludvig chwycił za pogrzebacz, gotów bronić ojczyzny przed nadciągającym wrogiem. W domu Isagera, nauczyciela, który był również diakonem, rodzina szykowała się do mającego nastąpić ataku. Wszystkim dwunastu synom, którzy przybyli z wizytą, aby uczcić urodziny grubej pani Isagerowej, matka dała gliniane donice wypełnione popiołem i rozkazała sypać go na głowy Niemców, gdyby wpadli na pomysł natarcia na domostwo diakona.

•

Na czele gromady sunącej przez Markgade w stronę Reberbanen maszerował stary Jeppe, wywijający widłami i buńczucznie zachęcający Niemców do przybycia, jeśli tylko starczy im odwagi. Mały stolarz Laves Petersen musiał zawrócić. Dumnie niósł strzelbę na ramieniu, a kieszenie miał wypchane kulami, ale w samym środku tego bojowego przemarszu zorientował się, że proch zostawił w domu.

Przy marstalskim młynie stała potężna młynarka, *madame* Weber, z widłami w pogotowiu, chcąc za wszelką cenę wziąć udział w bitwie, i wśród ogólnego zamieszania, a być może również dlatego, że prezentowała się znacznie bardziej imponująco aniżeli większość nas, mężczyzn, nasze żądne walki szeregi natychmiast się przed nią otworzyły.

•

Laurids, z usposobienia skłonny do wzruszeń, tak się przejął powszechną walecznością, że również pobiegł do domu szukać broni. Karoline z czwórką dzieci ze strachu ukryła się pod stołem w paradnym pokoju. Gdy wpadł do domu, wołając wesoło: „Chodźcie, dzieciaki, idziemy na wojnę!”, rozległ się głuchy odgłos. To Karoline uderzyła głową o blat stołu od spodu. Z wysiłkiem wyczołgała się spod obrusa i wyprostowała, krzycząc ze złością:

– Czyś ty już całkiem postradał rozum, Madsen? Dzieci nie pójdą na żadną wojnę!

Rasmus i Esben zaczęli podskakiwać.

– My też chcemy iść! My też chcemy iść! – wołali chórem.

– Pozwól!

Mały Albert już zdążył przytoczyć swoją kulę armatnią.

– Czyście kompletnie poszaleli? – krzyknęła matka, wymierzając szturchańca najbliżej stojącemu. – Wracajcie pod stół!

Laurids wybiegł do kuchni w poszukiwaniu odpowiedniej broni, ale nie znalazł nic, co by się nadawało do użytku.

– Gdzie schowałeś patelnię? – zawołał.

– Zostaw ją! – wrzasnęła Karoline. – Łapy z daleka od mojej patelni!

Laurids bezradnie rozejrzał się dokoła.

– No dobrze, wobec tego wezmę szczotkę – obwieścił, znów przebiegając przez pokój. – Niemiec dostanie za swoje!

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi wychodzących na ulicę.

– Słyszałeś? – szepnął Rasmus, najstarszy, do Alberta. – Ojciec nie mówił po amerykańsku.

– Co za szaleniec! – Matka pokręciła głową w ciemności pod stołem, gdzie już z powrotem zdążyła się schronić. – Jak można iść na wojnę ze szczotką!

•

Gdy Laurids przyłączył się do gotowej do walki gromady, zapanowała powszechna radość. Uchodził wprawdzie za pyszałka, ale był rostry i silny, więc jego obecność była ze wszech miar pożądana. Potem zauważyliśmy szczotkę.

– Nie masz innej broni?

– Na Niemca wystarczy – odparł, podnosząc szczotkę do góry. – Wymieciemy go z kraju.

Byliśmy zuchwali i śmialiśmy się z jego dowcipu.

– Zostawmy tutaj jakieś widły – zaproponował Lars Badker. – Nadziejemy na nie Niemców, kiedy już wszyscy będą martwi!

Wyszliśmy na pola. Do Vejsnæs było pół godziny drogi piechotą, ale szliśmy szybko, wciąż z żądzą walki we krwi. Dotarliśmy do wzgórz w okolicy Drejet i zobaczyliśmy ogniska płonące na wyspie, a widok ten jeszcze wzmógł naszą wojowniczość. Nagle w ciemności usłyszeliśmy tętent i zdrętwieliśmy. Nadciągał wróg!

•

Mieliśmy nadzieję, że zaskoczemy Niemców na brzegu, ale ukształtowanie terenu i tutaj nam sprzyjało. Laurids stanął w pozycji bojowej ze szczotką, a my, pozostali, poszliśmy w jego ślady.

– Zaczekajcie na mnie! – rozległo się za nami.

To był ów mały stolarz, który zawrócił do domu po proch.

– Pst! – uciszyliśmy go. – Niemcy są w pobliżu.

Odgłos kopyt się zbliżał, lecz teraz mogliśmy się już zorientować, że koń jest tylko jeden. Z ciemności wyłonił się jeździec. Laves Petersen przygotował strzelbę i wycelował, ale Laurids zatkał mu lufę dłonią.

– To kontroler Bülow – powiedział.

Kontroler siedział na spienionym koniu, którego czarne boki falowały po ciężkim biegu. Uniósł rękę do góry.

– Wracajcie do domu! Przy Vejsnæs nie ma żadnych Niemców.

– Ale przecież beczki płoną! – krzyknął Laves.

– Rozmawiałem ze strażnikiem pilnującym brzegu – odparł Bülow. –

To fałszywy alarm.

– A nas wyciągnięto z ciepłych łóżek. Po co? Bez powodu?

Madame Weber skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła na nas surowo, jak gdyby szukała kogoś, na kogo mogłaby się rzucić teraz, gdy okazało się, że wróg odwołał swoje przybycie.

– Pokazaliśmy, że jesteśmy gotowi – łagodził kontroler. – No, a najlepsze jest to, że oni wcale nie nadciągają.

Wśród naszej gromady rozległ się zgodny pomruk. Lecz chociaż dostrzegaliśmy logikę w słowach kontrolera, to jednak mimo wszystko doznaliśmy paskudnego rozczarowania. Byliśmy gotowi spojrzeć w oczy i Niemcom, i śmierci, a tymczasem żadne z nich nie wylądowało na *Ærø*.

– Jeszcze się z Niemcem policzymy! – zapowiedział Lars Bedker.

•

Poczuliśmy zmęczenie i wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Zaczął padać zimny nocny deszcz. Milczeliśmy aż do młyna, gdzie *madame* Weber odłączyła się od naszej niepokieszonej gromadki. Stała przed nami z widłami w ręku, tak jakby prezentowała broń.

– Chciałabym wiedzieć – oświadczyła groźnym głosem – kim był ten żartowniś, który w środku nocy powyciągał ludzi z łóżek, żeby ich wysłać na wojnę.

Wszyscy skierowaliśmy wzrok na Lauridsa, górującego wśród nas ze szczotką na ramieniu.

Ale Laurids ani się nie zgarbił, ani nie spuścił oczu. Popatrzył prosto na nas. Potem odchylił głowę i w deszczu zaczął się śmiać.

◆

•

Wkrótce wojna wybuchła na poważnie. Powołano nas do marynarki. Do sąsiedniego miasta *Ærøskøbing* przyplłynął po nas wojenny parowiec „*Hekla*”. Staliśmy w kolejce na kei, wywoływani jeden po drugim, i wskakiwaliśmy na pokład barkasu, który miał nas przewieźć na parowiec. Tamtego listopadowego wieczoru czuliśmy, że wojna przeszła nam koło nosa, ale teraz czas oczekiwania się skończył i humory nam dopisywały.

– Halo! To idzie Duńczyk ze swoim życiem, duszą i marynarskim workiem! – zawołał Claus Jacob Clausen.

Był niewysokim żylastym mężczyzną, który zawsze się przechwalał, jakoby pewien tatuażysta w Kopenhadze, zwany Kłującym Frederikiem, powiedział mu kiedyś, że ma najtwardsze ramię, w jakie kiedykolwiek wbijał igłę. Ojciec Clausena, Hans Clausen, był pilotem, tak jak wcześniej dziadek, a Claus Jacob nie miał wątpliwości, że i on pójdzie tą drogą, bo w nocy przed zamustrowaniem miał sen przepowiadający mu, że z tej wojny wróci żywy.

W Kopenhadze zaokrętowano nas na fregatę „*Gefion*”. Lauridsa od nas oddzielono; jako jedyny dostał się na liniowiec „*Chrystian VIII*”, którego grotmaszt był tak wysoki, że od jabłka do pokładu było półtora raza tyle, co na czubek wieży kościoła w Marstal. Kręciło nam się w głowach, kiedy patrzyliśmy do góry, ale ta słabość wzbudzała w nas dumę, rozumieliśmy bowiem, że zostaliśmy powołani do wielkich czynów.

Laurids został na brzegu i spoglądał za nami. „*Chrystian VIII*” mu odpowiadał. Wiedział, że na liniowcu poczuje się jak w domu, bo przecież przez rok pływał na amerykańskim okręcie wojennym „*Neversink*”. Mimo wszystko jednak uznaliśmy, że przez moment musiał się poczuć opuszczony, widząc, jak wchodzimy po trapie na „*Gefion*” i znikamy mu z oczu.



Wyruszyliśmy więc na wojnę. W Niedzielę Palmową przepływaliśmy wzdłuż naszej wyspy Ærø. Widzieliśmy klify koło Vejsnæs, gdzie Laurids wywołał na wyspie takie zamieszanie swoim: „Niemiec za mną!” Teraz płynęli Duńczycy i przyszła kolej, żeby to Niemcy podpalali beczki ze smołą, biegając w kółko jak bezgłowe kury.

Stanęliśmy koło wyspy Als i czekaliśmy. W środę wzięliśmy kurs na fiord Eckernförde i późnym popołudniem dotarliśmy do jego wejścia. Wezwano nas na pokład rufówki. Stanowiliśmy barwną gromadę w samodzielnym bluzach i płóciennych portkach różnych kolorów, jedni w niebieskich, inni w czarnych albo białych. Tylko wstążki z nazwą „*Gefion*” na czapkach i czerwono-białe rozetki świadczyły o tym, że jesteśmy marynarzami z królewskiego okrętu wojennego. Komandor, w swoim najświetniejszym mundurze z epoletami i szablą, wygłosił przemowę, prosząc, byśmy dzielnie walczyli. Wywijając trójgraniastym kapeluszem, wznosił trzykrotnie okrzyk: „Niech żyje król!” Krzyczeliśmy wraz z nim tak głośno, jak tylko potrafiliśmy. Potem kazał wypalić ze wszystkich dział, byśmy mogli się przekonać, jak to będzie wyglądało podczas bitwy. Żaden z nas wcześniej nie był na wojnie. Huk poniósł się po morzu, a w powietrzu zawisł ostry zapach prochu. Zerwał się świeży wiatr i rozwiął niebieski dym armatni. Przez kilka minut nie mogliśmy się nawoływać. Huk armat nas ogłuszył.

Stanowiliśmy teraz eskadrę. Dołączyły do nas jeszcze dwa parowce. Jeden rozpoznaliśmy z mustrowania w *Ærøskøbing*, to była „*Hekla*”. Szykowaliśmy się do bitwy, która miała nastąpić nazajutrz. Działa ustawiono w furtach, wyciągano pompy i sikawki, by móc ich natychmiast użyć, gdyby na pokładzie wybuchł pożar. Przy każdym dziale układaliśmy kartacze i worki z metalową sieczką, a zapłoniki w skrzynkach. Przez ostatnich parę dni ćwiczyliśmy te czynności po tylekroć, że rozkazy znaliśmy wręcz na pamięć. Przy każdym dziale było nas jedenastu i od pierwszej komendy: „Wszyscy na miejsca!”, po której następowało „Grajcary, ładuj proch!” i „Zapłonik włóż!”, do czasu, gdy wreszcie padł rozkaz, by wypalić, krążyliśmy, objając się o siebie, sztywni ze strachu, że coś zrobimy nie tak. Byliśmy przyzwyczajeni do pracy we trzech albo czterech na naszych małych kutrach i keczach, a teraz nagle staliśmy się panami życia i śmierci.

Zbyt często stawaliśmy jak sparaliżowani, gdy komandor działa wrzeszczał swoje: „Ustawić do furty!” albo „Przybić stemplem!” Co, u diabła, mogło to oznaczać w codziennej mowie? Za każdym razem, gdy udawało nam się bezbłędnie pokonać zawiłą drogę aż do ostatniego rozkazu, komandor działa nas chwalił. Odpowiadaliśmy wesołym: „Hura!” Patrzył na nas, potem na swoje działo, a w końcu wbijał wzrok w pokład, nie przestając kręcić przy tym głową.

– Szczeniaki – mówił. – Starajcie się, do wszystkich diabłów, najlepiej jak potraficie!

•

Nie bardzo wiedzieliśmy, do kogo mamy strzelać. Chyba nie do starej Ilse z krzywym biodrem, *mutter* od gorzałki, która przychodziła do portu w Eckernförde i sprzedawała nam ów błogosławiony napój, gdy przyływaliśmy naszymi łajbami. Nie chodziło też raczej o handlarza zbożem, Eckharta, z którym ubiliśmy niejedyn dobry interes. Był jeszcze oberżysta z Der Rote Hahn. Nosił nazwisko Hansen, duńskie jak mało które. Nigdy nie widzieliśmy, żeby trzymał w rękach broń. Żadna z tych osób, o ile dobrze rozumieliśmy, nie była tym Niemcem. Ale król wiedział, kto nim jest. No i ten komandor, który tak dzielnie krzyczał: „Hura!”

•

Skierowaliśmy się w stronę fiordu. Wrogie baterie na wybrzeżu zaczęły grzmieć, lecz my byliśmy poza ich zasięgiem i wkrótce znów zapadła cisza. Zamiast zwykłej wody na herbatę rozdzielano między nas wódkę. O godzinie dziewiątej ogłoszono ciszę nocną, przyszła pora snu. Zbudzono nas siedem godzin później, był Wielki Czwartek, 5 kwietnia 1849 roku. I znów rozdano nam wódkę zamiast herbaty. Na pokładzie stała już beczka piwa. Mogliśmy pić go tyle, ile nam przyjdzie ochota, więc humory dopisywały, gdy podnieśliśmy kotwicę i zaczęliśmy zbliżać się do fiordu.

Na wyżywienie na okrętach Jego Królewskiej Mości nie mogliśmy narzekać, bo gdy sami je sobie zapewnialiśmy, było więcej niż skromne. Mawiano o nas, że za kilwaterem okrętu z Marstal nigdy nie lecą mewy, i rzeczywiście, u nas nic się nie marnowało. Za to tutaj codziennie oprócz herbaty i piwa dostawaliśmy tyle chleba, ile mogliśmy zjeść, na obiad funt świeżego mięsa albo pół funta słoniny, groch, owsiankę albo zupę, a wieczorem cztery łyty masła i do tego sznaps. Dlatego pokochaliśmy wojnę na długo przedtem, zanim pierwszy raz poczuliśmy zapach prochu.

•

Dotarliśmy do fiordu Eckernförde. Brzegi się przysunęły, a stanowiska dział na łądzie było już widać wyraźnie. Kresten Hansen nachylił się do Ejnara Jensena i kolejny raz zwierzył mu się, że nie przeżyje tej bitwy.

– Wiedziałem to od momentu, kiedy Niemcy kazali oddać kasę celną. Dzisiaj umrę.

– Gównu wiedziałeś! – odparł Ejnar. – Nie miałeś pojęcia, że bitwa odbędzie się w Wielki Czwartek.

– Właśnie, że wiedziałem. Od dawna. Przyszedł już czas, gdy nas zastrzelą!

– Zamknij się! – zirytował się Ejnar. Wysłuchiwał tego marudzenia, odkąd zwinęli koje i zasznurowali buty. Ale Krestena nie dawało się powstrzymać, oddech miał przyspieszony, gdy kładł dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Obiecay, że zabierzesz mój worek marynarski do domu, do Marstal!

– Sam sobie zabierzesz swoje manatki do domu. A teraz już przestań, bo w końcu i mnie napędzisz stracha.

Ejnar rzucił koledze zaniepokojone spojrzenie. Kresten był synem szypra Jochuma Hansena, stróżującego również w kapitanacie portu, bardzo przypominał swojego ojca i piegami pod rudoblond włosami, i wyjątkową małowównością. Nigdy nie widzieliśmy go w tak osobliwym stanie.

– Masz! – Ejnar podał mu kubek piwa. – Weź porządny łyk!

Przyłożył Krestenowi kubek do ust. Tamten prychnął i zakrzusił się piwem. Oczy zrobiły mu się szklane. Ejnar kilka razy uderzył go w plecy. Kresten z trudem łapał powietrze, a piwo leciało mu z dziurek w nosie.

– Ty dorszowy łbie! – zaśmiał się Ejnar. – Co ma wisieć, nie utonie – dodał. – Mało brakowało, żebyś sam się zabił. Nie potrzebowałbyś do tego Niemców.

Ale wzrok Krestena pozostawał równie nieobecny.

– Przyszedł już czas, gdy nas zastrzelą – powtórzył głuchym głosem.

– Mnie nie zastrzelą. – To Mały Clausen wmieszał się do rozmowy. – Wiem, bo i mnie się to śniło. Widzicie, szedłem Møllevejen do miasta. Po obu stronach stali żołnierze, gotowi strzelać. Jakiś głos zawołał: „Idź!” A ja poszedłem. Kule świstały mi koło uszu, ale żadna nie trafiła. Mnie więc dzisiaj nie zastrzelą. Wiem to z całą pewnością.

Spojrzeliliśmy na fiord i okoliczne łąki pokryte wiosenną zielenią. W grupce wypuszczających pączki lip chowała się zagroda z dachami krytymi strzechą. Prowadziła do niej droga obrzeżona wielkimi kamieniami. Przy drodze pasła się krowa. Odwróciła się do nas tyłem i leniwie machała ogonem, nieświadoma wojny nadciągającej morzem.

•

Stanowiska dział na cyplu od strony sterburty były już całkiem blisko. Zobaczyliśmy dym, jeszcze zanim usłyszeliśmy huk przetaczający się po wodzie jak burza, która pojawiła się nagle.

Kresten drgnął.

– Przyszedł na nas czas – powiedział.

Ze sterburty „*Christiana VIII*” od strony rufy buchnął ogień. Spojrzeliśmy na siebie bezradni. Czyżby okręt został trafiony?

Nie znaleźliśmy się na prowadzeniu wojny i nie wiedzieliśmy, co może oznaczać trafienie. Liniowiec milczał.

– Dlaczego oni nie odpowiadają? – zdenerwował się Ejnar.

– Nie zajęli jeszcze właściwej pozycji – stwierdził Clausen z miną znawcy.

Moment później niebieskoszara chmura dymu ze sterburty „*Christiana VIII*” oznajmiła, że odpowiedzieli. Bitwa się rozpoczęła. Na brzegu w górę strzelał ogień i pecyny ziemi, a małe ludziki z zapalek biegały w kółko. Wiał dobry wschodni wiatr i wkrótce przyszła kolej naszej „*Gefion*” na oddanie salwy. Od huku wielkich sześćdziesięciofuntowych dział zatrzęsł się cały okręt, a nam jakby żołądki opadły. Zatkaliśmy uszy rękami, krzycząc ze strachu przemieszanego z radością, sparaliżowani mocą armat.

Wreszcie Niemiec dostał za swoje!

Trwało to przez kilka minut. W końcu bateria na cyplu przestała strzelać. Musieliśmy polegać wyłącznie na naszych oczach. Usłyszeć nie mogliśmy nic. Brzeg przypominał pustynię. Żwir zbił się w wielkie stosy. Czarna lufa dwudziestoczwierofuntowego działa sterczała w górę jak po trzęsieniu ziemi. Nigdzie nie było żadnego ruchu.

Zaczęliśmy się poklepywać po plecach w milczącym tańcu zwycięstwa. Nawet Kresten przez moment jakby zapomniał o swoich ponurych przeczuciach i poddał się ekstazie: wojna to uciecha, odurzenie, które przenika do krwi, jak wódka, ale to odurzenie było większe i czystsze. Kiedy dym się rozwiął, powietrze stało się przejrzyste; nigdy nie widzieliśmy świata z podobną wyrazistością. Na naszych twarzach pojawiły się grymasy jak u nowo narodzonych dzieci. Takielunek, maszty i żagle tworzyły nad nami dach niczym młode listki w bukowym lesie. Dookoła unosiła się poświata, nieznana dotąd naszym oczom.

– Ależ mnie ogarnęło uniesienie! – stwierdził Mały Clausen, kiedy już wróciło nam mowę i słuch. – Niech to diabli! Niech to diabli!

Nie mógł przestać przeklinać.

– Niech mnie wszyscy diabli, jeśli widziałem kiedyś coś podobnego!

Huk dział słyszeliśmy już podczas próby generalnej poprzedniego wieczoru, ale ujrzenie skutków działania armat na własne oczy coś w człowieku zmieniało.

– No tak – stwierdził zamyślony Ejnar. – Te armaty to rzeczywiście coś innego niż kazania pastora Zachariassena. Co ty na to, Kresten?

Kresten miał uduchowiony wyraz twarzy.

– Nie do wiary, że dane mi było to przeżyć! – powiedział cicho.

– Przestałeś myśleć, że cię zastrzelą?

– Teraz już wiem na pewno, że tak będzie. Ale przestałem się bać.



Najwyraźniej nie był to jeszcze chrzest bojowy, gdyż sześćdziesięciofuntowe działa, które obsługiwaliliśmy, były umieszczone na górnym pokładzie od strony bakburty. Wkrótce jednak miała nadejść i nasza kolej, gdy weszliśmy głębiej w fiord, kierując się ku Eckernförde, gdzie po obu stronach czekały kolejne dwie baterie. Ale tego przeciwnika można przecież było mieć za nic. Nie wybiła jeszcze ósma rano, a bitwę w połowie już wygraliśmy. Baliśmy się, że wojna się skończy, zanim na dobre się zaczęła. Poznaliśmy jej smak, a tymczasem Niemiec miał zostać pobity przed śniadaniem.

„*Gefion*” dalej szła ku krańcowi fiordu, północna bateria znajdowała się tuż przed nią. Znalazłszy się w odległości zaledwie dwóch kabli od baterii południowej, przebrasowaliśmy marsle, by wypuścić z nich wiatr. Kliwer ściągnęliśmy, a kotwicę bakburty rzuciliśmy dodatkowo jeszcze z dryfkotwą, abyśmy mogli stać zwróceni burtą, no bo teraz mieliśmy strzelać. „*Chrystian VIII*” zrobił tak samo.

Krew śpiewała nam w żyłach. Byliśmy jak dzieci, które czeka pokaz chińskich fajerwerków. Strach całkiem minął. Pozostało jedynie pełne nadziei podekscytowanie. Jeszcze nie zdążyliśmy przeżyć osiągniętego zwycięstwa, a już czekało nas kolejne.



„*Gefion*” zaczęła się obracać. To dryfkotwa nie trzymała. Prąd był zbyt silny i zносиło nas ku południowej baterii. Patrzyliśmy na „*Chrystiana VIII*”. Wielki liniowiec również zbliżał się do wybrzeża i już znalazł się pod silnym ostrzałem. Rzucili wielką kotwicę, by wstrzymać dryfowanie, i odpowiedzieli gwałtowną salwą, która przebiegła wzdłuż burty okrętu od dziobu po rufę. Z kolejnych furt działowych wykwiłał dym, aż w końcu jedną wielką szybko rosnącą chmurą przesunął się na fiord. Strzelano jednak za wysoko i kule padały na łąki za baterią. Kanonierzy nie mieli czasu odpowiednio ustawić dział, gdy nieoczekiwanie zaczęło ich znosić do brzegu.

Chwilę później przysła kolej na nas. Byliśmy tak blisko lądu, że znaleźliśmy się w zasięgu karabinów. Prąd i wiatr wciąż nami igrały. Ustawiło nas w poprzek fiordu, co oznaczało, że obie nasze burty wychodziły na pustą wodę. Jedyne cztery działa rufowe miały szansę odpowiedzieć na gwałtowny ostrzał baterii.

Pierwsze trafienie sprzątnęło z pokładu rufowego jedenastu ludzi. Kule armatnie nazywamy szarym groszkiem, ale to nie groszek przeleciał nad pokładem w chmurze drzazg, rozrywając nadburcie, stanowiska dział i ludzi. Ejnar widział, jak nadlatuje kula. Obserwował każdy metr jej lotu, gdy sunęła nisko nad pokładem. Zbiła z nóg człowieka, nogi odrzuciło w jedną stronę, a resztę w drugą. Urwała jedną rękę i zmiażdżyła głowę. Przykleiły się do niej odłamki kości, krew i włosy. Kula leciała dalej w stronę Ejnara. Upadł do tyłu i patrzył, jak go mija. Później opowiadał, że w pędzie wyrwała mu sznurowadło z buta, tak była blisko, zanim w końcu wbiła się w rufówkę od strony bakburty.

Dla Ejnara kula była potworem obdarzonym wolną wolą. Pokazała mu, czym jest wojna. To nie bateria brzegowa strzelała w powietrze ani nie uciekający zapalczeni żołnierze. To smok dyszał żarem w jego nagie serce.

Czasu na myślenie nie było. Na pokładzie zapanował zamęt. Jakiś oficer z dzikim wzrokiem wrzeszczał, że Ejnar razem ze sternikiem i jednym żołnierzem ma iść pod maszt. Ten rozkaz nie miał sensu, ale Ejnar go wykonał. Żołnierz natychmiast upadł w kałuży krwi. Wyglądał tak, jakby coś wybuchło mu w środku. W jego piersi pojawił się otwór, z którego buchała krew. Ejnar widział, jak oko eksploduje czerwienią i odrywa się pokrywa czaszki. Ze zdumieniem patrzył, jak odsłonięta jasnorożowa masa mózgowa rozpryskuje się, jakby była owsianką, w którą ktoś uderzył drewnianą kopyścią. Nie wiedział, że coś takiego może stać się z człowiekiem. Potem nadleciała jeszcze jedna kula i zabrała ze sobą porucznika. Ejnarowi robiło się na zmianę zimno i gorąco na widok tego końca świata, a z nosa pociekła mu krew, jednak wyłącznie wskutek szaleńczego podekscytowania.

Jakiś inny oficer z twarzą zalaną krwią zapędził go do działła numer siedem. Wcześniej Ejnar był przy numerze dziesięć, ale ta armata w międzyczasie została trafiona i skrzywiła się na swoim stanowisku. Dookoła leżała płatanina znieruchomiałych ciał. Wypływająca spod nich krew rozlewała się w powoli rosnące jezioro. Strumyki moczu tworzyły delty między nogami zmarłych. Ejnar nie widział, czy jest wśród nich Kresten lub Mały Clausen. Nieco dalej wałała się urwana stopa. Sam Ejnar też się zsiakał, tak jak zabici. Huk armat wywołał trzęsienie ziemi w jego trzewiach i w spodniach Ejnar miał już pełno. Wiedział, że umierający w chwili śmierci opróżniają jelita, lecz nie wyobrażał sobie, że może to również dotyczyć żywych. Wojna miała być próbą męskości. Wiarę w to stracił w momencie, gdy poczuł lepkość na udach. Czuł się na poły martwym, a na poły niemowlęciem, wkrótce jednak się zorientował, że nie jest w tym odosobniony. Na pokładzie unosił się smród jak z przewróconego kibla, i nie pochodził jedynie od zabitych. Większość walczących miała spodnie powalane na tyłku.

Komandor działła numer siedem jeszcze żył. Krwawił z rany nad brwią, gdzie uderzył go kawał drewna. Krzyczał coś do Ejnara, który go jednak nie słyszał, lecz gdy dowódca wskazał na lufę, zrozumiał, że ma załadować działło. Ręce miał za krótkie, więc aby wetknąć kulę w lufę, musiał wyczołgać się do połowy poza furtę działową. Był teraz widoczny dla baterii wroga i stanowił łatwy cel. Myślał jedynie o tym, kiedy wreszcie przyniosą wódkę.

W tym czasie „*Gefion*” udało się tak wymanewrować, że zajęła odpowiednią pozycję na fiordzie. Ustawiliśmy się burtą, ale parowiec „*Gejzer*”, który próbował nam pomóc i chciał wziąć nas na hol, dostał w maszynownię i musiał wycofać się z bitwy. To samo spotkało „*Hekłę*”, której zniszczono ster. Wiatr wiał dokładnie ze wschodu, a strata dwóch parowców, które miały nas holować, oznaczała, że gdyby wszystko poszło źle, nie mielibyśmy odwrotu.

•

Wojenne szczęście zdawało się jednak odwracać. Północną baterię trafiano raz za razem, widzieliśmy, jak zapalczane żołnierzyki na brzegu pędem uciekają. To już była połowa zwycięstwa! Ale armat nie uszkodzono, nadbiegli bowiem nowi żołnierze i ostrzał właściwie trwał bez przerwy. Wydano kolejne porcje wódki. Kwatermistrz obszedł okręt z konwią. Przyjmowaliśmy podsuwane nam kubki z takim nabożeństwem, z jakim przystępowaliśmy do komunii i piliśmy wino z kielicha. W beczkę z piwem na szczęście nic nie trafiło, więc często do niej zaglądaliśmy. Czuliśmy się bardzo zagubieni. Nieprzerwany atak i przypadkowość, z jaką śmierć zbierała swoje żniwo wśród nas na pokładzie, sprawiły, że poczuliśmy się bardzo zmęczeni, chociaż bitwa toczyła się zaledwie od dwóch godzin. Nieustannie ślizgaliśmy się w gęstych kałużach krwi i cały czas mieliśmy przed oczami okaleczone ciała. Jedynie głuchota, która dotknęła nas już dawno na skutek niekończącego się huku armat, sprawiła, że nie słyszeliśmy na szczęście krzyków rannych.

Nie rozglądaliśmy się ze strachu, że spojrzymy w twarz przyjaciela, że pochwycą nas błagające o litość spojrzenia, z których nagle potrafiła bić nienawiść, jak gdyby ranni wyrzucali nam, jeszcze trzymającym się na nogach, nasze szczęście i niczego bardziej nie pragnęli, niż zamienić się z nami na los. Słowa otuchy nie miały sensu, bo i tak przepadłyby wśród grzmotu dział. Można było jedynie położyć nieszczęśnikowi rękę na ramieniu. Ale teraz my, wciąż cali, woleliśmy raczej towarzystwo sobie podobnych i unikaliśmy rannych, którym przecież przydałoby się więcej pociechy. My, żywi, przysięgliśmy się przeciw tym, których już naznaczyła śmierć.

Jeszcze raz załadowaliśmy działa i wycelowaliśmy, tak jak rozkazali komandorzy, ale nie myśleliśmy już ani o zwycięstwie, ani o kłęsce. Walczyliśmy głównie po to, by unikać patrzenia na zmarłych, bo w naszych głowach niczym echo zniszczeń dookoła dźwięczało pytanie: dlaczego oni? Dlaczego nie ja? A my nie chcieliśmy tego słuchać. Pragnęliśmy przeżyć i wydawało nam się, że świat znajduje się na końcu czarnego tunelu z żeliwa. Widoczność ograniczała się do tego, co mogliśmy zobaczyć przez lufę działa.

Wódka odniosła błogosławiony skutek. Byliśmy już teraz pijani i ulegliśmy pijackiej bezmyślności, na której dnie tkwił strach. Płynęliśmy po czarnym morzu i mieliśmy tylko jeden cel: nie patrzeć w dół i nie trafić na dno.

•

Ejnar wczołgiwał się do furty działowej i znów z niej wyczółgiwał. Był piękny wiosenny dzień, a on za każdym razem, gdy wynurzał się na ciepły blask słońca, spodziewał się kuli w piersi. Nieustannie mruczał coś do siebie, ale nie miał pojęcia, jakie słowa wychodzą mu z ust. Wysmarowany sadzą i krwią, wyglądał groźnie. Z nosa wciąż ciekła mu krew, od czasu do czasu ocierał ją z twarzy rękawem. Potem odchyłał głowę w nadziei, że w ten sposób powstrzyma krwotok. Przez cały czas miał w ustach ostry smak, który mijał jedynie wtedy, gdy wódka parzyła przętyk, ale wkrótce znów powracał. Z czasem jego napięcie przeszło w oziępienie, a ruchy stały się mechaniczne. Nie był w gorszej sytuacji niż my, pozostali, nie wyróżniał się nawet śladami krwi i zabrudzonymi spodniami. Żaden z nas nie przypominał już żywego człowieka, tylko upiora z jakiejś dawno rozegranej bitwy, poległego zabranego wreszcie z pola walki, na którym wcześniej tygodniami leżeliśmy zapomniani w lejącym z nieba deszczu.

•

Trzy razy widzieliśmy, jak zmienia się obsada baterii północnej. Wydawało się, że żaden ze strzałów oddanych przez zapalczanych żołnierzyków nie chybił celu, a baterie po obu stronach fiordu koncentrują ogień na nas.

O pierwszej na zgruchotanym takielunku „*Gefion*” zawisła sygnałowa flaga. Była to wiadomość skierowana do załogi „*Chrystiana VIII*”: dłużej już nie wytrzymamy. Wiele z naszych dział pozostawało bez obsługi, a przy tych, z których wciąż strzelano, ludzi było za mało. My, którzy wciąż trzymaliśmy się na nogach, pracowaliśmy wśród stosów ciał zmarłych i rannych, w obłędzie wyciągających do nas ręce i łapiących nas, jak gdyby błagali o dotrzymanie im towarzystwa wśród brei porozrywanych trzewi, krwi i tego, z czego opróżniły się jelita.

Sygnal nadano szyfrem, wróg na brzegach fiordu Eckernförde nie mógł go zatem zrozumieć, ale na „*Chrystianie VIII*” odczytano go właściwie.

•

Na liniowcu wielkich strat w ludziach jeszcze nie było. Wcześniej rano zginął kwatermistrz z Nyborga, później dwóch ludzi zostało rannych, ale okręt uniknął wielkich, poważnych trafień. Komandor Paludan mógł, niestety, stwierdzić również, że intensywny ostrzał baterii na północnym i południowym brzegu fiordu nie spowodował wielkich szkód w siłach wroga. Bitwa trwała już od ponad sześciu godzin, wciąż bez żadnych widoków na zwycięstwo. Odwrót był jednak niemożliwy. Każdy to widział. Parowce „*Hekla*” i „*Gejzer*” zostały wykluczone z gry, a wiatr nam nie sprzyjał. Dlatego komandor Paludan postanowił wciągnąć flagę parlamentarza. Nie było to jeszcze poddanie się, a jedynie przerwa w bitwie.

Łodzią wiosłową zawieziono na brzeg jednego z poruczników z listem; wrócił wkrótce z informacją, że odpowiedzi można spodziewać się za godzinę. Marsle i dolne żagle unieruchomiono, a ludzie dostali chleb i piwo. Na pokładzie wciąż panował porządek i chociaż wszyscy ogłuchli od wybuchów, nie było śladu zniechęcenia. Pojawiał się najwyżej lekki niepokój o dalszy przebieg bitwy. Widzieli, że z „*Gefion*” nie jest dobrze, lecz o krwawym chaosie na naszym pokładzie nie mogli mieć pojęcia.

•

Laurids siedział sam ze swoim chlebem, zajęty zaspokajaniem głodu. Wciąż jeszcze nie wiedział, jaki los go czeka.

W tym czasie z miasta Eckernförde napłynęły tysiące ludzi i zappełniły brzegi po obu stronach. Laurids przyglądał się im, przeżuując chleb, a wkrótce spostrzegł, że to wcale nie ciekawość przygnała ich z miasta. Rozpalili na łąkach wielkie ogniska i wybierali kule armatnie, rozsypane na brzegu. Te kule, odlane z żelaza, wkładali w ogień, podgrzewali tak, aż rozżarzyły się do czerwoności, po czym zanosili je na stanowiska dział. Na drodze z Kilonii pojawiła się artyleria naziemna, działa ciągnięte przez konie; żołnierze z armatami rozstawili się za kamiennymi ogrodzeniami, otaczającymi okoliczne pola.

Laurids pamiętał opowieść swego ojca o wojnie z Anglikami, kiedy to zaatakowano Marstal. Dwie angielskie fregaty rzuciły kotwicę na południe od miasta. Zjawiły się, by uprowadzić miejskie statki, których pół setki cumowało w porcie. Anglicy spuścili na wodę trzy barkasy pełne uzbrojonych żołnierzy, lecz marstalczykom wraz z grenadierami z Drugiej Kompanii Jutlandzkiej udało się ich przegonić. Obrońcy miasta nie wierzyli własnym oczom, gdy ujrzeli, że Anglicy się wycofują.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, o co szło w tamtej wojnie – dodał ojciec. – Anglicy są przecież świetnymi żeglarzami. Nic im nie mogę zarzucić. Ale w tej wojnie chodziło o chleb. Gdyby nam zabrali statki, byłibyśmy skończeni. Dlatego wygraliśmy. Bo co innego nam pozostawało?



Teraz Laurids siedział na „*Chrystianie VIII*” pod flagą parlamentarza i obserwował mrowie ludzi na brzegu. Nie miał pewności, czy lepiej rozumie wojnę niż jego ojciec. Walczyli o duńską flagę przeciwko Niemcom, to chyba powinno mu wystarczyć. I tak myślał jeszcze przed chwilą. Wojna była jak życie marynarza. Można nauczyć się wiele o chmurach, kierunkach wiatru i prądach morskich, ale niezbitą wiedzę o nieobliczalnym morzu nie da się zdobyć nigdy. Chodzi wyłącznie o to, by się do niego dostosować i wrócić żywym do domu. Teraz wrogiem były baterie nabrzeżne nad Eckernförde. Gdy zmusi się je do milczenia, droga do domu będzie otwarta. Tym była dla niego wojna. Za patriotę się nie uważał, ale też nie zajmował przeciwnego stanowiska. Życie przyjmował takim, jakim jest, a horyzont, ku któremu kierował spojrzenie, wyznaczały szczyty masztów, skrzydła wiatraka i wieżyczka na dachu kościoła. Tak wyglądało Marstal, gdy na pokładzie okrętu zbliżaliśmy się do niego od strony morza. Teraz widział zwyczajnych ludzi rzucających się w wir wojny, nie tylko żołnierzy, lecz także mieszkańców miasta Eckernförde, do którego często zawijał z ładunkiem zboża i z którego przypłynął tamtego wieczoru, gdy całą wyspę Ærø postawił na nogach. Mieszkańcy Eckernförde zgromadzili się na brzegu tak jak kiedyś marstalczyki, więc o co chodzi w tej wojnie?



Na brzegu spuszczone na wodę łódź. To porucznik z „*Christiana VIII*” po raz trzeci wracał z negocjacji. Za każdym razem bitwę odraczano. Zawieszenie broni trwało już od dwóch i pół godziny, a dochodziło pół do piętej. Musiało w końcu nastąpić coś decydującego. Marynarze chwycili za wiosła. Nagle armaty na brzegu huknęły bez zapowiedzi. Flaga parlamentarza wciąż powiewała na topie grotmasztu, ale wojna znów się zaczęła.

Działa z „*Christiana VIII*” natychmiast odpowiedziały ogniem, natomiast „*Gefion*”, milcząca jak statek widmo, usiłowała wydostać się poza linię ostrzału. Poddaliśmy się, poświęcając ostatnie resztki sił na posuwanie się naprzód na kotwicy zawoźnej.

Wróg zmienił teraz taktykę. Baterie po obu stronach fiordu zamiast w nas zaczęły celować w „*Christiana VIII*”. Postanowiły podpalić okręt. Wiele kul, które na niego spadały, żarzyło się czerwono po tym, jak pół popołudnia przeleżały w ogniskach na polach. Mieszkańcy Eckernförde potrafili dobrze wykorzystać czas.

Pokład zappełnił się nagle zabitymi i rannymi. Atak nastąpił niespodziewanie. W wielu miejscach pojawiły się płomienie, natychmiast uruchomiono pompy i sikawki. Należało splukać śmierć z pokładu, ale trzaskający ogień już zdążył wgryźć się w drewno.

Komandor Paludan zorientował się teraz, że bitwa jest przegrana. „*Christian VIII*” próbował się wydostać poza linię ostrzału, lecz wiatr wciąż był przeciwny. Liniowcowi udało się jedynie ustawić w poprzek prądu, przez co stracił dogodną pozycję, jaką była pozycja burtą do wroga. Na brzegu Niemcy od razu rozszyfrowali zamiary komandora i zaczęli celować w żagle i maszty. Chcieli udaremnić wrogowi odwrót.

Wielką kotwicę podniesiono za cenę olbrzymich strat. Bomby zapalające lądowały na dziobie, a granaty wybuchaly między nogami nieszczęśników obsługujących kabestan. Cały czas krzykiem domagali się posiłków, tak duże były ofiary. Nowo przybyli nogami odsuwali na bok zabitych. Potem wybuchal kolejny kartacz i z handszpaków zostawały jedynie kikuty, a z dłoni, które je pchały – potrzaskane kości i kawałki palców. Kotwica w końcu podniosła się i zawisła, ociekając wodą, pokryta piaskiem z dna, szlamem i wodorostami. Ceną za to było szczęście dziesięciu rodzin, których bracia, synowie i ojcowie już nigdy nie wrócili do domu.

Wciągnięto kliwer, umocowano szoty marsli. Stawiano żagle. Laurids był żeglarzem, więc wspiał się na maszt wraz z innymi. Wyszedł na reję. Miał stąd widok na pole bitwy.

Słońce opadało nad horyzont, rzucając na fiord miękkie światło. Na czerwieniącym niebie kłębki chmur rozpostarły się na kształt wachlarza. W odległości zaledwie kilkuset metrów od fiordu panował spokój i kiełkująca wiosna, ale na brzegu zaczęło się od uzbrojonych ludzi. Strzelała artyleria ukryta za kamiennymi ogrodzeniami. Z baterii brzegowej ogniste kule śmigaly nieprzerwaną kanonadą, a chmara tysiąca ludzi jednocześnie uniosła strzelby i wypaliła.

Laurids wisiał kiedyś na samym końcu rei podczas śnieżnej burzy na południe od przylądka Horn, uwieszony na rękach zamrzniętych jak kawały lodu. Musiał pełznąć z powrotem do masztu, czepiając się rei rękami i nogami, i wcale się nie bał. Teraz ręce trzęsły mu się tak, że nie był w stanie rozwiązać najprostszego węzła.

Ostrzał rozrywał żagle, maszty i liny. Dookoła Lauridsa marynarze jeden po drugim spadali z rei i want. Trafieni odłamkiem ostrzelanego masztu wielkości oszczepu, kartaczem lub ognistą kulą, obracając się, lecieli w dół między na wpół podniesionymi żaglami i takielunkiem, dopóki nie spadli na odległy pokład lub z pluskiem nie zniknęli w wodzie. Wtedy i Laurids się poddał i po drablinach zszedł na dół.

Na pokładzie narastał chaos. Żadnego z żagli nie dało się już podnieść, skoro fały i brasy zostały zniszczone. Jakaś grupa wciągała bezantopsel i prawie udało im się go podnieść, gdy nagle spadły na nich bloki i halsy, na tyle ciężkie, by zabić człowieka.

•

Każda próba wyprowadzenia „*Chrystiana VIII*” poza linię ognia okazywała się daremna. Niemożliwa była jakakolwiek rozsądna żegluga, a świeży wiatr przeszedł w silny, znosząc potężny okręt ku brzegowi. Liniowiec zatrzymał się na mieliźnie dokładnie na wschód od południowej baterii, która raziła bezbronny okręt coraz silniejszym ogniem. W tej pozycji do użytku nadawały się jedynie działa rufowe, lecz okręt gwałtownie się przechylił i nic już nie pozostało na swoim miejscu.

Nagle rozległ się krzyk:

– Pożar na pokładzie!

To, co wcześniej brali za pożar, było jedynie fałszywym alarmem w porównaniu z tym, co się teraz działo. Jedna z płonących kul przebiła pokład działowy i wpadła do ładowni na sterburcie. Ogień szybko się rozprzestrzenił, przesuając się ku prochowniom. Paliło się również w innych miejscach. Ludzie pracowali przy pompach, ale na próżno. Ogień zwyciężył.

O szóstej ściągnięto banderę i działa na „*Chrystianie VIII*” umilkły. Ale ostrzał liniowca trwał jeszcze przez kwadrans, zanim nienasycony wróg wreszcie zadowolił się ogromem klęski okrętu wojennego, który przed kilkoma zaledwie godzinami wydawał się niezwyciężony.

Na znak kapitulacji przetransportowano komandora Paludana łodzią na brzeg, a wtedy załogę całkiem opuścił duch walki. Przestali zmagać się z ogniem. Stali zgarbieni, brudni i cuchnący. Ich wiedza żeglarska nie była nikomu potrzebna, a z wojną czy klęską nigdy nie mieli do czynienia. Wcześniej wydawało im się, że wojna to zabawa, teraz w głowach huczało im jedynie echo salw armatnich, serca zaś opuściła wszelka energia. Ta ostatnia, haniebna część bitwy trwała półtorej godziny, lecz im wydawało się, że była jak cała wieczność. Nie potrafili sobie wyobrazić, że później może być coś jeszcze. Nie zostało im już nic.

Niektórzy siedzieli na pokładzie wśród morza płomieni, jak gdyby kazania pastorów okazały się prorocze i podróż ku ognioowi piekielnemu już się rozpoczęła. Inni znieruchomiałym wzrokiem wpatrywali się przed siebie. Mechanizm się w nich popsuł. Porucznicy Ulrik, Stjernholm i Corfitz biegali po pokładzie, coś do nich krzycząc. Jeśli chcieli uniknąć katastrofy i nie widzieć, jak duma ojczyzny wylatuje w powietrze, podkreślając zakończenie bitwy, która nie przyniosła im chwały, to byli teraz potrzebni bardziej niż kiedykolwiek. Ale armaty ich ogłuszyły. Reagowali jedynie na potrząsanie i poszturchiwanie.

•

Laurids dał się zagonić do ostatniej prochowni, ale wyrzucanie prochu do morza szło wolno. Było ich zaledwie pięciu, a za każdym razem, gdy zapędzano tu kogoś nowego, zaraz z powrotem wybiegał na górę.

Nagle rozległ się krzyk:

– Wszyscy na pokład!

Od razu wiedzieli, co to oznacza. Popatrzyli po sobie. Zostawiwszy kartacze i beczki z prochem, błyskawicznie popędzili na górę po trapie.

Po pokładzie między nogami przerażonych marynarzy biegały owce, cielaki, świnie, kury i kaczki. Wypuszczono je z zagród. Jakaś świnia z zakrwawionym ryjem grzebała w trzewiach leżących na deskach, od czasu do czasu coś pożerając.

Każdy biegł w swoją stronę, każdy z nagłą sprawą, której nie dało się odłożyć. Jedni szukali ubrań i worków. Inni wspinali się na nadburcie, jak gdyby rozważali, czy nie rzucić się w zimną wodę. Nikt nie myślał o rannych, którzy leżeli im na drodze i wśród powszechnego chaosu musieli pogodzić się z tym, że są bezlitośnie trатовani. Ich krzyków bólu i tak nikt nie słyszał. Większość wciąż była ogłuszona wielogodziną kanonadą.

Laurids zbiegł do lazaretu. Nie mógł uwierzyć, że ranni mają być pozostawieni swemu losowi. Szczelinami między grubymi dębowymi deskami sączył się dym. Laurids zakrył usta ręką i zrobił jeszcze dwa kroki w głąb zadymionego pomieszczenia. Podeszedł do niego pielęgniarz, który usta miał zakryte ścierką.

– Ktoś tu przyjdzie?

Laurids usłyszał te słowa. Odzyskał słuch.

– Musimy wynieść rannych na górę! Tu się podusimy!

– Sprowadź pomoc! – odkrzyknął Laurids.

Na pokładzie nie znalazł żadnego z oficerów, którzy wcześniej walili płazem członków załogi i wymierzali im kopniaki. Ujrzał zbiegowisko przy furcie burtowej i zaraz tam pobiegł.

Ewakuacja trwała już w najlepsze. Dostrzegł kilku poruczników, szablami torujących sobie drogę do trapu. Zastępca dowódcy okrętu, kapitan Krieger, stał z boku i obserwował całą scenę dziwnie nieobecny wzrokiem. Pod pachą dźwiżył portret żony w złoconych ramach. Lornetkę miał na plecach. Gdy Laurids podeszedł bliżej, usłyszał, że kapitan raz po raz powtarza jedno i to samo zdanie, unosząc rękę w geście pozdrowienia, jak gdyby chciał pobłogosławić stojącą przed nim zdesperowaną gromadę.

– Pokazaliście, że jesteście odważni, spełniliście swój obowiązek, wszyscy jesteście moimi braćmi.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Każdy miał spojrzenie wbite w plecy stojącego przed nim, będące główną przeszkodą na drodze do zbawiennej furty burtowej.

Laurids przepchnął się do kapitana i zbliżając do niego twarz, zawołał:

– Ranni, kapitanie Krieger! Ranni!

Kapitan popatrzył na niego, ale jego wzrok pozostał równie nieobecny. Położył rękę na ramieniu Lauridsa, który wyczuł jej drżenie, lecz głos kapitana brzmiał spokojnie, niemal sennie:

– Bracie, gdy zejdziesz na ląd, przyjdź do mnie, a wtedy porozmawiamy jak bracia.

– Trzeba pomóc rannym! – wrzasnął Laurids. – Cały okręt zaraz wyleci w powietrze!

Dłoń kapitana wciąż spoczywała na ramieniu Lauridsa.

– Tak, tak, ranni – powiedział tym samym, niezmiennie spokojnym tonem. – Ranni są moimi braćmi. Kiedy zejdu na ląd, wszyscy będziemy rozmawiać jak bracia.

Słowa przeszły w mamrotanie, potem kapitan wrócił do swojej litanii:

– Pokazaliście, że jesteście odważni, spełniliście swój obowiązek, wszyscy jesteście moimi braćmi.

Laurids zostawił go i skierował się do gromady mężczyzn walczących o drogę do furty. Złapał za ramię jednego, potem drugiego, odwracał ich do siebie i krzyczał, przekazując swoje przesłanie o konieczności przyjścia z pomocą rannym. Pierwszy zareagował ciosem pięścią wymierzonym w jego brodę. Drugi, jakby nic nie rozumiejąc, pokręcił głową, wyrwał się i z nową energią rzucił do walki.

•

Ewakuacja przebiegała teraz szybciej. Od brzegu odbiły łodzie rybackie, spiesząc na ratunek załodze okrętu wojennego, który zaledwie kilka godzin wcześniej raził miejscowych ogniem. Należąca do liniowca szalupa kapitańska kursowała między okrętem a brzegiem. Laurids przechylił się przez reling i zobaczył ogień z hukiem wydobywający się z furt działowych na rufie. Wiedział, że to już nie potrwa długo.

Ze wszystkich otworów buchał dym. Na pokładzie było równie trudno oddychać jak pod nim. Jeszcze raz zbiegł po trapie do lazaretu, ale musiał zrezygnować z przedzierania się przez dym, który był teraz tak gęsty i duszący, że Laurids nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł tam jeszcze pozostać przy życiu.

– Jest tu kto? – zawołał, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Dym dusił w płucach. Laurids zaniósł się kaszlem, aż po policzkach popłynęły mu łzy. Potem znów wrócił na pokład. Zacisnął piekące z bólu oczy, na moment oślepiiony. Poślizgnął się na pokładzie pokrytym ludzkimi odchodami i zmiądzonymi organami. Czując pod ręką coś miękkiego i mokrego, natychmiast poderwał się z powrotem na nogi, z przerażeniem ocierając dłoń o wybrudzone już spodnie. Nie mógł znieść myśli o tym, że jego palce dotknęły krwi i trzewi innego człowieka. Czuł się tak, jakby duszę oblano mu wrzątkiem.

Chwiejąc się, podszedł do relingu, gdzie dym był nie tak gęsty, i usiłował coś zobaczyć. Przez mgłę łez widział, jak szalupa osiada na rewie. Ludzie musieli wejść do wody i na własnych nogach przedostać się na ląd. Na brzegu czekali na nich żołnierze wroga. Szalupę uwolniono, zaraz zawróciła do „*Chrystiana VIII*”. Kilka łodzi rybackich również znajdowało się blisko okrętu, lecz nagle ich wiosła znieruchomiały. Szalupa także zawróciła. Od strony furty burtowej podniósł się krzyk protestu.

Laurids zrobił krok w tył i wszedł w gęste kłęby dymu.

•

„Widziałem Lauridsa!”, zaklinał się zawsze później Ejnar. „Przysięgam, że go widziałem!”

Gdy „*Chrystian VIII*” wyleciał w powietrze, Ejnar stał na brzegu. Z „*Gefion*” został sprowadzony na ląd pod eskortą i wraz z innymi, którzy przeżyli na fregacie, czekał, aż ich zabiorą. Zwycięstwo zaskoczyło żołnierzy niemieckich i początkowo jakby nie bardzo wiedzieli, co mają z nami zrobić. Liczba naszych cały czas się zwiększała, bo ludzie z dwóch pokonanych okrętów wojennych ciągle docierali na brzeg.

Nagle od strony wody rozległ się ostrzegawczy krzyk.

Większość z nas wycieńczona i pozbawiona nadziei siedziała na piasku ze spuszczoneymi głowami, a żołnierze kierowali w nas bagnety, które drżały im w rękach. Teraz podnieśliśmy głowy. To się zaczęło od rufy liniowca, ogień wystrzelił w górę z ogłuszającym hukiem. W miarę jak zapalały się kolejne komory z prochem, spod pokładu wynurzały się nowe słupy płomieni. Maszty i reje przez moment przypominały płonące zapalki. Żagle z łopotem zmieniały się w czarne płaty popiołu. Potężny kadłub z dębowego drewna był jak zabawka w brutalnych rękach niszczycielskiego ognia. Ale nie widzieliśmy jeszcze wszystkiego, bo niesamowity żar zapalił działa skazanego na zagładę okrętu, które w chwili kapitulacji były pełne śmiercionośnej zawartości, i jeszcze raz wyrzuciły ją w stronę baterii nabrzeżnej.

Gdy kule zaczęły lecieć na nas, na pełnym ludzi brzegu poniósł się krzyk przerażenia. Śmierć nie wybierała. Miażdżeni ginęli jeńcy, żołnierze i Holsztynianie. Z nieba spadał deszcz płonących kawałków okrętu, siejących dookoła śmierć i zniszczenie. Chwili zwycięstwa towarzyszył żalospny jęk. To było ostatnie słowo umierającego liniowca, żegnającego się i ze zwycięzcami, i z pokonanymi, mordercza salwa burtowa, nieodróżniająca wroga od przyjaciela. W morzu ognia szalejącego na fiordzie Eckernförde wojna pokazała swoją prawdziwą twarz.



Przez chwilę wydawało się, że wszyscy na brzegu zginęli. Wszędzie leżeli ludzie. Nikt nie stał. Wielu wciskało twarze w piasek, wyciągając ręce, jak gdyby modlili się do piekła rozpętanego na wodzie. Tu i ówdzie płonęły szczątki wraku. W końcu niektóre z leżących postaci zaczęły się podnosić, z lękiem spoglądając na palący się okręt. Z wody dobiegały krzyki. Kilka łodzi, które pospieszyły na ratunek załodze, też zostało trafionych i stały teraz w ogniu. Porucznik Stjernholm wraz z czterema ludźmi płynął jolką do brzegu, wioząc kasę kapitańską. Zaraz po tym, jak „*Chrystian VIII*” wyleciał w powietrze, urwała się rufa łódki. Kasa z pieniędzmi przepadła, ale porucznik zdołał wydostać się na brzeg. Gdy mokry wychodził na piasek, ciągnął za sobą jednego człowieka z jolki. Pozostali utonęli.

Na brzegu panowała akurat cisza, słychać było tylko jęki rannych i trzask płomieni z dopalającego się wraku, gdy nagle po całej plaży i po wodzie poniósł się głośny okrzyk:

– Widziałem Lauridsa! Widziałem Lauridsa!

Podnieśliśmy głowy i rozejrzeliśmy się. Rozpoznaliśmy głos Ejnara, większość z nas pomyślała, że biedaczysko najwidoczniej stracił rozum. Teraz na brzegu rozpętał się chaos. Wszyscy wołali jeden przez drugiego, jak gdyby ogarnięci przerażeniem ludzie musieli się przekonywać, że wciąż żyją, czyniąc jak największy hałas. W tym zamieszaniu moglibyśmy uciec naszym strażnikom, lecz straciliśmy już nadzieję, a wraz z nią wolę działania, i poprzestaliśmy na radości, że wciąż jesteśmy wśród żywych. Na nic więcej nie starczyło nam sił.

Z naszymi strażnikami było niewiele lepiej. Kiedy zabierali nas z brzegu, twarze mieli odrętwiałe, malowało się na nich przerażenie strasznym losem, którego o mały włos sami by nie uniknęli. Bardziej niż zorganizowany transport więźniów przypominało to wspólną ucieczkę z teatru działań wojennych.

Dzień przyniósł Niemcom bezdyskusyjne zwycięstwo, lecz na ich twarzach trudno było znaleźć oznaki triumfu. Przestрах wywołany potwornymi siłami, które uwolniła wojna, zjednoczył zwycięzców i pokonanych.

•

Zaprowadzono nas do kościoła w Eckernförde, w którym na podłodze rozłożono słomę, abyśmy mogli się położyć i dać wytchnienie zmęczonym ciałom. Wszyscy byliśmy przemoczeni i trzęśliśmy się z zimna. Po zachodzie słońca kwietniowy wieczór zrobił się chłodny. Ci spośród nas, którym udało się uratować marynarskie worki, zaczęli zmieniać ubranie, a mającym mniej szczęścia towarzyszom pożyczaliśmy to, czego im brakowało. Wkrótce przyniesiono nam jedzenie. Każdy otrzymał rację piwa, ciemnego chleba i wędzonej słoniny. Żywność zebrano wśród kupców miejskich. Nikt się nie spodziewał, że miasto zapełni się jeńcami wojennymi. Przeciwnie, wszyscy przypuszczali, że zanim minie dzień, duńscy żołnierze będą patrolować ulice Eckernförde. Tymczasem my, zamiast pilnować mieszkańców miasta, staliśmy się ich gośćmi.

W kościele pojawiły się staruszki z delikatniejszym chlebem i wódką dla tych, którzy mieli pieniądze. Była wśród nich *mutter* Ilse z krzywym biodrem. Poglądziła jednego z więźniów po wymazanym sadzą policzku, mrużąc pod nosem:

– Ty nieszczęśniku.

Poznała go, bo wcześniej nieraz odwiedzał miasto. Przecież tak często kupowaliśmy u niej alkohol.

Jeniec złapał ją za rękę.

– Nie nazywaj mnie nieszczęśnikiem. Wszak żyję.

To był Ejnar.

•

Podczas tamtej długiej przerwy po podniesieniu flagi sygnałowej Ejnar obszedł pokład w poszukiwaniu Krestena. Nie znalazł go ani wśród żywych, ani rannych. Wielu zabitych leżało na brzuchu i trzeba ich było odwracać, niektórzy mieli odstrzelone twarze. Wśród zwłok przy dziale numer siedem ciała Krestena nie było.

Do Ejnara podszedł Torvald Bønnelykke, który obsługiwał inną armatę.

– Szukasz Krestena? – spytał.

Pochodził z Marstal i też musiał słyszeć jego ponure przepowiednie.

– Leży tam – powiedział, wskazując palcem. – Ale go nie poznasz, bo kula urwała mu głowę, więc już go nie zobaczymy. Stałem tuż obok, kiedy się to stało.

– A więc miał rację – stwierdził Ejnar. – Cholerna śmierć.

– Śmierć to śmierć – orzekł Bønnelykke. – Nie wiem, czy jakaś jest lepsza niż inna. Rezultat i tak jest ten sam.

– Muszę teraz znaleźć jego worek. Obiecałem mu to. Widziałeś gdzieś Małego Clausena?

Ejnar popatrzył na niego, ale Bønnelykke pokręcił głową. Obeszli pokład, rozpytując się, lecz nikt nie widział małego marstalczyka.

•

Było koło dziesiątej. Wycieńczeni, szykowaliśmy się do snu. Nagle drzwi kościoła się otworzyły i wprowadzono jeszcze jednego jeńca. Był owinięty w wielki koc i bez przerwy kichał, cały się trzęsąc.

– Do diabła, ale mi zimno! – powiedział zachrypniętym głosem i znów się zatrząsł od kolejnego kichnięcia.

– No, no, czy to nie jest Mały Clausen?

Ejnar zerwał się na równe nogi i ruszył w stronę przyjaciela.

– A jednak żyjesz!

– No tak, żyję. Przecież mówiłem. Ale jestem okropnie chory. Coś mi się wydaje, że umrę na przeziębienie.

Znów kichnął.

Ejnar objął go ramieniem i zaprowadził do legowiska ze słomy, które sobie przygotował. Czuł, jak Mały Clausen trzęsie się pod kocem. Na jego białej twarzy wykwitły czerwone plamy świadczące o gorączce.

– Masz suche ubranie?

– Nie, do diabła! Nie zabrałem swojego worka.

– Weź to. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko chodzeniu w ubraniu Krestena.

– A więc on...

– Tak. Jego przecucia się spełniły. Ale co się działo z tobą? Szukaliśmy cię wszędzie i nikt cię nie widział. Myślałem, że ty też...

– Co ma wisieć, nie utonie. Nie tak się mówi? Pan Bóg postanowił, że mam umrzeć na przeziębienie, a nie na wojnie. Widzisz, w środku bitwy opuścili mnie na ławce bosmańskiej za burtę. Miałem załatać łożnianymi płytkami dziury po kulach. Te czorty do mnie strzelały, ale nie trafiły.

– Nie myślałem, że taki z ciebie słabeusz – stwierdził Ejnar. – Rozchorowałeś się od odrobiny świeżego powietrza?

– Te cholery o mnie zapomniały. Cały dzień przesiedziałem z nogami w wodzie. Trochę było zimno.

Mały Clausen znów kichnął.

– Dopiero kiedy zaczęli uciekać z okrętu, udało mi się przywołać łódź. Niech to wszyscy diabli, cały zsiniałem! Kiedy mnie wysadzili na ląd, nie mogłem nawet iść o własnych siłach.

Włożył suche ubranie i zaczął zabijać ręce. Rozejrzał się po kościele.

– Dużo mamy poległych?

– Masz na myśli marstalczyków?

– A kogóż by innego! Innych nie znam.

– Myślę, że straciliśmy siedmiu.

– Był wśród nich Laurids?

Ejnar spuścił głowę. Potem rozłożył ręce, jakby miał wyjawić coś przykrego.

– Nie umiem odpowiedzieć.

– Nie myślisz chyba, że uciekł?

– Nie, na pewno nie uciekł. Widziałem, jak leci do nieba. Ale widziałem też, jak stamtąd wraca.

Mały Clausen popatrzył na niego zdziwiony, potem pokręcił głową.

– Oczy mi mówią, że nie jesteś ranny – powiedział. – Ale uszy podpowiadają, że padło ci na rozum.

Ekspłodował jeszcze jednym kichnięciem i gwałtownie padł na słońę. Ejnar siadł przy nim, patrząc przed siebie zagubionym spojrzaniem. Mały Clausen przez chwilę siedział sztywny i udawał obrażonego. Zerkał na towarzysza z nadzieją, że jego nieprzystępność wywoła jakąś reakcję, ale Ejnar dalej się gapił tym samym nieobecnyń wzrokiem. Może rzeczywiście oszalał?

Mały Clausen nachylił się do przyjaciela i objął go ramieniem.

– Juź dobrze, dobrze – pocieszył go. – Zobaczysz, rozum ci jeszcze wróci. – Umilkł, a potem dodał: – Ale na Lauridsie chyba juź możemy postawić krzyżyk.

Siedzieli obok siebie jeszcze przez jakiś czas. Żaden się nie odzywał. W końcu się położyli i wycieńczeni zapadli w sen.

•

O siódmej rano obudzono nas i nakarmiono chlebem, wędzoną słońiną i grzanym piwem. Godzinę później przeprowadzono spis. Zjawił się jakiś oficer i kazał nam podać nazwiska oraz nazwy miejscowości, z których pochodziliśmy, żeby mogli powiadomić nasze rodziny. Wszyscy cisnęliśmy się do niego. Z zapalem przekazywaliśmy mu informacje, a zamieszanie było tak wielkie, że zapisano zaledwie połowę, gdy o dziesiątej wydano rozkaz wymarszu do twierdzy w Rendsborgu.

Pod kościołem kazali nam stanąć w szeregu. Nastawienie do nas zmieniło się teraz na wrogie. Strażnicy stracili cierpliwość, nie przejmowali się już losem pokonanego wroga. Wielu z nas wciąż jeszcze niedosłyszało po kanonadzie poprzedniego dnia i nie zawsze rozumiało rozkazy, chociaż wykrzykiwano nam je prosto w twarz. Zaczęto więc nas bić i poszturchiwać. Mieszkańcy miasta otaczali nas gęstym pierścieniem i wiwatowali, widząc nasze upokorzenie, a grupa marynarzy z kordami u pasa obrzuciła nas grubiańskimi wyzwiskami, na które ku naszej wielkiej wściekłości nie mogliśmy odpowiedzieć.

•

Droga wiodła wzdłuż brzegu, mieliśmy więc okazję po raz ostatni oglądać scenę naszej niezrozumiałej klęski. Wrak „*Christiana VIII*” jeszcze się dopalał i unosił na wodzie. Ze zwęglonego kadłuba wciąż wydobywał się dym. Na brzegu leżały szczątki masztów i rei, ciśnięte na ląd siłą wybuchu. Niemcy jak mrówki czyszczące szkielet martwego lwa pracownicy ratowali wyrzucone na brzeg rzeczy z wraku, który zaledwie kilkanaście godzin wcześniej był wielką dumą duńskiej floty.

Minęliśmy południową baterię nabrzeżną, z którą przez cały dzień toczyliśmy zacięty bój i która w końcu przypiecętowała nasz los. Nawet ci najmniej uczeni wśród nas nie musieli korzystać z pomocy palców, by obliczyć siłę rażenia wroga. Cztery działa! To wszystko! Dawid walczył z Goliatem, a Goliatem byliśmy my.

•

Po drodze wyprzedzały nas pojazdy. Jechali nimi oficerowie z „*Christiana VIII*” i „*Gefion*”, również ich czekała niewola w Rendsborgu. Salutowaliśmy, gdy nas mijali, a oficerowie odpowiadali. Potem znikali w chmurze pyłu. Usłyszeliśmy turkot jeszcze jednego wozu i czyjś śmiech. Minął nas powóz wiozących holsztyńskich oficerów. Wśród nich górował mężczyzna z gołą głową.

Mały Clausen i Ejnar popatrzyli na siebie.

– Niech mnie piekło pochłonie! – zaklął Mały Clausen. – To był Laurids!

– No przecież mówiłem! Pofrunął do nieba, ale stamtąd wrócił.

Twarz Małego Clausena rozciągnęła się w uśmiechu.

– Wszystko mi jedno, jak to zrobił! Najważniejsze, że nie umarł.

Nieco dalej powóz się zatrzymał. Oficerowie wysiedli i kolejno ściskali Lauridsowi dłoń. Któryś wsunął mu do kieszeni płaszcza butelkę wódki. Inny dał kilka banknotów. Potem unieśli ręce na pożegnanie i odjechali. Laurids przez chwilę stał niepewny, aż wreszcie Mały Clausen go zawołał. Wtedy spojrzął w ich stronę i nieśmiało kiwnął ręką. W końcu pilnujący nas żołnierz złapał go z ramię i wepchnął do kolumny przy dwóch marstalczykach.

– Laurids! – zawołał Mały Clausen. – Myślałem, że nie żyjesz!

– Ja też tak myślałem – odparł Laurids. – Widziałem dupę świętego Piotra.

– Dupę świętego Piotra?

– Tak. Podciągnął szatę i pokazał mi tyłek.

Wyjął z kieszeni butelkę wódki i wlał sobie trochę przezroczystego płynu do ust, potem podał ją Małemu Clausenowi, który pociągnąwszy solidnie, przekazał butelkę wciąż milczącemu Ejnarowi.

– Rozumiecie – powiedział Laurids. – Kiedy święty Piotr pokazuje komuś dupę, to oznacza, że jego czas jeszcze nie nadszedł.

– I dlatego postanowiłeś wrócić na ziemię?

To Ejnar wreszcie się odezwał. Jego twarz rozjaśniła się, gdy wszystko pojał, a w głosie brzmiała ulga, jak gdyby właśnie uniewinniono go od zarzutów.

– Ja to widziałem – powiedział. – Stałeś na pokładzie, kiedy „*Chrystian VIII*” wyleciał w powietrze. Wyrzuciło cię wysoko, co najmniej dziesięć metrów w górę, potem spadłeś, lądując na nogach. Mały Clausen mówi, że odebrało mi rozum. Ale ja to widziałem. Tak było. Nie mam racji?

– Było gorąco jak w piekle – opowiadał Laurids. – Ale wyżej trochę chłodniej. Zobaczyłem dupę świętego Piotra i zrozumiałem, że nie umrę.

– Ale jak się dostałeś na ląd? – dopytywał się Mały Clausen.

– Przeszedłem.

– Przeszedłeś? Przecież, do pioruna, nie umiesz chodzić po wodzie!

– Szedłem po dnie. – Laurids zatrzymał się i pokazał na swoje buty. Idący za nim w szeregu powpadali na niego i w kolumnie zapanował chaos. Natychmiast podbiegł żołnierz i szturchnął Lauridsa kolbą karabinu.

Laurids odwrócił się spokojnie.

– Zaraz, zaraz – powiedział z pijacką wyrozumiałością i zamachał uspokajająco. Potem znów zrównał się z innymi i złapał rytm marszu.

Żołnierz dalej szedł obok niego.

– Nie chciałem cię urazić – odezwał się w dialekcie z południowej Jutlandii.

– Wybaczam.

– Słyszałem o tobie – ciągnął żołnierz. – To nie ty wyleciałeś w powietrze z „*Chrystianem VIII*” i wylądowałeś na nogach?

– Owszem, to ja – odparł Laurids, z godnością podnosząc głowę. – Wylądowałem na nogach z pomocą boską i marynarskich butów.

– Butów?

Teraz to Ejnar się zaciekawił.

– Tak – powiedział Laurids tonem takim, jakby tłumaczył coś dziecku. – To dzięki tym butom wylądowałem na nogach. Próbowaleś kiedyś włożyć moje buty? Ważą tyle, co sam diabeł. Ktoś, kto ma je na nogach, nie wytrzyma długo w niebie.

– To jak zmartwychwstanie Jezusa – stwierdził żołnierz.

– Bzdury! – orzekł Laurids surowo. – Jezus nie chodził w marynarskich butach.

– Nie oglądał też zadka świętego Piotra – dodał Mały Clausen.

– No właśnie – zgodził się Laurids i znów puścił butelkę w koło.

Poczęstowany został również żołnierz, który obejrzawszy się szybko przez ramię, pociągnął łyk.



Szliśmy cały dzień i wesołość prędko nam minęła. Do Rendsborga było czterdzieści kilometrów. Wieśniacy wychodzili z chat i stawali przy drodze, gapiąc się na nas. Nie odpowiadaliśmy im spojrzeniami. Cała nasza waleczność zniknęła. Większość ze wzrokiem wbitym w kurz na drodze szła naprzód niczym lunatycy. Wszystkich nas ogarnęło ciężkie jak ołów zmęczenie, ale nie potrafilibyśmy określić, czy rezygnacja płynęła z obolałych stóp, czy z głowy. Zobojętniali, wpadaliśmy na siebie jak pijani, chociaż jedynie Laurids cieszył się przywilejem alkoholowego odurzenia. On za to pozostawał niewzruszony, maszerował, nucąc, lecz z jego ust nie płynęły nabożne pieśni, choć przecież złożył wizytę Bogu. W końcu jednak i on ucichł, szedł dalej zapatrzony w siebie, jak gdyby w marszu chciał przetrzeźwieć.

Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się przy jakiejś sadzawce, żeby się napić. Strażnicy z bagnetami w pogotowiu mieli na nas oko, gdy napełnialiśmy kapelusze wodą i puszczaaliśmy je w koło. Potem ruszaliśmy dalej. W połowie drogi strażnicy się zmienili. Ejnar i Mały Clausen pożegnali się z swoim żołnierzem. Laurids przebywał we własnym świecie. Żołnierz spojrzał na niego po raz ostatni i zamienił kilka słów z Prusakiem, który zajął jego miejsce. Tamten, kręcąc głową, z niedowierzaniem popatrzył na Lauridsa i do końca marszu nie przestawał na niego zerkać.



Pod wieczór, gdy zapadł już zmrok, dotarliśmy do Rendsborga. Wieść o bitwie nas wyprzedziła. Droga i wały pełne były ludzi przybyłych oglądać jeńców. Minęliśmy bramę miasta, przeszliśmy przez most, wewnętrzną bramę i znaleźliśmy się w wąskich uliczkach śródmieścia. Tu zgromadziły się tysiące ludzi, a żołnierze musieli używać karabinów, by utrzymać ciekawskich z daleka i umożliwić nam przejście. W tłumie zauważyliśmy wiele pięknych dziewcząt i przykre było, że spoglądają na nas z pogardą.

Zakwaterowano nas w wielkim starym kościele, w którym na podłodze rozsypano tyle słomy, że przypominał bardziej oborę niż dom Boży. Nie jedliśmy nic przez cały dzień, ale teraz dano nam worki z sucharami i grzane piwo. Suchary w ustach zmieniały się w pył, miały pewnie kilka lat. Ale piwo dobrze nam zrobiło i wkrótce leżeliśmy pokotem na podłodze kościoła, pogrążeni w głębokim śnie.

•

Następnego dnia, w Wielką Sobotę, chodziliśmy po kościele, oglądaliśmy pomieszczenia, sprawdzaliśmy, gdzie się da wygodnie spać, odnajdywaliśmy jednych znajomych i potwierdzaliśmy stratę innych. Znaleźli się tu ludzie zarówno z „*Gefion*”, jak i z „*Chrystiana VIII*”. W kościele było sporo pomieszczeń wyposażonych w krzesła i zasłonki w oknach. Zostały natychmiast zajęte, a posiadanie takiego lokum uważano za przywilej. My, z Marstal, zaanektowaliśmy pomieszczenie pod chórem. Również inni trzymali się w grupach razem ze swoimi ziomkami. Ci z z *Ærøskøbing* tam, Lollandczycy tu, a ci z Fionii i Langeland gdzie indziej. W wypełnionym słomą kościele stworzyliśmy całą mapę kraju.

•

Dyscypliny nie znaliśmy. Za krótko służyliśmy w marynarce, by nauczyć się cenić rozkaz inny niż ten, który zawsze dźwięczał nam w głowie. Okręty wyrwano nam spod stóp ogniem, oddzielono nas od oficerów. Słuchaliśmy tylko jednego rozkazu, tego, który płynął z brzucha. Gdy rano drzwi kościoła się otwierały i rozdawano chleb, robiło się tłoczno przy wyjściu, ponieważ każdy myślał wyłącznie o własnym głodzie. W końcu żołnierze zaczęli rzucać bochenki ponad nasze głowy, a my walczyliśmy o nie jak dzikie zwierzęta.

Ejnarowi wyrwano chleb z rąk. Małego Clausena ktoś kopnął w łydkę. Tylko Laurids trzymał się z dala od tego wszystkiego, jak gdyby nie odczuwał ani głodu, ani pragnienia. To były haniebne chwile, dyscyplina, którą ćwiczyliśmy w marynarce, przestała obowiązywać. Mieliśmy stworzyć nowe reguły gry, w której bójka będzie na porządku dziennym.

Następny posiłek rozdzielano tak, jak gdyby trwały manewry wojskowe. Jakiś major i sierżant krzykiem wydawali nam rozkazy, sprowadzili też bosmanów z „*Gefion*” i „*Chrystiana VIII*”. Podzielono nas na takie same ósmioosobowe zastępy, jakie znaleźliśmy z okrętów, żeby karmienie nas mogło przebiegać w spokoju. Każdemu wydano łyżkę i blaszaną miskę, a potem kazano stanąć przy ołtarzu. Było to coś w rodzaju komunii, choć uznanie tego, co dostaliśmy do misek, za jedzenie wymagało zaiste wielkiej wyobraźni. Dali nam pozbawioną smaku owsiankę z suszonymi śliwkami, której żaden z nas by nie zjadł, gdyby nie wyższa konieczność. Po posiłku ułożyliśmy się do snu na słomie. Otępienie, które ogarnęło nas dzień po klęsce, wciąż w nas było.

•

Późnym popołudniem otworzyły się drzwi kościoła i do środka weszła grupa oficerów wraz z kilkoma elegancko ubranymi mężczyznami, najwyraźniej prominentnymi mieszkańcami Rendsborga. Towarzyszył im ów pruski żołnierz, który na ostatnim odcinku przemarszu podejrzliwie obserwował Lauridsa. To on obszedł kościół, wyraźnie za czymś się rozglądając, a panowie w tym czasie czekali przy wejściu. Wreszcie żołnierz dostrzegł Lauridsa, bo właśnie jego szukał. Kazał mu wstać ze słomy i zaprowadził do towarzystwa przy drzwiach. Panowie rozpoczęli rozmowę z Lauridsem. Widać było, że o coś go wypytują, a po pewnym czasie powtórzyło się to samo co wówczas, gdy w drodze do Rendsborga rozstawał się z oficerami. Wsunęli mu do ręki kilka banknotów i pożegnali go, okazując największą uprzejmość. Jeden z eleganckich obywateli ceremonialnie uchylił nawet kapelusza.

Laurids, ten, który doświadczył wniebowstąpienia, zyskał sławę.

Jego historia zaczęła krążyć również wśród jeńców przetrzymywanych w kościele. Paru widziało, jak Laurids wylatuje w powietrze po eksplozji „*Chrystiana VIII*” i jak za sprawą cudu pojawia się z powrotem na płonącym pokładzie po opadnięciu słupa ognia. Sądziło jednak, że to wizja, objawienie podsycane bitwą i nerwowym podnieceniem w obliczu utraty życia. Z nikim o tym wcześniej nie rozmawiali, lecz teraz zaświadczało, że tak właśnie było, i wkrótce wokół Lauridsa zebrał się tłum.

Chcieliśmy wiedzieć, dlaczego nie miał osmalonego ubrania ani włosów.

– Buty mam osmalone – powiedział, wyciągając nogę, żebyśmy wszyscy mogli to zobaczyć.

– A stopy?

– Śmierdzą – odparł Laurids.

Ejnar nie mógł oderwać od niego oczu. Wpatrywał się tak, jak się patrzy na obcego, i właśnie kimś takim stał się dla niego Laurids. Odnosił się do niego ze skrępowanym szacunkiem i trudno mu było być dawnym Ejnarem, gdy Laurids znajdował się w pobliżu.

Mały Clausen zaakceptował to, co się stało, albo raczej teraz, gdy Laurids stał przed nim jak najbardziej żywy, pogodził się z wiarą innych w jego wniebowstąpienie. Początkowo powątpiewał, w końcu jednak dołączył do wierzących, lecz właściwie dla żartu, jakby uczestniczył we wspólnym psikusie. Laurids w jego oczach zawsze był wielkim żartownisiem, a teraz udało mu się przekonać nawet Niemców, że był w niebie i stamtąd wrócił. Mały Clausen miał ogromny szacunek dla tego osiągnięcia. Ten Laurids to, doprawdy, cholernie fajny chłop!

•

Gdy Laurids opowiadał swoją historię, kościół wypełnił się handlującymi. Kobietom pozwolono przychodzić co dzień z koszami, z których sprzedawały kawę, ciastka, chleb na zakwasie, jajka, masło, ser, śledzie i papier. Ludzi z „*Gefion*” stać było na zakupy. Większość z nas miała swoje worki marynarskie i pieniądze, a poza tym oficerowie jeszcze na okręcie otworzyli kasę kapitańską i wszystkim członkom załogi rozdali po dwa talary, resztę zaś wrzucili do morza, żeby nie wpadły w łapy Niemców.

My, z Marstal, należeliśmy do uprzywilejowanych. Wszyscy byliśmy na pokładzie „*Gefion*”, z wyjątkiem Lauridsa. On z „*Chrystiana VIII*” nie zabrał nic oprócz ubrania, które miał na sobie, i sławy człowieka, który był w niebie. To ostatnie zapewniało mu jednak niezłe profity. Miał kieszenie pełne pięciomarkówek, które dostawał od zaciekawionych Niemców. Kiedy zobaczył, że my już się nasyciliśmy, kupił dodatkowy prowiant i rozdzielił go wśród członków załogi „*Chrystiana VIII*”, którzy tak jak on opuścili okręt bez niczego. Z wdzięcznością przyjęli ten dar, a Lauridsowi ten postępek przydał jeszcze większej sławy.

•

Gdy się obudziliśmy, była Niedziela Wielkanocna. Całe święta mieliśmy spędzić zamknięci w kościele, lecz żaden pastor się nie pojawił. Leżeliśmy na plecach na słomie, wpatrzeni w ostre łuki sklepienia nad naszymi głowami. Ściany pokrywały ciemne malowidła w ciężkich złożonych ramach, wszędzie stały rzeźbione w drewnie figury, a z sięgającego na wysokość czubka masztu sufitu zwisały żyrandole. To było coś zupełnie innego niż kościoł w Marstal z jego pomalowanymi na niebiesko rzędami ławek i nagimi, bielonymi wapnem ścianami. Ale nasze umysły nie były w pobożnym nastroju. Leżeliśmy na słomie i chodziliśmy po słomie, a tak żyją zwierzęta na wsi i dlatego czuliśmy się jak świnie w chlewie, którego niebotyczne sklepienia nie nastrajały nas uroczyście i świątecznie, tylko drwiły z nas i upokarzały. Byliśmy ludźmi klęski, odebrano nam nie tylko wolę działania i wolność, lecz również, co było znacznie gorsze, naszą dumę. Nie walczyliśmy z honorem. Wiedzieliśmy, że później z pewnością będzie się nam wmawiać co innego i być może któregoś dnia sami w to uwierzemy, lecz teraz zbyt świeże wspomnienie owych strasznych godzin na fiordzie Eckernförde mówiło nam, jak było naprawdę. Walczyliśmy zdezorientowani, przerażeni, ba, pijani, po to, by stłumić strach. Ci spośród nas, którzy byli sprawnymi marynarzami, nie byli wyćwiczonymi żołnierzami, ci natomiast, którzy znali się na wojaczce, nie mieli pojęcia o żegludze.

Kapitan Krieger wyleciał w powietrze razem z portretem swojej żony, niech Bóg zmiłuje się nad duszą tego zagubionego biedaka. Ale komandor Paludan jako pierwszy zszedł do łodzi, by bezpiecznie zawieziono go na ląd. Czy był to postępek godny komandora, budzący szacunek w prawdziwym marynarzu? Siedzieliśmy na stertach słomy i wpatrywaliśmy się w wysokie sklepienie, które zdawało się drwić z nas, żalonych istot, jakimi się okazaliśmy.

•

W wielu miejscach kościoła stały konwie z wódką. Owego mocnego napitku nie sprzedawały handlarki. Dostawaliśmy go za darmo i mogliśmy pić do woli. Niemiecki lekarz wojskowy już pierwszego dnia naszej niewoli oświadczył, że wódka dobrze robi na zdrowie, chodziliśmy więc teraz do konwi jak świnie do koryta. Tak, byliśmy świniami, które śpią i wylegują się na słomie, świniami, które zaledwie przed chwilą uciekły spod rzeźnickiego noża; zachowaliśmy więc życie, lecz przestaliśmy być ludźmi.

Okropnie też śmierdzieliśmy. Podczas bitwy zapaskudziliśmy sobie ubrania. Cuchnęliśmy skutkami niekontrolowanych wypróżnień i strachem. Czyż nie jest tajemnicą mężczyzn na wojnie, że robią w spodnie jak wystraszone dzieci? Nie było wśród nas takiego, który nie bałby się śmierci na morzu, lecz żaden nie narobił w portki tylko dlatego, że sztorm łamał maszty i niszczył takielunek albo fala zmiażdżyła nadburcie i przewaliła się przez pokład.

Na tym polegała różnica. Morze szanowało naszą męskość. Nie szanowały jej armaty.



– Ty, wniebowzięty! – krzyknęliśmy do Lauridsa, wskazując na ambonę.
– Mamy pierwszy dzień świąt Wielkanocy, wygłoś kazanie! Opowiedz nam o dupie świętego Piotra!

Potyając się, Laurids wszedł na ambonę. Utracił swoją chwałę i znów był pijany, tak jak my wszyscy. Ambona nie przypominała czubka masztu, lecz mimo to zakręciło mu się w głowie, gdy na niej stanął. To przez wódkę. Dwukrotnie jego okręt zatonał. Za drugim razem Laurids całą noc przestał na płaskiej skale sterczącej z morza koło Mandal, gdzie okręt poszedł na dno. Czuł wtedy żal i przerażenie. Śmierć była tak blisko. Woda zalewała mu stopy, gdy czekał na wybawienie, które nadeszło dopiero o świcie, kiedy z łodzi pilota rzucono mu linę. Nie czuł wówczas wstydu, bo to żaden wstyd dać się zwyciężyć morzu.

Nie był złym marynarzem. Wiedział to dobrze.

Prąd, wiatr i ciemność były nierównymi przeciwnikami, ale podczas bitwy na wodach fiordu nie miało znaczenia, czy jest dobrym, czy złym marynarzem. Pokonanie przez słabszego wroga uczyniło z niego człowieka bez honoru, do cna zhańbionego przez zachowanie komandora Paludana.

Stał na ambonie i nie miał nic do powiedzenia. Zapieкло go w przelyku, wychylił się i wymiotował.

Przyjęto to owacjami i oklaskami.

Takie kazanie doceniliśmy.

•

Przez cały dzień Laurids milczał. Znów przyszli oficerowie i nieznajomi obywatele miasta, którzy chcieli się z nim zobaczyć i posłuchać o jego wniebowstąpieniu, lecz on został na swojej słomie, odwracając się do nich plecami jak niedźwiedź w gawrze. Ofiarowali mu pieniądze, ale jego nieprzystępności nic nie było w stanie zmienić, więc przybysze musieli w końcu odejść. W następnych dniach sława Lauridsa przycichła. Sam ją zabił swoją niechęcią, chociaż takie pokazywanie się, ściskanie dłoni i opowiadanie o przeżyciach w zaświatach mogło się okazać całkiem dochodowym interesem. Ale Laurids był w złym humorze i w szponach tego, co jak najbardziej ziemskie.

Leżał na słomie albo przechadzał się z rękami założonymi na piersi i zmarszczonymi brwiami.

„On myśli”, mówił Ejnar, pełen szacunku.

Ejnar pozostał jedynym z członków grupy wyznawców, która gdyby tylko Laurids tego zechciał, mogła stanowić całą parafię.

•

Reszcie humor się poprawiał. Połączyliśmy się w nieduże grupki i z kątów kościoła dochodziły śpiewy i dźwięki instrumentów. Początkowo podzieliliśmy się według rejonów, z których pochodziliśmy, wysp lub miast. Innych traktowaliśmy prawie jak wrogów. Ale muzyka znów nas połączyła. Oto bowiem zasiadał wyspiarz z Jutlandczykiem, a gdzie indziej Lollandczyk z Zelandczykiem. Jeśli tylko ich głosy do siebie pasowały, to byli w stanie ścierpieć swoje dialekty. Siły naszym głosom wciąż jednak nadawała konew z gorzałką.



Po kilku dniach do Małego Clausena przyszedł list z domu. To jego matka pisała o brzemennym w skutki Wielkim Czwartku, w który odbyła się bitwa. Ejnar i Laurids przysiedli obok na słomie, przyszedł też Torvald Bønnelykke. Byliśmy ciekawi wieści z domu, a Mały Clausen czytał na głos, zacinając się i robiąc długie przerwy.

Już od samego rana słychać było w Marstal kanonadę, jakby bitwa toczyła się tuż za falochronem, a nie po drugiej stronie Bałtyku. Szczególnie podczas kazania pastora Zachariassena huk był tak mocny, że ziemia drżała im pod stopami. Pastor ze wzruszenia aż się popłakał.

Około południa zapadła cisza, ale nikt nie mógł usiedzieć w spokoju. Zamiast iść do domu na obiad, mieszkańcy miasta krążyli po ulicach, dyskutując o przebiegu bitwy. Niektórzy znawcy sztuki wojennej, tacy jak stolarz Petersen, stary Jeppe, ba, nawet *madame* Weber, wszyscy weterani tamtej nocy wielkiej mobilizacji, podczas której sądziliśmy, że Niemiec już nadciąga, z wielką stanowczością twierdzili, iż niemożliwe, by Duńczykom się nie wiodło. Bateria nadbrzeżna nigdy nie zdoła pokonać liniowca. Niemcy dostali za swoje, a odgłosy, w które wsłuchiwali się przez cały dzień, były słodką muzyką zwycięstwa.

Pod wieczór rozległ się huk tak potężny, że klify koło Voderup się obsunęły. Nikt w Marstal przez całą noc nie zmrzył oka. Wszystkich dręczył niepokój o wynik bitwy. Kiedy w piątek, który przetrwać było równie ciężko jak Zbawicielowi na krzyżu, zaczęły docierać do nich relacje, potwierdziły się ich najgorsze przypuszczenia.

– „Szalałam z rozpaczy, chociaż powinnam zawierzyć Panu. Przez całą noc błagałam, by trzymał nad Tobą dłoń, a On wysłuchał moich modlitw, chociaż na modły innych nie zważał. Matka Krestena chodzi zapłakana, wyrzucając sobie, że go nie zatrzymała. Odpowiadam jej, że Kresten przewidział własną śmierć i że nikt nie ucieknie od swego losu, lecz ona mówi, że Kresten był głupi, a pierwszym obowiązkiem matki jest chronić syna przed jego własną głupotą. A potem znów zaczyna płakać”.

•

Mały Clausen czytał bez emocji. Wysiłek, jakim było odcyfrowywanie liter, zaprzętał go całkowicie i brakowało mu już siły na zrozumienie sensu słów, które sam wypowiadał na głos.

– O czym ona pisze? – spytał nagle.

Popatrzyli na niego zdumieni.

– Przecież to ty czytasz – przypomniał Ejnar.

Mały Clausen spojrzał na nich bezradnie, nie będąc w stanie wyjaśnić, o co mu chodzi.

– No, pisze, że przegraliśmy – powiedział Laurids. – Ale tego, do cholery, nie musi nam mówić. I jeszcze, że matka Krestena zwiariowała z żalu. I że twoja matka się za ciebie modliła.

– Matka się za mnie modliła? – Mały Clausen spuścił wzrok i z trudem odnalazł fragment, w którym matka opisywała swoją bezsenność. Przeczytał go raz jeszcze, bezgłośnie poruszając wargami.

– Czytaj dalej! – zniecierpliwił się Ejnar. – Co tam jeszcze jest?

Do Marstal przyszedł królewski rozkaz, by wszystkie duże statki i łodzie niezwłocznie dołączyły do floty. Miały być wykorzystane do transportu oddziałów przez Wielki Bełt. Chociaż wszyscy obecni w domach marynarze zgromadzili się w klasie szkolnej i wysłuchali rozkazu, żaden nie zgłosił się dobrowolnie. Zarekwirowano więc osiemnaście jednostek, lecz gdy nadszedł dzień wyjścia w morze, nie można było ich nigdzie odnaleźć. Pastor Zachariassen z ambony łajał marstalczyków za brak ofiarności, wiele osób zaczęło więc mówić o potrzebie sprowadzenia do miasta nowego duchownego.

Panował niepokój, była wojna i ciężkie czasy, lecz jeśli Pan Bóg osłoni swą wszechmocną dłońią Małego Clausena i pozostałych marstalczyków, to pewnego dnia przyjdzie kres tego zła i wszystko znów będzie takie jak kiedyś. Na koniec matka Clausena zanosila swe modlitwy i przesyłała najserdeczniejsze myśli synowi przebywającemu w niemieckiej niewoli, wyrażając nadzieję, że ma co jeść i może się czysto ubierać.

– Brak ofiarności! – prychnął Laurids, gdy Mały Clausen skończył czytać. – Co za głupek z tego pastora! Siedmiu poległych, a reszta w niewoli! Życie oddajemy chętnie, ale jemu, temu czortowi, to nie wystarczy. Chce jeszcze naszych statków! Nigdy ich nie dostanie. Przenigdy!

Pozostali zgodnie pokiwali głowami.

•

Każdy ranek rozpoczynaliśmy od grzanego piwa. Jednego dnia dostawaliśmy wstrętą owsiankę z suszonymi śliwkami, drugiego groch z mięsem. Taki ustalił się rytm, do którego musiały się dostosować nasze żołądki. Gorzej jednak mieliśmy na morzu, pływając z naszymi skąpymi szyprami, i skarżyliśmy się głównie dla zasady. Odebrano nam noże, musieliśmy więc rwać chleb albo odgryzać kawały zębami jak konie. Godzinę przed południem i godzinę po południu wolno nam było spacerować po cmentarzu i palić tytoń. Wokół nas stali wartownicy z karabinami z ostrą amunicją. Mogliśmy więc przenosić wzrok z nagrobków na bagnety i z powrotem oraz filozofować nad sensem życia, gdyby przyszła nam na to ochota. To była jedyna rozrywka, jaką mieliśmy w tej niewoli.

◆

•

Po dwóch tygodniach obudzono nas o piątej rano i kazano wyjść na cmentarz. Tu ustawiono nas w szeregi, w sumie sześciuset mężczyzn. Byli wśród nas również kadeci, którzy do tej pory przebywali w maneuze. Nasi strażnicy rozumieli, że potrzeba nam dyscypliny, a któż lepiej mógł wbić nam ją do głów niż nasi oficerowie?

Z marynarskimi workami na plecach i miskami do jedzenia pod pachą wymaszerowaliśmy z Rendsborga. Teraz skierowano nas do Glückstadt. Przybyliśmy tam pociągiem parowym i tak jak w Rendsborgu powitały nas tysiące ciekawskich. Bitewny brud już z nas zmyto, dostaliśmy też czyste ubrania i prawie przypominaliśmy zwykłych ludzi. To nie nasz groźny wygląd, ale raczej nasza liczba zrobiła wrażenie na mieszkańcach Glückstadt.

Pomaszerowaliśmy do portu, gdzie na nasze przybycie czekał już spichlerz zbożowy. Znajdowały się tam dwa strychy, jeden nad drugim, a na każdym osobne pomieszczenie. W tych pokojach zamieszkali kadeci. Załoga spała pokotem na podłodze na dużej otwartej przestrzeni. W każdym rzędzie leżało półtorej setki ludzi. Wezłowiec była ściana magazynu spichlerza, a zbite deski – nogami łóżka. Tak jak poprzednio leżeliśmy na słomie. Ponieważ jednak znajdowały się tu również stoły i ławy, uznaliśmy to w sumie za zmianę na lepsze. Do naszej dyspozycji pozostawał również dziedziniec. Po drugiej stronie placu stał jeszcze jeden magazyn na zboże, a między obydwoma spichlerzami po obu stronach podwórza biegł płot, byliśmy więc ogrodzeni ze wszystkich stron.

•

Na placyku między budynkami znajdowała się niewielka sadzawka. Całe to miejsce mieliśmy tylko dla siebie. Płoty były lepsze niż bagnety, a woda bardziej pobudzała naszą fantazję niż nagrobki w Rendsborgu, więc również tutaj umieliśmy znaleźć powody do radości. Rzeźbiliśmy z drewna stateczki, do masztów z gałązek przywiązywaliśmy gałganki i na lśniącej powierzchni stawu toczyliśmy bitwy morskie. Połowa okrętów pływała pod duńską banderą. Druga połowa wydawała się bezpieczna, bo nie miała żadnej flagi. To byli niemieccy buntownicy. Nie chcieliśmy im oddać tego zaszczytu, jakim byłoby wyposażenie ich we własną banderę. Toczyliśmy bitwy morskie i ostrzeliwaliśmy niemiecką flotę kamieniami. Duńczycy wygrywali za każdym razem, a duńska flota ponosiła straty jedynie wtedy, gdy z rzadka kamień trafił przypadkowo.

Gromadziliśmy się tłumnie wokół sadzawki, głośno wiwatując za każdym razem, gdy kamień trafiał w cel i statek zabawka wywracał się do góry dnem. To były chwile rehabilitacji.

Ale Laurids odwracał się plecami, pełen pogardy.

– Tak, tak, do tego się nadajemy. Gdybyśmy tylko potrafili tak wygrywać wtedy, gdy rzeczywiście ma to znaczenie.

Większość czasu Laurids spędzał na słomianym posłaniu, skąd gapił się w okno z widokiem na Łabę. Widział statki wchodzące do Hamburga i wychodzące w morze, wzrokiem śledził je, dopóki były widoczne, a sercem jeszcze dłużej. Tęsknił za morzem.

Zmienił się po swoim wniebowstąpieniu.

•

W ciągu dnia siedzieliśmy na słońcu. Na dziedzińcu stały ławki. Niektórzy grali w karty. Pewien umiejący pisać marynarz z Ærøskøbing, Hans Christian Svinding, pisał innym listy do domów. Zawsze widywaliśmy go z kajetem w rękę i uważnym spojrzeniem. Bez ustanku wszystko notował. Większość z nas beczynn timer gapiała się przed siebie, już na rauszu. Wieczorami były śpiewy, a od tańców aż uginały się grube deski. Najbardziej hałasowali kadeci. Nie pospolitowali się z załogą, bawili się za zamkniętymi drzwiami swoich pokoi, ale pijackimi krzykami zagłuszali nawet muzykę. Byli jeszcze dziećmi, nie umieli pić wódki. Żaden nie miał więcej niż szesnaście lat, większość zaledwie trzynaście albo czternaście, a najmłodszy dwanaście. Wielu z nas miało synów w ich wieku albo starszych. Mimo to kadeci byli naszymi zwierzchnikami, chociaż nic nie umieli ani nie wiedzieli. Odnosiliśmy wrażenie, że prężymy się na bacność przed chłopcami pokładowymi albo jungami.

Nie było końca spekulacjom na temat dezercji komandora Paludana w chwili zagrożenia. Dlaczego nasz komandor zszedł do szalupy przed wszystkimi? Pewien żołnierz ze Szlezwiku przyniósł plotkę o tym, jakie było tłumaczenie komandora: na pokład „*Chrystiana VIII*” wszedł niemiecki oficer i nakazał mu opuszczenie okrętu, chociaż rannych jeszcze nie przewieziono na ląd. Podobno Paludan mężnie protestował, ale zapowiedziano mu, że jeśli nie usłucha rozkazu, ostrzał okrętu zostanie wznowiony. Nikt jednak na pokładzie „*Chrystiana VIII*” nie widział oficera, którego nazwisko miało brzmieć Preuszer, ani nawet o nim nie słyszał. Armia niemieckich buntowników również się do niego nie przyznawała. W opinii żołnierzy komandor Paludan wymyślił tę postać, by zamaskować swoje tchórzostwo.

Gdy Mały Clausen usłyszał tę historię, już otworzył usta, by bronić swego komandora. Tu stawką był jego honor Duńczyka. Nie potrafił jednak w żaden sposób zaprotestować, bo w głębi ducha uwierzył plotce. Dowodzili nami ludzie bez honoru. Również Ejnar po wysłuchaniu tej opowieści zawstydził się i umilkł, łzy zakręciły mu się w oczach. Laurids zaczął przeklinać, ale nic nie komentował.

Zdrada komandora Paludana nie zainspirowała nas do jakiegokolwiek buntu. Skłoniła raczej do częstszych wizyt przy konwiach z wódką. Nasza nienawiść do niewoli stale rosła i manifestowaliśmy to coraz brutalniej.



Nasz gniew obrócił się przeciwko kadetom. Nie było końca żartom na temat tych gołowąsów, ale zawsze opowiadano je sobie za ich plecami. Teraz tych małych mężczyzn o gładkich twarzach proszono, by spuścili spodnie, żeby można było sprawdzić, czy są tak samo nieowłosieni tam na dole.

Kadetom przewodził czternastoletni chłopak o nazwisku Wedel. Jako pierwszy z kadetów zszedł z „*Christiana VIII*” do łodzi, a wyraz triumfu na jego twarzy, gdy znalazł miejsce w szalupie kapitańskiej obok Paludana, bliskiego przyjaciela jego ojca, nie uszedł naszej uwagi. To Wedel wiódł prym podczas pijackich uczt za zamkniętymi drzwiami. Stał się też najczęstszą ofiarą naszych coraz bardziej niewybrednych dowcipów.

W odpowiedzi na wyjątkowo złośliwą aluzję na temat wielkości swego członka Wedel wymierzył pewnemu marynarzowi z Nyborga, Jørgenowi Mærkemu, siarczysty policzek. Musiał przy tym stanąć na palcach, żeby sięgnąć celu, przez co cała scena wyglądała komicznie. Ale cios był skuteczny.

Marynarz najpierw zbaraniał, potem zdumiony sięgnął do płonącego policzka, jak gdyby chciał się upewnić, że naprawdę został uderzony.

– Stój na baczność, do diabła! – wrzasnął mały Wedel.

Marynarz złapał go za ramiona i rzucił na podłogę. Jego ciężkie marynarskie buty wzięły kurs na żebra chłopaka i zaraz wokół zaroilo się od ludzi. Nie zamierzali ratować kadeta, po prostu nagle pojawiła się szansa, by dać ujście od dawna tłumionej wściekłości. Wedla wybawiło wołanie o pomoc. Dwaj żołnierze ze Szlezwika-Holsztynu wbiegli z wyciągniętymi bagnetami na górę po schodach, lecz zanim dotarli do chłopaka, Laurids już zapanował nad rozwścieczonym tłumem. Złapał kadeta za kołnierz i postawił go na nogi, wolną ręką odsuwał najbliższych stojących.

Wedel wyglądał jak szmaciana lalka, ze strachu nogi się pod nim ugięły.

– Wszyscy mają się zachowywać przyzwoicie – oświadczył Laurids spokojnym głosem.

Odzyskał autorytet, który miał na okręcie. Groźna gromada zaczęła się rozchodzić, a żołnierze zabrali kadeta.

Płacz Wedla słyszeliśmy przez całą jego drogę po schodach.

•

Małemu kadetowi odwaga wróciła jeszcze tego samego wieczoru. Za zamkniętymi drzwiami znów trwała pijatyka. W kącie na strychu ktoś przeklinał hałas dochodzący z pomieszczenia młodziaków. Nie nadeszła jeszcze pora ciszy nocnej, lecz stopniowo wszystkie ich zachowania zaczęły budzić nasze niezadowolenie.

Ktoś załomotał do ich drzwi, domagając się ciszy. Ze środka natychmiast odpowiedział jasny, chłopięcy głos, bezczelnie nakazujący milczenie.

– ...bo ci utniemy fiuta, ty kmiotku!

– Powtórz to! – wrzasnął marynarz przez drzwi.

Pijana grupa przy wielkim stole na środku strychu poderwała się na nogi. Podnieśli ławę i zaczęli nią kołysać w przód i w tył, jak gdyby chcieli sprawdzić jej wagę. Potem podbiegli do pokoju kadetów i niczym taranem z wielkim hukiem uderzyli ławą w drzwi. W środku natychmiast zapadła cisza.

– No i co? – zawołał któryś z mężczyzn. – Teraz już nie jesteście tacy pewni siebie?

Cofnęli się, żeby wziąć rozbieg, a potem znów ruszyli naprzód. Tym razem drzwi ustąpiły i wpadli do pokoju. Przewrócił się stół, jakaś butelka poleciała na podłogę. Ktoś zaczął krzyczeć. Grupa ciekawskich zgromadziła się pod drzwiami i zaczęła dopingować walczących. Ejnar i Mały Clausen z tyłu stali na palcach, by cokolwiek zobaczyć z walki, ale przez wąskie drzwi nic nie dało się dojrzeć.

Zwabieni hałasem, pojawili się żołnierze. Torując sobie drogę kolbami, przedarli się do pokoju kadetów i tam rozdzielili walczących.

Wkrótce kadeci zaczęli się pokazywać, jeden po drugim. Mieli spuszczone głowy i doskonale było widać, kto bardziej ucierpiał. Wedłowi leciała krew z nosa. Któryś miał podbite oko, już spuchnięte. Trzeci kadet, stając w drzwiach, wypluł kawałek zęba. Czerwona strużka ciekła mu po brodzie.

– Mleczak mu wypadł! – zawołał ktoś ze zgromadzonych.

Niedługo później pojawił się komendant Fleischer. Był potężnym mężczyzną o wysokim czole, z miękkimi kędziorami na karku. Policzki miał czerwone, a wargi wilgotne. W kąciku ust widać było resztki sosu, jak gdyby Fleischer przyszedł wprost z uroczystej kolacji i zapomniał wytrzeć usta.

Był w randze majora, ale rozczarował nas swoim dobrodusznym tonem:

– Tak być nie może. Musicie okazywać swoim oficerom nieco szacunku. Inaczej będę musiał potraktować was z większą surowością, a tego bym nie chciał. Postarajmy się wspólnie temu zaradzić. Wkrótce zostaniecie wymienieni, nie ma więc powodu, by wszczynać awantury.

Popatrzyliśmy na siebie. To miał być ten wróg, ten Niemiec, który wyrwał nam pokład spod nóg, a teraz trzymał nas w niewoli?

•

Przez następne dni panował spokój. Konwie z wódką były zawsze pełne, wróciliśmy więc do pijaństwa. Ale Jørgen Mærke nigdy nie przepuszczał okazji, żeby drażnić się z żołnierzami. Małpie tyłki, tak ich nazywał. Krowie placki, padalce, pigmeje bez fiuta i szczury lądowe. Towarzyszyła mu zawsze gromada kompanów. Gdy tylko któryś z żołnierzy się zbliżał, natychmiast otaczali go zwartym kręgiem.

Pewnego dnia żołnierze uznali, że miarka się przebrała. Wypatrzyli go i dwóch przyszło na strych. Stanęli przy stole, przy którym Jørgen Mærke siedział ze swoimi towarzyszami, i oświadczyli, że aresztują go za pijaństwo. Ludzie Mærkego roześmiali się w głos z tych oskarżeń i jak jeden mąż wyciągnęli ręce.

– No to weźcie nas wszystkich, sześciuset!

Żołnierze złapali Mærkego za ramiona, on jednak z całej siły trzymał się stołu, wykrzykując do nich swoje zwykłe przekleństwa i naprędce dodając jeszcze kilka nowych.

Jego kompani poderwali się i otoczyli żołnierzy tak ciasno, że ci nie mogli już sięgnąć po karabiny. Potem zaczęli ich pchać w stronę schodów. Przerażeni żołnierze prawie się nie opierali. Jeden spadł sam tyłem, drugiego popchnięto. Stoczył się za tym pierwszym. Podczas upadku wypuścił z ręki karabin, który zatrzymał się parę stopni niżej.

Buntownicy na zmianę patrzyli to na siebie, to na broń. Nikt się nie ruszył. Zrobiło się bardzo cicho. Żołnierz na podeście stanął na nogi, zamroczony nie zauważył, że nie ma broni. Patrzył na jeńców, ale w jego oczach nie było widać groźby, tylko zagubienie.

Jørgen Mærke zrobił krok naprzód.

– Uuu! – krzyknął, potrząsając brodą jak u dzikusa.

Żołnierz cały zadrżał, potem zawrócił na pięcie i zbiegł na dół. Drugi też się zerwał i popędził za nim, a mężczyźni gruchnęli śmiechem, poklepując się po udach. W końcu ich spojrzenia znów przyciągnął karabin i zamilkli.

Leżał tak blisko, że wystarczyło zejść parę stopni w dół, by go podnieść.

„Weźcie mnie do ręki”, zdawał się mówić. „Strzelajcie, zabijajcie, stańcie się na powrót mężczyznami!”

Wysłuchani w mowę broni, byli jak zahipnotyzowani.

Któryś wreszcie przerwał ciszę.

– Moglibyśmy... – powiedział, schodząc w dół o jeden stopień, jak gdyby chciał podnieść karabin.

Popatrzył na Jørgena Mærkego. Oczekiwał skinienia głową, zachęty, rozkazu: „Tak, zrób to”.

Ale spojrzenie Mærkego było puste, a usta zasłonięte brodą milczały.

Mężczyzna stracił pewność siebie. Pozostali cofnęli się, jak gdyby przestał być jednym z nich. W końcu schylił się i podniósł karabin. Na nikogo nie patrząc, ruszył w dół po schodach. Broń trzymał w wyciągniętych rękach niczym dar ofiarny, który należy nieść z największą ostrożnością. Gdy dotarł do najniższego podestu, ustawił karabin pod pobieloną wapnem ścianą. Potem zawrócił i wszedł po schodach na górę.

•

Tego wieczoru ostro piliśmy i wiwatowaliśmy niezliczoną liczbę razy. Kadeci wyszli ze swojego pokoju i przyłączyli się do nas. Wszyscy byliśmy teraz braćmi.

W następnych dniach wyrzeźbiliśmy kolejne statki, które puszczaliśmy w sadzawce. Zaopatrywaliśmy je w maleńkie karteczki z duńskimi barwami narodowymi. Z dumą kołysały się wśród jedzenia dla kaczek, przypominając nam o potędze naszej ojczyzny.

Zaczęliśmy ćwiczyć musztrę na dziedzińcu, maszerowaliśmy w równych szeregach, jak gdybyśmy szykowali się do większej bitwy. Podnosząc do góry trzy palce, składaliśmy przysięgę, że nigdy nie ustąpimy ani nie zawiedzimy, lecz będziemy chronić i bronić. Wygłaszaliśmy tajemnicze formuły, z których nie rozumieliśmy prawie ani słowa. Brzmiały jednak groźnie, a wypowiedzieliśmy je głośno na środku dziedzińca. Za płotem od czasu do czasu pojawiała się jakaś zalękniona głowa. To mieszkańcy Glückstadt nas obserwowali. Właśnie na cześć tych szpiegów odgrywaliśmy naszą komedię.

W miasteczku zaraz rozeszła się plotka, że duńscy jeńcy szykują się do zdobycia miasta, a komendant poinformował nas, że od tej pory zabronione jest strojenie stateczków w sadzawce w duńskie flagi. Mieszkańcy Glückstadt nie znosili widoku wrogiej bandery.

Uznaliśmy to za zwycięstwo.

Teraz Niemcy nauczyli się nas bać.

W następnych tygodniach było wiele podobnych zwycięstw, a za każdym razem fetowaliśmy je, pijąc jeszcze więcej wódki.



Nasza niewola trwała już ponad cztery miesiące, gdy pod koniec sierpnia postanowiono, że zostaniemy wymienieni na jeńców niemieckich. Przez dziesięć dni podróżowaliśmy do Dybbøl, gdzie miała nastąpić wymiana, a po drodze doświadczyliśmy wielu opóźnień i upokorzeń, lecz wszystko to przyjmowaliśmy z podniesionym czołem, odzyskaliśmy bowiem honor, gdy wzbudziliśmy lęk w Niemcach z Glückstadt. Gdy ujrzeliśmy duńskie statki cumujące w porcie Sønderborg, wiedzieliśmy, że teraz jesteśmy wolni. Na parowcu „*Slesvig*”, który miał nas zawieźć do Kopenhagi, dostaliśmy biały chleb i masło, wódkę i piwo, tyle, ile zdołaliśmy wypić. Noc spędziliśmy na pokładzie. Statek kołysał się lekko, a maszyna, posapując, ciężko pracowała. Pokład drżał niespokojnie pod naszymi plecami.

•

Zapadła bezchmurna noc, a nad nami rozpościerało się gwiazdziste niebo. Noc 21 sierpnia 1849 roku była dobra dla spadających gwiazd. Jasne roje na niebie to zupełnie inna kanonada niż ta, która sprawiła, że dostaliśmy się do haniebnej niewoli. Laurids głęboko wzdychał. Niewola odcięła go właśnie od gwiazd.

Kiedy nie masz żadnej orientacji w terenie, gdy wiatr, prądy morskie i chmury nic ci nie mówią, gdy sekstans wypadł za burtę, a kompas się popsuł, wtedy nawigujesz według gwiazd.

Laurids był teraz w domu.

•

„Hura” było słowem, które w ciągu następnych paru dni słyszeliśmy najczęściej. Na Bałtyku mineliśmy parowiec ze szwedzkimi oddziałami i z pokładu „*Slesviga*” trzy razy krzyknęliśmy „hura” na cześć dzielnych Szwedów. Przy budynku celnym w Kopenhadze powitała nas trzykrotnym „hura” załoga fregaty „*Bellona*”. Natychmiast odpowiedzieliśmy i w porcie ponownie rozbrzmiało „hura”. Potem przyszła kolej na oficerów, również ich pozdrowiono trzykrotnym okrzykiem. Komandor Paludan szedł pierwszy, gdy schodzili na ląd, tak samo jak wtedy, gdy zostawiał rannych na pokładzie „*Christiana VIII*” ich losowi. Przez swą nieudolność był odpowiedzialny za stratę dwóch okrętów, śmierć stu trzydziestu pięciu ludzi i tysiąc wziętych do niewoli. Teraz przyjmowano go z szacunkiem. Był bohaterem, wszyscy byliśmy bohaterami. Okrzyki „hura” nie miały końca.

Rozeszliśmy się po mieście ze swoimi workami marynarskimi w poszukiwaniu noclegu. Wkrótce siedzieliśmy już w tawernach, wznosiliśmy toasty i krzyczeliśmy „hura”. Brakowało nam konwi z wódką, teraz sami musieliśmy za nią płacić, a pijaństwo nie trwało tak długo, jak powinno.

•

Następnego dnia mieliśmy się stawić na Holmen. Minister marynarki obwieścił, że za cztery miesiące niewoli przysługuje półmiesięczny żołd. Później kazano nam ciągnąć losy. Niektórzy znów mieli wypłynąć na okrętach należących do floty, innych natomiast odesłano do domu. Laurids, Mały Clausen i Ejnar wrócili do Marstal dwa dni później. Na Kirkestræde zbudowano łuk triumfalny, przy którym wznoszono okrzyki „hura” na cześć tych, co wrócili do domu, i oplakiwano poległych.

•

W witającym nas tłumie znalazł się też przerażający stwór. Brakowało mu jednego oka i prawego policzka, a dolna szczęka sterczała z ciała, z którego cały czas coś się sączyło. Każdy, kto na niego spojrział, musiał natychmiast odwracać głowę, nawet my, chociaż widzieliśmy niejedno owego straszego dnia na fiordzie Eckernförde.

Dopiero gdy nas powitał, poznaliśmy go, po głosie.

To był Kresten.

Nie odstrzelono mu całej głowy, jak twierdził Torvald Bønnelykke, tylko połowę. Do niedawna leżał w szpitalu w Niemczech i odesłano go do domu dopiero kilka dni przed naszym powrotem. Lekarze wojskowi starali się go pozszywać, ale uszkodzona szczęka nie chciała się zagoić. Mieszkał teraz u swojej matki, której na jego widok pomieszanie zmysłów wcale nie ustąpiło. Dalej pytała o zaginionego syna, a gdy nieszczęsny Kresten zapewniał, że właśnie przed nią stoi, wetknęła mu palec w dziurawy policzek niczym niewierny Tomasz, który wsunął rękę w ranę Zbawiciela. Ale w przeciwieństwie do Tomasza ona nie uwierzyła, tylko twardo oświadczyła, że jej syn tak nie wyglądał, a Kresten, który pomimo swojej zniszczonej twarzy oczekiwał pociechy i radości z ponownego spotkania, płakał jednym okiem, które mu zostało, i powtarzał, że dla wszystkich byłoby najlepiej, gdyby zginął, jak sam to przepowiedział.

•

Laurids przez jakiś czas znów był sławny jako ten, który doświadczył wniebowstąpienia. Ejnar już wcześniej w liście opisał to niezwykle zdarzenie. Teraz wszyscy chcieliśmy o tym usłyszeć z ust samego Lauridsa, wszyscy z wyjątkiem Karoline, przekonanej, że to jeden z jego zwykłych wybryków.

Dzieci otoczyły go, wołając: – *Papa tru*, opowiadaj, opowiadaj!

Najgłośniej krzyczał najmłodszy Albert. Spoglądał na ojca błyszczącymi oczami. Wszak to oni byli do siebie najbardziej podobni.

Ale Laurids patrzył na nich wszystkich tym swoim nowym, obcym spojrzeniem, które przywiózł do domu z niewoli, jak gdyby to nie były jego rodzone dzieci, jakby w ogóle nie dopuszczał myśli, że wydał na świat potomstwo.

Opowiadać więc musiał Ejnar, a mówił tak gładko, że wszyscy przypuszczali, iż ćwiczył to przez długi czas. Dom był pełen ludzi. Przyszli zobaczyć Lauridsa. Karoline w kuchni gotowała wodę na kawę. Odwracała się do nas swoimi szerokim plecami i hałasowała filiżankami, jak zawsze, gdy złościła się na Lauridsa. Ale nawet ona weszła w końcu do pokoju posłuchać Ejnara.

– Nigdy nie możemy zapomnieć, że walczyliśmy o honor Danii – powiedział.

Wszyscy pokiwaliśmy głowami. I wówczas rozpałił się w nas głęboki patriotyzm.

Następne słowa Ejnara bardzo nas jednak zaskoczyły:

– Tak, o honor Danii – powtórzył. – Ale doświadczyliśmy hańby. Z nadzieją i odwagą oddawaliśmy życie i krew za honor naszej ojczyzny, ale przez marnego dowódcę go straciliśmy. Nie wolno nam nigdy zapomnieć, że w Wielki Czwartek walczyliśmy wśród kul i dymu, padaliśmy ranni i martwi, a wieczorem sprowadzono nas z okrętów, jak niewolników pognano do Eckernförde i zamknięto w domu Bożym, gdzie leżeliśmy umęczeni i zamroczeni na słomie jeden na drugim; że liniowiec „*Chrystian VIII*” wyleciał w powietrze, a wcześniej udusiło się na nim wielu nieszczęśników; że w Wielki Piątek strudzeni i wycieńczeni wśród drwin i wyzwisk jak najędźniejsi niewolnicy musieliśmy pomaszerować do Rendsborga, a tam znów wprowadzono nas do świątyni i ułożono na słomie; że w święta musieliśmy jeść suchy chleb; że dom Boży zmienił się w koszary dla jeńców, w których miejsce miały bezeceństwa i bluźnierstwa; że cały ten czas naszej niewoli to szereg jednostajnych, smutnych i żalonych dni. Nie zapomnę o tym do końca życia.

– Widziałem Lauridsa – ciągnął Ejnar. – I to była moja jedyna nadzieja i pociecha w niewoli. Widziałem, jak Laurids z pokładu płonącego okrętu wznosi się do nieba aż na wysokość grotrei, a potem zobaczyłem, jak stamtąd wraca i ląduje na nogach. Od tej pory miałem pewność, że ujrzemy jeszcze naszych najbliższych.

– Mówiłem ci to już wcześniej, Ejnarze, i teraz powtórzę. To dzięki butom. – Laurids wyciągnął nogę, żeby wszyscy mogli zobaczyć jego wielki marynarski but ze skóry. – To te buty mnie wybawiły. Ot, i cała historia.

– A nie widziałeś dupy świętego Piotra? – dopytywał się mały stolarz Laves Petersen, bo plotki już zaczęły krążyć po mieście. Mały Clausen nie potrafił milczeć.

– Owszem, widziałem dupę świętego Piotra – powiedział Laurids.

Ale jego głos wydał się zmęczony i daleki, jak gdyby Laurids już o tym wszystkim zapomniał. Od razu zrozumieliśmy, że niczego więcej się nie dowiemy. Większość z nas uważała również, że tak jak każdy człowiek ma swoje własne piekło, tak samo ma również swoje niebo, i jego prawem jest zachowanie go dla siebie.

•

Nie dało się nie zauważyć, że Laurids nie jest już taki jak kiedyś. Zrozumieliśmy, że wojna była dla niego strasznym przeżyciem, że widział rzeczy, których oglądanie nie wychodzi nikomu na dobre. Ale przecież już dwa razy wcześniej był rozbitkiem i nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Mały Clausen mówił, że bitwa morska to coś takiego jak zatonięcie statku, tylko gorsze. Ejnar jednak wyjaśnił, że Mały Clausen większość bitwy spędził z nogami w wodzie i dlatego wyszedł z niej przeziębiony, natomiast innym odstrzelono głowy.

Ponieważ nikt z nas nie przeżył żadnej bitwy, nie wiedzieliśmy, co myśleć o zachowaniu Lauridsa, i dlatego zostawiliśmy go w spokoju.

Karoline uważała, że mąż powinien znaleźć sobie zajęcie na lądzie. I ona, i dzieci miałyby wtedy okazję częściej go widywać. Niepokoiła ją zmiana, która w nim zaszła, i chciała go mieć blisko siebie.

Mały Clausen i Ejnar jeszcze kilkakrotnie byli wzywani na wojnę, ale za każdym razem wracali do domu żywi. Z czasem znudziło nam się wznoszenie łuków triumfalnych i wiwatowanie, zaczęliśmy traktować powołanych do wojska jak każdego powracającego do domu marynarza.

Powołano również Lauridsa, lecz on wtedy już zniknął. Nie został na łądzie, jak proponowała Karoline, tylko popłynął do Hamburga tą samą Łabą, w którą wpatrywał się codziennie podczas niewoli w Glückstadt. W Hamburgu zaciągnął się jako trzeci oficer na holenderski statek, który miał płynąć do Australii z emigrantami. Oprócz Lauridsa załoga składała się z trzech Holendrów i dwudziestu czterech Indonezyjczyków z Jawy. Na pokładzie było stu sześćdziesięciu pasażerów, a do obowiązków Lauridsa należało rozdzielanie prowiantu i prowadzenie rachunków. Po trwającym pół roku rejsie statek zawinął do Hobart Town na Ziemi Van Diemena. Laurids wymustrował i od tej pory nikt już o nim nie słyszał.



Przez pierwsze dwa lata nieobecności Lauridsa Karoline nie znajdowała powodów do niepokoju. Już wcześniej się zdarzało, że wypływał na dwa albo i trzy lata, a listy przecież nie zawsze trafiają z jednego krańca kuli ziemskiej na drugi. Kobiety, które zostają same, zawsze żyją w niepewności. Nawet list nie jest żadnym dowodem, że drogi sercu nadawca jeszcze żyje. Poczta może krążyć miesiącami, a morze zabiera bez ostrzeżenia. Jesteśmy jednak tak przyzwyczajeni do życia w przepojonym lękiem oczekiwaniu, że swoją niepewnością nigdy nie dzielimy się z innymi. Dlatego też nikt nie zauważył niczego dziwnego w Karoline przed upływem trzech lat.

Dopiero wtedy sąsiadka z Korsgade, Dorothea Hermansen, zadała jej pewnego dnia pytanie:

– Czy nie pora już, żeby Laurids wrócił do domu?

– Owszem – odparła Karoline, nic więcej nie dodając. Wiedziała, że podjęcie decyzji o zadaniu tego pytania zajęło Dorothei dużo czasu i że nie zrobiłaby tego, gdyby uprzednio nie naradziła się z innymi kobietami z Korsgade. To pytanie było w rzeczywistości stwierdzeniem, że Laurids został na morzu.

Tego samego wieczoru, gdy dzieci poszły już spać, Karoline płakała. Płacz zdarzał się jej już wcześniej, ale zawsze starała się walczyć ze łzami. Tym razem im uległa.

Następnego dnia sąsiadki zebrały się u niej, by dowiedzieć się, czy nie potrzeba jej jakiejś pomocy.

Śmierć Lauridsa stała się oficjalna.

Zasady wokół stołu, każda z filiżanką kawy. Na początku mówiły o sprawach praktycznych, starając się wyjaśnić położenie Karoline: dużej rodziny, która by ją wsparła, nie miała. Straciła na morzu już pięciu braci, odszedł również ojciec Lauridsa. Później, już łagodniejszymi głosami, zaczęły wychwalać zalety Lauridsa jako męża i żywiciela rodziny.

Karoline znów zaczęła płakać. W tej chwili Laurids wydał jej się tak rzeczywisty, jak gdyby zmartwychwstał w słowach innych.

Najstarsza z kobiet, Hansigne Ahrentzen, wzięła ją w ramiona i pozwoliła, by łzy Karoline leciały na jej szarą suknię z lnianego płótna. Sąsiadki zostały, dopóki Karoline się nie wyplakała.

Na tym zakończyło się pierwsze spotkanie, wprowadzające Karoline w nowy stan wdowieństwa.

Skontaktowano się następnie z holenderskim armatorem, lecz odpowiedział, że nie stracił żadnego statku, a poza tym Lauridsa nie było na żadnej z list załogi.

Łaska odwiedzania grobu, zabierania tam dzieci i opowiadania im o ojcu przy nagrobku, na którym widnieje jego imię, łaska odpychania złych myśli pieleniem chwastów albo zatapiać się w prowadzonej szeptem rozmowie ze zmarłym pod ziemią – nie jest dana wdowie po marynarzu. Ona dostaje jedynie oficjalny dokument z informacją, że statek, na którym służył jej mąż lub którym dowodził, a może nawet był jego właścicielem, zatonął „z ludźmi i myszami”, z tym bezlitośnie twardym, trzeźwym stwierdzeniem, które traktuje na równi i małe, i duże stworzenia na statku. Tego to a tego dnia, w tym i tym miejscu, zwykle bardzo głębokim, w miejscu bez nadziei na ratunek. Jedynymi świadkami były ryby. Ten papier wdowa po marynarzu może sobie schować do szuflady w komodzie. To cały pogrzeb, jaki ma topielec.

Przed komodą może odprawiać swoje nabożeństwo. To grób, który może odwiedzać. Ale przynajmniej ma dokument, a wraz z nim pewność, kropkę kończącą zdanie, lecz również początek. Życie nie jest książką. Nigdy nie ma ostatniej kropki.

Karoline to nie dotyczyło. Nie dostała żadnego oficjalnego zawiadomienia. Laurids zaginął, lecz gdzie i w jaki sposób, o tym nikt nie mógł jej powiedzieć. Z nadzieją jest tak, że potrafi być jak roślina, która kiełkuje i rośnie, trzymając ludzi przy życiu. Nadzieja potrafi jednak być również jak rana, która nie chce się zagoić. Karoline brakowało kropki.

O zmarłych, którzy nie zostaną pogrzebani w poświęconej ziemi, mówi się, że straszą. I Laurids rzeczywiście wkrótce zaczął straszyć, ale nie na ziemi. Zmienił się w upiora w sercu Karoline, niepozwalającego jej nigdy zaznać spokoju, nie rozróżniał bowiem dnia i nocy, i w końcu Karoline też już nie umiała ich odróżnić. Tęskniła za dnia, kiedy powinna zajmować się zwykłymi sprawami. Nocą martwiła się o codzienność, a przecież wtedy powinna odpoczywać albo wypłakiwać do końca swoją tęsknotę, i było to po niej widać. Zapadła się w sobie i posiwała, jak gdyby została utkana z tej samej materii co upiór, którego nosiła w sercu.

Nigdy nie straciła tylko siły w rękach. Czerpała nimi wodę ze studni, każdego dnia rozpalala pod kuchnią, prała i cerowała ubrania, tkala i piekła chleb, wychowywała czwórkę dzieci, rozdzielając wśród nich policzki, które rozbrzmiewały dostatecznie głośno, by przypominać o zaginionym Lauridsie.

BAT

•

To było zaraz po wakacjach, ciepło słońca wciąż tkwiło w ciele, tęskniliśmy za wodą i prosto ze szkoły bieглиśmy skakać na główkę do portu albo na cypel nazywany Ogonem, Halen. Po kąpeli schliśmy na rozgrzanym piasku, rozmawiając o nauczycielu Isagerze. Nowi uważali, że nie jest wcale taki zły. Wykręcone ucho czy palnięcie w głowę nie były niczym strasznym. W domu przecież też nas to spotykało.

Ale starsi mówili nam: „Jeszcze zobaczycie. On ostatnio jest w dobrym humorze”.

- Powiedział coś miłego o moim ojcu – odezwał się Albert.
- A co twój ojciec powiedział o nim? – spytał Niels Peter.
- Mówił, że Isager to prawdziwy diabeł z batem.

Matka na to oświadczyła, że nauczyciela nie wolno nazywać diabłem, a ojciec odparował: „Łatwo ci tak mówić. Wy, dziewczyny, nigdy nie miałyście do czynienia z Isagerem”.

Na myśl o ojcu Albertowi zwilgotniały oczy. Zamrugał i spuścił głowę. Wydawało mu się, że nos ma zapchany, i otarł go ręką. Zauważyliśmy jego łzy, ale nikt mu nie dokuczał. Wielu chłopców z naszego miasta straciło ojca na morzu. Naszych ojców często nie było i nagle miało ich nie być już na zawsze. Na tym polegała cała różnica między posiadaniem martwego i żywego ojca. Niezbyt wielka, lecz dostatecznie duża, abyśmy płakali, gdy nikt tego nie widział.

Któryś z nas klepnął Alberta w ramię i zerwał się na nogi.

– Ścigamy się!

Na wyścigi pobiegliśmy przez plażę i wskoczyliśmy do wody.

Każdego lata przychodziliśmy na plażę, z jej pasem wyschniętych wodorostów, które, trzeszcząc, kłuły nas w bosc stopy, z dywanem pokruszonych muszli omułków, z zielonym piaszczystym dnem, z rozkołysanymi podwodnymi lasami morskich traw i trawy morskiej.

Gdy osiągnęliśmy wiek trzynastu lat, wypływaliśmy w morze. Niektórzy z nas nigdy nie wracali, ale każdego lata na plaży pojawiali się nowi chłopcy.



W pewien sierpniowy dzień leżeliśmy na brzuchach na gorącym piasku i smakowaliśmy naszą słoną skórę, wciąż po letniemu brązową. Rozmawialiśmy o Jensie Holgersenie Ulfstandzie, który za panowania króla Hansa pokonał w bitwie morskiej lubeczan, o Sørenie Norbym, o Pederze Skramie i Herlufie Trollem, bo wszyscy walczyli na tym morzu, w którym my przed chwilą pływaliśmy, o Pederze Jensenie Bredalu, poległym pod Als z kulą muszkietową w piersi, o Chrystianie IV, który dowodząc okrętem „*Spes*”, przegonił hamburczyków z Glückstadt, miasta, które sam kazał zbudować, a w którym później trzymano w niewoli naszych ojców.

O tym jednak nie rozmawialiśmy.

Głównie gadaliśmy o Tordenskjoldzie, który przez całą noc wzdłuż wybrzeża wysp Ærø i Als ścigał „*Vita Öm*”, szwedzką fregatę z trzydziestoma działami na pokładzie, chociaż sam na „*Løvendals Galej*” miał zaledwie dwadzieścia. Wiedzieliśmy wszystko o jego wyczynach koło Dynekilen, Marstrand, Göteborga i Strömstad, gdzie zginęło tylu jego dzielnych ludzi, ale jemu zawsze udawało się ująć cało, chociaż nigdy się nie oszczędzał.

„Nie tym razem!”, powtarzaliśmy, przypominając sobie, jak będąc sam na brzegu w okolicy Torrekov w Skanii, został otoczony przez trzech szwedzkich dragonów, ale wyrwał się im, a później przepłynął przez strefę fal przybrzeżnych z ostrym kordzikiem w ustach.

Przypominaliśmy sobie, jak po walce z pewnym angielskim kapitanem, trwającej blisko dobę, z jedną tylko przerwą między północą a świtem, poinformował w końcu rozbitego w drzazgi wroga, że skończył mu się proch, i poprosił go o pożyczkę, aby bitwa mogła toczyć się dalej.

Angielski kapitan wyszedł na pokład z kielichem wina w dłoni i siedmiokrotnie wzniósł okrzyk „hurra” za swego duńskiego przeciwnika. Tordenskjold też przyniósł wino i tak winszowali sobie nawzajem.

Bardzo nam się to podobało, a najbardziej jego uwaga rzucona podczas sztormu, gdy fokmaszt okrętu „*Løvendals Galej*” zmyło za burtę, a on swoim: „Hej, ależ uciecha!”, przekrzyczał wicher, dodając otuchy swoim ludziom.

•

Wyruszyliśmy do domu w poprzek cypla. Po jego drugiej stronie znajdowała się zatoczka, którą nazywamy Małym Morzem. Z daleka widać było statki w porcie, przycumowane do czarnych, wysmołowanych pali. Było tam kilka starych kutrów rybackich, dwa słupy, kecz i dwumasztowy szkuner „*Johanne Karoline*”, który nazywaliśmy „*Nieźrównana*”. Rozróżnianie rodzajów statków z dorosłą miną znawcy było alfabetem, którego nauczyliśmy się dużo wcześniej, niż Isager zaczął nam batem wbijać do głów litery. W porcie też się kąpaliśmy, prowokując się nawzajem do nurkowania coraz głębiej, aż do obrośniętych kilów. Wy pływaliśmy z dłońmi pełnymi muszli małży.

Za portowym nabrzeżem rozciągało się miasto, nad dachami wznosiła się czworokątna wieża kościoła, a na kalenicy wieżyczka, której smukła iglica pięła się ku niebu niczym maszt bez żagli i takielunku. Nagle kościelne dzwony zaczęły bić przeciągle. Przez Kirkestræde ciągnął kondukt pogrzebowy. Na czele szły dziewczęta rzucające zielen na kamienie bruku. To zmarła stara Ermine Karlsen ze Snaregade, która przeżyła zarówno swego męża, jak i dwóch synów. Tego, czy dzwony pewnego dnia będą bić również dla nas, nie wiedzieliśmy. Wprawdzie śmierć była nam pisana, lecz gdybyśmy utonęli w morzu, nigdy nie zaniesiono by nas na cmentarz.



W pierwszym tygodniu po wakacjach nauczyciel Isager na nikogo nie patrzył. Z jego rutynowych ruchów i słów przebijało oszołomienie, jak gdyby wstał z łóżka nie do końca obudzony i wciąż unosił się w resztkach przyjemnego snu. Z nauczycielskiego mieszkania szedł do szkoły w szlafroku i kapciach, powłócząc nogami. W kieszeni szlafrocka spoczywał bat zwinięty jak zmija drzemiąca w słońcu.

Isager był nauczycielem od dwudziestu ośmiu lat i żaden z naszych ojców nie uniknął ukąszenia żmii. Wielu z nas do tej pory nosi po nim blizny. Było jak tatuaż, chociaż wykonany, zanim staliśmy się mężczyznomi.

Ładna pogoda utrzymywała się jeszcze we wrześniu i podobnie rzecz się miała z łagodnością Isagera. Prawie nas nie odpytywał, bił rzadko i nigdy do krwi ani do łez. Osławiony bat pozostawał w tylnej kieszeni. Isager czytał na głos z *Małego katechizmu* Lutra z objaśnieniami biskupa Ballego i nie robił różnicy między tym, kto ledwie zaczął chodzić do szkoły, a tym, kto spędził w niej już pięć lat. Czytał trzy pierwsze rozdziały o Bogu i jego przymiotach, o dziele Bożym i o zniszczeniu człowieka przez grzech, lecz gdy dochodził do czwartego rozdziału, na temat wyniesienia człowieka przez Jezusa Chrystusa, syna Bożego, przerywał, mówiąc, że słuchanie tego na nic nam się nie przyda, bo pozostałą część książki uważa za bzdury.

Zamiast tego opowiadał nam fragmenty Biblii, najczęściej historię o Jakubie i jego dwunastu synach, spojrzenie zawsze mu wtedy łagodniało i mamrotał pod nosem: „Ja też mam dwunastu synów, tak jak Jakub”.

Ponieważ słuchaliśmy go z uwagą, rozumieliśmy, że Jakub był oszustem, który okradł rodzonego brata Ezawa o owłosionych rękach i okłamał ojca, ślepego Izaaka. Miał dzieci z czterema różnymi kobietami, Rachelą, Leą, Bilhą i Zilpą. A gdy jedna nie mogła mu urodzić więcej potomstwa, po prostu sypiał z następną. Wdał się w walkę z aniołem, który go okulał. Potem Bóg mu pobłogosławił. To była dziwaczna historia, ale tego nie mieliśmy odwagi powiedzieć Isagerowi.

Dwaj synowie Isagera, Josef i Johan, wciąż chodzili do szkoły, ale tylko Josef otrzymał imię po jednym z dwunastu synów Jakuba. Powiedzieliśmy im, że ulubiony bohater ich ojca był kłamcą, złodziejem i rozpustnikiem.

Johan się rozplakał. Płakał zresztą stale, ponieważ Josef codziennie spuszczał mu łanie. Łzy tłuste jak krople wosku leciały z jego nienaturalnie wielkich oczu. Josef zacisnął pięści, uderzył brata w głowę i stwierdził, że ich ojciec wcale nie jest rozpustnikiem, a jedynie zapijaczonym głupkiem.

My nigdy tak nie mówiliśmy o naszych ojcach. Ale od tamtej pory zostawiliśmy synów Isagera w spokoju.

•

W połowie września nad wyspą zaczęły gromadzić się chmury. Wiatr wiał od wschodu. Wiedzieliśmy, że dobra pogoda się skończyła. Wkrótce całe niebo zaciągnęło się szarą jak łupek pokrywą, a stalowe okulary Isagera wcisnęły się w nasadę nosa. Niektórzy wierzyli, że zmiany humoru Isagera są uzależnione od pogody, dlatego w drodze do szkoły od razu spoglądaliśmy w niebo. W kształtach chmur szukaliśmy znaków. Była to niepewna meteorologia i nawet jej najzagorzalsi zwolennicy musieli przyznać, że Isager i chmury nie zawsze wykazywali jednomyślność.

Tego dnia w połowie września tak było. Isager zrezygnował ze szlafroka i ubrał się w czarny surdut, który nazywaliśmy jego uniformem bojowym. Obcasy butów trzaskały o bruk, gdy szedł przez podwórze między mieszkaniem nauczycielskim a szkołą.

W prawej ręce trzymał w pogotowiu bat. Stał przy wejściu do budynku i każdemu po kolei wymierzał płaską dłonią taki cios w kark, że wpadaliśmy do środka przez próg.

Staliśmy w kolejce po ciągi. W klasie Isagera było nas siedemdziesięciu chłopców i każdy musiał przejść przez drzwi, jeden po drugim. W oczekiwaniu na cios potrafiliśmy napiąć skórę na głowie. Najstarsi przywykli do bicia i umieli znieść wiele razy. Ale naszych lękliwych serc nie potrafiliśmy napinać. Uderzenie, które można przewidzieć, jest zawsze gorsze niż nieoczekiwane.

Najmniejszym w klasie drżały usta, jeszcze zanim doszli do nauczyciela Isagera. Cios w kark to był ich chrzest.

W klasie czekały gorsze rzeczy.

•

Zaczęliśmy od psalmu *Minęła już mroczna noc*, Isager śpiewał beczącym głosem. Był również diakonem, lecz musiał płacić młodszemu nauczycielowi Nothkierowi za niedzielne śpiewanie. Parafianie zagrozili, że jeśli Isager tylko spróbuje zawodzić, to będą wychodzić przed kościół za każdym razem, gdy otworzy usta. Uraziło to jego próżność. Ale w szkole nie mieliśmy wyboru, a nawet polubiliśmy jego głos i pragnęliśmy, by ciągnący się psalm miał nieskończenie wiele zwrotek. Dopóki Isager śpiewał, nie bił.

Śpiewając, niespokojnie krążył po klasie. Znał psalm na pamięć, lecz mimo to trzymał rozłożony psalterz tuż przy nosie. Zza książki jego drapieżne spojrzenie przesuwano się w przód i w tył. Kiedy kończył ostatnie wersy: „Oby Bóg dał nam szczęście i dobrą radę, i zesłał nam światło łaski swej”, niektórzy płakali. Śpiew zagłuszył nasz płacz. Teraz znów go było słyhać.

To uderzenie w kark wywołało łzy, a podtrzymywał je strach.

Albert stał z zaciśniętymi ustami i uważnym spojrzeniem utkwionym w okularach Isagera. Ze strachem walczył za pomocą skupienia.

Na twarzy nauczyciela pojawiła się czujność. Jego wzrok ponownie badawczo omiótł klasę. Isager zachowywał się z taką przesadą, jak gdyby odgrywał komedię. Najpierw podszedł do Alberta i spojrzał mu w twarz. Albert był jednym z najmłodszych, a to oni zawsze jęczeli. Chłopiec nieruchomo patrzył przed siebie. Isager uniewinnił go i ruszył dalej.

Stanowiliśmy wielką gromadę. Nigdy nie nazywał nas po imieniu. Zwracał się do nas albo „ty tam”, albo ciosem. Jego bat znał nas lepiej niż on sam.

W klasie zapadła cisza. Płaczący zasłonili usta, przerażeni na myśl o nieszczęściach, jakie najlżejszy odgłos mógłby ściągnąć na ich głowę. Nagle jednak gdzieś w naszej gromadzie rozległ się szloch. Ręka na ustach nie wystarczyła. Isager drgnął. Oczy za okularami zmrużyły się, bacznie rozejrzał się wkoło.

– Zamknąć się! – wrzasnął.

– Panie nauczycielu – odezwał się Albert. – Nieładnie pan zrobił, bijąc nas. Przecież myśmy niczego nie zrobili.

Isager pobielał na twarzy, nawet jego czerwony nos stracił kolor. Rozpiął surdut. To był znak. Nauczyciel trzymał bat przez cały czas; w jednej ręce psalterz, w drugiej narzędzie kary. Właśnie skończył śpiewać o szczęściu, dobrej radzie i świetle łaski. Teraz przyszła pora grózb. Wyćwiczonym ruchem rozłożył bat. Gdyby to był bicz, toby strzelił.

– Teraz okażę wam swoją łaskę i otrzymacie karę.

Już ciężko oddychał. Jednym szarpnięciem za bluzę poderwał Alberta z ławki i rzucił na podłogę. Przytrzymał go mocno między nogami za pasek od spodni. Oszczędzał siły przez całe długie, leniwe lato, kiedy do bicia pozostali mu tylko Josef i Johan. Miał do tego rękę, wydrenowaną przez trzy dziesiątki lat, i bat trafiał z największą możliwą celnością.

Albert krzyczał przerażony. Nigdy wcześniej nie zaznał pasa. Laurids bił rzadko, a matka wymierzała głównie policzki. To znał. Teraz zmuszono go, by padł na kolana. Wił się, chcąc się wyrwać z uścisku Isagera.

– A więc jesteś krnąbrny! – syknął Isager, podnosząc go na nogi za włosy. Patrzył mu prosto w twarz. – Krnąbrny – powtórzył i ciął go batem przez policzek.

Potem zabrał się do następnego.

Na końcu klasy gromada tłoczyła się przy parapecie, usiłując otworzyć haczyki. Isager zauważył to za późno, okno było już otwarte na oścież. Chłopcy zeskakiwali na podwórze i wybiegali przez bramę. Isager zastygł z batem uniesionym do ciosu. Chłopiec przytrzymywany między jego nogami wyrwał się i w panice zaczął biegać po sali. W tym czasie Isager torował sobie drogę na drugi koniec klasy. Strzelał batem na boki.

– Szybko, szybko! Już idzie! – wołaliśmy do siebie ostrzegawczo.

Jeszcze jeden zdążył wyskoczyć przez okno. Isager w końcu dotarł do celu. Zaczął bić ostatnich, zanim ściągnął ich z parapetu. Bat ciął nas raz w nogi, raz w plecy, w ręce albo w nieosłonięte twarze. Ktoś skulił się na podłodze, zasłaniając głowę rękami, Isager mocno uderzył go w kark, a potem kopnął w bok.

Hans Jørgen złapał nauczyciela za ramię. Był wysokim silnym chłopakiem, w przyszłym roku miał przystąpić do konfirmacji.

– Podnosisz rękę na nauczyciela, ty łobuzie! – wrzasnął Isager, próbując mu się wyrwać.

Nikt nie pospieszył Hansowi Jørgenowi z pomocą. Nie śmieliśmy, choć było nas dostatecznie wielu, by pokonać nauczyciela. Mogliśmy skoczyć na niego całą siedemdziesiątką i zadusić go naszym własnym ciężarem, ale nawet o tym nie pomyśleliśmy. On przecież był nauczycielem. Większość ze strachu pozostała na swoich miejscach. Wiedzieli, że wkrótce przyjdzie ich kolej, lecz mimo wszystko ani drgnęli.

Albert zbliżył się do walczących. Zmierzył wzrokiem Isagera, który nie zwrócił na niego uwagi. Był zbyt przejęty wrywaniem się z uścisku Hansa Jørgena. Albert przyglądał mu się tym samym badawczym spojrzeniem, którym wpatrywał się w okulary Isagera. Policzek miał zaczerwieniony i opuchnięty od uderzenia bata. Nagle wymierzył kopniaka. Na nogach miał drewniaki i trafił Isagera w goleń. Nauczyciel wrzasnął, a Hans Jørgen wykorzystał okazję i wykręcił mu rękę. Isager z jękiem osunął się na kolana.

To teraz powinniśmy byli się na niego rzucić. Ale nie przeszło nam to przez myśl. Isager był potworem, ale takim, którego nie da się zabić.

Kłęczał na podłodze i wrzeszczał jak chore zwierzę. Z doświadczenia uzyskanego w bójkach wszyscy wiedzieliśmy, że to chwila, w której walka się kończy. Gdy ktoś kłęczał z ręką wykręconą na plecy, kazaliśmy mu błagać o życie, prosić o wybaczenie albo w inny sposób się upokorzyć. Nie mogliśmy przecież stale łamać sobie rąk, więc bójka kończyła się w takim momencie. Ale z Isagerem nigdy nie było rozstrzygnięcia. Niczego bardziej nie pragnęliśmy, niż złamać tę jego przeklętą rękę, która trzymała bat, ale nie mogliśmy. Nasza bezradność odebrała nam zwycięstwo. Zabrakło wśród nas dorosłego, który powiedziałaby: „Skończcie z nim!” Usłuchalibyśmy. Ale to Isager był dorosły, więc go puściliśmy. Nie wymusiliśmy na nim nawet skromnego błagania o litość.

Hans Jørgen cofnął się o krok. Isager na niego nie patrzył. Otrzepał kurz z kolan, a potem sięgnął po najbliższej stojącego. Był nim Albert, który po raz drugi tego dnia musiał znaleźć się między jego nogami. Hansa Jørgena nauczyciel nie śmiał tknąć.

Jeszcze kilkakrotnie Isager dopuścił się podobnych rękoczynów. Nie wszyscy godzili się na jego brutalność, ale większość z nas spokojnie leżała między jego nogami i z zaciśniętymi zębami wytrzymywała uderzenia bata.

Wreszcie zdyszany wszedł na katedrę. Ledwie mógł złapać oddech. Nie należał już do najmłodszych, spuszczenie lania siedemdziesięciu chłopcom było zaś nie lada wysiłkiem, ale jakoś sobie z tym poradził. Lewą ręką wsparł się o katedrę. Bata nie odkładał.

– Bezwstydne łotry! Czeka was jeszcze jedna kolejka – warknął zasapany.

Był jednak zbyt zmęczony, by swoją groźbę wprowadzić w czyn.

Okulary wciąż tkwiły na swoim miejscu. Nawet podczas szarpaniny z większymi chłopakami nie opuściły swojej pozycji u nasady nosa.

•

To Albert odkrył tajemnicę okularów. Jeśli tkwiły na czubku nosa Isagera, zapowiadał się spokojny dzień, który pozostawiał na naszych twarzach i dłoniach jedynie mniejsze, szybko gojące się ślady. Gdy balansowały na środku nosa, sprawa była nierozstrzygnięta, mogło się obrócić i w jedną, i w drugą stronę. Jeśli zaś tkwiły wciśnięte w nasadę nosa, nauka koncentrowała się na najbardziej miękkiej, najwrażliwszej, zarazem jednak najmniej zdolnej części naszego ciała, i to Pan Bat dyktował temat lekcji.

Odkrycie to przyniosło Albertowi pewną sławę. Wszyscy czuliśmy, że nasza nowa wiedza stanowi wielki krok naprzód w niekończącej się wojnie z Isagerem.

•

Ta wojna nas naznaczyła. Mieliśmy blizny na głowie po uderzeniach linialem. Mieliśmy spuchnięte palce, ledwie mogące utrzymać obsadkę, ponieważ Isager walił w nie batem, gdy nie podobało mu się nasze pismo. Nazywał to rozdawaniem dukatów, a hojność okazywał nawet w te dni, gdy okulary trzymały się czubka nosa. Kuleliśmy i krwawiliśmy, sinożółci, pokryci siniakami, zawsze obolali w jakimś miejscu narażonym na ciosy.

Ale nie to było najgorszą krzywdą, jaką nam wyrządził.

Naznaczył nas w inny, o wiele straszniejszy sposób: sprawił, że staliśmy się do niego podobni.

Robiliśmy okropne rzeczy, ale rozumieliśmy to dopiero w chwili, gdy gromadziliśmy się wokół dowodu naszych podłych czynów. To się stało jak nałóg, od którego nie mogliśmy się uwolnić.

Isager obudził w nas żądzę krwi, której nie dało się ugasić.



W pewien jesienny dzień, kiedy wiatr zerwał ostatnie liście z drzew, zbici i obolali staliśmy na Kirkestræde, rozglądając się za jakąś rozrywką, gdy nagle, kołysząc się na łapach, minął nas pies Isagera, krótkonogie, opasłe stworzenie nieokreślonej rasy. Krótką sierść miał białoszara, a brzuch różowy jak u świni. Widywaliśmy Kara na rękach pani Isagerowej, równie bezkształtnej jak piesek, ze szparkami oczu jak u Chińczyka, ściśniętymi pod naporem tłustych policzków.

O pani Isagerowej wiedzieliśmy niewiele, chociaż podejrzewaliśmy, że to ona jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść. Powiadano, że swoimi wielkimi jak bochny rękami regularnie bija Isagera, i właśnie z powodu tych upokorzeń okulary podsuwają mu się aż do nasady nosa.

Pies szedł ulicą z taką miną, jakby był u siebie w salonie, i może rzeczywiście wierzył, że tak jest, bo żaden z nas wcześniej nie widział go samotnie wałęsającego się po mieście.

– Karo! – zawołał Hans Jørgen i pstryknął palcami.

Pies się zatrzymał. Miał wysuniętą dolną szczękę i język wystawał mu z pyska. Poczuliśmy wzbierający w nas gniew. Nagle ogarnęła nas nienawiść do zwierzaka. Gruby Lorentz już wymierzył mu kopniaka, ale Hans Jørgen uniósł rękę. Potem zaczął nucić starą piosenkę, którą śpiewaliśmy jako dzieci, gdy chcieliśmy, by ślimak pokazał rogi. Ujęliśmy się za ręce i zaczęliśmy tańczyć wokół Kara.

Niels, Niels, pokaż czułki,
przyszedł ktoś po mąkę na bułki.
Wyrzuj, bo jak nie,
podpalimy cię!

Karo podskakiwał, szczerząc się.

– Chodź, chodź! – zachęcił go Hans Jørgen i ruszył biegiem.

Ucieszone grubiutkie stworzenie podreptało za nim kolebiącym się krokiem. Otoczyliśmy je i też pobiegliśmy w górę Markgade. Ktoś, kto nas mijał, zobaczyłby tylko grupkę pędzących gdzieś chłopców.

Minęliśmy Vestergade. Dalej była Reberbanen, jeszcze dalej rozciągały się pola. To tutaj się wałęsaliśmy, kiedy energia nas rozsadzała, a miasto okazywało się za małe. Wzdłuż dróg rosły stare, poprzycinane topole, w których przez lata powstały dziury na przestrzał. Na drzewach za pomocą gwoździ i desek manifestowaliśmy nasze prawo własności. Pnie zamienialiśmy w chatki ze schodami, pokojami i strychem. To były nasze twierdze, z których rządziłyśmy polami. Za każdym razem musieliśmy je jednak zdobywać. Chłopcy ze wsi również rościli sobie do nich prawa. Byli synami ziemi, ciężkimi i ponurymi, uważali więc, że przysługuje im przywilej pierworodnych w stosunku do wielkich przestrzeni pól. Ale my mieliśmy przewagę. Zjawialiśmy się tam wyłącznie w gromadzie, zawsze gotowi do walki, i opuszczaliśmy pola jako zwycięzcy. Oni byli tubylcami i bronili swojej ziemi z zaciętością dzikusów. My jednak byliśmy silniejsi i nie okazywaliśmy im ani trochę łaski.

– On może biec tak daleko? – spytał Niels Peter.

Z czarnych warg Kara ciekła ślina, z trudem dotrzymywał nam kroku, choć się starał. To było coś innego niż życie kanapowego pieska w objęciach tłustej żony nauczyciela.

– Skoro Lorentz może, to Karo też – stwierdził Josef i mocno uderzył Lorentza w nabite ramię. Lorentz miał już twarz czerwoną z wysiłku, ręce i klatka piersiowa podnosiły mu się i opadały, gdy wciągał powietrze ze świstem, jak gdyby gdzieś zrobiła się w nim dziura. Twarz spowijała mu warstwa tłuszczu, a kiedy uderzaliśmy go w policzek, zabawnie się trząsł. Na swoim miejscu zostawał jedynie duży nos, ale wargi też drżały. W oczach Lorentza pojawiał się taki wyraz, jak gdyby chłopak chciał prosić o wybaczenie za swą monstrialną wielkość.

– Zobaczcie, jaki on ohydny! – powiedział mały Anders, wskazując na Kara. – Okropnie się ślini, fuj!

– A nogi ma jak komoda. To ma być pies?

Karo odpowiedział wesołym szczekaniem. Zyskał towarzystwo, za to nie miał pojęcia, co go czeka. Skąd mógł je mieć, niewinny zwierzak? Ale w naszych oczach wcale nie był niewinny. Był psem Isagera. Nienawiść, jaką żywiliśmy do naszego dręczyciela, musiała dotknąć jego psa. Biegając obok Kara, wymienialiśmy podobieństwa między brzydkim, spłaszczonym pyskiem psa a twarzą nauczyciela.

– Tylko okularów mu brakuje – stwierdził Albert, a my wybuchnęliśmy śmiechem.

Wzięliśmy kurs na wysokie, strome gliniaste zbocza przed Drejet, lecz zanim tam dotarliśmy, Karo stracił oddech. Nie był przyzwyczajony do wybierania się gdzieś dalej niż ze swojego koszyka do miski z jedzeniem i z powrotem. Teraz jego krótkie jak u komody nóżki odmówiły posłuszeństwa i wymęczony pies, śliniąc się, położył się na brzuchu.

Ale na razie jeszcze nie wolno mu było się poddać.

Tego, co zamierzaliśmy zrobić, nie dało się wykonać wśród otwartych pól.

Hans Jørgen wziął psa na ręce. Uradowany Karo polizał go po twarzy, a Hans Jørgen się skrzywił.

– Faj! – zawołaliśmy chórem.

Pobiegliśmy dalej. Podniecenie cały czas w nas rosło. Nie mogliśmy się już doczekać. Zbiegliśmy z pierwszego ze wzgórz Drejet, ruszyliśmy w górę następnego i brzegiem pola ku urwisku. To miejsce zawsze nas przyciągało. Do kamienistej plaży było stąd tak daleko, że aż kręciło się w głowie, a morze rozciągało się na wszystkie strony. Gdy staliśmy na krawędzi, zapatrzeni w wodę, czuliśmy się tak, jakbyśmy brali udział w misterium. To nasze własne życie rozpościerało się przed nami. Przychodziliśmy tu często i zawsze na ten widok milkliśmy.

Klif nie wszędzie opadał pionowo. Był stromy, lecz w tłustej, gliniastej ziemi rosły kukułki szerokolistne, krwawniki i wrotycze. Mogliśmy z jego szczytu rzucić się w przestrzeń i znaleźć oparcie dla stóp kilka metrów niżej. Swobodnie zejść na dół nie dało się nigdzie, lecz przy zachowaniu ostrożności klif można było pokonać, nie zawsze bez skaleczeń, lecz cały sens we wspinaczce po nim polegał właśnie na zagrożeniu życia.

Staliśmy na krawędzi i patrzyliśmy na Bałtyk. Hans Jørgen wciąż trzymał Kara na rękach. Piesek znów zaczął szczekać. Najwidoczniej sądził, że chcemy mu pokazać cały świat. Na nic się z góry nie umawialiśmy, zresztą nie było takiej potrzeby. Wszyscy wiedzieliśmy, co się stanie.

Hans Jørgen rozhuśtał Kara, trzymając go za przednie łapy. Pies z bólu usiłował go ugryźć, ale miał za krótką szyję. Kąsał w powietrzu, odsłaniając drobne ząbki, trochę piszcząc i powarkując. Tylne łapy poruszały się, jakby szukały oparcia.

– Niels, Niels, pokaż czułki! – zawołał Hans Jørgen, a my przyłączyliśmy się chórem:

– Przyszedeł ktoś po mąkę na bułki!

Hans Jørgen puścił psa i Karo wielkim łukiem pozęgłował ku zachmurzonemu jesiennemu niebu, a potem zaczął spadać ku kamieniom na plaży. Przebierał w powietrzu łapami, wyginając opasły tułów. Śmiesznie to wyglądało. Staliśmy na samej krawędzi klifu, żeby zobaczyć, jak zwierzak upada na brzeg. Początkowo nic nie słyszeliśmy. Pies leżał nieruchomo na boku. Potem rozległ się jakby jęk, nie wycie, tylko skarga kogoś, komu zabrakło sił. Karo powolutku obrócił się na brzuch. Usiłował stanąć na nogi, ale nie mógł. Tylna część ciała pozostawała nieruchoma. Poruszały się tylko przednie łapy. Pies bezustannie podejmował próby, a my go przez cały czas słyszeliśmy. Przypominało to bardziej zawrodożenie dziecka niż zwierzęcia.

Właśnie ten przenikliwy, zarazem delikatny i przeraźliwy odgłos sprawił, że w tym momencie nasz triumf nagle zgwał.

Nie patrzyliśmy na siebie. Zaczęliśmy spuszczać się z klifu, każdy osobno. Nie byliśmy już bandą. Większość z nas miała ochotę zawrócić, pobiec do domu i zapomnieć o Karze. Ale Hans Jørgen prowadził, a my poszliśmy za nim. Nie zachowywaliśmy wielkiej ostrożności. Mały Anders stoczył się kilka ładnych metrów w dół, na dole uderzył o kamień i podniósł się z płaczem. Byliśmy poobijani, gdy stanęliśmy wokół Kara, wciąż pojękującego w ten straszny sposób, którego nie mogliśmy już słuchać.

Popatrzył na nas i oblizał sobie nos krótkim, różowym językiem. Wyglądał wręcz na ucieszonego, jak gdyby w ogóle nie podejrzewał nas o to, że jesteśmy sprawcami jego nieszczęścia, tylko czekał, że zaraz znów wszystko będzie dobrze. Nie merdał ogonem, ale pewnie dlatego, że miał złamany kręgosłup.

Staliśmy wokół niego. Nikt już nie miał ochoty go kopnąć. Pies wyglądał niewinnie. Przecież nic nie zrobił, a teraz skarżył się z przetrąconym kręgosłupem.

Albert uklęknął przy nim i pogłaskał go po łbie.

– Już, już... – powiedział pocieszającym tonem, a my wszyscy też mieliśmy ochotę pogłaskać Kara.

Gdyby tylko w tym momencie zamerdał krótkim ogonkiem! Ale on tego nie zrobił, a my wiedzieliśmy, że nie zrobi tego już nigdy.

Koło Alberta stanął Hans Jørgen.

– Przestań! – powiedział, łapiąc go za ramię, żeby go odciągnąć.

Albert się podniósł. Hans Jørgen go nie puszczał. Był z nas największy i najsprawiedliwszy. To on odważnie protestował, gdy Isager obchodził klasę z batem. Zawsze bronił najsłabszych. Teraz stał ze zwieszonymi ramionami, równie bezradny jak cała reszta.

– Nie możemy Kara tak tu zostawić – stwierdził Albert.

– Głaskanie też mu już nie pomoże – odparł Hans Jørgen.

– Nie moglibyśmy go odnieść Isagerowi?

– Isagerowi? Oszalałeś? Przecież on nas zabije.

– No to co zrobimy?

Hans Jørgen puścił Alberta i rozłożył ręce. Zaczął krążyć po brzegu.

– Pomóście mi znaleźć duży kamień – powiedział. Żaden z nas się nie ruszył. Anders nie przestawał płakać. Karo ucichł, jak gdyby słowa Hansa Jørgena dały mu do myślenia.

– Posłuchaj – zaczął Albert. – Karo już nie piszczy. Może mu lepiej?

– Jemu już nie będzie lepiej – stwierdził Hans Jørgen z ponurą miną, a my zrozumieliśmy, że nie ma drogi odwrotu.

– Jak chcecie, możecie sobie iść – dodał Hans Jørgen. Znalazł właśnie kamień i trzymał go w obu rękach. Bardzo chcieliśmy odejść, ale nie mogliśmy. Nie mogliśmy zostawić Hansa Jørgena. Odchodząc, każdy z nas zostałby sam na sam z Isagerem.

Hans Jørgen uklęknął przy Karze. Pies popatrzył na niego z nadzieją, jak gdyby wierzył, że Hans Jørgen go uleczy.

– Połóżcie go na boku – polecił Hans Jørgen.

Niels Peter wsunął ręce pod bezwłosy różowy brzuch i obrócił psa. Karo zaczął płakać. Nie piszczał, nie jęczał. Płakał. A my, kompletnie rozbici, zaczęliśmy płakać razem z nim, ponieważ tak nam było żal, że jest taki głupi i ani trochę nie rozumie świata.

•

Kiedy wspinaliśmy się na szczyt klifu, każdy z nas trzymał w dłoni kamień. Nie wiedzieliśmy dlaczego. Szliśmy do domu. Po drodze nie odzywaliśmy się do siebie, tylko ściskaliśmy kamienie w rękach.

Zaspany Lorentz wyszedł nam naprzeciw. W tamtą stronę poddał się już na pierwszym ze wzgórz wokół Drejet.

– Co się stało? – spytał jak zwykle tonem podlizucha. Zaraz jednak zauważył nasze zamknięte twarze. – Gdzie jest Karo?

– Zamknij się, ty tłusta świnió!

Niels Peter podszedł bliżej i uderzył go zaciśniętą pięścią w brzuch. Lorentz usiadł na środku drogi z błagalną miną, której tak nienawidziliśmy. Cokolwiek byśmy z nim robili, i tak na wszystko się godził.

Później spotkaliśmy dwóch chłopców z gospodarstw w Midtmarken. Cuchnęli gnojem, więc od razu się na nich rzuciliśmy. W ruch poszły kamienie. Z płaczem uciekli do domu, do swojej gnojówki. Było nam obojętne, co powiedzą rodzicom.

Humorów nam to nie poprawiło. Mieliśmy wrażenie, że Isager wygrał jeszcze raz.

Nasza nienawiść do niego tylko wzrosła.



Następnego dnia byliśmy pewni, że Isager odbędzie swoją zwyczajową rundę z batem. Okulary tkwiły u nasady nosa. Krążył po klasie zwinnym, sprężystym krokiem, którego nauczyliśmy się bać. Również jego bat zdawał się żyć własnym życiem. Wyczuwaliśmy, jak obraca się i wije w jego dłoni, gotowy do zaatakowania pierwszej ofiary. Już się garbiliśmy.

To się musi teraz stać.

Karo nie wrócił do domu. W domu nauczyciela na pewno zapanowało poruszenie i bez względu na to, czy zdaniem Isagera byliśmy zamieszani w zniknięcie psa, czy nie, i tak musiało się to odbić na nas, tak jak każde niepowodzenie w jego życiu.

Nauczyciel krążył po klasie, pomrukując swoje: „Łobuzy, łobuzy”. Ale nikomu nie kazał klękać.

W końcu uderzył bez ostrzeżenia. Rzucił się na Lorentza, zajmującego w ławce dwa miejsca. Zaatakował go od tyłu, świszczącym ciosem w szerokie plecy. Potem szybko przesunął się na przód ławki i uderzył go najpierw przez pierś, a potem w twarz. Lorentz głośno zawył, częściowo z bólu, a częściowo z przerażenia. Zasłonił twarz olbrzymimi ramionami.

Isager zaczął go szarpać za rękę, by umożliwić batu dostęp. Gdy mu się to nie udało, rzucił Lorentza na podłogę. Chłopak wylądował na niej z miękkim plaśnięciem, a wtedy Isager zaczął go kopać. Wszyscy próbowaliśmy kiedyś bić Lorentza, nawet ci najmniejsi. Jego tłuszcz irytował nas i prowokował, miał w sobie kobiecą miękkość, która nas pociągała, a jednocześnie wprawiała we wściekłość. Był jak dziewczyna, był zdrajcą wszystkiego, czym powinien być chłopak. Mówiono o nim, że nie ma jaj, a jego mały biały robaczek tkwi osamotniony wśród zwałów tłuszczu na udach, nad pustym workiem. W naszych oczach był urodzonym klaunem. Wierzyliśmy, że tłuszcz go chroni, i nawet kiedy Lorentz jęczał pod naszymi ciosami, uważaliśmy, że płacze, ponieważ jest babą, a nie dlatego, że naprawdę go boli. Biliśmy więc jeszcze mocniej, żeby przestał beczeć bez powodu.

Lorentz nigdy nie oddawał. Tak się bał naszego dokuczania, że godził się na wszystko, byle tylko nie odrzucać go z naszej gromady, a my godziliśmy się na jego towarzystwo, ponieważ potrzebny nam był ktoś, kogo mogliśmy bezkarnie atakować. Pewnie wydawało mu się, że go tolerujemy. Ale nie miał racji. Dla nas nie był niczym innym jak słowa, których używaliśmy, gdy chcieliśmy go do czegoś namówić: „Ty tłusta świnió!”

Isager nauczył nas tylko jednej rzeczy: trzymać się razem. Nigdy nie udało mu się nas skłonić do wskazania winnego jakiegoś przestępstwa. Woleliśmy raczej wziąć winę na siebie, niż kogoś zdradzić. Isager o tym wiedział. Dlatego uważał nas wszystkich za winnych w równym stopniu i bił równie mocno, nikogo nie wyróżniając.

Teraz Lorentz leżał bezbronny na podłodze, a Isager go kopał. Grubas był najmniej winny spośród nas, a mimo to nikt nie stanął w obronie jego niewinności.

Czy również nasza solidarność kazała nam w tym momencie milczeć?

Nagle usłyszeliśmy znajome sapanie, zwykle stanowiące akompaniament wszystkich naszych wypraw, gdy tylko zwiększaliśmy tempo, a gruby Lorentz zostawał z tyłu. Zaczynało mu brakować powietrza. Usiłował się podnieść do pozycji siedzącej i zapomniał o tym, że powinien się chronić. Isager, który do tej pory zadowalał się wykorzystaniem butów jako broni, już miał go smagnąć batem po nieosłoniętej twarzy i zwałach tłuszczu przypominających kobiece piersi, lecz coś go powstrzymało. Lorentz wiosłował rękami w powietrzu, jak gdyby bronił się przed zupełnie innym, niewidzialnym wrogiem. Zsiniął na twarzy. Oczy wyszły mu z orbit. Charczał i dyszał. Wyglądało, jakby się dusił.

Isager niepewnie cofnął się o krok. Wetknął bat do tylnej kieszeni, jak gdyby nic nie zdarzyło, i wszedł na katedrę.

Lorentz wreszcie usiadł. Barki podnosiły mu się i opadały w bolesnej walce o oddech. Isager zerkał na niego, ale nic nie zrobił. Widzieliśmy, że się przestraszył.

Lorentz przesiedział na podłodze do końca lekcji. Powoli jego wielkie ciało zaczęło się uspokajać, a sapanie przycichło. Był całkowicie pochłonięty sobą. Jego oczy nie patrzyły na nic. Gdy rytm oddechu mu się wyrównał, spojrzął na nas tak, jak gdyby pytał, czy jest wreszcie jednym z nas.

Odwróciliśmy oczy. Żaden nie chciał odpowiedzieć.



Isager uczył od trzydziestu lat. Przed nim był inny nauczyciel, który nazywał się Andresen. Ten pracował przez lat pięćdziesiąt jeden, ale jego pamiętali jedynie starszaki. Isager widział dwóch królów, najpierw księcia Chrystiana Fryderyka, który później stał się Chrystianem VIII. Księżę przyплыł szkunerem „*Delfin*”, który zacumował w porcie przy kamiennej kei, od tej pory nazywanej Pirsem Księżęcym. Odbył spacer przez Markgade do Kirkestræde i od tego czasu ta część ulicy Markgade nazywała się Prinsegade, „książęca”. Wszędzie, gdzie stanęła stopa Chrystiana Fryderyka, rzeczy zmieniały nazwę.

Dziewczęta były ubrane na biało, a pastor wygłosił przemowę, lecz to Isager stał się bohaterem wizyty. To wśród jego uczniów księżę chciał przeprowadzić inspekcję.

Dwanaście lat później z wizytą przyjechała kolejna królewska osobistość, późniejszy Fryderyk VII. Przyплыł promem podczas sztormu wiejącego od północy. Staliśmy na kei, dyskutując, który to może być księciem, gdy mężczyzna w islandzkich łapawicach i czapce z nausznikami zeskoczył na ląd, żeby przymocować cumę.

– Zimno, moi drodzy! – powiedział. I to właśnie był książę.

W szkole zaśpiewaliśmy: „Dopóki istniejemy, marynarzami będziemy!” Słowa te wymyślił Isager. Później mieliśmy być przepytywani. W trakcie naszych odpowiedzi książę zwrócił się do swego adiutanta z pytaniem, czy poradziłby sobie z takimi trudnymi rachunkami, jakie zadano dzieciom z Marstal. Adiutant zaprzeczył, a człowiek, który pewnego dnia miał zasiąść na tronie duńskim jako Fryderyk VII, powiedział: „Ja też nie”.

Zadanie, które wzbudziło taki podziw następcy tronu, pochodziło ze strony 47. *Arytmetyki* Cramera i brzmiało następująco: „Ziemia, krążąc, co roku pokonuje drogę długości 129 626 823 mil geograficznych w ciągu 365 i 109/450 dnia. Zakładając, że porusza się ze stałą prędkością, jaką drogę przebywa w ciągu jednej sekundy?”

Od tego pytania każdemu mogło się zakręcić w głowie, zwłaszcza że Isager nie zadbał o wyjaśnienie nam, że Ziemia krąży wokół Słońca. Za to odpowiedź starannie wbił nam do głów. Znajdowała się na końcu książki. Były to cztery mile i jakiś ułamek, którego nikt nie umiałby powtórzyć, gdyby nie bat. Przy okazji wizyty następcy tronu odpowiadał chłopak o imieniu Svend. Nigdy później nie mówiliśmy na niego inaczej niż Svend Sekunda. A ten ułamek zabrał ze sobą do mokrego grobu. Tam właśnie skończył, w wieku zaledwie szesnastu lat.

Isager nisko uklonił się księciu w podzięce za komplement, a Fryderyk poklepał go po ramieniu. Svendowi Sekundzie Isager wcześniej kazał stać z rękami za plecami, żeby następcą tronu nie zauważył jego zmaltretowanych palców.

To była jedyna wiedza, jaką zdołał nam wpoić Isager: bat i liniał potrafią osiągnąć to, do czego nie wystarcza rozum nauczyciela. Nawet z *Arytmetyką* Cramera w ręku umiejętności Isagera nie sięgały daleko. Daleko sięgał za to jego bat. Jeśli nauczyliśmy się rachować, to tylko po to, by móc policzyć uderzenia, którymi nas obdzielał. Nasi starsi bracia przeżyli się więc przed następcą tronu i rachowali niczym udręczone papugi, jak gdyby to była sprawa życia i śmierci.

Później szkole w Marstal nadano imię związane z tamtym wielkim wydarzeniem.

Od tamtej pory nosiła imię Fryderyka. Równie dobrze mogłaby się nazywać szkołą imienia Isagera. Gdy Fryderyk poklepał Isagera po ramieniu, szkoła, a wraz z nią nasze ciała, stały się osobistą własnością nauczyciela. Kłaniał się dwóm przyszłym królom, dwaj przyszli królowie pokleпали go po ramieniu, i przez to stał się nietykalny.

Powołano komitet szkolny, w którego skład wszedł jeden kupiec i dwóch szyprów. To właśnie do nich mogli iść na skargę nasi rodzice, jeśli wracaliśmy do domu zbyt mocno poturbowani po spotkaniu z batem Isagera. Ale członkowie komitetu byli zwykłymi ludźmi, tracącymi mowę z szacunku dla uczonego nauczyciela, który usłyszał pochwałę z ust nie jednego, lecz dwóch królów, i dlatego żadne skargi nigdy nie doczekały się poparcia.

Ponadto wszyscy pamiętali, jak to było za czasów starego Andresena. Wówczas do szkoły chodziło trzystu pięćdziesięciu uczniów, ale były tylko dwie klasy, w każdej więc gromadziło się po sto siedemdziesięcioro pięcioro dzieci. Andresen nie był w stanie zapamiętać wszystkich imion, dlatego uczniowie mieli numery. Dyrygował nimi, posługując się gwizdkiem. Uczniowie siedzieli wszędzie, w całej szkole, będącej jednocześnie mieszkaniem nauczyciela, na parapetach, w kuchni, ba, nawet w ogrodzie. Okna musiały pozostawać otwarte, dopóki nie uniemożliwił tego mróz, ale już dużo wcześniej wszyscy zachorowali na przeziębienie i bronchit z powodu przeciągów. Natomiast gdy zima zmuszała do zamknięcia okien, dusili się z braku powietrza i nie mijał dzień, żeby któreś dziecko nie zemdląło.

Tabliczek ani przyborów do pisania nie było. Uczniowie stali przy tacy wysypanej piaskiem i pisali na niej patykiem. Również cała zdobyta przez nich wiedza była zapisywana na piasku i ulatywała wraz z najmniejszym powiewem wiatru.

Wszystko to pamiętali trzej członkowie komitetu. Patrzyli na nową szkołę, na kałamarze, tablicę i nauczyciela, którego pochwalili dwaj przyszli królowie, i myśleli sobie, że świat idzie naprzód. Na niechęć dzieci do nauki istniało tylko jedno lekarstwo: ostrzejsze kary.

Rzadko się zresztą skarżyliśmy. Stanowiło to element poczucia więzi, które wpoił nam Isager: nie zdradzaliśmy nawet naszego dręczyciela. Wracaliśmy do domu z łysymi plackami na głowach – ogarnięty wściekłością Isager wyrывał nam włosy całymi garściami – z podbitymi oczami i sinymi palcami, niebędącymi w stanie utrzymać noża czy widelca. Mówiliśmy, że się biliśmy. Gdy pytano nas z kim, odpowiadaliśmy, że z Nikim.

Przysięgaliśmy sobie, że kiedy dorośniemy, Isager dostanie za swoje. Nie rozumieliśmy milczącej zgody naszych ojców na tak brutalne traktowanie. Przecież oni wiedzieli, jaki jest Isager. Wiedzieli, kim jest Nikt. Sami byli ofiarami jego bata. Pozostawali jednak ślepi na cierpienia swoich dzieci.

Matki domyślały się, że coś jest nie tak. Zawsze jednak były bezradne wobec władzy. Sił im nie brakowało. Gdy mąż wypływał na morze, same radziły sobie z wieloma dziećmi, a to wymagało wielkiej siły. Lecz gdy przychodziły do pastora albo nauczyciela, ogarniała je niepewność i wąpiły we własną zdolność osądu. „Jesteś pewien, że to nie Isager?“, pytały. A my kręciliśmy głowami. Sami nie wiedzieliśmy, dlaczego nie wskazujemy na niego jako sprawcę naszych codziennych okaleczeń, a przecież przez to podpadaliśmy także w domu. „Może to cię wreszcie nauczy, że masz się nie wdawać w bójki!” Po tych słowach następował policzek. „Spójrz na swoją siostrę! Codziennie wraca ze szkoły taka porządna i czysta.”

Matki mówiły prawdę. Ale nasze siostry uczył młodszy nauczyciel Nothkier, a on nie bił.

Tak było z Isagerem. Niewidzialny towarzyszył nam do domów i siał niezgodę między nami a naszymi rodzicami.



Nadeszła zima i mróz. Zamarzł port, w którym zimowały statki, lód wdarł się na brzeg. Zniknęła granica między wyspą a morzem. Wody nie było, mieszkaliśmy na środku białego kontynentu, który pociągał nas, a zarazem przerażał swoim bezkresem. Moglibyśmy przejść aż na klif Ristinge na wyspie Langeland, gdybyśmy chcieli, w poprzek szlaków żeglownych i skalistych wysepek, ciągnących się niczym niewysokie wzgórza, na których tworzyły się zaspasy i piętrzyła kra. Dziki, wietrzny i pusty krajobraz.

Wdzierał się nawet na nasze ulice. Śnieg tańczył w wirach, na moment kładł się w wielkich zaspach, z których szczytów zbierał go wiatr, i krajobraz znów znikał. Musieliśmy brać udział w tym tańcu. Jeździliśmy na łyżwach w porcie albo włóczyliśmy się po polach aż do wzgórz w okolicy Drejet, by walczyć z wieśniakami lub zjeżdżać ze świstem na sankach ze zbroczy.

Isager nam przeszkadzał, lecz zima trzymała naszą stronę. Bez pieca nie dało się wysiedzieć w chłodnej klasie. Ale piec można było zatkać i gdy pomieszczenie wystarczająco napełniło się dymem, nauczyciel musiał odesłać nas do domu.

Stawał wtedy w drzwiach i na pożegnanie walił nas po karku.

„Ty łobuzie!”, powtarzał każdemu.

Z powodu dymu ledwie mógł oddychać. Oczy za okularami miał czerwone, ale bicia nie odpuszczał. Wychodził ostatni, jak kapitan z tonącego statku, wstrząsany potwornym atakiem kaszlu. Jego nienawiść do nas była tak straszna, że wołał się udusić, niż zrezygnować z bodaj jednego uderzenia batem.

Jedynie w niedzielę mogliśmy cieszyć się śniegiem bez obolałych karków.

•

To Niels Peter pewnego dnia wcisnął swoją bluzę w komin, który wcześniej sprawnie rozebrał. Nie dość, że piec zaczął dymić, co było zamierzone, to jeszcze zajęła się bluza i nagle strzeliły płomienie. Isager natychmiast je ugasił, ale my nie zapomnieliśmy widoku ognia przez chwilę buchającego z komina. Nawet Isager, patrząc na to, umilkł.

Mogliśmy wykurzyć Isagera. Ale czy mogliśmy zrobić coś więcej?

•

W chłodne zimowe wieczory Isager składał wizyty. Odwiedzał kupca Christoffera Mathiesena, swego wiernego poplecznika z komitetu szkolnego. Wokół stołu z mahoniowego drewna siedziało jeszcze paru obywateli, lecz nie było wśród nich pastora Zachariassena. Isager nie żył na dobrej stopie z pastorem, gdyż ten ze wstydem patrzył na jego marne nauczanie. Za to Mathiesen czuł się zaszczycony możliwością podejmowania tak uczonego człowieka, którego po ramieniu pokleпали dwaj przyszli królowie.

„I jak powiedział mi król...”

To była najczęściej powtarzana przez Isagera kwestia w tym towarzystwie. Siedział w swoim surducie przy podwójnym grogu. Opowieść o spotkaniu z królami Chrystianem i Fryderykiem stanowiła jego zapłatę za parujący grog, którego nie zdarzyło mu się nigdy podnieść od ust bez stwierdzenia: „To najlepsze lekarstwo na chłód, jakie Pan Bóg stworzył”.

Gdy grog już zadziałał, Isagerowi zaczynała obwisać dolna warga, a okulary ześlizgiwały się do pozycji, którą Albert nazwał „piękną pogodą”. Nauczyciel pokazywał twarz, jakiej nigdy nie mieliśmy okazji oglądać w szkole. Nie przyjazną, raczej zobojętniałą.

Tego wieczoru Isager, wychodząc z domu Mathiesena na Møllergade, niepewnie trzymał się na nogach. Śnieg padał przez cały czas, przy kamiennych schodach i w poprzek ulicy utworzyły się zaspas. W naszym mieście nie było latarni, więc gdy sypał śnieg, wszystko spowijał mrok. Wiatr wiał ze wschodu, od morza wpadał wprost w Møllergade.

W świetle sączącym się z okna Mathiesena zobaczyliśmy jego twarz. Obojętność na moment ustąpiła miejsca wściekłości, którą znaleźliśmy z odbywających się w klasie rozpraw karnych, spodziewaliśmy się więc, że zaraz krzyknie ze złością: „Ty łobuzie”, do padającego śniegu. Tymczasem jego dolna warga znów obwisła, a spojrzenie zmętniało.

Potem zmienił się jedynie w cień na tle śnieżnych pagórków.

Poszliśmy za nim kawałek, by się upewnić, że wraca do domu na Kirkestræde. Posuwał się wolno. Grzązał w zaspach i wymachiwał rękami. Może go to i rozgrzewało, ale nie ułatwiało marszu.

Mogliśmy go wtedy dopaść.

•

Tylko najstarsi spośród nas wyszli z domu tamtej nocy. Niels Peter pobiegł schodami na stryżek i wymknął się tylnymi drzwiami. Hans Jørgen skłamał, że idzie do kolegi. Jego ojciec owej zimy wypłynął w daleki rejs, a matka traktowała syna jak dorosłego. Josefa i Johana oczywiście nie było.

Wszyscy wiedzieliśmy, że nazajutrz czeka nas taka lub inna awantura, ale jedno bicie mniej czy więcej nie robiło nam różnicy.

Lorentz prosił, żebyśmy go zabrali. Stał i błagał.

– Oj, weźcie mnie – powtarzał.

– Chu, chu... – naśladowaliśmy jego sapanie, gdy zaczynało brakować mu oddechu. – Trzeba będzie szybko biec, nie nadajesz się.

Gdybyśmy naprawdę tak go nie znosili, zabralibyśmy go ze sobą. Nie wiedział, że tego wieczoru go oszczędzamy.

•

Czekaliśmy na Isagera na rogu Kirkestræde i Korsgade. W kryształkach śniegu odbijały się gwiazdy. W końcu go zobaczyliśmy, cień, który powoli rósł wśród migoczących płatków. Ciemność nas chroniła, ale obwiązaliśmy twarze szalikami, tak by widoczne pozostawały jedynie oczy. Nasze oddechy pod wełną parzyły. Sami staliśmy się cieniami, watahą wilków w śnieżnej nocy.

Zaczęliśmy go bombardować białymi kulami. Podeszliśmy blisko, ciskaliśmy mocno i celnie. Wciąż była to tylko zabawa. Grupka chłopców rzucających śnieżkami.

Jedna strąciła mu kapelusz. Nachylił się ciężko, by go podnieść. Wtedy ze świstem pomknęła kula twarda jak lód, długo pieszczona przez gorącą, żądną zemsty chłopięcą dłoń. Uderzyła go w ucho, które już wcześniej musiało płonąć na ostrym mrozie. Równie dobrze mogliśmy rzucić kamieniem. Isager złapał się za głowę.

– Łobuzy! – wrzasnął. – Poznaję was!

Zrobił krok do przodu. Śnieżka trafiła go w twarz i oślepiła. Potem kark przyjął strzał w dziesiątkę. Isager zaczął się słać na nogach z bólu i przepicia.

– Łobuzy! – wrzasnął znów.

Ale teraz z jego głosu uszła siła. Zastąpił ją jęk i strach.

Tego właśnie chcieliśmy. Zabawa się skończyła. Teraz miał poznać nas naprawdę. Z każdym jego niepewnym krokiem znikał nasz lęk. Czuliśmy smak rosnącej w nas siły i nabieraliśmy apetytu na więcej. Poza szkołą Isager był nikim, jedynie starym, pijanym człowiekiem, zagubionym wśród śnieżycy. Ale my tak na niego nie patrzyliśmy. My pojмалиśmy samego szatana, przyczynę wszelkiego zła, które nas spotykało. Jemu nie mogliśmy okazać łaski, bo inaczej lęk nigdy by nas nie opuścił. Wtedy, w klasie, Hans Jørgen zmusił go do ukłęknięcia z ręką wykręconą na plecy, lecz nawet wówczas władza upokorzonego Isagera trwała i Hans Jørgen musiał go puścić.

Tym razem miał się nie wywinąć.

Na moment się wycofaliśmy. Nauczyciel otarł śnieg z oczu, ale nigdzie nas nie zobaczył. Uznał, że jest ocalony, ale na tym właśnie polegał nasz plan. Isager zaczął brnąć przez zaspy. Z szukania kapelusza zrezygnował. Słyszeliśmy, jak mamrocze pod nosem, wiedzieliśmy, że to nas przeklina. Potem znów się pojawiliśmy, z nowymi śnieżkami, jeszcze twardszymi, zmienionymi już w prawdziwe bryłki lodu. Z tak bliska nie mogliśmy spudłować. Przypominało to wymierzanie mu policzków, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Głowa Isagera chwiała się z boku na bok. Poznał teraz naszą wersję bata. Nie wydawaliśmy żadnego odgłosu, on natomiast pomrukiwał i stękał. Chętnie pogruchotalibyśmy wszystkie kości w jego paskudnej twarzy.

Zaprzestaliśmy bombardowania. Nie chcieliśmy, żeby przewrócił się tu, na Kirkestræde, gdzie mógł zostać znaleziony, zanim mróz dokończy nasze dzieło.

Pozwoliliśmy mu dojść aż do rogu Nygade i tam znów go okrążyliśmy. Zmusiliśmy go do ucieczki w dół ulicy. Chcieliśmy go zepchnąć w puste okolice portu, gdzie nocą nikt się nie kręcił. Doprowadziliśmy go niemal do Buegade. Chwiał się na nogach i potykał, od czasu do czasu wpadał głową w zaspę. Czekaliśmy wtedy, aż znów stanie na nogi.

Isager płakał.

To był straszny dźwięk, ale w nas nie budził współczucia. Zadyмка tłumiała odgłosy, więc tylko my słyszeliśmy płacz naszego dręczyciela. Łzy płynęły mu po policzkach i zamarzały na lód. Śnieg przykleił się do bokobrodów, wydłużył je i postrzępił. Płacz i mamrotanie. Czy on wciąż nas przeklinał, czy też modlił się o życie? Tego stwierdzić nie mogliśmy, było nam to zresztą obojętne. Szatan znalazł się wreszcie w naszej mocy.

Isager chciał się schronić pod murem, ale potknął się o schodki jednego z nieco wyższych szachulcowych domów na samym dole Nygade. Upadł na stopnie w połowie przysypane śniegiem. Wsparł się na rękach, a wtedy Hans Jørgen trafił go w nos twardą kulą. Było ciemno, ale śnieg jaśniał i widzieliśmy, jak Isagerowi krew kapie z nosa, najpierw tworzy małą plamkę, potem dużą. Odwrócił głowę w naszą stronę i ryknął ze strachu. Gęsta krew zwisała mu z nosa drżącą nitką.

Hans Jørgen rzucił w niego jeszcze jedną kulą, ale spudłował. Śnieżka z hukiem uderzyła w drzwi.

W środku zapaliło się światło. Za lodowymi kwiatami na zamrzniętych szybach zamigotał płomień.

– Kto tam?

Usłyszeliśmy szuranie w sieni.

Uciekliśmy. Po Buegade chodził Kresten Hansen, wymachując latarnią wśród zadymki. Płomień świecy rzucał migotliwą poświatę na jego okaleczoną twarz. Został nocnym strażnikiem. Sypiał w ciągu dnia, a nocą chodził po mieście, tak abyśmy nie musieli oglądać jego twarzy. Wyglądał strasznie, ale to on ustąpił nam drogi, gdy mijaliśmy go biegiem. Latarnię wypuścił z rąk. Wpadła w zaspę i wokół nas zapanowała ciemność.

•

Następnego dnia Isager nie powitał nas w drzwiach szkoły. Weszliśmy do pustej, lodowato zimnej klasy. Nikt nic nie mówił. Milczeliśmy. To było takie dziwne. Nie czuliśmy żadnej ulgi. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić świata bez Isagera. Czyżby umarł?

Przyszedł młodszy nauczyciel Nothkier i powiedział, że Isager jest chory. Kazał nam iść do domu i przyjść następnego dnia.

Nazajutrz klasa też była pusta, ale w piecu napalono. Znów zjawił się Nothkier, by nas powiadomić, że choroba Isagera będzie trwała długo, a w tym czasie on przejmie lekcje, choć w ograniczonym zakresie, bo przecież musiał zajmować się również dziewczętami.

Nothkier nie był wcale lepszym nauczycielem niż Isager. Również on trzymał się *Małego katechizmu* Ballego, z którego nic nie rozumieliśmy, i *Arytmetyki* Cramera, z której on sam nic nie rozumiał. Ale nas nie bił. Od czasu do czasu pytał, czy zrozumieliśmy to, co nam wyjaśniał. Z ulgą odpowiadaliśmy, że nie. Nie wpadał w złość, nie nazywał nas osłami, nie rozdawał też dukatów. Zamiast tego zaczynał od początku.

Śnieg się utrzymywał, ale my nie zatykaliśmy już pieca ani nie wsypywaliśmy piasku do kałamarzy. Rzadziej wagarowaliśmy. Jakbyśmy chcieli go tym nagrodzić.

•

Powiadano, że Isager rozchorował się na zapalenie płuc, ale w domu nasi rodzice mówili, że zabłądził wśród śnieżycy. „Na pewno był pijany w trupa”, twierdzili mężczyźni. Kobiety ich uciszały.

My wszyscy wiedzieliśmy, co się stało, również ci z nas, którzy nie brali w tym udziału. Ale nie rozmawialiśmy o tym nawet między sobą. Cieszyliśmy się, że Isager nie pokazuje się w szkole. Śmierci, którą zamierzaliśmy na niego sprowadzić, nie poświęcaliśmy zbyt wiele uwagi. Zszedł nam z oczu, a przez to i z myśli. Gdyby ktoś nas spytał, czy naprawdę życzyliśmy mu śmierci, z pewnością byśmy odpowiedzieli, że jest nam to obojętne, dopóki nie musimy na niego patrzeć.

•

Nadeszło Boże Narodzenie i przerwa świąteczna. Isager wciąż leżał w łóżku. Oszczędziliśmy mu psot, które zawsze urządzaliśmy w wigilię Nowego Roku w podzięcie za rok, który się kończył. Nie połamaliśmy sztachet w płocie otaczającym jego ogród. Nie wybiliśmy wszystkich czterdziestu szyb w szkole i nie wrzuciliśmy mu przez okno naszych noworocznych pozdrowień: glinianych naczyń wypełnionych popiołem i cuchnącymi odpadkami.

Po Nowym Roku Isager wrócił i wszystko było jak dawniej.

•

Miał skórę białą jak śnieg na zewnątrz. Nawet jego nos stracił barwę. Ale jak zwykle, gdy był w złym humorze, nosił swój czarny surdut, a okulary wciskał w nasadę nosa. W prawej ręce bat wił się jak żmija, która obudziła się z zimowego snu i szykowała do ataku. Wpatrywaliśmy się w niego, jakby powstał z martwych. W wyobraźni już widzieliśmy go w grobie.

Zaśpiewaliśmy jak zawsze *Minęła już mroczna noc*, lecz czuliśmy, że przesianie psalmu jest przeciwieństwem słów: mroczna noc powróciła; wśród nas krążył upiór.

Kiedy pieśń dobiegła końca, Isager podszedł wprost do małego Andersa i złapał go za ucho. Nic więcej nie musiał robić. Anders posłusznie uklęknął między nogami nauczyciela, a Isager uniósł bat do zadania ciosu.

– Grzech to choroba duszy, dlatego budzi wewnętrzny niepokój – oznajmił spokojnym głosem, który nam wydawał się straszny, bo już w tym stadium wymierzania kary Isagera zwykle ogarniała niekontrolowana wściekłość. – Ten niepokój nazywamy sumieniem. – Podniósł głowę. – Rozumiecie?

W klasie panowała kompletna cisza. Słyszać było jedynie oddechy ognia w piecu. Pokiwaliśmy głowami.

Isager uporał się z Andersem i zabrał się do następnego. Również Albert posłusznie uklęknął między jego nogami.

– Działanie sumienia polega na osądzaniu i karaniu – ciągnął Isager i przytrzymując Alberta za pasek spodni, smagnął batem.

Albert drgnął. Uderzenie sprawiło mu nieoczekiwany ból. Jego tyłek, zahartowany w ciągu jesieni, po długiej przerwie odzyskał wcześniejszą wrażliwość.

– Leż spokojnie! – nakazał Isager tym samym spokojnym tonem, co przedtem.

Mocniej złapał Alberta za pasek i wrócił do swojej przemowy:

– Ale jaką karę wymierza sumienie? Jest nią wewnętrzne niezadowolenie, które odczuwacie, kiedy popełnicie zły uczynek. Czy sumienie wam dokucza? Czujecie karę?

Przestał bić Alberta i rozejrzał się po klasie.

Znów pokiwaliliśmy głowami.

– Kłamiecie – oświadczył, nie podnosząc głosu.

Ruszył do następnej ofiary. Padło na Hansa Jørgena, więc sądziliśmy, że teraz jak zwykle dojdzie do starcia, ale również Hans Jørgen uklęknął na podłodze w oczekiwaniu na karę.

Nie zwracając uwagi na niespodziewany triumf, Isager kontynuował swoje kazanie, wymierzając uderzenia kłęczącemu Hansowi Jørgenowi.

– Wy nie znacie żalu. A wiecie dlaczego? Bo nie macie żadnego powołania. Może nie wiecie, czym jest powołanie. To cel, do jakiego przeznaczył nas Bóg. Ale dla was Bóg nie ma żadnego celu. Wy nie macie rozumu i nie macie sumienia. Nie znacie różnicy między dobrem a złem.

Wyprostował się i znów zaczął przemierzać klasę. Teraz przysła kolej na Nielsa Petera. Ale zamiast się na niego rzucić, Isager na moment zatrzymał się nad plecami pochylonymi na podłodze. Bat uniósł do góry.

– Dobrze mu się przyjrzyjcie – oznajmił. – To jest wasze sumienie. Jedyne, jakie kiedykolwiek będziecie mieć. Tylko bat może was nauczyć odróżniać dobro od zła.

Potem nachylił się nad Nielsem Peterem.

•

Kiedy lekcje się skończyły, ruszyliśmy na pokryte śniegiem pola za miastem. Żaden z nas nic nie mówił. Szukaliśmy wieśniaków, z którymi moglibyśmy się rozprawić.

Od czasu do czasu zerkaliśmy na Hansa Jørgena. Czyżby nas zawiódł? Wszyscy zgięliśmy kark przed Isagerem, ale po nim się tego nie spodziewaliśmy.

Dzień był pochmurny i śnieg nie lśnił ani nie migotał wśród niebieskawych cieni jak zwykle w blasku słońca. Wszystko stało się tak samo szare i równie bliskie lub równie dalekie. Jedyne nagie topole dawały pewne poczucie odległości. Dookoła nie było żywej duszy.

– Przecież tu nikogo nie ma – stwierdził zirytowany Niels Peter.

Znów zerknęliśmy na Hansa Jørgena. Szedł kawałek przed nami i przez cały czas sprawiał wrażenie obojętnego. Nagle się zatrzymał i odwrócił w naszą stronę.

– Nie myślcie sobie, że się wystraszyłem Isagera – oświadczył. – Bo ja się go nie boję.

Wyglądał na rozzłoszczonego. Nic nie powiedzieliśmy, tylko gapiliśmy się w śnieg. Z zaciągniętego chmurami nieba spadł płatek, potem jeszcze jeden. Czekaliśmy, aż Hans Jørgen powie coś więcej, ale milczał.

– Dlaczego pozwoliłeś się zbić?

To Niels Peter spytał, nie podnosząc głowy. Zabrzmiało to niemal tak, jakby mówił do siebie.

Hans Jørgen się zawahał. Rozłożył ręce, jak gdyby z góry zrezygnował z wyjaśnień.

– Teraz to już wszystko jedno – odparł.

Albert oderwał oczy od śniegu i zamrugał, bo sypało już gęściej.

– Nie rozumiem – powiedział.

Hans Jørgen znów zwlekał z odpowiedzią.

– Nie pokonał się go. On wrócił i jest jeszcze gorszy niż dawniej. To wszystko jest... – Znów rozłożył ręce – ...takie beznadziejne.

– No, ale przecież krew mu leciała – przypomniał Albert; sam tego nie widział, ale słyszał o kroplach krwi Isagera ze wszystkimi szczegółami, jakby opisywano obraz.

– No właśnie – zawtórował mu Niels Peter. – Przecież leciała mu krew.

– I co z tego? – Hans Jørgen się odwrócił.

Ruszył z powrotem do miasta. Płatki śniegu padały coraz gęściej. Poszliśmy za nim. Po raz pierwszy czuliśmy, że nie zgadzamy się z Hansem Jørgenem. On zawsze nam przewodził. Teraz musieliśmy radzić sobie sami.

•

Zabiliśmy psa Isagera, ale samego Isagera nie pokonaliśmy. Nauczyciel lał naszych ojców i dalej miał lać nas. Liczyliśmy na palcach. Do szkoły musieliśmy chodzić przez sześć lat. Albertowi zostało jeszcze pięć i pół roku. Hansowi Jørgenowi pół roku, a reszcie jakaś część pomiędzy. Skoro Isager dostawał sześć lat naszego życia, to ile lat musiało upłynąć, abyśmy o nim zapomnieli? Brzmiało to jak zadanie z *Arytmetyki* Cramera, ale nikt nie umiał nam powiedzieć, czy do jego rozwiązania należy zastosować dodawanie, odejmowanie czy mnożenie.

Widzieliśmy, jak Isager krwawi w zimową noc, i widok jego czarnej krwi na śniegu dał nam nadzieję. Widzieliśmy też płomienie buchające z bluzy Nielsa Petera w klasie i jeszcze nie porzuciliśmy myśli o tym, co te płomienie oznaczają.

Zaczęliśmy się domyślać, jaka jest moc ognia.



Hans Jørgen został confirmowany przez pastora Zachariassena i wypłynął na morze. Wrócił po ośmiu miesiącach, gdy morze ściął lód. Z zaoszczędzonej gaży kupił sobie cylinder jak starsi marynarze.

Powiedzieliśmy mu, że teraz może się zemścić na Isagerze. Był już dorosły i nikt mu nic nie robi. Ale Hans Jørgen odparł, że na okrętach biją tak samo, więc nie ma żadnej różnicy, a teraz, kiedy Isager nie jest już jego nauczycielem, on sam nie ma najmniejszej ochoty się mścić. Spotkał go na ulicy, Isager zatrzymał się, wypytywał o życie na morzu i rozmawiał z nim jak z dorosłym, jak gdyby Hans Jørgen nigdy nie rzucił go na kolana z boleśnie wykręconą ręką, a on sam nigdy nie leżał na podłodze smagany batem.

– Wobec tego zrób to dla nas – powiedział Albert. – Spuść mu lanie w naszym imieniu. Jesteś taki duży i silny. Silniejszy niż rok temu. Dasz sobie z nim radę.

– Ja już o nim zapomniałem – odparł Hans Jørgen. – Przestał mnie interesować.

– Taki jesteś ważny, bo przyjęli cię na okręt.

– Nie słuchasz, co mówię.

Hans Jørgen ugiął nogi w kolanach tak, by jego głowa znalazła się na wysokości twarzy Alberta.

– Na okrętach też biją. To się nigdy nie kończy. Trwa cały czas. Równie dobrze możesz już teraz się uczyć, jak się z tym pogodzić.

– To niesprawiedliwe! – oburzył się Niels Peter.

– No właśnie – zawtórowali pozostali. – To niesprawiedliwe!

– A po co tacy jak my mieliby się uczyć rachować, czytać i pisać? – spytał Hans Jørgen. – Jeśli chcemy do czegoś dojść, musimy się nauczyć znosić ciężki. A pod tym względem nigdy nie będziemy mieć lepszego nauczyciela niż Isager.

Wpatrywaliśmy się w niego niepewni. Czyżby z nas kpił?

– Czy Tordenskjold się skarżył, kiedy gwałtowna fala zabrała mu fokmaszt? Co wtedy powiedział?

– Hej, ależ uciecha! – wymamrotał Niels Peter, spuszczać oczy.

– Sam widzisz. Hej, ależ uciecha. Zapamiętajcie to i przestańcie się skarżyć.

– Wydaje mi się, że on się zrobił jakiś dziwny – powiedział później Albert.

Pokiwaliśmy głowami. Czuliśmy się bardziej osamotnieni niż kiedykolwiek. Hans Jørgen nie był już jednym z nas. Dorósł i więcej wiedział o świecie. Ale nam się nie podobało to, co opowiadał. Postanowiliśmy, że nie będziemy mu wierzyć.

A jednak od tamtego dnia zaczęliśmy godzić się na więcej. W klasie nie dochodziło już do buntu, gdy Isager odbywał swoją codzienną rundę z batem, i mniej nas wskakiwało na parapet, próbując uciec.

Przyszły święta i Nowy Rok. W ubiegłym roku zostawiliśmy Isagera w spokoju, ponieważ leżał w łóżku i walczył ze śmiercią, ale zwyciężył, więc musieliśmy wrócić do tradycyjnych psot. To Nielsowi Peterowi wpadł do głowy ten pomysł, bo to jego bluza zapaliła się, wykorzystana do zatkania pieca. Wydawało nam się, że nigdy nie pozbędziemy się Isagera. Ale płomieni nie mogliśmy zapomnieć. Widzieliśmy, jak buchają z pieca, i dostatecznie dobrze znaliśmy ogień, by wiedzieć, że gdy raz zostanie uwolniony, nikt już nie będzie w stanie go zatrzymać.

Jak zaczął się tamten wielki pożar w roku 1815? Czy to ludzie krążyli po nocy z pochodniami, podpalając strzechy? Nie, zaczęło się od przewróconej świecy w jednym z domów na Prinsegade. Więcej nie było trzeba. Ogień przenosił się z domu na dom. Co trzeci budynek w mieście obrócił się w popiół. Łunę ognia widziano aż w Odense.

Babka Alberta, Kirstine, wciąż mówiła o ogniu z przerażeniem w głosie.

„Babciu, opowiedz o wielkim pożarze”, dręczył ją Albert, gdy przychodziła w odwiedziny i siadała przy piecu. A wtedy babka opowiadała o służącej Barbarze Pedersdatter, która w stodole Karlsena na Prinsegade pewnego wieczoru w październiku czesała len przy zapalonym łożowym ogarku. I nagle przy pracy zachciało jej się, bezmyślnej dziewczusze, przeczytać list od narzeczonego! Koniecznie musiała się dowiedzieć, co myśli chłopiec, który wpędził ją w tarapaty. Pomyłona dziewczyna wyróciła świecę! Pakuły stanęły w ogniu i dla całego miasta skończyło się gorzej niż dla niej.

„Szuuu!”, mówiła babka, wyciągając ręce w górę. To był ten wygłodniały ogień, który przebił się przez strzechę. Ona go widziała i miała go nigdy nie zapomnieć. „Módlcie się do Pana Boga, abyście nigdy nie przeżyli tego samego co my”, mawiała, kończąc swoją opowieść.

Ale Albert nie słuchał. Modlił się do Boga o to, by ten uwolnił ogień.

•

Nadeszła wigilia Nowego Roku, zjedliśmy gotowanego dorsza w sosie musztardowym, a potem wybiegliśmy w zimową ciemność. Robiliśmy to, co zawsze. Waliliśmy w drzwi, strasznie hałasując. Łamaliśmy sztachety i ciskaliśmy glinianymi naczyniami. Złapaliśmy jakiegoś psa, obwiązaliśmy mu brzuch sznurkiem i powiesiliśmy go na drzewie łbem w dół. Właściciela przywołanego piskami zwierzęcia obrzuciliśmy zawartością gliniaków.

Bluzy mieliśmy wypchane słomą. Czekaliśmy jedynie, aż zrobi się dostatecznie późno, i wtedy otoczyliśmy dom Isagera. W środku jeszcze się świeciło. Przez okno salonu wrzuciliśmy parę glinianych naczyń. Usłyszeliśmy wrzask jego tłustej żony i zaraz potem jakiś ruch w sieni.

Isager stanął w drzwiach z laską w dłoni.

– Łobuzy! – wrzasnął.

– Możesz sobie krzyczeć! – odpowiedzieliśmy, ciskając w jego stronę jeszcze kilka gliniaków. Jeden trafił go w bark, oblewając surdut paskudną, cuchnącą zawartością. Krzyki Isagera zdusił charczący kaszel, brzmiało to tak, jakby nauczyciel miał zaraz zwymiotować. Jeszcze jedno gliniane naczynie przeleciało obok niego i wpadło do sieni. Josef i Johan stali w oknie i śmiali się z ojca. Nigdy nie pozwalano im na udział w psotach w przeddzień Nowego Roku. Śmiech był ich zemstą. Ale nie wiedzieli, co ich czeka, bo o niczym im nie powiedzieliśmy.

Puściliśmy się biegiem przez Skolegade. Isager rzucił się za nami z laską uniesioną do ciosu. Kiedy z drugiej strony domu rozległ się brzęk tłuczonych szyb, wiedzieliśmy, że to Niels Peter i Albert wybili okno w sypialni i wrzucili do środka płonącą słomę.

Teraz się zaczęło.

„Wyrzyj, bo jak nie, podpalimy cię!”

Skręciliśmy w Tværgade i z powrotem pobiegliśmy na Prinsegade. Słyszeliśmy krzyki Isagera. Zgubiliśmy go i zatoczyliśmy koło. Znow staliśmy przy szkole. Zauważyliśmy, że wiatr się wzmaga. Dzień wcześniej przysła odwilż i większość śniegu na ulicach stopniała. Ciepły zachodni wiatr zabrał nam zimę. Teraz był nad miastem.

Nagle buchnęły płomienie.

Wybiliśmy okna po obu stronach domu. Isager, puszczając się w pogoń za nami, zostawił drzwi otwarte. Teraz zachodni wiatr przelatywał przez dom, roznosząc płonąca słomę w sypialni.

Nigdy wcześniej nie widzieliśmy pożaru i ciarki przebiegły nam po plecach na ten widok. A więc tak wygląda wygłodniały ogień! Był bardziej dziki, niż mogliśmy to sobie wyobrazić. Wydostawał się przez dach. Rozświetlał wnętrze za zbitymi szybami jak tysiąc łojowych świec. Potem z rykiem wydostał się ze wszystkich otworów.

Isager krzyczał. Widzieliśmy, jak jego tłusta *madame* wytacza się przez drzwi. Upadła na schodach i przysiadła u ich stóp. Tak już została, głośno płacząc i skarżąc się jak dziecko.

Isager podbiegł do niej, wywijając laską, jak gdyby to ona była winna nieszczęściu, które ich nawiedziło.

Josef i Johan przyglądali się temu, jakby ich to nie dotyczyło. Z domu naprzeciwko wybiegł Jørgen Albertsen.

My staliśmy po drugiej stronie Kirkestræde. Nasza gromada stale się powiększała. Mieliśmy ochotę głośno wiwatować, ale wiedzieliśmy, że to nie byłoby mądre. Zerkając na siebie i chichocząc, szeptem mówiliśmy więc wierszyk o Nielsie, który ma pokazać czułki.

Godzina naszego dręczyciela wybiła.

Dorośli biegali z wiadrami, które na nic się nie przydały. Zachodni wiatr wzmógł się na dobre. Nie dość że przemknął jak diabeł przez dom Isagera, podpalając zasłony, tapety, meble i poddasze. Więcej, poniósł ogień jeszcze dalej. Na skrzydłach zachodniego wiatru płomienie przeskoczyły z domu Isagera na dom Dreymana, a z domu Dreymana na dom Kromana.

Mały Anders nie recytował już szeptem wierszyka o ślimaku Nielsie. Teraz krzyczał. To jego dom płonął. Widział, jak matka wybiega ze środka, ściskając w objęciach wazę do zupy z angielskiego fajansu, najcenniejszą rzecz, jaką posiadali. Wkrótce cała jedna strona Skolegade stała w ogniu; po chwili zaczął padać śnieg, lecz musiał to być śnieg szatański, ponieważ był czarny.

Ogień zatrzymał się dopiero na rogu Tværgade. Tu przejście przez ulicę było zbyt szerokie, a domy naprzeciwko miały dachy kryte dachówką. Na bruk opadał deszcz iskiei, wypalając dziury w ubraniach tłoczących się ludzi.

Dym i płomienie wznosiły się ku niebu niczym ogon ognistego smoka, wijącego się przez całą Skolegade.

Wreszcie na miejsce dotarła sikawka. Konie parskały ze strachu. Nie nawykły do ognia. W Skolegade nie mogły wjechać z powodu gorąca, sikawka została więc na rogu przy Tværgade, starając się zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia dalej na miasto. Pożaru na Skolegade już nie gaszono. Wcześniej Levin Kroman wołał do nas, że mamy pomóc. I pomagaliśmy. Ale żar stał się za duży, więc nie mogliśmy zbliżyć się do domów. Staliśmy z wiadrami w dłoniach, przylgnąwszy do murów po przeciwnej stronie ulicy, piekącymi oczami przyglądając się morzu ognia.

W ogóle nie myśleliśmy o tym, że to my jesteśmy przyczyną tego, co nie mieściło się w głowie. To ogień był przyczyną. Posiadał własny cel, własną samoniszczącą siłę. Z nami nijak się nie łączył.

Wreszcie nadeszła godzina naszego wyzwolenia. To cała nasza gorycz, cały nasz lęk i nienawiść, zbyt wielka na drobną dziecięcą pierś, karmiły ten ogień. Wypełnił nas szacunek, jak gdyby ogień oczyszczał nasze życie ze wszystkiego, co wstrętne i niepotrzebne. W płomieniach domy zmieniały się w poczerniałe szkielety. Następnego dnia miały budzić smutek i przerażenie. Tamtego wieczoru stanowiły cudowny widok. Czuliśmy tylko to i nic więcej.

Ale zachodni wiatr zawsze zwiastuje deszcz. Wysoko ponad ogniem pękły brzuchy gnających po niebie chmur. Ulewa runęła na płomienie, kładąc kres ognistemu smokowi i naszemu radosnemu podnieceniu.

•

Dzień później poszliśmy oglądać zgliszcza domów. Skolegade była jednym wielkim pogorzeliem. Mury wciąż się trzymały, a otwory okienne gapiły się na nas swoim czarnym spojrzeniem. A całe miasto gapiło się na nie. Był święteczny dzień. Mężczyźni w cylindrach stali z minami ekspertów, jak gdyby byli rzeczoznawcami od pożarów, chociaż od czasu, gdy wybuchł ostatni, minęło już blisko czterdzieści lat. Kobiety w czarnych chustach na głowach zawodziły głośno, również te, które same nic nie straciły w pożarze. Wybuchł w nich lęk, tak jak poprzedniego wieczoru w domach ogień. Lęk przed tym, że utracą wszystko. Braci, ojców, synów. Był to właściwie ów strach, który w żonie żeglarza zawsze budzi morze. Ale tym razem ogień okazał się bardziej miłosierny niż ono. W płomieniach nie zginął nikt.

Usłyszeliśmy, że pani Isagerowa woła Kara. Zapomniała, że psa nie ma już od dawna. Kobiety mówiły do niej, lecz ona tylko kręciła głową i nie przestawała wołać.

I chociaż w pożarze nie stracił życia ani pies, ani człowiek, to jednak dotknięci tragedią utracili to, co pomaga nam żyć, meble, ubrania, pamiątki i sprzęty kuchenne. U Albertsenów znaleziono żeliwny kociołek, który wciąż nadawał się do użytku, a w domu rodziny Svane – patelnię. Rączka spłonęła, ale stolarz Laves Petersen stwierdził, że da się dorobić nową.

Pożar wybuchł, gdy obrzuciliśmy dom Isagera glinianymi naczyniami. Robiliśmy to co roku i co roku byliśmy za to karani. Również ci z nas, którzy nie brali w tym udziału. Ponieważ nigdy nie zdradzaliśmy winnych, wszystkich traktowano tak samo. Ale tego roku nas nie ukarano. W porównaniu z wielkim ogniem nasze gliniaki były niczym. Zapomniano o nich i o nas także.

Isager był na ulicy, gdy w jego domu wybuchł pożar. Nie łączył nas z tym, co się stało. Miał nas za nic i dlatego nie wierzył, że możemy być sprawcami takiej zbrodni. Sam nie wiedział, jakie zło w nas zasiał. Ochroniła nas jego głupota.

W kolejnych dniach zrozumieliśmy, że umysł jego tłustej żony musiał ucierpieć. Dalej chodziła po mieście, wołając Kara. Wierzyła, że wystraszył się płomieni, i codziennie wystawiała dla niego miseczkę z jedzeniem, żeby wywabić go z kryjówki.

– Poprawiła się – stwierdził Josef. – Zapomina o biciu.



Szkoły płomienie nie tknęły, a mieszkanie nauczyciela Isagera odbudowano. Nie minęło też wiele czasu, a na Skolegade stanęły nowe domy. W szkole znów było tak samo. Isager już raz leżał na łożu śmierci. Spłonął mu dom. Mieliśmy w tym udział, my, jego uczniowie, ale on ciągle wracał. Przegraliśmy. Nic się nie zmieniło.

Znów liczyliśmy na palcach. Prędzej czy później mieliśmy osiągnąć wiek pozwalający na opuszczenie szkoły. To była nasza jedyna nadzieja.



Lorentz miał konfirmację i poszedł na praktykę do piekarza na Tværgade. Uważaliśmy, że to pasuje do jego tłustego, niemęskiego ciała, które w miarę jak dorastał, stawało się coraz bardziej kobiece. Urosły mu też piersi. Josef i Johan zabrali go raz na Halen i zmusili do rozebrania się, żeby zobaczyć, jak wygląda dziewczyna. Josef przytrzymał Lorentza, który wrywał się tak, że zwały tłuszczu mu się trzęsły, a wrażliwy Johan, przy każdej okazji roniący swoje tłuste, woskowe łzy, robił z Lorentzem takie rzeczy, po których później patrzyli na nas jak doświadczeni dorośli, jak gdyby posiadli tajemnicę, której moglibyśmy dostąpić, gdybyśmy dostatecznie gorliwie błagali. Ale my nie mieliśmy ochoty o tym słuchać. Nie chcieliśmy nic wiedzieć.

Lorentz chodził nocą do piekarza na Tværgade i wyrabiał ciasto. Wytrzymał tam jednak zaledwie parę miesięcy. Nie mógł oddychać w pobliżu rozgrzanego pieca i drobno zmielonej mąki. Mówił, że mąka wchodzi mu do płuc. Ale to była jakaś bzdura, bo przecież i tak nigdy nie mógł złapać tchu z powodu swej otyłości, a winę za to ponosił on sam i jego matka. Był jedynakiem, ona zaś wdową i pasła go od rana do wieczora jak gęś przeznaczoną na święta.

Piekarz go nie chciał. Lorentz tylko sapał, unosząc ręce, i do niczego się nie nadawał. W końcu wypłynął na morze. Wrócił razem z zimą i pokazywał podbite oko. Powiedział, że Hans Jørgen miał rację, na okrętach też biją. Znów patrzył na nas spojrzeniem, w którym kryło się pytanie: „Czy teraz jestem jednym z was?”

Odwróciliśmy głowy, jak zawsze. Później pomyśleliśmy, że jeśli tak samo patrzył na załogę „*Anne Marie Elisabeth*”, to nigdy nie da sobie rady.

Nikt nie szanuje słabeusza, który błaga.

Nie było żadnego Hansa Jørgena, który by powiedział: „A nie mówiłem”, gdy Lorentz opowiadał, że na okrętach też biją. Hans Jørgen poszedł na dno razem z „*Johanne Karoline*”, zwaną „*NieZRównaną*”, która zaginęła bez śladu w pewien jesienny dzień w Zatoce Botnickiej.

•

Jaki los nas czekał? Bicie i śmierć przez utonięcie. Mimo wszystko tęskniliśmy za morzem. Czym było dla nas dzieciństwo? Przywiązaniem do lądu i życiem w cieniu bata Isagera. Czym było życie na morzu? Jeszcze nie wiedzieliśmy.

•

Utrwaliło się w nas przekonanie, że nic się nie zmieni, dopóki mamy pod stopami ziemię. Isager był taki sam. Jego synowie nienawidzili go i się go bali. My go nienawidziliśmy i też się baliśmy. Tego, czy boi się go i nienawidzi jego żona, nie wiedział nikt. Ale przestała go bić. Zaczęła żyć we własnym świecie. Odebraliśmy Isagerowi psa, dom i rozum jego żony, lecz on pozostawał niezmiennie taki sam. Bił nas tak jak zwykle i niczego nas nie uczył. My walczyliśmy z nim jak zwykle i niczego się nie uczyliśmy.

Nie prześladowaliśmy go już, gdy w zimowy wieczór wracał z podwójnego grogu u kupca Mathiesena. Nie wrzucaliśmy mu do salonu odpadków w wigilię Nowego Roku. Wciąż jednak napelnialiśmy kałamarze piaskiem, zatykaliśmy piec, wyskakiwaliśmy przez okno, wagarowaliśmy i kradliśmy mu książki. Wkrótce przyszła kolej Nielsa Petera na siłowanie się z nim na podłodze, a pewnego dnia miała nadejść kolej Alberta. Isager był nieśmiertelny.

PRAWO

•

Poznaliśmy już bat. Teraz mieliśmy zawrzeć znajomość z morzem.

Czy prawdą było to, co mówił Hans Jørgen, że nigdy nie przestaną nas bić?

Laurids opowiadał raz Albertowi o karze wymierzonej na pokładzie fregaty wojennej „*Never sink*” nieszczęśnikowi, który okazał nieposłuszeństwo. Przywiązano go do masztu i wychłostano aż do krwi. Laurids powiedział, że wybili z niego siedem różnych rodzajów gówna. Tego wyrażenia nie mogliśmy zrozumieć, ale Laurids twierdził, że było amerykańskie: *seven kinds of shit*. Pomyśleliśmy, że taki jest świat poza naszą wyspą. Taka jest ta wielka Ameryka. Mają tam więcej wszystkiego, nawet gówna. Nigdy nie zauważyliśmy, żeby wychodziło z nas gówno różnego rodzaju. Barwa mogła się zmieniać, mogło być rzadkie albo gęściejsze, ale gówno to gówno. Jedliśmy dorsze, makrele i śledzie, owsiankę na słodko, kiełbasę, zupę na jagnięcych flakach i gotowaną kapustę z ziemniakami, więc srać można było tylko na jeden sposób. To właśnie zmienić w nas miał świat. Mieliśmy jeść inne pożywienie, potwory z głębin, których nasi rybacy nigdy nie łowili, kałamarnice, rekiny, wesołe delfiny, barwne jak kwiaty rybki z rafy koralowej, owoce, jakich wieśniacy nie widzieli na oczy, banany, pomarańcze, brzoskwinie, mango i papaje, indyjskie curry, chińskie makarony, latające ryby w mleku kokosowym, mięso węża i mózg małpy. A gdy nas bito, mieliśmy srać siedmioma rodzajami gówna.

W tamtych czasach pływaliśmy głównie ze zbożem do niemieckich i rosyjskich portów na Morzu Bałtyckim. Zawijaliśmy do Norwegii i Szwecji, skąd do domu przywoziliśmy drewno.

Nie poznawaliśmy smaku obcych przypraw, nie widywaliśmy dziwnych ryb ani nowych owoców. Groch, owsianka, solona ryba, zupa owocowa z płatkami jęczmiennymi, suszone śliwki – z tego składała się nasza codzienna dieta. Do wszystkich naszych sosów i zup dodawano syrop i ocet, słodkie z kwaśnym. Ale w życiu na morzu trudno nam było znaleźć słodycz. Kiedy nas batożono, gówno, które z nas wybijano, wciąż się niczym nie różniło.

•

Żegnaliśmy się z matkami. Były przy nas przez całe nasze życie, ale nigdy wcześniej tego nie zauważaliśmy. Pochylały się nad baliami z praniem albo nad garnkami, z twarzami czerwonymi i zapuchniętymi od gorąca i wilgoci. Trzymały się razem, gdy nasi ojcowie byli na morzu. Co wieczór osuwały się na ławę z igłą do cerowania w rękę. Dostrzegaliśmy coś, ale nie matki. Widzieliśmy ich wytrzymałość. Widzieliśmy ich zmęczenie. Nigdy o nic nie prosiliśmy. Nie chcieliśmy sprawiać kłopotu.

W taki właśnie sposób okazywaliśmy im miłość: milczeniem.

Zawsze miały czerwone oczy. Rano, gdy nas budziły, powodował to dym z pieca, wieczorem, gdy mówiły nam dobranoc, wciąż w ubraniu – zmęczenie.

Czasami ich oczy były czerwone, ponieważ płakały za kimś, kto już nigdy nie wróci do domu.

Pytajcie nas o kolor oczu matki. „Nie są piwne. Nie są zielone. Nie są niebieskie ani szare. Są czerwone”.

Tak odpowiemy.

Teraz stoją na nabrzeżu i żegnają się. Między nami wciąż panuje milczenie. Wbijają oczy w nasze oczy.

„Wróćcie”, mówią ich spojrzenia.

„Nie wypływajcie”, mówią ich oczy.

Ale my nie chcieliśmy wracać. Chcieliśmy odpłynąć. Chcieliśmy wyruszyć w świat. Matki wbijają nam nóż w serca w chwili, gdy żegnamy się z nimi na nabrzeżu. My wbijamy im nóż w serca, wyjeżdżając. W ten sposób jesteśmy ze sobą związani. Ranami, które nawzajem sobie zadajemy.

•

W domu czegoś się nauczyliśmy. Umieliśmy założyć na linę opaskę i wiązać węzły. Umieliśmy wejść na reję i nie baliśmy się wysokości masztów. Znaliśmy każdy kąt na okręcie. Ale na pokładzie mieliśmy okazję stać jedynie na statku przebywającym zimą w porcie. Wciąż nie wiedzieliśmy, jak wielkie jest morze i jak maleńki może wydawać się okręt.

•

Zaczynaliśmy jako kucharze.

„Proszę”, mówił szyper i wręczał nam zaśniedziały miedziany garnek. Kociołek był całym kambuzem. W tamtych czasach na pokładzie kambuza nie było. Siedzieliśmy w kubryku przy wymurowanym z gliny piecu, a za komin służył okap zbity z czterech desek przechodzących przez dziurę w pokładzie. W czasie deszczu leciała nim woda. Podczas sztormu, kiedy fale wdzierały się na pokład, wlewały się przez niego całe jeziora i gasiły ogień, a czasami brodziliśmy w wodzie do pól łydki. Przy najmniejszym wietrze, gdy okrętem zaczynało kołysać, musieliśmy przytrzymać garnek gołymi rękami, żeby nie ześlizgnął się na podłogę. Obciągaliśmy rękawy, by chronić dłonie przed gorącym rozgrzanych uch, i wpatrywaliśmy się w zupę owocową oczami piekącymi od dymu z pieca. Nikt nigdy nas nie pochwalił. Musiał przecież być ktoś, komu można wymierzyć kopniaka, a jeśli na pokładzie nie było psa, tym kimś byliśmy my.

Budzono nas o czwartej rano i o każdej porze musieliśmy mieć gotową kawę. Jedynie między jedną a drugą filiżanką był czas na zmrużenie oka. Z drzemki wyrywano nas kopniakiem: „Co, u diabła, chłopaku, znów siedzisz i śpisz!”

Nigdy nie dane nam było spędzić nawet godziny na lądzie, abyśmy mogli obejrzeć miasta, w których dokonywał się wyładunek i załadunek. Po roku na morzu mieliśmy już zaliczone Trondheim, Stavanger, Kalmar, Varberg, Królewiec, Wismar i Lubekę, Antwerpię, Grimsby i Hull. Z daleka oglądaliśmy klify, pola i lasy. Widzieliśmy wieże i iglice kościołów, ale nigdy nie zbliżyliśmy się do nich bardziej niż do przedmiotów i postaci, których kształt przybierały chmury. Jedynym kawałkiem lądu, jaki czuliśmy pod stopami, była keja. Jedynymi budynkami, do których wchodziliśmy, magazyny portowe. Światem, który poznaliśmy, był pokład oblepiony tłustą sadzą, kubryk i zawsze wilgotna koja.

•

Każdego wieczoru w porcie musieliśmy nawet po północy czekać na szypra wyłącznie po to, żeby ściągnąć mu buty.

„Jesteś tam, chłopcze?“, pytał bełkotliwym głosem, z czerwoną twarzą, i ciężko sapiąc, siadał na koi z wyciągniętymi nogami.

Dopiero wtedy mogliśmy się położyć, a budzono nas zaledwie parę godzin później.

•

Spotykaliśmy się każdej zimy, gdy statki wracały do domu, by czekać na wiosnę i wolne od lodu szlaki.

– Pamiętacie, co mówił Hans Jørgen? – spytał Niels Peter. – Ze najważniejsza rzecz, jakiej nauczył nas Isager, to przyjmowanie ciosów?

– Szkoda, że nie nauczył nas nie spać – stwierdził Josef.

Był synem Isagera, lecz mimo to poszedł na morze. Johan został w domu. Miał się opiekować matką, która od pożaru włóczyła się po polach owinięta szmatami i nawoływała Kara. Miał nadzieję, że zostanie diakonem jak jego ojciec.

Pokiwaliśmy głowami. Taka mniej więcej była suma naszych doświadczeń zebranych w ciągu pierwszego roku na morzu. Bicie i wiecznie nieprzespane noce.

– Kawa się skończyła – powiedział Albert.

Przez rok pływał na kutrze „*Catrine*”.

– Wydzielono mi ćwierć funta. To miało wystarczyć na siedem dni dla trzech ludzi, a na dodatek szyper zapowiedział, że kawa ma być mocna. Stale narzekali. Kawa była słaba, ale ja ich wykiwałem.

– A co zrobiłeś? – zainteresował się Niels Peter.

Pływał już o rok dłużej od Alberta, ale wciąż miał problem z kawą.

– Uprażyłem groch, bo jego nigdy nie brakuje, i domieszałem do kawy. „Cudownie mocna kawa. Rzeczywiście nie pozwala człowiekowi zasnąć”, powiedział szyper, lecz potem brzuch go rozbolał, tak samo jak jego pomocnika. W ten sposób odkryli prawdę. Nigdy się nie przyznałem, że dodawałem cztery razy więcej grochu niż kawy. Ale musiałem wymyślić coś nowego. Zamiast grochu uprażyłem cały garnek żyta. Teraz znów mnie chwalą za mocną kawę.

– Zawsze to my jesteśmy winni – westchnął Josef. – Kiedy owsianka się przypali, groch jest za twardy albo chleb zapleśnieje.

– Szyper mówi, że jak źle zrobię żarcie, to sam muszę je zjeść. „Zryj ten spleśniały chleb” albo „Zjedz surowy groch”, a ja mu na to: „Nie. Nie jestem świnia, którą można karmić byle czym”.

Albert podniósł głowę. Widzieliśmy, że jest dumny ze swoich odpowiedzi, lecz mieliśmy również świadomość, ile muszą go kosztować.

– I co na to szwyper?

– Przez dwa dni nie dostaję śniadania ani kolacji.

Pojawił się Lorentz. Johan odsunął się ze wzrokiem wbitym w bruk, ale Josef posłał mu wyzywające spojrzenie. Lorentz odpowiedział mu tym samym. Już o nic nie błagał. Wciąż był gruby, ale nabrał siły, której wcześniej nie miał. Nigdy nie śniło nam się jego opasłe, białe ciało, tak jak potrafiły śnić się nam kobiety, ale gdy waliliśmy w jego ustępujące pod naciskiem zwały tłuszczu, przesywał nas gorący dreszcz. Gdybyśmy teraz uderzyli, zwichnęlibyśmy sobie rękę.

Lorentz nic nie powiedział.

Cofnęliśmy się o krok. Czyżby jaja nareszcie wpadły mu na swoje miejsce, gdy wszedł na reję „*Anne Marie Elisabeth*”?

•

Albert jeszcze przez dwa lata pływał na „*Catrine*”. Widział Flekkefjord, Tønsberg, Fredrikstad, Göteborg, Rygę, Stralsund, Hamburg, Rotterdam, Hartlepool i Kirkcaldy. I nie widział nic. Potem wymustrował. Chciał się uwolnić od miedzianego kociołka i wojny o kawę.

Morze nigdy nie było identyczne, a jednak pozostawiło w Albercie wrażenie jednostajności. Jesienią jakby zastygało pod nisko zawieszoną pokrywą stratusów. Poruszało się powoli jak płynna rtęć. To zima spadkiem temperatury ogłaszała swoje nadejście. W tężejącej powoli powierzchni wody Albert na powrót odnalazł swoje życie.

Chmury nad zamrożonym morzem się zmieniały, ale on już je znał. Cieszyły oczy, ale nie duszę. Albert miał w sobie żądzę wiedzy, której nie mogło zaspokoić żadne zachmurzone niebo. Gdzieś na ziemi musiało istnieć inne światło, inne morze, będące zwierciadłem dla innych gwiazdozbiorów, większego księżyca i gorętszego słońca.

•

Szyper zaproponował mu, żeby zamustrował u niego jako marynarz.

– Rozumiesz się już na żegludze – stwierdził pewnego wieczoru w Stubbekøbing, kiedy Albert pomagał mu zdejmować buty. – Potrafisz podnieść latacz i topsel. Znasz się na kompasie, umiesz płynąć i bajdewindem, i fordewindem.

Albert jednak uczynił to samo, co niegdyś jego ojciec. Wybrał się do Hamburga, by znaleźć statek, który zabierze go gdzieś dalej w świat.

Przed wyjazdem poszedł na strych. Tam wśród worków z ziemniakami i zbożem stały marynarskie buty jego ojca. Laurids zostawił je, gdy wypływał po raz ostatni. To był znak.

Zrozumieli to dopiero później. Przy sztormowej pogodzie, gdy dach domu się ugiął i szarpało szczytową ścianą, matce wydawało się, że słyszy, jak puste buty chodzą po strychu. Nikt jednak nie miał odwagi sprawdzić, jak jest naprawdę.

Rasmus i Esben nigdy nie dotykali butów. Być może powodował nimi strach, ale też i nigdy nie osiągnęli wysokiego wzrostu ojca i mieli zbyt małe stopy, by wypełnić nimi te buty. Tylko Albert był do niego podobny.

Zszedł ze strychu z butami w rękę. Drewniane podeszwy wciąż były osmalone po podróży Lauridsa do nieba.

– Na co ci one? – spytała matka z niepokojem w oczach.

Wydawało się, że bije się z myślami, nie wie, czy na pewno ma nadzieję, że syn je wyrzuci.

– Zamierzam je nosić – odparł Albert.

– Nie możesz!

Zasłoniła usta dłonią, jak gdyby bała się, że syna spotka nieszczęście, gdy tylko je włoży. Czy kierował nią przesąd, czy przecucie, trudno stwierdzić. W każdym razie był to matczyzny lęk. Domyślała się, że tym razem Albert wybiera się daleko i nie będzie go przez wiele lat, a dla niej równało się to jego śmierci.

– Będę je nosił – oświadczył krótko.

Musiał się schylić, żeby przejść przez drzwi, a ramionami wypełniał całą futrynę.

– Obiecałeś ojcu, że je naprawisz i będą jak nowe – powiedział, stając w warsztacie szewca na Kongegade.

– Od tamtej pory minęło już dwanaście lat. Masz dobrą pamięć – odparł Jakobsen. – Ale obietnica to obietnica. Przyjdź po nie w sobotę.

•

Przez siedem miesięcy Albert pływał na hamburskim brygu jako marynarz. Pożeglował do Indii Zachodnich. Widział brzegi porośnięte palmami i latające ryby. Widział ludzi o czarnej i brązowej skórze. Widział ich pokorne spojrzenia, przygarbione karki i miał świadomość, a nikt nie musiał mu tego tłumaczyć, że tak jak on poznali bat. Tu ludzie tacy jak Isager nie byli nauczycielami. Oni władali słonecznymi wyspami, również takimi, gdzie mówiono po duńsku, a rządzili za pomocą bata.

Albert pił mleko kokosowe i jadł mięso aligatora, które smakowało jak kurczak. Srał siedmioma rodzajami gówna, ale żadnego z niego nie wybito.

To go ominęło.

„To się nigdy nie kończy”, twierdził Hans Jørgen. Ale się skończyło. Gdy jest się marynarzem, ma się siedemnaście lat i dostatecznie dużo siły, by się bronić, wtedy to się kończy. Albert przyglądał się czarnym i brązowym ludziom, którzy wyładowywali i załadowywali bryg. Nie byli panami samych siebie. Ich panem był bat, a Albert zastanawiał się, co by się z nim stało, gdyby urodził się jako jeden z nich i aż do grobu towarzyszyłyby mu razy. Czy w końcu udałoby im się go złamać? Czy może wyszukałby sobie kogoś, na kogo mógłby przerzucić swoje upokorzenie jedynie po to, by poczuć się człowiekiem? Czy znalazłby sobie jakiegoś Kara, którego mógłby zabić, dom do spalenia, kobietę, którą doprowadziłby do szaleństwa?

•

Spotykaliśmy się w Marstal każdej zimy i przyglądaliśmy sobie. Stawaliśmy się mężczyznami. Oczy nam się zapadały. Kości policzkowe zaczynały nam się wyraźnie rysować i wystawać, jak gdyby te ciosy, które nam w życiu wymierzono, na zawsze zostawiły na nas swoje ślady. Ale nasze dłonie rosły, a ich wnętrza twardniało. Ramiona nabrzmiewały, na przedramionach ścięgnięta i żyły walczyły o miejsce pod niebieską pajęczyną tatuaży. Dorostaliśmy i nasz opór przeciwko batowi nabierał siły.

Albert nie wrócił do domu.

•

Wrócił do Hamburga i znów wypłynął, tym razem do Ameryki Południowej. Po powrocie wymustrował w Antwerpii i zaciągnął się na bark z Liverpoolu, idący do Cardiff po ładunek węgla. Postanowił nauczyć się angielskiego.

Kiedy bosman wykrzykiwał swoje polecenia: *All hands up anchor!* i *Heave, my hearties, heave hard!*, Albert słyszał głos ojca. *Papa tru* znów był blisko. Pamiętał jego amerykańskie słowa, które tak bardzo irtowały matkę i wzbudzały taki podziw u braci.

Hanggre, mówił w mesie.

Kręcili głowami i śmiali się z niego.

Monki, odpowiadali.

Upłynął długi czas, nim Albert zrozumiał, że jego *papa tru* nigdy nie mówił po amerykańsku. Pidzin był namiastką angielskiego, używaną przez Chińczyków i kanaków, i tego właśnie nauczył go *papa tru*, małego angielskiego, języka kanibali.

•

Albert przepłynął równik i przeszedł chrzest, tak jak wcześniej jego *papa tru*. Został zmuszony do całowania brunatnej Amfitryty, z której dziobaty ch po ospie policzków sterczały ostre gwoździe. Nasmarowano go lojem i sadzą z lamp, syreny i murzyńscy chłopcy przytrzymywali go pod wodą, aż o mało nie pękły mu płuca. Ogolono go zardzewiałym nożem, po czym zostały mu blizny, które później ukrywał, zapuszczając brodę.

Nauczył się szanty, którą śpiewał nam przez wiele lat. Zawsze powtarzał, że to najprawdziwsza piosenka, jaką napisano o morzu.

Shave him and bash him,
Duck him and splash him,
Torture him and smash him
And don't let him go!

Opłynął przylądek Horn. Słyszał krzyk pingwinów wśród czarnej jak grób nocy i zdobył doświadczenie. Dotarł do Callao, do Lobos Islands, wysp z pokładami guana, położonych przy równiku. Wrócił do Europy. Zaokrętował na trzymasztowy pełnorejowiec „*Nova Scotia*” i popłynął do Nowego Jorku, gdzie zszedł na ląd. Tam chciał się dostać na amerykański statek, na którym płacono wysoką gażę. Może to wciąż straszyl *papa tru* z jego snami o Ameryce.

Ale na pokładzie barku „*Emma C. Leithfield*” spotkał kogoś innego, nie *papa tru*, tylko Isagera z batem, i tym razem musiał rozprawić się z nim ostatecznie.

•

Później zawsze nam mówił, że nigdy nie zapomni tej chwili, gdy wchodził na pokład.

Pytaliśmy go, czy naprawdę nie wiedział, jak jest na amerykańskich statkach. Nie słyszał, że załogi często się buntują, a sternika wybiera się nie według jego umiejętności żeglarskich, tylko według siły i skłonności do przemocy? I że rozkazy częściej wydaje pięść albo rewolwer niż kapitan? Czy naprawdę w ogóle nie był tego świadomy?

Albert odwracał głowę i śmiał się pod nosem, jak gdyby w zasadzie wiedział o tym wszystkim, ale zwyczajnie nie chciał się do tego przyznać.

Potem spojrzął na nas.

– Nie – powiedział. – Nie sądziłem, że może być aż tak źle. To było dziesięć miesięcy w piekle. O tym, że piekło istnieje, już wiedziałem, ale tego, jak się z piekła wydostać, ten przeklęty Isager nigdy nas nie uczył.



Przed masztem „*Emmy C. Leithfield*” mieszkało siedemnastu ludzi. Sześciu z nich pochodziło ze Skandynawii. Zdaniem Alberta byli to jedyni prawdziwi żeglarze na pokładzie. Wcale nas nie zdziwiło, że tak uważał, przecież zawsze najlepiej myślimy o naszych. Albert swoją opinię uzasadnił jedną jedyną obserwacją: tylko oni, wchodząc na pokład, byli w stanie utrzymać się na nogach.

Do burty statku podpłynął *runner*. Grupę zalanych w trupa Francuzów wtaszczyło na pokład dwóch, wyglądających na brutali, *crimps*, tak zwanych rekinów lądowych, agentów werbujących ludzi do marynarki, którzy mieli umowę z *boardinghouse*, w którym Francuzów oskubano z ostatnich pieniędzy. Za nimi przy płynęli pijani do nieprzytomności Włosi i Grecy. Trzecia łódka przywiozła podchmielonych Anglików i Walijszyków. Wszyscy trzymali pod pachą niewielkie tobołki z ubraniem, to był cały ich ekwipunek. Włosy mieli nieostrzyżone, twarze poznaczone bliznami. Z kieszeni wystawały im napoczęte butelki whisky. Bełkotali i wrzeszczeli w różnych językach, ale wszyscy należeli do jednego gatunku: portowych mętów.

Nie byli w stanie niczego zrobić. Gapili się na łańcuchy kotwiczne, jak gdyby nie mieli pojęcia, dokąd prowadzą. Z dumnym uśmiechem wpatrywali się w takielunek. Zataczając się, zniknęli w zejściówce. Dotarwszy do kubryku, zwalili się na podłogę albo na koje i głośno chrapiąc, zasnęli na gołych deskach.

•

Kapitan Eagleton był stosunkowo młodym mężczyzną z dużymi bokobrodami i uciekającym spojrzeniem. Nie potrafił wzbudzić szacunku wśród załogi składającej się z samych dzikusów. Albert od razu się zorientował. Kapitan kazał mu zejść nad dół, do kubryku, i przynieść stamtąd niedopite butelki whisky. Następnie polecił wyrzucić je za burtę. Albert, patrząc na flaszki kołyszące się na wodzie, pomyślał, że Eagleton powinien był to zrobić na oczach całej załogi, a nie ukradkiem, gdy pijani marynarze spali.

Zauważył, że na baku stoi przyśrubowany wielki, solidny fotel. Przypominał tron, tylko króla nie było. Albert nie wierzył, że fotel może należeć do kapitana. Miał już dostateczne doświadczenie z życia na morzu, by widzieć, że Eagleton to typ, który trzyma się z dala od pokładu i najchętniej izoluje się od załogi. Czyżby wobec tego fotel należał do sternika? Pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo sternik na razie jeszcze się nie pokazał.

Z kubryku dobiegł nagle hałas i kapitan polecił Albertowi sprawdzić, co się dzieje. W ciemności rozległ się krzyk:

– Ukradłeś moją whisky, przeklęty psie! – wrzeszczał któryś z Anglików.

Odpowiedziano mu po włosku, potem w jakimś innym języku, chyba po grecku. Chwilami Albert słyszał zdania, w których rozpoznawał poszczególne słowa, ale całego sensu nie potrafił uchwycić. Ci marynarze przez tyle lat żyli w takiej bliskości z ludźmi innych narodowości, że w końcu zaczęli mieszać języki jak budowniczkowie wieży Babel.

Bójka musiała toczyć się o butelki whisky, które zniknęły. Słyszał odgłos uderzeń, potem dźwięk ciała ciężko padającego na deski. Zobaczył nóż w czyjejs ręce i usłyszał jęk. Podnieceni walką, sapiąc, nabierali powietrza w tym samym rytmie, co przy szancie towarzyszącej podnoszeniu kotwicy. Teraz wyciągali coś ciemnego i przerażającego z głębin w nich samych.

Chociaż Albert stał bezpieczny na pokładzie, cofnął się o kilka kroków. Co mógł zdziałać tam na dole? Ta bójka musiała sama się zakończyć. Już wcześniej widywał podobne sceny. Takie spory rzadko kończyły się zabójstwem. Następnego dnia mężczyźni wyjdą z kubryku skacowani, pobici i pokaleczeni, a potem w milczeniu, z niechęcią i przekrwionymi oczami wezmą się do roboty. Dzisiaj byli zwierzętami. Jutro znów będą marynarzami.

Albert nie przestraszył się szaleństwa w kubryku. Bał się braku autorytetu kapitana.

– Z drogi!

Albert, złapany za ramiona, został gwałtownie odsunięty na bok. Przed nim stał prawdziwy potwór, nie człowiek. Na twarzy dominował wielki czerwony nos i płatanina blizn biegnących wzdłuż i wszerz, jak gdyby ta głowa była dynią, którą ktoś usiłował otworzyć za pomocą noża. Oczy tonęły w masie ciała.

Miały źrenice czarne jak kamienie na dnie głębokiego jeziora. Albert domyślał się, że również wielki, umięśniony tors pod brudną, podartą koszulą pokrywają szramy od noża. Ktoś jakimś ostrym narzędziem szukał serca tego olbrzyma, ale w obliczu takiej ilości ciała, ścięgien i mięśni było to jak wbijanie noża w lokomotywę parową.

Albert natychmiast zrozumiał, kogo ma przed sobą. Oto zjawił się właściciel tronu, prawdziwy władca statku.

Sternik.

Olbrzym zeskoczył do kubryku. Nie skorzystał z trapu, tylko po prostu zrzucił swe ogromne ciało między walczących. Z dołu dobiegł huk i wrzask. Dźwięki bijatyki jeszcze przybrały na sile. Wycie i okrzyki bólu mieszały się ze sobą, z odgłosami walki i z jękiem zupełnie niepasującym do bijących się mężczyzn.

Trwało to przez pewien czas, wreszcie hałas ucichł. W końcu słyhać już było tylko jeden głos, należący, jak przypuszczał Albert, do sternika.

– Macie już dość? Gadajcie, macie już dość?

Jedyną odpowiedzią był jęk. Potem rozległy się odgłosy kolejnych ciosów, a może kopnięć, i w końcu w kubryku zapadła cisza.

W drzwiach ukazał się zasapany sternik. Zaliczył kilka ciosów, zapowiadających kilka nowych szram. Krew leciała mu z głębokiego rozcięcia nad okiem i z szyi. Otarł czoło ręką z obojętną miną, jak gdyby krew była jedynie potem, który zgromadził się w wielkiej brwi.

Albert nie ruszył się z miejsca, odkąd sternik zszedł na dół. Teraz został odepchnięty na bok, a krwawiący olbrzym bacznie przyjrzał się pozostałej części załogi, jak gdyby rozważał kontynuowanie wymierzania kary, które rozpoczął w kubryku.

– Jestem O'Connor.

Mężczyźni na pokładzie pokiwali głowami, jakby wielkolud wydał polecenie.

O'Connor podszedł do tronu i ciężko na nim usiadł. Beknął głośno. Krew rozsmarowana na czole sprawiała, że przypominał pogańskiego bożka z rodzaju tych, które chętnie przyjmują ofiary z ludzi. Albert sądził, że sternik poprosi o wodę i mydło, aby móc obmyć rany, lecz O'Connor o nic nie prosił. Siedział tylko, a krew krzepła mu na czole i na szyi. Blizny były jego tatuażami. Dodał teraz kilka nowych szczegółów do tego straszliwego dzieła sztuki, w które zmienił swoją twarz i ciało.

Potem gwizdnął. Włochaty, czarny, potworny pies, którego nikt wcześniej nie widział, podszedł, skradając się jak wilk, i ułożył się u jego stóp. O'Connor wyciągnął z kieszeni nankinowych spodni wielkokalibrowy rewolwer i zamyślony zaczął obracać bębenek.

•

Gdy nadszedł wieczór, Albert odważył się zejść do kubryku, lecz wkrótce stamtąd wrócił. Wolał spędzić noc na pokładzie. W blasku łożowej świecy zobaczył mężczyzn leżących na podłodze w dziwacznych, powykręcanych pozycjach. Paru siedziało na ławie, trzymając się rękami za głowy. Albert nie potrafił stwierdzić, czy śpią. Na ścianach była krew, a wszędzie na podłodze – wymiociny.

Następnego dnia rano pojawili się ludzie z kubryku. Wszyscy nosili ślady wczorajszej bójk, niektórzy kuleli, inni poruszali się wolno i ostrożnie, jak gdyby pod ubraniem skrywali obrażenia, sprawiające im wielki ból. Twarze im opuchły, a wokół oczu mieli różnobarwne sińce. Jeden miał złamany nos, którego kształt świadczył zresztą, że stało się to nie pierwszy raz. To byli twardzi mężczyźni. Przywykli do bicia i skutków długiego pijaństwa. Potrafili bez słowa skargi wytrzymać niemal wszystko, ale ich twarze miały wyraz, jaki rzadko widuje się u marynarzy. Wyglądali na uległych. Nie patrzyli na siebie, a już na pewno nie spoglądali na O'Connora, gdy wyrzaskiwał rozkazy. Patrzyli na swoje ręce albo wodzili wzrokiem po takielunku.

•

Na „*Emmie C. Leithfield*” pływał kucharz, lecz nie był to kucharz tego rodzaju, z jakim mieliśmy do czynienia na kutrach z Marstal, i od razu zrozumieliśmy, o co chodzi Albertowi, gdy zwrócił nam uwagę na tę różnicę. Wszyscy przecież zaczynaliśmy od kambuza jako wyrostki, które ledwie umiały coś więcej, niż utrzymać kociołek nad ogniem podczas sztormu, mieć stale w pogotowiu gorącą kawę i nie dopuścić, by z głodu pomarli ludzie, którzy i tak bardziej cenili sobie pełny brzuch niż rozkosze podniebienia.

Ale Giovanni nie należał do takich. Był Włochem i każdego dnia zapewniał świeży chleb, ciepłe danie na obiad i kolację, a oprócz tego *pies* i delikatne ciastka, i to zarówno dla dziobu, jak i dla rufy. Jadaliśmy lepiej niż w najlepszych *boardinghouse*, ba, nawet *Logis-Mutter, Frau Palle* z alei Kasztanowej w Hamburgu, nie mogła równać się z Giovannim, jak opowiadał Albert.

„*Emma C. Leithfield*” była niezwykłym statkiem. Miała – co do czego marynarze mimo wszystkich różnic językowych prędko się zgodzili – najgorszego w amerykańskiej flocie sternika i najlepszego kuka. Kambuz był niebem, pokład piekłem.

•

Giovanni wszedł na statek jako ostatni. Nie przybył sam. Towarzyszyły mu dwa prosiaki, dziesięć kur i nieduże cielę. Na pokładzie dziobowym zrobił zagrodę, w której wszystkie zwierzęta przebywały razem.

Psa O’Connora ogarnął niepokój. Opuścił swoje miejsce u stóp pana i zaczął krążyć po dziobie z otwartym pyskiem i wygłodzonym spojrzeniem. Giovanni śmiało podszedł do potwora, który odsłonił zęby i groźnie na niego warknął. Najwyraźniej uważał statek za swoje terytorium.

Giovanni popatrzył mu w oczy. Potem uniósł rękę, ale nie do uderzenia, raczej tak, jakby chciał coś wytłumaczyć niememu zwierzęciu, jak gdyby je hipnotyzował. Pies położył się na brzuchu, pisnął żałośnie, a potem zaczął pełznąć do tyłu. Gdy żarłoczny potwór czołgał się z wysiłkiem, wycofując się przed niedużym, szczupłym człowieczkiem, wyglądało to tak zabawnie, że marynarze, będący świadkami tej sceny, wybuchnęli śmiechem.

O’Connor też to widział. Ale się nie śmiał.

•

O'Connor nie jadał z pozostałymi oficerami. Przesiadywał na swoim tronie na pokładzie i kazał sobie przynosić jedzenie. Żadna pogoda mu nie przeszkadzała. Jego ciało było odporne na wszystko. Miał na sobie zawsze to samo ubranie. Nigdy się nie przebierał. Nosił tę samą wystrzępioną koszulę, od biedy zakrytą kamizelką bez guzików, z porozrywanymi dziurkami. Z fotela wypędzały go jedynie śnieżyce i gradobicie. Ale jung mówił, że również w swojej kajucie, w której cuchnęło jak w norze dzikiego zwierza, sternik sypiał na przyśrubowanym do podłogi fotelu. Pies leżał u jego stóp. O'Connor zawsze pozostawał czujny. Powiadano, że nawet przez sen napinał mięśnie.

Kiedy Giovanni przyniósł mu jedzenie następnego dnia, O'Connor postawił talerz na pokładzie zamiast jak zwykle na kolanach. Dał znak psu, który natychmiast rzucił się na pięknie przygotowany posiłek. O'Connor w tym czasie nie spuszczał oka z Giovanniego, ale ten wytrzymał jego spojrzenie. Wcale nie bał się bardziej O'Connora niż jego psa.

Nad psem potrafił zapanować gestem. Ale O'Connor pozostawał poza jego kontrolą. Kucharz zyskał sobie śmiertelnego wroga.

Dzień później Giovanni przyniósł O'Connorowi jedzenie w misce dla psa i postawił ją u stóp sternika.

– Smacznego – powiedział i odwrócił się, żeby odejść.

– Gdzie moje żarcie?

Głos O'Connora brzmiał cicho i groźnie.

– Tam. – Giovanni wskazał na miskę. – Powinieneś się pospieszyć, zanim pies ci to zeżre.

W tym momencie przypieczętował swój los.

•

Giovanni był kimś więcej niż tylko kucharzem. Kiedy statek stoi na redzie w Nowym Jorku, na pokład wchodzi nie tylko krawcy, szewcy, rzeźnicy, portowi dostawcy i owocarze, wszyscy ci praktycznie myślący ludzie, bez których żaden statek by sobie nie poradził przed wyjściem w morze, lecz również paserzy oferujący tombakowe pierścionki i zegarki, które przy najmniejszym wstrząsie przestają chodzić, tatuażysty z zanieczyszczonymi igłami, przez które po zabiegu wywiązuje się ropiejące zapalenie, żebracy i sztukmistrze, żonglerzy, fakirzy i wróżki, rajfurzy, alfonsi i złodzieje. Giovanni wyglądał tak, jakby należał raczej do tej grupy niż do załogi „*Emmy C. Leithfield*”. Stał na pokładzie w czerwonej chustce zawiązanej na kruczoczarnych włosach i żonglował czterema jawkami, które fruwały między jego dłońmi, a żadnego nie upuścił. Tak wyglądało jego *entrée*.

Wcześniej występował w cyrku, a w jaki sposób trafił na morze, tego nikt nie wiedział. Umiał rzucać nożami i żonglować; zdarzało się, że zrezygnowaliśmy z wolnej wachty wyłącznie po to, by stać w drzwiach kambuza i przyglądać się, jak on pracuje. Potrafił żonglować naostrzonymi nożami, trzema albo i czterema naraz. Wirowały przed nim jak obracające się koła. Ani razu żadnego nie upuścił, nie złapał źle, ani się nie skaleczył.

„Giovanni nakrywa do stołu!”, niósł się krzyk po pokładzie i załoga pędziła do mesy, żeby znaleźć się w pierwszym rzędzie.

Kuk stał u szczytu stołu i nakrywał, nie ruszając się z miejsca. Blaszane talerze żeglowały przez powietrze, tak samo noże i widelce. Ładowały tam, gdzie miały upaść, obok siebie. Widzowie nie mogli wyjść z podziwu. Nic się nigdy nie stłukło. Nie mogli tego pojąć.

– Jak ty to robisz, Giovanni?

Z uśmiechem kręcił głową. To nie była żadna tajemnica.

– Wszystko siedzi tutaj. – Pokręcił nadgarstkami.

Marynarze patrzyli na siebie porozumiewawczo. Rozpierała ich duma z kuka. Whisky trafiła za burtę. Byli na morzu. Dostosowali się i wykonywali codzienne obowiązki. Ale to Giovanni zrobił z nich załogę.

•

Byli już dwa tygodnie na morzu po wyjściu z Nowego Jorku. „*Emma C. Leithfield*” minęła równik, trzymając kurs na Buenos Aires, a marynarze jak zwykle stali i podziwiali Giovanniego, gdy nagle pojawił się O’Connor. Kucharz nakrywał do stołu. Talerze nieomylnie żeglowały przez powietrze ku miejscu przeznaczenia, gdy nagle O’Connor wysunął olbrzymią łapę, a wtedy jeden wypadł z kursu i wylądował na podłodze. Nie rozbił się, bo blaszane talerze się nie tłuką, lecz mimo wszystko efekt sabotażu O’Connora był większy, niż gdyby talerz rozpadł się na tysiąc kawałków.

Wyraz twarzy Giovanniego zmienił się natychmiast. Gdy wykonywał swoje sztuczki, był jednocześnie skoncentrowany i pełen uniesienia. Nagle jakby się obudził. Zadowolenie na jego twarzy ustąpiło czujności, jakiej nigdy dotychczas nie widzieli. Gdy kułak O'Connora wystrzelił ku niemu, odsunął się z taką samą wirtuozerią, z jaką rzucał nożami i talerzami. Pięść sternika, która zmieniłaby jego wąską, delikatną twarz w krwawą miazgę, uderzyła w ścianę ze strasznym trzaskiem. Kiedy O'Connor odzyskał równowagę, okazało się, że kostki ma zakrwawione.

Giovanni stał w tym samym miejscu co przedtem z wyrazem skupienia na twarzy. Nie biła z niej wrogość, strach, gniew czy panika. Był artystą cyrkowym, który wysoko pod kopułą przygotowywał się do trudnego skoku bez siatki zabezpieczającej, a gdy O'Connor, nie panując nad sobą, uderzył ponownie, Giovanni uchylił się z taką samą precyzją jak poprzednio.

Sternik poleciał w przód, pozornie tracąc równowagę, ale ci, którzy w tej chwili widzieli jego minę, domyślali się, że stanie się coś jeszcze. Na jego paskudnej twarzy nie było śladów szaleńczego podniecenia. Oczy O'Connora zmieniły się w wąskie szparki wśród nabrzmiałych, pokrytych szramami fałd ciała. Bił z nich chłód i spokój, świadczący o tym, że upadek był zaplanowany.

Giovanni uskoczył w bok, żeby usunąć się z drogi upadającemu olbrzymowi. Ale O'Connor, zamiast zamortyzować upadek rękami, wysunął długie ramię i złapał drobnego Włocha, pociągając go za sobą na podłogę. Spodziewali się, że O'Connor będzie się starał przyduścić Giovanniego, by następnie go sprać, i już zaczęli się tłoczyć wokół olbrzyma, by go odciągnąć. Tymczasem dwaj mężczyźni na podłodze przez chwilę leżeli nieruchomo obok siebie. I nagle z ust Giovanniego rozległ się krzyk bólu. Kuk złapał się za nadgarstek. Dłoń zwisała mu dziwnie, bezwładnie. O'Connor jednym szybkim ruchem potężnej łapy złamał mu rękę.

Sternik spokojnie się podniósł. Stał obok swojej ofiary i rozejrzał się wokoło. Nie patrząc w dół i nie odrywając oczu od spojrzeń marynarzy, podniósł nogę i z całej siły nadepnął na zranioną ręką Włocha. Słysząc było, jak łamią się palce.

Wyszedł z mesy.

Odsunęli się na bok, żeby go przepuścić. Ale gdyby mieli w rękach jeden z ostrych noży Giovanniego, zatopiliby mu go w plecach dostatecznie głęboko, by czubek dotknął parszywego serca, na zawsze gasząc ów piekielny ogień, który w nim płonął.

Otoczyli Giovanniego i pomogli mu wstać. Kucharz trzymał się za zranioną rękę. Po policzkach płynęły mu łzy. Nie płakał z bólu, tylko z powodu utraconego talentu. Marynarze przyglądali się zmiądzczonym, nienaturalnie wykręconym palcom. Widzieli już dość wypadków na pokładzie, by wiedzieć, że tą dłonią kucharz nigdy nie będzie już mógł się posługiwać. Minutę wcześniej był artystą, teraz prawie przestał być mężczyzną.

Zaprowadzili go do kapitana Eagletona. Dłoń opatrzone. To powinno pomóc, ale nawet lekarz nie zdołałby jej uratować.

Kapitan Eagleton patrzył gdzieś w bok, jakby cała sprawa go nie dotyczyła.

– O’Connor – oświadczył – niczego nie robi bez powodu.

Tyle im przyszło ze skargi.

•

Giovanni zrobił z nich załogę. O’Connor pragnął czegoś przeciwnego. Pragnął stać twarzą w twarz z każdym z osobna, nie z braku sił do porachowania kości więcej niż jednemu naraz, ale dlatego, że ich strach przed nim był największy, kiedy nie mieli z kim go dzielić.

To, że O’Connor nie robił nic bez powodu, jak twierdził kapitan, było największym kłamstwem. Wszystko robił bez powodu. Szturczał, bił i łamał kości bez żadnego innego powodu niż ten, że znajdował w tym przyjemność. Karał ich za nic, bawił się z nimi tak, jak bóstwo potrafi się bawić swoimi wyznawcami. Sensu swoich cierpień musieli doszukiwać się sami. I ta nieobliczalność czyniła z niego potwora. Mroczne przyczyny kryły się w nim samym, w jego nienawiści do wszystkiego, co poruszało się po pokładzie. Musieli się garbić, kurczyć i starać się być niewidzialni, by uniknąć jego gniewu bez przyczyny. Ale nawet to nie pomogło. Obdarzony sokolim wzrokiem, umiał wypatrzeć mysz chowającą się w ziarnie.

Nie mieli żadnych kryjówek. Co może być schronieniem dla kogoś, kto boi się przewagi władzy? Staranne wypełnianie obowiązków? Posłuszeństwo na każde skinienie?

– Co takiego źle zrobił Giovanni? – pytał Albert. – Najlepszy kuk, jaki kiedykolwiek pływał na statku, najlepszy kuglarz, który tracił swój talent dla pijanej, zepsutej załogi, czyniąc z niej lepszych ludzi, niż leżało w zamiarze Pana Boga. Co on takiego uczynił, że zasłużył na zmiążdzenie ręki? Za jaką przewinę była ta kara?

•

Kambuz musiał przejąć chłopak o imieniu Isaiah. Pochodził z Ameryki i miał czternaście lat. Jego czarna skóra była lśniąco gładka, jakby nieustannie mokra. Kiedy wczesnym rankiem rozpałał w piecu, w ciemnych policzkach odbijały się płomienie. Starał się jak umiał najlepiej, ale nie było już co dzień świeżego chleba, nie było *pies* ani ciastek.

Giovanni, który przez kilka dni siedział otępiały w kubryku i w półmroku nie odrywał oczu od białych bandaży, nie dał się mimo wszystko złamać. Znów pojawił się na pokładzie. Przyszedł do kambuza i zaczął rządzić Isaiahem. Najpierw wydawał mu polecenia, potem zaczął poruszać lewą ręką. Był przecież artystą. Lewa ręka umiała tyle samo co prawa. Giovanni pozostał zaledwie w połowie mężczyzną, lecz nawet wtedy potrafił zrobić więcej niż większość tych, którzy byli mężczyznami w pełni. Wkrótce nad stołem znów żeglowały talerze. Był w tym jakiś bunt, igranie z ogniem. Oczy mu jaśniały. Załoga pełniła przy nim wartę, gotowa stanąć w jego obronie, chociaż bała się bardziej niż on.

Ale sokół zawsze znajdzie dogodny moment.

O'Connor zaatakował Giovanniego, gdy ten przez moment został sam z Isaią. Marynarze przybiegli, słysząc jego krzyk. Było jednak za późno. O'Connor dorwał się do jego lewej dłoni. Miał ją spotkać taki sam los jak prawą. Wtedy Giovanni sięgnął po nóż, ale prawa dłoń z żalosną wiązką połamanych palców była bezużyteczna, pozbawiona dawnej siły i precyzji. Ledwie zdołał utrzymać nóż. Zdawał sobie sprawę, że tym razem chodzi o życie, ale był w stanie jedynie drasnąć w poprzek pierś O'Connora.

Do jakiej rozpaczyny musiało go doprowadzić użycie w tym celu noża! Kiedy marynarze wcześniej zachęcali go w kubryku, by się zemścił, i obiecywali, że będą go kryć, a nawet wezmą na siebie winę, odparł:

– Ja umiem rzucać nożami, ale nie jestem mordercą.

Zemstą Giovanniego były talerze znów żeglujące ponad stołem i wzbudzone na powrót rozkosze podniebienia. Teraz jednak mimo wszystko sięgnął po nóż, a Isaią twierdził później, że gdy stał z błyskającym ostrzem w niesprawnej dłoni, miał łzy w oczach. Jak gdyby Giovanni w momencie, gdy wziął nóż do ręki i sam zaczął mówić brutalnym językiem swego wroga, stracił honor.

O'Connor roześmiał się i nastawił pierś.

– No, dalej! – zachęcił.

Giovanni odłożył nóż na stół.

Kiedy marynarze dotarli do niego, było za późno. Zabójczy cios już padł.



Tego samego dnia okaleczone ciało Giovanniego przeleciało przez reling i zniknęło w morzu. Kapitan Eagleton nie był przy tym obecny, zastępował go O'Connor. Podejrzewali, że sternik pojawił się wyłącznie po to, by napawać się swoim absurdalnym triumfem.

Isaiah przyniósł z kambuza szufłę popiołu. To musiało wystarczyć za garść ziemi.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. – Chłopak kuchenny posypał popiołem zwłoki Giovanniego, które leżały na pokładzie, zaszyte w płótno żaglowe.

W tej samej chwili podmuch wiatru, jak gdyby wiedziony dłonią mściciela, poderwał popiół i sypnął nim w potworną twarz O'Connora, osadzając go w niezliczonych bruzdach i szramach. Sternika zapiekło w oczy. Ryknął, waląc rękami na oślep, jak gdyby zaatakował go wróg. Mężczyźni rozbiegli się na wszystkie strony. Nikt nie chciał, by trafił go zabłąkany cios pięści. Z daleka patrzyli, jak sternik popełnia ostatnie świętokradztwo wobec zmarłego. Przeklinając i wrzeszcząc, podniósł delikatne ciało Giovanniego z pokładu i cisnął opuszczone przez duszę zwłoki przez reling niczym worek odpadków.

Uczestniczyli w pogrzebie buntownika. Taką informację otrzymali od kapitana Eagletona.

Ale w kubryku planowali już śmierć O'Connora.



Zgłosiła się cała załoga. Gdy chodziło o zamordowanie O'Connora, nikt nie miał wątpliwości. Nie wszyscy byli twardzielami, gdy mustrowali na „*Emmę C. Leithfield*”, ale stali się nimi podczas rejsu. Maltretowano ich każdego dnia. Nie znalazłoby się wśród nich takiego, który nie miałby śladów po pięściach sternika. O'Connor bił nawet oficerów. Drugi sternik, Szwed o nazwisku Gustafsson, chodził z obwiązany okiem i istniały obawy, że nie będzie na nie widział.

Na „*Emmie C. Leithfield*” nie istniało prawo i porządek. Prawo musieli więc stanowić oni. To nie był bunt. To była sprawiedliwość.

Mieli jedynie wątpliwości natury technicznej. Jak to zrobić?

O'Connor był silny, silniejszy niż którykolwiek z nich. Tego się nauczyli. W otwartej walce nie byliby w stanie go pokonać, lecz myśl o własnej słabości wzmagała ich gniew.

– Podczas snu – stwierdził pewien Grek, którego znali jedynie pod imieniem Dimitros.

Czy to mógł być właściwy moment? Popatrzyli na siebie. Pojawiły się dwa zastrzeżenia: jedno to naładowany rewolwer, który O'Connor zawsze miał przy sobie, drugie – pies. Gdy sternik spał w swoim fotelu na pokładzie, pies zawsze czuwał u jego nóg. Gdy ktokolwiek się zbliżał, podnosił wielki czarny łeb i ostrzegawczo warczał. Nikt nie wiedział, w jaki sposób mogliby podejść blisko O'Connora, nie budząc przy tym psa. Ich determinacja zaczęła słabnąć, bo przestawali wierzyć w powodzenie.

Długo rozmawiali o psie, ale czy to naprawdę jego się bali? A może rewolweru?

Nie, bali się O'Connora.

Sternik nie potrzebował ani psa, ani broni, by zdawać im się niepokonanym. Przerazało ich to, co się działo w jego poznaczonej bliznami, przypominającej dynię głowie. Ale tego nie mogli powiedzieć. Jak mogli to wyznać, gdy było ich siedemnastu przeciwko jednemu?

W milczeniu siedzieli naprzeciw siebie. Niektórzy patrzyli w stół, inni w jakiś punkt na ścianie.

– Czy nie jest złem zabijanie drugiego człowieka?

To Albert przerwał milczenie.

Pozostali podnieśli oczy i spojrzeli na niego, jak gdyby sformułował myśl, która nigdy wcześniej nie przyszła im do głowy. Może zresztą tak właśnie było? Nikt nie znał wcale przeszłości pozostałych. Wiedzieli, że w porcie albo na otwartym morzu wszystko się może wydarzyć. Utonięcie to nie zawsze wypadek. Na pokładzie „*Emmy C. Leithfield*” z pewnością trafił się niejeden zabójca, który uniknął kary.

– Czy Giovanni pragnąłby takiej zemsty? – ciągnął Albert.

– Mnie wszystko jedno, czego by chciał Giovanni – oświadczył marynarz z Walii, Rhys Llewellyn, przyglądając się złożonym przed sobą owłosionym dłoniom.

Na policzku miał siniak, pozdrowienie od sternika, któremu bardzo chciał się odwzajemnić.

– Ja myślę o sobie.

Oderwał wzrok od stołu i powiódł nim po pozostałych.

– Myślę o nas. Albo on, albo my. To żadna zemsta. Tu chodzi o życie.

Pozostali zamruczeli z aprobatą.

– Giovanni nie wyciągnąłby noża – stwierdził Isaiah. – Widziałem, jak go odkładał.

Jego głos brzmiał niepewnie. Słyszeliśmy, jak między poszczególnymi słowami bierze oddech. Miał dopiero czternaście lat i dużej odwagi wymagało przemawianie do gromady mężczyzn, przewyższających go i rangą, i wiekiem.

– Pamiętacie, jak powiedział, że umie rzucać nożami, ale nie jest mordercą? A czy my jesteśmy mordercami?

– Zamknij się, czarny psie! – uciszył go Walijczyk.

– Nie, ja się nie zamknę!

Słowa te wybuchły nagle. Isaiah poczuł przypływ odwagi. Już zabrał głos. Gorzej i tak być nie mogło.

– Mnie on też stale bije, jak wszystkich innych. Ja także mam prawo mówić. Uważam, że nie powinniśmy go zabijać.

– Chłopak ma rację – stwierdził Albert. – Nie możemy być tacy jak on. On tylko czeka, aż wpadniemy w taką samą desperację jak Giovanni i sięgniemy po nóż. To gra, którą dobrze zna. Tego właśnie pragnie. Myślicie, że jest głupi? Na pewno w tej chwili siedzi z nadzieją, że planujemy go zabić, i wtedy będzie miał nas w garści. Chcecie być tacy jak on?

Zamruczeli coś i znów spuścili głowy. Z całą pewnością niektórzy bardzo chcieli być tacy jak O'Connor. Tacy jednak nie byli i musieli znaleźć inny sposób na okazanie się silniejszymi.

– Chyba wiem, jak możemy go pokonać. Ale to wymaga od nas cierpliwości – powiedział Albert i wtajemniczył załogę w swój plan.

W pierwszej chwili nie mogli zrozumieć, o co mu chodzi.

– To się nie uda – orzekli wszyscy po kolei, niemal w tyłu językach, ilu ich było. Bez względu na to, z jakiego kraju pochodzili, nigdy nie widzieli, by sprawiedliwości stało się zadość w taki właśnie sposób. To był nie tylko niezwykle pomysł, to było sprzeczne z wszelkim doświadczeniem.

– Ale tu jest Ameryka – powtarzał raz po raz Albert.

– Tu jest statek – odpowiadali. – A statek rządzi się własnymi prawami.

Albert uparł się jednak i nie poddawał. Za każdym razem gdy odrzucał ich zastrzeżenia, widzieli, że jest coraz mocniej przekonany. Kiedy przemawiał, nieodmiennie kończył tym samym pytaniem: „Macie jakiś lepszy pomysł?”

Lepszego pomysłu niż zabicie O’Connora nie miał nikt, ale w ich sercach narastało przekonanie, że takie wyjście nie wchodzi w rachubę. Brakowało im odwagi. Każdemu z osobna i wszystkim razem.

Czy to sumienie, ta dziwna, trudna do zdefiniowania siła, ów wewnętrzny niepokój o nieznanych źródłach, kazało im w końcu zmienić zdanie i przychylić się do propozycji Alberta?

To było sumienie. A także strach, przebiegłość i ostrożność. A nawet posłuszeństwo. Tacy bowiem stają się mężczyźni, kiedy są w gromadzie. Zdecydowały wszystkie te elementy, lecz tak przemieszane z sumieniem, że w końcu jednego od drugiego nie dało się odróżnić. „Więc dla ułatwienia nazwijmy to sumieniem”, mawiał zawsze Albert, opowiadając tę historię.



Przez osiem miesięcy pływali z O'Connorem. W końcu przybili do St. Jago w Indiach Zachodnich po ładunek cukru do Nowego Jorku. Podczas rejsu mieli niejedną okazję, ale nie uciekli. Inaczej ich plan nigdy by się nie powiódł i wszystkie cierpienia okazałyby się daremne. W St. Jago miała się odbyć prawdziwa próba sił, niemająca nic wspólnego z siłami ich ramion i rąk. Ta próba rozstrzygnęła się już dawno, a jej wynik codziennie się potwierdzał, o czym świadczyły niezliczone rany i sińce. Znosili to jednak. Patrzyli na O'Connora coraz śmielszym spojrzeniem. Ze swojej wytrzymałości czerpali siłę, o której on nie wiedział.

Bardziej doświadczeni spośród nich już obliczyli, że właśnie tutaj kapitan Eagleton będzie próbował ich skłonić do ucieczki. Przeszli już coś podobnego na innych statkach. Pod koniec rejsu źli kapitanowie traktowali załogę tak okropnie, że ludzie w końcu się poddawali. Zawsze zostawała ich niewypłacona gaża. Uciekając, tracili ją, a wtedy rejs przynosił większy zysk.

O'Connor zmniejszył im racje wody. Pocili się w tropikalnym upale. Również prowiant wydzielano oszczędniej. Isaiah wprawdzie nauczył się odrobinę w czasie, jaki upłynął od zamordowania Giovanniego w jego własnym kambuzie, lecz teraz nawet te ograniczone umiejętności okazywały się niewystarczające. Dostawali po trzy niewielkie suchary. Tak wyglądały racje dzienne. W sobotę były płatki ryżowe i kawałek solonego mięsa. Kiszki domagały się jedzenia. Psu O'Connora żyło się lepiej niż im.

Właśnie to było takie paskudne, po diabelsku wyrachowane. Spędzili z brutalnym i złym strażnikiem osiem miesięcy. Teraz otwierał przed nimi drzwi celi, a oni nie zgadzali się z niej wyjść. Mieli z nim niewyrównane rachunki, ale zarazem bardzo pragnęli uciec, znaleźć się jak najdalej od groźnej bliskości sternika, uciec od własnego strachu.

Nie zdobyli się na to, ponieważ mieli plan. Zostali.

Wycieńczeni głodem i pragnieniem, musieli w palącym słońcu tropików szorować pokład i nadbudówkę piaskiem i kamieniami. Z koi wyciągano ich godzinę wcześniej niż załogi innych statków kotwiczących na redzie St. Jago, i dopiero długo po tym, jak inni udali się na spoczynek, załodze „*Emmy C. Leithfield*” wolno było się położyć.

W cieniu pod rozpiętym tentem siedział O'Connor na swoim fotelu z naładowanym rewolwerem w rękę i z olbrzymim psem przy nogach. Nie tkwił tam po to, by pilnować ich pracy. Gdyby któryś z nich podniósł się z rozgrzanego jak piekło pokładu i podszedł do furty burtowej, by powiosłować na ląd, nie kiwnąłby palcem, by go zatrzymać. Wybuchnąłby śmiechem w poczuciu triumfu i życzył szczęścia w dalszej podróży.

Do statku podpłynęły dziewczyny *washee-washee* w swoich kanu, wesoło nawołując załogę. Siedziały z upiętymi włosami i nagimi ramionami w długich szerokich sukniach.

– Wchodzimy na pokład!

Sternik wstał i pogroził im rewolwerem.

To była próba sił, podczas której zginali karki i z każdym upływającym dniem stawali się coraz bardziej wycieńczeni, milczący i wygłodzeni. Ale suma codziennych upokorzeń była zwycięstwem. Widzieli, że spojrzenie O'Connora jest coraz mniej groźne. Pojawiło się w nim zdziwienie, które zakłóciło spokój na pokiereszowanej twarzy.

•

Po wejściu do Nowego Jorku zrobili dwie rzeczy. Najpierw wymustrowali ze statku, na którym jedyną przeciwwagą brutalnego traktowania i codziennych upokorzeń był ograniczony triumf biernej wytrzymałości. Potem całą gromadą poszli na najbliższy posterunek policji i zgłosili popełnione przez sternika „*Emmy C. Leithfield*” przestępstwa.

•

Na tym właśnie polegał plan. Taki plan przyszedł do głowy Albertowi, i to on pomógł im wytrzymać. Mówili o zamordowaniu O’Connora, lecz coś, być może głównie strach, ich powstrzymało.

Albert pojął, że jeśli na statku kapitan nie interweniuje, gdy ktoś poczyna sobie tak jak sternik, to znaczy, że nie ma na nim prawa. Stanowienie prawa nie należało do załogi. Owszem, mogli się zbuntować, lecz bunt to wołanie o ratunek, nic więcej. Ważne, że sami nie przyczyniali się do bezprawia. A gdzieś jakieś prawo musiało istnieć. Jeśli nie było go na statku, należało go szukać na lądzie.

Właśnie dlatego całą gromadą ruszyli na posterunek policji, nie po to, by zemścić się na sterniku, ale by szukać prawa.

Poszli zapytać, czy istnieje sprawiedliwość.

I otrzymali odpowiedź.

•

Szli przez Lower East Side, aż dotarli do posterunku na Dwunastej Ulicy. Trzymali się blisko siebie i zapelniali cały chodnik. Mijający ich przechodnie ustępowali im z drogi. Byli potężnymi mężczyznami. Mieli szerokie bary, nawykłe do pracy, i przez moment czuli się zawstydzeni, że sami nie potrafili przywołać sternika do porządku. Było ich siedemnastu przeciw jednemu, a mimo to przyszli tutaj prosić innych o sprawiedliwość.

Czy prawo to jedynie alibi słabych?

Wreszcie stanęli przed brudnym szarozółtym budynkiem, na którym tablica oznajmiała, że właśnie tu ma swoją siedzibę prawo. Kiedy weszli do środka, przez chwilę nie wiedzieli, po której stronie tego prawa jest ich miejsce. Większość aresztantów, ściąganych z ulicy przez ludzi w mundurach, przypominała ich samych. Podeszli do kontuaru i stanęli, niepewnie się tłocząc. To Albert musiał zabrać głos. Powiedział o zabójstwie Giovanniego, a drugi sternik, Szwed, pokazał swoje uszkodzone oko, które już nigdy nie odzyskało sprawności.

Funkcjonariusz spisał raport. Kiedy ujrzeli swoje słowa na papierze, nastąpiła w nich przemiana. Popatrzyli na siebie i wyprostowali się. Nie byli już grupą niezadowolonych mężczyzn, których skargi zasługiwały jedynie na drwinę i wzruszenie ramionami.

Dwaj funkcjonariusze wrócili z nimi na statek. Sternik siedział w swoim fotelu na pokładzie. Pies leżał przy jego nogach. Wiedzieli, że naładowany rewolwer czeka w jego kieszeni. Ale do prawa nie wolno strzelać. Gdy strzeliło się do funkcjonariusza, w jego miejsce pojawiało się dziesięciu innych.

Spostrzegli zdumienie O'Connora. Wpatrywał się w członków załogi „*Emmy C. Leithfield*”, jednego za drugim. Oni nie spuszczały wzroku. Dopiero wtedy uświadomił sobie, co się stało. Zrobili rzecz nie do pomyślenia. Nie pobili go. Nie dokonali kontrataku. Nie próbowali go zamordować. Takie działanie by pochwalił. Czegoś takiego wręcz by sobie życzył. To był język, który rozumiał. Sam mówił tym językiem. Tymczasem oni zadziałali w sposób, którego nie pojmował, bo nie liczyli się z prawem silniejszego.

Przez chwilę się wahał, mierząc wzrokiem najpierw ich, a potem policjantów. W twarzach funkcjonariuszy nic nie zdradzało, co czują na widok olbrzyma o groteskowo poharatanej twarzy, wystrzępionego ubrania i wyraźnego wybrzuszenia w nankinowych spodniach, świadczącego o posiadaniu rewolweru. Zauważyli jednak, że policjanci zeszytnieli, a ich ręce mimochodem uniosły się do rękojęści broni.

O'Connor również to spostrzegł, a potem okazał przebiegłość, o jaką go nie podejrzewali. Spytał funkcjonariuszy, o co chodzi. Odpowiedzieli mu, że został oskarżony o zabójstwo i stosowanie przemocy, a świadkowie tego stoją przy nim. Pouczyli go o jego prawach, a następnie oświadczyli, że zostaje zatrzymany.

•

O'Connor dobrowolnie oddał rewolwer. Widzieli, jak starał się wyglądać na mniejszego, gdy dwaj funkcjonariusze prowadzili go między sobą. O'Connor!

Popatrzyli na siebie.

Tak potężne było prawo, że jednym pstryknięciem zmieniało krwiożerczego potwora w jagnię.

Nie przypuszczali, że O'Connor potrafi mówić. W każdym razie nigdy nie dał dowodu na posiadanie większego zasobu słów. Porozumiewał się głównie za pomocą warczenia i wrzasków. Teraz pokazał się od innej strony. Widzieli błysk przebiegłości w jego oczach, gdy został aresztowany i postanowił dobrowolnie pójść z policjantami. Zrozumieli, jak sprytny diabeł kryje się w tym potwornie wielkim ciele.

Kiedy przed sądem odczytano akt oskarżenia przeciwko niemu, sięgnął po Biblię i ucałował ją z namiętnością, która, jak wszyscy dotychczas sądzili, zarezerwowana była jedynie dla wybuchów wściekłości. Z uniesioną ręką przysięgał, że nigdy w całym swoim życiu nawet palcem nie tknął człowieka. Potem obydwoma potwornymi dłońmi złapał się za pociętą głowę i zaczął nią obracać z boku na bok, jak gdyby jego szyja była oprawką, z której chciał ją wykręcić.

– Spójrzcie na tę twarz! – zawołał. – Czy to jest twarz przestępcy?

Patrzył przy tym na sędziego, a potem przeniósł spojrzenie na publiczność.

– Czy to twarz przestępcy?

Gdyby nie groźba użycia przemocy, czająca się w każdym z jego zawsze napiętych mięśni, z pewnością niejedna osoba spośród publiczności wybuchnęłaby śmiechem, tak groteskowo domagał się uniewinnienia. Trudno było bowiem wyobrazić sobie twarz bardziej pasującą do bezlitosnego złoczyńcy.

Ale nawet sam sędzia spuścił wzrok, gdy O'Connor się w niego wpatrywał. A oni wtedy zaczęli wątpić, kto jest silniejszy. Prawo czy O'Connor?

Sternik znów pokręcił głową.

– Spójrzcie na moją zniszczoną twarz! – powiedział. – To nie jest oblicze człowieka, który oddaje, gdy zostanie zaatakowany. To twarz człowieka, który nawet wówczas, gdy zostanie niesprawiedliwie napadnięty, nadstawia drugi policzek.

Spojrzał na marynarzy z góry, a żaden z nich nie ośmielił się popatrzeć mu w oczy. O’Connor wskazał najpierw na jedenznaczony szramami policzek, potem na drugi.

– Naprawdę sądzicie, że pozwoliłbym komukolwiek podejść tak blisko, gdybym miał w sobie aż tak złą krew, jak się twierdzi?

Dramatycznym gestem rozdarł wystrzępioną koszulę, którą wciąż miał na sobie, i odsłonił pokrytą bliznami klatkę piersiową.

– To – powiedział, a jego głos z przejścia zabrzmiał głucho – to jest ciało męczennika. To ciało baranka.

•

– On wygra – stwierdził Gustafsson, przecierając uszkodzone oko, gdy po rozprawie zasiedli w najbliższej gospodzie.

– Nie widzieliście, jak sędzia się go bał?

– No tak, ale prawo się go nie boi – zaprotestował Albert.

– Co pomoże prawo, jeśli sędzia jest mały i słaby, a przestępca wielki i silny? – spytał Rhys Llewellyn.

Albert ze swoją wiarą w moc prawa został sam. Chodzili na kolejne rozprawy. Po kolei wzywano ich na świadków. O'Connor za każdym razem równie bezczelnie zarzucał im kłamstwo i spoglądał na sędziego, który spuszczał wzrok. W tym czasie ich rany i okaleczenia się goiły. Żółto-niebieskie sińce blakły. Jedyne oko drugiego sternika pozostawało wciąż tak samo ślepe, lecz nawet nie widząc na nie, bał się spojrzeć w oczy świdrującemu go wzrokiem O'Connorowi.

Musieli się wstrzymać z szukaniem pracy na kolejnym statku, dopóki proces się nie zakończy. Ogarnął ich niepokój, a odwaga ich opuściła. Krążyli po gospodach, przepijając oszczędności.

– Nigdy nie powinniśmy byli podawać go do sądu – mówili Albertowi.

– Prawo jest silniejsze niż O'Connor – odpowiadał.

– Spójrz tylko na sędziego! – prykali.

Nie wierzyli w prawo. To Albert ich do wszystkiego namówił. O'Connor wkrótce znów będzie wolny i wtedy się na nich zemści. Powinni byli z zaciśniętymi zębami pogodzić się z klęską i nie szukać pomocy sprawiedliwości. Prawo i tak zawsze trzyma stronę silniejszego.

– Spójrz tylko na sędziego! – powtarzali znów. – Jest taki mały i przygarbiony. Na głowie nie ma ani jednego włosa. Nie jest większy od dziecka.

– No to na niego nie patrzcie. Macie go słuchać – odpowiadał Albert.

– No i co słyszeliście? – spytał po kolejnym posiedzeniu sądu.

Zamruczeli w odpowiedzi i spuścili głowy. No, rzeczywiście. Gdy się słuchało sędziego, sprawiał inne wrażenie. Wgryzał się mocno, jak buldog. Nie pozwalał się odtrącić, tylko dalej zadawał pytania, drążąc sedno sprawy, dopóki olbrzym nie stracił cierpliwości, nie uderzył pięścią w barierkę i nie wrzasnął na całą salę:

– Jestem spokojnym człowiekiem, wszyscy mogą o tym zaświadczyć!

– Wszyscy z wyjątkiem załogi „*Emmy C. Leithfield*” – odparł sędzia i znów spuścił wzrok. Ale głos miał spokojny.

– To prawo przez niego przemawia – powiedział Albert.

– On sam tak mówi – zaprotestował Rhys Llewellyn. – Ale mówi dobrze.

•

Po szesnastu dniach przesłuchań zapadł wyrok. O’Connora za stosowanie przemocy i zabójstwo skazano na pięć lat więzienia. Tego, że w kambuzie miało miejsce morderstwo z premedytacją, nie dało się udowodnić, chociaż nikt nie miał co do tego wątpliwości. O’Connorowi nie był pisany stryczek, ale też wcale tego nie oczekiwali. Przypuszczali nawet, że ujdzie wolno.

Gdy ogłoszono wyrok, O’Connor ryknął dziko.

– Dostałeś za swoje, ty potworze! – krzyknął drugi sternik.

Sędzia odwrócił się i posłał mu gniewne spojrzenie. Pierwsze, jakie zobaczyli przez cały czas trwania procesu.

Wychodząc z sali sądowej, życzyli sobie nawzajem szczęścia, lecz zamiast triumfu w obliczu klęski ich wroga towarzyszyło im raczej poczucie ulgi, jak gdyby to ich samych uniewinniono.

•

– Wreszcie rozprawiłem się z Isagerem – mówił Albert wiele lat później.

– Ale to nie o nim chcemy słuchać – odpowiadaliśmy. – Opowiedz o butach!

REJS

•

Zamustrowałem na statek idący do Singapuru, a stamtąd na Ziemię Van Diemena, do Hobart Town, ostatniego portu, w którym widziano mojego ojca. Był to ostatni przystanek nie tylko dla niego. To miasto stanowiło stację końcową, a jeśli nawet nie od razu, to stawało się nią dla każdego, kto nie umknął w porę. Jeśli wyobrazicie sobie przytułek dla ubogich w Marstal, to wiecie, jak wyglądało Hobart Town.

To było w roku 1862, poznałem wtedy człowieka, który miał tylko jedno oko. Od czterdziestu lat nawet jednego dnia nie spędził na wolności. Policzył wszystkie razy bata, które otrzymał w niewoli, w sumie wyszło mu ponad trzy tysiące. Teraz odzyskał wolność, ale ducha miał złamanego, a jego plecy przypominały tarę do prania. Nie był jedyny. Opowiadał swoją historię za szklankę ginu, z równą chęcią dziesięć razy dziennie. Musiał nadrobić czterdzieści lat abstynencji. Ale komu miał opowiadać? W Hobart Town żyło pełno takich chwastów, dawnych więźniów, gotowych zamordować za kieliszek.

Miasto było kolonią karną, od kiedy zbudowano w nim pierwszy dom. Teraz mówiono, że to miasto wolnych ludzi, ale nie mieszkał tu nikt oprócz byłych więźniów albo byłych strażników. W sumie na jedno wychodziło. Ci ludzie przywykli do tego, by bić albo być bitymi. Trzecie wyjście, życie z podniesioną głową, nikomu nawet nie przeszło przez myśl. Nikt nigdy nie spojrział mi prosto w oczy. Ich wzrok był przyklejony do ziemi. Gdy w końcu odrywali od niej spojrzenie, to wyłącznie po to, by ocenić zasobność twojej kieszeni i rozważyć, czy dla jej zawartości warto zabić. Mówiono o nich, że są gotowi ukraść młode z torby kangura. No, bo chyba wiecie, że kangury noszą swoje dzieci w torbie na brzuchu.

Starych mężczyzn było tu wielu, młodzi nieliczni. Każdy, komu wciąż zostało trochę sił lub odrobina nadziei, uciekał z Hobart i szukał innych miejsc. Dzieci również się widywało, całe mnóstwo, brudnych i zaniedbanych, ale brakowało ojców. Matek jednak nie zaczepiano. O więźniach kolonii karnych mówi się, że podczas długiej niewoli stracili apetyt na kobiety i poszukują wyłącznie towarzystwa sobie podobnych mężczyzn. Czy było to prawdą, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale jedno wiem: na te chwasty straciłem swoje oszczędności.

Najpierw pytałem na policji i u innych władz, lecz wszyscy powtarzali mi to samo: „Jeśli ktoś chce stać się niewidzialny i zniknąć bez śladu z powierzchni ziemi, wybiera Hobart Town”.

Ale mój *papa tru* nie miał ku temu żadnego powodu, o tym dobrze wiedziałem. Kręcili wtedy tylko głowami, mówiąc, że nie mogą mi pomóc.

Krażyłem więc po Liverpool Street. Co drugi bar nazywał się „*Bird-in-Hand*”, „wróbel w garści”. Dobrze to rozumiałem. W Hobart Town piersiówka, „kieszonkowy słowik”, śpiewała głośniej od wszystkich innych ptaszków, a kiedy nie ma w co wierzyć, to człowiek chętnie wierzy w to, co może mieć w garści.

Stawiałem gin wszystkim, którzy sprawiali wrażenie, że mają do opowiedzenia jakąś historię. Każdy coś miał. Najpierw wypytywali mnie o *papa tru*, o jego wygląd, wzrost, narodowość. „Tak, tak, dobrze go pamiętamy”, mówili, drapiąc się w rzadkie, zawszone włosy, aż martwe insekty sypały im się na ramiona. Ze smutkiem spoglądali na swoje puste szklanki i nieśmiało sugerowali, że jeszcze jedna kolejka poprawi im pamięć. Oczywiście od razu przypominali sobie wysokiego Duńczyka z długą brodą i nieobecny spojrzeniem. Zatrzymał się w gospodzie „*Hope and Anchor*” na Macquarie Street. Potem zaciągnął się na...

Nazwa statku wyleciała im z pamięci. Ślali jeszcze jedno tęskne spojrzenie w stronę szklanki, a gdy ponownie się napełniła, pojawiała się również nazwa.

Po paru tygodniach wiedziałem, że w Hobart Town był tysiąc Lauridsów Madsenów. Mój *papa tru* zaciągnął się na tysiąc statków i wypłynął w tysiąc różnych miejsc. Nie udało mi się tu złapać w garść żadnego wróbla, miałem za to tysiąc gołębi na dachu. Laurids Madsen nie był człowiekiem, stanowił cały gatunek.

•

Mimo to poszedłem do „*Hope and Anchor*” wypytać o zaginionego. Dotarłem aż tak daleko. Nie chciałem rezygnować. Człowiek za barem nazywał się Anthony Fox i był jak wszyscy tutaj byłym więźniem. W przeciwieństwie jednak do pozostałych jemu się powiodło, bo postanowił żyć z biedy innych. Stał za mosiężnym kontuarzem i ścierką polerował go do połysku. Gdy nachyliłem się, by zadać pytanie, zobaczyłem w odbiciu swoją twarz i pomyślałem: „Ciekawe, czy kiedyś odbijała się w nim broda mojego ojca”.

Zamówiłem szklaneczkę ginu, tym razem dla siebie, i rzuciłem nazwisko ojca. Więcej nie powiedziałem, bo dostałem już nauczki. Mogłem powiedzieć, że Laurids był Hotentotem o płomiennie rudych włosach, sterczących na wszystkie strony, i trzech nogach zamiast dwóch, a oni powiedzieliby, że tak, że tego Duńczyka pamiętają cholernie dobrze. Poprzestałem więc na nazwisku.

Anthony Fox zamyślił się przez chwilę.

– Możesz mi jeszcze raz podać nazwisko? – spytał. – I rok?

– Pięćdziesiąty albo pięćdziesiąty pierwszy – odparłem.

– Chwileczkę.

Kazał służącemu stanąć za barem, a sam poszedł na zaplecze. Wrócił stamtąd z wielką księgą pod pachą.

– Nie mam pamięci do twarzy – powiedział – ale nigdy nie zapominam długów.

Położył księgę na kontuarze i zaczął ją przeglądać.

– Jest! – oświadczył triumfalnie, podsuwając mi zapiski pod nos. – Wiedziałem!

Wskazał na jedno z nazwisk. Laurids Madsen.

Nie twierdę, że rozpoznałem podpis mojego ojca. Kiedy zaginął, nie umiałem jeszcze czytać, a on nie należał do tych, którzy wszędzie się podpisują.

– Ile jest winien?

– Za dwie szklanki piwa – odparł Anthony Fox.

Wyjąłem pieniądze i zapłaciłem.

– Teraz jesteście kwita.

– Nie powiesz mi chyba, że objechałeś pół świata, żeby zapłacić długi Madsena.

Pokręciłem głową.

– Zaginął. Szukam go.

– Marynarz czy więzień? – spojrzał na mnie pytająco.

– Marynarz.

– Pewnie utonął, jak to marynarze mają w zwyczaju. Albo uciekł.

Poruszył ręką w niejasnym geście, który mógł obejmować zarówno Ocean Spokojny z jego dziesiątkami tysięcy wysp, jak i ciągnący się na południe pokryty lodem biegun, na którym nie stanęła stopa człowieka.

– Świat jest wielki. Nigdy go nie znajdziesz.

– Odnalazłem już jego dług – powiedziałem.

– Ci, którzy zaginęli, nie zawsze chcą, by ich odnaleziono. Gdzie jest miejsce marynarza? Na pokładzie czy przy żonie i dzieciach? Zdarza się, że człowiek błądzi. Potem zaczyna żyć tak, jak gdyby jego życie było zmyśloną historią, którą można stale opowiadać na nowo i za każdym razem inaczej. Dziesięć razy tonie i dziesięć razy zmartwychwstaje, za każdym razem w objęciach innej kobiety. W domu rodzina go oplakuje, a on tymczasem siedzi przy kołysce na innym kontynencie i śmieje się, dopóki również ta rodzina go nie znudzi. Uwierz mi, widziałem, że tak się dzieje.

– Nie sądziłem, że za kontuarem w Hobart Town stoją mędracy.

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Jesteś jego synem. Nie myłę się?

– Wydawało mi się, że nie masz pamięci do twarzy. Jestem podobny do Lauridsa Madsena?

– Nie mam pojęcia. Nie pamiętam go. Ale umiem rozpoznać człowieka urażonego. Jedyne syn potrafi tak zeszywnieć, gdy jego ojca oskarży się o oszustwo.

Odwrociłem się, żeby wyjść.

– Zaczekaj! – powiedział Anthony Fox. – Podam ci pewne nazwisko.

– Nazwisko?

Zatrzymałem się w drzwiach baru „*Hope and Anchor*”.

– Tak, nazwisko. Jack Lewis. Zapamiętaj je.

– Kim jest Jack Lewis?

– Człowiekiem, z którym twój ojciec pił piwo.

– I tego człowieka pamiętasz po dziesięciu latach? Pewnie też jest ci winien za piwo?

– Jest mi winien o wiele wiele więcej. Znajdź go dla mnie i przypomnij o długu.

Wróciłem do baru. Szklankę z ginem opróżniłem jedynie w połowie, wciąż na mnie czekała. Fox jej nie zabrał. Miał pewność, że skusi mnie do powrotu.

Pora była wczesna, a ja jako jedyny gościłem w barze „*Hope and Anchor*”.

– Coś do jedzenia? – zagadnął.

– Jeśli jagnię, to dziękuję.

Dość miałem jagnięciny, jedynego dania, jakie znali w Hobart Town.

– Mam labraksa.

Siedliśmy przy stoliku.

– Mnóstwo tu miejsca – powiedział. – Australia jest większa od Europy i wciąż czeka na nowych mieszkańców. Ocean Spokojny zajmuje połowę globu, nazywam go ojczyzną bezdomnych.

– Byłeś kiedyś marynarzem?

– Robiłem wszystko. Byłem wieśniakiem, cieślą, marynarzem, więźniem kolonii karnej. To ostatnie to również zawód. Na Ocean Spokojny trafiają dwa rodzaje ludzi: ci, którzy chcą się wylegiwać w cieniu palmy kokosowej i nic nie robić, i ci, którzy płyną z prądem pieniędzy.

– Z prądem pieniędzy?

– Jack Lewis zalicza się do tych ostatnich. Opium z Chin, broń, handel żywym towarem. Możesz wymienić jakikolwiek ładunek, jaki przyjdzie ci do głowy, mówiąc o ładunku nie mam na myśli czegoś, co da się zważyć i zmierzyć, a Jack Lewis chętnie podejmie się roli twojego uniżonego dostawcy. Jeśli się płynie z prądem pieniędzy, to trzeba się trzymać określonych tras. A na jednej z nich spotkasz Jacka Lewisa.

– Podaj mi nazwę jego statku.

– „*The Flying Scud*”. Ale jest jedna rzecz, którą powinieneś rozważyć, zanim rozpoczniesz poszukiwania. Musisz zdecydować, jakim człowiekiem był twój ojciec. Czy należał do tych, którzy szukają jedynie palmy kokosowej, w której cieniu mogą spędzić resztę życia, wylegując się na plecach, czy też szukał tu bogactwa. Jeśli był tym pierwszym, to nigdy go nie odnajdziesz. Melanezja, Wyspy Gilberta, Wyspy Towarzystwa, Wyspy Sandwich. Dziesięću żyć nie starczy, żeby odwiedzić je wszystkie. W tym drugim wypadku masz szansę. Jack Lewis tu nie przyplynie. Ale jest gdzieś tam.

– W jaki sposób go znaleźć?

– Nie szukaj w rejestrach. Jack Lewis to człowiek, który pojawia się i znika niezauważony przez jakiegokolwiek władze. Ale żyje w pamięci ludzi. Tak jak w mojej.

– Opowiedz mi o jego długi.

– Wystarczy, że podasz mu moje nazwisko. Anthony Fox. I kwotę tysiąca funtów.

– Tysiąc funtów! – zawołałem. – Dlaczego dałeś tysiąc funtów okrytemu złą sławą oszustowi?

– Sądzę, że najlepszym określeniem będzie tu chciwość – odparł Anthony Fox bez mrugnięcia okiem. – Poza tym sam nie wszedłem w posiadanie tych pieniędzy w legalny sposób. Można wręcz powiedzieć, że to była pożyczka udzielona przez jednego oszusta drugiemu. Teraz kroczę wąską ścieżką cnoty, ale jest tak wyłącznie z powodu braku środków.

– To jakiś odwrócony świat – stwierdziłem. – Większość ludzi z biedy zostaje złodziejami.

– Ze mną też tak kiedyś było. Ba, stałem się kimś więcej niż złodziejem. Sam sobie dopowiedz kim. Teraz żyję uczciwie. Na byłych więźniów mają oko. „*The Flying Scud*”. Masz teraz coś więcej niż nazwisko człowieka. Masz również nazwę statku.

– A jeśli go znajdę?

– Nie mogę ci zagwarantować, że trafisz również na swojego ojca. Ale znajdziesz Jacka Lewisa. Na zobaczenie swoich pieniędzy nie mam nadziei. Ale wiesz teraz, że Jack Lewis jest zwierzyną, do której wolno strzelać. Możesz z nim zrobić, co zechcesz, ze świadomością, że masz na to moje błogosławieństwo.

•

Tak rozmawiali ze sobą mężczyźni w Hobart Town, jak oszust z oszustem. Pomyślałem o ogromie Oceanu Spokojnego, który już raz przepłynąłem. Któż miałby pilnować, co się dzieje na jednym ze statków znajdujących się o tysiące mil morskich od lądu albo na wysepce niewiele większej od pokładu?

„Wolność” była słowem, którego świat nauczył się dopiero całkiem niedawno, a ja musiałem popłynąć bardzo daleko, by zrozumieć jego znaczenie. W Hobart Town widziałem, jak wolność wykorzystywana jest przez ludzi, którzy stali się niewolnikami własnej chciwości. Wolność ma tysiąc twarzy. Ale przestępstwo ma je również. Zakręciło mi się w głowie na myśl o tym, co jest w stanie zrobić człowiek.

•

Honolulu – powiedział Anthony Fox. – Radzę, abyś swoje poszukiwania rozpoczął od Honolulu.

– Jeśli wiesz, gdzie go znaleźć, to dlaczego sam się tam nie wyprawisz po swoje pieniądze?

– Stałem się uczciwym człowiekiem. Jedyne głupcy okradają bogatych. Mądrzy łupią biednych. Prawo z reguły chroni mądrych.

– Ale ty nie okradasz biednych?

– Nie, ja po prostu wykorzystuję ich słabość. – Wskazał na bar z baterią butelek. – To przynosi większe profity i jest mniej ryzykowne. Butelka w rękę to lepsze niż pieniądze w banku. Tak myślą biedacy.

– Aha. *Bird-in-Hand* to również ty.

– To również ja.

Wstałem, żeby wyjść.

– Chwileczkę.

Właśnie na tym polegał jego spryt, na zatrzymywaniu ważnej informacji do ostatniej chwili.

– Jest jedna rzecz, którą pamiętam w związku z twoim ojcem.

Popatrzyłem na niego. Serce mocniej zabiło mi w piersi.

– Wyglądał na człowieka, który coś stracił. Masz pomysł, co to mogło być?

– Nie – odparłem, czując, że serce wciąż mi wali. – Byłem dzieckiem, kiedy zaginał.

Już za drzwiami usłyszałem po raz ostatni głos Anthony’ego Foksa.

– Zapomniałeś zapłacić! – wołał. – Wpiszę cię do księgi!



Na myśl o opuszczeniu Hobart Town odczuwałem wyłącznie radość. Sypiałem z marynarskim kufrem pod głową, chociaż w moich drzwiach był zamek, ale nieraz musiałem walczyć po ciemku z niespodziewanymi gośćmi.

Wziąłem kurs na Honolulu. Dotarcie tam zabrało mi rok. Musiałem się zaciągać na kilka różnych statków. Z Hobart Town na Hawaje nie było bezpośredniego rejsu. Po drodze widziałem wiele rzeczy. Na niejednej plaży miałem ochotę zostać. Jeśli Anthony Fox miał rację, mówiąc, że na Ocean Spokojny przybywają dwa rodzaje ludzi, to zrozumiałem teraz, że zaliczam się do tych pierwszych, tych, którzy szukają jedynie miejsca w cieniu palmy kokosowej z widokiem na błękitną lagunę.

Ciągle jednak gnało mnie dalej. W głowie miałem tylko jedno: nazwisko Jack Lewis.

W Honolulu musiałem czekać dwa tygodnie, a gdybym nie szukał Jacka Lewisa, zostałbym tam do końca swoich dni.

Kobiety chodziły tu z odsłoniętymi ramionami, w czerwonych sukniach sięgających im do pięt, i kołysały biodrami w sposób, który ludzie w Marstal nazwaliby nieprzyzwoitym. Ale one żyły pod dyktandem innej, bujniejszej natury niż ta, którą znamy z ojczystych stron.

Powietrze było przesycone perfumami. Początkowo sądziłem, że to kobiety chcą podrażnić moje nozdrza, tak jak drażniły inne zmysły. Ale zapach wydawały kwiaty rosnące wszędzie, przed domami, w cieniu drzew i wzdłuż dróg. Jaśmin i oleander były jedynymi, których nazwy znałem.

Gin zastąpiła tutaj amerykańska brandy, popijałem ją na ocienionym tarasie przy akompaniamencie szumu fal, obserwując życie na promenadzie.

Domy w mieście były białe, z zielonymi okiennicami, drogi równe i szerokie. Zamiast po bruku chodziłem po dywanie kruszonego koralowca w cieniu wysokich drzew, których liście rosły tak gęsto, że nie przedostawał się przez nie żaden promień słońca. Mężczyźni nosili ubrania w barwie miasta, białe marynarki, kamizelki i spodnie. Nawet skórzane buty mieli białe. Każdego ranka czyścili je kredą. Kobiety przystrajały kwiatami cygańskie kapelusze.

Mikronezyjczycy, których skóra jest jasna, mają szczególne upodobanie do tatuowania twarzy. Największe wrażenie robili na mnie mężczyźni z ogolonymi na łyso czaszkami, wytatuowani od szyi w górę, przez co ich twarze stawały się całkiem niebieskie. Wyglądali tak, jakby na ich barkach zamiast głowy spoczywała ciemna chmura. W głębi niebieskiego cienia coś lśniło. To białka oczu błyskały za każdym razem, gdy mrugali lub odwracali wzrok.



Hobart Town i Honolulu leżały na przeciwnych krańcach Oceanu Spokojnego, a ja nigdy nie odwiedziłem dwóch miast, które bardziej by się od siebie różniły. Nazwisko Jacka Lewisa po raz pierwszy usłyszałem w Hobart Town i za każdym razem, gdy je wypowiadałem, miałem wrażenie, że niosę ze sobą jakąś część brudu tego miasta. Ludzie mierzyli mnie spojrzeniem w bezwstydnym sposób, przez co czułem, że moje towarzystwo jest niepożądane.

Ktoś splunął na ziemię i odwrócił się do mnie plecami. Ogarnęło mnie uczucie, jak gdyby całe Honolulu się ode mnie odwracało.

Pewien amerykański misjonarz popatrzył na mnie ze współczuciem spod słomkowego kapelusza z szerokim rondem, a polem spytał ojcowskim tonem:

– Tak w ogóle to wyglądasz na uczciwego młodzieńca. Po co ci ten okropny człowiek?

Nie mogłem wyjaśnić swojej sprawy i zamilkłem. Misjonarz źle zrozumiał moje milczenie, uznał, że mam coś do ukrycia, i odszedł, kręcąc głową.

Czułem się, jakbym był nieczysty.

W końcu uzyskałem informacje, których poszukiwałem. Jacka Lewisa spodziewano się w ciągu dwóch tygodni. Ale zainteresowanie przybyciem „*The Flying Scud*” miało swoją cenę. Brandy musiałem pić sam.

•

„*The Flying Scud*” rzucił kotwicę przy Honolulu. Stałem na brzegu, gdy Jacka Lewisa przywiozła na łód jego załoga, na którą składało się czterech kanaków, wszyscy z twarzami pokrytymi niebieskim tatuażem. Zauważyłem, że jednemu brakuje ucha.

O ile dobrze zrozumiałem, Jack Lewis nie ufał nikomu i dlatego otaczał się wyłącznie tubylcami. O czym mógł rozmawiać z tymi niebieskimi ludźmi? Przypuszczałem, że o niczym. Oni mieli swoje cele w życiu, on swoje. Ich drogi miały się nigdy nie skrzyżować. Tego rodzaju towarzystwo się wybiera, gdy ma się tajemnicę, której trzeba strzec.

Jack Lewis był niedużym zasuszonym człowiczkiem o skórze spalonej niemal na mahoń przez pasaty i południowe słońce, świecące wysoko nad równikiem. Twarz miał pomarszczoną, a oczy zapadnięte głęboko, jak u starego koczkodana. Ubrany był w sprany garnitur z bawełny w paski, które niemal całkiem wyblakły. Twarz zasłaniał mu słomkowy kapelusz, z wyjątkiem chwil, gdy Lewis odchyłał głowę, by spojrzeć na osobę, z którą rozmawiał. Wyglądało to wtedy tak, jakby udzielał audiencji.

W pierwszej chwili nie rzucał się w oczy. Ani trochę nie przypominał kapitana, może raczej skromnego handlarza, a jednak ciągnęły się za nim rozmaite plotki. Już się nauczyłem, że samo wspomnienie jego nazwiska wystarczy, by być traktowanym jak wyrzutek.

Jego ludzie wyciągnęli łódź na brzeg. On stał obok i patrzył w piasek, jakby zatopiony w myślach. Podeszedłem do niego i przedstawiłem się. Podniósł na mnie wzrok. Spojrzałem mu w twarz, ale moje nazwisko nic mu nie powiedziało, a nawet jeśli, nie pokazał tego po sobie.

Rzuciłem wtedy nazwisko Anthony'ego Foksa, a on odwrócił się do mnie plecami.

Jego ludzie czekali z tyłu i nie sprawiali wrażenia, że słuchają.

– Nie przychodzę po jego pieniądze – oświadczyłem. – Jestem tu w innej sprawie.

Znów się odwrócił i spojrzał na mnie.

– Wszyscy przychodzą z powodu pieniędzy. Co innego może kierować człowiekiem?

– Szukam kogoś.

Zmierzył mnie taksującym spojrzeniem osadzonych blisko siebie małpich oczu.

– Madsena – powiedział. – Jesteś synem Lauridsa Madsena.

– To tak łatwo zobaczyć?

– Łatwo się domyślić. Tylko syn szukałby takiego człowieka jak Madsen.

– Jak mam to rozumieć?

Zrobiłem krok w jego stronę. Poczułem gniew narastający we mnie, gniew przemieszany ze strachem przed tym, co miałem usłyszeć. A kiedy gniew miesza się ze strachem, człowiek nigdy nie wie, co się zdarzy.

Jack Lewis się nie odsunął. Dalej patrzył mi w twarz swoim niezgłębionym spojrzeniem, a ja zrozumiałem, że to człowiek, który nauczył się władać innymi samym tylko wzrokiem.

– Posłuchaj – powiedział. – Jesteś młody. Szukasz swojego ojca. Dlaczego, nie rozumiem, ale to nie moja sprawa. Nie obchodzi mnie również kwestie moralne. Nie interesuje mnie dobro i zło, nikogo nie osądzam. Interesuje mnie wyłącznie to, czy ktoś się nadaje do pracy na pokładzie.

– A mój ojciec się nie nadawał?

W moim głosie wciąż pobrzmiwała wściekłość. Wezbrała we mnie śmieszna synowska duma. Czyż człowiek, który ferował wyroki, sam nie był przestępcą?

– Gdy po raz pierwszy spotkałem twego ojca, wydał mi się człowiekiem, który utracił wszystko. Tego rodzaju ludzie zazwyczaj się przydają, kiedy prowadzi się takie interesy jak ja. Nie mają żadnych złudzeń. Udało im się przeżyć, a życie nauczyło ich, co się tak naprawdę liczy: pieniądze. Pytam z ciekawości. Nie musisz odpowiadać. Co on takiego stracił?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem.

– Rodzinę? Majątek? A może chodzi o to osobliwe pojęcie, honor?

– Miał moją matkę. Nas było trzech braci i siostra. Mógł mieć pracę, jaką zechciał. Był szanowanym marynarzem.

Jack Lewis zrobił zapraszający gest.

– Nie stójmy na brzegu. Chodźmy do miasta, napijemy się czegoś.

•

W Kiedy rozstaliśmy się parę godzin później, ku swemu zaskoczeniu odkryłem, że dobrze myślę o Jacku Lewisie. Przypominał mi Anthony’ego Foksa. W Marstal z pewnością unikałbym go jak zarazy, ale będąc daleko od domu, człowiek uczy się doceniać najróżniejszych ludzi. Jack Lewis należał do tych, którzy zastanawiają się nad różnymi sprawami. Był bezpośredni i nie udawał nikogo lepszego.

Zaprosił mnie na pokład „*The Flying Scud*” następnego dnia, a ja to zaproszenie przyjąłem.

Nie wspominaliśmy więcej o moim ojcu.

•

Światło ze skajlajtu padało na stół niskiej kajuty Jacka Lewisa. Na środku stołu stała skorupa żółwia morskiego, wypełniona kawałkami osobliwego owocu, którego przed przybyciem na Hawaje nigdy nie widziałem, a który kanacy nazywają „ananas”. Paliła się lampa z tranu wieloryba, ale prawdziwym źródłem światła wydawały się złociste owoce, żarzące się niczym kawałeczki słońca.

Na ścianie dzida i tarcza walczyły o miejsce z dwiema miniaturowymi w złożonych ramach. Obejrzałem je z zainteresowaniem. Jeden z portretów przedstawiał otyłego jegomościa z bokobrodami i krzaczastymi brwiami, drugi – bladą, słabowitą kobietę z ostrym nosem, którą uznałem za jego żonę.

– Nie musisz im się tak przyglądać – powiedział Jack Lewis.

– Nie mam pojęcia, kim są ci ludzie. Znalazłem te miniatury na pewnym wraku i pomyślałem, że mojej kajucie przydadzą się takie ozdoby. Tego rodzaju portrety przysparzają człowiekowi szacunku. Sprawiają wrażenie, że ma się przodków i jakąś historię. Ale ja niczego takiego nie mam i mieć nie chcę. To by było niemądre u człowieka z moją pozycją. Spójrz na niego – ciągnął. – Potężny mężczyzna z ogromnym apetytem na życie. A ona? Wątle chuchro z czubkiem nosa na pewno czerwonym od nieustającego płaczu i skarg. Z pewnością nie dawała mu wiele radości. Od czasu do czasu się im przyglądam, przypominają mi, dlaczego tu jestem. Lepiej pojąć za żonę Ocean Spokojny, da ci tyle zysku i radości, ile tylko zapragniesz.

Wskazałem na ścianę.

– A broń?

– To jeden z podarunków oceanu. Krótka, szybka potyczka z kanibalami na dalekiej wyspie, do której nikt nie przyżywa. Po takiej bitwie czujesz, że żyjesz, kiedy chodzisz po plaży i przyglądasz się martwym wrogom. Ta broń to moje trofea. Przypomina mi, dlaczego jestem tutaj.

Otworzył szafkę w ścianie i wyjął z niej butelkę. Miała niezwykle kształt i białą zawartość, która zdawała się kipieć jak para albo wrzące mleko. Wydało mi się, że dostrzegam za szkłem ruch czegoś ciemnego.

Jack Lewis pokręcił głową i odstawił butelkę. Wyjął inną.

– Scotch?

Potaknąłem. Usiedliśmy naprzeciwko siebie.

– A mój ojciec?

– Mieliśmy różne podejście do świata. Nie podzielał mojego poglądu na zabawę. Chciał czegoś innego niż ja. Czego, nie wiem. Ale nasze drogi musiały się rozejść.

Stuknęliśmy się szklankami i wypiliśmy.

– Szkoda – powiedział Jack Lewis. – On miał w sobie coś. Dałby sobie tutaj radę. Polubiłem go.

Wstał i odciągnął zasłonę dolnej koi. Czegoś tam poszukał i moment później się wyprostował. W rękach trzymał pakunek owinięty w płótno, niegdyś białe, lecz teraz pożółkłe ze starości. W uśmiechu odsłonił zęby.

– Skoro jesteśmy już na tak zażyłej stopie, to chciałbym ci coś pokazać. Można powiedzieć, że wtajemniczyć cię w największą świętość.

Umieścił pakunek na stole i powolnymi, starannymi ruchami zaczął rozwiązywać sznurek, oplatający pożółkłe płótno; niemal zapraszał mnie do uczestnictwa w ceremonii. Na koniec szybkim ruchem usunął materiał.

Moim oczom ukazał się najohydniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziałem.

W pierwszej chwili nie potrafiłem w żaden sposób nazwać tego, co widzę. Oczy musiały jednak działać szybciej niż mózg. Jeszcze zanim zrozumiałem, co leży przede mną na stole, żołądek mi się ścisnął, a serce jakby zamarło. To coś było niewiele większe od zaciśniętej pięści. Brudne, osmalone włosy, które kiedyś musiały być siwe, zebrane były w kitkę na karku.

Podniosłem rękę do ust i zachwiałem się. Jack Lewis posłał mi pełne uznania spojrzenie, jak gdyby moja reakcja odpowiadała jego oczekiwaniom.

– Pobladłeś – stwierdził.

Musiałem oprzeć się o krawędź stołu, ale zaraz cofnąłem dłoń, jakby ukąsił mnie skorpion. Na stole wciąż leżało to paskudztwo. Miałem jedynie niejasne wspomnienie twarzy mego ojca. W domu nie było jego portretu. Za każdym razem, gdy usiłowałem przypomnieć sobie jego rysy, wydawało mi się, że to, co widzę swoim wewnętrznym okiem, jest wyłącznie ułudą, tak ulotną jak cumulusy na niebie.

Zakiełkowało we mnie straszliwe podejrzenie. Czy to możliwe? Słowa wyrwały mi się ust na w pół zduszonym jękiem:

– To mój ojciec?

Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek dane mi będzie ujrzeć jakby wyrzeźbioną w drewnie twarz Jacka Lewisa, rozciągniętą w uśmiechu. Ale teraz maska rozpadła się na kawałki i on rzeczywiście się śmiał. Nie był to ani ciepły, ani serdeczny śmiech, tylko suchy i twardy, tak jak cała jego osoba. Ale naprawdę się śmiał.

– Na miłość boską! – Czknął między dwoma atakami śmiechu. – To nie jest twój ojciec. Co ty sobie o mnie myślisz?

I znów zaczął się śmiać. Kiedy przestał, spostrzegł, że stoję z zaciśniętymi pięściami. Moje przerażenie zmieniło się we wściekłość.

– Nie gniewaj się – powiedział, wyciągając dłonie w pojednawczym geście. – Chcę po prostu mieć udział w twoim wychowaniu. – Podniósł głowę ze stołu. – Wiesz, jak się przygotowuje taką głowę? Najpierw musisz ją oskalpować, ale inaczej niż robią czerwone psy w Ameryce. Im wystarcza wycięcie owłosionej skóry na głowie, a tu musisz usunąć całą skórę z twarzy, bo czaszki nie da się zmniejszyć. Potem wieszasz ją do suszenia nad ogniem. Podobieństwo raczej się nie zachowuje. Takie suszenie głów trudno nazwać sztuką portretowania.

Uniósł głowę na wysokość swojej twarzy i uważnie się jej przyglądał. Obrócił nią tak, żebym i ja mógł się napatrzeć.

– Co nieco jednak zostaje. Ciekawe, czy jego stara matka by go poznała?

– To biały człowiek – powiedziałem.

– Oczywiście, że to biały człowiek. Myślisz, że przechowywałbym głowę kanibala? Nie, nie, głowa białego człowieka to wielka rzadkość. Na Malaita musiałem dać za nią pięć karabinów. Tam wszyscy są łowcami głów. To był niezły interes. Ledwie zdążyłem wydać strzelby kanibalom i wprowadzić ich w tajniki ich używania, a już skierowali je we mnie. Zastrzeliłem wszystkich pięciu, nim zdążyli policzyć do trzech, czego zresztą nie umieli. Nie dość, że byłem najbardziej doświadczonym strzelcem, to dodatkowo zapomniałem jeszcze im powiedzieć, że zanim wystrzelą, muszą odbezpieczyć broń. Niestety, nie mogę wystawiać głowy białego człowieka na widok publiczny. Ale kiedy jestem sam albo tak jak teraz, z kimś zaufanym, wyciągam ją i się jej przyglądam.

Odłożył głowę z powrotem na stół. Z lękiem patrzyłem na straszliwie zniekształcone rysy. Mimo wszystko w koszmarnym wyglądzie tej głowy rozpoznawałem coś ludzkiego, i to najbardziej mnie przeraziło.

– Jeśli wyznają jakąś religię, to właśnie on jest bogiem. Chociaż jest niemy, mówi mi wszystko, co powinienem wiedzieć o życiu. Spójrz tutaj! Czym jesteśmy? Trofeum dla innych, wrogiem, tak, również wrogiem, ale przede wszystkim towarem. Nie ma takiej rzeczy, której nie dałoby się kupić i sprzedać. Zapłaciłem karabinami. Gdyby ci nędzni kanibale rozumieli znaczenie pieniędzy, zapłaciłbym stosowną cenę i uniknęlibyśmy przykrego epizodu wymiany strzałów, którego zresztą nie żałuję. To również był handel. Przyniósł korzyść mnie. Masz ochotę na jeszcze jednego?

Właściwie chciałem odmówić, ale czułem, że potrzebuję alkoholu. Piliśmy w kajucie kapitana Jacka Lewisa, a na stole między nami leżała spreparowana ludzka głowa. Zerknąłem na nią i poczułem, że zaczynam się przyzwyczajać do jej obecności.

– Kto to był? – spytałem.

– Gdybym wiedział, i tak bym ci nie powiedział. Poprzestańmy na tym, że na co dzień nazywam go Jim. Czy kiedykolwiek przeglądasz się w lustrze?

Jack Lewis spojrział mi prosto w oczy.

Mieliśmy w domu nieduże lustro, ale leżało schowane w jednej z szuflad mojej matki i rzadko było wyjmowane. Częściej przeglądałem się w szybie niż w lustrze, zresztą na żadnym ze statków, na których pływałem, w kubryku lustro nie było.

– Niezbyt często – odparłem.

Pytanie nie wzbudziło mojego zainteresowania i nie zrozumiałem, do czego Jack Lewis zmierza.

– Mądrze robisz. Szczerze mówiąc, nigdy nie powinieneś przeglądać się w lustrze. Ono mówi wyłącznie kłamstwa. Człowiek przegląda się w lustrze i przychodzą mu do głowy całkowicie błędne myśli na swój temat. Nie chodzi mi wcale o to, co lustro robi z kobietą. Mężczyzna nie staje przed nim, by stwierdzić, jaki jest piękny. Męska próżność tkwi w innym miejscu niż twarz. Mimo to lustro budzi w nim myśl, że jest kimś wyjątkowym, zupełnie innym niż wszyscy. Ale tak to wygląda jedynie dla niego. Wiesz, jak widzą nas inni, w tym lustrze, które tkwi tutaj? – Wskazał na własne oczy. – Zaraz ci to pokażę.

Przypominającą szpon dłonią złapał Jima za kitkę i zamachał mi nim przed oczami. Przerażony poderwałem się z krzesła.

Jack Lewis roześmiał się triumfalnie.

– To ty – powiedział. – Oto jak wyglądasz w moich oczach. To ja. Tak wyglądam w twoich oczach. Tak się nawzajem widzimy. Pierwsze pytanie, które sobie zadajemy, gdy stajemy naprzeciwko siebie, brzmi: „Jaką korzyść mogę z niego odnieść?” Wszyscy jesteśmy dla siebie spreparowanymi głowami.

Znów nalał sobie do szklanki.

– Jeszcze jednego? – zaproponował.

Pokręciłem głową. Czuję, że muszę natychmiast opuścić tego człowieka. To jednak było niemożliwe. Przypląnąłem z tak daleka, by go znaleźć. Bez niego nie miałem szans na odszukanie *papa tru*. Wciąż nie spytałem, gdzie przebywa, ale Jack Lewis mnie uprzedził.

– Wiem, gdzie jest twój ojciec – powiedział. – Zaproponuję ci transakcję. Zawiozę cię tam, ale to, oczywiście, będzie miało swoją cenę. – Popatrzył na Jima i znów się roześmiał. – Tak to już jest. Coś za coś. Męczy mnie towarzystwo samych kanaków, a trudno mi znaleźć załogę złożoną z białych. Zostaniesz u mnie sternikiem. Przypuszczam, że to dla ciebie awans, zważywszy na twój młody wiek. Gaży nie dostaniesz, ale nie będziesz musiał płacić za podróż. A teraz usłyszysz najważniejsze.

Uniosł do góry palec wskazujący i popatrzył na mnie z powagą, która wydała mi się udawana. Nie znałem go jednak na tyle, bym mógł odczytać wyraz jego oczu.

– Będę twoim kapitanem, a ty będziesz słuchał moich rozkazów.

– Słucham wyłącznie własnego sumienia.

– A co ci mówi sumienie? – spytał drwiącym tonem.

– Moje sumienie nie miesza się do wyznaczonego kursu, nie interesuje się też gażą ani wolnymi wachtami. Nie boję się ciężkiej pracy. Ale są rzeczy, których sumienie mi zakazuje.

– Zobaczymy – odparł Jack Lewis. – Wybór należy do ciebie. Albo twój ojciec, albo twoje sumienie.

– Gdzie jest mój ojciec?

– Tego ci nie powiem. Ocean Spokojny jest wielki. A twojego ojca nie ma w pobliżu. Pasat wieje, jak wieje, ale obiecuję ci, że nie będziemy nadkładać drogi. No, i co postanowisz? Tak czy nie?– Tak.



Wyszliśmy w morze dwa tygodnie później. Ładownia była zapełniona. Czym, nie wiedziałem. Kapitan Jack Lewis celowo nie pozwolił mi się zbliżyć do statku podczas załadunku.

– Tym, co zwykle – odpowiedział na moje pytanie.

Wiedziałem, że dalsze próby dowiedzenia się czegoś więcej nie mają sensu.

W jego spojrzeniu na powrót pojawiła się drwina.

– Pamiętaj o swoim sumieniu. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Wzięliśmy kurs na południowy zachód, lecz wcale nie zrobiłem się od tego mądrzejszy. Hawaje leżą we wschodniej części Pacyfiku, a kurs potwierdzał jedynie to, czego już i tak się domyślałem: że mój *papa tru* znajduje się gdzieś na tej wodnej pustyni, na którejś z tysiąca wysp.

•

Stałem przy sterze. Posuwaliśmy się naprzód przy lekkiej bryzie. U mego boku tkwił Jack Lewis. Nie rzucał słów na wiatr i nie kłamał, gdy mówił o swojej samotności wśród kanaków, bo rzadko mnie opuszczał.

– Być może tego nie wiesz – powiedział – ale płyniesz przez Ocean Spokojny, obrawszy błędny cel.

– O co ci chodzi? – spytałem.

Zawsze potrafił obudzić we mnie ciekawość, chociaż nie bardzo mi się podobało jego filozofowanie.

– Gdy pytam tak młodego człowieka jak ty, dokąd płynie, to wiesz, co powinien odpowiedzieć, jeśli jest młodzieńcem, który ma prawdziwy apetyt na życie? W świat, tak powinna brzmieć odpowiedź. Na morze i na wszystkie wyspy, które się na nim znajdują. Młody człowiek wyrusza na morze, by uciec od swego ojca. A ty go szukasz. To błędny kurs. Robisz to z uwagi na matkę?

– Dla mojej matki najlepiej by było, gdyby ojciec umarł. Miałyby grób, na który mogłaby chodzić. Niedobrze będzie, gdy się dowie, że on wciąż żyje.

– A więc wcale nie wyświadczasz jej przysługi. Jesteś pewien, że przynajmniej dla ciebie to przysługa?

– Muszę znać prawdę.

– Po co ci ojciec?

– Mężczyźnie potrzebny jest probierz.

– Probierz? No to znajdź sobie inny. Statek, własne czyny. Niech probierzem dla ciebie stanie się Pacyfik. Spójrz na fale!

Większych nie znajdziesz nigdzie. One mają pół kuli ziemskiej na rozpęd. Ty jesteś młody. Masz cały glob. Nie przejmuj się tak bardzo przeszłością.

Nie odpowiedziałem. Jacka Lewisa nie powinno obchodzić, czego chciałem od ojca. Poza tym dobiliśmy targu. Ja nie pytałem go o jego kurs, on więc nie powinien pytać o mój.

•

Myślałem o *papa tru*. Kiedyś za nim tęskniłem, co dzień ścisnęło mnie w sercu. Potem dorosłem i do tęsknoty dołączyła gorycz. Nawet przez moment nie wątpiłem, że żyje, i przypuszczałem, że zniknął, ponieważ chciał zniknąć. Musiałem wiedzieć dlaczego.

To wszystko.

Jakie wiódł życie? Co mu powiem, gdy go spotkam?

Nie wiedziałem. Nie przygotowałem żadnej przemowy. Musiałem po prostu go zobaczyć. A co potem?

Na to też nie potrafiłem odpowiedzieć. Wiedziałem jedynie, że gdy go szukam, on stał się już innym człowiekiem, i to cała prawda na jego temat. Ojciec był obcy. Być może jedynie to chciałem potwierdzić. Szukałem go, by się z nim pożegnać.



Minął rok, odkąd opuściłem Hobart Town. Pływałem po Oceanie Spokojnym, ale go nie widziałem. Jack Lewis miał rację. Odwracałem się do oceanu tyłem. Teraz zobaczyłem go po raz pierwszy. Obserwowałem długie fale, wysłanniczki dalekich, dawno ucichłych sztormów. Widziałem skaczące delfiny i płetwy rekinów tnące powierzchnię wody. Widziałem wielkie ławice tuńczyków, ubijających wodę na pianę. Bardzo rzadko natomiast widywałem mewy, bo ląd zawsze pozostawał daleko. Widziałem za to albatrosy ślizgające się na skrzydłach, bo one nie potrzebują bliskości lądu.

O Oceanie Spokojnym mówiono, że jest jak każde inne morze, tylko większe, ale przekonałem się, że to bzdura. Potrafił być szary i wzburzony jak Morze Północne, spokojny jak wody wokół Archipelagu Południowej Fionii, lecz nad żadnym innym morzem nie widziałem nieba tak rozległego i tak błękitnego. I chociaż Ziemia nie jest płaska i nie ma żadnej krawędzi, to jednak odkryłem, że Ocean Spokojny musi być jej środkiem.

W pogodne noce, gdy sam stałem przy sterze i nawet wiecznie filozofujący Jack Lewis ulegał senności i milkł, gwiazdy były jedynymi znakami wskazującymi drogę. Czułem się ich sąsiadem, poruszającym się w środku wszechświata.

Kanacy siedzieli w milczeniu i tak jak ja patrzyli w gwiazdy, a ja wiedziałem, że oni, ten lud żeglarzy, który kiedyś nawigował według najodleglejszych słońc wszechświata, czują się teraz jak w domu. Nagle zrozumiałem mojego *papa tru*. Pomyślałem, że w życiu żeglarza nadchodzi moment, w którym ziemia przestaje być jego domem, i wtedy oddaje się Pacyfikowi, na którym żaden ląd nie stanowi przeszkody dla oka, niebo i morze odbijają się w sobie, aż pojęcie góry i dołu traci znaczenie, Droga Mleczna przypomina pianę łamiącej się fali, gdy kula ziemską kołysze się jak statek wśród podnoszących się i opadających grzywaczy gwiazdzistego nieba, a słońce jest tylko maleńką plamką fosforyzującego planktonu na nocnym oceanie.

Ogarnęła mnie niecierpliwość, tęsknota za nieznanym. Była w tym pewna bezwzględność. Być może ją właśnie miał na myśli Jack Lewis, mówiąc o żądzy przygód, która nakazuje młodym ludziom podróżować od razu po całym świecie. Z niezmierzonej powierzchni Oceanu Spokojnego emanowało coś mistycznego, a mój *papa tru* musiał to kiedyś poczuć. A ktoś, kto raz to coś poczuje, nigdy nie wraca do domu.

•

Przypomniał mi się pewien letni wieczór na brzegu w rodzinnym mieście. Wiatr ucichł, woda znieruchomiała. O zmierzchu morze i niebo przybrały tę samą fiołkowoniebieską barwę, a horyzont się rozplątał. Brzeg był jedynym punktem, na którym mógł się zatrzymać wzrok, a biały piasek stał się zewnętrzną krawędzią Ziemi. Zaraz za nim rozpościerał się bezkresny, fiołkowoniebieski wszechświat. Rozebrałem się, a kiedy zacząłem płynąć, miałem wrażenie, że płynę we wszechświecie.

Tamtej nocy na Oceanie Spokojnym ogarnęło mnie takie samo uczucie.

•

„*The Flying Scud*” od dziobu po rufę pachniał koprą, ale to akurat nie dziwiło. Suszone orzechy kokosowe były w tych stronach głównym towarem handlowym. Kiedy poznałem sławę Jacka Lewisa, przyszło mi na myśl, że zapach kopry miał skrywać coś innego. To nie przez koprę Jack Lewis zyskał taką opinię. Ale co to mogło być, tego nie potrafiłem wymyślić.

Anthony Fox posłużył się określeniem „handel żywym towarem”, a gdy wspomniałem o tym Jackowi Lewisowi, wyjątkowo nie odpowiedział wprost, jak zazwyczaj.

– Robię to, co robią marynarze – odparł. – Przewożę rzeczy do miejsc, w których są potrzebne. Świat jest, jaki jest. Przeze mnie nie staje się ani lepszy, ani gorszy.

– Handel niewolnikami? – spytałem.

– Jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy, to uświadamiam ci, że handel niewolnikami został w tej części świata zakazany. Jestem praworządnym człowiekiem.

Tym ostatnim słowom towarzyszył krzywy uśmiech.

– Robotnicy na plantacje? – spytałem.

Wiadomo było, że na wielką skalę transportuje się kanaków, wabionych do pracy na ogromnych plantacjach obietnicami wielkich pieniędzy, którzy zamiast dobrze zarabiać popadali w horrendalne długi. Właściciele plantacji byli właścicielami wszystkiego, również chat, w których robotnicy mieszkali za czynsz, i sklepów, w których kupowali jedzenie. Umawiali się na jakieś dwa lata, ale zamiast tego robotnicy musieli pracować dziesięć, zanim bez grosza, wycieńczeni, mogli wrócić do domu na wyspy, z których kiedyś odpłynęli, jeśli w ogóle kiedykolwiek dane im było odnaleźć powrotną drogę przez morze.

Jack Lewis pokręcił głową.

– Zaczęliśmy się bawić w ciekawą zgadywanke, ale niech ci się nie wydaje, że ci odpowiem. Nie jesteś człowiekiem praktycznym. Masz to swoje wrażliwe sumienie, a kiedy się już ma coś takiego, to lepiej być ślepym.

•

Jack Lewis zmieniał mnie zawsze równo o północy, gdy zaczynała się psia wachta. Początkowo się temu dziwiłem, ale uznałem, że on ma w sobie ukrytą stronę, która każe mu zostać sam na sam z gwiazdami. W pewną gorącą noc, gdy żagle zwisały luźno, a w nieruchomej powierzchni oceanu odbijała się Droga Mleczna i ktoś niedoświadczony mógł wziąć odbicie gwiazd za grzbiet fali łamiącej się na ukrytej rafie, przyniosłem swoją pościel, żeby spać na pokładzie.

Głos Jacka Lewisa zabrzmiał ostro, gdy nakazał mi zejść z powrotem na dół.

– Na pokładzie może spać kanaka, białemu człowiekowi to nie przystoi.

Stałem niezdecydowany. Nie miałem ochoty schodzić pod pokład do dusznej kajuty.

– Zostań tu na chwilę. Złap trochę świeżego powietrza.

Powiedział to łagodniejszym tonem. Słyszałem, że ma ochotę porozmawiać. Przysiadłem na relingu. Było zupełnie cicho, słychać było jedynie skrzypienie takielunku.

– Okłamałem cię – zaczął Lewis.

Usłyszałem, że śmieje się do siebie w ciemności.

– Dobrze wiem, kim jest Jim. Ale ty i tak nigdy byś mi nie uwierzył.

– Niech pan mówi! Wierzę panu. Ale najpierw niech mi pan wytłumaczy, dlaczego nagle mam poznać prawdę.

– A więc dajesz mi swoje błogosławieństwo? Całe szczęście. No cóż, dlaczego nagle chcę ci powiedzieć prawdę o Jimie? Ponieważ ta historia jest zbyt dobra, by ją przemilczeć. To właśnie jest dziwne w dobrych historiach. Nie ma się z nich prawdziwej przyjemności, dopóki zachowuje się je wyłącznie dla siebie.

Więc posłuchaj. Jim naprawdę miał na imię... – Zrobił przerwę, jak gdyby dla zwiększenia napięcia. – James.

Popatrzyłem na niego rozczarowany.

– I co z tego?

Jack Lewis roześmiał się.

– Coś mi się zdaje, że nazwisko powie ci więcej niż imię. Cook. James Cook.

Zaparło mi dech w piersiach.

– Ten James Cook?

– Owszem, ten James Cook. Kapitan „*Resolution*” i „*Discovery*”. Odkrywca Wysp Przyjacielskich, Wysp Sandwich i Wysp Towarzystwa. Właśnie ten James Cook.

– Ależ to niemożliwe!

– No to pokaż mi jego grób! Powiedz mi, gdzie został pochowany. Pokręciłem głową. Nie wiedziałem.

– James Cook został zabity na Hawajach. W zatoce Kealakekua. Był człowiekiem surowym, ale sprawiedliwym. Trzeba posiadać te cechy, jeśli chce się żyć wśród kanaków. Należy być surowym. James Cook obciął raz ucho kanace za to, że tamten ukraść mu sekstans.

Spojrzał na mnie badawczo, jak gdyby chciał się upewnić, że zrozumiałem to, co przed chwilą powiedział. Zrozumiałem. Jeden z jego ludzi nie miał ucha i byłem pewien, że dla Jacka Lewisa w kwestii traktowania kanaków James Cook pozostawał wzorem.

– Na Hawajach Cook zastrzelił wodza, który próbował ukraść mu łódź. Tysiące krajowców otoczyło kapitana i jego ludzi, ale dałby sobie radę. Tubylcy wzięli go za ich zagubionego boga, Lono, który do nich powrócił.

– Nie powinien był strzelać do tego wodza.

– Przypuszczałem, że tak właśnie powiesz. Ale było dokładnie odwrotnie. On musiał go zastrzelić. Cook dał przykład, pokazał swoją siłę. Głupotą było, że okazał również swoją słabość.

Tubylcy bali się zaatakować, chociaż mieli wielką przewagę liczebną. Ale nagle jeden z nich wypuścił strzałę. Być może przez pomyłkę, tego nikt nie wie. Ta strzała trafiła Jamesa Cooka. Nie odniósł żadnej poważnej rany. Nie umarł od tego. Zginął, ponieważ popełnił głupstwo.

Jack Lewis znów popatrzył na mnie w taki sposób jak zawsze, gdy chciał mnie wychowywać. Chociaż nie miałem pojęcia, na czym polegało głupstwo popełnione przez Cooka, wiedziałem, że zaraz padnie cyniczna uwaga o ludzkiej marności, i wcale się nie pomyliłem.

– Cook zaczął krzyczeć, kiedy trafiła go strzała. W oczach kanaków był bogiem, a bogowie nie jęczą z bólu. Jego jęk był sygnałem do ataku. Piętnaście tysięcy ludzi rzuciło się na niego i dosłownie rozerwało na kawałeczki. Mięso upieczono na ogniu, z wyjątkiem dziewięciu funtów, które krajowcy odesłali z powrotem na „*Resolution*”. Serce Cooka zawieszono w jednej z chat, w której znalazło je troje dzieci i zjadło w przekonaniu, że to serce psa. Później część szczątków kapitana odnaleźli jego oficerowie i oddali morzu. Ale jego głowy nie odzyskali nigdy.

– A jak pan ją znalazł?

– To wcale nie było łatwe. Kanacy utrzymywali jej istnienie w tajemnicy. Stała się trofeum, o które rywalizowali. W końcu głowa Cooka zniknęła z Hawajów i zaczęła wędrować po oceanie, mniej więcej tym szlakiem, który wiele lat wcześniej przemierzył jej właściciel. W pewnym momencie plotki głosiły, że w rejonie Pacyfiku krążyło aż pięć głów, a wszystkie rzekomo należały do Jamesa Cooka. Ale ja znalazłem tę prawdziwą. Miałem swoich informatorów, i w końcu udało mi się ją wytropić na Malaita. Wódz, który mi ją sprzedał, był uczonym człowiekiem. Umiał mówić i czytać po angielsku. Nauczył się języka od pewnego misjonarza, którego później pozał z wielkim apetytem, przynajmniej tak mówił. Dobrze wiedział, kim był Cook i ile jest warta jego głowa. Poza tym nie dostrzegał nic barbarzyńskiego w łowieniu głów. „Czytałem waszą Biblię”, powiedział mi. „Jest tam opowieść o Dawidzie, wielkim wojowniku. Czy po zwycięstwie nad Goliatem nie odciął mu głowy, by pokazać ją królowi Saulowi?”

•

Niedługo później zszedłem pod pokład. Wkrótce na ciasnej koi w ciężkim zaduchu zapadłem w niespokojny sen i przyśnił mi się płonący dom Isagera w tamtą wigilię Nowego Roku wiele lat temu. Stałem na ulicy i zaglądałem do środka przez okno. Na stole w jadalni leżała głowa Isagera i wpatrywała się we mnie.

Usłyszałem mamrotanie głosów i odgłos bosych stóp na pokładzie, ale nie wiedziałem, czy to nie nowy sen zastąpił ten poprzedni.

Przebudziłem się z uciskiem w piersi i próbowałem otrząsnąć się ze snów. Spuściłem nogi z koi. Statek trzeszczał, a fale szumiały. Nie było już bezwietrznie. Postanowiłem wyjść na pokład, żeby poczuć na twarzy orzeźwiająca bryzę. Drzwi do kajuty były zamknięte, chociaż miałem pewność, że kładąc się spać, zostawiłem je otwarte. Nacisnąłem kławkę, lecz okazały się zamknięte na klucz od zewnątrz.

Istniało coś, czego miałem nie oglądać, i chyba wiedziałem, co to jest.

Zacząłem walić w drzwi i wołać Jacka Lewisa, ale nikt nie zareagował. Wyłamać drzwi nie mogłem, więc po pewnym czasie zrezygnowałem i wróciłem na koję, gdzie ku swojemu zdumieniu znów zapadłem w sen.

Kiedy się obudziłem, przez otwarte drzwi wpadało światło. Jacka Lewisa znalazłem w jego kajucie. Siedział przy filiżance kawy. Wyglądał tak, jakby mnie oczekiwał, i uśmiechnął się szeroko, gdy przekroczyłem próg.

– Kawy? – spytał, wskazując krzesło naprzeciw siebie.

Nie odpowiedziałem.

– Znów będziemy do tego wracać? Do tych naszych sokratejskich dialogów o istocie sumienia? Uwierz mi, robię wszystko wyłącznie po to, by chronić twoje wrażliwe sumienie.

– Sumienie, którego się nie używa, nie jest żadnym sumieniem.

– Jakże filozoficznie usposobieni jesteśmy z samego rana! Nic bardziej nie pobudza człowieka do myślenia niż drzwi zamknięte na klucz. Widzisz, gdyby nie to twoje delikatne sumienie, drzwi do twojej kajuty nie byłyby zamknięte. Ale będziesz mile widziany na pokładzie, by cieszyć się nocą, bylebyś tylko pamiętał, że jestem twoim kapitanem, a na statku moje słowa stanowią prawo.

– A więc jednak chodzi o handel niewolnikami? „*The Flying Scud*” to *blackbirder*?

– Absolutnie nie jest to handel niewolnikami. Na pokładzie „*The Flying Scud*” są wyłącznie wolni ludzie.

– Którzy w ciągu dnia pozostają zamknięci w ładowni?

– Mogą w każdej chwili opuścić statek. Po prostu nie chcę, żeby wyskoczyli za burtę na środku oceanu. Potopią się. W pobliżu nie ma lądu, do którego zdołałby dotrzeć nawet najlepszy pływak. Kanacy są przesądni. Boją się pływać po ciemku. Nocą są więc na pokładzie bezpieczni.

Nic z tego nie mogłem zrozumieć.

– Mogą opuścić statek, gdy tylko zechcą? – Głos miałem chrapliwy z gniewu i niedowierzania. Czuję, że Jack Lewis mnie zwodzi.

– Tak. Gdy dopłyniemy do lądu, mogą zejść ze statku jako wolni ludzie. – Wstał i wyciągnął rękę. – Daję ci na to słowo jako kapitan „*The Flying Scud*”.

Nie ująłem wyciągniętej dłoni.

– Jeśli są wolnymi ludźmi, to jaki sens ma ich obecność na pokładzie? Bo chyba jest w tym jakiś cel?

– We wszystkim jest jakiś cel.

– Pana czy ich?

Popatrzyłem na szafkę z karabinami winchester za jego plecami i wiedziałem, że nie musi mi odpowiadać.

•

Tego samego wieczoru, kiedy stałem przy sterze, przyszedł mnie zmienić.

– Zostanę na wachcie jeszcze przez dwie godziny – powiedziałem.

– Jak sobie życzysz.

W blasku księżyca niezgłębiona twarz Lewisa bardziej niż kiedykolwiek przypominała maskę wyrzeźbioną w drewnie.

W pierwszej godzinie nic się nie wydarzyło. Kanacy spali na pokładzie jak w każdą ciepłą noc. Później Jack Lewis kolejno ich budził. Podnosili się, nie zadając pytań, chociaż był środek nocy, a pokład oświetlał jedynie blask księżyca. Zorientowałem się, że to musiało się już powtarzać. Znikali w kambuzie i przynosili stamtąd naczynia z wodą i misy gotowanego ryżu. Potem zaczęli odsuwać pokrywę luku. Na środku pokładu pojawił się czarny otwór, a ja zastanawiałem się, czy teraz otrzymam odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Czy ujrzę tych wolnych ludzi, którzy za dnia pozostają zamknięci w ładowni?

Jeden z kanaków zawołał coś w głąb luku, odpowiedział mu chór głosów. Potem zaczęli się wyłaniać jeden po drugim. Usiłowałem ich policzyć, lecz po ciemku sprawiło mi to trudność. Nie wiem, ilu ich wyszło, ale wydaje mi się, że byli to sami mężczyźni. Skórę mieli czarną jak bezksiężycowa noc. Twarze kryły się w cieniu wełnistych włosów. W świetle księżyca przypominali Murzynów z Afryki, ale wiedziałem, że to muszą być Melanezyjczycy ze wschodnich rejonów Pacyfiku, najciemniejsza ze wszystkich ras, jakie żyją rozsypane na ogromnym oceanie, słynna wśród białych nie tylko z największej krwiożerczości, lecz również z tego, że są najzacieklejszymi łowcami głów.

Teraz spokojnie chodzili po pokładzie. Wkrótce zaczęło się na nim toczyć życie, które – jak przypuszczam – można zobaczyć w każdej wiosce zamieszkałej przez dzikich. Niektórzy gromadzili się wokół mis z ryżem. Inni pili wodę z dzbanków lub polewali nią otwarte dłonie, by umyć twarz. Jeszcze inni podchodzili do relingu, by się załatwić. Po niedługim czasie wszyscy siedzieli na pokładzie w niewielkich grupkach, monotonnie mamrocząc.

Jeden zaczął śpiewać, inni mu zawtórowali i już wkrótce śpiewali wszyscy. Partyturą ich pieśni wydawał się ocean. Wznosiła się i opadała z powolnym dostojeństwem, jak ogromne fale i tak jak one zdawała się nie mieć początku ani końca. Urwała się równie nagle, jak się zaczęła, bez żadnej zrozumiałej przyczyny, i pokład znów pogrzyżył się w ciszy, a „*The Flying Scud*” sunął naprzód ku miejscu przeznaczenia, które znał jedynie Jack Lewis.

Rozejrzałem się za nim. Stał oparty o nadbudówkę z winchesterem w ręku.

•

Ta scena powtarzała się co wieczór. Otwierano luk, czarne cienie, uchodzące za wolnych ludzi, zaczynały krążyć po pokładzie, zaspokajając swoje potrzeby. Potem znów znikwały. Nie wiedziałem, jaki los pisany jest naszym wolnym ludziom. Ale Jack Lewis zbyt głęboko wtajemniczył mnie w swoją filozofię, bym uwierzył, że czeka ich coś dobrego.

Dlaczego tak gorliwie zaprzeczał, że są niewolnikami? Hipokrytą wszak nie był, to musiałem mu przyznać. Jaki więc miał powód?

– Powtórzę jeszcze raz, Madsen, to samo, co mówiłem już wcześniej. Oni nie są niewolnikami i nie będą pracować na plantacjach. Są wolnymi ludźmi, tak samo jak ty i ja.

Powiedział to pewnego dnia, gdy znów przycisnąłem go do muru. Z dalszych pytań zrezygnowałem.

•

Parę dni później zwrócił się do mnie. Po jego minie poznałem, że przygotował jakąś niespodziankę.

– Ujawnienie tego teraz nie zaszkodzi, Madsen – powiedział. – Płyniemy na Samoa. To tam jest twój ojciec.

– A więc już wiem – odparłem.

Muszę przyznać, że nie miałem ochoty mu dziękować.

– Co więc mogłoby teraz przeszkodzić nam w rozstaniu, kiedy nie ma już nic, co nas ze sobą łączy?

Roześmiał się i rozłożył ręce, robiąc taki gest, jakby chciał mnie objąć.

– Ależ jest, mój drogi chłopcze. Rozejrzyj się tylko. Ocean! Ocean nas łączy. Jak chcesz się dostać na Samoa na własną rękę? Wpław? Wysiść po drodze na jednej z bezludnych wysepek, których nie ma na żadnej mapie, i czekać na statek, który by cię tam podrzucił? Nie. Jesteś przywiązany do tego statku. Tak samo jak ci wolni ludzie z ładowni.

Jack Lewis miał rację. To, że wiedziałem już, gdzie znajduje się mój ojciec, że posiadałem wiedzę, za którą, jak się obawiałem, przyjdzie mi słono zapłacić, nieważne, czy kiedykolwiek w ogóle będę miał z niej jakąś pociechę, nie zmieniało niczego.

– Będziemy mieć jeden krótki postój po drodze – ciągnął Jack Lewis tym samym triumfalnym tonem co poprzednio.

– Ale ufam, że nie przyjdzie ci ochota mnie opuścić.

– A dlaczegoż by nie? – spytałem gniewnie.

– Nie tak ostro, mój chłopcze. Ponieważ jesteś zbyt mądry na to, aby zakończyć życie na jednej z bezludnych wysp.

– Jeśli to bezludna wyspa, po co tam płyniemy?

– Po to samo, czym zajmuję się wszędzie, gdzie przyplwam. Na handel.

– Z kim, jeśli wyspa jest bezludna?

– To dobre pytanie, mój chłopcze, głębsze, niż mógłbyś pomyśleć. No właśnie, z kim? Na to pytanie mogę odpowiedzieć jedynie kolejnym. Co to jest człowiek? No właśnie, co to jest?

– Patrzył na mnie uważnie. – Potrafisz mi na to odpowiedzieć?

Jack Lewis roześmiał się na znak, że nie interesuje go moja odpowiedź, i w tym momencie nasza rozmowa się zakończyła.



Dwa dni później ujrzeliśmy pierwszą od trzech tygodni mewę. Z pokładu nie widać było łądu. Wyjąłem mapę morską. W pobliżu naszej pozycji nie zaznaczono żadnej wyspy.

Jack Lewis wysłał jednego z ludzi na maszt. Wkrótce z góry rozległ się potwierdzający okrzyk. Kilka godzin później na horyzoncie pojawiło się porośnięte palmami wybrzeże.

– To ta pańska bezludna wyspa? – spytałem Jacka Lewisa, gdy stanął obok mnie przy relingu.

Kiwnął głową, ale nic nie powiedział.

Kiedy się zbliżyliśmy, zobaczyłem, że nieopodal już stoi jeden statek.

– Wygląda na to, że ktoś przybył tu pierwszy.

Wskazałem na wyspę.

– To wrak – powiedział Lewis. – Utknął na rafie. Jest tu już od wielu lat. To „*Morning Star*”. Z tego statku pochodzą portrety czerwonoносеj damy i jej męża w mojej kajucie.

– A załoga?

– Gdy znalazłem statek, nie żyła już od dawna.

– Co się z nią stało?

Jack Lewis wzruszył ramionami.

– To wiedzą tylko oni, a zmarli, jak wiadomo, nie mówią.

– Bunt?

Jack Lewis odwrócił się, by wydać rozkaz kanace. Zrozumiałem, że więcej się nie dowiem. Widziałem jednak po nim, że coś przemilczał.

Halsowaliśmy wzdłuż rafy, szukając przejścia. Jack Lewis sterował, orientując się na wrak, i gdy już do niego podchodziliśmy, w kołujących się falach ukazała się szczelina. Załoga „*Morning Star*” manewrowała prawie bezbłędnie, lecz drogo przyszło jej zapłacić za brak precyzji. Statek stał wysoko na rafie, jak gdyby ciśnięty na nią z wielką siłą. Jego pozycja być może wyjaśniała, dlaczego wydawał się nieuszkodzony i w pierwszej chwili sądziłem, iż stoi na kotwicy w lagunie. Prawie nie miał przechyłu, a wszystkie trzy maszty wciąż się trzymały. Na dziobie dało się nawet przeczytać nazwę: „*Morning Star*”. Galion błagalnie wyciągał ręce ku brzegowi, jak gdyby figura w długiej białej szacie, z której luszczyla się farba, była jedyną osobą, która przeżyła, na zawsze zastygłą w proszącym geście.

Znaleźliśmy się w zaciszu przejrzystych wód laguny, w których nad piaszczystym dnem ślizgały się ryby. Za rafą i białą kipiela ocean był ciemnoniebieski, jak gdyby padał na niego cień. Tu woda lśniła szmaragdową zielenią, co sprawiało wrażenie, że piaszczyste dno skrywa źródło energii o takiej mocy jak słońce. Białą plażę otaczały bujne zarośla, od razu przechodzące w dżunglę, a ja czułem, że owa gęsta roślinność jest jak mur, za którym Jack Lewis skrywa swoje tajemnice.

Musiałem się zamyślić, bo nie zauważyłem, że rzucono kotwicę, kiedy Jack Lewis nagle stanął obok mnie. W rękach trzymał lornetkę i patrzył przez nią tak, jakby szukał czegoś na plaży. Ja niczego tam nie zauważyłem, lecz on mruknął zadowolony.

– Nadeszła wreszcie ta chwila.

– Jaka chwila?

– Pokazania ci, że jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Nie uwierzyłeś mi, gdy powiedziałem, że ci z ładowni to wolni ludzie, a nie niewolnicy. Teraz sam będziesz mógł się o tym przekonać.

– Trzymasz w ręku broń.

– Trzeba się ubezpieczać. Ale nie zamierzam z niej skorzystać.

Nakazał kanakom usunąć pokrywę luku ładowni, a później schować się w kubryku na dziobie. Ten dziwny rozkaz raczej nie zrobił na nich wrażenia. Domyśliłem się, że nie pierwszy raz biorą udział w podobnej ceremonii czy scenie, której miałem być świadkiem.

Jack Lewis dał znak, że mamy ukryć się za nadbudówką. Położył palec na wargach, ale widziałem, że jest spięty, a karabin trzyma w pogotowiu. Usłyszeliśmy odgłos stóp na pokładzie i głosy. Wolni ludzie wyszli z ładowni. Jack Lewis gestem nakazał, że wciąż nie wolno mi się ruszyć. Przez chwilę staliśmy, nasłuchując.

Potem nagle rozległ się plusk i twarz Jack Lewisa rozjaśniła się w uśmiechu, jak gdyby wszystko przebiegało według starannie ułożonego planu. Pokiwał głową i bezgłośnie się zaśmiał. Usłyszeliśmy jeszcze jeden plusk, a po nim kolejne.

Widziałem, że Jack Lewis liczy, gdyż poruszał wargami i zginał kolejne palce. Gdy czterokrotnie zgiął wszystkie palce jednej ręki, co oznaczało, że doszedł do dwudziestu, podniecony poklepał mnie po ramieniu.

– I co, mój chłopcze? Jakies pytania?

Popatrzyłem na lagunę. Mężczyźni, zaledwie parę chwil wcześniej zamknięci w ładowni, kierowali się ku brzegowi. Dotarli do niego niemal jednocześnie i nie oglądając się za siebie, zniknęli w gęstwinie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nigdy nie byłem równie zdumiony. Jack Lewis przyglądał mi się, przekrzywiając głowę.

– Widzisz? – powiedział. – To wolni ludzie. Czy ktokolwiek usiłował im przeszkodzić w ucieczce?

– Jest pan praktycznym człowiekiem, *mister* Lewis – powiedziałem. – Nie rozumiem więc, dlaczego karmił pan tych ludzi przez tyle tygodni jedynie po to, by teraz patrzeć, jak uciekają. Co pan będzie z tego miał? I co oni zrobią na bezludnej wyspie?

– To już ich sprawa. Nie wiem, czego tu szukają, i wcale mnie to nie obchodzi. Wiem jedynie, że pozostawiłem im wybór. Na własne oczy widziałeś, jak kazałem otworzyć luk.

– A któż by nie uciekł, mając w perspektywie głód i pragnienie w ciemnej norze? Czy to jest jakiś wybór?

– Owszem, jest – odparł Jack Lewis. – I ja im go dałem. Ale dość już gadania. Teraz zabierzemy się do tego, po co naprawdę tu przyплыliśmy.

•

Poszedł do kubryku i wydał polecenia kanakom, którzy zaraz pojawili się na pokładzie i zaczęli szykować szalupę.

– Uważam, że powinieneś popłynąć z nami. To będzie dla ciebie pouczające doświadczenie.

Zawiesił sobie na ramieniu starodawny muszkiet, zaopatrzony w rożek na proch i przybitkę. Spojrzałem na niego zdziwiony. W rękę trzymał przecież winchestera.

– Nie zadawaj pytań – powiedział z uśmiechem. – Jestem przesądny. Ta stara strzelba to mój talizman.

Wsiadłem do szalupy razem z dwoma kanakami, którzy zajęli miejsca przy wiosłach. Plaża była pusta, ale czegoż innego można się spodziewać na bezludnej wyspie?

Wyciągnęliśmy szalupę na brzeg. Jack Lewis zaczął chodzić po plaży tam i z powrotem, wpatrując się w leśną gęstwinę, jak gdyby czegoś szukał. Potem skinął na mnie ręką. Za krzewem kwitnącego hibiskusa dostrzegłem rząd kalebas. Obok na piasku leżał kawałek skóry, a na nim coś, co przypominało drobne kamyki, lecz znajdowałem się zbyt daleko, bym mógł się temu dobrze przyjrzeć.

Jack Lewis podszedł do kawałka skóry. Za pomocą rzemyka związał go w woreczek, a kanacy zaczęli nosić do łodzi kalebasy. Pluskało w nich, zrozumiałem, że muszą być pełne wody. Jack Lewis zważył sakiewkę w dłoni. Zagrzechotało. Jeśli jego przypominająca maskę twarz była w ogóle w stanie wyrazić szczęście, to działo się to właśnie wtedy.

W tej samej chwili nad wyspą zabrzmiał huk wystrzału.

Jack Lewis zdrętwiał.

– Czorty! – wykrzyknął. – Przeklęte diabły!

Ścisnął sakiewkę i odwrócił się do mnie.

– Szybko! – nakazał. – Bierz wszystkie kalebasy, jakie zdołasz udźwignąć!

Krzykiem wydał rozkazy kanakom, którzy zaraz zaczęli spychać łódź na wodę. Sam puścił się biegiem, nie wypuszczając woreczka z ręki. Po wyrazie jego twarzy rozumiałem, że celem tej naszej ucieczki na łeb na szyję jest raczej ratowanie sakiewki niż życia. Bez względu na to, co trzymał w ręku, odnalazł swój skarb.

Szalupa już była na wodzie. Musiałem w niej brodzić aż do połowy ud, nim zdołałem wreszcie wsiąść. Kanacy natychmiast zaczęli wiosłować. Jack Lewis stał na środku z karabinem w dłoni. Wycelował w stronę łądu i wkrótce rozległ się grzmiący huk. Odwróciłem się, żeby popatrzeć na brzeg.

Na plaży nagle zaroilo się od tubylców. Wielu z nich miało w rękach strzelby, z których odpowiedzieli teraz całą salwą. Kule wpadały do wody wokół nas. Jack Lewis nie opuszczał broni, zorientowałem się, że jest dobrym strzelcem. Jeden z tubylców już leżał rozciągnięty na piasku. Teraz padł drugi.

– Ha! – odezwał się Jack Lewis pogardliwym tonem. – Na nasze szczęście te diabły nie mają pojęcia o celowaniu.

– Wydawało mi się, że pan mówił, że wyspa jest niezamieszкана.

– Nigdy nie powiedziałem, że jest niezamieszкана. Mówiłem, że jest bezludna. Jeśli jeszcze raz nazwiesz te diabły ludźmi, to każę ci skakać do wody. Jeżeli chcesz, będziesz mógł się przyłączyć do swoich pobratymców.

Posłał mi ponury uśmiech i wycelował jeszcze raz. Kolejny tubylec runął na ziemię, lecz pozostali, nie zważając na to, strzelali dalej.

– No i co zdecydowałeś?

Pokręciłem głową.

– Chyba raczej zostaną tutaj.

Nie mogłem pojąć tego, co widzę. Kim byli tubylcy i dlaczego do nas strzelali? To nie mogli być wolni ludzie z naszej ładowni. Skąd wzięliby strzelby? I co oznaczały kalebasy z wodą i tajemnicze kamyki, na których widok sztywne maska Jacka Lewisa zaczęła pękać? Jack Lewis mówił o handlu, lecz najwyraźniej coś się nie udało.

No tak, nic z tego nie mogłem zrozumieć. Wiedziałem jedno, to, że serce wali mi tak mocno jak nigdy dotąd i że te minuty wśród gradu kul, kiedy byłem zmuszony do bezczynności, ponieważ w łodzi nie było więcej wioseł oprócz tych, które trzymali już w rękach kanacy, dłużyły mi się, wydając godzinami i dniami.

„*The Flying Scud*”, znajdujący się w odległości jakichś dwóch kabli od brzegu, zdawał się wcale nie przybliżać. Na szczęście dwaj kanacy, którzy pozostali na statku, zorientowali się, jakie niebezpieczeństwo nam grozi, i zaczęli podnosić kotwicę. Ale zagrożenie naszego życia wcale przez to nie zmalało. Grupa tubylców wyciągnęła na brzeg długie kanu i spuściła je na wodę niedaleko od miejsca, z którego inni kontynuowali gęsty ostrzał, chociaż celne odpowiedzi Jacka Lewisa zredukowały strzelający zastęp do połowy i plaża była zasłana trupami.

Kanu prędko zaczęło się przybliżać. Co drugi człowiek z jego załogi siedział przy pagajach, pozostali natomiast ostrzeliwali nas na stojąco, więc Jack Lewis musiał kierować swoją uwagę w dwa miejsca naraz. Posłał ostatni strzał ku brzegowi niczym pożegnanie i jeszcze jeden tubylec zważył się na ziemię. Potem skupił się na kanu, zaraz też zobaczyłem, jak pierwszy z jego załogi wpada bokiem do wody. Nagle nasza łódź znacznie zwolniła.

Dotychczas w niemym przestrachu śledziłem to potworne przedstawienie, rozgrywające się na moich oczach. Przypadła mi tylko rola obserwatora, lecz wiedziałem, że rozstrzygnięcie tej gry nie zostało nigdzie zapisane i jeśli los nie zechce mi sprzyjać, przyjdzie mi przypłacić ją życiem. Nieoczekiwanie otrzymałem możliwość wzięcia w grze bezpośredniego udziału, bo jeden z kanaków osunął się na wiosła, jęcząc z bólu. Został trafiony w bark. Ściągnąłem go z ławeczki na dno łodzi, leżał tam, trzymając się za ramię, z którego ciekła krew, na tle jego ciemnej skóry widoczna tylko jako błyszczący strumyk.

Wiosłowałem mocno jak nigdy. Wszystkie ponure myśli mnie opuściły, gdy tylko ręce miały czym się zająć, i czułem, że znów mam wpływ na własny los. Czas, który przed chwilą zdawał się stać w miejscu, ruszył i „*The Flying Scud*” zaczął się szybko przybliżać.

Grot i fok już szły w górę dzięki zręcznym dłoniom kanaków i wybawienie było w zasięgu ręki, gdy usłyszałem z ust Jacka Lewisa ciąg przekleństw.

– Ze też to musiało... Do stu tysięcy diabłów...

Sądziłem, że jego kula wyjątkowo minęła cel, ale milczenie karabinu wyjaśniło mi prawdziwą przyczynę desperacji.

Skończyła mu się amunicja.

Podniosłem głowę. Jack Lewis otworzył skórzaną sakiewkę i zaczął w niej grzebać. Wyjął z niej jakiś drobny przedmiot i by mu się przyjrzeć, podniósł go pod światło. Błysnęło słońce i zobaczyłem, że ów drobiazg zmienia kolor z białego na różowy przez fiolet do niebieskiego, a potem znów robi się biały, w zależności od tego, jak Jack Lewis obracał go w palcach.

To była perła!

Nie mogę powiedzieć, że to najpiękniejsza perła, jaką w życiu widziałem. Nie widziałem ich wiele, a już na pewno nigdy nie widziałem, by ktoś trzymał perłę w ręku, lecz była, doprawdy, cudownie piękna. Wpatrywałem się w nią jak zauroczony. Zdawało mi się, że jest zaproszeniem do marzeń, i mimo naszej rozpaczliwej sytuacji miałem wrażenie, że z wdzięcznością przyjmuję to zaproszenie i przenoszę się w miejsce zupełnie inne niż szalupa ścigana przez krwiożerczych tubylców, którzy dzięki szybkim ruchom wiosł już nas doganiali.

Z rozmarzenia wyrwał mnie głos Jacka Lewisa.

– Wiosłuj, do wszystkich diabłów, człowieku! Wiosłuj!

Przyglądając się perle, zastygłem z wiosłami w dłoniach. Zobaczyłem, że Jack Lewis zdejmuje z ramienia stary muszkiet, wsypuje proch przez lufę, potem wkłada w nią perłę i wszystko to ubija stemplem. W końcu uniósł broń, którą nazywał swoim talizmanem, i starannie wycelował. Jeszcze nie umilkł huk, a jeden z krajowców poleciał w tył, jak gdyby pchnięty przez potężną rękę, i zniknął w wodzie.

– Wystawię ci rachunek, ty szatanie! – wrzasnął Jack Lewis z twarzą wykrzywioną z nienawiści.

Ponownie załadował muszkiet. Palce mu drżały, gdy umieszczał w nim kolejną drogocenną perłę. Ledwie mogłem uwierzyć własnym uszom, gdy usłyszałem osobliwy dźwięk wydobywający się spomiędzy jego zaciśniętych warg. Przysiągłbym, że to był szloch. Potem znów huknął strzał.

Kanaka siedzący przede mną gwałtownie drgnął. Myślałem, że dostał, ale to jego wiosło zostało trafione tuż przy dulce i gdy jeszcze raz nim poruszył, złamało się pośrodku. Teraz wiosłować mogłem tylko ja.

Perły, celność Jacka Lewisa i siła moich ramion. Od tego zależało nasze wybawienie. Wiosłowałem tak, że wydawało mi się, iż ręce zaraz wyskoczą mi ze stawów. Desperacja musiała mi przydać nieznanych sił, bo odległość dzieląca nas od prześladowców się powiększyła. Nie zostało ich zresztą tak wielu. Co drugiego celny Jack Lewis strącił z kanu za pomocą kul albo pereł. Ich wojenne okrzyki brzmiały równie groźnie jak poprzednio, lecz w chórze śpiewającym o naszej bliskiej śmierci było już mniej głosów.

Dotarliśmy do „*The Flying Scud*”. Sztormtrap już czekał spuszczonej. Przerzuciłem sobie rannego kanakę przez ramię. W ogóle nie czułem jego ciężaru. Zacząłem wspinać się w górę i przelazłem przez reling, nie myśląc o tym, jak świątyni w tej chwili stanowią cel. Za nami rozlegały się kolejne wystrzały, ale nikogo nie trafiły.

Kanacy wszystko przygotowali. Kotwica wisiała na dziobie, żagle zostały postawione, a gdyby mieli dostęp do kajuty kapitana i jego szafy z bronią, bez wątpienia podaliby mu również naładowane karabiny, by mógł od razu kontynuować ostrzał naszych prześladowców. Ale broń stanowiła dla nich tabu.

Ledwie stanęliśmy na pokładzie, Jack Lewis pobiegł do swojej kajuty. Chwilę później wrócił z pudełkiem nabojów i nowym karabinem. Uklęknął, chroniąc się za nadburciem, i podjął ostrzał z takim wyrazem twarzy, jak gdyby nie chodziło już o unieszkodliwienie niebezpiecznego prześladowcy, a raczej załatwienie osobistych porachunków. Za każdą utraconą drogocenną perłę tubylcy musieli zapłacić nie tylko życiem tego człowieka, któremu kres położyła perła, lecz również kolejnych, a każdemu celnemu strzałowi towarzyszył okrzyk triumfu.

– A masz, ty diable! – Lewis z pogardą spluwał za reling.

Stałem za sterem. Oszołomiony żądzą krwi, kapitan nie miał głowy, by o tym myśleć. To ja musiałem przeprowadzić statek przez lagunę i przesmyk w rafie. Fakt, że mi się to udało, nie miał żadnego związku ze sztuką żeglarską. Wszystko było wyłącznie kwestią wiatru i prądu. Obie te siły nam sprzyjały. Wiatr zerwał się i napiął żagle, jeszcze zanim opuściliśmy lagunę. Poza tym trwał odpływ i prąd ciągnął nas ku szczelinie w rafie. Człowiek wierzący mówiłby o opatrności, lecz ponieważ ja nie wierzę, by Pan Bóg, jeśli istnieje, trzymał stronę Jacka Lewisa, zadowolę się stwierdzeniem, że to prawa natury w tej szczęśliwej chwili kazały wodzie i wiatrowi nas osłaniać.

Ale poczucie cudownego ocalenia w ostatnim momencie nigdy mnie nie opuściło. Chociaż nie wiem, dla kogo byłoby gorzej, gdyby wiatr i prąd morski postanowiły uwięzić „*The Flying Scud*” w lagunie, dla nas czy dla tubylców? Tamtych było wielu, lecz celność Jacka Lewisa zasługiwała na określenie, które bez wątplenia zaspokoiłoby jego próżność: była demoniczna.

Szybko przemknęliśmy obok „*Morning Star*”. Jack Lewis zrobił przerwę w strzelaniu do krajowców i skierował lufę karabinu na wrak. Rozległ się huk i zobaczyłem, jak twarz galionu na dziobie statku znika w chmurze odłamków. Jack Lewis miał w sobie wściekłość, której nie była w stanie ugasić krew tubylców, a ja poczułem, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło, przeniosło się tylko w inne miejsce i teraz znajdowało się wśród nas, na pokładzie.



Znajdowaliśmy się na otwartym morzu. Można by już odetchnąć z ulgą, gdyby nie dzikość, którą dostrzegłem na twarzy Jacka Lewisa. Odłożył broń i wstał ze swego miejsca przy relingu. Zaczął krążyć po pokładzie, przez cały czas mrucząc pod nosem.

– Wszystko schrzanione. Kto, do czorta... Gdybym tylko dorwał tego przeklętego diabła!

Posłał mi ponure spojrzenie z ukosa, jak gdyby mnie również podejrzewał o przestępstwo, o którego naturze wciąż nie miałem zresztą zielonego pojęcia. Jego plany – mniejsza o to jakie – spaliły na panewce. Był mi winien wyjaśnienie tego koszmaru, który właśnie przeżyliśmy. Rozumiałem jednak, że to nieodpowiednia pora na zadawanie pytań i że właściwa z pewnością nigdy nie nadejdzie, jeśli mi życie miłe.

Zerkałem na Lewisa i nie bez lęku obserwowałem jego wyraz twarzy, gdy wyrzucał z siebie strumień przekleństw. Dlatego byłem zupełnie zaskoczony, gdy jego oblicze nagle rozjaśniło się w uśmiechu.

– A niech to! – zawołał, jak gdyby zobaczył dawno niewidzianego przyjaciela i chciał go powitać z otwartymi ramionami.

Odwrociłem się, żeby się przekonać, co takiego przykuło jego uwagę, i za rufą, w odległości mniej więcej pół kabla, ujrzałem czółno tubylców podskakujące na naszym mieniącym się srebrem kilwaterze. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Jak mogli mieć nadzieję na pokonanie nas?

Widziałem jednak, że zaciekle wiosłują pagajami. Wszyscy siedzieli. Żaden już nie stał i nie celował w nas. Zostało ich siedmiu czy ośmiu, najwidoczniej chcieli mieć pewność, że cel będzie w ich zasięgu, zanim na powrót podejmą walkę. Może wręcz planowali abordaż? Czyżby niczego się nie nauczyli?

Nawet przez moment nie obawiałem się ataku. Ale żal mi było zarówno tubylców, jak i ich naiwności. Pomyślałem, że ze śmiercią nie tylko igrają, lecz wręcz się o nią dopraszają. Te dwie rzeczy według mnie bardzo się różniły i wielce mnie jakby w ich imieniu zasmuciły.

Nie, nie obawiałem się samobójczego ataku krajowców. Bałem się przebudzonej na nowo żądzy mordy Jacka Lewisa.

– Jakaż przyjemna niespodzianka! – zawołał. – A ja myślałem, że ta zabawa już się skończyła.

Sięgnął po karabin i przyłożył go do ramienia. Zaraz jednak znów opuścił broń.

– Są za daleko – stwierdził rozczarowany. – Niech podpłyną bliżej. Sternik, ostrzyć do linii wiatru!

– Ależ kapitanie! – zaoponowałem. – Nie mają szans, by nas dogonić. Czy nie dość już przelaliśmy krwi?

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Zostaliśmy zaatakowani i broniliśmy się. To wszystko.

– Ale teraz nie jesteśmy w zasięgu strzału. I nie będziemy, jeśli tylko utrzymamy kurs.

– Do linii wiatru!

Moje ręce na kole sterowym pozostały nieruchome. Jack Lewis przysunął się do mnie. Wściekły wytrzeszczył oczy.

– *Mister Madsen!* Tu, na pokładzie „*The Flying Scud*”, to ja jestem kapitanem i właśnie wydałem rozkaz. Jeśli młodemu paniczowi się on nie podoba i nie wykona go, zostanie uznany za buntownika. A z buntownikiem sprawa jest krótka.

Podsunał mi lufę do twarzy i przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

To nie z powodu jego spojrzenia i groźnej bliskości lufy usłuchałem komendy. Broń drżała Lewisowi w rękach, więc zrozumiałem, że chociaż głos ma spokojny, jego wściekłość jest niekontrolowana. Karabin w każdej chwili mógł wypalić. To była wściekłość wywołana nie tylko moim wahaniem czy pokrzyżowaniem mu planów przez tubylców. Jego gniew obejmował cały świat i Lewisowi nie robiło różnicy, czy zapłacą za to krajowcy, czy ja.

– Tak jest, kapitanie – powiedziałem i obróciłem sterem.

Opuścił strzelbę i wrócił na rufę. Statek zaczął zwalniać, aż w końcu stanęliśmy z żaglami w łopocie. Kanu tubylców się zbliżało. Jack Lewis uniósł karabin i zaczął do nich strzelać. Do jednego po drugim. Po każdym trafieniu mruczał zadowolony.

Kanu posuwało się naprzód, tubylcy kolejno wstawali z bronią w rękę, celowali, strzelali i chwilę później przyjmowali wyrok śmierci.

W końcu został tylko jeden żywy. Wciąż wiosłował, płynąc w naszą stronę. Jack Lewis przestał strzelać. Stał przez moment zamyślony. Widziałem, że wściekłość mu minęła.

– Niech go pan zostawi – powiedziałem. – Już wystarczy.

Podniósł wzrok i posłał mi rozmarzony uśmiech. Na jego twarzy odmalowała się dziwna pogoda, jak u dziecka, które budzi się ze snu.

– Masz rację – odparł. – Wystarczy.

Stanął obok mnie.

– Dobrze, kapitanie. Trzymam kurs.

•

Wiatr znów wypełnił żagle i zaczęliśmy posuwać się naprzód z taką samą szybkością jak poprzednio. Przez dłuższą chwilę żaden z nas się nie odzywał. Uniknąłem śmierci, lecz tylko po to, by zagrożeniem dla mego życia stał się ten sam człowiek, który chwilę wcześniej mnie ocalił. Stał teraz obok mnie bardzo spokojnie, jak gdyby nigdy nic.

– Piękna pogoda – powiedział nagle, biorąc głęboki oddech. – Morskie powietrze! Nie ma nic lepszego. To ono sprawia, że warto być żeglarzem.

Ze wszystkich rzeczy, jakie usłyszałem z ust Jacka Lewisa w ciągu tych miesięcy, które spędziliśmy razem, owa zwyczajna uwaga była najbardziej zagadkowa. Nawet przez moment nie wierzyłem, że on myśli to, co mówi, a jednak z radością przyjąłem te słowa. Strach, który odczuwałem przez ostatnie dwie godziny, jakby ustąpił, a my znów byliśmy kapitanem i sternikiem przemierzającym ocean.

– To prawda, odparłem i naśladując Jacka Lewisa, odetchnąłem głęboko. – Morskie powietrze jest cudowne.

•

Naszą niespodziewaną idyllę przerwał jeden z kanaków, w podnieceniu wskazujący za rufę. Obaj się odwróciliśmy. To znów był on, samotny krajowiec w kanu. Jego czarna sylwetka odcinała się wyraźnie na tle srebrzystego kilwateru. Nie znajdował się daleko. W jaki sposób udało mu się nas dogonić, samemu w kanu przeznaczonym na znacznie większą liczbę wioślarzy, tego nie dało się wytłumaczyć.

Długo go obserwowaliśmy. Dzielała nas odległość wciąż się utrzymywała. Popatrzyłem na Jacka Lewisa, ale nic nie powiedziałem. Czekałem, aż znów sięgnie po broń i położy kres temu istnieniu, które w przypływie dobrodziejstwa oszczędził. Ale on się nie ruszał.

Po pewnym czasie znów obrócił się do steru i kazał mi skorygować kurs. Od czasu do czasu odwracałem się i patrzyłem za rufę. Tubylec wciąż tam był. W tej samej odległości. Nie przybliżał się, ale też i nie oddalał.

W ten sposób upłynęło parę godzin. Przez ten czas zmienił się mój pogląd na naszego prześladowcę. Zobaczyłem w nim człowieka samotnie siedzącego w kanu na pełnym morzu. Przestał być tubylcem, członkiem dzikiego plemienia, które niedawno nas zaatakowało. Nie wiedziałem już, kim on jest ani czego od nas chce, czy jest napastnikiem, czy też człowiekiem w potrzebie. Widziałem jedynie bezkresny ocean i zagubioną postać. Czułem, że musi być posłańcem, lecz nie wiedziałem, co chce nam przekazać.

– Trzeba z tym skończyć – stwierdził wreszcie Jack Lewis.

Wiedziałem, że nic nie mogę zrobić.

Jack Lewis poszedł po karabin. Nie patrzyłem na niego. Dalej obserwowałem samotnego wioślarza na środku oceanu, jakbym chciał się z nim pożegnać przez te minuty, które mu jeszcze zostały, i zadbać o to, by o nim nie zapomnieć. Moja pamięć mogła być jedynym nagrobkiem, jakiego się doczeka.

Musiał dostrzec, że Jack Lewis celuje do niego z winchestera, bo nagle wstał i zdjął z ramienia strzelbę. Huknął strzał z broni Jacka Lewisa. W tej samej chwili lufa strzelby tubylca plunęła ogniem. Wypalili jednocześnie. Nasz prześladowca upadł do tyłu na dno kanu i już się nie podniósł. Czółno stanęło w poprzek kilwateru, kołysząc się na falach. Odległość prędko się zwiększała. Wkrótce kanu z martwym tubylcem zniknęło nam z oczu.

Byłem tak przejęty losem tubylca, że nie zauważyłem, co się dzieje na „*The Flying Scud*”. Dopiero teraz usłyszałem jęk Jacka Lewisa, a gdy się odwróciłem, ujrzałem, że leży wyciągnięty na pokładzie, a na piersi jego koszuli rozlewa się czerwona plama. Również kula tubylca sięgnęła celu.

•

Kanacy klęczeli wokół kapitana z pytającym wyrazem twarzy, jak gdyby czekali na rozkaz. Czyżby nie rozumieli, że Jack Lewis na ich oczach umierał?

Przez głowę przeleciała mi myśl, że być może uważają go za nieśmiertelnego, gdyż jego poczynaniami kierowało to samo niezrozumiałe okrucieństwo, które cechowało ich bogów. Jednemu kiedyś obciął ucho i nigdy nie słyszałem, by zwracał się do nich tonem innym aniżeli rozkazującym. Byli jedynie pionkami w grze, która ich nie dotyczyła, mimo że wymagała od nich życia. Poświęcał ich w ofierze, niczego nie wyjaśniając, dlaczego więc mieliby nie traktować go jak boga?

Czy nie w taki właśnie sposób działa bóstwo? Jego czyny cechuje niepoznawalność, której nigdy nie da się odróżnić od przypadkowości. Wyznawcy oddają cześć i składają ofiary. Jednak żaden wierzący dotychczas nie wymyślił metody, która zapewniałaby spełnienie modłów.

Gdy zobaczyłem Jacka Lewisa rozciągniętego na pokładzie, z plamą krwi powiększającą się na koszuli, uświadomiłem sobie, że również dla mnie Jack Lewis stał się bogiem. Obiecał, że zawiezie mnie do *papa tru*. Zamiast tego zabrał mnie w rejs statkiem z ładownią pełną ludzi, których nazywał wolnymi, na nieznaną wyspę, gdzie byłem świadkiem zagadkowej transakcji i masakry.

Popłynąłem z nim, by rozwikłać tajemnicę, lecz zamiast tego znalazłem inną.

Byłem tylko jeszcze jednym z jego kanaków. Ale byłem też białym człowiekiem i czułem, że jest mi winien wyjaśnienie zagadki. Jack Lewis umierał, a ja chciałem poznać rozwiązanie, zanim będzie za późno.

•

Kazałem jednemu z kanaków stanąć za sterem i podszedłem do Jacka Lewisa. Nigdy nie byłem świadkiem śmierci człowieka, w przeciwieństwie do *papa tru*, który na wojnie, wtedy gdy „*Chrystian VIII*” szedł na zagładę, widział dookoła ginących ludzi. Widywałem marynarzy wypadających za burtę i tonących w morzu, lecz to było coś innego. Znikali wśród fal i już niewidoczni, rozpoczynali swoją samotną podróż ku głębinom. Nie umierali na naszych oczach. Po prostu znikali z pola widzenia.

A teraz Jack Lewis miał umrzeć. Byłem tego pewien i tak samo byłem przekonany, że leży na pokładzie niczym posąg boga strącony z cokołu. Statua pięknie, a wewnątrz ukazuje się nagi człowiek. Jack Lewis był Jamesem Cookiem w zatoce Kealakekua. Krwawił ranny i za moment miał popełnić to samo głupstwo co Cook.

Jack Lewis popatrzył na mnie i wtedy zrozumiałem, że się myliłem. Jack Lewis był strąconym bogiem, lecz bogiem pozostał. W jego oczach nie dostrzegałem lęku i nie wiem, dlaczego spodziewałem się, że właśnie lęk w nich znajduje. Dlaczego nie żał za tym wszystkim, z czym musiał się żegnać, czy rozczarowanie, że nie wszystko jednak osiągnął? Albo po prostu wściekłość?

Widziałem, jak traci panowanie nad sobą, gdy został zmuszony do użycia drogocennych pereł zamiast kul. Czy nie tak właśnie traktował swoją śmierć? Jako zmarnowanie perły?

Byłem młody i nigdy nie myślałem o śmierci. Czy te uczucia, które myśl o śmierci budzi w człowieku, są w jakikolwiek sposób zapowiedzią tego, co człowiek czuje, gdy śmierć ostatecznie nadejdzie?

Teraz miałem ją zobaczyć.

– Przynieś whisky.

Musiał przetykać ślinę z krwią po każdym słowie, lecz w jego głosie wciąż utrzymywała się dawna władczość.

Bezsilną dłonią poklepał pokład, jak gdyby zapraszał mnie na ostatni kieliszek w swojej kajucie.

– I Jima.

Spojrzałem na niego zdumiony.

– Ogłuchłeś?

Zdezorientowany pokręciłem głową i zszedłem na dół do kajuty, by spełnić jego polecenie. Wyjąłem straszną głowę z torby i położyłem obok Jacka Lewisa. Potem otworzyłem whisky i nalałem sobie odrobinę na dłoń. Nigdy wcześniej nie przemywałem rany postrzałowej, ale obito mi się o uszy, że należy ją zdezynfekować alkoholem.

– Co robisz? – warknął Jack Lewis.

– Chcę przemyć ranę.

– Ranę? – wybuchnął. – To nie moja rana odczuwa pragnienie tylko ja. Przynieś dwie szklanki.

Kiedy wróciłem ze szklankami, Jack Lewis wpatrywał się w Jima badawczym spojrzeniem, jak gdyby właśnie zadał mu pytanie, a teraz czekał na odpowiedź.

Kanacy na pokładzie skamienieli. Również ten, który stał przy sterze, puścił koło. Wydałem mu polecenie i zaraz wrócił na swoje miejsce, lecz co chwila się odwracał. Wzrokiem szukał jednak nie umierającego kapitana, tylko głowy, którą ten trzymał w dłoniach.

– Czy to rozsądne? – spytałem Jacka Lewisa.

– Ty się w to nie mieszaj. – W głosie dźwięczała drwina. – Pewnie niezbyt mądre jest pokazywanie spreparowanej ludzkiej głowy stadu kanibali, których krwiożerczość właśnie przed chwilą się obudziła. Ale ja już niedługo odejdę, więc to będzie twój problem, nie mój.

Zabulgotało mu w piersi, odsłonił zęby w grymasie, który mógł być uśmiechem.

– Nalej do szklanek. Wypijmy za naszą dalszą podróż. Moja prowadzi w nieznanne. Twoja uczyni cię kapitanem na statku kanibali.

Nalałem whisky i podałem mu, lecz nie miał siły unieść szklanki. Musiałem podtrzymać mu głowę i przyłożyć szklankę do ust. Opróżnił ją z westchnieniem; nie miałem pojęcia, czy było to westchnienie przyjemności, czy bólu.

– Ci wolni ludzie – powiedziałem. – Musisz mi o nich opowiedzieć.

– Ci wolni ludzie byli tym, co Jim.

– A więc towarem.

– Tak – odparł Jack Lewis, a wzrok powędrował mu gdzieś daleko, jak gdyby rozmowa go nie interesowała, a jego podróż w nieznaną już się zaczęła.

Czułem, że trzeba się spieszyć.

– Ale co było przedmiotem handlu?

– Ziarenka piasku – odparł szeptem. – Kamyki. Zabawki dla dzieci.

Głowa opadła mu na bok i zamknął oczy, jakby zasnął. Przez chwilę bałem się, że już umarł, ale znów uniósł powieki i spojrzał na mnie.

– Gardzimy tubylcami, ponieważ pozwalają się zauroczyć szklanemu paciorkowi. Nie wiem, co oni myślą o nas, skoro jesteśmy skłonni zabijać za ziarenko piasku, które podrażniona tkanka małża otoczyła zawierającą wapń wydzieliną.

– Co dawałeś za perły?

– Płaciłem wolnymi ludźmi.

– A więc jednak nie byli wolni. Byli twoimi jeńcami.

– Nie. – Jack Lewis pokręcił głową. Znów zabulgotało mu w przestrzelonej piersi. – Wciąż nie rozumiesz. Oni nie byli moimi jeńcami. Byli moimi uczniami.

– Masz rację. Wciąż nic nie rozumiem. Wydaje mi się, że cały czas kłamiesz.

– Posłuchaj!

Jack Lewis leżał z policzkiem przyciśniętym do pokładu. Zerknął na mnie, a z jego oczu biła drwina, której wcale nie kojarzyłem ze śmiercią.

– Dzicy nie mają pojęcia o wolności. Są wolni, ale sami o tym nie wiedzą. Aby nauczyć się cenić wolność, muszą najpierw ją stracić.

– Więc zamykałeś ich w ładowni.

Jack Lewis znów się skrzywił, lecz czy to moja niedomyślność budziła w nim niesmak, czy też jeszcze raz próbował się uśmiechnąć, tego nie umiałem stwierdzić.

– Nie, ja ich nie zamykałem w ładowni. Po prostu pozostawiałem ich własnemu lękowi. Dbiałem o to, by nie oglądali światła dziennego, a w ciemnościach wyobrażali sobie najstraszniejszy los, jaki może ich spotkać. Gdy otworzyłem luk, wpuszczając do środka światło, ich nauka dobiegła końca. Od razu zrozumieli, czym jest wolność, i natychmiast z niej skorzystali.

– Jaki to ma związek z perłami?

– Odpowiedź jest na „*Morning Star*” – odparł Jack Lewis. – „*Morning Star*” to *blackbirder*, statek niewolników. Wpadli na rafę, a wtedy niewolnicy w ładowni wszczęli bunt, wymordowali załogę, a potem skolonizowali wyspę, dotychczas niezamieszkaną. Były wśród nich również kobiety i dzieci, nie przeszkadzało im więc, że trafili na bezludną wyspę. Podarowano im wówczas cały nowy świat, na którym mogli wszystko zacząć od początku. W tym rajku brakowało im tylko jednej rzeczy, i właśnie w tym momencie wkroczyłem ja.

Jego twarz rozjaśnił triumf i nagle zrozumiałem, dlaczego mi się z tego wszystkiego zwierza. Był dumny ze swojej nikczemności i nie potrafił znieść myśli o tym, że umrze, nie mając jej świadka. Swoje życie otoczył tajemnicą, lecz potrzebny mu był ktoś wtajemniczony, aby zaświadczyć o całym wymiarze jego zbrodniczej działalności, którą on sam uważał za ostateczny dowód, no cóż, nie sprytu, lecz raczej własnej wyjątkowej wiedzy o ludzkiej naturze.

W swoim triumfie budził odrazę. Moje oczy poszukały Jamesa Cooka z jego rozdętymi nozdrzami i zaszytymi powiekami. Wołałem tę okrutnie zniekształconą twarz od oblicza Jacka Lewisa. Mimo to kontynuowałem pytania, chociaż czułem, że czasem nawet słuchacz może stać się współwinnym. Nie mogłem się jednak powstrzymać. Musiałem poznać tajemnicę wolnych ludzi.

– I czegoż to brakowało dzikim w ich raju? – spytałem.

– Urozmaicenia w diecie – odparł Jack Lewis, a twarz wykrzywił mu straszny grymas, będący, jak się domyślałem, śmiechem umierającego człowieka. Moment później śmiech ten przeszedł w głuchy, charczący kaszel. Wyglądało to, jakby Lewis się dusił, spomiędzy jego wąskich, spękanych warg popłynęła krew.

Z wolna docierało do mnie, co powiedział. Musiał dostrzec moje obrzydzenie.

– To przecież kanibale – stwierdził pouczającym tonem, jakby przemawiał do dziecka.

– To znaczy, że handlujesz ludzkim mięsem – powiedziałem, znów przenosząc wzrok na Jima.

– Świat nie jest taki prosty – powiedział Jack Lewis. – Nie handluję ludzkim mięsem. Sprzedaję możliwość zwiędnięcia.

Właśnie tego brak im w tym raju, ba, w każdym raju. To błąd w samej idei. Wąż nie jest wrogiem, stanowi wyłącznie pokusę. Ja mam na myśli prawdziwego wroga. Takiego, z którym trzeba walczyć lub przed którym trzeba się ugiąć. Myślę o szansie wypróbowania swoich sił w walce po to, by zwyciężyć lub umrzeć. Właśnie to dawałem tym przeklętym kanibalom, nie ładunek ludzkiego mięsa, tylko szansę udowodnienia, ile są warci. Mój Boże! Oni są dzicy. Są mężczyznami i nie potrafią żyć bez walki. Zawijałem do nich raz w roku. Ofiarowałem wolnym ludziom wybór, a w to, kto wygrał, gdy dopłynęli do wyspy, już się nie mieszałem.

Umilkł, a ja przez chwilę sądziłem, że już umarł. Leżał z zamkniętymi oczami.

– A tymczasem oni znaleźli nowego, lepszego wroga – powiedziałem głośno, zwracając się tak samo do siebie, jak i do niego.

Otworzył oczy i popatrzył na mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu, jak gdybym właśnie przypomniał mu o czymś nieprzyjemnym.

– Jakiś idiota sprzedał im karabiny i popsuł mi cały interes – warknął. Chciał splunąć na pokład, lecz zamiast śliny z ust pociekła mu krew. – Miałem dobry interes. To przedsięwzięcie mogło trwać latami. Oni dostawali kogoś, z kim mogli walczyć, kogo mogli zabijać i zjadać. Ja dostawałem perły. Tymczasem pojawił się ten przeklęty diabeł.

– Kto? – spytałem.

– Nie twoja sprawa. – Znowś splunął krwią. – Daj mi jeszcze szklanę.

Nałamałem i przyłożyłem mu szklanę do ust. Zakrztusił się. Whisky pociekła mu po wardze, mieszając się z krwią, która nawet na chwilę nie przestawała płynąć. Westchnął.

– Ty to wszystko odziedziczysz. Sakiewkę z perłami, statek. Dobry początek dla młodego marynarza. Lepszy, niż zasługujesz.

Nic nie powiedziałem. Nie wiedziałem, co mówić. Nie miałem ochoty zostać właścicielem tego statku, który bez względu na to, co twierdził jego właściciel, nie był niczym innym jak nędznym blackbirderelem. Perł też nie chciałem. Ich jasnoróżowy perłowy blask kazał mi myśleć, że nie powstały wokół ziarenka piasku, ale drobiny zakrzepłej krwi.

Milczałem. Wprawdzie nie miałem szacunku dla Jacka Lewisa, to jednak miałem szacunek dla dziury w jego piersi. Umierał, a umierającym winni jesteśmy szacunek.

– Raj – wymamrotał. – Całkowity raj ze wszystkim, łącznie z wrogami gotowymi cię zabić.

Spojrzał w kierunku kanaków i znów rozchylił usta, tak że widać było krew sączącą się między żółtymi zębami.

– W tej samej chwili, w której odwrócisz się do nich plecami, wbiją w ciebie nóż. Widzą, jak tu leżę. Zobaczyli Jima. Jeśli nie wiedzieli tego wcześniej, to teraz już wiedzą. Również biały człowiek może umrzeć.

•

Jack Lewis zamknął oczy i westchnął. Zastygł. Po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że już nie otworzy oczu. Wciąż miałem w uszach jego ostatnie słowa ostrzeżenia, lecz nie było sposobu, by ukryć przed kanakami, że on nie żyje.

Nie chciałem trzymać go na pokładzie, zszedłem więc na dół do kajuty, by poszukać czegoś, w co mógłbym go owinąć, zanim oddam go falom. Myślałem o fladze, lecz żadnej nie znalazłem. Wziąłem zatem kawał nieużywanego płótna żaglowego. Koszula na piersi Lewisa była przesiąknięta krwią, ale nie przebrałem go w czyste ubranie. Nie miałem ochoty dotykać jego ciała i lepkiej krwi. Leżał owinięty w płótno żaglowe, przewiązane sznurem. Jakieś życie dobiegło końca, niezbyt piękne, co sobie uświadomiłem. Chociaż niewiele wiedziałem o Jacku Lewisie, to jednak wystarczająco dużo, by nie opłakiwać jego śmierci.

Wezwałem kanaków i wspólnymi siłami wyrzuciliśmy Jacka Lewisa za burtę. Przez chwilę kołysał się na falach kilwatera. Potem poszedł na dno. Nie widziałem, by przed zatonięciem zwłok zbliżyły się do nich rekiny. Czy był chrześcijaninem, nie miałem pojęcia. Mimo to złożyłem ręce. On nie uważał innych ludzi za coś więcej niż mięso leżące na marmurowej ladzie rzeźnika. Ja uczyniłem mu zaszczyt i to, co wyrzuciłem za burtę, uznałem za coś ludzkiego, a nie tylko kawał martwego mięsa. Zmówiłem więc *Ojcze nasz*.

Słowa modlitwy wypowiadałem po duńsku. Kanacy stali w milczeniu. Gdy ujrzeni, że składałem ręce, oni też tak zrobili. Przyjąłem to za oznakę szacunku, być może w równym stopniu dla mnie, co dla zmarłego. Byłem teraz ich kapitanem. Co sobie poza tym myśleli, nie wiedziałem. Ich ciemne, wytatuowane na niebiesko twarze niczego nie zdradzały.

Czy to początek zatoki Kealakekua? Czy los, którego uniknął Jack Lewis, spotka teraz mnie? Rozszarpią mnie na kawałeczki, zjedzą moje serce, a głowę uwędzą nad ogniem?

Miałem ochotę ukryć się w kajucie, aby tam przeanalizować sytuację, w jakiej się znalazłem. Czułem jednak, że gdy raz się schronię w bezpiecznej ciemności, nigdy już z niej nie wyjdę ze strachu, że będą czekać pod drzwiami z wyciągniętymi nożami.

Stałem więc przy sterze.



Zrozumiałem, że pierwszą rzeczą, z jaką muszę się uporać, jest przewycięzenie strachu przed kanakami, który Jack Lewis tak sprytnie we mnie zasiał. Dopóki tkwił we mnie lęk, Jack Lewis wciąż znajdował się na pokładzie i mną rządził. Musiałem wydawać rozkazy i oczekiwać, że zostaną wykonane. Musiałem wchodzić do kajuty i wychodzić z niej bez obawy, że zostanę napadnięty z ukrycia. Musiałem kłaść się spać w przekonaniu, że znów się obudzę.

Musiałem, mówiąc krótko, robić to, co robili mężczyźni na statkach od tysięcy lat. Musiałem być kapitanem.

Byłem jednak młody i nigdy wcześniej nie dowodziłem statkiem. Zostałem sam z czterema kanakami, z których jeden był nieprzydatny. Znajdowaliśmy się na środku Oceanu Spokojnego. Bardzo niewiele wiedziałem o celu, ku któremu zdążaliśmy, i pojąłem, że nawet jeśli uda mi się wprowadzić „*The Flying Scud*” bezpiecznie do portu, moje problemy na tym się nie zakończą. Kto uwierzy w moją opowieść?

Stałem zatopiony w rozmyślaniach, gdy nagle mój wzrok padł na pokład. Głowa Jamesa Cooka wciąż leżała w tym samym miejscu, gdzie została położona, gdy Jack Lewis się z nią żegnał. Stanowczo kazałem jednemu z kanaków zastąpić się przy sterze. Potem podszedłem do spreparowanej głowy i zaniósłem ją na dół do kajuty, a tam położyłem na koi Jacka Lewisa.

Nie umiem wyjaśnić, dlaczego od razu nie wyrzuciłem jej za burtę. Nie miałem ochoty jej zatrzymywać ani nawet więcej oglądać, lecz coś mnie powstrzymało, gdy stałem, trzymając ją w rękach i patrząc na mieniące się w słońcu morze. Wyjąłem głowę z torby, gdy Jack Lewis poprosił o pokazanie mu jej po raz ostatni, ale bardziej byłem przejęty jego zbliżającą się śmiercią niż Jimem i nie zastanawiałem się nad tym, że trzymam w rękach budzące odrazę szczątki tego, co kiedyś było człowiekiem.

Teraz czułem w dłoniach skórzastą powłokę głowy i suche jak siano włosy. Miałem wrażenie, jakby w tym dotknięciu zawierało się przesłanie człowieka, którym był James Cook, zanim zmienił się w symbol barbarzyństwa. Mogłem wyrzucić za burtę ciało martwego kapitana. Ale z Jamesem Cookiem nie mogłem zrobić tego samego.

Nie tylko dlatego, że Jack Lewis zdradził mi, kim był Jim. Czy mu uwierzyłem? I tak, i nie. W zasadzie było mi to obojętne. Dla mnie i tak pozostawało nierzeczywiste. Jeśli naprawdę była to głowa Jamesa Cooka, to powinna chyba zostać odesłana do Anglii. Nie wiedziałem, co Anglicy by z nią zrobili. Może przemilczeliby jej istnienie, ponieważ cała ta historia była nader przykra? A może odprawiliby ceremonię i złożyli ją na wieczny spoczynek? Może nawet daliby głowie Jamesa Cooka własną trumnę? Ile razy można grzebać człowieka? I co by było, gdyby pewnego dnia pojawiła się stopa? Czy cały pogrzeb należałoby powtórzyć?

Imię Jim początkowo wydało mi się złośliwym żartem. Teraz James Cook stał się jakby częścią tego żartu i pomyślałem, że lepiej będzie zostawić go w spokoju. W końcu głowa wciąż była ostatnim śladem tego, co zostało z człowieka, który poniósł straszliwą śmierć. Nie mogłem jej tak po prostu wyrzucić za pokład jak rzecz, która się zepsuła, czy kawałek mięsa zaczynający cuchnąć.

Właśnie wtedy zrozumiałem różnicę między mną a Jackiem Lewisem. Dla Lewisa Jim było imieniem nadanym spreparowanej głowie, dla mnie – imieniem człowieka.



Od tamtej pory często zastanawiałem się, czy Jim był dla mnie bardziej człowiekiem, niż kiedykolwiek stali się ludźmi kanacy. Za sprawą niebieskiego tatuażu całkowicie pokrywającego ich twarze nie tylko wszystkie ich cechy indywidualne rozplywały się w bezdennym mroku. Również ich oczy stały się całkiem obce. Szukałem w ich spojrzeniach czegoś ludzkiego, lecz nie znalazłem. Oczy stanowiły element maski, jak gdyby źrenice zostały wytatuowane na siatkówce.

Nigdy nie słyszałem, by Jack Lewis z nimi rozmawiał, i sam też tego nie robiłem. Wydawałem rozkazy, oni je wykonywali. Opatrując rannego kanakę, zauważyłem, że to ten, któremu brakowało ucha. Odwrócił głowę, gdy usiłowałem oczyścić mu rany. Nie spojrzał na mnie nawet wtedy, gdy skończyłem zakładać opatrunek.

Istniała między nami granica, która nigdy nie została przekroczona. W miarę jednak upływu dni mój strach znikał. Statek decydował, kim jesteśmy: ja byłem kapitanem, oni załogą, a pasat, który zawsze był w takim samym humorze i wiał z tą samą siłą, codziennie zapewniał nas, że wszystko jest tak, jak być powinno.

•

Właśnie w takiej sytuacji zacząłem zachowywać się w sposób, który kiedy indziej uznałbym za dziwny. Rozmawiałem z Jimem. Schodziłem do kajuty, zapalałem lampkę z wielorybim tłuszczem i wyjmowałem Jima z torby. Umieszczałem go na stole przede sobą, a w migotliwym blasku lampki wydawało się, że jego twarz przybiera taki wyraz, jakby słuchał. Czułem, jak się koncentruje za zaszytymi powiekami. Nic nie mówił. Cieszyłem się, że tak było. Inaczej miałbym niezbity dowód na to, że straciłem rozum.

Kładłem przed nim sakiewkę z perłami i wyjmowałem je po kolei, by mu je pokazać. Potem pytałem, czy jego zdaniem powinienem je zatrzymać.

W pierwszym odruchu chciałem cisnąć je w morze za Jackiem Lewisem. Tak, pojawiały się nawet chwile, w których żalowałem, że nie uczyniłem tego na jego oczach, kiedy jeszcze oddychał. Byłoby to coś w rodzaju zwycięstwa nad nim i nad nikczemnością, którą – jak najwyraźniej sądził – mógł mnie zarazić.

Zwlekałem zbyt długo. Jedną chwilę szybko zastępuje inna. Zacząłem chować perły w tym samym miejscu, co Jima. Zapewne już wkrótce mógłbym je nosić na piersi. Strzegłbym ich za wszelką cenę, a kanakom dałbym dobry powód, by mi odebrać życie. Dlaczego nie mieliby znać wartości pereł albo nie pragnąć choćby jednej ze wszystkich tych rzeczy, które można mieć za pieniądze, przede wszystkim wolności?

Czując ciężar pełnej sakiewki, uświadomiłem sobie, że trzymam w dłoniach całe swoje przyszłe życie. Niepotrzebny był mi nawet „*The Flying Scud*”. Mogłem kupić własny statek. Mogłem kupić trzy statki i zostać armatorem, mieć własny dom, może nawet jedną z tych wielkich pięknych kamienic na Øvre Strandstræde w bok od plebanii. W wyobraźni zacząłem już wypełniać ów dom żoną i dziećmi, a nawet służbą. Widziałem, jak moja przyszła żona w fiołkowoniebieskiej sukni zrywa róże w ogrodzie.

Nie zwierzałem się z tych marzeń Jimowi. Uczyniłem za to z niego mojego sędziego. To on miał za mnie podejmować decyzję. To nie cierpienia, przez które musiał przejść, zanim skończył jako spreparowana głowa, usprawiedliwiały status, który mu nadałem. Fascynowało mnie raczej jego milczenie. Mogłem mu włożyć w usta każdą odpowiedź, jakiej chciałem.

„I jak, Jim? – rzucałem w półmrok kajuty. – Mam zatrzymać te perły? Co ty na to?”

Jim nic nie mówił. Patrzył na mnie swoimi zaszytymi powiekami, a ja czułem, że za nimi kryją się wszystkie odpowiedzi na moje pytania.

•

Zacząłem myśleć o moim *papa tru*. Nigdy nie prosiłem go o radę, a on nigdy żadnej mi nie udzielił. Rozstaliśmy się za wcześnie. Teraz go szukałem. Na tym polegała moja misja na Oceanie Spokojnym: odnaleźć zaginionego *papa tru*. Ale czego od niego chciałem? Poprosiłbym o dobrą radę? Odbudowałbym zerwane więzi? Byłem dzieckiem, gdy go widziałem po raz ostatni. Teraz byłem dorosły i nie mogłem stać się dzieckiem na powrót. O co więc mi chodziło? O pokazanie mu, że stanąłem na nogi, i to bez jego pomocy? Czyżbym szukając go, przemierzył pół świata wyłącznie po to, by zademonstrować, że mogę się bez niego obyć?

Zrozumiałem, że nigdy nie sięgałem myślą dalej niż do tej chwili, kiedy stanę z nim twarzą w twarz. Byłem doświadczonym żeglarzem, pływałem po wielkich oceanach, ale czułem, że wciąż jestem niedorostkiem. Nie dlatego, że nie znałem tętniących życiem gwarnych portów, porośniętych palmami wybrzeży czy smaganych wichrem szkierów, lecz ponieważ wciąż wiedziałem nieskończenie mało o własnej duszy. Umiałem nawigować według mapy morskiej. Potrafiłem określić swoją pozycję za pomocą sekstansu. Znajdowałem się w nieznanym punkcie Oceanu Spokojnego na statku bez kapitana i wciąż byłem w stanie odnajdywać drogę. Nie miałem jednak żadnej mapy własnego wnętrza ani wyznaczonego kursu przez życie.

•

Opróżniłem szafkę Jacka Lewisa z butelek i wyszedłem na pokład, żeby wyrzucić je za burtę. Żadnej nie otworzyłem przed ciśnięciem do wody, nawet tamtej tajemniczej butelki z białą zawartością, w której dawał się dostrzec zarys jakiegoś ciemnego kształtu. Nauczyłem się już, że drzwi, które otwierał przede mną Jack Lewis, prowadziły jedynie do kolejnych pomieszczeń pełnych strachów. Patrzyłem, jak butelki zostają w tyle i znikają wśród fal.

Wiedziałem, że zamiast nich powinienem wyrzucić Jima, ale Jim dalej dotrzymywał mi towarzystwa. Tak samo jak perły.

•

Mijały dni. Snułem fantazje na temat mojej przyszłości. Raz uważałem perły za nieoczekiwaną szansę, raz za przekleństwo, które gdybym kiedykolwiek sprzedał skarb, uczyniłoby ze mnie współwinnego zbrodni Jacka Lewisa.

Cały czas płynęliśmy ku Samoa.

Dopóki Jim mi nie odpowiadał, czułem, że wciąż jestem wolny i że nic jeszcze nie zostało rozstrzygnięte. Zatrzymałem czas i przyłapałem się na pragnieniu, abym na zawsze mógł pozostać w niejasnym świecie marzeń, który w półmroku kajuty stworzyłem razem z Jimem.

Zapomniałem, gdzie jestem. Znalazłem się w świecie, w którym życzenia się spełniały i w którym nie trzeba było za nie płacić.



Przebywałem sam przez większość godzin w ciągu dnia, lecz samotność mi nie ciążyła. Posiłki jadałem w kajucie, natomiast kanacy posilali się na pokładzie. To oni gotowali jedzenie. Składało się z ryżu i duszonych bulw taro. Od czasu do czasu zarzucali haczyk i łapali złotopłetwego tuńczyka.

Pokazywałem się na pokładzie wyłącznie po to, by skorygować kurs i sprawdzić żagle.

Po tygodniu pasat zdechł. Zniknął pewnego wieczoru wraz ze słońcem, którego czerwona kula osuwała się za horyzont. Wachlarz chmur rozpościerał się na wszystkie strony.

Uznałem to za zły znak i przygotowałem się na huragan. Ale o świcie czekał mnie przeciwny widok. Flauta spoczęła na morzu niczym ołowiana pokrywa. Panował duszny upał jak przed nadciągającą burzą. Ale niebo było błękitne niczym gazowy płomyk, a na horyzoncie nie gromadziły się groźne chmury.

Miałem pewność, że coś się wydarzy, lecz moja fantazja nie podsuwała mi innych przypuszczeń niż te, które miałem poprzedniego wieczoru. Dalej wierzyłem, że nadciąga huragan.

Dzień minął, a my staliśmy w miejscu. Żagle zwisały luźno. Rozpięliśmy na śródkręciu tent. Musiałem na jakiś czas pożegnać się z Jimem. Było zbyt gorąco na przebywanie w duchocie kajuty, a na pokład przynosić go nie chciałem. Czy powinienem zostawić na dole również perły?

Moje ponure przewidywania z mrocznych dni w kajucie powoli się spełniały. Sakiewkę z całą moją przyszłością zacząłem nosić pod koszulą, na gołej piersi. Lecz także z tego musiałem zrezygnować. W upale koszula lepiła się do skóry. Czuję się tak, jakbym miał usta zasłonięte maseczką z gazy, przez którą trudno oddychać. W końcu zamknąłem perły w kajucie razem z Jimem i zacząłem chodzić nagi od pasa w górę. Od czasu do czasu wystawiałem za burtę kubel i polewałem się letnią morską wodą, lecz ani to, ani nadejście ciemności nie przynosiło ulgi.

W nocy z powodu upału nie mogłem spać i wychodziłem na pokład. Kanacy zawiesili hamaki wysoko i rozmawiali ściszonymi głosami. Po raz pierwszy zaczęła mi ciążyć samotność.

Pomyślałem jednak, że gdybym się do nich zbliżył i usiłował nawiązać kontakt, oznaczałoby to przyznanie się do słabości.

Przywiązaliśmy ster. Nie było żadnego kursu, którego mielibyśmy się trzymać, ponieważ staliśmy w miejscu, żaden prąd morski nie niósł nas na grzbiecie, by dokądś zawieźć. Patrzyłem w nocne niebo. Wciąż nie pojawiały się na nim chmury, ale migotanie gwiazd stało się słabsze niż kiedykolwiek, jak gdyby zrezygnowały z dawania nam sygnałów.

Pojąłem, jak bardzo jesteście odcięci od świata. „*The Flying Scud*” był planetą wyrwaną ze swej orbity, ginącą w najciemniejszej głębi wszechświata.



Z jednego z hamaków dobiegł jęk. Podeszedłem o krok bliżej. Po opatrunku na ramieniu rozpoznałem rannego kanakę. W ciągu ostatnich dni rana zaczęła się goić. Czy wobec tego skarga oznaczała nawrót gorączki i zakażenie rany? Wiedziałem, jak wygląda zapalenie, lecz o tym, jak je leczyć, nie miałem pojęcia, znałem tylko prymitywny zabieg polegający na polewaniu rany whisky. Było zbyt ciemno, żeby coś przedsięwziąć, postanowiłem więc poczekać, aż wstanie dzień.

Tamtej nocy nie spałem. Upał nie pozwolił mi zmrużyć oka. Ogarnął mnie niepokój i poirytowanie. Ale nie spowodowała tego nieoczekiwana cisza morska, która zarządziła przymusową przerwę w rejsie. Czuję się odcięty od czegoś o wiele ważniejszego: od moich marzeń w kajucie, od pereł i Jima na stole. To tam toczyło się moje życie, i właśnie od niego zostałem oderwany.

Następnego dnia obejrzałem ranę kanaki. Na białym opatrunku pojawiły się żółte plamy. Z rany, która prawie całkiem się zamknęła, sączyła się ropa, a jej brzegi były czerwone i obrzmiałe. Oczyszcziłem ją najlepiej, jak umiałem. Niebieska twarz kanaki nawet się nie skrzywiła, ale ramię gwałtownie drgało za każdym razem, gdy dotykałem opuchniętej rany. Potem polałem ją whisky, a założenie czystego opatrunku zostawiłem jego pobratymcom.

Wiedziałem, że oni również grzebią w tej ranie. Mieli własne lekarstwa. Nie mieszałem się do tego. Przecież powątpiewałem w skuteczność moich metod.

Zakażenie wywołało we mnie paskudne przekonanie, że stojące powietrze nad nami jest zatrute. Znajdowaliśmy się na środku oceanu, a mimo to mieliśmy wrażenie, jakby ze wszystkich stron otaczała nas nieprzenikniona dżungla, pełna gnijących resztek roślin i gryzących oparów amoniaku.

Czy tylko mnie się wydawało, że jakaś wielka ręka spoczęła ciężko na mojej piersi?

Obserwowałem kanaków. Również ich ruchy spowolniały. Czy nie oddychali z wysiłkiem, jak gdyby brak wiatru, który przygwoździł nas do wielkiej podłogi oceanu, legł nieznośnym ciężarem również na ich piersiach? Czy w ich ciemnych oczach pośrodku niebieskich masek nie pojawiło się niespokojne pytanie? Czy nie był to przesądny lęk, który wydobywał się na powierzchnię jak banieczki ze zgniłego bagnistego dna, żądając wyjaśnienia straszliwej ciszy morskiej? I czy wkrótce nie znajdą odpowiedzi na swoje pytanie, gdy ich spojrzenie padnie na mnie, obcego, który nie należał do nich, więc powinien zapłacić za wszystko, na co nie dawało się znaleźć rozsądnej odpowiedzi?

•

Zarzuciliśmy sznury z haczykami, ale ryby nie brały. Znow ogarnęło mnie wrażenie, że wszelkie życie wokół nas zanikło. W głębinach morza panował taki sam spokój jak na powierzchni. To nie lęk przed rekinami powstrzymywał mnie od kąpieli, tylko uczucie, że ocean mnie wessie, gdy tylko się z nim zetknę, i że na zawsze zniknę w jego ciemnościach.

•

Czwartego dnia zrobiłem przegląd prowiantu. Zostało nam pół worka bulw taro i kilka kilogramów ryżu. Nie obawiałem się, że zaczniemy głodować. Wciąż zachowałem dość trzeźwości, by wiedzieć, że ocean w pewnym momencie znów udostępni nam swoje bogactwa i pozwoli wyciągnąć na pokład tuńczyka. To słodka woda stanowiła nasz największy problem. W lagunie nie zdążyliśmy się zaopatrzyć w jej dostateczną ilość i zaczynała się kończyć. Deszcz rozwiązałby problem, lecz niebo było bezlitośnie błękitne i żaden znak nie wskazywał, że natura wkrótce zaspokoi nasze pragnienie. Musiałem racjonować wodę i bałem się wybuchu buntu. Dlatego postanowiłem, że od tej pory będziemy jeść posiłki razem na pokładzie, by kanacy wiedzieli, że wszyscy dostają tyle samo wody.

Nie byliśmy sobie równi i wcale nie miało tak być. Wymagały tego pisane i niepisane prawa obowiązujące na statku. Musieliśmy jednak być równi w cierpieniu, inaczej nie bylibyśmy w stanie znieść go razem. Powoli uświadamiałem sobie, że flauta może dla świeżo upieczonego kapitana okazać się o wiele większym wyzwaniem niż jakikolwiek sztorm.

Codziennie zarzucaliśmy sznury z haczykami, ale nie wyciągaliśmy żadnej ryby, tak jak gdyby wszystkie unikały naszego statku. Widziałem pytania malujące się na twarzach nawykłych do żeglugi kanaków, którzy na tych wodach spędzili całe swoje życie. Na środku oceanu i ani jednej ryby!

Czyżby dotknęło nas przekleństwo?

Do każdego posiłku wydzielałem po kubku wody. Gdy nachylałem się nad ostatnią beczką, widziałem, że zbliżamy się do dna i wody zostało jeszcze najwyżej na parę dni. Naszą jedyną nadzieją był powrót pasatu, z którym nadciągnie deszcz.

Siódmego dnia skończyła się woda. Z hamaka, na którym leżał trawiony gorączką chory, dobiegał cichy jęk. Dla spękanych ust kanaki nie było już żadnej ulgi. Przewracał oczami, jakby szukał jakiejś nadziei wśród lin takielunku. W końcu oczy mu się zamknęły, lecz pojękiwał tak jak wcześniej. Był to jedyny dźwięk, który przerywał ciszę na pokładzie, oznaka życia, a zarazem zwiastun losu, który nas wszystkich czekał.



To było drugiego dnia po tym, jak skończyła się woda. Siedzieliśmy nad bulwami taro ugotowanymi w morskiej wodzie, gdy jeden z kanaków nagle wskazał na horyzont. Uniosłem głowę i dostrzegłem chmurę. Wisiała nisko nad powierzchnią morza i poruszała się w osobliwy sposób, szybko jak para unosząca się z garnka na ogniu. W przeciwieństwie do pary, chmura nie wzbijała się jednak w górę, tylko poruszała we wszystkich kierunkach naraz, a mnie przyszły na myśl stada szpaków, które jesienią przed odlotem gromadzą się na polach koło Marstal. Słońce prześwietlało chmurę, która zbliżała się powoli, chociaż wciąż nie było wiatru. Zdawała się pulsować, jak gdyby trąba powietrzna ukryta w jej środku potrząsała liśćmi w gęstym lesie.

Wkrótce chmura była już nad nami, a ja zdążyłem pomyśleć, że to naprawdę jesienny las strząsa na nas zwiędłe liście, nim przekonałem się, że to wcale nie martwe liście, tylko żywe istoty wznoszą się i opadają wokół nas, bijąc cieniუსieńkami jak muślin skrzydłami, ozdobionymi wzorami w najprzeróżniejszych kolorach. Znaleźliśmy się wśród ogromnego roju motyli.

Musiało ich być miliony. Jakiś sztorm odległy od despotycznej ciszy morskiej, trzymającej nas w swoich szponach, zmiotł je z jednej z wysp i wypędził daleko na morze. Szukały teraz punktu orientacyjnego i wydawało im się, że znalazły go na naszym naznaczonym śmiercią statku. Wycieńczone przysiadły wszędzie, na masztach i na każdej z mnóstwa lin. Obsiadły zwisające bezwładnie żagle, zmieniając je w wesołe, wielobarwne gobeliny. W ciągu paru minut statek był nie do poznania, otulony żywą, oddychającą masą, która zmęczona, szukała odpoczynku na „*The Flying Scud*”.

Motyle siadały również na nas, jak gdyby nie umiały odróżnić martwego drewna, lin i płótna żaglowego od naszej żywej skóry. Uświadomiliśmy sobie, że dokucza im takie samo pragnienie jak to, które nawiedziło nas. Kłuły nas wszędzie swoimi małymi trąbkami w poszukiwaniu odrobiny wilgoci na spoconej skórze. Nie były to bolesne ukąszenia, takie jak pszczoły, czy wywołujące swędzenie, jak te komara. Ich atak prędko jednak wywołał nieznośny świąd i mrowienie doprowadzające nas do szaleństwa. Gdy tylko się poddawaliśmy, motyle obsiadły nas, szukając wilgoci w kącikach ust i wokół oczu, które musieliśmy dla ochrony zamykać. Jeśli otworzyliśmy usta, by z wraskiem złości przegnać motyle, te wciskały się między zęby i kładły na języku, a ruchy ich skrzydeł łaskotały podniebienie.

Oślepieni i charczący biegaliśmy po pokładzie, wywijając rękami w powietrzu. Motyle chyba uważały nas za swoją ostatnią szansę. Nic nie było w stanie ich odpędzić. Bez wahania rzucały się ku zagładzie, zabijaliśmy je, uderzając się w policzki, czoła i brwi. Chyba wszyscy byliśmy bliscy szaleństwa, gotowi skoczyć za burłę, by się od nich uwolnić, lecz wodę wokół statku również pokrywały motyle. „*The Flying Scud*” stał niczym trumna na całej w kwiatkach posadzce kościoła.

•

Gdy na moment podniosłem powiekę, by dotrzeć do relingu, zobaczyłem jednego z moich współtowarzyszy w cierpieniu; wytatuowaną na niebiesko twarz i czaszkę na wpół pokrywały motyle. Przestałem myśleć o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdowaliśmy, i uległem zachwytowi pięknem tego widoku: idealnie zaokrąglona, niebieska czaszka, otoczona cytrynowożółtymi motylami, wolno bijącymi na pół rozpostartymi skrzydłami, i ciemne oczy spoglądające zza wachlarzy skrzydeł.

W przeciwieństwie do mnie, kanaka sprawiał wrażenie całkiem spokojnego, lecz czy wynikało to wyłącznie z rezygnacji, z jaką poddał się swemu losowi, tego nigdy się nie dowiedziałem. Chwilę później w twarz uderzył mnie strumień wody. To jeden z kanaków, sprytnie pomyślawszy, zanurzył w morzu wiadro i zaczął polewać siebie i innych. Poszliśmy za jego przykładem i dopiero w ten sposób udało nam się uwolnić od mrowia motyli.

Ale walka jeszcze się nie skończyła. Przez jakiś czas owady wciąż usiłowały siadać nam na twarzach i gołych torsach w poszukiwaniu wilgoci. W końcu się poddały. Usiedliśmy wycieńczeni na pokładzie pokrytym lepłą mazią rozdeptanych i zatopionych owadów. Wydawało się, że wszystko, co żywe na statku, oddało się czekaniu.

•

Moje spojrzenie padło na hamak z rannym kanaką. Wycieńczony pozostawał cały czas bezbronny. Teraz leżał żywcem pogrzebany pod wibrującą górą poruszających się, cienkich jak papier skrzydeł. Podbiegliśmy do niego z wiadrami, oblaliśmy go wodą i garściami zdzieraliśmy z niego motyle, niepewni, czy jeszcze zastaniemy go przy życiu. Kanaka zrobił jedyną słuszną rzecz: osłonił twarz rękami i właśnie w takiej pozycji go znaleźliśmy. Jego pierś wznosiła się i opadała. Wciąż oddychał.

Uprzątnęliśmy miejsce na pokładzie i ułożyliśmy go wśród nas. Poszedłem do kajuty przynieść dla niego prześcieradło, a dla pozostałych koszule. W zejściówce, na ścianie i na podłodze małego korytarzyka przed zamkniętymi drzwiami kajuty, siedziało mnóstwo motyli, tak jak w każdym miejscu na statku. Musiałem je strząsnąć z klamki, żeby wejść do kajuty, a one natychmiast poderwały się ze ściany, by pofrunąć za mną do nowego, niezbadanego jeszcze pomieszczenia. Jim leżał na stole, tam gdzie go zostawiłem. Motyle obsiadły jego białe włosy, jak gdyby wzięły go za kogoś żywego. Czciły go urodą swoich skrzydeł, chociaż znalazły w nim człowieka, który nic nie mógł im dać, ale za to nie cierpiał z powodu ich natrętej bliskości.

Zostawiłem Jima i wróciłem na pokład, uwalniając się od kolejnej warstwy motyli, która w kajucie obsiadła mi twarz. Usiedliśmy razem. Wszyscy ubrani w koszule, które zabrałem z szuflad kapitana i z własnego kufra.

Zostaliśmy na pokładzie do końca dnia. Spaliśmy na nim przez następną noc. Motyle przestały się ruszać. Nie było już wody. Skończyły się także bulwy taro.

Wydawało się, że na świecie skończyło się wszystko, nie tylko wiatr. Zostaliśmy jedynie my i miliony motyli. Cała reszta uległa zagładzie. Ocean przestał oddychać, a my spoczywaliśmy na jego martwej piersi. Wkrótce również nasze serca miały przestać bić.

•

Nie jestem zabobonny i nic na ten temat nie wiem o kanakach. Z pewnością są przesądni, a raczej to, co my uważamy za przesady, oni nazywają wiarą. Czułem jednak, że cisza morska trzymająca nas w swoim uścisku nie jest karą za coś, co zrobiliśmy razem, ani też za coś, co zrobił Jack Lewis, bo gdyby w zaświatach istniał jakiś sędzia, w co zresztą wątpię, to Jack Lewis właśnie przed nim teraz stał.

To była kara za coś, co zrobiłem ja.

Przypadek uczynił mnie kapitanem na „*The Flying Scud*”. Byłem nieprzygotowany i młody. Ale to niczego nie tłumaczyło. Kapitan to kapitan, a ja zawiodłem.

Przesiadywałem w kajucie z Jimem i sakiewką pereł. Myślałem o sobie, a nie o załodze. Jeśli kanacy pojawiali się w moich myślach, to tylko dlatego, że obawiałem się z ich strony przeszkód w realizacji moich planów.

Ale co powinienem był zrobić? Nie mogłem przecież rozkazywać wiatrowi i skłonić go do słuchania moich poleceń. Czy w ogóle mogłem być winny tej ciszy morskiej, która spadła na nas jak przekleństwo?

Pomyślałem, że muszę mieć gorączkę, że to pragnienie, duszny upał, ospałe ruchy skrzydeł umierających motyli, widok ołowianej pokrywy morza, błękitne jak płomyk gazu niebo w ciągu dnia i coraz odleglejsze gwiazdy nocą odcisnęły się w moim mózgu, kierując myśli na niewłaściwy kurs.

Kto potrafi do głębi zrozumieć naturę? Dlaczego wiatr nagle przestaje wiać?

Może natury wcale nie interesuje, czy przeżyjemy, czy umrzemy?

Dużo łatwiejsze wydaje się oskarżanie samego siebie.

•

Zszedłem do kajuty, sięgnąłem po sakiewkę z perłami i wróciłem na pokład. Cisnąłem perły tak daleko od statku, jak tylko starczyło mi sił.

Uznałem, że to jedyny sposób, w jaki jestem w stanie odpokutować winę i ostatecznie uwolnić się od Jacka Lewisa, ponieważ on wciąż straszył na pokładzie. Żeglowałem z cieniami. Żyłem w świecie upiórów. A jednak po dziś dzień czuję, że mój czyn był rozsądny. Gdy w rękach nie ścisnąłem wreszcie wszystkiego tego, czego i tak nie miałem prawa posiadać, a mój umysł uwolnił się od lekkomyślnych marzeń, odzyskałem prawo do miana kapitana. Teraz wiedziałem już, na czym polega honor kapitana i jego jedyny obowiązek: miałem doprowadzić załogę żywą do portu.

Wyrzuciłem za burtę wszystkie swoje marzenia o przyszłości. Zostało mi tylko jedno pragnienie: miałem nadzieję, że nadciągnie sztorm i wyrwie nas z ciszy morskiej, w której tkwiliśmy jak w zastygłej lawie.

•

Stałem przy relingu i spoglądałem na morze, którego powierzchnia wciąż się nie zmieniała. Odwróciłem się i popatrzyłem na kanaków skulonych na pokładzie wokół rannego towarzysza. Wpatrzeni w swoje dłonie drzemali w palącym skwarze.

Czy widzieli, jak wyrzucałem perły za burtę, nie wiem, lecz jeśli tak, to musieli pomyśleć, że składam ofiarę jakiemuś bogu, który nie różni się od ich bożków.

Ale ja złożyłem ofiarę nie po to, by pojednać się z bogiem. Złożyłem ofiarę sobie jako kapitanowi.

•

Słońce zaszło, tak jak zachodziło we wszystkie wieczory, gdy cisza morska trzymała nas w uścisku. Pierwszego wieczoru pomyślałem, że przypomina kulę kierującą się ku mojemu sercu. Teraz pociemniało jeszcze bardziej. Było czerwone nie jak krew, ale rana, którą pozostawia kula. Świat stał się zwierzyną, którą powalił nieznanym łowcą.



Nocą obudził mnie dźwięk, który w pierwszej chwili wziąłem za trzask. Wciąż wydobywając się ze snu, sądziłem, że na „*The Flying Scud*” wybuchł pożar, ponieważ upał doprowadził do samozapłonu. W końcu zrozumiałem, że odgłosu, który do mnie doszedł, nie wydaje wcale suche drewno trawione płomieniami. To był głośny łopot tentu rozpiętego nad naszymi głowami.

Gdy się uniosłem, poczułem na twarzy lekki powiew. Zerwał się wiatr. Wraz z nim nadciągnął deszcz.

Stanąłem przy relingu i otworzyłem usta. Krople ulewy, ciężkie i zimne, padały mi na twarz, uderzały w barki i nagą pierś. Wstrząsnął mną dreszcz, jak gdyby wszystko we mnie budziło się do życia.

Usłyszałem za sobą jakiś ruch; gdy się odwróciłem, zobaczyłem kanaków trzymających między sobą rannego towarzysza. Stanęliśmy ramię w ramię przy relingu, pozwalając, by deszcz zmoczył nas do suchej nitki.

Tak naprawdę nie zdawałem sobie sprawy z ogromu swojego pragnienia i nigdy nie odczuwałem takiej wdzięczności jak wtedy, gdy poczułem pierwsze krople zwilżające mi usta. Wciągałem powietrze z nadzieją, że wchłonę więcej wody. Przez chwilę zapomniałem, kim jestem.

Morze zaczęło się poruszać. Podniosły się pierwsze fale i nieśmiało uderzyły o burtę. Statek zareagował lekkim kołysaniem, jak gdyby długo czekał na to zaproszenie. Złamała się pierwsza fala. W nocnym mroku zajaśniała biała grzywa. Fok ciężko załopotał nad nami. Nadciągał sztorm.

•

Szybko przygotowaliśmy statek. Tent napiął się pod ciężarem deszczówki, która zdążyła się już na nim zebrać, i zanim go zdjęliśmy, napełniliśmy beczki. Pragnienie nie paliło nam już gardeł. Nie jedliśmy od kilku dni i w czasie przygotowywania statku do ujarzżenia sztormu poczułem, jak bardzo jesteśmy osłabieni. Nic jednak nie zdołało zmniejszyć naszej radości z wiatru i deszczu, które nadeszły, nawet perspektywa konieczności przetrwania sztormu bez prowiantu.

Za każdym razem, gdy wydając rozkazy, przekrzykiwałem zmartwychwstały wiatr, który wkrótce wzmógł się i zawodził w takielunku, kanacy odpowiadali jedynymi angielskimi słowami, jakie kiedykolwiek usłyszałem z ich ust: *Aye, aye sir!*

Za każdym razem byli jak chór odpowiadający aktorowi na scenie.

Wiem, że to dziwne i może wydać się pogardą dla życia, jeśli powiem, że płynęliśmy na spotkanie sztormu z radością, lecz nie umiem znaleźć żadnego innego słowa lepiej opisującego nastrój, który nas ogarnął, gdy przemoczeni do suchej nitki, patrzyliśmy, jak fale wokół nas rosły, aż wielkie sztandary płynnej piany zdają się jednoczyć niebo z morzem.



Wzięliśmy drugi ref na fokę, ale wkrótce szliśmy z wiatrem na samym tylko sztafoku, inaczej maszty i takielunek poszłyby za burtę. Przywiązałem się do koła sterowego. Wielkie fale z rykiem waliły na nas, torując sobie drogę od dziobu po rufę i porywając wszystko, co nie zostało przymocowane. Stałem tak przez dwie doby. Mógłbym co cztery godziny zmieniać się z którymś z kanaków, nie zrobiłem tego jednak; ale nie dlatego, że im nie ufałem. Chciałem coś sobie udowodnić i myślę, że oni to rozumieli.

Rozpięli wzdłuż pokładu sztormlinę, której mogli się trzymać, gdy chcieli obejść statek, głównie jednak stali na pokładzie, przywiązani tak jak i ja. Rannego przymocowali do takielunku poza zasięgiem fal. Od czasu do czasu wspinali się na górę z kubkiem wody i zwilżali mu usta. Mnie również dostarczali wodę.

Któraś z fal wrzuciła na pokład tuńczyka. Wziąłem to za dobry znak. Wcześniej ryby trzymały się z dala od statku, teraz same do nas przychodziły. Ocean rozdawał swoje dary. Jeden z kanaków podczas krótkiej przerwy między dwiema falami złapał rybę i wypatroszył ją nożem. Przyniósł mi kawałek żywego mięsa, które jeszcze drgało w jego dłoni.

Moja wewnętrzna radość nie malała przez te dwie doby sztormu, gdy utrzymując się na nogach za pomocą sznura, nie wypuszczałem steru z rąk. Jeśli byłem zmęczony, to tego nie czułem.

Wreszcie trzeciego dnia wiatr ucichł. Odwiązałem linę i pozwoliłem się zmienić. Przez chwilę się zataczałem. Nagle dopadło mnie zmęczenie. Wydawało mi się, że zaraz zemdleję, musiałem więc oprzeć się o ster, który przed chwilą puściłem. Wpatrywałem się w pokład, usiłując odzyskać równowagę.

Gdy ponownie uniosłem głowę, kanacy otoczyli mnie kręgiem. Ranny zszedł z góry i stał o własnych siłach, bez niczyjej pomocy, jak gdyby pobyt tak wysoko dobrze mu zrobił. Wyciągnąłem rękę. Popatrzyli na nią. Potem oni również podali mi swoje. Kolejno ściskaliśmy sobie dłonie. Nic nie mówili i żaden uśmiech nie rozjaśnił mroku na ich twarzach. Po prostu podali mi ręce. Czy był to zwyczaj przejęty od białych, czy też gest, którym posługiwali się między sobą, tego nie wiem. Wiedziałem jednak, co oznaczał w tej chwili. Przypieczętowaliśmy pakt. Byli marynarzami, nie dzikusami.

Położyłem się na koi Jacka Lewisa. Czuję, że zyskałem do tego prawo. Dopiero następnego dnia rano odkryłem, że Jim zniknął. Pamiętałem, że zostawiłem go na stole, ale tam go już nie było. Szukałem go zarówno na dolnej koi, jak i w zamkniętej szafce, ale bez skutku. Dopiero gdy przyszło mi do głowy szukać na podłodze, znów się pojawił. Potoczył się w kąt, a upokarzające miejsce na niezbyt czystej podłodze odebrało mu jego grozę, która jednocześnie fascynowała mnie i odpychała. Otrzeptałem go z kurzu, potem schowałem do sparciałej torby i zamknąłem w szafie.

Nawet przez moment nie zastanawiałem się, czy nie powinien podzielić losu pereł. Jim nie stanowił już zagrożenia.

Był świadkiem ciemności tkwiącej w Jacku Lewisie. I ja w nią zapadłem, lecz udało mi się wyrwać.



Minął tydzień, nim dotarliśmy do Samoa. Przez cały ten czas nie zastanawiałem się nad celem podróży. Byłem zbyt zaprzątnięty obowiązkami kapitana. Określałem położenie słońca, wytyczałem kurs, pilnowałem żagli i wydawałem rozkazy. Mieliśmy dość wody, a żywiliśmy się rybami. Nie spotkaliśmy innych statków, pasat wiał stale z tego samego kierunku.

Stojąc na dziobie i patrząc, jak fale łamią się w odwiecznym rytmie, a białe krople piany odrywają się niby perły z naszyjnika rozsypujące się na kamiennej podłodze, rozmyślałem o uwadze Jacka Lewisa, że celem młodego człowieka powinien być cały świat, ocean i wszystkie jego wyspy. Gdy jednak przenosiłem wzrok za rufę, na białą smugę mieniącego się w słońcu kilwateru, widziałem, że ta smuga przypomina łańcuch, i miałem pewność, że gdy zostałem kapitanem „*The Flying Scud*”, stałem się jednocześnie i wolny, i zniewolony.

Ocean był nieskończenie wielki. Mógł zaprowadzić wszędzie, a mimo to zakuć w kajdany.

•

Port w Apii ma kształt szyjki butelki. To duża zatoka otoczona dwoma półwyspami. Zachodni nazywa się Mulinuu, wschodni – Matautu. Poza nimi rozciąga się rafa, trochę jak falochron w Marstal. Huk fal jest tak głośny, że na lądzie trudno prowadzić rozmowę. Nawet pięć kilometrów dalej, wysoko wśród zielonych wzgórz wznoszących się za Apią, słysząc hałas morza i nikt w Apii nie powie o sterniku, który rozbije statek, usiłując podczas sztormu przedostać się przez przesmyk w rafie, że jest złym żeglarzem, ponieważ to zadanie uważa się za niemożliwe. Natomiast kapitan zostanie nazwany nieodpowiedzialnym lub niemądrym, bo każdy wie, że podczas sztormu morze jest bezpieczniejszym miejscem niż zatoka, która nie zapewnia żadnego schronienia, gdy zrywa się wiatr.

•

O tym wszystkim nie wiedziałem, gdy stałem pochylony nad mapą morską w kajucie kapitana Lewisa. Apia było jedynie nazwą na mapie. Później przekonałem się, że zatonięcie statku można przyjąć z radością. Nawet jeśli statek idzie na dno, jego zagłada jest w stanie ocalić honor mężczyzny.

A ja myślałem właśnie o swoim honorze. W jaki sposób zdołałbym kiedykolwiek wyjaśnić, jak doszło do tego, że zostałem kapitanem „*The Flying Scud*”? Kto by uwierzył w opowieść o wolnych ludziach w ładowni, o kanibalach z „*Morning Star*”, o śmierci Jacka Lewisa i sakiewce z perłami, którą wyrzuciłem za burtę?

Czy nie łatwiej było uznać, że zabiłem Jacka Lewisa po to, by przejąć jego statek i fortunę? Czy nad „*The Flying Scud*” wciąż nie wisiało przekleństwo i czy cień Jacka Lewisa nie będzie mnie prześladował aż do chwili, gdy rozstanę się nie tylko z jego perłami, lecz również z jego statkiem?

Byłem przywiązany do „*The Flying Scud*”. Bez niego nigdzie bym nie dotarł. Jack Lewis i ja staliśmy się nierozłączni. To on wytyczył mój kurs, a mnie nie pozostawało nic innego jak nim płynąć. Od tej pory moje imię miało być związane z jego imieniem, bez względu na to, czy zostanę uznany za jego mordercę, czy współwinnego.

Zastanawiałem się nad zmianą kursu, ale byłem odpowiedzialny nie tylko za siebie, lecz również za kanaków. Dokąd miałbym pożeglować? Nie mogliśmy dalej żywić się wyłącznie rybami ani liczyć, że bogowie pogody stale zechcą uzupełniać nasze zapasy wody. Czulem, że mój los został przesądzony. Ucieczka była niemożliwa. Mogłem się trzymać tylko jednego: swojej odpowiedzialności kapitana. To oznaczało, że musiałem bezpiecznie doprowadzić statek z załogą do portu.

Zapomniałem jednak w swoich obliczeniach wziąć pod uwagę ocean.

•

Każdy żeglarz zna to gorzkie uczucie: wybrzeże jest już blisko, ale nie można do niego dopłynąć. Czy istnieje coś bardziej gorzkiego, niż iść na dno, mając przed oczami ląd na horyzoncie? Czy jest wśród nas choć jeden, którego bodaj raz nie nawiedził strach, że utonie, gdy patrzy na zbawczy brzeg?

Wyobrażam sobie, że nie tak strasznie jest tonąć, gdy szare wzburzone morze przesłania horyzont ze wszystkich stron. Najgorzej musi być, gdy spojrzenie zachodzi mgłą, wciąż jeszcze usiłując się skupić na tym, co kocha, na nadziei, na wyciągniętej do ciebie dłoni. Nawet strach potrzebuje probierza, a czyż probierzem nieznanego nie jest właśnie to, co się zna?

•

Gdy nadciągnął sztorm, mieliśmy punkt orientacyjny. Burza zaatakowała nas, gdy na horyzoncie pojawiły się zielone wzgórza Samoa. Wydawało się, że sztorm czaił się za wyspą i tylko czekał na nasze przybycie. Wytrzymał całą dobę. Rzuceni na szczyt fali wielkiej jak góra, znów mogliśmy zobaczyć Samoa. Potem cały dziób statku zarył w kolejnej fali i znów zostaliśmy sami z morzem. Nie mogliśmy zbliżyć się do celu naszej podróży, ale też się od niego nie oddalaliśmy. Gwałtowna fala jeszcze raz przechyliła statek. Wanty i sztagi, ledwie podtrzymujące maszty, w końcu poddały się z jękiem. Cały takielunek się zwałił, a ja miałem wrażenie, że wywichnięto mi własne członki, które trzymały się teraz ciała na resztkach ściągien i mięśni.

Mimo wszystko uważam, że byliśmy w stanie pokonać sztorm, bo nie brak mi żeglarskiej pewności siebie. Uświadomiłem sobie jednak, że prawdziwego zagrożenia dla naszego życia nie stanowił wcale zniszczony statek, tylko nasza słabość. Po przeżyciach ostatnich tygodni byliśmy wycieńczeni. Walka ze sztormem okazała się nierówna. A my musieliśmy dostać się na brzeg.

Chociaż nigdy wcześniej nie wpływałem do Apii i nie znałem niebezpieczeństw wiążących się z próbą sforsowania wąskiego przesmyku w rafie podczas sztormu, zdawałem sobie sprawę, że narażam nas wszystkich na wielkie ryzyko. A gdyby statek rozbił się na rafie i zatonał? Szalupę stracilibyśmy przecież podczas starcia z krajowcami w lagunie, na wyspie wolnych ludzi. Czyżbyśmy mieli zginąć tak blisko celu?

Rozkazałem kanakom porąbać maszt, a kawałki związać z rejami i w ten sposób zrobić tratwę, na której moglibyśmy pokonać ostatni odcinek w głąb zatoki, na wypadek gdyby moja próba przedostania się przez przesmyk w rafie się nie powiodła. Sam ustawiłem „*The Flying Scud*” bokiem do wiatru. Był to manewr nie mniej ryzykowny niż wszystko inne, co robiliśmy. Gdyby wówczas wielka fala złamała się nad nami w tej chwili, nasza zagłada byłaby pewna. Wszyscy wiedzieliśmy, że walczymy o życie.

Kanacy zapamiętali machali toporkami i wkrótce gotowa tratwa leżała przywiązana do pokładu. Już dawno spakowałem swój marynarski kufer, w którym znalazły się buty mojego ojca oraz Jim. Teraz kazałem przywiązać kufer do tratwy, wyprostowałem statek i wziąłem kurs na rafę.

Ze szczytu fali znów zobaczyłem Samoa. Burzowe niebo nad nami przybrało jadowitą barwę fioletu, lecz słońce na moment przedarło się przez chmury i oświetliło szmaragdowozielone wzgórza. Ich widok nie dodał mi otuchy. Czułem raczej, że żywiły drwią z nas i naszej niemądrej nadziei na przeżycie.

Stałem przy sterze i czułem siłę oceanu jak nigdy dotąd. Szarpał się pod moimi dłońmi. Siłowałem się z morzem na rękę. Ster chciał jednego, ja – czegoś zupełnie innego. Sztorm i olbrzymie fale ciągnęły w jedną stronę, nasz kurs prowadził w przeciwną. Nagle statek schwyciła jakaś potężna moc. To prąd zaczął nas wciągać prosto w szyjkę butelki. Trzymał naszą stronę, sprzeciwiał się sztormowi i falom. Znów szarpnęło sterem. Nie wiem, czy dlatego, że w tym momencie utraciłem nad nim kontrolę, czy sam tego chciałem. Czyżbym stracił czujność? Czy moje poczucie odpowiedzialności zawiodło? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, i dlatego nie daje mi ono spokoju.

Pochwycił nas grzywacz i cisnął na rafę. Statkiem wstrząsnął nagły huk i ostatni maszt poleciał za burtę. Mnie przycisnęło plecami do nadburcia. W barku i ramieniu poczułem silny ból, sądziłem, że są złamane. W „*The Flying Scud*” uderzyła kolejna fala. Przechylił się, a mnie zmyły z pokładu spienione masy wody, które po zalaniu statku chciały wrócić do morza.

Złapałem się zniszczonego takielunku. Krzyknąłem z bólu, gdy szarpnięta falą lina pociągnęła mnie za rękę. Złamana być nie mogła, bo dalej się trzymałem, co przy złamaniu byłoby niemożliwe. Statek już się nie wyprostował. Każda kolejna fala trafiała go niczym zaciśnięta pięść prosto w odsłoniętą twarz. Wszystko pękało. Wkrótce nie zostanie nawet wrak na rafie jako świadectwo naszej katastrofy.

Wczołgałem się na przechylony pokład, wciąż trzymając się splecionych lin, służących jako drabinka sznurowa. Kanacy już rąbali liny mocowania tratwy. Zsunęła się po pokładzie i zniknęła w kipieli. Skoczyli za nią.

Przez chwilę się wahałem, lecz wkrótce i ja skoczyłem do wody. Morze nad rafą falowało. Jakaś siła wessała mnie, poczułem, że ostre korale ranią mi stopy. Potem ruch wody wypchnął mnie w górę. Przebiłem powierzchnię i w odległości zaledwie paru metrów dostrzegłem tratwę. Wystarczyło kilka szybkich ruchów i już byłem przy niej. Kanacy pomogli mi wydostać się z wody.

Przywarliśmy do tratwy i mogliśmy mieć tylko nadzieję, że przybrzeżne fale zniosą nas w głąb laguny. Podwodna rafa, która zatrzymała statek, płaskodennej tratwie pozwoliła przepłynąć. Wkrótce znaleźliśmy się w dużej zatoce, lecz przeliczyłem się, sądząc, że tu będziemy bezpieczni. Tu również szalał sztorm. Rafa na chwilę przerywała rytm fal, lecz nie zatrzymywała ich parcia naprzód. W zatoce o kształcie butelki fale były równie wielkie jak za rafą.

Sporządzone naprędce mocowanie tratwy zaczęło puszczać.

W momencie niepewności mimo wszystko nie czułem strachu. Przeciwnie, ogarnęła mnie wielka ulga. Pozbyłem się „*The Flying Scud*”. Kiedy stanę na lądzie, Jack Lewis nie będzie mnie już prześladował.

Ufałem, że morze zniszczy wszelkie ślady po „*The Flying Scud*”, i w myślach statek, który rozbił się w drzazgi na rafie, już ochrzciłem nowym, choć dla mnie starym i znajomym imieniem: „*Johanne Karoline*”. O żeglowaniu na tym dwumasztowym szkunerze z Marstal, który zatonął wraz z Hansem Jørgenem w Zatoce Botnickiej, wszyscy kiedyś marzyliśmy.

Rzecz nie w tym, że nie chciałem odpowiadać za swoje czyny. Nie pragnąłem jednak odpowiadać za czyny, których nie popełniłem. Dlatego za wszelką cenę pragnąłem uniknąć wymieniania nazwiska Jacka Lewisa i kojarzenia mnie z zaraźliwą ohydą jego profesji.

Wciąż czepialiśmy się tratwy drżącej pod naporem wody. Ocean wymierzał nam policzek za policzkiem. Zielone wzgórza już całkiem się zbliżyły, ale spowił je cień. Blask słońca zgasiły jadowicie fioletowe formacje chmur, uderzające o zbocza wzgórz niczym fale o rafę. Sztorm osiągnął szczyt i chociaż brzeg był blisko, nie zapewniał nam żadnej ochrony.

Strefa fal przybrzeżnych prędko się zbliżała. Uniosłem się na łokciu i zobaczyłem, że biała plaża jest już niedaleko. Miałem wrażenie, że znajduję się na wysokości wierzchołków palm kokosowych, gnących się na wietrze. Siedziałem na szczycie walącego się domu i uświadomiłem sobie bezpłodność wszystkich moich planów. Ta sama fala, która niosła mnie na grzbiecie, chciała mnie również zmiażdżyć. Za chwilę miała mnie pogrzebać sunąca przed siebie góra wody.

Fala złamała się z rykiem tysiąca wodospadów. Nagle szarpnięta, tratwa wysunęła mi się spod rąk. Znalazłem się w powietrzu między niebem a morzem, które gwałtownie zamieniły się miejscami.

Nie powiem, że wszystko zrobiło się czarne. Już raczej zielone, jak tropikalne morze. Ale zniknąłem gdzieś w jakimś miejscu pozbawionym pamięci, w którym nic się nie dzieje. Gdy doszedłem do siebie, podtrzymywały mnie ręce jednego z kanaków.

Za nami ryczał kolejny gigant. Tkwiłiśmy w kotłującej się pianie, gdzie wielkie fale tracą siłę, zanim ostatecznie ulegną wchłaniającemu je piaskowi na brzegu. Wciąż nie mieliśmy oparcia dla stóp. Charczałem i plułem wodą. Niebieska twarz mojego ratownika pozostawała nieruchoma, skoncentrowana na wysiłku, by bezpiecznie pokonać ostatnie metry dzielące nas od lądu. Poznałem go po brakującym uchu. To właśnie tego kanakę na własnych plecach wniosłem na pokład, a potem pielęgnowałem. Teraz byliśmy kwita.

Zalała nas następna fala. W panice dziko wierzgnąłem nogami i nagle poczułem, że moja stopa dotyka dna. Miałem wreszcie oparcie, lecz zaraz znów je straciłem. Próbowałem czołgać się na czworakach przez kipieli. Zmęczone parciem naprzód, fale cofały się z ogromną siłą. Fontanna wody zalała mi twarz, szarpiąc za nogi i ręce, pociągnęła mnie z powrotem w głąb morza, ale kanaka mnie złapał. Ostatnie metry przeszedłem wyprostowany, wspierając się na nim.

Brzeg był pusty. Odniosłem wrażenie, że przybyliśmy do opuszczonego świata. Wycieńczony osunąłbym się na ziemię, ale unoszony wichrem piasek siekł mnie w półnagie ciało.

Usłyszałem trzask i zobaczyłem, że łamie się palma. Nagle korona drzewa zawisła w powietrzu i uderzyła o dach chaty, który zapadł się pod ciężarem.

Nie mogliśmy tu zostać. Musieliśmy ruszyć w głąb wyspy z nadzieją na znalezienie schronienia.

Za nami rozległ się krzyk. Odwróciłem się i ujrzałem dwóch kanaków podejmujących ostatnie przed wydostaniem się na brzeg zmagania z przybrzeżnymi falami. Potem pojawiła się trzecia postać. Cała załoga dotarła więc na ląd. Z niebieskimi twarzami przypominali syreny męskiego rodzaju, zrodzone z kołującej się piany.

Poczułem ogromną ulgę. Rozbiłem „*The Flying Scud*”, ale nie straciłem żadnego ze swoich ludzi. Co prawda uratowali się sami, a przy okazji jeszcze i mnie, nie powinienem więc przypisywać sobie tych zasług. Wiedziałem jednak, że dzięki temu łatwiej mi będzie kiedyś znosić katastrofy morskie.

•

Wszystkie chaty w pobliżu były opuszczone. Ledwie mogliśmy utrzymać się wyprostowani. Wiatr pchał nas w plecy, zmuszając do tego, abyśmy potykając się, biegli. Wkrótce się poddaliśmy i zaczęliśmy pełznąć na czworakach. Dookoła rozlegały się głucho uderzenia, kiedy kokosy spadały na ziemię. Jęczały wysokie, rozkołysane pnie palm. Popatrzyłem na swoje dłonie i kolana. Zapewniały mi ostatni kontakt z ziemią w tej szalonej pogodzie. Pomyślałem, że w końcu wszystkich nas zniesie w bezkresny przestwór nieba.

Na nasze wołanie o pomoc ktoś wreszcie odpowiedział. Wpuszczono nas do jednej z chat. W środku nie palił się ogień, a jej mieszkańcy siedzieli milczący i przygnębieni, jak gdyby niewidzialność mogła ich uchronić przed wściekłością sztormu. Chata się trzęsła, dach groźnie trzeszczał, ale się trzymał, zbyt wycieńczony, nie zastanawiałem się nad wrażeniem, jakie musiałem wyrzucić. Byłem rozbitkiem szukającym schronienia. Mój kolor skóry się nie liczył. Sztorm zrównał nas wszystkich.

Wkrótce zapadłem w sen. Gdy się obudziłem, panowała i i sza. Była noc, a wokół słyszałem jedynie uśpione oddechy. Przez chwilę leżałem, wpatrując się w ciemność, po czym znów zasnąłem.

•

Następnego dnia pożegnałem się z kanakami. Znów podaliśmy sobie dłonie. Zdarzyło się to po raz drugi i ostatni. Mój bezuchy wybawiciel położył mi rękę na ramieniu i popatrzył w oczy. Pochwyciłem jego spojrzenie w bezdennym, ciemnym jak północ granacie twarzy. Nawiązała się między nami więź. Trudno ją nazwać przyjaźnią. Nigdy nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

Teraz do mnie przemówili. Każdy z nich wypowiedział słowo na pożegnanie. Wciąż je pamiętam. *Palea, Koa'a, Kauu*. Czwarte było dłuższe. Wydaje mi się, że brzmiało jak *Keli'ikea*, ale pewien nie jestem. Początkowo uważałem, że te słowa muszą znaczyć „żegnaj”, później przyszło mi do głowy, że wymienili swoje imiona.

•

Zszedłem na brzeg. Biły o niego ciężkie fale, ale w powietrzu nie unosiła się już morską piana. Dookoła leżały połamane palmy i szczątki chat, które zrujnował sztorm. Zrozumiałem, ile szczęścia mieliśmy, że chata, w której znaleźliśmy schronienie, oparła się wichurze. Podszedłem tak blisko przybrzeżnych fal, jak tylko starczyło mi odwagi, i z lękiem rozejrzałem się po polu bitwy, w jakie zmieniła się plaża. Bałem się, że ujrzę szczątki wraku „*The Flying Scud*”, które mogły ujawnić zaplanowane przeze mnie kłamstwo. Reja, deska czy koło sterowe w niczym by nie zaszkodziły, ale tablica z nazwą popsułaby wszystko. Przeniosłem wzrok na horyzont. Na rafie nie został po statku żaden ślad. Ocean unicestwił „*The Flying Scud*”. Jeśli w ogóle gdzieś znajdowały się szczątki rozbitego statku, to w każdym razie nie tutaj, na plaży w okolicach Apii.

Mój marynarski kufer był przymocowany do tratwy. Również na jego odnalezienie nie miałem nadziei. Taką cenę musiałem zapłacić, by nie łączono mnie z Jackiem Lewisem.

Trafiłem do zachodniej części zatoki, w pobliżu Mulinuu, który widziałem na mapie. Ruszyłem brzegiem na wschód z nadzieją, że natknę się na zabudowania świadczące o obecności białych. Wkrótce za palmami dostrzegłem murowane domy z dachami krytymi czerwoną dachówką i skierowałem się w ich stronę. Również tych o wiele solidniejszych budynków sztorm nie oszczędził. W jednym zawaliła się ściana szczytowa, w innym wiatr obrał krokwie z dachówek.

Nie była to gęsta zabudowa. Domy nie tłoczyły się na uliczkach, tylko stały rozrzucone w palmowym gaju. Odniosłem jednak wrażenie zamożności i porządku, gdy patrzyłem na rozległe posiadłości z pomalowanymi na biało wapnem murami, werandami i szerokimi okapami, szczerze zapewniającymi ich mieszkańcom cień, którego tak musieli pragnąć w spieczonym słońcem tropiku. Biali i tubylcy uwijali się razem, bardzo zajęci. Rozpoczęło się sprawnie zorganizowane usuwanie szkód po sztormie.

Kręciłem się bez celu, czując się zbędny i obcy, co zresztą było prawdą. Nikt nie zwracał na mnie uwagi ani mnie nie wołał. Zrozumiałem, że wielu ludzi jest tu jedynie przejazdem. To byli handlarze, marynarze lub poszukiwacze przygód tacy jak ja.

•

Na białej ścianie domu przede mną jaśniała wypolerowana do połysku mosiężna tabliczka. Zatrzymałem się, by przeczytać wygrawerowane na niej słowa, doszedłem bowiem do wniosku, że za tym murem musi się znajdować siedziba jakichś władz, którym mógłbym przedstawić swój fikcyjny raport o zatonięciu „*Johanne Karoline*”.

Na tabliczce widniał napis: Deutsche Handels und Plantagen-Gesellschaft.

Akurat gdy to przeczytałem, usłyszałem za plecami ruch. Odwróciłem się.

Wpatrywał się we mnie jakiś mężczyzna, cały na biało. Ubranie miał nieskazitelnie czyste i wyprasowane. W butonierce tkwił świeżo zerwany kwiat hibiskusa, jak gdyby ten człowiek sztormową noc spędził na przygotowaniach do umówionego ważnego obiadu. Spod szerokiego ronda kapelusza spoglądała na mnie para jasnych oczu, a ich posiadacz podniósł rękę do wypomadowanych wąsów, które w imponującym łuku tworzyły dwa półkola na opalonych, lekko pomarszczonych policzkach.

– Czym mogę służyć? – spytał po angielsku.

Po akcencie od razu poznałem, że mam do czynienia z Niemcem. Dlatego odpowiedziałem mu po niemiecku:– Jestem duńskim marynarzem. Chciałem zgłosić zatonięcie „*Johanne Karolin*” z Marstal. Statek podczas sztormu wpadł na rafę w okolicach Apii. Czy zechciałby mi pan powiedzieć, gdzie w pobliżu znajdę konsulata albo inne władze, do których mógłbym się zwrócić?

– Ach, a więc Duńczyk. Jesteśmy zatem niemal krajanami. Duńskiego konsulatu, rzecz jasna, tu nie ma, a jeśli chodzi o władze...

Wzruszył ramionami, jakby to słowo w tych stronach nic nie znaczyło. Przyglądał wąsy i przez moment patrzył w ziemię, jak gdyby czegoś szukał. Założył też ręce na plecy, a jego mina świadczyła o tym, że się zamyślił.

– No cóż, ja jestem kimś w rodzaju konsula. Oczywiście niemieckiego konsula. Chyba to ja powinienem zająć się pańską sprawą. Słyszałem, że jakiś statek wpadł na rafę, ale sztorm uniemożliwił nam pospieszenie z pomocą. Sami musieliśmy troszczyć się o własne życie. – Podał mi rękę. – Heinrich Krebs.

Przedstawiłem się.

– Madsen? To nazwisko wydaje mi się znajome. – Zdjął kapelusz i chusteczką otarł czoło. – Czego ten upał nie robi z człowiekiem! Traci się pamięć.

– To mój rodak – odparłem. Zaszło mi w ustach, a serce mocno waliło w piersi. – Podobno tu, na Samoa, jest jakiś Madsen. Chętnie bym się z nim spotkał.

– No cóż. To chyba da się zrobić. Rozpytam się, ale muszę pana ostrzec. Spotkanie z rodakiem w tych stronach nie zawsze jest przyjemnym przeżyciem.

Położył mi rękę na ramieniu i przyjrzał się badawczo. W końcu się uśmiechnął.

– Zapraszam do środka. Wygląda mi pan na osłabionego. Ale miał pan szczęście. Mało komu udaje się ujsć z życiem po spotkaniu z rafą koło Apii. A co z resztą załogi?

– Kapitan Hansen nie zdążył dotrzeć na ląd – odparłem lakonicznie, ale poczułem lekki wyrzut sumienia.

– Potrzebna panu kąpiel i lunch. Później będę mógł przyjąć relację.



Służący, tubylec w równie nieskazitelnie białym stroju jak jego pan, przygotował mi kąpiel. Zdjąłem brudne, podarte ubranie i przejrzałem się w tremie w złoczonej ramie. Nie przedstawiałem widoku zasługującego na tak elegancką oprawę. Zrobiłem się chudy i kościsty, a całe ciało miałem posiniaczone. Moja twarz świadczyła o tym, co przeszedłem. Cała była poszatkowana niezagojonymi ranami. Jedna przecinała prawą brew, inna rysowała krwawą czerwoną linię na policzku. Przypominałem raczej zapijaczonego tragarza z portu niż rozbitka i dziwiło mnie, że konsul natychmiast mnie nie przepędził.

Wyczułem, że moje sprawozdanie na temat zatonięcia statku jest jedynie formalnością. Nikt nie przeprowadzi oficjalnego przesłuchania przed sądem morskim i nie przekaże sprawy władzom. Równie dobrze mogłem udawać jednego z mieszkańców Apii. Nikt by nie zauważył, że na brzegu pojawił się jeszcze jeden włóczęga.

Kłamstwa, w które się wikłałem, były zupełnie zbędne, ale skoro już wszystko zacząłem, nie mogłem odwołać całej historii.

Heinrich Krebs nie stanowił żadnego zagrożenia. Sprawiał raczej wrażenie człowieka, któremu zależy na potwierdzeniu swojego znaczenia. Moje zadanie polegało na umożliwieniu mu grania przez jeden dzień roli dobroczyńcy, a poza tym na zapewnieniu odrobiny rozrywki, skoro huragan najwyraźniej nie był dla niego żadną atrakcją. Krebs budził we mnie podobne uczucie jak większość białych, których poznałem w rejonie Pacyfiku. Za fasadą cywilizacji i kontrolowanego porządku zawsze coś się kryło.

Ale mnie nie interesowały tajemnice Heinricha Krebsa. Ostatnio i tak dokonałem wielu odkryć.

•

Po wyjściu z kąpeli zobaczyłem, że na krześle pozostawiono dla mnie komplet białej garderoby. Na podłodze stała para wybielonych kredą butów z płótna żaglowego. Zapewne Heinrich Krebs pożyczył mi własne ubranie, lecz ponieważ znacznie przewyższałem go wzrostem, i spodnie, i marynarka były za krótkie. Koszuli nie zdołałem dopiąć na piersi, z butów musiałem w ogóle zrezygnować. Do stołu nakrytego do lunchu przyszedłem na bosaka. Wciąż wyglądałem jak włóczęga, ale teraz jak taki, któremu się poszczęściło.

Jadalnię spowijał chłodny cień. Białe, sięgające do podłogi zasłony przepuszczały światło wpadające z zewnątrz. Na adamaszkowym obrusie stały porcelana, srebra i kryształowe kieliszki. Miałem okazję siadywać przy wielu stołach, lecz żaden nie mógł się równać z jadalnią Heinricha Krebsa.

Po chwili on sam się pojawił. Zdjął kapelusz, a włosy o barwie piasku zaczesał zdecydowanie do tyłu; przytrzymała je gęsta pomada.

Nakryto tylko dla dwóch osób.

– Mieszka pan sam? – spytałem.

– Właśnie się urządzam. Zona z trójką dzieci przyjadą później.

Wniesiono jedzenie.

– Mała niespodzianka – oświadczył Heinrich Krebs.

Nie mogłem oderwać oczu od porcelanowego półmiska, który przede mną postawiono. Powiedziałem nazwę potrawy po duńsku, ponieważ nie znałem niemieckiego określenia na to cudowne danie:

– Pieczeń wieprzowa ze słoniną.

– Owszem, pieczeń wieprzowa – odparł mój gospodarz, niemal bezbłędnie naśladowując mój duński. – Doprawdy, bywałem w Danii, a wieprzowina to ulubione danie i Duńczyków, i Niemców. Niestety, bez kruchej skórki na słoninie, którą jak wiem, wy, Duńczycy, tak bardzo sobie cenicie, będziemy musieli się obyć. Talenty mojego, poza wszystkim wyśmienitego kucharza, aż tak daleko nie sięgają.

Krebs, patrząc na mnie, uniósł rękę.

– Tyle rzeczy można ze sobą zabrać. Można odtworzyć dom, otoczyć się ukochanymi przedmiotami, tą samą kulturą, czytać starych, dobrze znanych pisarzy, jeść dania z dzieciństwa i rozmawiać w swoim własnym języku. A jednak to nie to samo. Istnieje coś, czego nigdy nie da się odtworzyć. Może nawet właśnie od tego człowiek chciał kiedyś uciec. No bo dlaczego ludzie wyjeżdżają? Sam często zadaję sobie to pytanie. Dlaczego pan się tu znalazł? Przeżył pan katastrofę morską, przetrwał mnóstwo trudów, ma pan to wypisane na twarzy. Ale po co?

– Jestem marynarzem – odparłem.

– Oczywiście, oczywiście. Ale dlaczego jest pan marynarzem? Czyba nie Bóg wskazał na pana palcem i kazał panu uciec na morze? Czyba sam pan tak wybrał?

Pokręciłem głową.

– Mój ojciec był marynarzem. Dwaj moi bracia są marynarzami. Siostra poślubiła marynarza. Wszyscy moi koledzy ze szkoły pływają na statkach.

– Czy Morze Bałtyckie nie było dla pana dostatecznie duże? Większość poprzestałaby na nim. Dlaczego Ocean Spokojny? Co pan ma nadzieję tu znaleźć?

Nie podobała mi się ciekawość Krebsa, jeśli to właśnie ona nim powodowała. Może po prostu lubił słuchać własnego głosu. Ale za bardzo starał się do mnie zbliżyć, a ja nie miałem zamiaru nikomu się zwierzać. Znów wbiłem wzrok w talerz i skoncentrowałem się na jedzeniu.

– Naprawdę pyszne – powiedziałem.

– Przekażę ten komplement kucharzowi.

Po jego tonie poznałem, że jest urażony. Odrzuciłem zaproszenie do intymności. Pojawiła się między nami szczelina.

– Ten Madsen – spytał po jakimś czasie – to pańska rodzina?

Zdążyłem już pożałować, że wymieniłem nazwisko mego ojca. Ale wyspa była duża, a ja przecież chciałem go jakoś odnaleźć.

– Nie, nie rodzina. Po prostu pochodzimy z tego samego miasta.

– I nosicie to samo nazwisko?

– W Marstal wiele osób ma takie same nazwiska. Obiecałem jego krewnym, że dowiem się, jak on się miewa, skoro już tu jestem.

– Skoro już tu pan jest. Skoro przypadkiem przyplłynął pan na Samoa...

Jego głos ociekał drwiną. Krebs nie wierzył mi i zamiast powiedzieć to wprost, kpił z mojej odpowiedzi.

Było mi to obojętne. Pozwolono mi się wykąpać i zjeść ciepły posiłek. Jeśli chciał, mógł mnie teraz wyrzucić. Dałbym sobie radę i bez jego pomocy. Wytarłem usta serwetką z adamaszku.

– Dziękuję za lunch – rzekłem z udawaną uprzejmością.

Po minie Krebsa widziałem, że stara się opanować.

– Jest jeszcze deser – powiedział. – Proszę nie wstawać.

•

Na werandzie żaluzje z cienkich bambusowych drążków kołysały się w lekkiej bryzie, wiejącej od morza. Było tu równie przyjemnie jak wewnątrz domu, chociaż tropikalne słońce stało w zenicie. Krajowcy wciąż pracowicie uprzętały zniszczenia po sztormie. Fale waliły o brzeg. W oddali widziałem pniącą się białą barierę rafy, na której dzień wcześniej o mało nie straciłem życia.

Krebs wypytał mnie o okoliczności katastrofy. Wspomniałem o tratwie i o kapitanie Hansenie, który zszedł do kajuty, by zabrać dokumenty statku, i już stamtąd nie wrócił, bo „*Johanne Karoline*” złapała ostatni przechył i fala zmyła nas z pokładu. Pytał też o kanaków, ale kiedy powiedziałem, że dopłynęli do brzegu razem ze mną, a potem gdzieś przepadli i nic o nich nie wiem, wzruszył ramionami, jak gdyby był to obojętny szczegół.

Spojrzał na mnie i znów uśmiechnął się tym uśmiechem, którego dwuznaczność szybko nauczyłem się rozpoznawać.

– To fantastyczne, ile może zdziałać dobry posiłek. Zgodzi się pan ze mną?

Kiwnąłem głową.

– Weźmy na przykład mnie – ciągnął. – Właśnie wróciła mi pamięć. Teraz już przypominam sobie Madsena. Jeśli czuje się pan dostatecznie wypoczęty, to dam panu krajowca, który wskaże panu drogę. Będzie pan mógł zobaczyć się z Madsenem jeszcze tego popołudnia.

– Nie mogę iść w takim stanie – odparłem.

Sam usłyszałem panikę we własnym głosie.

– Oczywiście, że nie. – Krebs wciąż się uśmiechał. – Widzę, że jest pan człowiekiem, który dba o formy. W jakim stroju chciałby pan się spotkać z tym Madsenem?

– W swoim własnym.

Mój głos zabrzmiał sztucznie i nagle wydało mi się, że odgrywamy przed sobą komedię. Prawdę jednak mówiąc, nie dostrzegalem w tej komedii nic zabawnego, a wręcz mnie ona wystraszyła. Bałem się spotkania z *papa tru* po tylu latach, bałem się również Heinricha Krebsa, ponieważ zdawał się wiedzieć o moim ojcu coś, czego nie chciał wyjawiać. Zauważył moje pragnienie spotkania z *papa tru*, a zarazem mój lęk. Bawił się mną, ale nie znałem powodów jego gry. Czego ode mnie chciał?

Krebs mnie przeprosił i opuścił werandę. Resztę dnia spędziłem na wążaniu się po brzegu, spoglądaniu na morze i zastanawianiu się nad swoją sytuacją i nad tym, co przeszedłem. Czy powinienem trzymać się z daleka od *papa tru* i zostawić zmarłych w spokoju? Gdybym go nie szukał, uznano by go za topielca, za jeszcze jednego w długim szeregu ojców, braci i wujów, którzy utonęli w morzu.

Czego od niego chciałem, skoro on najwyraźniej nie chciał niczego ode mnie?

Przecież mógł po prostu wrócić do domu do Marstal, ale tego nie zrobił. Odwrócił się do nas plecami. Co można powiedzieć ojcu, który odwracał się od rodziny od piętnastu lat? Poklepać go w plecy? A co zrobić, gdy stanie przodem?

Dać mu w gębę?



Pod wieczór wróciłem do domu Heinricha Krebsa. Zachęcał mnie, bym u niego przenocował, a ja przyjąłem jego zaproszenie, ponieważ nie miałem ochoty spać na plaży. Nakryto dla mnie w jadalni, ale Krebs się nie pojawił.

Kiedy wszedłem do pokoju, w którym miałem spędzić noc, od razu nasunęła mi się myśl, że musi to być pokój urządony przez Krebsa dla siebie i żony, której przybycia tak tęsknie wyczekiwał. Przypominało to wejście do namiotu lub pod tent na statku. Pokój utrzymany był w tym samym zwiewnym stylu co jadalnia. W łóżu z baldachimem zmieściłyby się dwie albo i trzy osoby, a wielkie lustro na ścianie jeszcze bardziej powiększało sypialnię.

Było to najdziwniejsze miejsce, w jakim zdarzyło mi się spędzić noc, i zwlekałem z położeniem się do łóżka. Bardziej odpowiednia dla mnie wydawała się podłoga, ale nigdy dotychczas nie spałem na chmurze i w końcu uznałem, że zasłużyłem na to po wszystkim, co przeszedłem, więc wreszcie ułożyłem się w rajskim puchu.

W nocy przebudziłem się, bo ktoś niepewnie dotknął drzwi. Klamka opadła, a potem znów się podniosła. Niedługo potem usłyszałem skrzypnięcie deski w podłodze werandy. Wkrótce jednak zrobiło się cicho, a ja znów zapadłem w sen.

Nazajutrz obudziło mnie pukanie do drzwi. Odpowiedziałem zaspany. W drzwiach stał służący z naręczem starannie złożonych ubrań. W dłoni trzymał marynarskie buty z długą cholewką.

– Pański strój, *masta* – oznajmił i zaraz odszedł.

Rozłożyłem ubranie i popatrzyłem na nie ze zdumieniem.

Należało do mnie, lecz nie były to rzeczy, które nosiłem poprzedniego dnia. Miałem przed sobą swoje wyjściowe ubranie, wkładane, gdy schodziłem na ląd. Granatowe spodnie i marynarka, biała płócienna koszula z kołnierzykiem, szare wełniane skarpety, własnoręcznie przeze mnie pocerowane. Buty należały do *papa tru*, ciągnąłem je ze sobą przez pół świata. Byłem pewien, że moje nieliczne rzeczy zatonęły razem z tratwą w pobliżu wioski koło Apii. Teraz trzymałem je w dłoniach.

Ubrałem się i włożyłem buty. Nie nosiłem ich od wielu miesięcy. Były ciężkie i nieodpowiednie na upał. Stopy mnie bolały. Poszedłem do jadalni, gdzie przy stole nakrytym do śniadania Heinrich Krebs już na mnie czekał, ubrany nieskazitelnie, ze świeżym hibiskusem w butonierce i wypomadowanymi włosami. Na adamaszkowym obrusie stał mój marynarski kufer. W tym czystym pomieszczeniu przypominał plamę pleśni. Widniało na nim moje nazwisko. Sam je wymalowałem.

– Wczoraj wieczorem fale wyrzuciły go na brzeg – oznajmił Krebs.
– Jeden z moich ludzi go znalazł.

Nic nie odpowiedziałem.

– Zakładam, że ta spreparowana głowa nie należała do żadnego z członków pańskiej rodziny.

– Nie – odparłem. – Miał na imię Jim.

– No cóż, to wyjaśnia wszystko. Czy on również pochodził z Marstal?

Pokręciłem głową, myśląc, że lepiej będzie milczeć.

– Jest pan bardzo interesującym młodym człowiekiem, panie Albercie Madsen. – Krebs spojrział na mnie znad filizanki.

– Bardzo interesującym.

– A pan zagląda do cudzych rzeczy, nie pytając o pozwolenie.

Popatrzyłem mu w oczy i wytrzymałem jego spojrzenie. Miałem nadzieję, że nie zauważy, jak bardzo jestem wzburzony.

– Jeśli się tego nie zrobi, niczego nie można się dowiedzieć – powiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– A co pan takiego chciałby wiedzieć?

– Wiele rzeczy – odparł. – Oto wynurza się pan z fal niczym syrena, zupełnie sam na świecie ze swoją historią o tym, skąd pan pochodzi i kim pan jest. Z historią, której nikt nie może potwierdzić ani zaprzeczyć.

– Moje nazwisko jest na marynarskim kufrze.

– Na kufrze, który zawiera spreparowaną ludzką głowę. Głowę białego człowieka.

Sięgnąłem po srebrny dzbanek z kawą.

– To prywatna historia, nie powinna pana obchodzić.

– Nie ma powodu do urazy. Ma pan całkowitą rację. To nie moja sprawa. A poza tym mogę pana uspokoić, że pański przyjaciel nie poniósł żadnego uszczerbku podczas pobytu w morzu. W zasadzie to dość dziwne, nieprawdaż?

Krebs zamieszał kawę łyżeczką. Nie potrafiłem go przejrzeć. Bawił się mną, a mnie się to nie podobało.

Mój gospodarz przekrzywił głowę i przyjrzał mi się badawczo. Nagle zaczął gwizdać nieznaną mi melodię.

– Taki niedostępny – powiedział, zwracając się jakby do siebie. – Taki młody, taki gniewny i taki niedostępny. Jakież to przykre! – Pokręcił głową, psykając ze smutkiem: – Tak, tak.

Potem podjął:

– Najdziwniejsze jednak w panu jest pańskie zainteresowanie swoim imiennikiem. Widzi pan, tego zainteresowania, o tym mogę pana z całym przekonaniem zapewnić, tu, w Apii, nikt z panem nie podziela. – Podniósł się gwałtownie. – No, chodźmy. – Skinieniem głowy wskazał na kufer, który stał na stole. – Niech pan raczej weźmie to ze sobą. Zakładam, że zechce pan zamieszkać u pańskiego... – Zawahał się, jakby smakował słowa – ...przyjaciela.

Kiwnąłem głową, nie bardzo wiedząc, co mam zrobić. Nie sięgałem myślą tak daleko. Krebs chyba miał rację. Powinienem zatrzymać się u ojca. Przez piętnaście lat odwracającego się tyłem. Stukam go w plecy, a on się odwraca i zaprasza mnie, bym u niego zamieszkał? Poczulem dawny lęk. To wszystko było takie nieprzemysłane. Doprawdy, nie miałem żadnej mapy morskiej na tę część rejsu.

Wstałem i zabrałem kufer.

– Oczywiście zawsze może pan do mnie wrócić, jeśli pobyt u pańskiego przyjaciela nie sprawi panu przyjemności. Będę się bardzo cieszył z odnowienia naszej znajomości.

Skłonił się teatralnie i zamaszystym gestem wskazał mi drzwi.

•

– Jeździ pan konno? – spytał Krebs, gdy zeszliśmy z werandy.

Dwa osiodłane wierzchowce już na nas czekały.

– Mogę spróbować – odparłem i wsunąłem stopę w strzemień ruchem, który, miałem nadzieję, wyglądał na wyćwiczony. Potem wskoczyłem na konia, o mały włos nie zsuwając się po drugiej stronie. Poczulem, jak obite i obolałe mam całe ciało. Kufer marynarski wcześniej przytroczyłem do siodła.

– Naprawdę nieźle – stwierdził Krebs, oceniając mnie spojrzeniem.

Lekko uderzył swojego wierzchowca szpicrutą, każąc mu ruszyć stępa. Jechałem za nim najlepiej, jak umiałem. Ubrany na biało służący biegł u mego boku. Uznałem, że jest tam po to, by interweniować, gdyby koń zaczął sprawiać trudności niedoświadczonemu jeźdźcowi.

Najpierw jechaliśmy wzdłuż brzegu. Fale wciąż huczały, uniemożliwiając jakąkolwiek rozmowę. Potem skręciliśmy w głąb lądu, a kiedy hałas morza ucichł, z ust Krebsa popłynął strumień słów, który urwał się dopiero, gdy dotarliśmy do celu.

Słuchałem go jednym uchem, zajęty własnymi myślami, lecz później przypomniałem sobie jego słowa i zrozumiałem ostrzeżenie, które się w nich kryło.

– Proszę się rozejrzeć – powiedział, wskazując szpicrutą w różne strony, a w jego biało odzianej sylwetce nagle pojawiła się sztywna duma, której wcześniej nie było. – Wiążemy z tym miejscem wielkie plany. Na razie jeszcze nie jesteśmy właścicielami dużych obszarów ziemi, ale dojdziemy do tego. Proszę wrócić tu za dziesięć lat, a na pewno zauważy pan różnicę. Cały ten bałagan, ten nieporządek, stąd zniknie.

Prychnął z pogardą, wymawiając ostatnie słowa, a ja pomyślałem o jego domu. W istocie miał w sobie lekkość i zwiewność, lecz panował w nim również porządek, do takiego stopnia, że nie tylko mój kufer, lecz również ja sam przy stole, przypominaliśmy niepożądane brudy.

Śledziłem wzrokiem ruchy szpicruty, w pierwszej chwili sądząc, że Krebs miał na myśli chaos wywołany przez sztorm, potem jednak zrozumiałem, że nieporządkiem nazywał bujną przyrodę.

– Równe rzędy – powiedział. – Za dziesięć lat wszędzie dookoła będą same równe rzędy. Kamienne murki biegnące pod kątem prostym, za którymi rosnąć będą ananasy, krzewy kawowe i kakaowce, w równiutkich rządach! Plantacje kopry, ale palmy będą stały w szeregu. Splantowane, prostokątne pastwiska, krowy, konie, aleje drzew palmowych jak żołnierze na paradzie. Fontanny!

W rytmie staccato wymieniał kolejne cuda. W końcu urwał i się zamyślił.

– Siłę roboczą oczywiście będziemy musieli importować. Miejscowi do niczego się nie nadają.

– Dlaczego? – spytałem, głównie po to, by okazać zainteresowanie jego radosną przemową. Myślni byłem gdzie indziej.

– No cóż, nie dlatego, by tutejsi byli bardziej leniwi niż gdzie indziej. Krajowcy są, jacy są, mógłbym wymienić wiele indywidualnych przypadków pracowitości. Ale to nigdy nie trwa długo. – Spojrzał na mnie tak, jakby jego następne słowa miały mieć dla mnie szczególne znaczenie. Potem ciągnął:

– Ich przekleństwo to rodzina. Widział pan piękne stroje, które noszą moi służący. Gdy jadą do domu odwiedzić rodzinę, zakazują im wkładania tych ubrań. Na przykład ten, Adolf...

– Wskazał na służącego biegnącego u boku mego konia. – Tak, tak, dla ułatwienia nadają im niemieckie imiona... Pozwoliłem Adolfowi odwiedzić rodzinę w jego pięknym ubraniu. Taki był z niego dumny. Wrócił w łachmanach. Rodzina zaanektowała uniform. Widzę czasami, jak dumnie paradują. Jeden kuzyn nosi kamizelkę, brat marynarkę, a wuj koszulę. Tatusz chodzi w jego spodniach. Każdy ma tylko jedną część garderoby i nic poza tym, to dopiero widok! Prawda, Adolfie?

Szturchnął służącego szpicrutą. Adolf patrzył przed siebie, jak gdyby nie słyszał jego słów albo nie rozumiał. Najprawdopodobniej to ostatnie.

– Samończyk nie pracuje – ciągnął Krebs. – Chodzi z wizytą. Nie jest mrówką. Jest szarańczą.

– Szarańczą?

– Tak, szarańczą. Widzi pan, jeśli Samończyk nagle się wzbogaci, czy to dzięki swojej pracowitości, co zresztą jest mało prawdopodobne, czy dzięki szczęściu, to zaraz przybywa z wizytą cała jego rodzina. Stawiają się nawet najdalsi krewni. Widziałem to. Na wędrowkę potrafi wyruszyć cała wioska. Nie opuszczą go, dopóki go nie oskubią ze wszystkiego. Są jak rój szarańczy. W języku samońskim słowo oznaczające odwiedziny i nieszczęście brzmi tak samo: *malanga*. Może więc pan się domyślić, jakie są tego konsekwencje. To system, który nagradza żebraka, a karze pracowitego. Ciężka praca stanowi jedynie zaproszenie do oskubania. Oszczędzanie jest niemożliwe. Co więc robi człowiek mądry? Dba o to, by zarobić jedynie na pokrycie najniezbędniejszych potrzeb, na napełnienie brzucha swojego i swoich najbliższych. Nie więcej. Tacy ludzie nie są mi potrzebni. Nie, nie, tylko importowana siła robocza, samotni mężczyźni bez wielkich wymagań, a przede wszystkim bez wielkiej rodziny.

Podczas przemowy Krebsa zostawiliśmy za sobą ostatnie domy. Teraz otaczały nas chaty tubylców. Droga się skończyła, przez cały czas musieliśmy okręzać plecione ogrodzenia, ustawione bez planu, w poprzek i wzdłuż. Za ogrodzeniami w błocie chrząkały czarne włochate świnie. Otoczyła nas gromadka dzieci, Adolf syknął ostrzegawczo, jak gdyby odganiał psa. Dzieciarnia z piskiem odskoczyła, lecz zaraz znów się zbliżyła, a za każdym razem, gdy powracała, liczba rozwrzeszczanych dzieciaków rosła. Przed otworami chat stały kobiety i wpatrywały się w nas.

– Tak, tu się kończy Europa – oznajmił Krebs. – Teraz jesteśmy wśród dzikich.

•

Przez wysokie palmy kokosowe przeszedł podmuch wiatru. Zaszumiały korony. Natychmiast zadarłem głowę. Wielkie liście otwierały się i zamykały jak morskie anemony pod wodą. Na jednej z koron siedział mężczyzna. Tylko mignął mi przed oczami. Był biały, miał nagi tors i długą siwą brodę. Potem liście palmy znów się wokół niego zamknęły, jak gdyby mieszkał na drzewie i zatrzasnął drzwi przed ciekawskim spojrzeniem.

Przez moment nie wierzyłem własnym oczom. Miałem ochotę zignorować ten dziwny widok, bardziej jak ze snu niż z rzeczywistego świata.

Krebs również go dostrzegł. Wstrzymał konia i odwrócił się do mnie.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział. – Najwyższa pora, bym wracał do domu.

Dał mi znak, że mam zsiąść.

Zabrałem swój kufer. Krebs wychylił się do przodu, by podać mi rękę.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan żałował. U mnie zawsze jest pan mile widziany.

Uściskał mi dłoń i zawrócił. Potem jeszcze raz się obejrzał. Na twarzy miał kpiący uśmiech.

– Życzę powodzenia w spotkaniu z ojcem.

Spiął wierzchowca i pogalopował.



Stałem z kufrem pod pachą. Dzieciaki gapiły się na mnie, lecz ponieważ nie odpowiadałem na ich pokrzykiwanie, w końcu ucichły. Wyczekująco rozsiadły się wokół mnie. Ich ciekawość wciąż nie została zaspokojona. Z okolicznych chat wyglądały na mnie kobiety. Nigdzie nie dostrzegłem mężczyzn.

Popatrzyłem w górę na palmę, gdzie przed chwilą ukazał się mężczyzna, który być może miał się okazać moim *papa tru*.

Czułem się nieswojo, było mi też gorąco w wyjściowym ubraniu i marynarskich butach do kolan. Zawołałem więc w stronę korony drzewa:

– Laurids!

Nie krzyknąłem *papa tru*, nie umiałem się przemóc. Uważałem, że to wszystko i tak jest dostatecznie dziwaczne. Nie chciałem stać na dalekiej wyspie na morzach południowych i wołaniem w niebo wzywać ojca.

Początkowo nic się nie działo.

– Widziałem cię! – krzyknąłem. – Wiem, że tam jesteś!

Ogarnęła mnie irytacja. Taki rodzaj wściekłości, która nie wie, gdzie szukać ujścia.

– Złaż! Nie jesteś, do diabła, małpą!

Usłyszałem własny głos i przeraziłem się. Przemawiałem do niego tonem, jakbym był kapitanem „*The Flying Scud*”, a on zwykłym kanaką.

W koronie drzewa zaszeleściło. Potem spośród palmowych liści wyłonił się potężny, brodaty mężczyzna, na biodrach miał krzykliwe barwną przepaskę, jaką noszą tubylcy. Gdyby nie jego jaśniejsza cera i siwa broda, wziąłbym go za dzikusa.

Wielkimi dłońmi chwycił za pień. Bose stopy mocno przyłgnęły do szorstkiej powierzchni. To była technika wspinaczki charakterystyczna dla tubylców. Wyglądało to wręcz tak, jakby szedł po pniu. Zeskoczył na ziemię i stanął przede mną.

Wpatrywał się w moje stopy.

Obserwowałem jego twarz osłoniętą gęstą brodą. Jeśli przez mgnienie oka miałem jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz całkowicie zniknęły. Nie mogę powiedzieć, że go rozpoznałem po tylu latach, ile bowiem jest warta pamięć czterolatka? Ale rozpoznałem siebie. Nieczęsto mam okazję przeglądać się w lustrze, a gdyby ktoś poprosił, bym opisał swój wygląd, zabrakłoby mi nie tylko słów, lecz również zainteresowania taką prośbą. Teraz stałem naprzeciwko własnego odbicia. Czas wyrzył ślady na twarzy mego ojca. Na zapadniętych policzkach rysowały się głębokie bruzdy, a od oczu rozchodziły się cieniutkie zmarszczki, niczym ptasie ślady na mokrym piasku. Ale to byłem ja. Byliśmy ojcem i synem. Teraz zrozumiałem, skąd Heinrich Krebs czerpał swoją wiedzę. Zdobył ją zwyczajnie, przez obserwację.

Nie wiedziałem, co powiedzieć czy zrobić.

To *papa tru* przerwał milczenie. Oderwał oczy od moich stóp i popatrzył na mnie.

– Widzę, że przywiozłeś mi buty.

– Należą teraz do mnie.

Zacisnąłem zęby, starając się, by mój głos brzmiał równie twardo jak jego. On dalej mi się przyglądał.

Myślałem jedynie o tym, że niech mnie diabli porwą, ale moich butów nie dostanie.

Powiedział kilka słów w języku tubylców i z kręgu otaczających mnie dzieci wstało trzech chłopców.

– Przywitaj się ze swoimi braćmi.

W głębi brody jego wargi rozciągnęły się w nieokreślonym uśmiechu. Kolejno wskazywał na chłopców.

– To Rasmus, a to Esben.

Zawahał się przy najmłodszym, którego wiek oceniłem na mniej więcej taki jak mój, gdy nas opuścił.

– To Albert – oznajmił wreszcie.

Co powiedział chłopcom, nie wiem. Żaden nie wykazał ochoty, by zawrzeć ze mną bliższą znajomość, a on również ich do tego nie zachęcał. Malcy usiedli z powrotem wśród towarzyszy i zaraz zaczęli chichotać.

Początkowo jego słowa nie dotarły do mnie. Najwyraźniej założył nową rodzinę. Nie dość, że miał trzech synów, tak jak w swojej dawnej rodzinie, to nadał dzieciom również nasze imiona. Miałem wrażenie, że to sen. Głupi, niemądry sen. Potem jednak pojąłem, że jeśli to sen, to trwa zbyt długo. Piętnaście lat, bo tyle minęło, odkąd *papa tru* nas opuścił. Sen pochłonął moje życie, zamienił dzień z nocą, i nie wiedziałem już, gdzie jest moje miejsce, w świetle czy w ciemności.

Nie wiem, jaką musiałem mieć minę. Czy wyglądałem na zdumionego, rozdziawiłem usta, skrzywiłem się, czy stałem z kamienną twarzą? W każdym razie *papa tru* udawał, że w tym, co powiedział, nie ma nic nadzwyczajnego. Duma kazała mi postąpić tak samo. Czułem jednak rosnący żal i już wiedziałem, że będzie się umacniał, dopóki nie zmieni się w coś innego, groźniejszego.

Powinienem być obrócić się na pięcie i od razu odejść. Mógłby wtedy krzyżeć i wołać za mną, błagać, bym został, zebrać o wybaczenie za lata nieobecności. Ale już wiedziałem, że tego nie zrobi. Przez tyle lat mnie nie potrzebował, a jedyną rzeczą, o której pomyślał, gdy wreszcie znów mnie zobaczył, były marynarskie buty.

Zostałem. Dobrze wiem dlaczego. Pragnąłem, żeby raz, bodaj jeden jedyny raz, mnie objął.

– No, chodźmy na Korsgade, do domu, coś zjeść – powiedział.

Czyżby kompletnie oszalał? Korsgade! Rasmus, Esben i Albert! Pewnie gdzieś była też jakaś Elsa. Miałem wrażenie, że spoglądam w otchłań. Tu, pod palmami, mój ojciec odtworzył rodzinę, do której uprzednio odwrócił się plecami. Może zdołałbym znieść jego zdradę, gdyby rozpoczął całkiem nowe życie. Nie wiem. Ale to?!

Obok mnie siedł nieduży ciemnoskóry chłopczyk i miał przypominać mnie. Kimże więc byłem? Wprawką? Szkicem?

Na widok chłopców depczących po piętach *papa tru* w moim sercu nie wezbrała czułość, chociaż byli moimi przyrodnimi braćmi. Czułem jedynie gorycz, która nagle ogarnęła mnie z ogromną siłą. Zrozumiałem teraz ostrzeżenie Heinricha Krebsa, ba, nawet jego drwinę doceniłem.

Spojrzałem na muskularne plecy ponad barwnym sarongiem. Mój ojciec! Nie, nie był moim ojcem. Był ojcem tych ciemnoskórych chłopczków. Mnie nie łączyły już z nim żadne więzy.

Patrzyłem na czerwony pył pod stopami, na wałęsające się kury, na plecione zagrody dla chrumkających czarnych świń, na ażurowe chaty. Słyszałem potężny szum w koronach palm. Kiedyś ten ton mnie kusił. Śniłem o morzach południowych. Teraz tu byłem, znów połączony z ojcem, lecz marzenie się nie ziściło. Nadzieja się rozwiła. Wolałbym odnaleźć jego grób niż jego samego.

– *Papa tru!* – zawołałem do jego pleców.

Nawet się nie odwrócił.

– *Papa tru!* – wrzasnąłem. – Tak kazałeś mi się nazywać. Wiesz, co to znaczy? *Papa tru*, prawdziwy ojciec. Ale co z ciebie za ojciec! Jesteś jednym wielkim kłamstwem!

Powinienem był wtedy zawrócić.

Poszedłem jednak z nim do chaty.

•

Zawołał coś, a ja zrozumiałem, że zażądał jedzenia dla siebie i swojego gościa. W otworze wejściowym pojawiła się kobieta. Nie patrzyłem na nią. Nic nie chciałem wiedzieć. Czy o mnie słyszała, nie miałem pojęcia. Usiedliśmy i czekaliśmy. Otoczyła nas gromadka dzieci.

Laurids znów popatrzył na moje stopy.

– Oddaj mi buty – powiedział.

– Nie dostaniesz ich!

W tych słowach zawarło się całe moje rozczarowanie.

– Nie dostaniesz – powtórzyłem.

Popatrzył na mnie bezradnie, jak gdyby nie spodziewał się takiej odmowy.

Po raz pierwszy spojrzałem mu w oczy. Dostrzegłem w nich osobliwe zamroczenie i pojąłem, że przepadł. Nie był już moim ojcem. Ale nie był też Lauridsem Madsenem. Zostawił wszystko za sobą, również jakąś część siebie. Zrozumiałem, że znajome z domu nazwy, którymi się otoczył, nie były niczym innym jak rozpaczliwymi próbami uchwycenia czegoś, co na zawsze przepadło.

Mój gniew ustąpił przerażeniu. Chciałem wstać i odejść. Rozejrzałem się za swoim kufrem, który postawiłem na ziemi, ale nigdzie go nie dostrzegłem.

– Buty – powtórzył Laurids.

Odzyskał władczy ton. Ale ja już zdążyłem zobaczyć w jego oczach coś innego i udawałem, że nic nie słyszę. Dalej rozglądałem się za kufrem. Chłopcy przeciągnęli go pod ogrodzenie chlewu i już otwierali. Śmiali się z nadzieją. Najstarszy wsunął rękę do środka i zaczął w nim grzebać.

Nagle zdrętwiał. Całkiem znieruchomiał. Szeroko otworzył oczy i uciekł z głośnym krzykiem, jak gdyby ujrzał jadowitego węża. Jego bracia rozpierzchli się na wszystkie strony. Wśród palm po całej wiosce rozniosło się słowo, którego sensu nie znałem, ale potrafiłem się go domyślić.

Laurids zdrętwiał, a zamroczenie w jego oczach zastąpił strach.

Nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób, lecz natychmiast zrozumiałem, co się dzieje w jego otępiałym umyśle. Chłopiec zobaczył Jima, a Laurids wziął mnie za nikczemnego mordercę, który włóczy się z kufrem pełnym spreparowanych głów swoich ofiar. Może nawet doszedł do wniosku, że przyjechałem się zemścić.

Wszystko to było tak idiotyczne, że wybuchnąłem śmiechem. Śmiałem się z rozpacz, bo gdybym się nie śmiał, zacząłbym wyc jak ranne zwierzę.

Jak ten śmiech musiał brzmieć w uszach mego ojca?

Patrzył na mnie zdrętwiały ze strachu. Potem zaczął tyłem pełznąć po zakurzonej drodze. Uznał mój śmiech za wyraz triumfu, za sygnał, że zaraz dopełni się akt zemsty. Trząśnięty ze strachu, nieszczęsny człowiek cień.

W rozpalone słońcem południe jego widok wzbudził we mnie mieszane uczucia. Czułem lęk i panikę, zdziwienie i gniew. Przez moment byłem gotów nawet pożłować ojca. Ale moje współczucie przerodziło się w pogardę. Wstałem i podszedłem do kufra. Diabelski podszept kazał mi złapać Jima za kitkę i wywijać spreparowaną głowę w powietrze. Zrobiłem groźny krok w stronę mężczyzny, który kiedyś był moim ojcem.

Papa tru wciąż siedział w pyle. Na piasku między jego nogami rosła mokra plama. Ze strachu stracił kontrolę nad pęcherzem. Jego dzieci tuliły się do niego. Gdybym znał ich język, wykrzyczałbym im, że u tego nędznego ojca nie mają co szukać pomocy. W wejściu chaty pojawiła się matka dzieci. Wielka i gruba. Czy miała szeroko otwarte ze strachu, tak jak dzieci.

Odłożyłem Jima z powrotem i wziąłem kufer pod pachę. Zasalutowałem do kaszkietu i ruszyłem w drogę. Pierwsze kroki zrobiłem spokojnie, potem zacząłem biec. Biegając, poczułem, że z oczu płyną mi łzy.

Tubylcy czujnie mnie obserwowali. Zakłóciłem spokój południa.

Laurids na widok moich pleców odzyskał odwagę. Jeszcze raz usłyszałem za sobą jego głos:

– Moje buty! – krzyknął.

Nie odwróciłem się.

Nigdy więcej nie widziałem mojego ojca.



Przybyłem do Hobart Town, gdzie rozpoczął się ów przeklęty rejs, w który nigdy nie powinienem był wyruszyć. Nie było to radosne powitanie. W tym okropnym mieście nie istniało nic, co mogłoby w kimkolwiek wzbudzić radość.

Ale to tutaj wszystko się zaczęło. I tu powinno się skończyć.

Poszedłem do „*Hope and Anchor*” i przywitałem się z Anthonym Foksem. Gdy stamtąd wychodziłem, był cały poturbowany. Tak wyglądało moje ostateczne zakończenie tej historii.

Fox nie ucieszył się na mój widok, chociaż jak mógł, starał się to ukryć. Nie miał żadnego powodu do radości z ponownego spotkania. Musiał uznać mnie za wskrzeszonego z martwych.

Byłem taki sam jak Anthony Fox. Nigdy nie zapomniałem o długach. Powiedziałem mu o tym. Starł wtedy z twarzy fałszywy powitalny uśmiech i sięgnął po rewolwer schowany pod mosiężnym kontuarem, najokazalszym w całym Hobart Town. Ale ja ten ruch przewidziałem i okazałem się szybszy. Skończyliśmy na zapleczu. Zręcznie się odgryzał. Był doświadczonym człowiekiem, podczas pobytu w kolonii karnej jako więzień poznał wiele brudnych sztuczek. Ale ja biłem mocniej, ponieważ byłem młodszy i wyższy. W końcu powaliłem go na podłogę. Miał na niej leżeć jeszcze długo. Nie przestałem bić nawet wtedy, gdy już się poddał. Domagała się tego moja wściekłość.

Łamiąc mu kopniakiem ostatnie żebro, powiedziałem:

– A to pozdrowienie od Jacka Lewisa.

Nie dlatego, bym był coś winien Jackowi Lewisowi, ale chciałem wyrównać rachunki. Obaj padliśmy ofiarą tego samego oszusta. To Anthony Fox sprzedał strzelby tubylcom na wyspie Jacka Lewisa, a gdy podawał mi jego nazwisko, musiał liczyć, że nigdy nie wrócę żywy.

Co było między nim a Jackiem Lewisem, nie wiem. Właściwie jest mi to obojętne. Jeden był wart drugiego. Możliwe, że z nich dwóch Lewis był gorszy, a Fox z pewnością miał się za co mścić.

Moim życiem po prostu się bawił. Moja śmierć miała być jedynie dodatkowym zwycięstwem w jego grze. Dlatego między nim a mną pozostał niespłacony dług, a tak naprawdę aż dwie pozycje po stronie „winien”. Wisiałem mu również za gin wypity podczas naszego poprzedniego spotkania, gdy wysyłał mnie w podróż, którą uważał za moją ostatnią. Zanim opuściłem „*Hope and Anchor*”, rzuciłem mu w obitą gębę kilka monet.

Kiedyś wierzyłem, że czegoś się nauczę, jeśli odnajdę *papa tru*. Ale niczego się nie nauczyłem. Nie stałem się mądrzejszy.

Stałem się po prostu twardszy.

KATASTROFA

•

Upłynęło wiele lat, zanim znów usłyszeliśmy nowiny o Lauridsie Madsenie. Albert nigdy nic nie opowiedział swojej matce i chyba nikt nie zaprotestuje, że było to najbardziej miłosierne wyjście. Karoline Madsen nie żyła już, gdy Peter Clausen wrócił do domu. Nigdy się nie dowiedziała, co się działo z mężczyzną, za którym przez tyle lat na próżno tęskniła.

Peter Clausen jako ostatni mieszkaniec Marstal widział Lauridsa. Był synem Małego Clausena, tego samego, który brał udział w bitwie na fiordzie Eckernförde i trafił do niemieckiej niewoli wraz z Lauridsem. Później Mały Clausen został pilotem i przeniósł się do południowej części miasta, a na dachu swojego domu na Søndergade kazał zbudować drewnianą wieżę, aby mieć oko na wszystkie wchodzące i wychodzące z portu statki, którym mogła się przydać jego znajomość lokalnych wód.

Peter Clausen dotarł na Samoa w roku 1876. Uciekł ze statku z jeszcze jednym marynarzem i związał się z Samoanką. Sądzymy, że początkowo utrzymywał się z chodzenia w odwiedziny, *malanga*. Natknąwszy się jednak na Lauridsa, zobaczył, jak źle może skończyć ktoś, kto zapomina, kim jest. Laurids zmienił się przecież od czasów niemieckiej niewoli. Z wiekiem wcale nie nabrał życzliwości, stał się raczej ostrzejszy, zdziwaczał i zamknął się w kręgu swoich spraw, wszystko jedno jakich. Polubił miejscowe wino palmowe. Z tej właśnie przyczyny tak często przesiadywał na wierzchołkach palm kokosowych. Maczetą nacinał pień palmy, by uzyskać sok. Musiał to jednak robić ukradkiem. W tamtych czasach na Samoa wino palmowe było zakazane. Laurids skończył jako dziwoląg, niecieszący się szacunkiem ani białych, ani krajowców, wśród których wybrał życie.

Peter Clausen postanowił zostać kupcem. Otworzył własną niedużą faktorię z masztem, na którym powiewała duńska flaga, Dannebrog. Prawie od razu znalazł sobie wśród tubylców żonę, wkrótce dorobił się również dzieci. Za przykładem Lauridsa nadał im duńskie imiona. Duńskiego dzieci jednak nie nauczyły się nigdy. Tak upłynęło sporo lat. Jakoś wiązał koniec z końcem.

Jego samońska rodzina, która zwyczajem krajowców traktowała faktorię jako wspólne źródło dochodów, obsiadła otaczający ją trawnik jak stado szarańczy. Peter prędko jednak zaprowadził porządek. Jeśli jako marstalczyk cokolwiek wyniósł z domu, to była to z pewnością oszczędność. Zgodził się podejmować krewniaków przy okazji każdych świąt. Tak należało. Ale nie, do wszystkich diabłów, na co dzień. Przegonił ich. Tym, którzy nie zrozumieli przekazu, nie bał się grozić bronią.

Problem z krajowcami, tłumaczył nam, polegał na tym, że nie rozumieli, czym jest dzień powszedni. Dla nich codziennie było święto i nie przepuścili żadnej okazji do strojenia się i śpiewów. Czym jest dzień powszedni, należało dopiero ich nauczyć.

Zona się buntowała, ale Peter wrodził się w ojca i zawsze umiał postawić na swoim, dzięki temu w końcu, przynajmniej jak sam mówił, zyskał szacunek wszystkich. Nie był *mata-aiuga*, mężczyzną słabym i ulegającym rodzinie. Ale nie był też *noa*, żebrakiem i leniem.

•

Nadszedł rok 1889, w którym Peter Clausen został bogatym człowiekiem, a Lauridsowi wrócił rozum.

Obydwóm życie odmieniło to samo zdarzenie.

•

W owym czasie na Samoa byli nie tylko Niemcy. Przebywali tam również Anglicy i Amerykanie. Wszyscy rościli sobie prawa do wyspy i w końcu zapełnili zatokę koło Apii okrętami wojennymi, podburzając kanaków do wewnętrznych walk i zaopatrując we wszelką broń, jaką mogły nosić szerokie brunatne ramiona.

Heinrich Krebs zdążył w tym czasie stać się potężnym przedsiębiorcą. Zrealizował wszystkie swoje plany. Zazdrośni konkurenci mówili, że jest jedynym plantatorem na Oceanie Spokojnym posiadającym prywatną flotę wojenną. Państwo niemieckie było na każde jego skinienie. Był właścicielem plantacji, a zarazem mężem stanu. Na jego ziemiach palmy kokosowe rosły w równych szeregach jak żołnierze na paradzie, a pejcz strzelał jak podczas manewrów wojskowych. Jego plantacje nazywano po prostu „Towarzystwo”, jak gdyby na Samoa nie było nic oprócz Heinricha Krebsa i jego marzeń o liniach prostych, a przecież w Apii działał konsulat amerykański i wychodziła anglojęzyczna gazeta.

Musiała wybuchnąć wojna. Tubylcy, którzy – jak wiadomo – mieli mnóstwo broni, lubili strzelać, ale nie bardzo przejmowali się tym, by najpierw wycelować, więc nigdy nie ponosili wielkich strat, gdy zaczynali ze sobą walczyć.

Wybuchła wojna na flagi. Mocarstwa rozmieszczały swoje flagi na wyspie, chociaż nic tam nie robiły. Ktoś strzelił do flagi brytyjskiej. Amerykańską spalono i obwiniono o to Niemców. Wylądowały niemieckie oddziały, ale zostały otoczone przez tubylców, którzy zabili pół setki żołnierzy. Podobno budynek, w którym stacjonowali, miał więcej dziur niż sieć rybacka oczek. Niemcy padli od amerykańskich kul dostarczanych przez Brytyjczyków i nagle zatoka, nad którą leżała Apia, zapełniła się okrętami wojennymi. Było ich łącznie siedem, należały do trzech różnych nacji. Wszyscy czekali na pierwszy wystrzał.

Alte pierwszy wystrzał nigdy nie padł, i właśnie w tym tkwi sedno tej historii, jak mówił Peter. Morze uderzyło, zanim działa zdążyły otworzyć ogień.

Barometr spadł do 29,11. Każdy, kto zna zatokę Apia, wie, co to oznacza: trzeba jak najszybciej uciekać na morze. Ale oficerowie na okrętach wojennych nie mieli o tym pojęcia. Chcieli drażnić się nawzajem, a nie wiedzieli, biedni głupcy, że to morze jest ich największym wrogiem. Siła wiatru rosła, aż pojawiło się to, co Amerykanie nazywają *hurricane*. Fale w zatoce przybrały rozmiary zdolne wystraszyć nawet nas, znających przecież jesienne sztormy na Skagerraku czy północnym Atlantyku.

Poranek przyniósł niesamowity widok. Trzy statki tkwiły na rafie, dwa leżały na brzegu z odsłoniętym kilem, dwa inne spoczywały na dnie zatoki. Morze pochłonęło działa i amunicję, przynosząc śmierć i zniszczenie. Wszędzie wokół woda się pienila, a ciała żołnierzy topielców kołysały się na falach, dopóki morze nie wyrzuciło ich na ląd.

Wstało słońce i jego blask rozjaśnił niebo wymiecione do czysta z chmur. Ale plaża wyglądała inaczej. Wyrzucone na brzeg zwłoki układano w równych szeregach, między nimi krążyli przerażeni ci, którzy przeżyli, trzęsąc się na całym ciele z wycieńczenia albo ze strachu przed siłą morza, który wciąż ich nie opuszczał. To byli żołnierze marynarki, przeznaczeni do innego rodzaju zwycięstw i klęsk, do innej śmierci i innego przetrwania. Teraz ich, żołnierzy, spotkał taki los, jaki często staje się naszym, marynarzy, udziałem.

Na bieg historii nie wywarli żadnego wpływu. Nikt nie miał o nich pamiętać. Wojny na Samoa nie wygrali ani Amerykanie, ani Anglicy, ani Niemcy. Zwyciężył Ocean Spokojny.

Laurids chodził między ociekającymi wodą zwłokami, które układano twarzami do piasku. Dlaczego tak leżeli, nikt nie wiedział. Może dlatego, że zbyt wielkie przerażenie budziło patrzenie w tyle martwych oczu naraz. Dzień wcześniej byli gotowi strzelać do siebie nawzajem. Teraz nie dawało się odróżnić Niemca od Amerykanina czy Anglika. Laurids wskazywał palcem, jakby liczył, a jego humor zdawał się poprawiać z każdym mijanym trupem.

– Widziałem go i pomyślałem, że już naprawdę zwariował powiedział Peter Clausen.

On również był na brzegu tamtego ranka. Nie liczył jednak trupów jak Laurids. On liczył żywych. W każdym widział przyszłego klienta, zważywszy, że cała flota trzech krajów zmieniła się we wraki, a prowiant przepadł wraz z częścią załóg.

– Na szczęście ci, którzy przeżyli, byli w przewadze – dodał Peter Clausen.

Nie wiedzieliśmy, czy uważa to za szczęście dla nich, czy dla swojego interesu.

W każdym razie katastrofa w zatoce Apia stała się punktem zwrotnym w dziejach jego faktorii.

– Wiem tylko – powiedział Clausen, wracając do wątku Lauridsa – że jeśli on kiedykolwiek rzeczywiście stracił rozum, wtedy go odzyskał. Czy stał się na powrót sobą, nie wiem, bo nie wiem, jaki był dawniej. Ale pojawił się u moich drzwi i spytał, czy mógłby w czymś pomóc. To była nowość. Wcześniej przychodził jedynie wówczas, gdy czegoś potrzebował, a potrzebował stale. Nie miał przecież żadnych codziennych obowiązków. Nie zrozumcie mnie źle. Chętnie coś dawałem, jeśli uznałem jego prośby za rozsądne. Na posiłek i filiżankę kawy zawsze mógł liczyć. Mimo wszystko obaj pochodziliśmy z Marstal. Ale nie był towarzystwem, na którym mi zależało. Nawet nie dziękował, gdy odchodził z pełnym brzuchem. Lecz jeśli kiedyś istniał jakiś inny Laurids, to właśnie jego spotkałem, po powrocie z plaży pełnej trupów. Nie mogłem przecież zapomnieć o tym, że kiedyś uczestniczył w bitwie morskiej po stronie przegranych, a później został wzięty do niewoli. To musiało być dla niego niezwykle upokarzające doświadczenie. Teraz można było odnieść wrażenie, że odzyskał honor.

– Laurids już kiedyś oglądał dupę świętego Piotra. Poleciał do nieba i stanął u bram raju. Wrócił stamtąd, ale w głowie na pewno mu się pomieszało. Nikomu dobrze nie robi znalezienie się na progu krainy śmierci i następnie powrót – mówił Mały Clausen.

– No, ja się nie będę wymądrzał – stwierdził jego syn. – Nie wiem nic o tym, jak myślą wariaci. W każdym razie na powrót stał się kimś w rodzaju człowieka. Wcześniej był pijakiem, stale raczył się winem palmowym. Jego życie wśród tubylców było niekończącą się *malanga*. Nie cieszył się szacunkiem wśród białych na Samoa. Mnie zresztą też mieli za nic. Spłodziłem wszak dzieci z Samoanką. Chociaż moje dzieci noszą znaczne duńskie imiona, mówi się o nich, że są mieszańcami, *half-caste*, a nie jest to zbyt pochlebne określenie. W używaniu takich nazw celują Anglicy. Ale teraz jestem bogatym człowiekiem. Moim klientem jest amerykańska flota. Wszystko mi więc jedno, jak nas nazywają. Moje dzieci odziedziczą *shop* i z pewnością dadzą sobie radę w życiu. Niemcy ostatnio spuścili z tonu. Heinrich Krebs przycichł. Nie ma już w sobie niczego z Bismarcka. Znowu jest kupcem. A Laurids właściwie stał się szanowanym obywatelem. Obciął brodę i przestał pić. Od czasu do czasu zostawiałem go do pilnowania interesu. Zbudował kuter rybacki i sam uszył żagle. Jak tubylec żeglował i wracał do domu z rybami. Skończył z przesiadywaniem na palmach. Spytałem go kiedyś przy okazji, czy nie tęskni za domem. Może nie było to mądre pytanie. Jakie bowiem znaczenie ma rodzina, gdy nie widziało się jej, jak w wypadku Lauridsa, od czterdziestu lat? Odwrócił się do mnie plecami i odszedł z obliczem jak gradowa chmura. Pomyślałem, że znowu wyruszy na *malanga*. Ale wrócił po paru dniach i wciąż był tym samym nowym Lauridsem. Pewnego dnia wypłynął swoją łajbą za rafę. Nie wrócił. Łodzi nigdy nie odnaleziono. Większość pewnie powie, że taki był koniec Lauridsa, ale mnie przyszła do głowy dziwna myśl, że popłynął szukać nowego życia.

•

Albert nigdy nie chciał słuchać opowieści Petera Clausena. Przekazaliśmy mu ją jednak po jego wyjeździe. Wysłuchał w milczeniu i nic nie powiedział. Nachylił się i rękawem kurtki przetarł but.

– Buty zatrzymałem – oświadczył. – Reszta mnie nie interesuje.

Wstał. Trzydzieści lat po swoim pobycie na Samoa wciąż chodził w tych samych butach.

II

FALOCHRON

•

Nie wiemy, czy Herman Frandsen był mordercą. Jeśli nim był, znamy tego przyczynę. Stał się mordercą przez niecierpliwość.

•

My nie mamy żadnej chwili samotności. Zawsze jest jakieś baczne oko, czujne ucho. Każdemu z nas wznosi się pomnik z ludzkich plotek. Najdrobniejsze nieprzemyślane słowo liczy się tak samo jak najdłuższa przemowa wydrukowana w gazecie. Ukradkiem rzucone spojrzenie natychmiast wraca i przyczepia się do tego, kto je posłał. Bezustannie się przezywamy. Przewisko to dopiero prawdziwy chrzest. Nadając przewiska, oświadczamy, że nikt nie jest panem samego siebie. Teraz jesteś nasz, mówimy temu, komu powtórnie nadaliśmy imię. Wiemy o tobie więcej niż ty sam. Przejrzeliśmy cię i zobaczyliśmy więcej, niż ukazuje się przed tobą w lustrze.

Rasmus Grzmityłek, Dręczyciel Kotów, Rzeźnik Skrzypiec, Hrabia z Gównianej Górki, Sypialniany Klaus, Zasikany Hans, Kamma Gorzałka. Czy któremuś z was się wydaje, że nie znamy waszych tajemnic? Nazywamy cię Znakiem Zapytania, bo w taki właśnie kształt układają się twoje garbate plecy. Grotmaszt, no bo jak inaczej mógłbyś się nazywać, skoro masz taką wysoką, pozbawioną barków sylwetkę i małą główkę?

Wszyscy w naszym mieście mają jakąś historię, lecz nie opowiedzieli jej sami. Została stworzona przez kogoś, kto ma tysiąc oczu, tysiąc uszu i pięćset piór, które bezustannie coś zapisują.

•

Był moment, kiedy nikt nie widział, co robi Herman Frandsen. Gdy ten moment minął, inny człowiek przepadł na zawsze. W zasadzie nikt z nas nic nie wie. Wszystko to tylko przypuszczenia. Całkowitej pewności nie będziemy mieć nigdy, a tym, czego nie jesteśmy pewni, zajmujemy się bez końca.

Ale znamy motyw Hermana. Odkryliśmy go w sobie.



Zdarzyło się to w letnią noc 1904 roku, kiedy Herman miał dwanaście lat. Drzwiami od ulicy wymknął się na Skippergade. Z głębi domu słyszeliśmy odgłosy. To jego matka, Erna, i Holger Jepsen jak zwykle baraszkowali, szepcząc i wzdychając w skrzypiącym mahoniowym łóżku. Herman kierował się na południe, dopóki nie zostawił za sobą ostatnich domów. Potem poszedł dalej nad morze. Zapaliła się nad nim Droga Mleczna. Zmierzała w tę samą stronę. Wyrastała z nocy ponad dachami na Kongegade i znikwała gdzieś po drugiej stronie cypla. Nie miała ani początku, ani końca. W bezkresie wszechświata nie ma kierunku, a jednak zawsze nam się wydawało, że Droga Mleczna jak prawdziwa droga prowadzi do jakiegoś miejsca: na drugi brzeg morza.

Herman zatrzymał się dopiero wtedy, gdy doszedł do wody. Zdjął buty i zanurzył stopy w spienionej fali, patrząc na Drogę Mleczną, która dalej wędrowała już bez niego. Ogarnęło go uczucie, które łatwo pomylić z samotnością. Nie było to jednak poczucie opuszczenia, które może się obudzić w dziecku, gdy odbierze mu się rodziców, a raczej uczucie, które pojawia się w chłopcu, gdy inni chłopcy, więksi od niego, wyprawiają się na poszukiwanie przygód, a jemu nie wolno im towarzyszyć. Chłopiec czuje ból i nie wie, że ów ból zrodził się z niecierpliwości. Chciałby od razu być duży. Rozumie, że dzieciństwo nie jest stanem naturalnym, i wie, że w głębi siebie skrywa o wiele większego człowieka, którym nie wolno mu być i który objawi się dopiero za horyzontem.

•

Herman nigdy nie opowiadał nam o tamtej nocy. Żadnemu z nas.

Ale sami staliśmy w tym miejscu.

•

Herman wcześniej stracił ojca. To nieszczęście dotknęło wielu z nas. Dla niego jednak śmierć ojca miała szczególne znaczenie. Frederik Frandsen z Sølvgade przepadł razem ze swoim statkiem „*Ofelią*” podczas rejsu do Nowej Fundlandii. Na pokładzie znajdowali się również dwaj bracia Hermana, Morten i Jakob. Stało się to w 1900 roku; Herman miał osiem lat, gdy został sam z matką. Erna była potężną kobietą, pod względem zarówno wzrostu, jak i tuszy pasowała do ojca, który zawsze musiał się schylać i przechodzić bokiem, żeby się zmieścić w drzwiach nie tylko skromnej kajuty kapitańskiej na pokładzie „*Ofelii*”, lecz również domu na Sølvgade. Ich dom był tak niski, że wszyscy członkowie rodziny tylko pod gołym niebem mogli się wyprostować. Wszyscy z wyjątkiem Hermana.

Erna szybko wyszła ponownie za mąż, co przyniosło jej niezaskuszoną sławę kobiety o twardym sercu, choć równie dobrze mogło być ocenione na odwrót. Czy tak się spieszyła z ponownym zamążpójściem, ponieważ nie potrzebowała długiego czasu na żałobę, czy też raczej dlatego, że jej sercu brakowało odwagi na samotność i musiała szukać pociechy wszędzie, gdzie tylko mogła? Poślubiła szypra „*Dwóch sióstr*”, Holgera Jepsena ze Skippergade, spokojnego człowieka, o którym wszyscy sądzili, że pogodził się już z stanem kawalerskim.

Holger Jepsen był nieduży. Żyłasty, jakby szkielet miał owinięty konopnymi linami, ale z wyglądu kruchy. U boku potężnej Erny wyglądał wręcz komicznie, bo całkiem przy niej zniknął. Od czasu ich ślubu nigdy nie nazywano go inaczej niż „Synek”.

Jepsen musiał obudzić coś w Ernie. Potrafiła się nagle zarumienić. Była to zupełnie nowa cecha, której nikt wcześniej u niej nie zauważył. Zniknęły jej wąsiki, chociaż zawsze miała wyraźny cień nad górną wargą. Czy to kłuło przy pocałunkach, nie wiedział nikt. Erna nie była z tych, co to rozdają całusy na lewo i prawo, nawet rodzonym synom.

Frandsen był potężnym mężczyzną i wszyscy się zgadzali, że bardzo męska, szeroka w ramionach Erna doskonale do niego pasowała. Teraz zrobiła się niemal łagodna, jeśli łagodną można nazwać kobietę o rękach jak bochny. Sprawiało to takie wrażenie, jakby Jepsen obudził w olbrzymce dziewczynkę, odpowiednią do jego własnych wymiarów, i wypuścił ją na wolność.

Hermanowi się to nie podobało. Stracił ojca i dwóch braci. Może teraz wydawało mu się, że straci również matkę. W domu Jepsena musiał czuć się bezdomny, jak gdyby przybył do obcego kraju, gdzie mówi się nieznanym językiem, chociaż Jepsen zachowywał się przyzwoicie, wcześniej podarował przybranemu synowi jolkę i nauczył go śrubkować, stawiać żagle, wiązać węzły i wszystkiego, co jeszcze powinien wiedzieć, żeby dać sobie radę na morzu. Ale według Hermana Jepsen dopuścił się niewybaczalnego grzechu. Zrobił z Erny bezwonną babę. Wszystkie te pieszczoty i trzymanie za rączkę źle wpływały na jej zdrowie, powtarzał każdemu, kto miał ochotę go słuchać. Stał i nadymał się, mały mężczyzna, prawowity właściciel Erny, który widział, że jego własność trafiła w złe ręce i niedobrze się z nią obchodzi. Tak jakby uważał, że wąsik Erny był w niej najlepszą rzeczą.

•

Później Herman obwinił ojczyrna o śmierć matki. Erna zmarła na zakażenie krwi w dwa dni po tym, jak czyściła dorsza. W białym mięsie ryby utkwiał haczyk i skaleczył ją w środkowy palec. Ani trochę się tym nie przejęła. Wyciągnęła haczyk, nawet się nie krzywiąc. To była dawna Erna, taka, jaką Herman lubił. Ale wkrótce po tym już nie żyła, chociaż Jepsen sprowadził sumiennego doktora Kromana, który robił, co mógł.

Herman uważał, że Erna nie umarłaby, gdyby żył ojciec. W domu na Sølvgade jego matka dalej byłaby potężną, twardą jak granit kobietą, a nie rumieniącą się i trzęsącą z miłości meduzą bez wąsika, do czego sprowadził ją Jepsen, kiedy przenieśli się na Skippergade.

Herman jeszcze sześć lat po śmierci ojca wciąż mówił „w domu na Sølvgade”, chociaż na Skippergade spędził większość swego dzieciństwa, i to może powinno stanowić ostrzeżenie dla jego ojczyrna.

•

Erna i Jepsen nie mieli wspólnych dzieci. Gdy siedzieliśmy wesołą gromadą w kafejce „U Webera”, mawialiśmy, że Jepsen jest za mały, by sięgnąć między majestatyczne uda Erny, które miały średnicę i długość bezanmasztu na „*Dwóch siostrach*”. Jepsen, obdarzony zbyt miękkim sercem, zorientował się nagle, że Herman został sam na świecie, bez matki, ojca i braci. Wtedy całą swoją miłość, którą nie mógł już obdarzyć Erny, przelał na Hermana, sądząc, że chłopak potrzebuje kochającej i wskazującej drogę ojcowskiej dłoni.

Herman był przeciwnego zdania. Niczego bardziej nie pragnął, niż rozstać się z ojczymem.

I zrobił tak, gdy nikt jeszcze się tego nie spodziewał.

Sposób, w jaki się to stało, wywołał nasz podziw, a zarazem w większości z nas wzbudził dziwne, niejasne poczucie lęku.



Kiedy Herman Frandsen został confirmowany, miał iść na morze. Holger Jepsen, który chciał dla chłopaka jak najlepiej, popełnił błąd i zamiast wysłać go na jakiś obcy statek zamustrował go na „*Dwie siostry*”. Działy się tam różne rzeczy, chociaż nigdy nie doszło do rękoczynów. Jepsen miał większy autorytet na pokładzie statku niż na lądzie, bo chociaż był niewysoki, to posiadał potężny głos i wykorzystywał go do wydawania Hermanowi rozkazów, by ten śmigał w górę i w dół po drablinkach i wchodził na reje po pertach.

– Nigdy nie ufaj swoim stopom! – zawołał, gdy wyrosnięty Herman wisiał wysoko w powietrzu, kołysząc się jak cierpiący na chorobę morską goryl. – Stopy mogą się ześlizgnąć, lina może się zerwać i lecisz dwadzieścia metrów w dół, zanim pokład albo morze da ci lekcję, z której niczego już się nie nauczysz. Morze nie wypłuje cię z powrotem, a to, co z ciebie zostanie, kiedy walniesz o pokład, trzeba będzie zbierać szuflą.

Herman popatrzył na swoje stopy. Jeśli im nie może ufać, to czemu, u diabła, może? Znieruchomiał na górze, jak gdyby był mechanizmem, który ktoś zapomniał nakręcić. To nie był strach ani panika. Raczej niedowierzenie. Nie rozumiał, o co chodzi Jepsenowi.

Ojczym sam musiał wspiąć się po wantach, żeby go sprowadzić na dół. Wszedł na reję i wyciągnął rękę.

– Chodź! – zachęcił pogodnym głosem.

Herman zerknął na niego spod oka i zacisnął chwyt na handrelingu.

– Nie bój się – powiedział Jepsen, kładąc Hermanowi rękę na ramieniu.

Ale Herman się nie bał. Był po prostu sztywny z niechęci.

Jepsen musiał mu odginać kolejno wszystkie palce, jeden po drugim. To była próba sił, ale Jepsen miał silne ręce.

– No, schodzimy. Powoli. Po jednym kroku. Po jednym ruchu ręki.

Mówił do Hermana jak do dziecka, które uczy się chodzić. Chłopak spojrzał na pokład. Marynarz i sternik stali na dole, gapiąc się na niego. Oni też sądzili, że się wystraszył.

– Sam zejść! Zostaw mnie! – syknął.

Jepsen wycofał się tyłem.

– Pamiętaj – pouczał go dalej. – Trzymaj się mocno rękami. A jeśli nie możesz użyć rąk, to użyj zębów. A jeśli zęby nie wytrzymają, to rżęs.

Uśmiechnął się do Hermana, chcąc dodać mu otuchy, i puścił do niego oko. Chłopak odpowiedział ponurym spojrzeniem.

Minął rok, a my zadawaliśmy sobie pytanie, czy Herman nie powinien wymustrować. Między nim i Jepsenem pojawiła się zła krew.

•

W wiosenny dzień, zaraz po piętnastych urodzinach Hermana, Holger Jepsen wyszedł z portu razem z pasierbem. Na pokładzie „*Dwóch siostr*” byli tylko we dwóch. Sternika i marynarza mieli zabrać z Rudkøbing, a potem wziąć kurs na Hiszpanię. Uważaliśmy, że Jepsen ryzykuje, wypływając jedynie z chłopcem okrętowym, chociaż do Rudkøbing nie było daleko. Może Jepsen chciał, by ten rejs stał się czymś w rodzaju próby męskości dla piętnastoletniego chłopaka? A może jego dobroduszość się skończyła i chciał wreszcie pokazać Hermanowi, kto decyduje na pokładzie?

W każdym razie z pewnością była to próba męskości.

Nie taka jednak, jak wyobrażał sobie Jepsen.

•

Spodziewaliśmy, że „*Dwie siostry*” zobaczymy dopiero siedem, osiem miesięcy później, gdy statek wróci do domu z rejsu do Nowej Fundlandii na zimowe leże. Jepsen i Herman wypłynęli wczesnym rankiem, ale już po południu tego samego dnia ujrzeliśmy „*Dwie siostry*” kierujące się ku wejściu do portu. Na Pirsie Parowców szybko zebrał się tłum. Co się stało? Żagle były postawione. Wiała świeża bryza. Już z daleka widzieliśmy, że statek rozwinął zbyt dużą szybkość i albo zderzy się z falochronem od razu przy wejściu do portu, albo też z którymś ze statków cumujących przy wysmołowanych palach w głębi basenu portowego.

Ktoś stał przy sterze, lecz była to jedyna osoba widoczna na pokładzie. Gdy „*Dwie siostry*” podeszły bliżej, zobaczyliśmy, że samotnym sternikiem jest Herman w żółtym sztormiaku i zydwestce.

Przez chwilę wydawało nam się, że „*Dwie siostry*” rozbiją się o keję. Tymczasem Herman w ostatniej chwili skręcił sterem, wykonując manewr, któremu niepodobna było odmówić elegancji, statek uniknął zderzenia i przepłynął wzdłuż krawędzi nabrzeża w odległości zaledwie pięciu cali, lecz o nic nie zaczepiając. Prędkość wciąż miał dużą, więc niebezpieczeństwo kolizji z jednostkami cumującymi w głębi portu wcale nie zmalowało.

Gdyby sytuacja nie była tak zagadkowa, ba, wręcz rozpaczliwa, pomyślelibyśmy, że chłopak po prostu chciał się popisać.

W tym momencie z gromady zebranej na Pirsie Parowców oderwała się potężna postać i jednym skokiem znalazła na pokładzie „*Dwóch sióstr*”. Albert Madsen. Miał wtedy około sześćdziesiątki i zrobił to, co my wszyscy, również dużo młodszy, powinniśmy byli zrobić. Zorientował się, że na „*Dwóch siostrach*” wydarzyło się coś strasznego. Chłopiec okrętowy sam na pokładzie, wszystkie żagle podniesione, a statek na kursie kolizyjnym.

My staliśmy i gapiliśmy się, jak gdyby chodziło o zakład: poradzi sobie z wejściem do portu czy nie?

Albert rzucił się na pomoc. Minęło już ponad dziesięć lat, odkąd przestał pływać, ale wciąż jeszcze żył w nim kapitan.

Przeszedł przez pokład i położył Hermanowi rękę na ramieniu. Chłopak podniósł głowę, a potem zrobił coś, czego sensu kompletnie nie mogliśmy pojąć. Zamierzył się na Alberta. Z wyglądu wyrostek i stary człowiek byli mniej więcej równego wzrostu i jednakowej postury. Chłopak miał siłę młodości, ale Madsen doświadczenie – jego odpowiedź nastąpiła natychmiast. Był nią jeden z jego słynnych ciosów w ucho, które zawsze potrafiły rzucić rosnących jak dęby chłopów wiele metrów przez pokład. Teraz też się tak stało.

Nie padło między nimi ani jedno słowo. Nie było na to czasu. Albert chwycił za ster w momencie, gdy do „*Eos*” przycumowanej do jednego z pali na środku basenu portowego zostało zaledwie kilka metrów. Zdołał ustawić statek w poprzek i kiedy „*Dwie siostry*” rufą uderzyły w dziób „*Eos*”, prędkość zmniejszyła się na tyle, że kolizja nie wyrządziła większej szkody.

Herman podniósł się na nogi. Zgubił zydwestkę i trzymał się za płonący policzek. Wpatrywał się w Alberta tak, jakby ten przed chwilą wcale nie uratował statku przed katastrofą, lecz popsuł mu jakąś wspaniałą zabawę, w którą bawił się sam. Czul się upokorzony. Widzieliśmy to wszyscy, gdy wreszcie przycumowaliśmy „*Dwie siostry*” do kei i oglądaliśmy uszkodzenia.

Nikt na niego nie krzychał. Ale też i nikt go nie chwalił, chociaż pewnie na to zasłużył. Był zaledwie piętnastoletnim wyrostkiem i sam zdołał wprowadzić statek do portu. Może właśnie w tej chwili narodziło się to zło: z ciosu Alberta i z naszego milczenia. A może coś złego zaczęło się dziać z Hermanem już dawno? Może błędnie zrozumiał milczenie gwiazd tamtej nocy, gdy przypatrywał się Drodze Mlecznej?

Nie wiemy.

Mieliśmy w tym momencie inne, ważniejsze rzeczy na głowie niż uczucia piętnastolatka. Statek wrócił do portu tylko z chłopcem okrętowym na pokładzie. Gdzie się podział kapitan? Zszedł na ląd w Rudkøbing, a Herman czmychnął ze statkiem?

– Co się stało z Jepsenem? – wypytywaliśmy Hermana, rozcierającego obolały policzek.

– Wypadł za burtę.

Wypowiedział te słowa z nieobecnyim spojrzeniem, jak gdyby najpierw musiał poświęcić czas na przypomnienie sobie, kim w ogóle był Jepsen.

– Wypadł za burtę? Przecież nikt nie wypada za burtę między Marstal a Rudkøbing przy świeżej bryzie.

– Może źle się wyraziłem – odparł Herman.

Właśnie w tym momencie zauważyliśmy jego straszliwą wyniosłość.

– Chciałem powiedzieć: wyskoczył za burtę.

– Jepsen? Wyskoczył za burtę?

Potrąfiliśmy jedynie powtarzać jego wyjaśnienia jak stado papug. Tak nie do pojęcia było dla nas to, co przed chwilą powiedział.

– Tak – potwierdził.

Słyszeliśmy, że z każdym słowem jego wyniosłość rośnie.

– On zawsze płakał za matką. W końcu nie mógł już wytrzymać.

Mieliśmy ochotę spytać Hermana, czy on również nie płakał za Erną, czy jej śmierć nie była stratą również dla niego, nie tylko dla Jepsena. Wówczas zrozumieliśmy jednak, że Herman stracił matkę, gdy poślubiła Jepsena, a on za każdym razem, widząc rozpacz ojczyrna po śmierci żony, nie czuł niczego poza pogardą. Może też uważał, że teraz wreszcie wszystko jest jak trzeba, i ze smutku ojczyrna czerpał satysfakcję? Może widział w tym zemstę? Zemstę, która się spełniła, gdy Jepsen wyskoczył za burtę? Albo – i tutaj się wahaliśmy, nigdy nie powiedzieliśmy tego głośno, ale każdy z osobna tak myślał, a kiedy wiele osób w Marstal myśli tak samo, to właściwie nie trzeba mówić o tym na głos – albo Jepsenowi ktoś pomógł.

– Gdzie Jepsen wyskoczył za burtę? – spytaliśmy.

Czuliśmy, że zadając pytanie w taki sposób, oddaliśmy się od prawdy.

– Nie wiem – odparł chłopak beczelnie.

– Nie wiesz? Jak to? Musisz wiedzieć. Czy to było na Mrocznej Głębi? Koło Strynø? Zastanów się, to ważne.

– Dlaczego to ważne? – Herman patrzył na nas zaczepnie. – Woda to woda, a topielec to topielec, wszystko jedno, gdzie się utopił.

Nie udawało nam się nic z niego wydusić.

Prędzej czy później zwłoki Jepsena wypłyną na brzeg którejś z wielu wysepek archipelagu, na Strynø, Tåsinge, Langeland, a może aż w zatoce Lindelse. Będą się kołysać wśród wodorostów, na pół zjedzone przez ryby i kraby, ale jeden szczegół zapewne je odróżni od innych trupów wyrzucanych przez morze: na czole widnieć będzie dziura pozostawiona przez marszpikiel, obracający się bom lub inny z wielu rodzajów narzędzi, które człowiek planujący zabójstwo może znaleźć na pokładzie statku.

Tak właśnie myślało wielu z nas.

Ale Jepsena nie odnaleziono. Może opadł na dno z kamieniem uwiązany u szyi i tam już został? A może jego trup popłynął z prądem na południe i dalej na Bałtyk, do końca jakby nie rezygnując z dalekich podróży? Już nigdy go nie zobaczyliśmy. Nie wrócił, by dać świadectwie prawdzie.

Dlatego nigdy nie mówiliśmy głośno o tym, co myśleliśmy, choć zapewne niektórzy szeptali: „Czy ten Herman nie jest jakiś dziwny? I czy Jepsen naprawdę wyskoczył za burtę?”

Wokół Hermana zrobiło się pusto. Był tylko piętnastoletnim chłopcem. Ale stał się również kimś innym, nieznanym. W końcu poklepaliliśmy go po ramieniu, chwając za bezpieczne przyprowadzenie „*Dwóch siostr*” do Marstal. Musieliśmy tak zrobić. Przecież dokonał czegoś wyjątkowego. Żaden inny chłopak w jego wieku nie umiałby tego. Załamałby się, spanikowany, albo się poddał. Herman miał w sobie twardość, niezbędną, by zostać dobrym żeglarzem. Ale ta sama twardość, która kazała nam go pochwalić, kazała nam również się od niego odsunąć.

•

Herman odziedziczył po Jepsenie „*Dwie siostry*” i dom na Skippergade. Był za młody, by występować jako właściciel statku lub domu, i tymczasowo jego prawnym opiekunem mianowano Hansa, brata Jepsena. Hans znalazł kapitana i załogę na „*Dwie siostry*”. Herman domagał się zamustrowania go jako marynarza.

Hans Jepsen odmówił.

– Za mało żeglowałeś – powiedział.

– Prowadziłem, do jasnej cholery, ten statek zupełnie sam! – wrzasnął Herman czerwony na twarzy, robiąc groźny ruch w stronę Hansa, który zrobił równie groźny ruch w stronę wzburzonego chłopaka.

– Jesteś jeszcze chłopcem i możesz popłynąć wyłącznie jako chłopiec okrętowy.

– To mój statek! – krzyknął Herman.

Hans Jepsen przez wiele lat pływał jako sternik i nie imponowali mu zbuntowani chłopcy okrętowi bez względu na to, jak byli wyrośnięci i jak głośno wrzeszczeli.

– Gównu mnie obchodzi, do kogo należy statek – warknął cicho, tłumiąc wściekłość, co wydawało się bardziej przerażające niż krzyk. – Zostaniesz marynarzem, kiedy będziesz miał dość lat, przekłety szczeniaku!

Hans Jepsen uniósł nieogoloną brodę. W młodości pływał na amerykańskim statku i nauczył się całego mnóstwa amerykańskich przekleństw. Kiedy chciał komuś pogrozić, potrafił użyć takiego wyrażenia jak: „Jesteś już martwym mięsem, kolego” albo „Jesteś już historią”. Nie zawsze rozumieliśmy, o co mu chodzi. Ale zgrzytał zębami i mięśnie szczęki zaczynały mu gwałtownie pracować, gdy przerzucał się na swoje zagraniczne przekleństwa. *Dead meat*, mawiał, a potem z jego ust dobiegało paskudne skrzypienie, jak gdyby miażdżył włóknistą masę martwego mięsa.

Teraz patrzył na Hermana, a z jego ust wydobywał się odgłos zgrzytających zębów.

– Nie wiem, co zrobiłeś mojemu bratu, ale jeśli bodaj spojrzysz na mnie krzywo, to będziesz mógł się pocałować w tłustą dupę na pożegnanie.

Herman miał swoją dumę. Skoro nie mógł wejść na statek, który już uważał za swój, jako marynarz, to w ogóle nie zamierzał nim płynąć. Zrobił rundę po porcie. Żaden z nas jednak nie chciał go zamustrować. Ani jako marynarza, ani kogokolwiek innego. Wybrał się więc do Kopenhagi i tam się zaciągnął.

Na kilka lat słuch o nim zaginęł. W końcu wrócił i wówczas wszystko się odmieniło.



Istnieje wiele sposobów na opowiedzenie historii człowieka. Gdy Albert Madsen rozpoczął swoje zapiski, początkowo nie były zbyt osobiste. Opowiadały o naszym mieście i jego rozwoju. Pisał o szkole na Vestergade, która była największym budynkiem w mieście, i o nowej poczcie na Havnegade, o ulepszonym oświetleniu ulic i likwidacji otwartych rynsztoków, o sieci dróg rozchodzących się we wszystkich kierunkach, o nowych ulicach, które pojawiły się na południowo-zachodnim skraju miasta i otrzymały nazwy bohaterów, którzy wstawili się na morzu – Tordenskjoldsgade, Niels Juels Gade, Willemoesgade, Hvidtfeldtsgade.

Marynarzowi często się zdarza słyszeć pytanie, dlaczego na stałe schodzi na ląd, a gdy ktoś pytał o to Alberta Madsena, ten zawsze odpowiadał, że wcale nie przestał pływać, tylko zamienił mały pokład na większy. Cały świat poruszał się naprzód jak okręt na oceanie, a nasza wyspa była po prostu takim statkiem na bezkresnym morzu czasu płynącym ku przyszłości.

Zawsze nam przypominał, że pierwsi mieszkańcy tych okolic wcale nie byli wyspiarzami. Ærø była w tamtych czasach wzgórzem wśród falującego krajobrazu. Dopiero później olbrzymie lodowce na północy zaczęły topnieć, kraj przeorały rzeki, a wielkie jeziora na południu się powiększyły. Wlało się do nich morze i to, co niegdyś stanowiło wzniesienie, zmieniło się w wyspę.

„Co było pierwsze”, pytał Albert. „Koło czy czółno? Co przede wszystkim chcieliśmy pokonać? Wagę ciężarów, których sami nie byliśmy w stanie udźwignąć, czy też śmiertelną pułapkę wody i daleki morski horyzont?”

•

Z portu dochodził krzyk mew, odgłosy uderzeń młotków ze stoczni i lin strzelających na wietrze. Nad tym wszystkim dominował szum morza. Byliśmy tak do niego przyzwyczajeni, jak gdyby tkwił w uszach. Ameryka, wszyscy w tamtych latach mówili o Ameryce i wielu wyjeżdżało. My też się tam wyprawialiśmy, ale nie na zawsze. Kiedyś wybudowaliśmy domy jeden przy drugim na skraju lądu, ponieważ nigdzie nie było dla nas miejsca. Pola zajęli książęta, panowie i chłopci. My byliśmy zbędni. Skierowaliśmy więc oczy na morze. Morze stało się naszą Ameryką, bardziej rozległą niż jakakolwiek preria, nieposkromioną jak w pierwszym dniu stworzenia świata. Nikt nie był jego właścicielem.

Za naszymi oknami orkiestra grała codziennie tę samą melodię. Nie nazywaliśmy jej, ale była wszędzie. Nawet w łóżku śniliśmy o morzu. Ale kobiety nie słyszały tej melodii. Nie mogły. Albo nie chciały. Gdy przystawały na ulicy, nigdy nie spoglądały w stronę portu. Patrzyły w głąb wyspy. Miały zostać w domu i próbować załatać pozostawione przez nas dziury. My słyszeliśmy śpiew syren. Kobiety zatykały uszy i nachylały się nad balią. Nie ulegały rozgoryczeniu, ale stawały się twarde i praktyczne.



Czego Albertowi Madsenowi mogło brakować w światowym mieście Marstal? Mógł usiąść na ławce koło portu i wdać się w pogawędkę z Christianem Aabergiem, który jako pierwszy Duńczyk w dziejach przewędrował całą Afrykę. Knud Nielsen właśnie wrócił do domu po siedemnastu latach spędzonych u wybrzeży Japonii. Horn był próbą męskości dla żeglarzy z całego świata. Połowa mężczyzn w mieście opłynęła ten niebezpieczny przylądek z taką samą oczywistością, z jaką pływali parowcem do Svendborga.

W Marstal wszystkie ulice i zaułki były głównymi ulicami. Wszystkie prowadziły na oceany świata. Chiny znajdowały się w ogródku za domem. Przez okna niskich domków widzieliśmy brzegi Maroka.

W mieście było również kilka poprzecznych ulic, ale te nie miały znaczenia. Tværgade, Kirkestræde i Vestergade nie biegły do morza, tylko równoległe do brzegu. Nie mieliśmy nawet rynku. Ale na Kirkestræde pojawił się rzeźnik, sklep z artykułami żelaznymi, dwa z manufakturą, mydlarnia, kasa oszczędnościowa, zegarmistrz i zakład cyrulika. Przytułek zburzono. Teraz mieliśmy mieć rynek jak wszystkie inne miasta. Nagle powstała główna ulica prowadząca w niewłaściwym kierunku. Zamiast schodzić do portu, biegła równoległe do brzegu i kierowała się ku sercu wyspy. To była ulica kobiet, daleka od niebezpiecznego morza.

Ulice spotykały się i przecinały. Ulice mężczyzn i ulice kobiet. Wspólnie tworzyły wzór. Na Kongegade i Prinsegade zadomowili się maklerzy morscy i armatorzy. Na Kirkestræde kobiety robiły zakupy. Równowaga zaczynała się chwiać.

Ale początkowo nikt nie rozumiał ani nawet się nie zastanawiał, jakie to może mieć konsekwencje.

•

Lata dziewięćdziesiąte XIX wieku to czas rozkwitu Marstal. Nasza flota tak rosła, że w końcu wyprzedzała ją tylko kopenhaska. Trzysta czterdzieści sześć statków! Nastąpiła dobra koniunktura i gorączka inwestowania. Wszyscy chcieli mieć udziały w statku, nawet chłopiec okrętowy i służąca. A kiedy statek wracał z wyprawy na zimowe leże, na ulicach roило się od dzieci biegających z zapieczętowanymi kopertami. To rozdzielano zyski. Trafiały do prawie wszystkich domów.

•

Makler morski musi wiedzieć, co wojna rosyjsko-japońska oznacza dla rynku frachtowego. Nie musi interesować się polityką. Musi jednak interesować się sytuacją finansową swoich szyprow, a z tego wprost wynika znajomość wrogich stosunków między narodami. Może się w gazecie natknąć na zdjęcie jakiejś głowy państwa i z tej twarzy wyczytać, jeśli jest dość mądry, swoje przyszłe zyski. Socjalizm raczej go nie interesuje, gotów jest nawet przysiąc, że tak jest. O podobnych, oderwanych od rzeczywistości głupstwach nigdy w życiu nie słyszał. Pewnego dnia jednak załoga staje w rzędzie i żąda wyższej gaży, a on wtedy musi wetknąć nos również w kwestie związków zawodowych i inne dziwaczne pomysły, dotyczące przyszłego ustroju społecznego. Makler morski musi być na bieżąco: powinien znać nazwiska obcych mężów stanów, aktualne prądy polityczne, wiedzieć o niesnaskach między narodami i trzęsieniach ziemi w odległych częściach świata. Żyje z wojen i katastrof. Ale przede wszystkim żyje z tego, że świat zmienił się w ogromny plac budowy. Technologia zmienia wszystko, a on musi znać jej tajemnice, najnowsze wynalazki i odkrycia. Saletra, dividivi, soja, korek, soda, drewno barwnikowe dla niego nie są tylko nazwami. Nie dotykał ani saletry, ani drewna barwnikowego. Nigdy nie próbował soi i może nawet uważa się z tego powodu za szczęśliwca, lecz wie, jakie wszystko ma zastosowanie i jak to można wykorzystać. Nie chce, by świat stał w miejscu, bo wtedy trzeba by zamknąć jego biuro. Wie, kim jest marynarz: niezastąpionym chłopcem na posyłki w wielkim warsztacie, w który świat zmieniła technologia.

•

Kiedyś pływaliśmy wyłącznie ze zbożem. Kupowaliśmy je w jednym miejscu i sprzedawaliśmy w innym. Teraz okrążaliśmy Ziemię z ładowniami pełnymi towarów, których nazw dopiero musieliśmy się uczyć, a których zastosowanie trzeba nam było wyjaśniać. Nasze własne statki stawały się dla nas szkołą.

Wciąż pływaliśmy na żaglach, jak to czynili ludzie morza od tysięcy lat. Ale w ładowniach woziliśmy przyszłość.



Albert w wieku około pięćdziesięciu lat przestał pływać. Podobnie robiła większość z nas. Jeśli udało nam się zarobić trzydzieści tysięcy koron, wpłacaliśmy je do Kasy Oszczędnościowej na cztery procent rocznie. Oznaczało to co miesiąc wypłatę stu koron. Mieliśmy więc z czego żyć. Albert jednak zarobił o wiele więcej i nie włożył pieniędzy do banku, tylko w statki. Został armatorem i maklerem morskim. Wielu ludzi kupowało udziały w statkach, inwestowali nawet chłopci z głębi wyspy. Na żegludze się nie wyznawali, więc tym bardziej potrzebowali armatora, który sam kiedyś pływał i znał się na morzu. Nazywano go „armatorem korespondującym”, a Albert umiał prowadzić korespondencję w imieniu inwestorów jak nikt. Podczas swych licznych podróży nawiązał znajomość z pewnym żydowskim krawcem z Rotterdamu, który wchodził na statki i szył dla marynarzy. Właśnie tak się zaprzyjaźnili. Luis Presser, obrotny przedsiębiorca, osiedlił się później w Hawrze i został armatorem flotyli składającej się z siedmiu dużych barków. Swoje statki zarejestrował w Marstal i zrobił Alberta, który właśnie zrezygnował z pływania, agentem korespondującym.

W Hawrze Albert zakochał się w żonie Pressera, pięknej Chince Cheng Sumei, a ona w nim. Patrzyli na siebie ze świadomością, że za późno się spotkali. Na ruinach tego, co powinno być miłością, nawiązała się więc między nimi przyjaźń. Luis Presser zmarł nieoczekiwanie na zapalenie płuc i wdowa przejęła przedsiębiorstwo żeglugowe, które prowadziła z jeszcze większym sukcesem niż jej zmarły mąż. Może w istocie była kobietą szyją, która kręci mężczyzną głową? W każdym razie teraz kręciła Albertem. To ona mu doradzała, gdy z kapitana brygu „*Princess*” stał się armatorem dziesięciu statków.

Interesy, które prowadzili, z czasem zaczęły splatać się ze sobą tak mocno, że armatora w Hawrze wkrótce nie dawało się odróżnić od armatora w Marstal. Również Albert miał talent do pomnażania pieniędzy. Kiedyś stał na pokładzie statku na Oceanie Spokojnym z sakiewką pereł w ręku. Te perły mogły spełnić wszystkie jego marzenia, ale on wyrzucił je do morza, ponieważ czuł, że bogactwo, które mógł za nie kupić, będzie naznaczone przekleństwem. Teraz Chinka włożyła mu w otwartą dłoń kolejną sakiewkę pełną pereł. Tym razem Albert ją otworzył.

Czy spleli się ze sobą nawzajem równie ciasno jak ich przedsiębiorstwa, tego nie wiemy. Życie wymagało od nich wielu poświęceń. Najpierw musieli pogrzebać kiełkujące uczucie i zamiast kochankami zostać przyjaciółmi. Teraz mieli szansę na miłość. Czy również ją wykorzystali?

Chinka nie miała dzieci, ale wielkie eleganckie barki, „*Claudię*”, „*Suzanne*” i „*Germaine*”, zawsze nazywała swoimi córkami. Osiągnęła już wiek zbyt późny na dzieci, chociaż jej orientalne rysy w osobliwy sposób nie poddawały się upływowi czasu. Publicznie trzymali się za ręce. Pewnie też razem sypiali, delikatna Chinka o gładkiej, wypolerowanej skórze, tak pięknie napiętej na wydatnych kościach policzkowych, i potężny, mocnej budowy mężczyzna, który mógłby sam zająć małżeńskie łóżko. Ale ślubu nie wzięli.

Urodziła się w Szanghaju. Matki i ojca nigdy nie знаła. Była sierotą, żyła na ulicy i sprzedawała kwiaty. Wielu z nas spotykało ją w Rotterdamie, jeszcze za życia Pressera, kiedy wchodził na statek brać miarę. Ale widywano ją również w Sydney i Bangkoku, w Bahii i w Buenos Aires. Niektórzy twierdzili, że w burdelu. Inni stykali się z nią jako szefową *boardinghouse*. Wszyscy coś wiedzieliśmy, ale nikt nie miał żadnej pewności. Musiałyby mieć dziewięć żyć, jak kot, by pojawić się wszędzie tam, gdzie nam zdawało się ją spotykać. W każdym razie widziała kawał świata, jak prawdziwy morski wilk.

Do Marstal nie przyjechała nigdy. To Albert podróżował do Hawru. Ale pewnego dnia zaprzestał wyjazdów. Sądzieliśmy, że ze sobą zerwali. Okazało się, że nagle umarła. Albert o niczym nam nie powiedział, sami musieliśmy wszystko sobie poskładać. Dlaczego się nie pobrali? Dlaczego nie mieszkali razem?

Czy to Albert nie kochał dostatecznie mocno? A może raczej ona?

„W biegu o tym zapomniałem”, odpowiadał, gdy ktoś bezwstydnie odważył się spytać, dlaczego nigdy się nie ożenił. Słyszając tę odpowiedź, wybuchaliśmy śmiechem, ale z wyższością spoglądaliśmy po sobie. Wiedzieliśmy przecież, że miał taką możliwość.

Albert kupił najpierw stary dom kupca, położony po prawej stronie Prinsegade, patrząc od strony portu. Potem przeprowadził się na drugą stronę ulicy, kazał zbudować zupełnie nowy dom z wysokim parterem i pięterkiem. Był tam duży, wychodzący na wschód balkon, z którego roztaczał się widok na falochron i wody wokół archipelagu. Dom miał również wykusz od ulicy. Na szybko nad drzwiami wejściowymi Albert kazał złożonymi literami wymalować swoje nazwisko. Albert Madsen.

•

Po przeciwnej stronie ulicy, lekko na ukos, urządził się Lorentz Jørgensen. Został armatorem i maklerem morskim na wiele lat przed Albertem. Kiedyś był gruby, ciężko dyszał i zawsze patrzył błagalnym wzrokiem. Potem morze go zahartowało, a my zapomnieliśmy, że dawniej uważaliśmy go za tłustego półmężczyznę bez jaj. Ale na morzu nie został. Po zdaniu egzaminu na sternika przestał pływać. Chociaż nie zaoszczędził zbyt wiele ze swoich skromnych gaży, to jednak miał talent do pomnażania pieniędzy. Wykupił udziały w statkach, umiał dobrze się zaprezentować w Kasie Oszczędnościowej, a z największym armatorem w mieście, Sofusem Boyem, którego nazywaliśmy Sofusem Wieśniakiem, gdyż pochodził z Ommel, wioski odległej od Marstal o trzy kilometry, zawarł coś w rodzaju sojuszu.

Lorentz Jørgensen nie miał jeszcze trzydziestki, kiedy namówił nas na przeprowadzenie kabla telegraficznego z Langeland. Powtarzał „rynek światowy” i „telegraf”, dwa pojęcia, których w zasadzie nie rozumieliśmy, lecz on umiał spleść je ze sobą w taki sposób, że przyznaliśmy, iż rynek światowy jest dla nas tym, czym ziemia dla chłopu, a bez telegrafu nie możemy nawiązać z tym rynkiem kontaktu.

Od państwa, do którego zwróciliśmy się z prośbą o pomoc, dostaliśmy odmowę. Lorentz poszedł więc na rozmowę do Kasy Oszczędnościowej w Marstal, a następnie na audiencję do Sofusa Boyego. Sofus Wieśniak był człowiekiem pokornym; chociaż stał się największym armatorem na wyspie, wciąż potrafił stanąć przy nabrzeżu promowym, by zarobić kilka dodatkowych szylingów jako tragarz. Żadnego biura nie miał. Zawsze stukał się palcem w czoło, twierdząc, że wszystko ma w głowie. Ale słuchał z uwagą, gdy Lorentz opisywał mu gadający kabel, będący w stanie pokonać wszelkie odległości.

– Wszystko jedno, czy mieszkasz w dużym, czy w małym mieście, wszystko jedno, czy mieszkasz na maleńkiej wysepce daleko na otwartym morzu, bo jeśli tylko masz telegraf, to jesteś pępkiem świata.

Dla większości takie słowa brzmiały jak czysty wytwór wyobraźni, ale nie w uszach Sofusa Wieśniaka, które zresztą potrafiły być głuche, gdy chodziło o wiele innych spraw. Sofus poszedł razem z Lorentzem do Kasy Oszczędnościowej i kazał mu tam powtórzyć to, co przed chwilą powiedział.

– Pępek świata – oświadczył Lorentz.

Jedno spojrzenie Sofusa Wieśniaka wystarczyło, by uśmieszek na twarzy dyrektora Kasy, Rudolfa Østermanna zastygł.

Dyrektor był człowiekiem obdarzonym poczuciem humoru i już chciał zapytać, czy przez telegraf można się połączyć również z Panem Bogiem.

Potem stał się najgorętszym wyznawcą wśród wszystkich nawróconych.

„Stacja telegraficzna to serce miasta, czyste błogosławieństwo. Powinna stać w kościele”, powtarzał później. Zapomniał o dowcipie, który miał na końcu języka, gdy Lorentz pierwszy raz opowiadał mu o telegrafii.

Kiedy w sprawę włączyła się Kasa Oszczędnościowa i największy armator w mieście, pojawili się również inni inwestorzy. To, czego nie chciało dać nam państwo, załatwiliśmy sobie sami.



To również Lorentz wpadł na pomysł wzajemnego ubezpieczenia morskiego, najpierw dla małych statków, a później, w miarę jak rosła nasza zamożność, również dla większych. W 1904 roku Towarzystwo Ubezpieczeń Morskich otrzymało własny budynek na rogu Skolegade i Havnegade. Był to wielki, okazały dom z czerwonej cegły z reliefem na fasadzie przedstawiającym szkuner pod pełnymi żaglami. Budynek ten pełnił taką samą funkcję jak falochron. Chronił nas.

Nic nie uszło uwagi skrupulatnego i pomysłowego Lorentza. Został kapitanem portu i doprowadził do zbudowania długiego na dwieście łokci Pirsu Parowców, zamykającego port. Sam port, wejście do niego z redy i dostęp do Pirsu Parowców kazał pogłębić. Został również współzałożycielem pobielonej wapnem Mleczarni Marstałskiej z wysokim kominem na Vestergade. Kupił sobie wierzchowca i jeździł po mieście jak wielki pan, a koń podkutymi kopytami stukał o bruk. Lorentz stał się prawdziwym budowniczym miasta, chociaż mur, który wznosił wokół Marstał, pozostawał niewidzialny. Chciał nas chronić przed wszelkimi nieprzewidzianymi wypadkami, w które obfituje życie żeglarskie.

Lorentz ożenił się późno z dwa lata od siebie starszą Katrine Hermansen, z którą zdążył jeszcze spłodzić troje dzieci. Najstarszy syn wyemigrował do Ameryki, drugiego wysłano na naukę żeglarskiego rzemiosła do Anglii, a najmłodsza dziewczynka została w domu i wyszła za mąż za żaglomistrza Moliera z Nygade. Miała czwórkę dzieci, które co dzień przychodziły do kancelarii dziadka na Prinsegade i śpiewały mu cieniutkimi, delikatnymi głosikami. Na biurku leżały telegramy z Algieru, Antwerpii, Tangeru, Bridgewater, Liverpoolu, Dunkierki, Rygi, Kristianii, Szczecina i Lizbony. Na starość Lorentz znów utył, tak jak w czasach przed wyruszeniem na morze. Ale nikt już nie wyśmiewał się z jego wielkiego ciała. Siedział na swoim obrotowym biurowym krześle, słuchając śpiewu wnucząt, i przypominał jeden z posągów tłustego, zadowolonego z siebie Buddy, które widywaliśmy wszędzie w chińskich świątyniach.

•

Cmentarz, na którym Lorentz pewnego dnia miał spocząć w ziemi i tam czekać na wieczność, był jak wiele innych rzeczy w Marstal całkiem nowy. Wcześniej grzebano nas wokół kościoła między Kirkestræde a Vestergade, w cieniu buków. Później założyliśmy nowy cmentarz za miastem. Schodził od drogi do Ommel w dół ku brzegowi, roztaczał się z niego widok na morze. Zasadziliśmy długą aleję jarzębin, które mogły rosnąć przez co najmniej sto lat. Było tam miejsce dla wielu zmarłych.

Liczyliśmy nie tylko na to, że w przyszłości będzie nas równie wielu co obecnie. Może nawet sądziliśmy, że będzie nas więcej. Musieliśmy jednak mieć również nadzieję na to, że śmierć nie będzie nas już spotykać w obcych portach albo na morzu, lecz że ostatnie tchnienie wydamy w znajomym otoczeniu, w domu.

Zapełniający się powoli cmentarz niesie pokrzepiające przesłanie: umrzesz w tym miejscu, w którym się urodziłeś, które kochasz i do którego należysz. Będziesz patrzył, jak rosną twoje dzieci. Będziesz siedział ociążały i stary, otoczony śpiewającymi wnukami, a życie będzie się za tobą rozpościerać niczym zbocze, które rozpoczyna się wąskim, białym obramowaniem plaży, a kończy w miejscu z widokiem na morze.

•

Kiedyś jeden z nas udzielił dziwnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego się nie poddał, chociaż statek, na którego pokładzie się znajdował, zatonął, a jemu śmierć zaglądała w oczy.

Był to Morten Seier. Pływał jako sternik na „*Florze*” z szyprem Andersem Kromanem, a działo się to w grudniu roku 1901. „*Flora*” szła z Anglii z węglem przeznaczonym do Kilonii, gdy zachodni wiatr zmienił się w sztorm. Przez sześć dni dryfowali wśród wichru i mrozu, jedynie na zrefowanym grocie i sztafoku. W końcu sztorm przerodził się w orkan i zabrał szalupę, nadbudówkę z kambuzem i sterówkę. Na pokładzie mogli się utrzymać jedynie przywiązani, bo ze wszystkich stron waliły się na nich fale wielkości domów. W dziesiątej dobie olbrzymi grzywacz porwał takielunek, ładunek się przesunął, a gdy „*Flora*” znów się wynurzyła z morskiej kipieli, miała paskudny przechył. Przepadły maszty, reje i wszystkie nadbudówki. Ich szczątki unosiły się na spienionych szczytach fal, które łamał orkan.

Zebrali się w kajucie, gdzie kapitan Kroman, człowiek bezpośredni, oświadczył, że nie powinni się spodziewać, że dożyją do Wigilii.

Statkiem szarpnęła kolejna gwałtowna fala. Wszystkich rzuciło na ścianę, myśleli, że „*Flora*” właśnie otrzymała *coup de grace*. Całkiem zniknęła teraz wśród bałwanów. Czekala ich wszystkich zimna śmierć topielców.

Ale poturbowany kadłub wciąż utrzymywał się na wodzie.

To Morten Seier wpadł na pomysł, który miał ich uratować. Zrozumiał, że muszą wyrzucić ładunek, aby statek stał się lżejszy i nieszczęsna rufa mogła umknąć z niebezpiecznego zanurzenia. Ponieważ nie mieli odwagi otworzyć luków, obawiając się, że statek napelni się wodą, siekierami wyrąbali otwór w grodzi kajuty i przebili się do ładowni. Stamtąd w ciągu jednej nocy wynieśli czterdzieści ton węgla. Nie spali, odkąd takielunek poszedł za burtę. Trzecią dobę bez snu, przemarznięta, wśród śnieżycy i niesłabnącego sztormu, z wyciem miotającego się po gołym pokładzie, przemoczona na wskroś przez lodowate masy wody, nieustannie przelewające się przez pokład, sześćoosobowa załoga „*Flory*” w ciągu jednej nocy wyniosła w kubłach i workach i wrzuciła do morza czterdzieści ton węgla. Wyszło prawie siedem ton, czyli siedem tysięcy kilogramów, na osobę.

Po tej robocie, opowiadał Morten Seier, padli jak martwi i wkrótce wszyscy spali głębokim snem, marynarze w pustej ładowni, a kapitan Kroman i Seier w kajucie.

Kiedy się obudzili, był ranek 24 grudnia. Sztorm ucichł. Obliczyli, że znajdują się około szesnastu mil morskich od Orkadów, lecz ponieważ fale porwały szalupę, ląd równie dobrze mógł oznaczać zbawienie, co śmierć. Wpadli wówczas na pomysł związania dwóch łańcuchów kotwicznych, by w ostatniej chwili powstrzymać dryf statku ku morderczym klifom.

Wreszcie nadszedł ratunek. Na horyzoncie pojawił się holenderski kuter rybacki i wziął załogę „*Flory*” na pokład.

„Co sprawiło, że wytrzymałeś?”, pytaliśmy.

W zasadzie było to niemądre pytanie, lecz i tak je zadawaliśmy, chociaż każdy mógł się domyślić odpowiedzi: Morten Seier pragnął zobaczyć dom na Buegade. Nie chciał rozstawać się ze swoją żoną Gertrud i dziećmi, Jensem i Ingrid, którym był tak samo potrzebny jak oni jemu. Pragnął wrócić do domu na święta. Chciał, jak wszyscy inni marynarze, zostać kapitanem i poprowadzić własny statek, nim na zawsze zejdzie na ląd. Krótko mówiąc, za wcześnie było dla niego na śmierć.

Ale Morten Seier nie taką nam dał odpowiedź. Powiedział coś zupełnie innego. Na głupie pytanie odparł mądrze:

– Wytrzymałem, bo chciałem, żeby mnie pochowali na nowym cmentarzu.

Ktoś zapewne uznałby tę odpowiedź za dziwną. Może tylko marynarz jest w stanie ją zrozumieć. Ale tym właśnie był nasz nowy cmentarz. Był nadzieją.

Mieliśmy do czego wracać.

•

Co byśmy zrobili, gdyby ktoś obcy powiedział nam, że cmentarz na zawsze pozostanie prawie pusty, że zaledwie kilka nagrobków będzie opowiadać o życiu, które kiedyś się toczyło, a droga obsadzona jarzębinami zniknie wśród wysokich traw i nasza aleja bardziej będzie przypominać przypadkowy zagajnik, w którym jedynie bystre oko dostrzeże pierwotny plan?

Co byśmy zrobili, gdyby ktoś obcy powiedział nam, że łańcuch pokoleń zostanie przerwany, bo pewnego dnia upomną się o nas siły potężniejsze niż morze?

Wyśmialibyśmy go jako głupca.



Albert wierzył w potęgę rozumu. Ale w zasadzie nie była to jego najsilniejsza wiara. Nie wierzył w Boga ani w diabła. Trochę wierzył w dobro w człowieku, a jeśli chodzi o tkwiące w nim zło, to sam się na nie napatrywał na statkach, na których pływał. Przede wszystkim jednak wierzył w zgodę, w jedność.

O ile dobrze wiedział, wierzący nie mieli żadnego dowodu na istnienie Boga. On za to miał dowód, że jego wiara opiera się na solidnych, rzeczywistych podstawach. Każdego ranka patrzył na ów dowód z okna w szczytowej ścianie nad biurem maklerskim na Prinsegade.

Widział go również z wykusza w biurze na parterze. Właśnie po to kazał dobudować wykusz. Kiedy po trzech kamiennych schodkach schodził na Prinsegade i odwracał się w prawo, w stronę portu, ów dowód rozpościerał się przed jego oczami.

Był nim olbrzymi, zbudowany z głazów falochron, który mieszkańcy miasta wznosili przez czterdzieści lat. Tkwił pośród wody, na ponad tysiąc metrów długi i cztery metry wysoki, zbudowany z kamieni, z których każdy ważył kilka ton. Mądrzejsi niż Egipcjanie stworzyliśmy nasze piramidy w postaci długich, kamiennych murów, których celem nie była pamięć o zmarłych, lecz ochrona żywych. Falochron to dzieło faraona, jak mówił nam Albert, faraona, który ma wprowadzić wiele twarzy, lecz wszystkie one tworzą jedność.

Tak wyglądała jutrznia Alberta: spojrzenie żeglarza na niebo i formacje chmur niosące wieści temu, który umie je rozpoznać, a potem spokój, którym napelniał go widok falochronu. Falochron tkwił niczym pozostająca w spoczynku siła potężniejsza od morza, będąca w stanie uciszyć szalejący za nim sztorm i zapewnić schronienie statkom – żywy dowód społecznej jedności. Żeglujemy nie dlatego, że istnieje morze. Żeglujemy, ponieważ istnieje port. Nie zaczynamy od poszukiwania odległych celów. Najpierw szukamy schronienia.

Do kościoła Albert zaglądał rzadko. Pojawiał się w święta i przy szczególnych okazjach. Zachodził tam, ponieważ również kościół stanowił element jedności, a on nie chciał się znaleźć poza nią. Jakiegoś większego szacunku dla działalności kościoła nie miał. Ale w kościele było tak jak na statku. Obowiązywały pewne zasady, których trzeba przestrzegać, gdy się wejdzie na pokład, a jeśli nie, należy się od tego miejsca trzymać z daleka.

Kolejni pastory narzekali, że kościół jest w złym stanie, lecz kiedy pastor Abildgaard, z którym Albert pozostawał zresztą na dobrej stopie, oświadczył wprost, że trzeba zabrać pieniądze szkole, aby kościół mógł prezentować się bardziej okazale, doczekał się odpowiedzi. Albert oświadczył, że gdy musi wybierać między szkołą a kościołem, zawsze wybierze szkołę. Szkoła to, w przeciwieństwie do kościoła, młodzież i przyszłość. Fakt, że szkoła na Vestergade jest większa niż kościół, był dla niego pociechą. Tak powinno wyglądać miasto, które wierzy w przyszłość.

– No a moralność? – zaprotestował Abildgaard. – Gdzie dzieci mają jej się uczyć, jeśli nie w kościele?

– Na statkach – odparł Albert lakonicznie.

– I może w obcych portach? – zaatakował znów pastor.

Na to Albert nie odpowiedział.

•

Co do życia na morzu Albert nie miał żadnych złudzeń. Pracował kiedyś jako chłopiec w kambuzie, wyjęty spod prawa, traktowany przez wszystkich jak pies, ale bez przywilejów należnych psu, jak sam to określał. Czasy się jednak zmieniły. Warunki życia na pokładzie poprawiały się i stawały bardziej ludzkie. Dzieci miały lepszych nauczycieli i same wyrastały na lepszych szyprów. Albert wierzył w postęp. Wierzył też w marynarski honor. To właśnie z niego wyrastała jedność. Na statku nieojalność mogła mieć brzemienne w skutki konsekwencje dla wszystkich. Marynarz prędko się tego uczył. Pastor nazywał to moralnością. Albert mówił o honorze. W kościele człowiek odpowiadał przed Bogiem, na statku – przed innymi. Dlatego statek był lepszym miejscem do pobierania nauk.

Wszystko jednak zależało od kapitana. Tak mówiło Albertowi doświadczenie. Kapitan znał miejsce i przeznaczenie każdej rzeczy na pokładzie, każdego żagla i liny. To samo dotyczyło załogi. Każdy miał swoje określone miejsce i jeśli kapitan od razu nie dał jasnego sygnału, to załoga rozstrzygała swoje sprawy w bójkach, a wtedy najsłabszy, choć niekoniecznie najgorszy, szedł na dno. Albert widział to na pokładzie „*Emmy C. Leithfield*”, gdy kapitan Eagleton zawiódł, a prawdziwym panem statku został O’Connor. Najsilniejsi nie zawsze byli jednocześnie najlepszymi. Kapitan musiał znać ludzkie dusze równie dobrze jak ożaglowanie.

I jemu się zdarzało, że ktoś z załogi uciekł, lecz nigdy nie traktował tego jako wyrazu nieposłuszeństwa czy też oznaki złego charakteru, lecz jako klęskę swojej znajomości ludzkiej natury. Okazał się nieuważny i nie potrafił poprowadzić człowieka właściwą drogą. Wierzył, że w każdym tkwi coś dobrego. Wiedział zarazem, że każdy ma w sobie coś złego, ale sądził, że zło można przywołać do porządku i utrzymać w ryzach.

Pewnego razu w latach osiemdziesiątych XIX wieku w Laguna w Meksyku marynarz wyciągnął na niego nóż. Gdy Albert stanął naprzeciw rozwścieczonego mężczyzny pochylającego się do ataku, nawet przez chwilę nie czuł, że to, co ma zrobić, wymaga od niego szczególnej odwagi lub wyjątkowej siły, mimo że sam był nieuzbrojony. Tu chodziło o jedną jedyną rzecz: niezachwianą pewność o tym, kto decyduje.

Wyciągnął rękę, jakby po to, by przyjąć nóż. Zaskoczony marynarz zapatrzył się na tę dłoń, nie mogąc zrozumieć, czego chce kapitan. W tym momencie Albert z całej siły uderzył go zaciśniętą pięścią w szczękę. Tamten osunął się na pokład. Albert nadepnął mu butem na nadgarstek i wyrwał nóż z palców, kurczowo zaciśniętych na rękojeści. Potem podciągnął zamroczonego marynarza na nogi i z zimną krwią zabrał się do bicia, przez cały czas unikając uderzeń w miejsca, w których mogły powstać trwałe obrażenia. Wymierzał karę i potwierdzał swoją władzę.

Bijąc, przez cały czas miał świadomość, że nie reprezentuje dobra, podobnie jak marynarz, który sięgnął po nóż, nie reprezentował zła. To była jedynie kwestia równowagi między różnymi siłami. Nikt podczas gwałtownego sztormu nie płynie na pełnych żaglach. Tak potężnej sile kapitan nie może się przeciwstawiać. Spuszcza żagle i odzyskuje równowagę. Wszelki rzeczywisty porządek zależy od równowagi, nie zaś od gnębienia jednego człowieka przez drugiego. Dlatego też nie ma porządku ustanowionego raz na zawsze.

James Cook na moment przed tym, gdy na wybrzeżu zatoki Kealakekua na Hawajach dosięgło go przeznaczenie w postaci ciosu pałką w głowę i nożem w szyję, wezwał swoją załogę na pomoc. Ale szalupa, która miała go ratować, zawróciła, a ludzie, którzy mieli na brzegu chronić go przed tubylcami, rzucili muszkiety i uciekli na morze. Podczas rejsu na pokładzie „*Resolution*” James Cook kazał wychłostać jedenastu z siedemnastu swoich marynarzy, łącznie wydzielił im dwieście szesnaście batów. Gdy nadeszła chwila, w której potrzebował ich pomocy, odwrócili się do niego plecami pokrytymi bliznami.

James Cook pociągnął za niewłaściwą linę.

Na żaglowcu znajdowały się kilometry lin, dziesiątki bloków, setki metrów kwadratowych żagli. Gdyby ożaglowania bez przerwy nie korygowano, statek byłby bezbronną ofiarą wiatru. Podobnie rzecz się miała z kierowaniem załogą. W rękach kapitana oprócz tych widzialnych spoczywały setki niewidzialnych lin. Przejęcie władzy przez załogę było równoznaczne z przejściem władzy przez wiatr. Oznaczało koniec dla statku.

Gdy całą władzę dzierżył kapitan, to tak, jakby zapanowała cisza morska i statek nie mógł płynąć. Kapitan odbierał wtedy swoim ludziom wszelką inicjatywę, ci przestawali się starać i wszystko wykonywali z niechęcią. To była kwestia doświadczenia i wiedzy. A przede wszystkim autorytetu.

Gdy Albert porządnie już obił marynarza, który w końcu padł bezwładnie na pokład, podał mu rękę i pomógł się podnieść. Potem nakazał chłopcu okrętowemu przynieść miednicę, by mężczyzna zmył krew z twarzy. Zajście się skończyło. Marynarz znów mógł wrócić do załogi.

Kiedyś Alberta też smagano batem. Ale on nie był Isagerem, który ani nie karał, ani nie nagradzał, tylko po prostu bił. Nie był O'Connorem nadużywającym swojej pozycji, aby dać upust morderczym skłonnościom. Nie był Jamesem Cookiem, który musiał sięgać po bat, by podeprzeć swój chwiejny autorytet.

Był tym, kim kapitan Eagleton z „*Emmy C. Leithfield*” nigdy nawet nie próbował. I wcale nie prawa nauczyło Alberta życie.

Życie nauczyło go czegoś innego, bardziej skomplikowanego. Równowagi.



W roku 1913 Albert postanowił stworzyć pomnik swojej wiary w jedność. Miał to być obelisk ustawiony nieopodal nowego Pirsu Parowców. Wypatrzył już sobie kamień i znał jego historię. Głaz miał około czterech metrów długości, trzech szerokości i dwóch wysokości. Leżał na dnie Bałtyku za cyplem Halen i czasami podczas silnego wiatru od lądu widać go było z brzegu. Latem chłopcy podpływali do niego i stawali na nim, wtedy ich drobne, jasne główki wystawały tuż ponad migoczącą w słońcu powierzchnię wody.

Światło igrające w falach załamywało się na potężnym grzbiecie głazu. Albert wypływając swoją jolką, niekiedy zatrzymywał się tuż nad nim i oparty na wiosłach przyglądał mu się z uwagą. Kamień tkwił solidnie w jasnozielonej poruszającej się z prądem wodzie, lecz również on kiedyś wędrował. Przybył z północy wraz z lodowcem. Teraz znów miał zostać przesunięty, tym razem w wybrane miejsce, by przypominać o powstaniu falochronu, o władzy człowieka nad przyrodą.

Miał na nim widnieć napis: „W jedności siła”.

Tę inskrypcję Albert sam wymyślił.

•

Gdy w pewien słoneczny czerwcowy dzień siedział przechylony przez burzę, wpatrując się w rozmigotaną wodę, nagle mocno zakręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że świat traci stabilność i że nawet to, w co sam wierzył, nie wytrzyma zbyt długo. Wyczuwał istnienie zagrożeń innych niż sztormy i siła fal, nadejście katastrof, przed którymi mieszkańców miasta nie zdoła uchronić nawet niezłomny mur gładów falochronu. To wrażenie było bardzo nieokreślone, przypominało sen, w końcu więc uznał, że zdrzemnął się w południowym słońcu. Skupił wzrok na kamieniu pod wodą. Na naznaczonym bliznami grzbiecie gładu dostrzegł cień łodzi i własnej postaci, wówczas powróciła do niego rzeczywistość.

Właśnie wtedy wpadł na swój pomysł. Ogarnął go jakiś pośpiech, porwał cyklon inspiracji, niepozbawiony paniki. Był najwyższy czas na wprowadzenie elementu swoistej przeciwwagi dla nagłego przecucia katastrofy, elementu dostatecznie dużego, mocnego i niezmiennego. Mógł nim być kamień.

•

Zaledwie kilka dni później zwołał zebranie w lokalu Towarzystwa Ubezpieczeń Morskich na Havnegade i grupie zaproszonych przedstawił swój pomysł. Propozycja wzniesienia pamiątkowego obelisku spotkała się z powszechnym poparciem. Powołano komitet, który miał się zająć pracami przygotowawczymi. Zaplanowano, że jeszcze w tym samym roku, zanim na dobre zacznie się jesień, kamień znajdzie się na swoim miejscu.

Tydzień później Albert ponownie obejrzał gład, w obecności przewodniczącego Rady Portu i prezesa towarzystwa ubezpieczeniowego. Świeży wiatr z zachodu odsłonił górną część gładu. Fale łamały się na nim, jak gdyby był niebezpiecznym szkierem.

W połowie lipca do kamienia przetransportowano dwie tratwy z podnośnikami i już o drugiej po południu gład został podniesiony i przywiązany między tratwami. Na pokładzie oprócz Alberta i przewodniczącego Rady Portu znalazł się również kapitan portu, pewien rybak i takielarz z jednej z miejskich stoczní. Na brzegu zebrała się grupka pań z miasta. Rozsiadły się na białym piasku z zapasem kanapek i orzeźwiających napojów, które łodzią wiosłową dowożono spoconym mężczyznom na rozkołysanych tratwach. Gdy tratwy minęły Pirs Parowców i wpłynęły do portu, ciągnąc uwiązany między nimi gład, flaga powędrowała na szczyt masztu, a zgromadzony tłum na kei zaczął wznosić okrzyki.

Wiwatowaliśmy na cześć nas samych, na cześć naszą i naszego kwitnącego miasta.

•

Dwa dni później gład wyciągnięto na brzeg. Albert zatelegrafował do Svendborga, prosząc o przysłanie lawety do dalszego transportu kamienia. Przybyła promem dzień później. Stawiła się ogromna ciżba ludzi i wszyscy dobrowolnie zgodzili się zmienić w zwierzęta pociągowe. Właściciel stoczni stanął u boku takielarza, marynarz przy armatorze, kupiec przy subieckie. Nawet dyrektor Kasy Oszczędnościowej zajął pozycję pokornego muła. Uczniacy, hałasując, biegali w koło, lecz w końcu i oni znaleźli swoje miejsca. Starzy, dawno już emerytowani szyprowie przerwali pogawędki na ławeczkach stojących wzdłuż portu, by również pomóc, chociaż z fajką w zębach. Były pilot na rzece Kongo, Josef Isager, demonstracyjnie wsunął ręce do kieszeni i zerkał spod oka. On się do czegoś takiego nie zniżał. Również Lorentz zadowolił się przyglądaniem, lecz jego usprawiedliwiały rozmiary ciała. Wdowa po malarzu maryniście, Anna Egidia Rasmussen, zwabiona hałasem, docierającym aż do Teglgade, stała z wnukiem na rękach. Z boku w niezmiernym podnieceniu podskakiwał miejski głupek, Anders Nørre. Albert jednym ruchem ręki zagonił go do pracy. Gdy Anders przerzucił sobie linę przez ramię, ogarnął go jakiś dziwny spokój, błogosławione skupienie, nastrój, który zdawał się dzielić z resztą zgromadzonych ludzi.

W końcu Albert sam złapał za linę i podnosząc rękę, zwrócił się do tłumu:

– Ciągniemy! – zawołał i dłonią przeciął powietrze.

To był sygnał do startu. Albert zaczął ciągnąć z całej siły. Miał sześćdziesiąt osiem lat, ale nie czuł ciężaru wieku. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego potężnie zbudowane ciało przez całe życie oszczędzało siły na ten właśnie moment, a wszystko, czym dotychczas się zajmował, było jedynie przygotowaniem do tej chwili. W słońcu jego twarz promieniała, a on odczuwał szczęście płynące prosto z krwi krążącej w żyłach i napięcia mięśni.

Laweta powoli ruszyła z miejsca. Pokonywała metr za metrem. W końcu utknęła. Ziemia okazała się za miękka. Pod ciężarem głazu koła zapadły się w żwir i nie dały się ruszyć. Ludzi było pewnie ze dwustu. Na próżno ciężko pracowali nogami i kładli się na linach, jak gdyby chcieli wypróbować, czy ich łączna waga przeważy ciężar kamienia. Ale kamień się opierał.

Albert wyprostował się i zwrócił do zebranych:

– Dalej, ludzie! – zawołał i znów machnął ręką w powietrzu. – Raz, dwa, trzy, i ciągniemy!

Laweta ani drgnęła.

Gdzieś pośród tego morza ludzi któryś z marynarzy zaczął mrużyć szantę. Inni się przyłączyli. W końcu wszyscy już, kołysząc się rytmicznie, śpiewali starą pieśń pracy, która od stuleci rozbrzmiewała na morzu. Ale teraz im nie pomogła.

Albert przywołał jednego z chłopców i kazał mu iść do Szkoły Nawigacyjnej na Tordenskjoldsgade, by wezwać na pomoc tamtejszych uczniów. Chłopak pomknął i już niedługo ujrzeli młodych marynarzy, nadciągających gromadą przez Havnegade. Było ich w sumie trzydziestu. Również oni zarzucili sobie liny na ramiona. Podciągali rękawy, pokazując tatuaże.

„To młodość i przyszłość”, pomyślał Albert. „Teraz kamień musi się poddać”.

Laweta znów ruszyła, ale koła zatrzeszczały w proteście, jak gdyby wóz miał się rozpaść pod działaniem potężnej siły. Niebezpieczny moment nadszedł, gdy pokonywali krawężnik, kamień zachwiało się, ale ustał. Znów rozległa się szanta. Dopiero teraz Albert usłyszał słowa:

I will drink whisky hot and strong.

Whisky, Johnny!

I will drink whisky all day long.

Whisky for me, Johnny!

Zachwyceni chłopcy przyłączyli się z wrzaskiem. W tych słowach kryła się obietnica męskości. Młodzi nawigatorzy nadawali ton. Dość już godzin wypływali, by czuć się w pełni doświadczonymi marynarzami. To była ich pieśń. Lata na morzu potwierdziły ich prawo do uznania jej za swoją. Dla starych stanowiła wspomnienie, a Albert wiedział, że trudno tu znaleźć takich, którzy bodaj raz w życiu nie wciągaliby żagla lub nie kręcili kabestanem przy dźwiękach piosenki o whisky. „To hymn marynarzy”, pomyślał Albert. Wszystko jedno, w jakim języku się go śpiewa. Przesłaniem tej szanty jest rytm, nie słowa. Ona nie prawi kazań, tylko przemawia do mięśni, a z mięśni przenosi się do serca i tam przypomina mężczyznom, co potrafią. Każe im zapomnieć o zmęczeniu i dalej wspólnie się trudzić.

„W jedności siła”, taki napis miał widnieć na jego głazie, ale w przyprawie radości wywołanej potem lejącym się z czoła przy transportowaniu kamienia Albert zrozumiał, że równie dobrze mógłby na nim widnieć napis: „Whisky, Johnny!”, gdyby nie był tak niestosowny. To, co słyszał, było pieśnią jedności.

Podniósł do słońca czerwoną, mokrą twarz i uśmiechnął się szeroko.

Kamień dotarł na miejsce.

•

Albert w hotelu „Ærø” zwołał wiele zebrań związanych ze wzniesieniem obelisku, czy też „kamienia jedności”, jak go ochrzcił w myślach. Trzeba je było przecież sfinansować, a musiało się to odbyć w taki sam sposób, w jaki w Marstal finansowano wszystko, co wielkie i ważne: wspólnie, dzięki wielu małym datkom. Gdy stanął na mównicy i wygłaszał płomienną przemowę, uszczęśliwiony zapominał, że pewnej ważnej rzeczy nigdy nie wyjaśnił. Z jakiej okazji zaczęto wznosić pamiątkowy obelisk akurat teraz? Siedemdziesięciopięciolecie wybudowania falochronu przypadło dokładnie na przełomie wieków, lecz wówczas nikt nie podjął takiej inicjatywy. Stulecie miało nadejść dopiero za dwanaście lat. Nie mógł się spodziewać, że będzie wtedy jeszcze żył. Do tego czasu skończyłby osiemdziesiąt jeden lat, a nie zaliczał się do pyszałków, uważających, że będą żyli wiecznie. Dlaczego więc teraz? Dlaczego w roku 1913?

Na szczęście nikt nigdy go o to nie spytał. „Oczywiście”, powiedzieli wszyscy, gdy po raz pierwszy wspomniał o obelisku. Kamień pamiątkowy miasto musi mieć, a cóż bardziej warto uhonorować niż wzniesienie falochronu? Ominęło go więc opowiadanie o czerwcowym dniu, gdy w Łódce na południe od Halen zakreśliło mu się w głowie i naszły go przecucia, których znaczenie wciąż pozostawało niejasne, nawet dla niego samego. O takich rzeczach nie wypada jednak perorować z mównicy. Ba, nie można o nich wspomnieć nawet podczas rozmowy w cztery oczy, a już na pewno nie powinno to być uzasadnienie zwołania dwustu trzydziestu ludzi do ciągnięcia czternastotonowego głazu.

Dlaczego więc teraz? Dlaczego w roku 1913?

Zanim będzie za późno, zanim zapomnimy, kim jesteśmy i dlaczego robimy to, co robimy.

Za późno? O czym ty mówisz?

Nie, nawet sam sobie nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Ale tamto dziwne uczucie wciąż go nie opuszczało. Właśnie po to, by je zagłuszyć, z takim zapałem rzucił się w wir prac związanych ze wzniesieniem obelisku.

Z mównicy w sali balowej hotelu „Ærø” wymieniał kolejno fakty. Opisywał, jak to port był kiedyś otwarty na wiatry z północy i ze wschodu, a nawet z południa, jak jezioro łądu, cypel nazywany Halen, często przerywało morze. Opowiadał, jak statki, nawet podczas zimowania w porcie, rozbiły się o brzeg. Gdyby portu nie ulepszono, w końcu wszystkim groziłaby ruina. Ale wówczas wystąpił jeden człowiek. Można go traktować jako założyciela miasta w takim kształcie, w jakim je dzisiaj znamy, chociaż nie budował na łądzie, tylko na wodzie. To on był twórcą tej jedności, tej siły, której teraz zamierzamy postawić pomnik. Szyper Rasmus Jepsen. To on namawiał mieszkańców, by składając podpisy, zobowiązali się do budowy falochronu. Zgłosiło się trzysta pięćdziesiąt dziewięć osób. Jedni chcieli ofiarować dobrowolnie swoją pracę, inni dostarczenie kamienia, a jeszcze inni wpłacali pieniądze. Ale wszyscy coś dali, z wyjątkiem jednego człowieka, który przedstawił bezczelne uzasadnienie, iż należy dbać o siebie, a nie o przyszłość.

– Jego nazwiska nie wspomnę z uwagi na obecnie żyjących krewnych – oświadczył Albert z mównicy.

Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na szypra Hansa Petera Levinsena, który od tamtej pory zaliczał się do najzagorzalszych zwolenników wzniesienia obelisku i najhojniejszych fundatorów, jakby teraz wreszcie, po osiemdziesięciu ośmiu latach, otrzymał szansę zmycia hańby z rodziny.

Albert opowiadał dalej o tamtym dniu, 28 stycznia 1825 roku, o dniu urodzin króla Fryderyka VI, w którym stu ludzi zjednoczonych przez ideę zebrało się na lodzie, by położyć pierwszy kamień pod rozpoczynającą się olbrzymią budowę. Wspomogła ich nawet natura. Gdyby podczas tamtej zimy i w kolejnych latach nie było mrozu, nigdy nie zdołaliby przetransportować kamieni na miejsce. Udało się jednak, a teraz falochron stał niczym wieczny symbol tego, czego ludzka siła w jedności i uporze jest w stanie dokonać.

– Gdy patrzycie na falochron – powiedział, rozglądając się po zgromadzonych – to wasze spojrzenia widzą olbrzymie głazy. Ale nigdy nie zapominajcie, że prawdziwym budulcem jest niezłomna wola i silne ręce.

Zakończył przypomnieniem, że inicjatora budowy falochronu, Rasmusa Jepsena, uhonorowano srebrnym krzyżem Orderu Dannebrog, Duńskiej Flagi. Marynarze, mimo że zdają się nieokiełznani i samowolni, są jednak wierni królowi i z natury konserwatywni, więc słowa te zrobiły wrażenie. W tym momencie przemowę przerwały spontaniczne oklaski. Albert przez chwilę pozwolił się fetować jako inicjator wzniesienia obelisku, choć w głębi ducha wiedział, że nie jest tego wart, ponieważ wszystko, czym zajmował się w te gorączkowe, pełne triumfu dni, spoczywało na niepewnym gruncie, opierało się na wizjach utkanych z tej samej ulotnej materii co chmury.

•

Rankiem 19 lipca ze Svendborga przyłynął parowcem pocztowym rzeźbiarz Johannes Simonsen, aby przyjrzeć się kamieniowi. Stwierdził, że to doskonały materiał na obelisk, wykonał rozmaite szkice, a przed powrotem do Svendborga pozostawił jeszcze wskazówki, jak należy oczyścić obrośnięty wodorostami gład. Kamień pociągnięto chlorkiem wapnia, a potem potraktowano rozcieńczonym kwasem solnym i spłukano wodą. Na fundament wykopano dwumetrowy dół, który następnie wypełniono betonem. Na początku sierpnia odlano cokół pod obelisk i wykonano żeliwne ogrodzenie. W połowie sierpnia gład ustawiono na miejscu. Również w tej pracy Albert uczestniczył osobiście wraz z innymi członkami komitetu.

•

W samym środku prac do portu wpłynęło sześć torpedowców. Okręty były przystrojone flagami, podobnie jak statki w porcie. Wkrótce na kei zaroiło się od gapiów. Do portu w Marstal po raz pierwszy weszły okręty wojenne. Nawet komitet przerwał swoją pracę przy ustawianiu obelisku i szedł na Pirs Parowców, by się im przyrzedć.



Tego samego wieczoru w hotelu „Ærø” wydano uroczyste przyjęcie dla oficerów okrętów wojennych. Brał w nim udział również Albert. Na widok smukłych stalowoszarych kadłubów przy Pirsie Parowców poczuł się jednak nieswój i znów miał atak słabości przypominający tamten, gdy na swojej jolce po raz pierwszy oglądał gład tkwiący w wodzie na południe od plaży. Podczas całego obiadu wydawał się dziwnie nieobecny, co zauważyło wielu przybyłych gości, którzy jednak jego roztargnienie złożyli na karb wielkiego napięcia, jakie musiał odczuwać, gdy wzniesienie obelisku wkroczyło w decydującą fazę.

Ciągle wydawało mu się, że całe towarzystwo znalazło się na morzu, za stołami unoszącymi się na wodzie. Krzesła, na których siedzieli ludzie, chygotały się na falach w przód i w tył. W niebieskoszarej toni widział przemykające czarne cienie.

Do rzeczywistości przywołał go głos zwracający się bezpośrednio do niego. To komandor sześciu torpedowców, Gustav Carstensen, pragnął go uhonorować.

– Słyszałem o obelisku, którego pan jest inicjatorem. Opowiadano mi o pochodzie ciągnącym kamień na miejsce. No tak, młodzież ma energię. Trzeba po prostu umieć ją wykorzystać. Pan jako kapitan ma pojęcie o znaczeniu dyscypliny.

– Ja raczej wierzę w równowagę sił i w jedność – odparł Albert.

– Owszem, jedność jest ważna – przyznał komandor, w zamyśleniu patrząc przed siebie, jak gdyby w odpowiedzi Alberta znalazł zachętę do kontynuowania własnych myśli. – Ale jedność trzeba stworzyć, i dlatego potrzebujemy wielkich spraw jednoczących ludzi. Teraz każdy troszczy się tylko o siebie. Od wielu pokoleń nie mieliśmy wojny, która potrafi zjednoczyć i ukierunkować młodzież. Wojny nam potrzeba.

Albert popatrzył na niego lekko nieprzytomnie, bo wciąż miał zawroty głowy.

– Na wojnie wielu ginie, prawda?

– No tak, oczywiście. To cena, którą trzeba zapłacić za wojnę.

W tonie komandora pojawiło się wahanie. Bacznie przyglądał się Albertowi, jakby dopiero teraz zwrócił uwagę na swego rozmówcę i przez moment się zastanawiał, czy się co do niego nie omylił.

– A zmarli dostają grób i krzyż, prawda? – ciągnął Albert niewzruszony.

– Oczywiście, oczywiście, to się samo przez się rozumie.

Teraz po Carstensenie było już widać, że w jego poczuciu rozmowa zesłała na manowce.

– Niech pan się przejdzie na tutejszy cmentarz, komandorze Carstensen. Znajdzie pan tam wiele kobiet i trochę dzieci. Być może tu i ówdzie zobaczy pan jakiegoś wieśniaka, jednego czy dwóch kupców, może jeszcze maklera morskiego jak ja. Ale nie znajdzie pan wielu marynarzy. Oni zostają na morzu. Nie mają krzyża. Nie mają grobu, na który mogłaby chodzić wdowa z dziećmi. Toną w odległych miejscach. Morze to wróg, który nie szanuje swego przeciwnika. My tu, w Marstal, prowadzimy swoją własną wojnę, komandorze Carstensen, i tej nam już wystarczy.

Wzniesiono toast za flotę, a komandor chętnie skorzystał z okazji zakończenia rozmowy z Albertem, który już nienagabywany, znów zatonął w rozmyślaniach.

•

Tej samej nocy wobec obelisku dopuszczono się aktu wandalizmu. Gromada pijanych stoczniovców przeniosła płot, który ustawiono jako tymczasową osłonę, dopóki rzeźbiarz Johannes Simonsen nie wykuje inskrypcji. Albert o popełnieniu przestępstwa natychmiast zawiadomił komendanta Krabbego z Ærøskøbing i już trzy dni później otrzymał odpowiedź, w której komendant informował, że sąd policyjny skazał wandalów na karę grzywny, wynoszącą trzysta piętnaście koron łącznie, za pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego.

•

W miarę jak zbliżał się dzień odsłonięcia obelisku, niepokój Alberta rósł. Na szczęście wciąż jeszcze pozostawało dużo do zrobienia. Historię wzniesienia falochronu spisał już ze wszelkimi szczegółami, teraz musiał zadbać o to, by jego opowieść umieszczono w zapieczętowanej ołowianej tulei, którą następnie wmurowano w fundament obelisku. Potem zabrał się do pisania mowy, którą chciał odczytać podczas uroczystości odsłonięcia pomnika. Przedstawił w niej kamień tak, jakby był człowiekiem, pełnym ludzkich rozczarowań i nadziei, a życie nazwał miejscem, „gdzie mieszają się radości, smutki i płonne nadzieje, a starannie ułożone plany nie zawsze się spełniają”.

Nagle przerwał.

„Co ty wypisujesz?”, spytał samego siebie. „Przecież miałeś uhonorować falochron i jedność, a tymczasem zabrnąłeś w ślepy zaułek”.

Pokręcił głową, zamyślając się nad własną głupotą, po czym zgasił lampę na biurku. Skąd się brały wątpliwości? Przecież nie miał powodów, by wątpić w dzieło swego życia. Miasto kwitło jak nigdy. Właśnie aby to uczcić, wznoszono obelisk. Znow nawiedziła go ta przeklęta słabość. Przeczucia, zawroty głowy i wizje. Babskie głupoty.

Szykował się do pójścia do łóżka. Może sen przyniesie ulgę?

Ze złością tupnął nogą, by odpędzić wywołujące niepokój duchy. Tego tylko brakuje, żeby jak dzieciak zaczął bać się ciemności.

•

Wreszcie nadszedł ten dzień. Było to 28 września. Przybyły tłumy i Albert jeszcze raz przedstawił historię powstania falochronu. Chór młodych pań na melodię *Będę bronić ojczyzny* odśpiewał pieśń, której słowa napisał sam Albert; udało mu się przy tym powstrzymać od wszelkiego pesymizmu.

Kiedy usunął wielką duńską flagę udrapowaną na kamieniu, zgromadzeni obrzucili pomnik bukietami kwiatów. Przewodniczący Rady Portu wygłosił mowę dziękczynną i ceremonia zakończyła się trzykrotnym wiwatem na cześć króla Chrystiana X, którego urodziny wypadały tego właśnie dnia.

Wieczorem w hotelu „Ærø” wydano uroczysty obiad. Uczestniczyła w nim setka zaproszonych gości, między innymi komendant Krabbe z Ærøskøbing, którego żona była towarzyszką Alberta przy stole. Podano pieczeń z zająca, ciasta i rozmaite napoje. Albert wygłosił przemowę, którą zakończył, prosząc zebranych o powstanie i wzniesienie trzykrotnego okrzyku: „Niech żyje”, na cześć Jego Królewskiej Mości i odśpiewanie *Król Chrystian stał przy wysokim maszcie*, po czym odczytał napisany przez siebie telegram z życzeniami dla króla i poprosił, aby wszyscy obecni się do nich przyłączyli. Później wielokrotnie wznoszono toasty za ojczyznę i za flagę, a liczne osobistości wygłaszały mowy nawzajem na swoją cześć. Pół godziny przed północą nadszedł telegram z podziękowaniami od Jego Wysokości. Później rozpoczął się bal.

Albertowi wieczór upłynął bez żadnych przykrych epizodów. Przez cały czas był przytomny, nie nawiedzały go katastroficzne przecucia, nie miał też żadnych wizji, w których widziałby gości w wieczorowych strojach unoszących się na morzu przy zastawionych stołach.

Gdy jako gospodarz wieczoru około drugiej zegnał ostatnich gości, mógł wreszcie skrócić na rogu w Prinsegade i wrócić do domu, gdzie czekała go noc bez snów.

Następnego ranka obudził się i uznał, że odzyskał spokój ducha.



Albert miał sześćdziesiąt dziewięć lat i osiągnął w życiu to, co chciał. Nie miał dzieci i tego żałował, ale miasto, w którym mieszkał i które uważał za swoje, wciąż się rozwijało. W stoczniach praca szła pełną parą jak nigdy dotąd, a główna stocznia wkrótce miała się przestawić na nowoczesną technologię i zamiast statków drewnianych budować statki ze stali. Wiosną w przyozdobionym flagami mieście złożył wizytę Jego Królewska Mość. Zawitała marynarka z sześcioma torpedowcami. Planowano budowę nowej poczty i zastąpienie starej wieżyczki na kościele wyższą, z miedzianą iglicą.

W porcie stał obelisk upamiętniający budowę falochronu jako dowód na to, że miasto nie zapomina o swojej historii i przyznaje się do długu wobec minionych pokoleń. Na kamieniu widniał napis: „W jedności siła”. Było to osobiste wyznanie wiary Alberta, pieczołowicie wykute przez rzeźbiarza Johanna Simonsena. Teraz wyznanie wiary Alberta stało się również wyznaniem wiary miasta.

Wiedział, że źródło jego porannego dobrego samopoczucia wynika nie tylko z udanej ceremonii odsłonięcia pomnika i zabawy, która po niej nastąpiła. Wynikało ono z czegoś o wiele większego, z harmonijnej zgody, jaką czuł między sobą a światem stale podążającym naprzód. Otworzył okno w szczytowej ścianie i w łagodnym świetle słońca wczesnego wrześnieowego poranka zobaczył taki oto widok: za lasem masztów ciągnął się falochron, a za nim usiane wyspami morze. Dobiegł do niego krzyk mew, któremu akompaniowało postukiwanie młotków i warkot pił z miejskich stoczni. W poczuciu triumfu uświadomił sobie, że w tym samym momencie takie same odgłosy rozlegają się w miastach portowych na wszystkich kontynentach, a on w tej chwili znajduje się we wszystkich tych miejscach równocześnie, na całym świecie, w jednej, wielkiej wspólnotcie.

Później zawsze już myślał o tym dniu jak o „zakończeniu”. Nigdy nie sprecyzował sobie, czego właściwie miał to być kres. Nie mogło chodzić o jego życie, bo żył jeszcze kilka lat. Ale żył na poły w świecie snów, na poły w rzeczywistości, a most, który je łączył, był mostem strachu. W snach zyskiwał wiedzę, której nie potrafił udźwignąć, lecz którą nie mógł się podzielić z innymi.

Miał żyć w mieście zaludnionym przez zmarłych i zostać niemym świadkiem śmierci.

WIZJE

•

O czym pisze makler morski? O wzlotach i upadkach rynku frachtowego, o ładunkach, które dowiózł, o statkach, które nie wracają do domu, o ocalonych załogach, ubezpieczeniu, o zysku i losie firmy.

Albert w tamtym czasie nie pisał o swojej firmie maklerskiej ani o statkach, które wyprawił w morze. Nie opisywał też swoich uczuć, a myśli wypowiadał rzadko. Pisał wprawdzie o tym, co działo się w jego głowie, ale przede wszystkim o tym, czego sam nie rozumiał.

Mieszkał w nim ktoś obcy, i właśnie o tym obcym Albert pisał.

Pisał o swoich snach.

Ale nie o wszystkich.

Jak każdy człowiek o praktycznym nastawieniu do życia uważał sny za płody uśpionego, lecz poza tym jasno myślącego mózgu, za nic innego niż chaotyczne poplątanie przypadkowych, na wpół zapomnianych wydarzeń, kiedyś być może mających przejrzysty sens, który jednak przepadł w mglistym półświecie snu. W wielu swoich snach Albert, tak jak i my, nie znajdował żadnego sensu. I wcale się nie starał.

W pewną grudniową noc w roku 1877, gdy był kapitanem na brygu „*Princess*”, usłyszał nagle we śnie głos wołający, że zmierza ku niebezpieczeństwu. Poderwał się z koi, wybiegł na pokład i zobaczył, że mało brakuje, by statek nie wpadł na rozległą, płaską mieliznę, na której niechybnie by utknął. Sen go ostrzegł.

Gdzieś w jego głowie tkwiła wiedza, której sam nie znał. Mieszkał w nim jakiś obcy gość.

Dwa lata później miał podobny sen. Śniło mu się, że „*Princess*” walczy z potężnym sztormem, lecz postanowił udawać, że nic się nie dzieje, chociaż przypuszczał, że również tym razem został ostrzeżony. Nazajutrz wczesnym rankiem wypłynął z Grangemouth. Wkrótce po wyjściu z portu zerwał się południowo-zachodni wiatr, wiejący z siłą orkanu. Przez cały dzień statek dryfował wzdłuż wybrzeża, aż w końcu musieli rzucić kotwicę i zrąbać maszty, by uniknąć rozbicia się o brzeg. Gdy wczepiony w przechylony pokład patrzył, jak takielunek leci za burtę, zrozumiał, że istnieje więcej niż jedna rzeczywistość.

•

Albert miał pewną zdolność, którą nie wszyscy posiadaliśmy. Wiedział też, że powinien zachować ją dla siebie. Mogliśmy przeczytać o tym w jego notatkach, pozostawionych wśród innych papierów. Pisał, że jeśli wieść o jego proroczych snach się rozniesie, może mu to zaszkodzić, a przynajmniej okryć niesławą jego imię.

Ileż to razy siedzieliśmy w kubryku, słuchając opowieści o Klabautermanie, karle z białą twarzą, zwisającym z want w ociekającym wodą sztormiaku, o Latającym Holendrze i psie okrętowym, który wyje wśród nocy, wypatrując swojego zatopionego statku? Również Albert jako chłopiec okrętowy słuchał tych historii przerażony i oczarowany, lecz w głębi serca w nie nie wierzył. U podstaw każdego nadprzyrodzonego zjawiska musiała leżeć jakaś naturalna przyczyna i po prostu nauka jeszcze jej nie odkryła. Taka była jego opinia. Często, gdy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku przysiadaliśmy o zmierzchu, tłumaczył nam, że między niebem a ziemią jest coś jeszcze.

Gdyby wówczas ujawnił swoje prorocze sny i zdolność do przewidywania przyszłości, większość z nas bez protestu przyjęłaby, że został obdarzony nadprzyrodzonymi talentami. Jego sława na statkach zaczęłaby rosnąć, być może również jego autorytet, lecz taki autorytet łączy się ze strachem, a on tego nie chciał. Albert uważał, że władza kapitana powinna opierać się na zaufaniu do jego wiedzy, a nie na czarach.



Po odsłonięciu obelisku przed Albertem otworzyła się szara nicość. Widział, jak ludzie, których znał, umierają, a dzień później spotykał ich żywych na ulicach miasta. Jego sny były zagadkowe. Nie znał momentu, w którym nastąpi śmierć, którą oglądał na własne oczy. Jej okoliczności zawsze były dramatyczne i przyprawiały o lęk. Widział ludzi zastrzelonych na pokładzie, widział okręty stojące w ogniu, widział czarne cienie w morzu, lecz nic z tego nie rozumiał.

Nigdy jednak nie wątpił, że sny mówią prawdę. Miał pewność, że wszyscy ci ludzie, których pozdrawiał, którym ścisnął dłoń i z którymi rozmawiał, lecz z czasem coraz bardziej starał się ich unikać, umrą w straszliwych i niewyjaśnionych okolicznościach.

A oni o tym nie wiedzieli.

Chodził po mieście pełnym przyszłych trupów.



Pierwszy sen zapowiadający nadchodzące nieszczęścia pojawił się nocą z 27 na 28 września 1913 roku.

Albert ujrzał statek, w którym rozpoznał trzymasztowy szkuner „*Pokój*” z Marstal. Potem usłyszał wystrzał. Załoga natychmiast wybiegła na pokład. Zbrasowano reje i spuszczone bramzagle. Statek w jednej chwili stanął. Albert widział, że marynarze starają się spuścić szalupę na wodę. Z jakichś powodów, których nie rozumiał, musieli przywiązywać do tego jednego wystrzału wielką wagę. Na statku nie widać było żadnych uszkodzeń.

Rozległy się kolejne strzały. Jeden z mężczyzn nagle złapał się za ramię. Ręka zwisała mu bezwładnie. Głowa drugiego odskoczyła w tył, jak gdyby ktoś gwałtownie pociągnął go za włosy. Z czoła trysnęła krew i marynarz upadł na pokład. Teraz wystrzały słyhać już było bezustannie. Kule trafiały również w szalupę i gdy dotknęła powierzchni morza, zaczęła nabierać wody. Wkrótce załoga stała już w wodzie po pas, gorączkowo starając się zatkać przecieki. Intensywny ostrzał trwał. Maszty jeden po drugim leciały za burtę. Potem w głębinie zniknął również statek.

Pogoda była sztormowa, fale wysokie. Po niebie pędziły chmury. Szalupa ciężko zanurzyła się w wodzie. Załoga z trudem wiosłowała. Na ich twarzach najpierw rysował się lęk, a potem wycieńczenie. Światło dnia zgasło, zapadła ciemność i upłynęło dużo czasu, zanim powróciło. Albert domyślił się, że to była noc, a teraz wstał ranek. Sztorm nie ustawał, a fale wzbijały się wysoko pod poszarpanymi, gnającymi po niebie chmurami. Na dnie szalupy leżeli dwaj mężczyźni. Pozostali podnieśli ich i wyrzucili za burtę. Zdążył jeszcze dostrzec przeblysk bladej, naznaczonej śmiercią twarzy. To był kapitan Christensen, z którym poprzedniego wieczoru wznosił toast na uroczystości z okazji odsłonięcia obelisku.

Następnej nocy ujrzał szkuner „*H.B. Linnemann*” z flagą wzywającą pomocy. Tak jak i w poprzednim śnie widział załogę biegającą po pokładzie i starającą się spuścić szalupę na wodę. Znów usłyszał strzał, ale skąd padł, Albert nie miał pojęcia. Zobaczył kapitana statku, L.C. Hansena, którego od razu rozpoznał, stojącego na półpokładzie pod powiewającą duńską banderą. Kapitan Hansen osunął się na kolana, przyciskając dłonie do uda, na którym pojawiła się duża ciemnoczerwona plama. Moment później został trafiony w głowę i opuścił świat żywych. Niedługo potem zastrzelono jeszcze trzech członków jego załogi.

W końcu Albert zrozumiał, co widzi. Pojął, co oznaczał ostrzał bezbronnych marynarzy i zatapiane statki.

Jego sny zwiastowały wojnę.

Pomyślał o komandorze Carstensenie: będzie on miał tę swoją wojnę. A jemu, Albertowi Madsenowi, co z tego przyjdzie? Ponure przecucia mówiły mu, że w swoich snach widział nie tylko śmierć ludzi. Oglądał zagładę całego świata.

Nie potrafił lepiej wyjaśnić tego wrażenia. Po prostu ogarnął go wielki smutek, który wyssał jasność z widoku rozciągającego się z okna w szczytowej ścianie jego domu. Falochron. Jakie znaczenie będzie miał za kilka lat? Owszem, morze to wojna, ale teraz zacznie się inna wojna, bardziej okrutna i bardziej bezlitosna, na którą znajomość morza i żeglowania nie będzie żadną odpowiedzią.

Albertowi brakowało wyobraźni i politycznej wiedzy, pozwalającej przewidzieć, kto będzie prowadził tę wojnę, a jego sny też mu tego nie wyjaśniały. Myślał jednak o jednostkach wojennych, które spotykał na morzu, o torpedowcach oglądanych w porcie, o okrętach podwodnych, o których czytał, lecz nigdy nie widział na własne oczy. Do jakiego stworzenia na ziemi można porównać żaglowiec? Do żadnego. Żaglowiec ma swoją baśniową architekturę. Ale te nowe pływające maszyny wojenne? Czyż obłego okrętu podwodnego nie stworzono na podobieństwo rekina? Czy torpedowce nie przypominały opancerzonych żółwi? Czyż cały ten nowoczesny przemysł wojenny nie przyjął za ideał potworów z odległej przeszłości, tych, które przed milionami lat zamieszkiwały Ziemię i których kości teraz pojawiały się wszędzie?

Dostatecznie dużo słyszał o wysnutej przez Anglika Karola Darwina teorii ewolucji gatunków, by wiedzieć, że życie posuwa się w przód, a nie cofa. Ale czy starania ludzkości związane z maszynami wojennymi nie oznaczały ruchu w przeciwną stronę? Czy nie cofano się do wcześniejszych, brutalnych i prymitywnych form życia z czasów, które już minęły?

Czy nie to właśnie ukazywały mu jego sny? Przyszłość, w której człowiek wraca do stadium płaza, i staje się dla siebie najgorszym wrogiem?

•

Sny trwały. Albert widział, jak szkunery stają w ogniu. Patrzył, jak dzioby rozrywają nagłe eksplozje i jak w ciągu kilku minut statki znikają w morzu. Widział ludzi w tonących szalupach. Oglądał strach na twarzach marynarzy, słuchał ich wołania o pomoc, gdy wciągała ich głębia. W końcu widać już było tylko morze i fale, takie same jak wcześniej. Przez długi czas miał wrażenie, jakby to on się unosił wśród nich, zupełnie sam pod zaciągniętym chmurami niebem, na stalowoszarym morzu. Pomyślał, że tak musiał wyglądać świat wkrótce po stworzeniu, jeszcze zanim pojawiło się na nim życie.

•

Zaczął sporządzać listy statków, których zatonięcie widział we śnie. Zapisywał również nazwiska zmarłych, jeśli rozpoznał jakąś twarz. Notował je z lewej strony kartki. Prawą zostawiał pustą. Była zarezerwowana na ten dzień, gdy jego sny zaczną się spełniać. Wykorzystywał do tego księgi rachunkowe z kancelarii maklerskiej, myśląc, że to najdziwniejsze rachunki, jakie kiedykolwiek sporządzał, zaś on sam jest najdziwniejszym buchalterem, ponieważ świat snów traktował tak, jakby ten charakteryzował się taką samą dokładnością jak rzeczywistość.

•

Albert był mocno zbudowanym mężczyzną z krótko przyciętą brodą i włosami, których nie przerzedził wiek. Przez wiele lat się nie zmieniał. Wciąż biła od niego ta sama kontrolowana siła. Wrażenia młodości być może nie sprawiał, raczej beczasowości, jak gdyby żył w miejscu, w którym zniesiono dyktaturę starości. Ale w owym czasie wyraźnie się postarzał. Sam zdawał sobie z tego sprawę, wiedział też, że ludzie o tym gadają. Wciąż pielęgnował brodę, a gęste włosy strzygł regularnie, lecz jego szerokie ramiona opadły i nagle zaczął wydawać się niższy. Więcej czasu spędzał w samotności i nie tłumaczył się z odrzucanych zaproszeń. Niech sobie ludzie myślą, co chcą. Szczególną trudność sprawiało mu przebywanie w towarzystwie tych, których śmierć widział na morzu. Jak mogli z taką bez troską podchodzić do życia, skoro czekał ich tak straszny los?

Jak kapitan Eriksen mógł zatrzymać go na Prinsegade, gdy właśnie wyszedł ze swojego biura, i nie mówić o niczym innym niż rynek frachtowy i bagrownica, cumująca poza portem i pogłębiająca Treflową Głębę? Nie zdawał sobie sprawy, że jego dni są policzone?

Albert krótko skinął mu głową i odszedł w dół Havnegade. Potem żałował swojej opryskliwości. Wkrótce ludzie zaczną nazywać go dziwakiem. Cóż, niech tak będzie. Co innego miał robić? Objąć Eriksena i zapłakać nad nim? Ostrzec go? No dobrze, ale przed czym? Przed morzem? Przed wojną? „Przed jaką wojną?”, spytałby Eriksen i nie bez racji uznał go za szaleńca.

•

Na jego barki złożono ciężar, którego nie był w stanie udźwignąć. Stał się świadkiem nieszczęść i katastrof, o których przyczynie i naturze nie miał kompletnie żadnego pojęcia. Czy byłoby mu łatwiej, gdyby wierzył w Boga? Czy zdołałby znaleźć pociechę w Chrystusie? Ale to nie pociechy potrzebuje mężczyzna, tylko działania, i dlatego sny były jak choroba. Atakowały jądro jego osoby. Odbierały mu energię i siłę woli. Pierwszy raz w życiu przeżywał swoją bezsilność, a to doznanie zżerało mu duszę i pozbawiało go sił.

•

W Boże Narodzenie z północnego wschodu nadciągnęła gwałtowna śnieżycyca i woda w porcie zaczęła się podnosić. Albert zaszedł na nabrzeże i obserwował, jak załogi zakładają dodatkowe cumy. W porcie stało ponad sto statków i do miasta płynął koncert północnowschodniego wiatru, gwizdzącego w takielunku. Towarzyszyło mu strzelanie lin o drewno i hałas kadłubów uderzających jeden o drugi lub o keję, dopóki załoga nie zdołała wzmocnić cum. Woda dalej przybierała i statki podnosiły się coraz wyżej nad nabrzeżem niczym groźne cienie o zmierzchu wśród śnieżycy – cała flota Latających Holendrów zebrana, by ogłosić zagładę miasta. W końcu jednak woda się zatrzymała. Jedynej szkody doznał Pirs Parowców, na którym fale zerwały bruk.

W swoich notatkach, w których rachował wciąż żywych, Albert napisał też o falochronie: „Potężne dzieło przodków przetrwało jeszcze jedną próbę”. Te słowa podyktował mu sprzeciw, bunt wobec snów. To falochron nie pozwolił na dalszy przybór wody.

Albert jednak dobrze wiedział, że czas falochronu minął. Nadejdą inni, silniejsi wrogowie, przed którymi falochron nie będzie w stanie nas ochronić.



Zdarzało się, że nieszczęsny Anders Nørre spieszył ulicami, ścigany przez bandę hałaśliwych chłopców. Poruszał się sztywnym krokiem, który cały czas się wydłużał. Chciał się oddalić, ale uciec nie miał odwagi. Pewnie się bał, że ucieczka wzbudzi w jego prześladowcach coś strasznego, a na umknienie przed gromadą łobuziaków nie mógł mieć nadziei.

Pościg za każdym razem kończył się w taki sam sposób. Anders Nørre, dosłownie przyparty do muru, stawał, pocierając policzkiem o szorstki kamień, jęczał cicho albo też tracił panowanie nad sobą i wybuchał bezsilną wściekłością. Wyjąc jak zwierzę, sam stawał się nagle prześladowcą i zaczynał gonić chłopców, którzy zwinnie jak wiewiórki z głośnym śmiechem rozbiegali się na wszystkie strony.

Dorośli na ogół interweniowali, ale nie zawsze. Byli i tacy, których ta scena bawiła.

•

Któregoś razu Albert lepiej poznał życie Andersa Nørrego. Anders był od niego starszy, lecz w dziwny sposób nie ulegał wiekowi, miał tylko siwe włosy i brodę. Ale nawet te oznaki starości nie przydawały mu żadnego autorytetu, który nakazywałby dzieciom trzymać się od niego z daleka.

Albert wbiegł w sam środek gromady goniącej Nørrego już od rynku przez Skolegade i Tværgade, chcąc przyprzeć go do muru ogrodu naprzeciw kawiarni „U Webera” na Prinsegade.

Uniósł laskę jak do ciosu, groźnie przy tym krzyżąc. Chłopcy zaraz się rozpierzchli.

– Odprowadzę cię do domu – powiedział do Andersa.

Nørre stał, zatykając rękami uszy i zaciskając oczy. Po chwili je otworzył. Mieszkał na skraju miasta, w niewielkiej szopie na Reberbanen, ulicy powroźników. Przesiadywał tam całymi dniami, skręcając liny na kołowrotku, a gdy powrozownia nie pracowała, robił sznurek z pakuł konopnych. Było to mało przyjemne, jednostajne zajęcie, którym się zajmował, odkąd ludzie pamiętali. W powszechnym przeświadczeniu Anders był głupkiem.

Albert ujął go pod ramię. Anders chętnie pozwolił się prowadzić.

– Byłeś niedawno w kościele, Anders?

Nørre kiwnął głową.

– Chodzę tam co niedziela.



Prowadzenie rozmowy z Andersem Nørrem nie sprawiało żadnego kłopotu, to nie brak zdolności mowy przysporzył mu sławy głupka. Nørre miał miękki, przyjemny głos, zawsze wyrażał się jasno i zrozumiale. O wszystkim decydowała raczej jego nieruchoma twarz, jakby niezdolna do okazywania jakichkolwiek uczuć, a także jego nędzny sposób życia. Mieszkał u matki aż do jej śmierci i mówiono, że jeszcze długo jako dorosły spał z nią w jednym łóżku. Kiedy zmarła, kobiety, które zajęły się przygotowaniem zwłok, zostawiły ją w łóżku aż do następnego dnia, gdy miały ją włożyć do trumny. Rano zastały Andersa śpiącego u jej boku. Gdy nadeszła pora spoczynku, najzwyczajniej położył się jak co dzień koło matki. Podczas pogrzebu nie okazał żadnych oznak żalu.

Jedynym uczuciem, jakie zdawał się posiadać, był ogromny upór, jeśli w ogóle upór można nazwać uczuciem. Kiedy Andersowi się sprzeciwiano lub przeszkadzono w zrobieniu czegoś, co sobie wbił do głowy, podrywał się i zaczynał wykrzykiwać niezrozumiałe słowa, wymachując rękami, lecz najwyraźniej nie po to, by uderzyć, lecz ogarnięty dziwną desperacją. Potem wypadwał przez drzwi swojej szopy i znikał wśród niedalekich pól. Potrafił przepaść na kilka dni, nim wycieńczony wracał.

Ale gdzieś głęboko w nim tkwił jakiś rozum, i to nie odrobina, lecz całkiem sporo, tyle że nie było dla niego żadnego zastosowania. Jeśli podało mu się wiek człowieka i datę urodzenia, potrafił bez dłuższego namysłu podać liczbę dni, jaką przeżył ten człowiek, i to z uwzględnieniem lat przestępnych. Ktoś kiedyś spytał go, ile dni minęło, odkąd Jezusa złożono w żłóbku, a on odpowiedział natychmiast. Kiedy wracał z nabożeństwa, potrafił słowo w słowo powtórzyć kazanie pastora ku radości tych marynarzy, którzy woleli spędzać niedzielne przedpołudnie na ławce w porcie zamiast w kościele.

Pierwszego wiosennego dnia Anders ściągał buty i pończochy. Chodził boso aż do powrotu mrozów. Zimą grzebał na wysypiskach i w śmietnikach, szukając czegoś do zjedzenia. Nikt w mieście nie pozwoliłby mu zginąć z głodu. On raczej wolał taki styl życia, i z tego powodu wydaliśmy na niego wyrok, uznawszy go za głupka.

Albert zawsze go pozdrawiał. Nie było w tym nic niezwykłego. Miejscy idioci stanowili wspólną własność. Przemawialiśmy do nich dobrodusznie i pogardliwie, byliśmy z nimi na ty i poklepywaliśmy ich po ramieniu. Oni takiego prawa nie mieli.



Albert kontynuował rozmowę o niedzielnym nabożeństwie, a Anders Nørre chętnie odpowiadał na wszystkie pytania. Ton jego głosu nawet przez moment nie zdradzał, jakie myśli czy uczucia wzbudziło w nim kazanie. „To właściwie prawdziwa sztuka”, pomyślał Albert, „nadać głosowi pomimo martwej jednorodności wcale przyjemny ton”. Właściwie tylko brzmienie głosu Andersa, nic więcej, powstrzymywało od traktowania go jak papugi z dobrze rozwiniętą zdolnością mechanicznego uczenia się na pamięć. Również w jego umiejętności skomplikowanych obliczeń tkwiła pewna bezduszość. Dusza jednak kryła się gdzieś głębiej, jak sądził Albert, mroczniejący ludzki rozum, o którego wychowanie i rozwój nikt nigdy się nie troszczył, a teraz zrobiło się już za późno.

Anders Nørre przyciągnął rękę do siebie. Nie było zresztą żadnego powodu, by Albert miał go podtrzymywać. Chłopcy nie wyrządzili mu żadnej krzywdy. Jeśli był wzburzony, jego zastygłe rysy twarzy tego nie zdradzały.

Minęli rynek, przeszli przez Markgade i ruszyli dalej przez Reberbanen blisko pól, aż doszli do chałupy Andersa. Na ostatnim odcinku Nørre zabawiał swego towarzysza recytacją niedzielnego kazania Abildgaarda i nagle Albert zdrętwiał. Nieoczekiwanie wydało mu się, że papuga u jego boku zwraca się bezpośrednio do niego z natrętnym przesłaniem.

Zatrzymał się i popatrzył Nørremu w twarz. Ten zdawał się nie zwracać na nic uwagi. Dalej mówił tym samym, niezmienionym głosem. To jego słowa były niezwykle. Czy to pastor Abildgaard je wypowiadał? Czy też słowa te płynęły zupełnie skądinąd? Lecz jeśli tak, to skąd? Z nagle przebudzonej duszy Nørrego?

– Osiągnąłeś szczyt sił w życiu – mówił mężczyzna idący obok Alberta, i właśnie dlatego, że na nikogo nie patrzył, a ton jego głosu pozostawał niezmieniony, wydawało się, że słowa płyną z zupełnie innego miejsca, że w tym momencie Nørre miał jakby godność i autorytet wieszczka. – Wyczułeś, że światu potrzebna jest twoja siła, i to cię radowało. Ale to się odmieniło. Twoja siła przeminęła i świat odsunął się od ciebie. Czujesz się samotny. Świat był niczym wielki uśmiech, który kusił i pociągał. Ale to się odmieniło. Nadeszły ciężkie, złe czasy i uśmiech świata zniknął za groźnymi chmurami. Miałeś życie pełne miłości. Ale to się odmieniło. Odebrano ci skarb twej miłości.

Albert przełknął ślinę. Te słowa w dziwny sposób do niego trafiały. Miał wrażenie, jakby ktoś przemawiał bezpośrednio do niego i tylko do niego. Pomyślał, że tam, gdzie są usta, musi być również ucho. W końcu będzie mógł ulżyć swemu ciężarowi samotności. Wreszcie podzieli się z kimś tym, co dźwigał zupełnie sam. Przecież każde wypowiedziane przez Andersa słowo było prawdą. Odebrano mu siłę, szczęście, ów świat, w którym znalazł coś, co mógł kochać, i w którym niczego nie brakowało. Z człowiekiem, od którego płynęły te słowa, mógł się podzielić swoim nieszczęściem. Ale kim był ten człowiek? Czy to pastor Abildgaard? W to nie mógł uwierzyć. Nørre? To jeszcze bardziej niemożliwe. Ktoś trzeci? Jeśli tak, to kto?

Na chwilę zatonął w myślach. W końcu znów usłyszał głos Nørrego. Niedzielne kazanie dobiegało końca. Teraz pojawiły się stare znajome tematy, takie jak każdej niedzieli, ścieżki Pana, krzyż Golgoty, miłość Chrystusa, a tej ostatniej niedzieli słowo „miłość” powtarzało się raz po raz: miłość Jezusa, pełna miłości pomoc Jezusa, zmartwychwstanie Jezusa w miłości. Te same trywialne nauki, które religia zawsze proponowała jako odpowiedź na trud istnienia. A więc to jednak Abildgaard.

Przez moment pastorowi udało się dotrzeć do głębi jego duszy. Ale to nie religii Albert potrzebował ani pociechy czy lukru, ale czegoś, czego nie potrafił nazwać słowami. Może tylko tego jednego: ucha, lecz nie ucha pastora.

Co Abildgaard wiedział o tym, o czym zapewne umiał mówić, lecz czego nie znał: o wykluczeniu spośród żywych, o wyrzuceniu na mroczny, nieznaną brzeg pełen kości, zamieszkały przez zmarłych, nie będąc przy tym jednym z nich?

Albert otrząsnął się jak mokry pies. Zrobiło mu się zimno. Trzęsło się coś w nim, w środku. Wszedł do szopy z jej samotnym mieszkańcem. Nørre natychmiast usiadł na łóżku i zaczął wciągać sznurek z konopi. Nic w jego twarzy nie mówiło, czy chętnie widzi tu gościa, czy raczej wolałby, żeby ten sobie poszedł. Ponieważ w środku nie było innych mebli, Albert usiadł na łóżku koło Andersa. Szopa nie miała ogrzewania i może właśnie zimowy chłód tłumiał najbardziej nieprzyjemne zapachy, bo wewnątrz chałupy nie dawało się nazwać schludnym.

– Czy ty nigdy nie miewasz snów, Anders?

Albert usiłował pochwycić spojrzenie Nørrego. Jak zwykle było nieruchome.

Albert pochylił się i zapatrzył w podłogę. Przez chwilę mówił jakby do siebie. Albo do tego niewidzialnego ucha, którego tak długo szukał.

– Bo widzisz – powiedział. – Ja miewam takie dziwne sny.

Poczuł ulgę. Po raz pierwszy mówił komuś o swoich snach i ciężar w jego sercu już w tym momencie zmalął.

– Ciągle śni mi się śmierć. Widzę, jak statki idą na dno i jak ludzie giną zastrzeleni albo toną. To ludzie stąd, z miasta. Tacy, których znam.

Nie doczekał się żadnej reakcji. Czego zresztą się spodziewał? To przecież nie były żadne zwierzenia, chyba że za zwierzenia przyjmie się słowa wypowiedane w powietrze albo do gołej ściany. Jak mógł mieć nadzieję na jakąkolwiek reakcję głupka? Na to pytanie akurat dobrze znał odpowiedź. Sam znalazł się na drodze do mrocznej krainy głupków, nieznanego terytorium, po którym oni poruszają się już pewnie, a gdzie on jest zupełnym nowicjuszem. W pewnym sensie prosił o pomoc.

Przytoczyło go milczenie drugiego człowieka i nie wiedział, co robić dalej. Podniósł głowę. Tam jednak coś się działo. Dłonie Andersa Nørrego leżały nieruchomo na jego kolanach, a on sam patrzył przed siebie z jasnością w oczach, być może świadczącą o tym, że jest zdolny do czegoś więcej niż tylko mechaniczne obliczanie.

– Ty też miewasz takie sny?

Starał się zadać to pytanie jak najpogodniejszym głosem. Zabrzmiało tak, jakby usiłował dotrzeć do ukrytej duszy Andersa Nørrego. Wiedział jednak, że tak naprawdę szuka po omacku własnej duszy.

Anders Nørre zeszywniał. Potem nagle poderwał się z wyciem. Zniknął jego przyjemny głos. Teraz wydobywał się z niego ochrypły, nieartykułowany ryk. Podbiegł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Odwrócił się, spojrzął na Alberta wybałuszonymi oczami i zniknął wśród zmierzchu.

Albert dalej siedział na łóżku. Nie było powodu poszukiwać zaginionego. Wiedział, że Nørre wybrał się na jedną ze swoich długich wypraw i pojawi się dopiero za parę dni. Nie mógł się podnieść. Reakcja Nørrego go sparaliżowała. A więc było z nim aż tak źle! Nawet idiota uznał go za zbyt strasznego. Nawet w owej mrocznej krainie, po której Anders Nørre poruszał się tak pewnie, on sam mógł wydawać się potworem.



„Czy on ma takie sny jak ja?”, zastanawiał się Albert. „Czy tak jak zwierzęta wyczuwa nadciągające trzęsienie ziemi dużo wcześniej niż ludzie i wyje z przerażenia już w nocy, zanim ziemia pęknie?”



Wybuch wojny przyniósł Albertowi ulgę.

„Tak też może być”, stwierdził w duchu. Kiedy człowiek dostatecznie mocno się czegoś boi, to nawet spełnienie najgorszych przeczuć może przynieść ulgę.

Nie wiedział, jak zareaguje, gdy znajomi marynarze zaczną ginąć. Przez moment jednak poczuł się mniej samotny. Teraz mógł rozmawiać o wojnie z innymi.

Na razie Dania ogłosiła neutralność. Wybuch wojny miał jednak konsekwencje dla naszego miasta. Wszystkie rejsy natychmiast odwołano i flota Marstal musiała zawinąć do zimowego portu już w sierpniu. Dziwny to był widok, tyle szkunerów wypełniających port lasem masztów, chociaż słońce wciąż jeszcze stało wysoko na niebie, a w wodzie między beczynnymi statkami baraszkowały dzieci. Poprzednie lata były okresem wzrostu, więc marynarze wciąż jeszcze mieli pieniądze. Dawało się to zauważyć w gospodach. Niepokój wywołany nagłym bezrobociem i niepewnymi widokami na przyszłość znajdował ujście w pijaństwie.

•

Jakoś w październiku pojawiła się propozycja rejsów ze zbożem do portów w północnych Niemczech. Nikt jednak nie miał odwagi wypłynąć. Ubezpieczenie morskie nie pokrywało strat wojennych, a Niemcy zapełnili Bałtyk pływającymi minami. Drobni ciułacze bali się ryzykować oszczędności.

„W naszym mieście jedno przynajmniej jest dobre”, pisał Albert. „Nie ma tu bezwzględnych, wielkich armatorów, którzy ryzykowaliby życie załogi dla marnego zarobku”.

Jego statki w chwili wybuchu wojny znajdowały się daleko od Europy i tam je zatrzymał na czas działań wojennych.

Min bali się wszyscy, bo wszyscy mieli udział w statkach. Zaminowane było również Morze Północne.

Albert od razu zaczął liczyć statki, które wyleciały w powietrze na minie. Marstalczykom na razie dzięki ich mądrej ostrożności jakoś się udawało, lecz już w trzy tygodnie po wypowiedzeniu przez Niemcy wojny Francji na Morzu Północnym zatoniły dwa duńskie parowce, „*Maryland*” i „*Chr. Boberg*”. Zaledwie dwa dni później mina rozerwała trawler parowy z Rejkiawiku. 3 września zniknął kolejny duński parowiec.

Albert do końca roku sporządzał listy. Czasami natykał się na nazwisko ze snów. Za każdym razem robiło to na nim straszne wrażenie. Przecież był przy tym i widział, jak się to stało. Lista z lewej strony, powstała na podstawie jego nocnych wizji, wciąż była dłuższa. Wojna dopiero się zaczynała.

Znaleźli się tacy, którzy fantazjowali o prędkim przełomie na wszystkich frontach i mającym nastąpić już niedługo końcu wojny, on jednak odrzucał te brednie, kręcąc głową. Uzasadnić swojej pewności przed nami nie mógł, miał swoje powody.

„Czeka nas jeszcze więcej śmierci”, mówił.

Ten nieoczekiwany pesymizm człowieka, który poza tym słynął ze swojej wiary w przyszłość, uważaliśmy za kolejną oznakę starczego uwiązdu. Albert Madsen stracił nadzieję.

Potem swoje opinie zachowywał już tylko dla siebie.

•

Zorganizowano zbiórkę dla cierpiącej ludności belgijskiej. Wojna już parę miesięcy po wybuchu oddaliła się na tyle, że znajdowano w sobie siłę, by myśleć o cudzej biedzie.

Albert dał się namówić na przystąpienie do komitetu odpowiedzialnego za zorganizowanie wystawy przedmiotów związanych z historią miasta i żeglugi. Dochód z biletów w całości przeznaczono dla Belgów.

Na wystawę przyszło wielu zwiedzających, udało się więc zebrać całkiem pokaźną sumę. Zaprezentowano dawne stroje z *Ætø*, delikatne hafty i koronki, mosiężne nożyce do świec i sporo pięknie rzeźbionych szaf i komódek. Oglądanie wystawionych eksponatów nie wzbudziło w nas jednak żadnej tęsknoty za przeszłością. Wszystko stanowiło jedynie niezbity dowód na to, że terażniejszość jest lepsza, a świat idzie do przodu, co szczególnie wyraźnie uwidoczniło się w dziale dokumentującym rozwój żeglarstwa.

– Popatrz – mówiliśmy do siebie, wskazując na model starego kutra typu marstalskiego. – Załedwie dwadzieścia cztery tony rejestrowe. A tu obok stoi trzymasztowy szkuner zbudowany w stoczni Sofusa Boyego. Ładowność pięćset ton. A i tak ma już dwadzieścia pięć lat.

Sam Albert interesował się głównie eksponatami przywiezionymi przez marstalskich marynarzy z różnych części świata. Muszle, wypchany koliber i kolekcje wielkich zębów ryby piły przypomniały mu własną młodość. Ale w zadumę popadł dopiero przed zgromadzonym przez telegrafistę Olferta Blacka zbiorem chińskich dywanów i haftów, uzupełnionym o kompletny, bardzo kosztowny strój mandaryna.

– Tak, tak – powiedział do pastora Abildgaarda. – Marynarz z doświadczenia wie, że nie istnieje nic takiego jak dobry obyczaj. A raczej wie, że dobrych obyczajów jest wiele. Nie tylko te, które zna z rodzinnego domu. Wieśniak w zagrodzie, należącej do jego rodziny z dziada pradziada, mówi: „My robimy to tak”. Marynarz odpowiada: „Oni robią to inaczej”, bo widział więcej. Dla wieśniaka probierzem wszystkiego jest on sam. Żeglarz prędko pojmuje, że tak być nie może. Trwa wojna światowa, przed niespełna dwoma tygodniami Rosja, Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Turcji, ponieważ sprzymierzyła się z Niemcami. Wiele setek milionów ludzi walczy ze sobą, ale czy świat stanie się przez to większy? A może mniejszy? Statki stoją. Marynarz nie pływa już za morze i nie przywozi do domu opowieści o tym, co nowe. Możemy sobie siedzieć na naszej małej wysepce i durnieć jak chłopci.

– Nie powinien pan tak mówić. To niesprawiedliwe wobec chłopów.

Pastor nie pochodził z wyspy. Wykazywał charakterystyczne dla człowieka z zewnątrz zainteresowanie tym, co miejscowe, zapewne uważając to wszystko za zabawną ciekawostkę, i właśnie on odpowiadał za tę część wystawy. Albert wiedział, że duchowny zajmuje się pisaniem historii miasta, bo Abildgaard od czasu do czasu się go radził. Nawiązały się między nimi przyjazne, jeśli nie wręcz zażyłe stosunki i Albert często myślał, że pastor zamiast portu takiego jak Marstal powinien dostać wiejską parafię. Wieśniakom wszak, z uwagi na ich przywiązanie do ziemi, ideologia chrześcijaństwa była bliższa niż marynarzom. Nauka o konieczności zginania karku i poddania się swemu losowi była jakby dla nich stworzona. Marynarze zaś, chociaż również musieli ulegać humorom pogody i morza, umieli się jednak zdobyć na bunt i rzucanie losowi wyzwania.

Wrogości między nami a pastorem nie było. Wewnętrzny krąg parafii stanowiły stare kobiety, które ufne w Bogu przesypiały kazania, lecz również w zewnętrznym trudno było znaleźć ślady buntu. Czuliśmy, że obecność duchownego jest konieczna, a ponieważ Abildgaard nigdy nie pomstował na nasz styl życia, nasze stosunki cechowało wzajemne zrozumienie.

– Nie powinien pan mimo wszystko nazywać wieśniaków głupkami – upierał się pastor. – Przecież chłopci również popierają idee oświecenia, których jak wiem, pan jest zwolennikiem. Proszę tylko spojrzeć na szkoły ludowe. Natomiast marynarze, czy jest ktoś bardziej przesądny niż marynarz? A ta nowa radykalna gazeta w mieście? Jak to możliwe, że niezbyt dobrze się sprzedaje, skoro marynarski stan jest według pana taki oświecony, ba, wręcz internacjonalistyczny? A przy wyborach? Czyżby pan nie zauważył, że wszyscy wyborcy z tego miasta jak jeden mąż głosują na prawicę? Jak pan to wytłumaczy?

W głosie pastora Abildgaarda pojawił się drwiący ton.

– To przez ideę posiadania własności – odparł Albert.

– Chłopiec okrętowy czuje się jak kapitan wyłącznie dlatego, że ma udział w jednej setnej części statku. I wierzy, że kapitan będzie dbał o jego interesy.

– A co w tym złego? – Pastor nie ustępował. – Przecież pańskie hasło, które na dodatek kazał pan wyryć na czternastu tonach granitu i odsłonić przy wtórze patriotycznych pieśni, brzmi: „W jedności siła”.

– Owszem, to hasło ma wręcz socjalistyczny wydźwięk.

– Zirytowany Albert postanowił sprowokować pastora. – Dokąd zaszłoby to miasto, gdyby jego mieszkańcy nie umieli się zjednoczyć? Mamy drugą co do wielkości flotę w kraju, chociaż pod względem liczby ludności zajmujemy najwyżej setne miejsce. Mamy towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń morskich, finansowane przez marynarzy z miasta. No i mamy falochron.

Nie zbudował go nam nikt z zewnątrz, wznieśliśmy go sami. To naprawdę bliskie socjalizmowi.

– Muszę o tym powiedzieć w moim następnym kazaniu. Wyjaśnię arcykonserwatywnym mieszkańcom naszego miasta, że w rzeczywistości są socjalistami. Zazwyczaj śmiech w kościele uważam za rzecz nie na miejscu, ale w najbliższą niedzielę zrobię wyjątek.

Albert czuł, że zrobił na pastora złe wrażenie. Mimo to nie chciał się poddawać, jakby jego dawny duch walki na moment znów się przebudził.

– Weźmy na przykład marynarza – powiedział. – Zaciąga się na nowy statek. Otaczają go kompletnie obcy ludzie. Pochodzą nie tylko z innych miast i regionów niż on, lecz często są również zupełnie innej narodowości. On jednak musi nauczyć się pracować razem z nimi. Szlifuje język, ale uczy się nie tylko nowych słów i obcej gramatyki, lecz poznaje także zupełnie nowe sposoby myślenia. Staje się innym człowiekiem niż ten, któremu życie mija wciąż na tym samym splechtku ziemi. Właśnie takich ludzi potrzebuje świat, nie nacjonalistów i agresorów. Obawiam się, że ta wojna zniszczy ideę marynarskiego życia.

Pastor znów się roześmiał, szykując nową dowcipną odpowiedź.

– No tak, a potem ten internacjonalista wraca do rodzinnego Marstal, zaczyna mówić bardziej po marstalsku niż dotychczas i twierdzi, że wieśniak tylko dlatego, że mieszka o kilka miedz dalej, mówi obcym językiem, którego nikt nie rozumie, musi więc być głupi. Tak, tak, prawdziwy się z pana zrobił internacjonalista, kapitanie Madsen. Osobiście wolę nacjonalistów. Ich poczucie wspólnoty jest mimo wszystko bardziej pojemne. Obejmuje i wysoko, i nisko postawionych, i wieśniaków, i marynarzy, byle tylko łączył ich język i historia. Nie zauważyłem, aby to poczucie więzi zostało zniszczone podczas nieszczęsnych lat wojny. Obserwuję natomiast, że się umacnia.

Albert nie odzywał się tak długo, że pastor Abildgaard z lekkim uczuciem triumfu, które jednak starał się z całych sił ukryć, sądził już, że rozmowa dobiegła końca, i chciał dalej zwiedzać wystawę.

Tymczasem Albert, który stał z rękami założonymi na plecy i w skupieniu przyglądał się czubkom własnych butów, chrząknął.

– Czy przed wojną – spytał, podnosząc głowę i przytrzymując Abildgarda spojrzeniem – często pan chodził na Pirs Parowców, by oglądać wyjście promu w morze?

– Owszem, to z przeproszeniem jedyna rozrywka, jaką można znaleźć w tym mieście. Oprócz, rzecz jasna, przyjscia promu, które atrakcyjnością przewyższa wyjście. Oczywiście, chodziłem.

– Zwrócił pan wtedy uwagę na coś szczególnego?

Pastor pokręcił głową.

– Nie, nic takiego sobie nie przypominam.

– Nie zauważył pan wielkiej liczby wieśniaków, obładowanych bagażem?

– Wiem już, do czego pan zmierza.

Abildgaard uśmiechnął się ugodowo, jak gdyby przeczuwał, że zostanie pozbawiony swego małego wcześniejszego triumfu, i teraz przygotowywał się na przyjęcie ciosu z podniesioną głową.

– O tak, z pewnością! Ale właśnie dlatego mogę to mimo wszystko powiedzieć na głos. To byli wieśniacy emigrujący do Ameryki. Duchowy i kulturowy kręgosłup kraju, wywodzący się z zagród od wieków należących do rodziny, z ziemi, którą ich przodkowie uprawiali przez setki lat. I takie zdradzieckie pożegnanie! Natomiast marynarze z Marstal, te pozbawione korzeni niespokojne duchy, piraci bez ojczyzny...

– Tego nigdy nie powiedziałem – przerwał mu Abildgaard.

– ...niebieskie ptaki i opryski, ci portowi łajdacy i włóczędzy, hulacy i cudzołożnicy, którzy mają dziewczynę w każdym porcie, mieszają z duńskim słowa ze wszystkich kontynentów, tak że nawet rodzona matka nie jest w stanie ich zrozumieć, kiedy wracają do domu z ramionami i torsem tak poznaczonym tatuażami jak karta do gry kierami, karami, pikami czy treflami...

– Muszę zaprotestować! – oświadczył pastor. – Nigdy się w taki sposób nie wypowiadałem o marynarskim stanie. Darzę wielkim szacunkiem ludzi, którzy utrzymują miasto.

– I ma pan po temu powody. Tym bardziej, że nigdy nie zobaczy pan marynarzy tłoczących się w kolejce na Pirsie Parowców z kuframi na plecach, emigrujących do Ameryki. Owszem, znikamy na całe lata. Ale my wracamy do domu. My zostajemy.



Z nadejściem wiosny port opustoszał. Zreformowano ubezpieczenia, by armatorzy nie byli stratni w razie zatonięcia statku. Na rynku frachtów notowano wyłącznie wzrost. Żeglowaliśmy jak nigdy wcześniej, nie tylko do Norwegii, zachodniej Szwecji i na Islandię, lecz także na Nową Fundlandię, do Indii Zachodnich i do Wenezueli, nawet przez wody objęte wojną, do Anglii i do francuskich portów na kanale. Wszystko było jak zawsze, tylko lepiej. Narzekaliśmy na Anglików, którzy wprowadzili wiele utrudniających życie restrykcji dla żeglugi i żądali paskarskich cen za pilotów i holowanie. Pod tym względem Niemcy byli o wiele bardziej ludzcy. W niemieckich portach na Bałtyku pomoc przy wejściu do portu nic nie kosztowała.

Marstał wciąż nie straciło ani jednego statku.

Potem zaczęła się wojna okrętów podwodnych.



Nadszedł meldunek o pierwszej stracie. To szkuner „*Salvador*” stanął w płomieniach 2 czerwca w ciepły wiosenny dzień. Albert zanotował to w prawej kolumnie księgi rachunkowej. Niedługo miała się zapęłnić.

Nikt nie zginął. Załoga wróciła do domu i zachowywała się tak, jakby dokonała czegoś wielkiego. „Ho, ho”, mówili w miejskich gospodach i na ulicach, gdzie gromadzili się wokół nich ciekawscy. „Nie ma o czym mówić”. Rzeczywiście stracili statek, ale okręt podwodny podholował ich szalupę całkiem spory kawałek. Sternik Hans Peter Kroman dostał w podarunku fajkę i tytoń marki Hamburg, zresztą wyśmienity, a szyper Jens Olesen Sand dwie butelki koniaku na podróż. Niemiecka załoga okrętu? Dobrzy ludzie, może trochę bladzi od tego tkwienia w głębinach, ale poza tym naprawdę porządni marynarze.

– Wstyd! – oświadczył Sand niemieckiemu kapitanowi, gdy z pokładu okrętu podwodnego patrzyli, jak „*Salvador*” płonie.

– Taka jest wojna – odparł kapitan i przepaszająco wzruszył ramionami.

Nie, nie był Anglikiem, ale i tak prawdziwym dżentelmenem. Niemcy tuż przed odcięciem holu uprzejmie spytali, czy załoga „*Salvadora*” na pewno ma dość prowiantu w szalupie. Rozstali się wśród wzajemnych zapewnień, że nikt do nikogo nie żywi osobistej urazy. Kuk stracił kaszkiet, dostał w zamian zydwestkę. Następnego dnia zdjął ich angielski trawler, również mili ludzie.

Kilka miesięcy później nadeszła od niemieckiego rządu wiadomość, że zatopienie „*Salvadora*” było bezprawne. Sand otrzymał przeprosiny od kajzera Wilhelma *derselbe*, a także kwotę dwudziestu siedmiu tysięcy koron, odpowiadającą kwocie ubezpieczenia.

•

W Parę miesięcy później spłonął kolejny szkuner, „*Kokos*”. Albert mógł w swojej prawej kolumnie dopisać jeszcze jedną nazwę.

Również tym razem załoga wróciła do domu, twierdząc, że wojna to kaszka z mlekiem. Okręt podwodny zawiózł załogę do znajdującego się w pobliżu szkunera z Marstal, „*Karin Bak*”, któremu pozwolono spokojnie odejść pod warunkiem, że kapitan Albertsen zabierze rozbitków na pokład. Niemcy odpłynęli, ale zaraz wrócili z należącymi do załogi rzeczami, o których w pośpiechu zapomniano.

– No i co na to powiesz? Kiedy niemieckie okręty podwodne wyruszają na wojnę, można liczyć na dobrą obsługę!

– Dlaczego nie poprosiliście, żeby wam za jednym zamachem wyprali gacie? – spytał Ole Mathiesen i znów gruchnął śmiechem.

Telegrafy wystukiwały wiadomości o gigantycznych stratach na wszystkich frontach. Ale my, w Marstal, uznaliśmy, że wojna to zabawa.

•

Albert prowadził swoje rachunki. W ciągu tych lat stały się jego obsesją. Miał wrażenie, że kryje się w nich przesłanie, którego znaczenie na razie nikomu się nie ujawniło. Liczby miały siłę dowodu. Sporządził zestawienie cen najważniejszych artykułów w Marstal: żytniego chleba, masła, margaryny, jajek, wołowiny, słoniny. Śledził, jak kształtują się gąże marynarzy, dodatki wojenne, dodatki za rejsy europejskie i zamorskie, ubezpieczenie na wypadek śmierci czy inwalidztwa. Obserwował rynek frachtowy i ceny statków, kursy i notowania walut.

Podobne obserwacje prowadzi każdy makler morski, który zna się na swojej robocie. Ale czy sporządza również długie listy statków zniszczonych przez minę, statków zatopionych przez torpedy i ogień, czy zapisuje, ilu poległo mieszkańców północnego Szlezwika i jakie straty poniosła Anglia do 9 stycznia 1916 roku?

24122 zabitych oficerów i 525 345 zabitych podoficerów i szeregowych. Notuje liczby, które trudno pojąć i które przez to nie robią wrażenia. Po co więc je zapisuje? Dlaczego raz po raz podaje je w rozmowach z nami?

Dlaczego makler morski i armator z małej portowej miejsciny, położonej w neutralnym kraju, nieuczestniczącym w wojnie światowej, a więc w pewnym sensie w życiu świata, zapisuje zatopione jednostki w prawej i lewej kolumnie, przy czym lewa przeznaczona jest dla statków, których zatonięcie widział we śnie, prawa natomiast dla tych samych, które jakiś czas później naprawdę zatonięły na morzu? Czego on chce?



W pierwszym roku wojny miasto straciło sześć statków. Rok później tylko jeden. Na razie nikt nie zginął. Poza polem widzenia umarły miliony. W polu widzenia nie było poległych, znajdowało się za to coś, co łatwo pojąć: rynek frachtów szedł w górę, kapitał włożony w budowę statków zwracał się w ciągu roku, zarobki marynarzy się potroiły. Ceny statków zaczęły rosnąć już w roku 1915, nawet starsze drewniane łajby, zniszczone w ciągu lat na morzu, można było sprzedać za cenę niemal dwukrotnie wyższą niż do tej pory. Pod koniec roku ceny wzrosły trzykrotnie. Taka tendencja utrzymywała się przez cały następny rok. „*Agenta Petersena*”, najsłynniejszy ze statków zarejestrowanych w mieście, który w roku 1887 odbył najszybszy w dziejach rejs między Ameryką Południową a Afryką, wyceniono na dwadzieścia pięć tysięcy koron, a sprzedano za dziewięćdziesiąt tysięcy.

Marstal zaczęło tracić swoją flotę, lecz nie za sprawą okrętów podwodnych.

•

Albert zapełniał swoją prawą i lewą kolumnę. Zrozumiał jednak, że istnieje również trzecia kolumna, przed którą sny nigdy go nie ostrzegły, a ta właśnie wydłużała się najszybciej. Sporządził w swojej księdze listę sprzedanych statków i zobaczył, że przerosła tamte dwie. Ten spis nie miał w sobie dramatyzmu. Nie wiązał się z żadnymi snami ani śmiercią, a miastu przyniósł dziwny gorączkowy dobrobyt. Nagle wszędzie pojawiły się pieniądze. Malowano i naprawiano domy. Skromne dotychczas kobiety chodziły w odświętnych strojach przez siedem dni w tygodniu. Miejscy kupcy oferowali nowe, drogie towary. Niezwykle oszczędni niegdyś marstalczyki żyli tak, jakby miało nie być jutra.

Przyczyną tej gorączki nie był wojenny lęk przed śmiercią, tylko oszołomienie, jakie wywołuje pieniądź.

◆

•

Wreszcie wojna zawitała i do Marstał, objawiając oblicze inne niż zabawa. Wreszcie. Tak, właśnie tak myślał i pisał Albert. Nadeszła chwila, w której w końcu padnie mur oddzielający go od innych. O tym, co on już wiedział, teraz mieli dowiedzieć się wszyscy. Ludzie ginęli już nie tylko w jego samotnych snach. Również w rzeczywistości padali od kul, tonęli, zamarzali lub umierali z wycieńczenia czy pragnienia. Ci, którzy przeżyli, wracali do domu i opowiadali o tym, co Albert w swoich snach już widział. Inni znikali bez śladu.

Od królewskiego konsula w Berlinie nadeszła wiadomość, że zaginęła „*Astræa*”. Nie przekazano żadnych informacji na temat miejsca ani okoliczności zatonięcia. Zginęło siedmiu członków załogi, wśród nich dwaj marstalczycy, szyper Abraham Christian Svane i sternik Valdemar Holm, a także jeden marynarz z Wysp Owczych i jeden z Wysp Zielonego Przylądka.

Albert widział ich śmierć. Widział, jak próbują ująć z życiem wśród unoszących się na wodzie odłamków drewna z ostrzelanej szalupy. Był bezwietrzny pochmurny dzień. Morze przypominało szary jedwab. Widział, jak woda się zamyka, gdy płuca poddawały się pod powierzchnią, gdy pękała ostatnia banieczka powietrza.

To Niemcy ogłosiły nieograniczoną wojnę podwodną. W poprzednich dwóch latach Marstal straciło sześć statków. Teraz w ciągu roku zatonęło szesnaście. W samym tylko kwietniu zatopiono sześć jednostek. Miesiąc później cztery. Ci, którzy ocalili, wrócili do domów naznaczeni przeżyciami, nieskłonni do tego, by stać się centrum zainteresowania podczas przypadkowej pijatyki. Wśród nich była załoga „*Pokoju*”, na której oczach zastrzelono kapitana i bosmana. Później przez wiele dni marynarze dryfowali w tonącej łódce, a w tym czasie zmarło jeszcze dwóch członków załogi. Ci ludzie siedzieli w domach z rodzinami, a na widok zbliżającego się znajomka nagle skręcali w zaulek.

„*Hydra*” zaginęła bez śladu z sześcioma członkami załogi na pokładzie i chociaż nie wszyscy pochodzili z Marstal, to jednak miasto boleśnie odczuło tę stratę.

Szeregi zaczynały się przeredzać.



W sklepie kolonialnym Jørgensena na Tværgade pojawił się pastor Abildgaard. Właściciel sklepu, którego pełne nazwisko brzmiało Kresten Minor Jørgensen, był niegdyś sternikiem, a po zejściu na ląd zajął się prowadzeniem interesu – sklepu spożywczego i prowiantury dla statków. Sam stał za wielkim drewnianym kontuarem, nieduży przygarbiony człowieczek z łysą, jakby wypolerowaną do połysku głową, w której w letnie dni, gdy przechadzał się w swojej krótkiej kurtce khaki, słońce odbijało się tak, że mijający go ludzie musieli przymykać oczy.

Niewielki dzwonek zawieszony nad drzwiami wydał donośny, irytujący odgłos, gdy Abildgaard wszedł do sklepu. Na długiej drewnianej lawie, stojącej na prawo od drzwi, siedziało dwóch starych szyprów zajętych pogawędką.

O czym rozmawiali, tego Abildgaard nigdy się nie dowiedział.

W momencie, gdy drzwi się za nim zamknęły, zapadła martwa cisza.

Martwa cisza to właściwe określenie. Można było odnieść wrażenie, że wraz z pastorem do sklepu wkroczyła śmierć.

Za drewnianym kontuarem Jørgen sen zrobił krok w tył. Dolna warga mu opadła. Szeroko otworzył oczy w sposób, który kazał Abildgaardowi odwrócić się w przekonaniu, że kupiec przez otwarte drzwi dostrzegł na ulicy coś szokującego. Szyprowie na zmianę popatrywali to na pastora, to na kupca, jak gdyby oczekiwali, że za chwilę rozegra się bardzo ważna scena.

– Dzień dobry – powiedział Abildgaard niepewnym głosem, nieco urażony dziwnie napiętą atmosferą.

Jørgen sen nie odpowiedział.

Abildgaard podszedł do kontuaru, by złożyć zamówienie, Jørgen sen cofnął się jeszcze o krok i wyciągnął ręce przed siebie. Usta wciąż miał otwarte. Wyglądał tak, jakby przestał oddychać. Patrzyli na siebie, kupiec najwyraźniej tracący przytomność, a przeczulony Abildgaard jakby coraz bardziej sparaliżowany.

Ciszę przerwało dopiero splunięcie jednego z szyprów do wypolerowanej mosiężnej spluwaczki w kącie. Na ten odgłos Jørgen sen się ocknął.

– No powiedzże to wreszcie, człowieku! Powiedz! – krzyknął.

– Funt kawy. Tylko żeby była świeżo zmielona – odparł Abildgaard mechanicznie, powtarzając polecenie żony, która wysłała go do miasta.

Jørgensen zasłonił twarz dłońmi. Z ust wyrwało mu się dziwne parsknięcie, coś pomiędzy śmiechem a szlochem.

– Kawa, kawa... On po prostu życzy sobie kawy! – prychnął zza krat palców.

W końcu zaczął się śmiać. Podszedł do młynka i zaczął sypać ziarna z torby. Ręce mu się trzęsły od śmiechu, kawa sypała się na ladę i podłogę.

W końcu spoważniał.

– Dzisiaj kawa gratis, pastarze.

Abildgarda ogarniało coraz większe oburzenie.

– Czy ktoś łaskawie zechce mi wyjaśnić, co się tu dzieje? – spytał grzmiącym głosem, którym zawsze wygłaszał z ambony kazania.

– Po prostu Jørgensen czuje się szczęśliwy – odparł szyper z ławki za jego plecami.

Pastor popatrzył na kupca, starając się przekazać spojrzeniem cały swój autorytet.

– Jeśli to jakiś żart, to chcę wam powiedzieć, że nie widzę w nim absolutnie nic śmiesznego.

Jørgensen spuścił wzrok, ale jednocześnie uśmiechnął się radośnie. Zażenowany, potarł łysą czaszkę, jakby chciał ją jeszcze lepiej wypolerować na cześć Abildgaarda.

– Pastor musi naprawdę mi wybaczyć. Sądziłem, że pastor przyszedł w związku z Jørgenem.

– Z Jørgenem?

– Z Jørgenem, moim synem. On jest przecież marynarzem na „*Mewie*”. Bałem się, że pastor przyszedł mi powiedzieć, że statek został storpedowany, a Jørgen ... Jørgen ... – Przelykał ślinę, jak gdyby lęk, który odczuwał przed chwilą, jeszcze z niego nie uszedł. – No więc, że Jørgen ... – Kupiec wreszcie się opanował – ...poszedł na dno.

•

Abildgaard zaczął się bać wychodzić na ulicę. Uświadomił sobie, że za każdym razem, gdy opuszcza plebanię na Kirkestræde, ludzie sądzą, że spieszy z wiadomością o śmierci.

Jego beztraskie pogodne usposobienie nie mogło tego znieść. Stał się posłańcem śmierci, czarnym krukiem w kryzysie, uwięzionym w jaskini smutku. Oddychał głęboko, bo miał wrażenie, że się udusi, gdy przemawiał do osieroconych o łasce i miłości Jezusa, pełnej miłości pomocy Jezusa, zmartwychwstaniu Jezusa w miłości. Wypowiadał te słowa, lecz czynił to z wahaniem i bezradnością, jak gdyby przestały już być odpowiedzią na pytania pogrążonych w żałobie.

Wcześniej umiał pomagać rodzinie, która straciła ojca lub brata, szukać pociechy w wierze. Ale liczba zmarłych czyniła jego powinność nieznośną. Było ich tylu, co szpaków w stadzie szykującym się do wielkiego jesiennego odlotu. Zawisali nad miastem niczym burzowa chmura przesłaniająca słońce. Wiadomości o śmierci ojca, brata czy syna spadały jedna po drugiej na dachy miasta niczym czarny jak sadza deszcz straconych nadziei.

Pastor Abildgaard zaczął stronić od ludzi, najchętniej zostawał w domu, z wyjątkiem niedziel, kiedy musiał przejść sto metrów do kościoła. No i chodził na pogrzeby. Tych na szczęście nie było więcej niż zwykle. Zmarli wszak do domu nie wracali.

•

Anna Egidia Rasmussen, wdowa po malarzu maryniście, Carlu Rasmussenie, który namalował ołtarz w kościele, zastąpiła pastora w przekazywaniu złych wieści nieszczęsnym rodzinom. Już od wielu lat odwiedzała domy dotknięte żałobą i miała do tego prawo. Straciła męża, który wypadł za burtę w niewyjaśnionych okolicznościach podczas rejsu na Grenlandię. Później musiała się rozstać z siedmiorgiem ze swoich ośmiorga dzieci, wszystkie zmarły już w dorosłym wieku. Żyła tylko jedna jej córka, Augusta Kathinka, lecz wyemigrowała do Ameryki.

Anna Egidia Rasmussen mieszkała na Teglgade w dużym domu z wysokimi oknami, zaprojektowanym przez męża; na poddaszu mieściło się kiedyś jego atelier. Od wielu lat niosła pomoc mieszkańcom kwartału wokół Teglgade i pociechę rodzinom, które nagle musiały się żegnać z ojcem, bratem albo synem zabranym przez morze. Posiadała dziwną zdolność. Umiała płakać dla kogoś, tak jak niektórzy umieją dla kogoś śpiewać. To była sztuka. Płacz nie oznaczał – jak sądziła większość – braku kontroli nad uczuciami, które przelewały się we łzach. Miał być czymś przeciwnym: kanałem dla uczuć prowadzących żałobników we właściwą stronę. Życiowym zadaniem wdowy było uspokajanie i uzdrawianie. Musiała się tego nauczyć, dzieląc życie z człowiekiem tak nerwowym jak jej mąż. Malarz Carl Rasmussen, mając wrażliwą naturę artysty, bywał zamknięty w sobie i zamyślony. Potrafił godzinami stać na brzegu i wpatrywać się w morze, nie zważając na pogodę i na własne zdrowie. W końcu żona musiała sprowadzać go do domu, zdrętwiałego z zimna i kaszlącego, chociaż między napadami kaszlu prosił, by zostawiła go w spokoju. Później leżał w łóżku, gorączkując i szczękając zębami. Wtedy Annie przydawał się spokój, ten spokój, przez który on wyrzucał jej brak zrozumienia dla jego natury i niechęć do dzielenia jego zachwyty i fantazji.

W wielu domach wdowa stała się gościem numer dwa. Najpierw przychodziła śmierć, potem ona. Służyła wsparciem nie tylko własnej rodzinie, licznym wnukom, lecz całemu kwartałowi wokół Teglgade. Gdy ktoś umarł, posyłano po nią. Przychodziła w swojej znoszonej czarnej jedwabnej sukni, siadała na środku izby, odprawiała dorosłych i brała dzieci za rękę. Jeśli zachorowała któraś z matek i musiała jechać do szpitala, wdowa zabierała dzieci do siebie. Stale proszono ją, by podawała jakieś dziecko do chrztu, jak gdyby jej rolą było trzymanie warty u wrót życia, zarówno na jego początku, jak i na końcu.

•

„Teraz on też jest rozbitkiem wyrzuconym na brzeg pełen kości”, pomyślał Albert, gdy się dowiedział o załamaniu pastora Abildgaarda. „Potrafił o nim rozprawić tak dobrze, że nawet mnie to wzruszało. Ale nie znał tego miejsca. Teraz je poznał. I milczy”.

Albert postanowił zgłosić się na plebanię, chcąc pełnić tę samą posługę co wdowa. Czuł się do tego zobowiązany z powodu swoich snów.

Zaprowadzono go do gabinetu pastora. Abildgaard siedział przy oknie, wpatrzony w ogród. Rósł tam czerwony buk, ciemny i ponury, jak gdyby nieznający wiosny i lata, tylko tkwiący w ciągłej jesieni, z obwódkami liści zawsze pociemniałymi od mrozu. Ale rabaty różane, duma pastorowej, pięknie rozkwitły.

Abildgaard podniósł się i podał Albertowi rękę. Potem wrócił na swoje miejsce przy oknie. Albert wyłożył swoją sprawę. Pastor przez długi czas się nie odzywał. W końcu zakrył twarz dłońmi.

– To nerwy – wybuchnął gwałtownie.

Wąskie ramiona mu drżały. Zdjął okulary w stalowych oprawkach i odłożył je na biurko, potem wcisnął dłonie w oczodoły jak płaczące dziecko, i po jego gładko wygolonych policzkach popłynęły łzy.

– Musi mi pan naprawdę wybaczyć. Nie chciałem...

Albert wstał i podszedł do pastora. Położył mu rękę na ramieniu.

– Nie ma za co przepraszać.

Pastor ujął jego dłoń w obie ręce i przyłożył ją sobie do czoła, jak gdyby próbował ukoić ból głowy.

Przez długą chwilę żaden nic nie mówił. Abildgaard w końcu przestał płakać. Z powrotem włożył okulary na nos. Albert szykował się już do odejścia, gdy nagle na biurku pastora dostrzegł jakiś czarny przedmiot przypominający szpon. Nie była to jednak ptasia łapa. Wyglądała raczej na odrąbaną ludzką dłoń z pięcioma palcami i pożółkłymi paznokciami.

– Co to jest?

– Właśnie, to takie straszne. Nie mam pojęcia, co z tym zrobić. – Głos Abildgaarda zabrzmiał tak, jak gdyby zaraz znów miał się rozpłakać.

Albert wziął ów dziwny przedmiot do ręki i podniósł do oczu.

– Nie, nie wolno tego dotykać! To takie ohydne.

Była to ludzka dłoń. Albert natychmiast pomyślał o spreparowanej głowie. W tym wypadku zastosowano inną technikę. Dłoń z całą pewnością została uwędzona i wysuszona nad ogniskiem.

– Skąd to się wzięło? – spytał.

– Zna pan Josefa Isagera? Nazywają go, zdaje się, Pilotem z Kongo – powiedział pastor.

Albert kiwnął głową. Josef Isager w istocie był przed laty pilotem na rzece Kongo. Pracował dla belgijskiego króla Leopolda i przywiózł do domu medal za wierną służbę. Niechętnie wspominał spędzone tam lata, lecz sąsiedzi mówili, że niekiedy budził ich w środku nocy głośny krzyk. To krzyczał Josef Isager. Pewnej nocy, kopiąc we śnie, rozwalił ramy łóżka. Rozległ się gwałtowny huk, gdy wielkie mahoniowe łoże się rozpadło, a były pilot wylądował na podłodze. Poderwał się i zaczął ciskać meblami, jak gdyby były wrogami, z którymi toczył walkę na śmierć i życie. Przesiąknięta potem pościel leżała skłębiona na podłodze. Josef Isager twierdził, że ma malarię.

Albert, który słyszał historie o nocnych niepokojach w domu Josefa, miał inną teorię. To nie była malaria. To były koszmary. Josefowi Isagerowi śniła się Afryka.

– Przyszedł do mnie z odrąbaną ręką. Z ludzką ręką! „Co pan by chciał, żebym z nią zrobił?“, spytałem, gdy już doszedłem do siebie. „Chciałbym, żeby odprawił pan chrześcijański pogrzeb”. „A kto to jest?“, pytam. „Nie wiem”, odpowiada. „Jakaś murzyńska baba. Do diabła, pastorze”, mówi do mnie i groźnie patrzy. Może nie powinienem się z tego panu zwierzać, kapitanie Madsen, ale ten człowiek wydał mi się przerażający.

Albert pokiwał głową. Miał podobną opinię o pilocie na rzece Kongo. Josef Isager był twardzielem. Ale nie on jeden. Życie wymierzało tym ludziom kopniaki, a oni się odgryzali. Josef był synem dawnego nauczyciela Isagera. Chodził razem z Albertem do szkoły i w wojnie między chłopcami a ich brutalnym dręczycielem był jak między młotem a kowadłem, nie mogąc wybrać strony. Bez względu na to, jakiego wyboru dokonywał, i tak pozostawał zdrajcą. Spuszczał lanie bratu, stale płaczącemu bez powodu Johanowi. Potem poszedł na morze i nikt nie wiedział, co go tam spotkało. Z całą pewnością kolejne akty brutalności i nowe ofiary, na których sam się wyżywał, lecz może również znalazł dla siebie jakieś rozwiązanie.

Tak przynajmniej sądził Albert. Morze było przecież wielką ucieczką. Chłopiec mógł w nim utopić udręki dzieciństwa i odkryć siebie na nowo.

Przez wiele lat nie widywaliśmy Josefa. Słyszeliśmy, że z Antwerpii wyruszył do Kongo. Pływał po wielkich rzekach. Wrócił do Danii, ale nie do Marstal. Potem znów wyjechał. Afryka weszła mu w krew. Nie wiedzieliśmy dlaczego. W końcu powrócił do kraju. Pracował jako ekspert od wypadków na morzu, najpierw w Kopenhadze, potem w Marstal. Jego żona, Maren Kirstine, którą poślubił w młodości, pochodziła z naszego miasta, w końcu więc osiedli na Kongegade.

Początkowo w ogóle nie mówił o latach spędzonych w Afryce. Kiedy go pytaliśmy, zdecydowanie potrząsał głową, jakby nie miał siły na wyjaśnienia, ponieważ i tak nie zrozumielibyśmy, o czym mówi. Pewnego dnia poprosił Alberta o pokazanie mu spreparowanej głowy. Przez dłuższy czas trzymał głowę Jamesa Cooka w rękach, obracał ją, uważnie przyglądając jej się z miną znawcy.

– My tak tego nie robiliśmy – powiedział w końcu.

– My? – zdziwił się Albert.

– Tak – odparł Josef obojętnie. – My je wędziliśmy.

Roześmiał się. Ale czy był to wyraz obrzydzenia, czy cynizmu, Albert nie potrafił stwierdzić.

– Z tego tu coś zrobiono. My się tylko staraliśmy, żeby wyschli. Wyglądali tak, jakby spali. Mieli zamknięte oczy i lekko rozchylone wargi, żeby było widać białą kreskę zębów.

Popatrzył na Alberta nieobecny wzrokiem, jak gdyby zatonął we wspomnieniach.

– O kim ty mówisz? – spytał Albert.

Josef wrócił do rzeczywistości.

– O Murzynach, a o kim by?

W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

– Musieliśmy wzbudzać respekt. Był tam pewien belgijski kapitan. Głów Murzynów używał do ozdoby kwietnika. Rzecz gustu.

Znów się roześmiał, a Albertowi wydało się, że tym razem wyczuł w jego śmiechu pewne zażenowanie. Miał wrażenie, że wywołała je nie sama rozmowa o obciętych głowach, tylko jego własna niewiedza. Josef dotąd uważał Alberta za sprzysiężonego, a teraz zrozumiał, że się pomylił.

Albert wpatrywał się w dawnego kolegę ze szkoły i nie wiedział, co powiedzieć.

– Tak, tak, przyglądasz mi się. – Głos Josefa nagle nabrał ostrości. – Ale to jedyne, co oni rozumieją. To było dla ich dobra. Inaczej musielibyśmy wszystkich powystrzelać. Pracować nie chcieli, umieli tylko leżeć wyciągnięci na macie w słońcu i wygrzewać się w jego promieniach jak krokodyle na piasku. Dumni i próżni, to jasne. Ale poza tym jak zwierzęta.

– Myślałem, że pracowałeś jako pilot.

– Owszem, byłem pilotem, a także kapitanem portu w Bomie, *commissaire maritime*, pływałem „Lualabą” aż do Matadi, w górę wąskiego, trudnego do żeglugi dopływu. Przede mną parowce oceaniczne docierały jedynie do Bomy. Później dopływały aż do Matadi. Byłem pierwszy.

W jego głosie brzmiała duma. Pochylił głowę i spojrzał Albertowi w oczy. Przez moment wydawało się, że patrzy na niego z góry, chociaż obaj siedzieli, a Albert był od niego wyższy. Josef miał głęboko osadzone oczy, wystający, prosty nos i wąsy, których krańce sięgały aż do mocno zarysowanej szczęki. Spojrzał wyzywająco.

– Byłem najlepszym pilotem na rzece Kongo. Byłem kapitanem portu w Bomie. Robiłem najprzeróżniejsze rzeczy. Ale nie to decydowało. Najważniejsze jest to... – Wbił sobie palec w policzek. – Kolor skóry. To jest decydujące. Byłem białym człowiekiem. I byłem panem życia i śmierci. W Afryce jest gorąco jak w piekle, ale to nic w porównaniu z ogniem, który czujesz w sobie. To podarunek Afryki dla ciebie. W końcu zaczynasz poznawać swoją siłę. Co czwarty biały nie wraca do domu. Zabija go gorączka albo czarni. Ale warto.

Pochylił się i wbił wzrok w Alberta. Teraz w jego spojrzeniu nie było już arogancji. Starał się jakby wzrokiem wyjednać u Alberta zrozumienie. W głosie pojawiło się błaganie.

– Usiłowałem to wytłumaczyć ludziom, których spotykam tutaj, ale oni tego nie rozumieją. Nikt, kto sam tego nie zasmakował, niczego nie pojmie. Wszystko, co kiedyś przeżyłeś, to nic. Wszystko, co przeżyjesz później, to też nic. Wyłącznie fatamorgana, ułudą. Z Kongo do domu przywozisz jedną jedyną rzecz i nie chodzi mi o te rupiecie, które leżą u mnie na półce. Mieliśmy tam swoją pieśń. Nie bój się, nie będę śpiewał. – Odchrząknął dla wzmocnienia głosu. – „Kongo” – zaczął recytować. Głos nagle zadrżał mu ze wzruszenia. – „Tam nawet najsilniejszy musi zamknąć usta i przygotować się na śmierć. Nawet najtwardszy i najdzikszy schodzi na psy. Bo w Kongo ludzie padają jak muchy”.

Jego głos stawał się coraz bardziej dobitny, niemal ekstatyczny.

– Ale ja nie umarłem. Ja żyłem. Tak, żyłem... – Płaską dłonią uderzył w stół. – Nie tak jak tu! Tutaj to przecież nie jest życie!

Albert wciąż się nie odzywał. Miał ochotę odwrócić oczy. Wciąż jednak mierzyli się wzrokiem i Albert wreszcie zrozumiał, co takiego odnalazł w spojrzeniu Josefa. Josef nauczył się patrzeć na innych ludzi tak, jak patrzy na nich tylko Bóg. Czy temu człowiekowi należy pozwolić oddychać, czy raczej zasłużył na śmierć? Właśnie to spojrzenie Josef Isager, syn dawnego nauczyciela Isagera, przywiózł ze sobą do domu z Kongo.

Teraz Josef był starym człowiekiem, wciąż tym samym, ale starym. A Afryka potrzebowała młodości i siły. Josef wrócił do Marstal. Do miejsca, z którego pochodził. Żył tutaj jak na wygnaniu. Pod jego groźnym spojrzeniem nie uginał się nikt, z wyjątkiem przerażonej Maren Kirstine, która była niemyym świadkiem nocnych napadów jego wściekłości.

•

•

– Czy on wyjaśnił, dlaczego nagle chce pochować tę rękę?

Abildgaard pokręcił głową.

– Pytałem, w jaki sposób wszedł w posiadanie obciętej dłoni. Powiedział, że to pamiątka. Coś jak kiel słońca, naszyjnik czy włócznia, których również sporo przywiózł do domu. „Zwykła rzecz”, wyjaśnił takim tonem, jak gdyby obcinanie rąk zabitym tubylcom było na porządku dziennym. Dowód na to, że belgijscy żołnierze nie marnowali kul. Właśnie przy takiej okazji wszedł w posiadanie ręki. Zabrakło mi słów, by odpowiedzieć. – Pastor popatrzył na Alberta bezradnie. – Nie chciałem wziąć tej ręki, ale on ją tu zostawił. „To pan jest pastorem”, powiedział. „Zmarli to pańska specjalność”. Nie potrafię wyrzucić tej ręki, ale nie mogę też włożyć jej do trumny i pogrzebać na cmentarzu. Nie wiadomo nawet, do kogo należała. Nie mam pojęcia, co z tym począć.

– Pastorz Abildgaard, kiedyś w kazaniu mówił pan o wrażeniu, że świat się odsuwa. Ze siła opuszcza człowieka właśnie w chwili, gdy jest najbardziej potrzebna.

Abildgaard podniósł głowę i uśmiechnął się zaskoczony.

– Słuchał pan tego, kapitanie Madsen? Ogromnie się cieszę, że pan pamięta moje kazania. Tak, to było trafne sformułowanie.

Albert chciał powiedzieć coś więcej, ale milczał.

Abildgaard popadł w swoje zniechęcenie.

– Co mam zrobić z tą ręką? – jęknął.

Znów zapatrzył się w okno, jakby w ogrodzie kryła się odpowiedź na jego pytanie.



Pieniądze wciąż płynęły strumieniem. Sytuacja na rynku frachtowym była korzystna jak nigdy wcześniej. Podobnie działo się z wynagrodzeniem marynarzy. Również ceny statków dalej wzrastały w niepojęty sposób. Zdarzało się, że na jednej ulicy co drugi dom był pogrążony w żałobie, ale w pozostałych rodzinach, na które jeszcze nie spadło nieszczęście, wciąż używano życia za wszystkie czasy. Odświętne wystrojone kobiety przechadzały się między wdowami w czerni. Wystawy sklepów wyglądały jak w Boże Narodzenie. Żaden kondukt żałobny nie zmierzał do kościoła poprzedzany dziewczętami rozrzucającymi kwiaty. Zmarli marynarze uprzejmie trzymali się z daleka i nie przeszkadzali, a ciężkie kiście kwiatów czarnego bzu zwieszały się tego lata nad ulicami.

•

Każdej wiosny, zanim flota opuściła port, całe Marstal pachniało smołą. To marynarze pędzlami smarowali zbudowane z gładów podmurówki, jak gdyby domom tak jak statkom należało wysmołować dno i przygotować je do rejsu. Od szczytowych ścian odcinały się pomalowane na czarno cyfry z kutego żelaza, informujące, w którym roku został zbudowany dom. 1793, 1800, 1825. Mogliśmy postukać młotkiem w nasmołowane podmurówki, a odpryski przypominały słoje drzewne. Ale tu rachunki nigdy się nie zgadzały. Warstwy smoły nie wyznaczały upływających lat, tylko czas nieobecności. Podmurówki malowano jedynie wtedy, gdy mężczyźni byli w domu.

Teraz odchodzili jeden po drugim, a kobiety musiały wziąć na siebie i tę męską robotę. Gdy nadeszła wiosna, widać było, jak smołują domy pędzlami, tak czarnymi jak ich niedawno uszyte wdowie stroje.

•

Młodzi uczniowie Szkoły Nawigacyjnej przejeżdżali na rowerach przez miasto, udając, że chcą rozjechać dzieci bawiące się na ulicy, które reagowały na to radosnym piskiem. Młodzieńcy w przerwie obiadowej spieszyli na swoje stancje na gorący posiłek. Albert na widok niektórych uczniów drętwiał. Ich również widział. Okręty podwodne już na nich czekały. Oni sami wierzyli, że ich przyszłość to pieniądze i przygoda. Mieli we krwi młodzieńczą gorączkę, niczego się nie bali. To Albert dźwigał za nich cały strach.



Snuł dziwne myśli o wojnie i jej przyczynach. W tym czasie często zachodził do kościoła, ale nigdy w niedzielę. Budowa wieży z iglicą miała wkrótce zostać ukończona. Rozpoczęto już kładzenie miedzianej blachy i w kościelnej nawie przez cały dzień rozlegało się stukanie młotków. Przychodził więc jedynie po zakończeniu dnia pracy. Szukał spokoju. Tu, za grubymi murami, w chłodnym białym pomieszczeniu, gdzie zmierzch zapadał szybko, trochę jakby doba w kościele posuwała się własnym, odmiennym rytmem, wydawało mu się, że ma czas na zadumę.

Siedział i myślał o śmierci. Niektórzy skarżyli się na niesprawiedliwość losu, mówiąc, że śmierć przychodzi za wcześnie, gdy zabierała dziecko, młodą matkę albo marynarza, który miał na utrzymaniu rodzinę. On nigdy nie mógł tego zrozumieć. Owszem, to w istocie tragiczne dla osieroconych lub dla tego, komu odebrano tak dużo życia. Ale to nie było niesprawiedliwe. Do śmierci nie przystają takie kategorie. Wydawało mu się, że ci, którzy pozostają, często zapominają o żalobie na rzecz bezowocnych oskarżeń przeciw życiu. Nikomu nie przyszłoby do głowy, by powiedzieć, że zima jest niesprawiedliwa dla drzew i kwiatów. Można odczuwać smutek, gdy słońce gaśnie, a statek z powodu zalodzenia łapie niebezpieczny przechył. Ale uraza, bunt czy gniew? Nie, to przecież bez sensu. Natura nie jest ani sprawiedliwa, ani niesprawiedliwa. Obie te cechy przynależą człowiekowi.

Dobrze wiedział, dlaczego tak się czuje. Albowiem jednocześnie myślał o przeszłości i przyszłości. Nie poświęcał całej uwagi pojedynczemu człowiekowi. Myślał o dziedzictwie, ciągłości rodu, o życiu trwającym w ojcach i synach, w matkach i córkach, które z kolei same stawały się matkami i miały własnych synów i córki. Życie przypominało wielką maszerującą naprzód armię. Obok niej biegła śmierć, wyciągając z szeregu tego i owego, ale armia pozostawała. Dalej podążała naprzód, a jej wielkość zdawała się wcale nie maleć, przeciwnie, armia wiecznie się rozrastała, i dlatego nikt nie zostawał sam w obliczu śmierci. Zawsze przychodził ktoś nowy. Właśnie to się liczyło. Taki był łańcuch życia: nierozzerwalny.

Ale ta wojna wszystko odmieniła. Albert potrafił wybrać się na przechadzkę wzdłuż portu i patrzeć na nieliczne statki stojące teraz beczynnie przy kejach lub cumujące przy palach pośrodku basenu portowego. Wciąż byli armatorzy, którzy nie chcieli ryzykować życia załóg. Większość jednak wypływała. Wody były zaminowane, trwała nieograniczona wojna podwodna. Mimo to szli w morze. Sześć statków mogło zatonać w jednym miesiącu, w następnym cztery. Nigdy morze nie żądało tak wielkich ofiar, ale ci, którzy zatrzymaliby statki w porcie podczas szalejącego sztormu, wysyłali je w o wiele groźniejsze wojenne burze.

Skąd wzięła się ta pogarda dla śmierci, ów całkowity brak woli uczenia się na błędach? Przecież dziesięć zatopionych statków i dwie załogi, które przepadły bez śladu w ciągu dwóch miesięcy, powinno stanowić wystarczającą nauczkę.

W półtorakilometrowym porcie, zapelnionym setkami statków, które schroniły się na zimę, koncentrowało się nasze miasto, kołysało się na wodzie, oczekując wiosny i wyruszenia na morze. Oglądanie tego widoku już nigdy nikomu nie będzie dane. Łańcuch został przerwany.

Gdzie się podziało to, co nazywał dziedzictwem i jednością, na której cześć cztery lata wcześniej wznosił obelisk? Wierzył wtedy, że stawia kamień ku pamięci. Teraz widział, że to nagrobek dla miasta i ducha, który je stworzył. Wyjaśnienie znajdowało się w trzeciej kolumnie ksiąg rachunkowych. Nie tylko wojna przyczyniła się do upadku miasta. Ważniejszy był zysk. To rosnące ceny wszystkiego doprowadziły do tego stanu: wysokie gaże, ceny frachtów, które niedawno wzrosły dziesięciokrotnie, niebotyczne ceny statków. Armatorzy odpowiedzialni na tyle, by zatrzymać statki w porcie, musieli patrzeć, jak marynarze starają się zaciągać na inne jednostki. Oni chcieli iść na morze, chcieli uczestniczyć w tej wojennej zabawie.

•

•

A potem zaczęliśmy sprzedawać statki. Po cóż je trzymać, skoro płacą za nie trzy- albo czterokrotnie więcej niż są warte? Pieniądze włożone w budowę zwracały się w ciągu roku, sprzedawano więc nie tylko stare, wysłużone jednostki, lecz również statki, które właśnie zjechały pochylni. Wszyscy w nabożnych słowach mówiliśmy o okrutnej wojnie, zapewniając się wzajem, że to już na pewno ostatnia wojna. Była rzeczywiście straszna dla milionów, które padły na polach bitewnych. Ale my nie braliśmy w niej udziału i czerpaliśmy z niej korzyści.

Dania nie angażowała się w wojnę i pozostawała neutralna. Ale czy naprawdę wierzyliśmy, że zostaniemy oszczędzeni wyłącznie dlatego, że na burcie statku wymalowano duńskie barwy? Marynarz musiał być w pewnym stopniu pozbawiony strachu. Ale tym razem to była bezmyślność. Marstal znalazło się w samym środku strefy działań wojennych. Na lądzie istniały fronty, ale przecież tak samo było na morzu, i połowa marynarzy pochodzących z naszego miasta na co dzień znajdowała się na którymś z nich.

Co nami kierowało? Czy to chęć zysku podtrzymywała bicie serca tej wojny? A może chciwość? Albert widział wojnę w całej jasności również w swoim rodzinnym mieście. A przecież wydawało mu się, że tak dobrze je zna. Czy po prostu się zestarzał i coś naprawdę zdecydowanie się zmieniło, czy też zawsze tak było, a on po prostu tego nie rozumiał?

Nagle zaczął czuć się śmieszny. Oto uważał się niemal za szaleńca z powodu jakichś snów zawierających wiedzę tak straszną, że bał się nią dzielić z innymi. A gdyby teraz wyjawiał, co wiedział, czybyśmy go po prostu wyśmiali i pozostali obojętni, ani trochę przy tym nie wątpiąc w prawdziwość jego słów?

Umrzemy? No cóż, być może.

Ten i ten, sternik, marynarz, szyper. Wskazywalibyśmy na innych. Ale nie na siebie samych. Chciwość kazała nam wierzyć we własną nieśmiertelność. Czy myśleliśmy o dniu jutrzejszym? Być może o własnym, ale nie o cudzym.

Szyper Levinsen protestował, gdy planowano budowę falochronu.

„Trzeba dbać wyłącznie o siebie, a nie o przyszłość”, mówił. Jego słowa potępiło całe miasto.

Podczas wojny braliśmy krótkowzrocznego Levinsena za wzór.



Herman wrócił do domu z laską z białej kości w ręku. Zrobiono ją z kręgów rekina. Nie był pierwszym człowiekiem w Marstal, który przywiózł z Indii Zachodnich czy z Oceanu Spokojnego takie trofeum. Ale on jako pierwszy zaczął przechadzać się z nią po ulicach, jak gdyby była berłem, a on sam – królem. Wywijał laską w powietrzu, gdy z ważną miną pozdrowiał starych znajomych.

Kręgosłupem rekina zastukał również do drzwi swego prawnego opiekuna, Hansa Jepsena, podczas gdy gromada chłopców, która zatrzymała się w bezpiecznej odległości, akompaniowała jego stukaniu rytmicznie skandując: „Kanibal na wolności! Kanibal na wolności!”

Gdy Hans otworzył drzwi, Herman podetknął mu pod nos swoją książeczkę żeglarską. Był już teraz oficjalnie marynarzem i chciał pokazać, że ma prawo domagać się szacunku. Nawet nie przywitał się z Hansem. Przypomniał mu jedynie swój wiek: dwadzieścia pięć lat. Wyrzucił z siebie tę liczbę, jak gdyby w rzeczywistości była pięścią, którą chciał uderzyć w twarz swojego opiekuna. Ogłosił detronizację Hansa Jepsena. Herman uzyskał bowiem pełnoletność i oficjalnie stał się właścicielem „*Dwóch siostr*” i domu na Skippergade.

Hans Jepsen sprawiał wrażenie, jakby w ogóle go nie słuchał. Wpatrywał się w białą laskę, którą wywijał Herman.

– Widzę, że brałeś udział w konkursie na żarłoczność z rekinami – powiedział. – I to ty wygrałeś. Szkoda, że nie odwrotnie.

Herman zamachnął się laską, ale Hans był szybszy. Zdążył zatrzaskać drzwi. Uderzenie było tak mocne, że kręgi rekina się rozsypały, gdy laska trafiła w pomalowane na zielono drewno. Chłopcy wybuchnęli gwałtownym śmiechem. Potem puścili się biegiem, znów wykrzykując swoje: „Kanibal na wolności!”

Jakiś czas później wrócili i pozbierali szczątki laski, zostawione przez Hermana. Dlaczego nazwali go kanibalem, nie wiedział nikt. Chłopcy mają swoje powody. Z pewnością się go bali i zrobili to, co chłopcy robią ze wszystkim, czego się boją. Podeszli blisko, zagrali na nosie, nadali przezwisko i zagłuszyli swój strach śmiechem na całe gardło. Szczątki laski z rekiniego kręgosłupa schowali w puszkach i pudełkach, skąd były wyjmowane do odprawiania tajemnych rytuałów lub służyły do ozdabiania kryjówek w dziurawych topolach, stojących wzdłuż dróg za miastem.

•

•

Przez cały tydzień Herman codziennie stawiał kolejkę w kawiarni „U Webera”, aby uczcić swój nowy status człowieka majątnego. Miał napuchnięte policzki i wyzywające, agresywne spojrzenie. Nieustannie nas oceniał, jak gdyby miał ochotę zażądać od nas złożenia brzemiennej w skutki przysięgi na wierność, nakazującej nam zaakceptowanie jego pomysłów albo też pogodzenie się z konsekwencjami odmowy. Jakże to konsekwencje, mogliśmy się szybko przekonać, zerkając na jego wielkie dłonie, które przez cały czas niespokojnie otwierały się i zamykały, jak gdyby brakowało im czegoś, co mogłyby złapać i zmiążdżyć. Był jeszcze potężniejszy niż dawniej. Barki miał szersze, imponujące ramiona i klatkę piersiową jak u byka, ale urósł mu też brzuch. Już w młodym wieku zaczynał być tłusty.

Spytaliśmy go, czy żywił się u Larsena Słoniny i Nielsena Naleśnikarza. W tych miejscach sami opychaliśmy się labskauszem i mięsem smażonym z ziemniakami i cebulą, kiedy wałęsaliśmy się po Kopenhadze, próbując zaciągnąć się na statek.

– Przywykłem do lepszych lokali – odparł Herman.

Na prawym ramieniu kazał sobie u Atramentowego Hansa z Nyhavn wytatuować wielkiego lwa czającego się do ataku. Na wstędze nad lwem widniały słowa *Smart and Poverfull*.

Herman postawił jeszcze jedną kolejkę.

– Niech mnie diabli, teraz zobaczycie! – oświadczył. – Jeszcze teraz zobaczycie!

Coś w tonie jego głosu kazało nam pomyśleć, że być może „zobaczymy” tak jak Jepsen tego dnia, gdy gdzieś między Marstal a Rudkøbing wyskoczył za burtę lub ktoś mu w tym pomógł.

•

Herman podróżował daleko, tak jak wszyscy, ale on dotarł do miejsca, którego my nie znaleźliśmy: na giełdę w Kopenhadze. Ten, którego pamiętaliśmy jako stale zerkającego spode łba wyrostka, chłopięcą buńczucznością maskującego być może zbrodnię, pysznił się przed nami obcym nam wygadaniem, wywołującym w nas taką samą podejrzliwość jak przed kilkoma laty opisane przez niego okoliczności śmierci ojczyma.

Czym jest giełda, wiedzieliśmy. Miejscem, do którego wstęp mieli tylko bogaci oraz ci, co znali się na rachunkach. Tam wszystko dawało się zamienić na pieniądze, potem te pieniądze zmieniały się w jeszcze większe albo mniejsze pieniądze, ludzie, którzy w jednej godzinie wchodzili tam jako zwycięzcy, w następnej wychodzili jako pokonani, a ich życie w ciągu sekundy z radosnego mogło zmienić się w tragedię. Tak to rozumieliśmy. Wiedzieliśmy również, że i my podlegamy prawom, którymi rządzą pieniądze, ponieważ opłatę za fracht określała nie tylko waga ładunku i liczba mil morskich, które należało pokonać, lecz również podaż i popyt. A to, czego my nie wiedzieliśmy, wiedzieli Madsen, Boye, Kroman, Grube oraz inni maklerzy morscy i armatorzy z Marstal. Ale na prawach, które rządziły całym tym zamieszaniem, się nie wyznawaliśmy. Każdy z nas wiedział, że ma większe szanse na ujęcie z życiem podczas tajfunu niż opuszczenie kopenhaskiej giełdy z nabitym portfelem. Herman natomiast sprawiał wrażenie, jakby połowe lat nieobecności w rodzinnym mieście spędził w tym wirze pieniędzy i papierów wartościowych, gdzie pożerano ludzi i fortuny po to, by znów je wypluć. Nazywał to nową Ameryką.

– Nie trzeba jechać aż do Ameryki, żeby się wzbogacić. Wystarczy zacumować w Kopenhadze. Nawet chłopcy od mleczarza grają na giełdzie. Jednego dnia chłopiec od mleczarza, drugiego milioner!

Mówił do nas tak, jakbyśmy nie umieli czytać ani pisać, tylko byli stadem dzikusów z gołymi tyłkami, a on misjonarzem, przybyłym, by nas oświecić i nauczać o Ziemi Obiecanej. Głos jego był pełen cierplivej wyrozumiałości, która w ogóle do niego nie pasowała, a nam nie sprawiła żadnej radości. Sternik „*Ludviga*”, Thorkild Folmer, urażony, wyduł usta.

– Dziewki służące w Marstal też mają udziały w statkach – oświadczył, by pokazać, że my także znamy się na rzeczy.

Herman roześmiał się w głos.

– Cha, cha, owszem, jedną setną! Jedną setną czego? Ile taka nędzna łajba może wypływać w ciągu sezonu? Kto się od tego stanie milionerem? Owszem, może skąpy marstalczyk, po warunkiem, że będzie żył dwieście lat, a w tym czasie zrezygnuje z jedzenia i picia.

Znów wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem, który miał udowodnić, że jest mądrzejszy od nas wszystkich razem wziętych.

Przez cały czas z jego ust płynęły nowe słowa. *Margin*, mówił, *hausse*, *baisse* – czarodziejskie zaklęcia dla tych, którzy rozumieją znaczenie tych słów, dla nas, pozostałych, niezrozumiały bełkot. Wymieniał przezwiska swoich przyjaciół z giełdy, wizjonerów, ba, wręcz pionierów na skalę krajową, Murzyński Łotr, Ruchomy Chodnik, Wyrwiząb, Czerwony Żyd, Nastawiacz, zwyczajnych, bezpośrednich facetów, co zresztą wynikało z przezwisk, które przyjęli, tak jak przyjmowali do swego grona każdego obdarzonego właściwym duchem i pragnącego szybko się wzbogacić. Również młodszego marynarza. Albo chłopca okrętowego.

– Wystarczyło, że im powiedziałem o swoim spadku. Od razu pożyczyci mi pieniądze. Na piękne oczy. Mnie! Wówczas chłopcu okrętowemu!

Twarz na moment mu pociemniała, spojrzął na zebranych w kawiarni „U Webera”.

– W przeciwieństwie do niektórych innych.

Dobrze pamiętał, że nikt nie chciał go zamustrować ani jako młodszego marynarza, ani chłopca okrętowego. Ale na giełdzie go nie odrzucono. Eleganccy kopenhascy bogacze uznali, że się nadaje. Przyjęli go do swego kręgu. My go odepchnęliśmy. Ale teraz powrócił.

– Jeszcze zobaczycie! – powtórzył sto siedemnasty raz i zmrużył oczy w wąskie szparki. – Niech mnie diabli porwą, jeszcze zobaczycie! – Wziął do ust łyk piwa i wypłuł je na podłogę. – Piwo! Phi! W Kopenhadze nikt nie pije tych szczyn. Tam do śniadania pijemy szampana!

W kawiarni „U Webera” zrobiło się tłoczno. Herman stanowił atrakcję. Podwinął rękawy, a my patrzyliśmy na lwa prężącego się na jego prawym ramieniu. *Smart and Poverfull*. Może był mordercą. A może tylko błaznem. Ale możliwe, że wszystko, co nam opowiadał, było prawdą, i to my okazaliśmy się stadem błaznów, on natomiast *smart i poverfull*. My nie mieliśmy takich zwyczajów jak chłopcy biegający za nim po ulicach i prześmiewkami maskujący swój strach. Żaden z nas, dorosłych, nie śmiał się z Hermana. My się baliśmy, że to nas wyśmieją. Kiwaliśmy głowami i robiliśmy mądre miny, a poza tym skrywaliśmy obrzydzenie. Szampan na śniadanie! Faj, do diabła! To przecież w przestronnych patiach burdeli w Buenos Aires, wśród palm, fontann i nieprzyzwoitych malowideł na ścianach serwowano szampana. To był napój dziewcząt lekkich obyczajów. Żaden mężczyzna nie pił go dobrowolnie, a jedynie wtedy, gdy spodnie mu się napinały. Szampan stanowił łapówkę niezbędną do zmiękczenia *señority*. *You nice. Please buy vun small bottle Champagne*. Szampan był elementem cennika.

Wpatrywaliśmy się w bąbelki, bez końca wznoszące się z dna smukłych kieliszków. Przypominały resztki powietrza uchodzącego z płuc topielca.

Mogliśmy splunąć na podłogę. Nikt tak jednak nie zrobił. Wypiliśmy piwo, uważając, że ma dziwnie mdły i zwietrzały smak.

Herman zdobył swoją świętę.



W ciepły letni wieczór na Pirsie Parowców stała grupka mężczyzn zajętych rozmową. Woda i niebo przybrały pastelowe barwy, jasnyniebieską i różową, a morze było tak spokojne, że przypominało parkiet, po którym moglibyśmy przejść aż do Langeland. Zebrali się tu i młodzi, i starzy. Młodzi przemawiali z jakąś nową śmiałością. Ledwie zdążyli zanurzyć czubki palców stóp w oceanie świata, ale już się czuli wilkami morskimi. To przez wojnę i duże pieniądze, które wpadły im w ręce. Pośrodku gromady stał nieznajomy mężczyzna, i to on znajdował się w centrum zainteresowania.

Herman również tam był, lecz wyjątkowo milczał. Nie odrywał wzroku od obcego, wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyzny w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem i jasnym letnim płaszczu, zarzuconym na potężne ramiona. Wargi miał pełne, a na czole zwisał mu niesforny kosmyk włosów w kolorze rudoblond. Gdyby nie przekrwione oczy, wyglądałby jak szczur lądowy, odpoczywający latem w portowym mieście. Przez cały czas się uśmiechał, a co chwila rozkładał ręce i radośnie podnosił głos. Był najwyraźniej zadowolony z zainteresowania, jakie zdołał wzbudzić wśród młodych słuchaczy. Starsi szyprowie stali nieco z boku, ale trudno stwierdzić, czy było to spowodowane instynktowną niechęcią wobec Hermana, czy też tym, że obcy najwyraźniej był jego sojusznikiem – ba, wyglądem i gadatliwością wręcz go przypominał.

Herman miał na twarzy wyraz, jakiego nigdy dotychczas u niego nie widzieliśmy. Najwyraźniej żywił podziw dla tamtego człowieka. Nie dość, że jego oczy wpiły się w usta mówiącego, to jeszcze zaczął poruszać wargami, jakby bezgłośnie powtarzał wszystkie słowa przybysza, by przy pierwszej nadarzającej się okazji móc je powtórzyć.

Herman nie miał w zwyczaju kogokolwiek podziwiać. Kiedyś Albert ocalił go przed kolizją na wodzie, lecz tamten epizod zamiast wzbudzić wdzięczność stał się jedynie pożywką dla wrogości Hermana. Herman wciąż nosił w sercu urazę za cios wymierzony mu wówczas przez Alberta. Gdy widząc kapitana, który wybrał się na swoją zwykłą przechadzkę wzdłuż portu, zaprosił go do kręgu, nie powodowały nim przyjazne zamiary.

– Dobry wieczór, kapitanie Madsen – powitał Alberta z uprzejmą miną, a my od razu wiedzieliśmy, że jego opanowanie wynika wyłącznie z obecności obcego. – Pozwoli pan, że przedstawię inżyniera Henckla.

– Edvard Henckel. – Mężczyzna z szerokim uśmiechem podał Albertowi rękę.

Albert nigdy nie zapomniał spojrzenia Hermana tamtego dnia, gdy wskoczył na pokład „*Dwóch siostr*”. Nie spodziewał się, że chłopak tak po prostu się na niego zamierzy. To był nierozważny cios, którego Albert z łatwością uniknął, a potem szybko się rozprawił z niedoświadczonym wyrostkiem przy sterze. Chłopak mógł działać w panice. Ale jego spojrzenie świadczyło o potwornej wściekłości i utwierdziło Alberta w przekonaniu, że Herman z całą pewnością jest zdolny do morderstwa. Wyczuł w nim hardość. Sama w sobie nie jest ona niczym złym. Ale Herman sprawiał wrażenie, że gdzieś w jego głębi znajduje się jądro martwe jak skamieniałe drewno. Nie wyrośnie z niego żaden kiełek, który ukierunkowałby jego życie inaczej. Nie miał w sobie mocy wzrostu, a jedynie hardość.

Albert dobrze wiedział, że młody człowiek uważa go za wroga. Nie odwzajemniał tego uczucia. Wobec Hermana odczuwał wręcz fizyczny wstręt, ale towarzyszyło mu współczucie. Przede wszystkim jednak czuł się stary i zrezygnowany. Zbliżył się do spuchniętego z dumy Hermana z taką samą niechęcią, jaką reaguje się na widok niebezpiecznego zwierzęcia, tkwiącego z zakrwawioną łapą we wnykach.

Ucisnął rękę inżynierowi Hencklowi i przeniósł swoją uwagę na Hermana.

– Słyszałem, że sprzedałeś „*Dwie siostry*” – powiedział. – To był dobry statek, radość dla oka, a dla miasta duma i chwała.

Od razu pożałował wzniosłości w swoim głosie, bo Herman odparł:

– Możliwe. Ale nieźle na tej sprzedaży zarobiłem. To był decydujący czynnik.

– Owszem, być może dla człowieka interesu, ale nie dla żeglarza. Ze statkami wiąże nas coś więcej niż widoki na szybki zysk.

– Niech pan posłucha... – W głosie Hermana pojawił się cień zniecierpliwienia, jakby rozmawiał z głuchym. – Mógłbym popłynąć „*Dwiema siostrami*” do piekła i z powrotem, ale nawet gdyby ceny frachtu wzrosły jeszcze dziesięć razy, to i tak nigdy nie zarobiłbym tyle na pływaniu co na sprzedaży.

– To myślenie na krótką metę – stwierdził Albert.

Obaj znaleźli się teraz w centrum zainteresowania. Pozostali otoczyli ich kołem, niczym dwóch pojedynkujących się przeciwników. Inżynier Henckel założył ręce za plecy. Szerokie wargi rozciągnął w wyczekującym uśmiechu.

– Kto powiedział, że w ogóle muszę mieć jakiś statek? Owszem, armator to brzmi pięknie, ale może już wkrótce to będzie tylko puste słowo.

Albert wyczuł pogardę w głosie Hermana. Ten nuworysz stał przed nim i twierdził, że jego czas już minął, a doświadczenie nie ma żadnej wartości?

Przez chwilę czuł rosnący gniew. Patrzył na młodego człowieka, stojącego przed nim na szeroko rozstawionych nogach z drwiącą miną. Rękawy miał podciągnięte, bo letni wieczór był ciepły, i Albert zobaczył lwa szykującego się do ataku oraz słowa *Smart and Pouverfull*.

– Na twoim tatuażu są dwa błędy ortograficzne – powiedział.

Pożałował tego od razu. Przestał nad sobą panować. Odgryzanie się nie miało przecież sensu. Herman był hardy, może nawet podły, lecz jego hardość pasowała do nowych czasów. A on sam? Jego czas minął. Tak samo jak czas miasta. Właśnie tego inni nie zauważyli.

Herman zrobił krok naprzód. Wielkie pięści miał zaciśnięte, ale Henckel położył mu dłoń na ramieniu i Herman zastygł, jakby ktoś wyszeptał mu do ucha rozkaz.

Albert szykował się już, by krótkim skinieniem głowy pożegnać zebranych, gdy głos zabrał inżynier:

– Ma pan wiele racji w tym, co pan przed chwilą powiedział. Chyba się nie pomyłę, jeśli powiem, że to słowa starego żeglarza. Osobiście dorastałem w Nyboder, marynarskiej dzielnicy Kopenhagi, i pierwszym miejscem, w jakim pobierałem nauki, była Stocznia Marynarki Wojennej. Umiejęt rozpoznać żeglarza, gdy go widzę, i wiem, co znaczy miłość do morza.

Herman zeszywniał. Oczy groźnie mu pociemniały, jakby ktoś zaatakował go od tyłu, lecz Henckel ciągnął niewzruszony:

– Żegluga duńska przeżywa swój renesans. Dzięki wojnie mamy wzrost gospodarczy i ten wzrost musimy utrzymać. – Skinął głową na Hermana. – Budowanie statków! Stocznie! Właśnie tego potrzebuje kraj. Marstal będzie teraz miało własną stocznnię, budującą statki ze stali. Stocznia Statków Żelaznych w Kalundborgu, Vulcan w Korsør, przyznam skromnie, to ja za tym stoję. Teraz kolej na Marstal. To Herman podsunął mi pomysł tej inwestycji. Już jest jej współwłaścicielem. Zapewne skromność nie pozwala mu o tym powiedzieć, ale całą znaczącą sumę ze sprzedaży „*Dwóch siostr*” zainwestował w nową stocznnię. Jako pierwszy. Zbudujemy przyszłość tego miasta. I przyszłość duńskiej żeglugi.

Jego duża piegowata dłoń porośnięta gęstymi rudoblond włoskami poufale ścisnęła Hermana za ramię.

– Tak, Hermanie. Marstal ma powody, by być z ciebie dumne. Jesteś prawdziwym synem tego miasta.

Albert przeniósł wzrok z Henckla na Hermana, który pozwolił, by dłoń inżyniera spokojnie spoczywała na jego ramieniu, i nagle zrozumiał, że inżynierowi z Kopenhagi udało się coś, czego nie osiągnął nikt inny: oswoić Hermana. Może tylko kiwał głową zamiast nią kręcić za każdym razem, gdy fantasta przechwalał się swoimi dalekosiężnymi planami. Albert wyczuwał jednak coś więcej. Jeśli Henckel został nauczycielem Hermana, to dlatego, że umiał przemówić do człowieka bez skrupułów. Byli ulepieni z tej samej gliny.

Albert machnął laską na pożegnanie. Chciał zostać sam w letni wieczór przed powrotem do domu, do łóżka i dręczących go snów.

Za plecami słyszał, że inżynier zaprasza wszystkich na szampana do hotelu „Ærø”. Rozległy się radosne śmiechy. Albert się nie odwrócił i poszedł w stronę obelisku. Nagle poczuł, że żyje już za długo.

Nie wierzył ani w obietnice inżyniera Henckla, ani w przechwałki Hermana. Ale oni należeli do świata żywych. Jego miejsce było w świecie zmarłych.



Pewnego dnia Albert siedział w kościele i zbierał siły. Miał zanieść kolejną smutną wiadomość, bo pastor Abildgaard znów był niedysponowany. Jako kapitan Albert już wcześniej musiał informować o nieszczęściu. Wówczas znał zmarłych, potrafił dużo o nich powiedzieć, nigdy nie klepał banałów. I chociaż jako dowódca utrzymywał dystans wobec załogi, to mimo wszystko dostatecznie dobrze znał się na ludziach, by umieć zajrzeć każdemu w duszę i w razie czego pożegnać go właściwym słowem, wyprawiając w ostatnią drogę. Wiedział, że słowa kapitana mają ogromne znaczenie, większe nawet niż pastora. Pastor wprawdzie był bliżej Boga, lecz wcale nie bliżej życia i śmierci czy też dzielącej je granicy, a o to właśnie chodziło. To słowa kapitana, nie pastora, pozostawały wyryte na niewidzialnych nagrobkach wznoszonych w pamięci. Zresztą pastor nie miał zbyt dużo do roboty przy pogrzebach w mieście zamieszkanym przez marynarzy. Oni zostawali na morzu.

Rodzin, do których zachodził teraz, Albert być może nie znał tak dobrze, ale zawsze trochę o nich wiedział, bo Marstał było malutkie. Jeżeli wojna zabierała młodego człowieka, to znał jego ojca i wielu rzeczy potrafił się domyślić. Jeśli ginął starszy mężczyzna, to tym bardziej go znał, może nawet jako swojego podwładnego z czasów, gdy jeszcze pływał. Wśród pustki, która otwierała się po usłyszeniu złej wieści, swoją obecnością stanowił punkt oparcia. W pewnym sensie zagradzał śmierci drogę.

Stawał w drzwiach zamiast niej i tłumił panikę osieroconych. Ich skargi milkły i szybciej pojawiała się żałoba, niezbędna, by dało się uleczyć strach.

Coś przecież wiedział. W swoich snach często był świadkiem ostatnich chwil tych, którzy ginęli. Widział, jak się poddają wśród spienionych fal. Widział rozrywanych na strzępy przez kule. Widział, jak z odmrożonymi twarzami leżą bez życia po dobie spędzonej w otwartej szalupie na lodowatym morzu. Tego jednak nie mógł ujawnić. A mimo to z zaskakującym przekonaniem mówił o ostatnich chwilach zmarłych. Kłamał, jak potrafi kłamać jedynie ten, kto zna prawdę. Kłamstwami odsuwał strach i ból, lecz nie odsuwał śmierci. Nie mówił o zaświatach, bo nie był pastorem Abildgaardem, i dlatego mu wierono. Ten stary mężczyzna z przyciętą brodą i szerokimi barami był w mieście od zawsze. W obliczu śmierci jego autorytet wciąż obowiązywał. Był kapitanem. Zasiadał w domu, do którego być może nigdy wcześniej nie przychodził, a jego wizyta przydawała śmierci powagi, jakiej bez tego może by nie miała. Pomagał ludziom bronić się przed ciemnością. Nie czuli się wówczas osamotnieni. To nie on siedział z nimi, lecz całe miasto – jedność, dziedzictwo rodu, przeszłość i przyszłość. Śmierć była już w połowie pokonana, życie zaczynało toczyć się dalej.

Gdy przychodził kapitan Madsen, nikt nie prosił, by mówić o Jezusie. Nikt go nie pytał, gdzie są teraz zmarli i czy są szczęśliwi. Jego przesłanie było jasne: tak po prostu jest. Uczył nas wielkiego pogodzenia się z losem. Chciał, by przemówiło do nas bezpośrednio życie. Morze zabiera nas do siebie, ale nie ma nam nic do powiedzenia, gdy zamyka się nad naszą głową i wypełnia płuca. To może dziwaczna pocięcha, ale za każdym razem udawało nam się znaleźć w słowach kapitana Madsena jakieś oparcie. Tak było zawsze i dotyczyło nas wszystkich.

Albert wiedział, że są tacy, którzy nie zdołają przetrwać kryzysu bez Zbawiciela, i tych powierzał wdowie po Carlu Rasmussenie. Nie traktował ich wiary jako oznaki słabości. Wiedział, że ludziom potrzeba wielu różnych rozwiązań. On sam nie miał żadnego. Nawiedzały go sny. Był samotny, a jego wiara w jedność została rozbita. Trzymał się prosto, gdy opuszczał domy pogrążone w żałobie, ale w głębi duszy się zapadał.

Nie wiedział, czego potrzebuje. Siedział więc w kościele i zbierał siły. Przyglądał się głównie własnym dłoniom. Od czasu do czasu patrzył na ołtarz namalowany przez Rasmussena, przedstawiający Jezusa uciszającego burzę na jeziorze Genezaret. Na świecie wciąż szalała wojna. Zabito więcej ludzi niż kiedykolwiek, a on w swoich księgach zapisywał liczby. Czasami myślał, że jest jak głupek Anders Nørre, o którego rozumności świadczyły tylko niekończące się szeregi cyfr, przelatujące mu przez mózg niczym wyładowania elektryczne w ciemną noc. Cóż zrobiłby Jezus podczas wojny światowej, w której jeden ukrzyżowany z raną od włóczni w boku wydawał się niczym w porównaniu z milionami przewieszonymi przez drut kolczasty i umierającymi z własnymi trzewiami w rękach?

Albert siedział i zapisywał liczby. Czy tylko w taki sposób można ogarnąć całe to niepojęte zniszczenie? Gdyby ktoś znalazł jego księgi, co by pomyślał? Ze zapisał je głupek?



Podniósł się z twardej, pomalowanej na niebiesko ławki i zadrżał. Wśród pobielonych wapnem ścian kościoła było zimno. W ręku trzymał telegram. Przyszedł na adres armatora i zawierał oficjalny meldunek o zatonięciu trzymasztowego szkunera bramsłowego „*Ruth*”. Miejsce: Atlantyki. Rejs między St. John i Liverpoolem. Rodzaj katastrofy: zaginął. Warunki meteorologiczne: nieznane. To było zadanie rachunkowe z żałośnie znajomym rozwiązaniem: „Od wyjścia z Nowej Fundlandii z «*Ruth*» nie przekazano żadnych meldunków. Przypuszcza się, że statek zatonął z ludźmi i myszami”.

Właśnie to suche podsumowanie miał przełożyć na ludzki język.

Same niewiadome: statek zaginął gdzieś na wielkim Atlantyku. Mogło się to stać w każdym miejscu na obszarze o promieniu tysiąca mil morskich. Przyczyna: zalodzenie, sztorm, monstualna fala, prehistoryczny opancerzony potwór, który nagle wyłonił się uzbrojony w torpedy i bezlitośnie przypominał, że marynarz ma również innych wrogów niż morze. Sumę wszystkich tych nieznanymi danych stanowiła śmierć młodego człowieka, wiadomość o jego zaginięciu na wieki, rzucona w twarz Hansigne Koch, wdowie po marynarzu, która dwa lata wcześniej straciła siedmioletniego syna w wypadku na przystani jolek.

To było jego zadanie. Miał pomóc drugiemu człowiekowi w dotarciu do portu lub przynajmniej nie dopuścić do tego, by gdy nadejdzie zła wiadomość, utonął w rozpacz.

•

Z wykusza Albert zobaczył, że Lorentz przechodzi przez ulicę. W rękę trzymał telegram. Powiesiwszy płaszcz w przedpokoju, z wysiłkiem usiadł na kanapie. Wiele przeżytych aktywnie lat bardzo go zniszczyło. Znow się odezwały słabości z dzieciństwa. Na ogół dokuczał mu krótki oddech, szczególnie w chłodne, zimowe miesiące. Przeszedł też atak serca. Barki poruszały mu się w górę i w dół, powietrze chwytał gwałtownymi, rzęzącymi oddechami. To przez wysiłek, jakim było przejście na drugą stronę ulicy przy ostrym wietrze i marznącym deszczu. Zapomniał kapelusza, zwilgotniałe rzadkie włosy lepiły mu się do czaszki. Twarz Buddy przybrała ciemnoczerwony kolor. Laskę, bez której nie mógł się obyć, przyniósł do salonu.

– Tym razem to „*Ruth*” – powiedział tylko.

Już wcześniej stracił dwa statki i za każdym razem sam informował o tym rodziny. Z pewnością zajęłyby się tym i teraz, lecz w jego stanie spacer po mieście wymagał takiego wysiłku, że w rezultacie mogłoby go to drogo kosztować. Na dosiadanie konia zrobił się już za stary.

– Nie wzięłeś kapelusza – powiedział Albert. – Pozwól, że ja się tym zajmę.

•

W Albert poszedł na Kirkestræde powiadomić pastora Abildgaarda. Potem posiedział jak zawsze w kościele, żeby nabrać sił, a teraz stał przed wychodzącymi na ulicę drzwiami domu przy Vinkelstræde. Otworzyła mu sama Hansigne Koch.

– Wiem, dlaczego pan przyszedł – powiedziała spokojnie, widząc potężną sylwetkę Alberta przed drzwiami. – Chodzi o Petera.

Wymówiła imię syna i w tej chwili jakby przeszył ją prąd. Pobladła, a wargi zaczęły jej drżeć.

– Niech pan tak nie stoi – powiedziała nagle komenderującym tonem, a Albert wyczuł, że kobieta surowością usiłuje powstrzymać załamanie. Zniknęła w kuchni, żeby przygotować kawę, od której nikt, kto przychodził z wizytą, nie mógł się wymówić, bez względu na to, jak złe przynosił wiadomości.

Albert przeszedł do salonu i usiadł. Kafłowy piec był zimny. Salonu nie ogrzewano na co dzień, więc panował tam chłód. Albert wiedział jednak, że Hansigne Koch pragnie go poczęstować kawą właśnie tutaj. Z kuchni dobiegł brzęk czajnika, odgłos zapalanej zapalki i szum gazu. Hansigne Koch nie wydawała żadnego dźwięku. Jeśli płakała, to bezgłośnie.

Przyniosła filiżanki. Z angielskiego fajansu, zapewne przywiezione przez męża, a może odziedziczone. Potem zabrała się do rozpalania w piecu. Albert nie zaofiarował się z pomocą ani nie zaproponował, by raczej wypili kawę w którymś z ogrzewanych pomieszczeń. Codzienna rutyna stała się w tej chwili deską ratunku dla Hansigne Koch. Również dzięki niej miała żyć jeszcze przez długi czas. Kawa była rytuałem równie ważnym jak pogrzeb, którego nigdy nie będzie mogła sprawić synowi topielcowi.

Usiadła naprzeciw Alberta i naląła kawę. On przedstawił okoliczności przypuszczalnego zatonięcia. Niewiele miał do powiedzenia. „Zaginiony”, a więc nigdy nie dotarł do Liverpoolu. Ważne, by Hansigne nie doszukała się nadziei w niejasnościach wokół zniknięcia „*Ruth*”, inaczej nigdy nie upora się ze stratą. Być może i tak sobie nie poradzi, ale nadzieja wstrzyma czas, który przez to nie będzie mógł leczyć. O tym Albert dobrze wiedział.

Nie wspomniał o wojnie.

– Myśli pan, że to był okręt podwodny? – spytała.

Pokręcił głową.

– Tego nikt nie może wiedzieć, pani Koch.

– Dwa dni temu dostałam od niego list. Wysłany z St. John. Napisał, że wielu marynarzy uciekło. „*Egir*” po prostu nie mógł wypłynąć, nie został nikt z załogi. Pouciekali też z „*Nathalii*” i „*Bonavisty*”, i to mimo że karmili ich żytnim chlebem. Na „*Ruth*” dawali im wyłącznie suchary. „Gdybym tylko miał ten suchy chleb, który dostają kury dziadka”, tak mi napisał. Ach, zawsze się martwiłam, czy on ma tam coś porządnego do jedzenia.

Wciąż nie płakała.

– Matka nigdy nie zaznaje spokoju – ciągnęła. – Czasami wydaje mi się, że przestanę się martwić dopiero, gdy umrę. Bałam się od pierwszego dnia, kiedy wyruszył na morze.

Przez chwilę milczała.

– Dlaczego tak ma być? Stale ten sam lęk. Ale okręt podwodny to najgorsze, co może być.

Albert ujął ją za rękę. To był okręt podwodny. Widział to. Załogę ostrzelano, zanim zdążyła wejść do szalupy, a wkrótce statek stanął w ogniu. Widział, jak Peter przygotowuje łódź do spuszczenia. Kula rozerwała mu pierś, upadł na pokład. Potem załoga okrętu podwodnego weszła na statek i oblała go ropą. Płomienie ogarnęły żagle i takielunek. „*Ruth*”, która w mgnieniu oka zmieniła się w stos pogrzebowy dla swej załogi, z sykiem zniknęła w falach.

Teraz przyszedł najtrudniejszy moment. Musiał nad sobą panować, by jego dłoń obejmująca rękę Hansigne Koch nie zaczęła drżeć tak, jak drżała już jej dłoń. Był samotny. Ale jego samotności nie dawało się porównać z samotnością kobiety, która straciła męża i dwóch synów.

Patrzyła mu prosto w oczy. Wciąż nie płakała. Jak gdyby podjęła straszliwą próbę wytrzymałości.

– Kapitanie Madsen, ja nic nie czuję.

W jej głosie brzmiało niedowierzenie jak u ofiary wypadku, od pasa w dół dotkniętej paralizem, która nagle stwierdza, że nie ma czucia w nogach.

– Wiedziałam – powiedziała do siebie.

– Co pani wiedziała, pani Koch? – Starał się mówić spokojnym głosem.

– Kiedy mały Eigil utonął, wiedziałam, że już nigdy nie zapłacę. O niego nigdy się nie martwiłam. Co się może stać dziecku, które poszło się bawić? A on utonął w porcie. Ach, kapitanie Madsen, tego dnia serce mi stanęło. Wydaje mi się, że liczyłam sekundy, a serce nie odpowiadało. Nie uderzyło. Nie zabiło. W piersi miałam zupełną ciszę. Peter był wtedy w domu. Objął mnie i przytulił, tak jak ja go tuliłam przed laty, kiedy był malutki. „Mamo, tak się cieszę, że wciąż cię mam”, powiedział, a wtedy, chociaż nie mógł wziąć ode mnie smutku, moje serce znów ruszyło. W każdym liście prosił, żebym pozdrowiła Eigila na cmentarzu.

Wciąż nie płakała.

– A teraz go nie ma – powiedziała, szybko wyrzucając z siebie słowa. – Teraz nie ma już od kogo pozdrowić Eigila.

Spuściła głowę. Na dłonie Alberta kapnęły łzy.

Upłynęła chwila, Albert nic nie mówił.

– No, łez mi przynajmniej nie brakuje – odezwała się w końcu pani Koch.

Usłyszał ulgę w jej głosie. Próba wytrzymałości minęła. Kobieta odzyskała czucie w nogach.

– Jest jeszcze ktoś, kogo pani ma – odparł Albert. – Nie wolno zapominać, że jeszcze komuś jest pani potrzebna.

Pani Koch spojrzała na niego trochę zdezorientowana. Wyprostowała się gwałtownie, jak gdyby ktoś ją zawołał, a potem z ust wyrwało jej się dziewczęce imię.

– Ida!

Lorentz wprowadził Alberta w sprawy rodzinne. Ida, jedenastoletnia dziewczynka, była drugim z kolei dzieckiem pani Koch. Tego popołudnia jeszcze nie wróciła ze szkoły na Vestergade.

– Ida – powtórzyła pani Koch, podnosząc się nerwowo. – Muszę iść po Idę!

Natychmiast włożyła płaszcz i stanęła w przedpokoju gotowa do wyjścia. Przeszli razem przez Vinkelstræde i dalej do Lærkegade. Albert zaproponował, że odprowadzi ją do samej szkoły, ale odmówiła.

– Powiedział pan przed chwilą coś słusznego, kapitanie Madsen. – Podała mu rękę na pożegnanie. – Zawsze jest ktoś, kto nas potrzebuje. Czasami o tym zapominamy. Ale być może właśnie to utrzymuje nas przy życiu.

Albert skręcił w Nygade i zadrżał, gdy zmrożona mżawka sieknęła go prosto w twarz. Czy on sam był komuś potrzebny? Czy ktoś go potrzebował?

Zirytowany tupnął nogą w pośniegowe błoto i potarł mokrą twarz.



Wdowa po malarzu maryniście również zachodziła do kościoła. Siadała sama w ławce i wpatrywała się w Jezusa wśród wzburzonych fal. Pewnie myślała o Zbawicielu i o swoich dzieciach, które kolejno jej odebrano, aż w końcu pozostało tylko jedno. A może myślała o swoim zmarłym mężu? Trudno stwierdzić. Albert przyszedł do kościoła i zobaczył jej plecy. Wycofał się po cichu. Nie chciał jej przeszkadzać. Zapamiętał porę. Może wdowa miała jakieś regularne zwyczaje. Zaczął przychodzić trochę wcześniej. Jeśli siedział dostatecznie długo, zawsze się pojawiała. Nie odchodziła. Siadała w pewnym oddaleniu od niego i oddawała się cichej modlitwie. Słyszał szelest jej sukni i szuranie stóp. Po pewnym czasie wstawał. Podnosiła głowę, a on w drodze do wyjścia pozdrawiał ją lekkim skinieniem. W końcu zaczął przychodzić zawsze o tej samej porze. Ona też się pojawiała. Dwoje starych ludzi siedzących w milczeniu, każde w swoim końcu kościoła.

Nie, Albert nie wiedział, gdzie ma szukać pociechy. Wiedział jedynie, jak być pożyteczny dla innych. Niekiedy bywa to równoznaczne. Ale o tym, co go dręczyło, nie mógł porozmawiać z żadnym człowiekiem, a ponieważ w Boga nie wierzył, oznaczało to, że nie mógł mówić o tym z nikim. Codziennie jednak przychodził do kościoła na pół godziny przed pojawieniem się Anny Egidii Rasmussen i siedział, jak gdyby na nią czekał.

Nie przychodził do domu Bożego, by znaleźć Boga. Może przychodził po to, by znaleźć człowieka?



Pewnego dnia usiadła obok niego. Nie umiał stwierdzić, czy właśnie na to czekał. Oderwał wzrok od swoich dłoni i przywitał ją.

– Znów pan tu siedzi, kapitanie Madsen? – spytała.

Kiwnął głową, nie wiedząc, co ma mówić dalej. Właśnie zgłoszono zaginięcie „Hydry”. Znów miał do przekazania żałobne wieści, tym razem wdowie po kapitanie Elim Johannesie Raschu. Annę Egidię też czekał przykry obowiązek.

– Czy ta straszna wojna nigdy się nie skończy? – westchnęła do siebie, jak zwykle wpatrując się w ołtarz namalowany przez jej zmarłego męża.

– Ona nie będzie miała końca.

Poczuł nagle ogarniający go gniew. Zrobił coś, czego poprzysiągł sobie nie robić nigdy wobec rodzin pogrążonych w żałobie. Zaczął mówić o wojnie.

– Ona się nigdy nie skończy, dopóki ktoś będzie czerpał korzyści z tego, że trwa.

– Jak ktokolwiek może czerpać korzyści z takiego okrucieństwa i tylu nieszczęść?

– Proszę się przejść po Kirkestræde i przyjrzeć sklepom. Miasto kwitnie jak nigdy.

– Chyba nie mówi pan poważnie, kapitanie Madsen! Mieszkańcy miasteczka tak małego jak Marstal mieliby podtrzymywać działanie największej w dziejach maszyny wojennej? Nie dostrzega pan całej tej żałoby, jaką wojna sprowadziła na miasto? Musi pan to widzieć! Przecież tak jak ja niemal co tydzień przekazuję pan złe wieści!

– Owszem, pani Rasmussen, widzę żalobę. Pani i ja ją widzimy, ponieważ odwiedzamy domy naznaczone przez śmierć. Inni gapią się na wystawy sklepowe. Cechą ludzkiej natury jest to, że najbardziej lubimy się modlić do złotego cielca, i w tym tkwi główna przyczyna obecnej wojny.

– Ja się nie wyznaję na polityce – odparła, spuszcżając wzrok. – Jestem tylko starą kobietą, która żyje już za długo.

– Z tego, co wiem, jest pani osiem lat młodsza ode mnie.

– Chyba tak. Ale jako wdowa... – urwała, zbyt skępowana, by dokończyć.

– Słucham – powiedział wyczekująco.

– Będąc wdową, nie żyje się już własnym życiem, tylko życiem innych. To tak, jakby za dotknięciem różdżki znaleźć się wśród starych. Czuję się staruszką już od śmierci Carla, a to było dwadzieścia cztery lata temu.

– Zauważyłem, że często pani tu przychodzi. Pewnie siedzi pani i o nim myśli.

– Przychodzę tu z tych samych powodów co pan, kapitanie Madsen. Żeby myśleć o Zbawicielu. – Przez chwilę mierzyła go wzrokiem. – Bo jest pan chyba wierzący?

– Byłem – odparł. – Ale nie w Zbawiciela wierzyłem. Wierzyłem w inne rzeczy. Wierzyłem w to miasto i w siły, które je zbudowały. Wierzyłem w jedność i w ludzką wspólnotę, w aktywność życiową i wolę. Teraz jednak, obawiam się, stałem się odszczepieńcem. Ja również czuję się tak, jakbym żył za długo. Nie rozumiem świata, który widzę wokół siebie.

– To zabrzmiało tak, jakby był pan nieszczęśliwym człowiekiem, kapitanie Madsen. Ja też nie rozumiem świata. Chyba nigdy go nie rozumiałam. Ale mimo wszystko wierzę.

– Może właśnie dlatego pani wierzy.

– Co pan ma na myśli?

– Sama pani mówi, że nie rozumie świata. Zapewne dlatego potrzebna pani wiara. Wiara to misterium. Ja nie uczestniczę w misterium. Czy to mnie ogranicza, nie wiem.

Spojrzał na nią pytająco, jak gdyby oczekiwał odpowiedzi. Czuł, że zaczął się zwierzać tej kobiecie. Nie przeraziło go to. Była w niej akceptacja i łagodność, a on nie miał nic do stracenia.

– Miewam sny – usłyszał swój własny głos.

Nie mógł się oprzeć potrzebie zwierzeń.

– Jakie sny?

Na chwilę się zaciął. W końcu jednak się zdecydował.

– Tonący marynarze – powiedział. – Widzę, jak toną. Widzę ich niemal co noc. Jakbym przy tym był. Widzę te tragedie na długo, zanim do nich dojdzie. Jeśli mi pani nie wierzy, może mnie pani spytać, kto jeszcze z Marstal zginie. Podam pani nazwiska wszystkich.

Patrzyła na niego tak, jakby nie rozumiała, co mówi. Ale on nie mógł się już teraz powstrzymać.

– Od lat chodzę po tym mieście jak obcy. Czuję się niczym posłaniec z królestwa śmierci. Klabautermann to ja.

Znów umilkł i popatrzył na nią błagalnie. Czy ona w ogóle nie pojmowała jego słów?

Wdowa przez długą chwilę milczała. W końcu ujęła go za rękę.

– To musi być straszne – powiedziała. – To więcej, niż człowiek jest w stanie znieść.

Przez moment obawiał się, że kobieta zacznie mówić o Zbawicielu. Nie zrobiła tego jednak.

– A więc pani wierzy w ten mój osobliwy dar?

– Jeśli pan tak mówi, to wierzę, kapitanie Madsen. Nigdy nie uważałam pana za człowieka skłonnego do fantazjowania czy też pragnącego wzbudzić zainteresowanie swoją osobą.

Albert w rozpaczy rozłożył ręce.

– Ja widzę wojnę, pani Rasmussen. Widzę wszystkie te śmierci. Siedzę naprzeciw wdowy i czuję, że pyta mnie spojrzeniem: „Jak umarł mój Erik czy Peter?” Przecież ja to wiem. Mógłbym opowiedzieć. A jednak nie mogę tego zrobić. Tkwi w tym straszliwa bezsilność. Tak, to właśnie czuję. Bezsilność. Jestem widzem i w swoich snach, i w prawdziwym życiu. Dzień i noc staję w obliczu cierpienia i żałoby, a moja sytuacja przez cały czas się nie zmienia. Nic nie mogę zrobić.

Wdowa wciąż nakrywała jego dłoń swoją.

Siedzieli tak jeszcze przez chwilę, nic nie mówiąc. W końcu pani Rasmussen cofnęła rękę i wstała.

– Chodźmy, kapitanie Madsen. Musimy odbyć nasze wizyty.

Wychodząc z kościoła, odwróciła się do niego.

– Wierzę w pańskie sny. Ale nie chcę o nich słuchać. Wolę żyć w nieświadomości i nie znać boskich planów wobec nas.



Przez jakiś czas dalej przychodzili do kościoła. Teraz już siadali obok siebie. Czasami milczeli, zatopieni każde w swoich myślach. Najczęściej rozmawiali szeptem. Już się nie dotykali. Tamten dotyk jej dłoni był oznaką akceptacji, nie musiała go powtarzać. Albert o tym wiedział.

Nastał grudzień, a o zmierzchu wilgotny, zimowy chłód zdawał się tężeć w nieogrzewanym kościele.

– Siedzimy tu i marzniemy – powiedziała pani Rasmussen. – Chodźmy do mnie, napijemy się kawy.

Albert rozejrzał się, gdy weszli do salonu domu na Teglgade. Na ścianach wisiały dwa obrazy Rasmussena. Wiedział, że wdowa sprzedała większość prac męża, ale niektóre najwyraźniej zostawiła. Jednym z obrazów był portret małej Grenlandki. Rasmussena jako jednego z pierwszych duńskich malarzy zafascynowała lodowa pustynia, ale na ogół nie zajmował się portretami. Specjalizował się w malowaniu morza i statków. Nazwisko wyrobił sobie jako marynista. Drugi obraz przedstawiał mężczyznę w opończy, w modlitewnej pozycji klęczącego wśród piasków pustyni. W tle widać było kobietę i osła. Twarz mężczyzny była dziwnie niewyraźna, jakby obraz pozostał niedokończony albo też Rasmussen okazał się nieudolnym portrecistą.

– To *Ucieczka do Egiptu* – wyjaśniła wdowa, która właśnie przyniosła dzbanek z kawą.

Albert uprzejmie skinął głową. Nie musiała mu tego tłumaczyć. Chociaż był niewierzący, to znał wszak Biblię.

– Poza tym rzadko interesowały go motywy biblijne. Szkoda. Myślę, że mogłyby go naprowadzić na coś nowego. Ale pod koniec nic jakby mu się nie udawało. W każdym razie był niezadowolony. Bardzo niezadowolony. Był udręczonym człowiekiem. Niech pan nie sądzi, że nie widziałam, co się z nim dzieje.

•

Albert spotkał starszego od siebie o parę lat malarza, kiedy wciąż jeszcze był dużym chłopcem. Carl Rasmussen wywarł na nim wówczas niezatarte wrażenie nie tylko z uwagi na swój niezwykły talent do rysunków, lecz również osobliwą niewinność. Pochodził z sąsiedniego miasteczka Ærøskøbing i gdy po raz pierwszy pojawił się w Marstal, natychmiast otoczył go wrogie zastęp chłopców. Był tutaj obcy, a oni za wszelką cenę chcieli, by to poczuł. Coś niewyjaśnionego ich jednak powstrzymało. Zachowywał się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że grożą mu cięgi. Zamiast walczyć z agresywnymi łobuzami zaprzyjaźnił się z nimi. Przez długie lata włóczyli się razem po wyspie. Carl, otoczony podziwianą go gromadką, robił swoje szkice. Czytał też chłopcom na głos. Odkryli w sobie głód czegoś innego niż jałowe wkuwanie na lekcjach Isagera. Albert wciąż pamiętał tamto wrażenie, jakie wywarła na nim *Odyseja*, opowieść o Telemachu, który przez dwadzieścia lat czeka na ojca i nawet przez chwilę nie wierzy w jego śmierć. Być może właśnie wtedy został przypieczętowany kierunek jego przyszłego życia.

Później doszło do starcia, nie przypominał już sobie o co. Pamiętał jedynie, że Carl przypłacił to rozkwaszonym nosem. Po raz kolejny Albert zobaczył go dopiero wówczas, gdy malarz jako dorosły osiadł w Marstal z rodziną. Wtedy Carl wyrobił już sobie nazwisko i miał niezłe dochody, które inwestował w statki zarejestrowane w mieście. Namalował ołtarz do kościoła, a do wizerunków apostołów pozwolili mu miejscowi szyprowie. Do postaci Jezusa wybrał cieślę, który prowadził pokątną gospodę naprzeciwko kościoła. Był to śmiały wybór i Rasmussen sobie poradził. Zachwyty dla jego talentu nie miały końca. Carl Rasmussen potrafił w niepojęty sposób oddawać podobieństwo.

Chciał też namalować portret Alberta, on jednak wyjął Jamesa Cooka i poprosił, by na obrazie znaleźli się razem. Rasmussen na widok spreparowanej głowy dostał skurczów żołądka i musiał położyć się na kanapie.

Albert zawsze sądził, że malarz przybył do Marstal w poszukiwaniu czegoś, czego nigdy tu nie znalazł. O co chodziło, nie wiedział. Krążyły jednak plotki, że śmierć Rasmussena nastąpiła w wyniku samobójstwa. Nie były to plotki złośliwe. Zrodziły się ze zwyczajnej znajomości morza. Nikt nie umiał pojąć, jak można wypaść za burtę statku przy dobrej pogodzie. Carl Rasmussen w jednej chwili malował, a w drugiej już go nie było.

•

Anna Egidia Rasmussen nalała kawy do porcelanowej filiżanki w biały wzorek.

– Proszę wziąć ciasteczko. – Przysunęła mu paterę. – Sama piekłam. No, głównie dla wnuków – uśmiechnęła się.

Albert wziął ciastko i zamoczył je w kawie.

– Odbyliśmy wiele dyskusji o jego malarstwie – powiedział. – Ale to nie były rozmowy o obrazach religijnych.

– Tak, dobrze to pamiętam. Pan uważał, że on się ogranicza, wykorzystując jako motyw wyłącznie życie tu, w mieście, i na wyspach. Wydaje mi się, że w końcu przyznał panu rację.

– Nie jestem malarzem – odparł Albert. – Z pewnością nie byłem odpowiednią osobą do udzielania mu rad. Wierzę, a w każdym razie wierzyłem, w postęp. Ale jak namalować postęp? Na to odpowiedzieć nie umiem.

– Malując parowce i dym unoszący się z kominów?

Wychwycił ironię w jej głosie i roześmiał się.

– Ma pani rację, pani Rasmussen. My, laicy, nie powinniśmy się mieszać do malarstwa. Kiedyś sądziłem, że falochron jest symbolem wszystkiego, co potrafią mieszkańcy tego miasta. Ale taka masa kamienia nigdy nie byłaby interesującym motywem. Teraz natomiast widzę, że przed jednym niebezpieczeństwem falochron nie mógł nas ochronić, a mianowicie przed naszą własną chciwością. Tak, muszę przyznać, że sposób, w jaki wyprzedawane są podstawy istnienia miasta, robi na mnie równie przerażające wrażenie co wojna.

– Ma pan na myśli sprzedaż statków?

– Właśnie. Podstawą istnienia miasta jest przecież morze. Jeśli odetniemy się od morza, to co się stanie z miastem? Wydaje się, że zapanowała u nas jakaś miękkość. Nagle bycie zwykłym marynarzem już nie wystarcza. Możliwe, że pewną rolę odgrywa tu poprawa warunków edukacji. Dzieci zdobywają większą wiedzę i nagle dostrzegają dla siebie większe możliwości niż po prostu pójście na morze, jak robili ich ojcowie i dziadkowie. Ale uważam, że również matki mają swój udział w tym procesie. Nigdy nie przepuszczają okazji, by opowiedzieć synom o wielu trudnych rejsach ich ojców, o dniach smutku, godzinach niepokoju i zmartwień, które musiały przeżywać podczas nieobecności ojca. Chłopcy, nasłuchawszy się tylu skarg i narzekań, tracą chęć na wiązanie swego życia z morzem. I po co trzymać statki, skoro można je tak dobrze sprzedać? Przecież i tak nie ma komu przekazać fachu.

– Czy pan kiedykolwiek zastanawiał się nad tym, jak to jest być dzieckiem marynarza?

– Oczywiście. Pochodzę z marynarskiej rodziny.

– Weźmy takiego wyrostka, który idzie na morze, kiedy skończy czternaście lat. Jak pan sądzi, jak częsty miał kontakt z ojcem przed opuszczeniem domu rodzinnego?

Albert wychwytał stanowczość w jej głosie i zrozumiał, że pani Rasmussen wcale nie zadała mu pytania. Zmierzała ku czemuś, a on miał tylko słuchać.

– Powiem to panu, kapitanie Madsen. Ojciec pojawiał się w domu mniej więcej co drugi rok, nigdy na dłużej niż na dwa miesiące. Kiedy więc chłopiec idzie na morze jako czternastolatek, miał do czynienia z ojcem siedem razy, łącznie najwyżej przez półtora roku. Pan nazywa Marstal miastem marynarzy. A wie pan, jak ja je nazywam? To miasto żon. To kobiety je zamieszkują. Mężczyźni pojawiają się jedynie z wizytą. Nie widział pan nigdy buzi dwuletniego smarkacza, który drepcze ulicą, trzymając ojca za rękę? Zadziera głowę, patrząc na tatę, a wtedy z żalną wyrazistością widać, co się dzieje w tej małej główce. Dzieciak zadaje sobie pytanie: „Co to za człowiek?” A gdy już zdąży przyzwyczać się do tego ojca, którego tak nagle mu podarowano, ten znów wypływa. Dwa lata później historia się powtarza. Teraz chłopczyk ma cztery lata, jego nawet najmiłsze wspomnienia o ojcu już wyblakły, i tym razem ojciec także musi przyzwyczajać się do chłopca, którego ledwie poznaje. Dwa lata w życiu dziecka to cała wieczność, kapitanie Madsen. I co to za życie?

Albert nic nie odpowiedział. Wypił łyk kawy i zjadł jeszcze jeden waniliowy obwarzanek. Jego rodzony ojciec zawiódł go w sposób, którego nigdy nie potrafił mu wybaczyć. A mimo to uświadomił sobie, że zawsze uważał nieobecność ojców za rzecz naturalną, chociaż mężczyźni wykonujący inne zawody nie opuszczali przecież domów na całe lata.

– No tak, co to za życie – powtórzyła wdowa. – Dla ojca, który ledwie zna swoje dzieci. Dla dziecka, które dorasta niemal jak sierota, chociaż ojciec żyje po drugiej stronie kuli ziemskiej. Dla matki, która prawie przez cały czas jest sama z odpowiedzialnością za dom, a poza tym żyje w ciągłym lęku, że otrzyma wieść o zaginięciu statku. Miałyby nie próbować odwieść synów od wyboru życia na morzu? Mamy elektryczne światło, telegraf i parowce. Dlaczego dzieci i kobiety miałyby nie uczestniczyć w postępie, dlaczego muszą żyć jak w poprzednich stuleciach? Pan wierzy w postęp, kapitanie Madsen. Dlaczego nie wita pan go z otwartymi ramionami? Ponieważ to zmienia świat, który pan tak dobrze zna? O ile dobrze jednak zrozumiałam, w naturze postępu tkwi to, że świat dzięki niemu nieustannie staje się nie tylko lepszy, lecz również coraz mniej czytelny?

Albert nigdy nie został ojcem. Prawdziwego, żywego dziecka, stworzenia, które gdy zyska zdolność mowy, nazwałoby go ojcem, nigdy nie trzymał na ręku. Na ten temat nie mógł się wypowiedzieć. Czasami czuł, że w jego życiu czegoś brakuje, ale żałować tego nie chciał. Po prostu tak się ułożyło.

Gdy przestał pływać, było za późno. Pięćdziesiątka nie jest odpowiednim wiekiem do zakładania rodziny. Na kogo zresztą można liczyć w tym wieku, chyba na jakąś niechcianą pannę, najpewniej posiadającą poważny defekt. Wdowę, no tak, tych nie brakuje, również skorych do zamążpójścia, chociaż głównie z przyczyn praktycznych. Ale ze swymi wyschniętymi łonami i zwiędłymi piersiami raczej nie urodziłyby mu dziecka. A w zapładnianiu młodej dziewczyny przez starego capa Albert nie widział sensu.

Tak czasami nam mówił, w rzuconych luźno, nieco pogardliwych słowach, które dużo potrafią wyjaśnić komuś, kto potrafi słuchać.

– No cóż, nie bardzo mogę się na ten temat wypowiadać. Nigdy nie miałem dzieci – powiedział wdowie Rasmussen.

Poczęstował się jeszcze jednym ciasteczkiem.

– Właściwie sam się dziwię. Tak się interesowałem dziedziczeniem, ale o kontynuacji własnego rodu po prostu zapomniałem.

– Nigdy nie mogłam tego zrozumieć, kapitanie Madsen. Powinien był pan się ożenić.

Wdowa najwyraźniej nie słyszała o Chince.

– Pomimo moich długich podróży? – spytał ironicznie.

– Takie są warunki. I tak dobrze by się pan sprawdził jako mąż. Ma pan poczucie odpowiedzialności i wnikliwe spojrzenie. Nie są to cechy tak powszechne, jak by się sądziło. Dzieci to wielki dar. Pan go nie przyjął. Powinien był pan postąpić inaczej.

– I to mówi osoba, której tyle razy ten dar odebrano?

Wdowa spuściła głowę.

– Jeszcze trochę kawy? – spytała.

Albert skinął głową, czując, że swoją aluzją do zmarłych dzieci posunął się chyba za daleko. Podniósł filiżankę do ust i popatrzył na wdowę poprzez parującą kawę.

Pani Rasmussen spojrzała mu w oczy.

– Nie, kapitanie Madsen. Człowiek nie żałuje, że w ogóle miał dziecko, tylko dlatego, że je stracił. Dziecko to nie interes, który ubija się z życiem. Tak jak mówiłam, dziecko to dar. Gdy dziecko odejdzie, w człowieku pozostają wspomnienia o latach jego życia. Nie o śmierci.

Urwała. Albert zauważył, że jest poruszona. Miał ochotę zrobić to, co ona zrobiła dla niego tamtego dnia w kościele: nakryć dłonią jej rękę. Musiałby jednak wstać i obejść stół. Czuł się zbyt niezgrabny i skrepowany, aż w końcu zrobiło się za późno na ten gest. Siedział dalej w milczeniu, które można było odczytać jako szacunek, lecz on sam dobrze wiedział, że to wyraz bezradności.

– Nauczyłam się pokory. – Znów patrzyła mu prosto w oczy. – Uważam, że Bóg ma jakiś cel we wszystkim, co się dzieje. Gdybym w to nie wierzyła, nie przetrwałabym. Mam Jezusa.

Znów nie wiedział, co powiedzieć. Czuł dzielącą ich przepaść i zastanawiał się, czy różnica w ich sposobie myślenia ma coś wspólnego z różnicą między kobietą a mężczyzną. Wdowa miała w sobie coś, czego nie potrafił pojąć i do czego nie mógł dotrzeć samodzielnie. Musiał szukać sensu we wszystkim i burzył się, jeśli go nie znajdował. Ona była pogodzona z życiem, nawet gdy dotyczyło jej najokrutniej: śmiercią dziecka. Miała w sobie siłę, jemu całkowicie nieznaną. Ale może też i on nigdy nie potrzebował być tak silny jak ona, chociaż uważał dręczące go sny za ciężar wprost nieludzki. Zawsze miał świadomość, że szanuje wdowę po Carlu Rasmussenie. Teraz uświadomił sobie, że ją również podziwia. Jednocześnie coś w nim burzyło się przeciw jej pogładowi na życie.

Znów zapadło milczenie i znów to ona je przerwała.

– Wciąż mam wokół siebie dużo dzieci. Moje wnuki. No i malców z sąsiedztwa.

– Wiem, wiem, pani się angażuje, gdy jakaś rodzina jest w potrzebie.

– Od czasu do czasu biorę do siebie jakieś dziecko. Chcę się czuć potrzebna. Gdybym nie czuła się potrzebna, chyba nie mogłabym żyć. – Znów spojrzała mu prosto w oczy. – Czy pan się czuje potrzebny, kapitanie Madsen?

– Potrzebny? – powtórzył. – Czy ja się czuję potrzebny? Nie wiem. O swoich snach nie mogę nikomu opowiedzieć. Nawet w pani budzą odrazę... – urwał.

Po raz kolejny miał wrażenie, że posuwa się za daleko. niesprawiedliwie było cokolwiek jej wyrzucać. Przecież wysłuchała go, nie uciekła jak ten głupek Anders Nørre. Przeprosił ją spojrzeniem. Odpowiedziała na nie, patrząc ze spokojem.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – To niesprawiedliwe oskarżenie. Ma pani pełne prawo odmówić słuchania o moich snach. Jaką radość mogłyby komuś sprawić? Gorzej chyba, że również doświadczenia zdobyte podczas długiego życia na morzu dziś zdają się nikogo nie interesować. Tak, czuję się niepotrzebny. Rozmawialiśmy o tym wcześniej, w kościele. O uczuciu, że żyje się za długo. Kiedy człowiek przestaje być dla kogokolwiek radością, to chyba oznacza, że żyje za długo.

– Nikt z nas nie jest niepotrzebny, kapitanie Madsen.

– Ależ mówiła pani przecież...

– Owszem, przyznaję, że czasami mogę się wydać pesymistką. Dzieje się tak, gdy myślę o tym niekończącym się rozstaniu z Carlem, wtedy czuję, że żyję już za długo. Ale kiedy się żyje za długo i mimo wszystko nie może się umrzeć, to trzeba znaleźć jakiś powód dalszego istnienia. Człowiek jest nieprzydatny, no cóż, ale wyłącznie we własnych oczach. Zawsze znajdzie się ktoś, kto go potrzebuje. Chodzi po prostu o to, by go odnaleźć.

Albert nic nie powiedział. Niemal tymi samymi zdaniem posłużył się w rozmowie z panią Koch, gdy przekazywał jej wiadomość o zatonięciu „*Ruth*”. Nie czuł jednak, że miałyby dotyczyć jego samego. Różnili się z Anną Egidią, w odmienny sposób patrzyli na życie. Ona miała swoje powody, by żyć, on swoje stracił. Jego zdaniem nic w tej kwestii nie dało się zrobić.

Pani Rasmussen nachyliła się do niego.

– Widzi pan, kapitanie, znam pewnego małego chłopca ze Snaregade. Niedawno stracił ojca. Dziadka nigdy nie poznał, bo zginął na morzu długo przed jego narodzeniem. Pozostałych mężczyzn z rodziny prawie nie widuje, bo przecież stale pływają. Matka pochodzi z Birkholm i jest sierotą. Również ona nie ma rodziny. Nie wydaje się panu, że takiemu chłopcu przydałoby się, żeby ktoś od czasu do czasu zabrał go na spacer po porcie, a może nawet na wycieczkę jolką, by trochę przyzwycząić go do morza?

– Owszem, z pewnością – odparł, niepewny, do czego zmierza wdowa.

Anna Egidia nagle się uśmiechnęła. To był piękny uśmiech, kazał zapomnieć o jej wąskich, bezkrwistych ustach.

– A tutaj mamy pana, kapitanie Madsen. Starego, doświadczonego żeglarza, który chodzi i skarży się, że nie jest nikomu potrzebny.

Powiedziała to żartobliwym tonem. Zrobiła pauzę i popatrzyła na niego wyzywająco, jak gdyby oczekiwała odpowiedzi.

– I co z tego? – spytał niezbyt mądrze.

– Nie domyśla się pan, do czego zmierzam?

Jej zapadnięta twarz zrobiła się wręcz okrągła od tyłu uśmiechów. Albert pokręcił głową. Czuł się teraz głupio. Okręciła go sobie wokół palca.

– Ja myślę, że pan może być człowiekiem, który weźmie tego chłopczyka za rękę i zabierze na przejażdżkę swoją jolką.

– Ależ ja w ogóle nie znam tej rodziny. Nie mogę tak się narzucać.

– Zapewniam pana, że matka chłopca nie uzna pana za natręta. Będzie wdzięczna i zaszczycona.

– Przecież ja nie mam pojęcia o dzieciach.

Nadał głosowi surowy ton, chcąc ukryć niepewność. Nagle poczuł się zdradzony. Wdowa Rasmussen zwabiła go w pułapkę, a on dał się w nią głupio złapać. W przypływie słabości otworzył się przed drugim człowiekiem, bo samotność za bardzo już mu ciążyła. Sądził, że są dwojgiem starych ludzi rozmawiających o życiu. Tymczasem ona była starą kobietą, a on starym mężczyzną, i to odmieniło tę rozmowę. Starzy mężczyźni rozmawiają ze sobą o morzu i statkach, bo to one stanowiły treść ich życia, ale on miał swoje życie wewnętrzne, którym nie mógł się z nikim podzielić. Podzielił się z nią, lecz okazało się, że za tym, co brał za chęć wysłuchania go, krył się konkretny cel. Wreszcie go ujawniła. Potraktowała go jak narzędzie w swojej działalności charytatywnej.

Właściwie to nie chłopca odrzucił, kiedy wstał i się pożegnał. Odrzucił ją.

– Nie chce pan nawet wiedzieć, jak mu na imię? – spytała, odprowadzając go do drzwi.

Nie – odparł. – To mnie nie interesuje.

CHŁOPIEC

•

Następnego dnia pojawiła się pod jego drzwiami z chłopczykiem, którego trzymała za rękę. Albert stanął w progu, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie bardzo umiał ocenić wiek dziecka, ale chłopiec mógł mieć pewnie jakieś sześć, siedem lat. Miał jasne włosy i odstające uszy, ogniście czerwone na grudniowym mrozie.

– Nie zaprosi pan nas do środka, kapitanie Madsen?

Wdowa uśmiechnęła się do niego. Dzień wcześniej ubóstwiał sposób, w jaki uśmiech rozjaśniał jej twarz, przydając jej okrągłości i łagodności. Teraz był przekonany, że ów uśmiech jest fałszywy. Odsunął się na bok i gestem zaprosił ich do środka. Potem pomógł wdowie zdjąć płaszcz, chłopiec rozebrał się sam.

– Przywitaj się z kapitanem – powiedziała wdowa.

Chłopiec wyciągnął rękę i sztywno się uklonił.

– Nie powiesz kapitanowi, jak ci na imię?

– Knud Erik – odparł chłopiec zawstydzony, nie odrywając oczu od podłogi. Znieruchomiał w ukłonie.

Coś w tym jego zawstydzeniu wzruszyło Alberta.

– Ile masz lat? – spytał.

– Sześć. – Chłopczyk się zaczerwienił.

– Nie stójmy tu, w tej zimnej sieni.

Zaprowadził ich do salonu i zawołał gospodynię.

– Kawy?

– Chętnie, dziękuję – kiwnęła głową wdowa.

– A ty czego się napijesz?

– Mnie się nie chce pić – odparł chłopiec i zaczerwienił się jeszcze mocniej.

– Ale ciastko pewnie zjesz?

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

Ściągnął ramiona, usiłując stać się niewidzialny.

Albert zdjął z parapetu jasnoróżową muszlę.

– Widziałeś kiedyś taką dużą muszlę?

– Mamy taką w domu.

– A skąd się wzięła?

– Ojciec przywiózł.

Delikatne, ściągnięte ramiona chłopca przypominały ptasie skrzydła. Przygryzł dolną wargę i wpatrzył się w perski dywan leżący na podłodze, jak gdyby najbardziej interesowały go wijące się arabeski. Lekko drżał.

Albert zakłopotany popatrzył na wdowę. Ona w milczeniu pokręciła głową. Poczul się głupio.

– Może znajdę coś, czego jeszcze nigdy nie widziałeś – powiedział, żeby przerwać ciszę. – Chodź!

Ujął chłopca za rękę i zaprowadził do swojego gabinetu. Na oknie stał drewniany model „Princess”. Był to duży model, miał ponad metr długości i prawie tyle samo wysokości. Albert wziął go w obie ręce, ostrożnie przeniósł do salonu i postawił na dywanie.

– Nikomu nie wolno się nim bawić, ale tobie pozwolę, jeśli obiecasz, że będziesz ostrożny.

– Będę.

Gdy gospodyni przyniosła kawę, Albert usiadł naprzeciwko wdowy. Chłopiec oglądał kotwicę. Potem delikatnie obrócił kołem sterowym. Lekko pchnął „*Princess*” po dywanie, obiema rękami przyłożonymi do kadłuba zakołysał statkiem z boku na bok, naśladowując odgłos fal i szum wiatru w takielunku.

Albert bacznie go obserwował. Gdy spostrzegł, że chłopiec jest całkowicie pochłonięty zabawą, zwrócił się do wdowy:

– Mówiłem pani, że nie znam się na dzieciach.

Pani Rasmussen się roześmiała.

– Tym niech się pan nie martwi. Niech go pan traktuje jak jednego z członków załogi. Najmłodszego. Niech pan będzie kapitanem tak jak zwykle.

– Dlaczego on miałby chcieć spędzać czas z takim starym człowiekiem jak ja?

– On tego chce. Dla niego będzie pan samym Panem Bogiem. Niech mu pan po prostu opowiada o swoich podróżach i przeżyciach, a znajdzie pan słuchacza, jakiego nie miał pan nigdy wcześniej. I musi pan wreszcie przestać protestować, bo więcej komplementów już pan nie usłyszy.

•

Następnego dnia Albert poszedł po Knuda Erika. Chłopiec mieszkał na Snaregade, „na południu”, jak mówimy. Klara Friis była w ciąży i zapewne wkrótce miała rodzić. Duży brzuch okrywała czarną chustą. Albert nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej ją widział, i to go zaskoczyło. Marstal było małym miastem; a najwyraźniej już go nie znał, chociaż żył tu tak długo.

Zaprosiła go do środka na kawę, ale odmówił. Nie chciał sprawiać kłopotu. Poza tym wolał mieć to już za sobą. Nie potrafił pozbyć się uczucia, że w całą tę sytuację został wciągnięty podstępem; irytacja na panią Rasmussen go nie opuszczała.

Knud Erik szedł obok niego, milcząc. Ruszyli w stronę portu. Był pogodny dzień, niebo wysokie, rozjaśnione słońcem. Chłopczyk nie miał rękawiczek i ręce szcerwieńiały mu na mrozie.

– Co zrobiłeś z rękawiczkami?

– Zgubiłem.

Przeszli wzdłuż Havnegade do Pirsu Parowców i stanęli w milczeniu, patrząc na wodę. W ciągu nocy pokryła się warstewką lodu. Słońce migotało w drobinkach szronu. Albert nie wiedział, co ma mówić. O czym się rozmawia z dziećmi? Poczul znów irytację.

– Chodź – powiedział do małego, najwidoczniej zafascynowanego widokiem zamrożonej wody. Szli dalej keją, mijając skład węgla, w stronę Pirsu Książęcego.

– Jak to jest, kiedy się tonie? – spytał nagle chłopiec.

– Woda wypełnia człowiekowi usta i w końcu nie można już złapać powietrza.

– Utonąłeś kiedyś?

– Nie – odparł Albert. – Jak się utonie, to człowiek umiera. A ja przecież tu jestem.

– Czy wszyscy w końcu toną?

– Większość ludzi nie tonie.

– Mój ojciec utonął – powiedział chłopiec tonem takim, jak gdyby ta śmierć w pewnym sensie stanowiła dla niego powód do dumy i podnosiła prestiż ojca.

Ale zaraz jego głos stracił tę moc.

- A jak utoniemy, to nigdy więcej nie wrócimy?
- Nie, już nie wrócimy.
- Mama mówi, że ojciec stał się aniołem.
- Musisz słuchać tego, co mówi mama.

Albert czuł rosnące zaniepokojenie tą rozmową. Bał się, że chłopiec nagle się rozplacze, a on nie będzie wiedział, co z nim począć, oprócz tego, że może odprowadzić go do domu i tam zostawić. To jednak było niemożliwe. Nie mógł przyprowadzić płaczącego dziecka. To byłaby klęska porównywalna z utratą ładunku czy rozbiciem statku. Spróbował skierować uwagę chłopca na coś innego. W porcie pełno było statków cumujących burta w burtę przy palach. Niektóre zatrzymali właściciele z powodu wojny, inne wróciły do macierzystego portu na zimę. Akurat w tej chwili nic nie wskazywało na to, że Marstal przestaje być miastem portowym.

Albert wskazał statki.

– Będiesz kiedyś marynarzem? – spytał i od razu pożałował swojego pytania.

– A utonę tak jak mój ojciec?

– Większość marynarzy wraca do domu. Starzeją się i w końcu umierają we własnym łóżku.

– Ja chcę być marynarzem tak jak ojciec – oświadczył chłopiec. – Ale nie chciałbym utonąć, żeby mnie zjadły ryby. I nie chcę też umierać w łóżku, bo łóżko jest do spania. Mogę w ogóle nie umierać?

– Nie – odparł Albert. – To niemożliwe. Ale jesteś jeszcze taki mały. Masz przed sobą wiele lat życia. To prawie to samo co nigdy nie umrzeć.

– A ty chcesz umrzeć?

– Mnie to obojętne. Jestem już stary. Wszystko mi jedno, czy umrę.

– Więc nie jest ci smutno?

– Nie, nie jest.

– A mamie jest smutno. Cały czas płacze. Ja ją pocieszam.

– Dobry z ciebie chłopiec. – Albert wskazał na wodę. – Zobacz, tam stoi parowiec. Kiedy zostaniesz marynarzem, to na pewno będziesz pływał parowcem.

– Parowce nie toną?

Albert spojrział na wysmołowany kadłub statku. Na dziobie widniała nazwa „*Wspomnienie*”, namalowana białymi literami.

– Owszem, toną.

W jednym ze snów widział, jak „*Wspomnienie*” idzie na dno.

– Na dole parowca zawsze trzeba utrzymywać ogień i gorąco tam jak w pralni, kiedy się pali pod kotłem. Ludzie cały czas dokładają do ognia. Pracują tak dzień i noc. Nigdy nie oglądają słońca ani księżyca. Wychodzą na górę tylko po to, żeby jeść i spać. Ale wysoko na mostku sternik trzyma ręce na kole sterowym i bezpiecznie prowadzi parowiec przez morze.

– Chcę być sternikiem – oświadczył chłopiec.

– I będziesz. Ale musisz się dobrze uczyć teraz, bo inaczej nie przyjmą cię do Szkoły Nawigacyjnej.

Zostawili za sobą przystań jolek i poszli jeszcze kawałek dalej, mijając stocznice statków drewnianych. Zza pomalowanych na czerwono ścian z desek dobiegał rytmiczny stukot młotków. Tylko przy nowo wzniesionej Stoczni Statków Stalowych panowała cisza. Inżynier Henckel podczas swoich wizyt chwalił się zamówieniami, które otrzymał z Norwegii. Ale na razie wciąż jeszcze nic się nie działo.

Chłopiec chyba się zamyślił. W końcu spojrział na Alberta.

– A jak to wygląda, kiedy parowiec tonie?

Albert zastanowił się. Nigdy nie widział czegoś takiego na własne oczy, ale sny z najdrobniejszymi szczegółami pokazały mu, jak „*Wspomnienie*” obraca się do góry dnem i znika w masach wody.

– Z wnętrza kadłuba słychać odgłos wybuchu – powiedział chłopcu.
– To zimna morska woda zalewa gorący wielki kocioł. Ze wszystkich otworów w statku wydobywa się para. Wielkie kawały węgla wylatują przez komin i skajlajt. – Wskazał na „*Wspomnienie*”. – Tam i tam. Potem statek się obraca i przez chwilę leży do góry dnem.

– Do góry dnem! – zawołał chłopiec. Zachwycony popatrzył na wodę. – Taki wielki parowiec i obraca się do góry dnem!

– Tak. – Alberta zaskoczyło wrażenie, jakie jego opowieść wywarła na chłopcu.

– Opowiadaj dalej! – Mały patrzył na niego wyczekująco.

– Potem parowiec zaczyna tonąć, najpierw od strony rufy. W końcu dziób stoi prawie pionowo. Ostatnią rzeczą, jaką widać, zanim fale zamkną się nad statkiem, jest jego nazwa.

Albert zamilkł, chłopiec pociągnął go za rękę.

– Jeszcze!

– To już koniec.

Chłopiec popatrzył na niego rozczarowany. Albert uświadomił sobie, że pierwszy raz opowiedział komuś swój sen ze wszystkimi szczegółami. Nagle otworzyły się jakieś zamknięte drzwi. Dla chłopca to była tylko bajka. Albert widział to po blasku, który nagle zapłonął w jego oczach. Mógł mu opowiedzieć wszystko. Mógł go nawet wtajemniczyć w źródło swojej wiedzy, w zagadkowe sny, a chłopiec zaakceptowałby to jako część baśniowego świata, gdzie nic nie musi być wyjaśniane i nikogo nie piętnuje się jako dziwaka, ponieważ widzi przyszłość.

Nie, nie znał się na dzieciach, ale wówczas zrozumiał, że w dziecięcym umyśle nie ma wątpliwości. Jego sny mówiły o śmierci, właściwie tylko o niej. Albert domyślał się jednak, że dla chłopca śmierć w opowieści to jedno, a śmierć w rzeczywistości to coś zupełnie innego. Opowiedział o statku zatopionym przez okręt podwodny, a ojciec chłopca wraz z resztą załogi pływał na „Hydrze”, która bez śladu zaginęła na morzu. Ale mały najwyraźniej nie łączył tych dwóch rzeczy ze sobą.

Albert nie bardzo wiedział, co dla niego samego oznacza fakt, że po raz pierwszy w życiu opowiedział komuś jeden ze swoich snów. Czuł jednak, że to ważne.

– To już koniec. Ale kiedyś mogę ci opowiedzieć jakąś inną historię.

– Znasz dużo takich historii?

– Owszem, dużo. A na wiosnę nauczę cię wiosłować. Chodź, wracamy do domu.

Buzia chłopca pokraśniała na zimnie. Podskoczył kilka razy, potem wsunął rączkę w dłoń Alberta i razem powędrowali z powrotem przez Havnegade.



Albert zaczął przychodzić do domu Knuda Erika. Anna Egidia nie mogła wciąż pełnić funkcji pośredniczki, więc teraz sam zabierał i przyprowadzał chłopca. Wprawdzie mieszkali na dwóch różnych krańcach miasta, lecz Marstal było na tyle małe, że Knud Erik właściwie mógłby sam przychodzić i wracać. Albert czuł jednak, że chłopiec zostaje mu powierzony pod opiekę. Był za niego odpowiedzialny i trzymał się zasad. Zabierał podopiecznego spod drzwi domu na Snaregade i tam go odprowadzał.

Onieśmiałej matce Knuda Erika zawsze na jego widok odbierało mowę. Już urodziła dziecko i za każdym razem, gdy Albert się pojawiał, trzymała niemowlę na rękach, jakby chciała je ochronić przed bliskością człowieka, w którego obecności czuła się niepewnie. Albert nie przyjął jej pierwszego zaproszenia na kawę, ponieważ nie chciał sprawiać kłopotu. Za drugim razem się zgodził. Bał się, że kobieta przyjmie jego odmowę za dowód pogardy.

Na statku istniały różnice. Był podział na dziób i rufę, a on sam żył na nietykalnym obszarze przynależnym kapitanowi, który nazywał wyspą samotności. Ale te różnice miały związek z rangą i autorytetem. Wynikały z praktycznej konieczności. Nigdy nie uważał tego za różnice społeczne. Dopiero w domu u chłopca przejrzał na oczy. Ojciec Knuda Erika, Henning Friis, był marynarzem. Ożenił się wcześniej i nie zdążył awansować. Większość mężczyzn wstrzymywała się z ożenkiem do trzydziestki, gdy stać ich było na ślub. Zdobywali patent sternika i udziały w statku. W tej rodzinie musiała być wielka miłość, a może po prostu nieostrożność.

Gdy jakiś człowiek nie zaszedł daleko w życiu, Albert zawsze uważał to za dowód jego osobistej nieudolności. Od jakiegoś czasu myślał jednak, że może być inaczej. Dostrzegł to w matce chłopca i jej milczeniu. Skąd brał się ten paraliż w obecności tych lepszych? Tak, bo ona uważała go za kogoś lepszego. „Nie wypada”, „To za dużo” albo „Nie powinien pan”. Z jej ust padały jedynie zduszone zdania. Oczy zawsze pozostawały wbite w podłogę albo spoglądały na niemowlę. Takie zachowanie wynikało z zachowania całych pokoleń. Wywodziła się z innego rodu niż on, nie z rodu nieudolnych, tylko po prostu wyłączonych z procesów, których on dotychczas nie umiał dostrzec.

W domu panował ład i porządek, w oknie stały doniczki z geranium i lakiem. Ale meble stanowiły istną zbieraninę. Na ścianach nie było obrazów, tylko purchle od wilgoci na tapecie. Żaden porządek nie zdołał ich ukryć. Wilgoć sączyła się z murów; jej przyczyną była marna konstrukcja domu, który zbudowano dla biednych. Taki dom nie stawał się zaniedbany. Zaniedbanie było jego istotą.

Zimą panował tu albo lodowaty chłód, albo upał jak w szklarni, w zależności od tego, czy starczało pieniędzy na koks. Albo z ust unosiły się białe obłoczki pary, albo człowiek siedział jak w łaźni wśród wilgoci i gorąca, gdy przekarmiony kaflowy piec w kącie na dobre się rozpałił. Jeśli Albert przychodził po chłopca bez uprzedzenia, zwykle było zimno jak w psiarni. Jeśli matka wcześniej przekazała mu zaproszenie na kawę, witał go zaduch. Tak czy owak, było tak samo niezdrowo i nieprzyjemnie.

Nigdy ze sobą poważnie nie rozmawiali. Jej onieśmienie zastępowało wdzięczność. Ale kobieta nigdy nie patrzyła mu w oczy, ani nie powiedziała nic prosto z serca. Przez cały czas istniała między nimi przepaść.



Kiedy woda w porcie zamarzała, Albert chodził z Knudem Erikiem na spacer między uwięzionymi statkami. Na lodzie stały nieduże drewniane budki, w których sprzedawano jabłka w cieście i gorący sok z czarnego bzu. Smakołyki cieszyły się dużą popularnością wśród wielu osób, które przyszły na łyżwy, a w przejrzystym zimowym powietrzu rozbrzmiewały wesołe okrzyki. Albert uczył chłopca rozpoznawać rozmaite typy statków. W porcie stały nieduże, typowo marstałskie słupy i kecze z wyraźnie zaokrąglonymi burtami i płaskimi pawężowymi rufami. Było też wiele różnych rodzajów szkunerów, zwykle dwumasztowe, sztaklowe i urejone. Knudowi Erikowi najbardziej spodobła się brygantyna i wielkie barkentyny, z pewnością ze względu na ich rozmiary. Z rodzajami ożaglowania chłopcu trudno było sobie poradzić, szczególnie teraz, gdy żagle zdjęto i tajemnice statków zdradzały jedynie czarne kreski masztów i rei na tle zimowego nieba.

– To tak jak w szkole, kiedy będziesz się uczył czytać i pisać. Ożaglowanie to abecadło każdego marynarza.

– Opowiedz jakąś historię – prosił chłopiec.

Albert opowiadał więc historię. Brał ją z własnego życia albo ze swoich snów. Chłopcu nie sprawiało to żadnej różnicy, a z czasem Albertowi także. Czuł się tak, jakby coś w nim, co przemocą rozdzielono, na powrót się zrastało. Niekiedy chłopiec śledził wzrokiem łyżwiarzy, a wtedy Albert widział, że mały go nie słucha.

– Umiesz jeździć na łyżwach? – spytał kiedyś.

Chłopiec pokręcił głową.

– No to musimy cię tego nauczyć.

•

Ich wyprawy kończyły się zawsze w domu Alberta na Prinsegade. Chłopiec, zostawiwszy drewniaki w sieni, stawał przy piecu. Tu zdejmował jeszcze wełniane skarpety i w ciepłe bijącym od kafli poruszał czerwonymi palcami stóp. Albert stawiał swoje buty obok chodaków małego. Zimą wciąż czasami wkładał stare marynarskie buty Lauridsa. Mieściła się w nich dodatkowa para wełnianych skarpet. Stały tak – z pódługimi cholewkami i grubymi, okutymi żelazem drewnianymi podeszwami – obok butów Knuda Erika.

Gospodyni przynosiła gorącą czekoladę i świeżo ubitą śmietaną. Albert siadał przy stole i rysował. Był dobrym i starannym rysownikiem, a na swoich obrazkach przedstawiał ze szczegółami rozmaite rodzaje omasztowania i ożaglowania. Nie zapominał też o mewach i mocnym wietrze. Statki lekko się pochylały, tak by dało się pokazać pokład. Za kołem sterowym stał ludzik jak z zapalek i palił fajkę. Nigdy nie brakowało kambuza, luków i plandek. Przed statkiem Albert zawsze rysował spiralę.

– Co to jest? – spytał chłopiec pewnego dnia.

– To malstrom.

– Co to jest malstrom?

– To gwałtowny wir w morzu, który wsysa wszystko. Za chwilę statek zniknie.

Knud Erik spojrział na niego, a potem wskazał na ludzika za kołem sterowym.

– Sternik ocali statek. Po prostu popłynie gdzie indziej.

– Nie zdąży – stwierdził Albert. – Już za późno.

Chłopiec zapatrzył się w rysunek skazanego na śmierć statku. Oczy zabłyśły mu od łez.

– To niesprawiedliwe! – zawołał. Szybkim ruchem złapał kartkę i zaczął ją drzeć na kawałki. Albert już miał chwycić go za ramię, ale się powstrzymał.

– Przepraszam – powiedział.

– Ty zawsze tak robisz! Zawsze rysujesz ten... – Nie umiał poradzić sobie z trudnym słowem. – To tutaj. Dlaczego?

– Nie wiem – odparł Albert i uświadomił sobie, że to prawda. Nigdy się nie zastanawiał, dlaczego za każdym razem, gdy rysuje statek, umieszcza również malstrom przed dziobem. Spirala przyciągała jego ołówek z nieodpartą siłą. Szkicował kreski pod jakieś tajemne dyktando, które słyszał tylko jego ołówek, a nie on sam.

– Żał takich pięknych statków – powiedział chłopiec.

– To prawda, żal. Ale ich czas minął. Epoka żagli już się skończyła.

– Przecież w porcie jest mnóstwo statków z żaglami – zaprotestował chłopiec.

– Masz rację. Ale nikt już nie chce być żeglarzem.

– Ja chcę. Ja zostanę żeglarzem. – Odwrócił się i gniewnie spojrział na Alberta. – Tak jak mój ojciec.



Matka Knuda Erika zaczęła nabierać większej swobody. Smutek zniknął z jej twarzy i Albert doszedł do wniosku, że to życie przyzywa ją na powrót. Jej mąż zmarł, ale trzymała na rękach żywe dziecko i z czasem równowaga musiała powrócić. Dziecko, dziewczynka, której pastor Abildgaard na chrzcie dał imię Edith, potrzebowało jej i żałoba musiała ustąpić. Klara Friis nie stała się przez to bardziej rozmowna, ale nie wbijała już spojrzenia w podłogę.

To Knud Erik przełamał dzielące ich lody. Sam dawno przestał wstydzić się Alberta. Resztki dawnego zażenowania pojawiały się dopiero wtedy, gdy w pobliżu była matka. Jak gdyby ona i Albert reprezentowali dwa tak różniące się od siebie światy, że chłopiec nie potrafił połączyć ich mostem. Ale teraz wysokim, radosnym głosem składał raporty z przygód, przeżytych w ciągu dnia. Początkowo matka go uciszała. Ponieważ jednak sama nie miała nic do dodania, pozwalała mu w końcu dojść do słowa.

Czasami Albert przyłapywał ją na zerkaniu na niego. Natychmiast spuszczała wzrok.

Nie miała już zapuchniętej twarzy, a jej włosy odzyskały blask. Starła się też ładniej ubierać, gdy przychodził. Pomyślał, że to znów różnica stanu. W towarzystwie tych lepszych trzeba było się stroić.

– Już umiem jeździć na łyżwach, a kapitan Madsen nauczy mnie też wiosłować i pływać. Wtedy się nie utopię. Będę mógł zostać marynarzem.

To oświadczenie zostało ogłoszone pewnego dnia, gdy siedzieli w pokoju przy obowiązkowej kawie.

Głos matki zabrzmiał ostro, a twarz mimo miękkiego zaokrąglenia policzków stężała.

– Nie chcę nic podobnego słyszeć! Nie będziesz marynarzem!

Knud Erik wbił wzrok w podłogę.

– Idź do kuchni!

Chłopczyk wyszedł ze spuszczoną głową. Klara Friis zwróciła się do Alberta, który zdążył wstać.

– Ja już raczej pójdę.

– Nie, proszę, niech pan zostanie – powiedziała. W jej głosie nagle zabrzmiał lęk.

Albert stał.

– Proszę nie okazywać mu takiej twardości – poprosił.

Ona też wstała z krzesła i podeszła do niego bliżej.

– Niech pan mnie źle nie zrozumie... Nie chciałam...

Zacięła się i przez chwilę stała bezradna, błędząc spojrzeniem. W końcu łzy napłynęły jej do oczu, które się zaczerwieniły. Albert położył jej rękę na ramieniu. Przysunęła się o krok i stanęła tuż przy nim. Nagle oparła czoło na jego piersi. Poczował, że drżą jej ramiona.

– Przepraszam – wydusiła trzęsącym się głosem.

Usłyszał, jak kobieta przelęka ślinę, by zapanować nad szlochem.

– To po prostu takie... trudne.

Trzymał dłoń na ramieniu Klary z nadzieją, że ciężar jego ręki w jakiś sposób ją uspokoi. Kobieta uległa jednak naporowi łez. Albert czuł ciepło jej ciała. Obiema rękami trzymała klapy jego marynarki, jakby się bała, że ją odepchnie. Był od niej znacznie wyższy, niemal zniknęła między wielkimi ramionami. Ogarnęło go niemal zapomniane uczucie, że jest mężczyzną.

Niezgrabnie poklepał ją po plecach.

– Już dobrze, dobrze – powiedział. – Proszę usiąść i napić się kawy. Zobaczy pani...

Spokojnie ją objął i odprowadził do krzesła, z którego przed chwilą się poderwała. Nachyliła się i zasłoniła twarz dłońmi. Nalał jej kawy do filiżanki. W przyпіływie nagłej czułości pogładził ją po włosach. Podniosła głowę, lecz zamiast wziąć podaną filiżankę, obiema dłońmi ujęła jego swobodną dłoń i popatrzyła na niego błagalnie.

– Knud Erik tak bardzo pana potrzebuje. Nie wie pan nawet, ile pan znaczy dla niego... dla nas. Nie chciałam... – znów się zacięła.

Albert skorzystał z okazji, by uwolnić rękę. Usiadł naprzeciwko niej.

– Proszę mi wierzyć, pani Friis, dobrze panią rozumiem. Wiem, jak trudna jest pani sytuacja. Zrobię wszystko, co mogę, by pani pomóc.

Te ostatnie słowa jego samego zaskoczyły. Zawsze wyraźnie oddzielał chłopca od jego matki. To w wychowanie chłopca się zaangażował. Teraz runęła jakaś bariera.

Klara Friis wyjęła chusteczkę i wytarła oczy. Głos miała zachrypnięty.

– To nie tak – powiedziała. – My sobie damy radę. Tylko że... – urwała, wciąż walcząc z płaczem. – Tylko że tak trudno... – Po policzkach popłynęły jej łzy. Ręka z chusteczką leżała na kolanach, jakby Klara zapomniała, że ją ma.

Nagle w drzwiach do kuchni stanął Knud Erik. Oczy miał szeroko otwarte i wystraszone.

– Stało się coś złego, mammo?

Zaprzeczyła gestem ręki, nie mogąc dobrać słów. Chłopczyk podbiegł do niej, a ona wtuliła głowę w jego pierś. Objął ją mocno.

– Nie smuć się, mammo.

W jego głosie pobrzmiwał dorosły ton. Albert uświadomił sobie, że w jego towarzystwie Knud Erik jest dzieckiem, lecz w domu, przy matce, mężczyzną, odpowiedzialnym i mającym obowiązki jak dorosły.

– Pójdę już – powiedział cicho.

Żadne nie spojrzało na niego. Kiedy zamykał drzwi, usłyszał jeszcze głos Knuda Erika:

– Obiecuję, mamó, obiecuję. Wcale nie chcę być marynarzem.



Gdy pogoda nie pozwalała na spacer, chodzili w odwiedzin. Wcześniej Albert był odludkiem i trzymał się na uboczu. Teraz widywaliśmy go wszędzie. Zastukali do drzwi Christiana Aaberga, a gdy pięćdziesięcioletni kapitan im otworzył, Albert przedstawił mu chłopca.

– To jest Knud Erik. Chciałby posłuchać o Afryce.

Chłopczyk uklonił się i wyciągnął rękę, ale nie stał już ze zwieszoną głową, jak gdyby ktoś zapomniał go nakręcić. Śmiało wszedł do salonu. Kapitan opowiedział mu o tym, jak przemierzył Afrykę i jak dowodził dwudziestoma dwoma Murzynami na statku pływającym po jeziorze Tanganika.

– Chciałbyś obejrzeć moją murzyńską dzidę? – spytał.

Knud Erik kiwnął głową.

W salonie Aaberga stały żelazne kufry.

– Podróżowały ze mną do Afryki i z powrotem – wyjaśnił.

– Sam je nosiłeś? – spytał Knud Erik.

Aaberg roześmiał się.

– W Afryce biały człowiek nic nie nosi sam – odparł. Otworzył kufer. – Zobacz, to murzyńska dzida. I tarcza. Potrzymaj je! – Wsunął chłopcu dzidę w rękę i pokazał mu, jak ma trzymać tarczę. – Teraz jesteś prawdziwym murzyńskim wojownikiem.

Knud Erik wyprostował się i uniośł rękę jak do rzutu.

– Nie tutaj – ostrzegł Christian Aaberg. – Tą włócznią można zabić człowieka.

U telegrafisty Blacha, który spędził trochę czasu w Chinach, były stroje mandaryńskie i pałeczki do jedzenia. Do Josefa Isagera nie poszli. Albert uważał, że odrąbane ręce nie są dla dzieci. Odwiedzili natomiast Emanuela Kromana, który opłynął przylądek Horn i potrafił nadać swemu głosowi straszny ton, gdy naśladował wycie wichru w takielunku w tym najbardziej niebezpiecznym ze wszystkich miejsc na morzu.

– Słyszałem krzyki pingwinów wśród czarnej nocy – opowiadał. – Byliśmy w morzu przez dwieście dni. Woda się skończyła i z kieliszków do wina piliśmy roztopiony śnieg. Gdy wreszcie zawinęliśmy do Valparaiso, zjedliśmy cały worek kartofli. Nie zaczęliśmy nawet, aż się ugotują, tacy byliśmy wygłodzeni.

– Naprawdę zjedliście je na surowo? – spytał chłopiec.

•

Wszędzie, gdzie przychodzili, stały kufry marynarskie wypełnione najprzeróżniejszymi rzeczami. Były tam szczęki rekina, ryby najeżki i wielki żąb ryby piły, szczypce homara wielkości końskiej głowy, pochodzące z Morza Barentsa, zatrute strzały, kawałki lawy i koralu, skóra antylopy z Nubii, sejmitary – zakrzywione miecze z Afryki Zachodniej, harpun z Ziemi Ognistej, kalebasy z Rio Hash, bumerang z Australii, szpicruta z Brazylii, fajki do palenia opium, pancernik z La Platy i wypchane aligatory.

Każda rzecz miała swoją historię. Za każdym razem, gdy chłopiec wychodził z jednego z niskich domów z wysokimi spadzistymi dachami, towarzyszyło mu poczucie nieskończoności świata, od którego kręciło się w głowie. Skórzany tam-tam znad rzeki Calabar, amfory z Kefalos, indyjski amulet, wypchany ichneumon walczący z kobra, turecka fajka wodna, żąb hipopotama, maska z wysp Tonga, rozgwiazda z trzynastoma ramionami, wszystko to sączyło mu na ucho swą historię.

– Pół kilometra stąd w tamtą stronę – Albert wskazał na Prinsegade w stronę rynku – zaczyna się wieś. Tam mieszkają ludzie, którzy znają wyłącznie własną ziemię. O świecie za swoją miedzą nie mają pojęcia. Starzeją się, ale do śmierci widzieli mniej, niż ty już zdążyłeś zobaczyć.

Chłopiec popatrzył na niego z uśmiechem. Albert czuł, jak tęsknota małego biegnie we wszystkie strony świata. Knud Erik nie miał ojca, lecz Albert sprawił, że jego ojcami stały się miasto i morze.

•

Nadeszła wiosna i Albert zaczął uczyć chłopca wiosłować.

– Jaki przyjemny odgłos – powiedział Knud Erik, siedząc na ławeczce w łodzi, wsłuchany w plusk wody obmywającej poszycie burty z zachodzących na siebie klepek. Słyszał ten odgłos już wcześniej z nabrzeża. Teraz otoczył go ze wszystkich stron. To było coś innego.

Albert ujął go za ręce i położył je na wiosłach.

•

Albert dobrze wiedział, że inspiruje Knuda Erika, a do czego innego mógł go inspirować niż do tego, co najbardziej naturalne dla chłopca z Marstal? Ale Klarze Friis nie mógł powiedzieć o tym otwarcie. Czuł jej wrażliwość i niepewność w obcej jej roli wdowy. Może jednak tchórzostwem z jego strony było niewystępowanie w obronie Knuda Erika. Uznał po prostu, że jeszcze za wcześnie. Życie będzie dla Klary Friis najlepszym nauczycielem. Pożegnała męża. Pewnego dnia będzie musiała pożegnać również syna. To będzie inne pożegnanie, nie ze zmarłym, tylko z żywym, który miał wyruszyć na morze, rzucając wyzwanie śmierci.

Knud Erik prowadził podwójne życie. Jedno w domu, gdzie musiał przyrzekać matce, że nigdy nie zostanie marynarzem. Drugie z kolei w towarzystwie Alberta, w którym mógł marzyć o tym, że będzie taki jak ojciec. Błękit morza i biel żagli, to była paleta chłopięcej duszy. A słowo klucz brzmiało „marynarz”. Równie dobrze mogło to być słowo „mężczyzna”, bo właśnie obietnica męskości popychała chłopców na morze.

Dlaczego kobieta zakochuje się w marynarzu? Dlatego że jest z góry stracony, przywiązany do czegoś odległego, nieosiągalnego i w zasadzie niepojętego również dla niego samego? Dlatego że wypływa? Dlatego że wraca do domu?

W Marstal odpowiedź nasuwała się sama. Nie było zbyt wielu kandydatów do obdarzenia uczuciem. Ubożsi mieszkańcy Marstal nie pytali nawet, czy ich syn wypłynie na morze, czy nie. Należał do morza od dnia urodzenia. Istniało jedynie pytanie, jaką nazwę będzie nosił statek, na który chłopak zaokrętuje się po raz pierwszy. Istniał tylko taki wybór.

Klara Friis pochodziła z Birkholm, małej wysepki, którą mijaliśmy, gdy wiosną opuszczaliśmy port i przez Mroczną Głębię wypływaliśmy na otwarte morze. Albert pamiętał wiosenne dni z wysokim niebem i świeżym wiatrem, gdy łód pękał i z Marstal wychodziło naraz sto statków. Jakby całe miasto witało wiosną postawionymi żaglami, tak białymi jak rozproszone, szybko topniejące płyty kry. Miał wrażenie, że to słońce, a nie wiatr, napina żagle. To właśnie jasne, budzące się ciepło stanowiło naszą siłę napędową. Tą wiosenną paradą potrafiliśmy zapełnić połowę wód wokół archipelagu. Patrzyliśmy na siebie z pokładów w drodze ku setkom portów, w tej chwili zjednoczeni. Narastało w nas poczucie wspólnoty, zmieniając się w coś na kształt szczęścia.

Na tych z wysepek, które były zamieszkane, wieśniacy schodzili na brzeg i machali do nas, gdy ich mijaliśmy. Stali na białym piasku, małe, prędko znikające punkciki, przywiązane do swoich spłachetków ziemi, ze wszystkich stron otoczonych bezkresnym morzem, które na co dzień ich zapraszało, a któremu oni codziennie odmawiali. Poprzestawali na machaniu.

Czy właśnie w taki sposób Klara Friis znalazła swego marynarza? Pragnęła stamtąd uciec i zakochała się w kimś, kto chciał uciec jeszcze dalej niż ona? Czy w białych żaglach dostrzegła obietnicę, a nie zauważyła, że żagle obiecywały coś innego niż spełnienie jej marzeń? Żagle bowiem składały swoją obietnicę mężczyznom, nie kobietom.

•

Przy kawie spytał ją o Birkholm. Nie urodziła się na wyspie i niejasne pozostawało, w jaki sposób jej rodzina tam trafiła. Zadał też pytanie o rodziców, o których mówiono mu, że nie żyją. Nie wiedział tylko, kiedy zmarli.

Klara przygryzła wargę.

– Nauczyciel był prawdziwym postrachem dzieci – oświadczyła takim tonem, jak gdyby czuła się zobowiązana do powiedzenia czegoś o swoim życiu na Birkholm, a teraz znalazła wyjście, niepozwalające Albertowi zanadto się do siebie zbliżyć. – Stale bolały mnie uszy. Uwielbiał je wykręcać.

Albert pokiwał głową. Znał trochę warunki szkolne na Birkholm, które musiało dzielić się nauczycielem z sąsiednią wyspą Hjortø. Nauka trwała przez dwa tygodnie, po czym następowała dwutygodniowa przerwa. Zbyt dużo wiedzy nie włączano dzieciom do głów.

Klara siedziała wpatrzona w swoje dłonie. Nagle jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Gdy podniosła oczy, Albert dostrzegł w jej spojrzeniu jakiś mrok. Nie był to dawny, znany mu już smutek, tylko coś innego, głębszego, strach jak u zwierzęcia, które boi się o własne życie, lecz nie potrafi nazwać swego wroga.

– Był pan kiedyś na Birkholm? – spytała.

Pokręcił głową.

– Przepływałem tamtędy. Nie bardzo jest tam co oglądać. Wyspa jest, zdaje się, całkiem płaska.

– Tak. Najwyższy punkt wznosi się na dwa metry.

Uśmiechnęła się lekko, jakby przepraszająco. Zaraz potem w jej spojrzeniu powrócił mrok.

– Kiedyś przyszła powódź. – Wstrząsnął nią dreszcz. – Nigdy tego nie zapomnę. Miałam wtedy osiem lat. Woda cały czas się podnosiła. Cała wyspa zniknęła. W ogóle nie było jej widać. Zostało samo morze. Ze wszystkich stron tylko morze. Schowałam się na strychu, ale tam też bałam się siedzieć. Było bardzo ciemno. Potem wdrapałam się na dach. Fale waliły o dom. Morska piana docierała aż do kalenicy. Przemokłam i strasznie marzłam.

Roztrzęsała się tak, jakby tamten chłód wciąż jej nie opuścił.

– A co się stało z pani rodzicami?

Skuliła się. Ściszony głos zaczął drżeć. Albert słuchał zwierzenia dziecka, bezradnego przerażonego dziecka. I właśnie do tego bezbronного dziecka przemawiał. Sam jednak tego nie słyszał. Nie pytał o jej rodziców, lecz ich wzywał. Ktoś przecież musiał się nią opiekować. Chciał, aby w jej historii pojawiła się jakaś zbawcza dłoń. Ojciec, który by ją przytrzymał w mocnych ramionach, matka tuląca do siebie i obdarzająca ciepłem własnego ciała. Ale ona mówiła tak, jakby na tym dachu wśród sztormu i powodzi znalazła się zupełnie sama.

– Czy na tym dachu nie było już nikogo więcej?

– Była jeszcze Karla.

– Karla to pani siostra?

Zwracał się do niej per „pani”. Inna forma byłaby oznaką braku szacunku. Ale w tym momencie czuł się tak, jakby mówił „pani” do dziecka.

– Nie. Karla to moja szmaciana lalka.

– No dobrze, a co z pani rodzicami?

– Siedziałam na kalenicy, trzymając się komina. Potem zrobiło się ciemno, jakby ktoś naciągnął mi na głowę worek na węgiel. Na całym świecie byłam tylko ja i Karla. Wiatr strasznie wył wokół komina. Fale waliły w dom jak w burtę statku. Myślałam, że ściany runą. Mimo wszystko musiałam jednak zasnąć, może tylko na minutę, ale kiedy się obudziłam, Karli nie było. Wypuściłam ją z ręki i zsunęła się z dachu. Wołałam i wołałam, ale nie wracała. – Klara nagle się uśmiechnęła. – Ja tyle gadam. Pan wyciąga mnie na opowiadanie takich głupstw. Muszą się wydawać całkowitymi bzdurami. Przecież pan pływał przez tyle lat. Na pewno przeżył pan gorsze rzeczy.

Albert popatrzył jej prosto w oczy.

– Nie, pani Friis, nie przeżyłem. Nigdy nie doświadczyłem czegoś, co mogłoby się równać z pani przeżyciami w samotności podczas sztormu i powodzi.

Klarze na policzki wystąpił rumieniec. Albert był świadkiem jej przerażenia. W tym momencie powstała między nimi więź, której nigdy później nie mógł już zerwać. Klara ofiarowała mu coś cennego. Powierzyła mu tajemnicę stanowiącą być może samo jądro jej duszy. Wciąż mało wiedział o Klarze. Ale widział jej strach. To mu wystarczyło. I to zobowiązywało.

– Karla – powiedział w zamyśleniu, jak gdyby głośno rozmawiał ze sobą. – To prawie takie samo imię. Jak gdyby była pani bliźniaczką.

– Tak – odparła po prostu. – Prawie jak Klara.

Posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. Wiedziała teraz, że Albert zostawi ją w spokoju. Nie będzie się wdierał w jej życie. Poznał prawdę o Karli i Klarze. Więcej wiedzieć nie musiał. Niczego już nie potrzebowała udowadniać, wyjaśniać i tłumaczyć. Gdy patrzył na nią, stała się tym, czym nigdy wcześniej nie była. Niezapisaną kartką. Otrzymała nowy początek.

Nigdy więcej nie spytał Klary o jej rodziców.



Nadeszło lato, a wojna trwała. Alberta sny nawiedzały teraz rzadziej i nie przeżywał ich tak jak dawniej. Miał Knuda Erika.

„Śniło ci się coś?”, pytał chłopiec, gdy się spotykali.

„Nie, dzisiejszej nocy nie”, odpowiadał Albert.

„Dzisiejszej nocy nie”, powtarzał Knud Erik rozczarowany. „Niedługo musi ci się coś w końcu przyśnić”.

Sny Knuda Erika były urywane i dziwaczne, jak to sny. Zawsze jednak opowiadał o nich z takim samym radosnym zdumieniem w głosie.

Jeden sen się różnił. Knudowi Erikowi śniło się, że tonie.

– Wołałem ojca. Ale on nie przyszedł.

W jego oczach pojawiła się pustka. Przez moment siedział ze ściągniętymi ramionami i spuszczoną głową, jak wówczas, gdy Albert zobaczył go po raz pierwszy.

– A potem utonąłem – dodał bezbarwnym głosem.

Siedzieli w jolce naprzeciw siebie. Albert ujął twarz chłopca w dłoń i popatrzył mu w oczy.

– Nie utoniesz. To był tylko sen. Jeśli kiedykolwiek będziesz tonął, wezwij mnie. Ja zawsze przyjdę.

Ze ściągniętych ramion zniknęło napięcie, jakby ciało chłopca wypełniła ulga. Chwilę później zapomniał już o wszystkim. Chwycił za wiosła, jeszcze nie do końca wprawnie, ale pełen dobrych chęci. Oczy mu rozbłyły.

– Dokąd mam nas dzisiaj zawieźć?

Znajdowali się na środku basenu portowego i patrzyli, jak „*Wspomnienie*” mija Pirs Parowców. Z wysokiego, smukłego komina unosiła się czarna wstążka dymu. Albert długo patrzył za statkiem. Wiedział, że już nie wróci. Obok nich przepłynął łodzią głuchy miejski piaskarz, chłopiec mu pomachał.

– Musisz utrzymywać rytm – przypomniał Albert.

•

Tej samej nocy miał swój ostatni sen. Wiedział, że będzie ostatni, ponieważ zaczął się tak samo jak tamten pierwszy przed trzydziestoma laty. Usłyszał ten sam głos: „Zmierzasz ku niebezpieczeństwu”.

Nie obudził się.

Nie znajdował się na żadnym statku, jak wtedy, gdy pierwszy raz w jego głowie rozległ się głos nieznanego gościa. Nie był na morzu od wielu lat. Mógł wyskoczyć z łóżka, wybiec na balkon i wyrzeć w ciemność, ale nie wydarzyła się żadna katastrofa, z której musiałby kogoś ratować. Znajdował się na lądzie. Ale nie wiedział już, czy to wciąż bezpieczne miejsce.

To był dziwny sen, pełen scen budzących grozę, i tak jak tamtych snów, zapowiadających niegdyś nadejście wojny, również tego nie zrozumiał.

•

Następnego dnia opowiedział o swoim śnie chłopcu.

– Dziś w nocy śniło mi się coś bardzo dziwnego – zaczął.

Chłopczyk popatrzył na niego z ciekawością.

– Opowiadaj! – poprosił zniecierpliwiony, wyczuwając, że stary człowiek przez moment się zawahał.

– Widziałem statek fantom – powiedział Albert. – To znaczy widziałem wiele takich statków, ale to było najdziwniejsze.

– Co to jest statek fantom? – spytał chłopiec.

– Statek widmo.

– A jaki jest ten statek widmo?

– No, wszystko na tym statku było szare. Nie miał żadnych innych kolorów, tylko ten jeden.

– Tak jak okręt wojenny? – spytał chłopczyk, chociaż miał za mało lat, by pamiętać wizytę torpedowców w porcie.

– Tak, tak jak okręt wojenny. Tylko że to nie był okręt wojenny. To był frachtowiec. Parowiec. Może trochę podobny do „*Wspomnienia*”, ale całkiem szary.

– I co jeszcze?

– Teraz usłyszysz najdziwniejsze. To się działo w środku nocy, a mimo to było jasno jak za dnia. Wysoko na czarnym niebie wisiały niesamowicie jasne światła. Nie tkwiły w bezruchu jak gwiazdy, tylko poruszały się powoli w stronę wody, a gdy jej dotknęły, gasły. Ale bez przerwy pojawiały się nowe. Budynki na lądzie stały w ogniu, ale wyglądały inaczej niż domy, które znamy. Były wielkie, zupełnie okrągłe i nie miały okien. A płomienie, które się z nich unosiły, jeszcze przewyższały same budynki. Wszędzie dookoła strzelano z armat. Rozległ się taki huk, że sobie tego nie wyobrazasz. No i jeszcze samoloty. Wiesz, co to jest samolot?

Chłopczyk potaknął.

– I co robiły te samoloty?

– Zrzucały bomby, a statki zapalały się i tonęły.

Chłopiec siedział nieruchomo.

– To był koniec świata?

– Może tak.

– Wiesz co – powiedział chłopiec. – To najlepsza historia, jaką mi opowiedziałeś!

Albert się uśmiechnął. Odwrócił głowę i popatrzył na morze. Był pewien element snu, którego nie wyjawiał. W ciemności nie dostrzegł nazwy statku widma. Ale wiedział jedno z ową szczególną pewnością, którą prorocze sny nauczyły go rozpoznawać: na pokładzie tego statku znajdował się chłopiec. Był tam, w samym środku końca świata.



Albert miał wrażenie, że również w jego życiu coś zbliża się do końca. Nie chodziło wyłącznie o wojnę. Miał niezłatwione sprawy. W pamięci Alberta odżyła nagle dłoń Murzyna na biurku pastora Abildgaarda. Przecież on również miał pod swoją opieką szczątki czegoś, co kiedyś było człowiekiem, i wydało mu się, że Josef Isager, który w jego opinii gardził wszelkim człowieczeństwem, postąpił bardziej moralnie. Przecież zażądał chrześcijańskiego pogrzebu dla ręki, którą kiedyś zapakował do kufra niczym zwykłą pamiątkę, a nie część ludzkiego ciała, brutalnie oddzieloną od reszty.

Odcięta głowa w pudełku. W czym by to miało być lepsze? Czy i on nie był winien Jamesowi Cookowi pogrzebu?



Wybrał się do Josefa Isagera na Kongegade i zapukał do drzwi. Ze środka dobiegł hałas, ale nikt nie przyszedł otworzyć. Albert znów zastukał. Hałas nie milkł. Tłumiły go drzwi, nie potrafił więc dokładnie określić, co się dzieje, ale brzmiało to jak odgłosy bijatyki. Ktoś biegł, potem nastąpiło parsknięcie i czyjeś ciało ciężko uderzyło o ścianę. Albert dotknął drzwi, które od razu się uchyliły. Stał w niewielkiej, ciemnej sieni i mocno zastukał do drzwi salonu.

– Jest tu kto?

W salonie zapadła cisza. Nacisnął kławkę. Na środku pokoju Josef zamierzał się laską. Maren Kirstine stała wyprostowana na kanapie i wyglądała jak mała dziewczynka, przyłapaną na zakazanej zabawie. Wyraźnie jednak uciekła tam ze strachu. Włosy, na które zawsze wkładała siateczkę, rozczochrały się, siwe kosmyki zwiślały wokół wykrzywionej twarzy. Ręką kobieta zasłaniała usta, jak gdyby wstrzymując krzyk.

Josef odwrócił się do niespodziewanego gościa.

– Ty też chcesz dostać? – krzyknął, groźnie robiąc krok do przodu. Twarz z wielkimi opadającymi wąsami i zimne, aroganckie spojrzenie budziły taki sam strach jak zawsze, lecz starzejące się ciało zgarbiło się i zapadło. Albert wyrwał mu laskę i ułożywszy na kolanie, złamał na dwie części. W duchu poczuł zadowolenie. Jeszcze mógł to zrobić.

– U nas się nie bije kobiet – oświadczył, jedną ręką wciskając Josefa w kanapę, a drugą podając sparaliżowanej strachem Maren Kirstine. Skorzystała z pomocy i z trudem zeszła na podłogę.

– Nic się pani nie stało? – spytał.

Pokręciła głową, ale jej stare oczy z czerwonymi obwódkami były pełne łez. Szurając nogami, niepewnie wyszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Na widok jej przygarbionych pleców Albert wpadł w gniew. Złapał Josefa za klapy marynarki, tak oszołomionego, że sam nie mógł się podnieść z kanapy, i zaczął nim potrząsać.

– Bijesz własną żonę! – krzyknął.

Głowa przypominająca łeb orła huśtała się w przód i w tył, spojrzenie pozostawało równie zimne jak zawsze. Albert widział jednak, jak bardzo osłabł dawny pilot. Jeśli w ogóle pozostała w nim jakaś siła, to tkwiła w jego woli, nie zaś w rękach, które mogłyby z niej skorzystać.

– Ha! – prychnął Josef pogardliwie. – Zrobiłem się już za stary. Ona nawet nie czuje, jak ją uderzę.

Drzwi do kuchni ostrożnie się uchyliły.

– Niech pan nie będzie dla niego zbyt surowy – poprosiła Maren Kirstine żalnym głosem.

Albert puścił Josefa i wyprostował się. Stał bezradnie, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Josef z powrotem osunął się na kanapę. Nie unióś głowy. Jego twarz wydawała się przygaszona, jakby wyznaniem o braku siły pozbył się jej całkowicie i teraz bez protestu poddawał się starości.

– Niech pan siada, kapitanie Madsen. Zaraz zrobię kawę.

Głos Maren Kirstine odzyskał normalny ton, jak gdyby nie było nic nadzwyczajnego w tym, że goście, zanim zostaną poczęstowani kawą, trochę poszarpią i poszturchają gospodarza.

W milczeniu siedzieli naprzeciwko siebie, gdy Maren Kirstine krzątała się po kuchni. W końcu przyszła nakryć do stołu, potem przyniosła jeszcze kawę i ciasto. Uczesała się, schowała włosy pod siatką i wytarła oczy, które wciąż miały czerwone obwódki. Nalała kawy do filiżanek i z powrotem schowała się w kuchni.

Josef zanurzył wąsy w kawie i siorbnął. Potem wetknął sobie kawałek ciasta do ust i zaczął żuć, wypuszczając z ust chmurę okruszków.

– Po co przyszedłeś? – spytał.

Wciąż miał w ustach ciasto. Chciał okazać swoją pogardę człowiekowi, który przed chwilą przywołał go do porządku.

– Ta dłoń Murzyna... – zaczął Albert.

– I co z nią? – przerwał mu Josef.

– Dlaczego dałeś ją pastorowi Abildgaardowi?

– Nie twoja sprawa.

Josef zacisnął usta i wessał wargi. Ciągle przeżuwał. Pomimo wąsów zaczął przypominać starą, bezzębną babkę, ssącą obolałe dziąsła.

– Nic więcej nie możesz powiedzieć?

– Mogę, do diabła, mogę!

Josef skończył jeść ciasto i po przełknięciu nagle jakby całkowicie odzyskał mowę. Poderwał się gwałtownie, potrącając stół, aż filiżanka się przewróciła i kawa rozlała się na haftowany obrus.

– Maren Kirstine! – wrzasnął człowiek, któremu nadaliśmy przezwisko od wielkiej części afrykańskiego lądu. – Maren Kirstine! Co to za kawa! Cienka jak szczyny! Dawaj mi tu porządną kawę, taką dla mężczyzny!

Z filiżanką w ręku szarpnięciem otworzył drzwi do kuchni i zaraz je za sobą zamknął. Słysząc było, jak rozbija naczynie o podłogę.

Albert wpatrywał się w drzwi. Podejmował decyzję. W końcu wstał i wyszedł.

•

Następnego dnia zatopił głowę Jamesa Cooka w morzu.

Mroczna Głębia była odpowiednim miejscem spoczynku dla wielkiego odkrywcy. Tu zaczynało się wiele innych podróży po całym świecie, gdy flota Marstał wychodziła z portu na początku wiosny. Widok z cmentarza nie byłby dostatecznie rozległy. Zresztą Abildgaardowi pewnie puściłyby nerwy.

Albertowi przyszło do głowy, by na ostatnią podróż Jamesa Cooka zaprosić Knuda Erika. Nigdy nie pokazał mu spreparowanej głowy, uznał bowiem, że nie jest to widok odpowiedni dla dziecka. Teraz jednak postanowił na to nie zważać. Karmił chłopca przerażającymi opowieściami o tonących i płonących statkach, a Knud Erik te historie uwielbiał. Z pewnością tak samo zareaguje na widok tej ohydnej głowy.

Tak naprawdę Albert postanowił zabrać małego ze sobą, bo pragnął po drodze wygłosić do głowy Jamesa Cooka kilka słów i chciał mieć wówczas słuchacza. Czuł, że z historią Jamesa Cooka wiąże się jakiś morał. Im głębiej jednak się nad tym zastanawiał, tym większe miał wątpliwości, na czym ów morał polega.

Podczas swoich dwóch pierwszych wypraw James Cook traktował napotkanych tubylców z szacunkiem. Uważał ich za równych sobie. Oni jednak odwdzieczyli mu się pogardą. Kapitan więc, postanowiwszy uczyć się na własnych błędach, stał się brutalny i okrutny. Właściwie skończył jak Josef Isager i biali ludzie w Afryce.

Gdzie była równowaga w życiu Jamesa Cooka?

Na statku znalezienie równowagi należało do kapitana. Ale statek to nie cały świat, który jest przecież znacznie większy. Gdzie jest równowaga na świecie?

Czy Albert sam to wiedział? Czy wpadł na coś, co mógłby przekazać siedmioletniemu chłopcu?

Na Jamesie Cooku ciążyła ogromna presja. Przez cały czas musiał udowadniać swoją wartość sobie i innym. Choć był wielkim kartografem Oceanu Spokojnego, nie potrafił jednak stworzyć mapy, która ułatwiałaby mu żeglowanie przez własne życie.

Albert szukał ojca, którego nie odnalazł. Sam musiał wytyczyć sobie drogę i to samo dotyczyło Knuda Erika. Tyle mógł powiedzieć. A może w ogóle nie powinien nic mówić? Może to i tak wszystko jedno?

A jednak zabrał chłopca ze sobą.

Włożył torbę ze spreparowaną głową do drewnianej skrzynki, którą wypełnił kamieniami. Musiała wystarczyć za trumnę. Umieścił ją na ławeczce między sobą a chłopcem.

– To niespodzianka – powiedział. – Otworzemy ją dopiero, gdy dopłyniemy na miejsce.

Wiosłowali na zmianę. Pociągnięcia Alberta były dłuższe, ale chłopiec za każdym razem, gdy przychodziła jego kolej, wkładał w wiosłowanie wszystkie swoje siły. W końcu dotarli do Mrocznej Głębi, skąd mieli widok na płaski Birkholm.

– Stąd pochodzi twoja matka. – Wskazał na brzeg. – Pewnego wiosennego dnia stała tu i zobaczyła, jak przepływa twój ojciec. Zakochała się w nim.

Zmyślał teraz. Klara Friis z całą pewnością nigdy nie opowiadała o swoim pierwszym spotkaniu z ojcem Knuda Erika, lecz chłopcu nie powinny zaszkodzić krajobrazy miłości.

– Wiedziała, że jest marynarzem?

Albert kiwnął głową.

– No to dlaczego ja nie mogę nim zostać?

– Pewnego dnia będziesz mógł. Twoja matka po prostu potrzebuje trochę czasu. Ciągłe się smuci z powodu twojego ojca.

Chłopiec przez chwilę rozmyślał.

– Chcę zobaczyć tę niespodziankę – oświadczył.

Albert otworzył skrzynkę i wyjął spreparowaną głowę. Wciąż była owinięta w to samo zetlałe płótno jak wtedy, gdy ponad pięćdziesiąt lat wcześniej odziedziczył ją po kapitanie „*The Flying Scud*”. Rozwinął materiał i podniósł głowę, by lepiej ją było widać.

Knud Erik zapatrzył się w ciemną twarz, pomarszczoną jak włoski orzech.

– Co to jest?

W jego głosie nie było strachu.

– Ludzka głowa. Ten człowiek umarł wiele lat temu.

– To człowiek po śmierci robi się taki mały?

Albert roześmiał się i wyjaśnił mu technikę zmniejszania głów.

– A jak on umarł?

– Zginął na pewnej plaży na Hawajach. Walczył o życie, ale tubylców było zbyt wielu. W końcu go pokonali.

– To oni zmniejszyli mu głowę?

Albert potwierdził.

Knud Erik przyglądał się Jamesowi Cookowi.

– Dasz mi go? – spytał.

– Nie. On teraz spocznie na dnie morza.

– I już nigdy nie wypłynie?

– Nie. Był największym odkrywcą na świecie. Ale teraz potrzebuje spokoju.

– Mogę go potrzymać?

Nie czekając na odpowiedź, Knud Erik wziął głowę Jamesa Cooka w ręce.

– W końcu umarłeś – powiedział do głowy. – Ale najpierw walczyłeś.

Pogłaskał Cooka po suchych, wyblakłych włosach, jak gdyby chciał pochwalić jego starania.

Owinęli głowę z powrotem w płótno i schowali ją do skrzynki.

– Chcę wygłosić kilka słów – zapowiedział Albert. Odmówił *Ojciec nasz*, tak jak wówczas, gdy kapitan „*The Flying Scud*”, Jack Lewis, poszedł za burtę w zakrwawionej koszuli, owinięty w płótno żaglowe. Od tamtego czasu się nie modlił.

Skrzynka przez chwilę kołysała się na wodzie. W końcu kamienie zaczęły ściągać ją w dół. Na powierzchnię wydobyło się kilka banieczek powietrza i skrzynka zniknęła w zielononiebieskiej toni.

Albert zastanawiał się nad słowami chłopca skierowanymi do głowy. Knud Erik z krótkiej historii, którą Albert mu opowiedział, wyciągnął swój własny morał. Tkwiła w tym również pewna życiowa mądrość, być może nawet najbardziej podstawowa. „W końcu umarłeś, ale najpierw walczyłeś”. Jeśli będzie się jej trzymał, to nie powinno mu pójść źle. Później życie będzie mogło do tego dodać swoje własne niuanse.

•

Kiedy przybili do Pirsu Książęcego, chłopiec wpadł do wody. Chciał zeskoczyć z jolki na nabrzeże, ale źle obliczył odległość. Albert zaraz go wyciągnął.

– Zróbmy to jeszcze raz! – śmiał się Knud Erik.

– Przeszedłeś teraz chrzest – oznajmił Albert. – Raz zostałeś ochrzczony w kościele, a raz w morzu. Teraz jesteś już człowiekiem morza.

– Czy prawie się utopiłem? – spytał chłopiec, wyraźnie dumny.

– Tak, możesz się tym chwalić. Byle nie matce. Raz pod wodą, drugi raz pod wodą, byle nie trzy razy. Pamiętaj!

– A czym jest trzeci raz? – zainteresował się chłopiec.

– Trzeci raz to najkrótsza podróż. Ta, która prowadzi do śmierci. Trwa zaledwie dwie minuty. Kiedy zostaniesz marynarzem, zawsze wybieraj się w najdłuższy rejs. Nigdy w najkrótszy. Zapamiętaj to sobie.

Chłopiec popatrzył na niego i z powagą kiwnął głową. Nic nie zrozumiał. Ale wyczuwał, że usłyszał coś ważnego.

Albert rozebrał go i mokre ubranie rozłożył na przedniej ławeczce do wyschnięcia.

– Powiosłujemy jeszcze trochę – powiedział. – Rozgrzejesz się.

•

„To nie może dłużej trwać”, mówiliśmy o wojnie. „Musi się wreszcie skończyć”.

Ale niczego nie wiedzieliśmy i nie wyznawaliśmy się na polityce.

„Dobre czasy wkrótce miną”, mówili starzy szyprowie, wygrzewający się w letnim słońcu na ławkach koło portu. Ich pomarszczone, wysmagane wiatrem twarze niczego nie zdradzały. Spojrzenia skrywali pod lakierowanymi daszkami kaszkietów. Trudno było stwierdzić, czy przemawiał przez nich wisielczy humor, czy też naprawdę tak uważali.

Również Albert czuł, że wojna niedługo się skończy. Jego prawa kolumna zrównała się niemal z lewą. Nadszedł wrzesień. Chłopiec zaczął chodzić do szkoły, ale popołudniami spotykali się jak zawsze. Zatonęło siedem statków. Ostatnim, który zaginął, był parowiec „*Wspomnienie*”. Więcej strat nie było. Albert odwiedził ostatnie osierocone rodziny. Wojna potrwała jeszcze parę miesięcy, ale w Marstal już się skończyła.

Albert przysiadł się do szyprów w porcie, którzy we wrześnieowym słońcu grzali stare kości, może już ostatni raz przed zimą. W gromadce zapanowało poruszenie. Nie byli przyzwyczajeni do jego towarzystwa.

– No tak, dobre czasy minęły – powiedział, nie kryjąc sarkazmu w głosie.

Tamci znów drgnęli.

– Poległo czterystu czterdziestu siedmiu duńskich marynarzy – ciągnął. W swoich rachunkach utrzymywał porządek. – Z tego pięćdziesięciu trzech z Marstal. To znaczy, że więcej niż co dziewiąty pochodził z naszego miasta.

Zrobił przerwę, by pozwolić im na przetrawienie tych faktów. Potem kontynuował swoją arytmetykę:

– A przecież liczba mieszkańców w Marstal stanowi zaledwie jedną tysięczną ludności kraju. I co jest rozwiązaniem tych rachunków, moi panowie? Dobre czasy?

Wstał z ławki i zasalutował.

Spoglądali za nim, jak wywijając laską, szedł w stronę Havnegade. Tak, tak, Albert był dobry w rachunkach.

„Pięćdziesięciu trzech poległych”, myślał, idąc wzdłuż portu. „Może jestem niesprawiedliwy. Miasto szybko zapomina. Matka, brat, żona czy córka nie zapominają. Ale miasto tak. Miasto patrzy w przyszłość”.

•

Inżynier Henckel stale przyjeżdżał do Marstal. Wysoki i potężnie zbudowany, z rozwianymi połamami jasnego płaszcza przemierzał Kirkestræde w drodze do hotelu „Ærø”, gdzie zawsze czekał na niego przygotowany pokój. Jego przybycie fetowano wielkimi przyjęciami z szampanem dla inwestorów i innych zainteresowanych, których nigdy nie brakowało. Herman sprzedał nie tylko „*Dwie siostry*”, lecz również dom na Skippergade. Był teraz „bezdomny” i urządził się w hotelu „Ærø”, gdzie szybko narósł mu wielki rachunek, którego nie był w stanie zapłacić, ponieważ cały swój majątek zainwestował w projekty Henckla. To jednak nie miało znaczenia, jak twierdził Orla Egeskov, właściciel hotelu, który chętnie udzielał kredytu, również inżynierowi. Egeskov sam był inwestorem i wiedział, że wszystko zwróci się po dziesięciokroć. Każda butelka szampana stanowiła procentujący weksel, a Herman pił wyłącznie szampana.

Henckel kazał dla pracowników stoczni zbudować mieszkania na końcu Reberbanen, tam, gdzie kiedyś głupek Anders Nørre miał swoją szopę. Był to imponujący dom z dwiema klatkami schodowymi, ośmioma mieszkaniami i mansardowym dachem. Nie miał w sobie nic z niepozornych proporcji obowiązujących w mieście. Nie chował się w ciasnych zaułkach, jakby szukał schronienia przed wiatrem. Stał na gołej ziemi, otoczony ze wszystkich stron przestrzenią i miał widok na Bałtyk, jak gdyby inżynier rzucał wyzwanie wiatrowi i morzu jednocześnie. Po szkole na Vestergade i dostojnej poczcie na Havnegade, zbudowanej na granitowych fundamentach, z cementowymi reliefami wijących się girland pod każdym z okien, dom dla robotników Henckla był największym budynkiem, jaki wzniesiono w Marstal. Mieli tam mieszkać zwykli ludzie, jedni nad drugimi, bez ogródka na tyłach, bez własnych drzwi na ulicę.

„Ci ludzie to armia pracy”, mówił zapaleniec Henckel. „A to dopiero początek. Przyjdzie dzień, kiedy zburzymy te wszystkie stare domki, żeby wykorzystać miejsce jak należy”.

Oprócz stoczni w Marstal, Korsør i Kalundborgu był również właścicielem cegielni.

„Mam dość cegieł na zbudowanie całkiem nowego Marstal, jeśli będzie trzeba. Musicie mi tylko powiedzieć, że tego chcecie”.

A potem z przekrwionymi oczami i wielkimi plamami potu na koszuli stawał jeszcze jedną kolejkę w barze hotelu „Ærø”, a my wznosiliśmy toast za nowe czasy, które nadchodziły szybko jak burza. Przyzwyczajaliśmy się już do szampana. Bąbelki wznosiły się ku powierzchni i pękały z leciutkim trzaskiem, laskocząc wargi. Nie przestawały się wydobywać. Tak samo jak nie było końca pomysłom inżyniera.

Herman też przyłączył się do toastu. Nie podwijał już rękawów koszuli, tylko spinał mankiety spinkami. Wszyscy przecież słyszeliśmy o dwóch błędach ortograficznych w jego tatuażu.

W Marstał pojawił się bank. Wcześniej mieliśmy tylko Kasę Oszczędnościową. Teraz zawitał tu Bank Handlowo-Kredytowy ze Svendborga. Budynek powstał naprzeciwko biura maklerskiego Alberta i był jeszcze wyższy niż szkoła, poczta i dom dla robotników Henckla, z wielką fasadą wychodzącą na Prinsegade. Granitowe schody z szerokimi stopniami, równoległymi do ulicy prowadziły do wielkich lakierowanych dębowych drzwi z mosiężną klamką, przypominających wrota do twierdzy.

•

W Stoczni Statków Stalowych od czasu do czasu rozlegało się postukiwanie młotka do nitów, ale wciąż jeszcze żaden statek nie zjechał z pochylni.

Albert pozdrowił szkutnika Petera Raahauge, gdy ten po fajrancie wracał do domu przez Buegade. Raahauge odpowiedział, unosząc palec do kaszkietu, i przystanął. Albert spytał wtedy o pracę w stoczni.

– Zobaczymy niedługo, jak wodujecie statek?

Szkutnik postawił skrzynkę z narzędziami na bruk i skrzyżował wielkie ręce na piersi. Miał podwinięte rękawy i gęsto owłosione przedramiona. Wysunął dolną wargę i prychnął pogardliwie w wąsy, a potem przecząco pokręcił głową.

– To jakieś naprawdę dziwaczne przedsięwzięcie – stwierdził. – Jeśli wyciąganie stępki ma być tym samym co budowanie statku, to swego czasu zbudowałem dużo statków. Wręg i płyt poszycia na razie jeszcze nie widziałem.

– Jak to może działać? – zdziwił się Albert. – Nic z tego nie rozumiem.

– My, zwykli śmiertelnicy, też tego nie pojmujemy. Ale to dlatego, że nie jesteśmy tacy mądrzy jak Henckel. Widzi pan, kapitanie Madsen... – Raahauge przysunął głowę do Alberta. Głos zniżył do poufalego tonu. – Inżynier urządził to tak, że Norwegowie będą musieli zapłacić pierwszą ratę już wtedy, gdy zrobimy stępkę. Henckel zaprosi ich tu na szampana i pokaże stępkę, a oni pomyślą, że statek jest już prawie gotowy. Nie będą wiedzieć, że poprzednia grupa oglądała ten sam kil. Cały czas pokazujemy to samo.

– A więc Henckel inkasuje wielkie sumy za statki, których nie dostarcza? Ale to przecież oszustwo! – Albert poczuł się wręcz urażony.

– To pan powiedział, kapitanie Madsen, nie ja. Ale niedługo poszukam nowej pracy. Bo to tutaj z całą pewnością padnie.

Peter Raahauge zsalutował Albertowi, przykładając palec do daszka kaszkietu, i zniknął w górze ulicy.



Albert od kilku lat łowił krewetki. Wielu z nas się tym zajmowało po zejściu na ląd. Niektórzy robili to z biedy, Albert w ten sposób spędzał czas. Wody wokół wysp były morzem chłopców i starców. Jako dziecko dobrze poznał wszystkie wysepki, zatoki, cyple, głębiny, mielizny i niewidoczne prądy. Badał je wówczas z kolegami z miasta. Między dzieciństwem a starością rozciągały się oceany świata. Teraz znów wracał do znajomych miejsc, do najmniejszych liter na mapie morskiej. Zaczął łowić w dobrych latach przed pierwszą wojną światową, a gdy przyszło mu żyć w tyranii proroczych snów, połów krewetek stanowił dla niego ucieczkę. Kiedy zapominając o sobie samym, opróżniał więcierze, pod sunącymi po niebie chmurami nastawało zawieszenie broni.

Właśnie o krewetkach myślał Albert pewnego wieczoru, gdy rozstawszy się z Knudem Erikiem i jego matką, przez Nygade wyruszył do swego domu na Prinsegade. Krewetki. Postanowił, że gdy następnym razem wybierze się po krewetki, weźmie ze sobą Knuda Erika. Chłopiec powinien się nauczyć również tej sztuki, a poza tym przyniesie matce wiadro krewetek. Resztę mogą sprzedać w porcie, Knud Erik miałby wtedy pieniądze i jak dumny, mały mężczyzna przyniósłby dochód do domu. Byłaby to częściowo zabawa, a częściowo prawdziwa pomoc dla ubogiej wdowy, która z pewnością nie zgodziłaby się przyjąć od Alberta bezpośredniego wsparcia. Zazwyczaj kapitan oddawał nadmiar krewetek pierwszej osobie, jaka zjawiała się w jego biurze, albo Lorentzowi po drugiej stronie ulicy.

Tego lata zastawił więcierze wzdłuż brzegu Langeland. Zaczął od Sorekrogen i przesuwiał się ku Ristinge. Łowił w jasne letnie noce. Morze było gładkie jak lustro. Pierwsze promienie słońca ledwie zaczynały pojawiać się na północnym wschodzie, gdy wypływał z portu, a odgłos wioseł niósł się daleko po wodzie.

Spytał chłopca, czy miałby ochotę z nim popłynąć.

•

Trwały już letnie wakacje. Knud Erik nie miał żadnych obowiązków szkolnych. Gdy pogoda nie zachęcała do kąpieli, objął się i wolne dni mu się dłużyły. Matka zgodziła się na wyprawę po pewnym wahaniu. Między nią a Albertem powstała więź. Czuł to wyraźnie, lecz odpychał od siebie myśli o naturze tej więzi. Coraz częściej stawał przed lustrem. Zdarzało się też, że w gęstej szpakowatej brodzie pojawiał się uśmiech. Uśmiech towarzyszący rozpoznaniu kogoś. Albert pozdrawiał w lustrze starego znajomego, którego nie widział od wielu lat: siebie, ale młodszego.

Miał zabrać chłopca wieczorem. Mały mógł przespać się u niego na kanapie w salonie do trzeciej nad ranem, kiedy wyruszą na morze.

Kiedy przyszedł, Klara smażyła małe, grube naleśniki. Ten miejscowy specjał powinien być podawany na gorąco, pospieszyła więc do kuchni. Albert stanął drzwiami i przyglądał się, jak kobieta mocnymi rękami wylewa z ciasta ósemki na wielkiej patelni. Na ogniu szybko rosły i stawały się niedużymi, grubymi plackami, które Klara, gdy tylko przybrały złocistą barwę, przekładała na brązowy pergamin, żeby ociekł z nich tłuszcz. Knud Erik już przy niej czekał na pierwszy naleśnik, który zaraz posypał cukrem.

Podczas smażenia naleśników nie zamienili ani słowa, ale w ciszy nie było napięcia. Albert stał w drzwiach ze skrzyżowanymi rękami i w pewnej chwili zorientował się, że w obecności młodej kobiety czuje się jak w domu.

Obwiązała włosy chustką, by chronić je przed pryskającym tłuszczem. Kiedy kosmyk spadł jej na oczy, dmuchnęła, by go odsunąć, śląc przy tym Albertowi wesołe spojrzenie. Odpowiedział uśmiechem.

Do naleśników podała kisiel agrestowy. Spytał, czy sama go przyrządziła. Potwierdziła. W ogródku na tyłach domu rosły krzewy agrestu. Nawet najbiedniejsze chałupy w mieście miały ogródki. Klara usmażyła znacznie więcej naleśników, niż byli w stanie zjeść, a te, które zostały, zawinęła w ściereczkę razem z miską kisielu.

– To na wypadek, gdybyście w nocy zgłodnieli.

Odwróciła się do Knuda Erika i podała mu wełniany sweter.

– Na wodzie będzie zimno.

– Ja nie zmarznę – oświadczył chłopiec urażonym tonem, bo przecież właśnie poczuł się mężczyzną.

– Ja też biorę sweter. – Albert położył mu rękę na ramieniu. – A teraz pożegnaj się z matką.

Klara stała w drzwiach i machała im, gdy odchodzili w stronę Kirkestræde.

•

Horyzont jaśniał, lecz w zenicie stała jeszcze ciemność, podtrzymując życie w ostatnich gwiazdach, gdy zbudził chłopca. Podał mu filiżankę gorącej kawy.

– To cię rozbudzi.

Knud Erik podrapał się jedną ręką w głowę, drugą biorąc filiżankę.

– Podmuchaaj!

Mały dmuchnął, z wahaniem wysunął wargi i z siorbnięciem wypił pierwszy łyk. Skrzywił się. Albert zabrał mu filiżankę i wsypał do niej łyżeczkę cukru.

– Teraz będzie lepsza.

Chłopiec znów się napił, na jego buzi pojawił się uśmiech zadowolenia.

Spał w spodniach i koszuli. Albert wciągnął mu przez głowę wełniany sweter. Sam też włożył swój, gruby, islandzki.

Odcumowali od Pirsu Książęcego i zaczęli wiosłować przez basen portowy. Chłopiec skulony na ławeczce trząsł się, niewyspany i zmarznięty.

Albert podał mu wiosło.

– Pomóż mi trochę.

Knud Erik przesiadł się na tylną ławeczkę. Włożył wiosło do wody i zaczął nim poruszać okrężnymi ruchami, które w wodzie dawały ten sam efekt co śruba. To Albert nauczył go tej techniki, którą my, marstalczyki, nazywamy „śrubkowaniem”.

Minęli Pirs Parowców i wzięli kurs na Ristinge. Knud Erik się rozgrzał. W dobrym tempie sunęli po gładkim lustrze wody. Ich łódź jako jedyna wypłynęła tak wcześnie. Godzinę później dotarli do Sorekrogen. Więcierze były pełne krewetek.

– Zostanie trochę dla twojej matki – powiedział Albert.

Rozsiedli się na ławeczkach i zajadali naleśniki. Słońce wyłoniło się znad horyzontu, rozpalając nisko zawieszony pasmo chmur. Poza tym niebo było pogodne.

– Będzie dzisiaj plażowa pogoda – stwierdził Albert.

– Opowiedz mi o spreparowanej głowie! – poprosił Knud Erik.

•

Parę godzin później znów wchodzili do portu. Słońce zawędrowało wyżej na niebie i czuło się jego ciepło, chociaż poranek był jeszcze wczesny. Minęli Pirs Parowców i zbliżyli się do Pirsu Książęcego. Knud Erik przeszedł na dziób i sprawnie szykował się do cumowania. Albert napełnił krewetkami wiadro. Potem odprowadził chłopca do domu na Snaregade. Mały biegiem wpadł do środka z wiadrem w rękę. Nawet na zewnątrz słyszać było jego radosny głos.

W drzwiach pojawiła się matka.

– Dziękuję za krewetki, kapitanie Madsen. Proszę tak nie stać, tylko wejść do środka. – Odsunęła się na bok, żeby przepuścić go w wąskich drzwiach.

Albert usiłował zrobić się jak najszczuplejszy, lecz mimo to dotknął jej ramieniem. Znał ten dom i sam trafił na kanapę. Stała tam już przygotowana dla niego filizanka. Klara przeszła do kuchni i wróciła stamtąd z dzbankiem.

– Połów nam się udał – powiedział Albert. – Knud Erik staje się zamożnym człowiekiem.

– Nie możemy przyjąć pieniędzy.

Twarz jej się napięła.

– To nie jest żaden podarunek, pani Friis. Chłopiec ciężko pracuje i musi dostawać swoją część, to oczywiste.

Knud Erik zachwycony zaczął podskakiwać.

– Wyjmij swoje kąpielówki i ręcznik, a potem biegnij na plażę.

– Mogę? Mogę? Mogę?

Mały złapał rytm i nie przestawał skakać.

– Oczywiście, że możesz. Uciekaj!

Chłopiec pobiegł do kuchni i po chwili wrócił ze zwiniętym ręcznikiem pod pachą. Już miał wybiec do sieni z ręką uniesioną na pożegnanie, lecz nagle się zatrzymał. Potem podszedł do Alberta i wyciągnął do niego rękę. Sztywno się kłaniając, podziękował za wyprawę. Albert lekko zmierzwił mu włosy.

– To ja ci dziękuję.

Kiedy Knud Erik już wyszedł, Albert zwrócił się do Klary:

– To świetny chłopak. Musi pani o niego dbać.

– Pan mnie w tym wyręcza.

Uśmiechnęła się, a Albert podniósł wzrok. Ich spojrzenia się spotkały, a on nie potrafił stwierdzić, czy było to przypadkowe. Czuł, że powinien odwrócić oczy. Miał jednak wrażenie, że coś sparaliżowało jego wolę. Na twarzy pojawił mu się niekontrolowany uśmiech. Na policzki Klary Friis powoli wstępował rumieniec. Najwyraźniej ona też nie mogła oderwać się od tej chwili, która się rozciągała, aż wreszcie wydawało się, że sekundy zmieniają się w minuty, a te z kolei w godziny dziwnie pozbawione ciężaru. W końcu Klara spuściła wzrok. Albert musiał się powstrzymać, by nie poprosić jej o wybaczenie, bo przecież nic się nie stało.

Chrząknął.

– Dziękuję za kawę.

Spojrzała na niego zdezorientowana, jakby obudził ją ze snu. Policzki wciąż miała czerwone.

– Już pan idzie?

– Tak, chyba raczej powinienem – odparł z nadzieją, że te słowa zabrzmiały neutralnie, a pożegnanie nie pogłębi niezręczności sytuacji, w której się przed chwilą znaleźli.

– Ach! – westchnęła, jakby jego wyjście było dla niej niespodzianką.

Albert siedział i czekał na dalszy ciąg. Klara wpatrywała się w swoje dłonie.

– Mam nadzieję, że nie uzna mnie pan za zbyt natrętą, ale czy nie miałby pan ochoty przyjść wieczorem na kolację? Skoro mamy krewetki...

Popatrzyła na niego.

– Bardzo chętnie. Przyniosę butelkę wina.

– Wina? – Jej zakłopotanie jeszcze się wzmogło.

– Och, może pani nie pije wina?

Klara potarła czoło. Nagle roześmiała się zza dłoni.

– Nigdy nie próbowałam.

– Kiedyś musi być pierwszy raz. Niech to będzie dziś wieczorem.

•

Gdy wyszedł na ulicę, ujrzał potężną postać Hermana, który w nasuniętym na czoło kaszkiecie szybkim krokiem kierował się w stronę portu. Mężczyzna zerknął spod daszka i znaczącym spojrzeniem obrzucił dom, który kapitan właśnie opuścił, a potem znów spojrzał na Alberta i nonszalancko go pozdrowił, podnosząc palec do czapki. Albert odpowiedział na pozdrowienie, lecz między nimi nie padło ani jedno słowo.

Albert skierował się w stronę Kirkestræde, zastanawiając się nad spojrzeniem, które właśnie posłał mu młody człowiek. Czyżby Herman go śledził? Czegoś się domyślał? Potem wzruszył ramionami. Co za pomysł! Przecież między nim a matką Knuda Erika nic nie zaszło. Ale to zaproszenie na wieczór? Wino? Przecież jeszcze nie tak dawno trzymał w objęciach płaczącą wdowę, a teraz, podczas rozmowy o winie, pojawił się w ich rozmowie niemal nastrój flirtu. Ten jej śmiech zza dłoni zasłaniającej usta. Czyżby zaczynała czuć do niego coś więcej? A może odwrotnie? Może widział to wszystko w jakimś osobliwym świetle, ponieważ sam się nią zainteresował?

Zdziwił się własną głupotą. Nawet taka myśl wydała mu się nieprzyzwoita. Nie wiedział, ile dokładnie lat ich dzieli. Ale różnica wieku była duża. Mógł być ojcem wdowy, a nawet dziadkiem.

Miał swoje życie i swoje środowisko. Nie chciał, by coś to wszystko zakłóciło. Widział i słyszał więcej, niż mu było potrzeba. Nocne sny wstrząsały nim do głębi. Uważał je za kropkę, w brutalny i zły sposób kończącą jego życie, postawioną przez Boga, którego okrucieństwo odpychało go, nie pozwalając ani wierzyć, ani błagać o litość. Tę wiarę, którą miał, wiarę w ludzi, stracił. U kresu znalazł się w ciemności jak ciężko ranny rozbitek na brzegu pełnym kości, gdzieś na krańcu świata.

Ale jego życie nieoczekiwanie zaczęło się na nowo. To siedmioletni chłopiec przywrócił mu wiarę. Odkąd dołączyła jeszcze matka chłopca, pokusa nowego życia wydawała się silniejsza niż kiedykolwiek. Nie mógł zaprzeczyć, że w obecności Klary Friis odczuwał dziwną radość. Knud Erik zrobił pierwszą wyrwę w murze samotności, za którym dotychczas żył. Przy Klarze miał wrażenie, że cały mur się wali.

Tak, to nieprzyzwoite. A jednak nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.



Było już późne popołudnie, gdy Albert siedział w balii, szykując się do wieczornego spotkania, gdy nagle coś go ukłuło w duszy. Osoba mniej dumna i mniej uparta nazwałaby to lękiem. Jego myśli znów zaczęły krążyć wokół Klary Friis. Co by sobie pomyśleli ci zawsze gotowi wszystko osądzać ludzie, gdyby nagle zobaczyli go z kobietą o tyle od niego młodszą? Potwór O'Connor walił pięściami, lecz człowieka można zranić również inaczej. Język mógł być najgroźniejszą bronią. Tam, gdzie sędzią jest plotka, nie ma apelacji. W takim trybunale nie obowiązuje żadne prawo. Ale czy mógł pozostać obojętny? Zrobił już w życiu to, co powinien. Zdobył szacunek. Stworzył całą flotę statków. Dzieło jego życia zostało zakończone. On sam żył dalej, ale czy w tym nowym, późniejszym życiu nie ma nowej wolności?

Wyszedł z balii i zaczął się wycierać. Spojrzał w lustro zaparowane od gorącej wody i rącznikiem zrobił okienko w jego matowej powierzchni, aby móc się przejrzeć. Rzadko patrzył na swoje ciało oczami innych. Dla niego było narzędziem do pracy, a probierzami, które wobec niego stosował, siła i wytrzymałość, bez względu na to, czy stał na pokładzie i walczył z morzem, czy też musiał używać potężnych mięśni, by potwierdzić swój autorytet przed ludźmi, którzy nie znali swojego miejsca w szeregu. Jak długo mógł wytrzymać bez snu, gdy sztorm wymagał jego nieprzerwanej obecności na mostku? Czy wciąż miał autorytet?

W lustrze zobaczył, że klatka piersiowa mu się zapadła, a od ramion prowadzą rozstępy do obwisłych mięśni, niebędących już w stanie utrzymać własnego ciężaru. Kędzierzawe włosy pokrywające tors od wielu lat były siwe. Ale skryte pod ubraniem ciało wydawało się jędrne jak zawsze.

•

W pewien letni wieczór kochał się z Cheng Sumei w jej wielkiej willi na przedmieściach Hawru, nie wiedząc, że to ich ostatni raz. Wieczór był taki sam jak wiele innych. Płomienie świec w nieruchomym powietrzu, zapach kadzidła. Pochyliła się nad nim i pozwoliła mu rozwiązać pasek jedwabnego kimona, które rozsunęło się, odsłaniając jej nagie ciało, tak białe jak płatki chińskiej drzewiastej peonii, z leciutkim odcieniem, którego nie nazwałby żółtawym, lecz raczej śmietankowym. Skóra gładka jak u wypolerowanej figurki z jadeitu. Nie rozumiał tej tajemnicy, której nie łączył ze Wschodem, tylko z nią: wcale się nie starzała. W okresie ich znajomości jedynie wokół jej ust pojawiło się parę linii zdradzających dojrzałość. Były jak kreski na rysunku, jeszcze wyraźniej podkreślały jej urodę.

Cheng Sumei rozpuściła długie włosy i pozwoliła im opaść. Albert zniknął cały w ciemności gęstych splotów. To była uwertura do ich miłości, nieodmiennie taka sama. Zamknął oczy, oddając się w jej ręce, które łagodnymi pieszczotami gładziły go po policzkach. W końcu jej usta dotknęły jego warg.

Nazajutrz się nie obudziła. Leżała jak Śpiąca Królewna z czarnymi włosami rozrzuconymi na białej haftowanej poduszce z jedwabiu. Umarła tak, jakby po prostu odwróciła twarz i spojrzała w inną stronę. Nigdy się nie zestarzała, nie dotknęła jej żadna choroba, a jednak rozstała się z życiem.

Cheng Sumei odeszła. Właśnie tak myślał Albert: opuściła łóżko w środku nocy i odeszła daleko od niego. Patrzył na jej martwe ciało na prześcieradle, jak gdyby było kimonem, które z siebie zrzuciła. Przez długi czas co noc czekał na znajomy szelest jedwabiu, który rozlegał się, gdy się przed nim rozbierała. Zamykał oczy, chociaż w pokoju panował mrok, i czekał na dotyk jej dłoni przesuwających się po jego twarzy.

W ciągu dnia dużo pracował, ale nawet codzienne obowiązki nie pozwalały mu od niej uciec ani nawet oderwać myśli. Wspólnie prowadzili przecież interesy. Towarzyszył jej w biurze maklerskim. Wieczorami zabierali do domu telegramy i gazety, omawiali stawki frachtu i wydarzenia polityczne na świecie. Uczył się od niej. A ona od niego. On przecież znał morze z bliska i gdy pojawiały się jakieś problemy z załogą lub gdy była niezadowolona z dyspozycji kapitana, to on podejmował decyzję. W kwestiach nowego rynku, który się właśnie otwierał, decydowali oboje po długim namyśle. Oboje odnajdywali się w działalności maklerskiej, i to stanowiło więź, która połączyła ich najmocniej.

Wciąż pamiętał moment, kiedy się w niej zakochał. Luis Presser zaprosił go na obiad do willi, w której Albert później miał spędzić tyle nocy. Przy stole wpatrywał się w nią zauroczony. Siłą woli musiał odwracać wzrok i uczestniczyć w konwersacji prowadzonej po angielsku. Po pewnym czasie sam czuł to, co rzucało się w oczy i było wręcz kłopotliwe: w ogóle nie zwracał się bezpośrednio do niej, nawet nie patrzył w jej stronę, chyba że ukradkiem. Jeśli coś odczuwał, to szacunek połączony z lękiem. Cheng Sumei miała w sobie przezroczystość, która w jego oczach czyniła z niej istotę tajemniczą, wręcz nie z tego świata. Jakby się nie spodziewał, by mogła zajmować się czymś tak przyziemnym jak otwieranie ust i rozmowa. Dlatego za każdym razem, gdy się do niego zwracała, wpadał w takie samo przerażenie, jak z pewnością zareagowałby wierzący na widok poruszających się w jowialnym pozdrowieniu ust posągu boga, do którego się modlił na klęczkach.

– *Monsieur* Madsen, czy chciałby pan, abym opowiedziała panu o tej chwili, w której zakochałam się w Zachodzie? – spytała.

Wymawiała jego nazwisko z silnym francuskim akcentem, ale po angielsku mówiła bezbłędnie.

Jej spojrzenie było żywe, pełne ciekawości i rozbawienia, jak gdyby domyśliła się jego zakłopotania i postanowiła pozbyć się woalu tajemniczości. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, bo widział tylko jej długie, gęste rzęsy, gdy spuszczała wzrok, a nie oczy ukryte za nimi.

– To się stało wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłam gaszenie ognia – ciągnęła. – Musi pan zrozumieć, że my w Chinach uważamy, iż pożar wywołują złe duchy. Gdy jakiś dom staje w płomieniach, staramy się te duchy odstraszyć. – Zrobiła aktorską pauzę, żeby podkreślić to, co jeszcze chciała powiedzieć. – Hałasem. Biciem w bębny i czynele. Widziałam wiele domów, które spłonęły do cna przy akompaniamencie bębnow. Nasza kultura liczy sobie pięć tysięcy lat i przez wszystkie te pięć tysięcy lat nie przyszło nam do głowy, by gasić ogień wodą. Anglicy założyli w Szanghaju ochotniczą straż pożarną. Wybuchł pożar po drugiej stronie ulicy, na której mieszkałam. Zaczęło się palić wieczorem i angielscy dżentelmeni, którzy byli ochotnikami, przybyli wprost z uroczystej kolacji w cylindrach, frakach i koszulach z białymi nakrochmalonymi gorsami, które prędko poczerniały od sadzy. Stali z wielkimi wężami gaśniczymi i kierowali je na płomień. Gdy ogień z sykiem zgasł i okazało się, że dom w większej części ocalał, właśnie wtedy momentalnie zakochałam się w Zachodzie. Rozumie mnie pan, *monsieur* Madsen? Moja filozofia jest w zasadzie prosta. Ogień gasi się wodą. Dlatego mieszkam tu, a nie w Chinach.

Zaśmiała się do niego. On też się roześmiał i kiwnął głową.

– A poza tym wyznaję filozofię, że woda jest po to, by po niej pływać. Aż tak bardzo więc się nie różnimy.

Właśnie wtedy jego szacunek pomieszany z lękiem zmienił się w zauroczenie. Oto kobieta z podobnym nastawieniem do życia. Jej skora do śmiechu bezpośrednio przyniosła mu ulgę. Uroda Cheng Sumei stała się nagle dla niego dostępna. Kiedy po śmierci męża przejęła jego przedsiębiorstwo i z powodzeniem prowadziła je dalej, nie wzbudzało to w nim nawet cienia zdumienia. On ją znał.

Przy niej był nie jedną osobą, lecz kilkoma. Z marynarzem musi tak być. Marynarz ma jedną kobietę w domu, drugą na pokładzie, a trzecią w obcym porcie. Ale nigdy nie jest kilkoma osobami naraz. Osoby kryjące się w jego wnętrzu są oddzielone w czasie i w przestrzeni, zawsze dużymi odległościami. Marynarz ma w sobie wodoszczelne grodzie, jak statek chroniony przed zatonięciem. Z Cheng Sumei Albert potrafił być kilkoma osobami naraz. Przede wszystkim był tym, co uważał za jądro swojej istoty: żeglarzem i kapitanem. Często też myślał, że oni dwoje, Cheng Sumei i Albert Madsen, są jak dwaj kapitanowie tego samego statku, niezwykła para, która jednak nigdy nie podważała nawzajem swojego autorytetu i nie narażała statku na niebezpieczeństwo.

Ale był również tym młodym człowiekiem, którego pamiętał ze swoich młodzieńczych odwiedzin w burdelach, wcale nie zawsze paskudnych. W domach publicznych w Bahii czy Buenos Aires skrępowanego młodego marynarza podejmowano w marmurowych pałacach z fontannami i palmami, jedwabną pościelą i lustrzanymi taflami sufitów i ścian. A dziewczyna, no cóż, była służebnicą, chodzącą po ziemi wyłącznie po to, by przez krótką, niemającą nic wspólnego z wiecznością chwilę spełniać jego pragnienia, i chociaż tylko służyła, była jednak również jakimś doskonalszym duchem. Jakże onieśmiałony, z rumieńcem skrępowania, a zarazem bezdennie nieświadomy i wdzięczny, czuł się pod tymi zręcznymi dłońmi, które wiedziały o jego ciele tyle rzeczy, jakich sam się nie domyślał, o tym ciężko doświadczonym ciele z mięśniami nieustająco obolałymi od napinania lin, pokrytym wrzodami od słonej wody i niezagojonymi ranami, zawsze czujnym, zawsze gotowym, by z goryczą się odgryźć w obronie własnej wartości.

W burdelach nigdy nie czuł się jak pan. Nie przychodził tam, by korzystać z wątpliwych pańskich przywilejów. Czuł się jak gość i zachowywał się z oczekiwaną od gościa uprzejmością. Wiecznie zaciśnięte pięści na moment się otwierały. Ale niczego się tam nie uczył. Nie wychodził stamtąd jako lepszy kochanek. W kontaktach z innymi kobietami pozostawał tym samym topornym i niezdatnym, z samej tylko niepewności na wpeł brutalnym mężczyzną.

Z Cheng Sumei czuł się tak, jak podczas tamtych młodzieńczych wizyt w burdelach. W sypialni była jego służebnica, ale zarazem doskonalszym duchem. Na chwilę znów stawał się młodym człowiekiem w burdelu. Czy był dobrym kochankiem, nie wiedział. Pożądanie nigdy nie stało się wymagającym głównym lokatorem, próbującym umeblować jego życie. Nie za miłością fizyczną tęsknił w nieprzespane noce. Tęsknił za człowiekiem.

•

Wytarł się do sucha i przesunął dłonią po krótko przystrzyżonych włosach, które pomimo wilgoci w łazience już zaczęły schnąć. Wyjął nożyczki i zaczął przycinać brodę. Przyglądając się swojej twarzy, zastanawiał się, jakie uczucia mógł wzbudzić w Klarze Friis. Jego wiek i pozycja oznaczały poczucie bezpieczeństwa. Pewnie tego właśnie szukała. Widział przecież wdzięczność w jej oczach, gdy wysłuchał jej opowieści o sztormowej powodzi na Birkholm.

Czego on szukał w niej? Czy chciał jedynie zaspokoić próżność? Przecież uważał ją za ledwie ładną, chociaż z jej zapuchniętej i zapadniętej twarzy zniknęły już ślady żałoby. Ubierała się z większą starannością niż dawniej, a kiedy zniknęła jej nieforemność, zobaczył, że ma śliczną figurę. Ale nie to go pociągało. Nie chodziło też o jej osobowość. Właściwie nie znał Klary Friis. Mało mówiła, a w słowach zachowywała powściągliwość świadcząca o różnicy stanu, której obydwójce byli nader świadomi. Nie, to coś zupełnie niezwiązanego z jej osobą wzbudziło w nim uczucie, które wciąż wahał się uznać za pożądanie. Nie, nie chodziło o nią ani nawet o to, że jest kobietą. Chodziło o młodość. O elementarną siłę natury, która obudziła się w niej wraz z nadejściem lata, ostatni przebłysk tego, kim była dawniej, zanim porody i ubóstwo zaczęły ją niszczyć i zanim dotknęła ją żałoba. W pewnym sensie mógł uważać to za swoje dzieło. To jego zainteresowanie, początkowo zamierzone wyłącznie jako życzliwość, na nowo pobudzało do życia jej młodość.

Najpierw był tylko chłopiec. Potem, gdy siedzieli we troje, nagle zaczęli przypominać rodzinę, tę rodzinę, której on nigdy nie miał, a którą ona straciła. Ale czy nie mogli stworzyć rodziny bez tego, co łączy mężczyznę z kobietą?

Był już starym człowiekiem. Znów sobie o tym przypominał. Starzy ludzie mają swoje stałe orbity niczym planety krążące wokół słońca, lecz to słońce, wokół którego krążą, stygnie. I tu zakończył rozmowę z sobą. Powinien trzymać się swojej orbity wokół umierającego słońca. Znajdował się w epoce lodowcowej życia, a na otwartych przestrzeniach, jeszcze niezasypanych przez śnieg, mogły wyrosnąć jedynie porosty.

Ale jego dłonie mówiły innym językiem, gdy wiązał białe płócienne buty, a na głowę wkładał słomkowy kapelusz. Przy stole w jadalni stanął i z bukiecika, postawionego tam przez gospodynię, wyjął białą margerytkę. Przed lustrem w sieni jeszcze raz przeczesał dłońią włosy, a potem wpiął kwiatek w butonierkę jasnej letniej marynarki. Otworzył drzwi i zszedł po schodach na Prinsegade, przepelziony ślepym triumfem, który niekiedy ogarnia ludzi, gdy wygrają z własnym zdrowym rozsądkiem.



Kiedy został zaproszony do pokoju, Knud Erik już tam był. Klara Friis upięła długie włosy, a Albert zauważył, że są świeżo umyte. Nie śledził zbyt uważnie zmieniających się mód, które w każdym nowym sezonie prezentowano na wystawach u I.C. Jensena na Kirkestræde, lecz po fasonie sukni sięgającej do pół łydki poznał, że nie jest nowa. Musiała ją wyjąć specjalnie na ten wieczór. Sukienka pochodziła zapewne z pierwszych lat jej małżeństwa, a może z jeszcze dawniejszych czasów, gdy Klara Friis miała mnóstwo nadziei. I młodość.

Do stołu nakryto na trzy osoby, co zarazem go rozczarowało i uspokoiło. Czujne spojrzenie Knuda Erika będzie przeszkodą w robieniu głupstw. A mimo to Klara Friis zarumieniła się, gdy otworzyła mu drzwi. Tak samo jak rano odsunęła się na bok, by go przepuścić, lekko skłaniając głowę. Jej odsłonięty kark pod upiętymi włosami wydawał się tak delikatny, że Albert musiał opanować chęć położenia na nim ręki w uścisku, w którym pragnienia, by jej bronić, nie dałoby się odróżnić od pragnienia zdobycia.

Nie widząc nigdzie małej Edith, spytał o nią. Okazało się, że nakarmiona, śpi już w sypialni.

Knud Erik stał przy swoim krześle, gdy Klara zaprosiła do stołu. Uczesane na mokro włosy przylegały mu do głowy. Jako ostatni odsunął swoje krzesło i usiadł na nim z nienaturalną sztywnością, patrząc gdzieś przed siebie. Na środku stołu stała misa świeżo ugotowanych krewetek. Albert przyniósł wino w koszyku, owinięte w adamaszkową serwetkę. Wyjął butelkę i otworzył, korek lekko strzelił. Albert nie mógł się zdecydować, czy powinien wziąć ze sobą również kieliszki. Wiedział, że ona ich nie ma. Gdyby jednak je przyniósł, Klara mogła uznać to za krytykę, za podkreślenie niedostatków w jej domu i życiu. W końcu jednak zwyciężyły jego zwyczaje. Nie chciał pić dobrego wina ze zwykłej szklanki i wyciągnął najlepsze kryształowe szkło. Tak, tak, starzy ludzie i ich orbity wokół umierającego słońca. Zabrał ze sobą również korkociąg.

Nalał do kieliszków i zerknął na Knuda Erika, który bacznie go obserwował.

– Prawie zapomniałem o tobie – powiedział Albert i jeszcze raz schylił się do koszyka po butelkę z oranżadą. Gdy postawił ją przed chłopcem, Knud Erik się roześmiał.

– To tak jak wycieczka – stwierdził.

Potem spojrział na rosę pokrywającą szkło i delikatnie dotknął butelki.

– Zimna. – Nie mógł ukryć zdziwienia.

Albert stuknął kieliszkiem w kieliszek Klary. Trzymała go tak, jakby się bała, że upuści. Przez moment patrzył na nią ponad rantem. Zaczerwieniła się i uciekła wzrokiem, nieobeznana z rytuałami towarzyszącymi picciu wina. W końcu odchyliła głowę i wzięła głęboki łyk, jakby jasna zawartość kieliszka była lekarstwem, które należy jak najszybciej przełknąć. Skrzywiła się. Znów się zaczerwieniła.

– Ja też chcę spróbować – oświadczył chłopiec.

– To nie dla dzieci. – Matka spojrzała na niego surowo.

Albert widział, że Klara za swoją ostrością ukrywa skrępowanie posiłkiem, tak niepodobnym do niczego, z czym się w życiu spotkała.

– Ja już nie jestem dzieckiem – zaprotestował chłopiec. – Zarabiam własne pieniądze.

– Dobrze, to spróbujesz.

Albert puścił oko do Klary i podał chłopcu swój kieliszek. Mały wziął go ostrożnie w obie ręce i podniósł do ust niepewnym ruchem, jak gdyby już żałował swojej śmiałości.

– Tylko kropelkę – pouczyła go matka.

Buzia Knuda Erika pod zjaśniałymi od słońca włosami wykrzywiła się w grymasie.

– Fuj! To kwaśne.

Albert roześmiał się.

– Twoja mama najwyraźniej też tak myśli. – Popatrzył na Klarę, która zaczęła się śmiać.

– Owszem – przyznała. – Wino chyba nie jest dla mnie.

– Zawsze tak bywa na początku. Z czasem człowiek uczy się je cenić.

– Ja nie – zaprotestował Knud Erik. – Ja go nigdy nie polubię.

W tej chwili Albert zapragnął, by czas się zatrzymał. Miał rodzinę. Siedział z dzieckiem, które mogło być jego wnukiem, i kobietą, która mogła być jego córką, i niczego więcej nie pragnął. Samotność lat wojny zostawił za sobą. Poczł się niemal tak, jakby miał dom składający się nie tylko z niego i wspomnień.

Pomyślał o swoim popołudniu w balii i próżności przed lustrem. Wystroił się w jasną letnią marynarkę, w słomkowy kapelusz, a do butonierki włożył kwiatek. Może to resztkę żaru wciąż się w nim tliła? Ale to przypominało raczej ten żar, który nagle bucha płomieniem w ognisku palącym się przez całą noc. Ogień wśród popiołu nie znajduje żadnej pożywki i wkrótce znów gaśnie. Na chwilę Albert uległ swojej próżności. Ale to nie kobiety potrzebował, tylko atmosfery, dwojga ludzi, dla których mógł coś znaczyć i którzy samym swoim istnieniem znaczyli coś dla niego.

Obracał kieliszek na nóżce, śmiejąc się do siebie.

– Z czego pan się śmieje?

– Ach, sam już nie wiem. Po prostu tak mi tutaj dobrze. Pewnie śmieję się z zadowolenia.

– Miło słyszeć. – Klara wstała. – Teraz będzie deser.

Przyniosła miskę z tradycyjną leguminą z czerwonych owoców i dzbanuszek śmietany. Za nią wkroczył Knud Erik z głębokimi talerzami, które rozstawił przy każdym krześle.

– Widzę, że pomagasz mamie.

– Tak, to dobry chłopiec.

Klara usiadła i zaczęła nakładać na talerze.

– Jak zjesz, możesz iść się pobawić.

Knud Erik pochłaniał leguminę, aż śmietana pryskała na obrus. Matka, widząc to, zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. W końcu chłopiec wybiegł. Patrzyła za nim, roześmiana.

– Komuś tu się bardzo spieszy.

– Przecież jest lato – przypomniał Albert.

W niskim pokoju panował półmrok, ale ulica była pełna światła. Albert odsunął krzesło.

– Dziękuję. Chyba już pora, żebym wrócił do domu.

Klara spuściła głowę, jakby ją odepchnął.

– Proszę jeszcze zostać – powiedziała cicho i podniosła wzrok. – Niech pan spojrzy, nie wypiłam swojego wina. Przecież obiecał pan, że nauczy mnie je cenić. Nie może więc pan teraz mnie opuszczać.

W jej głosie pobrzmiwała kokieteria, jakby podczas nieobecności syna Klara pozwalała sobie na więcej. Albert dołął jej do kieliszka.

– Dobrze, zostaną jeszcze trochę. Może wyjdziemy na chwilę do ogrodu, nacieszyć się letnim wieczorem?

Widział, że ta propozycja ją zaskoczyła. Ogródek pełnił głównie funkcję użytkową, no, może w ostateczności ozdobną, lecz nie był miejscem, do którego zapraszała gości lub gdzie spędzała wolne chwile.

– Pozwoli pani – powiedział, łapiąc za oparcia dwóch wysokich, lakierowanych na ciemno krzeseł z jadalni. Wyniósł je przez kuchnię i ustawił w ogrodzie. Klara wyszła do sypialni zajrzeć do Edith, która przez całą kolację spała spokojnie. Kiedy wróciła, usiadła obok niego. Podał jej kieliszek, unosząc swój, a gdy znów usiłował pochwycić jej spojrzenie nad brzegiem, tym razem na to pozwoliła. Łagodne wieczorne światło ukryło jej bladość i przydało skórze tajemniczego, intensywnego odcienia. Uśmiechnęła się. On też się uśmiechnął. Na moment oboje się zawstydzili.

Albert rozejrzał się po ogródku. Na samym końcu rosły krzaki czarnych porzeczek i agrestu, dostrzegł też ziemniaki i rabarbar. Wąziutka alejka wysypana żwirem okrążała kwiatowe rabatki, okolone białymi od słońca i soli muszlami jak w większości ogrodów w Marstal. Najbliżej domu znajdował się nieduży klomb z różami. Nie było tarasu, krzesła chwiały się na wypukłych kamieniach, wbitych w ziemię w dużych odstępach. Między kamieniami nie dojrzał ani jednego chwastu, widział, że ogród jest starannie wypielegnowany.

Z ulicy dobiegały dziecięce głosy. W sąsiednich ogrodach cicho rozmawiały kobiety. Ktoś z zewnątrz nie zwróciłby uwagi na brak męskich głosów, lecz Albert to zauważył. Lato to pora kobiet. Na pierwsze oznaki wiosny zgłaszano gotowość do przyjmowania frachtów i wkrótce statki opuszczały zimowe leże, które osłaniał falochron. Niektóre wracały do portu koło Bożego Narodzenia, ale wielu marynarzy wyruszających w dalekie rejsy pozostawało poza domem całymi latami. Podczas nieobecności mężczyzn to kobiety rządziły miastem. Teraz Albert siedział pośrodku owego kobiecego życia, wśród letniego zapachu czarnego bzu, z zapomnianym od dawna uczuciem, że jest częścią życia w mieście.

Schylił się i podniósł z ziemi muszlę. Przyłożył ją do ucha i wsłuchał się w szum płynący z jej krętego wnętrza.

– Proszę posłuchać – powiedział, podając muszlę Klarze. – Teraz wynaleźli radio. My, będąc dziećmi, mieliśmy jedynie muszle. To było nasze radio.

Klara nie zrobiła tego, o co prosił, tylko odłożyła muszlę z powrotem na rabatkę z taką miną, jak gdyby Albert, zabierając ją stamtąd, zakłócił sekretną harmonię ogrodu.

Muszla miała wiele melodii, inną dla każdego, kto jej słuchał. Młodym śpiewała o świecie i dalekich brzegach, starym o tęsknocie i żalobie. Inną pieśń miała dla młodych, inną dla starych, inną dla mężczyzn, a inną dla kobiet. Kobietom śpiewała zawsze to samo: strata, strata, monotonnie jak fale załamujące się przy brzegu. One nie słyszały uwodzicielskiej melodii, gdy przykładły muszlę do ucha, a jedynie pieśń skargi.

Siedzieli w ogrodzie przez godzinę. Słońce skryło się za kalenicą. Spomiędzy krzewów porzeczek i agrestu wypełził matowy półmrok, a niebo przybrało jeszcze mocniejszy odcień fioletu.

– No, czas już na niego!

Klara gwałtownie poderwała się z krzesła. Przypomniła jej się syn. Była już pora na Alberta, lecz zanim zdążył wstać i się pożegnać, Klara zniknęła w drzwiach do kuchni. Zaczekał więc w pokoju, aż wróciła z Knudem Erikiem. W tym czasie wniósł krzesła i ustawił je na swoich miejscach przy stole.

– I tak się zasiedziałem – powiedział przepraszającym tonem.

– Przecież nie wypił pan jeszcze kawy!

Podprowadziła go do stołu i wręcz zmusiła, by usiadł. W ruchach miała jakąś swobodę, której wcześniej nie widział.

– Zostanie pan tutaj, dopóki nie zrobię kawy.

Wyciągnęła szufladę z pościelą i przygotowała Knudowi Erikowi spanie na kanapie. Chłopiec rozebrał się i wsunął pod kołdrę.

– Popłyniemy jutro rano na ryby? – spytał.

– Nie. Nie jutro. Możemy popłynąć na Langholm, żeby się kąpać, jeśli chcesz.

Odpowiedzi nie było. Chłopiec już zasnął.

Klara przyniosła z kuchni dzbanek z kawą.

– To był długi dzień.

Usiadła naprzeciw Alberta i nalała mu do filiżanki. Lampy w pokoju nie zapaliła i w półmroku jej blada skóra na dekolcie jaśniała. Przez dłuższą chwilę nic nie mówili, a wokół nich gęstniała ciemność. Z kanapy dochodził oddech śpiącego Knuda Erika, spokojny, regularny. Gdzieś niedaleko zegar wybił dzwięcznie dziesięć uderzeń. W gęstniejącym mroku Albert nie był już w stanie rozróżnić rysów Klary, migotały mu przed oczami, jakby ściągały się w nieprawdopodobnych grymasach.

– Dziękuję za miły wieczór – powiedział w końcu, wstając.

Zerwała się, jakby ją obudził.

– Już pan idzie?

Podniosła głowę. Jej twarz była białą plamą w ciemności, lecz wyrazu na niej nie umiał odgadnąć. „Może po prostu się upiła”, pomyślał. Opróżniła pierwszy kieliszek, a on jej potem dołał. Więcej wina nie było, ale kobiety są mniej wytrzymałe niż mężczyźni. Nagle poczuł niechęć do całej tej sytuacji i zapragnął jak najszybciej wyjść.

Klara odprowadziła go do sieni. Nie zapaliła światła i zamknęła drzwi do pokoju. Albertowi serce mocno waliło w piersi, jak więzień, który prosi, by go wypuścić. Znów coś go ostro zakłuło w duszy. Potem ją poczuł. Najpierw jej dłonie dotknęły jego klatki piersiowej, nie zważając na walące serce, a potem nagle zarzuciła mu ręce na szyję.

– Muszę się panem porządnie pożegnać – powiedziała.

Przesunęła ustami po jego twarzy, szukając warg, i przyłgnęła do nich. Albertowi serce biło jeszcze mocniej. Wezbrała w nim czarna fala, pozbawiając go woli. Chciał ją odsunąć, ale nie potrafił. Klara naparła na niego całym swoim ciężarem, poczuł miękki dotyk jej piersi i ocierającego się łona. Z ust Klary dobył się jęk, który mógł zwiastować płacz.

– Mamo! – rozległo się z pokoju.

Klara zdrętwiała, wstrzymując oddech.

– Mamo, gdzie jesteś?

Odetchnęła ciężko. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Tutaj, w sieni.

– Masz taki dziwny głos. Coś się stało?

– Nic, śpij. Już późno.

– Co robisz, mamo?

– Zegnam się z kapitanem Madsenem.

– Ja też chcę się z nim pożegnać.

Usłyszeli jego kroki po podłodze. Po chwili ciemna sylwetka ukazała się w drzwiach.

– Dlaczego światło się nie pali?

Klara odszukała kontakt i zapaliła światło. Albert zmierzwił chłopcu włosy.

– Dobranoc, mały. Pora spać, jak mówi twoja matka.

Odwrócił się do Klary, ale nie spojrzał jej w oczy.

– Dobranoc, pani Friis. Dziękuję za miły wieczór.

Podał jej rękę. Dłoń miała ciepłą i spoconą. Nawet ten formalny gest wydał mu się nagle zbyt intymny. Szybko cofnął rękę i zdjął kapelusz z kołka. Otworzył drzwi. Usłyszawszy, że zamknęły się za nim, skierował się w stronę portu, zbyt poruszony, by od razu wracać do domu.

Gdy skręcił w Havnegade, dostrzegł jakąś postać wstającą z ławeczki szyprów koło Sønderrenden.

– Dobry wieczór, kapitanie Madsen.

Albert krótko skinął głową, nie zdejmując kapelusza. Nie miał ochoty na jakąkolwiek rozmowę. Tamten człowiek jednak go dogonił, zrównał się z nim i ruszył dalej przez Havnegade.

– Późno pan spaceruje.

Albert rozpoznał potężną postać Hermana.

– Nie muszę się panu z niczego tłumaczyć – odparł cierpko.

– Piękny strój. – Herman nie zważał na wrogi ton.

Albert przyspieszył, ale tamten się z nim zrównał.

– Wygląda pan dzisiaj bardzo młodzieńczo – powiedział przyjaznym tonem, którego fałszu nawet nie próbował ukrywać. Albert zatrzymał się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z młodym mężczyzną.

– Proszę powiedzieć, czego pan ode mnie chce.

Herman rozłożył ręce.

– Czego od pana chcę? O co chodzi? Nie chcę absolutnie niczego. Chciałbym jedynie przez chwilę dotrzymać panu towarzystwa. Ale może pan woli samotność?

Albert nie odpowiedział, tylko zdecydowanie się odwrócił i ruszył dalej Havnegade. Minął pochylnie i stocznię statków drewnianych.

– Dobrej nocy! – zawołał za nim Herman. – Z pewnością przyda się panu sen po tym wieczornym wysiłku.

Albert drgnął, a ręka zacisnęła mu się na laseczce. Przez moment zastanawiał się, czy nie zawrócić i nie ukarać łajdaka. Zaraz jednak zrezygnował z tego pomysłu. Tamte czasy już dawno minęły. Byli wprawdzie z Hermanem jednego wzrostu i jednakiej postury, lecz dzieliło ich pół wieku. Nie byłaby to wyrównana walka. Albert nie dość że by ją przegrał, to również straciłby godność. Ta świadomość dokuczyła mu tak bardzo, jakby już leżał zakrwawiony na ziemi.

Dotarł do kamiennych schodków domu przy Prinsegade i wszedł do środka. Nie zapalając światła w salonie, ciężko usiadł na kanapie. Skąd ten łotr mógł wiedzieć, co się działo u wdowy? Szpiegował go? Czy po prostu zgadywał? Czy to wszystko było takie jawne i oczywiste? Ale przecież nawet jego samego zaskoczyło. Czy inni mogli dostrzec to, czego sam nie zauważał?

Owszem, bawił się taką myślą, przygotowując się do wieczornej wizyty u Klary. Musiał to przed sobą przyznać. Ale wiedział też, że tak naprawdę wcale tego nie pragnął. To była jedynie próżna zabawa w „a nuż”.

Teraz już się to stało, a on nagle poczuł się nagi. To, co widział Herman, mogło zobaczyć całe miasto. Musiał w tym momencie się zatrzymać. Rozumiał, co poczuł w sieni, gdy Klara Friis tak mu się ofiarowała. To był lęk. Lęk, że jego ustabilizowane życie zostanie wytrącone ze swojej orbity. Lęk przed nieumiejętnością obchodzenia się z życiem. Lęk, że wszystko, co za sobą zostawił, przygotowując się do starości, znów miało się o niego upomnieć.

To on był tym słabym. Czuł to. Ona była silna, tak samo jak Herman. Mieli po swojej stronie młodość.

Ukradkowe objęcia w mrocznej sieni, bójka na ulicy – to żywioł młodości, nie starości. Niech się strzeże starzec, który za bardzo zbliży się do młodości, wierząc, że będzie się mógł ogrzać przy jej ogniu. Ceną, jaką przyjdzie mu zapłacić, jest śmieśność.

Starzy powinni się trzymać własnego umierającego słońca. Dom, w którym prowadził działalność maklerską i armatorską, to było jego słońce i orbita, po której krążył. Nie powinien wszczynać buntu przeciw prawu ciążenia starości. Podczas wojny zyskał miano dziwaka. Być może ta opinia przyrosła do niego, ale z tym mógł żyć. Sławy błazna natomiast sobie nie życzył. Chodzić po mieście w ubraniu, a mimo wszystko być nagim pod pręgierzem spojrzeń, to wstyd, z którym nie potrafiłby żyć.

•

Następnego dnia spał długo i nie wyszedł z domu. Dzień później popłynął sam do Sorekrogen zajrzeć do więcierzy na krewetki. Jak zwykle były pełne. Dobrych dziesięć funtów. Przerzucił zawartość więcierzy do skrzynki i zamyślił się, wpatrzony w mnóstwo drobnych stworzeń. Przed oczami stanął mu Knud Erik, dumnie kroczący do domu matki na Snaregade z wiadrem pełnym krewetek. Nagłym ruchem przestawił skrzynkę na burtę i wysypał z niej krewetki. Przez chwilę unosiły się w wodzie niczym brunatna chmura, ale zaraz zniknęły.

Nie mógł znaleźć spokoju na morzu. Tęsknił za chłopcem. Ale targało nim coś innego, jeszcze silniejszego. Jakaś wewnętrzna presja, która narastała, ponieważ nie chciał się do niej przyznać. Kiedy Klara przytuliła się do niego w sieni, przeszył go nie tylko strach. Towarzyszyło mu również zmysłowe podniecenie, którego nie czuł od wielu lat. Już sama myśl o tym, co działo się w sieni, wywołała zapomnianą erekcję. Od dawna jej nie miał.

Był starym mężczyzną, który siedział w jolcie na morzu w letni poranek i miał erekcję. Poczł wściekłość na siebie, a jednocześnie niespełnienie. Przypominał chorego w stadium krytycznym. Czas musiał płynąć swoim torem, a jedyną kuracją było oddalenie.



Minęły dwa tygodnie. Pewnego dnia Albert po powrocie do domu zastał w swoim salonie Klarę Friis. Siedziała na brzegu sofy i na jego widok wstała. Ubrana była w tę samą sukienkę co w ów brzemienny w skutki wieczór. Dostrzegł kształt jej ciała pod cienkim, luźnym materiałem.

– Pańska gospodyni mnie tu wpuściła. Powiedziałam, że mam do przekazania ważną wiadomość.

Albert zatrzymał się w drzwiach i patrzył na nią wyczekująco. Wiedział, że zachowuje się nieuprzejmie, lecz powstrzymało go uczucie, że zrobiłby coś nieprzemyślanego, gdyby postąpił naprzód choćby o krok. To popęd, którego podczas niespokojnych chwil na wodzie nie chciał nazywać prawdziwym imieniem, znów brał go w posiadanie, tak jak tamtego wieczoru w mrocznej sieni: lęk z jednoczesnym podnieceniem.

– Chodzi mi o Knuda Erika – powiedziała Klara. – On nie rozumie, dlaczego już się z panem nie widzimy. Codziennie o pana pyta, ale sam boi się tu przyjść. Czy pan już całkiem go odtrącił?

Patrzyła na Alberta, a jemu na dźwięk imienia Knuda Erika cały lęk jakby minął.

– Moja droga Klaro – zaczął, podchodząc do niej.

Ujął jej ręce w dłonie.

Spojrzała na niego. Oczy nagle jej się zaczerwieniły.

– Jest coś jeszcze. Ja bardzo za panem tęsknię!

Wyrwała ręce i zarzuciła mu je na szyję, przyciskając wargi do jego ust. Alberta momentalnie ogarnęła wściekłość. Złapał ją w pasie, by ją odepchnąć, lecz jego dłonie postąpiły odwrotnie. Przygarnął ją do siebie, całując mocno, bez czułości. Zgięła się w pół, a on pchnął ją do tyłu na kanapę. Ciężko legł na niej, szamocząc się z suknią.

– Chwileczkę, chwileczkę – jęknęła.

Podciągnęła suknię do pasa, szykując się dla niego. Jemu gniew nie mijał. Gdy z jękiem w nią wtargnął, mocno uderzył ją w twarz. W momencie podniecenia czuł się tak, jakby wymierzając cios, działał w obronie własnej, w proteście przeciw jej młodości i temu, w co go zwabiła. Potem z jękiem osunął się na nią, zaspokojony w równym stopniu uderzeniem, co jej chętnym ciałem, które ledwie zobaczył czy poczuł. Klara wpiła się w niego, na pozór nieporuszona jego agresją, chociaż policzek miała piekący i czerwony.

Głowa Alberta spoczywała na jej miękkiej piersi. Poczuł z niesmakiem, że w jej ramionach jest bezbronnym dzieckiem. Już teraz wiedział, że został schwytany. Ze będzie wracał i będzie ją bił. Zaczerwienił się ze wstydu. Wyrwał się z jej objęć i zaczął poprawiać ubranie. Usiadła obok i wtuliła mu twarz w ramię. Ślad po uderzeniu nie zniknął z jej policzka.

– Czy pan mnie lubi? – spytała. – Czy pan mnie naprawdę lubi?

– Tak, tak – odparł z irytacją w głosie. – Proszę mi pozwolić się ubrać.

Nie poznawał siebie. Po tym podboju nie czuł żadnego triumfu. Raczej powoli ogarniało go poczucie, że nastąpiła katastrofa.

Klara wstała i podeszła do lustra nad komodą, żeby poprawić włosy. Kiedy się uczesała, odwróciła się do niego.

– Co mam powiedzieć Knudowi Erikowi?

Albert wzruszył ramionami.

– On wie, że tu przyszedłem. Będzie bardzo zawiedziony, jeśli pan go odtrąci.

– Przyjdę po niego jutro. Popłyniemy na krewetki.

W sieni znów zapanował między nimi formalny ton, podali sobie ręce na pożegnanie. To niewielkie ciemne pomieszczenie stanowiło służbę do miasta i jego zawsze czujnych oczu. Albert stanął w drzwiach, gdy Klara wyszła na ulicę. Naprzeciwko z granitowych stopni banku schodziła żona kupca bławatnego Jensena. Albert skinął jej głową. Z cienia pod rondem lakierowanego na czarno kapelusika posłała zaciekawione spojrzenie Klarze, nim odpowiedziała mu na powitanie. A więc zaczął się obnażać.

•

Gdy następnego dnia przyszedł po Knuda Erika, nie zastał chłopca. Matka posłała go po mleko, ale wyjaśniła, że za chwilę powinien wrócić. Mała Edith spała po obiedzie. Albert ku swemu przerażeniu zobaczył, że cała jedna strona twarzy Klary jest zapuchnięta, a policzek sinożółty.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć – powiedziała. Wzięła go za rękę i przyłożyła ją do policzka pieśczośliwym gestem. – Nic nie szkodzi.

Stała oparta o kuchenny stół i wyciągnęła ręce, żeby przytulić go do siebie. Albert odwrócił twarz, lecz jego ciało przyjęło to zaproszenie. Znów poczuł tę swoją erekcję starego człowieka, o której nie wolno mówić na głos. Nienawidził się za to, ale już zaczął szarpać jej suknię, by podnieść ją na wysokość bioder. Wtargnął w nią, ale tym razem szybko poczuł niemoc i się wysunął. Nawet nie pomyślał o chłopcu, lecz nagle sobie o nim przypomniał, i uznał, że takie parzenie się jest nieodpowiedzialne.

Ona wciąż nie wypuszczała go z objęć. Tym razem jej nie uderzył, ale wyrwał się gwałtownym ruchem. Nie wiedział, czego u siebie nawzajem szukają, i powiedział jej o tym.

– Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

Nie odpowiedziała, tylko wtuliła głowę w jego pierś. Było w niej nieme i głuche oddanie, które nie znajdowało odzewu u niego i tylko potęgowało jego złość.

– Słyszysz? – Potrząsnął nią.

Zatoczyła głowę z boku na bok, jakby była nieprzytomna. Nagle usłyszeli chłopca przy drzwiach i prędko od siebie odskoczyli. Knud Erik wniósł kankę z mlekiem do kuchni i postawił na stole.

Albertowi wydało się, że w chłopcu jest jakaś czujność, ale prędko się zorientował, że ta czujność raczej tkwi w nim samym. Zeszli nad wodę i przepłynęli cały basen portowy, zanim odzyskał swój naturalny stan. Sądził, że będzie musiał się tłumaczyć ze swojej długiej nieobecności, ale chłopiec nie pytał. Siedział na ławeczce, czerwony z zapału i wysiłku, i demonstrował nowo zdobyte umiejętności wiosłarza.

Albert zaczął podejrzewać, że matka wykorzystywała tęsknotę chłopca jako pretekst, by do niego przyjść. Gdyby tylko umiał oddzielić te sprawy, swoją miłość do chłopca od fascynacji jego matką. Ale ona też nie chciała zostawić go w spokoju. Kto to rozpoczął? Ona czy on? Czy miałby w sobie dość uczciwości, by przyznać, że to nie Klara, tylko coś w nim nie chciało się poddać? Czy to pożądanie tak nagle się w nim rozpało, czy raczej jego wspomnienie? Czy wszystko to, czego nie dane mu było zrobić w życiu, przyszło do niego po raz ostatni w osobie Klary Friis?

Wszystko jedno. Nie wolno mu zniszczyć swoich więzi z chłopcem. Tamto musi się skończyć. Ale jak?

•

Klara i Albert niewiele ze sobą rozmawiali, mówili jedynie o sprawach codziennych, jak gdyby znali się od dawna i wszystko, co ważne, dawno już zostało powiedziane. Albert myślał, że pewnie nie mają sobie nic do przekazania. Początkowo milczące przebywanie we czworo przy obiedzie czy filiżance kawy przynosiło poczucie bezpieczeństwa. Teraz ich spotkania były przesycone napięciem, niemal elektryzującym zniecierpliwieniem, gdy czekali, aż zostaną sami, bez chłopca.

Mała Edith raczkowała i wymawiała pierwsze słowa. Alberta zawsze ogarniało zakłopotanie, gdy ciągnęła go za nogawkę spodni, śląc pełne nadziei spojrzenia. Schylał się i brał ją na rękę. Sadzał sobie na kolanie i huśtał. Twarz miał sztywną, nie wiedział, co do niej mówić. Powinien pewnie zaśpiewać: „Patataj, patataj, pojedziemy w obcy kraj”, a jednak milczał.

– Tata – powiedziała któregoś dnia.

Spojrzał na Klarę, która uśmiechnęła się zawstydzona.

– Nie wiem, skąd jej się to wzięło. Nie ode mnie.

Czyżby mowa wyrastała u dziecka tak jak mleczne zęby?

Czy słowo „tata” świadczyło jedynie o powiększeniu zasobu słów?

Kolano znieruchomiało. Nie było więcej „patataj”. Popatrzył uważnie na siedzące przed nim dziecko.

– Nie – powiedział. – Nie tata. Albert.

Edith się rozpląkała.

•

Nie było między nimi żadnej intymności, nic takiego się nie narodziło. Nigdy nie spędzili razem całej nocy, ba, nigdy nawet nie przeżyli chwil czułego spokoju, rozebrani i zmęczeni po akcji miłosnym. Przeciwnie, podczas spotkań zawsze byli rozgorączkowani, na wpół sobie wrody. Kiedy Albert ją obejmował, jego serce nieodmiennie zmieniał się w pole bitwy. Był pełen niechęci, lecz pociąg okazywał się silniejszy, i w rezultacie Albert brał ją zawsze z brutalnością, której później żałował. Gdy hałaśliwie ulegała jego pchnięciom, nigdy nie wiedział, czy jęczy z ekstazy, czy z bólu. On sam na koniec wydawał odgłos, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch.

Nie bił jej już więcej, ale w głębi ducha wiedział, że dzieje się tak jedynie dlatego, że jego pierwszy cios pozostawił ślad na jej twarzy widoczny dla całego miasta. Wyłącznie lęk o opinię dawał Albertowi siłę zdolną powstrzymać rękę, gdy ogarniała go chęć wyrządzenia Klarze krzywdy. O tak, również jego wzniesiony członek mógł mieć taki sam efekt co uderzenie i służyć do zadania jej bólu, ale tutaj wiek stanowił przeszkodę. Kapitan nie miał już takich sił jak dawniej.

Kochali się niczym dwoje ludzi już związanych z kimś innym, spotykających się tylko potajemnie, na krótko, zawsze w pośpiechu. Tak też było w rzeczywistości: oboje wiązały inne śluby: jego ze starością, ją – z młodością. Most, na którym mieli się spotykać, walił się, gdy na nim stawali. On nie rozumiał ani siebie, ani jej i wiedział, że gdyby spytał o sens jej uczuć, nie otrzymałby żadnej odpowiedzi.

•

Nie zerwali ze sobą. Knud Erik znów zaczął chodzić do szkoły, a deszczowa jesień przegnała ich z morza. Musieli więc wymyślić inne zajęcia. Chłopiec często przychodził do Alberta po południu. Odrabiali lekcje aż do zmroku. Albert zaglądał na Snaregade, ale Klara nigdy nie przychodziła do niego. Stało się to niepisanym prawem. Nikt nie powiedział o tym głośno, słowa były po prostu niepotrzebne. On mógł krążyć w jej świecie, ona w jego – nie.

•

Albert przestał odwiedzać wdowę po malarzu maryniście. Była to z jego strony oczywista oznaka wstydu. Czy całe miasto wiedziało, co się dzieje? Tak, miał tego pewność. Nie potrafił wskazać konkretnego dowodu, lecz oznaki widywał wszędzie. Spojrzenie mijającego go przechodnia, toczona na ławce rozmowa, która urywała się na jego widok, chłodne pozdrowienie osoby robiącej zakupy, w której rezerwa nagle okazywała się silniejsza niż serdeczność.

Od czasu do czasu wpadał na Hermana. Po tamtym starciu młody człowiek już go nie zaczepiał. Pozdrowiał go tylko ironicznie, salutując do kapelusza, albo uśmiechał się oblesnie, jak gdyby byli dwoma tajnymi sojusznikami. Albert go ignorował, lecz niepokoiło go, że te spotkania zdarzały się często wtedy, gdy szedł lub wracał ze Snaregade. Czy ten obibok naprawdę nie miał nic innego do roboty niż go szpiegować?

•

Widzieliśmy, jak późnym wieczorem siedzi w wykuszu wychodzącym na Prinsegade. Trzymał książkę i próbował czytać. Głównie jednak spoglądał przed siebie.

Ciekawe, o czym myślał. Był już stary. Ale spokoju nie znalazł.

Czy zdał sobie sprawę, że nie zawsze długie życie wieńczy mądrość?

•

Jeśli Alberta i Klarę coś łączyło, była to troska o Knuda Erika. Klara miała niesłychane zaufanie do wszystkich jego opinii na temat chłopca, chociaż Albert nigdy nie miał dzieci.

Klara różniła się od większości kobiet z Marstal. Gdy mężczyzna wyruszał na morze, musiały być dla dzieci i matką, i ojcem. Nie miały żadnego wyboru. Jeśli czuły się niepewnie, maskowały to władcym, niemal surowym zachowaniem. Przez wiele miesięcy w roku, a niekiedy całymi latami, uczestniczyły w próbie generalnej wdowieństwa.

Klara Friis cieszyła się rzadkim jak na kobietę z Marstal przywilejem posiadania mężczyzny w domu i w tym nieoczekiwanym luksusie pozwoliła sobie ulec wewnętrznej słabości, którą powinna była zwalczyć.

Zaczęła odsuwać różne sprawy na bok. Nie podejmowała żadnej decyzji. Traktowała Alberta tak, jakby się spodziewała, że od tej pory to on uporządkuje jej życie.

Tylko pod jednym względem była stanowcza. Knud Erik nigdy nie miał pójść w ślady ojca. Klara słyszała w muszli szum śmierci. Jej syn nie mógł zmierzać ku życiu na morzu. Gdy tylko poruszany był ten temat, zdawała się budzić z letargu, w który zwykle zapadała w obecności Alberta. Prostowała się na krześle, a jej głos nieoczekiwanie stawał się ostry.

Chłopiec cały się wtedy kulił. Albert słyszał złożoną matce synowską obietnicę, że Knud Erik nigdy nie zostanie marynarzem. Teraz dostrzegął też wyrzuty sumienia na twarzy małego. Właściwie sam je czuł, chociaż dawno już wiedział, że nie może być inaczej. Sam przecież inspirował chłopca. Opowiadane przez kapitana historie, długie rozmowy o obcych krajach i statkach, lekcje wiosłowania i śrubkowania, wszystko to skutecznie popychało Knuda Erika w jedną stronę. No i było też wszystko to, co pozostawało poza kontrolą matki czy ojca: nieustanny szum morza za falochronem i widok szkunerów topsłowych, bramsłowych i barkentyn, gdy żagle wczesną wiosną wypełniały się wiatrem i rozpoczynało się wielkie wychodzenie na wody całego świata, do portów takich jak Rio de la Plata, Nowa Fundlandia, Oporto, Hawr, Valparaiso, Callao czy Sydney, do legendarnych portów, których nazwy stanowiły nieodłączny element wiedzy geograficznej każdego chłopca i podniecały małe dusze.

Klara Friis o tym wiedziała. W jej ostrości kryła się również prośba do Alberta. On miał środki pozwalające zawrócić chłopca z wytyczonej ścieżki.

Przenosiła wzrok z syna na starego mężczyznę i z powrotem, domyślając się ich przymierza. „Jak ci idzie nauka?”, pytała. „Dobrze”, odpowiadał chłopiec z powściągliwością, którą potrafią wykazać się dzieci pytane o sprawy szkolne.

– Dopiero zaczął chodzić do drugiej klasy, a już płynnie czyta – stwierdził raz Albert z uznaniem.

Klara natychmiast na niego spojrzała.

– A więc nadaje się do książek – oświadczyła z mocą. – Może by został maklerem morskim?

To pytanie zaskoczyło Alberta. Musiał przyznać, że nigdy nie pomyślał o wyborze takiej drogi dla chłopca. W jego pojęciu dobry makler nigdy nie zaczynał w kancelarii. Punktem wyjścia był pokład statku, dopiero później kariera mogła być kontynuowana w bardziej abstrakcyjnym świecie stawek za fracht. Sam przeszedł taką drogę i chciał, by wszyscy maklerzy podążali jego śladem.

– Z całą pewnością – odparł, ale wyraźnie bez przekonania. Nie potrafił jednak zmusić się do podzielenia się z nią swoimi refleksjami.

Klara zauważyła ów brak entuzjazmu i uznała, że Albert nie chce pomóc chłopcu. Zaciśnęła usta w wąską kreskę i umilkła.

– Jak się ma dobre stopnie, to można robić różne rzeczy. Chyba trochę za wcześnie...

– Dobrze wiem, co chcesz powiedzieć – przerwała mu.

– Chodzi ci o to, że ktoś, kto się dobrze uczy, może też zrobić patent sternika. Ale wierz mi, mój syn nie pójdzie tą drogą.

– Odwróciła się do chłopca. – Słyszysz, Knud Erik?

Chłopiec w milczeniu kiwnął głową i spuścił wzrok. Po policzku popłynęła mu łza. Głośno pociągnął nosem. Potem zerwał się z krzesła i wybiegł do kuchni.

Klara z wyrzutem popatrzyła na Alberta, jak gdyby to on, a nie ona, był przyczyną płaczu chłopca.

– W mieście jest dużo biur maklerskich – powiedział. – Gdy przyjdzie pora, na pewno uda mi się go gdzieś umieścić.

– To by było wspaniale.

Rozchmurzyła się i nagrodziła go uśmiechem. Wyszła do kuchni, by przyprowadzić chłopca do pokoju. Albert słyszał jej głos dobiegający stamtąd.

Siedział sam, doskonale świadom, że jego obietnica to czcze słowa.

– Gdy przyjdzie pora – powtórzył do siebie, prędko rachując w głowie. – Gdy przyjdzie pora, nie będę już żył.



Klara czekała na Alberta, gdy niespodziewanie rozległo się stukanie do drzwi. Poszła otworzyć. Na schodkach stał Herman. Znali się jeszcze z czasów, gdy żył jej mąż. Henning pływał z Hermanem i opowiadał o nim. Słyszał plotki o zabójstwie ojczyzna, ale im nie wierzył. Zawsze mówił, że Herman to dobry kolega.

Obaj mieli w sobie podobną lekkomyślność i Klara podejrzewała, że ich zażyłość wiązała się przede wszystkim z bywaniem w portowych knajpach.

Kiedy Herman pojawił się w Marstal, znalazł czas, by do niej zajrzeć i złożyć kondolencje. Nie zapomniała mu tego. Nastawiło ją to łagodniej, i w końcu zgodziła się z opinią zmarłego męża na temat niesławy Hermana.

Od tamtego spotkania nie rozmawiała z nim dłużej. Zawsze jednak pozdrawiał ją życzliwie, gdy mijali się na ulicy. Raz jeden zatrzymał się nawet i spytał, czy czegoś nie potrzebuje.

Teraz stał pod jej drzwiami. Zaskoczona zrobiła krok w tył.

– Chciałem po prostu zobaczyć, jak sobie radzisz. – Przystąpił próg, nie czekając na zaproszenie.

W małej sieni przez moment znaleźli się blisko siebie. Herman od razu ruszył do pokoju.

– Dzień dobry – powiedział jowialnie do Knuda Erika i zwichrzył mu jasne włosy, jak gdyby znali się od dawna.

Ale Knud Erik go nie znał i cofnął się parę kroków.

Klara stała w drzwiach.

– On jest śpiący.

– Nie zabawię długo.

Herman usiadł na kanapie i założył nogę na nogę.

– Słyszałem, że dobrze ci się wiedzie.

Klara nie odpowiedziała.

Patrzył na nią.

– Stary Madsen to niezła partia.

Klara spojrzała na niego twardo.

– O co ci chodzi?

– O co mi chodzi? O to samo, co wszystkim innym w mieście. O to, że słyhać już weselne dzwony. Ze zabezpieczyłaś przyszłość swoją i dzieci. Dobrze pomyślane.

Klara się zapłoniła. Spuściła wzrok i przygryzła wargę. Gdy podniosła głowę, unikała patrzenia na gościa.

– To tylko plotki – odezwała się słabym głosem.

Herman odchylił się na kanapie z taką miną, jakby dom należał do niego.

– Spokojnie – powiedział. – Chłopiec potrzebuje ojca. Rozumiem, że stary jest dobry dla dzieci. No, może nie zawsze dostatecznie uważny, ale odrobina wody jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– O czym ty mówisz? – zapytała szeptem.

Knud Erik stał między nimi i patrzył raz na jedno, raz na drugie, ale Klara całkiem o nim zapomniała.

– No, przecież chłopiec któregoś dnia wypadł z jolki do wody i o mało nie utonął. Ale o tym Madsen pewnie ci nie powiedział.

Klara drgnęła i zwróciła się do Knuda Erika:

– Czy to prawda, co mówi Herman? Topiłeś się?

Knud Erik wbił oczy w podłogę i zaczerwienił się.

– Nic się nie stało. Po prostu wpadłem do wody.

Klara otworzyła drzwi do sieni.

– Myślę, że powinieneś już iść – zwróciła się do Hermana głosem, który nagle odzyskał swoją moc.

– Oczywiście, oczywiście, skoro nie jestem tu mile widziany. Podniósł swoje wielkie ciało z kanapy. W drzwiach jeszcze się odwrócił.

– Zajrzę tu któregoś dnia.

Drzwi na ulicę zatrzasnęły się za nim. Klara usiadła na krześle i złożyła dłonie. Kostki jej zbiały, a na twarzy odmalował się wyraz skupienia. Chłopiec patrzył na nią ze strachem.

Po chwili przerwała milczenie.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że wpadłeś do wody?

– Mamo, przecież nic się nie stało.

– Nic się nie stało! Mogłeś się utopić! Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

Knud Erik zacisnął usta.

– Czy to kapitan Madsen kazał ci nic mi nie mówić? Odpowiadaj!

Knud Erik mrugnął i odwrócił głowę. Po policzku ściekała mu łza. Wysunął dolną wargę i przełknął. W końcu kiwnął głową.

•

Gdy godzinę później pojawił się Albert, Klara powitała go w progu z Edith na rękę.

– Czego chcesz? – spytała, nie odpowiadając na powitanie. Głos miała ostry i patrzyła śmiało. W jej oczach płonęła wściekłość, która przydawała jej i kobiecości, i zwierzęcości.

„Jest jak samica, która broni swoich młodych”, pomyślał i od razu zrozumiał, że Klara nie zamierza wpuścić go do środka. Stała w drzwiach, zagradzając mu drogę. Jeśliby wszedł, zapewne jego autorytet by zwyciężył. Musiał stać na ulicy, by to ona poczuła się silniejsza.

Obok Klary pojawił się Knud Erik.

– Wracaj do domu! – nakazała.

Chłopiec schował się w środku. Klara znów skierowała się do Alberta i mocno odgięła głowę do tyłu.

„Jakby się na mnie zamierzała”, pomyślał Albert i nie zastanawiając się, cofnął się o krok.

– Nie rozumiem... – zaczął.

– Czego nie rozumiesz?

Powiedziała to ostro, jakby wciąż mówiła do syna.

– Widzę, że jesteś na mnie zła, ale nie rozumiem dlaczego.

– Nie rozumiesz dlaczego?

Gniew w jej głosie jeszcze wezbrał.

– Przyjrzyj się temu dziecku. Przyjrzyj mu się uważnie. Patrz na mnie i na moje dziecko. Na to dziecko, które nigdy nie znało ojca.

Wciąż mówiła głośno. Wystraszona Edith zaczęła płakać, wiała się w objęciach matki, chcąc zejść na ziemię. W końcu wyciągnęła rączki do Alberta.

– Tata – powiedziała.

Gniew Klary nie ustępował.

– A ty chcesz zrobić z Knuda Erika marynarza! Chcesz, żeby utonął jak jego ojciec! Tego właśnie pragniesz, prawda? Chcesz, żeby był taki jak jego ojciec, jak ty, jak całe to przeklęte miasto, żeby utonął jak prawdziwy mężczyzna!

Ostatnie słowa wymówiła z wielką pogardą.

– Przecież wojna już się skończyła – próbował łagodzić Albert.

Znał jej oskarżenia, ale nigdy nie wypowiadała ich w tak gwałtowny sposób.

– I co, marynarze już nie toną? Statki się nie rozbijają? Teraz każdy może spędzić zimą parę dni w wodzie na północnym Atlantyku i o własnych siłach dopłynąć do Marstal, jeśli ma pecha, że jego statek pójdzie na dno? Skoro nie ma wojny, to nikt nie tonie? A może oddychamy skrzelami? To chcesz mi wmówić?

Stał zdziwiony wybuchem kobiety, którą właściwie traktował jak półniemą. Przepraszającym gestem rozłożył ręce. Za szybko zobaczył twarz chłopca.

Matka, jakby wyczuwając spojrzenie Knuda Erika, krzyknęła od razu:

– Odejdź od tego okna!

– Pani Friis... – zaczął.

Zwracał się do niej jak do obcej.

– Milcz! – krzyknęła. – Jeszcze nie skończyłam! A tymczasem dowiaduję się w mieście, że mój syn o mało nie utonął. Ze wpadł do wody, ty spokojnie go wyciągnąłeś, a potem zakazałeś mu mówić o tym mnie! Pięknie! Ja, jego rodzona matka, muszę się o wszystkim dowiadywać od innych! I te historie, którymi go karmisz. Zatonięcia statków, katastrofy, preparowane głowy, głupie bajki! Sądziś, że w taki sposób pomaga się dziecku, które straciło ojca na morzu? Powiedz!

Patrzyła mu prosto w oczy. Albert spuścił wzrok. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Chyba miała rację. W końcu zgodził się:

– Pewnie masz rację. Nie znam się na dzieciach.

– Nie znasz się na dzieciach! – prychnęła. – Oczywiście, że nie. Taki... – Zmierzyła go wzrokiem, szukając właściwego słowa – ...taki stary kawaler!

– Staralem się, jak umialem – przypomniał. – Dowiedziałem się, że chłopcu potrzeba kontaktu z dorosłym mężczyzną, i dlatego przyszedłem.

– Tak, przyszedłeś! A teraz możesz sobie iść. „Chcę być marynarzem, tak jak mój ojciec, który się utopił!” Piękną korzyść przyniosło Knudowi Erikowi twoje towarzystwo.

W oknie znów ukazała się buzia chłopca.

– Odejdź stąd! – krzyknęła Klara.

– Tata – powtórzyła Edith.

Klara Friis obróciła się na pięcie i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Albert odruchowo uchylił kapelusza przed drzwiami, odwrócił się i poszedł przez Snaregade. Wydawało mu się, że na plecach czuje spojrzenie chłopca.

Zaczął padać ciężki listopadowy deszcz. Zimna kropla trafiła Alberta w kark i spłynęła pod szalik.



Albert otworzył kluczem drzwi do domu, obszedł pokoje i pozapalał światła. Czuł niepokój i nie wiedział, co z sobą począć. Wszedł na górę i stanął na balkonie. Wciąż miał na sobie płaszcz. Czuł, że deszcz zmoczył mu włosy. Spojrzał w stronę falochronu. O zmierzchu długi mur z głazów zamigotał mu przed oczami: wyglądał tak, jakby był zrobiony z mgły.

Wrócił do środka i poprosił gospodynię o dzbanek kawy. Usiadł w wykuszu. Na dworze robiło się coraz ciemniej. Miał wrażenie, że wstrzymuje oddech. Gdyby zaczął wciągać powietrze, stałoby się coś gwałtownego i nieprzewidzianego. Może zacząłby krzyczeć, płakać albo zrobił coś innego, czego nawet nie umiał wymyślić, bo brakowało mu wyobraźni.

Ogarnęło go dziwne uczucie; aby je zrozumieć, musiał sięgnąć pamięcią aż do swojego dzieciństwa. Przywołał przeżycie, z tamtego dnia, gdy stał u stóp klifu koło Drejet i przerażony patrzył na małego Kara, leżącego wśród głazów na plaży z przetrąconym kręgosłupem. Próbował go głaskać w nadziei, że pieszczota uzdrowi pieska. Przerazające uczucie, że stało się coś nieodwracalnego, pozostało w nim na zawsze. I znów się odezwało.

Wypił łyk gorącej kawy, do której nigdy nie używał cukru, i próbował się uspokoić. Musiał pomyśleć jasno. Nigdy nie żył w małżeństwie i nie miał żadnego doświadczenia z kobiecymi wybuchami uczuć. W jego związku z Cheng Sumei panowało to, co żartobliwie nazywał porozumieniem dusz, a z tego porozumienia wynikało więcej niż z jego związku z młodą wdową po marynarzu. Czy Klara rzeczywiście tak źle o nim myślała? Naprawdę jego zachowanie wobec Knuda Erika stało się przyczyną jej złości? Mój Boże, przecież wszyscy chłopcy prędzej czy później wpadają do wody. Wyciąga się ich i po krzyku.

Żadną miarą nie mógł uwierzyć, że to chłopiec stanowi problem. Chodziło raczej o coś między nim a Klarą. Ale o co, tego, do wszystkich diabłów, nie umiał pojąć. Właściwie sądził, że problem tkwi w nim. Pragnął jej, a mimo wszystko nie chciał. Stanowiła element zakłócający jego życie.

Ale to przecież ona go odrzuciła. Czy nie byłoby najmądrzej pozwolić, by ta gorzka odprawa, której właśnie mu udzieliła, pozostała w mocy?

Ale co wtedy z chłopcem?

Gdyby tylko jedno dało się oddzielić od drugiego! Obie te sprawy były jednak beznadziejnie ze sobą powiązane, i to on je tak połączył.

Jego myśli krążyły. Donikąd go nie zaprowadziły. Napił się kawy i zapatrzył w ciemność.

Weszła gospodyni z pytaniem, kiedy ma podać kolację. Nie miał apetytu, i poprosił, by zaczekała do ósmej. Potem włożył płaszcz i znów wyszedł na listopadowy deszcz. Kilka minut później stanął przed domem wdowy Rasmussen na Teglgade. Dawno już jej nie odwiedzał. Ciekawe, co ona o nim myśli. Kiedyś byli sobie bliscy, ale nie mógł do niej wrócić. Przyglądałaby mu się badawczo i jednym pytaniem trafiłaby w jego czuły punkt. W najlepszej wierze, co do tego nie miał wątpliwości, ale tym razem jej dobre intencje w niczym by nie pomogły. Albert poczuł się zupełnie zagubiony.

Skreślił w Filsofgangen. Potem ruszył wzdłuż portu na południe i wkrótce stanął przed domem Klary Friis. Wewnątrz się świeciło, ale szyby zaparowały od wilgotnego ciepła, uniemożliwiając zajrzenie do środka. Stał przed domem niezdecydowany, bojąc się, że ktoś go zobaczy. W końcu postanowił kontynuować wędrówkę. Godzinę później stanął tam po raz trzeci, wściekły na siebie.

Za każdym razem przyprowadzała go tęsknota. Za każdym razem przeganiał go stamtąd lęk.

•

Rozpoczął się czas oczekiwania. Na co czekał Albert? Nie wiedział. Czuł jednak po sobie, że nadchodzi kres jego życia. Znów przeglądał się w lustrze. Tam, gdzie wcześniej znajdował dowody niesłabnącej siły, teraz widział postępy starości. Nie pojmował, czego mu brak w życiu, dopóki nie związał się z Knudem Erikiem i Klarą. Bez nich jego starość zdawała się Itaką bez Penelopy i Telemacha. A z nimi? Czy w ogóle istniał jakiś dalszy ciąg?

Rozpoczęło się odliczanie w dół. Nie dało się go już powstrzymać.

Przestał chodzić po mieście, dopóki było jasno, ze strachu, że spotka Knuda Erika. Nie wiedział, co mógłby powiedzieć chłopcu. Nie miał siły stanąć przed nim i patrzeć, jak jego buzia się rozjaśnia, albo co gorsza, odwraca rozczarowana.

Wieczorami, po ostatnim posiłku, który najczęściej pozostawiał nietknięty, niepokój wypędzał go w listopadowy mrok. Widzieliśmy, jak przemierza ulice. Lodowate krople deszczu siekły go w twarz.

Przystawał i patrzył, jak gasną światła za szybami na Snaregade.

•

Czas oczekiwania dobiegł końca. Pewnego dnia w jego drzwiach stanęła Klara, prosząc, by ją wpuścił. Jej twarz nie wyrażała radości ze spotkania. Była twarda i zamknięta, jak gdyby Klara podjęła ważną decyzję, o której przysłała go poinformować. Pomógł jej zdjąć płaszcz i wprowadził do salonu. Usiedli naprzeciw siebie. Mówiąc, nie patrzyła na niego. Spojrzenie wbiła w kolana. Głos miała obojętny, niemal bezbarwny, jak gdyby wyrzucała z siebie słowa, których nauczyła się na pamięć.

– Uważam, że musimy znaleźć jakieś rozwiązanie tego, co zaszło między nami – powiedziała, głęboko wciągając powietrze.

Nieregularny oddech był jedyną oznaką jej uczuć.

– To nie może dłużej trwać w taki sposób. Pan... to znaczy ty, zawsze przychodzisz do nas do domu. To nie jest dobre. Spotykam się z wieloma uwagami, ludzie patrzą. Dobrze wiem, co sobie myślą. Uważają, że jestem utrzymanką, a nie chcę, żeby tak mnie traktowano.

Urwała. Dłonie spoczywające na kolanach w nienaturalnym bezruchu, jak gdyby podkreślając sztywność jej zachowania, nagle zacisnęły się tak mocno, że aż pobieleały kostki.

– Ależ, moja droga Klaro...

Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ona jednak odsunęła się, drętwiejąc.

– Pozwól mi skończyć. Nic nie przyjdzie z tego, że pan powie, że tak nie jest. Bo tak właśnie jest, a ja lepiej niż pan wiem, co myślą ludzie.

Wciąż nie podnosiła oczu, tylko wpatrywała się w swoje dłonie.

– Nie mogę żyć w taki sposób – oświadczyła. – Henning umarł. Jestem wdową. Ale Knud Erik i Edith potrzebują ojca i jeśli to nie będziesz ty, musi to być ktoś inny. Po prostu.

Przez cały czas na zmianę zwracała się do niego po imieniu i na pan. Albert nie rozumiał, do czego zmierza.

– Jestem starym człowiekiem – powiedział bezradnie.

– Nie na tyle starym, żebyśmy nie... Dobrze pan wie, o co mi chodzi.

Zażenowany spuścił wzrok.

Klara głęboko nabrała powietrza, jak gdyby miała przekazać wieść, nie tylko niesłychaną, lecz także pozostającą w całkowitej sprzeczności z jej naturą.

– Proponuję, abyśmy my, Knud Erik, Edith i ja, przeprowadzili się tutaj, a my dwoje powinniśmy się pobrać. Tak, żeby zapanował jakiś porządek.

Nagle się skurczyła. Zaciśnięte pięści znów się otworzyły. Przekazała już swoje przesłanie. Teraz wycieńczona zdawała się na los.

Albert cały się spiął. Tego się nie spodziewał. Domyślał się, że teraz sytuacja wymaga natychmiastowej i jednoznacznej reakcji, ale żadna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy.

– No dobrze, ale czy pani mnie kocha? – spytał.

W tym momencie nie istniała między nimi żadna bliskość. Zwracał się do Klary z taką samą oficjalną uprzejmością, z jaką traktowałby kogoś nieznanego.

– A pan kocha mnie? – ostro odparła pytaniem.

– Tęskniłem za tobą.

Głos miał niewyraźny. Nie mógł jej wyznaczyć miłości. Nie znalazł bardziej precyzyjnych słów na określenie chaosu szalejącego w jego wnętrzu. Zabrzmiało to tak, jakby prosił o łaskę.

Nastąpiła chwila milczenia. Ciałem Klary wstrząsnął dreszcz. Złapała Alberta za rękę i ścisnęła.

– Ja też za tobą tęskniłam.

Przełknęła ślinę, nachyliła się ku niemu i zaczęła płakać. Poczuvszy ulgę, całkowicie uległa emocjom. Albert odruchowo pogładził ją po plecach. Napięcie nie chciało ustąpić. On, w przeciwieństwie do Klary, nie czuł ulgi. Sytuacja stanęła na ostrzu noża i uważał, że nie może odmówić Klarze tego, o co prosiła. Miał wrażenie, że ktoś dyktuje mu słowa.

Czy Albert tego wszystkiego chciał? Odpowiedź na to była równie niemożliwa jak na pytanie, czy ją kocha.

– Niechże więc tak będzie – powiedział w końcu.

W jego głosie zabrzmiał spokój, a równocześnie ton rezygnacji, który Klara musiała usłyszeć.

Wygrała. Ale to zwycięstwo nikomu nie sprawiło radości.

•

Następnego dnia pokazali się razem w mieście. Przeszli się po Kirkestræde . Ona trzymała go pod rękę, a on szedł wyprostowany. Nie okazywał przez to dumy, po prostu nie chciał wyglądać przy młodej kobiecie niedołąźnie. Klara przyszła z wizytą z Knudem Erikiem i Edith. Zjedli razem. Nie została na noc. Wcześniej też nie nocowała u niego. Wciąż przecież spoczywały na nich oczy miasta. Oboje czuli, że istnieje granica, której nie wolno im przekroczyć. Jeszcze nie byli małżeństwem.

•

Stosunek Knuda Erika do Alberta nieoczekiwanie się zmienił, jak gdyby dopiero teraz chłopiec sobie uświadomił, że ojciec już nigdy nie wróci. Kto inny zajął puste miejsce u boku matki. Wcześniej Albert przyciągał go z magnetyczną siłą, teraz jakby magnes się odwrócił i zaczął działać odwrotnie.

Chłopiec niechętnie towarzyszył matce, gdy wybierali się w odwiedzin do Alberta. Zamykał się w sobie, kiedy Albert zaglądał na Snaregade. Tak jakby chciał mieć każde z nich oddzielnie.

Kiedy światy matki i Alberta nareszcie się zetknęły, poczuł się tak, jakby stracił prawo własności do nich. Jedynie gdy zostawał sam z Albertem, ich dawna bliskość znów rozkwitała.

Albert nie wspominał o tym Klarze. Między nimi pozostawało tak wiele niedopowiedzeń. Czasami kochający się ludzie wolą się porozumiewać językiem, w którym nie potrzeba słów. On nie znał takiego języka, nie miał nawet do niego słownika. Przez cały czas czuł presję, której natury nie pojmował. W obecności Knuda Erika nie całowali się ani nie obejmowali, podobnie zresztą jak wcześniej, lecz wtedy mieli coś do ukrycia. Teraz wszystko stało się jawne, a oni wciąż nie okazywali sobie bliskości. Nie wymieniali nawet poufanych uścisków przypadkiem dotykających się dłoni.

Czy w rzeczywistości łączyło ich coś innego niż brutalna namiętność, która zadowalała się nagłym, zawsze potajemnym wybuchem? Spełnieniem, ale nie ulgą? Może nic więcej w tym nie było?

Albert nie miał pojęcia, jak żyje się w małżeństwie, i nie wiedział, jak ma sobie tłumaczyć to, co się działo między nimi.

Żył kiedyś z Cheng Sumei. Ich wzajemne relacje zawsze opierały się na szacunku połączonym z pewną rezerwą. Albert sądził, że to wynikało z chińskich korzeni Cheng Sumei. A może z jego duńskich? Ale gdy siedzieli naprzeciw siebie nad rozłożonymi na stole telegramami i dokumentami dotyczącymi rat frachtu, potrafili nagle unieść wzrok i rozciągnąć usta w uśmiechu zdumienia, jak gdyby widzieli się po raz pierwszy. Nigdy na dobrą sprawę nie przywykli do siebie.

Byli sobie bliscy. Ale bliskość to nie to samo co rutyna. Bliskości zawsze towarzyszy żar, który nagle się rozpala.

Tęsknił za nią.

•

– Ładna była ta twoja Chinka? – spytała raz Klara nieoczekiwanie.

Pytanie zaskoczyło Alberta. Nie wiedział, że do niej również dotarły plotki.

Wzruszył ramionami. Nie miał ochoty o tym mówić.

– Czy miała takie małe chińskie stopki?

– Nie, nie miała krępowanych stóp. Stopy krępowano tylko córkom bogaczy. Ubogim to nie groziło. A ona od dzieciństwa sama się utrzymywała.

Klara popatrzyła gdzieś przed siebie. Ta informacja jakby wytrąciła ją z wyznaczonego kursu.

– Była więc sierotą?

Albert zwrócił uwagę, że użyła słowa, które nie chciało jej przejść przez usta, gdy wypytywał ją o dzieciństwo na Birkholm.

– Można tak powiedzieć.

– A więc była zupełnie sama na świecie – stwierdziła.

Spodziewał się kolejnych pytań, nie tylko o wygląd Cheng Sumei, lecz również o uczucia, jakie dla siebie żywili. Bał się, że rozmowa wkroczy na zaminowany obszar, na którym każda odpowiedź mogłaby stanowić okazję dla niekorzystnych porównań i gwałtownej zazdrości. Wiedział też, jak by odpowiadał. Z zimnym dystansem w głosie. To był jego prywatny teren.

Klara jednak zamilkła. Minęło kilka dni, nim znów do tego wróciła. Tym razem jej pytania szły w całkiem innym kierunku, jak gdyby w tym czasie uświadomiła sobie coś jeszcze.

– Czy ta Chinka była bardzo bogata?

Wyjaśnił jej, że zdobyła fortunę dzięki małżeństwu z Presserem, a po jego śmierci z powodzeniem prowadziła firmę męża.

– Była kobietą niezależną – powiedział. – Kobietą interesu.

– Zupełnie sama na świecie. – Klara powtórzyła własne słowa. – A stała się bogata i niezależna.

Patrzyła przed siebie zamyślona, jak gdyby tym podsumowaniem historii Cheng Sumei doszła do konkluzji, która mogła dotyczyć jej samej.

•

Zbliżało się Boże Narodzenie. Dla Alberta była to wymówka, by odłożyć ślub na bliżej nieokreślony termin w nowym roku. Najpierw należało urządzić święta. Potem mogli się pobrać i Klara wprowadzi się do niego. Nie miała zresztą zbyt wielu rzeczy do przeniesienia ze Snaregade. W porównaniu z jego meblami, większość jej to były rupiecie, lecz może mimo wszystko czuła się do nich przywiązana.

Nie pytał, tylko obserwował, jak Klara rozgląda się po jego pokojach nowym śmiałym spojrzeniem. Krążyła po domu i oceniała. Na próbę przestawiała jakiś fotel czy stół, zaledwie o parę centymetrów, gdy myślała, że on nie widzi, albo przesuwiała kanapę. Jej spojrzenie zapowiadało jednak zmiany, których nie da się określić w centymetrach.

W jego świecie miały nastąpić wielkie przeobrażenia, w tym jedynym świecie, jaki jeszcze mu został, w okrojonym królestwie, lecz nadal królestwie, zbudowanym w równym stopniu z mebli i metrów kwadratowych, co z przyzwyczajień. A teraz miał zrezygnować również z tego.

Dzielący ich dystans powiększał się za każdym razem, gdy Klara wspominała o dniu ślubu, a on wymigiwał się od odpowiedzi. Jego niechęć było wyraźnie widać. Powiedział jedno wielkie „tak”, lecz teraz każdego dnia danej odpowiedzi zdawało się towarzyszyć wiele mniejszych „nie”.

Myślał o chwili, gdy przyjdzie mu stawić się u pastora Abildgaarda z prośbą, by ogłosił w kościele zapowiedzi, i wszystko w nim na tę myśl tężało. Miał stanąć przed pastorem, z którym odbył tyle dyskusji, którego obowiązki informowania rodzin zmarłych marynarzy przejął w ciężkich latach wojny – ponieważ duchownemu brakowało sił na sumienne zajmowanie się swoją parafią – i którego łez był świadkiem. To właśnie przed nim miał obnażyć wszystkie swoje słabości.

Abildgaard z pewnością będzie ironiczny, ba, wręcz pogardliwy, gdy z udawaną ojcowską miną zacznie pouczać znacznie starszego, bardziej doświadczonego mężczyznę, który w tak wielu kwestiach był jego przeciwnikiem, co do tego Albert nie miał wątpliwości. Dla Abildgaarda mogła to być szansa odzyskania zachwianej równowagi w relacji między nimi. Albert właściwie uważał, że już dawno zrezygnował z walki o autorytet w mieście, ale mimo wszystko musiał toczyć walkę z samym sobą na myśl o konieczności stawienia się w kancelarii pastora.

Aż tak bardzo jednak się nie zmienił. Z ostatnich resztek swej wojowniczej natury wciąż nie zrezygnował. Teraz przyjdzie mu położyć na szali własną godność.

Wiedział, że musi to zrobić. Tu bowiem chodziło o godność drugiej osoby. Klara będzie żyła dłużej od niego, nie może więc mieć zszarganej opinii. Musi zająć się małym synkiem i jeszcze mniejszą córeczką. Wciąż miała życie przed sobą, nawet kiedy on już odejdzie. Właśnie o to chodziło w całej tej scenie, kiedy Klara do niego wróciła. Jej onieśmienie zniknęło. Skłonność do samozatracenia się skończyła. Klara była matką stającą w obronie swego potomstwa.

•

Wigilię spędzili na Prinsegade. Stół w jadalni został nakryty adamszkowym obrusem, srebrami i porcelaną. W bawialni czekała choinka. Albert poprosił Knuda Erika o pomoc w jej ubieraniu, chłopiec asystował mu z niechęcią, do której Albertowi tak trudno się było przyzwyczaić. Nie rozumiał tej zmiany nastawienia i przez cały czas przyłapywał się na myśli, iż przyjmuje to jako niewdzięczność, co właściwie zupełnie nie leżało w jego naturze, ponieważ nigdy nie uważał, by obdarowani przez niego byli mu coś winni. W rezultacie zirytował się i na siebie, i na chłopca, i dlatego go strofował.

Nie zauważył, że Knud Erik sam wstydi się swojej wrogości i pragnie się z niej wyrwać, lecz nie umie. Nagle napady złości Alberta tylko pogarszały sytuację.

Przykry nastrój towarzyszył im również przy świątecznym obiedzie. Knud Erik milczał podczas posiłku, Klarze powróciło dawne onieśmienie, zachowywała się jak służąca, którą przypadkiem usadzono przy pańskim stole, i w każdej chwili spodziewała się, że odeślą ją z powrotem do kuchni. Albert siedział ponury, spięty i pełen złych przeczuć. Gospodyni podawała do stołu z twarzą wyrażającą potępienie. Klara zerkała na nią ukradkiem i Albert od razu zrozumiał, że pierwszą rzeczą, jaką musi zrobić, gdy się pobiorą, będzie odprawienie gospodyni, która służyła u niego od piętnastu lat.

Edith wdrapała mu się na kolana i łyżką zaczęła uderzać w ryż z migdałami, który mieli na deser.

– Tata – powiedziała, wolną ręką ciągnąc go za brodę.

Nie zareagował. Przestał ją już poprawiać.

Wstali od stołu, żeby zebrać się przy choince. Drzewko było za duże, by mogli je okrążyć, i w milczącej zgodzie zrezygnowali nawet z prób. Nic również nie zaśpiewali.

„Nigdy nie staniemy się rodziną”, pomyślał Albert. „Jesteśmy jedynie szczątkami czegoś, co kiedyś było rodzinami. Ona jest wdową z dwójką dzieci. Ja, pustelnikiem dziwakiem, który nigdy nie powinien był wyjrzeć ze swojej samotni”.

Pod drzewkiem leżało kilka paczek. Klara nie kupiła wielu prezentów, a Albertowi nowa sytuacja życiowa jakby odebrała radość płynącą z obdarowywania. Podarował Klarze skórzane rękawiczki, a Knudowi Erikowi pudełko ołowianych żołnierzyków. Edith dostała lalkę. Dla niego był kapciuch na tytoń. Rozpakowywali podarki w milczeniu, a potem uprzejmie sobie podziękowali.

Klara, żegnając się przed powrotem na Snaregade, odwróciła się w drzwiach.

– Musimy w końcu wybrać jakiś termin. A potem pójdziesz porozmawiać z pastorem Abildgaardem.

•

Między świętami a Nowym Rokiem widywali się częściej. Ze Svendborga przyjechała w odwiedziny siostra Alberta, a potem poszli z wizytą do Emanuela Kromana. Wszyscy traktowali ich już jak parę. Przyjmowano za pewnik, że ślub odbędzie się wkrótce, i dlatego nikt niedyskretnie nie dopytywał się o datę.

Napięcie między nimi się nie zmniejszyło, lecz w końcu ustalili termin na ostatnią sobotę stycznia. Po Nowym Roku Albert będzie musiał pójść na plebanię i dać na zapowiedzi.

•

Styczeń był szary, temperatura utrzymywała się wokół zera, to spadała, to rosła. Deszcz i marznąca mżawka siekły opustoszałe ulice. W sklepach przez cały dzień paliło się światło. Również na plebanii na Kirkestræde się świeciło. Albert mijał ją w deszczu. Nie zapukał jednak do drzwi. Trochę przypominało to sytuację pod domem Klary na Snaregade, jeszcze w okresie oczekiwania. Często przechodził obok domu pastora, ale nie próbował zajść. Nie chodziło mu nawet o spotkanie z Abildgaardem. To, u diabła, był w stanie przeżyć. Wstrzymywało go coś innego, silniejszego, i bez względu na to, jak się starał, nie potrafił nazwać tego słowami. Czuł się trochę tak, jakby stał na szczycie stromego zbocza i zastanawiał się nad rzuceniem się w przepaść. Jakiś instynkt samozachowawczy powstrzymywał go przed ostatecznym krokiem. Nic innego.

•

– Dlaczego nie ożeniłeś się z tą Chinką?

Nie musiał odpowiadać. Widział to po jej twarzy. Klara miała już gotową odpowiedź.

– Tak to już z tobą jest – stwierdziła. – Ty się nigdy nie żenisz.

•

– Rozmawiałeś z pastorem Abildgaardem? – spytała, gdy Albert następnym razem zajrzał na Snaregade.

Odwrócił wzrok.

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział. Ogarnęła go bezsilność, a także wstyd. Nie wiedział, co powiedzieć.

Klara przygryzła wargę. Nie potrafiła do niego dotrzeć. Nie dostrzegła jego lęku, tylko opór, i poczuła się odrzucona.

– Nie jestem dla ciebie dostatecznie dobra? – spytała. – O to ci chodzi?

Albert nie odpowiedział.

– Przecież obiecałeś.

Spoglądała na niego zdecydowanie.

– Dobrze, porozmawiam z pastorem.

Mamrotał. Było to niezwykle w wypadku mężczyzny, który na pokładzie wydawał rozkazy, przekrzykując wiatr, i ten zwyczaj przeniósł ze sobą na ląd, gdy już przestał pływać. Taka odpowiedź Alberta była gorsza niż żadna.

– Nie wiem, co o tym myśleć – stwierdziła Klara, kręcąc głową. – Zresztą wszystko jedno. Sądziłam, że sam tego chcesz.

– Porozmawiam z pastorem – powtórzył.

Nienawidził siebie samego, a przy okazji i jej, dlatego że zwracała się do niego jak do dziecka, czemu sam zresztą był winien.

– No to zrób to wreszcie! Idź tam jutro.

Albert nie mógł dłużej znieść tej upokarzającej sytuacji. Wstał i wyszedł bez pożegnania.

Klara zdążyła jeszcze za nim zawołać:

– Ty się mnie wstydzisz!



W zapusty nad drzwiami Alberta paliła się lampa. Dla nas było to zaproszenie. W ten wieczór obowiązywało niepisane prawo. Wszystkie drzwi były otwarte. Ten, kto nie życzył sobie gości, gasił światło od ulicy.

Na nasze pukanie odpowiedziała gospodyni i wpuściła nas do środka. Widać było, że przygotowała się na nasze przyjście. Pełna ponczu waza już czekała na konsoli. Mieliśmy właśnie rozsiąść się na kanapie i rozstawionych dookoła krzesłach, kiedy w drzwiach stanął gospodarz. W tym momencie, gdy ujrzelśmy jego zaskoczoną, ba, nie tylko, bo wręcz nieprzyjemnie zdumioną, a nawet niechętną minę, uświadomiliśmy sobie, że popełniliśmy błąd.

Oczywiście możliwe, że gospodyni źle go zrozumiała. Później doszliśmy do wniosku, że mogła to być z jej strony zemsta. Z pewnością nie zachwycała jej perspektywa pojawienia się w domu innej kobiety, więc chciała Albertowi zrobić jakąś przykrość.

Oczywiście powinniśmy byli przeprosić za nieporozumienie i wyjść.

Ale tego wieczoru powodowało nami coś dziwnego. Nie daliśmy się zatrzymać.

Czy to nasza wina, że stracił panowanie nad sobą? Chyba jednak głównie jego. To on zrobił awanturę, nie my. W zapusty trzeba pogodzić się z różnymi rzeczami. W nas nie było zła, w każdym razie nie za wiele. W dodatku gospodarz sam mógł po prostu przyłączyć się do żartów.

Bo to wszystko były żarty. Nic więcej.

W każdym razie nie poczuwaliśmy się ani trochę do odpowiedzialności za późniejsze nieszczęście.

Wszyscy przecież darzyliśmy Alberta Madsena wyłącznie sympatią. Był dobrym duchem Marstal. Życzyliśmy mu trochę radości na stare lata, jeśli oczywiście mogła być mowa o radości, bo odkładanie ślubu z Klarą Friis mogło wskazywać, że jest inaczej.

Z pewnością jednak przedstawialiśmy sobą niesamowity widok, kiedy otworzył drzwi i zaskoczony ujrzał nas we własnym salonie.

Na jego kanapie siedziała krowa, a obok krowy hiszpańska *señorita* z wachlarzem w dłoni. Czerwone usta miała namalowane na pończosze naciągniętej na głowę. Wargi były leciutko uchylone, jakby zapraszały do pocałunku. Na środku pokoju stała chłopka z abazurem od lampy na głowie, ciężka i masywna, w rękawicach w męskim rozmiarze. Pachniało klejem i naftaliną, starymi ubraniami i dziwnymi perfumami. Z jednego krowiego nozdrza zwisała żółta serpentyna, krowa pociągała za nią bez przerwy przypominając kopyto ręką, a z jej czarnego jak smoła pyska strzelały iskry. Dzikus odstawił swoją maczugę pod ścianę. Chinka o skośnych oczach namalowanych na żółtej kartonowej masce wyciągnęła druty do robótek z motka wełnianej włóczki przypiętego na czubku głowy i zaczęła nimi stukać. W kącie salonu chrumkała zadowolona jasnoróżowa świnka na dwóch nogach, a stojący obok niej pirat groźnie unióśł miecz, udając, że szykuje się do zabicia jej jednym ciosem.

– Dobry wieczór, Alberciku – powiedzieliśmy chórem.

Albercik nie odpowiedział, co było złym znakiem.

Gospodyni naląła ponczu z wazy i podała nam szklanki. W maskach i pończochach mieliśmy na wysokości ust nieduże wygodne dziurki. Przynieśliśmy ze sobą słomki, nie musieliśmy więc unosić masek i zdradzać, kto się pod nimi kryje.

Były wszak zapusty.

Tego wieczoru przysły tu głównie panie, potężne kobiety o szerokich barach, z olbrzymimi biustami, których ciężar powinien nimi zachwiać, ale bez przerwy przesuwały je i poprawiały z taką lekkością, jak gdyby piersi nie ważyły więcej niż puchowa poduszka. Kobiety ubrane były w lniane spódnice obszyte aksamitnymi wstążkami, obcisłe bluzki z zaszewkami, haftowane fartuchy i szale tak długie, że mogły sobie nimi owinąć głowę, piersi i krzyż. A wszystko to wzięto ze starych kufków, schowane przed laty, cerowane wiele razy i wyciągane właśnie na ten jeden wieczór w roku.

Kołysaliśmy biodrami i wykonywaliśmy frywolne gesty, nie tylko za sprawą morza ponczu, które zdążyliśmy już w ciągu tego wieczoru wypić, lecz również z powodu dziwnego wrażenia lekkości, które się pojawia, gdy mężczyzna przebierze się w damski strój. Ukryci pod pelerynami, kapelusikami budkami, czapkami, abażurami i perukami, w maskach z wymalowanymi na czerwono ustami w ciup i wielkimi wytrzeszczonymi oczami, o długich czarnych rzęsach, które kładły nam się na czołach jak wachlarze, tuliliśmy się przez cały czas do najbliższej męskiej piersi, gruchając jak gołębie, i wysokimi piejącymi głosami rzucaliśmy kąśliwe uwagi, na tyle sprośne, na ile może sobie pozwolić zacna dama.

Najbardziej wulgarna tego wieczoru była panna młoda. Miała na sobie halkę naciągniętą na cielisty pas do pończoch, obciskający grubą talię. Pod kremowobiałą bluzką chygotały się dwie piersi, każda w inną stronę, a gdy panna młoda kokieteryjnie wyginała górną połowę ciała, stukały się z głośnym plaśnięciem. Na głowie miała jasną perukę z grubymi, sztywnymi warkoczami. Wykrochmalony koronkowy welon sterczał w powietrzu jak unoszona przez wiatr chmura śniegu.

Panna młoda podeszła do kapitana Madsena i pociągnęła go za ucho. Odsunął się zirytowany.

– Jak tam sprawy sercowe, Alberciku? – spytała wysokim, jęśliwym głosem płaczki, jaki dawniej można było usłyszeć na wiejskim pogrzebie. – Będzie coś z tego ślubu?

Kapitan Madsen patrzył przed siebie z miną taką, jakby chodziło o próbę wytrzymałości, jakby był przekonany, że jeśli tylko zdoła wykazać się dostateczną cierpliwością, wszystko przejdzie samo.

Panna młoda położyła mu wielką dłoń w rękawicy na udzie, blisko krocza.

– Rusza się?

Na moment wypadła ze swojej roli i parsknęła głośnym śmiechem.

Świnia oderwała się od pirata w kącie i stanęła przed Albertem. Z jej różowego brzucha sterczały dwa spiczaste sutki, sztywne i nieruchome niczym wytykające coś palce.

– Nie masz apetytu, Alberciku? – spytała świnia.

Panna młoda kilka razy cmoknęła. Świnia, pochrumkując, nadstawiła pysk.

Były zapusty. Pora żartów.

Gospodyni wyszła, a wielka waza z ponczem była już prawie pusta.

– Alberciku – powtórzyła świnia. Najwyraźniej obdarzona żyłką poetycką, na poczekaniu ułożyła wierszyk o naszym gospodarzu:

Czyżbyś nie miał na ruchanie apetytu, kapitanie?

Czy dziewczyna to ropucha,

Czy nie chce takiego starucha?

Kapitan Madsen wciąż stał i wpatrywał się w podłogę.

Świnia uniosła rękę jak dyrygent, który prosi orkiestrę o uwagę. Chórem powtórzyliśmy ohydny wierszyk. To przyszło samo z siebie. Byliśmy naprawdę w świetnych humorach.

Albert wyprostował głowę. Wielka pięść pomknęła z prędkością, o jaką nigdy nie podejrzewalibyśmy człowieka, którego wiek właśnie wyszydliśmy. Trafił świnie prosto w pysk, który całkiem się spłaszczył, i chociaż maska zamortyzowała nieco uderzenie, to było ono na tyle mocne, że świnia przeleciała przez salon, przewróciła konsolę z pustą wazą po ponczu, która spadła i rozbiła się z hukiem. Świnia zwała się na szklane skorupy. Z dziury w zniszczonym pysku pociekła krew.

Panna młoda, wciąż stojąca obok kapitana Madsena, uderzyła naszego gospodarza w twarz. Rąbnął tyłem głowy o ścianę i zachwiał się. Zaraz jednak odzyskał równowagę. Popatrzył przed siebie pustym wzrokiem, odruchowo przesuwając palcem po dolnej wardze, która wyglądała na rozciętą.

Panna młoda zrobiła ruch zapowiadający, że zaraz znów rzuci się na Alberta, ale złapaliśmy ją i odciągnęliśmy. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i należało coś zrobić. Nie wiedzieliśmy, co poszło nie tak. Czyżbyśmy przebrali miarę? Ale przecież po to są zapusty. Nie ma żadnej miary. W taki wieczór wszystko jest dozwolone, a my w sumie nie robiliśmy nic innego ponad to, co zazwyczaj. Powiedzieliśmy kilka przykrych prawd w zabawny sposób. Nie było żadnego powodu do bicia.

Podnieśliśmy wywróconą konsolę. Na potłuczoną wazę nie było rady. Tym musiała zająć się gospodyni. Nieprzytomną świnie wynieśliśmy do sieni i ruszyliśmy po schodkach na Prinsegade.

Padało, a w zimnym lutowym deszczu nasze maski zaczęły rozmakać. Odwróciliśmy się i popatrzyliśmy na wykusz. Albert spoglądał na nas z góry.

Panna młoda pomachała do cienia w oknie.

– Czy dziewczyna to ropucha, czy nie chce takiego starucha? – zawołała.

Rękaw opadł, odsłaniając potężne przedramię z tatuażem z lwem szykującym się do ataku. Po ciemku słów nie dało się przeczytać.

GWIAZDA POLARNA

•

Przed południem padał deszcz, ale pogoda się zmieniła. Szare chmury wiszące nad wyspą rozstały się, odsłaniając wysokie błękitne niebo, zwiastujące nadejście mrozu.

Albert, ogarnięty rozpaczą, szedł jak ślepiec. „Ty się mnie wstydzisz”, zawołała za nim Klara. Nie, nie wstydział się jej, wstydział się siebie. Musiał się od tego oddalić, znaleźć jakieś wyjaśnienie, zdobyć się na jednoznaczne „tak” albo „nie”, a potem z tym żyć. Dobrze jednak wiedział: chciał powiedzieć „tak”, ale nie potrafił. Mógł powiedzieć „nie”, ale nie chciał. Tu nie było jak w ludowej mądrości: gdy jest chęć, znajdzie się i droga. Tu była tylko chęć, lecz droga wiodła w pustkę. Był za stary. W te przekłete zapusty maski miały rację. Właśnie dlatego uderzył. Ponieważ miały rację. Nie był w stanie sprostać tak wielkiej zmianie w życiu.

Uświadomił to sobie boleśnie i z goryczą, z bezsilnym gniewem, który mógł skierować wyłącznie na siebie.

Ruszył w stronę plaży. W oddali pojawiła się jakaś postać. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że to Herman, i przygotował się do starcia. Odgadł, kim była panna młoda tamtego wieczoru, gdy go upokorzono i uderzono w jego własnym domu.

Herman mimo chłodu był w samej koszuli, rozpiętej aż do pasa, wystawał z niej obwisły owłosiony brzuch, który nie zmalał po miesiącach hulanek w hotelu „Ærø”. Policzki miał czerwone z zimna i patrzył przed siebie szklanym wzrokiem. Minął Alberta, nie zwracając na niego uwagi. Szedł tak, jakby zdążał do jakiegoś odległego celu, znajdującego się poza domami w mieście, i zamierzał pokonać wszystkie mury, które stanęłyby mu na drodze.

Albert poszedł dalej z ulgą, że udało mu się uniknąć awantury. Był jednak zajęty wyłącznie sobą i własnymi rozterkami. Chciał opuścić miasto, iść gdzieś dalej, gdzie będzie tylko morze i niebo, w nadziei, że odpowiedź przyjdzie sama.

„Ha!”, drwił z siebie. „Jedyną odpowiedzią byłoby pozostanie tam na zawsze”.

Szedł, podświadomie licząc na to, że na wąskim pasku plaży znajdzie swoje limbo, gdzie nikt już nie będzie od niego wymagał decyzji.

Po mokrym piasku szło się ciężko. Nieco dalej były już tylko kamienie wyrzucone przez fale. Kroczył po nich niepewnie, wreszcie zdecydował się wyjść na porośnięty gęstą karłowatą roślinnością grzbiet cypla, po którym wiła się ścieżka. Dotarł do miejsca, gdzie cypel zaginał się jak łokieć. Woda była ciężka i oleista, jak gdyby już oczekiwała nadejścia mrozu i zaczynała się ścinać. Między cyplem a falochronem leżały porośnięte sitowiem i pałką wodną wysepki, a wokół nich bagniste połacie. Falochron odgradzał Alberta od miasta. Widać było maszty statków zimujących w porcie. Za nimi rozpościerały się kryte czerwoną dachówką dachy i górująca nad nimi niedawno wzniesiona kryta miedzianą blachą wieża kościoła.

Albert wpatrywał się w miasto ciągnące się wzdłuż brzegu, jakby chciał znaleźć rozwiązanie dręczącego go dylematu, gdy nagle poczuł, że nie może ruszyć się z miejsca. Nieostrożnie zboczył z piaszczystego cypla i stał teraz w płytkiej wodzie u brzegu jednej z porośniętych sitowiem wysepek.

Poczuł, że bagniste dno go wciąga. Próbował wyjąć najpierw jedną nogę, potem drugą, prawie tracąc przy tym równowagę, ale na próżno. Nagle wszystko sobie uświadomił. Lodowata woda wlała mu się do butów. Z niedowierzaniem patrzył przed siebie. Potem roześmiał się głośno i sztucznie, jakby drwiąc z własnej śmieszności. Napiął mięśnie prawej nogi i znów spróbował ją wyciągnąć, ale wtedy lewa noga zapadła się głębiej, gdy cały ciężar nagle spoczął tylko na niej. To nie były jednak ruchome piaski. Nie wciągną go. Po prostu utknął. To nic takiego. Musi spróbować jeszcze raz. Pochylił się do przodu, żeby szarpnąć rękami za buty, i o mało się przy tym nie przewrócił. Był potężnym mężczyzną w ciężkim zimowym płaszczu i jego ciało dawno straciło sprężystość. Poczuł ogarniającą go bezradność, ale wciąż nie chciał pogodzić się z faktem, że grozi mu niebezpieczeństwo. Owszem, sytuacja była śmieszna, ale nie groźna. A gdyby tak rzucił się w przód w sitowie? Może wtedy trafiłby na stały grunt i zdołał wyciągnąć nogi? Nie wiedział jednak, co się kryje pod gęstwiną łądyg. Może rosły w wodzie na takim samym bagiennym podłożu, w którym on teraz tkwił, i tylko pogorszyłyby swoją sytuację?

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, a wraz z zapadnięciem ciemności miał niechybnie nadciągnąć mróz. Na tę myśl wcale nie wpadł w panikę. Wciąż czuł się jak dureń, który przez moment nieuwagi znalazł się w idiotycznej sytuacji. Wkrótce stanie się ona tylko przykrym wspomnieniem. Za głupotę przyjdzie mu zapłacić najwyżej przeziębieniem. Poczuł jednak lodowate zimno, pełzające od stóp w górę nóg. Zadrżał. Zaczął zabijać rękami, by nieco się rozgrzać, lecz po chwili się zmęczył, ręce opadły bezsilne. Nie mógł tak stać. Coś musiał wymyślić. Znów napiął mięśnie nóg, ale bez rezultatu. Bagniste dno nie puszczało.

Cienie coraz bardziej się wydłużały. Czubki masztów i takielunek rysowały pajęczyny na sitowiu. Wieża kościoła kładła się w poprzek piaszczystego cypla, sięgając wody za plecami Alberta. Stał tam jak na szczycie dachu miasta. Chwilę później słońce zanurkowało za jakiś dom i cień miasta go połknął. Miasto było tak blisko, a jednak równie dobrze mogło leżeć na innej planecie.

Uświadomił sobie, że przez wiele lat patrzył na falochron od środka, uważając go za mur obronny. Teraz po raz pierwszy widział go od zewnątrz. Falochron już nie chronił. Teraz go odgradzał, wykluczał.

Rozejrzał się. Ciemność zdawała się wylaniać z ziemi i z morza. Przypomnił mu się opis krainy śmierci w *Odysei*, gdzie chłód zabija wszelką radość, i właśnie tam się teraz znalazł. Mróz zaczął szczypać w skórę. Wkrótce przeniknie do członków. Po raz pierwszy pomyślał o tym, że może tu umrzeć.

Ukazały się gwiazdy, a bagno wokół jego stóp zamarzło, mróz zmienił je w twardy cement. Podniósł oczy i dostrzegł Gwiazdę Polarną. Pomyślał o Klarze Friis. W ostatniej chwili, nim starość całkiem się wokół niego zamknęła, sięgnął po młodość. Ale dla starego człowieka młodość jest równie daleka jak Gwiazda Polarna w zimową noc. Już to wiedział. Wszystko przeminęło. Jego życie miało się zakończyć niezapowiedzianie, jak kończy się życie statku idącego na dno wśród burzy, która się nagle rozpełtała.

Zdrętwiał z zimna, lecz dalej stał w bagnie, jak gdyby postanowił umrzeć na stojąco. Pomyślał o Knudzie Eriku i wtedy poczuł ciepło. To jego serce uruchomiło swoje ostatnie rezerwy.

Zimno jednak przystąpiło do ataku i krew coraz wolniej krążyła w żyłach.



Nie wiemy, czy tak to się odbyło. Nie wiemy, o czym myślał i co robił Albert w swoich ostatnich godzinach. Nie było nas przy tym. Mamy jedynie zapiski, które nam zostawił, wraz ze wszystkim tym, co stało się początkiem końca naszego miasta. Opowiadaliśmy historię Alberta i każdy z nas dodawał trochę od siebie. Jego obraz zawiera tysiąc naszych myśli, pragnień i spostrzeżeń. On pozostał sobą, a mimo wszystko jest nasz, chociaż nie zawsze był taki jak my.

Chodziliśmy na cypel całą gromadą. Docieraliśmy do miejsca, gdzie umarł Albert. Zanurzaliśmy nogi w bagnie. Usiłowaliśmy wydostać się z wciągającego błota. Niektórzy stwierdzali, że tak, rzeczywiście utknął, inni mówili, że nie, że mógł się oswobodzić albo położyć, i w ten sposób wydostać z pułapki, którą zastawiły na niego mróz i bagno. Przemoczony płaszcz i mokre portki to niska cena za uniknięcie śmierci. Nawet zapalenie płuc jest lepsze niż nagły koniec. No i przecież był taki silny.

Nic nie wiemy na pewno, każdy myśli swoje. Każdy szuka w Albercie części siebie. Niektórzy myślą o nim źle. Inni uważają, że obca mu była wszelka małostkowość. Każdy ma swoją opinię o Albercie. Śledziliśmy go wszędzie, gdzie chodził. Obserwowaliśmy go z okien i w przyokiennych lusterkach. Jego słowa podawano sobie z ust do ust, nie zawsze w dobrej wierze. I może nie zawsze były to słowa, które on wypowiedział, po prostu mu je przypisano, ponieważ uznawaliśmy, że są odpowiednie lub prawdopodobne, że pasują do niego.

Nieustannie analizowaliśmy jego życie od początku do końca, tak jak zawsze analizujemy życie innych w rozmowach prowadzonych niekiedy szeptem, a kiedy indziej głośno. Albert był pomnikiem, który wspólnie wyrzeźbiliśmy i wznieśliśmy.

Sądziliśmy, że wiemy o nim wszystko. Ale to nieprawda. Gdy przyjdzie co do czego, nikt nie zna nikogo.

•

Alberta znaleziono dzień później.

Przez całą noc padał śnieg, a rano na falochronie pojawiło się paru chłopców. Trochę wiosłowali, a trochę przebijali się jolką przez świeży lód, żeby się dostać na Kalkovnen, wysepkę, na której stał wapiennik, ryzykując przy tym solidne lanie od ojców lub kogokolwiek innego, kto przyłapałby ich na śmiertelnie niebezpiecznym nieposłuszeństwie. Gdy rzecz dotyczy chłopców, którzy postępują wbrew regułom obowiązującym na wodzie, każdy z nas może przejąć prawa i obowiązki ojca.

Ale lania na goły tyłek uniknęli.

Dostrzegli go ze szczytu olbrzymiego głazu na przypudrowanym śniegiem falochronie, po którym biegali jak kozice.

– Bałwan! – zawołał chłopiec o imieniu Anton. – Kto mógł tam ulepić bałwana?

Pobiegli przez zmrożone trzciny, które obijały się o siebie niczym las stalowych kling, po twardym jak kamień błocie i zamarzniętych aż do dna kałużach i płytkich zatokach.

To był on.

Nigdy go nie zapomnieli. Rzadko można ujrzeć taki widok.
Niektórzy mówią, że nigdy.

Martwy, między naszym miastem a morzem, wmarznięty w dno w butach Lauridsa, Albert stał wyprostowany.

III

WDOWY

•

W miesiącach po śmierci Alberta Klara miała na twarzy taki wyraz, jakby mózg w jej głowie przestał pracować. Tkwiła w izbie na Snaregade i wpatrywała się przed siebie nieobecny wzrokiem. Widzieliśmy to, gdy przechodząc tamtędy, zaglądaliśmy do oświetlonego pomieszczenia, w którym zapominała zaciągnąć zasłony.

Początkowo sądziliśmy, że jest w żałobie.

Musiał upłynąć długi czas, zanim uświadomiliśmy sobie, co sprawiło, że Klara popadła w taką zadumę, którą można było pomylić ze skamienieniem umysłu wywołanym przez głęboki smutek.

Zdarza się, że życie nagle staje się morzem możliwości i jest ich aż tyle, że sama myśl o dokonaniu wyboru obezwładnia człowieka. Czy właśnie to wypłukało jej grunt spod nóg, owa nieskończoność możliwości, istna powódź wolności, w której zwykły człowiek, nieprzyzwyczajony do podejmowania decyzji, mógł utonąć?

Pewnego dnia zamówiła furmankę do zabrania swoich mebli. Potem zawołała Edith i Knuda Erika i trzymając dzieci za ręce, przeszła pieszo na Prinsegade, gdzie kluczem wyjętym z portmonetki otworzyła drzwi do pustego domu Alberta Madsena. Przywiezione sprzęty kazała zanieść na strych. Meble Alberta stały nietknięte. Klara siedziała na jego kanapie i spała w jego łóżku, jakby była gościem w cudzym życiu. Gospodyni sama się zwolniła.

Klara dalej przesiadywała, patrząc gdzieś przed siebie, tylko teraz w wykuszu od ulicy.

•

Klara Friis, skromnego pochodzenia wdowa po marynarzu, odziedziczyła elegancki dom, biuro maklerskie i wielką flotę statków. Z dnia na dzień stała się jednym z największych armatorów w mieście. Mając jeszcze ostatni ślad żaru młodości na policzkach, sięgnęła po wielką wygraną i ją zdobyła.

Albert nie ożenił się z nią za życia. Ale po śmierci jej sprzyjał.

•

Natychmiast zaczęliśmy dyskutować, jak wielką fortunę mogła odziedziczyć.

Nie rozumieliśmy, że w spadku po Albercie najbardziej interesująca była nie tyle wielkość majątku, co władza, jaką dawał. W ciągu tych miesięcy, podczas których Klara tkwiła jak przymarznięta w wykuszu, rozstrzygnęły się nasze losy.

•

Jej pierwszym posunięciem, gdy już wszystko przemyślała do końca, była wizyta u wdowy po malarzu maryniście na Teglgade. Znająca się na ludziach Anna Egidia zauważyła kiedyś nieśmiałość osieroczonego przez ojca Knuda Erika i zrozumiała, że dziecku bardzo przydałoby się wsparcie dorosłego mężczyzny. W taki oto sposób Klara Friis poznała Alberta, a teraz chciała się za to odwdziżyć. Oznajmiła wdowie, że chętnie ją wspomże w niekończącym się dziele niesienia pomocy innym. Zaproponowała też coś więcej. W salonie z wysokimi oknami i wieloma obrazami na ścianach roztoczyła przed Anną Egidią swoje plany założenia w Marstal domu dziecka.

– To nie będzie taki zwykły sierociniec – powiedziała. – Tu dzieci będą traktowane z miłością, a nie jak coś, co jest zawadą i czemu w najlepszym razie pozwala się żyć, ponieważ kiedyś może się przydać. Nie, tu będą czuły, że mają prawo chodzić po ziemi po prostu dlatego, że istnieją. Ci najbardziej niechciani poczują się tu chciani.

Jej głos dziwnie drżał, gdy wypowiadała te słowa, a przecież powinny emanować radosną energią; chodziło wszak o plany na lepsze życie dla tych, z którymi los obszedł się po macoszemu.

Wdowa Rasmussen długo na nią patrzyła.

– Pani, zdaje się, miała kiedyś okazję poznać sierociniec od środka, prawda? – spytała delikatnie.

Klara Friis kiwnęła głową i rozpląkała się. To przecież była jej historia, ta jej część niemożliwa do opowiedzenia, której nie potrafiła wyjawić Albertowi Madsenowi nawet w momencie największej intymności, gdy zrozumiał tajemnicę Karli, lalki z gałganków, zaginionej w czarnych masach wezbranej wody.

•

Dorastała w sierocińcu w Ryslinge na Fionii. Potem ją stamtąd zabrano. „Zabrano”, tak powiedziała, gdy pod pełnym matczynej troski spojrzeniem wdowy nadeszła chwila zwierzeń. Nie została adoptowana. Tego określenia nie użyła, bo nie doświadczyła żadnych uczuć rodzicielskich, żadnej troski, gdy jako pięcioletnią dziewczynkę wzięła ją do siebie wieśniak z Birkholm, któremu potrzebna była dodatkowa para rąk; nie człowiek, a właśnie para rąk, tania w użytkowaniu, zarówno pod względem wynagrodzenia, wyżywienia, jak i uczuć.

Śmiała się gorzko.

No cóż, w kwestii uczuć nie kosztowała w ogóle nic, bo miłość była towarem luksusowym, zastrzeżonym dla wszystkich innych, a niedostępna dla sieroty.

Morze miała przed oczami codziennie. Wyznaczało granice wyspy, stanowiło mur otaczający jej życie w zamknięciu, lecz również szansę na wydostanie się z Birkholm. Nie marzyła o księciu na białym koniu, lecz o księciu pod białymi żaglami. Każdej wiosny widziała, jak przybywa. Setki żagli mijały wyspę i znów znikaly jej z oczu. Przyplływały z Marstal, więc miasto stało się obiektem jej tęsknot.

Pewnego dnia morze w końcu do niej przyszło, ale pod postacią powodzi, niczym sądny dzień nad wyspą. Nie przyniosło białego księcia, za to odebrało jej Karłę.

Dopiero teraz dysponowała odpowiednimi środkami. Mogła zanurzyć rękę w wodzie i wyciągnąć lalkę.

– Chce pani wiedzieć, jak poznałam Henninga? – spytała.

Zwierzenia popłynęły nieprzerwanym strumieniem i zanim wdowa zdążyła odpowiedzieć, Klara już ciągnęła:

- Spotkałam go w pewną zimową noc na zamrzniętym morzu.
- Na lodzie? – zdumiała się wdowa.
- Byłam bardzo młoda. Miałam zaledwie szesnaście lat. Chciałam iść na bal na Langeland.

Morze zamarzło; płaska wyspa jak gdyby pod wpływem bólów wzrostowych usiłowała stopić się ze wszystkimi okolicznymi wysepkami. W pewien księżycowy sobotni wieczór, gdy kryształki śniegu oświetlały drogę w świat, tęsknota nie przestawała dręczyć Klary. Od jednej z dziewcząt z gospodarstwa pożyczyła balową sukienkę, bo sama niczego takiego nie miała, wsiadła na rower i pojechała po lodzie, kierując się na Langeland. Nie uciekała. Jechała ku oświetlonym domom na dalekiej wyspie, poszukując jedynie chwilowej radości.

Wtedy jeszcze miała w sobie marzenia.

Daleko jednak nie dotarła, bo wkrótce natknęła się na czarną wodę. Otworzył się przed nią szlak żeglowny, właśnie wycięty przez „*A.L.B.*”, prom kursujący między Svendborgiem a Marstal, którego pomalowany na czarno masywny, stalowy kadłub posłużył do łamania lodu. Z komina sypały się iskry. Drżało powietrze i lód pod jej stopami. Za promem po otwartym właśnie szlaku płynęła do domu „*Hydra*” z podniesionymi żaglami, aby złapać każdą, najmniejszą nawet odrobinę wiatru wśród mroźnej nocy.

Załoga zgromadziła się przy relingu. Nikt nie spodziewał się zobaczyć na lodzie dziewczyny w balowej sukience.

- Dokąd się wybierasz? – zawołali.
- Na bal na Langeland! – odparła.

Zaprosili ją wtedy na bal w Marstal i zabrali na pokład razem z rowerem.

– Wyglądasz na przemarzniętą – powiedział Henning. Był z nich najprzystojniejszy. A ona rzeczywiście zmarzła, szczególnie w gołe nogi pod sukienką. Zabrał ją na dół do kubryku, by tam na górnej koi rozgrzać jej wychłodzone ciało. Właśnie tak zaczęła należeć do niego, z drżącymi sinymi wargami i z zapaleniem pęcherza już czającym się w nieszczęsnej bryłce lodu, w którą zmieniło się jej podbrzusze. Nie od razu zaszła w ciążę. Knud Erik pojawił się dopiero później. Tak samo jak picie Henninga, jego wizyty w gospodach i niekończące się rejsy.

Pewnego roku Henning przywiózł do domu koczkodana.

– Koczkodan to najbardziej bezbożne ze wszystkich zwierząt. Syn, wnuk i prawnuk niesprawiedliwości.

Tak powiedział mu pewien Arab.

– Na co mi on? – spytała.

– Możesz na niego patrzeć, kiedy za bardzo zatęsknisz za mną – odpowiedział głosem pełnym drwiny.

Tak się między nimi ułożyło.

– W marynarzu najgorsze jest nie to, że odbiera ci cnotę. Najgorsze, że odbiera ci marzenia – powiedziała wdowie po malarzu.

A teraz „Hydra” zaginęła, a Henning wraz z nią.

– Marstal musi stać się miejscem, w którym będzie się miało dobrą młodość – oświadczyła. – Nie takim, w którym chłopców wychowuje się na pożywienie dla morskich ryb, a dziewczęta na wdowy.

– Naprawdę wierzy pani, że uda się pani z marstalczyka wyplenić marynarza? – spytała wdowa.

– Owszem, wierzę. Mam środki. Wiem, jak należy to zrobić.

W głosie Klary Friis pojawiła się nowa zawziętość, jej twarz wykrzywiła się brzydtko.

Wdowa zadała sobie w duchu pytanie, czy młodej kobiecie przypadkiem nie odjęła rozumu żałoba, która ją załamała, albo może wielkie pieniądze uderzyły jej do głowy.

Czym prędzej skierowała rozmowę na temat sierocińca, a Klara Friis ku jej uldze znów zaczęła rozsądnie mówić o sprawach praktycznych.

Najważniejszego elementu swego planu Klara Friis nigdy jednak nie wyjawiała.

•

Inżynier Henckel zbankrutował tego samego dnia, w którym umarł Albert.

Na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy spółki pod nazwą Stocznia w Kalundborg, w której był właścicielem dziewięćdziesięciu dziewięciu procent kapitału akcyjnego, zagłosował za likwidacją własnej firmy. Później wyszło na jaw, że stocznia miała w Banku Kalundborg dług wynoszący dwanaście milionów. Bank upadł, a wtedy kamienie domina zaczęły się kolejno przewracać. Ostatnim była Stocznia Statków Stalowych w Marstal, w której upadku spełniło się dawno ogłoszone przez szkutnika Raahaugego proroctwo: „To tutaj z całą pewnością padnie”.

Nie pomylił się. Wszystko przepadło. W stocznię zainwestowano blisko milion koron. Po wystawieniu na licytację sprzedano ją za trzydzieści pięć tysięcy. Egeskov, właściciel hotelu, mógł to jakoś przeżyć. Miał jeszcze hotel. Ale Herman pozbył się domu na Skippergade i „*Dwóch siostr*”, a teraz został z niczym, na dodatek w długach.

Rozpoczęły się procesy. Edvarda Henckla i dyrektora Banku Kalundborg aresztowano. Za diabła nie można było się połapać w rachunkach. Henckel wszystkich przechytrzył. Zapewne był swego rodzaju geniuszem, który po prostu zapomniał o prawie obowiązującym w kraju i przekroczył dopuszczalne granice. Otwarciem przyznał się do wszystkiego. Zachował się nieodpowiedzialnie, ba, bezmyślnie, ale miał przecież jak najlepsze chęci.

Wyobrażaliśmy go sobie. Wstawał z ławy oskarżonych, wielki i potężny, w kapeluszu z szerokim rondem i rozwianymi połami płaszcza, jak gdyby ów świeży powiew przedsiębiorczości, który zawsze go otaczał, zabrał na salę sądową. Z jego przekrwionych oczu biła energia. Przyznając się do wszystkich swoich błędów, wyciągał ręce, jakby zapraszał sędziego, dziennikarzy, obrońcę i prokuratora na ucztę z szampanem.

Inżynierem zresztą wcale nie był. Wyszło na jaw, że ten tytuł, podobnie jak wszystko w jego życiu, był *self made*. Teraz czekało go więzienie. Wyrok trzech lat przyjął z podniesionym czołem. Nie pozwolił się złamać. Szedł przez życie jak burza, pełen wielkich planów dla siebie i innych. Jeśli jego droga wiodła do celi, to tylko na jakiś czas. Kiedy wyjdzie na wolność, jeszcze nas wszystkich zadziwi.

Przestaliśmy chodzić do hotelu „Ærø”. Białe koszule trzymaliśmy w szafie. Znow były przeznaczone tylko na śluby, confirmacje i pogrzeby. Wróciliśmy do kawiarni „U Webera” i do zwietrzałego piwa, do którego znow musieliśmy się przyzwyczaić. Gdy usłyszeliśmy o wyroku, nie triumfowaliśmy, nie potrafiliśmy nawet się rozzłościć na Henckla. No tak, pewnie nas oszukał, ale do oszustwa trzeba dwojga, a my mogliśmy być rozsądniejsi. Nie umieliśmy dostrzec w nim zła. Jego zapał i przedsiębiorczość były szczere. Cały problem Henckla polegał na tym, że miał zbyt dużo pomysłów, w których sam się pogubił, splątały mu się, i w końcu wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Ale ten człowiek był gotów coś zaryzykować, i to szanowaliśmy. Sami postępowaliśmy podobnie. W inżynierze Hencklu rozpoznawaliśmy coś z samych siebie. Nie liczyły się jego oszustwa, lecz wytrwałość w dążeniu do celu.

Piliśmy za jego zdrowie, tak jak pilibyśmy za statek, który poszedł na dno z ludźmi i myszami.

•

Herman obszedł biura armatorów, pytając o możliwość zaciągnięcia się na statek. Spodziewaliśmy się, że po prostu ucieknie od tego wszystkiego, tak jak wtedy, gdy Hans Jepsen przywołał go do porządku i nie chciał wziąć jako marynarza na „*Dwie siostry*”. Później powrócił jako wielki człowiek. Nie były to czcze przechwałki, bo przez chwilę miał forsy jak lodu, potem jednak stracił wszystko i znalazł się w tym samym miejscu, w którym zaczynał. Zamydlono mu oczy. Ale nie jemu jednemu. Wielu z nas to spotkało. W jakimś sensie jechaliśmy na tym samym wózku.

Nie liczyliśmy, że Herman po tej klęsce nabierze pokory. To nie leżało w jego naturze, wyniosłej i dumnej. Sądziliśmy, że ucieknie przed wstydem i pojawi się znów dopiero wówczas, gdy będzie mógł się pysznić portfelem grubym od pieniędzy, co najbardziej do niego pasowało. On jednak pozostał w mieście, które było świadkiem jego klęski, i zaciągnął się na „*Albatrosa*”. Pomyśleliśmy wtedy, że dostał nauczkę i zrozumiał, że życie nie zamierza go traktować inaczej niż wszystkich innych, musi więc zachować pewną pokorę.

Poza tym pozostał taki sam jak zawsze: stale gotowy do ataku i nieobliczalny.

Ale na żegludze Herman się znał i dlatego bez trudu zaciągnął się na statek.



Po rejsie wrócił do domu jako bohater, chociaż wojna już dawno się skończyła. Bohaterskiego czynu dla Danii dokonał w pewnej gospodzie w Nyborgu wraz z dwoma innymi marstalczykami, którzy również pływali na „*Albatrosie*”, Ingolfem Thomsenem i Lennartem Krullem.

Herman w kawiarni „U Webera” opowiadał o swoim wyczynie. Ingolf i Lennart potakiwali. Od czasu do czasu wtrącali jakąś uwagę, chociaż najczęściej mówili „tak, tak” albo „oczywiście”, gdy Herman przynaglał ich spojrzeniem.

Cała rzecz miała miejsce w gospodzie w Nyborgu, gdzie Herman siedział wraz z resztą załogi. Zaczęli gadać z tym mechanikiem samochodowym, Ravnem, bo tak się nazywał ten nieduży tłusty człowieczek z wągrami na całym kartoflowatym nosie i dłońmi pobrudzonymi olejem silnikowym. Gdy usłyszał, że są marynarzami z Marstal, wyciągnął portfel i pokazał im fotografię szkunera stojącego w płomieniach.

Po bliższym przyjrzeniu się zdjęciu zorientowali się, że to „Hydra”, która we wrześniu 1917 roku przepadła bez śladu na Atlantyku. Sześciu ludzi zginęło. Kapitan pochodził z Marstal, tak jak marynarz, Henning Friis, który pozostawił wdowę Klarę i syna Knuda Erika. Zaginieni bez wieści. To oznaczało: nigdy nie byli widziani przez nikogo. Nie było zwłok, które dałoby się wyłowić i pochować, ani nawet koła ratunkowego z nazwą statku. Nic.

Ravn pochodził z Sønderborga. Podczas wojny powołano go do wojska, służył na niemieckim okręcie podwodnym. Sfotografowano wszystkie statki, które U-Boot zatopił, a załodze rozdano odbitki. W domu Ravn miał cały wielki album ze zdjęciami.

– Mam tu tę fotografię – powiedział Herman. – Chcecie zobaczyć?

Rzucił zdjęcie przez stół i odwrócił się, żeby zamówić następną kolejkę.

Od razu rozpoznaliśmy „Hydrę”. Na widok płonącego statku coś jakby w nas westchnęło. To czarno-białe zdjęcie przywołało echo innych katastrof.

– No i tak – powiedział Herman. – Ravn w każdym razie już się nie przechwala, że zatapiał duńskie statki.

– Może trochę za twardo się z nim obeszlśmy – dodał Lennart.

W jego głosie zabrzmiała niepewność.

– To była uczciwa walka. Ravn mógł nam po prostu oddać. Nie ma powodu, żeby czegokolwiek żałować.

Herman mówił jak pastor udzielający odpuszczenia grzechów.

– Dostał to, na co zasłużył – oświadczył nam. – Ja biłem za poległych. Biłem za „Hydrę”.

•

Herman poszedł do Klary Friis, by opowiedzieć jej o Ravn. Miał widać nadzieję, że ta wizyta przyniesie mu jakieś profity. Tym razem powiedział:

– Biłem się za Henninga.

•

To Klara otworzyła mu drzwi.

– Czego chcesz? – spytała nieuprzejmie, widząc Hermana stojącego na schodach. Kiedy ostatnio ją odwiedzał, nie miał dobrych intencji.

– Przynoszę nowiny o Henningu – odparł.

Klara nie odzywała się, gdy opowiadał swoją historię. Pobladła, słysząc, że ma wieści o Henningu. Poczzerwieniała, gdy usiadł naprzeciwko niej, przechwalając się, że stłukł na kwaśne jabłko człowieka, który zatopił „Hydrę”. Gdy na koniec oświadczył, że bił się za Henninga, kolor jej twarzy znów zmienił się w biały, a usta w wąską kreskę. Patrzyła na niego zmrużonymi oczami.

Trudno było stwierdzić, jak należy odczytać tę minę, i Herman na chwilę stracił pewność siebie.

– Pani może nie lubi bójek?

Nagle zaczął zwracać się do niej „pani”.

Klara wciąż się nie odzywała. Herman zaczął wiercić się na krześle. Pożałował, że w ogóle tu przyszedł.

W końcu to Klara przerwała milczenie.

– Chciałabym, żeby towarzyszył mi pan do Kopenhagi.

•

Klara Friis w tym czasie zatrudniła służącą, która miała również zajmować się dziećmi pod jej nieobecność. Była u I.C. Jensena i zamówiła nowe dywany. Stolarza Rosenbæka prosiła o radę w kwestii rozmiarów nowego łóżka, odpowiedniego dla wdowy. Przepędziła ją siłą działania, lecz czego chciała, oprócz urządzenia sobie życia pozostającego w większej zgodzie z jej nową sytuacją finansową – tego nie wiedział nikt.

Niczego nie zdradziła też Hermanowi, gdy płynęli promem. Nie traktowała go poufale, on zresztą wcale się tego nie spodziewał. Wzbudziła jego ciekawość, ale nie wiązał z wyjazdem do Kopenhagi wielkich nadziei. W spojrzeniu Klary nie kryły się żadne obietnice. Towarzyszył jej wyłącznie z ciekawości. Szukał nowych możliwości w życiu, a z tym być może wiązała się jakaś możliwość, chociaż nie miał pojęcia jaka.

– Pan zna w Kopenhadze ludzi, którzy mają pieniądze – powiedziała Klara.

Wciąż zwracała się do niego oficjalnie, a on nawet wolał taką formę. Dzięki temu zapanował między nimi ton bliższy temu, który obowiązuje w prowadzeniu interesów, a Hermanowi chodziło właśnie o interesy.

– Chciałabym, żeby pan mnie z nimi skontaktował.

Popatrzył na nią uważnie. Czy ona jest głupia, czy po prostu naiwna? Sama się prosi, żeby ją oszukali? Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad rozumem Klary Friis, ale nie miał powodów, by uważać ją za ograniczoną. Może tak naprawdę chciała go po prostu wypróbować?

Postanowił być wobec niej szczery. Oznaczało to również, że przez moment musiał być niezwyczajnie szczery wobec samego siebie.

– Ma pani na myśli inżyniera Henckla? Ale on przecież okazał się oszustem. Nie wie pani, że siedzi teraz w więzieniu?

– O tym dobrze wiem. Ale pan oprócz niego musiał znać jeszcze innych. Kręcił się pan po giełdzie. Muszę pomówić z kimś, kto się rozumie na pieniądzach.

– Ma pani na myśli ludzi takich jak Murzyński Łotr czy Ruchomy Chodnik? Obawiam się, że to osoby tego samego pokroju co Henckel, więc jeśli nie chce pani stracić swoich pieniędzy, nie powinna się pani spodziewać po tych ludziach niczego dobrego.

– Chyba wszyscy nie mogą być oszustami.

– Może i nie, ale nam, zwykłym śmiertelnikom, trudno ich odróżnić.

Popatrzył na swoje wielkie dłonie. Przez moment słyszał własny głos i wychwycił w nim pokorę. Nie przywykł do takiego tonu. Mówił o własnej kłęsce. Tkwiła w tym szczerłość, ba, wręcz autentyczny żal. Herman był fantastą, który żałował własnych błędów, ale czegoś się na nich nauczył.

– Zmądrzałem – powiedział. – Wiem, że pozwoliłem się oszukać. Dlaczego nie zostawi pani tych pieniędzy tam, gdzie są? Zostały dobrze zainwestowane.

– Pan tego nie rozumie – odparła. – Mnie chodzi o coś innego.

•

Kiedy przybyli na Dworzec Główny w Kopenhadze, zdecydowanie uszło z Klary. Złapała Hermana pod rękę jak dziecko, które szuka dłoni ojca ze strachu, że zgubi się w tłumie. Domyślił się tego już wtedy, gdy wsiadali do pociągu w Korsør. Klara, stawiając stopę na schodku, dumnie podniosła głowę, ale przeszył ją dreszcz jakby zwierzęcego strachu, nad którym nie była w stanie zapanować. Siedziała sztywna naprzeciwko Hermana i starała się nie patrzeć za okno. Dopiero za Slagelse ocknęła się ze swojej hipnotycznej sztywności i zaczęła oglądać przemykające za oknem krajobrazy. Ale zaraz musiała zamknąć oczy. Nigdy nie widziała nic oprócz płaskich łąk na Birkholm. Dla niej miastem było Marstal, ale ono, z jego rynkiem, kościołem i główną ulicą, mogłoby się swobodnie zmieścić pod sklepieniem Dworca Głównego, gdzie odgłosy tłumy podróżnych gromadziły się i odbijały głośnym echem.

•

Pierwszym miejscem, do jakiego ją zabrał, była giełda. Celowo wybrał porę, późne popołudnie, kiedy kursy na dany dzień zostały już ustalone i w wielkim westybulu rozpoczął się cyrk, nazywany dogrywką. Całkiem zwyczajnie zamierzał ją odstraszyć. Odkrył w sobie instynkt obrońcy, który gdyby miał jakieś pojęcie o psychologii, nazwałby altruizmem. Nie widział powodu, dla którego miałaby zostać ograbiona ze swoich pieniędzy, tak jak on, a skoro nie mógł nakłonić jej do rezygnacji z niejasnych planów, które tak stanowczo wydawała się gotowa wprowadzić w życie, to mógł przynajmniej wykorzystać odstrasżającą siłę przykładu.

Na środku westybulu za pomocą słupków i lin wydzielono miejsce przypominające ring bokserski. Tu stali maklerzy giełdowi i przekrzykując się, jeden przez drugiego zgłaszali swoje oferty.

Z drugiego końca westybulu nadszedł w ich stronę mężczyzna o dziwnie chybotliwym kroku. Tłum rozstępował się, by uniknąć jego napierających ramion. Człowiek ten przypominał marynarza, usiłującego zachować równowagę na pokładzie w czasie sztormu, ale jego znajomi, których stopa nigdy nie stanęła na statku, nazywali go Ruchomym Chodnikiem.

Na widok Hermana uniósł melonik. Byli starymi znajomymi. Herman odpowiedział na pozdrowienie uprzejmym uśmiechem, który sprawił, że Ruchomy Chodnik natychmiast skierował się w ich stronę.

– Ajax Hammerfeldt – przedstawił się, z galanterią ujmując dłoń Klary i ściągniętymi wargami wycisnął na niej pocałunek.

Klara aż drgnęła na tak niezwykle powitanie. Zaczerwieniona spuściła oczy. Całkiem zapomniała, że powinna wymienić swoje nazwisko.

Herman ją w tym wyręczył, a potem dodał:

– Pani Friis właśnie odziedziczyła spory majątek. Potrzebuje dobrej rady.

– Zwraca się więc pani do właściwego człowieka, droga pani Friis – oświadczył Ruchomy Chodnik i jeszcze raz uchylił kapelusza, jakby dopiero w tej chwili naprawdę się poznali.

Zerknął przelotnie na Hermana, usiłując wzrokiem uzyskać od niego zgodę na to, co miało teraz nastąpić.

Herman stał nieporuszony, a tamten wziął to za dobrą monetę.

– Przemysł stoczniowy jest w okresie wielkiego rozkwitu – powiedział. – Czy pani słyszała o statkach bez komina?

Klara przerażona pokręciła przecząco głową.

– Parowce zastąpiły żaglowce. Ale statki bez komina zastąpią parowce. W tym jest przyszłość, a pani ma możliwość znalezienia się wśród pierwszych osób, które zainwestują w to pieniądze. Jest pani młoda...

Posłał jej pochlebne spojrzenie, a potem dodał tonem mającym świadczyć o tym, że teraz przedstawia decydujący argument:

– ...a przyszłość należy do młodości.

Herman prznosił wzrok z jednego na drugie. Nie potrafił nie podziwiać Ruchomego Chodnika. Ten człowiek znał się na rzeczy, nawet jeśli tą rzeczą było oszustwo, śmiało pomieszanie prawdy z kłamstwem. Statek bez komina! To brzmiało jak bajka, ale nie miało się z prawdą. Stocznia B&W już kilka lat wcześniej zwodowała „Zelandię”, statek motorowy na ropę, który na pewno zastąpi parowiec na węgiel. Teraz Herman czekał na następne słowa Ruchomego Chodnika. Najpierw była prawda. Teraz kolej na kłamstwo.

– Stocznia w Kalundborgu – powiedział Ruchomy Chodnik. – To tam wodowane będą statki przyszłości. Właśnie wyemitowano akcje. Do wieczora wszystkie będą już sprzedane. Trzeba atakować natychmiast, prawda, marynarzu?

Puścił oko do Hermana, którego wciąż uważał za sprzymierzeńca.

Mina Klary wyrażała zdumienie, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Stocznia w Kalundborgu? Czy ona nie należy do inżyniera Henckla? Przecież on siedzi w więzieniu!

Pytając popatrzyła na Hermana, który kiwnął głową.

– Owszem – powiedział. – To prawda.

Oboje zwrócili się do Ruchomego Chodnika, ale ten zuchwały oferent przyszłych bogactw już zniknął w przekrzykującym się tłumie.

Klara Friis dostała swoją lekcję.

•

Przeszli przez Børsbroen i ruszyli równolegle do Slotsholmen. Nabrzeże kipiało życiem. Cumowały przy nim fińskie barki i brygi z ładunkiem świeżo pachnącego drewna z Zatoki Botnickiej, trwał wyładunek. Herman zerknął na Klarę. Na jej twarzy znów malował się lęk. Właściwie chciał tylko, aby zmądrzała, a tymczasem odebrał jej całą odwagę. Wcale nie o to mu chodziło, chociaż wciąż zadawał sobie pytanie, czego właściwie dotyczyła jej zawziętość. Co planowała Klara?

Przeszli przez plac na rogu Holbergsgade i Niels Juels Gade. Klara podniosła oczy na wielki odlany z brązu posąg bohatera admirała, stojącego z wyciągniętą ręką, jakby kierował ruchem ulicznym.

– To Niels Juel – powiedział Herman.

– Ten sam co u nas?

Pewnie myślała o Niels Juels Gade w Marstal. To miasto stanowiło dla niej miarę wszystkiego. Być może sądziła, że posąg otrzymał nazwę od ulicy w ich maleńkim miasteczku. W Marstal nie było żadnych pomników, jedynie obelisk, który kapitan Madsen wznosił na chwałę jedności. Mogła je teraz porównać i spojrzeć realistycznie na brak światowego formatu jej dobroczyńcy. To tutaj był prawdziwy świat. Tu nie wyciągało się starego granitu z morza i nie stawiało go z paroma wykutymi słowami. Tu się myślało z rozmachem i z rozmachem tworzyło.

Hermanowi nagle wpadł do głowy pewien pomysł. Wskazał na wyróżniający się narożny budynek z wysokimi, wąskimi oknami, wykończonymi orientalnymi łukami. Dach spoczywał na nim jak ciężka pokrywa i sprawiał wrażenie, że zaraz zsunie się na ulicę. Do wielkich drewnianych drzwi, wstawionych w grube na metr mury, prowadziły schody. Ten dom wyglądał tak, jakby odwracał się plecami do reszty miasta.

Na mosiężnej tabliczce obok drzwi widniał napis: Kompania Dalekowschodnia.

– Tu mieszka człowiek, który może udzielić pani dobrej rady.

Klara spojrzała na niego pytająco. Potem odwróciła głowę i z niedowierzaniem przyglądała się budynkowi w kolorze piasku.

– Kto to taki? – spytała.

– Całkiem zwyczajny człowiek. Nazywa się Markussen. Kiedyś był marynarzem. Teraz obraca się w kręgach dworskich. Niektórzy powiadają nawet, że rządzi królem. On może pani pomóc.

Przeszli przez plac w stronę narożnego budynku. Przed wejściem się zatrzymali. Klara wpatrywała się w fasadę.

– To wielki dom.

– Jego domy we Władywostoku i Bangkoku są równie okazałe.

– Naprawdę mam tam wejść?

Zachęcająco kiwnął głową, lecz od razu pożałował swojego pomysłu.

Inaczej być nie mogło. Gdy opuszczali giełdę, czuł się szlachetny. Potem zobaczył lęk malujący się na twarzy Klary i poczuł się zobowiązany zrobić coś, co przywróci jej dobry humor.

Szlachetność była mu uczuciem nieznanym. W zasadzie sprawiała mu przyjemność i miał ochotę pławić się w blasku swojego altruizmu jeszcze przez jakiś czas. Ale teraz postąpił głupio. Jeśli Klara już wcześniej doznała rozczarowania, to odmowa, która tym razem ją czeka, jeszcze je pogłębi. Zaklął w duchu. Niech to diabli porwą! W ogóle nie powinien był wybierać się z nią do Kopenhagi, to jakieś nieporozumienie, lecz przez moment okazał się na tyle słaby, że uległ pokusie, by nabrać znaczenia w oczach innego człowieka.

– Zaczekam na panią tutaj – oświadczył, uśmiechem starając się dodać jej otuchy.

„To nie potrwa długo”, pomyślał, ale głośno o tym nie powiedział.

Klara zniknęła w wielkich drzwiach. Czas mijał, a ona nie wracała. Herman zaczął krążyć po chodniku, raz w jedną stronę, raz w drugą. Dlaczego jej nie wyrzucili?

W końcu wszedł po schodach i otworzył ciężkie wrota. Droge zastąpił mu mężczyzna w uniformie i spytał, z jaką sprawą przychodzi. Herman zmieszał się, bo nie przygotował sobie zawczasu odpowiedzi. Próbował zerkać przez ramię strażnika, ale w wielkim holu nie mógł nigdzie dojrzeć Klary. Po raz drugi usłyszał pytanie o cel wizyty. Wzruszył ramionami i zszedł ze schodów.

•

Klara pojawiła się godzinę później.

– Mam się ponownie spotkać z panem radcą stanu dziś wieczorem – oznajmiła.

Twarz Hermmana przypominała wielki znak zapytania.

– To znaczy z Markussenem. Udzielił mi wielu dobrych rad. Chcę ci naprawdę serdecznie podziękować za pomoc.

Nic nie zrozumiał. Jej ton się zmienił. Mówiła do niego na „ty”. Przez jakiś czas zwracała się do niego na „pan”, a on wziął to za oznakę szacunku. Teraz była na audiencji u Markussena, a on spadł na poziom parobka.

Klara sięgnęła do torebki po portmonetkę.

– Bardzo się cieszę, że doprowadziłeś mnie do Markussena – powiedziała. – Chciałabym ci wynagrodzić fatygę.

Wyjęła z portmonetki banknot stukoronowy. Herman w pierwszej chwili chciał odmówić przyjęcia pieniędzy. Za kogo ona go uważa? Sądzi, że on nie ma żadnej dumy? Potem zmienił zdanie. Przecież rzeczywiście wyświadczył jej przysługę, poza tym stracił czas. A sto koron to całkiem niezłe pieniądze. Potrzebuje ich, chętnie by się czegoś napił. I zabawił się z kobietą. Dobre powody, by przyjąć zapłatę, spadały jeden za drugim, aż szalka, na której umieścił swą drogocenną dumę, stała się w porównaniu z pieniędzmi zbyt lekka i uniosła się w powietrze. Wsunął banknot do wewnętrznej kieszeni marynarki, nie dziękując.

– I co uzgodniście z Markussenem? – spytał sztucznie obojętnym tonem.

– Radca stanu stwierdził, że nasza rozmowa powinna pozostać konfidencyjalna.

Ostatnie słowo Klara Friis wymówiła powoli i starannie, jak gdyby chciała zyskać pewność, że do Hermana dotarła każda wypowiedziana przez nią sylaba. Słowo „konfidencyjalna” najwyraźniej również dla niej było nowe. Potem się uśmiechnęła.

Herman pierwszy raz zobaczył jej uśmiech.

•

Weszła do budynku, którego wnętrze było równie odpychające jak fasada. Ledwie zdążyła usłyszeć za plecami trzask ciężkich drzwi, a już stanął przed nią mężczyzna w uniformie z taką miną, jakby chciał jej oznajmić, że pomyliła główne wejście z kuchennym. Od razu poczuła, że nigdzie dalej się nie dostanie.

Tymczasem moment później podszedł do niej nieduży człowieczek z czarnym jedwabnym kapeluszem w rękę i uprzejmie spytał, czy może jej w czymś pomóc.

To był Markussen.

Klara strasznie się zmieszała. Wspomniała nazwisko Alberta i swój spadek, a w odpowiedzi zobaczyła, jak uprzejmość na twarzy mężczyzny ustępuje miejsca zniecierpliwieniu. Był szczupły, brwi i wypielęgnowane wąsy miał siwe, rysy ostre, wystający nos i mocno zarysowany podbródek, lecz coś w tej twarzy zaczynało się jakby zapadać i świadczyło, że starość rozpoczęła już swój atak. Miał spojrzenie inkwizytora. Odźwierny znów się przybliżył, jakby tylko czekał na znak, by wyrzucić ją z budynku.

Najgorzej, że Klara nie była w stanie przerwać nerwowego potoku słów i sama odejść. Zachowałaby przynajmniej odrobinę godności. A ona coraz bardziej zaplątywała się we własną historię, właściwie niebędącą wcale historią, a jedynie zlepkiem informacji, które wyrzucała z siebie bez ładu i składu. Wyglądało na to, że nie przyszła tu z żadną sprawą, tylko po prostu potrzebowała słuchacza.

Tymczasem spojrzenie Markussena nagle się zmieniło. Później Klara nigdy nie potrafiła przywołać i nazwać wyrazu jego oczu, chociaż często próbowała, ponieważ czuła, że zawiera ono klucz do czegoś więcej niż tylko do samego Markussena. Czy była to nagle wzbudzona ciekawość? Tak, trochę tak. Mrok, ból, tęsknota, żal? Być może.

W każdym razie jego zniecierpliwienie nagle zniknęło. Nachylił się i popatrzył jej w oczy tak głęboko, że ją przeraził. Zacięła się.

„Co ja takiego powiedziałam”, zastanawiała się. „Dlaczego on tak na mnie patrzy?”

Ujął ją za rękę.

– Proszę ze mną – rzekł krótko.

Windą pojechali do jego biura na trzecim piętrze. To była pierwsza winda, w jakiej Klara się znalazła. Gdy podłoga zadrżała jej pod stopami, zadrżała również i jej dłoń w jego dłoni.

Polecił sekretarce telefonicznie odwołać spotkanie, na które właśnie wychodził. Wciąż trzymał ją za rękę, jakby się bał, że Klara rozwieje się w powietrzu, jeśli bodaj na moment ją puści.

Gestem zaprosił ją do swojego gabinetu.

– Proszę mi nie przeszkadzać – polecił sekretarce. Przysunął Klarze krzesło, sam usiadł po drugiej stronie wielkiego biurka z ciemnego drewna. Przez okno widać było pomnik Nielsa Juela.

– Przypadek to potężna siła – powiedział, gładząc się po siwych wąsach. – Przyszła pani do mnie z powodów, które wydają mi się dość niejasne, i mało brakowało, a kazałbym pani odejść. Ale w rzeczywistości my dwoje mamy ze sobą znacznie więcej wspólnego, niż pani jest w stanie to sobie wyobrazić.

– Chodzi panu o coś, co powiedziałam – wymamrotała Klara, spuszcżając wzrok.

– Jak najbardziej chodzi mi o coś, co pani powiedziała. Ale czy wie pani, co to było?

Pokręciła przecząco głową. Znowu poczuła paraliżujące onieśmienie.

– O ile dobrze zrozumiałem, chciała mi pani pokazać jakieś dokumenty. Załatwmy najpierw to.

Wyciągnął rękę. Klara posłusznie zajrzała do swojej ceratowej torby i podała mu kopertę zawierającą testament wraz z załączonymi do niego aktami notarialnymi i papierami wartościowymi.

Markussen na dłuższą chwilę pochylił się nad dokumentami. Od czasu do czasu unosił głowę i bacznie się jej przyglądał. Nie odzywała się. W końcu odłożył papiery na biurko.

– Tak jak myślałem – stwierdził. – Przedsiębiorstwo żeglugowe to jedynie wierzchołek góry lodowej. Właściwy majątek został zainwestowany w plantacje w południowo-wschodniej Azji i w fabryki w Szanghaju. Jest pani bogata, pani Friis. Nie tak bogata jak ja, ale wciąż bogata. Pani posiadłości w Azji stanowią faktycznie coś w rodzaju przedsiębiorstwa bliźniaczego z moim. Nie jest to wcale takie dziwne, jak może się wydawać, obie fortuny bowiem stworzyła jedna i ta sama osoba.

Klara popatrzyła na niego zdumiona.

– Sama pani wymieniła jej nazwisko. Mówię o Cheng Sumei. O ile dobrze rozumiem, była kochanką tego Alberta Madsena. Kiedyś była również moją. Nie zaliczała się do kobiet, które pozostawiają swoich mężczyzn z pustymi rękami. – Złożył dłonie przed sobą na biurku. Chwilę siedział zamyślony. Oczy mu pociemniały. – Przez wiele lat nic nie wiedziałem o jej losie – powiedział.

W końcu otrząsnął się i popatrzył na Klarę z nową energią w spojrzeniu.

– Chciałbym teraz usłyszeć o pani planach.

Przedstawiła mu je. Nigdy wcześniej z nikim o nich nie mówiła i nie była pewna, jak się zaprezentują w obcych oczach. Na moment przełamała samotność, którą żyła otoczona przez tyle miesięcy. Gdy wreszcie potok jej słów przestał płynąć, Markussen przez moment zastanawiał się w milczeniu.

– Słyszała pani o perskim królu Kserksesie? – spytał. – To jemu przyszedł do głowy pomysł ukarania morza, ponieważ przed decydującym starciem z Grekami niespodziewanie zerwał się sztorm i rozbił jego flotę w drzazgi. Metoda, jaką wybrał, była dość niezwykła. Kazał wychłostać morze żelaznymi łańcuchami. Pani, pani Friis, jest współczesną spadkobierczynią Kserksesa.

Patrzył na nią, jakby sprawdzał efekt swoich słów. Klara nie zareagowała. Jego przemowa nie zrobiła na niej wrażenia.

– Mam jednak nadzieję, że pani rozumie, iż te plany będą miały przykre konsekwencje dla pani miasteczka. Zniszczy je pani.

– Wprost przeciwnie – odparła, zbierając się na całą odwagę, na jaką ją było stać. – Ja uratuję miasto.



Tego samego wieczoru Klara zjadła kolację z Markussenem w apartamencie w „Hotelu d’Angleterre”, który zawsze pozostawał do jego dyspozycji. Korzystał z niego przy okazji wizyt partnerów handlowych i ważnych spotkań. Ten wieczór był przeznaczony na opowieść o Cheng Sumei.

– Kobiety – zaczął – uważają się za istoty łagodzące konflikty. Zawsze są dyplomatkami, nie z natury, tylko z konieczności. Kobiety muszą mieć delikatne dłonie. Cheng Sumei także je miała. Ale jedynie do czasu, gdy odnalazły swój cel. Wtedy stały się twarde jak stal.

Klara instynktownie wyczula, że z tego, co zamierzał jej opowiedzieć, nigdy nie zwierzył się nikomu. Z nią było podobnie. Mogła otworzyć serce jedynie przed obcym. Potrzebowali siebie nawzajem.



Markussen poznał Cheng Sumei w Szanghaju. Usiłował wejść na rynek chiński, ale mu się nie powiodło. Był zbyt niedoświadczony i niedostatecznie zabezpieczony, by stawić czoło stratom, które zawsze czyhają na początkującego człowieka interesu.

Pochodzenie Cheng Sumei było niezwykle, przynajmniej dla Duńczyka, lecz wcale nie zaskakujące u tego rodzaju kobiet, na które cudzoziemcy natykają się w takim mieście jak Szanghaj. Wcześniej została sierotą i żyła na ulicy jako kwiaciarka. Kwiaty nie były jedyną rzeczą, którą sprzedawała. Ale on wcale nie spotkał jej na ulicy. Została adoptowana przez żydowskiego przedsiębiorcę z Bagdadu, niejakiego Mr. Silasa Hardoona, który w ramach swojej działalności charytatywnej niemalże kolekcjonował nieszczęsne dzieci ulicy, zapewniał im dom, wychowanie i wykształcenie – oprócz etyki konfucjańskiej uczyły się również angielskiego i hebrajskiego. Zmarł wcześniej, a w testamencie zapisał pewną sumę każdemu z dwanaściorga swoich adoptowanych wychowanków. Te pieniądze umożliwiły Cheng Sumei nabycie udziałów w popularnym barze „Saint Anna Ballroom”. Markussen spotkał ją tam na przyjęciu. Podeszła do niego, bo widać zauważyła jego skrzępowanie.

Od razu spostrzegł, że jest piękna, ale zainteresowała go głównie jej inteligencja, nie zaś idealne rysy twarzy.

Nigdy nie rozmawiali o niczym innym niż interesy.

– O niczym innym nie umiem rozmawiać – oświadczył Markussen kokieteryjnie.

Klara Friis zorientowała się, że była to często powtarzana przez niego kwestia.

Przyjechał do Chin po to, by – jak się wtedy mówiło – uczestniczyć w dzieleniu melona. Inni jednak już wcześniej zdążyli go pokroić, Anglicy, Francuzi, Amerykanie, nawet Norwegowie mieli lepszą pozycję niż samotny Duńczyk bez żadnych kontaktów.

Nieźle sobie poradził, zważywszy na okoliczności. Osiadł w szanghajskiej dzielnicy The Bund, czarterował statki żeglugi przybrzeżnej, budował składy i założył stocznię. Zysk jednak wciąż się nie pojawił.

– Zapełnij składy – powiedziała Cheng Sumei.

Spojrzał na nią zdziwiony. Czym? Kolejnymi towarami, których nie mógł sprzedać?

Pokręciła głową i zaśmiała się z niego.

– Na papierze, *lao-yeh*. Zapełnij składy, ale tylko w księgach rachunkowych.

– A jeśli odkryją, że sfałszowałem rachunki?

– Weź do zarządu ważnych ludzi ze świecznika, wtedy nikt niczego nie odkryje. *That is the Shanghai way, lao-yeh*.

•

Po przewycięzeniu kryzysu zaproponowała, żeby przeniósł przedsiębiorstwo żeglugowe do Port Artur. To tam, a nie w Szanghaju, znajdował się główny ośrodek rosyjskiej ekspansji w Chinach.

– Ale przecież będzie wojna.

Dobrze się orientował w polityce. Musiał. I słyszał, jak rosyjski minister spraw wewnętrznych Plehwe mówi, że Rosja stanie się wielka za sprawą bagnetów, a nie dyplomatów. Japonia miała takie same plany jak Rosja. O tym, kto zdobędzie prawo do splądrowania bezbronego chińskiego giganta, rozstrzygnie broń. A on nie miał wątpliwości, kto wygra.

– No właśnie – powiedziała. – Ale nadejdzie też czas po wojnie, który ty możesz wykorzystać.

•

Przyszła wojna. Port Artur zablokowano. Markussen za radą Cheng Sumei się nie wycofał, nie odprawił personelu i nie zbył udziałów, jak postąpiła większość innych. Czy wytrzymałby stratę w razie upadku miasta? Nagroda nadeszła nieoczekiwanie. To na pokładzie statków z jego przedsiębiorstwa ewakuowano oddziały rosyjskie i uchodźców, gdy miasto się poddało, i słono mu za to zapłacono. To jego statki przewoziły zaopatrzenie wojenne dla Rosjan, gdy flota japońska zablokowała Władywostok, i tylko statki z neutralną banderą można było załadowywać i przeładowywać tak, by transporty wreszcie docierały do rosyjskich pozycji w okolicach Nikołajewska nad ujściem rzeki Amur.

– Nauczyłeś się już lekcji? – spytała, gdy jak zawsze przedstawiła wiedzę, którą pragnęła mu wpoić, w formie żartobliwych zagadek.

Znów wyglądał jak znak zapytania.

– Słuchaj swojej malej *sampan girlie*. W Port Artur powiodło ci się dokładnie z tych samych powodów, dla których nie powiodło ci się w Szanghaju, *lao-yeh*. W Szanghaju ci się nie udało, bo wielkie mocarstwa już podzieliły melona między siebie. Nie było miejsca dla małego Duńczyka. Przedsiębiorca angielski, francuski czy amerykański zawsze może poprzeć swoje żądania okrętami. Duńczyk nie ma takich możliwości, i dlatego istnieją na świecie miejsca, w których właśnie on jest mile widziany, ponieważ nikt nie żywi podejrzeń, że w ślad za jego statkami handlowymi przyplyną okręty wojenne. Jako Duńczyk nie posiadasz nic oprócz swoich delikatnych dłoni. Musisz je wykorzystywać, bo w wielu miejscach na świecie gość, wyciągający gołe ręce, bez broni, jest tym, którego wita się najgoręcej. Człowiek z małego, słabego kraju jest właściwie jak ktoś pozbawiony ojczyzny. Wystarczy, że pomachasz flagą. Nie zobaczą na niej symbolu chrześcijańskich krzyżowców, białego krzyża na czerwonym tle. Zobaczą jedynie białe płótno. Owiń się w białą oponczkę niewinności, *lao-yeh*.

Nie obraził się. Nie czuł się patriotą. Jego ojczyzną były księgi rachunkowe, również te fałszywe. I umiał dostrzec mądrość w jej radach.

Wykorzystywał swoje duńskie obywatelstwo, by przed uderzeniem zasygnalizować, że z jego strony nic nie grozi. Jego dłonie zrobiły się delikatne jak dłonie kobiety.

•

– Dlaczego się rozstaliście? – spytała Klara.

Poufałość sprawiła, że przeszli na „ty”, chociaż żadne się nad tym nie zastanawiało.

– Pewnego dnia ci powiem. Ale nie teraz. Opowiedziałem ci tę historię, ponieważ chciałem, żebyś czegoś się z niej nauczyła. Nie o mnie, tylko o tym, czego może się spodziewać kobieta, która prowadzi interesy. Mam troje dzieci, lecz tylko moja córka jest do mnie podobna. Synowie to zupełnie niezguły. Powierzenie im firmy oznaczałoby natychmiastową ruinę. Moja córka ma talent, lecz przeciwko sobie ma swoją płęć. Muszę więc zatrudniać figuranta, chociaż to ona jest prawdziwą szefową przedsiębiorstwa. Nigdy nie doczeka się uznania za swoją pracę. Na tym będzie polegała jej tragedia. Będzie działać za pomocą oszustwa i ono stanie się jej siłą. Ty musisz postępować tak samo. Od tej chwili jesteś oszustką.



Klara Friis zyskała nieoczekiwane sprzymierzeńca.

Była nim śmierć.

Do Marstal dotarła hiszpanka i jak wszędzie indziej, tu także zebrała swoje żniwo. Grypa różniła się od morza, które zabierało wyłącznie mężczyzn. Hiszpanka zabierała każdego, kto znalazł się w pobliżu. Łaskawie pozwalała swoim ofiarom umierać we własnych łóżkach, zapewniała również grób, który można było później odwiedzać.

Pastor Abildgaard chodził po domach, rozmawiał z pogrążonymi w żałobie rodzinami i odprawiał nad zmarłymi ceremoniał rzucenia ziemi. Grypa nie przerażała go tak jak wojna. Na cmentarzu pojawiły się nowe mogiły, na których kwiaty podlewano w każdą niedzielę po południu. Żałobnicy, mamrocząc, rozmawiali ze zmarłymi, od czasu do czasu siąkali nosem, lecz gdy podnosili głowy i dostrzegali sąsiada przy grobie obok, natychmiast nawiązywała się ożywiona rozmowa i wymiana najświeższych wiadomości. Dzieci zapominały się i hałaśliwie biegały po wygracowanych ścieżkach, dopóki ktoś ich nie uciszył.

Ci, którzy pozostali, musieli dźwigać swój ciężar. Ale takie już jest życie. Z pochylonymi głowami przyjmowaliśmy to, co nam pisane. Nikt się nie burzył i nie przeklinał, ani wyższych mocy, ani tych ziemskich.

„To przejdzie. Musi kiedyś przejść”, odpowiadaliśmy, kiedy się spotykaliśmy i wypytywali nawzajem.

Hiszpanka nie odróżniała wysoko od nisko urodzonych. Mimo wszystko jednak wydawało się, że miała szczególne upodobanie do potomków Sofusa Wieśniaka. On sam nie żył już od wielu lat, lecz przedsiębiorstwo żeglugowe pozostało w rękach rodziny Boye. Rok po bankructwie Henckla uruchomili nową stocznię statków stalowych, położoną nieco dalej na północ w porcie. Za każdym razem, gdy słyszeliśmy młotki wbijające rozżarzone nity w huczący stalowy kadłub, myśleliśmy to samo: „Jeszcze potrafimy!” To rodzina z naszego miasta stworzyła tę stocznię. Podczas gdy wszystko inne w tych latach okazało się ulotne i musiało upaść, to, co sami stworzyliśmy, trzymało się jak falochron, który osłaniał port i miał go osłaniać na wieki.

Ale Poul Victor Boye się nie utrzymał. Ten wysoki, przystojny mężczyzna z falującą brodą opadającą aż na pierś był cieślą okrętowym i inżynierem budowy statków, twórcą i szefem stoczni, równie sprawnym w biurze, co w doku, zawsze gotów służyć pomocą, jeśli stocznia spóźniała się z zamówieniem.

Grypa dmuchnęła na niego swoim jadowitym oddechem i jego świeczka zgasła.

Miesiąc później dwie jego siostry, Emma i Johanne, również pożegnały małżonków. To oni stali na czele przedsiębiorstwa żegludowego, solidni przemądrzalcy, którzy podczas wojny utrzymywali delikatną równowagę między zyskiem a stratą, tracili ludzi i statki, lecz nigdy pieniądze, a teraz uważali, że nadszedł czas na wielkie przejście od żaglowców do parowców.

Grypa miała inne zdanie.

Trzykrotnie pół miasta kroczyło za trumną wzdłuż Ommelsvejen. Na samym przedzie szły dziewczynki, sypiąc zieleni na bruk, jak gdyby po to, by przygotować drogę do raję. Ci, którzy umarli w domu, a nie na morzu, zasługiwali przecież na celebrę. Był to dawny obyczaj, którego ciągle nie porzuciliśmy. Dalej jechał karawan zaprzężony w czarnego konia.

Poszli do ziemi w odstępach dwóch tygodni. Jeden za drugim.

Za pierwszym razem niczego się nie domyślaliśmy. Ale za trzecim już wiedzieliśmy. Pogrzebaliśmy coś więcej niż mężczyzn.

– Teraz zostali już tylko zwykli marynarze – stwierdził kamieniarz Petersen, pocierając kark kaszkietem, który rzadko opuszczał jego głowę. – Właśnie pochowaliśmy kapitana i sterników.

Kamieniarza Petersena nazywaliśmy również Kolekcjonerem Trupów, ponieważ zawsze rzeźbił w drewnie świeżo zmarłych. Umiał zrobić pożytek z oczu ukrytych w cieniu kaszketu i zdejmował z nas miarę, może nie jak pracownik zakładu pogrzebowego, ale prawie. Ledwie kogoś złożono do grobu, a już na półce w warsztacie Kolekcjonera Trupów pojawiała się nieduża figurka. Warsztat znajdował się naprzeciwko cmentarza. Tak było wygodnie zarówno dla tych, którzy chcieli zamówić nagrobek, jak i dla samego kamieniarza, który dzięki temu nie musiał daleko transportować wyszlifowanych do połysku płyt z krzyżami, gołąbkami, aniołkami i kotwicami. Warsztat Kolekcjonera Trupów był cmentarzem w wersji dla lalek, położonym naprzeciwko tego prawdziwego, z tą jedynie różnicą, że tutaj zmarli dawali się oglądać. Kamieniarz nigdy nie zgadzał się na podarowanie swoich figurek krewnym zmarłych, a gdy pytano go, dlaczego nie rzeźbi w drewnie tych, którzy jeszcze żyją, odpowiadał zawsze, że nie chciałby nikogo urazić. Jego figurki cechowało podobieństwo, ale dość toporne. Duży nos był większy, zgięte plecy jeszcze bardziej garbate, a krzywe nogi wyglądały tak, jakby ich właściciel trzymał między kolanami niewidzialną beczkę. Niemal wszyscy zmarli mieli jakieś przezwiska, i właśnie do tych przezwisk stawali się podobni, gdy Kolekcjoner Trupów uwieczniał ich po śmierci. Uśmiechał się przepaszająco i mówił, że to z czystej nieudolności jego figurki mają kończyny wyrzeźbione z taką przesadą, a nie ze złej woli.

„Okażcie mi wyrozumiałość”, mówił. „Ja po prostu nie umiem zrobić tego lepiej”.

•

W okresie panowania grypy Kolekcjoner Trupów miał pełne ręce roboty. W ciągu dnia obrabiał i szlifował kamień. Wieczorami przesiadywał z fajeczką w ustach i rzeźbił w drewnie. Na jego półce pojawiało się coraz więcej figurek.

– Kto teraz poprowadzi naszą łajbę? – zagadnął szypra Ludvigsena, zwanego Komandorem, który przyszedł zamówić nagrobek dla żony.

Kolekcjoner Trupów sam odpowiedział na swoje pytanie:

– Kobiety. Przekonasz się. Spójrz tylko na Klarę Friis. Zapamiętaj sobie, co mówię. To kobiety przejmą teraz ster.

Ludvigsen pokręcił głową.

– Kobiety nie mają na to dość rozumu.

– Wcale nie powiedziałem, że mają dość rozumu. Mówię tylko, że teraz to one będą decydować.

◆

•

Knud Erik płakał nocami i w samotności.

Przy matce nie mógł płakać. Był przecież jej małym mężczyzną, a mężczyzna bez względu na to, czy jest duży, czy mały, nie płacze przy kobiecie. Przygotował się na jej płacz, kiedy Albert zmarł. Miał być pocieszycielem, mężczyzną u jej boku, gdy kolejny ją opuścił. Jego zadaniem było wziąć na siebie troski i żalobę matki. Umiał to. Był na to przygotowany; jej oczy z czerwonymi obwódkami i twarz bez cienia radości upewniały go, że jest niezastąpiony. Tylko on ją rozumiał i tylko on z powagą jej słuchał.

Pewnego dnia, gdy znów siedziała zapatrzona przed siebie, położył jej rękę na ramieniu.

– Mamo, smutno ci? – spytał. W jego głosie brzmiało zaproszenie, mogła się zwierzyć swojemu małemu mężczyźnie.

Płacz matki był ciężarem, pod którym niemal padał. Nie mógł jednak się bez niego obyć. Dźwigając go na barkach, był kimś. Bez niego nie miał pewności, czy matka w ogóle go dostrzega.

– Nie, nie jest mi smutno – odparła. – Daj mi na trochę spokój. Myślę.

Knud Erik zaczął się bawić z Edith.

– Gdzie tata? Gdzie pan? – spytała.

Nie pytała serio. Mało widywała Alberta. „Tata” pozostawało dla niej tylko słowem. Pewnie sądziła, że tak mu na imię. Była przecież dzieckiem.

Sam Knud Erik nie bardzo wiedział, kim jest. Matka na propozycję pociechy odpowiadała zamyśleniem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział. Łączący ich pakt został zerwany i Knud Erik przestał być jej małym mężczyzną. Kimże więc był?

•

Knud Erik już jako bardzo mały chłopiec nauczył się, że świat potrafi znikać, a potem samorzutnie znów się pojawiać. Spuszczano roletę i wszystko się chowało, dokoła robiło się ciemno. Gdy z trzaskiem podnosiła się w górę, świat powracał. Jasnyniebieski za dnia namiot nieba ustępował głębokiej nocy, a potem zjawiał się na powrót.

Strata oznaczała, że roleta nie pójdzie już do góry. Strata to noc, która nie ma końca.

Jego ojciec zniknął pośród nocy, lecz on przez długi czas miał nadzieję, że roleta, która go zasłoniła, znów się podniesie. Przepatrywał horyzont w poszukiwaniu sznurka, za który mógłby pociągnąć, by się uniosła, na powrót odsłaniając ojca, tego ojca, którego twarz już rozplynęła się we mgle i którą musiał z wysiłkiem starać się przywołać, nigdy nie mając pewności, czy przypomina sobie to samo co poprzednio. Pozostało tylko to jedno słowo. Ojciec. Kiedyś miał kogoś takiego. Ta świadomość tkwiła w nim niczym dziura w duszy, biała plama na płótnie jego pamięci.

Teraz musiał uporać się ze stratą Alberta.

Zapamiętał Alberta wyłącznie jako dobroć, którą kapitan Madsen go obdarował. Stali się przecież kolegami, przyjaciółmi, Albert był dla niego wszystkim, całym światem, obejmującym go ramionami tak silnymi, że żadne zło nie mogło mieć do niego przystępu. Wiedział, że stary człowiek go kochał, chociaż to słowo nigdy nie padło.

Albert swoją śmiercią miał mu pomóc po raz ostatni.

•

Anton miał rude włosy, a w jego żylastym ciele usianym piegami koloru zupy piwnej tkwiła taka żądza walki, że nawet więksi od niego chłopcy z szacunkiem schodzili mu z drogi. Trzymał prawie całkiem oswojoną mewę pospolitą, którą nazwał Tordenskjold. Mewa pogodziła się z zamknięciem we własnoręcznie uplecionej przez Antona klatce z rotangu, ustawionej w ogrodzie jego rodziców. Jeśli ktoś chciał mieć dobre stosunki z Antonem, to przepustkę stanowił śledź wpuszczany w żarłoczny dziób Tordenskjolda. Anton znalazł mewę jako pisklę na cyplu wysepki Langholm, dokąd każdej wiosny pływał łodzią wiosłową wybierać z gniazd jaja, które potem sprzedawał piekarzowi Tannesenowi z południowego krańca miasta. Ten używał ich do wypieku ciasta piaskowego oraz waniliowych obwarzanków, i dlatego nigdy nie mówiono o nim inaczej jak Mewi Piekarz.

Antona natomiast nazywano Postrachem Marstal. Zyskał to przezwisko, gdy strzałem z wiatrówki rozbił porcelanowy izolator na czubku latarni, przez co pół miasta pograżyło się w ciemnościach. Wiatrówki, którą pożyczał od kuzyna, używał poza tym głównie do strzelania do wróbli na zlecenie gospodarza z Midtmarken, który dawał mu cztery øre za każdego ptaka. Wieśniak wrzucał martwe wróble do gnojówki, skąd Anton znów je zabierał, po czym sprzedawał truchła jeszcze raz. Jednego i tego samego ptaka potrafił sprzedać nawet cztery albo i pięć razy naiwnemu wieśniakowi, który z czasem nabrał bardzo przesadzonych wyobrażeń o liczebności wróbli nawiedzających jego pola.

Anton pochodził z Møllevejen, położonej w północnej części miasta, z kolei Knud Erik, który mieszkał na Prinsegade, był z południowej części, a między tymi dwiema dzielnicami biegła granica, którą w oczach chłopców należało traktować z nie mniejszą powagą niż fronty niedawno zakończonej wojny. Dwie bandy toczyły ze sobą bezlitosną walkę: Banda Południowa i Banda Północna. Knud Erik i Anton w naturalny sposób znaleźli się po przeciwnych stronach barykady. Knud Erik zarówno na szkolnym podwórzu, jak i w drodze ze szkoły do domu trzymał się z boku, nie należał więc właściwie do żadnej bandy, Anton natomiast był szanowanym członkiem Bandy Północnej.

W pewien wiosenny dzień, gdy wiatr szarpał szczyty fal za falochronem, Anton minął Knuda Erika w drodze ze szkoły do domu. Knud Erik dobrze znał jego sławę i jakby broniąc się, wtulił głowę w ramiona. Nie był skory do bójki, i dlatego nie wiedział, że zbyt uległa postawa może wywołać właśnie bijatykę, której tak bardzo pragnął uniknąć.

– To ja znalazłem kapitana Madsena – oświadczył Anton. Knud Erik skulił się jeszcze bardziej. Zapragnął nagle, by ten drugi chłopiec zadowolił się spuszczeniem mu lania.

– Chciałem tylko powiedzieć, że moim zdaniem on jest niezrównany – ciągnął starszy chłopak. – Umarł w butach. Wyprostowany. Ja też chciałbym tak umrzeć.

Knud Erik nie wiedział, co odpowiedzieć, ale tkwiące w nim napięcie ustępowało.

– Przecież ty go znałeś. On był dla ciebie prawie jak dziadek, prawda?

Anton powiedział to bez złośliwości.

– No tak. – Knud Erik wciąż się wahał. – Jak on wtedy wyglądał? – spytał po chwili.

Chciał wiedzieć, czy Albert cierpiał w ostatnich godzinach. Czy było coś widać na jego twarzy? Uznał jednak, że chyba głupio o to pytać.

– Miał szron na brodzie i we włosach, na całej twarzy. To wyglądało nadzwyczajnie, wspaniale! – odparł Anton.

Knud Erik zebrał się na odwagę.

– A poza tym jak wyglądał?

– O co ci chodzi? Chyba zwyczajnie. Przecież nie żył. Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Chmury nad ich głowami zbiły się i przybrały ciemniejszy odcień. Minęli Markgade i przecięli rynek. Wkrótce Knud Erik miał dojść do domu i być może Anton już nigdy się do niego nie odezwie. Zapragnął jednak zyskać przyjaźń starszego chłopca i zapatrzony w dal, zaczął przeszukiwać zakamarki mózgu, żeby powiedzieć coś ciekawego.

W końcu wpadł na wspaniały pomysł.

– Widziałeś kiedyś spreparowaną ludzką głowę?

•

W życiu Knuda Erika nie było już dorosłego mężczyzny. Ale miał teraz Antona, który posiadał własną wiedzę o życiu, zgromadzoną podczas licznych utarczek z dorosłymi. Znał ich świat, ale w taki sam sposób, w jaki szpieg z wrogiej armii zna obozowisko wroga: po to, by skuteczniej je zaatakować.

Pewnego dnia po szkole zgodził się pójść z Knudem Erikiem na Prinsegade. Podczas całej wizyty uważał się za obserwatora. Przyszedł tu, by lepiej poznać przeciwnika.

Otworzyła im młoda dziewczyna, która zajmowała się pracami domowymi. Była ubrana w nakrochmalony fartuch i miała wysoko upięte włosy. Anton zmierzył ją wzrokiem z miną znawcy, jakby zastanawiał się, czy nie zaprosić jej gdzieś jeszcze tego samego wieczoru. Ona natomiast popatrzyła na jego nogi i ostrym tonem kazała mu przed wejściem do pokoju zdjąć drewniaki.

Wobec Klary Friis Anton zachował się wzorowo. Uprzejmie odpowiadał na wszystkie pytania, o matkę, ojca i stopnie w szkole. Nie wspomniał, że zawsze sam podpisuje co miesiąc oceny w dzienniczku, o którego istnieniu jego matka nie miała nawet pojęcia. Klarze zaimponował wzorowy uczeń, z którym zdołał się zaprzyjaźnić jej syn i który z całą pewnością mógł być dla Knuda Erika znakomitym przykładem. Jedyną rzeczą, która nie podobała jej się w Antonie, było jego niespokojne spojrzenie, bezustannie omiatające pokój, jak gdyby usiłował zarejestrować wszystkie znajdujące się w nim przedmioty. Nogi chłopaka pod stołem kiwały się bezustannie. Ogromnym wysiłkiem woli zachowywał się tak spokojnie, jak wymagało tego przebywanie w towarzystwie matek.

Klara zagadnęła go o plany na przyszłość. Dziwne mogło się wydawać zadawanie takiego pytania jedenastoletniemu chłopcu, ale przecież za dwa albo trzy lata miał przystąpić do confirmacji i opuścić szkołę, uznała więc za prawdopodobne, że już o tym myślał.

– Pójdę na morze – oznajmił Anton cierpkim, rzeczowym tonem, w którym nie krył się ani podziw, ani nic przeciwnego, najwyżej lekkie zdziwienie, że ktoś w ogóle może o coś podobnego pytać.

– Knud Erik nie będzie marynarzem – oświadczyła Klara. Mówiąc to, miała swój cel. Chciała, by jej syn wyróżniał się spośród kolegów. Niech wiedzą, kogo mają między sobą. Chłopca, który przeznaczony jest do czegoś większego niż oni.

Anton przeniósł wzrok z matki na syna, jakby znów przeprowadzał inwentaryzację. Klara zauważyła jego spojrzenie. Nie wiedziała, jak je sobie tłumaczyć. Pozostawiło w niej jednak niepokój.

•

– Ona jest surowa – oświadczył Anton Knudowi Erikowi, gdy zobaczyli się następnym razem.

Powiedział to jak trener bokserski oceniający przeciwnika. Widząc bezbronność na twarzy Knuda Erika, położył mu rękę na ramieniu.

– Wszystkie są surowe – dodał na pocieszenie. – Chce cię wepchnąć do jakiegoś biura maklerskiego. Będziesz przez cały dzień siedział jak pajac w sztywnym kołnierzyku. Cholera, tak nie może być.

– No, cholera, nie może.

Knud Erik wypowiedział te słowa z wahaniem. Naśladował sposób mówienia Antona.

– Jest jeden skuteczny sposób, żeby do tego nie dopuścić – stwierdził Anton. – Musisz po prostu źle się uczyć.



Źle się uczyć było o wiele trudniej, niż można by przypuszczać. Tak okropnie go kusiło, żeby podnieść rękę do góry, kiedy znał odpowiedź. Przecież przygotowywał się w domu. To w nim tkwiło jak instynkt. Chciał być grzecznym chłopcem.

Do tej pory Knud Erik należał do średnich uczniów. Teraz dobrowolnie spadł na dno. Jego opinii wśród kolegów to nie zaszkodziło, ale zaczął żyć w strachu przed karą. W szkole uczyły przede wszystkim niezamężne panny. Jedne były grube, inne chude, ale wszystkie były, szarpały, szczypały i ciągnęły z energią, o jaką nikt by ich nie podejrzewał. Panna Junckersen ciągnęła za uszy, panna Lærke za włosy na karku, panna Reimer biła wierzchem dłoni. Panna Katballe przekładała nieposłusznych przez kolano i łoila tyłek, a tego jedynie zahartowany Anton się nie bał. Bijąc, nauczycielka siniąła z gniewu, i właśnie tego strasznego koloru jej twarzy i parskania, które wraz ze śliną wydobywało się z jej ust, baliśmy się bardziej niż razów.

Ale tylko gdy chodziło o nauczyciela Krusego, sprawa pozostawała beznadziejna. Był mężczyzną i miał siłę w rękach. Leniwych wywieszał przez otwarte okno na piętrze i groził, że ich puści. Na ssący strach, który płynął z przestrzeni w dole, nikt nie mógł się zahartować. Na jego lekcjach po każdym pytaniu wyrastał las podniesionych rąk.

•

Knud Erik w domu przygotowywał się do lekcji, a w szkole miał usta zamknięte. Nie czuł się z tym dobrze. Ufał jednak radzie Antona i liczył na nagrodę w zaświatach, którymi wydawało mu się życie po długim okresie uczniowskiego wyczekiwania.

W ławce obok niego siedział Vilhjelm, który się jękał. Nauczyciele nie mieli do niego cierpliwości, on sam zresztą też ją tracił i poddawał się, nim wypowiedział słowo do końca. Knud Erik szeptał mu odpowiedzi do ucha albo pisał na kartce. Vilhjelm stał się dla niego tym, czym kukielka dla brzuchomówcy. Zdolności, których nie chciał pokazać nauczycielom, mogły się objawić za pośrednictwem Vilhelma. Z czasem się zaprzyjaźnili.

Vilhjelm przynosił do domu lepsze stopnie niż dawniej. Knud Erik wracał z gorszymi.

Matka patrzyła na niego z wyrzutem.

„Co się z tobą dzieje w szkole?“, pytała tonem, w którym wychwytywał troskę, zaczątki paniki i gniew. Gniew zwyciężał. Klara stała się teraz inna, a on cieszył się ze zmiany, która w niej zaszła. Gdyby wciąż była tak płaczkliwa jak dawniej, nie mógłby obstawać przy swoim. Znowu musiałby się stać jej pomocnikiem i pocieszycielem. Teraz na niego krzyczała, a on zachowywał się tak jak w szkole: hartował się. Matka była członkiem regimentu kobiet, któremu musiał się podporządkować, zanim zostanie wypuszczony na wolność.

– Dziwny z ciebie chłopiec – powiedziała.

Te słowa go zapiekły. Poczul się przez nią odrzucony. Przez moment miał ochotę przytulić się do niej i błagać o wybaczenie. Jakaś jego część pragnęła się z nią pojednać, by mogli odnaleźć swoje dawne miejsca, i on znów stałby się jej dużym chłopcem, a ona biedną, małą mateczką, która tak bardzo go potrzebowała. Ale ona nie była już bezradna, a wybuchy jej gniewu pomogły mu twardością odpowiadać na twardość i wytrwać.

•

Wobec Vilhjelma Anton zachowywał się powściągliwie. Nie zależało mu na słabeuszach ze szkolnego podwórza, a jego zainteresowanie Knudem Erikiem wynikało przede wszystkim ze związków chłopaka ze zmarłym Albertem, który w oczach Antona urastał coraz bardziej, w miarę jak Knud Erik opowiadał mu o kolejnych przeżyciach kapitana. Anion słyszał już o zatonięciach statków i o przygodach w obcych partach, podobne opowieści stanowiły chleb powszedni w dzieciństwie każdego chłopca. Ale o spreparowanej głowie jeszcze nigdy od nikogo.

Jakże ten jąkała Vilhjelm, któremu ledwie udawało się dokończyć zdanie, mógł się równać z takimi fantastycznymi przygodami?

Rzeczywiście, Vilhjelmowi poskąpiono daru wymowy. Ale obdarowano go inaczej: wyjątkowo sprawnymi kończynami. W pewien chłodny dzień, kiedy kręcili się po statkach zimujących w porcie, zaczął się nagle wspinać po takielunku coraz wyżej, aż dotarł do topu masztu, do błyszczącego pomalowanego jabłka na wysokości dwudziestu pięciu metrów. Położył się na nim na brzuchu, ręce i nogi rozsunął na boki, jakby latał. Czegoś podobnego nie widzieli od czasu, gdy w Marstal gościł Cyrk Dannebrog, ale i tam z pewnością nie było popisów na dwudziestu pięciu metrach.

Nikt z gromady nie miał śmiałości powtórzyć tego wyczynu. Najodważniejsi docierali do jabłka, ale tam wahali się i zawracali. Również Anton musiał wywiesić białą flagę. Znaleźli się tacy, którzy od Postrachu Marstal oczekiwali pogardliwego wzruszenia ramionami i oświadczenia, że to nic takiego, bo czegoś, na co on nie miał odwagi, nie warto przecież robić.

Ale Anton nie był taki. Postąpił przeciwnie.

– Niech mnie diabli porwą, aleś ty odważny! – stwierdził. – Ja się wystraszyłem, kiedy przyszło co do czego.

Z uznaniem poklepał Vilhjelma po ramieniu, a tym samym jego los został przesądzony. Vilhjelm nie stał już poza gromadą.

•

Jedną historię Vilhjelm mógł opowiedzieć, tyle że zabierało to strasznie dużo czasu, a my go nie mieliśmy. Raz jednak wysłuchaliśmy. Vilhjelm był bliski śmierci i ocalał go jedynie przypadek.

Wydarzyło się to w niedzielę rano, bardzo wcześnie. Wybrał się wraz z ojcem do przystani jolek, by sprawdzić łódź. Jego ojciec był piaskarzem, a poza tym nie słyszał, i właśnie jego głuchota przydawała tej historii napięcia. Inaczej bowiem byłyby to opowieść o zwykłym wpadnięciu do wody, które wielu z nas przeżyło. Wszak losem każdego porządnego chłopca było znaleźć się pod powierzchnią i zbadać głębię, jeszcze zanim nauczył się pływać.

Vilhjelm miał wtedy trzy lub cztery lata. Ojciec zaczął go pouczać tym swoim powolnym głosem, który zawsze brzmiał jak echo w pustej przestrzeni, i przy każdym słowie musiał się namyślać, jakby upewniając się, co powiedział.

– Siadaj tam – nakazał. – Masz być cicho. A jeśli będziesz czegoś chciał, to musisz mnie szarpnąć.

Odwrócił się do syna tyłem i zabrał do reperowania poszycia pokładu. Vilhjelm siedział wpatrzony w przezroczystą, nieruchomą wodę. Wciąż potrafił przekazać nam wrażenie, jakie wówczas na nim zrobiła. Kamienie przy kei, zielone i oślizgłe, były baśniową krainą mieniącą się kolorami, gdy promienie słońca przedzierały się przez wodę pełną rozgwiad, wędrujących krabów i nieruchomych krewetek z drżącymi czułkami.

Vilhjelm pochylił się niżej, wiedziony pokusą odkrywania, i nagle wpadł do tej krainy baśni, głową w dół. My też tam byliśmy, a przynajmniej większość z nas, ale tylko w wypadku Vilhjelma nad cienką granicą między ocaleniem a śmiercią przez utopienie czuwał głuchy ojciec.

Vilhjelm wyskoczył na powierzchnię jak korek i złapał za reling. Znalazł oparcie dla stóp na jednym z oślizgłych głazów przy pomoście, ale zsunął się i zawisł z nieważkimi nogami, zanurzonymi w ciemnozielonej głębi. Pochwycił go lodowaty prąd i próbował oderwać od łodzi.

Chodaki już dawno zdezerterowały i unosiły się na powierzchni niczym para łodzi ratunkowych wokół tonącego statku. Mokre ubranie, które zaledwie przed chwilą stanowiło dobrze znajomą część samego Vilhjelma, teraz wydawało się obcym futerałem. Widział jedynie plecy ojca i miał wrażenie, że w tych potężnych, okrytych niebieskim drelichem plecach skupił się cały świat i odwrócił do niego tyłem.

Wrzeszczał zrozpaczony, ale głuchy ojciec nic nie słyszał. Znów zaczął krzyczeć, aż echo poniosło się po pustej przystani jolek.

– Ratunku! Tato!

Dłużej nie mógł wytrzymać. Palce puściły i zniknął pod wodą. Kopał, gryzł i bił, jak gdyby walczył z dzikim zwierzęciem, ale to tylko spokojna, miękka woda naciągała mu swoją kołdrę na głowę, jakby przyszła pora snu i woda życzyła mu dobrej nocy.

A potem... Potem pojawiła się wielka ręka ojca. Potężne ramię zanurkowało po niego. To ramię, które sięgnęłoby aż do dna morza, aż do śmierci, gdyby zaszła taka potrzeba, i wyciągnęło go na powierzchnię.

– W naj-naj-naj-ostatniejszej chwili.

Wiedzieliśmy, że tym razem Vilhjelm się nie jękał. To naprawdę stało się w naj-naj-naj-ostatniejszej chwili.

– Pewnie dostałeś niezłe lanie? – spytał Anton.

Bo u niego w domu tak właśnie by się skończyło.



Ale Vilhjelm nie dostał lania, ani przy tej, ani przy innych okazjach, a dlaczego, zrozumieliśmy, gdy po raz pierwszy zobaczyliśmy jego ojca, bardziej przypominającego dziadka. Wynikało to nie tylko z jego głuchoty, lecz również z siwych włosów. Vilhjelm był późnym dzieckiem i wobec ojca i matki zachowywał się tak, jak zazwyczaj zachowujemy się wobec dziadków. Był miły i oddany, w domu rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, jakby to nie głuchota stanowiła problem rodzinny, tylko raczej ogromna wrażliwość na wszelki hałas. Matka dziwnym zbiegiem okoliczności również była głucha.

Każdy może się domyślić, że w tej rodzinie niewiele się mówiło. Gdy rodzice w końcu się odzywali, mówili zawsze poważnym, dobitnym tonem, jakby przedkładali pokorną prośbę. Natomiast bez przerwy się dotykali. Trzymali się za ręce, nieustannie głaskali po włosach i policzkach, i nie dotyczyło to jedynie Vilhjelma. On również obdarzał rodziców pieścizotami. W tej rodzinie nikt nikogo nie bił.

Dlatego Vilhjelm dostał od ojca coś innego niż lanie, kiedy o mało się nie utopił. Co to było, uświadomiliśmy sobie dopiero wówczas, gdy udzielił bardzo dziwnej odpowiedzi na pytanie zadane przez Antona:

– Co byłoby twoim zdaniem najgorsze, gdybyś się utopił?

Anton wiedział zaskakująco dużo o świecie poza Marstal i dobrze znał odpowiedź na to pytanie. Gdyby się utopił, najgorsze by było, że ominęłoby go wspaniałe życie. Potrafił jednym tchem wymienić nazwy najśłynniejszych na świecie ulic z burdelami, ale przecież nie na lekcjach geografii w szkole na Vestergade słyszał o Oluf Samsons Gang we Flensburgu, Schiedamsche Dijk w Rotterdamie, Schipperstraat w Antwerpii, Paradise Street w Liverpoolu, Tiger Bay w Cardiff, Vieux Carré w Nowym Orleanie, Barbary Coast w San Francisco czy Foretop Street w Valparaiso. O takich rzeczach rozmawiano w kawiarni „U Webera”, a Anton z miną wielkiego znawcy, niepasującą do chłopca w jego wieku, zapewniał nas, że najlepsze są francuskie dziewczyny, natomiast Portugalki są zbyt natrętne, a poza tym śmierdzą czosnkiem. Gdy pytaliśmy, co to jest czosnek, przewracał oczami, jak byśmy byli na to za głupi. Znał też nazwy mnóstwa przeróżnych alkoholi i już się cieszył na ten dzień, kiedy będzie ich mógł spróbować. „Amer picon, absynt, pernod”, mówił, „to coś, co naprawdę powala”. Jeśli chodziło o piwo, to zamierzał mimo wszystko zawsze trzymać się marki Hof, bez względu na to, w jakim miejscu na ziemi się znajdzie. Piwo belgijskie, tak wychwalane przez wielu, to jakieś cienkie szczyzny.

– Musicie wymienić wszystkie ulice z burdelami na świecie – powiedział – i wszystkie marki alkoholu, potem trzeba je policzyć i zsumować, a wynikiem będzie liczba, która w matematyczny sposób wam udowodni, dlaczego tak okropnie głupio jest utonąć.

Knud Erik odparł, że gdyby się utopił, najgorsze byłoby to, że już nigdy nie zobaczyłby matki. Powiedział tak częściowo z obowiązku, ponieważ czuł, że powinien, lecz również dlatego, że nosił w sobie niespełnioną tęsknotę.

Vilhjelm zaś odpowiedział, że najgorszy byłby smutek jego rodziców.

– To znaczy, że ty nie żyjesz dla siebie, tylko dla ojca i matki – podsumował Anton.

Wyjaśnił nam, do czego doszedł: jeśli się jest posłusznym, miłym, uprzejmym, dobrze wychowanym lub obowiązkowym, oznacza to, że żyje się dla innych, a nie dla siebie.

– To dlatego ja taki nie jestem – stwierdził. – Dlatego że ja żyję dla siebie.

Gdy Vilhjelm mokrusieńki i wierzgający nogami zwiślał z ręki ojca, popatrzył mu w oczy i w jego spojrzeniu nie znalazł ani gniewu, ani przerażenia. Znalazł w nim natomiast smutek. Co to był za smutek i skąd się brał, nie wiedział. Poczłł jednak od razu, że musi się starać, by jego ojciec nigdy więcej tak się nie zasmucił. Instynktownie wiedział, jak należy to zrobić: za wszelką cenę nie zwracać na siebie uwagi. Najlepiej by było, gdyby stał się niewidzialny albo przynajmniej przeszedł możliwie niezauważenie przez życie. Dlatego stał się małomównym i obowiązkowym dzieckiem. Może również dlatego się jękał. Tak bardzo musiał się starać, gdy chciał zwrócić na siebie uwagę, że właściwie nigdy mu się to nie udawało.

Anton żył dla siebie, a Vilhjelm, leżąc dwadzieścia pięć metrów nad pokładem na jabłku z rozłożonymi rękami i nogami, zachował się tak samo jak Anton. Przez moment zapomniał o tym, że ma być niewidzialny.

Anton rzecz jasna miał rodziców, lecz z tego, co mówił, równie dobrze mógł ich nie mieć. Swojej matce, Gudrun, potrafił wmówić wszystko. Gdy odkryła kłamstwo o dzienniczku ze stopniami, który zawsze sam sobie podpisywał, rozplakała się i powiedziała, że niech no tylko ojciec wróci do domu, to wtedy Anton dostanie, chociaż sama była dostatecznie rośła i silna, by załatwić sprawę. Ojciec bił lekką ręką. Kiedy wreszcie wracał do domu, bardziej zajmowały go inne sprawy niż karanie dzieci za dawno zapomniane już przewinienia. Potrafił bić mocno, ale jak mówił, powinno to być jak wypłata gotówką, a nie coś, co się uzbierało na książeczce w banku. „Masz jakieś oszczędności na książeczce?”, pytał syna i wybuchał śmiechem, który Antonowi wydawał się głupi.

•

Mniej więcej wtedy, gdy Vilhjelm ujrzał smutek w oczach ojca, Anton dokonał odkrycia o podobnie istotnym znaczeniu, dotyczącym swego ojca Regnara, który nosił nazwisko Hay. Anton oczywiście również nazywał się Hay, ale miał też jeszcze jeden człon nazwiska, Hansen, od panieńskiego nazwiska matki.

Kiedy Anton skończył cztery lata, ojciec, który właśnie wrócił do domu po długim czasie na morzu, wziął go na kolana. Najpierw wymierzył Antonowi parę klapsów, jak zwykle spełniając prośbę matki o ukaranie dzieci za występki popełnione podczas jego nieobecności. Nie włożył w te uderzenia zbyt wielkiej siły, i dlatego nie uważał, by między nim a Antonem pojawiło się jakieś napięcie. Przymilnym głosem spytał Antona o nazwisko. Chodziło mu po prostu o to, by syn wymówił je na znak, że harmonia między nimi powróciła, choć oczywiście można by to zrozumieć tak, że Regnar chciał się upewnić, czy zbił właściwe dziecko. Tak czy owak, wywiązały się z ojcowskiego obowiązku i mógł wyjść z domu przy Møllevejen do kawiarni „U Webera”.

– Anton Hansen Hay – odparł Anton.

– Co ty, do cholery, wygadujesz, chłopaku? – wrzasnął ojciec, nagle poczerwieniały na twarzy.

Zaczął potrząsać Antonem, który kołysał się na kolanie, na którym przed chwilą go usadzono na znak pojednania między ojcem a synem. Ojciec zrzucił go na lakierowaną drewnianą podłogę, po której oszołomiony Anton nieźle się przejechał, dopóki nie zaplątał się w las nóg od krzeseł pod jadalnianym stołem.

– Pewnie myślicie, że to kłamstwo – stwierdził Anton, gdy opowiadał nam tę historię. – Ten idiota nie wiedział nawet, jak się nazywa jego rodzone dziecko.

Anton został ochrzczony, gdy jego ojciec był na morzu. A Regnar nigdy nie zdobył się na wysiłek obejrzenia aktu chrztu i nawet nie spytał o chrzciny. Nie spodziewał się po żonie, że nada chłopcu również swoje panięńskie nazwisko, bo nigdy nie ukrywał, że nie znosi jej rodziny. Gruba, łagodnie usposobiona matka Antona nie miała w sobie buntu. Była równie uległa wobec męża jak wobec własnych krewnych. Bardzo chciała dogodzić wszystkim, i w ten sposób jej rodzina wcisnęła się między Antona a jego ojca pod postacią dodatkowego członu nazwiska. Pełne nazwisko Antona przypominało teraz przede wszystkim przepis na rodzinną kłótnię.

Samemu Antonowi było to obojętne. I tak z nimi nie trzymał. Ojca nazywał głupkiem. Większość z nas mówi o swoim ojcu „Stary”, ale w tym określeniu zawiera się pewien szacunek. Tak samo załogi statków nazywają kapitanów. Ale Anton nie okazywał żadnego szacunku. Ojca nazywał też „Cudzoziemcem”.

A jednak nie było między nimi aż tak źle, skoro to Cudzoziemiec stanowił główne źródło wiedzy Antona o świecie. Wprawdzie nie zwierzał się synowi ze swoich wizyt w burdelach w dalekich zakątkach świata, lecz pozwalał mu słuchać opowieści powracających do domu marynarzy, przechwalających się w kawiarni „U Webera”.

Anton w zasadzie chciał być taki jak jego ojciec. Ale nikt nigdy nie usłyszał z jego ust dobrego słowa o Regnarze. Tak było od dnia, gdy ojciec cisnął syna pod stół, ponieważ nosił niewłaściwe nazwisko. Właśnie tego dnia Anton zaczął żyć dla siebie.



W przedsiębiorstwie żegludowym Sofusa Boyego zostały same wdowy. Paraliżowała je nie tylko żałoba po nagłej stracie mężów, lecz również niezwykłość tytanicznego zadania, które je czekało. Przyszłość Marstal leżała teraz w ich rękach. Jedynie one posiadały dostatecznie duży kapitał, by przestawić się z żaglowców na parowce, a tego właśnie wymagały czasy. Epoka żagli minęła. Ich mężowie to dostrzegli, a teraz one musiały urzeczywistnić wizje przedwcześnie zmarłych mężczyzn. Przedsiębiorstwo miało już pięć parowców: „Zgodę”, „Energję”, „Przyszłość”, „Cel” i „Dynamikę”. Już same nazwy stanowiły program.

Teoretycznie wdowy dobrze wiedziały, co należy zrobić. W praktyce tego nie robiły. Codziennie przychodziły do biura i pozwalały, by podawano im kawę i przedstawiano bieżące dokumenty. Zajadając się waniliowymi obwarzankami domowego wypieku, które same przyniosły, snuły ponure rozmyślenia o stawkach frachtów, kosztach utrzymania statków i załogi, ofertach kupna i sprzedaży. Cały świat zdawał się krzykiem domagać ich uwagi. Każda informacja, każda liczba, każdy znak zapytania stanowiły zbyt wielkie wyzwanie. Nikt nigdy nie widział, by wdowy zatykały uszy rękami. Równie dobrze jednak mogły tak robić. Każda sprawa była młócona na wszystkie strony, aż w końcu stawało się za późno na podjęcie decyzji. „Zgoda”, „Energia”, „Przyszłość”, „Cel” i „Dynamika”, przeznaczone do poważnego transportu wielkich ładunków przez morze, większość czasu spędzały w porcie, nie tylko z powodu złych czasów i niekorzystnej koniunktury, lecz również zagubienia ich właścicielek.

Ellen, wdowa po Poulu Victorze, była najstarsza, wysoka i dostojna jak mąż. Ale siłę woli, którą kiedyś musiała posiadać, najwyraźniej zdeponowała u przedsiębiorczego małżonka, a on, idąc do grobu, nie zwrócił jej depozytu. Emma i Johanne, siostry, były bardziej pewne siebie, w ich domach panował wręcz matriarchat, lecz poza domem stąpały po niepewnym gruncie. Zerkały na Ellen, po niej oczekując woli działania. Ellen z kolei zerkała na cmentarz, lecz stamtąd nie nadchodziła żadna podpowiedź.

•

Były właścicielkami sporej ilości gruntów w mieście i zaczęły je wyprzedawać. Kupowała je Klara Friis. Siedziała na Prinsegade i czyhała na trzy wdowy niczym sęp, który czai się na nieszczęsne zwierzę bliskie śmierci z pragnienia i wycieńczenia; i kupnem trzech parceli wyczarowała pierwszy kęs mięsa.

Wszystkie trzy działki leżały przy Havnegade, ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Pierwsza na rogu Sølvgade, druga na rogu Strandstræde, trzecią była duża ogrodzona łąka, która na końcu Havnegade zamykała miasto. Kiedyś Sofus Wieśniak kazał wypasać tam owce, puszczano tam również kury i świnie, żywy prowiant dla jego stale rosnącej floty. Tamte czasy już dawno minęły i działka leżała odłogiem. Posunięcie Klary Friis wszystkim wydawało się rozsądne, podobnie jak zakup pozostałych pustych parceli. Można było na nich budować.

Ale Klara Friis nie robiła nic. Pokrzywy na trzech działkach rosły coraz wyższe. Zasadzone przez Sofusa Wieśniaka jabłonie i grusze oddawały owoce ptakom i młodym złodziejaszkom. Marstał się dziwiło. Do czego ona zmierza?

Pytaliśmy, lecz niezbyt dociekliwie, bo inaczej od razu domyślilibyśmy się, co nas czeka.

•

Zewnętrznie Klara Friis się nie zmieniła. Wciąż ubierała się skromnie, jak gdyby nie uświadamiała sobie zmiany swojej pozycji, dlatego zrobiła dobre wrażenie na trzech wdowach, które oszczędność uważały za cnotę. Nie miały w sobie nawet cienia snobizmu i nie traktowały Klary z góry, chociaż ich bogactwo było znacznie starsze niż jej, zdobyte wszak niedawno. Rodziny wdów od wielu pokoleń otaczały się służbą, lecz te trzy zamożne kobiety uczestniczyły w pracach domowych. Waniliowe obwarzanki piekły same. Każdego roku na Boże Narodzenie przygotowywały wielką porcję, która z czasem twardniała jak suchary, stanowiące codzienne wyżywienie na statkach należących do ich przedsiębiorstwa, tyle że z waniliowego obwarzanka, nawet gdy mocno uderzyło się nim o stół, nie wypadały robaki.

Sofus Wieśniak był zwyczajnym człowiekiem z ludu i na takich samych zwyczajnych ludzi wychował swoje dzieci i wnuki. Nie stanowili odrębnej grupy. Należeli do miasta tak jak wszyscy inni. Wiedzieli, że pieniądze to owoc ciężkiej pracy marynarzy. Wszyscy chłopcy musieli mozolnie piąć się do góry z samego dołu surowej hierarchii obowiązującej na statkach, dopiero potem mogli trafić do biura maklerskiego lub do zarządu armatora. Każde słowo, które pojawiało się podczas codziennych narad, znali z własnego doświadczenia. Ale dla wdów po nich, które tak nagle trafiły do tego nowego dla nich świata, świat ów był polem bitwy. Nieznane słowa i pojęcia ze świstem przelatywały im mimo uszu niczym śmiercionośne kule.

Niekiedy Klara Friis udzielała trzem kobietom dobrej rady lub wykazywała się nagle energią, która wręcz wprawiała w osłupienie. Dobroduszna natura kazała im traktować młodą wdowę jako bezradną istotę potrzebującą pomocy. Dziwiły się za każdym razem, gdy sytuacja przybierała przeciwny obrót, i to Klara ratowała je z opresji. Ponieważ nie ufały kobiecemu zmysłowi do interesów, w swej naiwności skłonne były sądzić, że dobre rady Klary wzięły się z powietrza.

Oczywiście nie mogły wiedzieć, że Klara Friis korespondencyjnie zdobywała wiedzę niezbędną maklerowi, armatorowi, a nawet komuś więcej. Środki, które posiadała w wyniku śmierci Alberta, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przebudziły jej uspijony rozum, skutą przygnębieniem i onieśmieleniem, wywołanym nie tylko zbyt silnymi przeżyciami w dzieciństwie, lecz również pozycją społeczną, wymagającą wykorzystywania rąk, a nie intelektu.

W jej życiu znów się pojawił mężczyzna, lecz tym razem nie musiała desperacko uciekać się do swoich już nieco zużytych kobiecych wdzięków. Markussena, w przeciwieństwie do niešťczęsnego Alberta, nie interesowały pocałunki czy pieszczoty ani tym bardziej to, do czego mogły doprowadzić. Połączyło ich nazwisko Cheng Sumei oraz zadanie, które u kresu życia rozpałiło ciekawość Markussena po raz ostatni: wesprzeć Kserksesa w znalezieniu właściwego środka, by przywołać morze do porządku.

Często do siebie pisywali i dużo rozmawiali przez telefon. Od czasu do czasu Klara Friis jeździła do Kopenhagi. Teraz bowiem mogła podróżować sama, nie potrzebowała już towarzystwa Hermana czy kogokolwiek innego.

– Ciebie nie interesuje przejęcie przedsiębiorstwa żeglugowego, które znalazło się na skraju bankructwa – powiedział jej Markussen. – A stoczną można prędko uzdrowić. Udzielaj im rad dobrych, ale nie za dobrych. Nie mogą nabrać pewności siebie. Musisz podtrzymać u nich poczucie, że od katastrofy dzieli je zaledwie jedna błędna decyzja. Mów im, jak niebezpieczny jest świat.

Zapisał jej to na kartce. Nie wszystko łatwo było zapamiętać, lecz Klara Friis otrzymała wsparcie, jakiego potrzebowała.

I to ona wyznaczyła kurs.

•

Trzy wdowy pomyliły się co do Klary Friis tak bardzo, jak tylko można się pomylić. Przeceniły jej naturę, a zarazem nie doceniły zdolności. Wierzyły, że za jej chęcią niesienia pomocy nie kryją się żadne inne intencje, i właśnie tu były w błędzie. Wierzyły, że jej często zaskakująco dobre rady są po prostu przypadkowe, i co do tego również się myliły. W zasadzie uważały, że to one wyświadczają Klarze przysługę, w ogóle jej słuchając. Ofiarowały jej swoje towarzystwo i odrobinę uwagi, bo czy nie tego potrzebuje młoda kobieta w jej sytuacji, dotknięta tak straszną stratą, sama z dwojgiem dzieci?

Przynosiły jej upieczony w domu chleb.

– Moja droga – mówiła Johanne, głaszcząc ją po policzku.

Rozpoznawały w niej siebie. Była kobietą, a więc z definicji istotą równie bezradną jak one, gdy chodziło o sprawy wielkiego świata.

Długo się wahały, lecz w końcu rozjaśniło im się w głowach. Po to, by wydobyć się z gąszczy, do którego wepchnęło je wdowieństwo, potrzebowaly tego, czego zawsze potrzebowaly kobiety, aby przetrwać w dżungli: mężczyzny.

•

I mężczyzna się pojawił. Był nim Frederik Isaksen, niegdyś duński konsul w Casablance, zatrudniony w szanowanej francuskiej firmie maklerskiej. Zaczynał u Møllera w Svendborgu. Potem pracował u Lloyda w Londynie. Poleciała go grupa szyprów regularnie pływających do Casablanki. Komandor, wybrany na ich przedstawiciela, twierdził, że to kompetentny człowiek z szerokimi horyzontami.

– No dobrze, ale czy zna się na swojej pracy? Da się z nim rozmawiać? – dopytywała się Ellen.

– Nie jest chyba zbyt nowomodny – dodała z lękiem Johanne, gdy Komandor wspomniał o szerokich horyzontach.

– Owszem, słyszałem o nim – powiedział Markussen Klarze przez telefon. – Przydałby mi się taki ktoś jak Isaksen. To człowiek, który idzie do przodu. Nie przyjechałby do Marstał, gdyby uważał to miasto wyłącznie za prowincjonalną dziurę. On widzi możliwości. Stary Boye musiał urządzić się lepiej, niż sądziliśmy. Zgromadzony kapitał, żadnych długów. Człowiek zdolny do działania może z tego zrobić coś wielkiego. Isaksen jest zatem w stanie pokrzyżować twoje plany.

Isaksen został więc zatrudniony z rekomendacji szyprów i przybył do miasta w pewien słoneczny dzień w połowie sierpnia. Ominął zawiły system przesiadek z promów pasażerskich na pociągi, przez które podróż ze stolicy do Marstał sprawiała tyle kłopotów, i przypłynął bezpośrednio promem towarowym, którym zazwyczaj podróżowały osoby niższego pochodzenia. Stał na pokładzie i sprawnym ruchem rzucił cumy oczekującym na kei, a potem sam zeskoczył, uchylając słomkowego kapelusza z szerokim rondem, jak gdyby mówił „dzień dobry” całemu miastu.

Ubrany był w biały garnitur z lnianego płótna. W butonierce miał świeży goździk, a cera pod rondem kapelusza zdawała się opalona jak u marynarza, ale może taki był po prostu jej naturalny odcień. Piwne oczy okalały gęste rzęsy, które przydawały mu jednocześnie miłego i tajemniczego wyglądu.

Bez wątpienia był światowcem i gdy uchylił kapelusza, my również odpowiedzieliśmy na pozdrowienie. Nie mieliśmy nic przeciwko światowcom. Sami się za takich uważaliśmy i nie zależało nam na tym, by ludzie udawali małych i niepozornych, by nas ująć. Już lepiej, żeby się przechwalali, byle tylko mieli czym.

Isaksen miał. A zyskiwał jeszcze więcej w miarę upływu dni. Szyper promu towarowego, Asmus Nikolajsen, gawędził z nim przez całą drogę przez Smålandshavet i stwierdził, że to bezpośredni, znający się na rzeczy człowiek. Z ciekawością wypytywał o wszystko i w końcu ten obcy, który wyglądał wprawdzie odrobinę egzotycznie, w porównaniu z naszymi standardami, już wkrótce wiedział o rejsach promów towarowych więcej niż sam szyper. Statki najwyraźniej nie były Isaksenowi obce i chociaż z dużym znanstwem pomagał na pokładzie, to cały czas zrećcznie unikał zabrudzenia swego pięknego garnituru, przez co szacunek Nikolajsen dla niego jeszcze wzrósł; marynarze bowiem cenią czystość.

Pozostawało oczywiście poważne pytanie: czy Isaksen będzie umiał rozmawiać z wdowami?

•

Najpierw rozmawiał z nami. Zrobił rundę po porcie, przysiadając się do starych szyprów na ławkach. Stukał do drzwi biur maklerskich, wchodził do środka, uchylał kapelusza i natychmiast deklarował, że nie zjawiał się jako konkurent, by szpiegować u wroga. Przybył, ponieważ czuł, że to miasto stanowi wspólnotę i jedynie pod warunkiem, że będzie trzymało się razem i odsunie na bok wszelką małość, jeśli krótko mówiąc, odważy się myśleć z rozmachem, to wtedy zdoła stawić czoło wyzwaniom przyszłości.

Jak byśmy słyszeli Alberta przemawiającego przy obelisku. Staliśmy przy nim zaledwie kilka lat wcześniej, ale wydawało się, że od tamtej pory minęły już całe wieki, i zrozumieliśmy, że tamtego dnia w porcie w 1913 roku zakończyła się pewna epoka, chociaż wówczas żaden z nas się tego nie domyślał.

W słowach Isaksena były czary: kazał nam patrzeć na wszystko z zewnątrz. Przedsiębiorstwa żeglugowe mające wielu udziałowców swego czasu pozwoliły nam zrobić ogromny krok naprzód. Teraz czas małych pieniędzy już minął. Potrzebny był nowy kapitał, znacznie większy aniżeli ten, który mogły wysupłać służące, chłopiec do pomocy w mesie czy nawet dobry szyper. Potrzebne były inwestycje. A duże inwestycje wymagały dużych pieniędzy. Kapitału w mieście przecież nie brakowało. Chodziło tylko o to, by dobrze go wykorzystać.

– Proponuję, aby kapitał, którym dysponuje miasto, zgromadzić w jednym miejscu. To jedyny sposób na zachowanie floty i kontroli nad nią tu, w Marstal.

Do czego zmierzał? Znaleźli się tacy, którzy uważali, że Isaksen przypomina wizjonera Henckla, który obiecywał nam pół świata, a zamiast tego wyciągnął nam pieniądze z kieszeni. Wyraźnie jednak widzieliśmy, że z Isaksenem jest odwrotnie. On nie chciał naszych pieniędzy. On chciał być naszym kompasem. Chciał wytyczać kurs. I to nie tylko jednemu armatorowi, lecz całemu miastu.

•

Tylko w jednym miejscu zetknął się z wrogością: podczas spotkania z Klarą Friis. Przygotował się i nie był zaskoczony, widząc stosunkowo młodą, skromnie ubraną kobietę na czele jednego z cieszących się największą renomą przedsiębiorstw żeglugowych w mieście. Słyszał o Albercie Madsenie i o jego aliansie z wdową w Hawrze, wiedział, że ostatnie wielkie barki w kraju, piękne „*Suzanne*”, „*Germaine*” i „*Claudia*”, wywodzą się stąd, z Prinsegade. Jednego tylko nie zrobił, gdy się przygotowywał. Nie zajrzał do serca Klary Friis ani też do jej skrytki bankowej. Nie miał pojęcia, jaki majątek trafił w jej ręce, a przede wszystkim nie znał planów, które wymyśliła dla swoich wielkich pieniędzy. Klara powitałaby go z radością jedynie wtedy, gdyby przybył tu jak Dżyngis-chan z zamiarem zniszczenia miasta. On jednak zjawił się niczym Aleksander Wielki, by założyć jeszcze jedno miasto, i dlatego potraktowała go jak wroga.

Isaksen na wrakach żaglowców, dzięki którym Marstal niegdyś rozkwitło, postanowił zbudować nowe Marstal. Nie wróżył nam końca, lecz oferował nowy początek i rozkwit. Przekonywał, że nie zabrzmi u nas łabędzia pieśń, tylko powitalna salwa nowych czasów.

Coś w nas poruszył. Kiedyś ujrzeliśmy nadejście postępu na długo przed wszystkimi innymi i powstailiśmy, żeby go powitać. Isaksen prosił, byśmy zrobili to jeszcze raz.

•

Klara Friis przeżywała wielkie rozterki w związku ze strojem na spotkanie z Frederikiem Isaksenem. Wreszcie zdecydowała się wystąpić w zwykłym skromnym ubraniu, aby w żaden sposób nie rzucać się w oczy, ani swoim bogactwem, ani nową stanowczością, nie chciała też sprawiać wrażenia uwodzicielskiej. Do tej roli brakowało jej zresztą warunków, nie dlatego, by już przekwitła, ale po prostu nie miała zbyt wysokiego mniemania o swojej urodzie. Za bezpieczniejszy uznała powrót do roli, którą przez wiele lat znała aż za dobrze. Tak dobrze, że w końcu uwierzyła, iż jest tylko skromną, usuwającą się w cień istotą, która nie pozwala sobie na wyrażanie innych uczuć niż ciche rozgoryczenie macoszym potraktowaniem jej przez los. Zamierzała odegrać jeśli nie głupią kobietę, to przynajmniej sparaliżowaną lękiem i niezdolnością zrozumienia wielkiego świata, należącego do mężczyzn, a więc zaprezentować tę samą bezsilność, do której porzucenia ani trochę nie zachęcała trzech wdów.

Na każde słowo Isaksena reagowała taką samą miną, niepewnym, sztucznym uśmiechem i skinieniem głową, któremu natychmiast przeciwstawiała się pustka w spojrzeniu, wyraźnie świadcząca o tym, że Klara nic nie rozumiała, a jej reakcja płynie jedynie ze zwykłej uległości i poddaństwa, tak charakterystycznych dla jej płci.

Ale Isaksen się nie poddawał. Zaczął używać innych sformułowań. Obrazy upraszczał, by były łatwiejsze do pojęcia. Mówił nawet o niepewnym życiu marynarza i chciał przekonać Klarę, że proponuje życie, w którym znajdzie się również miejsce dla rodziny i które uwolni pozostających w domu od nieustannego lęku o los męża czy ojca.

– Proszę pomyśleć, jak wielkie, dobrze prowadzone przedsiębiorstwo żeglugowe może poprawić warunki życia marynarza. Gwarantowany urlop, bezpieczeństwo na pokładzie, koniec nędzy, która teraz zmusza drobnych szyprow do podejmowania zbędnego ryzyka na niebezpiecznym morzu.

Szukał jej wzroku piwnymi oczami otoczonymi gęstymi rzęsami, które dopiero teraz zauważyła. W jego głosie pojawiła się dobitność. Nie zadowolili się pustym spojrzeniem, będącym reakcją na jego słowa. Klara poczuła pokusę, by mu ulec, ale w tej samej chwili ogarnął ją znajomy strach. Przed oczami znów stanęła jej mroczna woda w sztormową noc, podnosząca się i sięgająca dachu, na którym siedziała. Karła znikająca w odmętach, kalenica wciskająca jej się w krocze, jakby jechała na drewnianym koniu, narzędziu tortur, którym karano niegdyś zbuntowanych chłopów. Na czoło wystąpił jej zimny pot.

Zbladła, musiała wstać i tłumaczyć się nagłym bólem głowy, słabym głosem poprosiła, by już sobie poszedł.

Isaksen opuścił ją ze zmarszczonym czołem. Czuł, że był świadkiem zadziwiającej gry, częściowo szczerzej, lecz jaki był sens tej komedii, nie potrafił pojąć. Nie rozumiał, że w osobie tej kobiety, najbardziej przypominającej onieśmieloną służącą, spotkał właśnie swego głównego rywala.

•

W przerwach między odwiedzinami u armatorów w mieście Isaksen urabiał trzy wdowy. Posługiwał się językiem, który – jak mu się wydawało – rozumieją. Mówił o gospodarstwie, zakupach, wydatkach, rachunkach i służbie. Układał przypowieści, w których morze i statki porównywał do gospodarstwa domowego, wiedział bowiem, że wszystkie trzy wdowy były znakomitymi gospodyniami. Usiłował im wytłumaczyć, że między działalnością armatora a tą pracą, którą znały z własnego codziennego doświadczenia, nie ma żadnej istotnej różnicy.

Efekt był taki, jakiego się spodziewał. Wdowy się uspokoily. Nie słyszały już kul ze świstem przelatujących mimo uszu. Isaksen zrobił to, o co został poproszony. Wyprowadził je z pola bitwy. Zdjął z wdów odpowiedzialność.



Isaksen zgromadził właścicielki i personel przedsiębiorstwa żeglugowego wraz z tymi szyprami i sternikami, którzy w tym czasie byli w mieście. Zaprosił również ich żony. Był na tyle mądry, by wiedzieć, że żony wywierają wielki wpływ nie tylko na sprawy domowe, lecz również morskie. Zarezerwował salę marynarską w hotelu „Ærø”. Na ścianach wisiały tam niebieskie plakety z królewskiej porcelany, duńskie flagi i obrazy przedstawiające statki, dla których miasto było macierzystym portem. Zamówił obiad z trzech dań. Hotelowemu kucharzowi podał przepis na *bouillabaisse*, którą – jak wiedział – wielu szyprów zna z rejsów po Morzu Śródziemnym. Jako danie główne wybrał tradycyjną pieczeń wołową. Między zupą a daniem głównym wygłosił przemowę.

Była to przemowa o przyszłości.

Opowiadał nam o swoich przeżyciach w Casablance, portowym mieście, z którego wezwano go do Marstal, ponieważ tylu szyprów z naszego miasta zdążyło go poznać i najwyraźniej wywarł na nich dobre wrażenie. Teraz pragnął skorzystać z okazji i wyrazić im za to wdzięczność. Zawsze ze smutkiem w sercu patrzył, jak statek z Marstal opuszcza Casablanke, gdyż za każdym razem wydawało mu się, że widzi go po raz ostatni.

Nie myślał przy tym o zatonięciu statku w drodze powrotnej do domu, choć takiej tragicznej możliwości, rzecz jasna, nigdy nie da się wykluczyć. Nie, on brał pod uwagę zupełnie inną, o wiele bardziej zdumiewającą możliwość, a mianowicie to, że statek po prostu rozplynie się w powietrzu i nigdy więcej się nie pojawi. Bez względu na to, jak dziwnie musiało to brzmieć w uszach jego zacnych słuchaczy, taki los statku był znacznie bardziej prawdopodobny niż zatonięcie, a w wypadku statków z Marstal całkowicie pewny, jak zachód słońca wieczorem, a wschód rano, „choć z pewnością dziwi was, że tak mówię”.

Miał pewność, że zaproszeni goście słuchają go z uwagą, wpatrywali się w niego z otwartymi ustami. Żaden z nas nawet się nie domyślał, do czego Isaksen zmierza, wygłaszając swoje dziwne stwierdzenie.

– Posłuchajcie mnie jednak – ciągnął. – Wy tłumaczę wam moje osobliwe przeczucia. Co więcej, mogę wam zapewnić coś, co sprawi, że się nie spełnią. Przyczyna mego złego nastroju na widok szkunera z Marstal podnoszącego kotwicę na redzie w Casablance...

Spuścił wzrok, a długie rzęsy opadły na opalone policzki, stając się widoczne nawet na końcu długiego stołu; na ten widok pierś jednej czy drugiej szyprowej uniosła się niecodziennie, jakby kobietom nagle zabrakło tchu.

– Przyczyna mego złego nastroju... – powtórzył z emfazą – tkwi... – Tu nagle zmienił ton na całkiem zwyczajny – ...tkwi w tym, iż wiem, że francuskie władze w Casablance zamierzają rozbudować port. Wszyscy rozumiecie, co to oznacza.

Znów zrobił pauzę, lecz tym razem zamiast przymknąć oczy, zaczął uporczywie wpatrywać się kolejno we wszystkich, jakby chciał nam przypomnieć wiedzę, którą posiadaliśmy, lecz być może w tej chwili o niej zapomnieliśmy lub wręcz ją wyparliśmy. Jedna czy druga żona szypra odpowiedziała na jego spojrzenie błyszczącymi oczami, jakby sądziła, że otrzymała zaproszenie, a wielu kapitanów spuściło wzrok, gdyż mocno poczuli, że już dawno sami powinni wypowiedzieć, a przynajmniej pomyśleć te słowa, które jak wiedzieli, zaraz padną.

Isaksen podjął swoją przemowę, a jego słowa smagały teraz jak bicz:

– To oznacza, że szkunery z Marstal już nigdy nie przywiozą ładunku do Casablanki. Jedynym powodem, dla którego parowce dotychczas omijały to jedno z najważniejszych miast portowych na wybrzeżu północnoafrykańskim, był brak odpowiedniego portu. Teraz przyplyną parowce, które mogą zabrać więcej ładunku i na dodatek pływają szybciej. Ich przyjście do portu można przewidzieć z dokładnością co do godziny. Kompas pokazuje kurs, a parowiec płynie tym kursem bez zbaczania z drogi i bez opóźnień. I to, co mówię, dotyczy nie tylko Casablanki. – Jego głos nabierał coraz większej mocy. Nasuwało się skojarzenie z dniem Sądu Ostatecznego. – Dotyczy to również przewozów do francuskich portów na Kanale, do których pływy morskie pozwalały dobijać jedynie żaglowcom. Teraz rolę statków przejmuje kolej. Myślę także o Rio Grandę w Brazylii i lagunie Maracaibo w Wenezueli. W obu tych miejscach niski poziom wody na piaszczystych mieliznach pozwalał tam wpływać tylko wam. Niebawem ta przeszkoda dla parowców zostanie usunięta.

Z każdą nazwą portu, którą wymieniał, szyprowie i sternicy drgali, jakby groził im zaciśniętą pięścią, a oni nie umieli się przed nią obronić.

– Morze było waszą Ameryką. Ale teraz Ameryka zamyka przed wami granice. Wasze usługi będą coraz mniej potrzebne. Frachty rozplyną się w powietrzu, a to oznacza, że wasze statki także się rozplyną. Równie dobrze możecie je sprzedać. Ale zastanówcie się. Kto je kupi? Czeką je porąbanie. Stos pogrzebowy, na którym spłonie pewna epoka. Wasza epoka. Zmieni się w dym, który w końcu się rozwieje. Ale jeszcze nie wszystkie nadzieje stracone...

Isaksen zmienił ton na pocieszycielski niczym pastor, który przedstawiwszy piekło, napomyka również o drodze do nieba dla tych, którzy się nawrócą.

– ...wciąż są miejsca niedostępne dla innych. Porty, których pogłębienie jest niemożliwe lub po prostu nieopłacalne, albo takie, gdzie prądy morskie, skały czy też częste sztormy sprzysięgają się, by na wieki uniemożliwić dostęp parowcom. Nowa Fundlandia. – Pocieszycielski ton nagle zniknął. – Najbardziej niegościnnie wybrzeże na świecie, najniebezpieczniejsze wody na ziemi. Tam szkuner z Marstal zawsze będzie mile widziany, żeby zabrać ładunek cuchnącego sztokfiszka. Te miejsca i te ładunki, których nikt inny nie będzie chciał tknąć, zawsze pozostaną dla was. Będziecie skazani na życie z ochłapów światowego rynku. Będziecie pariasami siedmiu mórz, podobni do śmieciarzy. Staniecie się zbyteczni.

Sądziliśmy, że będzie nas pocieszał. Tymczasem skończył raczej w tonacji żałobnej. Wokół stołu zapadła grobowa cisza. Ellen Boye spuściła wzrok. Policzki jej płonęły. Emma i Johanne zerkały na nią, szukając u niej wsparcia, lecz jej ściągnięta twarz wprawiała je w takie zmieszanie, że o mało nie wybuchnęły płaczem.

Isaksen znów zabrał głos, zresztą właściwie wcale go nie oddał. Ale ta przerwa, którą zrobił dla efektu, zabrzmiała jak kropka. Cóż mogliśmy jeszcze usłyszeć po tym ostatecznym wyroku?

– Marstal ma przed sobą wielką przyszłość – powiedział, a my z uwagą unieśliśmy głowy, tym razem przekonani, że nie jesteśmy niczym innym jak tylko jego marionetkami, do których poruszania zamiast sznurków zręcznie wykorzystuje starannie dobrane słowa. – Marstal ma wielką przyszłość, ponieważ ma za sobą wielką przeszłość – ciągnął Isaksen. – Nie zawsze jedno bywa gwarancją drugiego. Tradycja potrafi również być ciężarem. Uważamy, że jakaś metoda, kiedyś skuteczna, będzie taka zawsze. Tkwimy wtedy w przeszłości i nie patrzymy w przyszłość. Ale w wypadku Marstal jest inaczej. Wy stworzyliście własny rodzaj statków, nazwany od waszego miasta, kadłub z płaską rufą w kształcie serca i krótkim, zaokrąglonym dziobem. Wypróbowywaliście go, dopóki nie znaleźliście kształtu najlepiej odpowiadającego waszym potrzebom. Waszą tradycją jest operatywność. Być może uważacie, że to nieładne określenie, i takie też jest w ustach wieśniaka, bo człowieka operatywnego nie hamują jego korzenie i mówi się, że brakuje mu stabilności, ponieważ nie postępuje tak jak przed nim jego ojciec. Ale myślcie o tym słowie tak jak marynarze, którymi jesteście. Operatywność to zdolność wykorzystania właściwej chwili, gdy wiatr i prądy wam sprzyjają, podniesienie kotwicy i postawienie żagli. Słyszeliście chyba o Angliku Darwinie i jego słynnej myśli o *the survival of the fittest*. Niektórzy być może próbowali wam wmawiać, że *the fittest* oznacza najsilniejszego i że w opinii Darwina właśnie on przeżyje. Ale on wcale tak nie uważa. *The fittest* oznacza najbardziej operatywnego, a tacy jesteście wy. Stworzyliście swoje miasto w taki sam sposób, jak żeglujecie: umiecie nawigować we wszystkich okolicznościach życia. Tę umiejętność macie pod ręką, ale statki, na których pokładach jej się nauczyliście, musicie opuścić, bo toną w tej chwili. Epoka żaglowców minęła już dawno, za to epoka

żeglarzy dopiero się zaczyna. Wierście mi, miasto, które od pokoleń rodzi marynarzy, posiada wyjątkowy kapitał we współczesnym świecie, na którym wszystko trzeba transportować, bo kontynenty się do siebie przybliżają. Tyle że teraz będziecie wykazywać się swoimi umiejętnościami na innym pokładzie, na takim, który drży od wibracji pracujących pod nim potężnych maszyn.

Isaksen roztaczał przed nami te same wizje, które w poprzednich dniach prezentował w innych biurach maklerskich w mieście. Posunął się jednak o krok dalej. Zwierzył się nam z przemilczanej przed innymi tajemnicy przyszłości przedsiębiorstwa. Przewidywał bowiem, że z czasem połączy się ono z pozostałymi armatorami w mieście, aż wreszcie w Marstal zostanie tylko jedna wielka spółka, bogata nie tylko w kapitał, lecz przede wszystkim w gromadzone przez setki lat doświadczenie: połączenie woli życia, pomysłowości, uporu i szerokich horyzontów, które stało za wzniesieniem falochronu, założeniem telegrafu, budową jednej największych w kraju flot handlowych i które nawet teraz, w złych czasach, sprawiało, że nie rezygnowaliśmy z poszukiwania nieznanych i zapomnianych zakątków świata, do których mogłyby pływać nasze przestarzałe już statki.

Isaksen podniósł rękę do góry i zaczął wyliczać na palcach: wola życia, pomysłowość, upór, szerokie horyzonty, a przede wszystkim zdolność do wspólnego działania wtedy, gdy rzecz dla pojedynczej osoby okazywała się niemożliwa. To było pięć palców, cała dłoń. To była dłoń człowieka operatywnego, zawsze chwytająca okazję, gdy się nadarzała.

– To najlepsza dłoń, jaka istnieje – stwierdził Isaksen. – Nią bowiem możecie kształtować przyszłość według swojego własnego upodobania, i to właśnie macie robić. Przedsiębiorstwo żeglugowe posiada już jedną stocznię. To ważne, bo chodzi o kontrolowanie wszystkich ogniów żeglugi, począwszy od budowy statku po fracht. Ale stocznię należy całkowicie zmienić, przystosować ją nie tylko do budowy statków ze stali, lecz również statków parowych i motorowych. W ten sposób będziemy mogli kontrolować cenę każdego statku, który zwoduje nasze przedsiębiorstwo. Warunki, by to zrobić, również są już spełnione. W mieście nie brakuje zdolnych, doświadczonych szkutników. Trzeba będzie zwiększyć tonaż. Szlak żeglowny do miasta należy pogłębić, by nowo budowane statki mogły wychodzić z portu. W poprzek płytkiego Archipelagu Południowej Fionii zbudujemy nasz własny Kanał Sueski, prowadzący na otwarty Bałtyk. Musimy również zadbać o prowiant dla statków, uruchomić własny handel, który będzie zaopatrywał nie tylko nasze jednostki, lecz również inne. Pewnego dnia będziemy musieli wejść również na rynek surowców. Staniemy się właścicielami kopalni węgla, a kiedyś, w przyszłości, również pól naftowych, bo statek motorowy prędzej czy później zastąpi parowiec. W ten sposób zdołamy zapewnić sobie stabilne ceny paliwa przeznaczonego dla floty.

Mieliśmy więc nie tylko żeglować, lecz rządzić połową świata, a centrum tego wszystkiego miało stanowić Marstal.

Tak nam mówił Isaksen.

Gdy wreszcie skończył, mieliśmy rumieńce na policzkach, byliśmy wycieńczeni, oszołomieni i uradowani, wręcz rozanieleni jak po przejeździe na karuzeli. Wszyscy podnieśliśmy się i zaczęliśmy go oklaskiwać, maklerzy, urzędnicy, szyprowie, sternicy i ich poczerwieniałe z emocji żony. Nawet Ellen, Emma i Johanne wstały i biły brawo. Nie musiały już na siebie zerkać, chociaż taki przecież miały zwyczaj. Wahanie, które było ich twierdzą, broniące je przed wszystkimi poważnymi decyzjami, gdzieś zniknęło. Wraz z innymi poderwały się z krzeseł.

Taka moc tkwiła w zachwycie Isaksena, że wprowadziła nas niemal w stan nieważkości. Gdyby przemawiał jeszcze dłużej, wyfrunęlibyśmy przez okna hotelu „Ærø”.



Isaksen spojrział na kompas i wyznaczył kurs. Tak pięknie mówił o naszej umiejętności żeglowania przez życie nawet wtedy, gdy jest najciężej, ale zapomniał o pewnej istotnej rzeczy w sztuce nawigacji. Żeglując, należy kierować oczy nie tylko na kompas, lecz również na takielunek, czytać w chmurach, baczyć na kierunek wiatru, na prądy i kolor morza, wypatrywać białej grzywy fali, która zapowiada podwodną skałę. Może na parowcu tak nie jest. Ale jest tak na żaglowcu i pod tym względem żaglowiec jest bliższy życiu niż parowiec: nie wystarczy wiedzieć, dokąd zmierzasz, bo życie, tak jak trasa żaglowca, składa się niemal wyłącznie z okrężnych dróg, których przyczyną raz bywa cisza morską, a raz sztorm.

•

Moglibyśmy dyskutować bez końca, w jakim stopniu to Klara Friis spowodowała fiasko Isaksena, a w jakim nie powiodło mu się za sprawą waniliowych obwarzanków. W każdym razie jego wiedza o kobietach okazała się niepełna. Uważał, że kobieta sparaliżowana lękiem potrzebuje energicznego mężczyzny, by zacząć działać. Tak właśnie patrzył na trzy wdowy, na przedsiębiorstwo żeglugowe, ba, na całe miasto: jakby było panną młodą, a on kawalerem. Miał nas wyleczyć z paraliżu woli, który na nas spadł. Ale w niektórych wypadkach wulkan energii jak ten, który uosabiał, może przynieść efekt przeciwny. Jedynie wzmaga kobiecie lęk.

Sprawa z trzema kobietami przedstawiała się tak, że kiedy ich mężowie zmarli nagłą, bezsensowną śmiercią w ciągu trzech tygodni, tkwiąca we wdowach żona marynarza uciekła frontowymi drzwiami, a wraz z nią zniknęła owa odrobina odwagi i wytrzymałości, jaką miały. Od tyłu zakradła się wieśniaczka, która tkwi w duszy każdej kobiety, bez względu na to, jak dawno jej rodzina oderwała się od roli, podejrzliwa, oszczędna, obstająca przy swoim i z uległością przyjmująca swój los, który przez całe życie skazuje ją na pełną ponurych myśli bierność.

•

Początkowo Isaksen niczego nie rozumiał. Wierzył przecież, że trzyma wdowy za słowo. Czyż nie klaskały wraz z innymi pracownikami przedsiębiorstwa? Słyszał wprawdzie plotki o ich nieumiejętności podejmowania decyzji, a szyprowie, z którymi negocjował w Casablance, wcale nie kryli, że są „trudne”, „niełatwe do rozmowy”, lecz zgodnie stwierdzili, że „potrzeba im wyłącznie silnej ręki”, a on jest odpowiednim mężczyzną.

Isaksen uważał trzy wdowy za najbliźsze wyzwanie. Tymczasem okazało się, że stanowią największą przeszkodę. Siedziały przy swoich czerstwych waniliowych obwarzankach, które maczały w kawie, a potem bez końca obracały w ustach. Twardość ciastek wypróbowały przednimi zębami jak bobry.

I właśnie do bobrów je przyrównywał, bo budowały tamy dla jego płynących strumieniem idei, nie pozwalając im nigdzie się przedostać.

Zniecierpliwiony, przyniósł na któreś ze spotkań torbę świeżych ciasteczek od piekarza Tannesena z Kirkestræde, lecz to również wywarło odwrotny skutek. Emma i Johanne wymieniły spojrzenia. A więc Isaksen gardził ich domowymi wypiekami. Był rozrzutny. W dodatku ciasteczka od Mewiego Piekarza! Sądził, iż nie wiedzą, że Tannesen kupuje mewie jaja od chłopców, którzy zbierają je na wysepkach wokół portu? Jak śmiało proponować im coś takiego!

•

Ciasteczka okazały się dyplomatyczną katastrofą. Potem Isaksen dostrzegł jeszcze inne oznaki.

– To zbyt niepewne – stwierdziła Ellen Boye, gdy zaproponował budowę nowego parowca w stoczni statków stalowych.

Wyjaśnił, że na rynku frachtowym akurat zaczął się wzrost, więc inwestycja szybko się zwróci.

– Czy nie wiąże się z tym zbyt duże ryzyko? – spytała Emma po długiej przerwie, podczas której wdowy wróciły do żucia waniliowych obwarzanków. Wiedział już, że nie jest to pytanie, tylko odmowa.

Nadał swemu głosowi mocny ton i oświadczył, że jeśli chcą podtrzymać zaufanie, które mu okazały, zatrudniając go, to muszą mu dać wolną rękę.

– Ależ pan ma całkowicie wolną rękę – stwierdziła Ellen władcym głosem. – Tyle tylko, że czasy takie są niepewne.

– Potrzebne mi pełnomocnictwo.

Pełnomocnictwo? Trzy kobiety popatrzyły po sobie zdumione. Znów znalazły się na grząskim gruncie. Czy im nie ufał?

– Klara Friis mówi, że...

– Klara Friis?

Isaksen ocknął się z otępienia, które coraz częściej go ogarniało w towarzystwie trzech wdów.

– Co mówi Klara Friis?

Nagle zaczął się domyślać pewnych rzeczy.

Co powiedziała Klara Friis, nie było jasne. Ale powiedziała coś, co wywarło wrażenie, poczuł to wyraźnie. Jej ulubionymi słowami wydawały się „niepewność” i „ryzyko”. Ona podjudzała tkwiącą we wdowach wieśniaczkę. Swoimi słowami dawała pożywkę ich nieufności i umacniała w nich prostą filozofię życiową: człowiek wie, co ma, za to nie wie, co dostanie, lepiej więc trzymać się tego, co się już zna.

– Ale przecież ta filozofia nie trzyma się kupy – stwierdził w desperacji. – Ktoś, kto kurczowo chwyta się tego, co zna, również może to stracić. Takie są czasy. Tylko ten, kto odważy się wyruszyć w nieznaną, ma szansę cokolwiek osiągnąć.

– Nie rozumiem – powiedziała wysoka Ellen urażonym tonem. – Przecież my nic takiego nie mówiłyśmy.

Pojął wówczas, że rozmawiał na głos z samym sobą i przez moment pozwolił im słuchać wewnętrznego dialogu, który cały czas z nimi prowadził i w którym usiłował nakłonić je, by wreszcie pozwoliły mu zrobić to, do czego go zatrudniły.

Wstał i przeprosił kobiety, tłumacząc się nagłym pogorszeniem samopoczucia. Potrzebował świeżego powietrza. Wiedział, że patrzą za nim i że w chwili, gdy zniknie w drzwiach, rozpoczną rozmowę o wiele bardziej ożywioną niż te, którym kiedykolwiek będzie mógł się przysłuchiwać.

Z Havnegade skręcił w Prinsegade. Zastukał do drzwi Klary Friis. Służąca w wykrochmalonym fartuszk zaprowadziła go do salonu. Klara Friis wstała z kanapy, a on w jej spojrzeniu wychwycił coś więcej niż tylko zaskoczenie. To było wręcz przerażenie. Jakby przyłapał ją na gorącym uczynku bycia kimś innym niż osoba, za którą chciała uchodzić.

– Czego pan chce? – rzuciła.

Widział, że na próżno stara się przybrać tę samą niemądrą minę, wyrażającą uległość, którą zaprezentowała, gdy ostatnio złożył jej wizytę. Zamiast tego jednak sygnalizowała czujność, gotowość alarmową, co utwierdziło go w podejrzaniach i kazało od razu przejść do rzeczy.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego pani działa przeciw mnie – powiedział. – Nie rozumiem pani powodów. Czy uważa nas pani za rywali? Jako armator pani również powinna być zainteresowana tym, co najlepsze dla miasta.

Przemawiał do niej jak do równego sobie, z nadzieją, że to zrobi wrażenie i Klara zakończy swoją tajemniczą grę.

– Pan mówi tak, jakby był burmistrzem – odparła Klara.

– A my jednego burmistrza już mamy.

Popatrzyła na niego gniewnie, maska spadła. „To zawsze coś”, pomyślał Isaksen. „Teraz przynajmniej znikną te ciągle niedopowiedzenia, ten szczególnie sposób, w jaki kobiety sprawują swoje rządy, udając brak rozumu.”

– Burmistrz ma niewielką władzę. Ale ja ją mam, jeśli tylko pozwoli mi się wypełniać moje obowiązki. Pani również ją ma. Rozumiem, że odziedziczyła pani przedsiębiorstwo żeglugowe, ale sama prowadzi je pani dalej, w dodatku pewną ręką.

– Po prostu pilnuję swoich spraw – powiedziała Klara. – I pan też powinien.

„Ach”, jęknął w duchu. „A więc wracamy do punktu wyjścia, do braku rozumu jako ostatniej twierdzy obronnej, skoro walki nie da się toczyć w otwartej bitwie.”

– Próbuję to robić – odparł. – Ale za każdym razem, gdy staram się nakłonić wdowy do zaakceptowania którejś z moich propozycji, wciąż słyszę to samo. Czasy są zbyt niepewne. Za duże ryzyko. Niektórzy powiadają, że mądrzej byłoby zaczekać. I zawsze wtedy pojawia się to samo nazwisko. Pani.

Poczuł, że jest bliski gniewu. Pomyślał o kupionych przez Klarę parcelach przy Havnegade, leżących ciągle odłogiem. Przecież mogło na nich powstać tętniące życiem zaplecze portu, pole działania dla operatywności marstalczyków. Parcele przypominały zgłiszcza idei, które spłonęły, jeszcze zanim zostały zrealizowane.

– Codziennie przechodzę obok kupionych przez panią parceli, które pozostają – co za wstyd! – niezagospodarowane. Może to dobrze obrazuje pani plany. Zamierza pani zamienić całe miasto w ugó. Ale coś pani powiem, pani Friis... – Poczuł, jak nagromadzona przez miesiące irytacja odbiera mu siły. – To, co pani nazywa pilnowaniem własnych spraw, ja nazywam zaniedbaniem innych, całego miasta, jego historii i tradycji.

– Nienawidzę morza.

Wybuch nastąpił niespodziewanie. Gdyby Isaksen słuchał jej uważniej, zrozumiałby, że nieoczekiwanie się obnażyła, i wykorzystałby szansę. Być może istniała jakaś droga, by do niej dotrzeć. Ale gniew całkiem pozbawił go sił. Isaksen nie wątpił, że poznał przyczyny wszystkich swoich trudności i fiaska, pierwszego w jego karierze, i jak miał nadzieję, jedyne. Niepowodzenia, które mimo wszystko rysowało się coraz wyraźniej.

– To doprawdy zadziwiające stwierdzenie – podsumował jadowitym tonem. – Jakby z ust wieśniaka usłyszeć, że nienawidzi ziemi. W takim razie mogę pani jedynie powiedzieć, że znalazła się pani w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

– Wprost przeciwnie. Znajduję się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Była tak samo rozgniewana jak on. Ale on usłyszał coś jeszcze oprócz wzburzenia w jej głosie. Usłyszał swoją własną zmarnowaną szansę. Usłyszał rozgoryczenie osoby, która czuje się odrzucona. Nie słuchał uważnie, a teraz, w ostatniej chwili, próbował naprawić swój błąd, przybierając pojednawczy ton.

– Przepraszam, jeśli skierowałem wobec pani niesprawiedliwe wyrzuty – powiedział. – Może spróbujemy rozsądnie ze sobą porozmawiać? Sądzę, że wiele nas łączy.

– Proszę, żeby pan już wyszedł – oświadczyła mocnym głosem.

Krótko skinął jej głową, odwrócił się i opuścił salon. Dopiero gdy znów znalazł się na ulicy, uświadomił sobie, że Klara nie zaproponowała, by usiadł. Ich starcie odbyło się na stojąco. „Ta kobieta nie ma ani trochę kultury”, pomyślał.

•

Isaksen jeszcze raz zwrócił się do wdów z żądaniem udzielenia mu pełnomocnictwa, aby mógł wreszcie zacząć realizację planów dotyczących zarówno stoczni, jak i przedsiębiorstwa żeglugowego.

– Muszę zwrócić paniom uwagę, że moje żądanie pełnomocnictwa jest ультимatywne – oświadczył.

Spytały go, co oznacza „ultymatywne”. Ton panujący między nimi stawał się już tak niemiły, że Isaksen coraz częściej korzystał z chłodnego formalnego języka prawniczego zamiast ze swej tak często wychwalanej zdolności przekonywania. Wyjaśnił, że „ultymatywny” oznacza, iż jeśli nie dostanie tego, o co prosi, będzie musiał złożyć wymówienie i szukać pracy gdzie indziej.

– Ależ, mój Boże! Czy źle się pan tu czuje?

Odparł, że owszem, czuje się tu dobrze, a zarazem źle. Bardzo ceni sobie miasto, przekonał się, że przedsiębiorstwo posiada wielki i obiecujący potencjał, lecz jest na co dzień sabotowany w swojej pracy. Znow weszła w niego gniew.

– Rozumiem, że panie wolą słuchać Klary Friis. Ale ostrzegam, ona nie chce dobra przedsiębiorstwa.

Ellen popatrzyła na niego zdumiona i Isaksen już wiedział, że przegrał.

– Klara Friis, ta biedaczka! Gdyby pan wiedział, przez co przeszła. A pan tak o niej mówi!

Wyrok zapadł. Isaksen widział to po ich twarzach. Był złym człowiekiem. Wywiązał się ze swoich obowiązków. Teraz mógł odejść. A raczej: nie wywiązał się z obowiązków, i to właśnie go dotkliwie zapiekło. Dostrzegł możliwość, ale nie pozwolono mu jej urzeczywistnić. Naruszono jego zasadę życiową: rozwiązać zadanie najlepiej jak się da. Zawiodł. Zawiodł przedsiębiorstwo żeglugowe, miasto i samego siebie. Jego zdolność przekonywania nie zadziałała. Jego wiedza psychologiczna okazała się niewystarczająca. Jemu, który jako jedyny znał właściwy kurs, nie pozwolono stanąć przy kole sterowym i poprowadzić statku. I nie mógł o to obwiniać nikogo oprócz siebie samego. Nie był typem, który potrzebuje kozła ofiarnego, chociaż miasto zdawało się podsuwać mu niejednego.

Dzień później napisał wypowiedzenie.

•

Kiedy Isaksen opuszczał miasto, popłynął promem pasażerskim, jak każdy inny podróżny.

Wyrok, który nad nim zapadł, brzmiał: on tu nie pasuje.

Ale nie według wszystkich. Znaleźli się i tacy, którzy rozumieli, że proroctwo sądnego dnia, ogłoszone w przemowie podczas powitalnego uroczystego obiadu w hotelu „Ærø”, teraz się spełni. Jedyńy człowiek, który mógł czemuś zapobiec, odjeżdżał. To nie tylko Frederik Isaksen odwrócił się do nas plecami, wchodząc na pokład promu. To odwrócił się cały świat.

Na nabrzeżu stała cała deputacja szyprów i sterników. Wszyscy oni byli w hotelu „Ærø” tamtego wieczoru, gdy wygłaszał swoją wielką przemowę.

Z grupy wystąpił Komandor. Był najzagorzalszym zwolennikiem Isaksena. Sam nie mógł nawet marzyć o tym, by stanąć za sterem parowca, ale chwalił się, że jest człowiekiem przewidującym.

Był jesienny dzień i z nieba lał deszcz. Isaksen trzymał w ręku parasol. Wiał ostry wiatr od zachodu i ramiona jego trencza już przybrały ciemniejszą barwę.

– Cholernie mi przykro, że to się skończyło w ten sposób – powiedział Komandor.

– Niech wam nie będzie przykro z mojego powodu. – Isaksen uśmiechnął się pocieszająco, jak gdyby to Komandor, a nie on, potrzebował otuchy. – To mój błąd, że tak się skończyło. Powiniennem uważniej słuchać.

Komandor nie był pewien, czy zrozumiał, o co mu chodzi.

– Przeklęte baby! – prychnął.

– Proszę o nic ich nie obwiniać – powiedział Isaksen. – To niezwykła sytuacja dla kobiet. One po prostu postępują w sposób, jaki uważają za najlepszy.

Syrena promu ryknęła ostrzegawczo. Nadeszła pora wyjścia z portu.

– Dokąd pan się wybiera? – spytał Komandor.

Przygotował sobie pożegnalną przemowę, ale zapomniał słów.

– Do Nowego Jorku. Meller otwiera nowe biuro. Proszę zajrzeć, gdyby pan się tam znalazł. Marstalczyk zawsze nam się przyda.

Isaksen podał Komandorowi rękę, potem zrobił rundę, żegnając się kolejno ze wszystkimi mężczyznami. Z promu dobiegło wołanie. Isaksen podniósł parasol i uchylił kapelusza. Wszedł po trapie i zniknął.

Nie było już nikogo, kto nie dopuściłby do tego, byśmy – jak przewidział Isaksen – stali się zbyteczni.

ZABÓJCA MEWY

•

•

– Gdzie Albert pochował Jamesa Cooka?

Anton snuł wielkie plany. Został przywódcą Bandy Północnej, lecz to go nie satysfakcjonowało. Odkąd sięgano pamięcią, istniały dwie i tylko dwie bandy, które podzieliły się miastem: Północna i Południowa. Ale teraz chłopcy z Niels Juels Gade i Tordenskjoldsgade zaczęli tworzyć własne bandy. Wciąż jeszcze nie oderwali się od Bandy Południowej, zrobił to natomiast Kristian Stærk z Lærkegade. Nosił dobre nazwisko, które znaczyło tyle co „silny”, i od niego nazwał swoją bandę: Silni.

Antona niepokoił taki obrót spraw. Pragnął przodować we wszystkim, a teraz obawiał się, że stanie się bezanżaglem, jak to określił.

Namówił Knuda Erika, by ten wykradł buty Alberta, które leżały na strychu na Prinsegade i czekały, aż ktoś wreszcie zabierze się do rzeczy i urządzi muzeum, któremu zostały zapisane.

Anton wpadł na pomysł utworzenia nowej bandy. Miała nosić imię Alberta i składać się wyłącznie z tych, którzy są gotowi przysiąc, że umrą w jego butach. Przymierzył je pierwszy, ale wielkie i bardzo już zniszczone marynarskie buty były na niego za duże.

Mimo to znalazł dla nich wykorzystanie. Postanowił je wkładać, gdy nowi członkowie Bandy Alberta będą składać przysięgę. Mieli klękać i całować noski.

Knud Erik i Vilhjelm zaprotestowali, mówiąc, że żaden porządny chłopak się na to nie zgodzi, a przecież Anton musiał mieć porządnym chłopaków w swojej bandzie, jeśli miała być coś warta. Oni również by odmówili.

Był to niespodziewany bunt, który zaskoczył nawet ich samych.

W końcu Anton musiał się poddać i już wspólnie zdecydowali, że nowi członkowie zamiast całować buty będą je wkładać i w nich przysięgać na wierność. Tak było bardziej honorowo. Zrozumiał to też Anton. Głównym atrybutem bandy, tajemnicą, która spoi gromadę chłopców, miała stać się głowa Jamesa Cooka.

Pojawił się tylko jeden problem. Głowa Jamesa Cooka leżała na dnie morza.

Helmer, który mieszkał na Skovgyden i należał do Bandy Północnej, pożyczył od dziadka łódź rybacką. Na pokładzie znalazło się ich siedmiu, lecz tylko Vilhjelm i Knud Erik zaliczali się do wtajemniczonych. Pozostałym Anton zapowiedział, że płyną na Mroczną Głębię i będą nurkować po skarb. Opisał drewnianą skrzynkę, w której została pochowana głowa Jamesa Cooka, ale nie wyjawiał, co jest w środku. Stwierdził jedynie, że to nie dla ludzi o słabych nerwach.

Tordenskjold siedział na ławeczce obok niego i przyglądał się im błyszczącym, nieprzeniknionym mewim spojrzeniem. Od czasu do czasu się podrywał, wzbijał wysoko w błękitne niebo, a potem nurkował bez ostrzeżenia. Wracał na łódź i znów siadał na ławeczce. Głowę z ostrym dziobem odchyłał do tyłu. W gardzieli coś mu się poruszało. Połykał rybę, nie zwracając na nich uwagi.

– Dobry Tordenskjold! – mówił Anton.

Zawsze przemawiał do mewy jak do psa.

– Czy ten skarb ma jakiś związek z Anglikami? – spytał Olav, wielki, silny chłopak z grzywką.

– W pewnym sensie tak – odparł Anton. – Nic więcej nie powiem.

Knud Erik i Vilhjelm popatrzyli na siebie.

Na Mrocznej Głębi zaczęli nurkować. Był bezchmurny dzień na początku czerwca. Ani trochę fali. Pomimo przejrzystości wody dno skrywało się za falującym welonem zieleni i granatu. Jeden po drugim znikali w głębi, w której z każdym metrem coraz trudniej było cokolwiek zobaczyć. Dno witało ich pod postacią nieprzeniknionego cienia. Przeszywał ich dreszcz, gdy wodorosty i trawa morska ocierały im się o brzuch i piersi, jakby morze na próbę wyciągało do nich długie, miękkie palce. Towarzystwa dotrzymywała im kolonia kołyszących się w wodzie meduz, a ze swej kryjówki na dnie poderwała się nagle flądra. Skarb się nie objawiał. Przepływali łodzią z jednego miejsca w drugie, ale coraz bardziej marzli. Najbardziej wytrzymały był Anton, któremu wargi drżały za każdym razem, gdy przecinał taflę wody.

Tordenskjold wzlatywał w górę i unosił się wysoko pod niebo, jak gdyby ich pilnował.

To było beznadziejne przedsięwzięcie i wreszcie przestali rozumieć, jak w ogóle mogli sądzić, że zdołają odnaleźć głowę Jamesa Cooka na dnie morza. W końcu stracili nie tylko zapał, lecz również siły i ciepło. Słońce świeciło, lecz morze zachowało jeszcze zimowy chłód.

Z zimna nie trząśł się jedynie Helmer. Siedział na rufie i zdrapywał z ramienia łuszczącą się skórę. Sceptycznie przyglądał się wodzie.

– To moja łódź – powiedział.

Uważał, że prawo własności jest wystarczającym wkładem w zadanie.

– Tchórz! Boi się wody! – zawołali do niego.

Ubliżyło to jego młodzieńczemu poczuciu męskości i puścił się forsztagu. Poczawszy jednak chłód wody, zapomniał o ratowaniu honoru. Złapał się sztagu, żeby wrócić do joli, lecz nagle obciążenie sprawiło, że pusta łódź zaczęła się przechylać.

Nikt nie wpadł w panikę, nikt też nie próbował wejść do przewróconej joli. Była za ciężka, aby dało się ją odwrócić, więc zaczęli ją ciągnąć i popychać w stronę Birkholm, by tam na płyciźnie odwrócić łódź i wylać z niej wodę.

Knud Erik i Vilhjelm zostali, żeby pozbierać ubrania. Unosiły się na powierzchni niczym kozuch glonów, koszule, bluzy i kolebiące się drewniaki. Część rzeczy powiesili do wysuszenia na tyczkach wyznaczających szlak żeglowny. Inne przynieśli na brzeg. Tylko Anton dalej nurkował w poszukiwaniu głowy Jamesa Cooka. Dopiero gdy nadzy położyli się na piasku, próbując się ogrzać, ujrzeni, że zbliża się do brzegu.

Płynął na plecach. W jednej ręce coś trzymał. Wyglądało to tak, jakby ratował topielca.

– On znalazł skarb! Znalazł skarb! – zawołał podniecony Helmer.

Knud Erik i Vilhjelm wymienili spojrzenia. Czy to naprawdę mogła być głowa Jamesa Cooka?

Anton z trudem wyszedł na brzeg. Miał siną twarz i bez przerwy szcząkał zębami, więc przez pierwszych kilka minut nie był w stanie nic powiedzieć. Przykucnął, ciężko i chrapliwie łapiąc powietrze, jakby nałykał się wody, ale skarbu nie przestał ścisnąć w objęciach. Porozumiał się wzrokiem z Knudem Erikiem i pokręcił głową. W końcu wstał i triumfalnie podniósł ręce. Wciąż trząsał się z zimna, ale twarz rozjaśniał mu uśmiech.

– Spójrzcie, co znalazłem! – zawołał.

Wszyscy zaczęli się gapić na dziwną rzecz, którą trzymał w dłoniach. W pierwszej chwili nie zorientowali się, co to jest.

W końcu Helmer jęknął.

– To martwy człowiek!

Teraz i inni już to zobaczyli. Anton trzymał w rękach trupa czaszkę. Pozieleniała od leżenia w wodzie, porośła trawą morską, która zwisała z niej niczym włosy topielca. Żuchwy brakowało. Tam, gdzie kiedyś były oczy, zostały tylko dwa puste otwory, które gapiły się na nich nieprzeniknionym spojrzeniem zmarłych. Odsłonięte zęby w górnej szczęce szczyrzyły się w złośliwym triumfie, jakby czaszka przepowiadała los, który ich czeka, gdy oni również zmienią się w nędzne ludzkie szczątki.

– Nie – odparł Anton. – To nie jest tylko martwy człowiek. To coś o wiele lepszego. To zamordowany człowiek.

Opuścił ręce i podsunął im czaszkę.

– Sami zobaczcie.

Otoczyli go kręgiem. Anton obrócił czaszkę zamordowanego człowieka w rękach tak, aby wszyscy mogli ją obejrzeć z każdej strony. Z tyłu widniała wielka dziura.

– To człowiek z epoki kamiennej – oświadczył Knud Erik. – Dostał siekierą w głowę.

– To żaden człowiek z epoki kamiennej – stwierdził Anton. Popatrzył na kolegów. Zrobił pauzę, żeby napięcie jeszcze się wzmogło, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

– Ja wiem, kto to jest.

– Kto? – spytali chórem.

– Teraz wam nie powiem. Ale to właśnie był ten skarb, którego kazałem wam szukać.

Knud Erik i Vilhjelm dobrze wiedzieli, że Anton kłamie. Nie odnaleźli głowy Jamesa Cooka. Znaleźli za to coś innego. A Anton zawsze potrafił obrócić wszelkie niespodziewane zdarzenia na swoją korzyść.

– Musicie położyć rękę na głowie tego zamordowanego człowieka – powiedział – i przysiąc, że nic nikomu nie zdradzicie. Inaczej nigdy wam nie powiem, kto to jest.

Wszyscy położyli ręce na czaszce. Porastająca ją trawa morska była ohydna w dotyku. Aż zatrzęśli się z obrzydzenia.

– Przysięgnijcie! – nakazał Anton.

Chórem przysięgli, że nigdy nie zdradzą tajemnicy.

– A teraz powiedz, kto to jest.

– Później. – Anton wstrzymał ich gestem, jakby chciał prosić, by nie popadali w nadmierne podniecenie.

Powiosłowali do tyk i pozbiali resztę ubrań. Słońce i wiatr je wysuszyły, ale kiedy Helmer wywrócił jolę, nikt nie pomyślał o wyłowieniu chodaków. Odpłynęły niesione prądem.

Vilhjelm nie mógł znaleźć swoich spodni i zaczął się jękać jeszcze bardziej niż zwykle.

– Oddaj mu swoje – zaproponował Anton Knudowi Erikowi. – Wtedy twoja matka naprawdę się rozzłości.

Przepis Antona na wolność pozostawał ten sam: jak najbardziej rozzłościć rodziców.

•

Ludzie się gapili, gdy członkowie bandy maszerowali ulicami bosi i bez portek. Chłopcy dobrze wiedzieli, co ich czeka w domu.

Ale im było to obojętne. W dniu, w którym znaleźli głowę zamordowanego człowieka, nic innego się nie liczyło. Mieli tajemnicę, a tajemnica oznaczała władzę.



Parę dni później Anton poszedł do Kristiana Stærka i zaproponował, by wspólnie utworzyli nową bandę, która jego zdaniem będzie najsilniejsza w mieście. Tego określenia użył jedynie po to, by przypochlebić się przywódcy Silnych. Knud Erik i Vilhjelm towarzyszyli mu w roli adiutantów. Ich najważniejszym zadaniem było trzymanie drewnianej skrzynki, do której Anton włożył czaszkę zamordowanego. Uważał ją za ważny argument przetargowy w trudnych negocjacjach, które go teraz czekały.

Gdy Anton stanął przed Kristianem Stærkiem, jego wielkim problemem był wiek i niepozorny wzrost. Kristian skończył już piętnaście lat i znacznie go przerastał, miał szerokie bary i gruby kark, na którym tkwiła głowa zaskakująco mała w stosunku do tułowia. Miał też wielkie, odstające uszy, a Anton powiedział kiedyś, że głowa Kristiana rozpostarła skrzydła, bo zastanawiała się, czy nie odfrunąć i nie poszukać sobie bardziej odpowiedniego ciała. Takich rzeczy nikt nie mówił przy Kristianie Stærku, ponieważ on uwielbiał szczytać i robić „francuski mankiet” – wilgotnymi dłońmi wykręcał skórę na nadgarstku.

Był uczniem w sklepie z artykułami żelaznymi Samuelsena na Kongegade i nikt nie rozumiał, dlaczego wciąż biega po mieście i uczestniczy w wojnie band. Żaden dorosły nie uważał Kristiana Stærka za kogoś szczególnego. Bały się go jednak wszystkie miejskie dzieci i może właśnie to było powodem jego wciąż tak dziecinnego zachowania. Wolał towarzystwo, w którym mógł być największy i najsilniejszy.

Z Antonem było odwrotnie. Dorosłym, chociaż głównie matkom, nie bardzo podobał się ten chłopak, który jednym strzałem zgasił światło w połowie Marstal. Chłopcy natomiast go podziwiali. Samemu Antonowi było dość obojętne, czy ludzie są od niego mniejsi, czy więksi, ponieważ w każdych okolicznościach uważał się za bardziej przebiegłego od wszystkich razem wziętych.

Kristian Stærk przyjął Antona lepiej, niż ten się spodziewał. Anton zdążył już zyskać sławę. Dobrze jednak wiedział, że najmocniejszym argumentem w negocjacjach jest zawartość drewnianej skrzynki, którą przynieśli dwaj jego adiutanci, Knud Erik i Vilhjelm. Upierał się przy tym, że banda musi się nazywać Bandą Alberta. Rozbudował obrzęd wtajemniczenia. Przyszli członkowie mieli nie tylko wkładać buty Alberta w czasie przysięgi, lecz ponadto trzymać rękę na głowie zamordowanego człowieka. Własnoręcznie oczyścił ją z trawy morskiej i wypolerował. Wielka dziura w potylicy była teraz dobrze widoczna. Anton zdecydował, że imię zamordowanego po wsze czasy pozostanie tajemnicą dla wszystkich, oprócz przywódców bandy, których będzie dwóch. Kristian Stærk i on sam.

Nakazał Knudowi Erikowi otworzyć wieko skrzynki. Z uroczystą miną wyjął czaszkę i podał ją Kristianowi, który wziął ją w ręce, a wtedy jego odstające uszy wyraźnie zdrząły. Widzieliśmy, że boi się zamordowanego, lecz mogliśmy także dostrzec, że jego chytry mózg chłopca ukryty w ciele mężczyzny pracuje na wysokich obrotach. Ta głowa mocno przemawiała do jego wyobraźni, a instynkt podpowiadał mu, że w taki sam sposób podziela na wszystkich ulepionych z tej samej gliny. Ten, kto ma głowę, będzie też miał największą i najsilniejszą bandę. Skinął w milczeniu na znak, że przyjmuje warunki Antona.

– To nie jest człowiek z epoki kamiennej, którego ktoś walnął w łeb siekierą – oświadczył Anton.

Kazał Kristianowi ugiąć kolana, tak by ich głowy znalazły się na tej samej wysokości. Szepcząc mu do ucha, wyjawiał nazwisko zamordowanego. Później popatrzyli sobie w oczy, jakby na znak przypieczętowania paktu.

•

Pierwszym zadaniem, jakie czekało nową bandę, było zdobycie broni i wyposażenia dla nowych rekrutów. Margaryniarz, który z furmanki sprzedawał masło i margarynę, podarował nam wieka zużytych beczek. Przymocowaliśmy do nich rzemienie i wtedy zmieniły się w tarcze. Kristian Starsk udowodnił swoją pożyteczność, organizując od kupca Samuelsena rotang, z którego zrobiliśmy łuki. Podpórki do kwiatów służyły za strzały, ale same w sobie niewiele były warte, chociaż potrafiły zostawić siniaka, gdy płaskim końcem uderzyły w czoło. Próbowaliśmy zaostrzyć je nożem, ale drewno okazało się za miękkie. Anton wymyślił, że do czubka można przywiązać igły żaglowe, wtedy strzały już nie tylko uderzały, lecz wbijały się w ciało i nie odpadały. Niektórzy po bitwie przypominali jeże, szczególnie latem, gdy igła nie musiała przebijać ubrania, tylko miała bezpośredni dostęp do nagiej skóry.

To było coś. Zrobiło się niebezpiecznie, a niebezpiecznie powinno być. Mieliśmy nazwę, która zobowiązywała, i głowę zamordowanego człowieka, wokół której wszystko się skupiało. Jedyne, gdy stawką jest śmierć, warto się bić.



Ustanowiliśmy pewne zasady. Wszyscy członkowie bandy musieli mieć więcej niż dziesięć lat. Knud Erik i Vilhjelm już skończyli dziesięć, ale inni w tym samym wieku nie zostali przyjęci. Próbę mogli przejść jedynie najlepsi. Musieli w porcie wskoczyć do wody z wielkim kamieniem w rękach i opaść aż na samo dno. Tam należało przepłynąć pod kilem statku i wynurzyć się po drugiej stronie. Ten, kto wypuścił kamień w głębinę, mógł się pożegnać z Bandą Alberta. Wielu dorosłych nie przeszłoby tej próby, ale ta zamiast odstraszać stale przyciągała wielką liczbę nowych rekrutów. Wszyscy mieliśmy ochotę zdobyć dowód swoich umiejętności. Krążyliśmy w butelkowiezilonym mroku z wzdętymi policzkami i oczami, które z powodu braku powietrza wychodziły nam z orbit, a obrośnięta rozkołysaną trawą morską, małżami i kaczenicami stępka wydawała się żywa i unosiła nad nami niczym brzuch kaszalota. Wynurzaliśmy się jak pękająca bańka wydobywająca się ze szlamu. Ledwie udało nam się napełnić płuca powietrzem, a już wybuchaliśmy triumfalnym krzykiem i musieliśmy walczyć, by z powrotem nie opaść na dno, ściągani przez kamień, który w momencie wydobywania go z wody gwałtownie gubił swoją nieważkość.

Czy kiedykolwiek zastanawialiśmy się nad tym, że dotarliśmy tam, gdzie skończyło tyłu naszych ojców? Przysięgaliśmy, że umrzemy w butach, ale taka śmierć spotyka również topielców.

•

Mieliśmy członków ze wszystkich ulic w mieście, również z południowej dzielnicy, która zawsze stanowiła terytorium Bandy Południowej, lecz oczywiście z niektórymi z dawnej Bandy Północnej musieliśmy się pożegnać. Najważniejsze było przejście próby. Potem nie robiło już różnicy, z jakiej części miasta ktoś pochodził. W Bandzie Południowej pozostali najtwardsi, którzy nie chcieli się poddać, co właściwie bardzo nam odpowiadało. Musieliśmy przecież mieć z kim się bić. Atakowaliśmy mocno, a tamci nieprzerwanie byli przyparci do muru. Czasami walczyliśmy na tratwach w porcie albo też atakowaliśmy się w skradzionych jolkach. Głównie jednak spotykaliśmy się na polu przy Vestergade, gdzie nigdy nie zaglądali dorośli. Potrzebowaliśmy spokoju, by móc zadawać sobie nawzajem rany, nabijać siniaki i guzy.

•

Dopóki nie doszło do strasznego wydarzenia z Kristianem Stasrkiem, jedynie Henry Levinsen odniósł prawdziwe obrażenie w wyniku naszych potyczek. Złamał nos, gdy Kristian słupkiem do sieci uderzył w miedzianą osłonkę na doniczkę, której Henry używał jako hełmu, i wbił mu ją na uszy. Blacharz Groth z Nygade musiał rozciąć osłonkę, a nos Henry'ego od tej pory był krzywy.

Dorośli nazywali nas *pikinini*. To oznaczało „dzieci” w języku niebędącym angielskim, niemieckim ani francuskim, tylko takim, którym mówiono daleko w obcych krajach, i właśnie za sprawą tego słowa czuliśmy się jak obcy, jak tubylcy i dzicy na nieodkrytej wyspie.

Gdybyśmy kiedykolwiek o tym rozmawiali, z pewnością odkrylibyśmy, że wielu z nas zdarzyło się w jakimś momencie stanąć na ulicy albo na szkolnym podwórzu i rozpłakać się na wspomnienie ojca marynarza, który zginął w morzu podczas sztormu czy wojny, ale zawsze tą samą śmiercią topielca, po której nie następował pogrzeb.

Tego rodzaju myślami nie zawracaliśmy sobie jednak głowy, chociaż zapewne musiał istnieć powód, dla którego w bójkach biliśmy mocniej niż inni i pozostawialiśmy twardzi bez względu na ból, kiedy nam oddawano. Biliśmy się, tak jak kowal bije młotem w rozpalone żelazo. Biliśmy się, aby nadać sobie kształt.

•

Anton twierdził, że zamordowany co noc staje pod jego oknem w szczytowej ścianie i głuchym głosem woła, żeby mu oddać głowę. Nie wierzyliśmy w to. Jak mógł wołać, skoro jego głowa znajdowała się na poddaszu u Antona? – A nie zwróciliście uwagi, że brakuje zuchwy? – spytał Anton. – To właśnie stamtąd wydobywa się głos.

Pokazał nam ślady wśród rządków ziemniaków przy szczytowej ścianie.

Uważaliśmy, że zrobił je sam.

Anton westchnął i oświadczył, że musi udźwignąć to brzemie niewiary okazywanej przez najbliższych, chociaż naprawdę posiadał wielką i poważną wiedzę. Znał nie tylko nazwisko zamordowanego. Wiedział także, kim jest morderca. Spojrzał na nas tak, że przeszedł nas dreszcz.

Nie wierzyliśmy we wszystko, co mówił. Ale i tak potrafił nas przestraszyć.

Nie wiedzieliśmy, że pewnej nocy w ogrodzie naprawdę pojawi się mężczyzna i zacznie wołać Antona.

To nie był zamordowany, który pragnął odzyskać swoją głowę.

To był morderca. A przysłał go Kristian Stærk.



Wszystko się zaczęło od tego, że Anton miał mniej pieniędzy w kieszeni niż zazwyczaj i musiał ograniczyć codzienną liczbę papierosów Woodbine, które przydawały mu męskiego głosu, przez co sprawiał wrażenie o wiele starszego, niż był w rzeczywistości. Stwierdził, że coś się stało z pukawką, jak nazywał wiatrówkę kuzyna, bo nagle zaczął zabijać mniej wróbli niż zwykle. Możliwość, że wykończył całą populację, odrzucał jako bzdurę. Usterka broni była jedynym wyjaśnieniem.

Dlatego postanowił wystawić pukawkę na decydującą próbę i zastrzelić naprawdę dużego ptaka, a prawdę mówiąc: największego, jaki istniał w Marstal. Właśnie ta decyzja w naszej opinii naprawdę świadczyła o formacie Antona, lecz jednocześnie obudziła w nas wątpliwości, a wręcz zasmuciła. Tego ptaka kochali wszyscy w mieście. Miał nawet własne imię. Oczywiście imiona miały również liczne ary, kakadu, nimfy, gwarki i kanarki, które marynarze od lat zwozili do Marstal. Ale papugi siedziały w klatkach i zebrały o bryłki cukru, więc były zupełnie czymś innym. Sam Anton miał na wpół oswojoną mewę, Tordenskjolda. Ale ten ptak, którego teraz zamierzał pozbawić życia, był wolny i dumny, i co roku odlatywał tak daleko, jak pływali marynarze. Rozpierała nas duma, ponieważ zdecydował się zbudować gniazdo w naszym mieście.

Chodziło o bociana na dachu domu Goldsteina. Nazwaliśmy go Frede.

Miejsce, które bocian wybrał sobie na mieszkanie, było trochę dziwne. Zwykle boćki budują gniazda wysoko, a tymczasem dom Goldsteina stojący na końcu Markgade był niskim, pomalowanym na żółto szachulcowym budynkiem z dachem krytym czerwoną dachówką, który zdawał się zsuwać z chylących się ścian. Abraham Goldstein był szewcem, siwobrodym, małowównym człowiekiem o zapadniętych oczach. Nie patrzył prosto w oczy, i nie bez powodu. Powiadano, że ma złe oko. Szyper, który minął go przypadkiem w drodze na statek w klarze morskim, odkładał wyjście z portu do następnego dnia. Ktoś widział, jak Goldstein w pewien wczesny wiosenny poranek stał na rynku i wabił wróble. Ptaki chodziły mu po dłoniach, obsiadały wyciągnięte ręce i opadające ramiona, a nawet kapelusze.

Inni twierdzili, że to wszystko brednie, a Goldstein jest całkiem zwyczajnym człowiekiem, którego należy oceniać po umiejętności podzelowania pary butów. A pod tym względem nikt nie miał mu nic do zarzucenia.

Do domu Goldsteina poszliśmy w pewne niedzielne popołudnie w lipcu, gdy upał wygonił wszystkich na plażę, i dlatego liczyliśmy, że Antonowi uda się zastrzelić bociana bez świadków. Było w tym coś nieskończenie smutnego. A jednak musieliśmy to zobaczyć, chociaż mieliśmy pewność, że zamkniemy oczy w chwili, gdy bocian po raz ostatni rozpostrze biało-czarne skrzydła i z wyciągniętymi w powietrzu czerwonymi nogami stoczy się z wielkiej sterty chrustu, będącej jego gniazdem. Przeszywało nas nieokreślone uczucie, że wielcy ludzie i bezsensowne, smutne wydarzenia nierozzerwalnie wiążą się ze sobą. A nie wątpiliśmy, że Anton został przeznaczony do czegoś wielkiego, i chcieliśmy być przy tym, gdy się to stanie.

Anton podniósł wiatrówkę i zmrużył jedno oko. Stał tak długo, jakby nie był pewien celu, a my uznaliśmy, że ręka odrobinę mu drży. Patrzyliśmy na bociana. Dobrze rozumieliśmy Antona. My też w tym momencie żegnaliśmy się z bocianem i sądziliśmy, że nasz wódz robi to samo. W końcu nacisnął spust.

Jak na komendę wszyscy zamknęliśmy oczy. Długo tak staliśmy. Po wystrale zapadła całkowita cisza. Byliśmy pewni, że trzask dotarł aż na cypel. Potem rozległo się przekleństwo Antona. Otworzyliśmy oczy i spojrzeliśmy na kalenicę. Bocian nietknięty stał w gnieździe i wyglądał tak, jakby spał.

Czy bociany, kiedy zostaną zastrzelone, dalej stoją? Wydawało się, że kula zamiast przemienić dumnego ptaka w żałosny stos piór z czerwonymi patykami nóg jakby go wypchała.

Upłynęło całkiem sporo czasu, zanim uświadomiliśmy sobie powód zachowania bociana.

Anton spudłował.

Wściekle znów załadował wiatrówkę i wycelował po raz kolejny. Strzelał, dopóki nie skończył mu się śrut. Bocian ani drgnął. Można by pomyśleć, że był głuchy. Ale głuchy czy nie, jedno było pewne: mimo strzałów Antona Frede stał cały i zdrowy.

Nagle otwały się drzwi do domu Goldsteina i wyskoczył z nich mężczyzna. Zamiast milkliwej postaci szewca staruszka ujrzeliśmy olbrzyma, który musiał się schylić, żeby zmieścić się w niskiej futrynie. Miał na sobie tylko niebieski kombinezon, a spod niego wystawał nagi, opalony tors, widzieliśmy więc jego wielkie ramiona i niebiesko-czerwone tatuaże wijące się po mięśniach. To był zięć Goldsteina, Bjørn Karlsen, który pracował jako takielarz w stoczni statków stalowych. Akcja Antona wyrwała go z poobiedniej drzemki.

– Co, u stu tysięcy diabłów, smarkaczu? – wrzasnął, wyrażając pięścią. – Strzelasz do boćka?

Anton jakby go nie słyszał. Trzymał pukawkę w rękach i wpatrywał się w nią z taką nienawiścią, że mogliśmy mieć jedynie nadzieję, że nigdy nie skieruje jej w żadnego z nas. Chcieliśmy uciec, ale czuliśmy, że nie możemy w takim momencie opuścić Antona, i tylko zrobiliśmy kilka kroków w tył.

Stał zupełnie sam na chodniku, kiedy Bjørn Karlsen paroma olbrzymimi krokami przeszedł na drugą stronę ulicy i złapał go za kark. Podniósł Antona za kołnierz koszuli, aż nogi zamajały mu w powietrzu, jakby był dzieciakiem, i może tak właśnie go traktował niemal dwumetrowego wzrostu wściekły takielarz. Dla nas oczywiście Anton był zupełnie kimś innym, lecz wówczas zaczęliśmy się domyślać, że może istnieć więcej sposobów oceniania naszego przywódcy.

Bjørn Karlsen ruszył z Antonem w dół Markgade. Po drodze zapytał go o pukawkę.

– Jest twoja? – spytał.

Anton powiedział tylko: „tak”. Nie chciało mu się tłumaczyć, że strzelba należy do kuzyna. Zresztą w tej chwili to było nieważne.

– Pokażę ci teraz, co robimy z takimi jak ty – oświadczył takielarz.

Przeszedł przez rynek, wciąż mocno trzymając Antona za kołnierz. My podążaliśmy za nimi w bezpiecznej odległości. Nie mogliśmy pojąć, że Anton nic nie mówi. Przecież jemu nigdy nikt nie imponował. I wciąż jeszcze nigdy nie spotkaliśmy żadnego dorosłego, którego nie zdołałby przyprzeć do muru swoim ciętym językiem. Teraz sprawiał wrażenie obojętnego na to wszystko. Zakiełkowała w nas dziwna, pozbawiona współczucia ciekawość. Mogliśmy dodać Antonowi otuchy okrzykami albo obsypać Bjørna Karlsena wyzwiskami. Milczeliśmy jednak.

Bjørn Karlsen szedł dalej przez Prinsegade, a potem skręcił w Havnegade, aż do Pirsu Parowców. Po drodze nie spotkaliśmy żywej duszy. Miasto całkiem opustoszało. Mieliśmy wrażenie, że zmieniło się w scenę teatralną, która czeka na wielki smutny spektakl. Może właśnie tamtego dnia mieliśmy przeżyć upadek Antona.

Takielarz zatrzymał się tuż przy brzegu kei.

– Teraz ci pokażę, do czego nadaje się ta przeklęta wiatrówka! – powiedział.

Zabrał Antonowi pukawkę i mocno uderzył nią w brzeg kei. Drewniana kolba pękła. Anton nic nie powiedział. Dalej patrzył przed siebie tym samym pustym wzrokiem. Bjørn Karlsen cisnął zniszczoną broń na środek basenu portowego. Rozległ się lekki plusk i strzelba zniknęła pod powierzchnią. Bjørn wciąż trzymał mocno Antona za kołnierz, a teraz złapał go jeszcze za spodnie. Wziął duży rozmach i rzucił Antona w tę samą stronę co wiatrówkę.

Kiedy Anton znów stanął na kei, udawał, że nic się nie stało, chociaż cały ociekał wodą. Patrzył na nas zmrużonymi oczami.

– No, to pozbyliśmy się tej głównianej pukawki – powiedział.

•

Chciał coś udowodnić. Może nam, lecz przede wszystkim samemu sobie. To miało jakiś związek z celnością, jaki – nie rozumieliśmy. Nikt nie mógł pojąć, jak to możliwe, że on, który zawsze umiał z daleka trafić we wróbla albo w uciekającego zająca, mógł nie wcelować w stojącego nieruchomo bociana. To musiała być wina wiatrówki.

Dopóki to była wina broni, Anton pozostawał nietykalny. Taki wniosek był zrozumiały, lecz nic mądrzejszego nie umieliśmy wymyślić.



Wpadł na pomysł, że będzie strzelał do jabłka umieszczonego na czyjejs głowie. Chciał być taki jak Wilhelm Tell i postanowił wykorzystać do tego łuk i strzały. Oczywiście musiało się to odbyć w bezwietrzny dzień. Strzała go nie zawiedzie. Łuk to starodawna broń i wszystko zależy od łucznika, a nie od jakiejś przypadkowej usterki w urządzeniu, jak w wypadku gównianej pukawki, która spoczywała teraz na dnie morza, gdzie było jej miejsce. To Kristian Stærk miał zaryzykować, inaczej być nie mogło. Poniżej godności Antona byłoby wyznaczenie kogoś z podwładnych do udziału w śmiertelnie niebezpiecznym zadaniu, skoro sam nie miał się znaleźć w strefie zagrożenia. Z Kristianem Stærkiem byli sobie równi. Wystarczyło, by Anton napomknął, czego chce, a Kristian natychmiast się zgodził. Uszy mu zadrgały jak zawsze, kiedy się bał. Ale nie mógł odmówić. Byłby wtedy skończony.

Rozważaliśmy różne „za” i „przeciw”. Co będzie, jeśli Kristiana Stærka odwaga zawiedzie w ostatniej chwili? Albo jeśli celność Antona jeszcze raz się nie sprawdzi?



Nadszedł wreszcie dzień, w którym Anton i Kristian Stærk mieli przejść swoją próbę. Poszliśmy na pole przy Vestergade, gdzie tak często toczyliśmy wielkie bitwy z Bandą Południową. Stawił się Henry Levinsen z nowym, krzywym nosem, który zdążył się już zagoić, i dołączył do reszty bandy. Nie przynieśli ze sobą broni. Tak jak wszyscy zjawili się, by uczestniczyć w tym, co równie dobrze mogło być triumfem Antona, jak i jego klęską. W sumie zgromadziło się z pięćdziesięciu chłopaków.

Właśnie przestało padać i po czarnej ziemi chodziło się z trudem.

Kristian Stærk stanął na środku pola. Knud Erik próbował umieścić mu na głowie jabłko, lecz ono stale się staczało. Nie urządziliśmy żadnej próby generalnej i większość z nas odczytała to jako zły znak. Kristian musiał poczochnąć swoje półdługie tłuste włosy, robiąc z nich poduszkę na małej główce, zanim wreszcie jabłko się na niej ułożyło. Uszy dygotały mu bez przerwy.

Pomyśleliśmy o dowcipie Antona, że uszy Kristiana przypominają skrzydła, szykujące się do odlotu razem z głową. Gdyby to rzeczywiście było możliwe, nie mieliśmy wątpliwości, że właśnie teraz by nastąpiło.

Anton stanął naprzeciw Kristiana. Zmierzyli się wzrokiem jak w prawdziwym pojedynku. Potem Anton zaczął się cofać. Trwało to dosyć długo, a on przez cały czas mrużył oczy, jakby się koncentrował. Odszedł tak daleko, że nie miał najmniejszej szansy na trafienie w jabłko, ba, nie wierzyliśmy nawet, by łuk mógł posłać strzałę na taką odległość.

Knud Erik krzyknął do niego, że ma się zatrzymać i zbliżyć.

Anton odmówił. Długo musieliśmy się z nim kłócić, nim wreszcie zgodził się stanąć w odległości piętnastu kroków od Kristiana, który w tym czasie tak się zdenerwował, że jabłko znów stoczyło mu się z głowy.

Wreszcie wszystko było gotowe. Anton założył strzałę i napiął łuk. Mocno zacisnął powieki, wyglądało to tak, jak gdyby postanowił trafić w jabłko z zamkniętymi oczami.

Bardzo wielu wśród nas żywiło przekonanie, że będzie tak samo jak z bocianem. Anton nie potrafi już strzelać.

Ale tym razem Anton nie spudłował. Trafił. Tyle że nie w jabłko. Trafił w Kristiana Stærka.

•

Ledwie zdążyliśmy usłyszeć dźwięk cięciwy wypuszczającej strzałę, a już Kristian z wyciem zgiął się w pół, zasłaniając twarz rękami. Niedraśnięte nawet jabłko upadło na ziemię, ale żaden z nas nie zwrócił na to uwagi. Widzieliśmy, że strzała gdzieś trafiła, lecz z powodu dłoni rannego nie mogliśmy stwierdzić w które miejsce. W końcu Kristian się wyprostował i zaczął krzyczeć wniebogłoso, jakby stracił rozum. Brzmiało to strasznie, bo był przecież prawie dorosłym mężczyzną. Odchylił głowę, żeby móc krzyczeć jeszcze głośniejsze. Strzała pofrunęła w powietrzu, nim w końcu upadła na ziemię. Grot miała czerwony.

Vilhjelm dotarł do Kristiana pierwszy. W ręku trzymał chusteczkę.

Anton nawet nie drgnął. Tak jakby musiał przetrwać swoją klęskę, zanim w ogóle do niego dotarło, że trafił w Kristiana Stærka. Później często się zastanawialiśmy, co uważał za gorsze: ranę, którą niecelnym strzałem zadał swojej sławie, czy też ranę zadaną Kristianowi.

Wreszcie się ocknął. Podbiegł do Kristiana, lecz zatrzymał się w odległości kilku metrów.

– On musi iść do doktora Kromana – oświadczył głosem, który brzmiał całkowicie jasno.

Wciąż był naszym przywódcą, bo w jednej chwili się uspokoiiliśmy; tylko kilku mniejszych chłopców rozbeczało się ze strachu na widok czerwonej od krwi chusteczki Vilhjelma.

Anton podszedł do Kristiana, wciąż osłaniającego twarz rękami i nieprzestającego krzyczeć.

– Pokaż, gdzie cię trafiłem – powiedział, odgarniając mu włosy z czoła.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnął Kristian.

Mimo to jednak odsunął ręce od twarzy i wówczas zobaczyliśmy, że krew płynie mu z prawego oka. Było jednym wielkim jeziorem krwi.

Anton ujął Kristiana za rękę tak jak Henry’ego Levinsena, kiedy wbiła mu się na uszy osłonka na doniczkę z ziołami, i Henry z pewnością przypominałby sobie wówczas tamten dzień, gdyby jeszcze był na polu, ale Banda Południowa dawno już uciekła.

– Powiemy, że wbił sobie w oko gałąź – oświadczył Anton, rozglądając się po gromadzie chłopców z dawną władczością w spojrzeniu.

Poszliśmy więc pochodem przez miasto do doktora Kromana. Kristian nie przestawał krzyczeć, ale każdemu, kogo napotkaliśmy, powtarzaliśmy to samo: „Wbił sobie gałąź w oko”.

Nie czuliśmy, że kryjemy Antona. Kryliśmy samych siebie. Sposób, w jaki doszło do tego, że Kristianowi Stærkowi z oka płynęła krew, nie był sprawą dorosłych. Oko było sprawą doktora Kromana. Tylko on mógł coś na to zaradzić. Złożyliśmy los Kristiana w jego ręce.

Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy, że nie tylko los Kristiana przesądzi się w gabinecie u doktora Kromana. To samo dotyczyło losu Antona. Wkrótce już na zawsze mieliśmy utracić go jako przywódcę.



Gdy dotarliśmy do gabinetu doktora Kromana, zebrał się cały pochód. Do nas, chłopców z Bandy Alberta, przyłączyło się jakieś dwadzieścia, trzydzieści osób. Godziny przyjęć już minęły, zaczęliśmy więc walić w drzwi, wzywając doktora. Gdy Kroman otworzył, zaraz wziął Kristiana Stærka za ramię i zabrał ze sobą. Kristian natychmiast ucichł, jak gdyby wiedział, że znalazł się w dobrych rękach, a może chciał zgrywać bohatera przed doktorem.

Wszyscy próbowaliśmy wepchnąć się z nimi do gabinetu.

– Oszaleliście! – krzyknął doktor Kroman. – Zmykajcie stąd!

Pozwolił zostać tylko Antonowi, Vilhjelmowi i Knudowi Erikowi.

Patrząc na Kristiana, spytał, co się stało.

– Wbił sobie gałąź w oko – odparł Anton.

– Sam nie możesz odpowiedzieć? – Kroman zwrócił się do Kristiana.

– Wbiłem sobie gałąź w oko – powtórzył Kristian Stærk, a my w tej chwili pomyśleliśmy o nim z szacunkiem.

Doktor Kroman ułożył Kristiana na kozetce i zaczął mu obmywać krew z twarzy. Delikatnie uniósł powiekę i otworzył oko. My się odwróciliśmy. Nie chcieliśmy na to patrzeć.

– Panie doktorze – spytał Kristian, a głos miał całkiem spokojny. – Czy ja będę jeszcze widział na to oko?

– Będę z tobą szczerzy – odparł doktor. – To oko już się do niczego nie nadaje.

– Będę miał szklane?

Głos Kristiana wciąż brzmiał spokojnie, jak gdyby wiadomość, którą właśnie przekazał mu Kroman, nie była szczególnie istotna.

Nasz szacunek dla niego osiągnął wówczas szczyt.

– Niekoniecznie – powiedział Kroman.

– To dobrze – stwierdził Kristian – bo wolę nosić klapkę.

•

Gdy później wracaliśmy w rozmowach do tamtej sytuacji, w końcu uświadomiliśmy sobie, o co chodziło Kristianowi. Zdawał sobie sprawę, że Anton jest skończony, i dostrzegł otwierającą się przed nim samym możliwość. Pragnął zostać jedynowładcą w Bandzie Alberta. Miał mieć klapkę na oku, a głowa zamordowanego człowieka stałaby się jego własnością wraz z tajemnicą mordercy. Ale w gabinecie doktora Kromana zauważyliśmy jedynie, że Kristian Stærk zasłużył na swoje nazwisko. Był naprawdę silny. Nasz podziw dla sposobu, w jaki przyjmował ciężki cios, który los mu wymierzył, nie miał granic.

Całkiem zapomnieliśmy o obecności Antona.

Nie zapomniał jednak doktor Kroman.

– Wydaje mi się, że za każdym razem, gdy dzieje się coś złego, ty jesteś w pobliżu – stwierdził, przyglądając się Antonowi badawczo. – To nie ty przyprowadziłeś Henry’ego Levinsena, kiedy wbiła mu się na głowę osłonka na doniczkę?

– Owszem – odparł Anton – To prawda. Ale nie ja to zrobiłem.

– I to nie ty próbowałaś zastrzelić bociana? – spytał Kroman.

Anton nic nie powiedział. Patrzył przed siebie, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej i w ogóle nie słuchał. Znów zmrużył oczy w ten irytujący sposób, który ostatnio tak często obserwowaliśmy, jakby wciąż celował z pukawki.

– I z tym też nie masz nic wspólnego?

– On wbił sobie gałąź w oko – powiedział Knud Erik.

– Wbiłem sobie gałąź w oko – powtórzył Kristian z kozetki, na której wciąż leżał.

– To moja wina – oświadczył nagle Anton. – To ja mu strzeliłem w oko.

Nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom. Najpierw wymyślił historię z gałęzią, a teraz ujawnił, jak naprawdę doszło do okaleczenia Kristiana!

– Strzelałem z łuku – dodał Anton. – Nie chciałem trafić w oko. Celowałem w jabłko, które miał na głowie. Ale to i tak moja wina. Ja to zrobiłem.

Wyznając to, patrzył doktorowi Kromanowi w oczy.

Chwilę wcześniej całkiem o nim zapomnieliśmy, teraz przypomnieliśmy sobie, kim jest, i wiedzieliśmy, że bez względu na to, co się stanie, na zawsze pozostanie naszym przywódcą. Istniał tylko jeden Anton. Możliwe, że nie był najlepszym strzelcem na świecie, lecz mimo wszystko nikt nie mógł się z nim równać. Nawet o trzy lata starszy i o wiele większy Kristian Stærk z klapką na oku.

Doktor Kroman nic nie powiedział. Spodziewaliśmy się, że zacznie krzyczyć na Antona, jak zawsze nauczyciele w szkole. Myśleliśmy, że nazwie go do cna zepsutym chłopaczyskiem, dającym zły przykład, łobuzem i recydywistą, ba, może nawet zagrozi umieszczeniem go w poprawczaku albo wręcz w więzieniu. Ale doktor był trzeźwo myślącym człowiekiem. Rozumiał się na ciele, na jego funkcjach i trzymał się tego, na czym się znał. Kazał nam wyjść, by móc w spokoju zająć się okiem Kristiana.

Ruszyliśmy do drzwi.

– Chwileczkę, Wilhelmie Tellu – rzucił jeszcze doktor Kroman. – Przyjdiesz do mnie jutro. Chcę się czemuś przyjrzeć.

•

– Pewnie mu chodzi o mój mózg – stwierdził Anton. – Chce sprawdzić, czy jest w Marstal ktoś głupszy ode mnie.

Sprawił wrażenie kompletnie zdruzgotanego. Właściwie nie pozostawało nic do wyjaśnienia. To przecież była jego wina. To on pozbawił oka Kristiana Stærka. Choć skłamaliśmy, gdy nas o to prosił, to jednak dobrze wiedzieliśmy, że zrobił coś tak złego, że żadne przeproszenie nie miało najmniejszego sensu.

•

Gdy następnym razem zobaczyliśmy Antona, nosił okulary.

Jego twarz, która zawsze wydawała się taka zdecydowana, wręcz twarda, zrobiła się blada i bezbronna za ciemnobrązowymi rogowymi oprawkami, które zdawały się przygniatać go do ziemi. Wyglądał tak, jakby miał ochotę zmienić nazwisko, i jeśli w jego spojrzeniu skrytym za szklami okularów tkwiło jakieś przesłanie, to brzmiało: „Proszę, udawaj, że mnie nie widzisz”.

Okulary oznaczały nie tylko jego koniec jako przywódcy Bandy Alberta. Oznaczały, że jest skończony w ogóle. Zamierzał pewnego dnia zostać marynarzem. Taki był sens całego jego życia, no bo co innego mógłby robić? Ale marynarz nie może nosić okularów. To po prostu zabronione. Marynarz musi mieć sokoli wzrok. Owszem, może być dalekowidzem, kiedy się zestarzeje, lecz gdy jest krótkowidzem w młodym wieku, oznacza to absolutny koniec. Szkoda czasu nawet próbować.

I rzeczywiście był to koniec. Nie tylko koniec planów Antona, bo to, że zostanie marynarzem, nie mieściło się właściwie w sferze planów, ponieważ do tego przeznaczyła go natura i wykonywanie zawodu marynarza miało stanowić nieuniknioną kulminację jego rozwoju. Z każdym upływającym rokiem stawał się coraz wyższy, potężniejszy, silniejszy i starszy, a pewnego dnia w rezultacie tych zmian, których nie była w stanie powstrzymać żadna siła na ziemi, miał wejść na pokład statku i pozostać na nim do końca swoich dni. Okulary oznaczały pożegnanie z Schipperstraat w Antwerpii, Paradise Street w Liverpoolu, Tiger Bay w Cardiff, Vieux Carré w Nowym Orleanie, Barbary Street w San Francisco i Foretop Street w Valparaiso, pożegnanie z amerykanem, absyntem i pernodem. Trochę tak, jakby ktoś po kolei deptał wszystkie instynkty Antona, aż wreszcie zmiażdżył je całkowicie.

Doktor Kroman równie dobrze mógł mu powiedzieć, że nigdy nie dorośnie i nie stanie się mężczyzną. Anton w okularach nie był już Antonem.

Zrozumieliśmy, dlaczego stale mrużył oczy i dlaczego nie mógł wcelować w bociana. To nie była wina pukawki. To z Antonem było coś nie tak. Nie był tym, za kogo go mieliśmy.

Najdziwniejsze, że bardziej współczuliśmy Antonowi niż Kristianowi Stærkowi. Może dlatego, że Antona podziwialiśmy, nikt natomiast nie lubił Kristiana z jego dygocącymi uszami, zbyt skorego do bicia, gdy chodziło o mniejszych od niego.

Życie Kristiana nie zmieniło się z powodu utraty jednego oka. Dalej był uczniem w sklepie z artykułami żelaznymi. Za to w życiu Antona zmieniło się wszystko.

•

S Nauczyciele w szkole początkowo nabrali się na jego okulary, uważając, że w Antonie rozbudziły się zainteresowania lekturą, a może wręcz zmienił się w mola książkowego. Wkrótce jednak się przekonali, że dalej jest równie niepoprawny jak zawsze. Cała różnica polegała na tym, że teraz przed wymierzeniem policzka kazali mu zdejmować okulary.

Dla nas szkła okularów były jak dwoje zamkniętych drzwi. Anton skrywał się za nimi, odgradzając się od nas. Przywództwo w Bandzie Alberta przekazał Kristianowi Stærkowi, ale już wkrótce okazało się, że Kristian nie ma zbyt dużej radości ze swej nowo zdobytej władzy. Górował nad nami jedynie siłą, lecz ona wynikała wyłącznie z różnicy wieku. Oprócz tego nie umiał nic, czego my byśmy nie umieli tak samo dobrze, a już z całą pewnością nie umiał nic, czego Anton nie potrafiłby o wiele lepiej. Nie miał żadnych dobrych pomysłów na umocnienie naszej pozycji wśród miejskich band, a ataków Bandy Południowej, która wyczuwała naszą słabość po stracie Antona, nie potrafił porządnie odeprzeć, tak by na powrót nabrali dla nas szacunku. Kristian Stærk był bezradny i bez polotu. Rządził nami, szczypiąc i robiąc francuskie mankiety, by zamaskować strach, który i tak widzieliśmy, bo drżące uszy zawsze Kristiana zdradzały.

Nie pomogła mu klapka na oku i groźny wygląd. A tym bardziej to, że Anton odmówił wydania mu butów Alberta i głowy zamordowanego człowieka. Bez tych rekwizytów Kristian nie mógł odprawić rytuału wtajemniczenia do Bandy Alberta, a na to, by wymyślić nowy, brakło mu wyobraźni.

•

Gdy Kristian musiał zrezygnować z butów i z czaszki, uświadomiliśmy sobie wszyscy, że Banda Alberta straciła duszę. Jej duszą zawsze był Anton, a Kristian Stærk nigdy nie stał się niczym więcej niż prawą ręką Antona. Teraz był ręką bez głowy i tym samym nastąpił koniec.

Banda się rozpadła, powstały nowe. Ale to już nie było to samo. Nie jest kłamstwem, gdy mówimy, że odkąd Anton zaczął nosić okulary, Marstal stało się spokojniejszym miastem. Siedział sam w szczytowym pokoju na Møllevejen. Kiedy w szkole uczyliśmy się o generale Napoleonie zesłanym na Świętą Helenę, zawsze myśleliśmy o Antonie. Stwierdziliśmy jednak, że los Antona jest smutniejszy od losu Napoleona, ponieważ Napoleon sam był winien swojej klęski. Przegrał ostatnią decydującą bitwę, natomiast Anton niczego nie przegrał. Po prostu stał się krótkowidzem.

•

Kristian całkiem się odsunął od bandy i nie miał już takiej potrzeby bicia chłopców mniejszych od siebie, by coś sobie udowodnić. Pilnował teraz swojego terminu u Samuelsena. Uważał się za dorosłego. Ten pogląd podzielał kupiec, który stwierdził, że pierwszym efektem wejścia Kristiana w dorosłość, był fakt, że nagle przestały znikać zapasy rotangu, które Kristian uważał za swój magazyn broni.

Kristian właściwie czuł, że jego rachunki z Antonem zostały wyrównane w sposób satysfakcjonujący. Anton go przeprosił, a Kristian odparł, że w zasadzie współczuje temu niedowidzącemu nieszczęśliwemu, zmuszonemu do noszenia paskudnych okularów. Gdy jednak Anton odmówił wydania czaszki, Kristian odkrył, że mimo wszystko pozostało mnóstwo powodów do urazy. Przede wszystkim oczywiście sprawa oka. Poza tym Anton zawsze go oszukiwał i starał się go pozbyć. To przez niego Kristian stracił władzę nad Bandą Alberta, pozycję, której pragnął za każdym razem, gdy stawał z kijem w dłoni. Jego dorosłość nie sięgała głębiej. Do wyrównania rachunków z Antonem istniał klucz. Nosił miano zemsty, a złośliwy Kristian, bo taki w istocie był, wybrał najbardziej wyrafinowaną i okrutną zemstę, jaką można sobie wyobrazić.

Anton zdradził mu nazwisko zamordowanego człowieka, a sprawa przedstawiała się tak, że ten, kto wiedział, kim jest ofiara, wiedział także, kto zabił. Kristian postanowił wyjawić mordercy, że Anton jest w stanie udowodnić jego winę.

Gdy pewnego dnia do sklepu żelaznego przyszedł Herman kupić calówkę i przez chwilę zostali sami, Kristian mu o tym powiedział, choć być może nie zrobił tego w najbardziej przemyślany sposób, co poniekąd można tłumaczyć lękiem, bo uszy drgały mu o wiele mocniej niż kiedykolwiek.

– Anton Hansen Hay dobrze wie, że to ty zabiłeś Jepsena. Ma jego czaszkę jako dowód. A w tej czaszce jest wielka dziura.

Gdyby Herman był głupszy, natychmiast złapałby Kristiana Stærka za kołnierz i dobrze nim potrząsnął, próbując z niego wyciągnąć, gdzie Anton schował czaszkę. On jednak mądrze odegrał rolę niewinnego i wymierzył Kristianowi policzek tak mocny, że chłopak aż się zatoczył pod szuflady z narzędziami.

– O co ty mnie, u diabła, oskarżasz, łobuzie? – zawołał wściekły.

Z zaplecza wybiegł Samuelsen.

– Co się tu wyprawia?

W jego głosie słyhać było przerażenie. Jak wszyscy bał się Hermana.

– Próbuję tylko wychować twojego ucznia – odparł Herman spokojnie.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł ze sklepu, nie kupiwszy calówki. Kristian rozcierał obolały, czerwony policzek, próbując ukryć uśmiech. Jego uszy już nie drżały.

Zauważył, jak Hermanowi trzęsą się ręce, i wiedział, że udało mu się coś rozpocząć.



Anton usiłował nam wmawiać, że zamordowany co noc staje wśród rzędów kartofli i krzykiem domaga się zwrotu swojej głowy, ale nigdy mu nie uwierzyliśmy. Tej nocy jednak jego kłamstwo stało się ciałem. W mroku warzywnika pojawiła się czarna zgarbiona postać i głosem pośrednim między szeptem a ochryplym wołaniem zaczęła domagać się oddania głowy, lecz nie swojej, tylko swej ofiary.

Anton, pogrążony w głębokim śnie, w pierwszej chwili sądził, że znajduje się w szkole albo przed ojcem, bo w obu tych sytuacjach, kiedy czekało go lanie, używano jego pełnego imienia i nazwiska, a mężczyzna na zagonie kartofli wymienił właśnie wszystkie trzy elementy, by przyciągnąć jego uwagę.

– Anton Hansen Hay! – rozległo się pod oknem.

Minęło trochę czasu, zanim Anton się obudził, a jeszcze więcej, zanim uświadomił sobie, skąd dochodzi głos. Wyjrzał przez okno, ale nie mógł zobaczyć, kto stoi w warzywniku. Od dawna już nie myślał o głowie zamordowanego człowieka i początkowo nie mógł zrozumieć, o czym tamten mówi. Nigdy nie wierzył we własną historię o duchu prześladowającym go nocą, i dlatego nie przestraszył się od razu. Poza tym widział, że postaci w ogrodzie wcale nie brakuje głowy.

W końcu jednak całkiem oprzytomniał i chociaż mężczyzna pod oknem nie powiedział, kim jest, Anton prędko się tego domyślił. Wtedy się zląkł, bardziej niż wystraszyłby się ducha, bardziej, niż bał się kiedykolwiek w życiu, choć co prawda nie oznaczało to, że bardzo. Skoro Herman potrafił zabić ojczyrna, to równie dobrze mógł zabić jego, nie stanowiłoby to absolutnie żadnego problemu.

Doszedłszy tak daleko w swoich rozważaniach, Anton zatrzasnął okno i zbiegł na dół, sprawdzić, czy wszystkie drzwi są zamknięte. Nie były, ale na szczęście tkwiły w nich klucze, więc gorączkowo zaczął zamykać jedne drzwi po drugich. Potem biegiem wrócił do swojego pokoju i schował się pod łóżkiem.

Po jakimś czasie pod oknem zrobiło się cicho. Anton był zbyt udręczony, by wrócić do łóżka. Zanim zapadł w sen na podłodze, zdążył jeszcze pomyśleć, że dobrze, iż nikt go nie widział.

•

Ojca Antona nie było w domu. Pływał już od dziewięciu miesięcy i do jego powrotu miał minąć jeszcze co najmniej rok. Nic nie wiedział o okularach syna, więc Anton był pewien, że w dniu, w którym wróci do domu i ujrzy zmianę, jaka zaszła na jego twarzy, wśród słów powitania niewątpliwie padnie „okularnik”. Zwierzać się ojcu nie chciał, tak samo jak nie mógł marzyć o zwierzeniu się matce czy innemu dorosłemu. Anton żył w przekonaniu, że chłopiec powinien sam rozwiązywać własne problemy i nie oczekiwać pomocy od innych, a już na pewno nie od dorosłych – naturalnych wrogów dzieci. Gdyby dorosłym przyszło wybierać między uwierzeniem dziecku i jednemu z nich samych, nigdy nie wybraliby dziecka, a tym bardziej Postrachu Marstał, który wybił oko Kristianowi Stærkowi i przez długi czas przechowywał czaszkę zamordowanego człowieka ukrytą w swoim pokoju, chociaż wiedział, kim jest ofiara, i mógł się przyczynić do ujawnienia zbrodni. To ostatnie zresztą zawsze było Antonowi obojętne. Dla niego Herman mógł chodzić wolno tak długo, jak ziemia będzie go nosić. Teraz nagle zrozumiał swoją lekkomyślność. Nie widział żadnego wyjścia z opresji, w którą zabrnął.

•

Następnego dnia znalazł Tordenskjolda martwego w klatce. Mewie ukręcono łeb. Miała połamane skrzydła, niemal oderwane od korpusu, jakby obdarzony niezwykłą siłą człowiek, ogarnięty furją, całkowicie stracił kontrolę nad sobą. Antonowi na ten widok zaczęły się trząść ręce i upłynęło sporo czasu, nim wreszcie zdołał się przemóc na tyle, by pogrzebać martwą mewę.

Wieczorem obszedł dom i posprawdzał wszystkie drzwi.

– Zamykasz drzwi na klucz? – zdumiała się matka. – Dziwny się ostatnio zrobiłeś.

Zauważyła, że w Antonie nastąpiła jakaś zmiana, lecz nie wiedziała, czy ma się z niej cieszyć. Nie pytała go, czy dzieje się coś złego. Wszystko w życiu Antona było dla niej tak obce, tak tajemnicze i nieznane, że czasami przyłapywała się na zadawaniu sobie pytania, czy to naprawdę ona urodziła dziecko nazywane Postrachem Marstał. Pytanie go, czy coś się dzieje, byłoby równoznaczne z pytaniem, kim tak naprawdę jest, a z gorzkiego doświadczenia wiedziała, że jedyną odpowiedzią, na jaką może liczyć, będzie wzruszenie ramion.

– Mamy nocnik? – spytał Anton.

– Chory jesteś?

– Tak – odparł.

– Nie wymyślasz niczego, żeby nie iść jutro do szkoły?

– Na pewno pójdę. Daj mi nocnik.

Zdumiona matka przyniosła mu naczynie.

Anton u siebie w pokoju wypróżnił się ze wszystkiego, co w sobie miał, a nie było tego mało, bo wstrzymywał się cały dzień. Kiedy Herman wrócił nocą i znów zaczął wołać go pod oknem, wylał mu na głowę całą zawartość nocnika.

Podziślało. Herman więcej nie przyszedł, ale zwycięstwo wcale nie poprawiło humoru Antona. Zaczął chodzić z nożem i przestał jeść. W nocy sypiał w butach Alberta. Nie wiedział dlaczego, ale w nich czuł się bezpieczniej. Może szykował się na śmierć? Za rogowymi oprawkami jego rysi nabrały ostrości i tak jak początkowo okulary nadawały mu wyglądu chłopczyka, tak teraz przypominał starca. Pod oczami pojawiły mu się czarne cienie. Kiedyś głowę pokrywały mu krwawe podbiegnięcia, skaleczenia i guzy, a od czasu do czasu miewał przykuwające uwagę podbite oko, najpierw sine, potem blednące w purpurze, a w końcu otoczone zamierającą żółcią. U chłopca były to oznaki zdrowia. W przeciwieństwie do czarnych cieni. Te raczej kojarzyły się z oznaczeniem przez śmierć, przywodzącym na myśl znaki kredą, zrobione przez leśniczego na drzewach do wycinki.

Matka coraz bardziej się o niego martwiła; tym razem nie mogła zagrozić mu karą, którą wymierzy ojciec po powrocie do domu.

– Zostaw mnie w spokoju – mówił za każdym razem, gdy próbowała do niego dotrzeć.

Stale bawił się nożem. Planował, że zabije Hermana, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Był szybszy niż Herman i zawsze mógł przed nim uciec, ale co z tego? Nie odbierze życia człowiekowi, przed którym ucieka.

Coraz rzadziej wychodził, a w drodze ze szkoły i do domu zawsze oglądał się przez ramię. Wcześniej trzymał się z innymi. Teraz był sam.

•

Po kilku dniach znów usłyszał wołanie z warzywnika. Doszło już do tego, że zamykał na klucz wszystkie drzwi w domu, również w ciągu dnia. Gdy usłyszał swoje imię w porze, kiedy popołudniowe słońce rzucało ukośne promienie przez okno w szczytowej ścianie, ucieszył się ze swojej zapobiegliwości. Potem się zorientował, że głos woła go po imieniu. Nie był to jednak zachrypnięty szept, usiłujący ukryć swoją przerażającą siłę, a zarazem ją zdradzać. To był chłopięcy głos, więc Anton postanowił podejść do okna i wyjrzeć. Na dole stał Knud Erik.

– To ty? – spytał Anton bez sensu.

Knud Erik powiedział coś, co pragnął wyznać już od dawna. Bez względu na to, ile razy badał dźwięk tych słów, za każdym razem brzmiały równie nie na miejscu i beznadziejnie, wręcz rozpaczliwie głupio. Musiał to jednak powiedzieć. W tych słowach zawierała się cała jego potrzeba niesienia pomocy i pociechy, z którą nie miał się gdzie zwrócić, bo i matka, i on sam się zmienili, a młodsza siostra, Edith, nie mogła być dla niego wszystkim.

– Stęskniłem się za tobą.

Z góry wiedział, jak idiotycznie to zabrzmiał. On był tym małym, a Anton tym dużym, więc oczywiście mały tęsknił za dużym. Ale co to obchodzi dużego? Dużym zawsze wystarczają oni sami. Mali nie są im do niczego potrzebni.

Dlatego tym bardziej wstrząsnęła nim, ba, wręcz go przeraziła reakcja Antona.

Anton zaczął płakać.

Anton nie był taki jak wszyscy ludzie, i dlatego nie płakał jak inni. W jego płaczu rozbrzmiewała niechęć, jakby kuna ukryta pod koszulą rozszarpywała mu brzuch i Anton musiał dać wyraz jedynie straszliwemu bólowi fizycznemu. Kiedy płakał, jego twarz wyrażała przede wszystkim pragnienie mocnego szturchnięcia siebie samego, aby powstrzymać sprzeczny z naturą płacz, wyrrywający się wbrew jego woli. Obie ręce przyłożył do ust i piszczał przez palce. Wypłakiwał z siebie Hermana, wypłakiwał strach i samotność, i można by sądzić, że wypłakiwał również filozofię mówiącą, że człowiek żyje tylko dla siebie i niepotrzebni mu inni. Tak jednak nie było. Gdy wreszcie odzyskał mowę, jego głos brzmiał zupełnie przytomnie, chociaż oczy za szklami okularów miał przekrwione od płaczu.

– Czego u diabła chcesz? – spytał.

Knud Erik poczuł smak kłeski. W końcu zdobył się na wyznanie, które go wiele kosztowało. Właściwie zaryzykował całą swoją wciąż jeszcze krucho posadowioną męskość. „Stęskniłem się za tobą”. Czy to tak trudno zrozumieć? Co innego mógł powiedzieć? „Chciałbym ci pomóc, wesprzeć cię, podać ci rękę?” Takie słowa zapewne trochę by pomogły.

Ale Knud Erik się nie odezwał. Był pusty. Skończyły mu się nie tylko słowa, ale i odwaga. Nie wiedział, co dalej mówić, i to milczenie go ocaliło. Ponieważ Knud Erik milczał, Anton mógł wreszcie się uspokoić i zaprosić go do swego pokoju.

Tu wyjawiał całą prawdę. Knud Erik był za młody, by pamiętać zniknięcie Jepsena na szlaku między Marstal a Rudkøbing, Anton musiał więc wszystko mu wyjaśnić. Historia sama w sobie była dość przerażająca, lecz jeszcze bardziej przeraził Knuda Erika sposób, w jaki Anton ją opowiedział. W każdej pauzie między słowami czał się szloch, który Anton z wielkim trudem powstrzymywał. Kuna wgrzyzała się coraz głębiej w jego trzewia i mało brakowało, by Anton znów zaczął płakać.

– On zabił Tordenskjolda – powiedział.

To zrobiło wrażenie na Knudzie Eriku. Holgera Jepsena nie znał, znał natomiast Tordenskjolda. Często uczestniczył w karmieniu mewy rybami i wróblami, zbyt nieświeżymi, by sprzedać je kolejny raz wieśniakowi z Midtmarken. Groza ogarnęła również Knuda Erika.

– On z całą pewnością zabije i mnie. – Anton zamknął oczy, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się morderczego ciosu.

– Dlaczego po prostu nie oddasz mu głowy?

– Nie mogę.

Znów dał o sobie znać jego dawny upór. Po chwili jednak wróciło zniechęcenie.

– To beznadziejne. On mnie i tak zabije.

– Bzdura! – oświadczył Knud Erik w przyływie dzielności, o jaką sam się nie posądzał. – Ale to z całą pewnością Kristian zdradził Hermanowi tajemnicę czaszki. Przecież oprócz ciebie on jeden wiedział, kto jest mordercą.

Antona ogarnął gniew.

– Zabiję Kristiana! – syknął. – Hermana nie dopadnę, ale mogę dopaść Stærka!

– Już mu wybiłeś oko. Nie sądzisz, że to wystarczy?

Knud Erik był coraz bardziej zdumiony sobą. Nigdy nie przypuszczał, że będzie w taki sposób mówił do Antona. Ale Anton był inny niż kiedyś, więc i Knud Erik się zmienił.

– Mam pewien pomysł – oznajmił.



Kiedy Herman parę dni później wychodził z kawiarni „U Webera”, z chodnika naprzeciwko gapiło się na niego dwóch chłopców. Ruszył w stronę Kirkestræde, a oni szli za nim drugą stroną ulicy. Początkowo uznał to za przypadek, lecz gdy na rogu skręcił, kierując się na południe, wciąż mu towarzyszyli. Żadnego nie znał. Zatrzymał się i odwrócił. Chodziło mu o to, by wiedzieli, że ich zauważył. Oni też przystanęli, jak się tego spodziewał, ale dalej się na niego gapili. Tupnął nogą o bruk. Drgnęli z przerażeniem i cofnęli się o krok, ale gapić się nie przestali. Kiedy dotarł do końca Kirkestræde, zniknęli. Ale na Snaregade stali dwaj kolejni i gdy skierował się ku morzu, ruszyli za nim, cały czas tajemniczo i uparcie się w niego wpatrując.

– Wyglądam może inaczej niż inni? – wrzasnął do nich. – Na co się tak gapicie?

Nie odpowiedzieli. Widział, że zeszytywnieli, na pewno ze strachu. Ale nie odeszli. Nie zaczepiali go też okrzykami. Właśnie to najbardziej go zdziwiło. Nic by nie dało, gdyby za nimi pobiegł. Był wielki i ciężki, oni mieli szybsze nogi. Musiał się opanować i udawać, że ich nie ma.

Przywykł do tego, że w Marstal się na niego gapiono. Był człowiekiem, na którym koncentrowała się uwaga miasta. Nie chciał, by tak było, lecz potrafił to wykorzystać, skoro już do tego doszło. Miał władzę, może nie nad umysłami, lecz przynajmniej nad wymysłami, nad fantazją. Był z tej samej materii, z której utkane są plotki i strach, a w jego wypadku te dwa elementy się mieszały. Ludzie cieszyli się, gdy mu się nie powiodło, jak wtedy, gdy Henckel trafił do więzienia, Stocznia Statków Stalowych zbankrutowała, a on stracił wszystko. Ale radowali się tylko dlatego, że się go bali. Uznali wówczas, że jest skończony, ale on nigdy nie był skończony. Zawsze wracał. Przyciągał ich spojrzenia i wiedział, co kryją: nienawiść, lęk, radość z cudzego nieszczęścia, zazdrość, zainteresowanie, i tym się karmił.

Gapienia się chłopców nie rozumiał. Wyczekiwali na niego pod pensjonatem na Tværgade, gdzie mieszkał, kiedy przebywał w Marstal. Mógł wejść do sklepu i z niego wyjść, mógł iść na spacer do portu, mógł się ukryć w kawiarni „U Webera”, a oni i tak na niego czekali, coraz częściej więc szukał schronienia i nagle potrzebnych kryjówek. Otworzyły się w nim drzwi do czegoś nieznanego. Kiedyś na pokładzie „*Dwóch siostr*” coś zrobił. Czasami czerpał siłę z tamtego wspomnienia, czasami go unikał. Teraz czuł lęk na myśl o ujawnieniu prawdy i karze, która mogła go spotkać. Instynktownie rozumiał, że w tych zagadkowych chłopięcych spojrzeniach tkwi siła, jakiej nie jest w stanie pokonać. Sądził, że uda mu się wystraszyć przekłętego Antona, ale sprzymierzeńcami łobuza byli wszyscy chłopcy w mieście, setki chłopców, cały czas pojawiały się nowe twarze, nieobliczalny sąd ludowy, którego zarzuty dobrze znał, lecz nie miał pojęcia ani o obowiązującym prawie, ani o rodzaju wyroku. Uporczywe spojrzenia towarzyszyły mu wszędzie, w końcu wdarły się nawet w mrok otaczający łóżko i dalej w sny niczym szaleństwo, grożąc, że odbiorą mu rozum. Wszystkich zabić, do diabła, nie mógł, chociaż pięści jak za dawnych dni zaczęły mu się same otwierać i zaciskać, jakby coś w nim już się szykowało. Zaczął pić więcej niż zwykle i częściej wdawał się w bójki w kawiarni „U Webera”. Pięści miały więc przynajmniej jakieś zajęcie.

Genever już mu nie smakował, balfam ryski stracił swoją leczniczą moc, z której od stu lat słynął wśród marstalskich szyprów, whisky, lek nad lekami, nie działała inaczej niż woda. Zaczęły mu się trząść ręce, gdy podnosił szklanekę do ust. Unikał towarzystwa i pił sam.

•

Pewnego dnia się poddał i z marynarskim workiem przerzuconym przez ramię sztywnym krokiem pospieszył na prom z zamiarem udania się do Kopenhagi i tam szukania szczęścia w Agencji Werbunkowej Jepsena. Wiedzieli również o jego planach wyjazdu, jakby zaczęli mu czytać w myślach. Nie poświęcił czasu na liczenie, ale przy nabrzeżu promowym stało co najmniej dwudziestu, trzydziestu chłopców, niczym komitet pożegnalny.

W podobnie nieprzeniknionym milczeniu odprowadzali go wzrokiem na pokład promu. Nie poszedł od razu do salonu, jak to miał w zwyczaju, żeby pałac papierosa, przyglądać się miastu, którego nienawidził, a do którego był mimo wszystko w dziwny sposób przywiązany. Skrył się w ciemnościach zamkniętego pokładu dla pojazdów, wśród furmanek i ciężarówek, wśród zapachu oleju silnikowego i gnoju, dopóki nie nabrał pewności, że przestał już być widoczny z lądu.

Musiał powstrzymać drżenie dłoni, gdy wreszcie przeszedł do salonu i zapalił pierwszego podczas przeprawy papierosa.

•

Pomysł wpadł Knudowi Erikowi do głowy w bardzo prosty sposób. Zadał sobie pytanie, co jest dla niego najbardziej nieprzyjemne na świecie, i założył, że to samo musi dotyczyć Hermana. Fizyczny atak nie wchodził w grę, mężczyzna był poza ich zasięgiem, a poza tym Knud Erik wcale nie miał pewności, czy Herman przypadkiem nie liczy na bijatykę, nawet gdyby przede wszystkim to jemu dostały się cięgi. Knud Erik miał jednak inne doświadczenie, które odcisnęło piętno na jego duszy: pamięć spojrzenia, którym matka śledziła go zaraz po śmierci ojca. Nie mógł go nazwać pełnym wyrzutem, było po prostu milcząco czujne i towarzyszyło mu wszędzie, zadając pytanie, na które nie umiał odpowiedzieć.

Czego ona chciała?

Kulił się pod ciężarem tego spojrzenia, które zdawało się stawiać znak zapytania przy wszystkim, co robił, nie proponując mu nic innego w zamian. To właśnie było najgorsze: ktoś patrzeniem zmuszał do nieustannego doszukiwania się przyczyny takiego zachowania. Towarzyszyła temu świadomość, że żadna odpowiedź nie ma sensu.

Knud Erik wyobraził sobie, że przewali ów ciężar na Hermana, a niepojęte oskarżenie bijące z cudzych oczu sprawi, iż nawet zatwardziały, pozbawiony skrupułów morderca, który popełnił zbrodnię jeszcze jako chłopiec, w końcu się załamie.

Herman nigdy by się nie domyślił, co go pokonało. To było w tym wszystkim najciekawsze, bo Knud Erik oczywiście nigdy nie wyjawiał chłopcom, których namówił do prześladowania Hermana, jaka jest prawdziwa przyczyna akcji odwetowej. Wtajemniczenie ich w całą prawdę o zabójstwie Holgera Jepsena byłoby zbyt ryzykowne. Mogliby się dopytywać, kto to jest Jepsen, i odpowiedzi szukać u dorosłych, a wtedy rozpętałyby się awantura. Nie, Knud Erik zrobił coś innego. Zaprowadził ich do ogrodu przy domu Antona i na ich oczach wykopał Tordenskjolda. Pokazał im ukreconą szyję, martwe oczy, rozwarły dziób, pióra, które utraciły swój blask, połamane skrzydła. W ciele roilo się od robaków.

– Spójrzcie! – powiedział. – To zrobił Herman.

Zapracnęli, by zabójca mewy, zmieniony w krwawy tłumok, legł u ich stóp. Chcieli zemleć jego kości na mączkę, zedrzeć mu skórę i powiesić ją na drzewie, a wnętrzności ciągać po ulicach. Knud Erik zaproponował coś lepszego. Mieli zobaczyć, jak przestaje być mężczyzną. Mieli zobaczyć, jak ręce mu się trzęsą ze strachu.

Oczy, które śledziły wszędzie groźnego zabójcę, naśladowały poważne spojrzenie matki.

Nie, nie, Herman nigdy by nie odgadł, co go wypędziło z miasta. Nie oskarżaliśmy go wcale o zabicie człowieka.

Oskarżaliśmy go o zabicie mewy.



Okulary w rogowych oprawkach wciąż tkwiły na twarzy Antona, pozbawiając go wszelkiej przyszłości. „*Cudzoziemiec*” jeszcze nie wrócił do domu, miał przybyć dopiero latem, a wcześniej Antona czekała konfirmacja. Nie naradzając się z matką, poszedł do swojej wychowawczyni, panny Katballe, i oznajmił jej, że po siedmiu latach nauki opuszcza szkołę. Odpowiedziała, że to najprzyjemniejszy dzień w jej życiu. W przyływie nieoczekiwanej uprzejmości Anton uklonił się jej i powiedział: „Dziękuję, nawzajem”.

Przystąpił do konfirmacji, publicznie wyrzekł się diabła i wszystkich spraw jego. Nie wiedział, czy piekło to smażenie na ogniu, czy kłamanie zmił. Wiedział jedynie, że już się w nim znalazł, bo piekło to życie z dala od morza i wszystkiego, do czego morze umożliwiało dostęp. Nigdy nie miał się dowiedzieć, czy francuskie dziewczyny są weselsze od innych i czy Portugalki naprawdę cuchną czosnkiem, ani co to w ogóle jest czosnek. Stał pod ołtarzem autorstwa malarza marynisty, na którym Jezus ocalał swoich uczniów przed szalejącą burzą. On sam nie pragnął wybawienia od morza, tylko dostępu do niego.

Gdy pastor Abildgaard położył mu dłoń na głowie, Anton zacisnął oczy za okularami. Był w piekle, a jednak wcale nie pragnął dostać się do nieba. Czuł się bezdomny.



Regnar po powrocie do domu zdziwił się na widok syna.

– Co, u diabła? – obruszył się. – Jeszcze nie uciekłeś na morze? Kupiłem ci marynarski worek.

Anton nic nie odpowiedział. Czekał na drwiny.

– Chodzi ci o okulary? – spytał ojciec. – Nie odziedziczyłeś tego po kimś tam. Sam mam tak cholernie słaby wzrok, że nie widzę dalej niż moje własne brzuszysko. Tyle że nikt tego do tej pory nie zauważył.

Roześmiał się głośno.

– Nie można zostać marynarzem, kiedy się nosi okulary – powiedział Anton takim tonem, jakby tłumaczył coś dziecku.

– Rzeczywiście – odparł ojciec z powagą. – Jeśli chcesz zmarnować życie na jakimś nędznym szkunerze, to nie możesz nosić okularów. Ale ty będziesz prawdziwym marynarzem. Pójdiesz na parowiec jako pierwszy mechanik. Tam nikt cię nie będzie pytał o okulary.

•

Anton zaczął terminować u Hansa Baldriana Ulriksena, kowala w Ommel. Nauczył się odróżniać żłobnik od gładzika, a pobijak i przecinak od punktaka. Wiedział, kiedy koń potrzebuje zwykłej podkowy, a kiedy grubej, czyli targowej. Jego atrybutami, tak jak wcześniej czaszka zabitego człowieka i buty Alberta, stały się kopystka, rożek kowalski, pilnik i tarnik. Nazywano go Przyjacielem Koni. Sam zrobił sobie rower, którym co wieczór mógł pokonywać trzy kilometry do Marstal, by uczyć się w szkole technicznej. Znalazł sobie dziewczynę, rudowłosą tak jak on. Miała na imię Marie i co tydzień sama podcinała sobie włosy, bo nie chciała, żeby urosły za długie. Zobaczył, jak rozkwaśła nos pewnemu chłopakowi za to, że nazwał ją rudzielcem, wtedy wspaniałomyślnie podszedł do niej i wyjaśnił, iż uderzając, w niewłaściwy sposób trzymała zaciśniętą pięść: kciuka nie wolno chować w dłoni, powinien znajdować się na wierzchu.

Marie była delikatną dziewczyną. Kiedy drażniąc brudasa Jensa Gwiazdę, który mieszkał przy rynku, jak wszyscy inni rzucała w jego drzwi cegłami, owijała je w liść rabarbaru, żeby nie porysować drewna.

Anton dokonał odkrycia. Kiedy kończył podkuwać konia, czuł ten sam dziwny szum w głowie, który wcześniej pojawiał się jedynie wtedy, gdy jako przywódca Bandy Alberta opuszczał pole bitwy, jak zawsze obity i poraniony, z zakrwawioną głową, trafiony oszczepem, strzałą albo kijem. Miał wtedy takie wrażenie, jakby w niezbadanych mrokach umysłu wypełniał się wiatrem wielki żagiel i z łopotem naprężał.

Gdy dostał okulary, uznał, że już nigdy nie przeżyje triumfu z powodu świadomości władzy nad innymi. Teraz tamtą władzę nad ludźmi zastąpiła władza nad przedmiotami. Gdy widział efekt pracy własnych rąk, odczuwał innego rodzaju triumf. Czuł się tym, który podtrzymuje świat.

Precyzja jest duszą mechaniki, a ten, kto opanuje mechanikę, włada też wieloma innymi rzeczami, tak powiedział kowal, który był odczytanym człowiekiem i lubił czasem pofilozofować.

Anton odnalazł swój kurs i według niego sterował.

•

Pewnego dnia przyszła kolej na Knuda Erika i Vilhjelma, by stanąć w kościele i przystąpić do confirmacji. Z otwartymi ustami gapili się na sklepienie i modele statków z pomalowanymi na czarno kadłubami. To ich przyszłość tam wisiała. Śpiewali, jak pokolenia przed nimi, stary psalm marynarzy, którego pastor Abildgaard lojalnie ich nauczył, o kruchości drewnianego pokładu statku, boskiej mocy i groźących im niebezpieczeństwach.

W wzburzonym morzu znajdziemy grób,
jeśli opuścisz nas, Panie.

W naporze wichru uderzą fale,
nic po nas nie zostanie.

Ty wśród burz unieś dłoń
i przed sztormem nas chroń,
słysz z oddali wołanie.

Knud Erik zerknął na Vilhjelma. Spodziewał się, że ten nawet nie otworzy ust, bo tak było podczas przygotowań do konfirmacji. Ale teraz śpiewał razem ze wszystkimi. Nie jąkał się. Dołączył do chóru, a psalm jakby pomógł mu pokonać przeszkody czające się w słowach. Vilhjelm chyba nic nie zauważył, ale Knud Erik usłyszał wszystko na własne uszy i zmienił swój pogląd na śpiewanie psalmów w kościele.

Żaden cud boski jednak się nie dokonał. W drodze do domu Vilhjelm jąkał się jak dawniej.

•

Nie wiedzieliśmy tego. Ale byliśmy ostatni. Nasze dzieci już nie śpiewały w kościele tego psalmu, nie stanęły też na pokładzie szkunera, rzucone na łaskę wiatru. Docierały do wszystkich zakątków świata, lecz już nie na żaglach.

Wszystko działo się po raz ostatni. Ostatni raz podniesiono żagle. Ostatni raz port zapełnił się statkami, a ponieważ był to ostatni raz, spełniła się przepowiednia Frederika Isaksena: dla nas zostały jedynie najgorsze rejsy, najbardziej niegościnne wybrzeża, najbardziej wzburzone morza.

Ale my byliśmy młodzi. My tego nie wiedzieliśmy. Dla nas wszystko działo się po raz pierwszy.

MARYNARZ

•

Sternik na pokładzie „*Chyżej*” nie tolerował słabości, a kiedy bił, nigdy nie robił tego na oślep. Uderzał tam, gdzie najbardziej bolało, zaciśniętymi pięściami. Ale Anker Pinnerup nie był silnym mężczyzną. Dobiegał pięćdziesiątki i zbliżał się do tego wieku, gdy marynarz schodzi na ląd. Był łotrem bez muskułów, naznaczonym reumatyzmem i pijaństwem.

Mówiono na niego Stary, używając przezwiska, które na statku zwykle bywa zarezerwowane dla kapitana w uznaniu dla jego umiejętności i doświadczenia. W wypadku Pinnerupa nie oznaczało ono życzliwości, a raczej wyraźne już zużycie. W samym środku jego siwej brody sterczał ostry wygolony podbródek niczym wzniesiona stewa statku, tonącego w morzu brudu i rozpadu. Gładki podbródek był jedynym dowodem na to, że Pinnerup w ogóle wiedział, co to higiena osobista. Pod tłustym od brudu kaszkietem do niemytej czaszki lepiło się parę kosmyków włosów nieokreślonego koloru. W ustach na wpół ukrytych w brodzie zawsze tkwiła fajka z morskiej pianki, złamana, ale sklecona za pomocą paru kawałeczków drewna, przywiązanych nićmi żaglowymi. Marynarze za plecami sternika poszeptowali, że tylko patrzeć, jak kurtka i spodnie z niego spadną, bo już i tak jest łąta na łacie.

Kiedy Knud Erik po raz pierwszy podał mu kawę, a później chciał włożyć filiżankę i spodeczek do miski ze zmywaniem, Pinnerup wydał z siebie ryk i uderzył go w szczękę. Filiżanka i spodek stanowiły jego osobistą własność, nikomu nie wolno było ich tknąć. Potem, jakby chcąc udowodnić troskę o swoje rzeczy, sternik napluł do filiżanki i zaczął ją wycierać do czysta brudnym kciukiem.

– Paskudny brudas – zaklął. – Obrzydliwa małpa, zasmarkany szczeniak, czarci pomiot!

Co drugi dzień rano, kiedy Pinnerup pełnił wachtę i miał budzić Knuda Erika, pojawiał się w kubryku z grubo splecionym batem. Przez chwilę stał, zbierając siły, a potem zaczynał chłostać śpiącego chłopca. Celował w głowę, ale wąska dolna koja uniemożliwiała mu trafianie i dostatecznie silne razy. Knud Erik budził się od pierwszego uderzenia i przetaczał pod ścianę. Potem zsuwał się w nogi koi, gdzie sternik nie mógł go dosięgnąć. Nie wydawał z siebie żadnego odgłosu. Coś mu mówiło, że gdyby uległ przerażeniu, poniósłby klęskę, po której niezmiernie trudno byłoby mu się podnieść.

Z czasem na parę minut przed nadejściem sternika zjawiał się jung. Był nim Olaf, którego Knud Erik znał z Bandy Alberta. Olaf szarpał go za ramię.

– Budzenie – szeptał.

Knud Erik układał wtedy poduszkę i kołdrę tak, by w półmroku dało się je pomylić z ciałem śpiącego. Sternik atakował je jak zwykle. Gdy raz odkrył oszustwo, jakby zapadł się w sobie. Opuściwszy rękę z batem, stanął bezradny, trzęsąc się jak w gorączce.

– Na ogień piekielny! – syknął. – Pewnego dnia wbiję w ciebie nagiel!

Po trapie wybiegł na pokład.



Kiedy sternik miał nocną wachtę, zawsze kazał budzić Knuda Erika, który musiał wtedy parzyć kawę albo w ulewnym deszczu wspinać się wysoko, żeby zrefować jakiś żagiel. Pod nim morze się gotowało. Nawet po ciemku daleko w dole widział pianę. Na policzkach zimne krople deszczu mieszały się ze łzami. Ale on nie płakał z bezsilności czy litości nad sobą. Płakał z wściekłości i buntu.

Na początku pierwszego rejsu płakał z głową wciśniętą w koję, płakał za zmarłym ojcem i odrzucającą go matką, za której chłód obwinał siebie. Płakał nad sobą i niejasnym poczuciem, że się nie nadaje, niepewny swojej decyzji zostania marynarzem, którą podjął sam, a która tak drogo go kosztowała. Nie mógł jej jednak zmienić. Byłaby to klęska, której rozmiarów nie umiał sobie nawet wyobrazić.

Sternik gnębił go, nie pozwalając mu spać. Zdarzały się doby, podczas których Knud Erik nie zmrudył oka. Bez końca go wzywano, nawet w nieprzeniknionych ciemnościach, i musiał wspinać się na maszty w samych majtkach. Z opowieści innych wiedział, że taki jest los najmłodszego na pokładzie. Zawieszane na wysokości dwudziestu pięciu metrów bramsle były miejscem pracy niedoświadczonych. Marynarze tam nie wchodziłi. To chłopca okrętowego wysyłano wysoko na grotmaszt, żeby związał najwyższe żagle, balansując na percie z jedną ręką na handrelingu, a drugą na żaglu, bez względu na to, czy się tego nauczył, czy cierpiał na zawroty głowy, czy miał dwie lewe ręce i był idiotą stanowiącym zagrożenie dla samego siebie. I tak musiał wspinać się na górę z nadzieją, że uda mu się zejść.

Zabawy na masztach statków stojących w porcie Marstal były czymś w rodzaju przedszkola, ale tu, do diabła, w dole kipiało morze i wiał wicher. Wszyscy jednak uważali zejście z topu masztu za prostą rzecz. Nikt nie zwracał uwagi, że na pokładzie znajduje się ktoś, kto właśnie w cudowny sposób ocalał.

Knud Erik wisiał wysoko nad wąskim pokładem, wystraszony jak nigdy w życiu, z tak skurczonymi mięśniami, iż sądził, że ręce puszczą same z siebie wyłącznie po to, by uwolnić się od tego napięcia. Bał się tak, że krzyczał, ale nikt go nie słyszał. Ten właśnie krzyk w pustą przestrzeń ocalił go i wrócił mu życie w członkach, przyniósł opanowanie i siłę w rękach, zatrzymał kołowanie w głowie i umożliwił zejście na dół.

Dla Knuda Erika twarde reguły na statku uosabiał sternik. A w sterniku odkrył morze. Pinnerup był jak ono, groźny i zachłanny. Jeśli nie okazałeś się dostatecznie twardy, szedłeś na dno. Knud Erik przestał przejmować się niesprawiedliwością. Przestał traktować razy i grubiańskie wyzwiska jako napaść. Pozwolił sobie za to na uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Nienawidził sternika. Nienawidził statku. Nienawidził morza. To nienawiść utrzymywała go na nogach, gdy nocą po ciemku balansował na pochylonym pokładzie z dzbankiem kawy i wrzątek nagle zalewał mu ręce. To nienawiść pozwalała mu wytrzymać ból powstałych pod wpływem słonej wody wrzodów na szyi i nadgarstkach, otartych przez stale mokry wełniany sweter, na co skóra odpowiadała, wytwarzając wielkie pęcherze wypełnione surowicą. To nienawiść pozwalała mu bez protestu znosić brutalność sternika, gdy łapał go za kark albo ścisnął nadgarstek właśnie tam, gdzie pęcherze bolały najbardziej i w każdej chwili groziły pęknięciem.

Nienawiść stanowiła najważniejszy element jego dorostania i nauki.

Cieężko było stawać się mężczyzną. Ale pragnął tego. Kazał sobie być upartym, głupim i twardym. Głowa i całe jego ciało zmieniły się w taran. Zrozumiał, że zdoła wejść w życie jedynie wtedy, gdy własnoręcznie wyważy prowadzące do niego drzwi.

•

Szyprem na „*Chyżej*” był Hans Boutrop, który mieszkał na Søndergade. Imponujący obwód w pasie tego okrągłego, jowialnego mężczyzny nie powstał za sprawą najpopularniejszej na marstałskich statkach książki kucharskiej, w której na pierwszej stronie wielkimi literami wydrukowano słowo „oszczędność”. To on właśnie nauczył Knuda Erika gotować zupę. Zupa według jego przepisu przypominała rosół, ale z tą istotną różnicą, że brakowało w niej mięsa. Jedyne źródło smaku stanowiły obfite ilości cukru i octu, dodawane do wrzącej wody wraz z niewielką ilością sucharków.

W niedzielę, jeśli akurat stali w porcie, jedli duszone mięso z ziemniakami. Do świątecznego dania był osobny garnek z drewnianą, poczerniałą ze starości pokrywką. Tak jak w wypadku wszystkich innych potraw mięsnych, obowiązywała ta sama zasada: czas gotowania nieodmiennie trzy godziny.

Z rzadka dostawali deser. Był to pudding, który tężał w filiżankach do kawy, a później trzęsące się kopyłki, idealnie pasujące do wnętrza dłoni, serwowało się na talerzyku. Mężczyźni nazywali je „piersiami zakonnicy”. Łykowate konserwy mięsne z Argentyny zostały ochrzczone „pakułami”, solone mięso „indiańskim zadkiem”, a o wędzonej kiełbasie nie mówiło się nigdy inaczej jak „droga do Roskilde”.

Knudowi Erikowi często dokuczwały mdłości wywołane zapachem jedzenia i zaduchem, musiał wtedy otwierać drzwi kambuza i wymiotować na zewnątrz. Podczas sztormu pokład i tak zalewały fale, nikt więc nie zauważał resztek jedzenia, które właśnie złożył w ofierze. Kiedy nie cierpiał na chorobę morską, jadł z apetytem przyrządzone przez siebie posiłki, zawsze zdumiony, że to on jest kucharzem.

Kubryk załogi przed masztem był tak małeńki, że stać w nim i ubierać się mogło jednocześnie tylko dwóch ludzi. Pod podłogą przechowywano węgiel do kambuzowego pieca, a za trapem stała skrzynka z ziemniakami, z której gdy jej zawartość zaczynała się psuć, wydobywał się przenikliwy odór fermentującego gówna. Również z komory łańcuchowej dochodził dziwny zapach zaszuszonego błota i przyczepionych do kotwicy gnijących wodorostów, których jedno szorowanie szczotką nie mogło usunąć.

Ale z kabelgatu, komory linowej, docierał przyjemny mocny zapach dziegciu.

Załoga załatwiała się do przepiłowanej beczki po piwie. Jej brzeg obramowywał szorstki żelazny pierścień, który kaleczył pośladki. Przy sztormowej pogodzie, gdy fale zalewały pokład, Knudowi Erikowi zdarzało się przewrócić razem z beczką, gdy szedł ją opróżnić. Gdy pogoda pozwalała, pełził na bukszpryt i załatwiał się wprost do rozcinanej dziobem wody. Przypominał sobie wtedy porcelanowy sedes ze spłuczką w domu na Prinsegade.

Słodka woda była przeznaczona tylko do picia, więc nie mył się nigdy. Pokład był czystszy niż on. Raz w tygodniu musiał razem z jungiem szorować go na kolanach „marstałską sodą”, czyli mokrym piaskiem, który trzeszczał, rozcierany cegłą.

•

Ojciec Vilhjelma w prezencie pożegnalnym podarował mu dwie skórzane łąty obwiązane sznurkiem.

– To na ręce – powiedział, jak zwykle lakonicznie.

Nic więcej nie wyjaśnił.

Dopiero gdy „*Chyżej*” przyszło zawieźć z Egersund do Kopenhagi ładunek cegieł, Knud Erik uświadomił sobie, co miał na myśli ojciec Vilhjelma, wręczając mu swój podarunek. Pokazał mu to Pinnerup. Przywiązał mu skórzane łąty do dłoni i na zachętę wymierzył policzek.

„Trochę troskliwości w nim jednak zostało”, pomyślał Knud Erik.

Cegły rzucano z kei na pokład. Potem podawane z rąk do rąk, docierały do sternika w ładowni, który posyłał je dalej do sztauerów. Przelatywały w powietrzu nie po jednej, tylko powiązane po cztery. Jedna taka paczka ważyła jakieś dziesięć, piętnaście kiło i prawie przewracała Knuda Erika, gdy lądowała w jego wyciągniętych rękach. Gdyby nie te łąty, cegły zdarłyby mu skórę z dłoni.

Troskliwość sternika miała jednak pobudki egoistyczne. Na co mu kucharz z bezużytecznymi dłońmi?

Knud Erik stanął, ciężko dysząc, potem zrobił parę chwiejnych kroków w stronę robotnika portowego, który był następny w szeregu.

– Posłuchaj, kolego – powiedział mu doker. – Nie możesz opóźnić łańcucha. Ręce ci zaraz wysiądą. Musisz przytrzymać cegły w locie, inaczej będą za ciężkie.

Pokazał Knudowi Erikowi, jak powinien obrócić ciało, by jednym i tym samym ruchem posłać cegły dalej. Knud Erik wytrzymał następny rzut, ale gdy rzucał paczkę dalej, miał wrażenie, że wyrwała mu ręce ze stawów. Ramiona ciążyły mu jak ołów, z trudem chwycił oddech, ale się nie poddawał. Przyzywał swój upór i siłę, z której posiadania nie zdawał sobie sprawy, a której źródłem nie były jego delikatne chłopięce mięśnie, lecz jakieś nieznane miejsce, gdzie gromadził ją przez wiele lat.

Doker zerkał na niego od czasu do czasu.

– Dobrze sobie radzisz – rzucił, ale słowom zachęty przeczyło współczucie w oczach. Był już starszym człowiekiem i mocno się pocił, ale miał rutynę. Wkrótce zapomniał o Knudzie Eriku, pracował przecież na akord.

Z ładowni przy każdej przerwie w załadunku dobiegał rozszłoszczony głos Pinnerupa: „To znów przez tego przekłętą chłopaka?”

•

W Kopenhadze załoga „*Chyżej*” musiała pomagać przy wyładunku. Cumowali w kanale Frederiksholm z wysokimi kejami z granitu i tym razem cegły musiały pokonać znacznie dłuższą drogę w górę. To była ciężka praca, od której sternik trzymał się z daleka. Siedział na zrębnicy i przyglądał się Knudowi Erikowi, który raz po raz wypadał z rytmu. Tu musiał nie tylko podawać ciężkie wiązki cegieł kolejnej osobie w łańcuchu, lecz dodatkowo podrzucać je do góry, za każdym razem mocno uginając kolana, żeby wziąć zamach jak należy.

– Leniwa świnia, mięczak, marynarz z bożej łaski! – wrzasnął Pinnerup, wyjmując z ust fajkę z morskiej pianki, żeby splunąć na pokład.

Knud Erik tak już przywykł do podobnego traktowania, że ledwie zwrócił na to uwagę.

Tymczasem jeden z dokerów odłożył cegły. Podeszedł do sternika.

– Takich rzeczy sobie nie życzymy – oświadczył, wskazując na Knuda Erika. – To za ciężkie dla tego chłopca. Zmień go teraz, żeby mógł chwilę odpocząć.

Pinnerup wyszczerzył zęby w uśmiechu i naciągnął kaszkiet na czoło.

– A co, może ty tu rządysz?

– Nie – odparł doker. – Ja tu tylko rozładowuję. Ale może wolałbyś to wszystko zrobić sam? – Odwrócił się do kolegów. – Jest tu ktoś, kto uważa, że jesteśmy niepotrzebni.

Podciągnęli się na rękach na keję i usiedli. Któryś wyjął papierosa, zapalił, potem podał dalej kolegom. Nie patrzyli w stronę Pinnerupa, tylko zaczęli o czymś rozmawiać. Beztrosko machali nogami.

Knud Erik stanął zmieszany. Działo się coś, czego nie rozumiał. Dokerzy nieoczekiwanie wzięli jego stronę. Nie należeli do statku, nie znali jego hierarchii ani skrywanych walk na śmierć i życie. Najwyraźniej przestrzegali własnych praw i mieli własną siłę.

– Czy ta przerwa wreszcie się skończy? – spytał sarkastycznie Pinnerup.

– Owszem, jak wyjmiesz łapy z kieszeni – odparł jeden z dokerów.

Pozostali zgodnie zarechotali.

Pinnerup skurczył się. Tu był nikim.

Knud Erik nagle to dostrzegł. Śmieszny, brudny mężczyzna w połatanym ubraniu, z połamaną fajką w ustach i wygolonym podbródkiem sterczącym z brody przypominającej owłosienie siwiejącego orangutana. Nauczył się opierać Pinnerupowi, lecz sternik i tak wypełniał cały jego świat niczym żywioł albo burza. Teraz zobaczył go z takiej perspektywy, jakby patrzył ze szczytu masztu: malusieńkiego człowieczka na pokładzie. Spojrzał na niego oczami dokerów.

Wspiął się na keję i usiadł przy tamtych. Tak jak oni zaczął machać nogami.

To było sygnałem dla Pinnerupa. Podniósł się i podszedł do Knuda Erika. Dokerzy czujnie się wyprostowali. Jeden pstryknięciem odrzucił niedopałek, który upadł u stóp Pinnerupa, potem doker zeskoczył na pokład i stanął przed sternikiem.

Pinnerupowi zastygła twarz.

– No to chodźcie, na co czekacie? – powiedział, podnosząc paczkę cegieł z pokładu.

Dokerzy wymienili spojrzenia, puszczając do siebie oko. Któryś poklepał Knuda Erika po ramieniu i poczęstował go papierosem. Potem ustawili się na swoich miejscach i łańcuch znów ruszył.

Knud Erik dalej siedział na brzegu kei. Zaciągał się, nie kaszłąc. To był pierwszy w jego życiu papieros. Spojrzał na dłoń, w której go trzymał. Na wszystkich palcach miał podłużne bolesne rany. Nazywano je „morskimi szparkami”. To za sprawą słonej wody i sztywnych lin miękki naskórek pękał.

– Sikaj na nie! – pouczył go Boutrup. – To oczyszcza. I obwiąż je wełnianą nicią. To powstrzyma dalsze pęknięcie.

Słońce zapiekło Knuda Erika w twarz i nagle poczuł, że jest mu dobrze.



Gdy wymustrował z „*Chyżej*”, matka spytała go o wieczne pióro. Podarowała mu je na konfirmację, żeby mógł pisać do domu.

– Chyba niewiele miałeś z niego pożytku – stwierdziła Klara.

Dostał też wtedy poduszkę, kołdrę i koc wraz z pościelą, a także osiemdziesiąt pięć koron. Długie buty na drewnianej podeszwie kosztowały czterdzieści pięć koron, lecz – jak twierdził szewc – miały wystarczyć do końca życia. Sztormiak kupił u Lohsego na Havnegade, gdzie sprawił sobie również składany nóż z białą rękojeścią z kości i łabędziem, znakiem wytwórcy, na ostrzu. Materac z trawy morskiej kosztował dwie korony.

Kupił też pomalowany na zielono marynarski kufer. Ubranie robocze składało się ze swetra i moleskinowych spodni. Był w pełni wyposażony, a osiemdziesiąt pięć koron wydał co do øre.

W ciągu piętnastu miesięcy nieobecności napisał do matki dwa razy. W obu listach było to samo: „Droga mamó, u mnie wszystko w porządku”.

Nie mógł pisać wtedy, gdy wątpił, czy uciekając na morze, dokonał właściwego wyboru. To by było jak przyznanie matce racji, że życie marynarza jest ciężkie i nędzne. Nie mógł też pisać, gdy przewycięzył wątpliwości, bo to by oznaczało, że podjął już decyzję. Ze chciał być marynarzem.

Ukrywał w tych listach prawdziwego siebie. Między rozpoczynającym „Droga” i kończącym „Serdeczne pozdrowienia” było jedynie milczenie.

Zauważyła, że wyrósł. Ale dostrzegła coś jeszcze: z każdym centymetrem, którym wystrzelał w górę, oddalał się od niej. Było prawie tak, jak gdyby rósł od tego uporu i nieposłuszeństwa. Jego twarz coraz wyraźniej przybierała rysy ojca. Miał jasne, kręcone włosy i mocno zarysowany podbródek. Ale miał też piwne oczy swojej matki i gdy przyglądała mu się ukradkiem, czuła, że wciąż może na coś liczyć z jego strony. Jeśli została mu odrobina rozsądku, prędzej czy później zmęczy go życie na morzu.

Na nic się zdało prawienie morałów czy jakiegokolwiek próby nacisku, więc przez te miesiące, które spędzał w domu, oczekując na kolejne zamustrowanie, przyrządzała mu ulubione dania. Nagle pojawiło się między nimi ciepło, lecz Klara zauważyła, że syn źle je rozumie. Sądził, że w końcu zaakceptowała jego wybór. Pokazywał jej blizny po „morskich szparkach” i wrzodach od słonej wody, opowiadał o wstrętnym Pinnerupie. Z dumą chwalił się mianem doświadczonego marynarza, za którego już mógł się uważać.

– No to na pewno zmądrzałeś!

Jej głos brzmiał ostro. Była wzburzona, widząc, co morze z nim zrobiło. Słowa wyrwały jej się z ust, nim zdążyła się zastanowić. Usłyszała, że przemawia przez nią desperacja.

Knud Erik popatrzył na nią, ale nic nie powiedział. Przestał się odzywać. W jego spojrzeniu wyczytała: „Ty nic nie rozumiesz”.

Rzeczywiście, nic nie rozumiała. Czuła własną bezsilność. Ciepło, które na krótko pojawiło się między nimi, zniknęło. Znowu odsunęli się od siebie i wspólne posiłki spożywali w milczeniu. Jej piękny syn miał jej oczy, ale w sobie nie miał z niej nic.



Tej jesieni Klara kupiła od wdów pięć parowców, „Zgodę”, „Energję”, „Przyszłość”, „Cel” i „Dynamikę”.

Ten zakup nas zaskoczył. W jej działaniu przejawiało się zdecydowanie i siła woli, które wymagały kapitału, o jaki nigdy jej nie podejrzewaliśmy. Jak dużego, tego dokładnie nie wiedzieliśmy, ale musiało chodzić o kilka milionów. Przez długi czas nie rozmawialiśmy o niczym innym. Klarę otoczyła aura tajemniczości, której nie było wcześniej. Rozumieliśmy, że o coś jej chodzi. Nie wiedzieliśmy tylko o co.

Wdowy nigdy nie znalazły następcy Isaksena. Wielu ubiegało się o stanowisko dyrektora przedsiębiorstwa, ale żaden się nie nadawał. A szyprowie tylko kręcili głowami. Plotki o przyczynach zwolnienia Isaksena zatoczyły szeroki krąg. Wykwalifikowani specjaliści trzymali się z dala i w przedsiębiorstwie żeglugowym panował praktycznie całkowity zastój.

Ale któregoś dnia mógł pojawić się człowiek posiadający niezbędną siłę, by sprzeciwić się wdowom i skorygować niepewny kurs. Miasto znów by rozkwitło. Tego Klara ryzykować nie chciała.

– Ależ moja droga, nie powinnaś! – oświadczyła Ellen, gdy Klara po długich konsultacjach z Markussenem przedstawiła swoją ofertę. Zabrzmiało to trochę tak, jakby Ellen sądziła, że Klara chciałaby się w ten sposób odwdziżyć za waniliowe obwarzanki, którymi tale często ją podejmowały.

– Inaczej być nie może – stwierdziła Klara takim tonem, jakby wyłożenie ogromnej sumy było aktem niesienia pomocy. Dostrzegając groteskowość tego, jak rozmawiały. Być może wdowy widziały to również. W każdym razie Ellen niezwykle popładła. Emmie i Johanne na policzkach wystąpiły czerwone plamy. Zerkały na siebie, a Klara wiedziała, że jeśli się zgodzą, będzie to po prostu skutkiem ich zwykłego niezdecydowania.

Nie wykorzystwała wdów. Nie zapłaciła za parowce ani za dużo, ani za mało, zważywszy na niekorzystną sytuację na rynku światowym. Nie chodziło jej o zysk.

To „morskie szparki” kazały jej kupić statki. Tak bardzo wzburzył ją widok blizn, które i one, i wrzody od słonej wody pozostawiły na biednych palcach Knuda Erika, na nadgarstkach i na szyi. Przywiodły jej na myśl afrykańskich niewolników, których w kajdanach ciągnięto przez cały wielki kontynent, nim wsadzono na statki, a później sprzedano. Takie blizny i oni musieli mieć w miejscach, gdzie żelazo ocierało się o naga, odsłoniętą skórę. Właśnie tego chciała: uwolnić niewolników. Chciała oswobodzić Knuda Erika od kajdan, w które zakulała go szalona i źle zrozumiana męskość. Marynarze, ledwie wrócili do domu, pokiereszowani w wyniku nieustającej wojny z morzem, zaraz się podrywali, prosząc o więcej, jakby nie dość im było smagnięć batogiem, które spadały na nich ze wszystkich stron, sztormów, fal, zimna, marnego jedzenia, fatalnej higieny, brutalności, przemocy zawsze obracającej się przeciwko słabszym. To się musiało skończyć.

Parę dni później Knud Erik oznajmił jej, że zaciągnął się na nowy statek.

Sam musiał zająć się przyszykowaniem marynarskiego worka i kufra.



Kapitanem na „*Kristinie*”, stu pięćdziesięcotonowym szkunerze bramslowym, był Teodor Bager, chudy mężczyzna o zalęknionej zapadniętej twarzy, której nie imać się ani słońce, ani wiatr. Lato czy zima, południowe czy północne szerokości, pozostawał równie błądy. Powiadano, że ma słabe serce i że powinien już przestać pływać, ale nadmierna oszczędność nie pozwalała mu podjąć takiej decyzji.

Bager miał w życiu jedną wielką miłość, a była nią jego osiemnastoletnia córka Kristina, której imieniem nazwał statek.

Załoga liczyła pięciu ludzi.

Knud Erik miał piętnaście lat i uważał się za doświadczonego żeglarza, ponieważ awansował z kambuza na pokład jako junga. Kresek na kompasie nauczył się już dawno. Umiał zeszplajnować linę, zrobić splot krótki i ucho, a także założyć opaskę na koniec liny. Potrafił halsować, wykonać zwrot przez sztag i przez rufę.

W kambuzie siedział teraz nieduży chłopczyk i walcząc z chorobą morską, podtrzymywał ogień w piecu, cały zielony na twarzy. Miał czternaście lat, tyle, co Knud Erik całe wieki temu. To był Helmer. Tchórz, który bał się wody i wieszając się na forsztagu, wyrzucił jolę dziadka. Sternikiem na „*Kristinie*” był starszy mężczyzna, Hermod Dreymann, również z Marstal.

Dwaj marynarze, Rikard i Algot, pochodzili z Kopenhagi i mieli doświadczenie w rejsach dalekomorskich. W ich rodzinach żeglowność nie była tradycją, co Knud Erik zauważył od razu po ich ekwipunku. Nie mieli kufrów marynarskich ani pościeli. Oprócz nieodzownego każdemu marynarzowi woreczka na przybory marynarskie, z krowim rogiem napełnionym tłuszczem, igłami do żagli, marszpikiem, rozkiem i rękawicą bosmańską, nie posiadali nic z wyjątkiem worka marynarskiego z kocem i pudełka po cygarach z przyborami do golenia. Ich ubrania wyjściowe, niebieskie spodnie z grubego płótna i wełniana bluza w tym samym kolorze, przypominały te robocze. Rikard miał na prawym ramieniu wytatuowaną nagą syrenę, trzymającą w ręce duńską flagę. Obaj palili papierosy w polskich cygarniczkach z płaskim spodem, które można było odstawiać, kiedy w pobliżu zabrakło popielniczki.

•

Na „*Kristinie*” panowała inna atmosfera niż na „*Chyżej*”, bardziej dobrodusznym, ale dawny dręczyciel wciąż nie opuszczał Knuda Erika. Gdy musiał nocą walczyć z sennością sam przy sterze, a wysokie, niosące lód fale wznosiły się nad statkiem, zawsze myślał o Pinnerupie. W zawrocie wicheru słyszał jego przekleństwa. Na sieczonych wiatrem spienionych szczytach fal widział jego twarz. Gdy zmęczenie zaczynało go dławić, czuł jego bezlitosną rękę zaciskającą się na wrzodach, i w poczuciu triumfu wiedział, że z nim wygrał. Wciąż potrafił nienawidzić morza w dziecinny buncie, lecz już się go nie bał.

Widział, jak sternik maleje. Knud Erik siedział na kei przy kanale Frederiksholm, machał nogami w sztucznej beztrosce i nie bardzo wiedział, czego się nauczył, widząc, jak sternik przegrywa w starciu z dokerami. Teraz to sobie uświadomił. Niektórych rzeczy można się nauczyć jedynie w brutalny sposób, ale nie ma powodu, by kogokolwiek upokarzać tylko dlatego, że jest nowy i niedoświadczony. Doświadczony przecież może podać rękę niedoświadczonemu. Knud Erik pomagał więc Helmerowi w kambuzie, gdy ten padał ze zmęczenia i wycieńczony chorobą morską.

– Spójrz – mówił. – Ten twój chleb jest za bardzo gliniasty i ludzie stale narzekają. Masz problem z wyrastaniem ciasta. Kupne drożdże się nie nadają.

Wziął parę dużych ziemniaków, kazał Helmerowi je obrać i pokroić na maleńkie kawałeczki.

– Znajdź mi teraz butelkę – kontynuował swoją naukę.

Kawałeczki ziemniaków miały wypełnić flaszkę w trzech czwartych, a potem zostać zalane wodą. Knud Erik zatkał butelkę korkiem i mocno go oplótł nićmi żaglowymi.

– Postaw ją teraz w ciepłym miejscu i za parę dni będziesz miał zaczyn. Potem musisz precedzić go i dodać do ciasta. Tylko uważaj, butelka nie może stać za długo, bo inaczej korek rozerwie nici i wyskoczy z hukiem.

Helmer popatrzył na niego z podziwem, jak gdyby Knud Erik pokazał mu czarodziejską sztuczkę.

„A więc to tak jest, kiedy człowiek jest dorosły”, pomyślał Knud Erik. Takich spojrzeń można oczekiwać.



„*Kristina*” pływała regularnie do Nowej Fundlandii. Knud Erik nie o tym marzył, ale tylko na taki statek mógł zamustrować. Przeprawa przez zimny północny Atlantyk stała się kolejną próbą męskości. Wyszli z Oskarshamn w Szwecji do Ørebakke na Islandii z ładunkiem drewna. Na Islandię płynęli dwadzieścia dwa dni. Po drodze znów wróciła mu choroba morska i w drzazgi rozbiła jego przekonanie o własnym doświadczeniu. Wyładunek trwał dwa tygodnie.

Teraz „*Kristina*” płynęła dalej, do Little Bay na Nowej Fundlandii, pod balastem czarnego piasku. Był listopad. Po tygodniu żeglugi wpadli w gęstą mgłę. W środku dnia mgła ustępowała, tworząc mur na horyzoncie, a nad resztą nieba jasno świeciło słońce. Potem jednak mgła wracała, żagle robiły się ciemnoszare od wilgoci, a na pokład skapywały ciężkie krople wody. Raz widzieli niebo, a raz nie mogli dostrzec nawet noka bomstengi.

Trzeciego dnia mgły Knud Erik stanął właśnie przy sterze, kiedy zasłona znów się podniosła. Z jednej strony dostrzegł wysokie, pokryte lodem góry. Ku jego zaskoczeniu nie były białe, tylko niebieskie, liliowe i jakby przezroczyście morskozielone. Jedna wznosiła się niczym gigantyczny sześcian, bryła z prostymi kątami i płaskim wierzchołkiem. Wyglądała jak uformowana ludzkimi rękoma. Wydało mu się to tak nienaturalne, że aż straszne. Do tej pory nigdy nie widział innego wybrzeża niż płaskie, gładkie skały u brzegów Skandynawii. Teraz miał przed oczami dziki, chaotyczny świat lodu i śniegu.

– Grenlandia od zawietrznej! Mamy Grenlandię od zawietrznej! – wrzasnął i poczuł przerażenie w swoim głosie.

Szyper i sternik wybiegli z kajuty. Bager przez moment wpatrywał się w krajobraz ogromnych gór.

– To nie Grenlandia – stwierdził. – To góry lodowe.

Wskazał na horyzont. Również od nawietrznej pojawiły się góry lodowe, ale tak rozproszone, że wszelkie iluzje wybrzeża się rozwiały. Wkrótce mgła powróciła, znów odcinając statek od reszty świata.

Zmartwiony szyper patrzył przed siebie. Jego zapadnięta twarz wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle.

– Teraz – powiedział – jesteśmy w rękach Boga.

•

Ławica mgły utrzymywała się przez dwa tygodnie. Prawie nie było wiatru i wilgotne żagle na ogół zwisały. Wielkie fale atlantyckie bez zmarszczek unosiły w powolnym rytmie delikatny kadłub „*Kristiny*”. Powierzchnia wody była gładka jak oliwa, jakby wilgotny chłód gęstniał i zmieniał się w lód. Dookoła panowała cisza. Knud Erik początkowo sądził, że to mgła tłumi wszelkie odgłosy, tak jak ogranicza widzenie. Potem uświadomił sobie, że to załoga we mgle zaczęła mówić szeptem, jakby góry lodowe otaczające „*Kristinę*” ze wszystkich stron były złymi duchami, których uwagi nie należało ściągać. Cisza ich denerwowała, a jednak nie śmieli jej przerywać. Knud Erik w myślach błagał Boga, by dostrzegł ich tam, w samym środku gęstej mgły, i zechciał osłonić swoją ręką, tak jak miał na to nadzieję szyper.

Gdy mgła wreszcie się podniosła i ujrzeli wokół siebie morze wolne od lodu, zaczęli krzyżeć. Mogliby wołać: „Hura”, ale tego nie zrobili. Wydawali jedynie nieartykułowane okrzyki, pragnęli tylko usłyszeć dźwięk własnych głosów, bo cisza zamknęła każdego z nich, odizolowała od innych, a teraz wreszcie znów mogli być razem. Nigdzie nie czała się już żadna góra lodowa. Wolno było krzyżeć.

Dzień później, dwudziestego czwartego dnia od opuszczenia Islandii, ujrzeli brzegi Nowej Fundlandii.

•

Gdy przyplłynęli do Little Bay, Knud Erik szalupą zawiózł szypra na ląd. Bager zamierzał porozmawiać z maklerem i kapitanem portu, kazał więc Knudowi Erikowi zaczekać. Wrócił z dziwną miną. Knud Erik włożył wiosła w dulki i zaczął płynąć w stronę „*Kristiny*”.

– Wiesz, Knud Erik – powiedział Bager poufałym tonem, do jakiego chłopak nie był przyzwyczajony. Szyper zwykle zwracał się do niego wyłącznie po to, by wydać mu polecenia. – „*Ane Marie*” nie doszła do portu.

„*Ane Marie*” była szkunerem z Marstal, który wyszedł z Islandii osiem dni przed „*Kristiną*”. Szyper westchnął i zapatrzył się w wodę.

– Pewnie zatonąła. Wpadła na górę lodową.

Podczas całej drogi na statek wpatrywał się w wodę i więcej się nie odezwał.

„Vilhjelm”, pomyślał Knud Erik od razu, gdy usłyszał słowa szypra. Vilhjelm był na pokładzie „*Ane Marie*”. Popatrzył na swoje dłonie zaciśnięte na uchwytych wiosła tak mocno, że aż zbieleły kostki. Wziął olbrzymi zamach, jakby chciał otrząsnąć się z zamroczenia, i o mało nie spadł z ławki.

– Uważaj, jak wiosłujesz – powiedział Bager.

W jego głosie brzmiało roztargnienie i prawie serdeczny ton.



Wieczorem Knud Erik leżał na koi i opłakiwał Vilhjelma. Czy Vilhjelm wynurzył się na powierzchnię dwa razy? Czy poszedł prosto na dno, ściągnięty przez buty z drewnianą podeszwą i ciężki sztormiak? Jaką ostatnią rzecz zobaczył? Bąbelki w wodzie? Zastygły chaos gór lodowych? Przypomniał sobie nienaturalnie kwadratową górę, którą dostrzegł pierwszego dnia, gdy płynęli wśród lodu, i grozę, którą obudził w nim tamten widok. Czy na tę samą górę wpadła „*Ane Marie*”? Co wtedy myślał Vilhjelm? Czy wzywał pomocy? Ale dlaczego miałyby wołać o pomoc? Przecież tam, na środku północnego Atlantyku, nikt nie mógł przybyć im na ratunek.

Myślał o przygotowaniach do konfirmacji, o końcu dzieciństwa, podczas którego co niedziela siadali w kościele pod modelami statków zwisającymi z sufitu na grubych linach, symbolizującymi zbawienie. Patrzył wtedy na ołtarz, na którym Jezus gestem uciszał burzę na jeziorze Genezaret. Śpiewał stare psalmy, napisane z myślą o marynarzach, pieśni, których konfirmanci musieli uczyć się na pamięć.

Przed złem nas chroń, pomocną dłoń
w potrzebie nam podawaj.
Niech wiatr nas gna, niech fala pcha,
by rejs nasz nie ustawał.

Tak właśnie śpiewali. Czy i Vilhjelm śpiewał w ostatnich minutach, zanim statek poszedł na dno? Czy też stało się z nim to samo, co często spotykało Knuda Erika przed ołtarzem z obrazem Jezusa na jeziorze Genezaret, i zaczął wątpić?

Gdzie był Bóg, gdy „Hydra” przepadła bez śladu z jego ojcem na pokładzie? Może Bóg był jak ojciec Vilhjelma? Może siedział odwrócony plecami i nic nie słyszał, gdy było to naprawdę ważne?

Przecież od przypadku zależy, kto powróci do domu. Knud Erik nie umiał odnaleźć w tym żadnego sensu i pomyślał, że właśnie to musiał czuć Vilhjelm, gdy opadał w wodzie po raz ostatni: że Pan Bóg jest głuchy i go nie usłyszał.

•

Należało wyczyścić ładownię, przygotować ją na ładunek klipfisz. Płukali i szorowali ją przez pięć dni. Potem dno pokryli grubą warstwą świerkowych gałęzi. Na nich ułożyli korę brzożową. Również boki ładowni, nazywane garnirunkiem, obłożono korą, przymocowaną za pomocą sztyftów. Pachniało mocno i świeżo niezwykłym aromatem gór i lasów, jakby na dnie statku zbudowano szałas. Klipfisz to elegancki gość, a jego apartament już czekał.

•

Każdego przedpołudnia miało miejsce wydarzenie, które na moment przerywało rutynę załadunku. Przez port przepływała łódź wiosłowa i z bliska mijała „*Kristinę*”. Przy wiosłach siedziała młoda dziewczyna z krótko obciętymi czarnymi włosami, odsłaniającymi kark. Była opalona, miała pełne usta, skośne oczy i mocno zarysowane brwi. Wiosłowała jak mężczyzna, długimi, silnymi pociągnięciami, i szybko się przemieszczała. Zawsze zerkąła na „*Kristinę*”. Załoga ustawiała się przy relingu, gapiąc się na nią. Dziewczyna nie spuszczała wzroku. Mogło się wydawać, że szuka konkretnej twarzy.

Po kilku dniach Knud Erik nabrał przekonania, że dziewczyna patrzy na niego. Ich oczy się spotkały, poczerwieniał i musiał odwrócić wzrok.

•

Rikard i Algot później o niej rozmawiali. Dziewczyna miała na sobie luźny sweter i moleskinowe spodnie, nie dawało się więc wiele powiedzieć o jej kształtach. W każdym razie była szczupła, tyle mogli stwierdzić, i to jeszcze bardziej ich prowokowało do dalszych domysłów.

Z uwagi na jej ciemne oczy i orientalny wygląd przyjęli za pewnik, że pochodzi z trapu piczek.

– To ten trap, po którym dziwki w Bangkoku wspinają się na statki – wyjaśnił Rikard.

Knud Erik nic nie powiedział. Zastanawiał się nad spojrzeniem, które wymienili z dziewczyną, i czerwieńił się za każdym razem, gdy w myślach znów czuł na sobie jej oczy.

Najwięcej jednak myślał o Vilhjelmie. W nocy nie mógł spać, a za dnia w głowie mu szumiało.

•

Nazajutrz Dreymann pomachał dziewczynie ręką. Odmachała mu, a przez to napięcie uszło. Dziewczyna zawsze płynęła tą samą trasą, do szkieru, za którym znikiała. Parę godzin później znów się pojawiała, lecz tym razem nie przepływała w pobliżu statku i nie patrzyła w jego stronę. Spoglądała przed siebie i wiosłowała mocnymi ruchami.

Również pytanie, dokąd płynie i co robi, stwarzało okazję do dyskusji. Rikard, zaciągając się papierosem w cygarniczkę, twierdził, że dziewczyna odwiedza kochankę. Dreymann uznał to za brednie.

– Przyjrzyjcie się jej – powiedział. – Ma nie więcej niż jakieś szesnaście, siedemnaście lat.

Rikard odparł, że na Nowej Fundlandii wcześniej zaczynają, miał przy tym taką minę, jakby chciał być wypytywany o tło swojej szczególnej wiedzy na temat dziewcząt z Nowej Fundlandii.

Dreymann był zdania, że dziewczyna pływa na lekcje gry na pianinie.

– Na szkier? – spytał Rikard drwiącym tonem.

Wiedzieli przynajmniej, kim jest: córką *mister* Smitha, wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyzny, który zawsze chodził w pludrach i pończochach w szkocką kratę. Mieszkał w dużej drewnianej willi, pomalowanej na zielono, stojącej na niewielkim wzgórzu za miastem. *Mister* Smith był eksporterem klipfisz, i dlatego uważali go za najmożniejszego człowieka w Little Bay.

Od czasu do czasu wchodził na pokład, lecz zawsze rozmawiał wyłącznie z Bagerem. Niekiedy zerkał na Knuda Erika, ale nic nie mówił.

Pewnego dnia po kolejnych odwiedzinach w kajucie szypra jak zwykle opuścił „*Kristinę*”, nie zamieniając słowa z załogą. Zaraz potem na pokładzie zjawił się Bager i podszedł do Knuda Erika. Stał z rękami założonymi na plecy. Następnie nachylił się i ścisłym głosem, jakby się bał, że ktoś go podsłucha, oznajmił:– *Miss Smith* chciałaby, żebyś ją odwiedził. Jutro o czwartej. Dostaniesz przepustkę.

Knud Erik nic nie odpowiedział.

Bager pochylił się jeszcze niżej.

– Dotarło do ciebie, co powiedziałem? Przypłynie po ciebie człowiek z biura *mister* Smitha.

Knud Erik kiwnął głową.

– No to dobrze – rzucił szyper na odchodne. Nagle jednak przystanął, jakby przypomniał sobie o jeszcze jednej informacji. – Uważaj na tę dziewczynę.

Ostrzegawczo popatrzył na Knuda Erika. W końcu odwrócił się na pięcie i odszedł szybko, jakby wreszcie miał za sobą coś nieprzyjemnego.

Pozostali nic nie zauważyli, nikt więc niczego nie skomentował. Knudowi Erikowi wszystkie myśli uleciały z głowy. Nie bał się dziewcząt, często przecież zajmował się młodszą siostrą. Ale dopiero gdy Anton zaczął zerkać na Marie, uświadomił sobie, że dziewczyna może być kimś innym niż kolega. Nie rozumiał, czego ta nieznajoma od niego chce, i bał się, że jej zainteresowanie w jakiś sposób napiętnuje go jako „zniewieściałego”. Zaczęłyby się wtedy odróżniać od innych, a tego właśnie najmniej pragnął.

•

Zabrano go ze statku następnego dnia przed czwartą. Rikard i Algot gapili się i coś za nim pokrzykiwali. Jego towarzysz ignorował go przez całą drogę do zielonej willi, jak gdyby on również uważał tę historię za nieprzyjemną i najchętniej w nic by się nie angażował. Gdy dotarli do willi, zostawił Knuda Erika bez słowa.

Knud Erik wszedł na werandę i ostrożnie zastukał do drzwi. Otworzyła mu starsza dama w długiej staromodnej wełnianej sukni i przez wielki hol poprowadziła do przyległego pokoju. Przez cały czas panowało milczenie. Kobieta zamknęła drzwi za sobą i Knud Erik został sam. Na niewielkim stoliku z obrusem nakryto do herbaty. Obok filiżanek i srebrnego czajniczka stała porcelanowa patera z ciasteczkami. Knud Erik zatrzymał się tuż za drzwiami, nie wiedząc, czy powinien usiąść na którymś z wyściełanych krzesel. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, zaczął więc krążyć po pokoju. W roztargnieniu sięgnął po ciasteczko.

W tej samej chwili drzwi za nim się otworzyły. Odwrócił się zaskoczony i dłoń z ciastkiem ukrył za plecami. To weszła dziewczyna z łodzi.

Nie była już ubrana w sweter i męskie spodnie, tylko w sukienkę, co od razu go zaniepokoiło. Poruszyła go również jej twarz, która wydała mu się wyraźniejsza niż przedtem. Do tej pory widywał ją jedynie z daleka. Teraz po raz pierwszy ujrzał ją z bliska, lecz zmianę w jej twarzy tłumaczyła nie tylko niewielka odległość. Okolice oczu miała znacznie ciemniejsze, a duże usta jaskrawoczerwone, przez co wydawały się jeszcze większe.

Knud Erik spuścił wzrok, jakby dziewczyna wywarła na nim zbyt duże wrażenie.

Kiedy do niego podeszła, zorientował się, że jest wyższa od niego. Była też starsza.

Podala mu rękę.

– *Miss Sophie* – przedstawiła się.

– Knud Erik Friis – powiedział, niepewny, czy powinien przed nazwiskiem dodać *mister*, czy też określenie to jest zastrzeżone wyłącznie dla mężczyzn takich jak jej ojciec, potężny *mister Smith*.

– *Sit down, please* – skinęła zapraszająco ręką.

Knud Erik usiadł. Rękę z ciastkiem wciąż trzymał za plecami. Niezręcznie było tak siadać, więc upuścił ciastko chwilę wcześniej. Zaraz potem poczuł, jak kruszy się pod jego ciężarem. Zdenerwował się tak, że nie był w stanie skoncentrować się na *miss Sophie*, która coś do niego mówiła. Już wcześniej nie rozumiał ani słowa. To wszystko było jakieś szalone. Siedział na zgniecionym ciasteczku i pił herbatę z dziewczyną wyższą od niego, z umalowaną twarzą, z której ust płynęły niezrozumiałe słowa, a ona oczekiwała, że jej odpowie.

Wpatrywał się w bursztynowej barwy herbatę, której nie lubił, i od czasu do czasu z udawaną powagą kiwał głową. Uważał, że taki musi być jego udział w konwersacji. Lepiej nie umiał sobie poradzić.

Nagle usłyszał jej głośny śmiech.

– Ty tylko siedzisz i kiwasz głową, ale wcale nie rozumiesz, co mówię.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Tak, tak, mówię po duńsku.

Dalej się śmiała swoimi wielkimi ustami.

– Moja matka była Dunką, ale już dawno nie żyje.

Ostatnie wyjaśnienie rzuciła beztrasko, jakby do straty matki nie przywiązywała Większego znaczenia. Nachyliła się do niego.

– Wstydzisz się? – spytała.

– Oczywiście, że nie.

Nagle poczuł bunt i sam nie zdawał sobie sprawy z tego, że właśnie dzięki niemu zniknęło jego zawstydzenie. Był teraz zły. Ta dziewczyna sprawiła, że poczuł się jak mały chłopiec. Na statku czuł się jak mężczyzna i chciał, by jego nowo zdobyta godność została uznana również tutaj. W dodatku dziewczyna znała duński. Znow poczuł, że stąpa po pewnym gruncie. *Miss Sophie* należało traktować jak Marie.

– Dobrze wiesz, że rozmawiamy o tobie na „*Kristinie*” – powiedział.

– Nikt nie potrafi zrozumieć, co robisz. Niektórzy uważają, że bierzesz lekcje gry na pianinie. Ale jeden mówi, że masz narzeczonego, z którym codziennie widzisz się na szkierze.

Miss Sophie popatrzyła na niego wyzywająco.

– Narzeczonego? No cóż, może i mam. A ty co na to?

Knud Erik nie odpowiedział.

– Nie, nie mam żadnego narzeczonego na szkierze. Mam tam świątynię dumania. Wiesz, co to jest?

Pokręcił głową.

– To takie miejsce, gdzie można siedzieć i marzyć. Tuż za przystanią jest wąska, piaszczysta plaża. Siadam tam i wpatruję się w wodę. I marzę. O parowcach pasażerskich, o samolotach i zeppelinach. O wielkich miastach, o pełnych samochodów ulicach z wystawami wzdłuż wszystkich chodników, o kinach i restauracjach.

Od tego wyliczania zabrakło jej tchu, jakby wreszcie wypuściła z siebie od dawna gromadzącą się tęsknotę.

– Ty nie masz żadnych marzeń?

– Mam – odparł Knud Erik. – Marzę o tym, żeby opłynąć przylądek Horn.

– Przylądek Horn? – zaśmiała się zaskoczona *miss* Sophie. – No tak, jesteś przecież marynarzem. Ale dlaczego akurat przylądek Horn? Tam jest zimno, stale są sztormy i statki idą na dno.

– Może i tak – odparł Knud Erik. – Ale nie można być prawdziwym marynarzem, dopóki się nie opłynie przylądka Horn.

– Kto tak mówi?

– Każdy to wie.

– Boisz się, że utoniesz? – spytała *miss* Sophie.

Knud Erik przez moment się zawahał. Czyżby ta nieznajoma dziewczyna, z twarzą dziwną, a zarazem piękną, zamierzała wyciągnąć od niego wszystko?

– Tak – powiedział szczerze. – Bardzo się boję, że utonę.

– A czy kiedyś już mało brakowało?

Miss Sophie wpatrywała się w niego intensywnie. Makijaż sprawiał, że jej oczy wydawały się głęboko zapadnięte, przywodziły na myśl kopalniany szyb.

– Tak, raz.

– Jak to było?

Nie miał ochoty odpowiedzieć.

– Mój najlepszy przyjaciel właśnie utonął. Poszedł na dno razem z „*Ane Marie*”, która właśnie tutaj płynęła – powiedział zamiast tego.

Miss Sophie spuściła wzrok, chyba musiała dojść do siebie. Gdy ich spojrzenia skrzyżowały się ponownie, uśmiechała się pocieszająco.

– Ty też na pewno któregoś dnia utoniesz.

Powiedziała to najzupełniej zwyczajnym tonem, jakby oznajmiała, że za chwilę podadzą obiad.

Knud Erik od razu pomyślał, że głupio powiedziała. O co jej chodzi? Czyżby wierzyła, że umie przepowiadać przyszłość?

Znów poczuł na sobie jej wzrok. Przyglądała mu się badawczo. Czyżby chciała sprawdzić, jaki efekt wywarły jej słowa?

Nić porozumienia, która się między nimi zawiązała, pękła. Znów ogarnął go smutek po śmierci Vilhjelma i poczuł gniew.

– Siedzisz tu i źle mi życzysz?

– Byłeś kiedyś w wielkim mieście? – spytała, a on wychwyił w jej głosie niepewność.

– W Kopenhadze.

– To chyba nie jest naprawdę wielkie miasto. Czy ty nigdy nie marzysz o Londynie albo Paryżu? O Szanghaju, o Nowym Jorku?

Knud Erik pokręcił głową.

– Marzę o przylądku Horn – powtórzył twardo.

– Wielka szkoda. No to nie możemy razem uciec. Bo na ten mokry i zimny przylądek Horn nie chcę jechać. Okropnie jesteś nudny.

Zaczęła się śmiać. Potem nachyliła się i ujęła jego głowę w dłonie.

– Ale przed wyjściem i tak dostaniesz buziaka.

Popatrzyła mu w oczy. Knud Erik przez chwilę miał ochotę jej się wyrwać, ale uznał, że stawianie oporu będzie przejawem dziecinności. Musi znieść to jak mężczyzna, którym stał się w ostatnich miesiącach. Odpowiedział na jej spojrzenie, i w tym momencie stało się z nim coś dziwnego. Przeszedł go dreszcz, ale nie strachu, lecz czegoś innego, czego nie znał. Lekkie drżenie przebiegło przez ciało jakby w przeczuciu czegoś wielkiego i radosnego. Zamknął oczy, by przyjąć pocałunek i pozwolić unieść się tam, gdzie – jak instynktownie wiedział – nie zawiezie go żaden statek.

Poczuł jej wargi na swoich, ich miękką pełność, przyciskającą się do jego ust z lepkością, przez którą zapragnął, by już nigdy się nie rozłączyli. Gdy przesunął spoczywające na podłokietniku dłonie na jej plecy, miał wrażenie, że towarzyszą temu wyładowania elektryczne. Sięgnął do jej karku odsłoniętego pod krótko obciętymi włosami i ostrożnie pogładził delikatny łuk. Odrobinę uchylił usta. Chciał, by i ona zrobiła to samo, aby spotkały się ich oddechy, wciągnąłby wtedy jej powietrze w płuca i oddychał nią. Miał wrażenie, że tonie. Ale z wody nie można czerpać powietrza. Otworzył się teraz na inny żywioł, który również miał go wypełnić. Poczuł, że ona idzie za jego przykładem i lekko rozchyła wargi. Oddychali przez swoje usta, chłonąc powietrze ze swoich płuc. Knud Erik całował *miss* Sophie, całował świat, a świat całował jego i wypełniał go słodkim oddechem.

W końcu odsunęła się od niego i roześmiała, kładąc rękę na piersi.

– Naprawdę umiesz całować. – Podała mu serwetkę ze stołu. – Teraz raczej powinienes wytrzeć szminkę.

Uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać dziewczynę przed odebraniem mu czegoś cennego.

– Tak, tak, chodź.

Znów się zaśmiała i przytrzymując go za ramię, wytarła mu usta serwetką.

– Nie możesz wyjść z domu *mister* Smitha ze szminką rozmazaną na całej twarzy. – Przyjrzała mu się krytycznie. – Czy ktoś ci kiedyś mówił, jaki jesteś piękny?

Ton jej głosu świadczył o tym, że się z nim drażni. Wstała i ujawszy go za rękę, podprowadziła do drzwi wiodących do holu.

– Tutaj się pożegnamy.

– Zobaczymy się jeszcze kiedyś? – spytał, natychmiast uświadamiając sobie, że tym pytaniem się obnażył.

Podąła mu rękę i puściła do niego oko.

– Udanej podróży na przylądek Horn!

•

Następnego dnia się nie pojawiła. Po południu musiał przez cały czas podchodzić do relingu i spoglądać na port. Odkąd opuścił dom *mister* Smitha, tkwił w nim jakiś niepokój. Nie uważał, by mógł się zakochać. To było coś innego, coś, co przypominało uczucie pojawiające się przy nagłym przechyle „*Kristiny*”; gdy musiał starać się czegoś przytrzymać na rozhuśtanym pokładzie.

Myślał o niej z irytacją, ba, więcej, z gniewem i rozpalonym pragnieniem zemsty. Upokorzyła go. Wytarła mu usta serwetką jak dziecku. Ledwie mógł myśleć o pocałunku. Nie umiał słowami nazwać wszystkich tych sprzecznych uczuć, które wywoływało w nim jego wspomnienie. Czuł się jednocześnie bardzo mały i bardzo wielki, jakby znalazł się w połowie drogi do dokonania ogromnej ekspansji. Pocałunek obudził w nim głęboką tęsknotę, piekący ból, podrywający poczucie własnej wartości.

Towarzysze wyczuli jego niepokój.

– Wypatrujesz czegoś szczególnego? – zainteresował się Dreyman.

Marynarze zaczęli się śmiać, a Helmer, cholerny smarkacz, im wtórował. Kiedy Knud Erik wrócił z wizyty, zasypali go pytaniami, ale odpowiadał niechętnie, półsłówkami.

– Jaka ona była? – spytał Rikard, poruszając nagą syreną na ramieniu.

– Miła – odparł. – Piliśmy herbatę i jedliśmy ciasteczka.

– Nie robiliście nic innego?

Badawczo przyglądali się jego twarzy.

– Spójrzcie na te piękne brązowe oczy! – Rikard wykrzywił się do niego. – A wiesz, dlaczego masz takie brązowe oczy?

Knud Erik bezradnie pokręcił głową. Wiedział, że może się spodziewać sprośnego żartu.

– Dlatego że jak byłeś mały, ktoś tak mocno kopnął cię w tyłek, że całe gówno poszło nie w tę stronę, co trzeba.

Stał się obiektem drwin, a wszystko przez nią.

A ona nie przypłynęła!

•

Dni mijały, jeden za drugim, wszystkie jednakowe, ładowanie klipfiszki odbywało się pod tą samą, niezmiennie szarą pokrywą chmur, a dziewczyna się nie zjawiała. Knud Erik tkwił jak kołek na pokładzie i nie przestawał o niej myśleć.

Koledzy się z nim drażnili. Czuł, jak się czerwieni za każdym razem, gdy padał jakiś docinek.

– Narzeczona Knuda Erika – mówili o niej.

– Dostałeś dziś buziaka? – pytał Rikard.

Albo najgorsze:

– Chyba już się tobą znudziła.

Klipfiszki prawie wypełniły ładownię. Wkrótce miał się skończyć załadunek i rozpocząć rejs do Portugalii. Już nigdy w życiu nie zobaczy *miss* Sophie.

W desperacji zdecydował się na coś niesłychanego: sam ją odwiedzi w pomalowanej na zielono willi. Postanowił stanąć pod drzwiami werandy i odwrócić głowę, kiedy mu otworzy. Może nawet splunąć na ziemię. Zrobić coś, co w oczywisty sposób pokaże jej, że nic dla niego nie znaczy, że on ma swój świat, którego ona nie jest w stanie zmienić.

•

Nadszedł dzień wyjścia w morze, klarowali żagle. Nie miał pojęcia, jak się z nią zobaczyć. Jego niepokój zmienił się w panikę. Wydawało mu się, że jego świat się zawali, jeśli nie ujrzy jej po raz ostatni. W końcu przeskoczył przez reling na keję i puścił się biegiem w stronę zielonej willi. Słyszał za plecami wołanie Dreymanna, ale się nie odwrócił.

Chociaż willę dawało się zobaczyć z „*Kristiny*”, droga do niej była długa i wiodła pod górę. Kiedy dotarł na miejsce, brakowało mu tchu. Ale nie zawahał się pod wielkimi drzwiami domu. Mocno zapukał. Musiał oprzeć się rękami o uda, próbując uspokoić oddech.

Wciąż tkwił w tej samej pozycji, gdy drzwi się otworzyły.

To nie *miss* Sophie stanęła przed nim, jak to sobie przez cały czas wyobrażał, gdy z palącymi policzkami snuł fantazje o spotkaniu, które miało być ich ostatnim i wreszcie go od niej uwolnić. To była ta starsza kobieta, która wprowadziła go do środka podczas jego pierwszej wizyty.

Wpatrywała się w niego pytająco, jakby się spodziewała, że ma do przekazania jakąś ważną wiadomość dla właściciela domu, możnego *mister* Smitha.

– *Miss* Sophie – wydusił z siebie, wciąż nie mogąc się wyprostować i złapać tchu po długim biegu.

Kobieta pokręciła głową, powiedziała kilka słów po angielsku, z czego on był w stanie zrozumieć tylko dwa ostatnie.

– ...not here.

Klucz do znaczenia słów dało mu jej kręcenie głową, a gdyby nie potworne zmęczenie, z pewnością rzuciłby się na tę kobietę, jakby ją osobiście obwiniał o nieobecność upragnionego obiektu swoich niejasnych tęsknot.

– Gdzie? – wyrzucił z siebie pytanie, wciąż nie mogąc złapać oddechu.

Kobieta popatrzyła na niego potępiająco i z taką miną, jakby zastanawiała się, czy w ogóle tracić czas na odpowiedź pogubionemu chłopakowi.

– Saint John's – powiedziała w końcu, a w jej spojrzeniu malowały się, jak mu się wydawało, i złośliwość, i współczucie dla całej ich historii.

Saint John's! Serce stanęło mu w piersi. To było największe miasto na Nowej Fundlandii. Port, do którego często zawijały szkunery z Marstal. Tyle wiedział.

Wiedział także, że nie tam popłynie „*Kristina*”.

Miss Sophie wyjechała. To wyjaśniało, dlaczego nie wypływała na swoje codzienne wyprawy łodzią. Była w jakimś innym miejscu na tej bezkresnej ziemi i mieli już nigdy się nie zobaczyć.

Coś, co się zaczęło tak niezdecydowanie, biegnąc jakby we wszystkie strony naraz, już się skończyło.

•

Bager czekał na niego.

– Co ci odbiło, chłopcze? – warknął, dając Knudowi Erikowi po karku.

– Jak daleko jest do Saint John’s? – spytał chłopak, nie zważając na cios.

– Co za diabeł cię opętał? – krzyknął szyper i uderzył go jeszcze raz. – Sto osiemdziesiąt mil morskich. Ale my się nie wybieramy do Saint John’s, żeby gonić za spódniczkami. Płyniemy do Setubal z klipfiszem dla katolików.

Razy nie były mocne, raczej szturchnięcia niż ciosy. W głosie Bagera pojawił się dobroduszny ton. Szyper miał taką minę, jakby się bawił.

– Zakuty łeb! – powiedział. – Może teraz to ty będziesz wyznaczał kurs? Powiedziałem *mister* Smithowi: „Niech pan lepiej pilnuje tej dziewczyny. Ona doprowadza ludzi do szaleństwa. Rozpieszczona pannica!”

•

Barometr spadł, gdy nazajutrz opuścili Little Bay i szli przez zatokę Notre Dame. Deszczowe chmury nasuwały się i odpływały, ale morze było spokojne. Późnym popołudniem rozpoznali latarnię na Fogo. Mieli iść wzdłuż wybrzeża na wysokość Saint John’s i wtedy odbić na Atlantyk.

W nocy z południowego wschodu nadciągnął sztorm i zaczęło ich znosić na skaliste brzegi. W ciągu dnia Knud Erik przez deszcz przyglądał się wysokim, czarnym zboczom gór. Teraz, niewidzialne w nieprzebytej ciemności nocy, przysuwały się bliżej i tylko daleki huk łamiących się fal ostrzegał przed bliskością brzegu. Tych, którzy mieli wolną wachtę, zbudzono i kazano im ubrać się w sztormiaki, by po usłyszeniu rozkazu mogli natychmiast znaleźć się na pokładzie.

W promieniu światła latarni morskiej na przylądku Bonavista, które przesuwano się po wzburzonym morzu, żagle nad ich głowami przez moment wyglądały jak duchy, zaraz jednak nie było już widać nic oprócz zasłony ciężkiego deszczu. Znajdowali się blisko wybrzeża, więc zrefowali po kolei żagle, aż w końcu szli na samym sztafoku. „*Kristina*” straciła szybkość i kołysała się na smaganych wiatrem falach, walcząc ze sztormem.

Błyski latarni pojawiały się i znikwały niczym migotanie gwiazdy, która zanadto zbliżyła się do morza i raz pozwalała pochłonąć się fali, to znów się z niej wynurzała. Chmury wyłaniały się z ciemności niczym brzuchy wielkich rekinów, ścigających się pod niebem. Nadszedł świt i zgasił latarnię. Ale sztorm nie ustawał.

Szyper stukał w barometr.

– To się prędko nie skończy – stwierdził ponuro, łapiąc się za serce, jakby w obawie, że ono tego nie wytrzyma.



Knud Erik nigdy by w to nie uwierzył. Okazało się jednak, że można nieprzytomnie się nudzić w samym środku śmiertelnego zagrożenia. Sztorm utrzymywał się przez kolejne dni. Bez końca nacierał na kadłub „*Kristiny*”, wył w takielunku, szarpał za ster, zmuszał ich do trwania w ciągłym napięciu, w stanie alarmu, który i tak kończył się znieczuleniem nerwów i poczuciem bezkresnej pustki.

Pokład zalewały nacierające fale. Mogło się wydawać, że tylko rufa i dziób pozostają na powierzchni, dwa osobne szczątki wraku, które z tajemniczą regularnością utrzymywały się w dokładnie tej samej odległości od siebie wśród chaosu łamiących się grzywaczy i gotującej się piany.

Knud Erik patrzył na zawieszono nisko chmury, goniące po niebie, na niekończący się marsz fal ku wybrzeżu, które niezmiennie wznosiło swoją czarną groźną barierę, nie będąc wcale zbawczym lądem, tylko kresem ich życia, gdyby zanadto się zbliżyli, i nie myślał już o niczym.

Sztorm trwał, ale „*Kristina*” to znosiła. I nawet lęk przed śmiercią przez utonięcie rozplynął się w monotonii i nieustającym bólu wrzodów od słonej wody, który rozchodził się promieniście od rąk i od szyi. To, że w otwarte rany nie wdało się zakażenie, wynikało wyłącznie stąd, że nieustannie zalewała je oczyszczająca woda morska.



Sztormowali przez trzydzieści dni. Czasami czarny brzeg osuwał się za horyzont i stawał kreską narysowaną ołówkiem między niebem a morzem, ale potem znów rósł i wznosił się nad nimi jak kowadło, na którym morze miało jak młot rozbić kruchy kadłub „*Kristiny*”.

Bliskość czy dalekość brzegu przestały w końcu mieć znaczenie. Czarne zbocza nie były ani ocaleniem, ani zagrożeniem. Nie były nawet lądem. Stanowiły element monotonii równie rzeczywisty lub nierzeczywisty jak ciężkie od deszczu nimbusy nad ich głowami. Dni i noce przychodziły i odchodziły.

Podczas wolnej wachty w środku dnia otumaniony parł do przodu, łapiąc się sztormliny, rozpiętej po to, by mieli się czego przytrzymać, kiedy chodzili po zalewanym pokładzie. Gdy fala runęła wprost na śródkręcie, szedł w wodzie po pas i czuł, jak go ciągnie za nogi. Wśród spienionej kipieli przypominał akrobatę, który stracił oparcie dla nóg i zawisł, trzymając się rękami liny rozpiętej między dwoma punktami na niebie. Miał wrażenie, że wcale nie znajduje się na statku, tylko jest sam i na rękach przesuwa się po linie nad pustym morzem.

Docierał w końcu do zejściówki i staczał się po trapie do ciemnego cuchnącego kubryku, w którym na podłodze stała woda, a piec był zimny, bo bali się czadu. Wczłógiwał się na swoją koję, nie zdejmując ubrania. Po co miałyby to robić? Jak je wysuszyć? Było sztywne od soli, a sól wsysała wszelką wilgoć i pył wodny. Kulił się na koi jak dziecko, i zapadał w nieprzytomność, która zamykała go w swych bezpiecznych objęciach, dopóki jakaś ręka nie zaczynała nim szarpać, a wtedy na chwiejnych nogach podnosił się z koi na pół we śnie. Pod butami chlupała woda, ale musiał iść dalej, na górę, w ciemność albo szarówkę, które już dawno przestały się czymkolwiek różnić. Był wyłącznie tym jednym: sługą statku, jego ślepyim narzędziem w walce ze sztormem. O własnym przeżyciu już nie myślał, a tylko o żaglach, które trzeba było zrefować albo sprzątnąć, o linach, które należało umocować.

Wreszcie wiatr ucichł. Morze wciąż przelewało się ciężką martwą falą, ale nie słyhać już było wycia w takielunku, a z bałwanów zniknęła złowroga piana. Słońce przedarło się przez chmury, brzuchy rekinów w górze zniknęły. Czarna linia wybrzeża znów zmieniła się w ziemię, w miejsce, do którego można było dobić, w spełnienie nierealnego marzenia: w stały ląd pod stopami. Była to świadomość tak zaskakująca, że przyzwyczajenie się do niej po trzydziestu dniach w epicentrum trzęsienia ziemi na wzburzonym morzu musiało trochę potrwać.

Przed nimi ukazały się dwie czarne góry o pionowych zboczach. Między nimi był przesmyk.

– Czarna Dziura – oznajmił Bager, bledszy niż kiedykolwiek. – Wejście do Saint John's.

Odwrócił się do Knuda Erika, który stał przy sterze.

– A więc jednak będzie tak, jak chciałeś – uśmiechnął się. – Płyniemy do Saint John's zaprowiantować.



Nie zapomniał *miss* Sophie. Zapomniał o sobie, a monotonia sztormu pochłonęła wraz ze wszystkim również ją. Na słowa szypra i widok przesmyku między stromymi zboczami, który Bager nazwał Czarną Dziurą, *miss* Sophie powróciła.

Spotkanie z nią stało się dla niego ważniejsze, niż było przedtem. Otrzymał jeszcze jedną szansę i nagle poczuł, że to nie przypadek. Wszystko znów nabrało sensu, a ten sens wskazywał na jedno: na *miss* Sophie.

Zapomniał o wrzodach i o mokrym ubraniu. Wewnętrzne napięcie woli, które tkwiło w jego ciele przez trzydzieści dni, sprawiając większy ból niż jakikolwiek fizyczny wysiłek, ustąpiło. Dopiero teraz uświadomił sobie, że sztorm minął, i wtedy w jego wnętrzu rozpętała się nowa burza. Słyszając słowa szypra, poczuł na sobie przekłęty rumieniec. Niecierpliwy wiatr burzył mu krew, zmuszając serce, by biło mocniej.



Bager przejął ster i weszli przez Czarną Dziurę. Za nią rozpościerał się wąski kanał portowy Saint John's, zapchany łodziami rybackimi, szkunerami i niedużymi parowcami. Drewniane domy czepiały się skał. Wzdłuż portu budynki stały w gęstych szeregach, zwrócone do wody szczytowymi ścianami, na przemian składy i magazyny z prowiantem. Na nabrzeżach roilo się od ludzi i wozów. Uliczny zgiełk mieszał się z krzykiem mew, a wszystko przenikał smród ryb i rybiego tłuszczu.

Saint John's nie było dużym miastem, co zauważył od razu. Kopenhaga była większa, ale nabrzeża wzdłuż kanału Frederiksholm wydawały się puste w porównaniu z życiem, które toczyło się tu, na jego oczach. Wyobrażał sobie Saint John's jako nieco większe Little Bay. Gdzieś za miastem *mister* Smith powinien mieć dom, podobny do tego w Little Bay, do którego on mógłby pójść, zapukać do drzwi i znów spotkać się z *miss* Sophie. Stracił jednak odwagę. Tu nigdy nie zdoła jej odnaleźć. Tu był nie jeden *mister* Smith, tylko setka, i – ta myśl niemal go sparaliżowała – może nie jedna *miss* Sophie, lecz sto.

•

Rozpalili piec w kubryku. Wysuszyli ubrania, umyli się, parszkając, w kuble gorącej wody, a potem wyciągnęli z worków marynarskich czyste rzeczy. Na chwilę zasiedli wokół stołu na środku kubryku i wyglądali tak, jakby na statku służyli wyłącznie ku ozdobie. Jeden po drugim zaczęli kiwać głowami.

– Niech mnie diabli porwą, czuję się jak luzowany kurczak. W ciele nie została mi ani jedna kosteczka – stwierdził Rikard.

•

Następnego dnia rano szyper oznajmił, że wieczorem dostaną przepustkę i mogą zejść na ląd. Ruszyli do miasta całą grupą, nawet Helmerowi pozwolono opuścić statek. Podczas sztormu przeszedł chrzest. Dzięki zawsze punktualnej kawie załoga zaczęła w pełni traktować go jak swojego. Wzięli kurs na Water Street tuż za terenem portu.

Dreymann puścił oko do Knuda Erika.

– Tam na pewno spotkasz *miss* Sophie.

Weszli do jakiejś knajpy i zamówili piwo. Pełno tam było kobiet, jedna podeszła do ich stolika. Miała umalowaną twarz i uśmiechała się do nich wielkimi czerwonymi ustami.

Algot jedną ręką objął jej szeroką talię.

– Weź ją sobie w zamian – zaproponował Knudowi Erikowi. – Dostaniesz za pieniądze więcej, niż da ci ta chuda *miss* Sophie. Nie mam racji, Sally, czy jak tam, u diabła, ci na imię?– Julia – odparła kobieta. – My name is Julia.

Znała wielu marynarzy ze Skandynawii i odrobinę rozumiała ich język.

Nachyliła się pofale nad Knudem Erikiem, roztaczając zapach potu i perfum. Z bliska zobaczył, że w przypominającym mączkę pudrze na jej twarzy pojawiły się szczeliny odsłaniające ukryte pod nim zmarszczki. Złożyła usta do pocałunku, a on odruchowo się odwrócił. Złapała go wtedy za kark, próbując przyciągnąć jego twarz do na wpół odsłoniętych piersi.

– *Such a pretty boy shouldn't sleep alone.*

Wyrwał jej się i odwrócił tyłem. Towarzysze hałaśliwie się roześmiali. Wypił łyk piwa z butelki, chcąc ukryć swoje zażenowanie. Piwo było gorzkie, aż się skrzywił. Dobrze, że siedział tyłem, dzięki temu nikt nie dostrzegł grymasu. Pociągnął jeszcze raz w nadziei, że tym razem posmakuje mu bardziej. Tak się nie stało. Czy naprawdę musiał pić to paskudztwo?

Znów odwrócił się przodem do reszty. Kobieta siedziała na kolanach Algota z butelką przy ustach. Pozostali byli zajęci jakąś dyskusją.

– Zaczekaj do Setubal. Tutaj to jeszcze nic – oświadczył Rikard.

– Setubal! – skrzywił się Algot. – No, co ty, Martynika! Tam tańczą nago na stołach.

– Owszem, i zarażają syfilisem – odparował Rikard. – Mieliśmy kiedyś bosmana. Jedna noc z dziewczynką, a trzy miesiące później umarł na syfilis. To była, niech mnie wszyscy diabli, najwyższa cena za piczkę. Zatrzymaj dla siebie te swoje Murzynki!

– Teraz możecie sobie gadać, chłopaki – odezwał się Dreymann z tonem wyższości w głosie. – W Anglii zabieramy córkę szypra. A kiedy już panna Kristina znajdzie się na pokładzie, będziecie musieli bardziej zważać na słowa.

Knud Erik spojrział na Helmera, który siedział milcząco z butelką piwa w ręku. On też nie wypił zbyt dużo.

– Nie można tu dostać czegoś innego do picia? – spytał Knud Erik, usiłując przybrać ton światowca.

– Masz na myśli wodę z sokiem? – zawołał Rikard i zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Gin – powiedziała kobieta. – Give him some gin.

Dreymann bacznie przyjrzał się Knudowi Erikowi.

– Z ginem uważaj – ostrzegł. – Jest tak samo mocny jak nasza wódka.

– Bzdura! – krzyknął Algot. – Wygląda jak woda, smakuje jak woda i cholera, działa jak woda!

Podsunął Knudowi Erikowi szklaneczkę z przejrzystym płynem.

– Proszę cię bardzo, spróbuj.

Knud Erik, uszczęśliwiony, że uwolnił się od goryczy piwa, wziął porządny łyk. Patrzyli na niego wyczekująco. Smak był mocny, ale bez piekącej ostrości. Na próbę wypił jeszcze trochę. Gin wypełniał mu usta przyjemną łagodnością, ale zamiast spływać do przełyku wydawał się kierować w odwrotną stronę, z szemraniem torując sobie drogę ku wnętrzu czaszki. Knud Erik miał wrażenie, że ktoś głaszcze mu głowę od środka.

Algot spojrział z uznaniem. Kobieta uśmiechnęła się do Knuda Erika i nadstawiła usta do pocałunku. Zaraz jednak znów się odwróciła, by zająć się Algotem, który wsunął jej rękę pod spódnice.

Knud Erik patrzył na towarzyszy i czuł przyjemne pulsowanie w mózgu. Ogarnęła go wesołość, tylko czekająca, by dał jej upust. Zaśmiał się do Helmera, który odpowiedział mu uśmiechem, wdzięczny, że ktoś zwrócił na niego uwagę.

– Powinieneś spróbować ginu – powiedział Knud Erik tonem starego wygi. – Jest o wiele lepszy niż piwo.

Helmer pokręcił głową.

– Aż tak bardzo nie chce mi się pić.

– Tu nie rzecz w pragnieniu. Chodzi o to, żeby się upić!

Helmer znów pokręcił głową.

Knud Erik się nie upierał.

– No, niech tam, zdrowie!

Wychylając szklanekę, ujrzał siebie w dużym lustrze w złożonych ramach. Na czoło opadał mu jasny lok. Oczy miał piwne, odziedziczył je po matce. Może rzeczywiście był *pretty boy*?

Świat zaczął się poruszać, lecz w przeciwieństwie do rozhuśtanego pokładu, jego ruchy były nieobliczalne. Podłoga wybierała co chwila nowe zaskakujące kąty nachylenia i chociaż wkrótce się przekonał, że jedynie krzesło zapewnia jako takie bezpieczeństwo, to i tak przez cały czas wstawał i niepewnie krążył po sali. Wesołości, którą miał w sobie, nie wystarczało towarzystwo wokół stołu. Musiał patrzeć na tańczących, kołysać się lekko w rytm muzyki, opierać o stół, rozkładać ręce jak do powitania. Od czasu do czasu jakaś kobieta dłoń na próbę przesuwała mu się po torsie albo lekko dotykała spodni z tyłu. Jego spojrzenie zaraz jednak mówiło, że nie tą drogą zamierzał podążać tego wieczoru, kobiety odchodziły więc w przepychający się tłum, kręcąc biodrami na pożegnanie.

Knud Erik pozwalał się trącać i przesuwać. Nacisk ciał ludzi stojących wokół powstrzymywał go przed upadkiem. Nagle wśród błogosławionego łaskotania ginu w korę mózgową wdarła mu się do głowy myśl, że gdzieś tam jest *miss* Sophie i czeka na niego. Wystarczy, by stąd wyszedł, a na pewno ją odnajdzie. Teraz to on potrącał ludzi i miał w tym cel. Odnalazł drzwi i wyszedł na Water Street.

Nie wiedział, jak późna może być pora, ale na ulicy wciąż było tłumnie. Większość stanowili mężczyźni poruszający się ciężkim, chwiejnym krokiem po chodniku albo środkiem ulicy, gdzie próbowały ich wyminąć parszkające konie i trąbiące samochody. Znajdowały się tam jednak również pojedyncze kobiety, wypatrujące czegoś oczami z czarnymi obwódkami.

Dotarł do końca Water Street. Tłum się przerzedził. Zawrócił kawałek i skręcił w boczną uliczkę. Na rogu Duckworth Street dostrzegł jej kark. Szła odwrócona do niego tyłem, w pewnej odległości, ubrana w długi zimowy płaszcz. Wystawały spod niego nogi w zimowych botach. W ręku miała torebkę. Co do wszystkiego mógł się pomylić, ale nie do tego nagiego, opalonego karku, widocznego nad futrzanym kołnierzem zimowego płaszcza. To była ona!

Zaczął za nią iść, ale nagle zniknęła mu z oczu. Na chwilę utknął w tłumie na chodniku, potrącony przez okazalej tuszy kobietę, która usiłowała go wyminąć, przesuwając się w tę samą stronę co on. Zaraz znów wpadli na siebie. Poczul na twarzy jej ostry oddech, pachnący alkoholem. Zszedł na ulicę. Jakiś woźnica posłał mu przekleństwo i strzelił batem. Knud Erik zaczął biec rynsztokiem. Dotarł do skrzyżowania z King's Road i dostrzegł jej plecy po drugiej stronie ulicy. Wkrótce znów stracił ją z oczu, lecz miał pewność, że jest na jej tropie. Przestał biec. To był element zabawy. Nie chciał dogonić jej zbyt szybko.

Powtórzą tamten pocałunek. I co dalej? Nic. Pocałunek wystarczy. Jeszcze jeden raz wciągnie powietrze z jej płuc.

Zaczął znów biec, wyłącznie po to, by poczuć pewność, z jaką stawał stopy na chodniku. Całe jego ciało wypełniła niezwykła lekkość. Nigdy wcześniej nie zaznał takiej wiary w siebie jak w tej chwili.

Ulica przed nim była teraz pusta. Signal Hill Road zaczynała powoli wspinać się na wzgórze przylądka, zwieńczone Cabot Tower. Zobaczył czarny kształt wieży sygnałowej na tle wijącego się pasa Drogi Mlecznej. Gwiazdy na niebie zdawały się poruszać w tym samym tempie co on, niczym migoczące stado ptaków podczas jesiennych odlotów lecące na nocnym niebie.

Dostrzegł ją już znacznie wyżej na zboczu, czarną postać na tle drogi pokrytej białym szronem. Sunęła pod górę, jak gdyby ciągnięta na niewidocznym sznurze.

Znów puścił się biegiem, ale zabrakło mu tchu i musiał na chwilę przystanąć. Minął jezioro i kilka drzew. Wszystko srebrzył szron lśniący jak gwiazdy na bezchmurnym mroźnym niebie. W dole Knud Erik widział czarny las masztów i oświetlone gospody wzdłuż Water Street.

Dotarła aż do Cabot Tower, zanim ją dogonił. Wciąż stała obrócona plecami, wpatrzona w Atlantyki, który tuż za portem rozpościerał się we wszystkie strony niczym matowa, czarna powierzchnia, pochłaniająca wszelkie światło. Przez moment stał całkowicie oszołomiony jego niepojętym rozmiarem.

– Sophie! – zawołał.

Nagle poczuł niepewność. Ona się odwróciła. Na jej twarzy nie było zdziwienia.

– Słucham, Knudzie Eriku – powiedziała po prostu. W słabym blasku gwiazd jej wargi wydawały się czarne. – Czego ode mnie chcesz?

Odurzenie alkoholem wróciło mu odwagę. Rozłożył ręce, szykując się, by ją objąć.

– Pijany jesteś? Byłeś w gospodzie na Water Street?

Popatrzył na nią urażony.

– Nie jestem pijany. Chcę tylko pocałunku.

Na twarzy pojawił mu się uśmiech. O urazie Knud Erik już zapomniał. Dotarł do miejsca, w którym liczyła się tylko radosna pieśń rozbrzmiewająca w jego głowie.

Uwięził ją w nieoczekiwanie mocnym uścisku. Nachylił się i odnalazł jej wargi. Ona ani drgnęła. Knud Erik zamknął oczy, ale znów je otworzył. Sophie wpatrywała się przed siebie i zdawała się go nie widzieć. Delikatnie przycisnął wargi do jej ust w nadziei, że powróci czar tamtego pierwszego pocałunku, lecz nic takiego nie nastąpiło.

Odepchnęła go od siebie.

– Odejdź stąd! – powiedziała. – Słyszysz? Zostaw mnie w spokoju!

Knud Erik stał z otwartymi ustami, jakby nie zrozumiał jej słów.

– Zostaw mnie w spokoju!

Tym razem krzyknęła, a w jej oczach pojawił się wilgotny blask. Tupnęła butem w zmrożoną ziemię.

– Przestań się za mną włóczyć jak jakiś pies!

Knuda Erika ogarnął gniew równie gwałtowny jak przed chwilą zakochanie.

– Nie nazywaj mnie psem! – krzyknął.

Złapał ją za ramiona i zaczął nią potrząsać. Była od niego wyższa, ale on miał więcej siły. Jej głowa kiwała się w przód i w tył, ale oczy wciąż wpatrywały się z uporem.

– Pies! – powtórzyła.

Puścił ją nagle. Wzburzony, ciężko oddychał.

– Głupia gęś!

Splunął między jej buty.

Potem odwrócił się na pięcie i zaczął zbiegać ze wzgórza.

– Knud Erik! – zawołała za nim.

Nie zatrzymał się. Kilka razy o mało nie upadł, pędząc na oślep po zamrożonej ziemi; oszołomienie alkoholem pozostało, przydając dziwnej lekkości nogom. Mróz wymierzał mu jeden policzek za drugim.

Dotarł do podnóża Signal Hill i ujrzał odmienione miasto. Gospody wzdłuż portu już zamknięto. Gęsty przepychający się tłum, który wypełniał chodniki Water Street, zniknął. Ulice pokrywała cienka warstewka szronu, podkreślającego swoim zimnym blaskiem nienaturalną ciszę, która spowiła tak hałaśliwe wcześniej okolice portu. Również maszty wzdłuż kei srebrzyły się od szronu i przypominały upiorny las, przez pożar zmieniony w biały popiół i czekający na najmniejsze tchnienie wiatru, by rozpaść się w pył.

Odnalazł „*Kristinę*” i zszedł po trapie do kubryku, gdzie alkohol wreszcie go zmógł. Półprzytomny zwałił się na koję i oczy zaraz mu się zamknęły.

•

Następnego dnia rano obudziły go przekleństwa Rikarda.

– Gdzieś ty się, u diabła, podziewał, chłopcze? Nie możesz tak po prostu znikać.

Ale ich uśmiechy powiedziały mu, że byli zbyt pijani, by na poważnie się o niego martwić. Przypomniał sobie kłębiący się tłum w gospodzie. Z pościgu za *miss* Sophie przez ulice Saint John’s pozostały mu jedynie niewyraźne szczątki wspomnień. To samo dotyczyło spotkania na Signal Hill, które jakby wydarzyło się za drzwiami odgradzającymi sen od jawy.

Poczucie odrzucenia wciąż go piekło. Słabo pamiętał wrażenie otwierającej się nagle przed nim otchłani, lecz nie potrafił znaleźć przyczyny, która je wywołała.

Nie przestawało mu to krążyć po głowie, ale nic więcej sobie nie przypominał.

•

Złapał mróz. Było dziesięć stopni i na wodzie w porcie już zaczęła się tworzyć cienka warstwa lodu.

Po południu przyszedł do niego szyper. Knud Erik spodziewał się awantury, ale Bager zapowiedział mu tylko, że następnego dnia ma mu towarzyszyć do miasta.

– Znajdziesz czysty worek – przykazał. – Jutro pójdziemy do rzeźnika na Queen’s Road po świeże mięso.

Gdy nazajutrz szli przez miasto, widzieli na ulicach ludzi rozmawiających w niedużych grupkach. Panowała dziwna naładowana atmosfera, jakiś niepokój kazał spieszącym przechodniom nagle się zatrzymywać i wdawać w rozmowę z nieznajomymi, a potem odrywać się od nich jedynie po to, by moment później przyłączyć się do kolejnej grupy rozprawiających w podnieceniu ludzi.

Bager, który odrobinę znał angielski, spytał rzeźnika, co się dzieje. Olbrzymi mężczyzna w poplamionym krwią gumowym fartuchu wyrąbywał sobie drogę przez góry czerwonego mięsa na wyszorowanym do białości pieńku rzeźnickim. Nie spieszył się z odpowiedzią. Od czasu do czasu wypuszczał topór i rozkładał ręce, ze smutkiem kręcąc przekrwioną głową. Potem znów atakował ociekające krwią mięso. Topór wbijał się głęboko w drewno.

Knud Erik nie rozumiał słów, ale wychwycił nazwisko *mister* Smitha.

Bagerowi twarz pociemniała; zerknął na Knuda Erika.

– Wiedziałem – mruknął. – Zawsze mówiłem, że ta dziewczucha źle skończy. Ale to przykre.

– Co on powiedział? – dopytywał się Knud Erik po wyjściu od rzeźnika.

Bager się nie odezwał, tylko przyspieszył kroku i wkrótce znacznie go wyprzedził. Nie rozmawiali przez całą drogę do portu, szyper trzymał go na dystans.

Krew przesączała się przez worek, tworząc duże, ciemne plamy na szarym płótnie. Knud Erik miał wrażenie, że ludzie gapią się na niego, i przyszło mu do głowy, że musi przypominać mordercę, który w biały dzień niesie przez miasto szczątki swojej okaleczonej ofiary.

Kiedy znaleźli się na statku, Bager kazał mu pójść ze sobą do kajuty.

– Siadaj – powiedział i sam zajął miejsce naprzeciwko. Wychylił się i złożył ręce na stole. – *Miss Sophie* – zaczął i zamilkł. Wbił wzrok w blat, ciężko westchnął. – *Miss Sophie...* – powtórzył – ...zniknęła. – Mocno uderzył pięścią w stół. – Niech to piekło pochłonie!

Knud Erik milczał. Nie zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale w głowie zapanowała czarna noc. Wszystko widział ostro, ale nie był w stanie nic pomyśleć.

– Nie ma jej już od dwóch dni. Nikt nie wie, gdzie się podziała. Wypadek czy zbrodnia? Osobiście uważam, że uciekła z jakimś marynarzem. To zwariowana dziewczyna. Tak, tak, wiem, że nie powinienem tak mówić, ale ona miała nie po kolei w głowie. Jej matka nie żyje. Na pewno sama ci o tym mówiła. A *mister* Smith był zbyt zajęty innymi sprawami, żeby wychować ją jak należy. Robiła, co chciała. A to nigdy nie jest dobre dla dziewczyny w jej wieku. Ta idiotyczna zabawa z zapraszaniem jungów ze statków na herbatę, strojenie się jak dama i zawracanie im w głowie. Tak, tak, nie byłeś jedyny. – Bager patrzył wprost na Knuda Erika. – Mój Boże, oszalałeś przez nią. Tak, wyrzucam to sobie. Nie powinienem był cię puścić, ale *mister* Smith zleca nam fracht, więc niełatwo mu odmówić. Pomyślałem, że to w niczym nie zaszkodzi. A teraz sam widzisz, do czego doszło.

Knud Erik nic nie mówił. Teraz wiedział, co mu się przydarzyło pod wpływem alkoholu. Ale czy wiedział to naprawdę? Widział szczupłą postać *miss* Sophie w płaszczu, poruszającą się w górę Signal Hill, gdzie ciemny kontur Cabot Tower rysował się na tle Drogi Mlecznej. Widział jej twarz i usta, które wydawały się czarne w bladym świetle gwiazd, i wreszcie odnalazł źródło obezwładniającego poczucia zdrady, które tak dotkliwie go piekło przez ostatnie dwa dni. Przypomniał sobie swój szaleńczy bieg w dół Signal Hill i ciche miasto spowite całunem szronu. Zostawił *miss* Sophie tam na górze, pod zimnymi gwiazdami. Czy ponosił winę za to, co się później stało, tylko dlatego że uciekł? Ale przecież to ona go odrzuciła. Tupnęła nogą i nazywała go psem.

To wszystko wydawało mu się snem. Czy mógł zaufać własnej pamięci? A jeśli wydarzyło się coś zupełnie innego? Uderzył ją? Nagle poczuł niepewność i zapatrzył się gdzieś przed siebie.

– Bardzo mi przykro – powiedział szyper. Znów wbił wzrok w stół i mówił jakby do siebie. – Przykro mi, że ją poznałeś. Wiem, że to moja wina.

Podniósł oczy i zauważył nieobecne spojrzenie Knuda Erika.

– Powiedz, chłopcze, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

•

Kiedy Knud Erik wyszedł na pokład, od razu się zorientował, że pozostali już wiedzą. Historia musiała przewędrować przez miasto do portu i dalej, na statki. Patrzyli na niego z powagą, w milczeniu. Jedyne Rikard miał ściągnięte usta, jakby wstrzymywał się przed wyrzuceniem z siebie całego zapasu niewykorzystanych złościwości.

Co o nim myśleli? Czy o coś go podejrzewali? Gdyby znali prawdę o jego nocy na Signal Hill, co wtedy by powiedzieli?

A co on sam o tym myślał?

Czy człowiek zawsze wie, co robi, kiedy się upije?

Na tym pytaniu się zatrzymał. Nie miał żadnego doświadczenia w piciu i bardzo niewiele wiedział o sobie. Ale nie opuszczało go wrażenie, że tamtej nocy na Signal Hill przydarzyło się coś brzemiennego w skutki.

Nie tylko niepewność kazała mu trzymać język za zębami. Całe to wydarzenie było zbyt osobiste, za bardzo go dotknęło.

Nie mógł o nim powiedzieć, nie ujawniając swojej kłębki. Odczuwał bezwzględłą potrzebę zwierzenia się komuś i zyskania bodaj odrobiny jasności co do tego, co zaszło na Signal Hill, lecz instynkt samozachowawczy kazał mu zamknąć usta. Tamci od razu by na niego napadli. Tego jednego był pewien.

Wieczorem wsunął się na koję, nie zamieniwszy z nikim ani słowa.

•

Temperatura codziennie utrzymywała się w okolicach dwunastu, czternastu stopni poniżej zera. Rano na pokładzie leżał śnieg. Przez powietrze ze świstem przeleciała śnieżka i rozbiła się w pył na maszcie. Wkrótce rozpoczęła się walka na śniegowe kule między statkami cumującymi blisko siebie w wąskim porcie Saint John's.

Knud Erik nie brał udziału w bitwie. Stał z rękami w kieszeniach grubych moleskinowych spodni i trząsał się na mrozie.

◆

•

Cztery dni po nadciągnięciu mrozu wyszli w morze. Holownik wyprowadził ich przez Czarną Dziurę. Wiał ostry północny wiatr, a zimny prąd im sprzyjał. Płynęli przez gęsty śryż, a mimo to mieli niezłą prędkość. Około jedenastej przed południem szyper kazał Knudowi Erikowi wspiąć się na fokmaszt z poleceniem wypatrywania otwartej wody. Wdrapał się więc po wantach aż na bramreję. Pod nim żagle były sztywne od mrozu. Na południe lód sięgał po horyzont. Wielka, ciągnąca się równina, oślepiająco biała w słońcu, wywołała u niego mdłości, które towarzyszyły mu jeszcze na pokładzie.

Na obiad było duszone mięso z ziemniakami, ale Knud Erik myślał o pieńku rzeźnika i o worku, na którym przesączająca się krew rozlewała się w duże, ciemne plamy. Nie mógł nic zjeść, ale nie chciał zostawić nietkniętego obiadu. Wsunął do ust kawałek mięsa, poczuł jednak, że zaczyna ono rosnąć i sięga aż podniebienia. Wybiegł na pokład i zwymiotował przez reling.

•

Chyba drugiego dnia wśród rozległych połaci śryżu dostrzegli otwarty szlak. Wiało coraz mocniej i woda zaczęła się poruszać. Wciąż utrzymywała się niska temperatura i na „*Kristinie*” zaczął osiadać lód. W ciągu nocy i następnego dnia statek pokrył się grubym pancierzem. Wszystkie fały zmieniły się w zlepione lodem bryły. Na nadburciu wyrósł cały pochyły pagórek, a na pokładzie leżał lód grubości stopy. Bukszpryt był zbitym lodowym blokiem aż po delfiniak.

Statek, już wcześniej maksymalnie obciążony, zanurzył się jeszcze bardziej, gdy jego waga wzrosła o kilka ton. Dziób tkwił niebezpiecznie głęboko w wodzie. Pokład znajdował się na tym samym poziomie co morze po drugiej stronie oblodzonego nadburcia. Żagle przypominały ciężkie deski, które nie wiadomo dlaczego wciągnięto wysoko na maszt.

Czuli się tak, jakby znaleźli się na olbrzymim lodowym bloku, któremu rzeźbiarz usilnie się starał nadać kształt statku. Ale lód sobie tego nie życzył. Nie poddawał się i nieustannie psuł plany, sprawiając, że wszystko, czemu rzeźbiarz zdołał nadać formę, z powrotem wracało do pierwotnej bezkształtności. Takielunek, nadburcie, bukszpryt, wszystko to, co nadaje statkowi tożsamość i pozwala mu pokonywać morze, usiłowało teraz zmienić się w prostokąty i słupy, przestawało być olinowaniem i elegancko wygiętym drewnem, statkiem, czy choćby jego imitacją, było niczym klocki w niezdarnych rękach dziecka, niczym wyrok śmierci przypieczętowany, gdy nieproszony ciężar lodu odebrał „*Kristinie*” ostatnie resztki dzielności morskiej, pozostawiając wyłącznie martwą wagę lodu i klipfisz, która wkrótce pójdzie na dno.

•

Los załogi zależał od wyniku walki z lodem. Dobrze o tym wiedzieli. Otworzyli więc skrzynki z narzędziami, każdy złapał za młot. Ruszyli do ataku na otaczający ich lodowy pałac. Rozległo się wesołe podzwanianie, gdy lód odrywał się od takielunku i lądował na pokładzie. Ale sam pokład opierał się ich wysiłkom. Walili aż do siódmych potów, czerwoni na twarzach, i być może tu i ówdzie udało im się zrobić szczelinę, ale powłoka lodu i tak nie dała się ruszyć. Na nadburciu wciąż rósł stromy pagórek. Do bukszprytu w ogóle nie mogli się zbliżyć. Już samo dotarcie na zmrożony blok groziło śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Początkowo byli pełni otuchy i pokrzykiwali do siebie. Potem umilkli. Wreszcie ustały również uderzenia młotków. Bager zrezygnował pierwszy. Złapał się za pierś, oczy zrobiły mu się szklane, ciężko dyszał, chwytając powietrze. Potem przyszła kolej na Dreymanna. Siedli wycieńczeni tam, gdzie stali, każdy uwięziony w kapsule własnej samotności, jakby już stawali się częścią góry lodowej, która wyrastała wokół nich coraz cięższa.

Z wąsów Dreymanna zwisały sople. Miał szron na brwiach i w dziurkach nosa. Policzki Rikarda i Algota, pokryte jednodniowym zarostem, mróz posypał białym proszkiem. Ze zbiełałymi twarzami przypominali upiory.

Czy i rzęsy zlepi lód, uniemożliwiając uniesienie powiek? Czy będzie to ostatni wobec nich gest mrozu? Śmierć zamknie im oczy, by nie zamarzyli ze szklistym spojrzeniem, wbitym w szarą pokrywę nieba?



Ten sam lód, który groził im śmiercią, przyniósł wybawienie. Znów wpłynęły na zamarzające wody, ale tym razem sryż zmienił się w zwartą pokrywę, która w ciągu kilku godzin zamknęła się wokół „*Kristiny*”, wypychając obciążony kadłub do połowy z wody. Niebezpieczeństwo zatonięcia minęło. Pod naciskiem lodu grube drewno jęczało. Gdyby statek został zbudowany ze stali, kadłub by nie wytrzymał, więc pod tym względem mieli szczęście. Otrzymali odroczenie, ale lód wciąż się z nimi bawił.

Tak byli zajęci walką o przetrwanie, że przestali spoglądać na horyzont. Teraz wreszcie podnieśli oczy i w oddali dostrzegli statek, który tak samo utknął w lodzie. Był to mocno uszkodzony szkuner ze złamanym dużym grotmasztem i zwisającym takielunkiem.

Dreymann przyniósł lornetkę i skierował ją na statek w opałach. Przez chwilę milczał, usiłując odczytać nazwę na dziobie.

– Niech mnie piekło pochłonie! To „*Ane Marie*”!

– Jest ktoś na pokładzie?

W głosie Bagera zadźwięczała nadzieja. Knud Erik stał obok niego. Serce mu waliło. Pomyślał o Vilhjelmie.

– Z tego, co widzę, nie.

– Dawaj!

Bager niecierpliwie odebrał mu lornetkę i zaczął badać lód.

– Czy to ze mną jest coś nie tak, czy co? – zawołał nagle. – Pingwiny przecież żyją na biegunie południowym, prawda?

– No tak – przyznał Dreymann. – Pingwiny to biegun południowy. W tych stronach ich nie ma.

– Tak właśnie myślałem. Jak chcecie, możecie mnie nazwać durniem, ale na lodzie przed „*Ane Marie*” stoi pingwin cesarski.

Lornetka ruszyła z rąk do rąk. Rzeczywiście, na białej lodowej pustyni przy wraku szkunera chwiały się pingwiny.

– On idzie w naszą stronę! – zauważył Knud Erik.

Tłoczyli się razem przy relingu. Pingwin człapał wolno, osobliwym pingwinim krokiem, powłócząc nogami i kołysząc się, jakby włókł za sobą przez lód jakiś wielki ciężar.

– Spotka cię przykre rozczarowanie, pingwinku – stwierdził Dreymann. – Tę odrobinę żarcia, którą mamy, zatrzymamy dla siebie. Nie dostaniesz nawet okruszyny.

Knud Erik milczał. Mrużył oczy i wydawał się nie zwracać uwagi na to, co mówili towarzysze.

– To nie jest pingwin – oświadczył w końcu.

Dreymann znów przyłożył lornetkę do oczu.

– Chłopak ma, cholera, rację! Jeśli to pingwin, to jakby zestarzał się i posiwiał.

Podrapał się w głowę pod czapkę.

– Bóg jeden wie, co to jest.

– Pingwiny mają białą pierś – powiedział Algot. Swoją wiedzę zdobył w ogrodzie zoologicznym w Kopenhadze.

– To człowiek! – wykrzyknął Knud Erik.

Jednym skokiem pokonał reling i z hukiem wylądował na lodowej płycie. Potem zaczął biec w stronę dziwacznej istoty, która nie zważając na nic, kontynuowała swój mozolny marsz ku „*Kristinie*”. Bager krzyknął, że ma wracać, ale on nie posłuchał. Pędził jak sztormowy wiatr. Teraz widział już, że człowiek, którego w pierwszej chwili wzięli za pingwina, jest ubrany w zimowy płaszcz do samej ziemi, zasłaniający mu nogi. Musiał mieć mnóstwo rzeczy pod spodem, bo płaszcz ledwie się dopiął. Ręce sterczały mu na boki jak płetwy. Głowę miał owiniętą chustką, a na „czapkę z Helsingør”, podbitą wełną uszankę z jagnięcej skóry, naciągnął za duży kaszkiet, którego daszek niemal całkiem zakrywał mu twarz. To właśnie on z daleka przypominał dziób.

Knud Erik był już blisko, a człowiek w płaszczu podjął próbę zamachania rękami. Ten gest znów nasunął skojarzenie ze skrzydłami pingwina.

Wreszcie stanęli naprzeciw siebie. Twarz człowieka wciąż pozostawała niewidoczna. Znieruchomiał, jakby miał w plecach kluczyk, i czekał, aż ktoś go nakręci jak zabawkę. Knud Erik ręką drżącą z niecierpliwości albo ze strachu przed tym, co znajdzie pod warstwami ubrania, zdjął człowiekowi kaszkiet. Wyłoniła się drobna twarz z zapadniętymi policzkami i głęboko osadzonymi oczyma. Na zaczerwienionej od mrozu skórze widniały rozległe, otwarte odmrożenia. Brody nie porastała gruba męska szczecina, tylko delikatny, puchowy dywanik, który można jednak było nazwać zarostem. Pokrywał go szron, tak jak wszystko inne, w czym jeszcze tliło się życie.

– Knud Erik – powiedziała twarz.

– Broda ci urosła.

Oczy Knuda Erika wypełniły się łzami, wybuchnął szlochem, którego gwałtowność jego samego zaskoczyła.

Vilhjelm ostrożnie się uśmiechnął. Usta miał popękane. Spojrzał jeszcze, tracąc przytomność, i jego pingwinia postać osunęła się na lód.

Knud Erik za plecami słyszał, że zbliżają się Rikard z Algotem. Wreszcie go dogonili.

•

Siedzieli w kajucie Bagera, wpatrzni w niewielkiego człowieka, który leżał na koi owinięty w koce i kołdry. Vilhjelm spał spokojnie, zapadnięta twarz spoczywała na białej poduszce. Czekali, aż się obudzi.

Rikard i Algot poszli na „*Ane Marie*”. Znaleźli szypra Ejvinda Hansena i sternika Petera Eriksena, obu z Marstał, każdego w swojej kajucie. Obaj wyglądali tak, jakby śmierć z zimna dopadła ich we śnie. Po marynarzach nie pozostał żaden ślad, i dlatego doszli do wniosku, że zmyło ich do morza, jeszcze zanim statek utknął w lodzie. Sztorm zabrał z pokładu fokmaszt i grotmaszt. Załoga usiłowała zrobić maszt awaryjny z bomu ładowniczego, który przywiązali do szczątków fokmasztu. Splątane liny, drzewca i żagle znajdowały się pod lodem pokrywającym pokład mocno przechylnego statku. Część szczątków takielunku przymarzała do burty.

Rikard i Algot, zdawszy sprawozdanie, umilkli. Nieustannie wstrząsały nimi dreszcze, jakby marzli, chociaż w ciasnej kajucie porządnie napalono.

Zdjeli z nieprzytomnego Vilhjelma całe ubranie. Naliczyli cztery warstwy. Był drobnej budowy, inaczej nie zdołałby włożyć tylu rzeczy naraz.

– Jak on srał? – zdziwił się Algot.

– Coś mi się wydaje, że największy problem stanowiło nie sranie, tylko raczej włożenie w siebie czegoś od drugiej strony.

Dreymann wskazał na wychudzone ciało chłopaka, którego wystające kości mówiły same za siebie.

Rozebranie go przypominało trochę otwarcie puszkki sardynek i odkrycie, że w środku są same ości.

Natarli nagie ciało rumem. Potem ubrali Vilhjelma w czyste rzeczy, owinęli kocem i ułożyli na koi. Czuwali przy nim na zmianę. Spał przez półtorej doby. Knud Erik nie odstępował go na krok, a Bager mu na to pozwolił. Rikard i Algot pierwsi poszli się przespać. Bager i Dreymann spali na zmianę w kajucie sternika. Wszystkie zasady porzucono. Mróz związał ich ze sobą, a okaleczona „*Ane Marie*”, rysująca się na tle szarego nieba, nieustannie przypominała o losie, który ich czekał, jeśli szczęście przestanie im sprzyjać.

•

W środku nocy Vilhjelm otworzył oczy. Jedyne światło w kajucie pochodziło z lampy naftowej przyśrubowanej do ściany.

– Jestem głodny – powiedział po prostu. Zabrzmiało to jak prośba małego dziecka.

Bager, który drzemał na siedząco koło Knuda Erika, poderwał się z kanapy.

– No, do diabła! – wychrypiał zaspanym głosem. – Syn piaskarza się obudził! – Przyskoczył do koi z butelką rumu, wsunął Vilhjelmowi rękę pod głowę i przyłożył mu szyjkę do ust. – Masz chłopcze, wypij łyk, to pobudza.

Vilhjelm się napił, ale gdy ostry smak czystego rumu wypełnił mu usta, zaczął pluć.

Bager się wyprostował.

– Dreymann! – wrzasnął tak głośno, że słychać go było na całej rufie. – Chłopak się przebudził! Róbcie pieczeń wołową!

Sternik wtoczył się do kajuty.

– Tak jest, kapitanie.

Stanął na baczność i wesoło zasalutował.

– Dreymann zrobi ci niedzielną pieczeń, której nigdy nie zapomnisz. Puścił oko do Vilhjelma, który odpowiedział mu bladym uśmiechem.

– Ale wydaje mi się, że najpierw powinniśmy dać chłopakowi kilka ciasteczek.

Bager sięgnął po puszkę. Chłopak żuł sztywnymi szczękami, które najwyraźniej odzwyczały się od tego ruchu.

Wszyscy trzej przyglądali mu się tak, jakby nigdy w życiu nie widzieli, że ktoś przyjmuje pokarm.

– Co ty jadłeś? – spytał Knud Erik.

Vilhjelm żywił się sucharami, dopóki kilka dni temu się nie skończyły. Monstrualna fala zmyła pokład, zabierając kambuz i prowiant. Chłopak kuchenny w tym czasie już nie żył, podczas sztormu zerwała się szalupa i lecąc przez pokład, wbiła go w nadburcie. Co się stało z marynarzami, Vilhjelm nie wiedział. Przypuszczał, że zostali zmyci do morza. Poza tym nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, i nie wiedział, od jak dawna „*Ane Marie*” tkwi w lodzie.

Mówił bardzo słabym głosem, z długimi przerwami między zdaniami. Zupełnie nie przypominał Vilhjelma.

– Suchary były paskudne – powiedział. – Zamarznięte na kość. Musiałem je długo trzymać w ustach, żeby się rozpuściły. Bałem się, że jak robaki poczują ciepło, rozpełzną mi się po zębach. Ale wyzdychały z zimna. Mogłem więc i je zjadać.

– To pewno robakom możesz podziękować za to, że przeżyłeś – stwierdził beznamiętnie Dreymann.

Knud Erik wpatrywał się w Vilhjelma. Teraz już wiedział, dlaczego głos wychudzonego chłopaka na koi szypra brzmiał zupełnie inaczej niż głos przyjaciela z dzieciństwa w Marstal.

– Przestałeś się jękać! – zawołał.

– Naprawdę?

Przyszli Rikard i Algot. Wszyscy wpatrywali się w Vilhjelma, jakby był największą osobliwością, z jaką w życiu się zetknęli. Oto chłopak, który nie tylko umiał pogryźć ciasteczko, lecz również płynnie mówić.

– Słyszałem o czymś podobnym – powiedział Dreymann. – Jak się zamknie gębę na dostatecznie długi czas, to można się wyzbyć jękania.

– Ja nie zamknąłem gęby – odparł Vilhjelm swoim nowym głosem.

– A z kim gadałeś, jeśli wolno spytać?

– Czytałem na głos *Zbiór kazań marynarskich*, książkę szypra. Codziennie przez wiele godzin. Chodziłem po pokładzie. Wszyscy inni przecież nie żyli. Było tak cicho.

– Helmer! – wrzasnął Bager. – Gdzie się podział ten przeklęty chłopak? Trzeba nastawić pieczeń!

Odwrócili się, żeby popatrzeć na Vilhjelma.

Leżał z głową na boku z zamkniętymi oczami. Znów zapadł w sen.

•

Rikard z Algotem zabrali martwego sternika i kapitana z „*Ane Marie*”. Przenieśli ich przez lód na deskach szalunkowych i ułożyli na pokładzie. Dreymann zaszył zwłoki w płótno żaglowe. Zmarli leżeli na plecach ze sterczącymi nosami i czekali, aż lody puszczą, aby można było ich pochować w morzu. Kapitan Hansen był kiedyś potężnym mężczyzną. Zimno i głód nie zdołały całkiem pokonać jego ciała. Pod płótnem żaglowym wciąż rysowało się wybrzuszenie. To raczej wiek i zmęczenie sprawiły, że się poddał. Dobiegał już sześćdziesiątki, był zdecydowanie za stary na północny Atlantyk.

Sternik, dwudziestosiedmioletni Peter Eriksen, w porównaniu ze swoim kapitanem zajmował niewiele miejsca. W Marstal zostawił żonę i dwie córki. Teraz zmagaly się z niepewnością. Dlaczego on się poddał, skoro Vilhjelm przetrzymał? Sternik „*Ane Marie*” leżał na pokładzie niczym wielkie pytanie bez odpowiedzi. Knud Erik wpatrywał się w kontury twarzy, lekko widoczne pod płótnem żaglowym, i myślał o swoim ojcu.

Bager często przystawał przy zmarłych i przyglądał się im uważnie. Dobrze znał kapitana Hansena i pewnie zadawał sobie podobne pytania. Oba statki wyszły z Islandii w odstępie tygodnia. Równie dobrze sam mógł tu leżeć. W rękę trzymał *Zbiór kazań marynarskich*, od czasu do czasu go przeglądał. Vilhjelm podarował mu książkę, teraz więc pewnie przygotowywał się do ceremonii pogrzebowej na morzu.

Vilhjelm doszedł do siebie na tyle, by móc wstać i chodzić po pokładzie. Prosił, by pozwolono mu trochę pomagać w kambuzie. Prowiantu na razie było dosyć, a gdy dwaj odnalezieni przyjaciele chcieli pobyć trochę ze sobą, dawali Helmerowi wolne i wysyłali go do kubryku. Niechętnie tam szedł, bo kambuz oprócz kajuty szypra był najcieplejszym pomieszczeniem na statku. Poza tym przypuszczał, że w momencie, gdy znika za drzwiami, dwaj starsi chłopcy zaczynają się sobie zwierzać, a on miał charakterystyczny dla młodszych apetyt na słuchanie o przeżyciach tych bardziej doświadczonych.

Oni jednak niewiele rozmawiali o samotnych dniach Vilhjelma na „*Ane Marie*”. Pytany o to, Vilhjelm milkł i wbijał wzrok w podłogę, a Knud Erik zaczynał się obawiać, że przyjaciel znów zacznie się jękać.

Vilhjelm chętnie zmieniał temat. Wyczuł, że Knuda Erika coś dręczy, nakłonił go więc do wyznań i usłyszał opowieść o ostatnim spotkaniu z *miss* Sophie. Bo właśnie to nie dawało Knudowi Erikowi spokoju, a nie odrzucenie, nie piekąca drwina w jej głosie w tamtą noc na Signal Hill, gdy kazała mu przestać się włóczyć za sobą jak pies. To niepewność co do jej losu i własnego udziału w jej zniknięciu prześladowała go pod postacią dręczącego, niejasnego poczucia winy.

Vilhjelm od razu go przejrzał.

– Ty myślisz, że wszystko ma związek z tobą – powiedział swoim nowym, wyraźnym głosem, kiedy Knud Erik skończył swoją opowieść.

– A ona po prostu była nienormalna, to wszystko.

– Ale... – zaprotestował Knud Erik.

– Dobrze wiem, co chcesz powiedzieć. Nie pamiętasz, co się wydarzyło tamtej nocy, i myślisz, że mogłeś zrobić coś złego. Ale to bzdura. Ona z kimś uciekła.

Vilhjelm wcale nie miał więcej rozumu, tylko po prostu myślał rozsądniej. On się nie zakochał w *miss* Sophie. Patrzył na wszystko z boku i łatwiej mógł ocenić, co zaszło.

Knudowi Erikowi wyraźnie ulżyło.

Kiedy już uporali się z tą sprawą, Vilhjelm zaczął go szczegółowo wypytywać o pocałunek i jego skutki.

– Nigdy tego nie próbowałem – stwierdził zamyślony, gdy wreszcie zaspokoił swoją ciekawość.

– Jeszcze spróbujesz.

Teraz role się odwróciły. Knud Erik poczuł się nagle tym doświadczonym.

– No tak, ale mało brakowało, żeby mnie to w życiu ominęło.

Tym stwierdzeniem Vilhjelm po raz pierwszy niejako przyznał, że był tak bliski śmierci.

•

Czekali, aż lód puści. Prąd kierował się na południe. Odwilż musiała nadejść, a wraz z nią pierwsza otwarta woda, w której mogliby pożegnać swych martwych współpasażerów. W końcu zaczęło kapać z takielunku. Wielkie sople odrywały się i z hałasem uderzały o pokład. Żagle były zbyt sztywne, by je zdjąć, więc wilgoć spływała z nich, mocząc wszystko na pokładzie, jakby „*Kristina*” niczym wyspa miała własny mikroklimat.

Nagły wiatr oznajmił puszczenie lodów. Wraz z nim nadciągnęła deszczowa chmura. Musieli włożyć sztormiaki.

Przez lód w pobliżu kadłuba przebiegła szczelina, po niej jeszcze jedna. Był najwyższy czas, by pochować zmarłych.

Bager leżał w swojej kajucie i nie chciał wyjść. Przez zamknięte drzwi mamrotał, że źle się czuje i mają mu dać spokój.

Dreymann wszedł do kajuty szypra pożyczyc *Zbiór kazań marynarskich*, w którym na ostatnich stronach opisano ceremonię pochówku. Podnieśli deski z ciałami na reling, tak by leżały jak na rampie i mogły się ześlizgnąć i zniknąć w morzu. Potem skrzepowani stanęli obok siebie, miętosząc zydwestki w rękach.

Dreymann wyjął *Zbiór kazań*. Wydrukowano je drobnym gotykiem, więc zaczął mrużyć oczy. Deszcz spływał mu po policzkach.

– Niech to diabli! – mruknął. – Jestem, cholera, za stary. Nie przeczytam takich małych literek. Może któryś z was, młodych?

Chciał podać kazania Rikardowi albo Algotowi.

– Daj mnie – poprosił Vilhjelm. – Ja i tak umiem to na pamięć.

Dreymann spojrzał na niego.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że chodziłeś po „*Ane Marie*” i odczytywałeś na głos liturgię pogrzebową na morzu!

– Owszem – odparł Vilhjelm. – Znam cały *Zbiór kazań marynarskich* na pamięć.

Nie czekając na reakcję Dreymanna, zaczął przemowę:

– Nasz Pan, Jezus Chrystus, mówi: „Nadchodzi bowiem godzina, w której wszyscy, którzy spoczywają w grobach, posłyszają głos Jego, a ci, którzy pełnili dobre czyny, pójdą na zmartwychwstanie życia, a ci, którzy złe czyny pełnili, na zmartwychwstanie sądu”¹.

Helmer wystąpił naprzód. W ręku trzymał niedużą szufelkę z popiołem z kambuzowego pieca, który w zastępstwie ziemi miał zostać rzucony na zaszyte w płótno ciała przed oddaniem ich morzu.

– Z prochu powstałeś... – powiedział Vilhjelm swoim nowym głosem, do którego Knud Erik wciąż nie mógł się przyzwyczać.

Helmer posypał zmarłych popiołem. Rozpadało się jeszcze mocniej. Popiół rozpuszczał się i rozlewał wielką plamą na szarym płótnie żaglowym.

– ...i w proch się obrócisz.

Jeszcze jedna szufla. Tym razem popiół upadł w inne miejsce i płótno jeszcze bardziej się zabrudziło.

– I z prochu na nowo powstaniesz.

1 Ewangelia św. Jana, 5, 28-29, cyt. za: *Biblia Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań 1965.

Rikard i Algot przystąpili do desek i kolejno je unieśli. Zaszyte w płótno żaglowe doczesne szczątki kapitana Hansena spadły w wodę pionowo i zniknęły z pluskiem, stłumionym przez szum deszczu. Potem poszedł Peter Eriksen.

•

Morze było czarne pod gromadzącymi się burzowymi chmurami. Wokół łód jaśniał żółtawo. Potem zaczął pękać na niezliczone kawałki, które stawały w poprzek i uderzały o siebie, jakby morze w końcu straciło cierpliwość do tego ciężaru, który zmuszone było dźwigać, i teraz niespokojnie potrząsało swym olbrzymim grzbietem. W oddali „*Ane Marie*” powoli przechylała się coraz bardziej, aż położyła się na boku. Do tej pory łód podtrzymywał rozbity kadłub. Teraz morze wyrwało go z uścisków lodu i po wymuszonej przerwie zabrało, aby dokończyć swoje dzieło zniszczenia.

Dreymann natychmiast wysłał ich na reje. Nimbusy przypominały wielkie granitowe pięści, zaciskające się, by zadać cios. Uwolnili się z okowów lodu, ale wciąż stanowił zagrożenie dla ich życia. Zrefowali prawie wszystkie żagle, tak że szli jedynie na sztafoku i mocno zrefowanym fok. Naciągnęła chmura z gradem i morze się zagotowało. Fale podniosły się ze wszystkich stron. Na szczytach załamujących się grzywaczy wśród piany płynęły kawały kry i łamiąc się, uderzały o wszystko na pokładzie, co stało im na drodze, przy wtórze huku i hałasu brzmiącego tak, jakby wyciu diabelskiego chóru w takielunku akompaniowało głucho, nieregularne walenie w bęben.

Za każdym razem, gdy mieli przejść przez pokład, liczyli. Po trzech wielkich falach niemal zawsze nadciągało kilka słabszych. Mogli wówczas przedrzeć się do kubryku.

Bager wciąż leżał w swojej kajucie. Dreymann wziął pierwszą wachtę razem z Knudem Erikiem. Rikarda i Algota wysłali, żeby trochę się zdrzemnęli. W kambuzie Helmer trzymał się jak mała przewracającego się drzewa. Już udowodnił swoją umiejętność przygotowania kawy, nawet jeśli statek stał na głowie. Vilhjelmowi Dreymann nakazał iść do własnej kajuty.

– Jak mocno wieje? – spytał Knud Erik. Wczepił się w ster obok Dreymanna, który wprawnie utrzymywał równowagę na mocno przechylającym się pokładzie.

Raz rufa statku unosiła się na górze wody, podczas gdy dziób zanurzał się w spienionych falach, raz dziób się podnosił i cały statek zdawał się celować w jakiś odległy punkt wysoko na niebie. Za każdym razem napełniało to Knuda Erika przerażeniem. Morze, które tak wiele już od nich wymagało, teraz jakby chciało wziąć ostatni, decydujący odwet.

Już się nauczył, że podczas sztormu na północnym Atlantyku umiejętności żeglarskie starczą na długo, ale nie do końca. Nikt nie mógł obronić się przed monstrualną falą, która zmywała pokład i porywała maszty. Wszystko zależało od szczęścia. Niektórzy nazywali to opatrnością, inni Panem Bogiem, ale gdy chodziło o północny Atlantyk, ani szczęścia, ani ingerencji Pana Boga nigdy nie dawało się rozsądnie wytłumaczyć. Peter Eriksen i szyper Hansen, których zwłoki tak niedawno spuścili do morza, nie byli ani lepsi, ani gorsi od tych, którym udawało się przetrwać najgorsze sztormy. Domysły na nic się nie zdawały. Nie miało też sensu się modlić. Modlitwa mogła najwyżej stłumić wewnętrzny niepokój. Knud Erik nie wierzył, by jakkolwiek wpływała na bezpieczne dotarcie statku do portu. Dobrze rozumiał, co robił Vilhjelm, gdy będąc sam na pokładzie „*Ane Marie*”, na głos czytał *Zbiór kazań marynarskich*. Chciał uleczyć się ze swojego wewnętrznego, a nie zewnętrznego jąkania, tego jąkania w duszy, które zagrażało jego woli przetrwania. Ale w przeciwieństwie do Vilhjelma, na Knuda Erika słowo Boże nie działało.

– Jak mocno wieje? – powtórzył pytanie.

– To orkan – odparł Dreymann.

•

Dziesięć dni później przybili do portu w Newcastle. Bager znów wypelźł ze swojej kajuty, gniewny i zamknięty w sobie. Miał w oczach strach, niemający nic wspólnego z orkanem.

Wspólnie z Dreymannem obejrzeni uszkodzenia statku. Stracili jolkę. Drzwi do kajuty poszły w drzazgi, kołnierz bezanmasztu popękał, dwie beczki z wodą wypadły za burtę. Gafel foka był złamany, sam żagiel w strzępach, nadburcie na długości stu dziewięćdziesięciu stóp rozbite, tablica z nazwą na rufie od sterburty zmiażdżona, tak samo latarnia na sterburcie.

Uszkodzenia trzeba było naprawić. Ale nie tylko po to przyплыnęli do Newcastle. Na pokład miała wejść Kristina, córka Bagera, i popłynąć razem z nim do Setubal. Wybierała się do ciepłej, słonecznej Portugalii.

•

Knud Erik sięgnął po pióro i napisał list do matki. Prosił, by pozdrowiła wszystkich, i wspomniał o dobrej pogodzie, która towarzyszyła im przez całą drogę przez Atlantyk.

Nie było powodu, by niepokoić matkę.

Napisał również, że cieszy się na rejs do Portugalii.

•

Później przyznawał, że gdyby wiedział, co ich czeka, wymustrowałby w Newcastle.



Herman opowiadał tę historię już wcześniej i zawsze bardzo się podobała. Gdy opowiedział ją pannie Kristinie, wywarła odwrotny skutek. Córkę kapitana coś przeraziło. Takie zresztą było zamierzenie Hermana. Ale coś przeraziło ją za bardzo, bo wstała, odwróciła się do niego plecami i zeszła do kajuty, jak to ona lekko kołysząc biodrami. Do czarta, ależ namieszała mu w głowie!

Kobiety nie powinny nigdy dostawać tego, o co proszą. Powinny raczej stać przed zamkniętymi na klucz drzwiami, błagać i prosić. Nie wolno im ulegać, nawet jeśli się ma na to ochotę. Właśnie to tak cholernie wszystko utrudnia. Trzeba je odrobinę przestraszyć. Nie za dużo i nie za mało. Jeśli za dużo – odchodzą w panice, a ty nie dostajesz tego, czego chcesz. Jeśli za mało – zrobią z ciebie szmatę. Znalezienie właściwych proporcji wymagało doświadczenia. Należało próbować.

Kobiety lubią mężczyzn, którzy skłaniają je do śmiechu. Ale kochają takich, którzy doprowadzają je do płaczu. Szanują wyłącznie to, czego nie rozumieją. Na tym właśnie polega szacunek. Herman dość już widział świata, by wiedzieć, że to nie miłość czyni życie znośnym dla mężczyzny, lecz szacunek. A w szacunku zawsze kryje się odrobina strachu.

•

Knud Erik i Vilhjelm siedzieli na zrębnicy i słuchali, jak Herman opowiada historię o Ravnie, mechaniku samochodowym, który podczas wojny pływał na niemieckim okręcie podwodnym i zatopił duńskie statki, a pewnego późnego wieczoru w Nyborgu dostał to, na co zasłużył.

Panna Kristina słuchała z zainteresowaniem, dopóki nie dotarł do kary wymierzonej w bramie. Wtedy wstała i wyszła bez słowa.

Po tym Herman zaczął pouczać Knuda Erika i Vilhjelma o trudnej i w zasadzie niepojętej naturze kobiet. Uśmiechali się na jego słowa, lecz przez cały czas mieli ów czujny wyraz w oczach, który nigdy ich nie opuszczał, gdy Herman znajdował się w pobliżu.

Kiedy wszedł na pokład, przyjrzał im się uważnie, jakby szukał czegoś w pamięci. Obaj odwrócili głowy. W końcu odsunął to wspomnienie od siebie.

Na widok Hermana zmierzającego na „*Kristinę*” Vilhjelm powiedział:

– Idzie Zabójca Mewy.

•

W Newcastle wszystko poszło nie tak. Dreymann dostał depezę z domu, że jego żona poważnie zachorowała i być może niewiele już pożyje.

– Nie podoba mi się opuszczanie statku nie w porę – oświadczył. – Ale mam czworo dzieci. Troje z nich ochrzczono beze mnie. Dwoje confirmowano, a jedno wstąpiło w związek małżeński, a mnie przy tym nie było. Nie mogę, cholera, znieść myśli o tym, że Gertrud miałyby wyciągnąć nogi, a ja nie trzymałbym jej przy tym za rękę.

Rikard i Algot wymustrowali, nie kryjąc przyczyny. Dość już mieli marstalskich statków, które zajmowały się wyłącznie żeglowaniem z jednego sztormu w drugi. A gdyby chcieli zostać pracownikami zakładu pogrzebowego, toby się tam najęli.

Dla nich „*Kristina*” mogła płynąć tam, dokąd jej się żywnie podobało. Krzyż na drodze.

Zabrali swoje woreczki marynarskie i prawie puste worki, a do ust wsunęli papierosy w polskich cygarniczkach.

Bager zaproponował Knudowi Erikowi, by został na statku jako młodszy marynarz, chociaż nie wypływał jeszcze wymaganego czasu. Umiał już jednak większość rzeczy, a łatania żagli, co należało do obowiązków marynarza, mógł się przecież nauczyć. Nie miał jednak co liczyć na większą gażę.

– A co ze mną? – spytał Vilhjelm.

Umówili się z Knudem Erikiem, że nie będą się już rozłączać.

Bager długo się zastanawiał, aż wreszcie powiedział:

– Ty zostaniesz za wyżywienie.

•

Brakowało im sternika. Nie było żadnego wolnego, ale napatoczył się Herman, który poróżnił się z szyprem na „*Uranusie*” i wałęsał się po Newcastle. Miał doświadczenie i dostateczną liczbę wypływanych dni, ale egzaminu nie zdał, jakoś nie mógł się zebrać, żeby iść do Szkoły Nawigacyjnej. Bager zaproponował mu jednak robotę.

Herman zażądał gaży sternika. Bager liczył w głowie. Już zaoszczędził na dwóch marynarzach. Miał z czego płacić.

– Nie ma pan papierów w porządku – oświadczył. – W zasadzie robię panu łaskę. Ale dodam dwadzieścia pięć koron do tego, co by pan dostał jako marynarz.

– Czterdzieści – powiedział Herman.

Zgodzili się na trzydzieści pięć koron.

W rzeczywistości to nawet sam Bager nie miał papierów w porządku. Zwrócił mu na to uwagę *mister* Mattheson z Agencji Werbunkowej na Waterloo Street. No cóż, był on skłonny spojrzeć przez palce na sprawę Hermana. To przecież jego biuro nie potrafiło załatwić sternika na „*Kristinę*”, a nie chciał rzucać kłód pod nogi dobremu szyprowi. Bager nie mógł jednak udawać, że dwaj chłopcy na pokładzie to marynarze. Musiał zamustrować co najmniej jednego prawdziwego. Gdyby tego nie zrobił, nieprawidłowości zostałyby zgłoszone władzom.

W taki oto sposób na pokład trafił Ivar.

•

„*Kristina*” jeszcze nie zdążyła wyjść w morze z Newcastle, a już doszło do pierwszego starcia.

Knudowi Erikowi i Vilhjelmowi Ivar od razu się spodobał. Wszedł na pokład w ubraniu wyjściowym, z francuskimi spinkami przy mankietach, w białym kołnierzyku, jedwabnym krawacie, kupionym w Buenos Aires, i sztytem na miarę szewiotowym garniturze z dwurzędową marynarką. Ivar był światowcem. Nie musiał nawet opowiadać o wszystkich tych miejscach, które odwiedził, od Ameryki Południowej po Szanghaj. To od razu rzuciło się w oczy. Doświadczenie zdobywał na parowcach. Na żaglowiec zgłosił się wyłącznie z ciekawości. Był synem kapitana z Hellerup. Jeszcze do końca nie zdecydował, czy morze to coś dla niego. Wysoki i dobrze zbudowany, miał gęste, granatowoczarne włosy i zachowywał się z pewnością siebie świadczącą o tym, że nieraz wychodził z bójką jako zwycięzca.

Ivar miał talent do mechaniki. Zabrał na pokład odbiornik radiowy, który sam zbudował, i potrafił go rozebrać i złożyć gdy mu na to przyszła ochota. Gdy cumowali, ustawił go na luku, a antenę przymocował do takielunku.

– To ci, do cholery, nigdy nie zadziała – orzekł Herman, gdy Ivar po raz pierwszy rozstawiał aparat.

Głupio powiedział, bo oczywiście radio zadziałało. Dotarły do nich urywki obcych głosów z innych miejsc na kuli ziemskiej. Płynęła też muzyka taneczna, którą poza tym można było usłyszeć jedynie w *variétés* we francuskich portach nad Kanałem.

Nawet Herman nie potrafił trzymać się z daleka, gdy Ivar rozstawiał radio. Ivar podniósł głowę i uśmiechnął się do niego.

– No, to mamy i sternika – powiedział.

Herman obrócił się na pięcie i odszedł.

Kiedy mieli pewność, że już dostatecznie się oddalił, wybuchnęli śmiechem.

•

Knud Erik i Vilhjelm zawsze nazywali Hermana Zabójcą Mewy, chociaż Vilhjelm dawno już został wtajemniczony w prawdziwą skalę przestępstw Hermana. Ivar, gdy pewnego dnia przypadkiem ich usłyszał, spytał o dziwne przezwisko. Natychmiast go zbyli. Ot, taki sobie przydomek. Czy sternik nie wygląda na kogoś, komu mogłoby przyjść do głowy zaduszenie mewy gołymi rękami?

Ivar wzruszył ramionami. Czuł jednak, że w tym wyjaśnieniu coś się nie zgadza, ale więcej nie pytał.

Później zawsze żałowali, że nie powiedzieli mu prawdy. Przecież wiedzieli, co zrobił Herman. Trzymali głowę jego ofiary w swoich rękach, a określali go niewinnym przezwiskiem wyłącznie po to, by słumić strach, który przez cały czas odczuwali w jego obecności.

Właśnie dlatego szukali towarzystwa Ivara. Wiedzieli, że przyda im się obrońca.

•

Ivar nie zdążył się jeszcze nabyć na pokładzie, gdy już dał wyraz swojemu niezadowoleniu z wyżywienia. Szczególnie kolacje uznał za niewystarczające. Dwa razy w tygodniu, w środy i soboty, wydzielano ser, kiełbasę, puszkę pasztetu i sardynek. Na tym miało przeżyć czterech ludzi. Rezultat za każdym razem był z konieczności ten sam. Większość „dodatków” zjadali już pierwszego wieczoru, a w pozostałe dni tygodnia musiał im wystarczyć suchy żytni chleb.

– To nie moja wina – oświadczył Helmer, bezradnie rozkładając rękę.

Ivar poszedł do szypra i w imieniu załogi poskarżył się na zbyt małe racje. Przez załogę rozumiał trzech chłopców, z którymi dzielił kubryk.

Gdy Ivar wkroczył do kajuty, siedziała tam panna Kristina. Była wysoka i szczupła, miała wielką grzywę kasztanowobrazowych włosów, bezpośrednia i energiczna jak większość dziewcząt z Marstał. Tak je wychowywano. Wiedziały, że pewnego dnia będą sprawować w domu autorytarne rządy. Miała dołeczki w policzkach i pieprzyk koło nosa z prawej strony, który sprawiał, że wyglądała, jakby właśnie się wyszykowała na bal.

Bager początkowo nic nie mówił. Zerkał na córkę, jakby miał ochotę spytać ją o zdanie. Najwyraźniej znalazł się między młotem a kowadłem, między własną chciwością a pragnieniem wywarcia dobrego wrażenia na córce.

– Tak to już jest z marynarzami z parowców – warknął Herman.

On też był w kajucie i wziął na siebie rolę rzecznika szypra.

– Znam prawo morskie – odparł Ivar spokojnie. – Nie dostajemy takiego wyżywienia, jakie nam przysługuje. W przyszłości domagam się uczestnictwa przy ważeniu racji.

Z uśmiechem zwrócił się do panny Kristiny:

– Panią może dziwi takie czepianie się o kilka gramów jedzenia, panienko.

Pokręciła głową i odwzajemniła jego uśmiech, nie poddając się napiętej atmosferze, która zapanowała w kajucie.

Herman przenosił chytre spojrzenie z jednego na drugiego. Wyraźnie uważał, że odgadł zamiary Ivara. Ivar próbował wpłynąć na szypra poprzez córkę.

– Niech pani nie myśli, że boimy się pracy, panienko. Pracujemy ciężko, ale większość z nas nie skończyła jeszcze dwudziestu lat. Niech pani tylko spojrzy na kucharza i tych dwóch jungów. Mają dopiero piętnaście lat. Jeszcze porządnie nie wyrosli. No i pracujemy na dworze cały boży dzień. Z pewnością sama pani zauważyła, że morskie powietrze bardzo zaostrza apetyt.

Herman groźnie chrząknął. Oniemiał na taką przemowę Ivara i próbował zyskać na czasie.

Ivar nawet nie spojrzął w jego stronę. Wciąż uśmiechał się do panny Kristiny, która odpowiadała na jego uśmiech, jakby nawiązało się między nimi tajemne porozumienie.

Bager zdawał się niczego nie zauważać. Zaczął mówić, a to, co powiedział, było tak niezwykle, iż każdy powinien się domyślić, że na pokładzie „*Kristiny*” musi się stać coś złego.

– Pięć chlebów i dwie ryby – oznajmił głosem, któremu usiłował nadać ton zdecydowania, lecz w którym mimo wszystko zabrzmiało dziwne rozkojarzenie, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Słucham? – Ivar z trudem zachowywał uprzejmość. – Chyba nie całkiem zrozumiałem.

Bager podniósł głos.

– Powiedziałem: pięć chlebów i dwie ryby. Tylko tyle potrzebował nasz Pan Jezus Chrystus do nakarmienia pięciu tysięcy ludzi. A wam nie wystarczy ser, kiełbasa, paszтет i puszka sardynek, chociaż jest was tylko czterech?

– Co ma do tego historia z Biblii? Jesteśmy na pokładzie „*Kristiny*” z Marstal, a prawo morskie mówi...

– Zapierasz się swego Pana Boga? – spytał Bager ostrym tonem i spojrzął na Ivara z wyrzutem. – Jak to możliwe, że ty, zrodzony, ubrany i karmiony tyle dni przez Boga, wątpisz, że On może lub chce robić to nadal?

Nawet wygadanemu Ivarowi odebrał mowę taki potok słów z ust zazwyczaj małomównego szypra.

Pytając spojrzął na Kristinę. Dziewczyna bezradnie rozłożyła ręce. Po szyprze z Marstał można się było spodziewać wielu rzeczy. Potrafił być bardzo twardy, niemądry w swoich wymaganiach, czasami niesprawiedliwy, a przede wszystkim chytry. Oszczędność była warunkiem jego przetrwania. Ale nigdy nikt nie słyszał, by uzasadniał swoje wymagania religijną paplaniną, a już na pewno nie tak mglistymi zdaniem jak te.

Herman musiał się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem. To się zapowiadało naprawdę zabawnie.

– Ja mówię o prawie morskim – oświadczył Ivar mocnym głosem.

Panna Kristina nachyliła się do Bagera i nakryła dłonią jego rękę.

– Bądź rozsądny, ojcze. Nic się nie stanie, jeśli załoga dostanie trochę więcej jedzenia.

Bager złapał się za serce. Wyglądał tak, jakby przeżywał jakiś wewnętrzny kryzys.

– Jak sobie życzysz – powiedział słabym głosem i skulił się na krześle, dalej trzymając się za pierś.

– Ojcze, dobrze się czujesz? – spytała Kristina zaniepokojona.

•

W kubryku Ivar relacjonował dyskusję u kapitana. Patrzył przy tym na Knuda Erika.

– Ty z nim pływasz najdłużej. Zawsze taki jest?

– Chytry, owszem – odparł Knud Erik. – Ale żeby gadał jak pastor Abildgaard? – Pokręcił głową.

– Spróbuj powtórzyć, co powiedział – poprosił Vilhjelm.

– To było z Biblii, o pięciu chlebach i dwóch rybach. – Ivar dalej szukał w pamięci. – Spytał, jak to możliwe, że możemy wątpić w Boga, który nas ubrał i karmił.

– To ze *Zbioru kazań marynarskich* – stwierdził Vilhjelm. – Siódma niedziela po święcie Trójcy. Kazanie dla biednych i bogatych pastora marynarzy Jonasa Dahla z Bergen. Bager nauczył się tego na pamięć. Musi być z nim naprawdę źle.

•

Czasami panna Kristina zapraszała całą załogę na naleśniki albo obchodziła pokład z dzbankiem kawy. Helmer w kambuzie promieniał. Często tam zaglądała i pomagała w gotowaniu. Panowała tam taka ciasnota, że musieli stać tuż koło siebie. Chłopaka oszałamiał szelest materiału sukni i bliskość kobiety. Kristina chwaliła jego umiejętności, więc starał się jeszcze bardziej. Wszyscy tak robili. Dobrze było mieć kobietę na pokładzie.

Panna Kristina często towarzyszyła temu, kto stał przy sterze, i zabawiała go rozmową. Sterujący musiał wtedy jednym okiem patrzeć na żagle, a drugim na nią.

Pewnego wieczoru, gdy zbliżali się do wybrzeży Portugalii, w blasku księżycy spacerowała po pokładzie z Ivarem.

Herman stał przy relingu, usiłując wsłuchać się w ich rozmowę, zbyt cichą, by mógł wychwycić słowa. Wtedy, gdy opowiedział historię Ravna w Nyborgu, odwróciła się do niego plecami. Poza tym do nikogo nie odnosiła się z rezerwą, tylko wobec niego zachowywała dystans.

Po kłótni dotyczącej wyżywienia zdawał sobie sprawę, że jego akcje stoją marniej niż kiedykolwiek.

Obecność panny Kristiny działała na niego tak, jakby do krwi domieszano mu truciznę, a zarazem bezgraniczną słodycz. W jego wnętrzu zaciętą walkę toczyły brak woli i ogromne napięcie. Czuł się jednocześnie słaby i wściekły. Zaciskał pięści jak do bójk, a jednak największą ochotę miał obejmować i być obejmowanym.

„*Kristina*” halsowała przy południowym wietrze, zawsze wiejącym wzdłuż brzegów Portugalii. Gdy Ivar zaczął wachtę, córka szypra usiadła obok steru. Herman podszedł do nich, sztywny i niedostępny, wykorzystując swoją rangę sternika na statku.

– Temu za sterem nie wolno przeszkadzać – oświadczył sucho i stał, trzymając ręce za plecami, dopóki Kristina nie odeszła.

Tak, musiała się ugiąć. Ale nie wiedział, czy to zwycięstwo czy klęska. Bardziej nie mógł się do niej zbliżyć. Myślał o nich jak o „parce”. Chyba właśnie nią się stawali.

•

Pewnego popołudnia monotonię rejsu przerwało stado delfinów.

– Skoczki! – rozległo się wołanie sterującego.

Załoga przygotowała harpun. To Ivar grał pierwsze skrzypce. Wskoczył na bukszpryt i cisnął harpun w wodę akurat w momencie, gdy statek zanurkował dziobem i odległość do skaczącego zwierzęcia była stosunkowo mała. Delfin zaczął się wić, gdy Ivar ciągnął za linę. Potem włączył się Knud Erik i zarzucił zwierzęciu pętlę na ogon.

Herman zszedł do swojej kajuty i przeszukał koję. Wrócił na pokład z rewolwerem w rękę. Załoga otoczyła kręgiem delfina, który w skurczach napinał gładkie, eleganckie ciało, rytmicznie bijąc o pokład mocnym ogonem. Wypływająca z niego krew gęstym strumieniem rozlała się po deskach. Panna Kristina stała daleko, rękami zasłaniając usta. Ktoś musiał zadać śmiertelny cios i uwolnić drżące zwierzę od cierpień.

– Odsuńcie się! – nakazał Herman.

Odwrócili się i popatrzyli na niego. Zatoczył rewolwerem krąg, obejmujący wszystkich mężczyzn, jakby wciąż jeszcze nie podjął decyzji, który z nich ma stać się jego celem. Cofnęli się o krok. Herman podszedł do delfina i starannie wycelował, a potem strzelił dwukrotnie, raz za razem. Wielkie oko eksplodowało krwią. Delfin jeszcze raz uderzył ogonem i znieruchomiał.

Herman uniósł głowę i spostrzegł, że panna Kristina stoi tuż przy Ivarze. Oboje na niego patrzyli. Uśmiechnął się. Potem wsunął rewolwer za pasek i wrócił do kajuty.

Przysiadł na brzegu koi. Uśmiech wciąż nie znikał mu z twarzy. To była idealna chwila. Nikt nie wiedział o jego rewolwerze. Zaskoczył ich, gdy się pojawił, trzymając go w dłoni, i dostrzegł strach w ich oczach. Najpierw wszyscy patrzyli na delfina, potem na niego. Miał pewną władzę. Chciał, żeby tak właśnie było.

•

W pewien wczesny poranek wiatr ucichł. Posuwali się naprzód bardzo wolno. Około południa zobaczyli przed sobą Setubal. Duże białe wille stały na szczycie stromych klifów, a bujna zielona roślinność zwieszała się ze zboczy niczym welon. Kiedy sklarowali żagle, Kristina obesła pokład, częstując załogę szklaneczką wina. Taka była stara tradycja.

Ivarowi posłała powłóczyście spojrzenie. Kiedy doszła do Hermana, prawie odwróciła twarz, jakby nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do następnego w szeregu.

•

W porcie stał już inny szkuner z Marstal. W ciągu następnych paru dni przyszły kolejne i w końcu utworzyły sporą gromadkę. Były tam „Orzeł”, „Galatea” i „Atlantyk”, weterani rejsów do Nowej Fundlandii. Przypływali tu, by załadować sól dla Ameryki, a z powrotem mieli przeciąć Atlantyk z ładowniami pełnymi klipfiszka.

Ryb mieli tutaj w bród. W porcie roiło się od rybaków łowiących sardynki, w tych stronach osiągały one rozmiary śledzi. Rybacy wygrzewali w słońcu nagie torsy. Byli szczupli i żyłaści, mięśnie wyraźnie rysowały się pod ich ciemną, opaloną skórą. Wołali do nich i machali. Na widok panny Kristiny spod czarnych wąsów błyskały białe zęby. Ona też do nich machała, unosili wtedy w górę wielkie kosze pełne lśniących ryb, jakby chcieli ofiarować je w pełnym zachwyту hołdzie dla jej płci, której widok był tak niezwykły na pokładzie statku.

Zawieźli Bagera szalupą na brzeg po prowiant, lecz wrócił z niczym. Nie dało się kupić ani ziemniaków, ani chleba. Setubal sparaliżował strajk, a może *lockout*, niełatwo było to stwierdzić, w każdym razie trwało coś w rodzaju rewolucji. Wprowadzono zakaz poruszania się po ulicach od dziewiątej wieczorem, a każdy, kto wyszedł do miasta po zapadnięciu ciemności, mógł zostać zastrzelony.

– Z jakiego powodu ta rewolucja? – spytała panna Kristina. W jej oczach błyszczało napięcie.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Pewnie głodują – powiedział. – Tutaj biedacy są bardzo biedni.

– To straszne! – westchnęła. – Nieszczęśnicy!

– Proszę tego nie brać tak poważnie – wtrącił się Herman. – Tutaj to rzecz normalna, tu zawsze jest rewolucja. Wrzeszczą i strzelają do siebie, potem wszystko zmieniają, a gdy się tu przyplýwa następnym razem, na powrót jest, jak było. Taki już mają temperament. Nie potrafią nad nim zapanować. Ale nie umieją nic naprawdę zmienić.

Słowo „rewolucja” krążyło po pokładzie. Wszyscy musieli brać je w usta, by poczuć jego smak. Było niczym egzotyczny owoc o obcym, drażniącym aromacie. Rewolucja była czymś charakterystycznym dla południa. Mogli teraz po powrocie do domu opowiadać, że ją widzieli, chociaż tak naprawdę niczego nie dawało się zobaczyć. Na poławiaczach sardynek rewolucja – jeśli to w ogóle była rewolucja – początkowo zdawała się nie wywierać żadnego wrażenia, codziennie przyplýwali ciężko wyładowanymi łodziami. Potem strajk się rozszerzył i poszła plotka, że strajkują również przetwórnicy sardynek.

Przez następnych parę dni rybacy nie opuszczali portu i wokół „*Kristiny*” zapanowała cisza. Pojawiły się szkunery „*Nauta*” i „*Różany dwór*”. Powstało jakby nieduże pływające Marstal, a między statkami panował ożywiony ruch. Składano sobie wizyty i pito kawę. Panna Kristina zarzuciła swoje spacerunki z Iwarem, aby spędzać czas z marstalskimi szyprami, znajomymi ojca. Z nimi też wybrała się do miasta, gdzie mimo rewolucji panował spokój. Siadła do wiosł w łodzi, która zawiozła ich na ląd. Tak, tak, była prawdziwą córką szypra.

Wróciła z bukietem kwiatów, który podarował jej ogrodnik w parku. Ożywiona opowiadała o wielkiej kawiarni na rynku, w której orkiestra wojskowa zabawiała gości.

– Cudownie było znów usłyszeć orkiestrę dętą – powiedziała.

Herman wzruszył ramionami. Może i tak powinna mówić światowa dama, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnej orkiestry dętej, która dałaby koncert w Marstal. W kinie panna Kristina również była, a tam, jak twierdziła z błyszczącymi oczami, filmowi towarzyszyła orkiestra smyczkowa, co najmniej dwudziestu muzyków.

Na kilku statkach z Marstal załoga miała instrumenty, w sumie dwie harmonie, trzy drumle i jedno skrzypce. Podczas wolnej wachty zrobiła się z tego cała orkiestra. Grano i śpiewano. Ivar miał ładny głos, ale to przede wszystkim dzięki radiu zyskał sobie popularność wśród innych załóg. Na „*Kristinie*” byli z niego dumni. Należał do nich, a żaden inny statek nie miał kogoś takiego. Ivar kręcił gałką i z całego świata z szumem napływały głosy. Muzyka także, portugalskie fado. Ivar znał to słowo i objaśniał im smutne dźwięki. Z radia wydobywały się też jeszcze dziwniejsze tony – arabska muzyka nadawana przez radiostację z Casablanki. Tu nawet Ivar musiał się poddać. Nie potrafił o tym nic powiedzieć.

Szyprowie wychodzili z kajut, w których popijali genever i balsam ryski. Radio ich przyciągało. Panna Kristina krążyła z dzbankiem kawy i pytała, czy ktoś ma ochotę na naleśniki, a w odpowiedzi zawsze słyszała pełne zachwyty „tak”.



W Setubal Herman był wśród swoich, wśród marynarzy z Marstal. W porcie w Nyborgu ciężko pobił człowieka i twierdził, że zrobił to w imieniu miasta. Ale teraz czuł się wyłączonej ze wspólnoty. Rzecz była nie tylko w zazdrości i może w ogóle o nią nie chodziło. Raczej o to, że nie wiedział, gdzie jest jego miejsce. Czuł się jak w domu właściwie jedynie wtedy, gdy to on o wszystkim decydował i gdy otaczał go szacunek i strach.

Zorientował się, że ma w sobie bezprawie wiatru i nieobliczalność fal. Poczul to w chwili, gdy zszedł na ląd. Na ziemi życie odzyskiwało swoje lilipucie wymiary, a on krążył niczym niezdarny, bezdomny olbrzym, który nie mógł się przecisnąć przez drzwi stojące otworem dla innych.

Wieczór przesycala jakaś łagodność, kobiecość płynąca z ciepłego, południowego powietrza, z flauty, która pozwalała gwiazdom odbijać się w wodzie, z tajemniczej ciszy pobliskiego miasta. Kryła się w tym jakaś pieśczoć – w muzyce, w głosach, w łamiących stare obyczaje szyprach, którzy spędzali czas w towarzystwie załóg, w zapachu naleśników rozchodzącym się z kambuza.

Był wśród swoich, lecz do nich nie należał.

Uświadomił to sobie z nagłym bólem, z budzącym lęk uczuciem, że jest kaleką. Przez krótką straszną chwilę spojrział na siebie z zewnątrz i zobaczył potwora. Miał ochotę się ukryć, uciec przed światem, z którym sobie nie radził, jakby zrozumiał, że znalazł się na ścieżce, która do nikąd nie prowadzi. Nie miał ochoty ani pić, ani się bić.

Po prostu musiał odejść.

•

Zszedł do kajuty i zabrał rewolwer. Potem przez reling zeskoczył do jolki, przycumowanej do burty. Odepchnął łódź i powolnymi ruchami zaczął wiosłować.

Dokąd zmierzał? Nie wiedział. Bezradny oparł ręce na wiosłach. Port opustoszał. Nigdzie się nie świeciło, a cisza spowijająca wyludnione ulice zdawała się spływać z nocnego nieba, jakby z chwilą nastania godziny policyjnej miasto pochłaniała wielka pustka wszechświata.

Potem uświadomił sobie, czego chce. Zamierzał wejść w ciemne ulice. To było jego terytorium, zakazany obszar, na którym odkrycie jego obecności mogło kosztować życie.

Przez chwilę szalał w nim sztorm. Teraz ruch w jego żyłach się odwrócił. Nastął odpływ i niebezpieczny spokój.



Wolno podpłynął do najbliższej kei. Starał się przemieszczać jak najciszej. Słychać było jedynie słaby plusk, zaraz pochłaniany przez gęstą ciemność. Muzyka i głosy z „*Kristiny*” docierały teraz z tak daleka, iż zdawały się płynąć z innego świata, tego, który porzucił i do którego nigdy nie będzie już mógł wrócić.

Nie wybiegał myślą w przód. Nie wiedział, co go czeka na pustych ulicach, i było mu to obojętne. Przyciągał go jakiś magnes, a on bezwolnie temu ulegał. To tutaj, w samym środku magnetycznej siły, w otoczeniu ciszy, śmierci i zimnego metalu, odnalazł swoje miejsce. Czuł w kieszeni ciężar rewolweru i był gotów.

Przycumował jolkę i wspiał się na keję. Księżyc nie świecił, ale miasto nie zniknęło całe w ciemności. Tu i ówdzie światło lało się z okna albo przez szpary w okiennicach. Usłyszał głosy, potem dźwięki fortepianu, delikatne tony, które zdawały się protestować przeciwko tej ciszy jedynie po to, by znów zostać przez nią pochłonięte.

Staął między dwoma szeregami domów i odchylił głowę. Zobaczył Drogę Mleczną biegnącą równoległe do ulicy, niebiańską ścieżkę wysypaną migoczącymi kamykami, przecinającą nocną pustkę. Pamiętał pierwszy raz, gdy ją ujrzał. Był wtedy chłopcem, samotnym pośród nocy. Stał na plaży z zadartą głową, pełen niecierpliwych nadziei. Ale teraz, tej nocy, porzucił tamto wszystko. Był sam z Drogą Mleczną i rewolwerem.

Czy pragnął przetrwać tę noc? Czy to miała być próba, którą sam sobie wyznaczył? Czy też chciał czegoś innego? Nie wiedział. Na tyle dobrze nie rozumiał języka gwiazd.

Stał na środku ulicy i patrzył w górę. Białe mury domów jaśniały niebieskawo, jakby odbijał się w nich blask gwiazd. Bramy i drzwi pulsowały czernią. Czy mądrze tak się wystawiać?

W pewnej chwili ustąpiło jego osobliwe odurzenie, niewywołane wcale alkoholem, tylko samotnością pod nocnym niebem. Przebiegł po chodniku i przycisnął się płasko do muru. Tu jednak z pewnością pozostawał tak samo widoczny, niczym gęsta, czarna masa na tle połyskującej niebiesko ściany.

Nie przyszedł tu, żeby się ukrywać. Znów stanął na środku chodnika i zaczął iść.

Nagle usłyszał kroki. Przystanął. Brzmiały rytmicznie. Czy to nadchodził jeden człowiek, czy kilku? Wsłuchał się znów. Stwierdził, że w każdym razie nie jest to duża grupa. Może tylko dwóch? Żołnierze na nocnym patrolu? Któż inny mógłby się poruszać po zapadnięciu ciemności w mieście, w którym wprowadzono godzinę policyjną? Spojrzał najpierw w tył, potem w przód. Ulica była szeroka. Widział korony palm przesłaniające gwiazdy. Musiał znajdować się na jakimś bulwarze. Powinien raczej wejść w wąskie, kręte zaułki, gdzie łatwiej było uciec. Stanął niezdecydowany. Potem uniósł rewolwer i powoli zatoczył nim koło. Ciemność, tylko ciemność. Wciąż słyszał kroki. Wciąż były tak samo rytmiczne. Przybliżały się czy oddalały?

Z wahaniem ruszył do przodu. Pistolet trzymał w wyciągniętej ręce. Jeśli wpadnie na tych ludzi, to będzie walka na śmierć i życie. Zdawał sobie z tego sprawę.

Kroki nie cichły.

Tak, zdecydowanie się zbliżały. Ale z której strony, nie potrafił stwierdzić. Równie dobrze mógł się poruszać w ich stronę, co od nich oddalać.

Znów ruszył. Przez pewien czas posuwał się naprzód, gdy nagle ich dostrzegł. Stali tuż przed nim, w odległości zaledwie trzech, czterech metrów, jakby na niego czekali. Zatrzymał się od razu.

Któryś z tamtych coś krzyknął.

Krzyk utonął w ogłuszającej eksplozji. Herman patrzył przed siebie, chcąc określić jej przyczynę, i dostrzegł własny rewolwer, który trzymał w dłoni. To on wystrzelił.

Nie miał czasu stwierdzić, czy trafił, bo puścił się biegiem. Za nim nie słychać było żadnych kroków ani strzałów. Już chciał przystanąć i się obejrzeć, ale serce tłoczyło krew i ucieczka żyła własnym życiem. W głowie miał całkowitą jasność. Tylko nogi poruszały się jak pałeczki bębna, same go niosły.

Skręcił za róg i pobiegł kawałek dalej. Wreszcie odzyskał kontrolę nad mięśniami. Zatrzymał się i przycisnął do muru, wsłuchując się w noc. Początkowo nic nie uchwycił. Potem z oddali doszedł go odgłos biegnących kroków. Raz nadchodził z jednej strony, raz z drugiej. Padł strzał, potem jeszcze kilka, jeden za drugim, aż w końcu pojedyncze wystrzały zlały się w jedną długą kanonadę, najprawdopodobniej broni maszynowej. Teraz słychać było także wydawane krzykiem rozkazy i ciężkie dudnienie butów, jakby wprawiono w ruch całą armię. Gdzieś włączono silnik samochodu.

To on swoim strzałem przerwał tę ciszę, uruchamiając bombę, która teraz eksplodowała, a bombą tą było naraz całe miasto.

Zaciemnione miasto i salwy wystrzałów całkiem go otoczyły. Strzelanina to się wzmagala, to znów następowala po niej pełna napięcia cisza. Kto strzelał do kogo? Czy to wojsko nacierało na strajkujących, a oni odpowiadali? Czy też po prostu zapanował chaos? To była rewolucja? Drapieźniki pełznące w ciemności, z sykiem atakujące się pazurami, a potem znów wycofujące się w cień? A może to inna rewolucja: bunt rewolwerów, które wśród nocy przejmowały władzę nad ich właścicielami i rozpoczynały swoją rozmowę z krwią, wzywały ją, kusily, tak by wezbrała na ulicach miasta niczym powódź?

Czy strzelali do siebie, by uczcić zatarcie granicy między dobrem a złem, porządkiem i nieporządkiem, po którym pozostało jedynie nieposkromione życie, miasto z kamienia spryskane jego symbolem, krwią?

Znów zaczął biec. Oddychał z trudem, ale nie przystawał. Jego ciężkie ciało parło naprzód przez zaułki niczym wściekły nosorożec. W pewnej chwili do niego strzelono. Usłyszał kulę wbijającą się w mur za plecami. Gdzie indziej wpadł na dwóch mężczyzn ukrywających się w bramie. Strzelił w tamtą stronę, ale nie przerwał szaleńczego biegu. Kim byli? Czy w nich trafił?

Było mu to obojętne.

Ujrzał maszerujący oddział żołnierzy i znalazł bramę, w której mógł się schronić, lecz jeszcze zanim zdążyli przejść, znów z niej wypadł. Zmienił kierunek i posłał strzał w ich stronę.

W poprzek ulicy ktoś zbudował barykadę. Poruszały się za nią jakieś cienie. Gęsta ciemność nie pozwalała mu zobaczyć, co się tam dzieje, lecz podpowiadał mu to instynkt. To była rewolucja. Bunt rewolwerów. Pragnęli upuścić z siebie nawzajem krew. Między żołnierzami a buntownikami panowało braterstwo. Połączyła ich wspólna chęć zabijania.

Zaczęli coś do niego wołać. Odpowiedział swoją łamaną marynarską hiszpańszczyzną. Zaprosili, by przyłączył się do ludzi za barykadą. Poklepywali go po ramieniu, a gdy pokazał im swój rewolwer, nazwali *compañero*, słowem, które dobrze rozumiał i które wydawało mu się równie naiwne jak oni. Ich sprawa była mu obojętna. Oni potrzebowali alibi, by strzelać ze swoich rewolwerów. On go nie potrzebował.

Rozpoczął się ostrzał barykady. Buntownicy odpowiedzieli ogniem w mrok. Widział płomień wykwitające z luf rewolwerów. Poczul coś ciepłego na policzku. Czyżby został trafiony? Stojący obok niego mężczyzna osunął mu się na ramię. Przez moment opierał na nim głowę, jakby zapadł w sen. Rękaw koszuli powoli nasiąkał krwią. Ranny po chwili upadł na ziemię.

Ostrzał stał się intensywniejszy. Ogień z luf niczym fajerwerki rozświetlił drugi koniec ulicy. Hałas ogłuszał i upajał.

Herman poczul gwałtowny, suchy żar przebijający przez skórę, jakby serce stanęło mu w ogniu: żył!

Strzały zaczęły padać z coraz bliższej odległości. Żołnierze atakowali. Otaczający go mężczyźni opuścili barykadę. Pojął, że uciekają w ciemność, więc i on puścił się biegiem. Usłyszał czyjś śmiech. To on sam się śmiał. Nagle zobaczył jakąś postać rozciągniętą przed nim na ulicy. Przeskoczył ją jednym susem. Ktoś złapał go za ramię i wciągnął w boczną ulicę, a tam w bramę. Wspięli się przez mur, potem przez jeszcze jeden. Mruknął *gracias*, choć właściwie było mu wszystko jedno. Ciało wprost krzyczało, dając ekstatyczne świadectwo nieśmiertelności. Rewolweru nie wypuszczał z ręki.

Miał wrażenie, że przebywa w zaciemnionym mieście od zawsze, a wszystko, co przydarzyło mu się wcześniej, zbladło, pozbawione znaczenia. Nagle to poczuł. Ta noc przyniosła ulgę. Tu, w tych ciemnych ulicach, gdzie światło latarni zastępowały płomienie z luf rewolwerów, a rynsztokami płynęła krew, tu mógł się poruszać, nie czując się kaleką. Po prostu istniał. Był ciałem, krwią, instynktami i odruchami. Był swoim rewolwerem i dzięki niemu zjednoczył się z tymi wszystkimi, którzy jak on krążyli uzbrojeni wśród nocy. Zjednoczył się ze wszystkimi mężczyznami. Z życiem i śmiercią.

Zza wzgórz za miastem wtoczyła się nad bulwar duża czerwona kula. Słońce wstawało. Zapalały się wokół niego kolory. Najpierw zaczęły się żarzyć, potem nabrały mocy. Powitał świt z rozczarowaniem i ulgą. Słoneczne światło porządkowało nocny chaos i wskazywało domom, a chwilę później również ludziom, ich miejsca.

Popatrzył na siebie. Koszulę miał zaplamioną krwią. Zerwał ją i rzucił na ulicę. Poczuł w dłoni ciężar rewolweru. Przez chwilę się wahał, w końcu go cisnął i poszedł dalej.

Dotarł na wielki plac. Leżały na nim powywracane krzesła i stoły. Mężczyźni w mundurach znosili ciała. Wkrótce i z kafelków zostanie zmyta krew. Wracał dzień.

Spokojnie przeszedł przez plac. Jakiś żołnierz krzyknął coś do niego i podszedł, za nim zbliżyli się dwaj inni. Bacznie mu się przyglądali. Stał z nagim torsem, otoczony ostrym zapachem potu, z twarzą, która pod krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami poczerwieniała od wiatru, alkoholu i słońca. Kim był? Marynarzem, który podczas uciech zapomniał o miejscu, czasie i godzinie policyjnej?

Cuchnął.

Uznali, że to zapach pościeli i kobiety. Widział to po ich twarzach. Uśmiechnął się do nich. Odwzajemnili uśmiech. Najwyższy z żołnierzy wskazał na jego policzek. Herman podniósł rękę i poczuł skorupę zastygłej krwi w miejscu, gdzie drasnęła go kula.

– *Mujer* – powiedział. Kobieta.

– *Mujer* – roześmiali się.

Któryś wygiął palce, naśladując kocią łapę z wyciągniętymi pazurami.

W nocy strzelał do nich, a oni do niego. Byli cieniami, które strzelały do cieni. Teraz w świetle poranka stali się zwykłymi mężczyznami. Pozwolili mu odejść.

Zszedł do portu i odszukał jolkę. Odwiązał cumę i powoli zaczął wiosłować do „*Kristiny*”.



Następnego dnia Herman zachowywał się cicho. Załoga zerkała na niego ukradkiem. Zauważyli jego nocną nieobecność, ale nic nie mówili. Od czasu do czasu na jego twarzy pojawiał się dziwny uśmiech bez powodu, uśmiech, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widzieli. Spoglądali na siebie z niepokojem.

Co przychodzi po ciszy?

Ivar czujnie patrzył na masywne plecy Hermana. Jedyne Bager zdawał się niczego nie dostrzegać.

Herman widział ich spojrzenia. Co o nim myśleli? Jak sądzili, co robił podczas godziny policyjnej w Setubal? Myśleli, że po prostu poszedł na dziwki? Więc dlaczego nie pytali? Bali się odpowiedzi?



Strajk przerwano. „*Kristina*” przybiła do kei. Do burty statku podpłynęły dwie barki i dokerzy zaczęli wyładowywać klipfisz. Bager wyprawiał się do miasta po prowiant i zabrał ze sobą pannę Kristinę. Wróciła uradowana, właściciel składu z prowiantem zaprosił ich do restauracji. Zjedli rybę z pieczonymi oliwkami.

– Ale wyobraźcie sobie, że w restauracji wszystkie szyby były potłuczone. Czyżby w nocy odbyła się rewolucja?

Herman się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Pozostali przyglądali mu się badawczo.

Spoglądał na mężczyzn na pokładzie. Patrzył na dokerów pracujących w ładowni i na kei. Widział rybaków wypływających na morze pustymi łodziami. Widział, jak wracają z pełnymi sieciami. Widział żołnierzy z bagnietami w pogotowiu. Widział mieszkańców Setubal. Jego spojrzenie przebiegało cały świat. Czuł, że czas się zatrzymał, że spokój pozwolił mu rozwiązać wszystkie zagadki ziemi.

Czy to wtedy powstała w nim brzemienna w skutki pewność, że panna Kristina będzie należeć do niego?

•

Przygotowali „*Kristinę*” do wyjścia w morze i wkrótce opuścili Setubal. Przez pierwsze dwa dni południowy wiatr dmuchał im w plecy. Potem uciął. Płynęli ze sztafokiem i topsłami. Ster można było puścić, statkiem huśtała martwa fala. Woda podchodziła aż do nadburcia. Słońce stojące wysoko na niebie wypalało kolory z nieba i z morza, aż wreszcie wszystko zlało się w białą mgłę upału. „*Kristina*” unosiła się i opadała w rytm powolnych oddechów morza. Wydawało się, że świat zapadł w głęboką drzemkę. Chodzili po pokładzie niczym lunatycy, nabierając powietrza w rytmie ruchu fal.

Panna Kristina haftowała na pokładzie. Nikt nic nie mówił. Bager przysiadł się do córki z *Zbiorem kazań marynarskich*. Nie odzywali się do siebie i wyglądali tak, jakby w ogóle nie potrzebowali słów, aby czuć się sobie bliscy. Szyper przewrócił kartkę w swojej książce, roztargnionym wzrokiem spojrzął na morze i wrócił do lektury. Kristina zajmowała się swoją robótką. Opaliła się, a włosy miała rozpuszczone. Helmer przyniósł kawę.

To były ostatnie ciepłe dni przed Biskajami.

Nazajutrz też panowała cisza. Koło siódmej wieczorem pojawił się wiatr, więc Ivar i Knud Erik wspięli się na maszt stawiać żagle. W ciągu nocy wiatr się wzmógł. Gdy panna Kristina przed południem pokazała się na pokładzie, na powitanie fala chlusnęła jej prosto w twarz. Dziewczyna otarła słońną wodę i roześmiała się do Ivara, który stał przy sterze. Potem fachowo spojrziała na ozagłowanie. Żagle gaflowe zostały w nocy zrefowane, a z rejowych zostały jedynie dolny i górny fokmarsel. Napięty latacz wkrótce powinno się sprzątnąć.

– Szmaty pracują! – roześmiała się z mokrą twarzą. Włożyła drewniaki ojca i sztormiak, który był na nią za duży. Na włosach miała chustkę, mokrą teraz, wykręciła ją więc i wsunęła do kieszeni kurtki. Gęste brązowe loki uniośł wiatr.

Minęli dwie nieduże łodzie rybackie zmierzające na południe. Panna Kristina stanęła przy Ivarze i śledziła je wzrokiem. Wspinają się na fale, potem znikają w dolinie, by znów pojawić się na szczycie następnej. Panna Kristina wpatrywała się w nie, jakby poszukiwała jakiegoś stałego punktu. Na jej twarzy pojawiło się napięcie. Nagle złapała się za usta i podbiegła do relingu. Ivar dyskretnie odwrócił głowę.

Wróciła do niego.

– Chyba pójde do kajuty – powiedziała.

Kiwnął głową.

•

Koło południa wiatr się odwrócił. Wiał teraz przeciwnie do prądu i „*Kristina*” mocno kołysała się na falach. Dziób raz po raz znikał w masach wody.

Herman przejął ster.

– Musimy zrzucić latacz – oznajmił Ivarowi.

Marynarz popatrzył na niego.

– Chcesz, żebym wyszedł na bukszpryt?

– Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi?

– A ty nie widzisz tego, co ja widzę?

Ivar otwarcie mu się sprzeciwił.

– Ja widzę, że trzeba zrzucić latacz.

– A ja widzę, że bukszpryt stale zanurza się pod wodę.

– Co, boisz się kąpieli?

Herman nawet nie próbował kryć pogardy.

– Jeśli nie odpadniesz, żebyśmy przestali dziobać fale, to tam nie wejdem.

Mierzyli się wzrokiem.

– Rozkazujesz mi?

– Ty jesteś sternikiem, a ja marynarzem. Zachęcam cię tylko, żebyś zrobił to, co zrobiłyby każdy, kto ma bodaj odrobinę pojęcia o żeglowaniu. Inaczej niech latacz sobie lata.

Herman odwrócił wzrok. Wiedział, że Ivar ma rację. Wysyłanie człowieka na bukszpryt przy tak głębokich zanurzeniach dziobu było nieodpowiedzialnością. Zwolnił uścisk na sterze i statek odpadł od wiatru. W tej samej chwili z kajuty wyszła panna Kristina. Ręką trzymała się za usta, jakby znów zamierzała złożyć ofiarę morzu. Jej spojrzenie przykuli dwaj mężczyźni stojący naprzeciw siebie. Przenosiła wzrok z jednego na drugiego, nie odrywając ręki od ust.

Ivar przeszedł przez pokład. Statek przestał pruć fale. Huśtanie ustało. Latacz załopotał na wietrze. Ociekający wodą bukszpryt wskazywał zaciągnięte chmurami, kamiennie szare niebo. Ivar wyszedł na bukszpryt i zaczął ściągać żagiel.

Herman go obserwował. Widział jego wysoką, strzelistą postać, sprawnie utrzymującą się na śliskim drzewcu ponad szalejącą kipiela w dole.

Czas skurczył się i zatrzymał.

Hermanowi dawała siłę nie tylko jego męskość. Przyczyniała się do tego również jego wiedza o słabościach innych. Gardził Iwarem od momentu, gdy go poznał, lecz była to dziwnie bezprzedmiotowa pogarda, niemogąca zakotwiczyć się w żadnym konkretnym. Czy Ivar miał jakiś słaby punkt? Czy wytrzyma presję w decydującej sytuacji?

Czuł, jak ster, odwieczne ogniwo łączące sternika z morzem, w jego rękach szarpie się i wyrywa. Cały czas musiał nim obracać, by utrzymać zmieniony kurs. W pewnym momencie się zawahał. Wiatr z odgłosem przypominającym eksplozję znów wypełnił żagle. Dziób wznosił się wysoko pod niebo na przetaczającym się grzbiecie fali, a potem statek zaczął spadać. Spadał i spadał przez powietrze, aż w końcu uderzył w powierzchnię, wzbijając po obu stronach fontanny piany. „*Kristina*” rozcięła masy wody jak nóż i cały dziób zanurkował, biorąc kurs na dno.

Upłynęła cała wieczność, jakby słońce przesunęło się w niewidzialny środek ciężkości w odległym miejscu galaktyki, a jednak wszystko działo się tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować. Panna Kristina wciąż stała z ręką przy ustach i szeroko otwartymi oczami. W końcu statek powoli się wynurzył. Woda zapieniła się na pokładzie w części rufowej. Bukszpryt triumfalnie wskazywał w niebo. Ivar wciąż jeszcze na nim wisiał, uczepony jak małpa, biały na twarzy.

Nawet przez ten krótki moment Herman dostrzegł jego paraliż. Właśnie teraz Ivar powinien skoczyć na bak. Jeśli statek znów zanurkuje, nie zdoła się dłużej utrzymać. To był jego moment, tak jak Herman miał swój w Setubal.

Ale Ivar dalej wisiał, miał sparaliżowane mięśnie i wolę. Koniuszkami palców wczepiał się w bukszpryt, jakby owładnięty lękiem sądził, że jest zwierzęciem, które jest w stanie wbić pazury w twarde drewno i mocno się trzymać.

Wiedziony nagłym odruchem Herman przyłożył ręce do ust i krzyknął:

– Skacz, marynarzu! Skacz, do wszystkich diabłów!

Nie wiedział, czy zrobił to, by wyrwać Ivara z odrętwienia, czy żeby z niego zadrwić.

Statek znów zanurkował. Gdy się wynurzył, Ivara nie było. Pusty bukszpryt przez moment wskazywał jakiś punkt w chmurach, jakby Ivar zniknął właśnie tam, a nie w spienionej wodzie, rozciętej przez dziób.

Herman obrócił sterem i statek znów odpadł od wiatru. Dziób zakończył swoje podniebne podróże.

Teraz wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Podbiegła do niego panna Kristina.

– Ty świnió! – zawołała zduszonym głosem. – Dobrze widziałam, coś ty...

Mdłości odebrały jej siły i zwymiotowała strumieniem, który trafił Hermana w sam środek piersi. Kolejny skurcz żołądka zgiął ją całą. Tym razem wymiociny rozbryzgały się na pokładzie. Kiedy z trudem chwytając oddech, wyprostowała się, rzadka żółtobiała masa spływała jej po brodzie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami z miną obłąkanej. Z jej ust płynął potok przekleństw:

– Ty świnió! Ty potworze! Ty wstrętny... Ty... Ty...!

Wybuch zakończył się jękaniem, które zaraz przeszło w głośny płacz.

Panna Kristina widziała, co się stało, a nie na darmo była córką szypra, by nie zrozumieć przyczyny tego, co zauważyła. Widziała, jak Herman wraca na kurs, i zdawała sobie sprawę, co to oznacza dla człowieka znajdującego się na bukszprycie.

I rzeczywiście, nie mógł zaprzeczyć temu, co zrobił. Zawsze jednak miał twierdzić, że się pomyliła. To nie on pozbawił Ivara życia, tylko morze. To morze pokonało Ivara, ponieważ w decydującym momencie okazał się słaby. Morze go zabrało, bo do niego nie pasował. On, Herman, był jedynie narzędziem.

Istniał jeszcze inny świadek: Helmer, który stał w pogotowiu przy kontrafale, gdy Ivar usiłował zrzucić latacz. On jednak nie zrozumiał nic z tego, co widział, a gdyby jednak był zdania, że coś zauważył, to Herman posiadał odpowiednie środki, by zamknąć mu usta. Nie mógł zostać o nic oskarżony, a był ku temu jeden dobry powód. Przecież nic nie zrobił.

– Człowiek za burtą! – krzyknął.

To ucięło płacz. Panna Kristina oprzytomniała. Zerwała mocowanie bojki ratunkowej i cisnęła ją w morze, by zaznaczyć miejsce, gdzie zniknął Ivar. Z kubryku wypadli Knud Erik i Vilhjelm.

– Kto? Kto? – wołali przestraszeni.

– Ivar! – odkrzyknął Helmer z paniką w głosie.

Herman wysłał go na oko, by wypatrywał na wypadek, gdyby Ivar gdzieś się pojawił. Potem kazał zbrasować żagle. Panna Kristina znów wymiotowała przy relingu.

„Tym razem to z szoku”, pomyślał.

Ze swojej kajuty przybiegł Bager. Herman złożył mu krótki raport. Celowo się starał, by jego głos brzmiał obojętnie i trzeźwo.

– Ivar spadł za burtę z bukszprytu. Wyszedł zrzucić latacz.

– Jak to możliwe? Nie odpadł pan od wiatru?

– Oczywiście. Ale on nagle zniknął.

Herman wzruszył ramionami, podkreślając zarazem, że wypadek nastąpił z winy Ivara.

Knud Erik i Vilhjelm już spuszczała jolkę na wodę. Bager przejął dowodzenie, potem sam wskoczył do szalupy. Herman zobaczył, że panna Kristina wdrapuje się na reling. Odbiła się i zniknęła za nadburciem.

Chwilę później ukazała się szalupa. Kristina stała na dziobie z powiewającymi włosami i utrzymywała równowagę jak doświadczony marynarz. Na brodzie wciąż miała ślady wymiocin. Bager siedział skulony na tylnej ławeczce, Knud Erik i Vilhjelm wiosłowali.

Herman został przy sterze. Narastało w nim poczucie, że teraz to on decyduje na statku.

Tamci wiosłowali, bezradnie kręcąc się w kółko, raz wznosząc się na szczycie fali, raz niknąc z oczu. „*Kristine*” wiatr spychał, tak jak bojkę ratunkową. Gdzie dokładnie zniknął Ivar? Morze nie miało punktów orientacyjnych, a jego pejzaż ciągle się zmieniał. Oddalali się coraz bardziej, aż w końcu jolka stała się pomalowaną na biało skorupką orzecha wśród wzburzonych fal, które raz się podnosiły, to znów opadały, zmęczone pościgiem za odległym horyzontem.

Nagle wydało im się, że coś się dzieje. Drobne postacie stanęły w łodzi, machały rękami, pochylały się w przód. Wyglądało to tak, jakby z czymś się siłowały. Czyżby go znaleźli?

– Widzisz coś? – krzyknął Herman do Helmera na oku.

– Chyba go mają!

Herman pomachał ręką, jakby już się szykował do powitania Ivara w świecie żywych.

Coś niejasnego wydarzyło się w następnej chwili. Postacie zgięły się jeszcze mocniej, prawie całkiem wychylając się za burtę łodzi. Szalupa groźnie zakołysała przy tak nagłym przesunięciu balastu. Potem ludzie znów się wyprostowali, tylko jeden siedział skulony.

Herman znów krzyknął do Helmera:

– Co się teraz dzieje? Mają go?

Czekając na odpowiedź, nie czuł ani lęku, ani nic przeciwnego. Jeśli Ivar dał sobie radę, to i on sobie poradzi. Życie potoczy się dalej bez względu na to, co się wydarzy tam, na wodzie. Herman był spokojny i niemal obojętny.

– Wydaje mi się... – Helmer zawahał się i zmrużył oczy.

– Chyba go wypuścili. W każdym razie ja go nie widzę.

Wciąż starali się stać pod wiatr. Żagle łopotały.

Jolka zaczęła krążyć w koło. Trwało to jakiś czas, nim wreszcie skierowała się z powrotem ku statkowi. Bager pierwszy wrócił na pokład. Był blady i trzymał się za serce. Za nim weszła panna Kristina. Twarz oparła na ramieniu ojca i trzęsła się na całym ciele. Głośno, przenikliwie płakała. Bager przytulił ją do siebie. Potem objął ją i poprowadził do zejściówki. Ale drugiej ręki nie odrywał od piersi. Usta w udręczonej twarzy były jak cienka kreska.

Herman przywołał Knuda Erika.

– Co się tam wydarzyło? – spytał.

– Znaleźliśmy go. Unosił się na wodzie, ale był już podtopiony i oczy miał takie dziwne.

– Dziwne?

– Tak, nie wiem, jak to nazwać. Jakby to nie był on. Jakby oszalał. Walił na oślep, gdy próbowaliśmy go wciągnąć. Nie dało rady schwycić go porządnie pod pachy. Zaczęliśmy więc go ciągnąć, no, a potem się to stało.

– Co się stało?

– No... sztormiak musiał mu się rozpiąć. Wyślizgnął się z niego. Nagle zostaliśmy z pustymi rękawami. – Głos Knuda Erika zrobił się gruby, trudno mu było kontynuować: – Poszedł na dno. Więcej go nie zobaczyliśmy. A już go mieliśmy! Patrzyliśmy mu w twarz. Znajdowałem się bliżej niego niż teraz ciebie. Był uratowany. A potem... – urwał i popatrzył na Hermana dziwnym wzrokiem. – Ale ty właśnie tego chciałeś, prawda?

– Pokręcił głową i się odwrócił.

Herman długo za nim patrzył. Nagle jego uwagę przyciągnął głośny trzask. To latacz łopotał na wietrze.

– Wciąż mamy latacz do zrzucenia. Są ochotnicy?

Helmer ciągle był na oku. Herman kazał mu zejść i szykować obiad. Był statek, który należało poprowadzić, i życie, które toczyło się dalej.

Zaczął się zastanawiać nad słowami Knuda Erika i jego dziwnym spojrzeniem. Czuł, że chłopak go przejrzał. Pamiętał ostrzeżenie Kristiana Stærka przed Antonem Hansenem Hayem, który znalazł czaszkę ojczyrna. Knud Erik mógł coś wiedzieć. Ci przekłenci chłopcy gapili się na niego tak strasznie, że w końcu uciekł z miasta. Ale w Marstal nigdy nic nie wyszło na jaw. Historia poszła pewnie w zapomnienie.



Zjadł razem z trzema chłopcami. Atmosfera pozostawała napięta, posilali się w milczeniu. Musi pamiętać, że trzeba wrócić do dawnych racji żywnościowych. Teraz nie było już Ivara, który by przemówił w ich sprawie.

– Ktoś ma coś do powiedzenia? – spytał.

Helmer skulił się i skoncentrował na jedzeniu. Herman spojrzał na Knuda Erika i Vilhjelma. Obaj pokręcili głowami.

– Straciliśmy dzisiaj towarzysza – powiedział. – Takie rzeczy już się zdarzały i będą zdarzać się znów. Tak się dzieje na morzu. Są dobrzy marynarze i są marynarze, którzy nie są tak dobrzy...

Po tych ostatnich słowach zawiesił głos.

– Ivar był dobrym marynarzem – stwierdził Knud Erik.

Herman opanował się, choć miał ochotę uderzyć chłopaka.

– Takie jest już morze – powiedział łagodząco. – Kiedy pokazuje się od takiej strony, nie jesteśmy w stanie niczemu zapobiec. – Poczul pustkę swoich słów. – Ale wy przecież złapaliście Ivara. Co tam się wydarzyło? Wpadł w panikę?

Knud Erik pokręcił głową, ale nie chciał mówić.

Herman wiedział, że poruszył ważną kwestię. Przecież znaleźli Ivara. Jeszcze żył. Mógł zostać ocalony. Sam do tego nie dopuścił. Dobry marynarz, oczywiście. Ale czy dobry marynarz zachowuje się w ten sposób, gdy chodzi o życie? Możliwe, że Knud Erik podejrzewał go o spowodowanie wypadku, ale chłopak widział też tchórzostwo Ivara, i dlatego nie był pewien swoich oskarżeń.

– Wpadł w panikę? – powtórzył Herman.

Pytanie tak długo wisiało w powietrzu, że stało się odpowiedzią.

Helmer wstał, żeby zanieść Bagerowi kawę do kajuty.

Knud Erik podniósł wzrok. W oczach miał niebezpieczny błysk.

– Powiem o wszystkim szyprowi – oświadczył.

– Co mu powiesz? Spałeś w kubryku. – Głos Hermana był spokojny.

– Vilhjelm też wie. Opowiemy o tym Bagerowi.

– O tej starej historii? – roześmiał się Herman. – Przez piętnaście lat całe Marstal mówiło, że zabiłem Jepsena. – Ze śmiechem rozłożył ręce.
– I co? Sami widzicie, że dałem sobie z tym radę.

Helmer wrócił z talerzami z kajuty szypra. Ani Bager, ani Kristina nie tknęli jedzenia.

– Szyper chce z tobą mówić – powiedział.

Herman wstał z ławy. Na pokładzie wziął głęboki wdech. Musiał się pozbierać, skupić i zebrać siły. Nie miał pojęcia, co powie. Pozostawił wszystko instynktowi samozachowawczemu. Tu i teraz musiał przejść próbę. Zobaczył, że panna Kristina stoi przy sterze razem z Vilhjelmem. Będzie więc z Bagerem sam. Tak chyba najlepiej.

Otworzył drzwi do kajuty i przekroczył wysoki próg. Był tam już nieraz, ale teraz miał wrażenie, że ogląda kajutę Bagera po raz pierwszy. Przebiegł wzrokiem po rodzinnych fotografiach, których ramki zamiast wisieć na pętelce, zostały przyśrubowane do ściany. Nad skórzaną sofą przymocowano regał pełen książek. Wreszcie jego spojrzenie padło na szypra. Bager wyglądał tak, jakby w krótkim czasie dokonała się w nim dramatyczna zmiana. Jedną rękę wciąż trzymał na piersi, drugą natomiast zaciskał na krawędzi stołu, jakby zaraz miał się zsunąć z sofy, i jedynie dzięki temu utrzymywał się na miejscu. Jeszcze bardziej poblądł, a oczy zapadły się głęboko. Rzadkie włosy były wilgotne, u ich nasady lśniły drobne kropelki potu. Mrugał nerwowo.

Herman stanął tuż przy drzwiach. Trzymał się prosto i starał się nadać swemu głosowi możliwie oficjalny ton. Jeśli chodziło o siłę woli, to wygrywał z Bagerem. Co do tego nigdy nie miał wątpliwości, a w tej chwili stało się to pewniejsze niż kiedykolwiek. Kapitan jednak przewyższał go rangą. Herman musiał imponować i wzbudzać lęk, lecz nie mógł sprawiać wrażenia, że ma zamiar naruszyć hierarchię, której podlegał, bez względu na to, jak bardzo gardził jej przedstawicielem. Nie był buntownikiem.

– Chciał pan ze mną rozmawiać – zaczął.

Bager wbił spojrzenie w stół, jakby zapominając, co chciał powiedzieć, i teraz zdawał się szukać słów w słojach lakierowanego drewna. Wreszcie puścił blat i przesunął dłonią po stole. Nagle mocno nią uderzył. Był to najwyraźniej sygnał dla niego samego, że ta rozmowa musi się wreszcie rozpocząć. Moment później podniósł głowę i utkwiał wzrok w Hermanie.

Nerwowe mruganie nie ustępowało.

– Wysunięto przeciwko panu bardzo poważny zarzut – oświadczył i zaciął się, jakby spodziewał się jakiejś reakcji Hermana.

Ten patrzył na niego wyczekująco.

„Zabawne byłoby, gdyby szyper zaczął coś cytować ze *Zbioru kazań marynarskich*”, pomyślał.

Bager na moment odwrócił wzrok, a potem, wyraźnie się przemagając, znów spojrzął na Hermana.

– Ktoś... – zawahał się, szukając właściwego słowa. – Ktoś, w kogo słowa nie mam powodu wątpić, twierdzi, że celowo naraził pan życie Ivara na niebezpieczeństwo, gdy ten wyszedł na bukszpryt zrzucić latacz.

Urwał wycieńczony, oczekując odpowiedzi. Herman nie zareagował, spokojnie stał w tej samej pozycji co wcześniej. Bager chusteczką otarł czoło. Rzadkie, przepocone włosy zwichrzyły mu się i podniosły. Bezradna twarz nabrała komicznego podobieństwa do znaku zapytania.

Herman wciąż nic nie mówił, więc Bager znów musiał przerwać milczenie.

– Stał pan przy sterze, a gdy Ivar znalazł się na bukszprycie, zmienił pan kurs, tak że statek wyostrzył i dziób zanurzył się w falach.

Herman zrobił krok do przodu. Bager gwałtownie drgnął.

– Kto tak twierdzi?

– Nie pańska sprawa. Poza tym to nie pan będzie mi zadawać pytania. To ja pana przesłuchuję. Proszę nie zapominać o swoim miejscu.

Szyper znów otarł czoło chusteczką. Przez chwilę jakby nasłuchiwał czegoś, co działo się zupełnie gdzie indziej, a Hermanowi przyszło do głowy, że to wcale nie sytuacja przeraża szypra, tylko coś innego. W końcu Bager znów zaczął mówić:

– Nie tylko zachował się pan nieodpowiedzialnie i wbrew wszelkim zasadom żeglowania. Wszystko wskazuje na to, że zmienił pan kurs celowo.

– Pan próbuje coś insynuować?

Herman nie był w stanie dłużej nad sobą panować. Zorientował się, że opiera się obiema rękami o stół, groźnie nachylony nad kapitanem.

Bager przycisnęła rękę do piersi. Oddychał krótko i przestał ocierać pot z czoła. Włosy wciąż mu sterczały na głowie, ale głos miał spokojny.

– Ja niczego nie insynuuję. Ja mówię wprost. Pan odebrał życie Ivarowi.

Urwał, żeby nabrać powietrza. Teraz oddychał płytko, z wielkim trudem. Herman stał jak przymarznięty, całym ciężarem opierając się o blat.

Bager złapał wreszcie powietrze.

– W Kopenhadze zostanie pan przesłuchany przed sądem morskim. Obiecuję, że prawda wyjdzie na jaw.

– To panna Kristina tak powiedziała, prawda? To ona sprzedała panu to kłamstwo. Przekłete babsko! Przecież on wpadł w panikę. Dlatego się utopił. To był słabeusz. Tacy jak on nie nadają się na morze. To wszystko. Nic więcej nie mam do powiedzenia na ten temat.

Twarz Hermana znalazła się teraz niebezpiecznie blisko szypra. Musiał się powstrzymywać, by nie chwycić chudego starca i nie walnąć nim o ścianę.

Bager patrzył na niego, ale spojrzenie miał dalekie. Po bladym czole spływał pot. Znów wydawało się, że wsłuchuje się w odległe dźwięki. Nie zwracał uwagi na obecność Hermana.

– Czy pan w ogóle słucha, co ja mówię? – prychnął Herman. – To ta krowa napaliła się na niego!

Było mu wszystko jedno, jakich słów używa. Stracił głowę, ale ręce wciąż miał spokojne, chociaż kosztowało go to wiele wysiłku, bo aż drżał na całym ciele. Czy ten dureń naprawdę nie rozumiał, że igra z ogniem? Na ile można się godzić?

– Oskarża mnie pan o to, że jestem mordercą? – wrzasnął, czując ulgę, gdy na głos wymówił te słowa. Poczul się jedynym sprawiedliwym i odzyskał kontrolę nad sobą.

Wyraz twarzy kapitana pozostawał niezmieniony. Jego spojrzenie wciąż skupiało się na jakimś odległym punkcie, a mina, świadcząca o tym, że czegoś nasłuchiwał, stała się jeszcze wyraźniejsza. Nagle głęboko wciągnął powietrze. Potem czknął, a może nawet beknął. Mięśnie twarzy mu zastygły, oczy otworzył szeroko, a dolna warga opadła. W końcu zwałił się w przód. Głową uderzył w stół między rękami Hermana.

Herman odskoczył. Wpatrywał się we włosy kapitana, w rzadkie pasma lepiące się do czaszki. Skóra na głowie była szara jak wyschnięta ziemia. Po chwili wyciągnął rękę, żeby zbadać puls. Nic nie poczuł. Wbiegł zejściówką na pokład.

Przy sterze stał Vilhjelm. Obok niego Knud Erik. Nigdzie nie mógł dojrzeć panny Kristiny. Z pewnością siedziała w kambuzie u Helmera.

Podszedł do chłopaków.

– Macie coś przeciwko zwłokom?

Spojrzeli na niego zdziwieni. W końcu wskazał na Knuda Erika.

– Ty pójdiesz ze mną.

Razem z chłopakiem wrócił do kajuty Bagera. Knud Erik zdrętwiał na widok postaci leżącej na stole.

– Co się stało?

– A jak myślisz?

– On nie żyje?

– Zmierzyłem mu puls. Nic nie poczułem, więc przypuszczam, że tak.

Knudowi Erikowi zaczęły drżeć ramiona.

– Musimy położyć go na koi.

Herman ujął Bagera pod pachy i bokiem ściągnął go z sofy. Knud Erik wsunął martwemu szyprowi rękę pod nogi. Ostrożnie przenieśli chude ciało na koję. Bager wciąż miał oczy szeroko otwarte. Otwarte miał też usta. Herman opuścił zmarłemu powieki i domknął szczękę.

– Zdarzyło się nieszczęście.

Poczuł na sobie spojrzenie Knuda Erika i odpowiedział butnie. Knud Erik spuścił oczy.

– Nieszczęścia chodzą parami – dodał łagodząco Herman.

Mówił takie zwyczajne, bezsensowne rzeczy, proste ludowe mądrości. A jednak te słowa niosły uspokojenie, jakby chciał pocieszyć nie tylko Knuda Erika, lecz również samego siebie. Śmierć Bagera go przestraszyła, przeżył krótki wstrząs, jak wtedy, gdy ktoś niespodziewanie krzyknie. Nie będzie tęsknił za tym człowiekiem. Natychmiast zrozumiał, że śmierć Bagera wyjdzie mu na korzyść. Ominie go mnóstwo nieprzyjemnych oskarżeń.

– Muszę porozmawiać z panną Kristiną – oświadczył, wchodząc na górę.

Knud Erik poszedł za nim. Herman otworzył drzwi do kambuza. Panna Kristina siedziała skulona na ławeczce. Helmer stał przy kuchni, odwrócony plecami. Popatrzyła na Hermana. Twarz miała bladą i zapłakaną, oczy czerwone. Włosy zlepione przez słoną wodę kleiły się do głowy splątanymi strąkami.

– Panno Kristino – powiedział. – Muszę z panią pomówić. Chodzi o pani ojca.

– O ojca? – W jej głosie zabrzmiało zdziwienie.

– Wyjdźmy stąd.

Odsunął się na bok, puszczając ją przodem przez drzwi kambuza. Usłyszała, o nic więcej nie pytając. W ruchach miała coś z lunatyka. Podprowadził ją do relingu od zawietrznej. Stali naprzeciw siebie, mocno się przytrzymując, a statek wznosił się i opadał na ciężkich falach. Herman nie wiedział, co się teraz stanie, czuł jednak olbrzymie napięcie. Czy ona się załamie? Czy w szalonej wściekłości rzuci mu w twarz kolejne oskarżenia? Może nawet obwini go o zabójstwo ojca? Powróciła niepewność, którą zawsze czuł w jej obecności, ale teraz stała się po tysiącokrotnie większa. Czy w ogóle zdoła sobie poradzić z tą sytuacją?

Wysiłkiem woli sprawił, że jego głos zabrzmiał spokojnie i rzeczowo.

– Panno Kristino – usłyszała własne słowa. – Ogromnie mi przykro, że właśnie ja muszę przekazać pani tę smutną wiadomość, lecz pani ojciec właśnie zmarł. Dostał ataku serca.

Nie patrzył jej w twarz, gdy wypowiadał te słowa. Spuścił wzrok, co mogło zostać odebrane jako znak współczucia i szacunku dla jej żałoby. Dobrze jednak wiedział, że spuszczenie oczu spowodowała niepewność. Poczul, że przegrał tę grę, i miał wrażenie, że coś strasznego zaraz wybuchnie mu w twarz, porwie go lawina wydarzeń, która doprowadzi do jego zagłady.

Wypowiedział już słowa i teraz czekał na reakcję dziewczyny. Nic się nie wydarzyło. Nie mógł dłużej tego znieść i podniósł głowę. Panna Kristina wciąż stała naprzeciwko niego z niezmiennym wyrazem twarzy, jakby nie usłyszała, co powiedział.

To, co stało się potem, całkowicie go zaskoczyło. Kristina zrobiła krok do przodu i spuściła głowę. Oparła czoło o jego bark i zaczęła szlochać. On przez kilka sekund stał jak skamieniały z opuszczonymi rękami. Potem ją objął, kołysząc się lekko w rytm ruchów statku, by nie stracili równowagi i nie upadli na mokry pokład. Otworzyły się w nim wszystkie źródła naraz. Niepewność, w której uścisku znajdował się zaledwie moment wcześniej, zmieniła się w poczucie triumfu, wzbierające niczym gejzer, który zaraz wytryśnie.

Stali tak przez dłuższą chwilę. On mógłby stać tak bez końca. Czuł własną siłę. Lekki nacisk jej czoła na bark nie ustępował. Poglądał ją po mokrych, splątanych włosach, mamrocząc jakieś pocieszające, pozbawione sensu dźwięki. Nagle zaistniała między nimi więź, a on nie miał pojęcia, w jaki sposób powstała. Ale była. Czuł to tak mocno, że odpowiedział wybuchem nagłej troskliwości. Miał wrażenie, że trzyma w ramionach dziecko.

– Proszę pójść ze mną – powiedział. – Zobaczycie pani ojca.

Zaprowadził ją do kajuty i otworzył jej drzwi.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli zostanie pani z nim przez chwilę sama – zaproponował troskliwie.

Potem poszedł zmienić Vilhjelma przy sterze.

•

Kazał podnieść więcej żagli. Płynął ostro. Statek kładł się pod naciskiem wiatru, woda niemal przelewała się przez reling. Widział niepokój w oczach chłopców, ale żaden nic nie mówił. Wezwał ich do siebie.

– Bager nie żyje. Teraz ja jestem kapitanem.

Znów został sam przy sterze. Czuł siłę morza przenikającą przez koło sterowe w jego dłonie. Troska, którą poczuł, umocniła się i zmieniła w pewność. Kristina należała do niego. To było nieodwołalne.

•

Myślał o martwym człowieku w kajucie. Miał ochotę natychmiast zawinąć go w płótno żaglowe i bez większych ceregieli wyrzucić za burtę. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Saint Mało nie było najbliższym portem, lecz gdyby wiatr się utrzymał, a on dalej żeglował tak ostro, doszliby tam w ciągu dwóch dni. W kajucie Bager oczywiście nie powinien zostać. Panna Kristina nie mogła spać razem z martwym ojcem. Pewną możliwość stanowił kubryk, tam przecież była jedna wolna koja.

Nie powstrzymał się od uśmiešku. „Cholera, dobrze tak tym szczeniakom! Niech śpią razem z trupem!”

Został przy sterze do końca dnia. Nie miał ochoty być nigdzie indziej. Statek należał do niego. Płynął przez morze z martwym szyprem i kobietą, która czekała na niego w kajucie. Nucił pod nosem starą szantę o pijanym marynarzu, który kończy w koi z córką kapitana.

Tak, to było marzenie. *Put him in the bed to the capt'n's daughter.* I to marzenie teraz się spełniło.

•

Gdy nadszedł wieczór, Herman zaniósł pannie Kristinie talerz zupy. W kajucie było ciemno. Zapalił zapałkę, a nią lampę naftową przyśrubowaną do ściany.

– Pani musi zjeść – powiedział, podając jej talerz.

Kristina posłusznie podniosła łyżkę do ust. W milczeniu czekał, aż skończy. Potem odniósł talerz do kambuza.

Okolo północy wciąż stał przy sterze, wziął trzy kolejne wachty. Teraz zaczynała się psia wachta. Przywiązał ster i przez pokład ruszył do zejściówki. Zszedł po trapie do kubryku i zbudził Vilhjelma. Chłopak wytoczył się z koi. Spał w ubraniu.

W rękę trzymał składany nóż, który z pewnością dostał na potwierdzenie. Z drugiej koi zeskoczył Knud Erik. On też był uzbrojony.

„*Kristina*” wciąż płynęła ostro pod wiatr i w kubryku rozlegał się huk, gdy dziobem uderzała w falę. Herman zerknął na noże i pokręcił głową.

– Sprawiliście sobie niezłe narzędzia do czyszczenia paznokci – stwierdził dobroduszenie. – Wsuńcie raczej te koziki za pasek, bo jeszcze mogłoby mi przyjść od głowy, że to bunt.

Widział, że z każdym wypowiedzianym przez niego słowem coraz bardziej drżą. Byli bliscy płaczu ze strachu.

Podał Vilhjelmowi kurs i wrócił na pokład. Zszedł do kajuty kapitana. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc chwilę później stanął w ciemnościach na przechylonej podłodze. Nasłuchiwał. Nie słyszał oddechu panny Kristiny, ale wiedział, że musi działać właśnie teraz. Ta pewność wyrosła w nim przy sterze, wśród ciemności i sztormu.

Sięgnął ręką do koi. Obmacał kołdrę i dotknął włosów. Musiała leżeć odwrócona plecami. Tymi plecami, o których marzył. Pogładził ją po włosach sztywnych od słonej wody. Nie zareagowała. Był przekonany, że śpi. Przesunął rękę dalej na ciepły i miękki kark. Jego wielka dłoń zacisnęła się na nim. Wyczuł kruche kręgi i ogarnęła go czułość. Panna Kristina wciąż nie reagowała. Nie słyszał, by wciągnęła powietrze, i musiał się powstrzymać, by nie zmierzyć jej pulsu. Czyżby wciąż spała? Wstrzymywała oddech ze strachu? Nie, był pewien, że nie. Czekala na niego. Mówiło mu o tym całe jego ciało. Odsunął kołdrę na bok. Potem chwycił jej nocną koszulę i podciągnął aż do ramion.

Przez moment się zawahał.

„Ja jej nie znam”, pomyślał. „Może ona jest silniejsza ode mnie?”

Przeszył go nagły strach. W końcu jednak rozpiął spodnie i położył się w koi przy niej. Nic nie mówił. W ubraniu czuł się niezdarnie. Powinien je wcześniej zdjąć. Teraz było już za późno. Objął ją ramieniem i przycisnął się do jej ciała. Wełniany sweter musiał drapać nagą skórę. Czuł, że w tej chwili wykorzystuje bezbronność dziewczyny zamiast ją chronić. Dotyk jej ciała sprawił, że od razu był gotów, ale żar wyparował mu z głowy, pozostawiając w zamian chłodną trzeźwość. Spojrzał na siebie z zewnątrz i to, co zobaczył, wprowadziło go w niepewność. Erekcja się utrzymywała. Była zwierzęca. Reagował po prostu na ciepło drugiego ciała i ślepo dążył ku spełnieniu. Wciąż obserwował siebie z zewnątrz. Wielki jak kłoc mężczyzna w marynarskich butach i swetrze gzi się z bierną kobietą na wąskiej koi.

Nagle się poruszyła. Mruknęła coś przez sen, próbując się obrócić, odruchowo więc wzmocnił chwyt na jej karku i wcisnął jej twarz w koję. Krzyknęła, ale krzyk stłumiła poduszka. Ciało napięło się w proteście, zaczęła machać rękami.

Westchnęła, gdy w nią wtargnął, ale to tylko powietrze z niej uszło, jakby coś się przesunęło w jej wnętrzu. Wydało mu się to westchnieniem pozbawionym uczuć, odgłosem płuc, które się opróżniają jak u umierającego, który wreszcie wyzionął ducha po długim czasie śpiączki. Znieruchomiała, jakby przebił ją włócznią.

On też znieruchomiał, wsłuchując się w napięciu, czy ona wciąż oddycha. Szybko osiągnął cel, chociaż wcale tego nie chciał, i wywołało to w nim uczucie, że nieoczekiwanie dał krok w przepaść i nagle spadał w ciemność. Biodra drgały mu jeszcze długo. Ona wciąż leżała nieruchomo. Przycisnął bierną kobietę do siebie. Przez mózg przeleciał mu rój słów. Chciał coś powiedzieć, ale żadne nie wydobyło mu się z ust. Dla niego ona była panną Kristiną. Ale nie mógł jej tak nazwać w chwili, gdy się z nią połączył. Wśród takich myśli zapadł w sen.

Przebudził się, może zaledwie parę sekund później, gdy ona nagle wyrwała się z jego objęć. Usiadła, zanim zdążył zareagować, i zaczęła go kopać. Stoczył się z wąskiej koi i ciężko upadł na podłogę. Stał na nogi, próbując zapiąć spodnie. Wokół rozporka czuł wilgoć.

Nie przestawała krzyczeć.

Nie czuł nic oprócz przykrości wywołanej przez niekontrolowany krzyk, który wypełnił całą ciasną kajutę i z niemal fizyczną siłą zmusił go do wyjścia.

Wytoczył się na pokład. Wiało mocniej, żagle były napięte. Przez chwilę stał, patrząc na morze. W ciemności jaśniały spienione grzbiety fal. Słyszał było jedynie wycie wiatru w takielunku i głuche uderzenia fal przelewających się przez pokład. Poszedł zmienić Villjelma za sterem. Postanowił zostawić żagle, chociaż zdawał sobie sprawę, że ryzykują, płynąc tak ostro. Ciężkie krople deszczu siekły go po twarzy.

Nie zaliczał się do tych, którzy oceniają swoje szanse. Wyrzucił z głowy wszystkie myśli i z zadowoleniem powitał pustkę, tak jak wcześniej sen.

•

Gdy przy następnej wachcie kazał zmienić się przy sterze, odmówili.

– Chcecie zatonać? – spytał.

Nie odpowiedzieli. Stali tylko, w wyciągniętych rękach trzymając swoje śmieszne prezenty z okazji confirmacji, które uważali za niebezpieczną broń. Wiatr ucichł. Statek płynął teraz spokojniej. Herman kolejny raz przywiązał ster i ruszył do kajuty kapitana. Pobiegli przodem i ustawili się pod drzwiami, wciąż z nożami w rękach. Panna Kristina musiała im wszystko opowiedzieć. Uważali się teraz za jej obrońców. Naruszył ich niedojrzałe poczucie sprawiedliwości, a to było najgorsze, bo poczucie sprawiedliwości doprowadza ludzi do dzikości i szaleństwa. To ono przydało im odwagi i odebrało ostrożność, ba, nawet instynkt przetrwania.

– Jeśli się zbliżysz, zabijemy cię – oświadczył Knud Erik drżącym głosem.

Helmer głośno szlochał, ale i on trzymał nóż. Byli ślepi ze strachu, a w ich ślepotcie istniał tylko jeden punkt, którego mogli się trzymać: składany nóż w ręku. Nie wątpił, że byliby gotowi wbić go w jego ciało, to był jedyny środek na strach, który w nich budził. Byli nieobliczalni i z tego jedynego powodu stali się nagle dla niego niebezpieczni. Pojął, że z jego mglistych planów, bez względu na to, jakie były, nic już nie wyjdzie. Panna Kristina dla niego przepadła. Został sam z trzema chłopakami, którym w panice mogło przyjść do głowy wszystko – było im obojętne, czy sami przeżyją, czy zginą. Mógł im kolejno skrócić kark, ale co z tego?

Poczuł obrzydzenie. Najwyższy czas iść naprzód i zrobić to, co zawsze robił w podobnych sytuacjach, gdy wszystkie drogi się przed nim zamknęły: pokazywać światu, że jest mu to obojętne, i uciec od tego wszystkiego. Jego życie było jak nieustanne falowanie morza. Pięło się w górę i zaraz opadało.

Wrócił do steru. Od tej pory ta sytuacja zmieni się w próbę wytrzymałości. Nie będzie mógł już spać. Na wschodzie rozciągało się francuskie wybrzeże Atlantyku ze strefą fal przybrzeżnych, która przy złej pogodzie mogła oznaczać zagładę dla szkunera, zwłaszcza bez doświadczonych marynarzy.

W ciągu dnia zmienił kurs.

POWRÓT DO DOMU

•

Monsieur Clubin, pilot z Royan, pierwszy zauważył, że szkuner bramslowy, kołyszący się na falach w okolicy Pointe de Grave, znalazł się w opałach. Początkowo nie miał pewności, czy na pokładzie w ogóle ktoś jest, lecz po kilkuminutowej obserwacji przez lornetkę uświadomił sobie, że ktoś rozpaczliwie walczy o utrzymanie statku z dala od niebezpiecznego wybrzeża. Wprawdzie nie wzywano pomocy, lecz obowiązkowość charakteryzująca *monsieur* Clubina, przez trzydzieści lat pracy pilota w Royan, kazała mu mimo wszystko tam popłynąć.

Na pokładzie „*Kristiny*” z Marstal zastał trzech chłopców i młodą kobietę. Wszyscy sprawiali wrażenie szalonych. Podczas całego późniejszego pobytu w Royan kobieta nie odezwała się ani słowem. Na koi w kubryku leżał martwy kapitan. Po marynarzach czy sternikach nie został nawet ślad. Brakowało szalupy ratunkowej.

Z wyjaśnień chłopców, złożonych najpierw w kapitanacie, a później na policji w Royan, wynikało, że sternik najpierw zamordował marynarza, później kapitana, a następnie napadł na córkę kapitana. Co dokładnie rozumieją przez słowo „napaść”, chłopcy nie umieli albo nie chcieli wyjaśnić, a młoda kobieta nie odezwała się ani słowem.

Twierdzili ponadto, że sternik w swoim rodzinnym mieście, z którego pochodzili również oni, popełnił morderstwo, za które ponoć nigdy nie został ukarany. Uciekł ze statku szalupą wczesnym rankiem tego samego dnia, w którym *monsieur* Clubin wszedł na pokład.

Policja po starannych przesłuchaniach nie znalazła powodu, by wszcząć śledztwo przeciwko sternikowi, który przepadł bez wieści. Zwłoki kapitana nie nosiły żadnych śladów przemocy, a w wyniku dokonanej obdukcji ustalono, że doznał ataku serca. Okoliczności utonięcia marynarza były niedostatecznie naświetlone, by można było komukolwiek postawić zarzuty, i jego śmierć – również podczas późniejszego przesłuchania morskigo w Kopenhadze – została określona jako jeden z nieszczęśliwych wypadków, które zdarzają się na statkach, chociaż należy przyznać, że zniknięcie sternika stanowiło okazję do snucia podejrzeń rozmaitego rodzaju. Tyle że żadnego nie dało się dowieść.

Ostatecznie stwierdzono, że to błąd kapitana, który zaangażował jako sternika człowieka okrytego złą sławą i na domiar nieposiadającego odpowiednich dokumentów, wywołał ową nieszczęsną lawinę wydarzeń, w których rezultacie „*Kristina*” z Marstal dryfowała po wodach na wysokości Pointe de Grave.

Również rzekoma napaść na młodą kobietę nie doprowadziła do postawienia nikomu zarzutów. Wynikało to przede wszystkim z upartego, utrzymującego się milczenia ofiary oraz z nieprecyzyjnego opisu zdarzenia, przedstawionego przez chłopców.

Kapitana pochowano na miejscowym cmentarzu. Ponieważ lokalna gazeta „*Le Dépêche du Ouest*” pisała o „nieszczęsnym statku”, *le navire maudit*, na pogrzeb przyszło sporo ciekawskich.

W kondukcie pogrzebowym pojawiła się krępa sylwetka *monsieur* Clubina, lecz w jego wypadku to poczucie obowiązku kazało mu uczestniczyć w uroczystości. To on wszak ocalił statek i bezpiecznie wprowadził go do portu. Poza tym zajął się młodymi członkami załogi, którzy w jego oczach byli zaledwie dziećmi. Zaprosił ich do swego domu, a *madame* Clubin oddała do dyspozycji młodej kobiecie pokój i zatroszczyła się o odpowiedni na pogrzeb strój dla niej, w tym czarny kapelusz z woalką.

Młoda kobieta godziła się na wszystko, jakby przypisana do roli lalki, którą ubierały pomocne dłonie żony pilota. Nie wyraziła wdzięczności. Żadna oznaka żałoby nie pokazała się również na bladej, zastygłej masce, którą od przybycia do Royan stała się jej twarz pokazywana światu. *Madame* Clubin miała dostatecznie dużo doświadczenia, by nie zważać na zewnętrzne oznaki, i nie starała się dopominać o żadne uczucia u swego młodego, tak ciężko dotkniętego przez los gościa. Zdecydowanie wykazywała jedynie w kwestii posiłków. *Madame* Clubin pochodziła z francuskiego kraju Basków i głosem nieznoszącym sprzeciwu kazała dziewczynie opróżniać talerze z *ttoro*, *gabure*, *camot* i *couston*, które przed nią stawiała. Młoda kobieta była posłuszna, ale nie dziękowała za jedzenie i w żaden sposób nie okazywała, czy jej smakuje. Ale jadła, a *madame* Clubin, jak wiele razy wcześniej, przypominała swemu mężowi esencję jej doświadczenia życiowego: wszyscy nieszczęśnicy potrzebują matczynej troski i dobrego jedzenia.

Jeden z młodych mężczyzn, zgodnie z poleceniem armatora w Danii, pozostał na pokładzie „*Kristiny*”, gdzie oczekiwał na przybycie nowej załogi. Dwaj pozostali opuścili Royan wraz z młodą kobietą, która do końca zachowała milczenie.

Gdy wsiadała do pociągu, jej dwaj towarzysze ze wzruszającą braterską troską nieśli jej walizy i torby. Ona sama dźwigała jedynie worek, który podobno należał do marynarza topielca.



Gdy Klara Friis wróciła do domu, w jej salonie czekała Kristina. Klara dobrze знаła jej historię. Wszyscy ją znaliśmy. Vilhjelm i Helmer twierdzili, że została napadnięta przez Hermana, ale każdy przecież mógł myśleć swoje. Oczywiście Herman ją zgwałcił, co do tego wszyscy byliśmy zgodni. Za każdym razem, gdy chłopcy wypowiadali słowo „napaść”, kiwaliśmy ze zrozumieniem głowami, wiedząc lepiej, co musiało budzić w nich uczucia gwałtowniejsze niż irytacja. Oczywiście oni też dobrze wiedzieli, co się stało. Chłopcy wiedzą takie rzeczy. Starannie dobierali słowa. Chcieli ją chronić.

Nazywaliśmy Kristinę Bager „biedaczką”, ale że była biedaczką pod wieloma względami, pierwsza przekonała się Klara.

Kristina wstała z kanapy i popatrzyła na Klarę. Nic nie powiedziała. Nie odezwała się od powrotu do domu. Potem jedną ręką wskazała na swój brzuch, a drugą zatoczyła przy nim łuk w powietrzu. Klara doskonale pojmowała ów język znaków niemej osoby i nie tylko serce, ale i oczy przepełniło jej współczucie. Czuła się taka bezradna. Nie dość, że ta biedaczka została zgwałcona, to jeszcze zaszła w ciążę z gwałcicielem. Gorzej być nie mogło. Jak w tej sytuacji mogły pomóc pieniądze, tego Klara nie wiedziała. Bo nie miała wątpliwości, że dziewczyna przyszła właśnie po pieniądze.

Złapała Kristinę za rękę i kazała jej iść ze sobą. Poszły na Teglgade do wdowy Rasmussen. Anna Egidia usadowiła Kristinę na kanapie. Podała kawę i postawiła przed dziewczyną ciasteczka domowej roboty. Jej krzątaniu towarzyszyły rozmaite dźwięki, które tak samo jak serdeczna, zwyczajna dbałość o gościa w tarapatach zmierzały do jego uspokojenia. Był to rytuał, który Klara obserwowała już wielokrotnie wcześniej i który zawsze zdawał się skuteczny. Anna Egidia dotknęła ręką brzucha Kristiny i pogłaskała go, a swoim gestem pobudziła widać jakiś mechanizm w dziewczynie, bo Kristina po raz pierwszy od wielu tygodni otworzyła usta i zaczęła mówić:

– Chcę jechać do Ameryki – oświadczyła.

Obie starsze kobiety popatrzyły na siebie.

– Nie chcę urodzić dziecka tu, w Marstal – ciągnęła Kristina. – Nie chcę też, by wysłano mnie gdzieś, żebym urodziła potajemnie i by dziecko oddano do adopcji. Chcę jechać do Ameryki. Rozpocząć nowe życie. Moje i mojego syna.

– Syna? – zdumiała się Klara.

Ale Anna Egidia, lepiej niż ona znająca się na sprawach serca, nie spytała, skąd takie przekonanie, że urodzi się chłopiec. Wychwyciła natomiast czułość w głosie dziewczyny mówiącej o nienarodzonym dziecku i natychmiast zrozumiała, że ta czułość musi mieć inne źródła aniżeli gwałt.

– A więc to nie Herman jest ojcem dziecka? – spytała.

Kristina pokręciła głową. Jej twarz rozjaśniła się nagłym szczęściem. Zaraz jednak musiało ono ustąpić żalowi, który skrywała pod milczeniem i zastygłymi rysami. Zaczęła płakać, a obie kobiety usiadły przy niej, mocno ją obejmując.

Ojcem, jak wyznała Kristina, był Ivar. Marynarzowi oddała nie tylko serce, ale również naturalną towarzyszkę serca, cnotę, która w momentach wielkiej szczerzej miłości przestaje być czymś, co warto zachowywać, bo on był najwspanialszym człowiekiem, najpiękniejszym i najmądrzejszym, jakiego kiedykolwiek spotkała, zupełnie innym niż to zwierzę, ta pozbawiona serca świnia, Herman, potwór, który zamordował najlepszego człowieka na świecie.

– Mój mąż – tłumaczyła – on był moim drogim, kochanym mężem. Mieliśmy się pobrać. Wiem o tym. Dla mnie na świecie liczył się tylko on.

Zrozumiały, że mówiąc o Ivarze jako ojcu swego dziecka, Kristina nie mówiła o fakcie, tylko o nadziei.

– Ameryka to nie jest zły pomysł – stwierdziła Klara.

Anna Egidia kiwnęła głową. Jedna z jej córek była tam podczas wojny.

Anna Egidia porozmawiała z matką Kristiny. Klara kupiła bilet na statek płynący do Ameryki i załatwiła, że ktoś miał zaopiekować się Kristiną w Nowym Jorku. Teraz nie pozostawało nic innego jak czekać na dziecko. Do kogo okaże się podobne, gdy wystawi główkę na świat? Czy urodzi się ze znamieniem mordercy na twarzy, czy ze znakiem miłości?

•

W telefonie z Nowego Jorku rozległ się głos rozradowanej świeżo upieczonej matki:

– Gdyby był chłopiec, nazywałby się Ivar – mówiła Kristina. – Ale że urodziła się dziewczynka, będzie miała na imię Klara. Czy muszę dodawać coś więcej?

Małeńka twarzyczka, wciąż za mała, by się uśmiechać, lecz nie za mała, by dać świadectwo swojego pochodzenia, utwierdziła ją w przekonaniu, że na zwycięstwo miłości nigdy nie jest za późno. Natura złożyła swój dar, a podpisał się pod nim spodziewany ojciec. Ivar przesłał swe ostatnie pozdrowienie z zaświatów w postaci mocno zarysowanego podbródka, prostego nosa, wysokiego czoła, ciemnych brwi i czarnych włosów.

Klara podzielała jej radość. Kristina jakby oszukała los. A jednak coś w Klarze płakało – miała wrażenie, że znów ją opuszczono. Kiedy jesteśmy nieszczęśliwi, tęsknimy za wspólnotą z innymi, którym jest równie ciężko jak nam, za słodko-gorzkim potwierdzeniem, że cierpimy nie z powodu braku szczęścia lub dokonania niewłaściwego wyboru, lecz dlatego, że takie są prawa życia. Klarze wydawało się, że od tego dnia jej los stał się trudniejszy do zniesienia.

Jej rodzone dziecko było na tym nieszczęsnym statku samo z człowiekiem, co do którego nikt w Marstal nie miał wątpliwości, że był mordercą. Knud Erik mógł już nie żyć, a ona wiedziała, że odebrałaby jego śmierć tak jak wszystkie inne śmierci najbliższych, Henninga i Alberta, jako bolesne odrzucenie przez życie. Nikt nie chciał jej znać. Wszyscy odwracali się plecami, odchodzili w mrok, w morską głęb albo uciekali na morze. A to ostatnie było równoznaczne ze śmiercią.



Helmer i Vilhjelm wrócili do domu razem z Kristiną. Vilhjelm wciąż był wycieńczony po ciężkim rejsie przez Atlantyki. Helmer, gdy stanął przed ojcem i matką, głośno płakał. Niebawem poszedł terminować u kupca Minora Jørgensena.

A Knud Erik?

On został na południu, by pilnować statku, dopóki nie znajdzie się nowa załoga. Klara założyła, że tak mu kazano. Poszła więc do armatora, Herlufa Bagera, brata zmarłego kapitana Bagera. Wyobrażała sobie, że będzie to prawdziwe spotkanie armatora z armatorem, jak mężczyzny z mężczyzną. Tak sobie przepowiadała w duchu, wchodząc do biura na Kongegade.

– Dobrze rozumiem, przez co przeszedł chłopiec – powiedział Bager, który wstawszy na jej powitanie, z powrotem usiadł na swoim wyściełanym skórą biurowym krześle i sprawiał teraz wrażenie, jakby się z nim stopił, stanowiąc symbol niedostępnego i – Klara w myślach nie mogła powstrzymać się od użycia tego określenia – męskiego autorytetu.

– Ktoś musiał zostać, by pilnować statku.

– Przecież on ma dopiero piętnaście lat! – zawołała.

– To silny chłopak. Słyszałem o nim same dobre rzeczy. Oczywiście może wymustrować, chociaż to nam wiele skomplikuje. Ale sam nie wyraził takiej chęci.

Zmierzył ją wzrokiem, a ona natychmiast zrozumiała, że skoro nie chciał spełnić jej życzenia i odesłać Knuda Erika do domu, wynikało to z jednego czynnika, który od samego początku źle rozumiała: to nie było spotkanie armatora z armatorem. To było spotkanie kobiety i mężczyzny, a zaniepokojona matka nie rozumie się ani trochę na żegludze.

Tupnęła nogą i wyszła bez pożegnania. Bager może sobie opowiadać o niej jeszcze i tę historię, jeśli zechce. Własna bezsilność ją rozgniewała. Za kogo on się miał? Ten mały egoistyczny grubas! Mogłaby bez najmniejszego wysiłku go zrujnować, zmiażdżyć tym samym obcasem, którym przed chwilą tupnęła.

W końcu się uspokoiła. Wzburzenie zastąpiła trzeźwa myśl. Nic dziwnego, że Klara nie potrafiła przemówić Knudowi Erikowi do rozsądku. Całe miasto tkwiło w błędnym przekonaniu, że na morzu jest przyszłość, a przecież tam czeka jedynie zdziczenie i śmierć topielca w zimnych falach.



Był już taki dzień, w którym sądziła, że Knud Erik umarł.

Kiedy się okazało, że wciąż żyje, postanowiła, że nadszedł czas, by sama go zabiła.

Miał dwadzieścia lat, gdy w swój zwykły powściągliwy sposób oznajmił jej, że zaciągnął się na „*Kopenhagę*”. Wielki bark przepadł parę miesięcy później podczas rejsu między Buenos Aires a Melbourne, chociaż poszukiwano go wszędzie: na Tristan da Cunha, Wyspach Księcia Edwarda i Nowym Amsterdamie. Niczego nie odnaleziono. Ani tablicy z nazwą, ani wywróconej szalupy czy pasa ratunkowego z nazwą statku.

Gdy do wiadomości publicznej podano listę sześćdziesięciu czterech zaginionych członków załogi, Knuda Erika na niej nie było. Zamiast na „*Kopenhagę*” zaciągnął się bowiem na jeden z jej własnych statków, bark „*Claudia*”. Często ją o to prosił, a ona zawsze odmawiała. Nie skontrolowała listy załogi, a kapitan przyjął Knuda Erika za jej plecami.

Podczas tych strasznych dni i nocy, gdy sądziła, że poszedł na dno z „*Kopenhagą*”, raz po raz przywoływała w myślach ich ostatnią rozmowę. Pytał wtedy, czy mógłby zamustrować na „*Claudię*”. Była to jedna z rzadkich chwil, gdy okazał jej ciepło, a ona to odrzuciła. A teraz nie żył. Swoim uporem posłała go na śmierć.

– Wiesz – powiedział – że barki, które odziedziczyłaś po Albercie, to ostatnie wielkie żaglowce na świecie?

Były nie tylko ostatnie, lecz również najpiękniejsze. Łabędzia pieśń całej epoki. Pływały z północno-wschodnim pasatem na cienkich letnich żaglach przez Atlantykę do Indii Zachodnich po drewno barwnikowe. Każdy marynarz musiał to przeżyć bodaj raz w życiu, stać w palącym słońcu pod białymi wieżami żagli, w które dmuchał pasat, siedzieć na noku grotrei dwadzieścia metrów w górze i być panem całego świata.

Oczy mu się zaświeciły. Pozwolił jej zajrzeć w głąb siebie.

Był już mężczyzną. Miał długie kończyny, ale ich niezgrabność zniknęła. Dobrze umięśniony, trzymał się prosto. Dostrzegala w nim Henninga. Zawsze go widziala. Ale tym razem bylo to cos wiecej, cos lepszego i mocniejszego.

– Nie – oswiadczyla po prostu.

Gdy nie znalazla go na liscie zaginionych po zatonięciu „*Kopenhagi*”, wcale nie wiedziala, czy umarl. Gdzie mogl byc? Przechodzila obok warsztatu Kolekcjonera Trupow. Nie smiala tam zajrzec. Co by zrobila, gdyby wlasnie teraz rzezbil w drewnie jej syna topielca?

Byly noce, podczas ktorych niespokojnie krzyla po pokojach, placzac nad soba, nad swoja samotnoscia i strata, ktorej tak strasznie czula sie winna. Edith lezala w swoim pokoju z glowa nakryta poduszka. Ona rowniez oplakiwala brata, ktorego obie uwarzaly za topielca. Ale balo sie tez o matke, slyszac, jak ta bez najmniejszych oporow poddaje sie zalobie.

Przechodnie mijani na ulicy nie uwarzali Klary za szalona. My dobrze wiemy, gdzie biegnie granica miedzy zaloba a szalenstwem. I ze czasami nie ma innego wyjścia niz placz.

Potem przyszedl list od Knuda Erika ze stemplem z Haiti. Klarze zatrzesly sie rece. Dluugo go trzymala, zanim otworzyla. Byla przekonana, ze to list z zaswiatow, ze to sam diabel go napisal, by zadrwic z jej wynioslosci, gdy uwarzala, ze jest w stanie nie dopuscic do oddania syna morzu.

Z listu wynikało, że Knud Erik nic nie wiedział o zatonięciu „*Kopenhagi*”, i dlatego nie miał pojęcia, przez co przeszła. Napisał wyłącznie po to, by ją przeprosić. Okłamał ją, mówiąc, że zamustrował na „*Kopenhagę*”. Przez ostatnie miesiące pływał na „*Claudii*”. Zakończył swoim zwykłym zdaniem, które zawsze ją oburzało, ponieważ wiedziała, ile przemilczanych prawd się w nim kryje. „U mnie wszystko w porządku”.

Odpowiedziała błyskawicznie. Zał przepełniający nieprzespane noce zniknął. Sprzedała pokład, który Knud Erik miał pod stopami. „*Claudia*”, wpływając do St. Louis du Rhône, należała już do Gustafa Eriksona z Mariehamn na Alandach. Pozostałe barki wkrótce spotkał ten sam los.

Unicestwiła już niemal całą żeglugę w Marstal. W końcu postanowiła zabić również syna. Chciała uśmiercić swój własny nieustanny lęk przed tym, że go straci.

Przez kilka strasznych miesięcy uważała go za zmarłego i oskarżała o to siebie. Tymczasem wszystko okazało się kłamstwem. Knud Erik wrócił do Marstal, by zdać egzamin na sternika w Szkole Nawigacyjnej na Tordenskjoldsgade. Gdy przyszedł ją odwiedzić, zauważyła go wcześniej z wykusza i natychmiast wydała służącej polecenie, by go nie wpuściła.

- Powiedz mu, że umarł – nakazała.
- Nic takiego nie powiem – sprzeciwiła się dziewczyna.
- Masz tak mówić! – krzyknęła Klara, przestając nad sobą panować.

Dziewczyna poszła otworzyć. Zamiast w drzwiach przekazać wiadomość od Klary stanęła na najwyższym stopniu i zamknęła drzwi za sobą.

– Ona nie chce pana widzieć – powiedziała. – Nie wiem, co jej się stało. Musi pan spróbować przyjść jakiegoś innego dnia. Może będzie miała lepszy humor.

Z wykusza Klara obserwowała, jak jej nieżyjący syn wraca do portu.

•

Czy była dobrym człowiekiem? Czy raczej złym? Czy była człowiekiem, który pragnął dobra, ale stał się przyczyną zła?

Takie pytania zadawała sobie w nieprzespane noce, kiedy sądziła, że Knud Erik nie żyje, i czuła swoją winę. Ogarnęło ją zwątpienie, a jedynym sposobem, by je zagłuszyć, było wyrzucenie Knuda Erika z jej życia.

•

W Wybudowała sierociniec. W szkole dowiedziała się, że dzieci z zakładu należą do najlepszych uczniów w klasie i nigdy nie brakuje im pewności siebie. Przynajmniej tyle dobrze. Podarowała miastu bibliotekę i zapewniła finansowe podstawy stworzenia Muzeum Morskiego. Nie ujawniła przy tym nawet swojego nazwiska. Ofiarowała dotację na Dom Bałtycki, wielki przytułek dla starców, położony na południu miasta, z widokiem na przybrzeżne łąki i domki kąpielowe na długim cyplu. Przekazała pieniądze na zakup sprzętu dla szpitala w sąsiednim miasteczku Ærøskabing.

Kristina nie była jedyną młodą dziewczyną, którą Klara zaopatrzyła w pieniądze na podróż do Ameryki. Czasami myślała, że powinna wysłać przez Atlantyk wszystkie kobiety z miasta, żeby mężczyźni też poczuli, jak to jest. Utrzymywała kontakt z nauczycielami ze szkoły i gdy jakaś dziewczyna wykazywała zdolności pozwalające na naukę w gimnazjum, angażowała się w sprawę i płaciła za naukę poza wyspą. Taką przyszłość zaplanowała dla Edith. Chciała, by kobiety były samodzielne. Same musiały się przyczyniać do przeciwstawiania się tyranii morza.

Ulice Marstal przecinały się, ale te główne zawsze wiodły do portu i morza. Potem pojawiła się Kirkestræde ze swoimi sklepami, odwiedzanymi przez kobiety. To wokół ich życia Klara pragnęła stworzyć nowe miasto na ruinach starego. Sierociniec, dom starców, biblioteka, muzeum, kobiety, które wyjeżdżały z wyspy, by wrócić do domu silniejsze i mądrzejsze – to był dopiero początek.

Tajne sprzysiężenie, na którego czele stała ona.



– Masz teraz swoją wielką szansę – stwierdził Markussen cierpko i autorytatywnie. – Wojna w Azji, wojna domowa w Hiszpanii, nieurodzaj w Europie. To dobry czas. Ceny frachtu znów idą w górę.

Spojrzał na nią badawczo wzrokiem, którego nigdy nie była w stanie całkiem zgłębić i który sprawiał, że czuła się jednocześnie i bezpieczna, i niepewna. Markussen o nią dbał. Nie wątpiła w to. Żadna z jego rad udzielonych przez lata nie była zła. Wychował ją, a ona okazała się zdolną uczennicą i za każdym razem, gdy podejmowała właściwą decyzję, otrzymywała pełne uznania spojrzenie, które pozwalało jej się domyślać, że ma przed sobą jeszcze wiele możliwości.

Ale na dzień owego spojrzenia tkwiła również zimna ciekawość i Klara wyczuwała, że gdyby się omyliła i poszła na dno, Markussena szczególnie by to nie przejęło. Obserwowałby jej upadek, jakby był kolejnym rozdziałem w niekończącym się podręczniku, za jaki uważał życie. Być może poczułby się nawet wzbogacony o jakąś nową wiedzę, którą przyniosłoby mu studium jej zagłady.

To przypominało chodzenie po linie. On był dla niej jak ojciec. Nigdy nie miała ojca i zawsze za nim tęskniła, ponieważ jednak nigdy nie było jej dane zaznać tęsknoty za prawdziwym ojcem, to nie знаła ograniczeń, jakie niesie jego obecność. Poznawała je dopiero teraz. Owszem, był skałą, na której mogła stanąć, lecz był również szkierem, o który mogła się rozbić. Nauczyła się trzymać dystans, i właśnie na tym opierał się ich związek. Dystans stanowił jego najgłębszą istotę.

Markussen był już stary. Reumatyzm zgiął go wpół, męczyzna zaczął rosnać do dołu. Szedł obok niej zgarbiony nad laską, ostrożnie drobiąc kroki, jak gdyby wąpił w solidność ziemi, a jego bezradność sprawiała, że zalewała ją matczyna troska, której nie czuła od dawna. Wiedziała jednak, że powinna panować nad swoimi uczuciami. Nie poczułby się urażony przypomnianiem mu o rosnącej niedołężności, ponieważ sam nią kokietował. Miał odpowiednią nadwyżkę, charakterystyczną dla ludzi posiadających władzę, by okazywać własne słabości. Bo tu chodziło właśnie o władzę, wyraźnie to widziała. Zawsze otaczali go ludzie zależni od niego, a on w ich trosce i chęci niesienia pomocy nie dostrzegał nic poza rozsądnym myśleniem o własnym interesie. Chcieli pozostawać z nim na dobrej stopie, ponieważ to przynosiło im korzyści.

Zabrała go na spacer po Marstal. To Markussen obstawał przy przechadzce. Jego zdjęcia nigdy nie zamieszczono w żadnej gazecie, nikt go więc nie rozpoznał. Oczywiście było, że Klarę odwiedził jakiś ważny elegancki gość, tylko tyle.

Mijali niezabudowane parcele. Markussen patrzył na pokrzywy, które rosły wysoko za smołowanymi płotami, a ona widziała, że ten widok go zainteresował. Zerknął na nią z uśmiechem. Zamiast chwastów mogły tam rosnać pieniądze. Swoim uśmiechem nagradzał jej siłę woli.

- Co oni o tobie myślą? – spytał.
- Może uważają mnie trochę za dziwaczkę, ale nie myślą o mnie źle.
- A powinni.

Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. Tak właśnie ją widział. Jako niszcycielkę. Mścicielkę. Karzącą furię, która woli działać z ukrycia. To właśnie go pociągało. Taki był pakt, który ze sobą zawarli. On oddał jej do dyspozycji całe swoje doświadczenie i doradzał postępować przeciwnie, niż sam by zrobił. Był tym, który buduje. Ona natomiast rujnowała.

Do czego poza tym zmierzała, nie rozumiał.

Skęcili w stronę portu. Przy wysmołowanych palach cumowały pomniki jej działań. Ten widok kolejny raz kazał mu powtórzyć, że teraz przed nią wielka szansa.

Stały tam ze swymi wielkimi, pomalowanymi na czarno kadłubami i wysokimi, smukłymi kominami, wznoszącymi się na wysokość małych masztów, znajdujących się tam wyłącznie z uwagi na bomby ładownicze. Dwie trzecie całego tonażu floty zarejestrowanej w mieście rozdzielone na pięć parowców: „Zgodę”, „Energję” „Przyszłość”, „Cel” i „Dynamikę”. Pozostałą część stanowiły małe stateczki, ostatnie trzy czy cztery szkunery pływające do Nowej Fundlandii, reszta to przebudowane żaglowce z zainstalowanym silnikiem, które obsługiwały jedynie lokalne rejsy. Nadzieja na przyszłość rozbita o szkieł. A tym szkiełem była Klara Friis.

– Moje parowce zostaną tu, gdzie są – oświadczyła. – Nie pozwolę im więcej wypłynąć.

Markussen pokiwał głową. Klara Friis była zdolną uczennicą. Teraz złapała Marstal za gardło. Miasto powinno się podnieść po długotrwałym kryzysie, który nastąpił po krachu w 1929 roku, skazując wielką część floty handlowej na bezczynność.

Ona jednak zadbała, by nic się nie działo.

•

Unieruchomione parowce symbolizowały czas, który dzięki niej nieodwracalnie minął.

Ludzie gadali. Klara dobrze o tym wiedziała. Ale nie skłamała, mówiąc, że nie wyrażają się o niej źle. Patrzyli na beczynne parowce w porcie i myśleli, że to typowy wyraz kobiecego niezdecydowania i nieznamości rzeczy, przynależnej mężczyznom. Wybaczano jej, a wszystko uzasadniano słabością jej płci. Traktowano ją wyniośle, niemal pogardliwie, nawet kobiety tak się zachowywały. Klara Friis nie otrzymywała żadnych podziękowań za to, co robiła dla miasta, lecz mimo wszystko w duchu czuła triumf, który wynikał z przekonania o słuszności własnego postępowania. Uważała samą siebie za falochron, który osłania ląd przed niszczycielską siłą morza.

•

Dopiero gdy wieczorem siedzieli przy obiedzie, właśnie podanym przez gospodynię, Markussen wysunął zastrzeżenie, które przez moment wzbudziło w niej niepewność co do dalszych planów.

– I co dalej? – spytał, uśmiechając się, jakby chciał po prostu wystawić na próbę jej inteligencję. – Co stanie się teraz, jeśli mężczyźni mimo wszystko będą dalej uciekać na morze? W Marstal nie ma już poważnego armatora, lecz przecież mogą się zaciągnąć na statek spoza wyspy. Nie będą mieć trudności ze znalezieniem zatrudnienia. Marstalczycy cieszą się doskonałą opinią. Przez kilka stuleci dawali dowody swoich umiejętności.

Miała wrażenie, że słyszy Frederika Isaksena.

– Tak nie będzie – zaprotestowała ostro. – W Szkole Nawigacyjnej z każdym rokiem jest coraz mniej uczniów z miasta.

– Gratuluję – powiedział, podnosząc kieliszek. – A więc jesteś bliska osiągnięcia celu.

Nie mogła nie usłyszeć sarkazmu w jego głosie, lecz mimo wszystko spojrzała na niego uprzejmie sponad brzegu kieliszka.

– Ty mnie nie rozumiesz – powiedziała.

– Masz rację. Nie rozumiem, co jest twoim celem. Zachowujesz się tak, jakbyś robiła jedno, a zarazem postępujesz odwrotnie. Biblioteka, sierociniec, muzeum, dom starców. Zachowujesz się jak dobroczyńca, a jednocześnie odbierasz miastu podstawę egzystencji.

– Morze nigdy nie było prawdziwą podstawą egzystencji.

– Zbudowałem największą firmę w kraju. Jestem armatorem.

Umilkli oboje. Znaleźli się w punkcie, do którego zawsze docierali.

– Twój syn jest marynarzem – powiedział nagle.

Klara spuściła oczy.

– A jego ojciec zginął na morzu. Nie musisz mi o tym przypominać. Naprawdę nie rozumiesz, do czego dążę?

– Owszem – odparł. – Pragniesz niemożliwego. Chcesz smagać morze batem dopóty, dopóki nie zacznie błagać o litość.

•

Widzieli się wtedy po raz ostatni. Wiedziała o tym przez cały czas. Omówili już wszystko. Ona nauczyła się tego, czego miała się nauczyć. On powiedział jej to, co zamierzał. Zbudował pomnik Cheng Sumei i chociaż pomnik ten istniał tylko w jednym miejscu, w jej głowie, Markussen nie pozostał sam ze swoją historią. Zrozumienie jej sensu pozostawił Klarze. On sam najwyraźniej go nie rozumiał.

•

Klara Friis widziała siebie na miejscu Cheng Sumei. Tak jak ona była oszustką, nigdy niegrającą w otwarte karty, i obie miały na to usprawiedliwienie. Usprawiedliwieniem Cheng Sumei była miłość. Chciała stać się niezastąpiona dla mężczyzny, który nigdy nie odczuwał potrzeby bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem, i zbudowała wokół niego imperium. Nie potrzebował jej serca, łona ani ust. Nie mógł się natomiast obyć bez jej zmysłu do interesów, bez cynicznych metod, których nauczyła się w mieście bezprawia. To one więc stały się jej miłosnym podarunkiem.

Również Klara chciała ofiarować podarunek miłości. Nie mężczyźnie, tylko całemu miastu. Pragnęła wybawić je od morza. Pragnęła wrócić miastu jego mężczyzn, matkom synów, kobietom mężów, a dzieciom ojców.

Ach, dobrze o tym wiedziała. Tamta noc powodzi podczas sztormu nigdy się nie skończyła. Klara raz po raz zanurzała dłoń w wodzie, poszukując Karli. Za każdym razem, gdy sprzedała jakiś statek albo wycofała go z użytku, za każdym razem, gdy Marstal skreślano jako macierzysty port jakiejś jednostki, za każdym razem, gdy stocznia dostawała o jedno zamówienie mniej od któregoś z miejscowych armatorów, za każdym razem, gdy jakiś młody człowiek znalazł zajęcie na ładzie, a liczba pochodzących z Marstal uczniów Szkoły Nawigacyjnej znów malała, Klara miała wrażenie, że odnajduje Karłę w ciemnej wodzie i wyciąga ją z odmętów.

Widziała, jak woda opada. Czuła, że tkwiące w niej napięcie na moment ustępuje. Śniła o planecie, na której morza się cofają, a spod nich wyłania się ląd. To on zapewnia ludziom domy, w których będą mogli przebywać razem. Ojciec, matka i dzieci. Zjednoczeni na zawsze.

•

– Masz teraz swoją wielką szansę – powiedział jej Markussen, kiedy żegnali się po raz ostatni.

Miał na myśli wojny w Hiszpanii i w Azji. W jego uszach dobrą wiadomością było to, że tysiące ludzi zabijają się nawzajem. Ceny frachtu rosły, a statki miały tyle pracy co nigdy wcześniej.

Ale nie jej parowce. One stały w porcie z wygaszonymi kotłami.

Chciała działać. Chciała wykorzystać swoją szansę. Nie chciała jednak wysłać swoich statków w morze, by uczestniczyły w orgiach zysku, podczas gdy w ciągnącym się za nimi kilwaterze pływali topielcy.

Poszła do swojej kancelarii i sprawdziła ceny statków. Było tak, jak się tego spodziewała. Gdy ceny frachtu szły w górę, to samo działo się z cenami statków. Przyszła pora, by je sprzedać. Odkupiła parowce od wdów przed dziesięcioma laty, gdy rynek frachtowy sięgnął dna i wszyscy ponosili straty. Teraz mogła sprzedać statki z zyskiem i wiedziała, co powiedzą mężczyźni prowadzący przedsiębiorstwa w mieście.

„Niech ją wszyscy diabli!”, wykrzyknie ktoś. Pozostali zgodnie pokiują głowami, z niechęcią wyrażając uznanie. Dla niej będą mieć jedynie przekleństwo, lecz będzie ono również hołdem dla jej zdolności. Oto uważali, że kobiecy mózg jest za mały, gdy trzeba myśleć o zysku, a jej statki stoją w porcie wyłącznie dlatego, że zabrakło jej energii i zdecydowania. Teraz będą mogli się przekonać, że w rzeczywistości była to zimna kalkulacja.

Inni będą odmiennego zdania. Uznają, że miastu odbiera się chleb, i ci będą bliżsi prawdy.

Czy zabierała więcej niż dawała?

•

Co zostałyby z Marstal, gdyby sprzedała swoje parowce? Garstka szkunerów z dodatkowym silnikiem, przerobionych na kecze, skazanych na lokalną żeglugę po Bałtyku, może czasem rejsy na Morze Północne. Krąg by się zamknął.

Miasto dotarłoby do punktu, w którym to wszystko się zaczęło przed ponad stu laty.

Przegranym byłoby morze. Nie składano by już ofiar bezlitosnemu majestatowi.

A zwycięzca?

Zwycięzcami byłyby kobiety.

A może skończyłoby się tak, jak przewidywał Markussen? Może mężczyźni zaciągались się na statki należące do armatorów spoza wyspy i ich stałym adresem byłby koniec świata?

Czy to się nigdy nie skończy?

IV

KONIEC ŚWIATA

•

To był koniec świata.

Znalazł się na obcej planecie albo trafił w nieznaną przyszłość. Bez względu na to, co to było, w tym miejscu siedł na spotkanie zagładzie.

Knud Erik miał pewność, że umrze, i zamknął oczy.

Potem zrozumiał. Znalazł się we śnie. Ale nie w swoim własnym.

To był sen innego człowieka.

Miał siedem lat i siedział na ławeczce w jolce Alberta Madsena, płynęli przez basen portowy w Marstal. Znów słyszał opowieść staruszka o pomalowanym na szaro statku widmie, o dużych, okrągłych budynkach, które płonęły pod nocnym niebem, rozświetlonym oślepiająco białym fosforyzującym blaskiem, a powietrze drżało od poddmuchu eksplodujących bomb i walących się domów.

Tam właśnie był. We śnie starego człowieka.

Otworzył oczy i ujrzał to, co Albert Madsen widział dwadzieścia lat wcześniej. Po raz pierwszy zrozumiał, że Albert miał prorocze sny i że to, co dla dziecka było baśnią, do starego człowieka przychodziło jako przerażająca wizja.

„To najlepsza historia, jaką mi opowiedziałeś”, powiedział przed laty. I teraz tkwił w jej środku. Nigdy nie usłyszał zakończenia. Teraz historia opowiadała się do końca, a ostatnią kropką miała być jego własna śmierć.

Ujrzał sztukasa nurkującego ku statkowi i zrzucającego bombę. Czas się zatrzymał, gdy Knud Erik śledził jej lot wzrokiem. Zdążył pomyśleć, że bomba przeleci przez pomalowany na szaro komin, zanim wybuchnie w maszynowni, niszcząc wszystko. Mięśnie mu się napięły. Szykował się na spotkanie z uściskami śmierci.

Teraz!

Bomba z pluskiem wpadła do rzeki, kilka metrów od burty. Źle ocenił kierunek. Mięśnie wciąż miał napięte. Czekał na słup wody i nagły przechył statku, gdy stalowe płyty pękną pod wpływem fali uderzeniowej i do środka zacznie się wlewać woda. Nic takiego jednak się nie stało. To był niewybuch.

Zaczął czekać na następną.

Hałas ogłuszał. Na północnym brzegu Tamizy płonęły dwa zbiorniki z ropą. Z morza płomieni dobiegał desperacki ryk, który brzmiał tak, jakby wydobywał się z gardzieli wilka Fenrira, szarpiącego łańcuch i chcącego pożreć cały świat. Czarny dym niczym zaciśnięta pięść zamierzał się na odległe gwiazdy, które gasły jedna po drugiej, dopóki noc i trujące chmury nie stopiły się w jedno. Pod pokrywą ciemności wszystko w dole było rozświetlone, jakby zestrzelono nawet słońce, które po raz ostatni rozgorzało blaskiem między zniszczonymi zbiornikami.

Całe Southend ogarnęła pożoga. Okna koszar rozjaśniały płomienie, a ogień wzbijał się z dachów niczym osobiwa, wybuchowo mnożąca się roślinność, zdecydowana pochłonąć nawet ziemię, z której wyrosła. Doki drżały w konwulsjach zniszczenia, jakby reakcja łańcuchowa rozpoczęła się gdzieś w ich wnętrzościach, a teraz kończyła eksplozją, której siły nie dawało się powstrzymać.

Na dachach, które jeszcze nie stały w płomieniach, błyskały działa obrony przeciwlotniczej. Strzelano również ze statków na środku rzeki. Gdzieś w pobliżu Knud Erik usłyszał stary karabin maszynowy Lewis, który zamontowano na pokładzie „*Dannevang*” kilka miesięcy wcześniej. Czterech członków załogi przeszło szkolenie w marynarce angielskiej. On sam był jednym z nich. Szybko odkryli, że broń maszynowa pochodząca z pierwszej wojny światowej jest bezużyteczna, jeśli chodzi o ochronę statku. Miała ona jednak inną, ważniejszą funkcję. Była lepsza niż whisky, lepsza niż modlitwa, jeśli w ogóle ktoś o modlitwie pamiętał. Obsługiwanie karabinu maszynowego przynosiło błogosławiony spokój, chociaż broń żądała wysokiej zapłaty za swoje usługi. Rozgrzany metal parzył dłonie, a jej warkot kompletnie ogłuszał. Ale chociaż na moment oczekiwanie stawało się znośniejsze.

Odpowiadałeś. Robiłeś coś.

Stanowisko broni maszynowej było w dziwaczny sposób najbezpieczniejszym punktem na statku podczas ataku, chociaż ten, kto ją obsługiwał, znajdował się w samym środku gradu kul i bomb, świetnie widoczny na pokładzie, a czasami stawał się nawet celem. Ale było to jedyne miejsce, w którym nie groziło szaleństwo z powodu własnej bezbronności.

Kiedy zaczął się alarm przeciwlotniczy, natychmiast zwolnili cumy i podpłynęli do boi na środku Tamizy. Taki rozkaz obowiązywał do odwołania. Cumowanie przy kei podczas nalotu bombowego było zabronione. Gdyby zostali trafieni, usunięcie wraku mogło trwać tygodnie, a w tym czasie blokowałoby dostęp innym statkom. Z pewną rezygnacją szli na otwartą wodę, skąd nie mogli zeskoczyć na ląd, gdyby bomba trafiła w statek.

„Idziemy na cmentarz”, mówili do siebie. Ale nie wybierali się tam, by odwiedzić grób przodka. Zmierzali do własnego grobu. Boje na środku rzeki przeznaczone były dla tych, którzy mieli umrzeć.

Dlatego tak bardzo pomagał im lewis.

Kilka statków płonęło. Jeden wolno się obrócił i zaczął tonąć. Załoga wsiadła do szalup i bezradnie kręciła się po rzece. Nabrzeże stało w ogniu, a do basenu portowego runął dźwig.

Wysoko nad nimi rozwijał się jeden spadochron po drugim. Kołysząc się łagodnie, zbliżały się do rzeki. Z bliska dostrzegł, że na końcu lin nie wiszą piloci. Spadochrony opadły w wodę. Wielkie parasole składały się powoli, a potem kładły na rzece. Przypominały kwiaty rozsypane na grobie.

Godzinę później alarm odwołano. Na kejach wciąż się paliło. Zbiorniki z ropą z tą samą mocą słały czarne kłęby dymu w nocne niebo. Nad rzeką zawisł ostry zapach ropy, sadzy i ceglanego pyłu. Czuć też było słaby odór siarki, którego źródła Knud Erik nie umiał określić.

Oczy piekły go ze zmęczenia.

•

Knud Erik przeszedł to samo w Liverpoolu, w Birkenhead, Cardiff, Swansea i Bristolu. Czasami wydawało mu się, że płyną przez morze ognia, a podniebną meteorologię tworzą nie cumulusy, stratusy i cirrusy, tylko junkersy 87 i 88 i messerschmitty 110. Kiedy płynęli przez Kanał, koło Calais znaleźli się w zasięgu dalekosiężnych niemieckich dział. Na Morzu Północnym czyhały U-Booty. Tak było wszędzie i ciągle. Cały świat skurczył się i szerniał niczym wycelowana lufa działa. Nie nazywali tego strachem, nie czuli paniki. Doświadczali czegoś innego: bezsenności. Na morzu pełnili wachty na dwie zmiany, ale podczas ataku nie było mowy o śnie. W porcie przez cały czas się przemieszczali i za każdym razem wszyscy musieli brać w tym udział. Również wtedy przerywano im sen. Czy w ogóle sypiali? Zamykali oczy, odpływali na jeden pozbawiony wspomnień moment, potem ich budzono, bo śmierć już wołała: „buuu!” do ucha, więc wytaczali się z koi z szeroko otwartymi oczami, jakby wciąż tkwili we śnie, w którym stale szukali ratunku. Ale tu nie było ratunku. Nie było żadnej pokrywy w niebie, żadnej zapadni w pokładzie, żadnego łądu na horyzoncie, który dałby schronienie. Żyli otoczeni trzema żywiołami, ale nie morzem, niebem i ziemią, tylko tym, co się w nich kryło: okrętami podwodnymi, bombowcami i działami. Znajdowali się na planecie, która właśnie eksplodowała.

Albert Madsen miał rację. Kiedyś ujrzał w swoich snach koniec świata. Ale stary kapitan zapomniał powiedzieć Knudowi Erikowi, że w tym śnie znajdował się także on.



Miał dwie godziny na sen przed budzeniem ludzi. Należało z przypiływem wejść głębiej w Tamizę, a on za honor poczytywał sobie, żeby byli gotowi przed innymi statkami. Modlił się o sen bez snów.

Nie wiedział, że następnego dnia nauczy się nowego słowa. Było to słowo, jak wszystkie inne, których nauczył się w ciągu tych miesięcy, związane z techniką i świadczące przede wszystkim o niewyczerpalnej pomysłowości ludzi. Nigdy nie byłby w stanie prześledzić zawitych i często wiodących w przeciwne strony dróg, którymi ludzie zdążali do celu. Ale cel znał.

I chociaż zasób słów Knuda Erika rósł z każdym dniem, to ich przesłanie było nieodmiennie to samo: określały coraz skuteczniejsze i bardziej wyrafinowane środki służące do szybkiego unicestwienia jego samego.

Otrzymał ten sen, o który prosił. Ciemność spowiła go i pochłonęła, owa rzadka, upragniona ciemność, z której przez moment mógł zaczerpnąć nowych sił. Tkwił w niej na tyle długo, że gdy sen wreszcie wypuścił go z objęć, wstał z koi z szeroko otwartymi oczami, które zwykle otwierały się tak wyłącznie wtedy, gdy następował atak. Zaniedbał swój obowiązek. Zaspał.

Wybiegł z kajuty. Z kominów wielu statków już unosił się dym.

Moment później już nie tylko dym się unosił.

Po rzece nagle poniósł się ogromny huk, przywołujący w pamięci nocne bombardowania. Potem gruchnęło jeszcze raz, dziób „*Svavy*” uniósł się w powietrze i odłamał. Statek natychmiast zaczął tonąć, a dym i płomień wżerały się, torując sobie drogę do sterówki położonej na śródkręciu. Widział wielu ludzi skaczących do rzeki. Plecy jednego stały w ogniu. Potem przyszła kolej „*Skagerraka*” i znów eksplodował dziób. Następnie w powietrze wyleciały dwa norweskie parowce, za nimi holenderski.

W pierwszej chwili Knud Erik pomyślał o ucieczce. Ale przed kim miał uciekać? Gdzie był wróg? Widział nad sobą czyste niebo, a tu, na rzece, nie mógł zaatakować okręt podwodny.

Od jednego z angielskich eskortowców odbiła szalupa. Na dziobie stał człowiek z megafonem i coś do niego krzyczał.

Pojawiły się nowe słowa:

– Miny akustyczne!

Knud Erik nie potrzebował dalszych wyjaśnień. To wstrząsy statku, wywołane obrotami śruby, powodowały wybuch miny. Właśnie miny akustyczne widział poprzedniej nocy, gdy wesoło opadały w powietrzu na spadochronach. Ale przypominające kwiaty spadochrony nie rozsypały się na grobie. Dopiero potem zamieniły rzekę w cmentarz.

Ekspłodowało jeszcze kilka jednostek. Pozostałe tkwiły ze zgaszonymi maszynami. Płonące wokół statki w sekundę zmieniały się w tonące wraki. Między ich szczątkami unosiła się flotylla martwych spalonych ciał.

•

Później otrzymali rozkaz dryfowania wraz z przyływem w górę rzeki. Musieli płynąć bez włączonych silników.

Słychać było jedynie odgłos fal uderzających o burtę.

Panowała taka cisza jak za czasów żaglowców.

◆

•

Szli w konwoju z Bergen do Anglii, gdy przez radio nadeszła wiadomość o zajęciu Danii przez Niemców. Kapitan Daniel Boye natychmiast wezwał ich na naradę. Pozwolił im wybierać: mogli kontynuować rejs do Anglii albo zawrócić do któregoś z portów duńskich lub norweskich.

W pewnym sensie wyboru już dokonali. Płynęli w konwoju pod osłoną angielskich okrętów wojennych. Czy to oznaczało, że byli w stanie wojny z Niemcami jak jednostki, które im towarzyszyły?

Odpowiedź znali dobrze. Stawki za fracht były wysokie. Tak samo gaża. Trzysta procent dodatku wojennego. Wraz z godzinami nadliczbowymi i różnymi innymi dodatkami oznaczało to cztero-, a niekiedy nawet pięciokrotny wzrost uposażenia. Właśnie dlatego pływali: dla pieniędzy. Teraz mieli zgodzić się na wojnę, w której znajdą się na pierwszej linii. Tego już nauczyli ich pokój. Siedemdziesięciu dziewięciu duńskich marynarzy zginęło w okresie niedawnej Wielkanocy. Od wybuchu wojny padło ich już ponad trzystu, chociaż wszyscy pływali na statkach, które na burtach miały wymalowaną neutralną duńską banderę. Torpedy U-Bootów nie zwracały na to uwagi. Statek idący do wrogiego portu był wrogiem bez względu na motyw, jakimi kierowali się ludzie na jego pokładzie.

Wszyscy spośród liczącej siedemnaście osób załogi na „*Dannevang*” wybrali Anglię. Był w nich bunt, choć może niemający zbyt wielkiego związku z wojną. Wybrali zawód marynarza. Nikt nie spędzi ich z pokładu.

Instynktownie czuli, że właśnie ten bunt utrzyma ich przy życiu, a nie patriotyzm, nie miłość do ojczyzny, nie taka czy inna ideologia albo rozumienie sensu wojny. Wszystko to w sobie mieli w większym lub mniejszym stopniu. Nie pytano ich jednak o zdanie na temat wojny, tylko domagano się decyzji, która miała mieć ostatecznie decydujące konsekwencje dla ich dalszego życia. Jakie, nie potrafili nawet przewidzieć. Ale całym swoim marynarskim instynktem czuli, że to sprawa życia i śmierci. To marynarski upór w starciu z przeciwnikiem, bez względu na to, czy chodziło o orkan, czy o messerschmitta 110, kazał im odpowiedzieć „tak”.

Nie zaakceptowali udziału w wojnie. Po prostu kontynuowali walkę trwającą od wieków. Powiedzieli „tak” nie Anglii, tylko drodze do Anglii, morzu i wyzwaniu, dzięki któremu czuli się mężczyznami.

•

Do Methil przybili już 10 kwietnia i natychmiast otrzymali rozkaz wyjścia do Tynedock, gdzie statek przekazano Admiralicji. Nie towarzyszyła temu żadna ceremonia. Oficer floty brytyjskiej nakleił kartkę na tylnym maszcie. W krótkich słowach poinformował, że statek w imieniu Jego Królewskiej Mości zostaje przejęty jako angielska zdobycz wojenna. Duńską banderę zdjęto, a zamiast niej pojawiła się *The Red Duster*, bandera marynarki brytyjskiej, z *Union Jack*, flagą Zjednoczonego Królestwa w rogu.

Nigdy zanadto nie dbali o swoją duńską flagę. Biały krzyż osmolił się od dymu z komina, a płótno wystrzępiło na brzegach. Ale to była ich flaga. Stanowiła część ich tożsamości wśród obcych. Teraz utracili do niej prawo. Ich kraj bez walki poddał się Niemcom, a potem odebrano im flagę. Liczyli się jedynie wówczas, gdy przestawali uważać się za Duńczyków.

Teraz to zrozumieli. Mieli iść na wojnę nadzy i już zaczęto ich rozbierać.

Drugi mechanik spytał, jaka jest gaża pod angielską banderą.

Oficer odparł, że trzy funty i osiemnaście szylingów tygodniowo, a do tego funt i dziesięć szylingów na wyżywienie.

Drugi mechanik szybko policzył w głowie. Zerknął na pozostałych członków załogi i wzruszył ramionami. Oni też umieli liczyć. Ta gaża stanowiła jedną czwartą dotychczasowej. Ale w tym momencie nie mieli już rodzin na utrzymaniu, odcięci od nich na nie wiadomo jak długo.

– *Don't worry, you will be home for Christmas* – powiedział oficer, który bacznie przyglądał się ich twarzom.

Zapomnieli spytać na które święta.

•

Kazano im przemaalować „*Dannevang*” na kolor szary jak zimowy dzień na Morzu Północnym. Nie ominęło to nawet polakierowanych do połysku dębowych drzwi i framug mostka. To był ich statek. Zbijali rdzę i malowali każdy centymetr kwadratowy. Czarny kadłub, czerwony pod linią wodną, białą nadbudówkę, czerwono-biały pas niczym wstęga opasujący komin. Pieścili pędzlem białe litery na dziobie. Na „*Dannevang*” było tak czysto, że mogli chodzić po pokładzie w wyjściowym ubraniu nawet po załadowaniu węgla. Utrzymywali parowiec w starym stylu żaglowców, jak to nazywali, szorowali pokład, myli grodzie, wykonywali okropne, ciężkie roboty, które jednak miały w sobie coś dumnego. Teraz „*Dannevang*” zniknęła pod ich rękami, prawie tak, jakby statek tonął w szarym zimowym morzu, od którego pożyczał kolor.



Portem macierzystym „*Dannevang*” było kiedyś Marstal. Parowiec należał do Klary Friis i przez kilka lat stał bezczynnie, dopóki nie został sprzedany armatorowi z Nakskov. Kapitan, pierwszy i drugi oficer, wszyscy pochodzili z Marstal. Wywodzili się z miasta portowego, które nie miało już własnych statków, oni jednak stali się arystokracją w duńskiej flocie handlowej. Marstalczycy byli wszędzie, zawsze na stanowisku dowodzenia, jako oficerowie lub kapitanowie. Jeśli pływali jako marynarze, to wyłącznie ze względu na swój młody wiek. Daniel Boye, daleki potomek Sofusa Wieśniaka, był kapitanem tego statku już wówczas, gdy pozostawał on własnością rodziny i pływał pod nazwą „*Energia*”.

Kapitan Boye należał kiedyś do zwolenników Isaksena i stał na kei, gdy tamten po swojej kłesce wszedł na prom do Svendborga.

– Ty go nie pamiętasz – powiedział Knudowi Erikowi. – Ale on pamięta twoją matkę.

Knuda Erika przeszedł dreszcz. Matka stanowiła drażliwy temat. Przez dziesięć lat nie widział się z nią ani nawet nie rozmawiał. Isaksena natomiast znał dobrze. Zachował on swoją miłość do marstalczyków i nigdy nie zamykał przed nimi drzwi, gdy rejs zawiódł ich do Nowego Jorku. Poza tym poślubił dziewczynę pochodzącą z Marstal. Była nią panna Kristina.

W Nowym Jorku Isaksen jak prawdziwy dżentelmen czekał na Kristinę na nabrzeżu. To Klara Friis do niego napisała. „Wiem, że nie jest mi pan nic winien”, stało w liście. „Wierzę jednak, że jest pan człowiekiem obdarzonym poczuciem odpowiedzialności”.

I rzeczywiście, Isaksen je posiadał. Do tego stopnia, że poślubił Kristinę Bager. Knud Erik odwiedzał ich od czasu do czasu. Isaksen okazał się wspaniałym ojcem, lecz więcej dzieci na świat nie przyszło. Czy byli razem szczęśliwi, tego Knud Erik nie potrafił powiedzieć. Miał swoje wątpliwości co do stosunku Isaksena do kobiet. Isaksen kochał obdarzoną taką wolą życia Kristinę nie bez powodu. Ale nie kochał jej, jak mężczyzna powinien kochać kobietę. Przynajmniej Knud Erik nigdy tego nie zauważył. Ani razu zresztą o to nie pytał, chociaż z Kristiną Isaksen zawsze łączyła go bliskość.

„Mój mały rycerz”, mówiła o nim jak starsza siostra, choć już dawno przerósł ją o głowę.

Knud Erik był akurat w Nowym Jorku, gdy córka Kristiny przystąpiła do konfirmacji. Na zawsze zapamiętał owo niezwykle przeżycie. Siedział w protestanckim kościele na Upper East Side i patrzył na czternastoletnią dziewczynkę o imieniu Klara, nadanym jej po tej matce, z którą on się nigdy nie widywał, ponieważ oświadczyła, że dla niej równie dobrze może nie żyć. Gotowość do niesienia pomocy innym była tą cechą matki, której skutków sam nigdy nie doświadczył.

Gdy ktokolwiek poruszał temat tego, że Klara wyparła się syna, Knud Erik odwracał głowę i milkł.

•

9 kwietnia rano kapitan Boye otrzymał dwie depeche. Jedną od armatora Severinsena z Nakskov, nakazującą „*Dannevang*” powrót do Danii lub przybicie do najbliższego neutralnego portu. Drugą od Isaksena.

Boye przeczytał ją i spojrzął na swojego pierwszego oficera.

– Isaksen zaleca nam przybicie do angielskiego portu – powiedział. – Właściwie wtyka nos w nie swoje sprawy, bo nie jest naszym armatorem, ale poza wszystkim zgadzam się z nim.

– Isaksen to człowiek honoru – oświadczył Knud Erik.

Większość duńskich armatorów postąpiła tak jak Severinsen. Meller, najwyraźniej bardzo dobrze poinformowany, nocą przed inwazją oddziałów niemieckich siedział razem z synem i telegrafował do wszystkich statków swojego przedsiębiorstwa żeglugowego z rozkazem zawinięcia do neutralnego portu. Na „*Jessice Mærsk*” załoga wszczęła bunt, związano oficera i zamknięto go w kabinie nawigacyjnej. Statek szedł do Irlandii, która nie brała udziału w wojnie. Załoga zmusiła jednak kapitana do zmiany kursu na Cardiff. Wkrótce pojawiła się pogłoska, że również „*Jessica Mærsk*” otrzymała depezę od Isaksena. W swoim biurze w Nowym Jorku miał tyle samo roboty, co jego dawny pracodawca.

Isaksen, jak zauważył Boye, wtykał nos w nie swoje sprawy, ale tak postępował człowiek honoru.

Trudno natomiast było poczuć się jak człowiek honoru na pokładzie „*Dannevang*”.

Jeśli już, to jak człowiek honoru rozebrany do naga.

W Liverpoolu, Cardiff czy Newcastle często stali w pubie i wlewali w siebie tyle guinnessa, ile tylko zdołali między kolejnymi alarmami przeciwlotniczymi. Zawsze wtedy trafił się ktoś, kto słysząc ich akcent, pytał: *Where are you from, sailor?*

W tym właśnie momencie stawali się nadzy.

Szybko się tego nauczyli. Jednej odpowiedzi nie mogli udzielać, tej prawdziwej. Jeśli odpowiadali „Dania”, reakcją natychmiast było milczenie, chłód lub jawna pogarda. Nazywano ich pół-Niemcami.

W pubie „Sally Brown” przy Brewers Wharf do Knuda Erika podeszła wydekoltowana dziewczyna z pomalowanymi wyzywająco na czerwono ustami. Postawił jej drinka. Wzniesli toast, popatrzyła mu w oczy znad szklanki. On rozumiał wszystko i wiedział już, jak skończy się ten wieczór. Akceptował to, a wręcz tego potrzebował.

Potem padło pytanie, a wówczas nie słyszał go jeszcze dostatecznie często, by znać efekt, jaki wywołuje odpowiedź, że jest się z Danii.

– Why aren't you in Berlin with your best friend Adolf?

Strasznie się wtedy wściekł. Był, do jasnej cholery, tutaj, w pubie, w którym wybito połowę szyb, w zbombardowanym mieście, ryzykował życie za marną gażę, odcięty od rodziny i z dala od przyjaciół. Mógł leżeć pod kołdrą w Danii. W zamian codziennie dotrzymywały mu towarzystwa rozmaite formy wybuchowego diabelstwa wymyślone po to, by w podzięce za ofiarności gwałtownie położyć kres jego marnemu życiu.

Dziewczyna, oddalając się od niego, kołysała tyłkiem opiętym wąską spódnicą.

Miał wiedzieć, co go omija, ponieważ pochodził z niewłaściwego kraju.

Gdy nadeszła wiadomość o zajęciu Danii, ich armatorzy, ich rząd, wszyscy, nakazywali duńskim marynarzom udanie się do neutralnego portu. Oni postąpili odwrotnie. Zerwali ze wszystkimi. To jednak nie pomogło. Dla pół-Niemców nie było guinnessa stawianego przez barmana, nie było chętniej cipki od wydekoltowanych dam z czerwonymi ustami.

Im pozostawało jedynie cieszyć się szczęściem innych. Mogli patrzeć na drugi koniec baru, gdzie stał niedorostek z niebieskimi oczami i jasnymi włosami opadającymi na czoło. Nie było końca poklepywaniom po ramieniu, zalotnym spojrzeń, stawianym piwom i zaproszeniom na darmową przejażdżkę diabelskim młynem w jednym czy drugim pokoju, gdzie materac z zepsutymi sprężynami nie mógł się już doczekać skrzypienia przez całą noc.

Chłopak nie znalazł nawet angielskiego, umiał powiedzieć tylko to jedno jedyne zdanie: *I come from Norway!*

Norwegia walczyła. Król i rząd byli na uchodźstwie w Londynie. Trzydzieści tysięcy Norwegów pływało w służbie aliantów. I co najważniejsze, pod własną banderą. Norweską flotę handlową przejęło państwo, a jej oficjalnym armatorem stał się teraz król.

Skandynawowie byli mile widziani wszędzie, gdzie tylko się znaleźli. Ale w ustach Anglików „Skandynaw” znaczyło tyle, co „Norweg”. Dania zniknęła z mapy, a gdy jakiś marynarz otworzył usta, by powiedzieć, że pochodzi właśnie stamtąd, brzmiało to niczym wstydlive wspomnienie czegoś, co kiedyś istniało. 9 kwietnia załoga „*Dannevang*” straciła ojczyznę.

Popijali swojego guinnessa w milczeniu.

Byli nagimi mężczyznami na linii ostrzału.



Koniec przyszedł we wczesny styczniowy poranek około czwartej. „*Dannevang*” szedł z Blyth do Rochester z węglem. Później nie potrafili powiedzieć, czy to była mina denną, akustyczna, magnetyczna, czy też jakaś stara mina morska. Rozerwało dziób. Statek natychmiast zaczął nabierać wody, lecz nie od razu zatonał. Do tej pory płynęli bez świateł i kiedy wsiedli do szalup, kapitan Boye nakazał zapalić lampy. Oparci na wiosłach, żegnali się z „*Dannevang*”. W koło ruszyła butelka rumu. Rzadko pili na pokładzie. W wigilię Nowego Roku Boye odbył długą dyskusję ze swoimi oficerami, nim wreszcie zezwolił, by ludzie dostali po szklaneczce wiśniówki. Kiedy butelka z rumem zrobiła pełną rundę i wróciła do niego, wciąż jeszcze nie była opróżniona. Siedemnastu ludzi! Spojrzał na nich z uznaniem. „*Dannevang*” zaczął się przechylać. Z maszynowni doszły odgłosy eksplozji, gdy woda dotarła do rozpalonych kotłów. Po wybuchu skajlajtem wylatywały kawałki węgla. Potem z wody wynurzyła się rufa. Przez moment śruba obracała się w powietrzu z wizgiem. Kiedy się zatrzymała, na statku zgasły światła.

Knud Erik zamknął oczy. Albert śnił również o tonącym parowcu i opowiedział mu ten sen.

Gdy otworzył oczy ponownie, nad „*Dannevang*” morze już się zamknęło.

Siedzieli z futrzanymi uszankami w rękach. Nikt się nie odzywał. Knud Erik czuł, że kapitan powinien zmówić modlitwę albo odprawić ceremonię rzucenia ziemi. Ale przecież takich rzeczy, cholera, nie robi się ze statkiem!

Ormistrz kilka razy zaciągnął się papierosem, który rozżarzył się w ciemności.

– Dobrze by było zapalić.

To Boye przerwał ciszę. Popatrzył na ochmistrza.

– Hammerslev, zabrałeś kartony?

Ochmistrz szturchnął chłopaka z mesy, który siedział ze zwieszoną głową.

– Papierosy, Niels!

Chłopak zanurkował pod tylną ławeczkę i triumfalnie podniósł do góry karton. Każdy dostał paczkę. Kufry i worki marynarskie musieli zostawić na statku. W szalupie nie było na nie miejsca. Pozostało im jedynie to ubranie, które mieli na sobie.

Mieli też książeczki żeglarskie i paszporty, potwierdzające, że są z kraju, który już nie istnieje, ponieważ pochłonęła go wojna.

I po paczce papierosów.

Jakoś to było. Radzili sobie. Żyli, a za moment mieli wciągnąć w płuca dym.

– Zapałki – powiedział Boye. – Gdzie, u diabła, są zapałki?

Z wyrzutem popatrzył na chłopca z mesy.

– Wyrzucę cię za burzę, jeśli zapomniłeś o zapałkach.

Chłopak bezradnie rozłożył ręce.

– To poszło tak szybko – tłumaczył się.

Ochmistrz puścił w ruch swojego papierosa. Wkrótce w zimowym mroku zapłonęło siedemnaście punkcików. Do świtu zostało jeszcze parę godzin.

– Niels – zwrócił się kapitan do chłopca z mesy. – Twoim zadaniem jest zadbać o to, by przynajmniej jeden papieros zawsze się tlił. Nawet jeśli będziesz musiał palić przez sen. Zrozumiano?

Chłopak z powagą kiwnął głową, zaciągając się dymem tak, jak gdyby od żarzącego się punkcika koło jego nosa zależało, czy przeżyje.

Knud Erik rozejrzał się po szalupie. To była dobra załoga. Pływał na „*Dannevang*” jako pierwszy oficer przez ostatnie trzy lata. Na pokładzie znajdowało się siedmiu marstalczyków i jeden z Ommel. Reszta pochodziła z wysp Lolland i Falster. Wkrótce mieli rozpierzchnąć się po świecie.

Parę lat później wrócił do tej chwili i w myślach zrobił podsumowanie. Z siedemnastu ludzi ośmiu nie żyło. Kapitan, drugi oficer, ochmistrz, marynarz, dwóch młodszych marynarzy, jung i pierwszy mechanik. Pięciu z nich pochodziło z Marstal.

Kapitan Boye zginął przy kolizji z amerykańskim okrętem w konwoju. Jung był na pokładzie frachtowca przewożącego amunicję, w który trafiła torpeda. Z załogi liczącej czterdziestu dziewięciu ludzi uratowało się trzech, a jego wśród nich nie było.

Ale teraz siedzieli i czekali na świt. Znajdowali się blisko angielskiego wybrzeża i wiedzieli, że wkrótce ktoś ich zauważy.

Nie myśleli o śmierci.

Mieli tylko jedną troskę: podtrzymać życie w żarzącym się papierosie, dopóki ich nie wyłowią.



Załoga „*Dannevang*” przez parę tygodni pozostawała beczynna w Newcastle. Większość czasu spędzali w nowo otwartym klubie dla duńskich marynarzy, gdzie doskonalili swoje umiejętności gry w bilard. Nie tęsknili za atakami z powietrza, za minami i U-Bootami. Tęsknotę za bombami mogli bez przeszkód zaspokoić podczas przechadzki po dokach. Tutaj nie było tak źle jak w Londynie, ale prawie. Oni jednak dokonali wyboru i głupotą wydawało im się spędzanie wojny światowej na grze w bilard. Poza tym wyżywienie na łodzi było fatalne. Jajka w proszku, *spam*, szary chleb posmarowany cuchnącą, oleistą substancją nazywaną *Bovril*, jako mięso wyłącznie *corned beef*. To nie skąpstwo dyktowało Anglikom menu, tylko wojna. No i jak jedli, tak wyglądali. Wiszące na nich połatanie przedwojenne ubrania świadczyły, jak bardzo wychudli. Lepsze wyżywienie mieli na „*Dannevang*”, na którym od czasu do czasu dostawali prawdziwe jajka czy kawałek wołowiny.

– Anglicy, cholera, jedzą tak jak na starych szkunerach, które chodziły do Nowej Fundlandii – stwierdził Knud Erik.

Nie pływał do Nowej Fundlandii od czasu brzemiennego w skutki rejsu „*Kristiną*”. „*Claudia*” z kolei była jego ostatnim żaglowcem. Po zdaniu egzaminu oficerskiego chciał zaokrętować na statek motorowy. Próbował zaciągnąć się na „*Birmę*” i „*Zelandię*”, oba należące do Kompanii Dalekowschodniej. Ciągle jednak mu odmawiano i nigdy nie rozumiał przyczyny. O kontaktach swojej matki z armatorem, starym Markussenem, nic nie wiedział. Potem przeszedł na parowce.

Helge Fabricius się roześmiał. Był drugim mechanikiem na „*Dannevang*”. Miał około dwudziestu pięciu lat i był za młody, żeby pływać do Nowej Fundlandii. Knud Erik miał trzydzieści, więc różnica wieku między nimi nie wynosiła nawet dziesięciu lat, lecz urodzili się po dwu stronach ważnej cezury, wyznaczonej przez upadek żaglowców. Należeli do tego samego pokolenia, a jednak każdy z nich był dzieckiem innego świata.

Za stolikiem bilardowym wisiała czarna łupkowa tablica, na której kredą wypisano słowa: „Wolne stanowiska”. Widniał tam napis: „*Nimbus*” ze *Svendborga*. Nic więcej. Kogo potrzebowali? Oficera? Ochmistra? Pierwszego mechanika? Wybrali się do konsula Frederika Nielsena, by to wyjaśnić. Ku ich zaskoczeniu zaproponował cały statek. Załoga uciekła. Jeśli chcieli, mogli przejąć „*Nimbusa*”. Knud Erik mógł awansować na kapitana.

A więc wojna była i taka. Nie oznaczała wyłącznie ograniczeń. Otwierała również możliwości.



Poszli obejrzyć statek. Na dziobie widniała nazwa „*Nimbus*”, na rufie z kolei „*Svendborg*”, a raczej domyślili się, że kiedyś takie słowa musiały tam zostać namalowane. Bez wyobraźni nic nie dawało się odczytać.

Helge Fabricius zaczął coś liczyć. Chodzili tam i z powrotem po kei, oglądając statek, a on nie przerywał swojego monotonnego mamrotania. Knud Erik nie musiał pytać, co rachuje.

- Załoga, cholera, wcale nie uciekła – stwierdził. – Wszyscy zginęli.
- Sto czternaście – oznajmił Helge.

– Jedyńm serem, jaki dostawali na tym statku, musiał być ser szwajcarski. □ – Chciałbym zobaczyć, jak szykowali kawę – powiedział Helge, który zrezygnował z dalszego liczenia.

– Ja bym wolał zobaczyć, jak ją pili.

Obaj się roześmiali i weszli po trapie na pokład. Widywali już statki ze zdartym w połowie nadburciem, z odstrzeloną nadbudówką, z wielkimi dziurami w burcie, a mimo to trzymające się na wodzie. Nigdy jednak nie widzieli czegoś takiego. „*Nimbus*” dostał nie raz, tylko tysiąc razy. Parowiec był jednocześnie cały, a zarazem całkowicie zniszczony. Statek musiały atakować kolejne stada messerschmittów. Żadna z bomb zrzuconych z samolotów ani torped nie trafiła w cel, bo inaczej „*Nimbus*” leżałby już na dnie morza. Ale działka nie pudłowały. Było w tym widoku coś budzącego szacunek. Z podziurawionej nadbudówki zdawał się bić upór, który sprawiał wrażenie niemal ludzkiego.

Weszli do mesy. Na piecu stał niebieski emaliowany dzbanek do kawy. Pomimo ich przewidywań był cały.

– Jasny gwint! – powiedział Helge.

W szafce znaleźli angielski erzac kawy, z żołądzi, i usiedli przy stole, czekając, aż woda się zagotuje.

– Bierzemy ten statek – oświadczył Knud Erik.

Helge nalał wrzątku i popatrzył na niego zdziwiony.

– To szczęśliwy statek.

– Myślisz o dzbanku do kawy, który miał szczęście? To chyba jedyna rzecz na tym statku bez dziury w niewłaściwym miejscu.

Knud Erik pokręcił głową.

– Nie, to statek jest szczęśliwy. Widziałeś kiedy tyle trafień? A „*Nimbus*” ciągle jest. Wciąż unosi się na wodzie. I podzieli się z nami swoim szczęściem.

Obaj wiedzieli, że to przesady. Na polu bitwy, a morze było polem bitwy, nie istniały żadne reguły mówiące, kto zostanie oszczędzony, a kto pójdzie na dno. Tu rządził tylko przypadek. Równie dobrze więc mogli zaufać szczęściu. Na „*Dannevang*” mieli karabin maszynowy Lewis. Łut szczęścia był znacznie skuteczniejszą obroną.

Wrócili do Nielsena i potwierdzili przejęcie statku. Konsul wyraźnie odczuł ulgę.

– Stawiamy pewne warunki – powiedział Knud Erik. – Na Atlantyku niepotrzebne nam takie wietrzenie, więc dziury warto załatać. Chcemy mieć na pokładzie porządne żelastwo, żebyśmy mogli się bronić. I sami zajmujemy się angażowaniem ludzi. To my zdecydujemy, z kim będziemy pływać.

•

Gdy „*Nimbus*” przebywał w stoczni, Knud Erik i Helge zainstalowali się w klubie marynarza, w kącie niedaleko stołu bilardowego. Na łupkowej tablicy wypisali listę potrzebnych im ludzi. Potem tylko czekali.

Po paru dniach mieli już pierwszego oficera, chłopca do mesy, donkeymana i paru marynarzy. Wciąż brakowało im ochmistrza i pierwszego mechanika. Nie mieli też wszystkich marynarzy i młodszych marynarzy. Załoga powinna była liczyć dwudziestu dwóch ludzi.

Knud Erik nie spodziewał się, że tak młodo zostanie kapitanem. Nie wątpił wprawdzie w swoje zdolności, ale po prostu nie wiedział, czy posiada niezbędny autorytet. Czy zdoła należycie ocenić człowieka, by móc wykorzystywać jego silne strony i sprawić, by ten zapomniał o słabościach? I jak poradzić sobie z dwudziestoma dwoma ludźmi naraz?

Czwartego dnia w drzwiach stanął Vilhjelm i poprosił, żeby przyjęli go na drugiego oficera. Minęły już dwa lata, odkąd ostatnio widzieli się z Knudem Erikiem w Marstal. Vilhjelm założył rodzinę. Miał synka i córeczkę z dziewczyną w jego wieku, córką rybaka z Brøndstræde. Już nigdy nie zaczął się jąkać. Będąc w Marstal, co niedziela chodził do kościoła. *Zbiór kazań marynarskich* zostawiał w domu. Nie potrzebował go. Wciąż umiał go na pamięć.

– Jak się miewa twój ojciec? – spytał Knud Erik.

Ojciec Vilhjelmiego dawno już zrezygnował z ciężkiej pracy piaskarza. Zamiast tego najął się w przedsiębiorstwie rybackim, chociaż właściwie i na to był już za stary. Wciąż jednak się trzymał, zamknięty w swoim własnym świecie głuchoty.

– Łowił koło Ristinge, kiedy przyszli Niemcy. Warkotu samolotów nie mógł przecież usłyszeć. Podniósł głowę, bo po wodzie przesuwiał się jeden cień za drugim, za szybko, żeby to mogły być chmury. Prawie się nad tym nie zastanawiał. Bardziej interesowało go, ile krewetek wpadło w więcierz. Tak wygląda dla niego ta wojna.

Następnym, którym się zgłosił, był Anton. Od razu został mianowany pierwszym mechanikiem i chciał wiedzieć wszystko o maszynie.

– Cholera, nie wiem – powiedział, przesuwając po nosie czarną rogową oprawkę okularów, gdy usłyszał, że „*Nimbus*” ma zaledwie osiemset koni mechanicznych. – Ta łajba ma chyba marną *top steam*.

Dopytywał się, jakiego węgla używają.

– Węgiel musi być walijski – stwierdził. – Z tego z Newcastle jest za dużo sadzy.

– Dostaniesz taki węgiel, jaki będziesz chciał.

To były słowa rzucone na wiatr. Knud Erik nie znał się na węglu i nie miał pojęcia, co się da załatwić.

Anton trochę marudził. Knud Erik sądził, że w końcu wstanie i wyjdzie. Kiedyś byli przyjaciółmi i wciąż nimi pozostali, chociaż często znajdowali się na różnych krańcach świata. Ale Anton nie należał do sentymentalnych, był profesjonalistą i chciał czegoś porządnego, w czym będzie mógł wykorzystać swój talent do mechaniki. Dlatego jego odpowiedź właściwie zaskoczyła Knuda Erika.

– A niech tam! – powiedział. – My, marstalczy, musimy trzymać się razem. Zaryzykuję. Na pewno jakoś wyciągnę tę łajbę na spacer.

Do stolika w kącie zgłosił się też czarny mężczyzna, który chciał zaciągnąć się jako marynarz. Pod rozpiętą koszulą miał biały podkoszulek, mocno podkreślający ciemną barwę lśniącej skóry. Wzięli go za Amerykanina.

– Pozdrowienia od Fritza – powiedział po duńsku.

Knud Erik spojrzał na niego zaskoczony, ale nie dotarło do niego, że ten człowiek mówi jego ojczystym językiem.

– To Fritz nie jest w Dakarze?

– Owszem, a przynajmniej był tam, gdy go widziałem ostatnim razem.

Wyciągnął rękę.

– Powiniem się chyba przedstawić. Absalon Andersen ze Stubbekøbing. Tak, tak, dobrze wiem. Jestem Murzynem, Czarnym Bambo. Ale dorastałem w Stubbekøbing i jeśli oszczędzicie mi pytania, gdzie się nauczyłem mówić po duńsku, to i ja was nie spytam, gdzie wy się tego nauczyliście.

Uśmiechnął się do nich, jakby prezentacja została już dokonana i mogli przejść do tego, co istotne.

– Utknąłem w Dakarze razem z Fritzem – powiedział. Przsunał sobie krzesło i wygodnie się rozsiadł. Knud Erik poczęstował go papierosem. – Ale tę część historii pewnie znacie.

Knud Erik kiwnął głową. Dakar we francuskiej Afryce Zachodniej był koszmarem wszystkich marynarzy. Samo miasto nie miało w sobie nic złego. Ale kiedy Francja wpadła w ręce Niemców, gubernator w Dakarze ogłosił najpierw, że stoi po stronie aliantów. Parę dni później zmienił zdanie i wiele statków, które wpłynęły do portu, by przejść na służbę aliantów, internowano, a dzielnych marynarzy skazano na trwającą całe miesiące nieznośną bezczynność na rozpalonych pokładach ich statków. Skonfiskowano ważne części maszyn, by udaremnić wszelkie próby ucieczki. Anglicy bombardowali port, a oni nagle znaleźli się po niewłaściwej stronie. Przekłęta sytuacja. Jednemu z norweskich statków udało się uciec. Załoga twierdziła, że maszyny zardzewieją, jeśli od czasu do czasu nie pozwoli im się pracować. Durni Francuzi wydali brakujące części, a załoga zwróciła im atrapy. Uciekli w środku nocy. Cała reszta – wśród nich sześć duńskich statków – wciąż tam tkwiła i gniła. Wojna ich wzywała, a oni nie mogli przybyć. Musieli się czuć całkowicie niepotrzebni.

– Przecież nie jesteś Norwegiem – zauważył Knud Erik. – Jak więc udało ci się uciec?

– Ja jestem kimś o wiele lepszym niż Norweg – oświadczył Absalon Andersen, śmiejąc się z ogromną pewnością siebie. – Ja jestem czarny. Opuściłem Dakar spacerkiem. Nikt nie próbował mnie zatrzymywać. Byłem przecież podobny do wszystkich innych Murzynów. Kluczając, dotarłem do Casablanki. Mam zresztą również pozdrowienia od kapitana Grønne. Niech was, marstalczyków, cholera weźmie! Naprawdę wszędzie was pełno!

– Ale jak przedostałeś się dalej?

– Za to mogę podziękować piwu.

– Piwu? – powtórzył Helge, nachylając się z zainteresowaniem. –

Czyżbyś przepłynął z Casablanki na Gibraltar w skrzynce po piwie?

– Niezupełnie – odparł Absalon. – Ale prawie. Wiele osób usiłuje uciekać, ale udaje się tylko nielicznym. Francuzi cholernie dobrze pilnują. Znaleźliśmy w górze rzeki starą, przegniłą łódź rybacką. Niczego nie podejrzewali. Tylko kompletnemu głupcowi mogłoby wpaść do głowy wypłynięcie na morze taką krypą. Problemem była woda. Coś musieliśmy przecież pić podczas rejsu. Nie mogliśmy wynieść z miasta zbiornika na wodę. Od razu by odgadli, w czym rzecz. Grønne podarował nam dwie skrzynki piwa. Francuzi tylko się śmiali, widząc, jak je ciągniemy z sobą. Myśleli, że idziemy na wycieczkę do lasu. Udało nam się postawić maszt i żagle i wypłynąć późnym wieczorem. Przez cały czas musieliśmy wybierać wodę. Krypa przeciekała jak skrzynka na śledzie. Po czterech dobach dotarliśmy do Gibraltaru. Łódź zatoneła nam pod stopami, gdy wchodziliśmy do portu.

– Udało wam się w ostatniej chwili – Knud Erik nie krył podziwu.

– To prawda. – Absalon, śmiertelnie poważny, kiwnął głową. – Rzeczywiście, niech mnie diabli, w ostatniej! Piwo nam się skończyło.

•

Gdy przy stoliku w kącie pojawił się następny kandydat, Knud Erik przyjrzał mu się uważnie. Potem uniósł rękę, jakby chciał uciszyć przybysza, chociaż on jeszcze nie zdążył otworzyć ust.

– Pozwól, że zgadnę, jak ci na imię. Albo Svend, albo Knud, albo Valdemar.

– Valdemar – odparł mężczyzna bez mrugnienia okiem.

– Jak Chińczyk może mieć na imię Valdemar? – spytał Helge, mierząc wzrokiem szczupłego młodego człowieka. Oceniał jego wiek na dwadzieścia lat, ale mógł też być młodszy. Miał charakterystyczne dla Azjatów mocno zarysowane kości policzkowe i wąskie szparki oczu. Na ładnie ukształtowanych ustach błąkał się drwiący uśmiezek. Był przystojny, ale w zaskakująco łagodny, niemal kobiecy sposób.

– Nie jestem Chińczykiem – odparł cierpliwie. – Moja matka pochodzi z Syjamu, a ojciec nazywa się Jørgensen.

– Pewnie na dodatek masz duński paszport? – spytał Helge tonem inkwizytora. Odpowiedź młodego człowieka wprawiła go w niepewność i teraz chciał to sobie odbić.

– Bylebyś miał książeczkę żeglarską, to wszystko będzie w porządku – łagodził Knud Erik.

W ciemnych oczach Valdemara Jørgensena błysnął gniew.

– Urodziłem się w Syjampie – powiedział. – Mam i syjamski paszport, i duński. Ten ostatni sobie zorganizowałem. Jestem członkiem Seamen's Union of the Pacific. To wam wystarczy, chłopcy?

Wpatrywał się w nich, gotowy do walki.

Knud Erik roześmiał się.

– Masz miejsce na statku, jeśli chcesz.

– Chcę wiedzieć, czy popłyniemy do Ameryki.

– Spytaj Anglików. Najmądrzej chyba zrobisz, licząc się z tym, że popłyniemy na północny Atlantyk.

– Mam tylko jedną dobrą radę. Uważajcie, żeby się nie żenić z Amerykankami.

– A co złego jest w Amerykankach?

– One są gotowe na wszystko, *real hot*. Ale potem chcą ślubu. Byłem na statkach, na których chłopcy przechwalali się swoimi zdobyczami, obrączkami ślubnymi, zdjęciami ze ślubu, wieczną miłością, *the works*. I nagle dwóch z nich odkryło, że ożenili się z tą samą dziewczyną. Powiem wam dlaczego. Te *broads* dostają tam dziesięć tysięcy dolarów wdowiej renty po marynarzu, który poległ w służbie aliantów. *Pain in the ass. You know what I mean?*

– Sure do.

Knud Erik z trudem zachowywał maskę. Chłopak jednak jakby nie zwracał na to uwagi.

– No bo chyba nie jesteś żonaty, co? Podstarzały kawaler łatwiej ulega takim sztuczkom. *Take care, buddy!*

Chłopak był naprawdę spostrzegawczy. Zauważył, że Knud Erik nie nosi obrączki.

– Posłuchaj – powiedział Knud Erik, wychylając się. – Ja nie jestem twoim *buddy*. Jestem kapitanem „*Nimbusa*” i jeśli chcesz pływać na moim statku, to musisz zmienić ton. Jasne?

Valdemar strzelił piętami i zasalutował.

– *Aye, aye, captain.*

Przeszedł już przez pół lokalu, ale nagle się odwrócił i podszedł do Helwego.

– *Listen*. Jeśli nie podoba ci się imię Valdemar, mów mi po prostu Wally.



Pływali w konwojach, najpierw z Liverpoolu do Halifaxu i z powrotem, potem do Nowego Jorku przez Gibraltar. Na zachód szli pod balastem, a wracali z drewnem, stalą i rudą żelaza. Na pokładzie zainstalowano cztery dwudziestomilimetrowe działka, jedno na dziobie, drugie na rufie, dwa pozostałe umieszczono na skrzydłach mostka, skąd groźnie omiatały morze. Do ich obsługi nie przeznaczono załogi. Płynęło z nimi czterech brytyjskich gunnerów.

„*Nimbus*” nie został zbudowany na północny Atlantyk. Do jakich warunków miał być odpowiedni, trudno w zasadzie stwierdzić. Anton w maszynowni starał się, jak mógł, ale statek nigdy nie osiągnął prędkości większej niż dziewięć węzłów. Gdy ogłaszano alarm z powodu pojawienia się okrętów podwodnych, mieli rozkaz zygzakować, żeby uniknąć torped. Czterdzieści statków w konwoju opuszczało Liverpool jeden za drugim, ale potem przegrupowywało się w czworokąt, w którym kolumny statków płynęły obok siebie. Trudno było utrzymać pozycję w szyku, bo „*Nimbusem*” ciężko się manewrowało i stale zostawał z tyłu.

Kapitan Boye powiedział kiedyś Knudowi Erikowi, że w sytuacjach kryzysowych, w obliczu niebezpieczeństwa zatopienia statku, kapitanowi nie wolno zastanawiać się nad przepisami i paragrafami ani brać pod uwagę tego, czy jednostka jest ubezpieczona, czy nie. Kapitan musi działać według jednego jedynego niepisane prawa: postępuj wobec innych tak, jak chcesz, by inni postępowali wobec ciebie.

Słowa Boyego podsumowywały całe marynarskie doświadczenie Knuda Erika. Dowiedział się później, że Boye utonął, ponieważ oddał kamizelkę przerażonemu palaczowi, który swoją zostawił w maszynowni. Nieraz widział, jak kapitan wystawia na ryzyko cały statek, aby iść z pomocą załodze, która znalazła się w opałach. Widział też zwykłych marynarzy postępujących tak samo wobec siebie.

Marynarze nie byli ani lepszymi, ani gorszymi ludźmi od innych. To sytuacja wymuszała na nich lojalność. Zamknięty świat pokładu czynił ich wzajemną zależność tak wyraźną, że zniknął indywidualny instynkt przetrwania. Wiedzieli, że bez towarzyszy sobie nie poradzą.

Knud Erik naiwnie sądził, że wojna przemieni cały świat w pokład statku, a wróg, przeciwko któremu się sprzymierzyli, całą swoją niepohamowaną brutalną siłą będzie czymś na kształt morza. Nie wiedział, że wojna zmusi go do zerwania z prostym poczuciem lojalności, które przez całe jego marynarskie życie tkwiło w nim i stało się fundamentem jego osobowości. W jedną stronę szedł przez północny Atlantyk z balastem, w drugą wiozł drewno i stal. Płynął pod eskortą, ryzykując życie. Poszedł na wojnę, ponieważ na pokładzie statku nauczył się, że żaden człowiek nie może odwracać się plecami do losu drugiego.

A jednak wojna miała umniejszyć go jako człowieka.

Zrozumiał to jednak dopiero wtedy, gdy było już za późno.

•

Miał nadejść moment, w którym poczuł, że jego życie zależy od czerwonych światełek.

Nie od torped, które by je zakończyły.

Czerwone światelka miały zrobić coś gorszego.

•

W konwoju obowiązywały zasady. Przed wyjściem w morze zawsze odbywała się konferencja na łądzie i dowódca nieodmiennie wydawał ten sam rozkaz: utrzymywać prędkość i kurs. Każdy statek zajmował określoną pozycję, której nie mógł opuszczać. Obowiązywała jeszcze jedna zasada, która stopniowo niszczyła ich jak rozwijający się rak. Nie wolno spieszyć na pomoc tonącym. Nie wolno zbierać rozbitków. Jeśli na moment się zatrzymają, będą stanowić doskonały cel dla atakujących U-Bootów czy samolotów i ładunek może przepaść. Przecież płyną po to, by dostarczyć ładunek, a nie ratować tonących marynarzy.

Ta zasada była podyktowana gorzką koniecznością. Knud Erik o tym wiedział, a mimo wszystko czuł się tak, jakby dokonano gwałtu na jego duszy. To nie torpeda miała go unicestwić, ale rozkaz ignorowania krzyków tonących, którzy wzywali ratunku.

Konwój zamykały okręty eskortujące. To do ich zadań należało zbieranie tych, którzy znaleźli się w potrzebie, często jednak przeszkadzały im wściekle atakujące samoloty albo białe warkocze torped, zmuszające do ryzykownych uników. Rozbitkowie zostawali z tyłu i ginęli na bezkresnym morzu. Ostatnimi po nich śladami były czerwone światelka na kamizelkach ratunkowych.

Tak kończyli szczęśliwcy.

Wychłodzeni, z wycieńczenia zapadali w sen przechodzący w śmierć. Albo też sami się poddawali, rozpinali kamizelki i opadali w oczekujący ich mrok. Czerwone światelka żarzyły się jeszcze przez pewien czas, ale wkrótce i one jedne po drugich gasły.

Gdy któryś ze statków został trafiony, a atakujący U-Boot zlokalizowano, do kontrataku przystępowały niszczyciele i zrzuciły bomby głębinowe. Jeśli w wodzie wciąż znajdowali się żywi rozbitkowie, rozrywało ich ogromne ciśnienie, które miało niszczyć płyty pancerne okrętów podwodnych. Wylatywali w powietrze, wyrzuceni przez gejzer, który oznaczał podwodną detonację, z płucami wystającymi z ust. Rozerwane ludzkie ciała, po których nie zostawał nawet krzyk.

Widział to w powrotnej drodze z Halifaksu.

Mieli rozkaz nie zbaczać z kursu, bo gdy szli pełną parą, uciekając przed U-Bootami, przez cały czas wisiała nad nimi groźba kolizji z innymi statkami w konwoju. Knud Erik stał na mostku z rękami na sterze i wpłynął prosto na pole maków, czerwonych światełek alarmowych, błyskających ostrzegawczo przed dziobem „*Nimbusa*”. Słyszał oszalałe walenie w poszycie, gdy rozbitkowie w kamizelkach ratunkowych przesuwali się wzdłuż burty, rozpaczliwie odbijając się od niej nogami, by uniknąć wciągnięcia przez śrubę. Gdy wyszedł na skrzydło mostku i obejrzał się w tył, zobaczył, że kilwater pieni się czerwienią z odciętych części ciał, wirujących w wodzie.

Don't look back, taka zasada obowiązywała w podobnych chwilach, i on już nigdy więcej się nie obejrzał.

Ale coś w nim dalej patrzyło na to, co zaledwie minutę wcześniej było człowiekiem, dopóki nie zmienił się w kamień. Nikt – nikt! – nie pragnie tak postąpić wobec drugiego człowieka. A jednak on to zrobił. Postępuj wobec innych tak, jak chciałbyś, by postępowali wobec ciebie. Jeśli tego zabrakło, to co mu zostało?

Nic. Kompletnie nic.

To te czerwone światełka liczył w kajucie kapitana. W ich blasku stawał się nagi. Tracił ostatni punkt oparcia. Dowiózł ładunek. Lecz mimo wszystko postąpił źle. Krzywdził innych, a przez to krzywdził siebie. Tak mocno był związany z tymi, którzy w wodzie krzykiem wzywali jego pomocy.

Gdy następował atak na konwój, pojawiał się na mostku z twarzą zastygłą i zaciętą. Nie myślał o U-Bootach. Nie myślał też o tym, że los trafionych statków równie dobrze mógł spotkać „*Nimbusa*”. Przygotowywał się na pojawienie się czerwonych światełek. Gdy się zapalały, bez słowa odsuwał sterującego i sam chwycił za koło. Rozkazywał wszystkim opuszczenie mostka. Pragnął być sam. Nie tylko wtedy, gdy usiłował ominąć kołyszące się na wodzie światełka, lecz również wtedy, gdy wpływał w sam ich środek, ponieważ inaczej być nie mogło. Był kapitanem, wyznaczał kurs. To na nim spoczywała odpowiedzialność.

Chronił swoją załogę. Pragnął im tego oszczędzić. Gdyby zechcieli, mogliby wskazać kapitana jako winnego.

Nie wiedział, co myślą. Nigdy z nimi o tym nie rozmawiał.

Gdy było już po wszystkim, szedł do swojej kajuty i otwierał butelkę whisky. Potem upijał się do nieprzytomności. Uważał to za namiastkę pokuty, bo wiedział, że odpokutowanie nie jest możliwe. Postąpił niewybaczalnie. Na mostku stracił prawo do szczęścia. Każda myśl o sensie własnego życia bladła i znikwała. Patrzył na siebie z zewnątrz i niczego nie widział. Jego dusza zmieniała się w pył, starta na proch w młynie wojny.

Izolował się. Nigdy nie schodził do mesy. Nie bratał się z pierwszym ani drugim oficerem. Przystał rozmawiać nawet z kolegami z dzieciństwa w Marstal. Posiłki jadał sam, a usta otwierał jedynie po to, by wydać rozkaz.

Nikt nie próbował wyciągnąć go z tej samotności. Nikt nie rzucał mu żartobliwych uwag ani nie zadawał pytań innych niż te dotyczące codziennych czynności na statku. A jednak mu pomagali. Pomagali podtrzymać tę jego samotność, jakby wiedzieli, że tę cenę płacił również w ich imieniu.

Inni być może uznaliby to za chłód ze strony załogi, za nieprzystępność w reakcji na nieprzystępność kapitana, może wręcz za brak wdzięczności. Było jednak odwrotnie. Poklepanie po ramieniu, życzliwe słowo czy pełne wyrozumiałości spojrzenie doprowadziłyby go do załamania.

Utrzymywali go na nogach. Chronili go, by on w spokoju mógł chronić ich. Potrzebowali kapitana i pomagali mu w tym, by nim pozostał.



Kochany Knudzie Eriku!

*Piszę, by opowiedzieć Ci o śnie, który przyśnił mi się
dzisiejszej nocy.*

Stałam na brzegu i wpatrywałam się w morze, jak to często robiłam, będąc dzieckiem. Czułam ten sam lęk przed morzem, przemieszany z pragnieniem wypłynięcia na nie, jaki odczuwałam w dzieciństwie. Nagle woda zaczęła się cofać. Zachrzęściły kamienie przy brzegu, poruszane odpływem. Woda ułożyła się całkiem płasko, jakby przechodził nad nią wielki wiatr. Trwało to długo i w końcu aż po horyzont widać było jedynie odsłonięte dno morza.

Gdybyś wiedział, jak tęskniłam za tą chwilą! Wiesz, jak nienawidzę morza. Tyle nam zabrało. Ale nie czułam żadnego triumfu, chociaż spełniło się nareszcie moje największe marzenie.

Zamiast tego ogarnęło mnie przeczucie czegoś strasznego.

Usłyszałam ryk. W oddali rósł mur białych, spienionych mas wody, które prędko się zbliżały. Nie próbowałam uciekać, chociaż wiedziałam, że już za chwilę woda mnie porwie.

Nie było gdzie uciekać.

Co ja zrobiłam? Co ja takiego zrobiłam?

To pytanie tkwiło we mnie niczym krzyk, kiedy się obudziłam.

Być może uznasz to za idiotycznie, ale chodząc ulicami, czuję się strasznie winna. Widzę chłopców i dziewczęta, widzę ludzi robiących sprawunki, widzę kobiety – jest wiele kobiet – i widzę starców. Ale widzę tak niewielu mężczyzn i czuję, że to ja ich stąd wygnałam, z premedytacją niszcząc możliwości rozwoju żeglugi w naszym mieście.

To miasto nie ma zwyczaju liczenia tych, których straciło. Ale ja ich liczę. Nie ma wśród nas pięciuset, sześciuset mężczyzn, synów, ojców, braci. Są po drugiej stronie muru, wzniesionego przez wojnę wokół Danii, nazywanego „zaporą”. Pływacie na wojnie w służbie aliantów i jedynie wynik owej wojny zdecyduje o tym, czy kiedykolwiek wrócicie do domu. Ale nawet zwycięstwo nie daje żadnej gwarancji, że przeżyjecie.

Wielka fala z mojego koszmaru jest już nad nami, i to ja ją wywołałam.

Chciałam wypędzić marynarza z serc mężczyzn, a osiągnęłam rzecz przeciwną. Kiedy w Marstal prawie nie było już statków, szukaliście ich gdzie indziej. Wypływaliście w dłuższe rejsy. Czas spędzany z nami w domu jeszcze bardziej się skrócił. A teraz odeszliście daleko i nie wiadomo na jak długo, niektórzy zaś, obawiam się, że takich jest wielu, na zawsze. Jedynym dowodem, jaki mamy na to, że wciąż żyjecie, są listy, które tak nieregularnie dostajemy. Gdy przestają przychodzić, same musimy odgadywać przyczynę.

Kochany Knudzie Eriku, powiedziałam kiedyś, że dla mnie już umarłeś, a to największy ból, jaki matka może sobie zadać. Tak mało wiem o Tobie, jedynie to, co usłyszę od innych, a oni milkną w mojej obecności. Czuję, że traktują mnie jako kogoś dziwnego. Nie wiem, czy wybaczyli mi to, co zrobiłam miastu. Pewnie raczej nie rozumieją, że to ja za tym stałam. Ale tego, że Cię odtrąciłam, nie wybaczył mi nikt. Jestem jeszcze bardziej samotna, niż byłam kiedyś.

*Nie zobaczysz tego listu. Nie wysłę go. Gdy wojna się skończy,
a Ty wrócisz do domu, wtedy Ci go przekażę.*

Nie proszę o nic innego niż to, żebyś wtedy go przeczytał.

Twoja matka



Knud Erik nie zszedł na ląd w Nowym Jorku. Bardziej bał się ziemi niż morza. Przeczuwał, że gdy już raz dotknie stopą kei, to nigdy nie wejdzie z powrotem po trapie. A to byłaby zdrada. Znalazłby się poza wojną. Lecz również ten, kto brał w niej udział, zdradzał. Nauczyły go tego czerwone światełka.

Taki wybór dawała wojna. Wybór między dwoma rodzajami zdrady.

Samotny na mostku wypełniał swój obowiązek wobec aliantów, wobec wojny i przyszłego zwycięstwa, wobec konwoju i ładunku. Ale nie wypełniał swojego obowiązku wobec ludzi wzywających jego pomocy. Wydawało mu się, że każdy z nich woła go po imieniu.



Vilhjelm wybrał się na Upper East Side odwiedzić Isaksena i Kristinę. Gdy Knud Erik ostatnio się z nimi widział, Klara przystępowała do konfirmacji, a on po uroczystości został zaproszony na obiad. Przez chwilę odczuwał pokusę, by towarzyszyć Vilhjelmowi. Potem jednak pokręcił głową, wołał samotność w kajucie. Siedział tam jak w schronie.

Niektórzy mężczyźni, gdy nerwy zaczynały ich zawodzić, liczyli kobiety, jakby myśl o podbojach, dokonywanych w obcych portach, dodawała im sił. Kobiety na jednej szalce wagi, polegli na drugiej. Istniała w tym jakaś równowaga.

Knud Erik mógł zejść na ląd w Nowym Jorku i przyczynić się do wzrostu tej równowagi. Miał trzydzieści jeden lat i pozostawał kawalerem. Na małżeństwo nie było jeszcze za późno, ale i nie za wcześnie, jak często sobie powtarzał. Nosił w sobie niepokój i poznał wiele kobiet. Przed dokonaniem ostatecznego wyboru nie wstrzymywały go niedojrzałość i nienasycenie, tylko raczej tkwiące w nim niezdecydowanie, wahanie wypływające z jakiejś niezalatwionej sprawy z samym sobą. Tyle że nie bardzo wiedział, o co w tym chodzi. Niekiedy wciąż jeszcze myślał o *miss* Sophie, szalonej dziewczynie, która zawróciła mu w głowie, gdy miał zaledwie piętnaście lat. Nie mogło jednak, do diabła, chodzić o nią. Przecież prawie jej nie znał, a jej zachowanie, które początkowo pociągało go swoją tajemniczością, nie było niczym innym jak młodzieńczą pozą. A jednak czasami mu się wydawało, że rzuciła na niego przekleństwo. Swoim nagłym rozplynięciem się w powietrzu, zniknięciem, które mogło oznaczać wszystko, i śmierć, i przygodę, przywiązała go do siebie. Ale to nie Sophie szukał w knajpach w dzielnicach portowych, ani też, jeśli chodzi o ścisłość, wśród mocno stąpających po ziemi dziewcząt z Marstal. Tylko że czegoś ciągle mu brakowało. I za każdym razem, gdy próbował tego osiągnąć, to coś ulatywało.

W Marstal doszło nawet do zaręczyn. Lecz Karin Weber je zerwała. „Zawsze jesteś taki dziwnie nieobecny”, powiedziała, nie mając wcale na myśli nieobecności marynarza. Dobrze o tym wiedział.

Coś w nim bardzo pragnęło rodziny. Potrzebował człowieka, za którym mógłby tęsknić. Potrzebował przeciwwagi dla wszystkich tych strasznych rzeczy, które robiła z nim wojna, a nie mógł jej znaleźć w portowych barach. Przypominał statek bez cum.

Przesiadывał w kajucie kapitańskiej jak mnich w celi. Ale jego samotność nie miała w sobie nic budującego. Liczył czerwone światełka. Liczył cząstki swojej duszy. Jego marzenie o życiu, jakie mógł wieść, rozsypywało się jak zbudowany przez dziecko zamek z piasku pod bezlitosnym słońcem pustyni.



W Liverpoolu zdezerterował. Uciekł przed poczuciem obowiązku.

Ta sama whisky, która pomagała mu utrzymać równowagę, potrafiła ją również zachwiać.

W Liverpoolu zachwiała.



Codziennie golenie stało się wysiłkiem. Jak można się ogolić, nie patrząc w lustro?

Golenie było ostatnim etapem przed ostatecznym upadkiem. Knud Erik wiedział, że takie niepisane prawo dotyczy jeńców wojennych w niemieckich obozach dla internowanych. Tak właśnie się czuł: jak jeńiec. Wpadł w ręce wroga, ale ów wróg tkwił w nim samym.

Podczas ostatniego rejsu szli z ładunkiem amunicji. Jedno trafienie oznaczałoby natychmiastową zagładę. Nie zostałyby żaden człowiek z błagalnie świecącą lampką. Nie zostałyby nawet czapka kapitańska, gdyby „*Nimbus*” zniknął w gigantycznym płomieniu. Knud Erik przyłapał się na marzeniu o uldze, jaką przyniosłaby śmierć. Ale żadna torpeda ich nie trafiła, żadna bomba nie przebiła pokładu, torując sobie drogę do ładowni.

„*Nimbus*” był szczęśliwym statkiem. Wciąż trzymał kurs wśród tonących, ale Knud Erik przeklinał to szczęście.



Radiostacja pokładowa odbierała kanały angielskiego lotnictwa, a gdy po przepłynięciu Atlantyku zbliżali się do wybrzeża Wielkiej Brytanii, zbierali się na mostku, by słuchać rozmów dowództwa RAF-u z pilotami. Słyszeli słowa: *Good luck and good hunting*, będące sygnałem „transmisji” z walki na śmierć i życie. Okrzykami dodawali otuchy swoim. Przeklinali wroga, którego nie słyszeli, lecz czasami mogli zobaczyć, bo walki toczyły się na niebie tuż nad ich głowami. Zaciskali pięści. Żył na czołach im nabrzmiewały. Kibicowali pilotom, w eter wykrzykującym ostrzeżenia albo obwieszczającym zwycięstwo, a czasami trafionym i ginącym w fotelu. Ci ludzie ponosili ofiarę dla nich, a jednak wszyscy pragnęli być na ich miejscu i zamienić wieczne czekanie na pokładzie na wystawiony na niebezpieczeństwo fotel pilota. Nie znalazłoby się wśród nich takiego, który w tym momencie nie chciałby zabijać. Pragnęli stać się przyczyną cudzej śmierci zamiast bez końca czekać na własną. Byli tak podnieceni, że gdyby ktoś dał im rewolwer do rąk, musieliby bardzo się powstrzymywać, by nie zacząć strzelać do siebie jak do psów.

Jedynie Knud Erik nie marzył o bliskim kontakcie z bronią. On chciał jedynie stać się celem kuli. W niego mogliby strzelać. Chętnie by ich od tego napięcia uwolnił.

•

Zatrzymał Wally'ego schodzącego po trapie na ląd z walizką w ręku. Słyszał wcześniej, jak Wally przechwalał się jej zawartością, którą zorganizował w Nowym Jorku: nylonowymi pończochami, łososiowymi biustonoszami z satyny i koronkowymi majtkami.

Knud Erik musiał mocno się zmobilizować, by nie chwiać się na nogach.

– Weź mnie ze sobą – powiedział ochryplym głosem. – Chcę zobaczyć, co można kupić za tę twoją bieliznę.

To była prośba, ale zabrzmiała jak rozkaz, ten, którego żadnemu kapitanowi nie wolno wydać, jeśli pragnie mieć poważanie wśród załogi: pokaż mi drogę w błoto, bądźmy kolegami w upadku.

Wyszedł ze swojej celi, by popełnić samobójstwo bez użycia rewolweru.

Antona ani Vilhjelma przy tym nie było. Oni by go powstrzymali. Wally różnił się od nich wiekiem i doświadczeniem. Knud Erik zauważył niepewność w oczach chłopaka, ale już wiedział, że Wally nie będzie miał odwagi zaprotestować.

– *Aye, aye*, kapitanie – powiedział jedynie.

Stanął przy nim Absalon.

– Ale, kapitanie... – zaczął.

Knud Erik usłyszał, że to początek protestu. Przecież dezercerował. Doki w Liverpoolu bezustannie bombardowano i bez przerwy musieli się przemieszczać. W takiej sytuacji kapitan nie mógł nagle zniknąć. To byłaby niewybaczalna zdrada. No cóż, będzie musiał dodać ją do pozostałych zrad.

Ostrzegawczo podniósł rękę.

– Vilhjelm się wszystkim zajmie...

Absalon odwrócił głowę.

W drodze do dworca kolejowego wśród zrujnowanych przez bomby domów, gdzie wychudzeni mężczyźni i kobiety uprzęтали gruz, trzymali się od niego z daleka. W tym dystansie nie kryła się żadna wrogość. On był kapitanem, a oni usiłowali podtrzymać życie w resztkach jego godności.

Powiedział kiedyś Wally'emu, że nie jest jego *buddy*. Teraz spróbował się nim stać. Czuł rozlewający się po ciele jad pogardy dla samego siebie i miał nadzieję, że od niego umrze.

W pociągu do Londynu zapadł w sen.

Wally zbudził go, gdy skład zatrzymał się na peronie. Zdezorientowany rozejrzał się po przedziale. Rejs między Nowym Jorkiem a Anglią za każdym razem wydawał się podróżą w czasie. Amerykanie znajdowali się jakby w kapsule czasu, w permanentnym stanie sprzed wojny, mieli dobrze odżywione ciała i twarze wprost nieprzyzwoicie tryskające zdrowiem. Anglicy natomiast byli jak z pożółkłych fotografii. Z ich bladej skóry zniknęły wszystkie kolory. Twarze mieli nieostre, przypominające zdjęcia w starym albumie, leżącym na zakurzonym strychu, wegetujące w krainie cieni, w świecie coraz mniejszych racji żywnościowych.

Ledwie opuścili budynek dworca, rozległ się alarm przeciwlotniczy. Był już wieczór i między domami panowała gęsta ciemność. Zatrzymali się bezradni. Zobaczyli biegnących ludzi i popędzili za nimi. W jakimś miejscu świeciła się mała czerwona lampka. To było wejście do schronu. Nie mógł nie dostrzec ironii. Na morzu czerwone światelko oznaczało jeszcze jedno życie, które miało mu ciążyć na sumieniu. Tu światelko było wybawieniem. Przez moment zapragnął po prostu zatrzymać się i czekać na bombardowanie.

Absalon dostrzegł wahanie Knuda Erika i złapał go za rękę.

– Tędy, kapitanie!

Pozwolił, by nogi same go niosły, i ruszył za nimi.

W schronie nie było żadnego oświetlenia. Siedzieli stłoczeni, spowici grobową ciemnością. Knud Erik słyszał szepczące głosy, czyjś kaszel, płacz dziecka. Stracił kontakt z Wallym i Absalonem. Ulgę przyniosło mu otoczenie kompletnie obcych ludzi. Czuć było ostre zapachy niemytych ciał i zapleśniałych ubrań. Działo przeciwlotnicze umieszczone tuż nad bunkrem rozpoczęło ostrzał, powietrze zadrgało. Potem zaczęły spadać bomby. Z sufitu posypały się wapno i kurz. Śmierci jakby wyrosły ręce, na próbę dotykała każdej twarzy przed dopełnieniem swego dzieła. Słyszał jęki i popłakiwanie. Ktoś szlochał nieopanowanie, a ktoś inny pocieszał monotonnym głosem, który niebawem załamał się w panice:

– *Shut up for Christ's sake!*

– *Leave her alone* – włączył się inny głos.

Jedynie ciemność powstrzymała ludzi przed rękoczynami.

– *I want to go home, please* – prosił dziecinny głosik.

Dziewczynka krzykiem wzywała matkę, odpowiedzią był głos staruszki odmawiającej *Ojcze nasz*.

Od wybuchu bomby, która upadła gdzieś blisko, zatrzęsa się podłoga. Knud Erik przez moment sądził, że cały schron się na nich zawali. Zrobiło się tak cicho, jakby to śmierć we własnej osobie na nich ryknęła.

Nagle poczuł czyjąś dłoń na swojej. Kobięcą dłoń, delikatną i małą, tak mu się wydawało, ale stwardniałą wewnątrz. Dłoń kobiety pracującej rękami. Pogładził ją pocieszająco. Czyjaś głowa oparła mu się na ramieniu. W ciemności obejmował nieznaną kobietę. Jeszcze jedna bomba spadła blisko i betonowe ściany bunkra jakby ugięły się pod ciśnieniem. Ktoś zaczął histerycznie krzyczeć, do niego dołączył ktoś inny, w końcu ciemność aż wibrowała od panicznego krzyku, w miarę jak zamknięci w bunkrze ulegali nieodpartej mocy zbiorowej hysterii. Bomby spadały rytmicznie niczym akompaniament werbli.

Kobieta złapała go za szyję i chciwie wpiła mu się w usta, dłonią obmacując krocze. On wsunął jej rękę pod płaszcz i wyczuł kontury piersi. W końcu jej rozpalone łono zamknęło się wokół niego. Krzyk otaczał ich jak mur. Wybuchy bomb nadawały rytm jego pchnięciom. Brali się nawzajem, ogarnięci ślepą, brutalną żądzą, a on czuł jednocześnie, jak pełne bezinteresownej czułości jest to znajdujące się pod nim miękkie, anonimowe kobiece ciało. Dzieliło się z nim ciepłem życia, a on je oddawał, dopóki ich krzyk nie zmieszał się z kakofonią ogarniętych paniką głosów.

Na moment uwolnił się od czerwonych światełek.

•

Po kilku godzinach działo przeciwlotnicze nad schronem umilkło. Znów rozległy się syreny. Odwołano alarm i otwarto drzwi na spowitą ciemnością ulicę. Musiał być środek nocy.

Zgubił ją, gdy tłum ruszył w stronę wyjścia. Być może celowo pozwolił jej odejść, a ona zapewne postąpiła tak samo. Na zewnątrz się paliło. W migocącej poświacie spoglądał na twarze. To ta, ta czy tamta? To mogła być ta młoda dziewczyna w chustce na głowie ze spojrzeniem wbitym w ziemię. Ale również tamta kobieta w średnim wieku, z zaciętą twarzą i rozmazaną szminką, którą w świetle płonących domów usiłowała wytrzeć. Nie chciał nic wiedzieć. I on, i nieznajoma kobieta znaleźli to, czego szukali. Twarz i imię byłyby jedynie zbędnym epilogiem.

•

Został w Londynie przez trzy dni.

Kochał się na tylnym podwórzu, w toalecie pubu, w łózkach hotelowych, kochał się przy akompaniamencie bomb i bez akompaniamentu innego niż ciężki, postępujący oddech, własny i przypadkowej partnerki, dopóki nie dotarł do miejsca, w którym cisza spotykała się z ciemnością i pochłaniała go. Kochał się z kobietami i pił z mężczyznami, którzy czuli dokładnie to co on. Gdy spadały bomby, nie wiedzieli, czy i oni wkrótce nie dołączą do szybko rosnącej liczby poległych, czy ich miejsce pracy nie zmieniło się w ruinę i czy ich rodzin nie pogrzebały walące się domy. Żyli w takim strachu, że straty, które jeszcze ich nie dotknęły, już zdążyły ich zniszczyć. Każda sekunda była ponownymi narodzinami, każdy pocałunek odroczeniem, każdy ciężki oddech wyznaniem miłości do życia, które obejmowali pod postacią nieznanego człowieka, a oszołomienie, permanentne oszołomienie, którego szukał i które znalazł, było darem, ponieważ tak jak kula w mózgu pochłaniało całą jego istotę, jego twarz, nazwisko i historię, by wreszcie zaspokoić głód tkwiący w jego ciele. Przez trzy dni był swoim własnym, bezwzględny apetytem na życie. Niczym więcej.

•

Ostatniego wieczoru zebrali pozostałą zawartość wielu walizek marynarskich: bieliznę, nylonowe pończochy, kawę, papierosy i dolary. Przed wszystkim dolary. Przekazali je jako *yanks* i na jedną noc wynajęli w hotelu apartament zajmujący całe piętro. Dziewczyny przyprowadzili sami, służbie dali szczodry napiwek, portier prowadził rachunki, żeby wiedzieli, kiedy kończą się pieniądze. Potem jedli i pili, tańczyli i łajdaczyli się przez jeszcze jedną noc nalotów. Wally zadbał o gramofon. Tańczyli do piosenek Leny Horne, wlewając w siebie piwo, whisky, gin i koniak.

O jedenastej rozległ się alarm bombowy.

Obsługa zaczęła walić w drzwi i krzyczeć, że mają zejść do piwnicy.

– Proponuję, abyśmy zostali tutaj – powiedział Knud Erik.

Zrezygnował z rozkazującego tonu. Nie był kapitanem, tylko buddym wśród *buddies*.

– *Aye, aye*, kapitanie.

Wally zasalutował i nalał sobie jeszcze koniaku.

Zgasili światło i rozsunęli zasłony. Nocne niebo przecinały światła reflektorów. Spadły pierwsze bomby, początkowo daleko, potem coraz bliżej. Brzmiało to tak, jakby bębniarz wypróbowywał swój bęben przed wielką solówką. Budynek się trząsł. Wczołgali się pod łóżka. Wiedzieli, że materace ich nie ochronią, a bliskość drugiego ciała tak. Górę wzięły w nich instynkty: miłość czyniła ich nietykalnymi.

Bomby spadały coraz bliżej. Za oknami pojawiało się i gasło niebieskofioletowe światło. Poświata ognia migotała na dachu. Za każdym razem, gdy rozum szukał dostępu do ich zamroczonych mózgów z przesłaniem, że teraz nie wolno im już dłużej zwlekać, tylko muszą zejść do piwnicy, jeszcze mocniej przyciągali partnerkę do siebie i wchodzili w nią jeszcze głębiej. Żądza i strach nawzajem czerpały z siebie pożywkę, osiągając ekstatyczne rozmiary. Potem wyczerpani osuwali się bezwładnie, z rozrzuconymi ramionami w momencie błogosławionej drzemki, jak gdyby już udało im się przetrwać noc.

Ale noc jeszcze się nie skończyła. Bomby nie chciały ich opuścić. Lęk budził się na nowo, a wraz z nim jego nieodstępna towarzysząca, wierna przyjaciółka i wróg: żądza.

Z ciemności pod łóżkiem rozległ się głos:

– *Change?* – Kto się chce zamienić?

Rozpoczęło się czołganie i pełzanie po podłodze do nowych, niezbadanych jeszcze gniazd miłości, gdzie czekały nowe ramiona, żarłoczne usta, wilgotne łona, a w tym czasie niemieckie bombowce grały na dachach Londynu jak na kotłach.

Wreszcie zapadła cisza. Wyczołgali się spod łóżek, zaciągnęli zasłony i ułożyli się blisko siebie w nieużywanych do tej pory łóżkach.

Wygrali.



Knud Erik był świadkiem, jak „*Mary Luckenbach*” wyleciała w powietrze.

Szli w konwoju za kręgiem polarnym do Rosji, z zaopatrzeniem dla Armii Czerwonej, kiedy to się stało. Była pogoda i dobra widoczność.

Inni na mostku zamilkli na ten widok. Już wcześniej widywali trafione tankowce i płomień wysokości dwustu metrów, strzelający w powietrze. Ale czegoś takiego jak to nie widzieli nigdy.

To samo dotyczyło Knuda Erika, ale to nie strach odebrał mu mowę. Zamilkł z ulgi.

Znajdowali się pół mili morskiej za tankowcem, gdy nastąpiła eksplozja.

Heinkel był w odległości zaledwie trzystu metrów od „*Mary Luckenbach*”, gdy zrzucił torpedy. Przemieszczał się bardzo nisko nad wodą, przypominał kaczkę, kamień podskakujący na falach. Potem z rykiem przeleciał nad pokładem statku, tu zaczepił go ogień z działka. Z jednego silnika samolotu buchnęły drobne płomienie.

Torpedy trafiły w cel.

„*Mary Luckenbach*” w jednej chwili tam była, w następnej nie było nic. Zapadła cisza równie straszna co poprzedzająca ją eksplozja. Majestatycznie i powoli zaczęła wznosić się w górę czarna chmura dymu. Nie było śladu ognia. Na morzu nie unosiły się żadne szczątki wraku. Wyglądało to tak, jakby gęsty dym sam miał dość siły, by unieść w powietrze tysiące ton stali i amunicji.

Dym zatrzymał się, dopiero gdy dotarł do warstwy chmur kilka kilometrów wyżej. Powoli się rozprzestrzenił, aż przesłonił pół nieba. Czarny śnieg sadzy zaczął wolno opadać na morze i można by pomyśleć, że eksplozję wywołał wybuch wulkanu, a nie wojna, w której samym środku się znaleźli.

Nie będzie żadnych czerwonych światełek.

Tylko o tym myślał. Pół setki ludzi unicestwiono na jego oczach. Przez lornetkę widział, jak *gunner* kuli się za działkiem. Widział też ciemnoskórego chłopca z mesy, który spokojnie szedł przez pokład z tacą w rękę. Teraz obaj zniknęli, a on czuł jedynie ulgę. Oszczędzono go. Ocalał nie swe żalosne życie, którego już nie szanował, ale poszarpane sumienie.

Niemcy atakowali stadami liczącymi po trzydzieści, czterdzieści samolotów na wysokości zaledwie sześciu czy siedmiu metrów nad wodą. Czarny rój na tle szarego morza. Na skrzydłach maszyny miały zamontowane syreny i gwizdki, wydające z siebie przeraźliwe wycie, obliczone na doprowadzenie przeciwnika do szaleństwa i pozbawienie go sił. Dwudziestomilimetrowe działa na pokładzie waliły bez pi zerwy, sypiąc białymi i czerwonymi iskrami, a samoloty jeden po drugim zrzucały torpedy. Niedoświadczeni żołnierze obsługujący działa wpadali w panikę i strzelali wokół na oślep. Ich kule dziurawiły szalupy i sterówki znajdujących się w pobliżu statków.

Z dreszczem podziwiali odwagę niemieckich pilotów, którzy jak samobójcy wlatywali w zasłonę coraz intensywniejszego ognia, gdy niszczyciele z eskorty zaczęły strzelać z czterocalowych dział.

„*Wacosta*” i „*Empire Stevenson*” zostały trafione. Po nich dostały „*Macbeth*” i „*Oregonian*”.

Wszystko rozegrało się w ciągu pięciu minut. Jeden heinkel awaryjnie wylądował na wodzie w samym środku konwoju. Samolot trzymał się na powierzchni, a załoga wydostała się na skrzydło. Podnieśli ręce do góry na znak, że się poddają. Nie byli już wrogami. Bez swojej maszyny stali się tylko ludźmi, teraz bezbronnymi. Obracali się i kręcili, jak gdyby chcieli pochwycić wzrok każdego z marynarzy tłoczących się przy relingach przepływających statków. Potem pokornie spuścili głowy. Czekali na wyrok.

Padł strzał. Jeden z mężczyzn złapał się za bark i obrócił, a potem osunął się na kolana na skrzydle. Kolejny strzał go powalił. Lotnik upadł w przód, z ciałem do połowy zanurzonym w wodzie. Trzej pozostali członkowie załogi bombowca zaczęli w panice biegać po skrzydle, jakby szukali kryjówki. Jeden próbował z powrotem wpełznąć do kokpitu i trafiony w plecy upadł na skrzydło, a stamtąd stoczył się do wody. Dwaj, którzy jeszcze żyli, ukłękli, błagalnie składając ręce.

Zrozumieli, co się stało. Przemiana się nie dokonała. Nie stali się ludźmi. Wciąż byli wrogami, a dowód na to wisiał nad ich głowami w postaci czarnej chmury, która kiedyś była „*Mary Luckenbach*”. „*Oregonian*” leżał niedaleko, przewrócony na bok, powoli tonąc po tym, jak trzy torpedy trafiły go od strony sterburty. Połowa załogi miłosiernie utonęła. Resztę zabrano na pokład „*St. Kenan*”, gdzie teraz rzygali ropą; odmrozili sobie kończyny, co najpewniej miało się skończyć amputacją.

Było w tym echo tamtych nocy, podczas których załoga „*Nimbusa*” łapała fale radiowe angielskiego lotnictwa, gdy każdy pragnął mieć przed sobą Niemca, w którego mógłby opróżnić magazynek. Wreszcie mieli wroga przed oczami. Nie maszynę wojenną, tylko żywych, czujących ludzi, którym mogli wyrządzić krzywdę i na których mogli się zemścić. Nareszcie mieli szansę likwidacji tego potwornego braku równowagi, jaki panował w ich życiu.

Wtedy Knud Erik stał po drugiej stronie i pragnął zostać celem dla kuli. Teraz czuł tę samą żądzę mordu, co pozostali. Nagłą i silną.

W nim ów brak równowagi był większy niż w innych.

Widział dwóch mężczyzn klęczących na skrzydle zestrzelonego samolotu. Widział marynarzy setkami gromadzących się przy relingach przepływających obok statków, niektórych z karabinami w dłoniach. Widział gunnerów na ich stanowiskach przy działkach. Strzelali z lekkim sercem jak na strzelnicy w wesołym miasteczku latem. Pewnie czuli, że znów są mężczyznami, bo samo tylko bierne oczekiwanie i wytrzymywanie to nie jest męska rzecz. Teraz mogli się zrewanżować.

Kule siekły wodę wokół zestrzelonego samolotu. W końcu kolejny członek załogi został trafiony. Odrzuciło go w tył, jakby został zepchnięty przez jakąś potężną dłoń, która chciała zademonstrować bezsensowność jego życia i modlitw, które odmawiał, by je zachować. Strzał musiał paść z działa dużego kalibru. Mężczyzna wpadł do wody i natychmiast w niej zniknął.

Ostatni z załogi się skulił. Złożone ręce oderwały się od siebie i ułożyły na udach. Górna połowa ciała pochyliła się w przód. Odsłonił kark, jakby czekał na strzał łaski.

Zapadła cisza. Mężczyźni opuścili karabiny. Chwila nabrała uroczystego charakteru, jak gdyby wstrzymali oddech przed dokonaniem egzekucji. Powoli zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, co zrobili. Ich żądza krwi się nasyciła, zanim wróg został unicestwiony.

Knud Erik odepchnął gunnera na bok. Sam nie był dobrym strzelcem. Wypluwane przez działko kule ciągnęły za sobą po wodzie długi warkocz piany, zanim wreszcie odnalazły skrzydło samolotu. W końcu trafiły w cel.

Zabił człowieka i wszystko w nim się zapadło. Zaszlochał i osunął się na działko, nie zważając na metal parzący dłonie.



Minęli od północy Wyspę Niedźwiedzią na siedemdziesiątym czwartym stopniu szerokości geograficznej, gdy nadszedł rozkaz z admiralicji brytyjskiej: „rozproszyć się”. Knud Erik z konferencji w Hvalfjörður na Islandii, porcie będącym punktem wyjścia, i ze wszystkich innych konwojów, w jakich pływał, wiedział, że ten rozkaz oznacza wyłącznie wyrok śmierci. Podczas rejsu w konwoju obowiązywało wiele reguł, ale jedna była stanowczo nadrzędna: trzymać się razem. Jedyne tak zdolacie przetrwać. Osobno jesteście skazani na zagładę. Bez eskorty stanowicie łatwą zdobycz dla U-Bootów, nie będziecie mieć nikogo, kto by was podjął z wody, jeśli wasz statek zatoni.

Jakże często załoga „*Nimbusa*” słyszała tę informację, przekazywaną przez megafon z przepływającego obok niszczyciela, gdy pomimo wysiłków Antona w maszynowni zostawali z tyłu. *Stragglers will be sunk*. Zrozumieli, że to nie ostrzeżenie, lecz wyrok, pożegnanie, któremu nie towarzyszyło zwykle pocieszające zapewnienie, że kiedyś znów się spotkamy.

Wiedzieli jedno: ładunek ma dotrzeć w miejsce przeznaczenia, a czołgi, pojazdy i amunicja wypełniające ich ładownie długą, okrężną drogą trafią na inne odległe fronty, gdzie próba sił między Niemcami i Rosjanami zdecyduje o wyniku wojny, a koniec końców – również o ich losie. Wiedzieli o tym, lecz nie mieli żadnej pewności, czy w istocie tak jest. Widzieli tylko morze, atakujące junkersy i heinkle, wstęgi torped, eksplodujące i tonące statki, ludzi, którzy w zamarzającej lodowatej wodzie walczyli o życie.

Ich wkład w tę wojnę był ważny. Musieli w to wierzyć. Ale gdy otrzymali rozkaz porzucenia swojego miejsca w konwoju i samodzielnego przedarcia się do Mołotowska, zrozumieli, że to była jedynie wiara. I teraz ją stracili. Zastąpiły ją domysły na temat przyczyn brzemiennego w skutki rozkazu i jak zawsze, gdy sytuacja jest niepewna, a presja duża, urywki informacji zaczynały łączyć się w podejrzenia. Rozeszła się plotka, towarzysząca zresztą każdemu konwojowi, jaki pływał do Rosji – a plotka towarzyszyła konwojom tak samo nieodłącznie, jak dym towarzyszy kominowi, kilwater śrubie, a torpeda drogocennemu ładunkowi – że oto byli jedynie przynętą.

W jednym z norweskich fiordów czaił się niemiecki okręt wojenny, gigantyczny „*Tirpitz*”. Był to największy pancernik pod słońcem, zagrożenie dla wszystkiego, co poruszało się po północnym Atlantyku, symbol hitlerowskiego marzenia o panowaniu nad światem. I może w istocie pancernik miał największą wartość jako symbol, rzadko bowiem wynurzał się ze swojej kryjówki wśród bezpiecznych zboczy fiordu, by zadać cios. Na ogół pozostawał jak wilk Fenrir na łańcuchu i groził Ragnarokiem, który jednak nie nadciągał. Ale teraz nie mieli wątpliwości, że to wreszcie nastąpi. Fenrir zerwie się z łańcucha, zwabiony przynętą, którą byli oni.

Drogo okupione doświadczenie, które naznaczyło ich twarze bruzdami i niezliczonymi bolesnymi odmrożeniami, mówiło im, że gdy trzydzieści sześć statków konwoju otrzymało rozkaz rozproszenia się i samodzielnego przedzierania się do Murmańska i portów na Morzu Białym, Mołotowska i Archangielska, Niemcy nie będą potrzebowali gigantycznej siły ognia z dział „*Tirpitz*” o kalibrze 380 mm, by zniszczyć to, co niegdyś było konwojem. Mogły się tym spokojnie zająć U-Booty. Trzydzieści sześć statków miało płynąć dalej bez osłony brytyjskich niszczycieli i korwet, eskortujących je do tej pory. Stali się bezbronni.

Ale na tym nie koniec. Zostali zwabieni w zasadzkę przez własnych obrońców.

Z goryczą uświadomili sobie, że nic nie znaczą. Można było spisać ich na straty.

Ale czy to samo dotyczyło ładunku? W Hvalfjörður powiedziano im, że trzydzieści sześć statków płynących w konwoju przewozi łącznie 297 samolotów, 594 czołgi, 4246 pojazdów wojskowych oraz 150000 ton amunicji i materiałów wybuchowych do Rosji. Czyżby to wszystko zamierzano poświęcić tylko po to, by oficerowie floty brytyjskiej mogli się chwalić, że posłali „*Tirpitz*” na dno?

Nie mogli tego zrozumieć. Nie rozumieli nic z wojny, oprócz tego, że jeśli chcą przeżyć, mogą liczyć wyłącznie na siebie. Nie pozwolono im nawet zachować resztek żołnierskiego honoru, przekonania, że ofiara ma mimo wszystko jakiś sens. Gdyby zatonieli, zniknęliby, nie pozostawiając po sobie śladu, jakby nigdy ich tam w ogóle nie było.

Pojawił się w nich bunt. Nie buntowali się przeciwko wrogowi, lecz przeciw przyjacielowi i wrogowi, jakby nie mieli już siły ich od siebie odróżnić.

•

Knudowi Erikowi ten rozkaz przyniósł ulgę. Nie musiał już martwić się o tonących. Teraz liczył się tylko on i jego własna załoga. Wreszcie mógł poddać się cynizmowi, który zawsze się pojawia, gdy kryzys sumienia trwa dostatecznie długo. Byli sami na środku morza, i on tego właśnie pragnął. Zostać samemu, bez czerwonych światełek.

Zmienił kurs i skierował się na północ ku Wyspie Nadziei, na tyle blisko granicy lodu stałego, na ile wystarczyło mu odwagi. Cały świat spowijała gęsta, mroźna mgła. Kazał ludziom przemalować statek na biało. Przez parę dni stali w miejscu. Wygasili kotły, żeby nie zdradził ich dym z komina. Pak lodowy szorował o burtę. Stalowe płyty ugiwały się z groźnym trzaskiem, który momentami przechodził w dyszkant przypominający krzyk. „*Nimbus*” był szczęśliwym statkiem, lecz teraz kadłub pod naciskiem lodu ostrzegał, że owo szczęście może mieć swój kres.

Knud Erik myślał o „*Kristinie*”, która kiedyś uwięzła w lodzie. Drewno tamtego wielkiego statku było w inny sposób uległe, nie zamierzało udowodniać swojej siły tak jak stal. Pozwalało, by lód się nim bawił, a napór groźący zmiążdżeniem statku wyniósł go w górę.

Knud Erik ignorował krzyczącą stal. Lepszy lód niż okręty podwodne. Tak jakby marzył o tym, by „*Nimbus*” pozostawał w okowach lodu dopóty, dopóki cały świat nie rozmarznie i broń nie zostanie złożona. Przez całe swoje marynarskie życie walczył z morzem. Teraz szukał niebezpiecznego lodu, widząc w nim przyjaciela.

•

Włączył radio i pozwolił załodze zgromadzić się wokół odbiornika, jak wtedy, gdy wsłuchiwali się w dźwięki na częstotliwościach brytyjskiego lotnictwa. Z eteru dobiegały wyłącznie wezwania pomocy, jedno SOS za drugim, a każde z tych wezwań było zarazem nekrologiem. Atak od śmierci statku dzieliły jedynie minuty. Nikt nie przypływał z pomocą. Szli osobno przez lodowate morze. „*Carlton*”, „*Daniel Morgan*”, „*Honomu*”, „*Washington*”, „*Paulus Potter*”. Naliczyli dwadzieścia statków. Nie było żadnej kryjówki, nawet tu, w mroźnej mgle na końcu świata.

Wreszcie ruszyli wzdłuż granicy lodu stałego na wschód. Wciąż trzymali się na północ od siedemdziesiątego piątego stopnia szerokości geograficznej, dopóki nie osiągnęli Nowej Ziemi, i wtedy odbili na południe w stronę Morza Białego. Na środku otwartej wody napotkali cztery szalupy. To byli rozbitkowie z „*Washingtona*” i „*Paulusa Pottera*”. Oba statki zatopiła eskadra junkersów 88, które krążyły nad nimi, gdy wsiadali do szalup, a ich załogi wesoło machały, podczas gdy operator kręcił wszystko dla niemieckiej kroniki filmowej. Nie odpowiedzieli na to machanie.

Kapitan Richter z „*Washingtona*” wszedł na pokład i poprosił o pokazanie mu mapy morskiej. Przez pewien czas pochylał się nad stołem z mapą i-w końcu spytał, czy mogliby im dać jakiś kompas.

Jego ludzie wciąż siedzieli w szalupach.

– Na co wam kompas? – spytał Knud Erik. – Weźmiemy was na pokład.

Richter pokręcił głową.

– Wolimy dalej płynąć sami.

– W otwartej łodzi? Do najbliższego wybrzeża jest czterysta mil morskich.

– Chcielibyśmy dotrzeć tam żywi – odparł Richter, patrząc na niego ze spokojem.

Knud Erik przez chwilę myślał, że kapitan wciąż jest w stanie szoku po wybuchu.

– To znaczy – zaczął tłumaczyć takim tonem, jakby chciał do czegoś przekonać uparte dziecko – koi dla was nie mamy, ale ciepłe miejsce do spania się znajdzie. Prowiantu nam wystarczy, a przy tej pogodzie robimy dziewięć węzłów na godzinę. Za parę dni dotrzemy na miejsce.

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co się stało z resztą konwoju? – spytał Richter tym samym spokojnym tonem.

Knud Erik kiwnął głową.

– Szalupa to najbezpieczniejsze miejsce. Niemcy nie marnują amunicji na ludzi w szalupach. Im chodzi o statki. Was też dopadną. Dziękuję za propozycję, ale wolimy radzić sobie sami.

Richter zszedł po trapie z kompasem. Jego ludzie siedzieli w łodziach, zabijając ręce z zimna. Gdyby zerwał się wiatr, obryzgałaby ich woda, spowijając pancierzem z lodu.

A jednak woleli szalupę.

Zaczęli wiosłować, a Knud Erik nakazał całą naprzód. Stał na mostku i długo patrzył na znikające szalupy.



Dzień później na horyzoncie pojawił się samotny junkers i wziął kurs prosto na nich. Jego działka zaczęły warczeć już z daleka, a gunnerzy na mostku odpowiedzieli. Sterówka dostała kilka razy, ale żaden z ludzi na mostku nie został ranny. Potem junkers zrzucił bombę. Samolot leciał tak blisko, że niemal zderzył się z masztem. Bomba wybuchła w wodzie, blisko sterburty. Nie na tyle blisko, by zniszczyć poszycie, lecz dostatecznie, by detonacja uniosła „*Nimbusa*” z wody do połowy i kazała mu opaść z taką gwałtownością, że w maszynowni pękła jedna z rur doprowadzających parę i maszyny stanęły. Statek nie mógł wykonywać manewrów.

Junkers zawrócił i znów nadleciał z wizgiem. Działka strzelały pełną parą. Jeszcze raz pocisk przebił sterówkę, wszyscy padli na podłogę. Tylko *gunner* na skrzydle mostka jeszcze stał. Czekali na eksplozję, będącą sygnałem, że „*Nimbus*” otrzymał śmiertelny cios. Statek przewoził brytyjskie czołgi Valentine, ciężarówki i trotyl. Gdyby zostali trafieni, nie byłoby czasu na zejście do szalup. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Dalej, do diabła! – Knud Erik usłyszał własne przekleństwo.

Na zewnątrz *gunner* ciągle strzelał, jakby dostał skurczu dłoni. W tle warkotu działa usłyszeli, że ryk samolotu cichnie. Czyżby pilot naprawdę postanowił ich oszczędzić? Dalej leżeli na podłodze, nie mogąc uwierzyć, że niebezpieczeństwo minęło. Za moment hałas silników znów zacznie narastać, a potem nastąpi koniec. W końcu zapadła kompletna cisza. Uświadomili sobie, że działko na skrzydle mostka ucichło.

– Już po wszystkim – powiedział *gunner*.

Trzęśli się jeszcze, gdy wstawali na nogi.

Junkers zmienił się w kropkę na horyzoncie.

Najwyraźniej pilot, gdy ich dojrzał, wracał z wyprawy do domu. Została mu tylko jedna bomba i zaryzykował.

„Nimbus” kolejny raz udowodnił, że jest szczęśliwym statkiem.



Kochany Knudzie Eriku!

Wdepnij mężczyznę w błoto, a potem przypatrz się, co robi pod twoim butem. Czy usiłuje się wydostać, czy krzykiem reaguje na niesprawiedliwość, która go spotkała? Nie, leży tam, dumny ze wszystkich kopnięć, które potrafi znieść. Jego męskość polega na głupiej wytrzymałości.

A co robi mężczyzna przytrzymywany pod wodą? Czy walczy, by się z niej wynurzyć?

Nie, jego duma polega na umiejętności wstrzymywania powietrza.

Pozwalaliście, żeby fale was zalewały. Widzieliście, jak pęka nadburcie, jak maszty lecą do wody, a statek ostatecznie nurkuje, aby już nigdy nie wyłonić się na powierzchnię. Wstrzymywaliście powietrze przez dziesięć lat, przez dwadzieścia, przez sto. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku mieliście 340 statków, w 1925 roku zostało wam ich 120, dziesięć lat później połowa. Gdzie się podziały? „Uranus”, „Jaskółka”, „Bystra”, „Turzyca”, „Korona”, „Laura”, „Naprzód”, „Saturn”, „Ami”, „Dania”, „Eliezer”, „Ane Marie”, „Felix”, „Gertrud”, „Przemysław” i „Harriet”? Zagięły bez śladu, zgniecione przez lód, zderzyły się z trawlerami i parowcami, zatonięły, rozbiły się, roztrzaskały koło Sando, Bonavista, w Zatoce Waterville, Suns Rock.

Czy wiesz, że co czwarty statek pływający do Nowej Fundlandii nigdy nie wrócił z rejsu?

Czego było trzeba, by was powstrzymać? Spadających cen frachtu? Ale ceny frachtu stałe spadały. W ciągu dziesięciu lat zmniejszyły się o połowę. Dostawaliście więc po prostu mniejszą gaźę, wyżywienie jeszcze gorsze niż wcześniej i zaciskaliście zęby. Ćwiczyliście wstrzymywanie oddechu pod wodą.

Pływaliście tam, gdzie nikt inny nie śmiał ani nie chciał. Byliście ostatni.

Nie mieliście już na pokładzie chronometrów, bo nie stać was było na nie. Nie potrafiliście określić długości geograficznej, a gdy mijał was parowiec, musieliście wciągać flagę sygnałową i pytać: „Gdzie jestem?”

No właśnie, gdzie byliście?

Twoja zrozpaczona matka

•

Wally zauważył to pierwszy.

Stali na mostku, obserwując wyładunek, gdy nagle zwrócił się do innych:

– Czy wy w ogóle widzicie, co to za cudowne miejsce? – spytał z zachwytem w głosie.

Drżąc z zimna w budrysówkach, znów spojrzeli na Mołotowsk. W porcie stały na pół zatopione, pół zniszczone statki. Przy kei leżały wielkie kupy gruzu, będące niegdyś magazynami. Nieco dalej wśród lekko pofałdowanego krajobrazu wznosiły się przypominające baraki budynki, niektóre poczerniałe od sadzy i nakryte brezentem. Był środek lata, lecz chociaż słońce wisiało na niebie przez całą dobę, niezbyt mocno grzało. Niegasnące światło budziło w nich raczej uczucie, że ktoś odciął im powieki, że znaleźli się w świecie, w którym zlikwidowano sen. Głowy spowiła im szara wehniście, czająca się ospałość biła z szarych skał i ze świadomości, że znajdują się piekielnie daleko od wszelkiej normalnej cywilizacji.

– Przynieście kaftan bezpieczeństwa – powiedział Anton ze złością.
– Chłopak zwariował. Wydaje mu się, że jest w Nowym Jorku.

– Tutaj jest lepiej niż w Nowym Jorku. A jeśli nasz pierwszy mechanik oślepl tam na dole jak kret, to wcale nie znaczy, że wy też musicie być ślepi.

W końcu to spostrzegli, a później nie mogli zrozumieć, dlaczego nie rzuciło im się to w oczy od razu, gdy tylko przyплыnęli do Mołotowska.

Na kei nie było żadnego mężczyzny. To kobiety zabrały się do wyładunku i zakładały talie na skrzynie z amunicją w ładowni. To kobiety z pistoletami maszynowymi w rękach patrolowały keję, na której wychudzeni, cienko ubrani niemieccy jeńcy na pakach oczekujących ciężarówek szykowali skrzynie do dalszego transportu. To kobiety siedziały za kierownicą i czekały na ładunek, który przewiozą dalej na front.

– Spójrzcie na tę dupę – powiedział Helge, wskazując palcem.

Wiele do oglądania nie było. Kobiety nosiły wojłokowe walonki i wielkie, luźne kombinezony, ukrywające ich kształty. Mogli co najwyżej domyślać się obfitości okutanych ciał. Zgadywali, czy są chude, grube, wysokie, niskie. Niektóre były młode, większość wyglądała na po trzydziestce, lecz ich wieku nie dawało się określić. Miały szerokie twarze i szarą, niezdrową cerę. Włosy chowały pod kaszkietami lub czapkami, jedynie niektóre nosiły chustki.

Minęły już trzy miesiące, odkąd mężczyźni na przepustce mogli zejść na ład, więc widok kobiet w ładowni i na pokładzie wystarczył, by obudzić najważniejszy składnik pożądania: wyobraźnię. Zaczęli gadać o swoich ulubionych częściach kobiecej anatomii, oczami rozbierając kobiety z ich uniformów i grubej, brudnej odzieży roboczej, w szalonej nadziei, że jak w szaroburej poczwarcie kryje się motyl, tak w każdej z nich kryje się *pin-up girl*.

Knud Erik wystroił się w mundur kapitański, którego w zasadzie nigdy nie wkładał. Było powszechnie wiadomo, że komuniści liczą się wyłącznie z mundurem, dlatego mądrze i dyplomatycznie było wyglądać jak najbardziej oficjalnie, jeśli chciało się cokolwiek uzyskać w negocjacjach z władzą radziecką. Zauważył żołnierkę, która nie odrywała od niego oczu. Pomyślał, że to mundur tak działa. Napotkał jej wzrok i wytrzymał. Była szczupła, popielate jasne włosy miała ciasno spięte na karku i mogła być mniej więcej w jego wieku, choć to trudno było określić. Nie wiedział, dlaczego odpowiada na jej spojrzenie. Nie potrafił zapanować nad tym odruchem, chociaż zdawał sobie sprawę, że mogło to zostać odczytane jako prowokacja. Kobieta nie spuściła wzroku, tylko dalej się w niego wpatrywała. To była próba sił. Nie potrafił wytłumaczyć sobie tego inaczej, chociaż nie miał pojęcia, jaki jest jej cel.

Z zapatrzenia wyrwał go głośny hałas. Skrzynia z amunicją wysunęła się z talii i rozbiła na kei. Niemiecki jeniec natychmiast zaczął w niej grzebać, zapewne sądził, że w środku znajduje się coś jadalnego, i szukał czegoś, co pozwoliłoby mu zaspokoić głód. Dwie robotnice złapały go i odciągnęły na bok. Przez moment walczył, próbując się wyrwać, ale w końcu zrezygnował i nie stawiając już oporu, pozwolił się zaciągnąć dalej. Rozładunek został wstrzymany.

Kobieta żołnierz, która moment wcześniej wpatrywała się w Knuda Erika, wydała krótki rozkaz i robotnice puściły jeńca. Podeszła do niego, odbezpieczyła pistolet maszynowy, który nosiła przewieszony na rzemieniu przez ramię, i strzeliła z bliska. Przez moment stała, patrząc w dół, jak gdyby chciała się upewnić, czy życie całkiem uszło z chudego ciała, które leżało rozciągnięte przed nią. Potem podniosła wzrok i znów spojrzała na Knuda Erika. Tym razem nie miał wątpliwości, co się kryło w jej spojrzeniu. Rzucała mu wyzwanie.

•

W ciągu dnia zawsze był trzeźwy. Gdy wieczorami siedział sam w swojej kajucie, a jego mózg powoli tracił jasność od whisky, która stała przed nim w butelce, nie miał wątpliwości, z kim się zetknął. To był anioł śmierci. Przyszła po niego. A ów idiotyczny pomysł, któremu nie potrafił się oprzeć, w ohydny sposób obudził w nim pożądanie i po raz pierwszy od nocnych bombardowań w Londynie poczuł erekcję.

•

Miasto znajdowało się parę kilometrów od portu. Składały się na nie wyłącznie drewniane domy skupione wokół rynku. Kilkaset metrów dalej zaczynało się pustkowia, a ulice odchodzące niczym szprychy koła od głównego placu prowadziły donikąd.

Był tam International Club, do którego chodzili wieczorami. Na wstępie witał ich marnie wypchany chudy z wyglądu niedźwiedź, stojący na tylnych łapach z rozdziawionym pyskiem i odsłoniętym rzędem poźółkłych zębów. Kły były złamane albo wybite celowo, jakby ktoś obawiał się, że niedźwiedź nagle ożyje i ruszy do ataku na gości klubu.

Za stolikiem w rogu siedział łysy mężczyzna ubrany w białą koszulę, od której odcinały się czerwone szelki. Przed nim stała kasetka z pieniędzmi. Obok leżała inwalidzka kula. Na scenie zbitej z nieheblowanych desek siedział na krześle harmonista, również on nie był w stanie poruszać się bez kuli. Obaj mieli około pięćdziesiątki, a do piersi przypięte mnóstwo medali. Byli jedynymi mężczyznami, jakich załoga „*Nimbusa*” kiedykolwiek zobaczyła w klubie.

Wiedzieli już, jakie straty poniósł konwój. Z trzydziestu sześciu statków dopłynąć zdołało dwanaście. Większość zawinęła do Murmańska lub Archangielska. „*Nimbus*” jako jedyny z konwoju trafił do Mołotowska, a to oznaczało, że w mieście zamieszkanym przez kobiety nie mieli konkurencji. Widywali innych mężczyzn na ulicach, lecz tamci, podobnie jak kasjer i muzyk w klubie, byli kalekami albo siwymi starcami.

Dzieci spotykali niewiele. Przychodziły do nich żebrać o papierosy albo czekoladę. Ich dziwnie poważne buzie rozjaśniały się w przymilnym uśmiechu.

– Fuck you, Jack – powtarzały.

Takiego pozdrowienia nauczyły się od angielskich marynarzy.

– *Fuck you, Jack* – odpowiadał Wally, dając im papierosa.

Piwo w klubie śmierdziało cebulą, woleli więc raczej rosyjską wódkę, mocną jak płyn do mycia okien. Z czerwonych pluszowych kanap, które wraz ze stołami bez obrusa stanowiły umeblowanie klubu, podnosiła się chmura kurzu za każdym razem, gdy na nich siadali. Również podłoga była brudna. Anton twierdził, że gdy kobiety już raz poczują pistolet maszynowy w ręku, to nie chce im się więcej sięgać po szczotkę do szorowania podłogi.

Załoga „*Nimbusa*” siedziała w jednym końcu klubu, kobiety trzymały się drugiego. Zdjęły robocze ubrania i przebrały się w sukienki przypominające przerobione kitle. Upięły włosy, lecz ich szerokie twarze w kształcie serca były równie bezbarwne jak w świetle dnia. Szminki nie używały.

Chodziła plotka, że wszystkie są szpiegami i przestają z cudzoziemskimi marynarzami wyłącznie po to, by wydobyć od nich tajemnice. Ale przez to stawały się jeszcze bardziej interesujące, a poza tym załoga „*Nimbusa*” nie miała żadnych tajemnic.

– Niech tylko przyjdą – zapowiedział Wally. – Chętnie dam się szpiegować.

Przeszedł przez parkiet w stronę pań i wyjął z kieszeni szminkę. Popatrzyły na niego rozpromienionymi oczami, rozległ się chichot. Wally podał szminkę ubranej w bladoniebieską sukienkę potężnej blondynie, która natychmiast zaczęła malować usta najbliższej siedzącej kobiecie. Szminka zrobiła rundę i czerwone usta zwróciły się ku niemu we wspólnym uśmiechu. Wally nastawił wargi do pocałunku, a wśród kobiet przeszła kolejna fala chichotu.

Wszedł na scenę, na której harmonista nie rozpoczął jeszcze wieczornego występu, i podsunął mu kilka papierosów. Muzyk wcisnął je za ucho i zabrał się do roboty. Z harmonii wydobył się rzewny jęk, gdy wycisnął z niej powietrze. Zaraz potem pojawił się ciężki dudniący rytm.

Wally wrócił do kobiet i uklonił się przed jedną. Poderwała się zaskakująco eleganckim ruchem i pociągnęła go na środek parkietu. Tam położyła mu rękę na ramieniu. Odpowiedział objęciem jej obfitej tali. Była od niego starsza i bez wahania poprowadziła go w nieznanym mu dotąd tańcu. Kiedy muzyka się skończyła, dygnęła i wróciła na swoje miejsce.

– No, cholera, niewiele ci z tego przyszło.

To Anton się odezwał. Wally odwrócił się do niego.

– To dopiero wstępne negocjacje. Najpierw pokazuję próbkę mojego asortymentu. Muszę im dać czas do namysłu.

– Niewielkie musisz mieć mniemanie o sobie, skoro tak chcesz je kupować. – Helge spojrzał na niego drwiąco, ale inni zaprotestowali.

– Skończ z tym obłudnym chrzaniem! – włączył się Absalon. – Przecież od czasu do czasu wszyscy tak robimy. Sam nie miałbyś szans z tą kartoflowatą gębą, gdybyś nie zostawił paru banknotów na komodzie.

Wybuchnęli śmiechem.

– One są takie jak my – powiedział Wally. W jego głosie pobrzmiwała niezwykła tkliwość. – Są w potrzebie. My też. Z całą pewnością moglibyśmy mieć komunistyczną cipkę za darmo. Ale nie zaszkodzi trochę się przed nimi popisać. Szczerze mówiąc, raczej mi się nie wydaje, żeby wcześniej było im za wesoło.

Knud Erik nie brał udziału w tej rozmowie. Siedział osobno i badał wzrokiem kobiety skupione w drugim końcu sali. Czy był wśród nich jego anioł śmierci? Nie miał pewności, czy zdoła ją rozpoznać bez munduru. To zaskakujący widok pistoletu maszynowego w dłoniach kobiety przykuł jego uwagę. Wtedy patrzyli sobie w oczy, a teraz czuł się dziwnie pewny, że jeśli była tu tego wieczoru, to znów spróbuje pochwycić jego spojrzenie. Nie musiał jej szukać, sama go znajdzie.

A jednak dalej po kolei przyglądał się tym twarzom. Większość była obrzmiała i zniszczona. Miały w sobie bezkresne zmęczenie, bliskie rezygnacji, które wzbudziło w nim czułość. Nie szukał jednak człowieka i jego problemów, tylko ostatecznego zapomnienia.

Przychodzili tam przez trzy wieczory, a on nie czuł tego niepokoju, który zwykle wywołuje czyjeś spojrzenie. Inne patrzyły na niego. Zjawiał się w mundurze, by łatwiej jej było go rozpoznać, ale złote paski na rękawie i czapka kapitańska przyciągały również wzrok kobiet innych niż ta, której szukał. Dziewczyna w sukience zielonej niemal tak jak jej oczy uparcie się w niego wpatrywała. Odwracał głowę, nie reagując na nieskrywane zainteresowanie.

Rozpoczęły się tańce. Mężczyźni i kobiety siadali przy tych samych stolikach. Bariera między Rosjankami a cudzoziemskimi marynarzami pękła. Wally, doświadczony chłopak – mężczyzna z wielkim apetytem na kobiety – zawsze znajdował się w centrum uwagi.

Knud Erik zostawał na czerwonej pluszowej kanapie i nie wychodził na parkiet.



Tego samego wieczoru Mołotowsk zaatakowano z powietrza. Niemieckie junkersy celowały w urządzenia portowe. Północne słońce żarzyło się na horyzoncie, gdy rozległ się alarm przeciwlotniczy. „*Nimbus*” był jedynym statkiem w porcie, a przez to oczywistym celem. W większości prawie całkiem pijani wyskoczyli na keję i zdezorientowani zaczęli biegać w kółko. W okolicy nie było żadnego schronu, a pierwsze bomby już spadały. Działa obrony przeciwlotniczej rozstawione w porcie odpowiadały z wściekłością. Również je obsługiwały kobiety.

Nieco dalej dostrzegli wielkie betonowe rury, które mogły im zapewnić jakąś ochronę przed bombami, dostatecznie duże, by dało się w nich stanąć. Bomba trafiła w jeden z już zrujnowanych magazynów. Nieco dalej eksplodowała ciężarówka. Rozległy się mocne uderzenia w cementową rurę, a oni zadrżeli. To amunicja dużego kalibru z dział przeciwlotniczych, nie trafiwszy w cel, spadała na ziemię jak ciężki deszcz metalu. Potem usłyszeli wizg wirującego junkersa, po czym nastąpił głuchy huk. Mogła to być bomba, lecz również samolot, który został trafiony i uderzył w ziemię.

Działa przeciwlotnicze nie ustawały. W świetle płonącej ciężarówki zobaczyli rozwiniętą czaszę, opadającą ku ziemi ze zwisającym bezwładnie na linkach lotnikiem. Spadochron dotarł do ziemi i złożył się nad człowiekiem. Nikt się spod niego nie wydostał, pod cienkim materiałem nic się nie poruszyło.

Gdy chwilę później alarm odwołano, „*Nimbus*” wciąż stał w porcie, chyba nie został trafiony. Ale krater na kei świadczył o tym, że niewiele brakowało.

Nagły odruch kazał Knudowi Erikowi podejść do spadochronu. Przyłączył się do niego Anton. Uniósł materiał i ciągnął, dopóki nie ukazała się twarz pilota. Niebieskie oczy miał szeroko otwarte, a usta uchylone, jakby własna śmierć go zaskoczyła. Leżał w ciemnoczerwonej kałuży wnętrzości. Dolna część ciała i nogi wykręczone były pod jakimś dziwnym kątem w stosunku do tułowia. Spozrzegli, że został niemal rozerwany na pół. Nie mógł odnieść tych ran, gdy pocisk trafił w samolot, bo wtedy nie byłby w stanie opuścić kokpitu. To kobiety obsługujące działa przeciwlotnicze musiały w niego wcelować, gdy na spadochronie opadał ku ziemi, a potężne pociski przeznaczone do strącenia samolotu poszarpały mu ciało. Krew przesączała się przez materiał spadochronu, znacząc go ciemnymi plamami. Gdy lądował, krew płynęła z jego odkrytych trzewi.

Widząc to, jakby się w sobie zacięli.

– To na nic, kapitanie – stwierdził w końcu Anton.

Knud Erik podniósł głowę. Anton nigdy nie nazywał go kapitanem. Mimo wszystko poczuł się tak, jakby po raz pierwszy od miesiący zwrócił się do niego człowiek.

– O co ci chodzi?

– Wiem, o czym myślisz. Na nic się nie zdadzą próby doszukiwania się sensu w tym, z czym stykasz się podczas tej wojny. Bezsensowne jest też obwinianie siebie. Pomaga jedynie zapomnienie. Zapomnij o tym, co sam zrobiłeś, i o tym, co zrobili inni. Jeśli chcesz żyć, to zapomnij.

– Nie mogę.

– Będziesz musiał. Wszyscy czujemy to samo. I rozmowa o tym nie pomaga. Tylko pogarsza sprawę. Pewnego dnia ta wojna się skończy. Znowu będziesz tym, kim kiedyś byłeś.

– Właśnie w to nie wierzę.

– Musimy w to wierzyć – powiedział Anton. – Bo inaczej nie wiem, co się z nami stanie.

Położył dłoń na ramieniu Knuda Erika i lekko nim potrząsnął.

– Chodźmy, kapitanie. Najwyższa pora spać.

•

Zobaczył ją dzień później. Stała na kei w mundurze, z pistoletem maszynowym przewieszonym przez ramię. Znow poczuł na sobie jej spojrzenie, zanim podniósł głowę i ją dostrzegł. Istniało między nimi jakieś tajemne połączenie, coś w rodzaju obopólnego wyczulenia na swoją wzajemną obecność. To ono stworzyło więzy, z których nie zdawał sobie sprawy. Spojrzeniom tej kobiety nigdy nie towarzyszył uśmiech ani skinienie głową, dające szansę na odgadnięcie jej zamiarów. On również się wstrzymywał przed jakimkolwiek gestem. Tylko ich spojrzenia się poszukiwały, a on w jej zastygłej, niedostępnej twarzy żołnierki nie znalazł żadnego znaku przemawiającego za tym, że tu chodzi o coś innego niż o próbę sił. W jej wyniku któreś w końcu musiało uklęknąć przed tym drugim, by w ten sposób okazać, że się poddaje.

Przyszła mu do głowy przerażająca myśl, że ona znow zastrzeli jakiegoś niemieckiego jeńca pracującego w porcie i że to się stanie za jego przyczyną, jak gdyby martwe ciało miało być kolejnym ogniwem tajemnej więzi między nimi, która z każdym dniem stawała się coraz silniejsza. Ku jego uldze nic takiego się nie zdarzyło.

Wyładunek szedł bardzo powoli, przewidywali więc, że upłyną miesiące, zanim będą gotowi do wyjścia w morze. Większość członków załogi miała już przyjaciółki. Wszystkie kobiety występowały z czerwonymi ustami, wiele umalowało też oczy. Otwarcie trzymano się za ręce podczas przerw w tańcach.

Minęło jeszcze siedem dni, zanim pojawiła się w klubie.

Rozczarował się na jej widok. Jak zwykle spojrzenie kobiety wywołało dreszcz niepokoju na karku. Bez tego by jej nie rozpoznał. Burzę popielatych jasnych włosów zaczesła na bok, ciężko opadały na czoło. Uśmieknęła usta na czerwono jak inne i nie odrywała od niego wzroku. Siedziała przy stoliku sama, a pozostałe kobiety zdawały się zachowywać do niej dystans. On zaraz wstał i podszedł, żeby poprosić ją do tańca. Przyglądali mu się wszyscy, i mężczyźni, i kobiety. Kapitan „*Nimbusa*” po raz pierwszy ruszył na parkiet.

Była ubrana w białą, świeżo wyprasowaną koszulę. Cerę miała bladą, oczy i włosy niemal bezbarwne. Zmarszczki wokół ust świadczyły o tym, że już dawno przekroczyła trzydziestkę. Życie pozostawiło na niej swoje ślady, ale wciąż pozostawała pociągająca.

To nie jej wygląd go rozczarował. Zdjęła mundur i odłożyła na bok pistolet. Stała się kobietą jak wszystkie inne. Przestała już być jego aniołem śmierci. Nagle zrozumiał, że się pomylił. Patrzyła na niego tak, jak kobieta patrzy na mężczyznę. W jej spojrzeniu nie kryło się nic innego. Ale on pozostawał pod takim wpływem wszelkiego zniszczenia, które widział wokół siebie i w którym również sam uczestniczył, że jego normalne reakcje zamarły. Szukał wyłącznie zapomnienia, tak głębokiego, że nie dało się go odróżnić od pragnienia zagłady.

Objął ją, a ona się do niego przycisnęła. Była dobrą tancerką, długo zostali na parkiecie. Nie odrywała od niego oczu. Dostrzegł w jej spojrzeniu tęsknotę. Szukała tego, kim on – jak czuł – już nie był: człowieka. Pragnęła jego czułości, jego pieśczoć. Ale on nie miał nikomu do ofiarowania niczego innego niż brutalny, intensywny popęd, poszukujący wyłącznie zaspokojenia.

Jak mogła mieć nadzieję, ona, która na jego oczach zastrzeliła bezbronnego człowieka i stanowiła element otaczającej go grozy? Jak mogła mieć w sobie czułość, miłość i tęsknotę? Czy widziała w nim coś, czego sam nie dostrzegał? Sądziła, że znajdzie w nim ocalenie, że jedna noc zwróci jej to, co utraciła na zawsze, zabijając drugiego człowieka?

Skąd brał się ten optymizm?

A może była na tyle zwyrodniała, że potrafiła żyć w dwóch oddzielnych światach naraz, w świecie mordów i miłości? On tego nie potrafił. Wiedział to na pewno. Ale ciało zareagowało, gdy się do niego przycisnęła, jakby jakaś jego część wciąż miała nadzieję, którą – jak sądził – już utracił.

Kilka godzin później wyszli z klubu razem. Nie rozmawiali ze sobą. W przeciwieństwie do innych, Knud Erik nie zadał sobie trudu nauczenia się bodaj kilku słów, które mogły choć trochę rozładować atmosferę. „Tak”, „nie”, „dziękuję”, „dzień dobry”, „dobranoc”, „do zobaczenia”, „ty piękna”, „my kochać się”, „ja nigdy nie zapomnieć”. Próbowala się z nim porozumieć za pomocą paru słów, ale on za każdym razem przecząco kręcił głową.

Na zewnątrz wciąż było jasno, żarzyło się umierające, a mimo to mocne światło, które wypełnia letnie noce na północ od kręgu polarnego. Oparła mu głowę na ramieniu. Nic o niej nie wiedział, znał tylko jej imię, choć właściwie wolałby pominąć tę elementarną wiedzę. Miała na imię Irina. Zastanawiał się, czy to odpowiednik duńskiego Irene. Nigdy nie spotkał dziewczyny o tym imieniu, ale zawsze uważał, że musi być wcieleniem kobiecej delikatności i kruchości. Teraz szedł obok morderczyni zabijającej z zimną krwią, noszącej to właśnie imię.

Skierowali się ku spalonym barakom nakrytym brezentem zamiast dachu. Przypuszczał, że to koszary, ale nie było tam żadnych straży ani posterunków. Słyszał historię o pewnym marynarzu, którego dziewczyna przemyciła do takiego właśnie baraku. Ułożyli się na łóżku w wielkiej zaciemnionej sypialni i ledwie zdążył zdjąć spodnie i się przygotować, a zapaliło się światło. Leżał z erekcją, a wokół niego tłoczyła się gromada gapiących się na niego kobiet.

Barak okazał się pusty. Zatrzymali się przy pomieszczeniu zamkniętym na kłódkę. Irina wyjęła klucz i otworzyła drzwi, potem zaciągnęła zasłonę zaciemniającą i zapaliła lampę naftową. W środku nie było nic oprócz łóżka i stołu. Na stole zobaczył zdjęcie kobiety, uznał, że to musi być ona. Stała na polanie wśród drzew razem z mężczyzną w mundurze i mniej więcej pięcioletnią dziewczynką. Światło migotało na podszyciu leśnym, a oni uśmiechali się do fotografa. Dziewczynkę trzymali za ręce. Żołnierz zdjął czapkę i obejmował Irinę za ramiona. Ona była w białej koszuli, takiej jak ta, którą włożyła tego wieczoru.

Co się teraz z nimi działo? Mężczyzna był pewnie na froncie albo już zginął. Gdzie była dziewczynka, Bóg jeden raczył wiedzieć, w każdym razie nie w Mołotowsku. Może została ewakuowana w jakieś bezpieczniejsze miejsce, położone w głębi tego ogromnego kraju?

Irina odwróciła twarz, gdy zauważyła, że jego spojrzenie zatrzymało się na fotografii, a w nim ten gest wywołał przecucie, że i mężczyzna, i dziecko nie żyją. Położyła się na łóżku i czekała na niego. Wsunął się obok i ją objął. Dotknął piersi. Jej skóra była miękka i ciepła. Nie pragnął niczego innego poza tą miękkością i ciepłem. Ogarnęła go nagła potrzeba, coś więcej niż pożądanie, zwierzęca, ale pozbawiona dzikości potrzeba dotykania żywej, oddychającej skóry, tylko tego pragnął, nawet jeśli to ciepło płynęło od kobiety nawykłej do odbierania życia bez zmrużenia oka.

O czym myślała, gdy patrzyła na niego po serii z pistoletu? Szukała wybaczenia, zrozumienia? Zadawała sobie i być może również jemu pytanie, czy on wciąż może traktować ją jak człowieka?

Czuł pod dłonią ciepło jej skóry, nieskończoną, uległą, otulającą go miękkość. Wtulił policzek w nagą pierś jak rozbitek, który po wyjściu z lodowatej wody tuli się do brzegu i obejmuje zbawienny ląd. Pragnął tak leżeć już zawsze, nigdy więcej się nie poruszyć, tylko po prostu tkwić na kontynencie nagiej, cieplej kobiecej skóry, rozciągającej się we wszystkich kierunkach.

W tej samej chwili ona zaczęła płakać. Przyciskała go do siebie, przebiegając dłońmi przez jego włosy, błagalnie powtarzała jego imię, nic więcej, tylko imię. Powtarzała je wciąż. Tonęła tak jak on. Wszystko w nim się napięło. Dwoje tonących nie jest w stanie ocalić się nawzajem. Jedyne, co mogą zrobić, to pociągnąć się w głąb.

Wyrwał się z jej objęć. Nie mógł. Przecież przez cały czas był sam, również wtedy, gdy leżał z policzkiem wtulonym w jej nagą pierś. I na samotność był skazany. Szukał anioła śmierci, a znalazł człowieka, i to go przerosło.

Gwałtownie zerwał się z łóżka i pobiegł przez pusty barak, w którym jego kroki odbijały się echem, jakby wszyscy ci żołnierze, którzy kiedyś zapełniali budynek, a teraz już nie żyli, na moment powrócili.



Knuda Erika zabrano jakiś czas po obiedzie. Zawsze tak to postrzegał, gdy wzywano go na spotkania z miejscową władzą radziecką. Czuł się zabierany. Zjawiali się żołnierz i tłumacz, jak zwykle były to kobiety. Tłumaczka również nosiła mundur, lecz była młoda i pewna siebie w sposób, który ujawniał, że uważa się za reprezentanta czegoś wielkiego. Jej słowami, zawsze wypowiedzanymi rozkazującym tonem, ze znajomością angielskiego o wiele lepszą niż jego własna, przemawiało państwo sowieckie.

Tłumaczka miała powieki leciuteńko muśnięte cieniem, nie wiedział, skąd mogła go mieć. Nigdy nie widział jej w klubie i był pewien, że nie obraca się w towarzystwie marynarzy przyplływających do Mołotowska. Często myślał o tym, że jeśli w plotkach krążących wśród mężczyzn tkwi bodaj ziarnko prawdy i niektóre z tych kobiet rzeczywiście są szpiegami, to do niej jak najbardziej to pasowało.

Z reguły spotkania dotyczyły frachtu. Szczegóły, które się nie zgadzały, stwarzały okazję do niekończących się dyskusji, zawsze więc wyruszał na nie w takim samym, pełnym rezygnacji nastroju. Wiedział, że zmarnuje jeszcze jeden dzień na biurokratyczne przepychanki, zmuszony do wysłuchiwania kąśliwych uwag o małym zaangażowaniu aliantów w wojnę.

Raz czekała go niespodzianka. Wręczono mu kopertę pełną czeków dla członków załogi. Był to dodatek wojenny wypłacany przez Rosjan, po sto dolarów na osobę, z własnoręcznym podpisem Józefa Stalina.

– Głupi będziecie, jak po prostu wejdziecie do banku i każecie sobie wypłacić tych sto dolarów – powiedział Wally, gdy wetknięto mu czek do ręki.

– Mogą być fałszywe – stwierdził Helge. – Jeszcze nas aresztują.

– Jeden z moich przyjaciół, na imię mu Stan, dostał taki czek i poszedł do banku na Upper East Side, żeby mu wypłacili tych sto dolarów od Ojczulka. Kasjer oglądał czek na wszystkie strony. „Chwileczkę”, powiedział, a potem zabrał Stana na czwarte piętro do dyrektora banku, który też się tak gapił, jakby nigdy w życiu nie widział czeku. Mój przyjaciel, tak jak Helge, sądził, że coś jest nie w porządku. „Dam ci za niego dwieście dolarów”, zaproponował dyrektor. „Co?”, spytał mój przyjaciel. Nic nie rozumiał. „Okej, okej”, powiedział dyrektor. „Trzysta”.

– Nie rozumiem tej historii – wyznał Helge.

– Chodziło o podpis. Własnoręczny podpis Stalina. Jest o wiele więcej wart niż sam czek.

•

Tym razem sprawa nie dotyczyła zawartości ładowni.

Tłumaczka zapowiedziała, że idą do szpitala.

– Nie jestem chory – odparł Knud Erik sarkastycznie. Był pewien, że to jakieś nieporozumienie.

– Tu nie chodzi o pana – oświadczyła kobieta tonem takim, jakby przywoływała go do porządku – tylko o pewnego pacjenta. Życzymy sobie, aby pan zabrał go z powrotem do Anglii.

– „*Nimbus*” to nie lazaret.

– Pacjent jest na tyle zdrowy, na ile może być. Sam się sobą zajmie.

My go nie możemy zatrzymać.

– To znaczy, że jest zdolny do pracy na pokładzie?

– To zależy od tego, jakie obowiązki mu pan wyznaczy. To zresztą Duńczyk, tak jak i pan.

Nigdy nie powiedział jej, że jest Duńczykiem. Była dobrze poinformowana.

– Chodźmy – rzucił tylko.

Spodziewał się, że szpital w Mołotowsku będzie położony w pobliżu portu. Znajdował się jednak nieco za miastem, przy jednej z dróg, które – jak sądził – giną na pustkowiu. Był to długi niski drewniany budynek i nic nie wskazywało na to, że za ścianami z surowych desek mieści się lecznica. Potężna kobieta w brudnym kitlu zamieniła podłogę w kałużę wody i błota, które mieszała szczotką ryżową, na próżno udając, że sprząta. Pod stopami głośno im chlupotało, gdy skręcali w długi, pogrążony w półmroku korytarz pełen łóżek i pacjentów, którzy sądząc po wydawanych odgłosach, musieli być umierający.

Pod oknem w sali szpitalnej, do której nie dałoby się już wcisnąć ani jednego łóżka, siedziała skulona postać na wózku inwalidzkim z wysokim oparciem. Człowiek ten najwyraźniej zapadł w sen, lecz na dźwięk słów powitania tłumaczki ocknął się i rozejrzał zaspany. Był owinięty w koc zasłaniający mu prawie całe ciało, ale Knud Erik zauważył, że nie ma lewej ręki. Jego twarz była zapuchnięta i bardzo czerwona.

Według informacji, które Knud Erik otrzymał po drodze, mężczyzna ten przebywał w szpitalu już od czterech miesięcy, można więc było się domyślać, że kolor skóry nie jest wynikiem przesadnie długich kąpielei słonecznych. Tu była Rosja i również w szpitalu wódka lała się szerokim strumieniem.

Twarz mężczyzny zmarszczyła się w niedowierzającym uśmiechu, gdy ujrzał Knuda Erika w mundurze kapitana. Najwyraźniej bardzo mu zależało, żeby zrobić dobre wrażenie, a Knud Erik świetnie to rozumiał. Sam pragnął wyrwać się z tego pustkowiecia, jakim był Mołotowsk, i wrócić do cywilizacji, bez względu na to, jak dotkliwie mogła być w tym momencie zrujnowana.

– Z tego, co wiem, jesteś Duńczykiem – odezwał się mężczyzna chrapliwym głosem, jakby od dawna nie mówił.

Knud Erik kiwnął głową, wyciągnął rękę i podał swoje nazwisko. Tamten ujął jego dłoń z entuzjazmem, lecz przez moment się zawahał, jakby miał wątpliwości co do własnego nazwiska albo rozważał przedstawienie się fałszywym. W końcu jednak je podał.

Knud Erik odwrócił się do tłumaczki, która stała za nimi z życzliwym uśmiechem na zwykle nieruchomych wargach, świadczącym o tym, że chciała życzyć szczęścia dwóm pobratymcom w tym odnalezieniu się po wielu latach rozłąki.

– Możecie zrobić z tą kreaturą, co chcecie! – oświadczył. – Jeśli o mnie chodzi, możecie go zabrać do piwnicy i zastrzelić na miejscu albo zesłać na Syberię czy tam, gdzie u diabła wysyłacie osoby niepożądane w Rosji. Ale jest jedno miejsce, do którego on nie zawita, a mianowicie mój statek.

Wyszedł ze szpitalnej sali, nie oglądając się ani razu. Z pluskiem przemierzył korytarz, gdzie sprzątaczką z wiadrem bez dna zrezygnowała już ze swoich prób.

– Kapitanie Friis! – zawołała za nim tłumaczka. Jeszcze raz musiał podziwiać jej doskonały akcent, również gdy chodziło o wymowę jego duńskiego nazwiska.

Opuścił szpital i ruszył z powrotem w stronę Mołotowska. Pokonał spory odcinek drogi i z daleka widział już niskie drewniane domy miasta, gdy drogę zajechał mu samochód. Wyskoczyła z niego tłumaczka. Dopiero teraz zauważył przy jej pasku czarną kaburę pistoletu.

– Wydaje mi się, że nie zrozumiał pan powagi sytuacji, kapitanie Friis. Przekazałam panu rozkaz. Nie ma pan wyboru.

– Jeśli o mnie chodzi, może mnie pani zastrzelić – odparł spokojnie, skinieniem głowy wskazując na kaburę. – A później uczynić tego potwora honorowym obywatelem Związku Radzieckiego. Mnie wszystko jedno. Ale na pokład mojego statku nie wejdzcie.

– Niech pan uważa na słowa, kapitanie!

Okręciła się na pięcie i wsiadła do samochodu, który zawrócił i ruszył z powrotem w stronę szpitala.

Knud Erik wszedł na pokład „*Nimbusa*” i wydał rozkaz natychmiastowego wyjścia w morze.

Pierwszy oficer spojrział na niego z rezygnacją.

– Nie możemy wypłynąć, kapitanie. Najpierw musimy rozpaść pod kotłem. I brakuje nam mnóstwa papierów. Sprowadzą nas z powrotem.

– Niech to wszystko piekło pochłonie!

Zaczął krążyć po mostku, niecierpliwie oczekując tego, co nieuniknione.

Nie minęło więcej niż pół godziny, gdy na keję przy „*Nimbusie*” podjechała ciężarówka. Na pace znajdował się mężczyzna na wózku inwalidzkim z wysokim oparciem. Na kolanach trzymał marynarski worek. Z szoferki wysiadła tłumaczka. Załoga stoczyła się przy relingu, przyglądając się mężczyźnie, który uniósł swoją jedną rękę i pomachał.

– Witajcie, chłopcy! – zawołał wesoło.

Tłumaczka nakazała dwóm mężczyznom zdjąć pacjenta z paki razem z wózkiem i wnieść go po trapie. Gdy znalazł się na pokładzie, ironicznie zasalutowała Knudowi Erikowi.

– Teraz kolej na pana.

– On poleci za burtę, jak tylko wyjdziemy z portu.

– To już pańska sprawa, kapitanie.

Odwróciła się i z powrotem wsiadła do szoferki. Samochód na pełnym gazie wyjechał z portu.

Mężczyzna na wózku inwalidzkim czekał. Knud Erik podszedł do niego i odwrócił się do załogi zgromadzonej na pokładzie, z ciekawością przyglądającej się przybyszowi.

– Przedstawię wam naszego gościa – oznajmił. – Nazywa się Herman Frandsen.

Vilhjelm i Anton osłupieli. Minęło osiemnaście lat, odkąd widzieli Hermana po raz ostatni. Bardzo się zmienił, był postarzały i wyniszczony, gdyby nie usłyszeli jego nazwiska, nigdy by go nie rozpoznali.

– Kilku z nas obecnych tu, na pokładzie, świetnie go zna. Ale nie z uwagi na jego dobre strony. To morderca i gwałcieciel. Gdyby któremuś z was przypadkiem się zdarzyło wypchnąć go za burtę, nagrodą będzie butelka whisky.

Herman patrzył przed siebie, jakby ta przemowa, którą wygłosił Knud Erik, nie wywarła na nim żadnego wrażenia.

– A na razie musimy ci znaleźć jakąś robotę – dodał Knud Erik. – Dostatecznie długo już odpoczywałeś. Wstawaj!

– Nie mogę.

Swoją jedną ręką Herman spokojnie odsunął koc. Nogawki spodni od kolan w dół były puste. Stracił nie tylko rękę. Amputowano mu też obie nogi.



Po opuszczeniu Mołotowska Herman nie został wyrzucony za burtę.

Nikt nie poczynił też żadnych wysiłków, by zainkasować tę butelkę whisky, obiecaną przez Knuda Erika temu, kto pomoże Hermanowi odnaleźć drogę do miejsca zasłużonego spoczynku na dnie morza.



– Najważniejsze mi zostało – oznajmił Herman gromadzie skupionej wokół niego w mesie. – Prawa ręka. Najlepsza przyjaciółka marynarza podczas długich wolnych wacht. I wciąż mogę zginać ramię. Czego więcej może pragnąć mężczyzna?

„Waliłapa”, tak nazywał Herman tę rękę, która mu została.

– *Shake hands* – powiedział, wyciągając rękę po tym, jak już przedstawił jej określenie i całą resztę. – Umyłem ją. – Zaczął obracać tatuażem na ramieniu. – Stary lew wciąż jeszcze ryczy.

Ustawili się rzędem, żeby uścisnąć mu dłoń.

•

Większość dnia Herman spędzał w mesie. Pomagał, gdy zachodziła potrzeba. Nakrywał do stołu i z niego sprzątał. Dawał sobie z tym radę jedną ręką. Było to upokarzające zajęcie, ale Hermana zdawało się nie zawstydzać. Zawsze znalazł się ktoś, kto wybrał się z nim na przejażdżkę po pokładzie, gdy pozwalała na to pogoda. Ktoś, Knud Erik nie wiedział kto, zmontował talię umożliwiającą podnoszenie go na mostek. Pewnego dnia zastał go siedzącego na wysokim krześle przed sterem, którym obracał jedną mocną dłonią.

Surowo zakazał podawania Hermanowi alkoholu, chociaż zdawał sobie sprawę, że zrobił to, bo w duchu bardzo chciał uczynić życie tego człowieka nieznośnym. Ale raz po raz zastawał go wyraźnie podpitego. Gdzieś na pokładzie musiał znajdować się ukryty magazyn wódki, z którego załoga zaopatrywała Hermana. Traktowali go jak maskotkę, nie jak mordercę.

Trzej ludzie na pokładzie nie żyliby, gdyby Hermanowi się powiodło. Vilhjelm, Anton i on sam. Życie panny Kristiny potoczyłoby się innym, szczęśliwszym torem, Ivar byłby wśród żywych, tak samo Jepsen. Bóg jeden wie, ilu ludzi na świecie Herman od tamtej pory ukatrupił, ponieważ z jakiejś przyczyny stanęli mu na drodze.

A mimo wszystko siedział tu spokojny, opanowany, dobroduszny i sympatyczny. Zyskiwał popularność wśród załogi, jakby nie był potworem, który przestał być groźny jedynie dlatego, że odcięto mu kończyny. Zdawał się fascynować, szczególnie młodych. Chłopiec z mesy, Duncan, gdy przynosił kawę na mostek, opisywał go jako bardzo interesującego człowieka, który mnóstwo przeżył.

– On świetnie opowiada – stwierdził. Miał siedemnaście lat i pochodził z Newcastle.

– Opowiadał ci też, jak rozbił czaszkę swojemu ojczymowi, tak że mózg się z niej wylał? A nie miał wtedy nawet tyle lat co ty teraz.

Zerknął na chłopca, żeby sprawdzić, czy jego słowa wywarły jakieś wrażenie. Nie wywarły. Chłopak wciąż patrzył śmiało, a w jego oczach pojawił się upór. Wyrobił sobie na temat Hermana własne zdanie i nie zamierzał go zmieniać pod wpływem słów kapitana.

Knud Erik dobrze wiedział, dlaczego tak się dzieje. Przed wojną wszyscy, poznając prawdę, odwróciliby się od Hermana z odrazą. Unikaliby jego towarzystwa i okazywali mu pogardę, gdyby tylko starczyło im odwagi. Ale wojna zniszczyła ich mury obronne. Widzieli już zbyt wiele, niektórzy sami uczestniczyli w okropnościach. Dlaczego chłopiec okrętowy miałby poważnie traktować ostrzeżenia kapitana, skoro zaledwie kilka miesięcy temu widział, jak ten sam kapitan zabił pilota zestrzelonego samolotu, chociaż ten klęczał i błagał o życie. Jaka była różnica między nim a Hermanem?

Wojna ich ze sobą zrównała i Knud Erik mógł mieć jedynie nadzieję, że Herman nigdy się nie dowie o jego postępkach. Potrafił sobie wyobrazić jego spojrzenie.

„Nie przypuszczałem, że i ty masz to w sobie”, powiedziała by Herman pełen złośliwej radości, widząc, że ktoś inny uległ złu, które w sobie skrywał.

Herman był przysposobiony do wojny. Ten typ człowieka czuł się w niej naturalnie. Posiadał tę zdolność, którą w opinii Antona należy mieć, aby przetrwać. Umiał zapomnieć. Prawie nie był już człowiekiem. Ten wielki, brutalny kłęb mięśni został zredukowany do bezradnego kadłuba, a mimo to się nie poddawał. Nie wczepiał się w przeszłość, dostosowywał się do teraźniejszości. Kiedyś miał cztery kończyny. To było jedno życie. Teraz została mu jedna. To inny rodzaj życia, lecz ciągle jeszcze życie. Przypominał dżdżownicę, którą można przeciąć na pół, nie wyrządzając jej krzywdy. Właściwie był w awangardzie: podczas wojny wszyscy musieli stać się mu podobni albo się poddać.

•

– On brał udział w bitwie o Guadalcanal na Oceanie Spokojnym, *sir*.

To chłopak z mesy wciąż stał przy Knudzie Eriku.

– Tak ci opowiedział?

– Tak, *sir*. Jego statek został zatopiony, a on przez godzinę leżał w wodzie i walczył z rekinem. Mówi, że trzeba je boksować w pysk albo w oko. To ich czułe punkty. Ale rekin stale wracał. Miał skórę jak papier ścierny. Człowiek ma otarcia w tych miejscach, gdzie rekin go dotknie.

– A więc pokonał rekina w trzeciej rundzie i wyszedł z tego tylko z otarciami? – Nie mógł się powstrzymać od sarkazmu w głosie.

– Nie, *sir* – odparł chłopak.

Naiwność w jego głosie zawstydzila Knuda Erika.

– Rekina zastrzelono ze statku, który przybył mu na ratunek. Odgryzł mu tylko kawałek nogi i trochę przedramienia.

– Pokazywał ci może blizny?

– Nie, *sir*. Mówi, że były na tych kawałkach, które amputowano.

– A więc to nie rekin pozbawił go ręki i nóg?

– Nie, *sir*. To się stało dopiero później. Odmrożenia.

•

Jądro załogi stanowili ludzie pochodzący z Marstal. Knud Erik, Anton, Vilhjelm i Helge. Dalej był Wally, pół-Syjamczyk, i Absalon, który wprawdzie wyrósł w Stubbekøbing, lecz musiał mieć korzenie w Indiach Zachodnich z czasów, gdy parę tamtejszych wysp wciąż jeszcze pozostawało w rękach duńskich. To byli Duńczycy na „*Nimbusie*”. Reszta pochodziła z różnych stron świata, wśród nich dwóch Norwegów, Hiszpan, Włoch, gunnerzy, wszyscy Brytyjczycy, tak samo jak chłopak z mesy, i jeszcze dwóch Hindusów, Chińczyk, trzech Amerykanów i Kanadyjczyk. Pływająca wieża Babel w wojnie z Bogiem, który chciał obrócić tę wieżę w proch.

Co ich łączyło?

On, kapitan. Stanowił kruche centrum, naruszone wewnętrznym rozdarciem, lecz uosabiał te nakazy wydawane przez statek, które należało wypełniać, jeśli chce się bezpiecznie dopłynąć do portu.

Czy kiedykolwiek zastanawiali się, dlaczego pływają? Co wciąż pędziło ich w strefę zagrożenia, obowiązek, przekonanie czy coś głębszego?

Na początku wojny sądził, że ta sama moralność, która każe załodze statku w sytuacji kryzysu trzymać się razem i spieszyć sobie z pomocą, kazała im również zgłosić się na wojnę. Przestał już tak myśleć. Ale starej myśli nie zastąpiła żadna nowa.

Czasami przyznawał rację Antonowi. To milczenie łączyło ich na statku. Gdyby raz zaczęli mówić o tym, co się w nich burzyło, rozpamiętywaniem doprowadziliby się nawzajem do szaleństwa i wszystko by się rozpadło.

To było zawieszenie broni, ale on wiedział, że nie może się utrzymać.

•

– Co on znowu naopowiadał?

Sam nie schodził do mesy, zawsze więc wypytywał Duncana, gdy chłopak przynosił mu kawę na mostek. Tłumaczył sobie, że jako kapitan musi wiedzieć, co się dzieje na statku.

– Opowiadał o tym, jak zostali storpedowani i wsiadali do szalup. Woda była przejrzysta jak gin. Tuż przed uderzeniem zdążył zobaczyć na torpedzie dwa czerwono-białe pasy. Kucharz zabrał do szalupy siekierę i zaczął walić nią w reling. „Co ty, u diabła, wyprawiasz?“, spytał kapitan. „Robię nacięcie, żebyśmy wiedzieli, ile dni jesteśmy na wodzie”. „Jak dalej będziesz tak rąbał, to na pewno nie będzie ich dużo”.

Duncan urwał i spojrział na Knuda Erika. Wyraźnie czekał na taką samą reakcję, jaka pojawiła się w mesie, gdzie słuchacze przyjęli opowieść Hermana wybuchem śmiechu.

Knudowi Erikowi twarz nawet nie drgnęła. Wypił łyk gorącej kawy.

– Co jeszcze opowiadał?

– No, po paru dniach zobaczyli korek unoszący się na wodzie. Łądu nie było widać, ale i tak bardzo się ucieszyli, bo korek musiał przecież oznaczać, że łąd jest gdzieś w pobliżu. Minęło kilka godzin i przypłynął jeszcze jeden korek. Wciąż nie widzieli łądu i zaczęli się dziwić tymi korkami dryfującymi na środku morza. W końcu okazało się, że paru ludzi miało schowany zapas whisky na dziobie i opróżniali jedną butelkę za drugą, a nikt inny tego nie widział. To właśnie przy tej okazji Herman nabawił się odmrożeń.

– A do tego jak doszło?

– No, widzi pan, *sir*, zaczęli się bić o whisky. W końcu wepchnęli go do wody. Herman mówi, że strasznie długo zwlekali z wciągnięciem go z powrotem na pokład.

Herman wszystkie tragedie wojenne, ze swoją własną włącznie, obracał w żart. W swoich opowieściach zbliżał się do tego, co nienazywalne, najbardziej jak można, nie wypowiadając słów na głos. Właśnie dlatego go słuchali.

Kiedy nadali mu przezwisko „Old Funny”, Knud Erik zrozumiał, że teraz już załogi nie łączy milczenie.

Łączył ją Herman.

•

Herman potrafił pić naukowo. To była najnowsza historia, która przysłała z mesy. Old Funny’emu usunięto podczas operacji część zbędnych trzewi i miał tam teraz dużo więcej miejsca. Twierdził, że to trochę przypomina sztautowanie ładunku, by jak najwięcej się zmieściło. Należało postępować metodycznie, a on tę metodę znalazł, opierając się na faktach naukowych.

Gdyby mieli być szczerzy, to nie widzieli, by pił inaczej niż inni. Po prostu wlewał w siebie alkohol, a różnica polegała jedynie na tym, że Old Funny się trzymał, podczas gdy inni już pełzali po podłodze. Według niego ten właśnie fakt stanowił dowód na naukowe picie. Nigdy nie musiał przestawać. I dlatego przyznawali mu rację. Podczas gdy oni jeden po drugim zwalali się w kajutach na koje, on wciąż siedział w mesie i dalej pił.

Tylko raz Old Funny zetknął się z mocniejszym od siebie.

Był to młody oficer z Armii Zbawienia, który wszedł na pokład w Bristolu, by nawrócić załogę na wiarę w Jezusa Chrystusa. Old Funny zaproponował mu zakład. Jeśli misjonarz zdoła go upić tak, że wpadnie pod stół, to Herman wtedy się nawróci. Jeśli natomiast to on wygra, młody człowiek z Armii Zbawienia zdejmie swój mundur i nigdy więcej nie włoży.

– To nie była jedynie kwestia tego, kto może więcej wypić – stwierdził Old Funny. – To była próba sił między wiarą a nauką. On miał swego Jezusa, a ja swoją metodę. Ale to, cholera, on wygrał! Wpadłem pod stół o czwartej nad ranem. Nie pojmuję, psiakrew, jak do tego doszło!

– Więc teraz jesteś wierzący?

– Jestem człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa – odparł Old Funny. – Wierzę w Jezusa Chrystusa, wyrzekam się diabła i wszystkich jego spraw. Pan czuwa nade mną. To jego zasługa, że wciąż mam Waliłapę.

Odstawił szklankę na stół i przeżegnał się. Kikut lewej ręki podrygiwał mu, jakby i on chciał uczestniczyć w żartach.

– Ale przecież stale pijesz – zaproponował Wally.

– Tylko wtedy, gdy przystępuję do komunii, a do kościoła chodzę często. W dodatku uważam, że jestem to winien temu z Armii Zbawienia. Bo widzicie...

Rozejrzał się, a oni zrozumieli, że historia jeszcze się nie skończyła.

– Kiedy mnie upił tak, że wpadłem pod stół, i zrozumiał, że wygrał, wstał i cisnął kurtkę od munduru na podłogę. „Skończyłem z Armią Zbawienia!”, zawołał. Nikt nie mógł ni cholery pojąć, w czym rzecz. Ale on zaraz nam to wytłumaczył. „Uświadomiłem to sobie, gdy opróżniłem pierwszą szklanę. Lubię wypić. Wygrałem nie dlatego, że to Pan Bóg mi pomógł. Wygrałem, bo ciągle mi było mało!”

Wokół stołu w mesie gruchnął śmiech. Old Funny przez chwilę napawał się aplauzem, patrząc na przezroczysty płyn w szklance. Potem podniósł wódkę do ust i wypił jednym haustem.

– Zdrowie Jezusa! – powiedział i czknął.



Przyłączyły się do nich statki z Archangielska i Murmańska, łącznie więc osiem frachtowców wzięło kurs z powrotem na Islandię. Towarzyszył im jeden niszczyciel i dwa przebudowane trawlerzy, oba wyposażone w bomby głębinowe. Nie była to zbyt wielka ochrona, ale nie licząc balastu, wracali na pusto, a Admiralicja najwyraźniej uznała, że Niemcy nie będą marnować amunicji na statki bez zaopatrzenia dla wojska. Niemcy jednak – jak wkrótce mieli się przekonać – byli odmiennego zdania.

Nadszedł już październik i granica lodu przesunęła się na południe. Szli tak blisko niej, jak tylko się odważyli, lecz i tak nie była to odległość nie do pokonania dla niemieckich bombowców, startujących z baz lotniczych na północy Norwegii. Nieoczekiwaną pomoc przyniosły jesienne sztormy. Przez większość czasu utrzymywała się trudna pogoda, a przy silnym wietrze samoloty trzymały się ziemi. Dla U-Bootów sztorm na Morzu Barentsa nie stanowił żadnej różnicy.

Wally stał na oku. W ciągu godziny udało mu się wywołać trzy fałszywe alarmy torpedowe.

– To przez te grzywy piany na falach – tłumaczył się.

– To nerwy – stwierdził Anton, który przyszedł na mostek z maszynowni wyłócić się za wszystkie te razy, gdy niepotrzebnie padał rozkaz „cała wstecz” albo „cała stop”.

Knud Erik przez chwilę stał zamyślony.

– Muszę chyba znaleźć kogoś innego – stwierdził.

– Wariuję od tego wystawiania w samotności, kiedy nie mam z kim pogadać. – Wally posłał mu wdzięczne spojrzenie.

Knud Erik zszedł do mesy. Herman jak zwykle siedział przy stole i zabawiał towarzystwo, składające się teraz jedynie z Duncana i Helgego szykujących kolację. Helge przyzwyczaił się do Hermana i nazywał go Old Funny tak jak reszta załogi. Czasami wspominali razem Marstal.

Knud Erik nie rozmawiał z Hermanem, odkąd tamten pojawił się na pokładzie.

Podszedł do niego bez powitania.

– Najwyższa pora, żebyś zrobił coś pożytecznego.

Kazał go ubrać w islandzki sweter, budrysówkę i sztormiak, na głowę nasadzić czapkę i owinąć ją wełnianymi szalikami, a na dłoń wsunąć rękawicę. Dolną część ciała okryto mu kocami i brezentem, a potem całego przywiązano do wózka.

Herman nie reagował.

– Czuję się jak niemowlę, które zabierają na spacer.

Nie spytał nawet, do czego wyznaczył go kapitan.

– Mam nadzieję, że zdechniesz z zimna – mruknął Knud Erik.

Dwaj ludzie wciągnęli Hermana na dziób, tam zamocowali wózek, żeby kołysanie statku go nie przewróciło. „*Nimbus*” nie nurkował na tyle głęboko w falach, by zanurzać całą stewę pod wodę, ale przedni pokład nieustannie opryskiwały lodowate krople.

Knud Erik stanął na mostku i z góry przyglądał się pękatej sylwetce, która zdawała się zapelniać cały dziób. Krag się zamknął. Kiedyś Herman posłał Ivara na bukszpryt. Teraz Knud Erik umieścił go w równie niebezpiecznym miejscu.

Zobaczył, że Herman zgina rękę i podnosi coś do ust. Ktoś ukradkiem podetknął mu butelkę whisky.

Tak, tak, Old Funny był jednym z nich.

•

Po dwóch godzinach Herman podniósł rękę do góry. W ich stronę zmierzała torpeda.

Knud Erik nakazał „całą wstecz”, a Anton w maszynowni natychmiast zareagował. Knud Erik zdążył jeszcze się zdziwić, że w tym momencie obaj mieli bezwarunkowe zaufanie do człowieka, który kiedyś naraził ich życie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Potem dostrzegł smugę piany tuż przed stwą. Ostrzeżenie Hermana nadeszło w ostatniej chwili.

Torpeda gnała dalej, kierując się ku innemu statkowi w konwoju, zbiornikowcowi „*Hopemount*”. Kolejna smuga piany pojawiła się równolegle do tamtej pierwszej. Torpedy uderzyły w śródkręcie „*Hopemount*” z dziesięciosekundowym odstępem. Okręt pękł na pół. Na wzburzonym morzu obie połowy powoli się od siebie odsuwały, a przednia zaraz zaczęła tonąć. Woda wokół zniszczonego statku wypełniła się ludźmi w kamizelkach ratunkowych i bez nich, rozbitkami walczącymi o utrzymanie się na powierzchni lodowatego morza.

„*Nimbus*” wciąż szedł całą wstecz. Byli teraz ostatnim statkiem w konwoju. Zbliżał się trawler. Knud Erik miał nadzieję, że zamierza zebrać rozbitków. Gdyby zrzucił bomby głębinowe, oznaczałoby to pewną śmierć dla ludzi w wodzie.

W rufowej części „*Hopemount*”, która wciąż jeszcze utrzymywała się na powierzchni, na pokładzie pojawiła się półnaga postać. Marynarz zdążył zapiąć kamizelkę ratunkową na wielkim brzuchu, ale nogi miał gołe. Wspiął się na reling i rzucił w wodę. Knud Erik widział, jak się wynurza i mocnymi ruchami pływaka stara się oddalić od ssącego wiru przy uniesionej rufie, do której wlewała się woda, przygotowującej się już do opadnięcia na dno morza. Światelka kamizelki ratunkowej jaśniały czerwono wśród szarych fal.

Widział to już tyle razy wcześniej i zdawał sobie sprawę, co to oznacza: kolejną zdradę. Kolejne szczątki jego i tak zniszczonego człowieczeństwa pójdą na dno.

Właśnie w tym momencie stracił panowanie nad sobą.

Odepchnął sternika, jednocześnie dał rozkaz „cała naprzód”, a kołem mocno obrócił w lewo. Zaczęli się szybko zbliżać do tonącej rufowej części „*Hopemount*”. Knud Erik wciąż nie odrywał oczu od człowieka walczącego z falami.

Pływak odchylił głowę i spojrział w zaciągnięte niebo, jakby z trudem łapał powietrze. Potężna fala uniosła go i zabrała poza zasięg wzroku Knuda Erika. Kiedy znów się pojawił, wyglądało na to, że krzyczy. Hałas maszyn nie pozwalał jednak Knudowi Erikowi nic usłyszeć. Potem woda wokół rozbitka zrobiła się czerwona.

Przez moment Knud Erik sądził, że trawler zrzucił jednak bomby głębinowe i marynarz zaraz wystrzelił z wody z rozerwaną klatką piersiową, ale nic takiego się nie stało. Czyżby zaatakował go rekin? To nieprawdopodobne. Może był ranny, jeszcze zanim skoczył do wody?

Upłynęło parę minut. Marynarz był bardzo blisko, ale jego czas już się kończył. Nikt nie może przetrwać tak długo w lodowatej wodzie.

Knud Erik nakazał „cała stop” i wybiegł na skrzydło mostka. Wspiął się na reling, przez moment się chwiał, jak gdyby nie wiedział, w którą stronę ma polecieć.

Wreszcie skoczył.

Kiedy później sobie to tłumaczył, myślał: „Zrobiłem to, by zaprowadzić równowagę w moim życiu”. Ale kiedy skakał, nie myślał o niczym. Skoczył tak, jak człowiek przeciera sobie palcem oko, kiedy coś mu tam przeszkadza. Zaświeciło się znów czerwone światełko, a to mu bardzo przeszkadzało.

Złamał podstawową zasadę, która zabraniała statkom w konwoju zatrzymywać się w celu wyłowienia rozbitków. Obowiązywała ona nie tylko po to, by statek nie stał się łatwiejszym celem dla atakujących U-Bootów. Miała również zapobiec wpadaniu pozostałych jednostek na marudera. Istniało wiele przykładów, że lekkie zejście z kursu może wywołać całą lawinę kolizji, często z tragicznymi konsekwencjami dla statków.

„*Nimbus*” szedł jako ostatni w konwoju, nie było więc niebezpieczeństwa, że ktoś na nich wpadnie. Knud Erik, skacząc w morze ze skrzydła mostka, ryzykował życie jedynie swojej załogi. Był to czyn jak wszystkie inne podczas wojny: potwierdzał moralność, a zarazem jej przeczył. Powodował dobro, a zarazem wielkie zło.

Lodowata woda uderzyła go jak obuchem. Natychmiast poczuł zimno przenikające przez mokrą odzież. Wystawił głowę z wody i z trudem łapiąc oddech, dziko rozejrzał się dokoła, już na poły ogarnięty paniką. Nie widział tonącego marynarza. Zaraz jednak fala uniosła go na grzbiecie i wtedy zobaczył rannego. Popłynął w jego stronę kraulem, a gwałtowny ruch sprawił, że krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Usta tonącego wciąż były otwarte. Teraz słyszał już krzyk, przesycony bólem, a zarazem ekstazą. Światło kamizelki ratunkowej rzucało czerwoną poświatę na jego twarz. Knud Erik ku swemu zdumieniu zobaczył, że to nie mężczyzna, tylko kobieta z krótkimi czarnymi włosami i skośnymi oczami, wywróconymi tak, że widać było jedynie białka. Gdyby nie ten krzyk, uznałby ją za martwą.

Znalazł się tuż przy niej. Oczy wróciły na swoje miejsce, lecz wzrok wciąż miała dziwnie nieobecny, jakby skupiony na czymś, co działo się w jej wnętrzu. Pomyślał, że jest w szoku. Zaczął ją ciągnąć w stronę statku. Należało się spieszyć. Paraliżujące zimno rozlewało się po całym jego ciele. Za chwilę będzie musiał się poddać, a nie miał kamizelki ratunkowej, która by go utrzymała na wodzie.

Większość załogi stała przy relingu, kibicując mu, jakby był finiszującym biegaczem. Wywiesili za burtę sztormtrap. Absalon zszedł po nim i stał na najniższym stopniu, trzymając się mocno jedną ręką, drugą wyciągał do niego. Był na wskroś przemoczony przez fale. Ktoś rzucił linę. Knud Erik złapał ją i pozwolił się przyciągnąć do sztormtrapu. Absalon chwycił go za dłoń i podciągnął do góry. Knud Erik trzymał pod ramię kobietę, która wciąż zdawała się nie wiedzieć, co się dzieje. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przestała krzyczeć. Zamiast tego na jej ustach pojawił się nieobecny uśmiech.

Wyciągnął ją z wody. Ukazało się nagie podbrzusze i zwisające z niego wnętrzności. To bliskość śmierci uczyniła jej spojrzenie tak dalekim. Walka ze śmiercią musiała już się kończyć, skoro kobieta przestała krzyczeć.

Spróbował przerzucić ją sobie przez ramię, ale coś mu przeszkadzało. Znów spojrzał w dół. Kobieta trzymała coś w objęciach. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że z otwartej rany w podbrzuszu nie zwisają wcale wnętrzności. To była pępowina. Ranna ścisnęła w ramionach dziecko, pomarszczony czerwony ludzki tłumoczek, który wydała na świat pod wodą.

Poród musiał się rozpocząć, jeszcze zanim w „Hopemount” uderzyła torpeda. W lodowatym morzu, w którym zimno dawało jej zaledwie parę minut, matka walczyła nie tylko o własne życie, lecz również o życie dziecka.

Knud Erik objął ją mocno za uda, uniósł do góry i podał Absalonowi. Z relingu wyciągały się ku nim niezliczone ręce.

W tej samej chwili usłyszał głucho podwodne huki wybuchających bomb głębinowych, po których rozległ się odgłos ciężko walącej się wody. Zamknął oczy ze świadomością, że kobieta trzymana przez niego w ramionach przeżyła jako jedyna spośród załogi „Hopemount”.



Kochany Knudzie Eriku!

Dzisiejszej nocy bombardowali Hamburg i całe niebo rozjaśniła luna. Podobno ogień wznosił się kilka kilometrów w górę, a asfalt na ulicach się stopił. Przez całą noc rozlegał się taki huk, jakby bomby spadały na naszą wyspę. Z klifów w Voderup obsunęła się ziemia. Ostatnio coś podobnego zdarzyło się w 1849 roku, kiedy „Chrystian VIII” wyleciał w powietrze w fiordzie Eckernförde, a Hamburg jest przecież o wiele dalej.

Na cyplu Halen znaleziono amerykańskiego pilota, utonął ze spadochronem. Niemcy kazali go złożyć do ziemi o szóstej rano. Najwyraźniej chcieli uniknąć zgromadzenia, ale i tak wszyscy stawiliśmy się na cmentarzu z grabiami i konewkami, twierdząc, że w Marstal panuje zwyczaj porządkowania rodzinnych grobów wcześniej rano. Niemieccy żołnierze raczej w to nie uwierzyli.

Poza tym Niemcy na wyspie nie dają się nam we znaki.

W Marstal panuje spokój. Śmierć jak zawsze przychodzi z morza.

Rybaczy boją się, że w sieci zaplącze się topielec, i nikt tego lata nie je węgorzy, chociaż są tłustsze niż zwykle.

W co drugim ogrodzie na tyłach domów trzymają świniaka, chociaż to zabronione. Tak musiało wyglądać Marstal sto lat temu, kiedy jeszcze w środku miasta były obory. Ale południe płonie, dzień i noc słychać bombowce.

Do Szkoły Nawigacyjnej zapisało się niewielu marynarzy, lecz ci, którzy są, mają wielkie powodzenie wśród kobiet w mieście, nie widziały przecież swoich mężów od ponad dwóch lat. Nie winię ich za to. Brakuje wszystkiego, również miłości. Osobiście dawno już się od niej odzwyczaiałam, ale nie wszystkie kobiety są takie jak ja, a im jestem starsza, tym bardziej się staję wyrozumiała. Tyle mnie ominęło! Niektóre rzeczy z własnej winy, inne nie. Miałam wielką misję. Chciałam dać kobietom możliwość kochania. Dzisiaj uważam, że przegrałam. Coś pewnie osiągnęłam, lecz nie dla siebie samej. Przeciwnie, Ciebie odepchnęłam, a Edith, która mieszka teraz w Aarhus, widuję rzadko.

Myslałam kiedyś, że gdy kobieta spotyka mężczyznę, to traci nie tylko cnotę, lecz również swoje marzenia. Gdy rodzi syna, otrzymuje wynagrodzenie za utraconą cnotę, ale marzenia traci jeszcze raz.

Tyle dla Ciebie chciałam. Ty chciałeś czegoś innego. A ja, rozczarowana, cofnęłam swoją miłość. Nigdy nie nauczyłam się kochać bezwarunkowo. Uważałam, że życie nic mi nie dało, i uznałam, że sama muszę sobie to wziąć, ale życie nie miało ochoty na żadne targi ze mną. Być może to największa rzecz, jaką można osiągnąć: kochać, nie żądając nic w zamian. Nie wiem. Najwyraźniej nie umiem tego rozpoznać. Tyle z tego, co nazywa się miłością, dla mnie jest gorzkim przymusem i rezygnacją z samej siebie.

Myszę o Tobie każdego dnia.

Twoja matka



Każda wspólnota ma swoje mity. Dotyczyło to również załóg pływających w konwojach do Rosji. Mity były nieprawdopodobne, czasem w całkowitej sprzeczności z naturą. Kazały słuchać z otwartymi ustami, a mimo to w przeciwieństwie do większości innych historii były prawdziwe.

Jeden z nich opowiadał o Mosesie Huntingtonie.

Moses Huntington był czarny, pochodził z Alabamy, był stepującym tancerzem i marynarzem. Obdarzony głębokim melodyjnym głosem, sam sobie akompaniował przy stepowaniu. Ale to nie talenty zmieniły Mosesa Huntingtona w mit i kazały tym, którzy go spotykali, prosić go o autograf.

Przyczyniła się do tego „*Mary Luckenbach*”.

Knud Erik przez lornetkę obserwował, jak Moses szedł po pokładzie „*Mary Luckenbach*” z dzbankiem kawy. To było w jednej chwili. W następnej „*Mary Luckenbach*” już nie istniała. Na jej miejscu wzbijał się w niebo czarny słup dymu i iskier, a osiągnąwszy wysokość kilku kilometrów, zaczął się rozpylać i spadł z niego deszcz czarnej sadzy, jakby to wybuch wulkanu unicestwił statek, a nie torpeda. „*Mary Luckenbach*” zniknęła, ale Moses Huntington wciąż żył.

Pojawił się pół mili morskiej dalej w konwoju, skąd wyłowił go z morza brytyjski niszczyciel HMS „*Onslaught*”. Jak to możliwe, nikt nie umiał wyjaśnić, nawet sam Moses. Jego ocalenie było sprzeczne z naturą. Ale żył. Żył, stepował i dalej pływał.

Mężczyźni, którzy usłyszeli historię Mosesa Huntingtona, nie upadali na duchu i znów zaczęli wierzyć, że będzie jeszcze jakieś życie po wojnie.

Był też kapitan Stein i jego chińska załoga na pokładzie „*Empire Starlight*”, najmocniej bombardowanego statku w dziejach. Od 4 kwietnia aż do 16 czerwca 1942 roku statek niemal codziennie atakowały niemieckie samoloty, messerschmitty, focke-wulfy, junkersy 88, *you name it*, czasami nawet siedem razy w ciągu jednego dnia. „*Empire Starlight*” dostawał raz za razem. Statek stał na kotwicy pod Murmańskiem i załoga mogła zejść na ląd, gdyby chciała. Ale nie chciała. „*Empire Starlight*” był ich statkiem i nie mieli ochoty go porzucać. Za każdym razem, gdy zostawał trafiony, naprawiali wszystko, co dało się naprawić. Zabierali na pokład rozbitków z innych okrętów, zestrzelili cztery maszyny wroga. „Tylko się zbliż!”, takie mieli nastawienie. Byli jedynie gromadą Chińczyków z amerykańskim kapitanem, ale się nie poddali.

Przez ostatnie dni obozowali na lądzie. „*Empire Starlight*” był tak zniszczony, że nie dało się już przebywać na pokładzie. Ale dalej pływali do niego łodziami, by łątać dziurawą łajbę, z którą co dzień czuli się mocniej związani.

Nie chcieli się poddać.

Przypominało to historię Mosesa Huntingtona. Nie powinno się zdarzyć, bo było sprzeczne z naturą. A jednak okazało się możliwe i każdy, kto słyszał tę historię, zaciskał zęby i nabierał otuchy.

No i był też Harald Sinozęby.

Chłopiec, który urodził się w morzu pełnym U-Bootów, torped, bomb głębinowych i topielców, w morzu, w którym wszyscy ginęli, ale z którego on się wyłonił, w którym życie się kończyło, ale jego życie się zaczęło.

Wszyscy myśleli, że nie żyje, gdy znalazł się na pokładzie i nagle ucichł. Ale on żył. Knud Erik odciął pępowinę, owinęli go w wełniane koce, myśląc, że w ciągu paru dni zwrócą go morzu, z którego się wynurzył. Ale tak nie było.

To Duńczycy z „*Nimbusa*” ochrzcili go Haraldem Sinozębym. Na pokładzie był już Valdemar i Absalon, dlaczego więc miałyby zabraknąć Haralda Sinozębego? Duńczycy stanowili jednak na statku mniejszość, więc stanęło na tym, że nazywano go „Bluetooth”.

Właśnie pod tym imieniem stał się mitem. Tak jak Moses Huntington i „*Empire Starlight*”. W zasadzie nie łączyło go z nimi nic poza tym, że żył dużo dłużej, niż się spodziewano. W jego wypadku dotyczyło to już jego pierwszego oddechu.

Matka chłopca, kiedy doszła do siebie, nie protestowała przeciwko temu imieniu. Prędko odzyskała siły. Świeżo upieczone matki to twarde sztuki. Ona zresztą również była Dunką, chociaż wcale na to nie wyglądała. Jej babka i matka pochodziły z Grenlandii, a Eskimosi to przecież w pewien sposób również Duńczycy. Jej babka była *k'ivitok*, dziwaczką, która biegła sama po lądolodzie, nie chcąc zadawać się z innymi ludźmi. A jednak to zrobiła, zresztą dość skutecznie. Z Duńczykiem, artystą malarzem, podstarzałym mężczyzną, który zresztą nigdy nie zdążył zobaczyć córki. Córka poślubiła Kanadyjczyka o nazwisku Smith.

Siedzieli wokół niej półkolem. Ułożyli ją na koi w kajucie kapitana. Inaczej nie uchodziło. Ale gościem honorowym był Harald Sinozęby. Spał przy piersi matki spokojnie, jak dziecko, które właśnie zwyczajnie przyszło na świat.

To w tym miejscu opowieści Knud Erik nachylił się i uważnie przyjrzał matce Haralda Sinozębego.

– *Miss Sophie* – powiedział z wahaniem.

– Od dawna już nikt mnie tak nie nazywał. Ani *mistress* ani *miss*, chociaż jestem niezamężna. Nie żeby to coś miało do rzeczy. Zachowałam panięskie nazwisko. Sophie Smith. Tak, to ja.

– Little Bay? – spytał Knud Erik.

Nie zrobił tego, by się upewnić. Po prostu nie wiedział, co mówić.

– Tak, Knudzie Eriku, rozpoznałam cię. Nie musisz się przedstawiać. „Głupia gęś”, tak mnie nazwałeś, kiedy się żegnaliśmy. Wciąż jesteś tym samym pięknym chłopcem, tylko wyższym. Ale wtedy byłeś pełnym młokosem. No i twoje oczy również nie są całkiem takie same.

– Kiedy zniknęłaś, myślałam, że umarłaś.

– Rzeczywiście, chyba jestem ci winna wyjaśnienie. Byłam wtedy kompletną wariatką. Chciałam zobaczyć świat, więc uciekłam z pewnym marynarzem. Szybko się mną znudził, a ja nim. Sama zostałam na statku. Byłam ochmistrem na „*Hopemount*”. – Powiodła wzrokiem po gromadzie. – A gdzie reszta?

– Przeżyłaś jako jedyna.

Spojrzała na Haralda Sinozębego i palcem popieściła jego buzię. Po policzku ściekła jej łza.

– To Knud Erik... – zaczął Anton.

Przeniosła wzrok na Knuda Erika.

– Wróżyłam ci kiedyś, że utoniesz. Zrobiłam tak jedynie po to, żeby wydać ci się interesująca. A tymczasem to ty mnie ocaliłeś.

– Nic nie jest przesądzone – odparł. – Jeszcze mogę utonąć.

•

Kim był ojciec Haralda Sinozębego, tego Sophie nie wyjawiała. Nikt zresztą nie przywiązywał do tego wagi. Nie był nim żaden z poległych marynarzy z „*Hopemount*”, jak w pierwszej chwili sądzono, przypuszczano raczej, że Harald Sinozęby stanowił owoc któregoś z wielu przypadkowych spotkań, w jakie przecież obfituje czas wojny. Sophie zapewniała, że nie planowała porodu na wzburzonym morzu podczas konwoju na najniebezpieczniejszej trasie, jaką oferowała wojna. Liczyła, że wróci do Anglii przed terminem, ale „*Hopemount*” stał w Murmańsku przez pięć miesięcy, a mając do wyboru rosyjski szpital i morze, bez namysłu zdecydowała się na to drugie.

Pomagała w mesie Duncanowi i Helgemu. Palacz zbił kołyskę dla Haralda Sinozębego. Zwykle przesiadywał z nimi również Herman, jeśli nie wysyłano go na dziób na oko, i gdy nie zginał ręki, by wlać w siebie wódkę swoją domorosłą naukową metodą, to używał „Waliłapy” do kołysania Haralda Sinozębego. Old Funny i Bluetooth, ponury bożek wojny i maleńkie kiełkujące nasionko upartego, pełnego nadziei życia, stanowili centrum statku.



„*Nimbus*” doszedł do Islandii, a stamtąd popłynął do Halifaksu. Z Halifaksu wracali do Liverpoolu. Boże Narodzenie obchodzili na Atlantyku.

Old Funny opowiadał swoje historie. Od Bluetootha załoga nie domagała się na razie niczego oprócz tego, żeby był. No i był. Z siuškami i kupą w pieluszkach ze ścierek i zmywaków do garnków. Bekął, gulgotał, cmokał i płakał. Raz miał odparzoną pupę, to znów kolkę, ale na ogół przeżywał jasne chwile, podczas których oczami jak teleskopy badał mesę, jakby była wszechświatem, którego tajemnice odkrywał. Dwudziestu mężczyzn gapiło się na niego, jakby byli w kinie. Chcieli go dotykać i łaskotać, chcieli, by gryzł ich w palce i szarpał za uszy. Ofiarowali się zmieniać pieluchy i lulać. Udzielali rad dotyczących jego pielęgnacji, a wszyscy razem posiadali wiedzę godną eksperta. Sophie trzeźwo musiała przyznać, że znają się na dzieciach znacznie lepiej niż ona. Wprawdzie to ona urodziła Bluetootha, ale wielkiego doświadczenia nie miała, ponieważ był to jej pierworodny, a jeśli ktoś służył jej radą, chętnie go słuchała.

„Bluetooth jest jak uzbrojenie demagnetyzacyjne”, mówił o chłopcu Anton.

Uzbrojeniem demagnetyzacyjnym był kabel elektryczny opasujący kadłub wzdłuż linii wodnej i niwelujący magnetyzm „*Nimbusa*”, zapobiegając przyciąganiu min magnetycznych. Taki był Harald Bluetooth. Nie tylko ich łączył, lecz również chronił, być może przed czymś w nich samych. Dzięki niemu na środku rozhuśtanego morza zapuścili coś w rodzaju korzeni.

Twoje korzenie nie tkwią w dzieciństwie. To twoje dziecko wiąże cię z ziemią. Dom jest tam, gdzie twoje dziecko. Knud Erik nagle to zrozumiał.

To do Bluetootha czuł się przywiązany. Nie do Sophie.

•

Spotkali się dwa razy w życiu. Za każdym razem przypadkiem. Ale te dwa przypadki nie układały się w żaden wzór. Za pierwszym razem było to jedynie młodzieńcze, niedojrzałe zauroczenie, a ze strony Sophie nawet mniej, bo tylko frywolna zabawa z zapatrzonym w nią chłopcem. Sama to przyznała, gdy zaczęli o tym rozmawiać. Ledwie ją przecież wtedy znał. Przywiązało ją do niego wyłącznie niespełnienie, wynikające z ich niefortunnego pożegnania, i jej późniejsze nagłe zniknięcie.

Nie pociągała już Knuda Erika. Ale nie pociągała go w ogóle żadna kobieta. W tym tkwił problem. Pociągała go chwilowa ekstaza wśród huku bomb, nic więcej. Wolał kochać się w ciemności, a twarz kochanki chciał widzieć jedynie w rozbłyskach fosforu z bomby eksplodującej w pobliżu. Przypuszczał, że Sophie w zasadzie jest taka sama i Bluetooth został poczęty gdzieś wśród huku bomb podczas blitzu.

Coś wiązało ich ze sobą, lecz nie rodzące się pożądanie, już raczej tamte lodowate minuty o włos od śmierci, które spędzili razem w wodzie, gdy skoczył w morze, by ją ratować. W zasadzie chciał ocalić samego siebie, a ona była jedynie przypadkową okazją.

Dużo ze sobą rozmawiali, i właśnie to stanowiło wielką zmianę w jego życiu. Sophie wyprowadziła się z kajuty kapitańskiej. Helge oddał jej swoją, a sam przeniósł się do drugiego oficera. Ale chociaż Sophie już tam nie spała, samotność w kajucie kapitana mimo wszystko minęła. Sophie była od niego o parę lat starsza, doświadczona, a zarazem pozbawiona złudzeń. Swoje młodzieńcze marzenie zrealizowała z nadatkiem, lecz w międzyczasie wyrosła z niego, a żadne nowe go nie zastąpiło. Zobaczyła świat. Knud Erik mógł wyliczać kolejne porty, a ona odpowiadała mu jak marynarz marynarzowi. Taki właśnie panował między nimi ton.

Był pewien punkt, do którego Knud Erik nigdy się nie zbliżał, nawet tego nie próbował. Nigdy nie szukał w niej kobiety, i pewnie dlatego go zaakceptowała. Kiedyś skrywała się za afektowanym, literackim językiem czytanej i rozmarzonej dziewczyny. Teraz zmieniała się w starego wilka morskiego. On ten świat znał i czuł się w nim bezpieczny. Nie tęsknił za zbadaniem tajemnic, które mogły się w nim kryć. Nie miał na to siły ani odwagi. Wciąż obowiązywała rada Antona: najlepiej zapomnieć.

Nie chciał zbyt dobrze poznawać drugiego człowieka, bo bał się, że to, co w nim znajdzie, może podziałać niszcząco.

Butelkę z whisky wstawił do szafy i już jej stamtąd nie wyjął. Przewyciężył swój wstręt do Hermana i zaczął przychodzić do mesy. Przyciągał go Bluetooth. Wprawdzie dziecko nie zrodziło się z jego nasienia, ale też nie przyszłoby na świat bez niego. To on stał na wielkim progu oddzielającym życie od śmierci i przeciągnął nowo narodzonego na właściwą stronę. Nie, nie wiedział, czy ocalił siebie. Wiedział jednak, że ocalił Bluetootha, a to było dużo ważniejsze. Nie miał własnych dzieci i nagle zaczął to odczuwać jako swój największy brak. Bluetooth nie był jego dzieckiem, ale śmiertelnie niebezpiecznym skokiem w fale o temperaturze dwóch stopni zyskał do niego prawo.

To przypadek, że znów spotkał *miss* Sophie. Ale nie przypadkiem uratował Bluetootha.

Życie wskazało na Knuda Erika i go wykorzystało.

•

Przy stole w mesie Anton opowiadał o człowieku imieniem Laurids, który przed blisko stu laty brał udział w bitwie pod Eckernförde i stał na pokładzie statku, który wyleciał w powietrze. Spotkało go w sumie to co Mosesa Huntingtona. Spadł na nogi.

Mówił o nauczycielu Isagerze, którego uczniowie usiłowali spalić w domu, o Albercie, który szukał zaginionego ojca po całym Oceanie Spokojnym, a zamiast niego przywiózł do domu spreparowaną głowę Jamesa Cooka.

Knud Erik, który również znał tę historię, ba, w części był nawet źródłem Antona, przerwał mu. Pewne rzeczy wiedział lepiej. Sam opowiedział o pierwszej wojnie światowej i wizjach Alberta. Anton jednak go poprawił i Knud Erik zrozumiał, że Antonowi, gdy przejął buty Alberta, wpadły również w ręce jego zapiski.

Anton opowiedział, jak znalazł Alberta martwego, a potem już razem mówili o bandzie imienia zmarłego kapitana. Vilhjelm wspomniał o znalezieniu czaszki zamordowanego Jepsena. Knud Erik spojrzał na człowieka, którego załoga nazwała Old Funny, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na nim ta historia.

„On się teraz wszystkiego wyprze”, stwierdził w duchu, „wszystkiemu zaprzeczy”.

Herman przez chwilę patrzył gdzieś w dal.

– To o mnie mówi Vilhjelm – powiedział w końcu zamyślony, jakby dopiero teraz usłyszał o zabójstwie. – To ja zabiłem swojego ojczyrna. Stał mi na drodze. Byłem młody i bardzo niecierpliwy.

Zaczął opowiadać, jak będąc piętnastolatkiem, sam przyprowadził do portu w Marstal szkuner bramsłowy, jakby zabójstwo było jedynie prologiem, a to, o czym teraz mówił, stanowiło najciekawszy fragment historii.

Załoga gapiła się na niego. Porwało ich napięcie opowieści. Taki już był Old Funny, urodzony gawędziarz. Ale był też okrutnym mordercą. Cóż. Kapitan miał więc mimo wszystko rację. No, ale spójrzcie na Old Funny’ego. Przecież poniósł swoją karę.

Knud Erik zrozumiał, że godny pożałowania stan beznogiego i jednorękiego Hermana był wnioskiem o ułaskawienie, które zawsze będzie mu przyznawane. Nie musiał prosić słuchaczy o współczucie, ofiarowali mu je sami. Kiedyś Old Funny był mężczyzną, potrafił zabijać innych. Ale kim był teraz?

Anton, Knud Erik i Vilhjelm popatrzyli na siebie. Nie spodziewali się przyznania do winy i mieli ochotę to drażnić. Ale opowieść już toczyła się dalej, słuchacze domagali się dalszego ciągu.

– I co się stało potem? – pytali.

Anton musiał więc opowiedzieć o Kristianie Stærku i zabójstwie Tordenskjolda.

– Naprawdę to zrobiłeś? – Wally posłał Hermanowi pełne wyrzutu spojrzenie.

Knud Erik nie zdołał powstrzymać triumfu w głosie, gdy opowiadał, jak wygnali Old Funny’ego z miasta, jedynie na niego patrząc, a większość członków bandy nie wiedziała nawet, że był mordercą, i sądziła, że chodzi wyłącznie o zabicie mewy.

Na twarzy Old Funny’ego pojawił się smutek, jakby żałował tamtej swojej ucieczki przed laty. W końcu puścił oko do Knuda Erika i się roześmiał.

– Aleście mnie dopadli!

Zmienił temat i zaczął opowiadać o giełdzie w Kopenhadze, o Hencklu, o tym, jak stracił pieniądze, na które czekał przez tyle lat. Raz był na wozie, raz pod wozem.

Vilhjelm opowiedział o zatonięciu „*Ane Marie*” i *Zbiorze kazań marynarskich*, który wciąż umiał na pamięć. Sami mogli go sprawdzić, jeśli chcieli.

– A więc byliście już wcześniej w łodzi? Znacie to wszystko? – odezwał się któryś z brytyjskich gunnerów. – Przeszliście niemal generalną próbę przed konwojami.

– Diabelni marstalczycy! – stwierdził Kanadyjczyk. – Wszędzie wtykacie nos, wszędzie was pełno.

Historia doszła do panny Kristiny i Ivara. Opowiadał Knud Erik tonem, w którym coraz wyraźniej słyhać było potępienie.

Old Funny się bronił.

– Do niczego się nie przyznaję – oświadczył. – Bo to nie było żadne zabójstwo. Jeden by sobie poradził, inny nie. Ja go po prostu wystawiłem na próbę, i tyle.

Rozejrzał się wokoło. Wielu pokiwało głowami.

– A panna Kristina? – Knud Erik nie ustępował.

To rzeczywiście było głupie. Chętnie to przyznawał. Ale machnął Waliłapą, jakby mimo wszystko uważał to za bagatelkę.

– Zniszczyłeś komuś życie! – rozzłościł się Knud Erik.

– No tak. Pewnie tak.

Herman nie powiedział: „Zobaczcie, jak wyglądam teraz”. Ale tak mówiło jego ciało, i to znów wystarczyło. Tamto wszystko należało do przeszłości. Z jego strony nie można się już było spodziewać niczego złego.

Knud Erik wstał i wyszedł z mesy.

Ale opowieści ciągnęły się dalej. Nic nie mogło ich już powstrzymać.

Old Funny mówił o nocy w Setubal. Czy to były przechwałki, czy prawda? Trudno stwierdzić. Tak czy owak, był niesamowitym facetem. Tyle przynajmniej dało się wyczytać w spojrzeniach zebranych.

Historie zataczały różne kręgi, potem znów się skupiały, aż wreszcie otoczyły „*Nimbusa*” ochronnym pierścieniem.

Bluetooth leżał w kołysce, ale nie spał. Oczami jak teleskopy wodził po twarzach. Jak zwykle wyruszył na odkrywczą wyprawę po wszechświecie i sprawiał wrażenie, jakby wszystko rozumiał.

Wokół stołu w mesie z trudem i niechętnie wszyscy stopili się w jedno „my”. Od tej pory byli wspólnotą, której potrzebuje statek, i nawet Knud Erik musiał to przyznać.



Gdy zawinęli do Liverpoolu, Herman poprosił o rozmowę z kapitanem. Odbываła się na pokładzie, gdzie kiedyś obwieścił swoje przyjście i pokazał puste nogawki. Nie zamierzał się żegnać i dziękować za rejs. Chciał prosić o pozostawienie go na „*Nimbusie*”. Byli przecież ziomkami z tego samego miasta. Uważał, że może się przydać w mesie i na oku. Przypomniiał, że raz ocalił statek przed torpedą.

Knud Erik pokręcił głową.

Herman na tę odmowę cały jakby popękał i rozpadł się na kawałki. Knud Erik zobaczył coś takiego pierwszy i jedyny raz.

– Spójrz na mnie! – powiedział Herman. – Zamkną mnie gdzieś w jakimś zakładzie.

– Moim zdaniem powinni cię zamknąć w więzieniu.

– Co ze mną będzie?

Herman spuścił głowę. Był teraz żaloszny, ale w Knudzie Eriku wzbudził jedynie gniew.

– O ile wiem, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby powiesić człowieka, chociaż ma tylko jedną rękę i nie ma nóg.

Członkowie załogi stali w pewnym oddaleniu, poszeptując między sobą z niezadowoleniem. Po zapadniętym cieple Old Funny’ego poznawali, na którą stronę przechyla się szala. W końcu podszedł do nich Absalon.

– Kapitanie – powiedział. – Zebraliśmy podpisy.

Podał mu kartkę. Knud Erik powiódł wzrokiem po liście. Załoga niemal jednogłośnie prosiła o pozostawienie Old Funny’ego na statku. Jedynie Anton i Vilhjelm się nie podpisali. Tak samo Sophie. Pewnie nie chciała się do tego mieszać. Nie uważano jej zresztą za członka załogi.

– Zastanowię się nad tym.

•

Poprosił Antona i Vilhjelma, żeby przyszli do jego kajuty.

– Jeśli go zatrzymam, wymustrujecie?

Obaj pokręcili głowami.

– Zostaniemy – powiedział Anton. – „*Nimbus*” to dobry statek i wydaje mi się, że Herman ma w tym swój udział, chociaż nie mam ochoty tego przyznać. Wiedzieliśmy, że się temu sprzeciwisz, i chcieliśmy ci pokazać, że jesteśmy po twojej stronie. Nienawidzę tej świni, ale czasami trzeba wznieść się ponad własne uczucia.

Knud Erik przez chwilę siedział w milczeniu.

– *Ali right*. Niech zostanie – powiedział w końcu. – Dla dobra statku.

•

Załoga uczciła tę decyzję zabranieniem Old Funny'ego na wyprawę do miasta. Następnego dnia siedział na swoim stałym miejscu w mesie z przekrwionymi oczami i twarzą czerwieńszą niż zwykle.

– Przyjdzie dzień – oświadczył uroczystym tonem, jakby czytał Biblię – kiedy wszystkie kobiety świata będą leżeć w rowie i krzykiem domagać się fiuta, a nie dostaną nic.

– Mam rozumieć, że żadna cię nie chciała? – spytał Knud Erik.

•

To Knud Erik poprosił Sophie, żeby została.

– Cieszę się, że to mówisz – powiedziała. – Sama bym poprosiła, gdybym musiała.

– Możesz dalej pracować w mesie. Już rozmawiałem o tym z Helgem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Knud Erik czuł ulgę, ale nie wiedział, jak wyrazić radość z jej decyzji.

– Załoga się ucieszy, kiedy się dowie – powiedział tylko. – Wszyscy kochają Bluetootha.

– Czy to takie bardzo nieodpowiedzialne pływać po morzu w czasie wojny z dzieckiem? Gdybym zeszła na ląd, musiałabym przez cały dzień pracować w fabryce amunicji i w ogóle bym go nie widywała. Bluetooth ma dopiero dwa miesiące. Nie zniosłabym tego.

– Bomby są wszędzie – odparł.

Uświadomił sobie, że rozmawiają o chłopczyku tak, jak rozmawialiby małżonkowie o wspólnym dziecku.

– Nie wiem, co bym ze sobą zrobiła, gdybym nie mogła pływać – powiedziała Sophie. – To moje życie. Nie umiem żyć inaczej.

Rozumiał, o co jej chodzi. On sam dokonał wyboru i został marynarzem, ale w pewnym momencie to morze wybrało jego i na ten wybór nie miał już żadnego wpływu. On i Sophie wydawali się tacy różni wtedy, gdy się poznali, lecz od tego czasu ich życia biegły równolegle. Coś jednak go wstrzymywało i to samo wyczuwał w niej. Fizycznie nie był impotentem, lecz gdzieś w duszy mimo wszystko tak. Szukał zapomnienia w chwilowej ekstazie, tylko na tyle było go stać. Nie potrafił patrzeć w twarz i jednocześnie kochać.

– Jestem podobna do babki – oświadczyła Sophie. – Ona była wariatką, która nie umiała z nikim być. Nie potrafiła się podporządkować. Miała w sobie zbyt dużą potrzebę swobody, a przez to była skazana na pustkowiu. Ona miała lód, ja mam morze. Ale myślę, że w zasadzie to jedno i to samo.

– Teraz masz dziecko. Musisz się podporządkować. Bluetooth ma tylko ciebie.

– Ma nas – odparła.

Nie wiedział, czy miała na myśli jego, czy też całą załogę statku, której sama stała się teraz częścią. Chciał spytać, ale nie starczyło mu odwagi, bo bał się, że swoim pytaniem coś zniszczy.

To Sophie przerwała w końcu coraz bardziej krępującą ciszę.

– Dobrze wiem, kto jest ojcem Bluetootha – powiedziała. – Wcale nie jakiś marynarz, na którego przypadkiem natknęłam się na przepustce, jak sądzi większość z was. Znam jego nazwisko, znam adres. Poznałam jego rodziców i przyjaciół. Byliśmy zaręczeni i mieliśmy się pobrać.

– A co wam przeszkodziło?

– To, że on był podobny do Jamesa Stewarta. Wiesz, tego amerykańskiego aktora, który ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a z twarzy przypomina chłopca.

– No to znaczy, że przystojny?

– Owszem, taki *damn nice*, że nie wiedziałam, czy mam się z tego powodu rozplakać, czy porzygać. Wybrałam to drugie. Był bardzo miły, porządny, bardzo solidny, kochał mnie, prowadził kwitnącą praktykę adwokacką w Nowym Jorku, *plenty money, plenty everything*, mieliśmy zamieszkać w Vermont, nasze dzieci miały dorastać na wsi, wojna miała być tak daleko, że nawet gdyby zrzucili największą bombę świata, i tak byśmy jej nie usłyszeli.

– I tego nie mogłaś wytrzymać?

– Ależ nie, tego najbardziej chciałam. Ale zostałam obiecana innemu. Jak on się nazywa, ten mały paskudny karzełek? Titelitur? Żaden książę nie zdoła mnie uratować. Przez chwilę wierzyłam, że Jamesowi Stewartowi się to uda, ale w rzeczywistości wolałam być z Titeliturym. Wiesz, czego w końcu najbardziej nienawidziłam u tego mojego boyfrienda, podobnego do Jamesa Stewarta? Tej jego przeklętej niewinności. W końcu zaczęłam ją traktować jak nieszczerłość. Zabrał mnie na kolację. Uśmiechnięci stukaliśmy się kieliszkami. Planowaliśmy przyszłość. Wojna równie dobrze mogła nie istnieć. Tak sobie siedzieliśmy i tak nam było cudownie, tak ślicznie i spokojnie, a potem wróciliśmy do domu i położyliśmy się do naszych miękkich łóżek, i tak już miało być aż do naszej śmierci. Nie mogłam tego wytrzymać. Pewnego wieczoru zamiast wypić razem z nim, rzuciłam mu kieliszkiem w głowę. To nie była jego wina. On nic nie może poradzić na to, że nigdy nie widział, jak stu ludzi tonie na jego oczach albo jak statek wylatuje w powietrze. W rzeczywistości to chyba ze mną jest coś nie tak. Ale dla mnie jego niewinność była obrazą. – Rozłożyła rękę. – Wcale nie kocham tego, co jest tutaj. Nie potrafię nawet wyjaśnić, dlaczego tu jestem. Nigdzie nie pasuję. No, może tutaj. A raczej...

Uśmiechnęła się nagle z ulgą, jakby z potokiem słów przyplłynęło wreszcie to jedno, niosące ukojenie słowo.

– ...pasuje tu *k'ivítok*, który we mnie tkwi.

•

Nawiązała się między nimi zażyłość, lecz pozostawał również dystans, który nie chciał się zmniejszyć. „Ona miała rację”, myślał Knud Erik. „To ta wojna”. Tkwiła w nich obojgu. Dopiero gdy wojna się skończy, między nimi może coś zaistnieć. Ale kiedy się skończy? Czy będą jeszcze żyć, gdy to się stanie?

Chciał mieć z nią dzieci. Może to ślepy popęd, ale jak długo mogli czekać? Była od niego trochę starsza. Miała trzydzieści cztery albo trzydzieści pięć lat. Kiedy kobieta może rodzić po raz ostatni?

Zrezygnował. Był przecież Bluetooth. Jego dziecko. I dziecko całej załogi.



Boże Narodzenie spędzili na północ od Irlandii. W Halifaksie Wally wrócił na pokład z choinką na ramieniu. Na początku przywiązał ją mocno na dziobie i dopiero kiedy ustawili drzewko w mesie, zaczęło gubić igły. Helge zdobył gdzieś torbę orzechów laskowych. Wypadło po cztery na każdego. Owinięte w różową karbowaną bibułkę, musiały wystarczyć za prezenty. Mimo to pod drzewkiem były też paczki. Wszystkie przeznaczone dla Bluetootha, chociaż był jeszcze mały i niczego nie rozumiał. Sophie rozpakowała je w jego imieniu. W środku leżał świat, na którego poznanie dzieciak musiał zaczekać do końca wojny. Były tam krowy i konie, świnie i owce, słoń i dwie żyrafy. Większość została wyrzeźbiona z drewna własnoręcznie przez ofiarodawców i starannie pomalowana farbami, które były pod ręką. A farby były takie jak świat, w którym zamknęła ich wojna. Głównie czarne, szare i białe.

Bluetooth po kolei brał do buzi krowy, konie, słońca i na próbę je gryzł.



Bluetooth miał około roku, gdy pewnego wieczoru w Liverpoolu Sophie zeszła na ląd razem z załogą. Malec spał w kubryku marynarskim, u Wally'ego, jego ulubionego buddy'ego, który dobrowolnie zgłosił się do opieki.

Knud Erik nie wiedział, czego Sophie szuka. Czy poszukiwała czegoś, czego nie mogli sobie dać, a co mogła znaleźć wśród obcych?

Na łód zawsze schodził sam. Whisky schował do szafki i więcej jej nie wyjmował. Ale z nocy na łodzi nie umiał zrezygnować. Wpadli na siebie w pubie na Court Street. Była ubrana w ciemnoczerwoną sukienkę i miała umalowane usta, a jemu przypomniał się ten pierwszy raz, gdy odwiedził ją w domu jej ojca w Little Bay. Oboje odwrócili głowy, jakby wcześniej zgodnie zawarli umowę, i udawali, że się nie widzą.

Knud Erik niebawem wrócił na statek i od razu położył się spać. Pół godziny później drzwi do kajuty się uchyliły i ciasną przestrzeń wypełnił niezwykle tu zapach perfum.

Czyżby celowo zapomniał przekręcić klucz w zamku?

– To nie może tak dłużej trwać – oświadczyła Sophie i po ciemku zaczęła się rozbierać.

– Ja zabiłem człowieka – odparł. – Klęczał i błagał o łaskę, a ja do niego strzeliłem.

Położyła się przy nim na koi. Ujęła jego głowę w dłoń. W słabym świetle ze skajlajtu ledwie był w stanie rozróżnić rysy jej twarzy.

– Mój Knud Erik – powiedziała głosem chropawym od czułości, jakiej nigdy wcześniej w nim nie słyszał.

Uwolnił się od jej dłoni i wstał z łóżka.

– Potrzebuję światła – oznajmił.

Zapalił elektryczną lampkę i znów się przy niej położył.

– Czerwonych światełek alarmowych.

Nie wiedział, dlaczego to powiedział. To były zakazane słowa, wyklęte wspomnienie, którego powinien unikać, jeśli chciał przeżyć. Ale coś w nim zrozumiało, że musi je wymówić, jeżeli chce kochać.

– Nie ma wśród nas nikogo, kto by o nich nie myślał – stwierdziła.

– Ja po nich pływałem.

– My – powiedziała. – My po nich pływaliśmy.

Przesunął dłonią po jej twarzy i poczuł, że ma mokry policzek.

Przygarnął ją do siebie i popatrzył jej w oczy.

Wokół nich zapadła zupełna cisza. Nie było żadnych alarmów, nie było spadających bomb ani fal zalewających pokład, ani też huku eksplodujących statków z amunicją. Docierał jedynie odgłos dynamy pracującego gdzieś na dnie statku.

Dalej mocno ją obejmował.

– Moja Sophie – powiedział.



W sierpniu 1943 roku Duńczycy się zbuntowali, w Kopenhadze i innych miastach wzniesiono barykady. Rząd przestał współpracować z niemieckimi władzami okupacyjnymi i musiał ustąpić. Oficerowie floty zatopili własne okręty, które spoczęły na dnie basenu portowego w Kopenhadze.

Duńska bandera znów mogła powiewać z masztu statków w służbie aliantów. Oni jednak przyzwyczaili się już do *The Red Duster*, więc przy niej zostali. Poza tym na pokładzie było mniej więcej tyle samo narodowości co członków załogi, a i nieliczni Duńczycy stanowili barwną gromadę.

A Bluetooth? Urodził się na Atlantyku i stał się jego honorowym obywatelem.

Byli pływającą wieżą Babel toczącą wojnę z Panem Bogiem.

– Moglibyśmy zawiesić na maszcie pieluchę Bluetootha – zaproponował Absalon.

– Czystą czy brudną? – spytał Wally, który stał się mistrzem „*Nimbusa*” w przewijaniu.

Szorowali pokład i zmywali mydłem ściany. Utrzymywali czystość w dawnym stylu żaglowców, jak na starym „*Dannevang*”, świeć, Panie, nad jego duszą. Wszystko to dla Bluetootha.

Mogli schodzić na ląd i dumnie stać w barze. Nikt już nie nazywał ich pół-Niemcami ani wiernymi przyjaciółmi Adolfa.

Inni marynarze, słysząc, że są z „*Nimbusa*”, zaraz pytali: „Jak się miewa Bluetooth?”

„Dziękuję, dobrze”. Bluetoothowi wytarły się włosy i urosły mu nowe, czarne jak jego matki. Wyrznął mu się pierwszy ząb, co go trochę bolało. Potem były pierwsze kroki. Uczył się chodzić po pokładzie statku. Pewnie myślał, że cała ziemia składa się ze zboczy – w górę, w dół, w górę, w dół – i był rozczarowany, gdy grunt pod jego stopami się nie poruszał. Czasami się przewracał i bywał potłuczony. Siadał wtedy na kolanach u matki. Albo u któregoś z licznych ojców. Trochę wysiłku wymagało nauczenie się wymawiania słowa „ojciec” w siedemnastu językach. Choroba morska? Bluetooth? Nigdy! W całej alianckiej flocie handlowej nie było nikogo bardziej odpornego na kołysanie.

„*Nimbus*” był szczęśliwym statkiem.

Aż do pewnego wiosennego dnia w 1945 roku.



Płynęli do Southend. Po raz pierwszy od czterech lat szli przez Morze Północne. Wciąż krążyły U-Booty, ale już nieczęsto i coraz rzadziej donoszono o stratach. Dochodziła dziesiąta wieczór. Morze spokojne. Na północnym zachodzie wciąż widniała odrobina światła, lato było niedaleko. Wreszcie znalazła ich ta torpeda, na którą czekali przez wszystkie te lata, płynając w służbie aliantów. Wojna posłała im pożegnalny pocałunek, jakby przypominając, że nigdy nie wolno jej ufać. Nawet gdy jej koniec wydaje się już bliski.

Torpeda uderzyła przy luku numer trzy i „*Nimbus*” natychmiast zaczął nabierać wody. Szalupy na sterburcie i bakburcie nie zostały uszkodzone, wisiały i czekały na szlupbelkach. Palacze wybiegli na pokład w przepoconych podkoszulkach. Również ci, którzy mieli wolną wachtę, byli półnaczy. Knud Erik zaczął krzyczeć, bo przecież wydał rozkaz, że mają spać w ubraniu na wypadek, gdyby zostali storpedowani, ale nikt już nie traktował zagrożenia poważnie. Kiedyś spali w kamizelkach ratunkowych. Teraz nie potrafili sobie przypomnieć, kiedy ostatnio słyszeli odgłos nurkującego sztukasa. A okręty podwodne? Czy w ogóle jeszcze jakieś zostały?

Trzy minuty później wszyscy siedzieli w szalupach i odbijali od statku. Gdy uderzyła torpeda, „*Nimbus*” szedł pełną parą przy spokojnej pogodzie i teraz wciąż sunął z tą samą prędkością, chociaż dziób zanurzał się coraz głębiej, jakby statek zsuwał się z pochylni prowadzącej na dno morza. Gdy woda sięgnęła pokładu, z maszynowni rozległ się huk i słup dymu z parą buchnął w bezchmurne wiosenne niebo, na którym zaczynały się pojawiać pierwsze gwiazdy. „*Nimbus*” dalej trzymał kurs na dno. W końcu z wody wystawała już tylko rufa z nazwą statku i macierzystego portu, Svendborg. Potem i ona zniknęła. Nie podniosła się nawet fala, która wzburzyłaby gładką powierzchnię morza.

– Nie ma – powiedział Bluetooth. Siedział na kolanach matki owinięty kocem, z którego wystawała mu jedynie głowa. Pociągnął nosem, jakby przeziębiał się w chłodnym wieczornym powietrzu. Potem się rozplakał.

– Płacz, płacz, synku. Masz do tego, cholera, prawo.

To powiedział Old Funny, królujący na swoim wózku inwalidzkim na środku szalupy. Rozejrzał się dokoła, jakby stał się kimś w rodzaju rzecznika Bluetootha.

– To dom dzieciństwa tego chłopca poszedł na dno.

Siedzieli w milczeniu, trawiąc jego słowa. Rzeczywiście, nie mylił się. Bluetooth miał dwa lata i siedem miesięcy. Nie znał innego otoczenia niż „*Nimbus*”, a teraz statku już nie było. Również dla nich ten pokład był czymś w rodzaju domu. Mało który z nich wierzył w historię o tym, że „*Nimbus*” to szczęśliwy statek. Ale stopniowo jedną wiarę zastępowała inna. To ich własna siła woli, staranność, którą wkładali w utrzymanie „*Nimbusa*”, a przede wszystkim miłość do Bluetootha, nie dopuszczały torped i bomb.

Teraz nagle poczuli, jak ich siła woli gaśnie. W tym momencie wojna dla nich się skończyła. Nie dlatego, że została wygrana, lecz ponieważ nie byli w stanie dłużej jej znosić. Ta chwila nie przyniosła triumfu. Nie wiedzieli, czy byli zwycięzcami, czy przegranymi. Przeżyli i teraz chcieli się stąd wyrwać. Balansowali na ostrzu noża, między rezygnacją a ulgą, i gdy usłyszeli głos kapitana, mieli wrażenie, jakby przemawiał w imieniu ich wszystkich.

– Myślę, że wrócimy teraz do domu – oznajmił Knud Erik.

Do domu. Łatwiej to było powiedzieć niż zrobić. Załoga miała więcej domów niż stron świata.

– Z tego, co wiem – ciągnął – znajdujemy się mniej więcej w połowie drogi między Anglią a Niemcami. Ci, którzy czują, że ich dom jest w Anglii, popłyną w tamtą stronę... – wskazał na zachód. – A reszta...

– Reszta...? – Przerwał mu Old Funny. – O co ci chodzi? Przecież, do cholery, z tego, co wiem, na pokładzie nie ma żadnego Niemca.

– Nie popłyniemy do Niemiec. Popłyniemy do domu.

– Do Danii? – spytała Sophie.

– Do Marstal.

•

Rozdzielili się na dwie szalupy. Old Funny został w łodzi Knuda Erika. Najwyraźniej postanowił już więcej się nie ukrywać. Zapragnął wrócić do domu.

Anton, Vilhjelm i Helge też chcieli tam płynąć. Knud Erik przez moment patrzył na Sophie, w końcu skinęła głową. Wally i Absalon byli ciekawi tej dziury, najwyraźniej stanowiącej pępek świata, więc dlaczego nie?

Podzielili się zapasami. W każdej łodzi znajdowały się trzy wełniane swetry i trzy zestawy sztormiaków. Oddano je marznącym palaczom. Szalupy kołysały się obok siebie, gdy wymieniano uściski dłoni przez reling. Bluetootha podawano sobie z rąk do rąk, żeby każdy mógł go przytulić. Chłopczyk zrobił się niespokojny, nic z tego nie rozumiał. Właśnie pożegnał się z domem swego dzieciństwa. Teraz miał się rozstać z ponad połową ludzi, która ów dom zamieszkiwała. Wołał matkę, jakby była jedynym stałym punktem, jaki mu został na świecie.

Zaczęli wiosłować. Old Funny kazał się zdjąć z wózka i usadzić na ławeczce, by i on mógł mieć w tym swój udział. Dobrze ciągnął wiosłem jedną ręką, ale trudno mu było utrzymać równowagę, Absalon musiał więc się przysunąć i podeprzeć go barkiem.

Druga szalupa w gęstniejącej ciemności wkrótce zniknęła im z oczu.



Kochany Knudzie Eriku!

Wtedy gdy sądziłam, że utonąłeś, zrobiłam coś, o czym nigdy od tamtej pory nie myślałam.

Zobaczyłam siebie tak wyraźnie jak nigdy.

To było po południu. Krążąc bez celu po cmentarzu, nagle znalazłam się przed nagrobkiem w północno-zachodnim rogu. To tam spoczywa Albert. Nigdy nie opiekowałam się jego grobem, chociaż był moim dobroczyńcą.

Stary Thiesen, grabarz, malował pędzlem żelazny płotek otaczający grób. Chwasty już wyrwał, widać było, że zaniebany grób dzięki jego troskliwym dłoniom zmienia się w pomnik jednego z wielkich armatorów w mieście.

Miałam wrażenie, że wszystko we mnie, mój łęk, mój smutek i niepewność, cała samotność, to, co ukrywałam w życiu, wyrzuty, które sobie czyniłam, ciężąca na mnie odpowiedzialność, niewykonalne wręcz zadanie, jakie sobie wyznaczyłam, wszystko to nagle jakby zebrało się w jednym, wielkim wybuchu, w nieopanowanym napadzie złości, który nie miał przyczyny w żadnej konkretnej urazie, lecz raczej brał się z poczucia bezradności przesiadującego mnie przez całe moje życie. Złapałam wiadro z farbą i cisnęłam nim w popękana szarobiałą kolumnę z marmuru, na której wykuto daty narodzin i śmierci Alberta.

Cały czas krzyczałam te same trzy słowa. Chciałam chyba, by brzmiały niczym potępienie, niemal jak podczas Sądu Ostatecznego, lecz nie potrafię sobie wyobrazić, by w kimkolwiek, kto by je usłyszał, mogły wzbudzić coś innego niż głęboką litość, tak oczywiste było moje szaleństwo.

„Wszystko ma zniknąć! Wszystko ma zniknąć!”

Zdradzałam w ten sposób mój plan, ale na szczęście słyszał mnie jedynie Thiesen. Z pewnością rozumiał słowa, ale nie pojął sensu, który się w nich krył.

Grabarz dobrze znał moją historię. Wiedział, że wiele dni spędziłam w dręczącej niepewności o Twój los. Złapał mnie za rękę. Chciał mnie raczej chronić aniżeli powstrzymać przed dokonywaniem kolejnych zniszczeń.

„Spokojnie, pani Friis. To minie. Nie jest pani sobą”, uspokajał mnie.

Najstraszniejsze, że ja w tamtej chwili byłam właśnie sobą. Byłam bardziej sobą niż kiedykolwiek wcześniej i niż kiedykolwiek miałam być. Moje słowa płynęły wprost z serca. „Wszystko ma zniknąć”. Wyjawiłam cel mego życia.

Wszystko ma zniknąć.

Wreszcie o tym powiedziałam.

Wycieńczona osunęłam się na trawę u stóp Thiesena. „Przepraszam”, usprawiedliwiałam się, gdy pomógł mi stanąć na nogi. „Chyba rzeczywiście nie byłam sobą”.

Umocniłam go w jego błędnym przekonaniu. Przyznałam mu rację. Musiałam tak zrobić, jeśli dalej miałam żyć wśród ludzi.

„Rzeczywiście nie byłam sobą”, powtórzyłam.

Wszystko ma zniknąć.

Teraz wszystko już zniknęło, a ja wiem, że nigdy naprawdę nie chciałam, by się tak stało. Chodzę ulicami tego miasta, jakby dotkniętego klątwą, bo brakuje w nim połowy mieszkańców, jaką stanowią mężczyźni. Widzę coraz więcej kobiet, których spojrzenie mówi, że tyle czasu już minęło, odkąd ostatnio dostały list z za „Zapory”, iż straciły już całą nadzieję.

W naszym mieście nie mamy zwyczaju liczyć zmarłych. Ale wiem, że tam zostało znacznie więcej ludzi, niż Marstal straciło podczas rejsów do Nowej Fundlandii, w tej poprzedniej wojnie. Z topielcami jest tak, jak zawsze z nimi było. Nie mają ziemi, w której mogą spocząć.

Codziennie chodzę na cmentarz, zanoszę kwiaty i wianki na nasze nieliczne mogiły. To ja opiekuję się grobem Alberta.

Jeszcze raz proszę Cię, abys mi wybaczył, że kiedyś zepchnęłam Cię do świata zmarłych.

Twoja matka



Dotarcie do wybrzeża zajęło im trzy dni. Dopłynęli o wczesnym świcie. Niebo było zachmurzone. Różowy pasek nad lądem zwiastował wschód słońca. Przez całą drogę mieli dobrą pogodę. Dobili do bezkresnej piaszczystej plaży, za którą wznosiły się białe klify. Przebyli bezpiecznie strefę fal przybrzeżnych. Absalon i Wally wskoczyli do wody, aby wypchnąć łódź na brzeg. Potem wyładowali z szalupy Old Funny’ego i umieścili go na wózku. Po piasku ciężko się go pchało. Bluetooth biegł obok, chciał rozruszać nóżki po długim okresie bezczynności. W rączce ścisnął szmacianego pieska, Szypra, który – jak mówił – urodził się w morzu. Obydwaj mieli rozpocząć nowe życie. Koniec z huśtaniem w górę i w dół, w górę i w dół. Znaleźli się na nudnym lądzie i mieli na nim pozostać, przynajmniej przez jakiś czas.

– Gdzie są domy? – spytał. Nigdy wcześniej nie widział plaży. Świat, który znał, stanowiły morze i zbombardowane porty.

Coś jednak pozostało niezmienione. Rozejrzał się dokoła. Tam siedł ojciec Absalon, tam ojciec Wally, jego ulubiony *buddy*, a tam z kolei ojciec Knud Erik, ojciec Anton i ojciec Vilhjelm. Old Funny siedział na swoim wózku jak zawsze, no i była matka.

Wkrótce natrafili na drogę dochodzącą do plaży. Nie było na niej żywej duszy. Knud Erik niósł zniszczoną skórzaną walizkę.

– Co w niej masz? – zainteresował się Wally.

– Pieniądze.

– Niemieckie marki? – Wally popatrzył zaskoczony na Knuda Erika.

– Mam lepszą walutę. Papierosy.

– Przewidujący z siebie człowiek – stwierdziła Sophie.

– Czasami – odparł. – Tylko czasami.

•

Nie wiedzieli, którędy przebiega front, czy znajdują się przed nim, czy za nim. Nie wiedzieli nawet, czy Niemcy wciąż się bronią, czy już ich pokonano. Rosjanie byli daleko. Tutaj nacierali Amerykanie. Oni sami dobili do brzegu gdzieś w Zatoce Helgolandzkiej. Teraz musieli przedostać się na Bałtyk. Ostatni odcinek do Marstal mogli pokonać jedynie drogą morską.

Przez pierwszych kilka godzin nie widzieli żadnych śladów wojny. Droga biegła przez płaską nizinę nadbrzeżną, tu i ówdzie stały samotne chłopskie zagrody. Na drodze wciąż było pusto. Bluetooth zmęczył się w końcu swoim szalonym biegiem i wspiął się na kolana Old Funny’ego, który w cudowny sposób wydobył z kryjówki pod kocem butelkę rumu. Wally twierdził kiedyś, że stary ma w wózku podwójne dno i tam trzyma swój zapas alkoholu.

Przed południem dotarli do jakiejś wioski. Z jednego komina unosił się dym. Knud Erik poszedł ścieżką przez ogród i zastukał w drzwi. Nikt mu nie otworzył, ale widział twarz przyglądającą im się zza zasłony w oknie. Pojawiły się pierwsze leje po bombach. Ciągnęły się wzdłuż drogi wypełnione wodą, odbijało się w nich błękitne wiosenne niebo. Wkrótce musieli kluczyć między lejami a spalonymi ciężarówkami. Zbliżali się do miasta, a na drodze zaczęli pojawiać się ludzie. Nieogoleni żołnierze w brudnych mundurach wlekli się jakby bez celu.

Trudno było stwierdzić, czy uciekali, czy też zlecono im jakieś zadanie, w które dawno już stracili wiarę. Podskakując na nierównościach, jechały wozy z wieżami ciasno ustawionych mebli i materacy. Za nimi szli ludzie o zgaszonych twarzach. Poruszali się mechanicznym krokiem niczym skuci ze sobą łańcuchem więźniowie. Inni dreptali, pchając taczki albo ciągnąc wózki. Nikt ze sobą nie rozmawiał. Wszyscy mieli oczy wbite w ziemię, wydawali się głucho zapadnięci w siebie.

– *Look, a horsey!* – powiedział Bluetooth swoim dziecinnym angielskim i pokazał palcem.

Uciszyli go. Nie dlatego, by bali się wyróżnić w coraz większym tłumie, po prostu jego wesoły okrzyk zabrzmiał frywolnie w tym kondukcie pogrzebowym, jaki tworzyli milczący ludzie. Szybko zdali sobie sprawę, że przypominają wszystkich innych. Mężczyzna na wózku z dzieckiem na kolanach, kobieta, grupa wędrujących mężczyzn, pozornie przypadkowa zbieranina uciekinierów. Drogi w połowie Europy były pełne takich ludzi. Stracili dom i szukali innego, którego wojna nie zdążyła jeszcze zniszczyć. W odróżnieniu jednak od większości, oni mieli cel i nadzieję, i to właśnie starali się ukryć. Dlatego spuszczały wzrok i ściszały głosy, aby nie brzmiały zbyt radośnie.

Poczynili pewne odkrycie. Nikt tu nie patrzył na innych ani na otaczające zniszczenia. Ludzie wpatrywali się jedynie w czubki własnych butów, jakby na świecie nie istniało nic innego niż ślepe parcie naprzód, które prowadziło ich od jednej kupy gruzów do następnej. Knud Erik bał się, że zdradzi ich kolor skóry Absalona, ale nikt mu się nie przyglądał. Niemcy widzieli jedynie siebie, własne zniszczone życie i marzenia. Gdyby rozbitkowie z „*Nimbusa*” z ciekawością zaczęli rozglądać się dokoła, gdyby odrobina życia rozjaśniła im twarze, wtedy wyróżniliby się z tłumu i rzucaliby się w oczy.

•

Dotarli do jakiegoś miasta, w przeważającej części zniszczonego po bombardowaniu, ale oni ruiny widzieli już wcześniej, w Liverpoolu, Londynie, Bristolu i Hull. Fasady niektórych domów jeszcze się trzymały, wysokie na cztery, pięć pięter, z pustymi otworami okien, otoczonymi poczerniałym murem. Gdzie indziej fronty się zawaliły, odsłaniając wnętrza domów. Zaglądali do pomieszczeń, w których dało się rozpoznać sypialnie i kuchnie; w każdej chwili spodziewali się zobaczyć, jak ludzie otaczający ich na ulicy wracają do tych półdomów, z drzwiami zabitymi deskami, i zaczynają nowe życie w cieniu, pasujące do ich zgaszonych twarzy i spuszczonej spojrzeń.

Bluetooth był przyzwyczajony do ruin. Za rzecz zwyczajną uważał to, że domy są spalone, więc nie ponury krajobraz gruzów przykuł jego uwagę, tylko wielki biały ptak, siedzący wysoko na ostrzelanej wieży kościoła.

– Spójrzcie! – zawołał. – Tam siedzi Frede!

Tym razem powiedział to po duńsku. Swobodnie przechodził z jednego języka na drugi. Opowiadali mu o bocianie na dachu Goldsteina w Marstal, choć przemilczeli podjętą przez Antona próbę zabicia ptaka. Bluetooth wierzył teraz, że widzi Fredego.

– Nie, to nie jest Frede. To bocian taki sam jak Frede.

Knud Erik nie mógł powstrzymać się od śmiechu, a jakiś obcy człowiek od razu spojrzął na niego, jakby ten śmiech był czymś w rodzaju zdrady ojczyzny, a Knud Erik na głos przeklął Hitlera.

Bocian wzleciał w powietrze i ciężko bijąc skrzydłami, pofrunął wzdłuż ulicy. Poszli za nim. Kiedy dotarli do dworca, wielki ptak przysiadł na zniszczonym dachu, jakby chciał wskazać im drogę.

Kałuże na kamiennej podłodze świadczyły o tym, że niedawno musiało padać. Wszędzie siedzieli i leżeli ludzie. Ułożyli się na kawałach gruzu jak na ławkach i krzesłach oddanych im do dyspozycji przez przewidujące władze. Większość musiała być bezdomna i nie sprawiała wrażenia, by gdzieś się wybierała.

Dokąd zresztą ci ludzie mieliby jechać? Na następny zbombardowany dworzec?

W rogu wydawano kawę i chleb. Tablica głosiła, że później w ciągu dnia będzie wydawana zupa. Chociaż byli głodni, nie mieli odwagi ustawić się w kolejce z obawy, że zostaną odkryci. Knud Erik obszedł dworzec z paczką papierosów i wkrótce przyniósł kawałek chleba, kielbasę i butelkę wody. Zadowolony Bluetooth jadł łapczywie. Pozostali długo przeżuwali. Nie wiedzieli, kiedy znów będą mogli się posilić.

Przenocowali w hali dworcowej, a następnego dnia rano wsiedli w pociąg do Bremy. Tam mieli się przesiąść w inny, jadący do Hamburga. Biletów nie dostali i znów problem rozwiązały papierosy Knuda Erika. Na peronie był tłum, ale użyli Old Funny'ego jako lodołamacza. Ludzie rozstępowali się na boki. Pewnie sądzili, że to nieszczęsny inwalida wojenny. Brakowało mu jedynie Krzyża Żelaznego na piersi.

Na środku peronu stała kobieta w za dużym zielonym płaszczu. Nie wyglądała na osobę, która gdzieś jedzie. Po prostu tam stała. W bladej wyniszczonej twarzy, na wpół zakrytej zawiązaną pod brodą chustką, widniał wyraz najstraszniejszego zatracenia, jakie Knud Erik kiedykolwiek widział. Ta kobieta nie zapadła się w siebie jak wszyscy inni. Jej po prostu nie było. Oczy miała bardziej puste, niż byłyby, gdyby je wywróciła, ukazując same białka. Ze wszystkich stron potraçał ją ślepy, zniecierpliwiony tłum i nagle walizka, którą trzymała w ręku, otworzyła się i wypadło z niej dziecko. Zobaczył to wyraźnie. Spalone, drobne ciało, skurczone i ledwie rozpoznawalne, zmienione w mumię. Wysuszone żarem ognia, który najwyraźniej pochłonał również umysł matki. Kobietę potracił jakiś mężczyzna ze wzrokiem utkwionym w pociąg. Ruszył dalej, nie bacząc, gdzie stawia nogi, i stąpnął w leżące przed nim zwłoki. Knud Erik odwrócił głowę.

– Zobacz! – powiedział Bluetooth. – Ta pani zgubiła lalkę, Murzynka.

Kilka godzin później zbliżali się do Hamburga. Przez niemal pół godziny nie widzieli nic poza morzem ruin. Sądzieli, że już wcześniej mieli okazję zobaczyć, co bomby mogą zrobić z miastem, lecz zrozumieli, że do tej pory tak naprawdę nie widzieli nic. Tu nie było fasad, podziurawionych i opalonych, wznoszących się ze stosów gruzu i cegieł. Tu nie mogli nawet odgadnąć, któredyś biegingy ulice. Wprost trudno było uwierzyć, że tak strasznych zniszczeń dokonał człowiek. Zarazem jednak nie przypominało to naturalnej katastrofy, bo wówczas coś by zostało, zadziałałby jakiś przypadek, tymczasem tu zniszczenia były systematyczne, wydawało się wręcz, że musiała za tym stać jakaś inna forma egzystencji, nie człowiek i nie natura, tylko istota, której żywiołem zamiast wody czy powietrza był ogień i wszechogarniająca destrukcja.

Po raz pierwszy od blisko sześciu lat wojny poczuli, że znajdowali się na jej peryferiach. Zachowali się tak, jak pozostali pasażerowie zatłoczonego pociągu. Nie patrzyli na nic i spuścili oczy. Nie mogli znieść widoku miasta. Myśli poddały się pod naporem niepojętego zasięgu zniszczeń, a po myślach poddały się oczy. Wiedzieli, że jeśli zostaną tu dłużej, skończą jak wszyscy otaczający ich ludzie i stracą nadzieję, która jeszcze ich podtrzymywała na duchu.

Nawet Bluetooth odwrócił wzrok i bawił się guzikiem przy płaszczyku. O nic nie pytał, a Knud Erik pomyślał, że mały jest dostatecznie mądry, by nie chcieć słyszeć żadnej odpowiedzi.



Trzeciego maja o pół do piątej nad ranem ukradli w porcie Neustadt holownik. Planowali dotrzeć do Kilonii, ale musieli skorzystać z tych możliwości transportu, jakie mieli pod ręką. Ostatni karton papierosów Knuda Erika zapewnił im przejazd na pace krytej ciężarówki zmierzającej do Neustadt. W porcie nie było ludzi, gdy szli wzdłuż kei, wypatrując odpowiedniego statku. Bluetooth zwinięty jak szczeniak spał na kolanach Old Funny'ego. To Anton zdecydował się na holownik noszący nazwę „*Odyseusz*”. Gdy przedostawali się z kei na statek, Bluetooth się obudził. Matka trzymała go na rękach, ale natychmiast zażądał postawienia go na pokładzie. Przeciągnął się i rozdziawił buzię. Potem jego teleskopowe oczy jak zwykle wyruszyły na łowy, chłonąc nowe elementy wszechświata.

– Spójrzcie! – powiedział, wskazując w niebo.

Zadarli głowy i popatrzyli w górę. Wysoko nad nimi wielki ptak, wolno poruszając skrzydłami, leciał na północny zachód.

– To bocian – powiedział Bluetooth uradowany. – To Frede.

– Cholera, sam zaczynam w to wierzyć! – mruknął Anton. – Wygląda na to, że leci do domu, do Marstal.



W Zatoce Lubeckiej minęły trzy statki pasażerskie, „*Deutschland*”, „*Cap Arcona*” i „*Thielbeck*”, stojące na kotwicy. Ani na mostku, ani na żadnym z pokładów nie widać było załogi. Bali się, że ich kradzież zostanie odkryta i ktoś będzie ich ścigać, więc dopiero gdy zostawili statki w tyle, ruszyli pełną parą. Planowali popłynąć na północ od Fehmarn; taki kurs wyniosłby ich daleko na Bałtyk, prawie aż do Gedser, dopiero tam zmieniliby kierunek na zachodni, opływając Langeland od południa. Musieliby nadłożyć drogi, lecz bali się płynąć zbyt blisko niemieckiego wybrzeża.

Dopiero po południu przez morze przetoczył się głuchy huk. Po nim nastąpiły kolejne, przez moment nieboskłon nad ich głowami jakby zadrżał. Nieco głębiej w zatoce podniosły się słupy dymu. Przypuszczali, że zaatakowano Neustadt, może bomby trafiły w jeden ze statków, które niedawno widzieli. Stopniowo uświadomili sobie, że ich lęk przed zbytnim zbliżaniem się do wybrzeża był nieuzasadniony. Żaden statek nie podjąłby pogoni za nimi. Najwidoczniej Niemcy całkowicie utracili kontrolę nad Bałtykiem, który patrolowały teraz brytyjskie myśliwce typu Hawker Typhoon. Raz po raz słyszeli słabe echo bomb eksplodujących gdzieś daleko na morzu.

Na wodzie panował spory ruch, większość jednostek pochodziła ze wschodniej części Zatoki Lubeckiej, przez którą posuwały się siły rosyjskie. Były to rozmaite łodzie, kutry rybackie, frachtowce, małe motorówki i jachty, jole i łodzie wiosłowe z naprędcie skleconym masztem i żaglami. Słupy dymu wznosiły się na całym horyzoncie. Wszędzie dokoła widzieli wraki, a raz ledwie ominęli grupę zwęglonych ciał, kołyszących się na powierzchni wody z zanurzonymi głowami. Z daleka myśleli, że to wodorosty, ale w czas zorientowali się i zmienili kurs. Wśród topielców były kobiety i dzieci. Nikt nie miał na sobie kamizelki. Przypuszczali więc, że to uchodźcy, tacy sami jak oni.

„Czy to się nigdy nie skończy?” pomyślał Knud Erik.

Euforia, która ogarnęła ich na myśl, że się wydostali, ustąpiła, gdy zrozumieli, że wciąż muszą liczyć na szczęście, jeśli chcą żywi pokonać Morze Bałtyckie. Płynęli niemieckim statkiem i nic nie mogli przeszkodzić kolejnemu przelatującemu nad nimi typhoonowi w zrzuconiu śmiercionośnej bomby. Przez pięć lat nie widzieli duńskiej flagi. Teraz żałowali, że jej nie mają. Ale może nawet bandera by nie pomogła. Można było odnieść wrażenie, że samo morze otwiera swoje wnętrza i wypluwa tysiące istnień, które przez stulecia trafiły na jego dno. Płynęli po morzu topielców i czuli z nimi wspólnotę.

Knud Erik stał przy sterze. Rozkazał im włożyć kamizelki ratunkowe. Nie dla wszystkich wystarczyło. Przez moment patrzył na Hermana siedzącego na wózku. W końcu z rezygnacją wzruszył ramionami. Kapitan Boye utonął, ponieważ oddał kamizelkę palaczowi, który swoją zostawił w maszynowni. Podał więc swój kapok Wally'emu i kazał pomóc Hermanowi w jego włożeniu. Jeśli zostaną zatopieni, odda życie za człowieka, którym gardził, ale nie ma wyboru. Jednej rzeczy nauczyła go wojna. Możliwe, że alianci walczyli o zwycięstwo sprawiedliwości, ale samo życie zawsze było niesprawiedliwe. Był kapitanem i ponosił odpowiedzialność za załogę. Obowiązek był jedyną rzeczą, jaka mu została, jeśli nie chciał całkowicie ulec bezsensowi.

– Ty nie wkładasz kamizelki? – spytała Sophie, która nie zauważyła spojrzenia, jakie posłał Hermanowi.

Odpowiedział jej uśmiechem.

– Kapitan zawsze jako ostatni opuszcza statek. Jako ostatni wkłada też kamizelkę.

– Prawdziwy z siebie Odyseusz – odparła Sophie z uśmiechem. – W dodatku masz tyle szczęścia, że twoja Penelopa jest z tobą na pokładzie.

– Nas, marynarzy, nie należy, zdaje się, porównywać do Odyseusza – powiedział. – Jesteśmy raczej jego ludźmi.

– O co ci chodzi?

– Znasz tę historię?

Sophie wzruszyła ramionami.

– Niezbyt dokładnie.

– To bardzo deprymująca opowieść. Odyseusz jest kapitanem, *right?* Przeżywa fantastyczne przygody. Ale żadnego ze swoich ludzi nie przywiezie żywego do domu. Taką rolę my, marynarze, odgrywamy w tej wojnie. Jesteśmy ludźmi Odyseusza.

Popatrzyła na niego.

– Powinieneś bardzo się starać, kapitanie Odyseuszu. Tak się składa, że twój marynarz przypadkiem jest w ciąży.



Przez całą noc szli pół naprzód ze zgaszonymi latarniami. Byli już niedaleko celu, a bliskość Marstal jeszcze zwiększała ich lęk, że nie dotrą. Do tej pory żyli tak, jak muszą żyć wszyscy pokładający wiarę w niepewne szczęście: chwilą. Teraz znów ośmielali się myśleć, że mają przed sobą jakąś przyszłość, i nagle zaczęli się bać o życie. Wrócił dawny lęk z okresu pływania w konwojach. Niebo nad nimi i woda pod nimi na nowo wypełniły się ukrytymi zagrożeniami.

Morze było gładkie. Jego powierzchnia rozciągała się jak ciemnoniebieski jedwab, a na niebie w tę jasną wiosenną noc nie pojawiły się chmury. W powietrzu czuło się ciepło zapowiadające lato i gdyby nie zapach węgla i nasmołowanych lin holownika, dotarłby do nich z lądu aromat kwitnących jabłoni. Ale woda była zimna. Wciąż pamiętała zimą, a jej chłód zaprzętał ich myśli, jakby nadal płynęli na północy, po Oceanie Lodowatym. Znów wypatrywali warkoczy piany na wodzie zapowiadających torpedę, czerwonych światełek ostrzegawczych, zwiastujących ich własny moralny upadek. Nasłuchiwali plusku wiosel, wołania o pomoc. Ponawiali wciąż próbę generalną śmierci z wychłodzenia. Wiosna ich witała, ale wspomnienie trwającej pięć lat zimy, która minęła, wciąż nie chciało ich opuścić.

Za nimi, w zatoce, którą opuścili, tego samego dnia rano spaliło się żywcem osiem tysięcy więźniów obozów koncentracyjnych, gdy zbombardowano statki pasażerskie wykorzystane do ich unicestwienia. A wcześniej dziesięć tysięcy uciekinierów utonęło w morzu, po którym płynęli. Oni o tym nie wiedzieli. Patrzyli na tonące jednostki, ale nie widzieli, jak na dno idzie statek z dziesięcioma tysiącami uwięzionych w środku pasażerów. Nie słyszeli zbiorowego krzyku, który podnosi się, gdy woda wdzierą się jednocześnie ze wszystkich stron i statek coraz bardziej się zanurza, krzyku następującego po ostatnim błaganiu o pomoc, gdy do tych, którzy jeszcze żyją, dociera gorzka prawda, że ratunek to tylko czcze słowo. Nie, oni o tym nie wiedzieli. Nie słyszeli potwornego krzyku, a mimo wszystko tej nocy on w nich tkwił.

Całą noc spędzili na pokładzie. Bali się zejść na dół. Poowijali się w koce znalezione na statku. Nie spali, siedzieli, niespokojnie wypatrując i nasłuchując.

Bluetooth też nie spał. Leżał zapatrzony w gwiazdy, które zaczynały blednąć.

To on pierwszy usłyszał głośny szum skrzydeł.

– Bocian – powiedział po prostu.

Podnieśli głowy. Frunął nisko nad nimi, kierując się na północny zachód. Z daleka w świetle wczesnego poranka zobaczyli latarnię morską Kjeldsnor. Zbliżali się do południowego krańca wyspy Langeland.

•

Dopiero późnym popołudniem ukazała się *Ærø*. Przez większość dnia płynęli wzdłuż wybrzeża Langeland. „*Odyseusz*.” szedł pół naprzód. Anton oszczędzał węgiel, który już się kończył. Zobaczyli klif Ristinge wznoszący się od północy Dalej było otwarte lustro, daleko na zachodzie znajdowało się Drejet i klify w okolicy Vejsnæs. W samym środku tego wszystkiego czerwieniały dachy Marstal. Wysoko ponad nimi górowała jaskrawozielona wieża kościoła z wielką tarczą zegara. Nieliczne maszty w porcie przypominały resztki palisady, wzniesionej kiedyś, by chronić miasto, lecz wywróconej przez nieznaną siłę. Z tej odległości nie mogli dostrzec płaskiego cypla ani falochronu otaczającego miasto niczym ramię, niebędące jednak w stanie już go chronić.

W pewnej odległości od portu w powietrze wzbijały się czarne kłęby dymu. Podpłynąwszy bliżej, ujrzeli płomienie. To paliły się dwa parowce stojące na Treflowej Głębi. Wojna ich wyprzedziła. Knud Erik był pewien, że wszystko, co złe, skończy się, gdy ujrzy wyłaniające się dachy Marstal. Teraz ogarnęło go zmęczenie bliskie rezygnacji i pomyślał, że gdyby był pływakiem próbującym się uratować i dopłynąć do lądu, to właśnie w tej chwili by się poddał.

Minęli już parowce, gdy usłyszeli wycie myśliwca. Podnieśli wzrok i zobaczyli zniżającego się nad nimi typhoona. Błysnęło na jednym skrzydle i wystrzeliła rakietą, ciągnąc za sobą biały ogon dymu.

Rozległ się huk i cały statek gwałtownie się zatrzęsł.



To nie był dobry czas dla dzieci. I w mieście, i na okolicznych wysepkach morze codziennie wyrzucało na brzeg topielców, i właśnie dzieci ich znajdowały. Zawsze sprowadzały kogoś dorosłego, ale i tak było za późno. Zdążyły zobaczyć na pół rozłożoną, wyżartą twarz, a potem zadawały tyle pytań, na które nam tak trudno było odpowiadać.

Wczesnym rankiem 4 maja do portu przybił prom. Płynął z Niemiec i był pełen uchodźców. Na pokładzie znajdowało się niewielu mężczyzn. Wszyscy byli żołnierzami, mieli zakrwawione bandaże na rękach albo na nogach. Resztę stanowiły kobiety i dzieci. Dzieci nic nie mówiły. Siedziały tylko i patrzyły przed siebie, blade, z cienkimi szycjami wystającymi z zimowych płaszczy, które wyglądały na za duże, jakby dzieci rosły w odwrotną stronę, wbrew naturze, i kurczyły się w ubraniu. Pewnie od dawna nie jadły porządnie. Ale wrażenie na nas robiły przede wszystkim ich oczy. Nic nie widziały. Pomyśleliśmy, że zapewne widziały za dużo. Dziecięcą główkę łatwo zapełnić potwornymi obrazami, aż więcej już się w niej nie mieści. Oczy wtedy strajkują i robią się puste.

Daliśmy tych ludziom chleba i herbaty. Wyglądali tak, jakby potrzebowali czegoś ciepłego. Zachowywaliśmy się wobec nich przyzwoicie, chociaż trudno by twierdzić, że niemieccy uchodźcy byli mile widziani.

•

Koło jedenastej przed południem na dno poszły dwa niemieckie parowce, usiłujące wejść do portu od południa. W ciągu ostatnich paru dni angielskie maszyny wielokrotnie przelatywały nad wyspą, często też widywaliśmy je nad morzem. Teraz pojawiły się dwie. Odpaliły rakiety i oba parowce natychmiast stanęły w płomieniach. Miały działa na rufie i na dziobie, więc odpowiedziały ogniem. Angielskie samoloty wracały. Jeden z parowców, trafiony kilka razy, wkrótce cały już płonął.

Dopiero po ustaniu strzelaniny ośmieliliśmy się zbliżyć, aby pomóc rozbitkom. W morzu było pełno ludzi poparzonych albo rannych od wybuchów. Krzyczeli i jęczeli, gdy wciągaliśmy ich do łodzi, ale przecież nie mogliśmy ich zostawić w zimnej wodzie. Przeraził nas ich widok. Włosy mieli spalone, byli czarni od sadzy, a spod spalonej skóry wyzierała czerwona krwawa tkanka. Wielu nie miało nawet ubrania. Zabraliśmy ze sobą koce, ale nie mogliśmy nimi nakryć tych marznących biedaków, bo wełna przylepiłaby się do żywego mięsa. Ledwie mieliśmy śmiałość w ogóle dotknąć rozbitków, gdy pomagaliśmy im przedostać się na keję.

Wielu było już martwych. Tych zostawialiśmy w wodzie. Pierwszeństwo mieli ci, którzy przeżyli.

Rannych odwożono do szpitala w Ærøskøbing, pozostałych zakwaterowano w budynku, który nazywamy Lożą, na górze Vestergade. Potem zaczęliśmy wyciągać zabitych. Było ich bardzo dużo. Ułożyliśmy ich na kei przy Pirsie Parowców tuż przy wejściu do portu. Łącznie wyciągnęliśmy na brzeg dwadzieścia ciał. Leżały długim szeregami, nakryte kocami. Jedno nie miało głowy i było w pewnym sensie najmniej straszne z nich wszystkich, bo nie miało twarzy, w którą musieliśmy patrzeć, oczu, które należało zamknąć, ani ust otwartych w niemym krzyku, który towarzyszył zabitemu do grobu.

Do portu ściągnęło kilkaset osób, żeby zobaczyć płonące parowce. Jeden niemal całkiem się już spalił, ale wciąż bił z niego gęsty dym. Na drugim płonęło śródkręcie. Znajdowała się na nim gromada pijanych niemieckich żołnierzy, którzy na przednim pokładzie urządzili sobie orgię z półnagimi kobietami. Lęk przed śmiercią i alkohol pozbawiły ich wszelkich hamulców.

Późnym popołudniem Anglicy wrócili i kontynuowali nalot. W porcie zrobiło się czarno od ludzi. Wszyscy przyszliśmy oglądać straszną scenę rozgrywającą się na wodzie. Wielu mieszkańców Marstal straciło w wojnie mężów, braci i synów, łatwo więc mogliśmy pomyśleć, że teraz Niemcy dostają za swoje. Ale nie myśleliśmy tak. My, nasi ojcowie i dziadkowie, wiele razy byliśmy na pokładzie tonącego albo palącego się statku i wiedzieliśmy, jak to jest. Tonący statek to tonący statek. Wszystko jedno, kto znajduje się na pokładzie.

Przy południowym wejściu do portu pojawił się holownik. Byliśmy tak pochłonięci widokiem płonących parowców, że w ogóle go nie zauważyliśmy. To miejsce jest trudne do pokonania dla kogoś, kto nie zna tych wód, ale sternik świetnie sobie radził, dopóki Anglicy nie przelecieli nisko nad nim i nie odpalili swoich rakiet. Rozległ się wybuch, który usłyszeliśmy aż na lądzie. Statek został trafiony i w jednej chwili spowiły go płomienie.

•

Gunnar Jakobsen, który przepływał w pobliżu swoją jolką, zawsze później powtarzał, że barwniejszej zbieraniny nigdy nie widział. Byli tam i Murzyni, i Chińczycy, i człowiek na wózku inwalidzkim. Wyrzucono go za burtę, zanim inni zaczęli wyskakiwać. Nie miał rąk ani nóg, ale utrzymywał się na powierzchni dzięki kamizelce ratunkowej. W wodzie pojawiła się też kobieta z dzieckiem. Pół świata dryfowało na morzu.

Tym większe było zaskoczenie Gunnara, który wciągnął ich do łodzi, gdy Murzyn i Chińczyk zaczęli mówić po duńsku, a cała reszta z marstałskim akcentem.

– Czy to nie Gunnar Jakobsen? – spytał któryś.

Gunnar Jakobsen zmrużył oczy. Nie był krótkowidzem, ale potrzebował czasu na zastanowienie.

– Niech mnie diabli porwą – wykrzyknął w końcu – jeśli to nie jest Knud Erik Friis!

Potem rozpoznał Helgego Fabriciusa i Vilhjelma. Człowiek bez rąk i nóg się nie odzywał, a nikt go nie przedstawił.

– Anton – powiedział nagle Knud Erik Friis i bezradnie rozejrzął się dokoła. – Gdzie jest Anton?

– Masz na myśli Postrach Marstal? – spytał Gunnar Jakobsen.

Popatrzyli dokoła.

– Nie ma go tu – stwierdził Vilhjelm.

W wodzie też go nie było. „*Odyseusz*” już się przechylał, a płomienie wzbijały się wysoko w powietrze. Nikt żywy nie mógł już przebywać na statku.

Przez jakiś czas krążyli, nawołując Antona.

Samoloty raz po raz atakowały parowce, jakby chciały się pozbyć całego ładunku bomb i rakiet jeszcze przed końcem wojny.

Jolka Gunnara Jakobsena już miała zrezygnować z poszukiwań i wziąć kurs na port, gdy „*Odyseusz*” został trafiony ponownie. Tym razem musiał dostać poniżej linii wodnej, bo natychmiast się obrócił i zaczął tonąć. Gunnar Jakobsen skamieniał na ten widok, wyłączył silnik, jakby uważał, że winien jest holownikowi minutę ciszy, gdy statek toczył jeszcze śmiertelną walkę. Za moment „*Odyseusz*” zniknął. Widzieli, że tam, gdzie zatonął, coś unosi się na wodzie. Gunnar Jakobsen znów włączył silnik i podpłynął. W pierwszej chwili nie mogli się zorientować, co to takiego. Potem uświadomili sobie, że to straszliwie spalone szczątki czegoś, co kiedyś nazywało się człowiekiem. Dostrzegli plecy i głowę. Anton był nagi i nie miał włosów na głowie. Kamizelka ratunkowa zniknęła, a jeśli nawet coś z niej zostało, nie dało się stwierdzić, co było nią, a co nim, bo plecy miał czarne. Przypominały węgiel drzewny.

Sophie zasłoniła oczy Bluetoothowi. Knud Erik włożył ręce do wody, by wciągnąć zwęglone ciało do łodzi. Nie zastanawiał się, co robi. Równie dobrze mógł je tam przecież zostawić. Ale w tej samej chwili, gdy wyciągnął je z wody, jedna ręka odpadła. Przestraszony wypuścił ciało, a gdy na powrót znalazło się w wodzie, nagle to, co było kiedyś ciałem Antona, zaczęło odpadać od kości, które natychmiast tonęły.

•

Silnik głośno warczał.

To Gunnar Jakobsen chciał jak najszybciej dostać się na ląd.

Nikt z ocalonych z „*Odyseusza*” się nie odzywał. Mieli w oczach ten sam wyraz, który Gunnar widział u niemieckich dzieci i którego nigdy nie chciał oglądać u nikogo ze swoich. Mało wiedział o wojnie poza tym, co wyczytał w gazetach. Słyszał wybuchy na południu, gdy Anglicy zrzucali bomby, i widział łunę na horyzoncie od strony Hamburga i Kilonii. Teraz nagle dowiedział się więcej niż w ciągu ostatnich pięciu lat i przeżył to samo, co przeżywał za każdym razem, gdy w następnych miesiącach spotykał człowieka, który spędził wojnę poza granicami Danii. Coś było w tych ludziach, ale co, tego nie umiał wyjaśnić. Nie chodziło o to, co mówili, bo nie mówili nic, niemal jakby wszyscy strzegli wielkiej tajemnicy, którą tylko oni znali, bo i tak na nic się zdawało przekazywanie jej innym. Stanowili budzącą grozę wspólnotę, do której nikt inny nie miał dostępu, a której oni nie mogli opuścić.

Chłopczyk płakał. Nic nie widział, lecz mimo to domyślał się, co się stało.

– Już nigdy nie zobaczymy Antona? – spytał.

– Nigdy – odparła kobieta, która jak uznał Gunnar Jakobsen, musiała być matką dziecka. – Anton nie żyje. Już nie wróci.

W opinii Gunnara było to brutalne stwierdzenie, sam nigdy by się nie powazył na taką bezpośredniość wobec własnych dzieci. Coś jednak kazało mu z uznaniem zaakceptować bezwzględną szczerłość kobiety. Dzieciom wojny mówi się prawdę.

Wysoko ponad nimi frunął bocian. Zbliżył się do płonących parowców i przez chwilę zdawało się, że zniknął w kłębach dymu. Pojawił się jednak znowu. Cały czas zmierzał ku miastu. A gdy dotarł do krańca Markgade, złożył skrzydła, gotów wylądować w gnieździe na dachu domu Goldsteina.

•

Gunnar Jakobsen przybił do Pirsu Parowców. To tutaj stała większość ludzi, więc chociaż wstrząsnął nim widok zwłok Antona, to mimo wszystko czuł, że ma do przekazania niesamowitą historię, która zasłużyła na liczną publiczność. Oto przywoził do domu pierwszych marstalczyków powracających z wojny po ponad pięcioletniej nieobecności.

Gunnar nie przejął się, że zabici leżą na kei. Potężnego mężczyznę bez nóg wyniesiono właśnie tam i umieszczono wśród przykrytych zwłok. Przyglądaliśmy mu się z ciekawością. Nagle Kristian Stærk odezwał się donośnym głosem:

– To przecież Herman!

W miarę jak ta wiadomość się rozchodziła, ogarniał nas niepokój, a tym, którzy nie wiedzieli, kim był Herman, wyjaśniono to w krótkich, niezbyt pochlebnych słowach. Herman nie pokazywał się w Marstal od dwudziestu lat, lecz samo jego imię wystarczało, by w nas, którzy słyszeliśmy o wydarzeniach na „*Kristinie*”, wzbudzić odrazę. Siedział dziwnie zagubiony między zmarłymi i ze swoimi kikutami rąk i nóg przypominał wyrzuconego na brzeg morsa, który przebiera płetwami. Jego bezradność ani trochę nie zmniejszyła naszej pogardy.

– Pomóżcie mi się podnieść – powiedział.

My tylko się gapiliśmy. Nikt z nas nie miał ochoty go dotknąć, więc siedział tak, a z wody ściekającej z jego mokrego ubrania powstała kałuża, i w końcu wielkie ciało zaczęło trząść się z zimna.

•

Jakiś mężczyzna z krzykiem zbliżał się po Kongensgade. Biegł ku nam, wymachując rękami i wykrzykując słowa, których z powodu odległości nie mogliśmy zrozumieć.

W tej samej chwili dzwony w kościele zaczęły bić jakimś dzikim, zdyszonym rytmem, jakiego nigdy nie słyszeliśmy. Mogło się wydawać, że ktoś szuka melodii odpowiedniej do wydarzeń, które nie miały jeszcze miejsca w historii miasta. Nie był to ani pogrzeb, ani ślub, ani nabożeństwo, ani wschód czy zachód słońca.

W jakiś sposób, którego nie potrafiliśmy sobie wytłumaczyć, zrozumieliśmy, że zaszło coś wielkiego, coś o wiele ważniejszego niż pożar parowców na wodzie i nagle pojawienie się Hermana.

W końcu zrozumieliśmy te krzyki:

– Niemcy skapitulowali! Niemcy skapitulowali!



Patrzyliśmy na Hermana, na Knuda Erika i Helgego, na innych mężczyzn, których imion na razie nie znaleźliśmy. Patrzyliśmy na kobietę z dzieckiem i zrozumieliśmy, że to dopiero pierwsi. Teraz morze będzie oddawało zmarłych.

Wzięliśmy ich na ramiona i ponieśliśmy ulicami. Nawet Hermana nie zostawiliśmy w kałuży, która spłynęła z jego mokrego ubrania. Znaleźliśmy dla niego jakiś wózek i ciągnęliśmy go za sobą. Wołaliśmy: „Hura!”, i przemaszerowaliśmy przez Kongensgade i wzdłuż Kirkestræde, a potem w dół Møllergade, dalej przez Havnegade do Buegade w górę, przez Tværgade do Prinsensgade, gdzie Klara Friis jak zawsze siedziała w wykuszu i z bladą twarzą patrzyła na morze.

Zawróciliśmy i znów ruszyliśmy przez Havnegade, a było nas coraz więcej. Skądś dołączyła harmonia, gdzieś dalej trąbka, kontrabas i tuba, drumla, bębenek i skrzypce. Łączylismy *Króla Kristiana z Whisky, Johnny, Jest piękny kraj z What Shall We Do With The Drunken Sailor*. Była whisky i piwo, był rum i jeszcze więcej piwa. Był balsam ryski i genever, wszystko, co chowano na ten dzień, który – jak zawsze wiedzieliśmy – przyjdzie. W oknach rozbłysły światła. Na ulicach z suchym trzaskiem płonęły zasłony zaciemniające.

Znów dotarliśmy do Pirsu Parowców, gdzie pokotem leżeli ułożeni zabici i czekali na nas. Piliśmy i tańczyliśmy między zwłokami, o mało się o nie nie potykając, i tak właśnie miało być. Zmarli gromadzili się przez całe nasze życie, ci, co utonęli, i ci, co zaginęli, wszyscy ci, którzy przez stulecia nie zostali pogrzebani. Byli daleko, nawet od cmentarza, niszcząc nasze życie smutkiem, który nie znajdował pociechy. Teraz powstawali i brali nas za ręce. Nie przestawaliśmy tańczyć w wielkim wirującym kręgu, a na środku siedział Herman i wznosił toasty. Już nie trząśł się z zimna, tylko cały czerwony z przepicia, trzymał w ręku do połowy opróżnioną butelkę whisky. Śpiewał głosem zniszczonym przez pijaństwo i zło, przez niecierpliwość, chciwość i zaspokojoną radość życia.

Shave him and bash him,
Duck him and splash him,
Torture him and smash him
And don't let him go!

Był tam Murzyn, Chińczyk, Eskimoska i dziecko, których nie znaleźliśmy, był Kristian Stasrk i Henry Levinsen z krzywym nosem, był doktor Kroman, Helmer i Marie, nauczyła się już zaciskać pięść, lecz jeszcze nie wiedziała, że tego samego dnia została wdową, Vilhjelm dopiero miał jej o tym powiedzieć. Byli rodzice Vilhjelma, oboje głusi, ale z uśmiechem na ustach, były wdowy Boye, Johanne, Ellen i Emma, a tego wieczoru nie wahały się przed złapaniem nas za ręce i przyłączeniem się do tańca, był tam ich daleki krewny, kapitan Daniel Boye, a przez Havnegade przybiegła Klara Friis i przedarła się przez krąg, aż znalazła Knuda Erika, skinął jej głową, a chłopczyk, którego imienia nie znaleźliśmy, podszedł do niej i odezwał się do niej słowem, którego musiał go nauczyć Knud Erik: „Babciu”. Dziecko wzięło ją za rękę i pociągnęło do tańca, a nasz taniec był jak drzewo, które rosło i rosło. Pojawiały się kolejne słoje.

Tam szedł Teodor Bager, jak zawsze trzymał się za serce, i Henning, kiedyś najprzystojniejszy chłopak na „Hydrze”, z jasnymi włosami i lokiem opadającym na czoło, który w spadku otrzymał Knud Erik, była też niezmeńczona Anna Egidia i jej siedmioro zmarłych dzieci, one także przyłączyły się do naszego tańca wraz z żyjącą siostrą, był pastor Abildgaard, który przed śmiercią znalazł sobie wreszcie wiejskie probostwo, bo tam pasował lepiej niż do nas, patrzył na nas przez okulary w stalowej oprawce i niepewnie drobił kroki pod sutanną, za nim szedł Albert z brodą pokrytą szronem i głową Jamesa Cooka pod pachą, następnie ciężko dysząc, z wysiłkiem podążał Lorentz, ale nic nie mogło powstrzymać go od tańca, był też Hans Jørgen, który zatonął na „Niezrównanej”, Niels Peter, nawet Isager się stawił i jego gruba *madame* z odnalezionym Karem na ręku, jego synowie Johan i Josef z ręką Murzynki, a za nimi Sofus Wieśniak, dalej szli Mały Clausen, Einar i Kresten, ten nieszczęśnik z dziurą w policzku, z której stale coś się sączyło, a Laurids górował nad wszystkimi w swoich wielkich butach marynarskich, za nimi ciągnęli inni, a na samym końcu Anton, w uśmiechu odsłaniając poźółkłe od tytoniu zęby w zwęglonej twarzy, za nim kroczyły załogi „Astrei” i „Hydry”, „Pokoju”, „H.B. Linnemanna”, „Uranusa”, „Jaskółki”, „Bystrej”, „Turzycy”, „Korony”, „Laury”, „Naprzodu”, „Saturna”, „Amiego”, „Danii”, „Eliezera”, „Feliksa”, „Gertrud”, „Przemysłu”, „Harriet”, „Wspomnienia”, wszyscy topielcy. A w zewnętrznym kręgu, z twarzami przesłoniętymi mgłą niepewności, tańczyli wszyscy ci, którzy pływali na obcych statkach, nieobecni przez pięć lat wojny.

Tak wielu spośród nich nie żyło. Hu, nie wiedzieliśmy.

Jutro mieliśmy zacząć ich liczyć. A przez następnych parę lat boleć nad ich stratą. Tak jak zawsze.

Ale tego wieczoru tańczyliśmy z topielcami, a oni to my.

ŹRÓDŁA

Powieść *My, topielcy* jest fikcyjną fabułą. Inspiracją dla niej stały się elementy historii Marstal w latach 1848-1945. Wykorzystałem popularne w mieście nazwiska, ale przetasowałem karty, więc jakakolwiek zbieżność z osobami żyjącymi i zmarłymi jest przypadkowa.

Opierałem się na materiałach zgromadzonych w archiwum Muzeum Morskiego w Marstal oraz na licznych publikacjach tegoż muzeum. Cenny materiał znalazłem również w gazetach „Ærø Folkeblad” i „Ærø Tidende” oraz w kwartalniku „Ærøboen”.

Inspirację i niezbędną wiedzę zaczerpnąłem również od następujących autorów i z ich dzieł: Henning Henningsen (*Crossing the Equator, Sømanden og kvinden, Sømandens våde grav, Sømandens tøj*), Ole Lange (*Den hvide elefant, Jorden er ikke større*), H.C. Rader (*Dansk skibsfarts renæssance*, t. 1 i 2, *De sejlede bare*), Holger Drachmann (*Sømandshistorier, Poetiske Skrifter*, t. 4), Joseph Conrad (*Smuga cienia*), H. Tusch Jensen (*Skandinaver i Congo*), Adam Hochschild (*Kong Leopolds arv*), *Søndagstanker – kristelige Betragtninger på Son- og Helligdage af ærøske Præster, Sømandspostillen*, Knud Ivar Schmidt (*Fra mastetop til havneknejpe*), Harriet Sergeant (*Shanghai*), E. Kromann (*Marstals søfart indtil 1925, Dagligliv i Marstal og på Ærø omkring år 1900, Hans Christian Svindings Dagbog vedrørende Eckernfødetoget og Fangenskabet i Rendsborg og Glückstadt*, „Danske Magazin”, rocznik 8, t. 3), *Marstalsøfolkenes visebog*, J.R. Hübertz (*Beskrivelse af Ærø 1834*), C.T. Høy (*Træk af Marstals Historie*), Victor Hansen (*Vore Søhelte. Historiske Fortællinger*), Salmebog til Kirke- og Husandagt 1888, Anne Salmond (*The Trial of the Cannibal Dog – Captain Cook in the South Seas*), Homer (*Odyseja*), Nordahl Grieg (*Skibet går videre*), W. Somerset Maugham (Honolulu), Herman Melville (*Biały kubrak*), Robert Louis Stevenson (*Tales of the South Seas, A Footnote to History*), Mark Twain (*Roughing it in the Sandwich Islands*), Victor Hugo (*Pracownicy morza*), F. Holm Petersen (*Langfarere fra Marstal*), Knud Gudnitz (*En Newfoundlandssfarers erindringer*), Rauer Bergstrøm (*Kølvand*), Per Hansson (*Co dziesięć musiał umrzeć*), Martin Bantz (*Meilern bomber og torpedoer*), Andrew Williams (*Slaget om Atlanten*), Richard Woodman (*Konwoje arktyczne 1941-1945*), Claes-Göran Wetterholm (*Dødens hav. Østersøen 1945*), Edward E. Leslie (*Desperate Journeys, Abandoned Souls*), Anders

Monrad Maller, Henrik Detlefsen, Hans Chr. Johansen (*Dansk søfarts historie, t. 5, Sejl og Damp*), Mikkel Kühl („*Marstallerne solgte væk*”, Marstals handelsflåde 1914-1918, „*Maritim Kontakt*” nr 26), Karsten Hermansen (*Søens købmænd*), Karsten Hermansen, Erik Kroman i in. (*Marstals søfart 1925-2000*), H. Meesenburg og Erik Kroman (*Marstal – et globalt lokalsamfund, „Bygd”*, rocznik 17, nr 4), Tove Kjærboe (*Krampebånd og Klevesnak*), Finn Askgaard (red.) (*Fregatten Jylland, Sämling af søforklaringer over forliste danske Skibe i Årene 1914-1918*), Christian Tortzen (*Søfolk og skibe 1939-1945*), Ole Mortensøn (*Sejlskibssøfolk fra Det Sydfynske Øhav*), Poul Erik Harritz (*Rundt om Selma fra Birkholm*).

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym przede wszystkim podziękować mieszkańcom Marstal, którzy przychodzili na moje odczyty w Szkole Nawigacyjnej i w bibliotece na Skolegade.

Wyrazy wdzięczności kieruję również do następujących osób, które – każda na swój sposób – udzieliły mi nieocenionej pomocy podczas pracy nad powieścią. Są to: Lis Andersen, Iben Ørum, Henning Therkildsen, Jens i Hannę Lindholmowie, Henry Lovell Kroman, Knud Erik Madsen, Connie i Martin Bro Mikkelsen, Lars Klitgaard-Lund, Nathalia Mortensen, Annelise i Poul Erik Hansenowie, Astrid Raahauge, Pulle Teglbjerg, Leif Stærke Kristensen i Berit Kristensen, Regitze i Ole Pihlowie, Hjørdis i Kaj Haldowie, Erik i Lilian Albertsenowie, Hans Krull, Karla Krull, Erna Larsen, Adam i Anne Grydehøj, Søren Buhl i Marjun Heinesen, Gunnar Rasmussen, emerytowany pastor Finn Poulsen, Lars Kroman, Lone Søndergaard, Frans Albertsen, Kristian Bager. Szczególnie gorące podziękowania składam Erikowi Kromanowi, dyrektorowi Muzeum Morskiego w Marstal, który udostępnił mi archiwa muzeum. Karsten Hermansen dzielił się ze mną zarówno domowymi bułeczkami z rodzynkami, jak i swoją niewyczerpaną wiedzą.

Christopherowi Morgenstjerne winien jestem wdzięczność za konsultacje dotyczące terminologii marynistycznej. Odpowiedzialność za wszelkie pozostałe błędy w użyciu określeń dotyczących ożaglowania i wiatru ponosi autor.

Wielkie dzięki dla mojej najukochańszej Laury. Napisanie tej książki trwało tyle, co pół Twojego życia, a Ty z nieustającym entuzjazmem przez cały czas wyrażałaś swoje stanowcze opinie.

Wobec Mojej ukochanej Liz mam dług wdzięczności, którego nie zdołam zapewne spłacić przez całe życie. Wspierałaś mnie i swoją wiedzą, i miłością, to dzięki Tobie wreszcie dopłynąłem do portu.